

Biblioteka
Warszawska

Mf 12453

Warszawa
1857 r.

t. 1

poz. MF 12453

Biblioteka Jarszawska

Warszawa 1057 Nowa serya. T. 1 (m-c I-III),
sp. rzeczy

Oryg.: ZNIO sygn. 117.152

neg. MF 12453

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1857.

NOWA SERJA.

Tom piérwszy.



117152

WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNÉJ.

przy ulicy Danitowiczowskiej Nr. 617, w dawnéj Bibliotece Załuskich.

—
1857.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIĘRWSZYM

Z R. 1857.

Materyały historyczne.

	Stron.
Mazew. Przyczynek do historii wiejskich i miejskich osad w Polsce, przez <i>W. A. Maciejowskiego</i>	269
Jezuici w Kaliszu (1581 — 1773), szkic historyczny, skreślił <i>Cezar Biernacki</i>	465

Biografia.

August Wilkoński. Wspomnienie. Przez <i>K. Wł. Wójcickiego</i>	1
--	---

Archeologia.

Początek ikonografii naszej. W opisie małego zbioru rycin i obrazków w odciskach z blach miedzianych, które przedstawiają wizerunki królów polskich i znakomitych mężów; tudzież ŚŚ. Patronów naszych i błog. Polaków. Dodane są prace rytowników naszych i inne tu należące przedmioty. Przez <i>Ambrożego Grabowskiego</i>	231
Wykopaliska w Manieczkach. Przez <i>Antoniego Białeckiego</i> . (Z ryciną).....	647

Prawo.

O sporach jurysdykcyjnych w zakresie sądownictwa zwyczajnego cywilnego, przez <i>Augusta Heylmana</i>	718
---	-----

Nauki społeczne.

O stosunkach wzajemnych właścicieli dóbr i włościan w Królestwie Polskiem. Przez <i>Antoniego Cypryńskiego</i>	153, 512
--	----------

Opisy i podróże.

Wycieczka na Litwę. Wspomnienia podróży, przez <i>Ferdynanda Nowakowskiego</i>	561
--	-----

Literatura.

	Stron.
Przegląd literatury zagranicznej. Literatura angielska. Rzut ogólny.— Reakcyja. — Pani Stowe. — Afryka. — Druzowie Libanu. — Życie Waszyngtona	117
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Biografie i bio- grafie. — <i>Les Faux Bons-Hommes</i> , komedia we czterech aktach Teodora Barrière. — <i>La Tour Saint-Jacques la Bou- cherie</i> , pięcio-aktowa melodrama Alexandra Dumasa et com- pagnie.—Wiadomości literackie.....	185
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Przyjęcie Ponsar- da do Akademii. — Biografia Salvandego. — <i>Les confessions d'un Bohémien</i> , powieść pana Arnould Fremy. — <i>Les petits Bonheurs</i> , przez Jules Janin'a. — Biografia Nerval'a, przez te- goż. — Egipt, przez Ernesta Feydeau.— Wyprawa do źródeł Bia- łego Nilu.—Wiadomości literackie.....	439
Przegląd literatury zagranicznej. Literatura angielska współczesna. Karol Mackay poeta.— Karoliny Dent: „Myśli i rzuty.— Tomasz Read.—Pani Busk i jej dzieło: Średniowieczni papieże, cesarze, królowie i Krzyżowcy, czyli Niemcy, Włochy i Palestyna w XII i XIII wieku.—Emersona: Zarysy Anglii.—Johna Motley: Począ- tek rzeczypospolitej holenderskiej. — Klemensa Markham: Kuz- ko, czyli Podróż do dawniej stolicy Peru i Lima. — Wycieczka do stolicy nowożytnego Peru.—Odkrycie drogi północno-zacho- dniej.—Henryka Dalton: Historia Guyanny brytańskiej.— Alex. Frybes.—Indyjskie roczniki prowincyi Grozerat“.....	620
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Eugeniusz Dela- croix w Akademii.— <i>Quatre ans de règne, où en sommes- nous?</i> przez Dra Verona. — Raport pana Sainte-Beuve o dzie- łach dramatycznych. — Opera Verdego <i>Rigoletto</i> . — Połów pe- reł. — List wydawcy piosneczek Bérangera. — Wiadomości lite- rackie.....	694

Powieści.

Ostatnie chwile życia. (Wyjątek z dziennika domowego. Przez G. Ż.	523
---	-----

Poezye.

Złota legenda Henryka Longfellow. Przełożył z angielskiego F. Je- zierski.....	17
Powrót ze swadźby, przez Władysława Korotyńskiego.....	463
Narodowe pieśni serbskie. Przełożył na język polski Edward Brze- tystaw.....	735

Dramat.

Koryolan. Tragedya w pięciu aktach, przekład z Szekspira przez J. Paszkowskiego	291
--	-----

Sztuki piękne.

	Stron.
Ideał piękna w muzyce i jakie się jęj stanowisko w dziedzinie sztuk należy, przez <i>J. M. Wiślickiego</i>	598

Rozbiory.

Ocenienie stanowiska p. Felixa Żochowskiego w umiejętności językowej, oparte na jego Mowni i odpowiedzi danęj ks. Malinowskiemu, wraz z podaniem rysu nowego systemu koniugacyi słowiańskięj. Przez ks. <i>Fran. Xaw. Malinowskiego</i>	195
Hieronim Radziejowski i Mikołaj Zebrzydowski. Przez <i>X. M.</i>	212
Pamiętniki Kommissyi archeologicznęj. Część I. Wydana pod redakcyą Michała Balińskięgo i Ludwika Kondratowicza. Wilno. 1856. Przez <i>K. Wł. Wójcickiego</i>	225
Franczeska z Rimini. Tragedya Silvio Pellico, przekład Juliana Bartoszewicza. Przez <i>A. C.</i>	753
Rzecz o tragedyi starożytnęj i nowożytnęj. Przez <i>Bartłomieja Podgórskiego</i>	805
Zwiady świata i ludzi. (Oddział I od roku 1800 do r. 1816). Dom mojęj babki. Przez Walerego Wielogłowskięgo. Kraków. 1856. Przez <i>K. Wł. Wójcickiego</i>	809
Henryk III Walezysz.....	815

Nauki przyrodzone.

Zarysy kosmologiczne. Budowa wszechświata, jego wielkość i dzieje utworzenia się, napisał <i>Apolinary Zagórski</i>	492, 660
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych: Chemia, przez <i>J. B...</i>	250, 818

Korrespondencye.

Od <i>A. Tyszyńskięgo</i> . 544. — Od <i>A. Bielowskięgo</i> . 544. — Od Juliana Bartoszewicza. 820. — Od Waleryana Kalinki. 822. — Od <i>M. G.</i> 822. — Od <i>T. L.</i> z Rzymu.....	822
<i>Doniesienia literackie</i>	253, 545, 827
Od redakcyi	264
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiém: za miesiąc listopad r. z. ,	265
— — grudzień r. z.	557
— — styczėń r. b.....	833
Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych w obserwatoryum astronomiczném warszawskiém w roku 1856 robionych.	

SPROSTOWANIA.

W tomie Iezym.

<i>Str.</i>	<i>wiersz</i>	<i>zamiast</i>	<i>czytaj</i>
199	6 od dołu	Kirchenslavische	Kirchenslavischen
202	10 od góry	sЪ, zЪ, wЪ, dzЪ	sЪ, zЪ, wЪ, dzЪ,
202	12 —	pojęcia jego stosunków	pojęcia i jego stosunków
"	13 —	Worthbildungsfähige	Worthbildungssüssige
"	14 —	Beziehungsfähige	Beziehungssüssige
202	6 od dołu	króla ale króla	króla ale króla
204	14 od góry	praktyczną	praktyczną
204	21 —	соединительная	соединительная
"	23 —	корнѣмъ	корномъ
"	8 od dołu	dz	dz
205	6 od góry	nie mającej	nie mającą
"	7 —	moczą	mocy
"	23 —	rzeczywiści	rzeczywiście
"	17 od dołu	jak	jak
206	12 od góry	jii	ji
"	26 —	bjię	bjię
"	10 od dołu	émji	émje
"	2 —	tematową. Że	tematową, że
207	3 od góry	białoruskich	białoruskich
"	" —	budzisz	budzisz
"	8 —	prolicio	projicio
"	21 —	je	ji
"	23 od dołu	je	jo
"	18 —	je	ji
"	14 —	υποπονται	υποπονται
208	1 od góry	zechę	zechce
"	14 —	za spółką	ze spółką
"	18 —	(za tłucesz)	(za tłucesz
"	" —	tłuc	tłucz
"	23 —	kocha'm woła'm	kocham wołam
"	24 —	Uwaga nie	Uwaga. Nie
"	18 od dołu	ukjesz	ukjisz
"	13 —	słychjesz	słychjisz
"	5 —	łamię	łamię
210	5 od góry	Wielkopolanie	Wielkopolanie?
211	16 —	Odysę	Odysęę
212	19 od dołu	najprzyjemnej	nieprzyjemnej
"	12 —	zawiodłszy	zawiodszy
561	5 od dołu	życzenia najszczęśliwszej podróży, tak silnie połączone z pocałunkami i uściskiem dłoni, teraz może za natręctwo uważałem, bom	życzenia najszczęśliwszej podróży, tak silnie połączone z pocałunkami i uściskiem dłoni, teraz może za natrętny poczytanym, żem
578	12	reku	roku



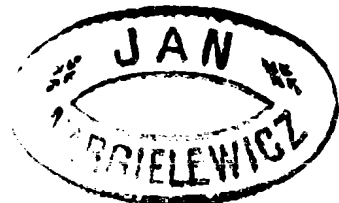
Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, d. 8 (20) grudnia 1856 r.

Cenzor, RADCA DWORU

Stanisławski.





AUGUST WILKOŃSKI.

WSPOMNIENIE.

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

Piąty rok upływa, jak w samej sile wieku, bo w 47 roku życia zgasł nagle i niespodziewanie Wilkoński. Nikt nie chciał wierzyć pierwszej wieści o jego zgonie. Wielu mówiło z przekonaniem, że wiadomość tę umyślnie nasz humorysta puścił na świat, aby się dowiedzieć, co o nim po jego zgonie mówić i pisać będą, że niezawodnie będzie to dla niego przedmiotem do nowej ramotki. Ale niestety! wieść ta z niedowierzaniem przyjęta, zamieniła się w smutną prawdę. Po krótkiej chorobie, cierpienia moralne zniszczyły w nim tę organizację silną i żelazną na oko, tę czerstwość i pełność życia, któremi zapowiadał długie lata, i sam był pewny doczekania sędziwej starości.

Pięć lat od jego zgonu ubiega, a oprócz krótkiego wspomnienia w jednym z dzieł nowszych (1), żadne z pism polskich nie zajęło się ani życiorysem tego pisarza, ani ocenieniem pism jego. Przecież było jeden z naszych najwięcej narodowych autorów, którego pisma rozchwytywane chciwie, były rozkoszą czytelników, i w dalekiej przyszłości jeszcze, gdy o wielu dziś rozgłośnych utworach zapomną, *Ramotki* Wilkońskiego nie stracą na swój wartości.

(1) Obacz Cmentarz Powązkowski. T. I.

Od pierwszego roku powstania Biblioteki Warszawskiej, Wilkoński był jej ciągłym współ-pracownikiem przez lat kilka: a jeżeli mu pismo to otworzyło pole do zyskania chlubnego imienia, nawzajem utwory jego dodawały niemało rozgłosu samej Bibliotece. Zaledwie pierwsze dwie ramotki w tém piśmie umieścił, czytająca publiczność oczekiwała ciekawie, czy nowy jaki utwór pana Au. Wi. będzie w zeszycie, mającym wyjść Biblioteki Warszawskiej.

Wilkoński pisał lat cztery ciągle, i wyłącznie dla tego pisma pracował. Słusznie więc należy, ażeby w niém znalazł wspomnienie sumienne tych zasług, jakie położył na polu piśmiennictwa naszego. Smiało podejmuje ten przedmiot i z uczuciem rzewném kreślę to pozgonne wspomnienie o rozgłośnym w latach niedawnych pisarzu.

Jako godło do swoich Ramot i Ramotek położył czterowiersz jednego z naszych poetów:

W uśmiechu każdym zaparłem siebie,
Zaparłem gorycz, com ją wciąż pił:
Raz tylko jeden na mojem niebie
Promyk radości jasno się lśnił."

Godło to, jakby przecuciem użyte, było wróżbą dalszych dni jego życia i zawodu literackiego. Spełnił on do dna czarę goryczy, i nie ludzie, ale Bóg go pocieszył, gdy na dni kilka przed zgonem, odejmując mu przytomność umysłu, dozwolił marzyć słodko, i wśród zjawisk drogich sercu i myśli, zamknąć oczy nazawsze.

Urodził się w Wielkopolsce dnia 28 stycznia 1805 roku we wsi Konkolewie, w pobliżu miasta Leszna. Ojciec jego służył w młodym wieku wojskowo, za czasów Stanisława Augusta w tak zwanéj *Złotéj chorągwi* i miał stopień rotmistrza. August po wychowaniu domowém, oddany do gimnazyum w Poznaniu, odznaczył się szczególną zdolnością jak i żywością charakteru i dowcipem: po ukończeniu szkół udał się na uniwersytet wrocławski, gdzie od r. 1826 do 1828 pobierał nauki.

Bawiąc w Poznaniu, ujawszy się za swego przyjaciela T. Koszutkiego, obrażonego przez oficera pruskiego, wyzwiał go i ciężko ranił. Było to w r. 1828. Ta odwaga i zimna krew, którą okazał w tym wypadku, nie opuściła go i później. Wytoczono mu proces za ten pojedynek, który się przewłókł do 1832 roku. Po doznaniu wielu przygód w tym przeciągu cza-

su, które oddzielny ustęp w życiu Wilkońskiego stanowią, powrócił szczęśliwie w rodzinne strony.

W Poznaniu w hotelu *Pod złotą kulą*, zebrało się grono wesołej młodzieży i wykształconej: tu w gwarnej pogawędce zaczęto naprzemiennie deklamować najpiękniejsze wyjątki z *Woronicza*, *Mickiewicza* i innych. Między wszystkimi górował głos jeden silny męzki i najwięcej z zapalem deklamujący. Był to głos Augusta Wilkońskiego, w którego mieszkaniu zebrała się ochocza młodzieży poznańskiej drużyna.

Mieszkanie obok zajmowała właśnie wtedy wdowa po naddzierżawcy dóbr rządowych pani Laucz, wraz z młodziuchną córeczką Pauliną. Dziewczę ciekawe, zamilowane już w literaturze polskiej, podsunęło się bliżej ku drzwiom i niechcący potrąciło krzesłem i klamką. Odskoczyła przerażona na środek pokoju, i w tej chwili Wilkoński przez otwór zamkowy ujrzał całą postać dorodnej a świeżej jak kwiat dziewczynki. Naraz ucichło w gwarnej drużynie, wysypała się na ulicę wesoła zgraja, a służący zameldował pani Laucz, pana Augusta Wilkońskiego. Przyjęto jego odwiedziny, a przyszły narodowy humorysta w korniej postaci, jak najgrzeczniej oświadczywszy że jest sąsiadem nateraz, przeproszał za hałas jaki w jego pokoju robiono.

Młode dziewczę ukradkowo spoglądało na gościa, o którym już się wiele nasłuchiwała poprzednio nieznając go wcale. Głośnym był wówczas jego pojedynek, głośną odwaga, szlachetny charakter ujmowania się za temi, których znał i szanował, karcący surowo potwarz i złośliwość języka (1). Słyszała o jego dowcipie i wesołym humorze. Przyjęty uprzejmie nie długo bawił, ale wyszedł z obudzonem uczuciem miłości, dla świeżej jak kwiat Paulinki. Na trzeci tydzień przybył na wieś do mieszkania pani Laucz o milę od Poznania.

„Przejęty najprawdziwszém uczuciem (pisała później do mnie pani Wilkońska), otoczył mnie tém wszystkiém, co tylko kobiecie pochlebić może, co tylko do jęj serca przemówić zdo-

(1) Dla kogo był przyjacielem, kogo cenil i poważał, wszędzie się za nim ujmował. Byłem świadkiem, wraz z J. I. Kraszewskim, jak na jednym obiedzie, lekkomyślnie jeden się z biesiadników odezwał o człowieku artyście, którego prawosć, charakter i talent cenil wysoko Wilkoński. Ze szlachetnym zapalem stanął w obronie nieobecnego, i zmusił do milczenia dowcipnisia.

ła. A jeszcze do serca dziewczynki, która dotąd tylko marzyła, której on dopiero świat uroków otworzył.”

W czasie tych Wilkońskiego zalotów, zrobiony mu dawniej proces za pojedynek i jako oficerowi landweru, który przeszedł w inną służbę, przeciągający się lat kilka, ukończony został, i wyrokiem ostatecznym zatwierdzonym przez króla pruskiego, skazanym na lat 12 do twierdzy.

Teraz Paulina Laucz postanowiła oddać mu rękę i podzielać wspólnie dalsze losy. Wilkoński uzyskuje krótki urlop z więzienia i za zezwoleniem króla pruskiego na czas wesela. Bierze ślub, i z młodą małżonką wraca do twierdzy.

Po usilnych staraniach otrzymuje niedługo ułaskawienie królewskie, i postanawia się przenieść do Królestwa Polskiego, bliżej swego brata Klemensa, z którym go najwyższa miłość braterska łączyła. Jakoż zebrawszy resztki majątku rodzinnego, który nieogłędną hojnością znacznie uszczuplił, opuszcza Wielkie-Księstwo poznańskie i osiedla się w sandomierskiej ziemi, wzięwszy w dzierżawę wieś *Garbatkę*, graniczącą z owym słynnym *Czarnolasem*, gdzie żył i śpiewał Jan Kochanowski.

Otwartością charakteru, szlachetnym postępowaniem, wesołym humorem i dowcipem, wkrótce potrafił zjednać przychylność ogólną obywateli i sąsiadów. Miłując lud nasz szczerem uczuciem prawego serca, potrafił zyskać pocziwych chłopków przywiązanie i zaufanie takie, że go szanowali jak ojca, a przychodzili chętnie o radę i pomoc jak do przyjaciela. Wśród najprzyjemniejszych chwil życia w tém wiejskiem ustroniu, dowiaduje się Wilkoński, że zacny i czcigodny professor jego I. F. Królikowski, w ostatniej nędzy w Warszawie zostaje. Ta wiadomość zraniła go boleśnie: po krótkiej naradzie z zącą małżonką swoją, każe zaprzęgać co rychlej i umyślnie przedsięwzięć podróż, aby ukochanego tyle profesora przywieźć pod dach gościnny domu swego, by mógł odetchnąć swobodnie przy ognisku wdzięcznego ucznia. Było listopad: mgła gęsta przyspieszyła pomrok wieczoru, gdy pełen smutku i tęsknoty szedł Wilkoński do ogrodu Krasieńskiego. Pusto w nim było, gwar z przyległych ulic coraz ucichał, gdy nagle obito się o jego uszy ciężkie westchnienie z głębi piersi cierpiącej. Wilkoński spojrzał i ujrzał idącego naprzeciw wolnym krokiem człowieka. Stary płaszcz z grubego sukna, długa zarosła broda, nędza po całej postaci, nie mogła zatrzeć w pamięci wdzię-

cznego ucznia, rysów oblicza ukochanego profesora. Rzucił się z radosnym okrzykiem w objęcia, przyciska do piersi sędziwą głowę, i łzy swoje łączy ze łzami czcigodnego starca. Byłto I. F. Królikowski autor *Prozodyi polskiej*. Przywiózł go do swego domu i otoczył miłością i cześcią. Ten szacunek wdzięcznego ucznia, składali mu z serca sąsiedzi i przyjaciele Wilkońskiego. Tutajto, długo opuszczony I. F. Królikowski ujrzał się nagle w dawnym, dostojnym stanowisku swoim; tu otoczony cześcią wszystkich, odżył swobodnie i serce jego uderzyło dawno tłumionym uczuciem. Z pierwszego miejsca, które zajmował równie w domu Wilkońskiego jak w okolicy u czcigodnych obywateli, nieraz ożywał się, a dawna wymowa, dźwięczna, zachwycała obecnych. Trzy kwartały przebawił w *Garbatce*: ale zateśkniony, jakby przeczuwając zgon swój blizki, Królikowski wybierał się z gościnnego domu, chcąc ujrzeć swoje rodzinę.

Wtedyto po raz pierwszy poznałem i Królikowskiego i Augusta Wilkońskiego bliżej. Było to w domu ś. p. Klemensa Wilkońskiego w Górznie, brata rodzonego autora *Ramotek*, obywatela jednego z najczcigodniejszych rodaków. Za ledwie dano znać, że się zbliżamy do dworu w Górznie, już na ganku, zwyczajem staropolskim, stał dostojny gospodarz, obok autor *Ramotek*, a przy nich I. F. Królikowski ze skrzypcami w rękę. Tylko co stanęliśmy przed gankiem, bracia Wilkońscy wnieśli kielich pozdrowienia; a wtorował ukochaną nam pieśnią na skrzypcach czcigodny autor *Prozodyi polskiej*. Pierwszy go tu raz i ostatni ujrzałem. -

August Wilkoński odwiózł Królikowskiego do Warszawy, a wróciwszy następnego roku, przeniósł się z Garbatki i wziął *Tynicę*, wieś, w dzierżawę. Po czterech wszelako latach pobytu na wsi i gospodarstwa, poznał autor *Ramotek*, że mozolny zawód rolnika nie jemu przeznaczony. Zachęcany przez Królikowskiego do pisania, który czytając jego listy do sąsiadów i przyjaciół, poznał i ocenił dowcip i szczególny humor: powziął myśl poświęcenia się wyłącznie pracom literackim. Opuścił ulubione ustronie wiejskie i zajęcie rolnicze, któremu poddać nie mógł, i pełen najpiękniejszych w przyszłość nadziei, postanowił przenieść się do starego grodu Mazurów.

Od roku 1840 poświęcił się wyłącznie pracy literackiej stale osiadłszy w Warszawie, i doznał z wielu innymi nieraz gorzkiego zawodu, a często i niedostatku.

Biblioteka Warszawska zaczęła w roku 1841 wychodzić. Stał na jej czele jako główny redaktor Antoni Szabrański, dawniej redaktor *Panoramy, literatury krajowej i zagranicznej*, który dał się chlubnie poznać z wielu utworów poetycznych; szczególnie z wykładu dziejów literatury niemieckiej, a w niej z przekładów, wierszem pomników piśmiennictwa niemieckiego.

Z wytrawnym smakiem ocenił odrazu całą wartość pierwszego utworu Wilkońskiego, gdy mu przyniósł: „*Wspomnienia szkolne*”, ową wyborną ramotkę, w której opisał smutną przygodę, jaka go w szkołach poznańskich spotkała z powodu Kopernika (1). Czytająca publiczność uderzona humorem, dowcipem i rzewnością tego choć małego obrazku, oddanego z taką prawdą, wrywała sobie zeszyt Biblioteki, i dosyć się nacieszyć nie mogła. Zaczęto troskliwie się dopytywać kto jest autorem, gdyż podpis skromne tylko *Au. Wi.* zawierał. Za tém poszła nowa ramotka: „*Moja mówka pogrzebowa* i wiele innych. Imię Wilkońskiego dorazu nabrało popularności. Na zebraniach środowych Biblioteki Warszawskiej, w mieszkaniu głównego redaktora Szabrańskiego, zawsze był ścisk niemal kiedy się dowiedziano, że Wilkoński, który się teraz zaczął podpisywać *chirurgiem filozofii i krzyża naturalnego kawalera*, będzie czytał swój utwór nowy. Rok 1841. będąc pierwszym wstępem w zawód literacki Wilkońskiego był i najobfitszym w utwory jego. Czternaście ramotek umieściła w tym roku Biblioteka Warszawska. Ze świeżą myślą z wiejskiej ustroni, pozbywszy kłopotów gospodarczych, rzucił się z zapalem do pióra, zachęcony świetnym powodzeniem i zyskaniem dorazu rozgłosu w całym kraju. Dopytywano się o owego chirurga filozofii i krzyża naturalnego kawalera, który drwił z tytułów naukowych i zaszczytów tak dowcipnie: co miał odwagę chlostać równie dowcipnie śmieszności naszego społeczeństwa. Szlachta nasza ziemieńska, za bytnością w Warszawie przedewszystkiém pragnęła poznać *Au. Wi.* który w towa-

(1) W sześć lat później d. 4 marca 1847 w dzień imienia moich, przesyłając mi w darze popiersie Kopernika, napisał: „Patrząc na rysy tego wielkiego rodaka, pomnij, że ten, który za jego rodowość w szkołach Pojezuickich poznańskich pięć plag od Niemców odebrał, był, jest i będzie twoim i twojego domu na chwilę niezmiernym a szczerym przyjacielem.”

rzystwie hojnie sypał dowcipami, a te najpoważniejszego i zachmurzonego do serdecznego śmiechu pobudzić mimowoli musiały.

Nie zapomnę nigdy, kiedy Wilkoński, wybraną scenę z jakiejś klassycznej tragedyi odegrywał i deklamował za dwie osoby. Deklamacya jego z ulubionych utworów, a tych wiele umiał napamięć, była bez odcieni: im wyższe, mocniejsze chciał uczucie okazać, tém bardziej głos wznosił, aż wreszcie przychodził więcej do krzyku: to wszakże, co gdzieindziej raziło, tu dodawało komiki. Trzeba było widzieć jak z całą powagą deklamował wiersz 13 głoskowy, jak nagle przeskakując na drugą stronę z równą powagą, zmieniając głos tylko, za drugą odpowiadał osobę. Całe grono patrzących kładło się od śmiechu, który za każdym wydeklamowanym wierszem wzrastał na nowo.

Czytając utwory Wilkońskiego zdaje się, że od jednego pociągu pióra skreślał je dorazu. Nie było tak przecież. Strona humorystyczna, dowcipy, miał na zawołanie, ale układ całości, powiązanie szczegółów nie mało go kosztowało pracy. Widziałem jego bruliony, bo cokolwiek napisał, przed podaniem do druku zawsze mi odczytywał: w nich prawie część trzecia była kreślona. Z całą sumiennością literacką, co napisał, po kilka razy odczytywał, sam był sędzią własnego utworu i z drobiazgową troskliwością poprawiał i wygladzał w najdrobniejszych szczegółach.

Mniej pisał 1842 i 1843 roku; ożywił się na nowo w 1844, gdym po Szabrańskim objął redakcyą Biblioteki Warszawskiej: ale już wtedy poczuł złość ludzką. W lutym tegoż roku zażądał odemnie zwrotu jednej ramotki.

„Dosyć mam nieprzyjaciół (pisze) i nie chcę licznej rodziny *Durniewskich* przeciw sobie wywoływać. Po napisaniu artykułu o *Oślikowskich* (1) odebrałem i mam jeszcze na pamiątkę arkuszowe bezimienne paszkwile! Niechajbyże teraz *Durniewscy* z *Oślikowskimi* się połączyli, mógłbym popaść w jakowe nie-szczęście, bo *nec Hercules contra plures*. Proszę więc zwrócić owę ramotkę: napiszę inną o *Hottentotach*.”

W marcu 1844 r. był w bardzo krytycznym położeniu: zgłosił się więc do redakcyi Biblioteki Warszawskiej o zaliczenie

(1) Obacz ramotkę: „Wizyta u państwa *Oślikowskich*.” *Bibliot. Warsz.* T. II z r. 1843.

złp. 300 z góry. „Gdyby (pisze do mnie 15 marca 1844) najszanowniejsi, najświetlejsi, najzacniejsi członkowie materializmu Biblioteki Warszawskiej, uczuciem pojęć biedy literackiej powodowani, a sprawiedliwością wyobrażeń rządzeni, rękojmię mowy mojej za wyraz prawdy przyjąć raczyli, a WMpan dobrodziej przedmiot w położeniu istotnej rzeczywistości przedstawił: prawa do wątpienia nie mam, że moglibyście panowie ze wspólnej skarbnicy, uprzedzając czas, wypłacić mi na przyszłe prace moje złp. 300, bez których zginę niedoczekawszy Wielkanocnego święcenia, a pogrzebiony humorysta, będzie wam zawsze czarnych mamideł leniwego sumienia wyrzutem, żeście go marną garstką srebra na ziemi nie przytrzymali. Jak świat światem najstarsi ludzie nie pamiętają, aby Au. Wi. w podartém chodził obuwiu; a przecież niestety! dzień dzisiejszy przekonał mnie, że bócięta moje parte wiosenną rozwijania się dążliwością, lunetę w kierunku wielkiego palca u prawicy, a rozstrojenie całości przy lewój pięcie wyraźnie odstłoniły! Potomność nie uwierzyłaby temu, gdybym terażniejszości nie miał na świadki. Igraszką boleści na krawędź rozpaczy popchnięty, w imieniu św. Łazarza, patrona literatury, zaklinam was prałaci, nie zapominajcie o waszym organiście, bo któż na waszém pogrzebie załoby zadzwoni?

P. S. Izy przy pisaniu tego listu wylane, w osobnej załączam flaszeczce.”

W tymto roku postanowił wydać piérwsze dwa tomy Ramot i Ramotek literackich. Pewnym był pokupu tego dzieła i dźwignięcia się trochę w interesach domowych, zabrnąwszy już w rachunki z żydami lichwiarzami, z których się wydobyć nigdy nie potrafił. Dzieło to zapragnął ozdobić rycinami; w tym celu napisał do mnie list poniższy, który w całości zamieszczam jako malujący myśl całą Wilkońskiego, a w znacznej części niewykończoną po wydaniu czterech nawet tomów Ramotek.

„Przez ciebie zanoszę prośbę do W. Smokowskiego, aby raczył zrobić koncept do dwóch tytułarnych kart do 1 i 2 tomu moich zapowiedzianych Ramot i Ramotek literackich.

W nich umieszczę.

1. Rycinę wyobrażającą wielki zadarty nos, który podkłada djabeł trybularzem, do czego wiersz muij więcej następujący:

Oto mój nos! patrzcie co za nos!
 Jest w nim geniusz, jest i wieszczą głos!
 Jest twórczość, jest um, są ślady wielkości!
 Daję go na wystawę, na ołtarz wieczności!

Tę rycinę dam litografować.

2. Ważną przedmowę, w której ma być rys literatury warszawskiej z ostatnich lat 12 i uwagi ubolewające na szczupłość liczby pracujących, uwagi żałobne nad bezbarwnością charakteru pism czasowych i t. d.

3. Dwa głosy do czytelników.

4. Jeden głos do krytyków, udowodniający najnędniejszy stopień tegoczesnej krytyki, z dołączeniem prośby, aby moje Ramoty jenialnemi nazwali, za co ja ich (krytyków) imiona przy piérwszej sposobności, przez heroldów z Olimpu roztrąbić każę, albowiem rączka rączkę myje.

5. Dedykacją wszystkim próżniakom, którzy ani dzieł ściślejszej nauki, ani historycznych czytać nie lubią, ale w romansach i krotofilach rozrywki szukają.

Następnie prócz Ramotek w Bibliotece drukowanych, jako to: *Wspomnienie szkolne. Moja mówka pogrzebowa. Z życia mojego dziadka, zdarzenie w 3/4 częściach prawdziwe. List Jerzego Łysiny o prenumeratorach. Gorzkie wspomnienia słodkiej nadziei. Symplicyusz Rzeszotko. List z Noskowa. Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Wyjechałem do dłużnika, zajechałem do wierzyciela. Wexel, trajedyja w 4 aktach. Mdłości i wścieklizna literacka i t. d. i t. d.* Z którychto artykułów wiele jest przerobionych, wiele wytrzebionych; dam nadto: *A. B. C. 5 arkuszy druku (początek małeńki był w Bibliotece): jestto sprawa z djabłem i jego posługi. Dam: zemstę mlecznego brata (opracowaną), Kołowaciznę literackę (rozprzestrzenioną) komedyją w 2 aktach p. t. Emancypacya Sabiny, ze stanowiska absolutnego (poprawną). Całkowite Szkice psychologiczne ludzi, zwierząt. O kobietach. Listy guwernera z prowincyi, (o wychowaniu paniczów). Dobrodziejstwa ciekawą historiją mojego nosa. O klassach pracujących. Na zakończenie, bajeczkę o koniach i konikach.*

„Otóż mniej więcej znasz treść: racz ją osławić czcigodnemu Smokowskiemu, a ja błagam, aby słówkiem brulion naszkicował, a uczynimy we troję naradę co dodać, co ująć wypa-

dnie. Idzie o to, aby ten szkic ołówkowy mógł być przed upływem czterech tygodni skończony: przecież w 4 tygodniach znajdzie się chwila natchnienia. Mój zmysł nasuwa mi do rysunku (którego wykonać nie mogę, bom rysunku nie nau czony) np.

1. Djabeł stoi w progu gorzelni. *Przemysł.*

2. Osły (w kapotach z głowami oślo-zwierzęcemi) pilnują orzących chłopków. *Rolnictwo.*

3. Żyd liczy sobie z garści w garść pieniądze; obok niego 7 bachorząt. *Handel i bogactwo krajowe.*

4. Mężczyźni w czamarach, dziewice kwiatami zło bne, tańczą mazura. *Szczęśliwi.*

5. W rajtrokach brodata młodzież gra w karty i pije szampana. *Rozumni.*

6. Dyogenes z latarnią szuka człowieka pomiędzy młodzieżą. *Głupiec, bo nie znajduje.*

7. Omnibus z czubem naładowany, chcącemi jechać na spacer: dyszle są dwa w przeciwną stronę: jeden z przodu, drugi z tyłu, konie jeszcze nie zaprzężone, klóca się którą drogą jechać. *Sporo polityczne.*

8. Młodzieńcy z długimi włosami, w okularach, budują wieżę z książek, którato wieża wali się od fundamentu. *Wiedza abstrakcyjna.*

9. Kogut pieje do słońca. *Nadzieja. 12, 13, 14, 15 i t. d.*

„Od czego głowa mistrza artysty, od czego geniusz, od czego natchnienie. *Conclusum:* że z młodzieży w rajtrokach, z djabłów na krowich kopytach, z kart francuzkich, z kielichów od szampana, z żydów w łapserdakach, z kobiet tańczących w figurach baletniczych, z Dyogenesa z latarnią, z małp, osłów i niedźwiedzi, z lisów, kotów, sów i kogutów, z przepysznych budynków gorzelnianych i z walących się drewnianych kościołów parafialnych i t. d. można prześliczne powiązać girlandy, nie pomijając osobno uosobnionego materyalizmu XIX stulecia. W przelocie myśli, w galopie pióra, napomykam tylko i pragnę jedynie dać poznać ogółowość méj myśli, to jest: w rysunku chcę mieć *krytykę i satyrę*, dozupelniającą moje Ramoty.

„Ojczy Kazimierzu! przedstaw najszanowniejszemu ziomkowi Smokowskiemu, artyście dobrodziejowi, iż niechajby szczerém sercem zażądał myśli moje pochwycić, a bezzawodnie pochwyci i wykona, przez co imię swoje o trzy szczeble do nie-

śmiertelności posunie. Robiąc *con amore* rysunki do moich *Ramotek*, istotnie można coś szczęśliwego utworzyć, gdyż tutaj myśl artysty żadnemi pętami skrępowaną nie jest, bo np. pies przewracający koziołka, obok Dyogenesa z latarnią, bez żadnej przeszkody umieścić się da: młodzież w rajtrokach, diabli na krowich kopytach, żydy w lapserdakach: co za pole bogate! O! gdybym ja był mistrzem rysunku, jak nim jest czcigodny Smokowski, zaprawdę nie wypuściłbym *Ramotek* bez ozdobienia ich cudowném wykonaniem arcy-tworów talentu, dowcipu i sztuki. Już mi i słów niestaje na oddanie próśby méj, ale z *Matatyaszem* prorokiem wołam:

„Mistrzu! ocknij się i rysuj!”

Godzina 12 z północy chlasta na wszystkich zegarach miasta:

Składam pióro i dzidę

I spać idę.

„Pełen asumpcyi i deprekacyi na lądzie i wodzie, niezmienny w uczuciach Au. Wi. chirurg filozofii, krzyża naturalnego kawaler.

Warszawa, 12 sierpnia roku po Nar. Chryst. jeśli się nie pomylili 1844.”

W 1845 ukończywszy druk 3 i 4 tomu *Ramotek*, zapowiedział wydawnictwo pisma zbiorowego p. n. *Dzwon literacki*. Zeszyt piérwszy wydał 2 stycznia 1846 roku (1).

Później nowe się otworzyło dla niego pole do pracy literackiej. Właśnie Henryk hr. Rzewuski stanął na czele nowego pisma: „*Dziennika Warszawskiego*” 1850 r. Zbiérał redakcyą do niéj: piérwszy stanął Wilkoński wraz z Julianem Bartoszewiczem, Henrykiem Lewestamem i Wacławem Szymanowskim. Ale tylko jedną do tego *Dziennika* napisał *ramotkę*: w niéj przecieź już nie widać ani téj lekkości pióra, swobody, ani da-

(1) Pomagali mu w téj pracy bezinteresownie: Henryk Lewestam, Ludwik Zejszner, K. Wł. Wójcicki, Włodzimierz Wolski, T. B. Dziekoński, Józef Kenig, Teofil Lenartowicz, Józef Paszkowski (tłumacz Szekspira), W. A. Maciejowski, Piotr Dubrowski, prof. Jastrzębcwski, Wincenty Smokowski, Paulina z Łauczów Wilkońska, Karol Bachman, Oskar Kolberg, Felix Żochowski, Dr. Dworzaczek, Karol Baliński, Julian Bartoszewicz pod pseudonimem Wł. Łomnickiego, Michał Morzkowski i wielu innych. Cztery tomy czyli piérwszy oddział *Dzwonu literackiego* skończył w początkach 1847 roku, a drugiego wydał toa piérwszy.

wnego dowcipu i humoru. Wielce się już zmienił i co do powierzchownej postaci i do wielu pojęć, przy których dawniej upornie stawał. Nabrał ciała więcej i w sobie i na obliczu, a ta choć niezbyttna otyłość, przytarła w rysach twarzy owę trywialność i w oczach błyszczący dowcip, którym się oblicze jego cechowało wydatnie. Nagle otrzymuje wiadomość o chorobie brata swego Klemensa: spieszy do niego, aby był świadkiem jego zgonu. Był to cios najstraszniejszy jakiego kiedykolwiek doznał w życiu swoim. Nie zapomnę nigdy tej chwili, gdy po tej stracie pierwszy raz ujrzał: oblicze dotąd zawsze wesole i uśmiechające, osępiało: drżały mu policzki, a łzy rzewne spływały po nich. Rzucił się w moje objęcia, a łkając jak dziecko, ani słowa przemówić nie mógł, ani płaczu utulić. Stracił brata, którego najtkliwszém uczuciem kochał, stracił dobroczyńcę zarazem, który go w każdej chwili z miłością braterską i szczerą, wspierał. Śmierć Klemensa skruszyła pióro na zawsze w rękę naszego humorysty; marzył później o wielu pracach, kiedy odetchnął z ciężkiego bólu serca, ale już nie prócz listów nie pisał: i w tych znikł ślad jego dawnego dowcipu: cechuje je więcej poważny pogląd na świat i ludzi, i rzewne uczucie (1).

Po jedénastu latach pobytu w Warszawie, zmuszony opuścić ulubione miasto, w którym zyskał rozgłos i imię, zerwać stosunki z przyjaciółmi i wracać jakkolwiek w rodzinne, ale więcej już sobie obce strony, osmutniał wielce: a przy pożegnaniu łez rzewnych utaić nie mógł, i nie krył się z niemi wcale.

W roku 1851 opuścił Warszawę i tegoż roku, wraz z żoną wyjechał do Karlsbadu. Wrócił do wsi Siekierki pod Swarzędziem w Wielkiem-Księstwie Poznańskim i ztąd ostatni list jaki odebrałem od autora Ramotek był z daty 23 sierpnia 1851 r.

„Po sześćcio-tygodniowém używaniu wód w Karlsbadzie, stanęliśmy od czterech dni w Siekierkach pod Swarzędziem. Przy końcu września ruszymy z żoną na Włocław do Krakowa,

(1) Już zamieszkawszy w Wielkiem-Księstwie Poznańskim, napisał pokrzywkę literacką; *Kubuś się przeciera* (do której w kramie malowniczym J. Piwarski wyborną zrobił rycinę) i o *Dorobkowiczach*; ale oba te utwory były zaczęte w Warszawie, a później wykończone. Miał zamiar wydać dalszy ciąg Ramotek p. n. *Pokrzyw literackich*, ale wypadki nieprzewidziane nie dozwoliły mu tego.

gdzie najmniej 1½ roku mieszkać będziemy. W Karlsbadzie było 300 rodzin polskich: przepędziliśmy czas bardzo przyjemnie, zrobiliśmy wiele nowych znajomości, a i moich szkolnych przyjaciół kilkunastu napotkałem w Karlsbadzie i serdecznie się z niemi ucieszyłem.

„W tych dniach rozpocznę: „Opis mojego pobytu w Karlsbadzie:” będzie to humorystyczny i romantyczny szkic tego, com widział i słyszał. Leczących się było 6700 osób: Amerykanów, Anglików, Francuzów, Niemców, Rossyan, Włochów, Szwedów, Serbów, Wołochów, Węgrów, Polaków i wielu innych narodów. Polacy żyli z sobą przyjaźnie, i zaledwo pięć kobiet polskich odłączyło się od rodzinnych towarzystw, szukając *lepszego* (?) żywiołu pośród arystokracji niemieckiej, i o tychto pięciu Polkach napiszę ramotę. Poznałem się z kilku poetami niemieckimi, z kilku redaktorami francuzkiemi, ależ przedewszystkiem najmiłszém mi było nadzwyczaj uprzejme codzienne towarzystwo i codzienna gawędka literacka z Franciszkiem Morawskim poetą, generałem b. wojska polskiego. Z Bobrowiczem księgarzem poznałem się w Karlsbadzie, a jego księgarnię zwiedziłem w Lipsku: przyjemny do gawędki, do preferansa wyborczy, bo źle gra, a gotówką płaci, do kupna rękopisów leniwy. W powiatach niemiecko-czeskich i w całej Saxonii z każdą chwilą coraz więcej podziwiałem bezprzykładną religijność, prawosć, pracowitość, najwyższą trzeźwość, niemal bajeczną, ochędóstwo, skromność niewiast, pilność uczącej się dziatwy, zgoła stan błogi. W Karlsbadzie niemasz przykładu ani pamięci, aby kto co ukradł, aby kto próżnował, aby się ktokolwiek z tamtejszych mieszkańców upił, lub burdę zrobił. Kobiety pracują cały dzień, ztąd téż zamożność nadzwyczajna. Szkółek elementarnych, szkół powiatowych, gimnazyów, uniwersytetów, podostatkiem. Nie widziałem ani jednego domu wiejskiego, któryby nie był ozdobiony sadem owocowym i przesłicznym ogródkiem kwiatów i wielkim zasobem suchego drzewa na opał. A jakież wytworny chów inwentarza gospodarskiego, a jakież uprawa roli, jakież ogromna wielość fabryk, jakież swoboda handlu, jakież ruch przemysłu! Jest w Saxonii moralne i materyalne szczęście niemal w obfitości. W Czechach słowiańskich inny stan rzeczy: tam jest ubóstwo i moralna niedola. Nie jechaliśmy na Pragę, pozostawiając tę drogę na rok przysły. W Lipsku znalazłby polski historyczny powieścio-pisarz i ma-

larz, bardzo wdzięczny przedmiot na tom spory, opisując pomyślniki i pamiątki księcia Józefa Poniatowskiego.

„Po pobycie krótkim w Berlinie, w Szczecinie zwiedzałem statki morskie, piłem *podwójne* piwo tak gęste, jak smoła, paliłem sigara tak smaczne, jak buzia szesnasto-letniej dziewczyny, i przez pięć godzin nudziłem się po raz pierwszy w życiu mojem, bom i jednego majtka napotkać nie mógł, któryby mówił po niemiecku; mają oni jakieś barbarzyńskie narzecze różnorodnych mieszanin.”

W dalszym ciągu tego listu, opisując przygotowane rękopisma do *Wiązanki literackiej*, na którą ogłosił przedpłatę, a mającą wyjść pod redakcją jego żony, tak go zakończył:

„Wszystkich naszych łaskawych przyjaciół i życzliwych, najwdzięczniejszém sercem pozdrawiam, a dla tych, którzy Gucia niegrzecznie wspominają, ślę przebaczenie, mojemu sercu właściwe, wychodzące z owęj chrześcijańskiej zasady: „przebacz im Panie, bo Gucia nie poznali i osądzili *z pozoru, z ciasnych okoliczności*, a nie z serca, które przedewszystkiém zawsze pragnęło i pragnie szczęścia ziomków i bliźnich.”

Podróż ta, ujrzenie dawnych towarzyszków szkolnych, miłe z niemi pogawędki i wspomnienia młodości, orzeźwiły wielce Wilkońskiego, i zaczął wracać do zwykłego kiedyś humoru. Ale i w tym zarazem czasie, nowe boleśniejsze ciosy dotknąć go miały. Nareszcie powróciwszy z Poznania, zaśląbł i legł na łożu, z którego nie miał już więcej powstać. Nerwowa gorączka postępowała gwałtownie: przyszła maligna. W jej przystępach marzył ciągle o inném życiu: improwizował ogniste mowy, jakby wpośród licznego a poważnego zgromadzonych kół: nawoływał jakby walecznych towarzyszków broni. Po dniach kilku w których rzadko wracała mu zupełna przytomność umysłu, umarł dnia 4 lutego 1852 r., w rocznicę śmierci brata Klemensa, o téjże samej godzinie i na téż samą chorobę. Pochowany we wsi Siekierkach o 1 1/2 mili od Poznania, przy kościele Św. Jadwigi, w grobie rodziny swęj żony (1).

(1) Dobra Wielkie i Małe Siekierki należały dawniej do Jezuitów, którzy wybudowali tu dwór obszerny na suterinach i piękny założyli ogród. W nim pozostały rzadkiej piękności szpałery, a włączony jest do tego ogrodu maleńki gaj, zdobny w stuletnie dęby. Dwór cienią wielkie świerki półtora-wieczne. W suterinach dworskich jest sala wykładana mchem

Krótkim był zawód literacki Wilkońskiego, bo tylko lat ośmiu (1840—1847): liczymy te lata, w których wyłącznie i z całym zamiłowaniem pracował. W ciągu tych lat niewielu stał się postrachem tych wszystkich, co się poczuli do grzechów utajonych skrycie. Sam byłem świadkiem jak zacna szlachta nasza poddawała mu przedmioty do *ramotek*: owych pyszałków, co dęli herbami i tytułami; owych panoszków, których typem Goldhap Fredry, owych arystokratów zagonowych, co w śmiesznej zarozumiałości pragnęliby stać na czele powiatu; wreszcie żyjących wystawnie przy zadłużonej hipotece, pod zagrożeniem sekwestratorów i komorników, co chwila w odwiedzinach spodziewanych; brudnych sknerów, ciemnych kmieci, wrogów umysłowego rozwoju i literatury ojczyźnej, owych serdecznych w uściskach, którzy na śniadanie gotowi wyrzucić kilkaset złotych, a na pożyteczne książki i kilku żalujących. Byłem również świadkiem, jak syn jednego z arystokratów zagonowych, w kornej postaci błagał go, aby nie brał za przedmiot *ramotki* uroczystości w rodzinie jego obchodzonej, o której *Kuryer Warszawski* donosił jakoby wiadomość o dworze panującego udzielnie książęcia. Pokora ta rozbroiła naszego humorystę, ostrzącego pióro na ten właśnie przedmiot, gdy groźby poprzednio przesłane, które zawsze sobie lekcewał, bijąc na przesady i głupotę, nie skutkowały i raczej zagrzewały go do przedszego ogłoszenia *ramotki* (1). Wilkoński wzruszony tą prośbą plan cały i początek swój pracy podarł, dał mu słowo że o tym więcej pisać nie będzie i dotrzymał: a młodego wysłańca na odchodnym nakarmił obrokiem duchownym.

Utwory Wilkońskiego znane są powszechnie: dla przyszłości będą one zwierciadłem, w którym w wielu szczegółach odbije się wiernie nasza społeczność: w szczegółach mówię, bo

i muszlami: była to niegdyś jadalnia OO. Jezuitów, później odbywały się w niej posiedzenia piérwszej w Księstwie Poznańskim loży massońskiej: dziś służy do tańców, gdy się odbywa wesele wiejskie. Siekierki leżą pomiędzy Kostrzynie a Swarzędem. Grób w którym zwłoki Wilkońskiego pochowano, leży na cmentarzu kościoła św. Jadwigi, zmurowany w kształcie kapliczki. Tu spoczywa wiele członków dwóch rodzin: Lauczów i Rańskich.

(1) Ów młodzieniec z zuchwałą miną zagroził Wilkońskiemu pojedynkiem; ten z zimną krwią nań spojrzawszy, zmieszał i rozbroił go do razu wyrzekłszy te słowa: „Chcesz, żeby wilk ciebie pożarł?...”

nie objął całości, i utwory jego nie szły wedle pewnego planu, ale dorywczo, przy swobodzie umysłu i w chwili natchnienia. Tak np. bytności w Warszawie po raz pierwszy J. I. Kraszewskiego w końcu 1846 r. i poznanie przez Wilkońskiego tego znakomitego pisarza, zawdzięczamy jedną z najudatniejszych ramotek, pod napisem *Kraszewski w Warszawie*. Nieraz na posiedzeniach przyjacielskich zasłyszane zdarzenie w lot chwycił i snuł z tego albo oddzielny utwór, lub jako szczegół do większej pracy wcielał. Jakkolwiek Wilkoński przeszedł publiczne wychowanie w szkołach i akademii, później nie odbywał studyów, aby się przygotować do zawodu literackiego. Żywość jego umysłu, potrzeba życia towarzyskiego do którego nawykł od lat młodych, odrywały go od pracy ciągłej, od czytania coraz nowo wychodzących dzieł literatury ojczyźnej i sumiennych studyów. Ztąd dorywczo znał tylko i powierzchownie bieg i rozwój życia literackiego po roku 1830 i dlatego nie umiał jak należało o nióm, swoim czytelnikom rozpowiedzieć w ramotce. Cały zapas z lat młodych i wstępu w życie obywatelskie, wyczerpawszy, trudniej mu przychodziło skreślić obrazy poważniejszej treści, szczególnież gdzie wesprzeć się trzeba było na nauce, w całym znaczeniu tego wyrazu. W stylu nie widać postępu: jest on jeden i ten sam, jak w pierwszej ramotce tak i w ostatniej pokrzywce literackiej. Ulubione zwroty powtarza często, a wyrażen rubaszných wcale się nie strzeże: co tém więcej zadziwia, gdy nad każdą ramotką *pracował*, odczytywał ją kilkakroć, mazał i poprawiał zanim drukiem ogłosił.

Pomimo tych usterków i błędów, Wilkoński zajął podniesłe stanowisko w literaturze polskiej: jako pisarz oryginalny, jako człowiek mający tę odwagę co śmiało uderza i karci śmieźności i grzechy swojego społeczeństwa, jako jedyny humorysta polski, obok którego nikogo stawić nie możemy. Humor i dowcip szczeropolski główne cechy jego utworów, wyszczególniają go między wszystkimi pisarzami naszymi, i stawiają na oddzielném stanowisku. Dążność szlachetna i myśl zacna, piętnują wszystkie Wilkońskiego utwory.

ZŁOTA LEGENDA (*)

HENRYKA LONGFELLOW.

PRZEŁOŻYŁ Z ANGIELSKIEGO

F. Jezierski.

PROLOG.

SCENA PIĘRWSZA.

(Wieża katedralna w Strasburgu; noc, burza, Lucyfer z duchami usiłują ściągnąć krzyż).

LUCYFER.

Żywo! żywo
Bracia duchy!
Tam z wierzchołka ściągnąć ciężki
Krzyż żelazny, nam na hańbę
Zawieszony na podniebiu.

GŁOSY.

Darmo, darmo,
Bo wokół wszyscy święci,
Wszyscy aniołowie stróże
Tłumem stają do obrony,
Twoich wiernych rozprasza.

(*) Pod nazwą *Legenda aurea* słynął w XIII wieku utwór Jakóba de Voragine, w języku łacińskim, zawierający skład legend średnio-wiecznych. Na tej *tabula rasa* Longfellow osnuł swoją powieść, którą, z pominięciem miejsc nie dających się przełożyć, przedstawiamy, jako hołd imieniu autora należy.

DZWONY.

Biję hołd Bogu,
Do modłów progu
Lud i kapłaństwo wzywam.

LUCYFER.

Nizko, nizko
Lot opuścić;
I te dzwony dumne, głośnie,
Co tak dźwięczą, co tak jęczą
Zepchnąć z wieży na sklepisko.

GŁOSY.

Wszystkie gromy
Tu bezwładne:
Bo te dzwony, namaszczone
I ochrzczone świętym kryzmem,
Szydzą sobie z naszej siły.

DZWONY.

Jam jęknął nad zmarłym;
Święto ogłaszam,
Pomór rozpraszam.

LUCYFER.

Wstrząsnąć oknami,
Roztrzaskać szyby
Wrzące purpurą i złotem;
Niech lecą, niech lecą zdmuchnięte
Jak liście wiatrem jesiennym.

GŁOSY.

Nie ma rady,
Bo archanioł
Michał w każdym oknie świeci,
Z nieba głową spada, grozi
Mieczem ognistym—a straszny!

DZWONY.

Jam głos cmentarza,
Gromów pogromcą,
Zwiastuję dzień Boży.

LUCYFER.

To cisnąć piorunem
Na dębową,
Twardą w żelazo okutą bramę:
Zburzyć dom Boga i daleko
Rozwiać popioły śmierci

GŁOSY.

Darmo! darmo!
 Apostołowie,
 Męczennicy w oponach
 Stoją na czatach u wnijsćia,
 Stoją na straży u szczytu.

DZWONY.

Ja budzę śpiące,
 Burzę rozpędzam,
 Krwawych godzę.

LUCYFER.

Hańba, hańba,
 Niedoleżne,
 Trwożliwe duchy! Zdajcież tę pracę
 Czasowi, wszechniszczycielowi:
 A teraz, precz, nim noc minie!

GŁOSY.

W pędy, w pędy,
 Z wiatrem nocnym
 Nad wioskami, nad borami,
 Wyżej brudnej strzechy. W drogę:
 Niszcząc, trzebiąc wytchniemy.

(Odlatują).

(Organy i śpiew Gregoriański).

CHÓR.

Z nocy wstając
 Czuwajmy.

I.

(Zamek w Vautsbergu nad Renem. Pokój w zamku, książę Henryk siedzi samotny, cierpiący i niespokojny.—Północ).

KSIĄŻĘ HENRYK.

Nie! nie zasnę! Mózg rozpalony
 W grób złożoną przeszłość ocuca
 I pod powiekę blask jój zamglony,
 W blade królestwo snu podrzuca.
 Coraz to nowa z nad wybrzeża
 Od Renu świeżość ku mnie zmierza,
 I niesie górą nad wodami
 Tchnienie Hesperyd z wonnościami.

Od wędrownego wiatru z pola
 Ledwie zachwieje się zasłona,
 Coś brzęknęło w arfie Eola:
 To wiatr ów jęknął—z jękiem kona.

O! wróćcie dawno pożegnani!
 Serca przyjaciół, oblicza święte,
 Wy, prądy niegdyś piana wzdęte,
 A dziś suche łoża otchlani.

O! wróćcie, wiecznym snem uśpieni,
 Wróćcie; lecz w zgiełku tych promieni,
 Co z wami, niby gasły w dali
 Gdyście powstałi i skonali!

Idą, idą wesole, rzewne,
 Dni ubiegłych tłumy powiewne,
 Sny znajome, widma tu lecą,
 Co świeciły, już nie zaświecą.

One nocy wrota grobowe
 Zmieniają w ogrody palmowe.
 W przepaści mroku sieją słońce,
 Wpinają kwiaty woniejące!

Nie, nie zasną; czyliż nie wolę
 Znów stanąć w tém braterskiém kole!
 Cóż! ledwiem wyrzekł, by zostali,
 Oni już znikli w wiecznej fali.

Czemu niestety! gdy ta dusza
 Zatarte dzieje z grobu wzrusza,
 Odtwarza miejsca i kolory
 Promienie, dźwięki dni i pory,

I cały przeszły świat dokoła:
 Czemuż ciszy wzbudzić nie zdola,
 Ani swęj myśli nie dostroi,
 Do harmonii, którą wywoła.

O pokój tylko, bracia moi,
 Ale o długi pokój proszę:
 Bo myśl życia, ruchu bez końca
 To ciężka proba—myśl trawiąca,
 Brzemie, którego nie donoszę.

Choręj duszy milsza stokrotnie
 Myśl o owym wiecznym noclegu,
 O żegludze, w którą niepowrotnie
 Porwie ją ocean bez brzegu.

(Grom i błyskawica, wśród której ukazuje się Lucyfer w postaci lekarza podróżującego).

LUCYFER.

Witam książęcia!

KSIĄŻĘ HENRYK.

Czyjto głos slyszalem?

Co cie sprowadza?

LUCYFER.

Chęc dobra, zrzadzenie.

Przed chwila widzac otworem drzwi domu,
Ledwom zapukał, wszak dales skinienie?

KSIĄŻĘ HENRYK.

Ja nie slyszalem.

LUCYFER.

Boś slyszal huk gromu,

Coby mógł w grobie zbudzić umarłego.
I cóż, mój książe, w tém będzie dziwnego,
Ze gdy na głowie ktoś chodzi po niebie,
Cichy szmer kroków mych nie doszedł ciebie.

KSIĄŻĘ HENRYK.

A co sprowadza w te odludne progi?

LUCYFER.

I nic, i wszystko: według uważania
Książęcój Mości. Oto mu się kłania
Podrożny lekarz, co zboczył tu z drogi;
Jeden z niewielu wybranych, co sami
Wszelkie choroby nie do wyleczenia
Albo tak zwane, trafne środki
Wyleczyć mogą.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Śpiącego w mogile

Pacyenta wzbudzić!

LUCYFER.

Ledwie że nie tyle!

Ale co większa, co lepsza, cny książe,
Żywych wyzwolić na długo, bez kresu,
Od dziwacznej śmierci procesu:
Gdy się z dowodów i wniosków wywiąże,
Ze śmierć jest tylko błędem niedorzecznym,
Nie zaś istnienia warunkiem koniecznym.
Trafem pod burzę pędząc ku zamkowi
W wioskę-m sąsiednią schronił się przed nocą
Tu mi o księciu mówili domowi,
Ze zdjęty ciała i ducha niemocą:
A że mi ona złych następstw nie wróży.
Więc pospieszyłem, choć spóźniona pora
Z pomocą księciu.

KSIĄŻĘ HENRYK (*ironicznie*).

Więc to cel podróży!
A gdzież jest dla mnie nadzieja, że mogę
Tak genialnego nagrodzić doktora?

LUCYFER.

O! mości księżę, godziż się tak szydzić?
Jam także dumny, a jeśli pomogę,
Honor nagrodzi sztukę.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Da się widzieć.

LUCYFER.

Jakażto niemoc?

KSIĄŻĘ HENRYK.

Niemoc bez nazwiska:
Żar wieczny, głuchy, jakbym trzon ogniowy
Zamknął w mych piersiach; żar bucha i ciska
Trawiące dymu wyziewy do głowy;
Serce podobne nieruchomej fali
Ten żar bez końca wysusza i pali.
Świat, co mię dziś już pół-umarłym zowie,
O reszcie zgonu niedługo się dowie.

LUCYFER.

A twoje sławne Gordoni Divine!
Przemądre dzieło Lilia Medicinæ,
Które, jak widzę, księżę czytać raczy,
Żadnych skutecznych środków nie przeznaczczy?

KSIĄŻĘ HENRYK.

Ta, ani żadna książka na téj ziemi.

LUCYFER.

Księżę masz słusność: zmarli są zmarłemi.
Gлуche są ich wyrocznie, kiedy chodzi
O nowy szereg chorób, których siły
Życie w postępie nowych potęg sieje.
Radź się umarłych w rzeczach, które były;
Lecz żywych tylko o tém, co istnieje.
Czy to robiłeś? czyś badał lekarzy
Z głową i wiedzą?

KSIĄŻĘ HENRYK.

Ach! wszystkich lekarzy,
Wszystkie uczelnie, metody, nauki;
Wszędzie głos jeden, wszędzie jedno zdanie:
Że słabość leży za granicą sztuki.

Nawet w Salerno nie widzą się w stanie
Pokazać środka, prócz jednego. który
Wprawdzie niechybny, lecz z swojej natury
Straszny, nad rozum i nad wykonanie.

LUCYFER.

Więc głos wyroczni?

KSIĄŻĘ HENRYK.

Okropny, okropny!

LUCYFER.

A środek?

KSIĄŻĘ HENRYK.

Jeśliś słyszeć go pochopny,
Oto magiczne słowa tajemnicy:

LUCYFER (*czyta*).

„Nieuleczona, lecz do uleczenia.
Ostatnim środkiem ratunku dla księcia
Jest krew płynąca prosto z żył dziewicy,
Która z swęj własnej woli śmierć wybierze,
Składając życie za życie w ofierze.”

Taraz pojmuję wszystkie męki księcia!
Trudnyto, trudny krok do przedsięwzięcia,
Na który pan się nigdy nie odważy;
Wyrok, którego wykonać nie snadnie:
Ba! niepodobna. Nim znajdziesz ofiarę,
Podobno piérwój świat w otchłań zapadnie.
A zresztą... kto wie, książe... kto odgadnie
Czy się ten rodzaj szalu z twojój głowy
W głąb dziewiczego mózgu nie przesączy?
Tymczasem, kiedy rzecz nie cierpi zwłoki,
Przyjm ten specyfik, do usług gotowy,
Arcy subtelny, wolny a głęboki.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Niech twojém nostrum i kroplą piekielną
Myją się duchy i ścieki méj wieży:
Precz! w żadne siły już duch mój nie wierzy
Wyjawszy jedną—siłę nieśmiertelną.
Powiedz mi, jakie wydały cię szkoły?

LUCYFER.

Wszystkie: tak staro, jak i nowożytne
Wieszczów natchnienia i mędrców mozoły.
Naprzód Hermesa Trysmegista szkoły,
Który ogłaszał swe wyrocznie szczytne

W rosie poranku, przed wieków świtami,
 Za dni Hefesta przed Olimpiadami.
 Jak ku północy przez Nubii obszary
 Wielki Nil, zawsze młody, zawsze stary,
 Przesuwa prądy mistyczne po ziemi
 Między żywymi i umarłymi;
 Tak w świętym źródle przed wieki poczęły
 Przez królów długie a spojne ogniwa,
 Nie skrepowany przez fałsz i wykręty,
 Od wielkiej Izys, w niepamiętnej dobie
 I od pół-bogów śpiących w starym grobie,
 Wije się ciągle i nigdy nie zrywa
 Ten jednolity postęp bożej sztuki.
 Ztąd snuł arabski Gebir te nauki,
 I w alambikach misternych rośliny,
 I kwiaty warząc, z mieszanin bez liku
 Wykrył niezmierne cuda medycyny:
 I eliksyru krople tajemnicze,
 Czyli alkohol w arabskim języku.
 Po nim wszechmądrą sztukę ja dziedziczę.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Co! tyś adeptem?

LUCYFER.

Nie inaczej, książę.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Ze czcią wyznawcy dzieła twoje śledzę,
 W które wcieliłeś utajoną wiedzę.
 Ty ducha mego to niosłeś do szczytu,
 Gdzie się istnienie z nicestwem rozdziela;
 Toś zdzierał przed nim tę warstwę głęboką,
 Gdzie już natury otwiera się oko;
 Tyś mi w drgających fenomenach bytu
 Wskazał rządzący obraz Stworzyciela!
 Przecież o męko! męko nad wyrazy,
 Próżno mój rozum nurza się i śledzi
 Tajniki, które zwiodły tyle razy:
 Na zapytanie nie ma odpowiedzi!

LUCYFER (*pokazując flaszkę*).

Tu, na dnie flaszki masz odpowiedź, książę.
 Ten płyn zawiera cudną kwintessencją,
 Kwiat doskonały i effloressencją.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Co za płyn jasny, przejrzysty nie mgławcy;
 To duch skroplony porusza się, młóto,

Jakby żyjące perły od postawy.
Zaiste! byłżebyto płyn żywota?

LUCYFER.

Tak! płyn żywota wszelki ból złagodzi,
Wszelką uleczy niemoc, żar ochłodzi,
Starcowi siły młodości przywróci:
A jaka wonność?

KSIĄŻĘ HENRYK.

Nie do opisania:
Tysiąc tysięcznych wonności w tym płynie
Miesza się razem, powstaje i ginie,
Jakby wiatr letni, falując przez kwiaty,
Nawiewał z łąki wonność do komnaty.

LUCYFER.

Książę spróbować raczy.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Dostateczna
Będzie kropla.

LUCYFER.

I więcój, jeśli nieskuteczna.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Mistrzu, chciój nalać w tę okrągłą czarę
Ilość stosowną, byle nie nad miarę.

LUCYFER (*nalewając*).

Niech księcia większa doza nie przeraża,
Tu żaden zgubny skutek nie zagraża.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Jestem w téj chwili wędrowcem, co z brzegu
Spienioną rzekę oczami rozmierza:
Tam fale płyną, tu w wirowym biegu
Kręcą się drzewa i skały wybrzeża;
On nim się rzuci, chce zbadać odmęty,
Na których wolę swe losy powierza.
Krótka rozwaga, już zamiar powzięty
I wykonany, już rzucił się z brzegu!
Tak ja się rzucam w te bezdenne szumy
Życia i śmierci, ale pełen dumy,
Ale spokojny na fal kołysanie,
Na mętne prądy i podwodne skały:
Bo śmierć jest lepszą niż wolne konanie.

(*Anioł krąży z arfą w powietrzu*).

ANIOŁ.

Biada, biada na wieki!
 Żadna modlitwa milcząca,
 Żaden głos miłości,
 Lecz przekleństwo bez końca.
 „Biada, biada”
 W bezmiarach echo odpowiada:
 A od przekleństwa drga posada
 Wszechświata w nieskończoności.

LUCYFER (*znikając*).

Pij, pij krople jadu,
 Pij posokę gadu,
 Niech dusza zapadnie w otchłanie,
 W bezdenne nicestwa otchłanie.
 Ztąd już kotwica żadna
 Piasku nadziei nie dostanie.

KSIĄŻĘ HENRYK (*pijąc*).

Jestto jak kropla płomienia!
 Przez wszystkie żyły
 Rozlewa palące siły,
 „Myśl młodością opromienia;
 Pół rozkoszy, pół katuszy
 Pożar zmysłów, pożar duszy,
 Mózg się pali!
 Co za rozkosz: pęka cała
 Oś ze stali,
 Co tak długo przyciskała
 Oddech w piersiach i przekłety
 Ciężar skargi usunięty.
 Wraca pokój duszy i ciała.

ANIOŁ.

Nie!
 To tylko szczątki ognia przed powietrza usunięciem,
 To są tylko szczątki piasku przed klepsydry rozprysnięciem,
 To są tylko szczątki morza między wpływem i odpływem,
 To są tylko szczątki burzy między wianiem i odwianiem:
 Z uśmiechem i zdradą
 Ten fałszywy lekarz
 Szydzić będzie, że za szatana radą
 Od Boga Ojca uciekasz.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Mów, mów.....
 Kto śmie mówić, że wpadł w niemoc?

Nie! niemoc straciła przemoc.
 Znikły sny, drgania, mdłości:
 Jam zdrów, zdrów,
 Już dreszczów śmierci nie doznaję;
 Raz przecie
 Stoję znów w całym sił żywotnych kwiecie.
 Niech się pierś bytu rozkraje,
 Niech go zdepcze noga
 Zstępującego Boga,
 Ustoję.
 O lekarzu dzielny!
 To jest eliksyr nieśmiertelny
 Palingenezys.

(Znów pije).

ANIOŁ.

O! nie dotykaj czary ustami:
 Ona twe serce do głębi
 Posoką wiecznej śmierci splami,
 Duszę wyziębi.
 Owa wonność pełna dla zmysłów uroku
 Jest oddechem potępienia i mroku,
 A w perłach płynu przeziera
 Złe oko Lucyfera.
 Darmo usta twoje pieści
 Płyn piekielny, co kryje
 Jad zatracenia i boleści.

KSIAŻĘ HENRYK *(chwiejąc się)*.

Ty czarny głosie ducha mego, czemu
 Łzami i piekłem grozisz sercu memu?
 Wszak wszystkie mary i wszystkie nadzieje
 Co się w młodości uśmiechały do mnie,
 Wszystkie mię, wszystkie zwiody wiarolomnie.
 Ucisz się, ucisz, błagam, o losie złowrogi!
 Niech złote widma chmurami tu lecą;
 Niech złote fale trzęsą się i świecą
 W ruchomych górach płasają rozłogi,
 Bija strumienie, złote sny się roją,
 Jak w szczęśliwego oblubieńca głowie:
 Dzielny lekarzu, wielbię krople twoje.

(Głowa księcia upada na książkę)

ANIOŁ *(odlatując)*.

Niestety! niestety! ten urok przepadnie,
 Jak mgła zagasną złote widma twoje;
 Zwiędną marzenia, zostawiając na oście
 Gorzki żal i niepokoje.

SCENA DRUGA.*(Dziedziniec zamkowy).***HUBERT** *(stojąc u bramy).*

Smutnie wygląda nasz stary zameczysko:
 Po gzymsach jego u szczytu i nisko
 Tysiące kawek roją się bezkarnie,
 Gwarząc zuchwale o zniwach i ziarnie.
 Tu na dziedzińcu puszcza się darń gęsta,
 Znać stopa ludzka już w zamku nie częsta;
 Już i podrosły poważniejsze pawie,
 Z głazów na głazy stąpają po trawie,
 Bo dwór bez pana już dziś pod ich władzą.
 Ja, biędny starzec, niegdyś mistrz ucztowy,
 Błądę, jak widmo, przez taras zamkowy,
 Kędy już hasła biesiad nie gromadzą
 W gościnne progi wesołego tłumu.
 Nie widać oczów wrzących krwią młodości,
 Nie słyhać życia, namiętności szumu,
 Nie świeci słońce na obliczach gości,
 Trzykroć rzeźwiejszych od winnej purpury:
 Wszędy padł smutek i milczenie grobu
 I słyhać tylko gwar kawek ponury,
 Lub głuche rzenie rumaka u żłobu.

(Odzywa się trąbka).

Ach! ten dźwięk trąbki, płynący po rosie
 O dawnych, dawnych przypomina czasach,
 I po dawnemu w zardzewiałym głosie
 Poważne skrzypią bramy na zawiasach;
 I głośno dzwoniąc na żelaznym pręcie
 Ten most drewniany ku ziemi się skłania,
 Jakby pospieszał z słowem powitania,
 Czując znajomój stopy naciśnięcie.

*(Wchodzi Walter Minnezenger).***WALTER.**

Cóż, przyjacielu! wszędzie tu pustkowie:
 Już i chorągiew z murów nie powiewa,
 Zniknęli giermki, obrzędów mistrzowie,
 Straż, którą kiedyś trzymali żołnierze,
 Osierocony dziś pełni odzwierny.
 Tyżeś ów Hubert!

HUBERT.**Ach! mistrzu Walterze!**

WALTER.

Jakże się wkoło odmienia świat cały:
Jam cię nie poznał—starość cię przysiadła,
Przygasło oko, włosy posiwiały
I jakoś głowa w ramiona opadła.

HUBERT.

A tak, mój panie, biedny giermek stary
Wraz z temi gmachy ku ziemi się zgina,
Bo téż i o nas cny mistrz zapomina.

WALTER.

A książę?

HUBERT.

Książę dawno nas zasmucił
Chorobą swoją, a potem porzucił.

WALTER.

Mówże dobitnie: może już podziemna
Kryje go otchlań?

HUBERT.

Nie! mój zacny panie:

Lecz jakaś niemoc dziwaczna, tajemna
Padła na niego, niby opętanie.
Nieraz po całych godzinach widziano,
Jak na tarasie stał wieczór lub rano
W dumaniach, z głową opartą na dłoni,
Najchętniej, kiedy bez świadka, w ustroni.
Rzekłbyś, że święty Nepomuk z kamienia,
Stoi bez ruchu nad brzegiem strumienia.
W czerwonej wieży siedział noc po nocy,
Susząc nad księgą mózg aż do niemocy;
Aż raz porankiem wchodzimy do wieży,
Książę we mdłościach rozciągniony leży,
Opadły z ciała, strawiony głęboko,
Ledwie mógł poznać słodkie jego oko.

WALTER.

Biedny!

HUBERT.

Myślałem już o dobrej zmianie,
I już szło lepiej: cóż, gdy niespodzianie
Kaptury czarne, jak kruki zleciały,
O! w jednej chwili prysnął watek cały.

WALTER.

I koniec...

HUBERT.

W Rocha świątyni, wśród mroku
 Stać mu kazali, czekając wyroku,
 I jak nad głową śmiertelnéj ofiary,
 Poczęli nad nim mruzczyć długie czary:
 Naprzód żalobną pieśń nad nim śpiewali,
 Potém trzykrotnie nad ksiązęcia głową
 Garście popiołu z omentarza rzucali;
 A że się nie zląkł, więc zagrzmiało słowo:
 „Odstępczo, oto symbole pogrzebu:
 Żałuj za grzechy, zwróć serce ku niebu,
 Poki czas jeszcze, wszak jesteś umarły.”
 I wyszedł ksiązę, a nad jego głową
 Ciężyły słowa przekleństwa i śmierci.
 Tu drzwi świątyni z trzaskiem się zawarły;
 Ksiązę, odziany w płaszcz z brunatnéj sierci
 Z czołem spuszczoneóm omijał przysionek,
 W torbie żebraka; a wiszący dzwonek
 Miał głuchym dźwiękiem udzielać przestrogi,
 By go przechodnie mijali w pół drogi.

WALTER.

O! srogie losy—wgnany. wyklęty:
 Jakby morową zarazą dotknięty!

HUBERT.

Tu zdarto pieczęć z grobu Hoheneków,
 Hełm, miecz i zbroje strzaskano na szczątki,
 Pałac na stosie te święte pamiątki,
 Owym zwyczajem, gdy za dawnych wieków
 Ostatni z książąt oddał ducha Bogu.
 I głosem strasznym z zamkowego progu
 Herold trzykrotnie wyrzekł do słuchaczy
 Słowa przestrogi i słowa rozpaczy:
 O! Hoheneki! Hoheneki!

WALTER.

Jeszcze w méj duszy grzmią te czarne słowa:
 „Na wieki, na wieki!”
 A jaka boleść, jaka noc grobowa
 Na serca wszystkich przyjaciół zapadnie,
 Jeśli ksiązęcia sen wieczny owładnie.
 On na téj ziemi w towarzyszków gronie
 Był jako ogień płonący na trzonie:
 Jak śpiewy polne nucone przed wschodem,
 Z ust jego słodka toczyła się mowa,
 I duch krzepiła; a wieczór ta mowa

Sen nasz pokoju owiewała chłodem,..
A gdzież jest teraz?

HUBERT.

W Odenwald wśród sioła,
Z jego osady rodzina nieznana,
Głucha na klątwy i groźby kościoła,
Gdzie każda uczta jest wieczerzą Pana,
Przyjawszy księcia z ojcowską usługą,
Bliźnią mu pomoc w Chrystusie udziela.
Lecz wejść w podwoje, już i tak zadługo
Przyjmuję w progu książąt przyjaciela.

WALTER.

Ja tu zostanę i na wieżę stare
Pragnę popatrzeć jeszcze chwilę małą:
Ty majowego wina nalój czarę,
Coby zapachem maj przypominało;
Wina, którego moc oddech zamyka,
Które głaskało niegdys smak Henryka.
Potém mię czekać masz w ucztowej sali.
Tam niewidzialna zejdzie się drużyna,
Goście przybędą z powietrznej oddali,
Duchy najczystsze: ni puharów wina,
Ani wystawnęj nie zechcą biesiady,
Tylko ich oko spotka się z mém okiem
I mowa z mową i gwarem głębokiém
Napełnią sale duchów miryady.

(Siada na przedmurzu).

Oto już dzień przemija i zachodnie słońce
Schodząc ze sceny, zwija strzały gorejące,
I w swym złotym napowrót składa je kołczanie.
Podemną w tój głębokiej, zielonej dolinie,
Jak puhar, w którym usta nurzają się w winie,
Spioniona rzeka bystro toczy wir po łanie,
A wkoło ją spierają cieniem własne brzegi,
I odbite w przezroczu złotych chmur szeregi.
Tak! tu płynie na wieki cicha i wspaniała,
Jak wówczas, kiedy przednia straż rzymskich legionów
Po raz ją piérwszy z owych pagórków ujrzała.
O! jak piękne, jak czerstwe grzbiety tych zagonów!
Winnica, miasto, wieże, chorągwia powiewna,
Ta łzami poświęcona kaplica na wzgórzu,
Wioska biała, co przy jój garnie się podnózu,
Jak u stóp Zbawiciela niegdys Marya rzewna.
O! książę! głębiej mroczy twój odjazd, niż razem
Cała noc rozciągnięta ponad krajobrazem.

II.

SCENA TRZECIA.

*(Folwark w Odenwald).**(Ogród, rano. KSIĄŻĘ HENRYK siedzi z książką, ELSYA w oddaleniu zbiera kwiaty).**(Książę Henryk czyta).*

Owocześnie porankiem pewnego razu,
 Poza klasztorem z siwego głazu,
 W głębokiej, dawnéj lasu zaciszy,
 Cichy, samotny bez towarzyszy,
 Ruszając usta jakby w pacierzu,
 Z głową opartą na swém szkaplerzu
 Kroczy mnich Felix. Nad nim wschodzące
 Słodkie, szerokie świeciło słońce
 I napełniało powietrze lata.
 A świecąc w krajach liścia i zwierza
 Było jak święty obraz przymierza
 Boga z troskami i łzami świata.
 Pod nim w kobiercach słał się mech złoty,
 A nad nim bluszcz wil zielone sploty.
 I wpoprzek niby w krzyż się ustawił,
 I niby żegnał i błogosławił.
 I jakaś wonność z ziemi powstała:
 To były kwiatki i pełzająca
 Leśna winnica, co się błąkała
 I wkoło, wkoło szukała słońca.
 On nie uważał, tylko głęboko
 W rozwartą księgę zatopił oko.
 Święty Augustyn mówił w téj księdze
 O niezrównanym blasku potędze
 Grodu bożego niewidzialnego,
 I rzekł spuszczać oczy w pokorze:
 „O! całym duchem ufam ja, Boże,
 Wiele tam blasku niepojętego,
 Ale mój rozum pojąć nie może.”
 I owo słyszy i owo słyszy:
 Jakiś śpiew ptaszka zerwał się w ciszy.
 Ptaszek był śnieżny, musiał z nad ziemi
 Upaść na ziemię—między gęstemi
 Usiadł liśćmi; śpiewać zaczyna,
 Ale tak śpiewać, że nie ptaszyna

Śpiewać się zdała, ale sta brzmiące
 Rozlegać zdały się arf tysiące.
 Stał mnich Felix i Augustyna
 Księgę zamyka—i słucha, słucha
 Aż się zasluchał.
 Odetchnąć nie śmiał, zatrzymał ducha:
 Aż nań przypadło widzenie wreszcie.
 Całe Elisyum mu się odsłania
 I słyhać było w niebieskiem mieście
 Świętych aniołów stapania,
 W drogach eteru, utkanych złotem.
 I pragnął złapać ptaszka z błękitu;
 Ale daremnie, bo płynnym lotem
 Na drzewo z drzewa, na szczyt ze szczytu
 Wzbija się ptaszek na białych piórach,
 Leci—uleciał—znów cisza wkoło:
 Tylko z dzwonnicy biją na murach
 W dzwon południowy na Anioł Pański.
 Bieży mnich Felix, by stanąć w chórach,
 I obowiązek spełnić kapłański;
 Bieży, lecz w sercu coś nie wesoło.
 A tu w zakonie jakież odmiany:
 Tu nowych braci szereg nieznany!
 Szuka znajomych rysów na twarzach,
 Lecz twarze nowe i głosy nowe
 Śpiwają z chórów; lecz na ołtarzach
 Ciz sami święci stoją w obrazach.
 Te same cele, ławki jodłowe
 I siwe mury i pleśń na głazach.
 A tak samotny, w klasztornej ciszy
 Wśród towarzyszy, bez towarzyszy,
 Stał mnich Felix, aż jeden z braci
 Rzekł: „jam przeorem był lat czterdzieści
 Nad tym zakonem, lecz twój postaci
 Nie zapamiętam z życia ni z wieści.”
 Upadło serce Felixa mnicha
 I nowym braciom odrzeknął zcicha:
 „O ranniej porze ja téj niedzieli
 Po prymaryi wyszedłem z celi
 I tak błądziłem poranek cały
 W lesie po kwiatach, po perlach rosy,
 Bo mnie śpiewaniem zwabił ptak biały.
 Wiercie bracia, był to głos nad głosy!
 Jam się zasluchał, aż dzwonek z wieży
 Do południowych wezwał pacierzy.
 Chyba to było marzenie tylko,
 Bo co się dla mnie zdawało chwilką,
 To były godziny.”

„O! nie godziny, były to lata”
 Jakiś tam drżący głos odpowiedział.
 Był to mnich siwy, co w krześle siedział
 Wspartém o ścianę; świadek jedyny,
 Pamiętał dzieje starego świata.
 Sto lat minęło jak w tym klasztorze
 Odprawiał modły w ducha pokorze.
 Sługa sług bożych na marnym świecie
 Mnicha Felixa poznał od razu
 I rzekł: „O! bracia! mija stulecie
 Jak w tym klasztorze z siwego głazu
 Byłem probantem; więc powiadano,
 Że był tu pewien mnich pełen łaski,
 Co miał w zakonie Felixa miano:
 To on być musi.”

I przyniesiono księgę skórzaną
 Okutą z boków w klamrę miedzianą;
 Z środka wisiały drogie przepaski:
 Tam wiek od wieku nazajutrz zgonu
 Pisano imię braci zakonu.
 I było według mowy kapłana
 „Że dnia i roku przed stoma laty
 Brat Felix wyszedł pewnego rana,
 Nie wrócił więc w zakonne kraty,
 I jak po zmarłym obrzęd kościelny
 Nad próżną trumną spełniono.”
 Wówczas poznało zdumione grono,
 Jaką moc miał ów śpiew nieśmiertelny,
 Kiedy nad głową sto lat przewiało
 A zdało się chwilą małą.

(Elsya wchodzi z kwiatami).

ELSYA.

Niosę kwiaty dla księcia;
 Lecz nie wszystkie dla księcia,
 Są i dla Panny Maryi
 I dla świętej Cecylii.

KSIĄŻĘ HENRYK.

W chwili gdyś tu stanęła,
 Podobnaś do anioła,
 Co przyniósł kwiat nieśmiertelny
 Świętej Cecylii do komnaty.

ELSYA.

Ale te zwiędną.

KSIĄŻĘ HENRYK.

One zwiędną Elsyo,
 Nie zwiędnie ich pamięć;
 A pamięć ma siły
 Odżywić je z prochu.
 One mi przypominają
 Umęczoną Dorotę,
 Która z niebieskich ogrodów
 Zesłała kwiatki w upominku
 Temu, co szydził i wąpił.

ELSYA.

Książę, czy znasz historią
 Chrystusa i córki sultana,
 Tę najpiękniejszą z legend?

KSIĄŻĘ HENRYK.

Więc mi ją opowiedz.
 Ale pierwój przyjdź tu bliżej,
 Tu obok mnie połóż kwiatki,
 I podaj mi obie ręce.
 A teraz zacznij legendę.

ELSYA.

Raz w poranku,
 Córka sultana
 Ogród ojca przebiegała,
 Zbierając kwiatki świecące
 I pełne rosy.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Tak właśnie, jak dzisiaj rano
 Ty, Elsyo najdroższa.

ELSYA.

A gdy tak kwiaty zbierała,
 Coraz mocniej się dziwiła,
 Kto to był twórcą tych kwiatów,
 Kto im z zimnej, czarnej ziemi,
 Kto im rosnać nakazuje?
 I tak w sercu swém mówiła:
 Miłuję Go, i dla Niego
 Rzuciłabym pałac ojca,
 By uprawiać ogród Jego.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Drogię dziecię, nieskażone,
 Jakżeż słodko przypominasz

Powieść dawno zapomnianą,
Którą mi w chwilach dzieciństwa
Moja matka powiadała.
W moim sercu
Ona się budzi raz jeszcze
Jak znamię na czole,
Gdy kto na nie niespodzianie
Włoży rękę i usunie.

ELSYA.

Otóż o północy,
Kiedy w swój komnacie spała,
Usłyszała niespodzianie
Wołający głos z ogrodu;
A gdy oknem wyjrzała,
Pięknego młodzieńca ujrzała
Stojącego w środku kwiatów:
A to był Pan Jezus.
Wyszła tedy do niego,
Drzwi komnaty otworzyła.
A on rzekł jój: „O dziewico,
Tyś mię z miłością wspomniała,
I tobie gwoli
Z pałaców mojego ojca
Przychodzę cię nawiedzić.
Ja jestem twórcą tych kwiatów,
Ogrody moje są w raju;
Jeżeli pragniesz pójść ze mną,
Wianeczek twój narzeczony
Będzie z kwiatów jarzących.”
Zdjął tedy z palca świętego
Pierścień złoty
I pytał córkę sultana:
Chceli być mu narzeczoną?
A gdy rzekła, że miłuje,
Krew z ran Jego popłynęła.
Rzekła mu tedy:
— O! jak rumiane twe serce,
A twe ręce kwiatów pełne!—
— „Tobie gwoli—Pan jój odrzekł—
Moje serce tak rumiane;
Dla ciebie przyniosłem kwiaty,
Które zerwałem na krzyżu:
Bo dla ciebie śmierć poniosłem.
Pójdź, bo ojciec mię przyzywa,
A tyś przezemnie wybrana.”
I poszła za nim córka sultana
Do ogrodu rajskiego.

KSIĄŻĘ HENRYK.

A tyżbyś to uczyniła
Droga Elsyo?

ELSYA.

Całym sercem.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Więc oblubieniec niebieski
Przyjdzie również i po ciebie
I włoży na twe skronie,
Nie koronę cierniową,
Lecz z róż koronę.
I w komnacie narzeczonej
Jak Cecylia święta
Słyszć będziesz słodką muzykę
I czuć wonność
Kwiatów nieśmiertelności.
Teraz pójdź i złóż te kwiaty
Przed jój wizerunkiem.

SCENA CZWARTA.*(Pokój wiejski).*

(Zmierzch. URSZULA przędzie. GOTLIEB drzémie w krześle).

URSZULA.

Corazto ciemniej, ledwie od zachodu
Jakieś światełko przez szybę prześwieci.
Czy już w mych oczach ciemniej niż za młodu:
Nie mogę dojrzeć węzelka na nici,
Ani jój prosto nawiązać na koło,
Elsyo!

GOTLIEB *(zrywając się).*

Stukanie twego kołowrotu
Jakąś mi drzémkę przerwało wesołą.
Marzyłem we śnie, że stałem nad wodą
Słuchając zdala gwarne go łoskotu
Młyńskiego koła; wtém koło ucichło,
Ktoś woła: „Elsyo”; oglądam się ryełło
Cały zdumiony, zdało się tak blisko.

URSZULA.

Ja to mówiłam „w komnacie tak ciemno
Że węzła nici nie widać przedemną.
Elsyo włóż parę drewien na ognisko,
Kochana Elsyo! słyszałaś.”

ELSYA.

W téj chwili.

GOTLIEB.

A reszta dzieci? czy się położyły?

URSZULA.

Oboje z Elsyą tu siedzą u progu.
Ona im prawi baśni o rarogu,
O wilku, lesie i czarnym kapturze.

GOTLIEB.

A książkę?

URSZULA.

W swoim pokoju na górze
Tam się przechadza smutny, jak zwyczajnie,
Poważnym krokiem, głośno, jednostajnie.

*(Elsya zapala ogień, stawia lampę; za nią Max i Berta,
i wszyscy razem śpiewają pieśń wieczorną przy świetle
lampy).*

PIEŚŃ WIECZORNA.

O! światło radosne
Ojca wszechmocnego,
Błogosławionego
Jezusa na niebie,
Ludzi Zbawiciela,

Znów dałeś nam Panie
Doczekać zachodu,
Dożywszy wieczora
I zorzy promienia:
Cześć Ci oddajemy
I błogosławieństwo.

Ojczy wszechmogący!
Synu życiodawczy,
Duchu wskrzesicielu,
Godny na czas wszelki
Czci i wielbienia.

KSIĄŻĘ HENRYK (*w drzwiach*).

Amen!

URSZULA.

A kto dodał amen?

ELSYA.

To księżę Henryk; on tu stał u proga
Słuchając, gdyśmy wzywali do Boga
Pieśnią wieczorną. I cofnął się teraz:
Jam go tu wprzód widziała już nieraz.

URSZULA.

Biedny.

GOTLIEB.

Tak! kiedyś dom jego był dworny!
O biedny księżę, a dzisiaj jak dziecko,
Cierpliwe dziecko, milczący, pokorny!

MAX.

Bardzo go kocham, dlaczego, czy wiecie?
Bo dobry, bo mi tęgie robi łuki
I strzały do nich tak ostre jak igły,
Któremi strzelam pstre wróble i szczygły,
Wiewiórki z buków skaczące na buki.

BERTA.

I ja go kocham.

GOTLIEB.

Bo cała rodzina
Dobrego księcia miłuje jak syna.
Kto nam dał ziemię, dom, spichrze, stodoły,
Konie i drobie i sprzężajne woly,
Żywną winnicę i lasu obszary:
My tylko miłość dać możemy za dary.

BERTA.

Gdyby to on nam dał tego bociana,
Który tam z dachu klekocze od rana.

GOTLIEB.

Nie! nie! na Boga, zacny bocian biały
Którego nieba na znak łaski dały:
Księżę łask tyle udziela domowi,
Niech go Bóg wesprze i rychło ozdrowi.

ELSYA.

Jakbym pragnęła spełnić coś dla niego,
Uleczyć bole, smutek, niepokoje.

GOTLIEB.

Na tę usługę słałiśmy oboje
I każdy.

ELSYA.

Więc go nie już nie ocali
I umrzeć musi!

URSZULA.

Tak! jeśli z wysoka
Jego łez krwawych Bóg się nie uzali,
Nie zwróci swego opatrzne go oka.

GOTLIEB.

Lub się nie znajdzie młoda białogłowa,
Która z swój własnej woli śmierć wybierze,
I odda życie za życie w ofierze.

ELSYA.

Ojczy! jam na tę ofiarę gotowa.

URSZULA.

Elsyo! co mówisz, co słyszą me uszy:
Grzech to wymawiać, czego nie masz w duszy.

ELSYA.

Nie, to głos duszy.

MAX.

Ojczy! dzisiaj z rana
Niżej za młynem, w wąwozie na darni,
Hans zabił wilka, tego, co w owczarni
Tój nocy mego zadławił barana.

GOTLIEB.

Dobrze mu za to, przestroga do czasu
Dla wszystkich wilków, co nie patrzą lasu.

MAX.

Wielką mam chętkę dostać jego skóry.

BERTA.

Ciekawam bardzo, czy to ten sam, który
Zjadł czarny kaptur.

URSZULA.

O! co rozpowiada!
Tamten zabity może przed stu laty.
Chodźcie me dziatki, późny mrok zapada.

MAX.

Cheiałbym téż, chciałbym zostać kiedy takim
 Jak Hanek, mocnym, sążnistym junakiem,
 I tropiąc pilnie od świtu po borze
 Wilka za wilkiem bić, targać za uszka,
 Niech owiec nie jé.

GOTLIEB.

A więc idź do łózka,
 I rośnij prędko duży, jak być może.
 Berta już widzę na piękne nam drzémie:
 Patrzcie, jak głowa jój cięży na ziemię,
 A w spiących nogach już tak mało zgody,
 Że nie wiem czy się wydrapie na schody.

URSZULA.

Dobranoc dziatki! ta świeca na drogę.
 I o pacierzu ponawiam przestrożę:
 A przedewszystkiém uważnie.

GOTLIEB.

Dobranoc.

DZIECI.

Dobranoc.

*(Odchodzi Berta i Max z Elsyą).**(Urszula przedzie).*

Dziwnato, dziwna ta Elsyja nasza!
 Ona mię swoją postawą przestrasza:
 Z jój oczu jawnie wygląda wiek stary,
 Jakieś fantazyje, myśli, jakieś czary
 Owładły świeżo tém sercem zdziżiałem
 I tak niedawno potulną jój głową.

GOTLIEB.

Ja w niej odmiany żadnej nie dojrzałem:
 Dziecko, jak wszystkie.

URSZULA.

Nie! na moje słowo,
 Piérwszy raz widzę dziewczę tak dziwaczne.
 Ktoby uwierzył, że to dziecko jeszcze,
 A jakie ma sny, widzenia opaczne,
 Jakie dojrzałe słowa, czucia wieszczę!
 Burzliwe serce młode z starą głową!
 Cóżto za zmiana nagła w téj dziecinie.
 Pełną mam duszę zwątpienia i trwogi,
 Że nam to dziecię zamrze, nim rok maie:
 Dziwna, bo dziwna, zżał się Stwórco drogi!

GOTLIEB.

A mnie nie straszy żadna myśl podobna:
 Życ będzie, rosnać zdrowa i nadobna.

(Pokój Elsy; noc. Elsya modli się).

Mój odkupicielu Panie!
 Proszę Ciebie, błagam Ciebie,
 Mojém słowem, moim czynem
 Kieruj Panie.
 Abym się kiedyś z Bożym synem
 Spotkała rzewnie, czujnie płacząco,
 Z lampą jasno gorejącą.

Z rąk i boku
 Tyś nie szczędził krwi potoku;
 Za żyjące i grzeszące
 Krzyż poniosłeś, biczowanie,
 Śmierć zelżywą, naigrawanie,
 Mój Chryste w grobie złożony.

Jeśli me modły godne dojsć Ciebie,
 Mój Zbawicielu, błagam Ciebie,
 Jeśliś i za mnie dał obficie
 Krew świętą, poniósł ból i sromotę:
 Daj, umierając, ocalić życie
 Temu, co miłuje życie,
 I krew mą dając, stanąć w pobliżu
 Mego Chrystusa na krzyżu.

SCENA PIĄTA.

(Pokój Gottlieba i Urszuli).

Północ. ELSYA siedzi przy łóżku, płacząc).

GOTLIEB.

Burza wre dziko i dęszczem zacina
 Po szybach okien, kryjówkach komina,
 Jakby złowieszczy, grożąc klęsk szeregiem
 Mnie i rodzinie, Łowiec Rodensztyna
 Z chmurą swych duchów stanął tu noclegiem;
 I po śnie krótkim, przerywanym burzą
 Psy wyciem strasznym nawałnicy wtórzają.
 I tu coś szlocha w mroku: czy słyszycie,
 Tu, w tój komnacie?

ELSYA.

To Elsy, twe dziecko.

URSZULA.

Elsyo! cóż tobie dolega, me dziecko?

ELSYA.

Matko! mnie dusza cięży, serce boli,
 Nie mam spoczynku, sen oczu nie wiąże
 Kiedy pomyślę, że nasz drogi książę
 Musi umierać: biedny...

OJCIEC.

Córko droga!

I cóż ty poczniesz? W niebios świętej woli,
 Nie w naszej mocy leży księcia życie:
 Polećmy losy jego w rękę Boga.

ELSYA.

Nie! Bóg te losy w moje złożył ręce
 I w moje serce.

GOTLIEB.

Mowa twoja dzika.

URSZULA.

Co ty chcesz wyrzec, córko nieszczęśliwej matki.

ELSYA.

Ze ja za życie księcia Henryka
 Własne me życie w ofierze poświęcę,
 Jak Chrystus, by świat wybawił od grzechu.

GOTLIEB.

Nie! ja śpię: we śnieto mój duch majaczy!
 Ona o śmierci prawi wśród uśmiechu;
 A wieszże Elsyo! wiesz, coto śmierć znaczy?

ELSYA.

Wiem ojcze! jestto ustanie oddechu,
 Głos się zamyka, ustaje ruch ciała:
 Kóż więcęj nad to o śmierci wam powię?
 Tak, kiedy nasza Gertruda skoła,
 Oddech jēj ustał: wówczas już nietknięte
 Przystałam pod nią uglądać wezglowie.
 Jeszcze piękniejsza była niżli wrzody:
 Oczy jēj byłyto fiołki zwiędnięte,
 Jedyne znamię umartėj Gertrudy.
 W otwarte okna, gdzie blade jēj ciało
 Sen cichy objął, niebo zaglądało,

A w wietrze słychać było skrzydeł wianie:
 To anioł zleciał po resztę jej życia.
 Ach! patrząc na to, ledwie była w stanie
 Ustać, ocalić mego serca bicie.
 Byłbyś nademną zlitował się Panie!
 Gdybym umarła.
 Umarli święci, męczennicy zmarli.
 Marya i Chrystus powieki zawarli,
 I jabym poszła za nimi w pokorze,
 I odleciała w te promienne światy,
 Które w przelocie olśniły ich szaty.

URSZULA.

Elsya ma umrzeć: nie! nie! być nie może.

ELSYA.

A cóż po życiu? Czyż nie wiem, w tym świecie
 Jaką los dołą zgotował kobiecie:
 Trudy po trudach, łzy po łzach bez końca,
 W piersiach zgryzota, na ustach milczenie,
 Był pełen nędzy i dusza łaknąca,
 Nieugaszone, nieznanie pragnienie;
 Kropla mniej, kropla więcej, jedném słowem
 Szczęście nie dla nas w życiu przedgrobowym.

URSZULA.

Po Ewie na nas spadło to przekleństwo.

ELSYA.

Więc zamiast niego pozwól mi, o! matko,
 Maryi Panny wziąć błogosławieństwo.

GOTLIEB.

Biada mi! nie masz ojca na tej ziemi
 Nieszczęśliwszego między śmiertelnymi.

URSZULA.

Tegożem biedna, tegom ja dożyła,
 By się przedemną otwarła mogiła
 Ukochanego dziecka; bym patrzyła,
 Kiedy śmiertelne przycisnie ją wieko!

ELSYA.

Ty go nie ujrzysz, bo umrę daleko!
 Obca dłoń kwiatem uwieńczy me zwłoki,
 I obce dzwony na grobie zadzwonia;
 Dźwięki ich stłumi ocean głęboki,
 I wielkie góry i bystre potoki
 Błądą twarz Elsyi przed tobą zastoni.

Gdy mnie nie będzie widać, matko miła,
Wówczas pomyślisz sobie w chwilach troski:
Ot poszła rano za kupnem do wioski,
Coś długo bawi.

URSZULA.

Nawet, gdyś mówiła,
Serce z przestachu biło mi gorąco,
Kiedy cię jeszcze oglądam żyjącą.
Nie mam spokoju, widzi Bóg na niebie,
Póki me oczy nie obaczą ciebie:
A cóż gdybyś nam umarła?

GOTLIEB.

O! biada,
Wszak oczu naszych tyś jedna otucha,
Ty pokój, myśli i podpora ducha:
I chcesz nam umrzeć!

URSZULA.

Nie! nie! drogie dziecię.

ELSYA.

Chrystus położył za mnie swoje życie,
Ja się za księcia umrzeć nie odważę?...
Milczycie... nie ma na to odpowiedzi.
W dzień Narodzenia na święte ołtarze
Ten ślub złożyłam; kapłan przy spowiedzi
Słyszał te śluby i z przychylném okiem.
A jeśli wolno przeglądać nadzieję
W kraje wiecznego szczęścia za obłokiem,
Gdzie nieśmiertelne kwiaty nie więdną:
Czyż tam nie wolno popłynąć na łodzi
Zgonu ziemskiego?

GOTLIEB.

Gdy przyjdzie godzina
I znak dan będzie: piérwój się nie godzi.

ELSYA.

Jam znak słyszała od Bożego Syna,
Gdy szedł w tryumfie ze słońca na słońce,
I bramę nieba zostawił otworem.
Téj nocy miałam widzenie świecące,
Jak przed królestwa dworem
Świetnym i wielkim stanął Syn Człowieczy,
Jak ku mnie zdala uczynił skinienie...
To nad myśl ludzką...

GOTLIEB.

Gdy słyszę te rzeczy,
 Ja grzeszny mniemam, jakby Duch Święty
 Sam mówił przez to wybrane pachole...
 A jeśliż tak jest... jeśli to głos święty...

URSZULA.

Któż się odważy złamać jego wolę?

GOTLIEB.

Amen!

Nieznane, dziwne słowa tyś wyrzekła:
 Myśl nasza, w której zgruntować nie mogą,
 Przejęta strasznym zwątpieniem i trwogą.
 Czyli są one pokuszeniem piekła,
 Czyli natchnieniem Boga Wszemmocnego:
 Jeśli niebiańskie nie wesprze nas ramię,
 Mdłe duchy nasze prawdy nie dostrzegą:
 Bo złe i dobre jedno mają znamię.
 Jeśli od Boga, stań się wola Jego:
 Niech nas ochroni od wszelkiego złego!—
 Jak drżą jej usta, jaki żar w jej dłoni!
 Pójdź w łóżko, może sen dotknie twój skroni;
 Pocałuj matkę, a nie płacz—bądź zdrowa.

ELSYA (*wychodząc*).

To było nader straszne, uroczyście!
 Od pocałunku jej drżała ma głowa,
 Niby duch jakiś dotknął mego lica.
 Jakżem dziecinna, jak słaba dziewica.
 Jutro gdy tylko światło promieniste
 Błyśnie od wschodu, pójdę sama z rana
 Zasięgnąć głosu naszego kapłana.

SCENA SZÓSTA.

(*Kościół wiejski*).

(*Kobieta klęczy przy konfesyjonałach*).

Ksiądz parafialny w konfesyjonałach.

Idź, nie grzesz więcej! Po świętej pokucie,
 Poprawy życia wzbudź w sobie uczucie.
 Dzisiaj i na zawsze obecny w świątyni
 Niech cię Bóg wolną od grzechów uczyni:
 Idź, nie grzesz więcej! On uciszyć raczy
 Wir serca dzisiaj pełnego rozpaczy,

I miłosiernie ułomność przebaczy.
(Kobieta odchodzi, kapłan oddala się powolnym krokiem z kościoła).

Ach! komu światła i skazówki z nieba,
 Jeśli nie słudze ołtarza potrzeba!
 Ileż rąk grzesznych jeszcze przez bezprawia
 Ran Twych dotyka i rany rozkrwawia!
 Ile stóp ślepią uwiedzione żądzą
 Od Twój owczarni po manowcach błędzą.
 Jeśli Twą zorzą nie olśnisz mię Panie,
 Jam téj gromadki prowadzić nie w stanie;
 Nie w stanie-m dźwignąć ciężkiego brzemienia
 Kapłańskiej władzy bez nieba pomocy:
 Wszak tyłkom nędznym synem zatracenia.

(Po chwili).

Ot już i dzionek chyli się ku nocy;
 A jakież dobry tego dnia uczynek
 Przyniosę memu Panu w upominek?
 Gdzie złe odparte, gdzie cnota zdobyta,
 Walka stoczona i tryumf zasługi,
 Czyn pomyślany, albo dokonany?
 O! błahy szereg dzieł moich, choć długi!
 Widzę ja cele, co tam w górze świecą,
 Lecz nigdy do nich czyny me nie wleczę;
 A choć sumienie skargą mię nie truże,
 Lecz na myśl, ileto nietkniętej cnoty
 Kryje się jeszcze w głębiach Twój istoty,
 Duch mój stroskany w noc się rozsypuje.
 Dla Twoich celów snąc Panie nad Pany,
 Człowiek na walkę zwątpienia zesłany.

(Po chwili).

Czemu mi w drodze, ty biedny człowieku,
 Czemu stanąłeś, książę Hoheneku!
 Zmuszasz, bym liczył samotne me kroki
 W tych świętych murach szczęścia i żaloby,
 Coraz na jakieś następując groby.
 A świat przed tobą ma nachylać czoła,
 I książęcego wyglądać skinienia.
 Przychodzisz złożyć na progu kościoła
 Jego pierś świętą krwawiące twe grzechy,
 Przychodzisz pewnie po słowa pociechy:
 Cóż ci odpowiem? Nie! radzić nie mogę,
 By czary życia usłały ci drogę;
 Nie! mimo straszną szatana potęgę
 Ty zerwać musisz daną mu przysięgę
 Bo gorzej ducha zatopić w przekleństwie,
 Niż żyć w męczeństwie i skonać w męczeństwie.

(Po chwili).

Dzień coraz głębiej w pomrokę zapada,
 A jeszcze miasto na kapłana czeka;
 Czeką pół-żywy, pół-zmarły kaleka.,
 Ubodzy bracia czekają i płaczą:
 Tam oddech drżący, tam członki drgające,
 Serca stęsknione, lecz cierpliwe oczy,
 Co we łzach widzą zachodzące słońce,
 A wschodzącego nigdy nie zobaczą.
 I czyż się godzi, by ten brat zgnębiony,
 Mdlejący w walce z głodem i rozpaczą
 Próżno wyglądał pomocy człowieka,
 Nie napojony i nie pocieszony?

(Odchodzi).

(Wchodzi nieznamy spowiednik. Książę Henryk otwiera przed nim swoje sumienie, i kapłan udziela mu absolucyę).

KSIĄŻĘ HENRYK.

Proszę o święte błogosławieństwo!

NIEZNAJOMY KAPŁAN.

(Podnosi dłonie i mówi).

*Benedictione perpetua
 Benedicat vos
 Pater aeternus.*

SCENA SIÓDMA.

(Pokój w domu wiejskim).

GOTLIEB.

Już zapadł wyrok; dni i nocy tyle
 Dręczy nas srodze nieśpiąca na chwilę
 Jakaś głęboka bezimienna trwoga,
 Przed tajemnymi wyrokami Boga.
 Tęskno, boleśnie serca nasze były,
 Liczne modlitwy, liczne były śluby,
 By nam udzielił chrześcijańskiej siły
 I wskazał drogę chroniącą od zguby.
 Już wyrok zapadł, oddajemy dziecie,
 Aby ocalić Hoheneka życie.

URSZULA.

To wyrok Boga: On Wszęchnocną ręką
 Sam sięgnął po nią, by z rodziców męką
 Poszła ze świata nędzy i tęsknicy
 I stanąć mogła po Ojca prawicy.

O! już się serce matki nie opiera.
 Trudnato walka z aniołami Pana:
 Bóg pożyczoną ofiarę odbiera!
 O! córko moja! córko ukochana.

GOTLIEB.

Jak patryarcha Abraham w dni owe
 Na rozkaz Pana złożył syna głowę,
 Jak sam Przedwieczny Ojciec Syna swego
 Na krzyż poświęcił jednorodzonego:
 Tak z naszej woli Elsy umiera!

(Urszula zakrywa twarz).

ELSYA.

Moje życie, to kęs mały,
 Moje życie kropla wody,
 Ale czysta niezmacona.
 Weź ją książę,
 Niech orzeźwi ciebie:
 Niech uzdrowi ciebie.
 To chętna ofiara,
 To wolna ofiara.
 Boże dar błogosław!

KSIĄŻĘ HENRYK.

I ofiarującą.

GOTLIEB.

Amen.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Przyjmuję ofiarę.

GOTLIEB.

A gdzie reszta dzieci?

URSZULA.

Już śpią lube dziatki.

GOTLIEB.

A gdyby umarły.

SCENA ÓSMA.

(W ogrodzie).

ELSYA.

Jeszcze mam jedną prośbę.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Powiedz jaką?

Już jest spełniona.

ELSYA.

Daj mi przyrzeczenie,

Że kiedy ztąd już odejdziemy w drogę,
I gdy ruszymy w podróż do Salerno,
Ani mię słowem, ani czynem żadnym
Błagać nie będziesz, abym się wyrzekła
Mojęj ofiary; i będziesz pamiętać,
Że jako pielgrzym do Jerozolimy
Wędruje wolny i tylko zajęty
Cały nadzieją grzechów odpuszczenia:
Tak ja w ten wielki jubileusz pragnę
Z ofiarą wolną stanąć u bram nieba
Zdjąwszy obuwie z nóg, a z ducha mego
Wszelką myśl ziemską: wszak mi to przyrzekasz?

KSIĄŻĘ HENRYK.

Słowa z ust twoich tak płyną, jak róże
Płyną z aniołów ust, i aniołowie
Mogliby stanąć i podjąć....

ELSYA.

Przyrzekasz?

KSIĄŻĘ HENRYK.

Jeśli się kiedy w tę podróż puścimy,
Jednemu albo obojgu przyrzekam.

ELSYA.

Możemyż nie pójść? lub czyś mię dlatego
Uniósł w powietrze, by zranioną potem
Zrzucić na ziemię; albo ukazałeś
Źródło wiecznego życia, by mię potem
Poić plugawym mętem tego świata!

KSIĄŻĘ HENRYK.

Jakże mię swoją zawstydzasz nauką
Elsyo! Życie obecne i przyszłe
Na tak subtelnę wadze zawieszzone,
Że oddech zdoła zachwiać równowagę;
Lecz szala w którą kładziem serca nasze,
Przeważa silnie, a druga ulata
Wgórę jak nicość i marne powietrze.
Dla mnie, wyznaję, straszna myśl o śmierci
Przy takiej żądzy żywota: dla ciebie
Tyle, co jedno podniesienie klamki,

Jedno stąpięcie w otwarte powietrze
 Z namiotu, już tu oblanego światłem,
 Co z przezroczystych ścian jego prześwieca.
 O duszo czysta! z tych prochów wyrosną
 Lilie, a na ich błonie czas wyciśnie
 „Ave Maria” złotemi głoskami.

III.

SCENA DZIEWIĄTA.

(Ulica w Strasburgu).

(Noc. KSIĄŻĘ HENRYK samotnie kroczy okryty płaszczem).

KSIĄŻĘ HENRYK.

Oto noc w drugą przechodzi połowę,
 Nie słyszy kroków bezludna ulica,
 I jak wyrobnik, co położył głowę
 Na swém kowadle, śpi cicha stolica;
 A sen jej twardy, spokojny, głęboki.
 Ja tylko jeden bez snu, bez marzenia
 Wśród czarnych murów, liczę błędne kroki,
 Liczę lzy moje i ciosy sumienia.

(Herold śmierci bijąc w dzwonek).
 Czuwajcie, czuwajcie,
 Wy coście uśpieni;
 Módlcie się za zmarłych,
 Módlcie się za zmarłych.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Znany mi, znany ten odzew ponury,
 Herold, co czuwa nad umarłych ziemią:
 Na jego hasło rozbite o mury
 Powstają zmarli, co tu w grobach drzemią;
 Powstają zmarli, powiewa ich szata,
 Widma potworne bez ducha i kości.
 W oku ich świeci blask tamtego świata,
 Pół-gwiazdą życia; pół-nocą wieczności.

HEROLD.

Czuwajcie, czuwajcie,
 Wy coście uśpieni;
 Módlcie się za zmarłych,
 Módlcie się za zmarłych.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Czemu za zmarłych, co już śpią w pokoju
 A nie za żywych, co w serca otchłani
 Zbrodnie z cnotami stawiają do boju,
 Boju krwawego: jakby tam zagnani
 Z bóstwem sumienia walczyli szatani!
 Ten herold, co tu za umarłych prosi
 Jest to mistrz godów: na uczcie żywota
 Zdrowie przyjaciół nieobecnych wnosi,
 Lecz nie puharem co lśniący od złota,
 Ubrany w róże, za trąceniem ręki
 Przemawia dźwiękiem biesiadnego tonu;
 On zimném echem północnego dzwonu
 Lży i przedrzeźnia ich grobowe jęki.

HEROLD.

Czuwajcie, czuwajcie
 Wy coście uśpieni;
 Módlcie się za zmarłych,
 Módlcie się za zmarłych.

KSIĄŻĘ HENRYK.

O! nie! nie czuwaj, niech śpi twoje oko.
 Jak noc spokojnie i jak noc głęboko
 Tu czuwający u grobu podwoi
 Z sercem skrwawioném stróż na czatach stoi,
 Z którego piersi płynące westchnienia
 Liczą śmiertelne snu twojego tchnienia;
 Jakby przez jakieś losy niepojęte,
 Dwa serca były ogniwem ściśnięte,
 I moje wkoło twojego krążyło,
 Lecz z coraz dzikszym pośpiechem i siłą.

HEROLD (*w oddaleniu*).

Czuwajcie, czuwajcie,
 Wy coście uśpieni;
 Módlcie się za zmarłych,
 Módlcie się za zmarłych.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Tu czarne świadki ubiegłego czasu,
 Pchnięte daleko od nieba pod chmury,
 Stoją w milczeniu katedralne mury
 Nakształt szeregów kamiennego lasu:
 Jakby z poza nich, w obłoku powodzi
 To w mgle, to w świetle, stary księżyc chodzi,
 I świeci biało na boczne kaplice,
 I świeci biało na ciemne ulice.

Cisza, wiatr wstaje, lecz z wiatrem nie wstaje,
 Ani opada na drzewie liść suchy:
 Tylko bez echa przewiewa szmer głuchy,
 Tylko ten obłok, co się w skały kryje,
 Naciętym wieżom i łukom nadaje
 Nieokreślone, fantastyczne ruchy.
 Nizko w płaszczyźnie, jakiś tam Knecht zbrojny
 Cichy jak posąg i jak posąg biały,
 Siedzi na koniu, a księżyc spokojny
 Pozłaca blaskiem ostrze jego strzały;
 Zdejmuje maskę i skinieniem głowy
 Mnie nieznanego, wzywa do rozmowy.

WALTER MINNEZENGER.

Racz mi powiedzieć, gdzie nasi rycerze
 Z Turyngii mają nocleg i wieczerzę?
 Jam z tylną strażą spóźnił się w pochodzie
 I błędzić muszę po nieznanym grodzie.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Obaśmy widzę tu obcy przybysze,
 Ja i ty zacny rycerzu pielgrzymie;
 Lecz w głosie twoim coś znanego słyszę:
 Ty jesteś Walter Vogelweid!

WALTER.

Zgadłeś, tak zgadłeś. A ty Henryk Hohenek.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Niestety! mojeto imię!

WALTER.

O! pójdź Henryku, pójdź w moje objęcia!
 Cóż cię sprowadza tu? Jakie zaklęcia
 Z pod cieniu cichój germańskiej zagrody
 W stare Alzacyi powołało grody?

KSIĄŻĘ HENRYK.

Cuda, niegodne wiary i powieści:
 Oto ja nędzarz, jakby pokryjomu
 W mury Salerno wlokę resztę ciała
 Z wątlą nadzieją ulżenia boleści,
 I bez nadziei powrotu do domu;
 Resztę zapewne wieść ci powiedziała.
 Lecz cóż tu ciebie, Walterze, przywiodło
 W zbroi i hełmie na dzielnym rumaku?

WALTER.

Spojrz mi na piersi, i w tym krzyża znaku
 Poznaj rycerza krzyżackiego godło.

Co na Wschód z zbrojnym chrześcijaństwem rusza,
A Jeruzalem jego myśli gwiazdą.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Oby i moich myśli było gwiazdą!
Szlachetny wieszczu, ty, którego dusza
Jest jakby ptasząt śpiewających gniazdo,
Zwite na szczycie gałęzi żywota!
I téj pociechy złym losom potrzeba,
Abyś porzucił i ty nasze nieba
I gdzieś na Wschodzie pod puklerzem męża,
Mieszał muzykę ze szczękiem oręża.

WALTER.

Szczytna i dumna nadzieja mną miota,
Wielkie uczucia żądze sławy drażnią,
I stu trąb dźwiękiem grzmią nad wyobraźnią.
Oto całe me życie mam w téj ręce:
Trzymam je, jak łuk gnę, odginam, kręcę,
I rzucam strzałę z drżącój jego strony.
Może ten pocisk, jak niegdyś rzucony
Oknem do wschodu pocisk Izraela,
Będzie obroną Boga Zbawiciela.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Moje niestety już poznajesz życie.
O! co za szczęście być w wieku rozkwicie,
Wdziękach i sile, uzbrojonym razem
Lutnią i mieczem pieśnią i żelazem:
Serce na czucia a dłoń mieć na wroga.
Ty dłoń, miecz, serce, ty lutnię, Walterze,
Życie i wszystko poświęcasz dla Boga,
A ja płaz marny broniąc dni ostatku
Wszystko dla życia przynoszę w ofierze.

WALTER.

Nie! bądź wytrwałym: czas w siłę zasobny,
Los twój i zdrowie podźwignie z upadku.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Już późno—z losem opór niepodobny.

WALTER.

Bracie! pójdz ze mną; ten rumak strudzony
Już dziś z dalekiej przynosi mię strony,
Bije podkową i spiac, marzy sobie
O zasłużonym przytulku i żłobie.

KSIĄŻĘ HENRYK (*do siebie*).

Nie śmiem spojrzaniem w te szlachetne oczy
Moich niegodnych oczów upokorzyć.
Walterze, chciejmy do jutra odłożyć.

WALTER.

Jutro, za ledwie świt dnia się roztoczy,
Już cały orszak być musi w pochodzie;
Pójdź razem, w bliżkiej spoczniemy gospodzie.
Wiele dziś rzeczy mogę ci powiedzieć:
Możemy wspólnie i Włochy odwiedzić.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Twój religijnej żądy krok nie skory
Ciągłoby w drodze gotował zapory.
Przytém ja muszę półkolem od boru
Zboczyć do Hirszau po granicę boru,
Gdzie mię mój orszak z zapasami czeka,
Jakich wymaga ta podróż daleka.

(*Odchodzą*).

LUCYFER (*krążąc nad miastem*).

Spij! spij stolico, póki światło wschodnie
Znów twoich synów nie wzbudzi na zbrodnie.
Tymczasem we śnie pod zasłoną mroku
Jak deszcz, strugami bijący z obłoku,
Czarne przekleństwa rzucę na ich głowy.
Więcej w twych murach liczę służebników
Niż Bóg: ci snu nie znajdą na posłaniu,
W mękach się wlecze byt mych zakładników,
W gwałtowném serca i mózgu konaniu:
Sroższy im oddech, sroższe serca bicie
Niż w bolach śmierci łamiące się życie.
Spij, spij, stolico, choć twych domów glazy
Nie mają kątką wolnego od zmazy,
Ani wolnego łoża od katuszy:
Trwoga dla śmierci, trwoga dla żywota,
Męczarnie w sercu, męczarnie w ich duszy;
Cześć dla rozkoszy, zepsucie, sromota,
Łzy namiętności, żądze, co kolejają
W wyrodną, czyny i w zbrodnie dojrzejają.

SCENA DZIESIĄTA.*(Plac przed katedrą).*

Niedziela Wielkanocna. BRAT KUTBERT przemawia do ludu zgromadzonego z mównicy na otwartém powietrzu. KSIĄŻĘ i ELSYA przechodzą plac.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Oto dzień wielki, kiedy w zorzach chwały
 Niedawno jeszcze krwią zlane na krzyżu,
 Chrystus zmartwychwstał; z Chrystusem pospołu
 Z ciemności srogiej, smutku i mozołu
 I serca uczniów Jego zmartwychwstały;
 Kiedy niewiastom, stojącym w pobliżu
 Rzekł anioł w świetnej objawiony szacie:
 „Chrystus zmartwychwstał, przecz go tu szukacie.”
 I aby uczcić ten wielki dzień Pański,
 Dziś gasi ogień cały świat chrześcijański,
 Aż u jasnego słońca je zapali,
 Co się już kąpie w lazurów fali.
 Dziś każdy kościół w kwiaty przystrojony,
 Z łoża powstają ludów miliony,
 Wieją chorągwie na wieżach kościoła:
 Wtorując ludom, biją stare dzwony
 I przez niewiasty, dane od anioła
 Z ust do ust biegnie przenajświętsze godło:
 „Chrystus zmartwychwstał.” Z iluż trosk, o Chryste!
 To jedno słowo biedny lud wywiodło,
 Ile łez starło, ulżyło boleści?
 Płynących tłumów miasto nie pomieści:
 Czoła ich jasne, serca uroczyste.

ELSYA.

Pójdźmy, ten widok pełen dla mnie trwogi.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Nie! pójdźmy raczej na świątyni progi:
 Tam w cieniu świętych kościoła podwojów,
 Snadnie się można bez wrzawy i ścisku
 Tak niezwykłemu przyjrzyć widowisku.

ELSYA.

O! nadzwyczajne! A jakież blask strojów!
 To łąka w tysiąc kwiatów umajona;
 A ów punkt, w który tyle ludu spieszy!

KSIĄŻĘ HENRYK.

To wystawiona na placu ambona,
Z której mnich jakiś przemawia do rzeszy;
A tak głęboka, silna jego mowa,
Że jeśli bacznie słuchać-eś gotowa,
Ucho nie straci najcichszego słowa.

(Mnich KUTBERT z gestami i trzaskając z bicia).

Kto tam! słyszycież wy wierni słuchacze,
Jak tam na wierzchu kozła bitą drogą,
Spędzonym koniem, w obuwiach z ostrogą
Posłaniec ku nam z dobrą wieścią skacze.

A co nam wieziesz przezacny prostacze?
„Chrystus zmartwychwstał” A zkąd wieść?” „Ze dworu”
„Nie wierzę, to żart z dobrego humoru
(Trzaska z bata).

Ot pędzi drugi, zastąpię mu drogę,
Jakich nowinek dowiedzieć się mogę:
A co tam słyhać dobrego na świecie?
„Chrystus zmartwychwstał.” „A zkąd o tém wiecie?”
„Z miasta.” „Nie wierzę temu. co waść plecie.”
(Trzaska z bicia z całej mocy).

Pędzi i trzeci z drogi, w konia wbił ostrogi:
„A co wieziesz nowego, że się koń twój spienił,
Żeś ostrogi i lejce krwią końską zrumienił?”
„Jezus Chrystus zmartwychwstał.” „A zkąd wieść ta,
z Rzymu?”

Teraz wierzę, żeś Chryste zmartwychwstał zaiste:
Pędź z tą wieścią. posłańcze, od dymu do dymu.”
(Lud daje głośne oklaski; biją w dzwony).

Bacność! już dzwony grają swém pieniem wspaniałém.
I ja czuć już zaczynam, że chrypki dostałem:
Wypada więc kazaniu przestanek położyć,
I do innego razu dalszy ciąg odłożyć.
Dzwony są najślawniejszym kaznodzieją świata:
Przez ich usta bronzowe zdania wielkie płyną,
Gdy z kamiennój ambony, nadziejską niziną
Rozpierzchnie się w powietrzu melodia skrzydlata,
Bez dęcia, bez trzaskania: ta pieśń przenikliwa
To kazanie ogłasza, to do modłów wzywa.
Spójrz na serce dzwonu, to masz obraz młota:
Rzuca się, drga, na prawo, na lewo uderza,
Niby język z żelaza, z miedzi albo z złota,
Uczy Starego, jak i Nowego przymierza.
Spójrz na owe poprzeczne nad dzwonami belki,
One ci pokazują Chrystusa krzyż wielki,
Na którym twe nadzieje wiszą jakby dzwony:
Zaś koło, którym dzwon ten krążąc, daje tony,

Jestto, zacny słuchaczu, jakby twoja dusza,
 Co krąży, i twój język do dzwonienia zmusza.
 A sznur, co z rozdwojonym sznurkiem trzy stanowi,
 Winien przypomnieć Tróję twemu rozumowi:
 Moralności, symbolów i historii świętej.
 Zaś ten ruch dzwonu w górę, to znów opadanie
 Wskazuje, jak wysoko sens pisma pojęty;
 Jak tam lub owdzie twoje kolysze się zdanie:
 To się skłania do akcyi, to do kontemplacyi.
 Z góryto Pismo Święte przychodzi, z wysoka,
 W górę, to w niebo wznosi jego myśl głęboka,
 Z góry, to słów niebieskich, ziemskie tłumaczenie,
 W górę to tajemnice albo objawienie.
 A teraz moi bracia, by koniec położyć,
 Muszę wam jeszcze tylko parę słów dołożyć:
 Że dla uczczenia téj wielkanocnej niedzieli,
 Cudowne widowisko dziś będziecie mieli.
 Prosim tylko o baczność i umysł stateczny,
 A potem niech wam raczy Pan dać żywot wieczny:
 Pax vobiscum et benicite.

SCENA JEDENASTA.

(W katedrze).

(Śpiew).

Kyrye eleyson
 Chryste eleyson.

ELSYA.

Ja jestem tu u siebie, w mego ojca domu.
 W każdym świętych obrazie, wiszącym na murach,
 Widzę twarz familijną i pełną dobroci.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Tak! to są wizerunki familii Boga:
 Wśród nich i twój wkrótce będzie zawieszony.

ELSYA.

Jak tu wspaniale, jaki ogromny ten kościół!
 Równie pięknego w moim życiu nie widziałam;
 Jakie kolumny, jakie arkady i okna;
 Jakże tu wiele grobów, posągów w kaplicy,
 A między niemi mnóstwo konfesyonałów:
 Muszą być dla bogatych. Jaby z moich grzechów
 Nie ważyła się w takim kościele spowiadać.
 Kto go zbudował?

KSIĄŻĘ HENRYK.

Wielki mistrz w swoim zawodzie,
 Erwin von Steinbach; ale nie on tylko jeden:
 Razem z nim pracowały całe pokolenia.
 Dzieci, co przychodziły patrzeć, jak święci
 Z pod martwych mass kamiennych codzien powstawali,
 Wzrosły i postarzały, praca jeszcze trwała,
 I szła dalej i jeszcze dziś nie doszła kresu.
 Może to pokolenie, co po nas żyć będzie,
 Ujrzy dzieło skończoném. Ów mistrz wiekopomny
 Wbudował swoje serce w te rzeźbione głązy;
 Z nim pracowały dzieci jego, i swój żywot
 Wbudowały wraz z jego żywotem w te mury,
 Jako ofiarę Bogu. Spojrzyj na ten posąg,
 Co wesołe lecz mocno pomarszczone oczy
 Utkwił głęboko w owe aniołów filary:
 To wizerunek mistrza, który jego córka,
 Piękna Sabina własną wyrzeźbiła ręką.

ELSYA.

Jak piękna ta kolumna, na którą on patrzy.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Ona ją téż rzeźbiła. Na samej podstawie
 Stoją ewangeliści; ponad ich głowami
 Czterech aniołów trąbią w marmurowe trąby;
 Nad aniołami Chrystus otoczony poczem
 Sług swoich, którzy niosą godła jego męki.

ELSYA.

O! mój Chryste, jakżebym pragnęła w téj chwili
 Temu podobny pomnik zostawić po sobie.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Elsyo! ty większy nad ten zostawiasz tu pomnik
 W twojém życiu, w miłości i w czystości serca:
 Spojrzyj na różę co tam nad bramą zachodnią
 Promienieje tysiącem przepysznych kolorów:—
 Najdoskonalszy symbol gotyckiej słodyczy.

ELSYA.

A tu w galeryi szereg wspaniałych posągów:
 To Chrystus na nas patrzy i apostołowie.

*(Biskup w zbroi, w obuwiu przy ostrogach przechodzi
 z orszakiem).*

KSIĄŻĘ HENRYK.

Lecz odejdzmy, nie mamy czasu do patrzenia:
 Już tłumy widzów cały napelniają kościół;

I tam, na przyszłej scenie herold z huczną trąbą
Przyodziały jak anioł Gabryel, ogłasza
Misteryą, co za chwilę ma być przedstawioną.

I. Narodzenie. Misterya.

WSTĘP.

HEROLD.

Pójdź dobry ludu! bądź gotowy
Wysłuchać bacznie naszej mowy.
Oto ja stoję w twoim gronie,
Ujawszy trąbę w obie dłonie,
Ogłaszam Zmartwychwstanie święte,
Które grą uczcić przedsięwzięte.
A przedewszystkiem za najpierwsze
Przedstawia akcye, tudzież wiersze
Cudowne Narodzenie Boże,
Według opisu Ewangelii,
Jak to przeczytać każdy może,
Kto czytać może.

(Trąbi).

LITOŚĆ U STÓP BOGA.

Uczyn nad rodem twoim zmiłowanie,
I nie omieszkaj go wybawić Panie!
Dusza zdradzona niech się nie dostanie
Na wieczne męki!

SPRAWIEDLIWOŚĆ.

Nie! to z słusnością nie może być w zgodzie,
Kto zakazany przez Ciebie w ogrodzie
Zjadł owoc, niechaj jak wszystko w przyrodzie,
Ma śmierć z Bożej ręki.

LITOŚĆ.

Zlituj się Panie, niechaj żal głęboki
Złagodzi gniewu świętego wyroki;
Niech jad śmiertelny grzechowej posoki
Będzie zgaszony.

SPRAWIEDLIWOŚĆ.

Pożywszy owoc z wiadomości drzewa,
Jakimże żalem on zmyć się spodziewa
Tę straszną winę, która Boga gniewa?
Będzie potępiony.

BÓG.

Zbawię człowieka, jeśli choć jedyny
W granicach ziemi znajdzie się bez winy,
Co dla zbawienia człowieczej rodziny
Poświęcić się raczy.

CZTERY CNOTY.

Panie! świętego szukając wybrańca,
Świat przejrzelśmy od krańca do krańca:
Nie ma bez zmazy w tym świecie mieszkańca;
Oto wracamy w rozpacz.

MĄDROŚĆ.

Nie! tylko człowiek od Boga zrodzony
Podjąć się może cierniowej korony,
I zbawić nędznych ludów miliony
Swojej krwi ostatkiem.

BÓG.

Idź więc, Ty Synu mój Wszekukochany!
Tyś tylko mocen przez krwawe twe rany
Odnieść na krzyżu tryumf pożądanym,
Nad szatanem i upadkiem
*(Tu anioł Gabryel ma opuścić raj i zlecieć na ziemię; w dole
paszce piekiel stoją otworem, złe duchy krążą z wielkim
hałasem).*

II. Marya u źródła.

MARYA.

Wzdłuż ulicą ogrodu w gęstwinę,
Potém w wąską cieniastą drożynę
Pójdę spocząć na bloniu;
Wodą mą czarę napelnę u źródła,
Co tam w głębi pod ziemią ochłódła.
W tém samotném ustroniu
Wkoło figi tam stoją na straży,
Słów nie słyszę, nie widzę tu twarzy
Tylko strumienia brzęki;
Tyko siostry wrzeczona obrotem
Wiją nici szkarłatu ze złotem,
Pracę słodzą piosenki.

ANIOŁ GABRYEL.

Bądź pozdrowiona Panno pełna łaski!
(Marya ogląda się ze drzeniem i mówi).

MARYA.

Z czyich ust słyszałam te słowa,
Zkąd mię dochodzi słodka mowa?

ANIOŁ GABRYEL.

Pan z Tobą, Maryo! Z ziemskich niewiast grona
Tyś błogosławiona,
Tyś łaskę znalazła u Boga.

MARYA (*stawiając wodę*).

Cóż to ma znaczyć, kto przerwał mi ciszę!
Nie widzę twarzy, ale słowa słyszę.
I jakaś święta przejmuję mię trwoga.
(*Anioł pokazuje się i mówi:*).

Nie trwoż się Maryo i bądź pełna wiary;
Ducha Świętego owioną cię dary,
I dziś poczniesz dziecię.
Nie trwoż się Maryo, albowiem z wysoka
Majestat Boży dotknie twego oka
I opromieni twe życie.

MARYA.

Otom ja służebnica Pana mego,
Niech mi się stanie według słowa Jego.
(*Tu złe duchy wszczynają nowy hałas pod sceną*).

III. Aniołowie siedmiu planet

(*Niosąc gwiazdę betleemską*).

My téż aniołowie siedmiu gwiazd na niebie,
Przez szlaki niebieskie niesiemy dla Ciebie
Chryste! gwiazdę narodzenia.
Niesiemy na ziemię siedmiorakie cnoty,
Jak drogie z Chrystusa korony klejnoty.

RAFAEL.

Jam jest Rafael, anioł słońca:
Wrzące me koła pędzą bez końca,
Odkąd na mroku obszary
Z piersi wszechmocnej spadły te słowa:
„Niech będzie światłość” i światłość gotowa.
Ja niosę dar wiary.

GABRYEL.

Ja jestem anioł księżycy,
Co w lazurze to zaświeca,
To znowu gaśnie z kolei,

Najbliższy ziemi mój promień jest w mocy
 Najświetniej olśnić drogę północy:
 Ja niosę dar nadziei.

ANAEL.

Ja jestem Anael, miłości planeta,
 Wieczorna gwiazda i sercom podnieta,
 W których Boża miłość gości;
 Na ognisko ciche i królewskie gmachy,
 Na złocone wieże i słomiane dachy
 Sieję dar miłości.

ZOBIACHIEL.

Ja jestem anioł Jupitera:
 On blask największy z pośród gwiazd zawiera
 Okrom wszechjasnego słońca.
 On jest arcypapieżem gołębiczy,
 Od niego spływa z królewskiej prawicy
 Sprawiedliwość karząca.

MICHAEL.

W gwiazdzie Merkurym, najbliższym promieni
 Wielkiego słońca przestrzeni,
 Bóg mi przeznaczył tron królewski;
 Z szybkim pędem przez obłoki
 Przynoszę tu dar wysoki
 Mądrości niebieskiej.

URIEL.

Ja jestem Marsa monarchą
 Wszech gwiazd patryarchą;
 Mój śpiew męzki przewodniczy
 Hasłem życia i zwycięstwa,
 Wytrwałością wśród goryczy;
 Ja niosę dar męstwa.

ORYFEL.

W gwiazd szeregu ja ostatni,
 Kończę światła łańcuch bratni;
 Z Saturna modrych obszarów,
 Od granic nieskończoności,
 Niosę koronę wszech darów,
 Niosę dar wstrzeźliwości.

IV. Mędrycy od Wschodu.

*(Stajnia gospody. Dziewica i dziecko. Trzech królów egipskich:
Gasper, Melchior i Baltazar wejść).*

— GASPER.

Dzieciątko Jezu! cześć i chwała Tobie!
Chociaż oddychasz w ubogim tu żłobie,
Więszys od śmierci, większy od żywota,
Więszy niż szczęście, większy niż tęsknota.
Z owego krzyża, co tam świeci w górze,
Siła ci trudów, walk i cierpień wróżę:
Po ciemnej drodze przez ły, niepokoje
Masz pędzić dni swoje.

MELCHIOR.

Tys jest prawdziwy król Jeruzalemu,
Choć narodzony w ciszy Betleemu!
Tobie cześć, chwała! berło i korona
Będzie na świętych skroniach położona.
Laską ubogą będzie berło twoje,
Korona świętą krwią zleje podwoje;
Gdy najdzie chwila sługi twe z rozpaczą
W ciężkiej godzinie zapłaczą.

BALTAZAR.

Tobie cześć, chwała Chryste nad wiernemi,
Królestwo twoje idzie do wszędzi ziemi!
Za Trapezuntem i w odległym Rzymie
Wszelki lud będzie wielbić Twoje imię.
Przyszła Dziewica, co nam łez ukróci,
Dla ludzi dobrej woli pokój wróci,
Wróci Saturna wiek na ludzkie plemię,
Wiek złoty wróci na ziemię.

DZIECIĘ JEZUS.

Jam jest Syn Boży, od Ojca posłany,
Zrodzony na śmierć i krzyżowe rany;
By podług prorocत्व mógł być wszelki żywy
Człowiek szczęśliwy.

MARYA.

Tę szatę, która nagie kryła dziecka kości,
Weźmijcie ku pamiętce dla Jego miłści:
Całe błogosławieństwo bierzcie w tej szacie,
Bo innych darów próżno od nas wyglądacie
(Biorą podartą szatę i odchodzą).

V. Ucieczka do Egiptu.

MARYA.

Tutaj odpocznem pod konarem drzewa,
Gdzie gałąź zwieszona tchnie chłodem i wiosną,
Ptaszek niewidomy litanią śpiewa,
I kolendę radosną.

JÓZEF.

Patrz u mego siodła już pękły popręgi,
Od straszego skwaru i długiej mitręgi:
Mała rzecz usiadłszy na oślątka grzbiecie
Jechać bez mozołu przytulając dziecię.

MARYA.

Jak ptaszki fruwią od prątka do prątka,
Jakby na zabawę króla pacholątka.
Muszę pójść w nizinę i w strugowym płynie
Oczyścić giezłeczko kochanej dziecinie.

(chce iść do źródła).

Józefie, Józefie, pełna jestem trwogi
Od tych czarnych ludzi, co tam śpią przy drodze;
Oni nas napadną, uprowadzą z drogi,
Splondrują bezbronych i skatują srodze.

*(Widać tłum zbójców śpiących; dwaj z nich wstają i idą).*DUMACHUS *(do Józefa).*

Ty duszo kogucia! dawaj tu sam złoto.

JÓZEF.

Przezacni panowie! oddaję z ochotą
Wszystko, choć nic nie mam: złota ni obrony.

DUMACHUS.

Oddaj tu pieniądze.

TYTUS.

Puszczaj ich, szalony.

DUMACHUS.

Niech nam pierwój złożą okupne podarki,
A potem wędrują na złamane karki.

TYTUS.

Naści kopę złotych, byleś za tę hojność
Chciał zachować zgodę i świętą spokojność.

MARYA.

Oby się nad tobą zmiłował Pan świata,
Gdy staniesz w dzień sądu w ziemi Jozafata.

JEZUS.

Kiedy od dnia tego trzydzieści lat minie,
Ja będę na krzyżu konał w Palestynie;
Całe Jeruzalem wylegnie z ulicy
Patrzyć, jak Chrystusa męczę przeciwnicy.
W ów to dzień po prawej i po lewej ręce,
Ci dwaj dani będą wspólniej ze mną męce;
Dumachus bez żalu na krzyżu zostanie,
Tytus ze mną pójdzie w niebo na mieszkanie.

(Słychać głos tręb i tętent koni jakby idących hufców; zbójcy uciekają).

VI. Rzeź niewinnych.

HEROD.

Do stu szatanów! cóż u Belzebuba,
To mię i dziwi i gniewa piekielnie!
Co za nowiny: mnie zagraża zguba?
Toż ja nie Herod? dam sobie bezczelnie
Koronę wyrwać tron Jeruzalemu,
Jakiemuś tam królowi żydowskiemu!

(Chodzi rozgniewany i wywija mieczem).

Hola! tu służba! przynieść wina panu,
Tęgiego wina z winnic Chanaanu.
Słyszycie? gąsior tu wina z Helbonu,
Któreśmy w Tyrze z jarmarku dostali.
Jak krew czerwone, i jak płomień pali,
Godne ze wszech miar królewskiego tonu.

(Wychyla duży kielich wina).

Teraz u okna stanąć nie zaszkodzi
I bawić oko, kiedy tłum rycerzy
We krwi niemowląt izraelskich brodzi.
Z niemi zrodzone świeżo w Betleemie
Owo dzieciątko pod mieczem żołnierzy
Ani już zipnie, krwią zrosiwszy ziemię.

(Słychać głosy rozpacliwe na ulicy).

RACHEL.

O tyranie srogi! o duchu nieprawy!
Tak ci pilno było wydać rozkaz krwawy!
Wyrznięto wszystkie me dzieci!

HEROD.

Mości podczaszy, ogłuchłeś człowieka,
Lejże mi jeszcze ten puhar Soreku:
Rozumiesz, jeszcze należy się trzeci.

RAHAB.

Niechaj przekleństwo spadnie na twą głowę
I na twe całe plemię Kainowe,
Za nasze dzieci!

HEROD.

Jeszcze tu puhar arcy znanych światu
Mirrowych kropli, nalewki z granatu
I w środek kalamusu.

ŻOŁNIERZE (*na ulicy*).

Tu w nasze ręce daj dziecko odrazu:
Musi umierać z Heroda rozkazu,
Jak nie z woli, to z przymusu.

PIASTUNKA MEDUZA.

Potworna duszo! piękne dzieło twoje:
Heroda dziecię przeciąłeś na dwoje.

HEROD.

Dniu rozpaczliwy, o jakież to słowa
Nad mojem uchem zagrzmiały w tej chwili!
Serce się pali, żarzy moja głowa,
Wkrótce duch spłonie i krew się wysili:
Obym już skonał, skonał nieszczęśliwy
Lub był pogrzebiony żywy.

(Upada i tarza się, jak toczony robakami. Otwiera się piekło. Szatan i Astarot porywają go na dno).

VII. Jezus bawi się z zaczkami.

JEZUS.

Deszczyk ustał; tu dzieciny
Nalepiemy wróbli z gliny,
W dole nad rzeką.

JUDASZ.

Patrz jak rzeka w rączym biegu
Ponad łąki wyszła z brzegu,
Wylała daleko.

(Rozprowadzają wodę strugami i rob'ą małe stawy. Jezus ulepia dwanaście wróbli z gliny; inne dzieci czynią toż samo).

JEZUS.

Patrzcie, jak te ptaszki drobne
Schylą dzioby swe nadobne
I pić będą niemi.
Potém każę im zaświecić
Żywém piórkiem, potém wzlecić,
Nie wrócić do ziemi.

JUDASZ.

Nie dokażesz, nie uleca,
Wróble z gliny nie zaświecą
Skrzydółkiem na błoni.

JEZUS.

W lot, w lot wolne me ptaszęta,
Lecz niech każdy mnie pamięta,
Bo wyszedł z méj dłoni.
(Jezus klaszcze rękami, a wróble odlatują swiergocząc).

JUDASZ.

Wiem ja dobrze, ty znasz czary,
Prawi mi to ojciec stary,
Z tobą grać zabrania.
(Uderza Jezusa w prawy bok).

JEZUS.

Judasz zranił mi bok prawy,
Ten bok kiedyś będzie krwawy
W dzień ukrzyżowania.
(Józef nadchodzi i mówi).

JÓZEF.

O! psotne dzieci, czemuż dziś igracie?
Zapomnieliście o świętym Sabacie.
Dadzą wam, dadzą matki gdy zastaną
Przy takiej brudnej, swawolnej robocie,
W takim rozgrzaniu i płynącym pocie.
Ręce i nóżki zaklejone w błocie,
Że na uczciwość i poznać was trudno:
Tu w całym mieście dziada nie widziano
Coby wyglądał na twarzy tak brudno.

VIII. Szkółka wiejska.

(Rabbi Ben Izrael, z długą brodą siedzi na wysokim stoliku, trzymając w ręku różgę).

RABBI.

Ja jestem wielki Ben Izrael,
Słynny w téj wiosce na wsze strony,

Zaświadczy zaków mych rój cały,
 Żem i w religiach nauczony.
 Święta Kabala, Talmud biały.
 Głębszy od prorocstw um zawiera.
 Biblii mądrość—woda szczerą,
 Lecz mądrość Miszny—tęgie wino.
 Czczą mię od wschodu do zachodu
 I z każdego Purym obchodu
 Wracam opily, jako bydle,
 Co się w łożysku swém przewraca;
 A wino tak mię wikła w sidle,
 Że mi się w oczach kres zatracą.
 Między „Haman bądź przeklęty”
 I: „Morderchai bądź święty”.
 Pójdź sam, Judaszu Iskaryoto,
 Jeśliś się uczył dziś z ochotą,
 Wytłumacz nam tu z całą mocą,
 Czemuż to psy wyją nocą.

JUDASZ.

W Kabala stoi, że psy wyją,
 Gdy wielki Sammael, anioł śmierci,
 Z zimnym oddechem, wążką szyją
 Nocą przez miasto ucieka.

RABBI.

Dobrze Judaszu: teraz proszę,
 Co anioł śmierci mnogooki
 Czyni, gdy spuści się nad zwłoki
 Konającego Hebrajczyka.

JUDASZ.

Tuż przy nim staje, w górze trzyma
 Miecz swój, z którego wolno spada
 W usta chorego kropla żółci,
 I oko bielą mu zakłada.

RABBI.

A teraz powiedz mądre dziecię,
 Które są wielkie cztery głosy,
 Co się rozchodzą w całym świecie,
 A ludzie słyszeć ich nie mogą.

JUDASZ.

Pierwszy, to w niebiosach głos słońca;
 Drugi głos, to Rzymu szemranie;
 Trzeci głos, dusza wracająca,
 A głos ostatni: anioł deszczu.

RABBI.

Dzielnieś rozwikłał wszystkie cuda.
 Teraz ty Jezu, synu cieśli
 Pokaż, czy dobrze Ci się uda
 Zadane rano abecadło.

JEZUS.

Aleph.

RABBI.

Cóż dalej, niedość na tém:
 Powiedz do końca abecadła,
 Aleph, beth. Jak widzę, swawola
 Lepiej do smaku ci przypadła.

JEZUS.

Co znaczy pierwsza, pragnę wiedzieć,
 Nim dalsze głoski będę śledzić.

RABBI.

O święty Piotrze, to zawiele!
 Ja ci ten rozum wnet wymieję;
 Jak pewna, że Jod głoska mała
 Głośno do Boga się ozwała;
 Tak pewno za zbytek odwagi
 Z méj ręki czekają Cię plagi.
(Zamierza się różgą, leez usycha mu ręka).

IX. Uwieńczenie kwiatami.

(Jezus, siedząc między współuczniami, uwieczony w kwiaty).

WSPÓLUCZNIOWIE.

Po ziemi nasze roznieemy szaty,
 Głowę twą wieńczą pachnące kwiaty,
 My jak na straży, stojąc dokoła,
 Przed naszym królem chylimy czoła.
 Ty jesteś nowy król judzkiej ziemi,
 Pozwól, by każdy przechodzień świata
 Oddał Ci pokłon hołdy winnemi,
 Jakie przystoją dla majestatu.

*(Przechodnie przesuwają się, a dzieci dotykają szat jego
 i mówią).*

DZIECI.

Przyjdź z hołdem, gościu wszelkiej strony!
 To nasz król dzisiaj uwieczony,
 A potem wróc, gdzie wiedzie droga
 W imię wielkiego Boga.

PRZECHODZIEN.

Chwała królowi uwięzionemu,
Który dziś zajął tron Betleemu.
Za perły, zdobny szafranu kwiatem,
Na znak władzy nad światem.

(Ochodzi. Zbliżają się inni, niosąc chore dziecię w lektyce).

DZIECI.

Zbliżcie się, nosze złóście na stronie,
Oto król judzki siedzi na tronie!
Jakaż to niemoc dolega syna,
Że drży i jęczy biedna dziecina?

PRZYCHODNIE.

Ten za ptaszkami śledząc w parowie
Wspiął się na gniazdo, aż w trawie skryty
Wąż z purpurowym czubem na głowie,
Utkwił mu w ciele cios jadowity.

JEZUS.

Przynieście dziecię, niech dotknę rany
I zdrowym będzie syn ukochany;
Moje dotknięcie leczy od gadu
I wyprowadza śmiertelność z jadu.

(Dotyka rany, a dziecię zaczyna krzyczeć).

Nie płacz malutki, już przewidziałem,
Że będzie sława twa znamienita:
W moich wyznawców gronie wspaniałem
Zasłynieś, jako: Szymon Kannanita.

EPILOG.

Raczie posłuchać, dostojni widzowie,
Dziś, przedstawimy w drugiej dnia połowie
Inną część świętych mąk bożego syna,
Która się zaraz po nonach zaczyna.
Damy też w końcu tej uroczystości,
Błogosławieństwa gwoli i wdzięczności,
Widzenie świętych męczenników kości.

IV.

SCENA DWUNASTA.

(Droga do Hirsau).

KSIĄŻĘ HENRYK i ELSYA *(z orszakiem kobiet
i mężczyzn konno).*

ELSYA.

Górami, górami idzie droga w gród daleki, gdzie człowieka,
Szereg wieści, łez, nadziei, zemsty lub miłości czeka.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Życie nasze jestto dzika arfa z kilku strun radosnych,
Lecz pod niemi więcej dźwięków wiecznie tęsknych i ża-
łosnych.

ELSYA.

Wiara nam tylko życie tłumaczy, i tylko serce cierniami
przeszyte
Może nam obraz Chrystusa przypomnieć i straszną rozwi-
kłać zagadkę.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Człowiek jest samolubem nieszczelnym: chwycił rozkosze
niepomny na przyszłość...
Czemu w tym życiu, Elsyo, jam stanął przy tobie, szatan
przy boku anioła!

ELSYA.

Wszystkie tu płoty zbieleły od pyłu, i pies ogromny pod
wozem skrzypiącym
Skrzył bezczynną głowę przed skwarem słonecznym, gdy
konie od pracy się pieniają.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Teraz stanął przed bramą gospody woźnica, z młodą
dziewicą rozmawia;
Konie, strudzone biegiem po górach, woła wychudłe bio-
dra skrzepiają.

ELSYA.

W życiu niejedna gospoda na drodze, gdzie duszę mo-
żna pckrzepić miłością,
Żebrak mizerny ugasić może pragnienie w strumyku kar-
mionym źródłami.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Tam, gdzie się wznosi krzyż ów kamienny, kończy się
 nasza podróż po górach,
 I nad polami po wązkiej drożyni w rozwartą zieloną do-
 linę się skręca.
 Nie żal mi drogi ubitej z pyłu chmurami i skwarem zo-
 stawiać za sobą;
 Słodszy mię wiatr tam czeka w płaszczyźnie i miękka
 darn pod konia stopami.
(Zjeżdżają w zielony wąwóz).

ELSYA.

Słodko dycha powietrze kwitnącą czeremchą, i dołem
 w rozległej równinie
 Kwiatem okryte wiśniowe gałązki, jakby śniegiem spru-
 szone, bieleją.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Ponad głowami biała kaskada błyszczy naprzeciw góry
 odległej,
 Szumu nie słyhać, nie widać jej ruchu: wisi jak sztandar
 przy wietrze spokojnym.

ELSYA.

Zimny, wilgotny jest parów głęboki, i zimny szmer stru-
 mienia przy boku;
 Jakiż tam zamek na górze, co władzę szeroką rozciąga nad
 krajobrazem?

KSIĄŻĘ HENRYK.

Jest to dziedzina hrabiów de Calva, dobrze mi znane zda-
 wna te sceny:
 Mocno mi każda tu wieża pamiętna, każdy mi strumyk
 pamiętny i drzewo.

ELSYA.

Oto z wioszczki małej pod nami, dzwony kościelne desz-
 czu błagają,
 Lud i kapłany w długiej processyi idą, klękają na błonie
 piaszczyste.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Wkrótce się spełnią ich żądania: już widzę z południa
 chmurę ciągnącą,
 Która przed słońca zachodem niebo, jak kirem dokoła
 nad nami pokryje.

(Oddalają się).

SCENA TRZYNASTA.

*(Skryptorium).**(Brat PACIFIKUS przepisuje i kładzie malowidło).*

Już ciemno, jednak jeszcze choć jedna litera:
 Jutro znów z świtem moja praca się otwiera,
 I znów przyjdzie napisać wielkie imię Pana;
 Lecz przed pierwszą literą straszliwego miana.
 Które człowiek zuchwale porównał z naturą,
 Muszę chwilę odpocząć i obmyć me pióro
 Z wszelkiej zmaży i pyłu, którym świat go plami,
 Nim przenajświętsze słowo wyrażę głoskami.
 Otom, siedząc nad pracą do nocy od rana
 Wypracował już całą ewangelią Jana:
 Któż się nie zdumi, kiedy z ust ewangelisty,
 Z owych pełnych słodczy ust świętego Jana,
 Na których Chrystus składał swój uścisk przeczysty.
 Straszna Apokalipsys będzie usłyszana?
 Któż nie zadrży po owym groźnym Objawieniu,
 Co stoi w końcu księgi, jak słońce w zaćmieniu?
 W proch upadam, gdy wspomnę te czarne obrazy,
 Które po wierszu kreślić będą długie lata;
 Owe trwożące widma, przekleństwa wyrazy,
 Grzmiące jak trąba sądu po skończeniu świata.
 Przebacz mi! straszny sędzio. jeśli moją mowę
 Poważyl się z tych prorocstw ująć jedno słowo:
 Niech, gdy Chrystus dla sądu w obłoku usiedzie,
 Część z mojego żywota ujętą nie będzie.

(przygląda się swojemu rękopismowi).

Ale mi się powiodło, mogę wyrzec śmieie,
 Nie waham się pokazać światu, i w dzień biały
 Postawić rękopismu przy tém pięknym dziele,
 Które i świętej Tekli ręce napisały,
 Albo Teodozjusza, który przed wiekami
 Pisał ewangelistów złotemi głoskami.
 Oto stoją Tetianty olbrzymiej postaci;
 Nie ma tam skazy, nie ma błędu ani plamy;
 Jednak w obec nich moje palmy nie utraci,
 Jeśli je co do wiersza z niemi porównamy.
 Proszę zważyć to wielkie Finitale:
 Lepszego święty Ulrych nie nakreślił wcale;
 Jak się cudnie w ślimaka i liście rozstawia,
 I dołem w złote oka na ogonie pawia.
 A teraz, gdy od końca przewrócimy dzieło,
 Ile tu skarbów sztuki pióro me zamknęło!

A wszystko szkli się świetnie od farby i złota!
 Boże bądź mi miłościw. Serce bije we mnie,
 Dusza drży od radości i duma mną miota:
 Znać talentu pod ziemią nie skryłem nikczemnie.
 Tak! mogę rzec w pokorze do Boga na niebie,
 Oto w pocie powita praca już gotowa,
 Oto jam skreślił twoje przenajświętsze słowa,
 Mała ofiara, którą uczynił dla Ciebie.

(Patrzy w okno).

O! jak wkoło świat istot patrzy uroczyście!
 Jakbym pragnął pochwycić tę barwę zieloną,
 Ożywić mój krajobraz, ubarwić me liście.
 I jaskółki gdzieś nucą pod dachów zasłona,
 Oto jedna usiadła tu na gzyms różowy:
 Muszę schwycić promieni z jej piersi i głowy
 Lub całą odmaluję, by świecące pierze
 Na kartach ewangelii zdobyły pobrzeże.

(Pociąga jeden rys).

Już nie dojrzyć nie mogę, reszta dnia zamiera;
 Tam w dolinie deszcz rosi, grzmot słychać zdaleka,
 Który echo półgłosem po świecie rozwleka:
 Grzmot ponury, jedyny pacierz Lucyfera.
 Kurz z deszczem, noc przed czasem napędza od boru,
 Jakiś pociąg wędrowców zmierza do klasztoru,
 Nie mają do stracenia ani jednej chwili,
 Słudzy biją do bramy, z koni zeskoczyli.
 Ach! jakaż śliczna Pani! Obok niej na prawo,
 Piękny, wspaniały rycerz, z znaczącą postawą.
 Ona, zsiadając, jego trzyma się ramienia;
 Pewnie tu przyjdą prosić przed burzą schronienia.
 Muszę szybko pobiegnąć w korytarz klasztoru,
 A raz jeszcze ujrzana ta twarz pełna wzoru
 Przyda mi się na obraz jakiego anioła,
 Albo Maryi Panny, albo apostoła.

SCENA CZTERNASTA.

(Klasztor).

OPAT ERNESTYN *(przechadzając się).*

Zwolna, zwolna z murów klasztoru
 Blask się zrywa, cień się zrywa:
 Już napływa mgła wieczoru,
 I wieczorny mrok napływa;

Wszędy wkoło ponad głową
 Widać chmurę całunową,
 I jaskółek tłumna jazda
 Wraca na nocleg do gniazda.
 Promienie słońca od zachodu
 Złocą okno barwy swemi,
 Więcej ciszy, więcej chłodu
 Tam na niebie, tu na ziemi,
 Ale więcej ciemna, blada
 W moję duszę noc zapada.
 W górę ludzkie życie bieży.
 Jakby słońce po tej wieży,
 A z tej wieży w ów byt wysoki,
 Gdzie je świat już z oka traci!
 Ach! bo dusze zmarłych braci,
 To światła zbiegłe w oblokil!

(Wchodzi książe Henryk).

KSIĄŻĘ HENRYK.

Chrystus zmartwychwstał.

OPAT.

Zmartwychwstał zaprawdę.

Pokój gościowi.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Tu jest pokój wieczny,
 Tu pokój Boga, patrzącego Boga,
 W cichych zakonu murach i krużgankach.
 Tyś jest Ernestem przeorem zakonu?

OPAT.

Ja.

KSIĄŻĘ HENRYK.

A jam Henryk z książąt Hoheneków,
 Przychodzę, prosząc na noc gościnności.

OPAT.

Tyś pożądanym gościem w naszych murach.
 Ten wielki zaszczyt chciałbym ci opłacić;
 Lecz z niesmiałością przyjmując książećcia,
 Święconém jajkiem i winem klasztorném,
 Co pozostało z darów Wielkanocnych.

KSIĄŻĘ HENRYK.

A reszta braci, czy zdrowi w zakoni-
 Jak się im wiedzie?

OPAT.

Wszystko pożądanie.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Szlachetny zakon: oddawna go znalazłem
 Z wieści podróżnych, lecz teraz dosłrzegam,
 Że ich pochwały prawdzie ustępują.
 Wasz klasztor skryty tu w dolinie Nagold,
 Leży jak gniazdo, a rzeka błyszcząca
 W cichém korycie, jest jakby przestroga,
 Że wszystko mija. Żyzne wasze łany,
 Zasoby wielkie i błogosławieństwo
 Leży nad wami.

OPAT.

Czynami jałmużny

Chcemy je zyskać, bo nasz pan fundator
 Gdy nas opuszczał, zostawić nam raczył
 Największe w świecie dziedzictwo:— ubogich.
 Tych mamy zawsze i gdyby nie oni,
 Stwardłyby serca nasze jak kamienie.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Czy się nie mylę, że od hrabiów Calva
 Idzie fundacya.

OPAT.

Tak jest, jak mówiłeś.

KSIĄŻĘ HENRYK.

I jak się zdaje, ten klasztor jest dawny.

OPAT.

W łonie klasztoru już zmarłych opatów
 Leży dwunastu, a pod tym kamieniem,
 Na którym stoję, leży opat Wilhelm
 Świętej pamięci.

KSIĄŻĘ HENRYK.

A czyjto grobowiec
 Z miedzianym herbem?

OPAT.

To nasz dobroczyńca
 Konrad de Calva, który naszym dzwonom
 Był chrzestnym ojcem.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Zakonników macie
 Świętych, uczonych mężów.

OPAT.

Są w ich gronie
 Mędrcy, pobożni ludzie; lecz w tym wieku
 Drugi Hildebrand byłby nam potrzebny,
 By nas jak silny wiatr wstrząsł i oczyścił.
 Świat leży w złościach i dziwna, że Stwórca
 Jeszcze ma nad nim tyle miłosierdzia,
 Że go nie strzaska jak szkło: i tu nawet,
 Gdzie wszystko winno być wzorem pokoju,
 I tu są próby. Czas położył rękę
 Na moich piersiach, lekko, nie ściskając;
 Tylko jak muzyk, co dłoń swoją wkłada
 Na arfę, aby drganie strun przytłumić.
 Oto na głowie mój popiół, na ustach
 Więzy, na sercu ciężkie brzemie leży
 I tęskność życia: już nieraz do świętych,
 Śpiących podemną opatów przemawiam:
 „Róbcie mi łoże”, już widzę przed sobą
 Zorzę wieczorną; a wszak i w połowie
 Niedokonane zadanie. Tak przeto
 Mysł już o krótkiej reszcie tego życia
 Upada, jakby cień na przyszłe życie.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Wszyscy pomrzemy i nietylko starzy;
 Młody z pod tego losu nie wyjęty.

OPAT.

Ach, tak! bo młody może, stary musi:
 Taka różnica.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Wieść głośna uwielbia
 Waszych pisarzy, wszędzie ich skryptoryum
 Słynie po świecie; wasze rękopisma
 Mają piękności sławę i ozdoby.

OPAT.

To nasza słuszna chluba: jeśli zechcesz,
 Możesz obejrzyć te skarby; tymczasem
 Refektoraryusz z szczerą gościnnością
 Przyjmie twe kćnie i orszak na nocleg.
 (*Wychodzą, słyszą dzwon nieszporny*).

SCENA PIĘTNASTA.*(Koplica).**(Nieszpory, po których zakonnicy odchodzą. Chórzysta prowadzi starego mnicha ciemnego).***KSIĄŻĘ HENRYK.**

Wszyscy odeszli, jeden się wstrzymuje
 Przykuty myślą do swego pacierza;
 Znać serce jego ciszy nie znajduje:
 To pomarszczoną ręką w pierś uderza,
 A pierś ta chora, a ręka dīgająca;
 To ją z zapalem podnosi do słońca.
 Przy nim chórzysta, mierząc drogę okiem,
 Ku mnie powolnym prowadzi go krokiem...
 Byćże to może, ażali w pomroku
 Nie mam już ufać sile mego oka.
 Nie! nie! poznaję te piękne za młodu
 Rysy, choć czas ich dotknął w swym przebiegu,
 I krucze włosy powłókł barwą śniegu:
 To najstraszniejszy wróg naszego rodu.

CIEMNY MNICH.

Ktoś tu tak blisko przechodzi nam drogę,
 Że szmer szeptania jego słyszeć mogę.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Ja jestem książę Henryk von Hohenek,
 Ty hrabia Hugo: poznaję tę szramę,
 Co hrabię Renu zdaleka obwieszcza;
 Poznaję w czole wyciśniętą plamę,
 Co błyszczący krwawo jak gwiazda złotowieszcza.

CIEMNY MNICH.

Tak, niegdyś hrabią Hugo, dziś rozbitek
 Tego, czém byłem, książę Hohenuku:
 Namiętna wola, gniew, duma i zbytek,
 Nosząc go oślep po bezdrożach wieku
 Raz się potknęły i wśród niemój trwogi,
 Jak koń strudzony dźwiganiem zbrodniarza,
 Tam gdzieś zrzuciły go w połowie drogi
 Między odludne bagna i roztopy.
 On dziki, ciemny, chory, opuszczony,
 Drży, błądzi, słucha, słyszy z każdej strony,

Tuż poza sobą ścigających stopy.
 Wtém nagle jakiś głos rozległ się w cieniu.
 Słucha: ten głos go wzywa po imieniu
 I mówi: „klęknij i przebłagaj Boga”.
 O cud! znikła na zawsze ma trwoga,
 I już nie wróci; pokuta, żal, skrucha,
 Z wszechwładną siłą ogarnęły ducha,
 I nowy szereg wrażeń był wysnuty;
 Jakaś nadzieja, przeczucie, uroki,
 Po dniach modlitwy i nocach pokuty.
 Dziś duch mój czysty, przejrzysty, głęboki,
 Dziś go spokojne oblewają wody,
 I tysiąc źródeł ukrytych wytryska.
 Gdzie pierw gorzały wulkanu ogniska.
 A ty mię książe, ty gościu przychodni,
 Zaznales jeszcze w owych dniach zakaly,
 Gdy żądza gwałtu i namiętność zbrodni
 Nad dzikiem sercem jarzma nie ścierpiały.
 Teraz się przyjrzyj, jakom w świętém bractwie
 Dopłynął portu po długim tułactwie:
 O! podaj rękę, padnę na kolana,
 Depcz mię, policzkuj, lżyj mię podług woli,
 Nie szczędź wyrzutów: wszak żadna już rana
 Serca cichego w Chrystusie nie boli.
 Tak! podnieś mściwą dłoń i zadaj razy,
 Jeżelis przyszedł pomścić się urazy.
 A potem, potem przebacz dla miłości Pana!

KSIĄŻĘ HENRYK.

Powstań Hugonie, niech już od tój chwili
 Bóg Wielki wieczne przymierze uści
 Między wrogami; obaśmy zblądzili,
 Zbyt mściwi w czynach, ślepi w nienawiści.
 Od lat najpierwszych z zawistną podstawą
 Staliśmy oba w namiętności szumie,
 Każdy niepomny na drugiego prawo,
 Każdy na własnej wspierając się dumie.
 Dziś, kiedy serca przyciśnione głazem,
 Kiedy nas ręka Boża niedaremnie
 Ognistym palcem dotknęła tajemnie,
 Klęknijmy oba i módlmy się razem,
 Aż Bóg lizopem pokropić nas raczy,
 I jak my sobie, On też nam przebaczy.

(Klęka).)

SCENA SZESNASTA.

*(Klasztor zakonnic).*ZAKONNICA IRMINGARDA z ELSYĄ *(przy
świelle księżycy).*

IRMINGARDA.

Jak noc spokojna, jak wiatery zamiera,
 Jak księżyc lubo z za lasów wyziera
 I ponad klasztor, ogrody i góry
 Już na spoczynek przeciągnęły chmury:
 Znikły bez śladu, i widać tron cały
 Króla wszech światel;—tak świecą promienie
 Błogości, żalu, natchnienia i chwały
 W tej duszy, co znalazła przebaczenie.
 Jam tą grzesznicą! Duszy mój głębina
 Była zaćmiona i żądzą skalana;
 Lecz dziś na zawsze zaleczona rana:
 Uleciał smutek i przecucie zguby,
 Bo przez tę ziemską puszczyłę lez i próby,
 Gdzim po palących piaskach iść musiała,
 Od nieba wiatry wionęły rzeźwiące;
 Nagle się wzruszył i wstrząsł byt mój cały,
 Jak liście drzewa lub ziola na łące.
 Uczulam zdrowia i pokoju przyjscie,
 Bo mię owiały ewangelii liście.
 Elsy! gdy ciebie mam przy moim boku,
 Gdy księżyc blaskiem włosy twe oblewa
 I ciemność widzę tylko w twojem oku:
 Jakaś moc duszę pociąga ku tobie
 Tak mocno, dziwnie, jakby w dawniej dobie
 Już ciebie znała i piérwój kochała.
 Tak mi jest krewnym duch każdej dziewicy
 Żyjacej w świętych sferach tajemnicy!
 Jestem Irmingarda, bogatego rodu,
 I przodków świetnych z imienia i czynów;
 I bard niejeden wędrując za młodu
 Po stromych ścieżkach i cierniach zawodu,
 Przemennie wstąpił na pole wawrzynów.
 Świetneżto były dnie i pełne szalu!
 Płynęły szybko, a za dniami nocy
 Pędzone w walce siły i niemocy.
 Ta miłość, która od młodej dziewicy
 Żąda całego serca bez podziału,
 Która jest dla niej tém z natury prawe.

Czém dla młodzieńca jest duma i sława:
 Jój tchem, jój życiem, jest światem i słońcem,
 Która nie ścierpi zawodu, aż w trumnie:—
 Ta miłość wyszła na spotkanie ku mnie,
 Gdym w świat z klasztornej wypuszczona celi,
 Słuchała piosnek natchnionych minstrel.
 Piękny postawą, wyobraźnią świetny,
 W rysach znaczący, i w czynach szlachetny,
 Nad resztą świata był Walter Vogelweid;
 Już o całym zapomniawszy świecie,
 Z dumą marzyłam o młodym poecie.
 Bo też śpiew jego był lata obrazem:
 W nim wszech muzyka ptaków grała razem
 Roskoszą światła, falami obłoku,
 Wonnością kwiatów i gwarem potoku.
 Słuchałam pieśni pełna świętej trwogi,
 Jak ptak spłoszony żeglując nad światem
 W prądach eteru; winnice, rozłogi
 Snuły się w dolach i zboża pod kwiatem;
 To po chwilowém błędzeniu w chmur łonie
 Znow się puszczałem nad świecące błonie
 W jakąś nieznana, nieskończoną drogę,
 Czując, że losu powstrzymać nie mogę.
 I tak samotna zdaleka od ludu,
 Raczej wypadkiem niżeli z wyboru
 Słuchałam dźwięków natchnienia i cudu,
 Aż w ducha mego najskrytsze głębiny
 Ten śpiew przeniknął. Raz w chwili wieczoru,
 Już cień majowy padał na krzewiny,
 Słucham, gdzie ptaszki po zaroślach skaczą.
 Zwilżone rosą, liść na liściu drzémie:
 To Walter, Walter wymówił me imię;
 Czemuż wymówił z jękiem i rozpaczą?
 Ten głos mię owiał przestraczem dokoła,
 Jak w strasznym sądzie trąba archaniola,
 Którój dźwięk grobów otwiera otchłanie;
 I duch mój poczuł jakby zmartwychwstanie;
 I tém był dla mnie ubiegły byt niemy,
 Czém kiedyś będą owe męki zgonu,
 Gdy po nicestwie u wieczności tronu
 Powstawszy z prochu, wielki dzień ujrzemy.
 Niestety! byłto tylko sen nietrwały,
 Który w noc jedną dwie dusze owionął,
 I zwiądł w noc jedną i rozpierzchnął się cały.
 Srogi gniew ojca na tę miłość zionął,
 Jak nieraz wichur na popioły zionie,
 I zamiast słumić wznieci żar na tronie.

„Nie! woła, żadne koczujące bardy
 Nie wezmą ręki mojej Irmingardy,
 Na którą księżę Hohenek już czeka,
 Posłów i listy śląc do mnie zdaleka.”

„Nie, ojczy, rzekłam z dumą choć w pokorze:
 Księżę pomyśli o innym wyborze;
 Nigdy z uczuciem dłoń twego dziecięcia
 Nie spocznie w dłoni zacnego księżęcia”.
 Tak powiedziałam dla ciebie, Walterze,
 Bo reszty serca nie śmiałam otwierać.
 O! gdyby wolno było mi wybierać!

Po chwili ojciec znów przerwał milczenie,
 I rzekł tym zimnym nieugiętym tonem,
 Który słuchaczów obraca w kamienie,
 I już się zdaje czynem poleconym:
 „To, lub w klasztorze wieczna służba niebu”
 Tyle słów wyrzekł: z czołem pochyloném
 Jam je słyszała, jak hasło pogrzebu;
 Duch żegnał ciało i serce konało.
 Téj saméj nocy od zamku, w milczeniu
 Wolnym, niepewnym i kradzionym krokiem,
 Dwa cienie jadą na dwóch koniach z cieniu.
 Ten mały orszak wązką ścieżką jedzie,
 Która z wąwozu w głęboki las wiedzie;
 A że twarz, barwę i postawę traci
 W tém morzu liści, w ciemności sklepieniu
 Rzekłbyś, że płyną duchy bez postaci.
 Że cień czarniejszy snuje się po cieniu,
 I zgadnąć trudno, czy płyną lub stoją:
 To był wieszcz Walter z Irmingardą swoją.
 Szumiący strumień ze szmerem swawolnym,
 Jak pies za strzelcem biegnął w nasze ślady,
 I pryskał w górę, bo w szczelinach ginał
 I szumić przestał; to z szumem wypłynął,
 Jakby się lękał i udzielał rady,
 Że tętent koni w biegu zbyt powolnym
 Wpędzi nas w sidła zaczajonej zdrady.
 Gdyśmy z parowu wjechali na błonie,
 Na chwilę cugłem wstrzymaliśmy konie,
 By ujrzeć jeszcze zamek opuszczony.
 Patrzymy: w zamku gęste światło płonie,
 To światło mury i okna zaległo.
 We mnie przestało bić serce od trwogi,
 Strumień przelekkły wił się nam pod nogi,
 Straszne przeczucie po duszy przebiegło;
 Gdy krzyk się rozległ od zamkowej strony,
 I konie rżały i trąbiono w rogi,

Strwożone nasze parskaly rumaki,
Gnały na oślep przez zielone szlaki
Tuż obok siebie, w tak ścieśnionym rzedzie,
Że się zdawały jednym koniem w pędzie;
Za niemi w pogoń biegł cień po murawie,
Za cieniem w dali ścigał koń zdyszany,
Jak obłok siłą wiatrów popychany.
Dziś jeszcze widzę jak pędzimy, prawie
Lotem po bagnach w letniej nocy blasku;
Pod nami droga wila się po piasku,
I wstecz płynęła jak rzeka w padole,
Biorąc za sobą płoty i topole.
Tymczasem w górze, daleko, nad głową,
Bledszy odemnie ze smutku i trwogi,
Księżyc kolejną płynął lazurową.
I nam w ucieczce dotrzymywał drogi:
Wszystko to jasno pamięć mi rozświeca.
Reszty nie pomnę, lecz w wrażeń odmęcie
Zostało jedno, jakiś skok na skęcie,
Skok rozpaczliwy... niby w głąb wieczności,
A potem... potem noc i tajemnica.
Kiedym się później ocknęła ze mdłości,
Po krótkiej śmierci wracając do świata,
Świeciło słońce, księżyc już nie świecił.
Jakby sam, gasnąc, słońcu mię polecił;
Tylko na ścianie czarny krzyż się splata,
W nim się odbija długich okien krata.
Do tego krzyża składam blade ręce,
Jak zwykłam czynić w me lata dziecięce,
Pierwszą myśl ze snu poświęcając Bogu,
Bo znów się widzę na ojcowskim progu.
I składam dzięki wśród dreszczu i skruchy,
Że już zniknęły owe nocne duchy,
I róg już nie grzmi potępienia głosem,
I że się kończy moja walka z losem.
Dawno już przyszłość te zdarzenia chowa!
Jam ustąpiła z rodzinnego grona,
Jak Katarzyna na męki gotowa,
Bom to mękami zwała... zaślepiona!
A kiedy za mną na wieki klasztoru
Drzwi zatrzaśnięto, mgły duszę obległy,
Uczulam, jakby spadnięcie toporu
I dreszcze śmierci po członkach przebiegły.
Tutaj na ducha bolem oblanego,
Padł zgnily wyziew mój klasztornej sali,
Jak cierpka rosa, gdy dotknie rannego,
I srogim ogniem bliźnę jego pali.

Wreszcie uczulam, że cisza nastanie;
 Czulam jak wolno ustaje konanie
 I na spienione uczucia odmetry.
 Skinienie Boże zsyla pokój święty.
 Tak! byłto pokój, lecz nie pokój glazu,
 Co myśl przygniata stanem bez wyrazu,
 Co w życie wwiewa śmierci obojętność:
 Byłato dawna, ta sama namiętność,
 Która przyrosła do tej ziemi łona,
 Dziś całą pełnią do nieba zwrócona.
 Ach! świat ten pelen przepaścistych toni!
 Nieraz ta ścieżka po różanej błoni
 Słonecznym gajem, niwą kwiatorodną
 Chytrze wywiedzie w pustynię bezpłodną:
 W wysokim rodzie i pod strzechą sioła,
 Mdła wola parciu żądy nie podola.
 Któż się nie zachwiał w tej płaczu dolinie,
 Gdzie w rosie prawdy kropla fałszu płynie,
 Gdzie ginie w oczach nie jednej istoty
 Ciemna granica cnoty i niecnoty?
 Lecz tu, pod tarczą zakonnego domu,
 Bóg nas od ciosów morderczych zasłania,
 Którym na świecie trudno stawić czoło:
 Nie słyhać burzy, błyskawicy, gromu,
 Ni prądów dészczu, ni fal kołysania;
 Taka tu cisza rozesłana wkoło.
 Jak siedm dziewic pod skrzydłem klasztoru,
 Przy blasku wiary pędzimy dni czarne
 Dla Oblubieńca niebieskiego dworu!
 Bo serca nasze jak lampy ofiarne
 Przed niewidzialnym majestatem płoną:
 I płonąć będą, aż do dnia pogrzebu
 Jasnością świętą, nigdy niezamgloną,
 I zawsze równo zwróconą ku niebu.
 Otóż i księżyc nasz w obłokach tonie,
 Po celi krążą ciemności odmetry,
 Tylko twe oko w czarnej nocy łonie
 Swieci jak klejnot do całunu wpięty.
 Tylko deszcz drobny suche liście chłodzi,
 Zbudzony ptaszek w zaroślach parowu
 Sklejone skrzydła otrząsa z powodzi
 I głaszcze pióra i zasypia zaowu.
 Zaden szmer obcy nie dochodzi ucha;
 Już się za północ przesuwa noc głucha,
 Po długiej drodze już i twoje siły
 Nie zwykłe trudów mocno się znużyły...
 Pójdź, niech sen błogi niewczasy cplaci,
 Mnie on nie dotknie, duch ciśnie na ciało.

I tyle duchów i strasznych postaci
 I widem na noc z grobów swych powstało,
 Że tylko modłów magiczne wyrazy
 Zdołają rozwiąć śmiertelne obrazy.

V.

SCENA SIEDMNASTA.

(Kryty most w Lucernie).

KSIĄŻĘ HENRYK.

Błogosławieństwo architektom, którzy
 Nakryli mostem krętych wód przepaści,
 Niemniej jak wielkim świątyn budownikom,
 Których potężne mury, są jak mosty
 Nad czarną otchłań śmierci podźwignione.
 Słusznie świat daje imię Pontifeksa
 Głowie kościoła, wszecharchitektowi:
 Po jego świętym niewidomym moście
 Droga od ziemi prowadzi do nieba.

ELSYA.

Jakież głęboki mrok spada na ziemię;
 Na murach widać mnogie malowidła.

KSIĄŻĘ HENRYK.

To taniec śmierci.

ELSYA.

Co?

KSIĄŻĘ HENRYK.

To taniec śmierci.

Każdy przechodzień tu wstrzymać się musi,
 Wspomnieć o jutrze.... Tymczasem pod sceną,
 W pośród filarów rozkiełznana rzeka
 Pędzi gwałtownie, jak rzeka żywota,
 I skręt tam wiecznie jasny i zielony,
 Chyba, gdy mostu pokryją go cienie.

ELSYA.

Ach! już go widzę.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Tu muzyk żalobny
 Prowadzi orszak przez labirynt tańca,

Miesza dźwięk z dźwiękiem i rzuca miarami:
To gra na lutni, to w tympan uderza,
Podnieca, trwoży.

ELSYA.

A jakiż tu obraz?

KSIĄŻĘ HENRYK.

Tutaj młodzieniec śpiewa do kapłanki,
Co na kolanach modli się i modłać
Zwraca na niego wzrok, a śmierć tymczasem
Gasi płonące świece na ołtarzu.

ELSYA.

O! Synu Boży, czemuż ona słucha
Tych pieśni ziemi, kiedy wśród modlitwy
Słyszećby mogła śpiew aniołów w niebie.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Ten w kapeluszu i z dzwonkiem gestora
Tańczy z królową.

ELSYA.

O! taniec szalony!

KSIĄŻĘ HENRYK.

Tu rozmarzoną duszę narzeczoną,
Która z swym lubym od ołtarza wraca,
Straszy łoskotem bębna grobowego.

ELSYA.

Ach! to jest smutne, a może i lepiej,
Lepiej że umrze w całym blasku słońca,
W błogosławieństwie ślubnego poranku,
Nim uroczysty blask promieni złotych
Zwiędnie pod mroku lodowatym tchnieniem,
I noc zapadnie.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Niżej napisano:

„Tylko śmierć sama rozłączy nas z sobą”.

ELSYA.

Znów jakiś obraz, co on ma wyrażać?

KSIĄŻĘ HENRYK.

Tu na tympanie gra śmierć, a za śmiercią
Idzie z różańcem bezsilna staruszka,
Idzie za dźwiękiem i zdaje się życzyć,
Aby ją mogła prześcignąć; na dole
Wyryte słowa: „lepsza śmierć niż życie”.

ELSYA.

Lepsza niż życie, ach! tak! tak! tysiącom
 Śmierć na tympanie gra i nuci do nich
 Pieśń pocieszenia; gra póty, aż samo
 Zadrga powietrze: wówczas wybór jeden
 Pójść w jej skinienia. I nietylko starzec,
 Młodzieniec także słucha téj muzyki.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Tak! w chwilach smutku: bo w tym głosie słyszy
 Głos swego serca, do pół-leż pełnego.
 A serce to jest lampą kryształową,
 Która w połowie napelniona wodą,
 Pod naciśnięciem palca odpowiada
 Rzewną, posępną, stłumioną muzyką.
 Idźmy już dalej, dość wzrok się nasycił
 Tą obrazową galeryą śmierci!
 Brzydzę się śmiercią i myślą o śmierci.

ELSYA.

Czemuż dla ciebie tak straszna?

KSIĄŻĘ HENRYK.

Tak! życie,

I każdy wyraz o życiu, jest miły:
 A śmierć i każdy dźwięk o niej, ohydny.

ELSYA.

Grób sam jest krytym mostem, on prowadzi
 Z światła do światła przez ciemność chwilową.

KSIĄŻĘ HENRYK (*wychodząc z ukrycia*).

Ha! znów oddycham! O jakże to słodko,
 Napowrót dostać się na światłoienne
 Z pod cieniów śmierci, i znowu usłyszyć
 Poważny tętent swych koni na lądzie,
 A nie grobowy trzask desek pod stopą,
 Jak na cmentarzu. A otóż przed nami
 Widać jezioro miasta czterech lasów,
 Świetne, wewnętrzne, jak wiejska dziewica
 Przed rodzinnymi górami twarz kryje,
 A potem życie w cudze życie wlewa,
 I byt i imię zamienia. Ponad głową,
 Trzęsąc w powietrzu chmurnemi włosami,
 Wstający Piłat sosnami kołysze.

SCENA OŚMNASTA.*(Most szatana).*

KSIĄŻĘ HENRYK i ELSYA *(przechodzą z towarzysztwem).*

PRZEWODNIK.

Oto most zwany mostem Lucyfera.
Z brzegu do brzegu jeden łuk go wspiera
Ponad przepaścią, co pod stopy memi
Czarne, głębokie, wnętrzości otwiera;
Jakby od wieków po konwulsjach ziemi
W samym wierzchołku góra się rozdarła,
I katarakcie gościniec otwarła:
Tak rwie, i pędzi, i targa swe łono.

LUCYFER *(pod mostem).*

Ha! ha!

PRZEWODNIK.

I ten jedyny most ledwie wzniesiono,
A każdy inny z drzewa lub kamienia
Ręce szatana z gruntu obalały:
To łamał łuki, to podrywał skały;
I tak szło ciągle, że bez ustąpienia,
Co dniem człowieka dokonała praca,
On w noc pospiesza burzy i wywraca.

LUCYFER *(pod mostem).*

Ha! ha!

PRZEWODNIK.

Jużem wam w dole wskazał odłom skały,
Na którym ślady jego bark zostały.
Kiedy go nocą dźwigał po tej drodze.
„Wszelki duch” wieśniak przechodni wykrzyknął,
Wnet ciężar z ramion obalił się w trwodze,
Sparzony szatan wzdrygnął się i zniknął.

LUCYFER *(pod mostem).*

Ha! ha!

PRZEWODNIK.

Nareszcie opat Girardus Einsiedel,
Aby pańnicy do Rzymu już dłużej
Nie mieli tamy w pobożnej podróży,
Ten most o jednym wybudował łuku,

Pod którym rzeka wśród wiecznego huku
Przeciska z pianą swój prąd niedościgły,
Jak się przeciska nie otworem igły.
I stanął pokój z potęgą szatana,
Z prawem, że pierwsza żyjąca istota
Która most przejdzie, będzie mu oddana
Bez odkupienia za piekielne wrota.

LUCYFER (*pod mostem*).

Ha! ha! potężeni.

PRZEWODNIK.

Gdy most skończono, na mocy umowy
Girardus staje przy samej krawędzi,
Rzuca kęs chleba na środek budowy:
Wnet pies zgłodniały za zdobyczą pędzi.
Śmiechem szyderczym grmiało ludu grono,
Że tak szatana na kosz osadzono.

(*przechodzą*).

LUCYFER (*pod mostem*).

Ha! ha! na kosz osadzono!
Czyż mię w Salerno blaha zdobycz czeka,
Kiedy się spełni zbrodnia Hoheneka?
O! niech most stoi, niech na wieki służy
Do takich zbrodni i takich podróży.

SCENA DZIEWIĘTNASTA.

(*Na szczycie św. Gotarda*).

KSIĄŻĘ HENRYK.

Oto góra nad górami: ztąd rzeki rozstajne
W różne morza się rozchodzą, i w długiej wędrówce
Rosną w siłę i głębinę. i wielmożnym biegiem
Zlewają błogosławieństwo na miasta i grody,
Które w drodze nawiedzają, koczując w milczeniu,
Jak patryarchowie starzy między namiotami.

ELSYA.

Jaka martwa, naga skała: tylko mchy pozicme
Pelzają.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Jednak i o nich tu nie zapomniano,
Dobra natura codziennie rosą je nakarmia.

ELSYA.

Czy tam widzisz małą chmurę, co górą niesiona,
Przez wiatr cichy nietykalnie przepływa w milczeniu
Ponad śnieżnymi wyspami, i oku się zdaje
Ciałem świętej Katarzyny na skrzydle aniołów?

KSIĄŻĘ HENRYK.

Tyto jesteś ową świętą: duchy niewidome
Unoszą cię nad skałami i nad przepaściami,
Byś o kamień młodej stopy twój nie obraziła.

ELSYA.

Obym kiedyś, jak ta święta, uniesioną była
Na ramieniu ich do grobu; już czuję w tej chwili,
Że mię niosą w inne światy, lekką jak powietrze....
A tam jakiś loskot.

KSIĄŻĘ HENRYK.

To grzmot runących odłomów.

ELSYA.

Tak okropne to zjawisko, a przecież tak piękne!

KSIĄŻĘ HENRYK.

To są głosy gór: tak one po długim milczeniu
Otwierają usta z śniegu i wiodą rozmowę
W zatraconej dla człowieka mowie pierwoświata.

ELSYA.

A jakiżto kraj pod nami wypływa w oddali.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Włochy! Włochy!

ELSYA.

O szczęśliwa! widzę kraj Madonny!
Jakiż piękny, jaki piękny. O! mój księżę, wszak to
Ogród raj.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Powiedz raczej ogród Getsemana,
Ogród czucia i modlitwy dla mnie i dla ciebie.
Niegdyś jednak był on rajem. Dawno, dawno temu
W młodych latach ja błądziłem po jego gajkach;
Nigdy też z mojego serca, nigdy, nie wygaśnie
Jego pamięć, która naksztalt zachodniego słońca
Opromienia pierścieniami zorzy purpurowej
Cały widnokrąg młodości.

PRZEWODNIK.

Dobrzy przyjaciele!
 Dni są krótkie, a przed sobą długą mamy drogę:
 Więc nam zwłóczyć nie wypada, jeśli dojsć pragniemy
 Do gospody w Belinzone jeszcze przed nieszporem.
 (*Przechodzą*).

S C E N A XX.

(*Na podnózu Alpów*).

(*Spoczynek pod drzewami w południe*).

KSIĄŻĘ HENRYK.

Tu chwilę wytchniemy pod cieniem konaru,
 Aż słońce południa ostudzi się z żaru,
 I konie w gromadkę zebrane pod drzewem,
 Piers suchą pożywnym napoją powiewem.
 Bo one prześcigły nasz orszak zdaleka,
 Co krokiem leniwym pielgrzymkę przewleka.
 Gdzie wierzba płacząca swe żagle rozwiesza,
 Tu czekać będziemy, nim zbliży się rzesza.
 Ty koniu mój dzielny, jak oczy twe wrzące,
 Jak nogi się pienia strudzone pochodem:
 Wypocznij, wypocznij, gałązki wiejące
 Orzeźwią cię wonią, pokrzepią cię chłodem!

ELSYA.

O! jakież rozkoszny krajobraz przed nami:
 Tu ptastwo żegluje, tam chaty się bielą,
 Tam winnic gałązki po drogach się ścielą,
 I wonność w powietrzu kołyszą nad nami.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Tam słyhać muzykę posępną, a świętą:
 Jój dźwięk to rozrzewnia, to smuci, to mami.

ELSYA.

Patnikówto rzesza, co kończy zaczęta
 Swą podróż daleką bosemi nogami.

(*Patnicy śpiewają hymn św. Hildeberta*).

„*Me receptet Sion illa,
 Sion David, urbs tranquilla,
 Cujus faber auctor lucis
 Cuius portae lignum crucis.*”

*Cuius claves lingua Petri,
Cuius cives semper laeti,
Cuius muri lapis vivus,
Cuius custos rex festivus”.*

(LUCYFER w postaci braciszka za processyą).

Oto i mnie mieści ta pobożna banda:
Mam habit jak bracia Karmelici bosy;
Podeszew mój stopy tak twarda i czarna
Jak było sumienie.

KSIAŻĘ HENRYK.

Jeżeli, jak mówią, z człowieka postawy
O duszy i sercu wnioskować się godzi,
Arcy łotr być musi, grzesznik bez poprawy
Ten ojciec wielebny, co blisko przechodzi.

LUCYFER.

Oto znów mój książę z towarzyszków gronem,
Który do Salerno przed śmiercią ucieka;
Przy nim smętne dziewczę, które w rozpalonem
Mózgu sieje chmury, by mieć deszczu żniwo.
A dobrze, niech kończą tę podróż szczęśliwą,
Wszak i ja tam moję mam odegrać rolę.

(*Putnicy śpiewają*).

*In hac urbe lux solemnis,
Ver aeternus, pax perennis,
In hac odor implens coelos,
In hac semper festum melos.*

KSIAŻĘ HENRYK.

Widzisz tego mnicha na wzgórza krawędzi?
Z głębi jego gardła głos rykliwy pędzi,
Jak pędzi prąd deszczu przez rynew zakręty,
A ku nam obraca policzek wydęty.

ELSYA.

Ten sam, co w Strasburga kościelnej ulicy
W otwartém powietrzu przemawiał z mownicy.

KSIAŻĘ HENRYK.

On także wędrował przez góry i błonia
Na gościnnym grzbiecie wytrwałego konia;
On świętej komedyi dodawał wesela,
Tak w roli Heroda jak Ben Izraela:
Dzień dobry Fraterku!

MNICH KUTBERT.

Pokój wam i zdrowie.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Wszak słusznie w niemieckiej witałem cię mowie,
Boś Germanin.

MNICH KUTBERT.

Rodu swego któż nie przyzna?
Lecz przez jakież instynkt, czy wiedzę tajemną
Odgadłeś, w tej ziemi spotkawszy się ze mną,
Że od Alp na północ leży ma ojczyzna?

KSIĄŻĘ HENRYK.

Bez téj żółtej brody i oka siwego
Zdradziłby cię język, jak Piotra świętego.
Już przytém twe rysy widzieliśmy wprzódy,
Przy saméj katedrze stanawszy u wchodu,
Gdy mądrém kazaniem zachwycaliś ludy,
W dzień Wielkiej niedzieli zebrane do grodu;
Jak potém w komedyi z arcydzielną sztuką
Udałeś Rabbiego, jak ten nad nauką
Straciwszy wiek w szkole, sam nabrał od dziątek
Układu i ruchu mimo starych latek.
A zkąd teraz idziesz?

MNICH KUTBERT.

Z starego klasztoru,
Który leży w Hirszaui wśród ciemnego boru,
Wędruję, by uczcić przez pielgrzymkę świętą
Sławny obraz Panny Maryi w Benewento.
Jéj święte oblicza łza litości rosi,
Porusza oczyma, czasem głos podnosi,
I odnawia serca grzechami zatrute.

KSIĄŻĘ HENRYK.

O! gdybym miał wiarę pierwszych dni młodości,
Tego snu bez walki, tych marzeń bez trwogi!

LUCYFER (*w oddaleniu*).

Kutbercie, Kutbercie!

MNICH KUTBERT.

Szczęśliwój wam drogi:
Daruj, że mi braknie czasu na dysputę.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Tak tak! ówto zaprawdę, kraj cudami wielki,
Kraj przenajświętszój Maryi Boga-Rodzicielki.
Tu wszystkie serca leczy macierzyńskie łono,
Tu równie spieszy zbrodniarz z ręką pokrwawioną,

Jak kapłan, książę, mędrzec i wieśniak od pluga
 I wielowładny mocarz i zdeptany sługa,
 I marzyciel od marzeń, żołnierz od oręża;
 Bo wszechobecna matka dobrocią zwycięża.
 Jak dzieci, gdy na siebie gniew ojca uzbroją,
 Choć lżą wstydu oblane, a nie śmieją sami
 Ucałować rąk jego, tylko w bramie stoją;
 Mówią z siostrą i pierwój powrócić się boją,
 Aż ta pójdzie i ojca gniew zmiękczy prośbami;
 Tak wśród żalu ułomni synowie téj ziemi
 Nie śmieją sami stanąć przed Niebieskim Synem,
 Którego pierś niegodnym rozkrwawili czynem,
 I odkryć ranę duszy splamionéj grzechami,
 Aż się ona w niebiosach przyczyni za niemi!
 O! dadzą nam wszech wieków prawdy i natchnienia
 Wzór tak świętej niewiasty, jakiego udziela
 Nasza wiara w cierpiącój Matce Zbawiciela;
 W owym najczystszy w wzorze męczeńskiej miłości,
 Łaski, mocy, boleści, prawdy poświęcenia
 Miłosierdzia pokoju, łez i wytrwałości!

(Pielgrzymi śpiewają w odległości).

*Urbs[!] celestis, urbs beata,
 Supra petram collocata,
 Urbs in portu satis tuto
 De longinquo te saluto,
 Te saluto, te suspiro,
 Te affecto. te requiro.*

S C E N A XXI.

(Gospoda w Genui).

(Taras wychodzący na morze. Noc).

KSIĄŻĘ HENRYK.

Oto morze! oto morze!
 Nieskończoności łoże.
 Jak błędnie, jak przepada w bezmiarze,
 Jak duch w bieli, żagiel wzdęty,
 Po cichym jego wszechwładnym obszarze
 Przez czołgające okręty.
 To widma z innego świata
 Błądzą po krańcach istnienia.
 Ach! jakże wielu, jak wielu,
 Nie pojną tego skinienia,

Nie wybadają tych prądów,
 Czemu one, w jakim celu
 Błądzą od łądów do łądów!
 Wszakci na głębsze, czarniejsze otchłanie
 Dusze zmarłych odpływają,
 Wszystkie do nieznanych łądów!
 My im z nad brzegu ślemy pożegnanie,
 One, wtrącone w wiekiście ruchy
 Odpływają, nie wracają:
 Lub tylko wracają jak widma i duchy.
 Ponad morzem śmierci z góry,
 Lśni się wielki żywot wieczny;
 Ow kraj tajemnic natury,
 Fata-morgana z przodków cieniami,
 Co już dawno z widnokregu za przodkami
 Popłynęły w świat bajeczny.
 O! strach tam spojrzeć: tchnienia z piersi giną
 Aż te piękne widma miną;
 I znów trwoga pozostanie,
 I to ciemne zapytanie,
 Co się tam snuło: czy cienie znajomych,
 Z poza światów niewidomych,
 Czyli obraz naszych oczu,
 Naszych myśli i postaci,
 Odcisnięty w mgły przezroczu!

GŁOS Z MORZA.

Dzieła nie twojego nie zdołasz przetworzyć,
 Ale w twojej mocy kres probom położyć:
 Morze milczyć umie, nie zdradzi tajnika.
 Tu pod każdą stopą bezdenne łożysko;
 Nie masz mu równego na śmierć spowiednika,
 Nigdzie niewidzialny, a wszędzie jest blisko:
 Co bez słów mu powiesz tylko w ducha ciszy,
 Każde tętno myśli spowiednik usłyszy,
 Wszystkie lzy zrozumie, wszystkich skarg wysłucha.
 I wszystkich walk sumienia, podszeptów zwątpienia
 Co trwogą błędnego przenikały ducha.

KSIĄŻĘ HENRYK.

To jakiś rybak na powodzi
 Pod szarym żaglem drzemiąc w łodzi,
 Piosenką nocnej mgle przygrywa;
 Lecz czym piosenki pojął słowo.
 Który syn morza morzu śpiewa,
 Na rzewną nutę południową.
 Tak! ciche, wieczne morze tonie,
 Wszystko zasypia w jego łonie,

Jeden rzut i wszystko ustanie
 Jeden plusk do plusków milionu,
 Znów cisza padnie na otchłanie
 I wolną Elsy ma zostanie
 Od świętej próby i mąk zgonu.

(Elsya wychodzi na taras).

Noc spokojna bez obłoków,
 Takiej nocy nie pamiętam.
 Gwiazdy schodzą się na niebo,
 Aby słuchać, jak gra morze.
 I tak schodzą się i schodzą,
 Aż obległy pole nieba:
 I słuchają uroczyście
 Litanii wszech żywiołów.
 Już litania się zaczyna
 Gdzieś w kotlinie skał podmorskich;
 Jeden głos tam pieśń prowadzi,
 Pod nim pedał organowy
 Grzmotem wturu się rozlega.
 Tymczasem z brzegów pochyłych
 Poza żółtym smugiem piasku,
 W śnieżnych szatach wstają duchy
 I chórami towarzyszą.
 A tak smutno nieustannie,
 Ciągną pieśni po przestworach,
 A tak smutno nieustannie
 Śnieżne chóry odśpiewują
 Chryste Eleyson.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Ty boży aniele! tylko duch tak czysty,
 Który zmysłem czucia głębią zjawisk mierzy,
 Przeczuje wśród bytu ten chór wiekuisty:
 Tylko świętsze serce, które drży i wierzy,
 Niebiańską muzykę dosłyszć tu zdoła:
 W tęsknem wiatrów gwarze trąbę archaniola,
 W lasów kołysaniu, w prądach oceanu,
 Namaszczone dźwięki Cecylii organu,
 A w liścia szemraniu, proroków języki.
 Ja słyszę tu rozstrój, rozpaczliwe krzyki
 I jęki demonów...

SCENA XXII.*(Na morzu).*

IL PADRONE.

Na pasie naszym dobry wiatr leży,
 W cichy z gniwnego zmienił się nagle.
 I w śnieżno-białe trącana żagle
 Nieśpiąco nasza felukka bieży.
 Wkoło niej słone kręcą się fale,
 Górą przenoszą po skrytej skale,
 Biją w jój biodra; ona się wspina
 To po pas wpada, to się przegina
 Jak chorągiewka. W zachodniej stronie
 Grzbiet korsykański wysoko sięga,
 Na wschód, jak długa błękitna wstęga,
 Szczyt Apeninów mierzy w obłoki,
 A na południe w oddali łonie,
 Salerno strzeże czarnej zatoki.
 Lecz jego murów wzrok nie dosięga.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Niech piérwój oczy do dna wypłaczę,
 Nim martwe jego wieże zobaczę.

ELSYA.

Za nami owdzie z mętnój powodzi,
 Poważnie czarna chmura nadchodzi,
 Zdaje się zwierzem napół rozbitem,
 Z brunatną skórą czarném kopytem.
 Na kark w nieładzie zwisły jój rogi,
 Ucieka w przestrzeń wśród ślepój trwogi
 Jakby na tropie stały już wrogci.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Patrzcie! w téj chwili widmo już pryska,
 W bezkształtną masę, jakby zwałiska
 Miasta po szturmie. Z wulkanów wschodu
 Czerwone ognie biją do grodu
 W baszty i okna, przez mgły gorące
 Srebrnych promieni szereg wytryska,
 Jak piramidy świat wspierające.

IL PADRONE.

Muszę was bracia prosić do kajuty;
 Gniewny wiatr ze złej zagrywa nam nuty,
 Bo za księżycem i pogody zmiana;
 Dziś do południa od samego rana

Kręci powietrze; nagły wiatr się wszczyna
 I kocią łapą po morzu zacina.
 Będzie nie więcej jak mała godzina,
 Kiedy nucilem do Sant-Antonio,
 By szczypta wiatru nasz żagiel trąciła:
 On burzę zamiast zefiru posyła.
 Tęj nocy gwiazdy Sant-Elma widziałem,
 I ich jaskrawe latarnie świeciły
 Od szczytu masztów nad okrętem całym:
 One mi wróżą jakiś żart niemiły.
 Śmiało, serdeczni! do dzieła, na linę.
 Zdjąć żagiel; potem niech w dobrą godzinę
 Na własny rozum felukka wędruje,
 Gdzie każą wiatry i Sant-Antonio.
 Patrzcież na owę felukkę z Liworno,
 Co na głębinie wyteża swe siły
 I przeciw falom stawia pierś odporną!
 Widziałem, jak ją wiatry pochwyciły,
 Zerwał się żagiel, i cud to niemały,
 Że wściekle wichry masztu nie złamały.
 Od Algierczyków plądrujących morza
 Dla bezpieczeństwa posyła ją Doża;
 Pod jej zasłoną brygantyny płyną
 Wioząc oliwę i lukkajskie wino.
 No! wiara, śmiało, nie oszczędzać dłoni,
 Dmij, dmij, nasz dobry, nasz święty Antoni.
 Otóż i spadły pierwsze deszczu strugi;
 Krawędź felukki wraz z falą zrosiły,
 Więcej nie trzeba; przyjdą nowe siły
 I żaglom słodszy humor do żeglugi.
 Patrzcie, jak płasa, jak zwija się cudnie!
 Wiatry jój w plecy zadęły, zagrały,
 Teraz wykręca szyję na południe:
 Śmiało! tu nie ma ławy, nie ma skały,
 Za nami wiatry, Salerno przed nami
 Tylko nie nadto, dobry Sant Antonio!

S C E N A XXIII.

(Szkoła w Salerno).

*(Wędrowny SCHOLASTYK przylepia swoje tezy na
bramie kollegium).*

SCHOLASTYK.

Oto mój sztandar, przyłbica i tarcza!
 Zuchwale świat cały wyzywam do boju,

Zakładam tu sto i dwadzieścia pięć twierdzeń,
 Których mam bronić mieczem języka
 Przeciw szermierzom tak starym jak młodym,
 Czy dyalektyk, czy który z doktorów
 Me orzeczenia odważy się zbijać?
 Albo na zdania uczone uderzyć?
 Piersi otwarte czekają pocisków,
 Dowiodłem szeregiem uczonych wywodów,
 Jak śmieszne zasady tych doktryn zbłąkanych,
 Które Areopagita wymarzył
 Które nam Hammerer przysłał ze Wschodu.
 A Szkot ów bez mózgu przełożył po rzymsku
 Joannes Orygien, co waży się głosić
 Wbrew prawdzie i wierze ów dogmat piekielny,
 Że wszechświat być musi i jest wiekuistym.
 A naprzód sile kładzie fakt fundamentalny,
 Że nic nie polega u Boga na trafie;
 Następnie twierdzenie, że był przed stworzeniem.
 Bo nie wiem, czy słońce jaśniejsze nad wniosek:
 Że z tego istnienia wypadłaby twórczość.
 Co znaczy na wstępie kłaść koniec zadania,
 To śmiechu godniejsze niż gniewu. gdy prawi,
 Że cała natura jest tylko oddechem
 Wszech ducha twórczego, a duch ten wciągając
 Swoją oddech, napowrót ją wzionie w swe łono,
 I nic nie zostanie prócz ducha onego.
 A tu się sam z sobą krzyżuje sofista,
 Bo całą zozprawę zagaja tym zdaniem:
 Że działacz bez dzieła bytowyć nie może,
 Ten absurd zamierzam roztrzaskać w drobiazgi.
 (*Wychodzi. Dwaj doktorowie wchodzą dysputując. Za nie-
 mi uczniowie.*)

DOKTOR SERAFINO.

Ja z doktorem Serafickim utrzymuję.
 Że to słowo, które tylko tkwi w pojęciu,
 Jest istnienia pierwowzorem na czas wszystkich,
 A to słowo wyrzeczone jest wcieleniem.

DOKTOR CHERUBINO.

Co mi znaczy ów wasz doktor Seraficki
 Z całym kramem słów nadętych bez podstawy.

DOKTOR SERAFINO.

Błahy opór i pozorny. Generalia
 Rzeczywistą bytowość mieć nie mogą.

DOKTOR CHERUBINO.

Wasze słowa są bezmyślném szczebiotaniem,
Wieczna spójność łączy idei z materyą.

DOKTOR SERAFINO.

Panie zmiłuj się nad waszą dyalektyką,
Niedoleżni, gadatliwi ziół zbieracze

DOKTOR CHERUBINO.

Oby dusze wasze strącił na zagładę
Za wasz traktat niepoczcziwy o imionach.
(Porywają się do bitwy: wchodzi dwaj uczniowie).

PIÉRWSZY UCZEŃ.

Więc w Monte Cassino macie swe kolegium?
A co myślisz o kollegiach tu w Salerno?

DRUGI UCZEŃ.

Wprawdzie przybyłem niedawno do Salerno,
I nie miałem dosyć czasu do zbadania;
Lecz o ile sądzić wolno z kilku wejrzeń,
klimat zdaje się najzdrowszy, gmachy wielkie
I w ogóle całość sprawia widok miły.

PIÉRWSZY UCZEŃ.

O! tak klimat słodki mamy: z gór Kalabryi
Napływają do nas wiania eterowe;
W porze letniej morskie wiatry nawiewają
Dech świeżości na ten klasztor i dziedziniec.
Przytém w każdój bożej porze rok za rokiem
Tłumy gości przyjeżdżają i podróżnych
I pielgrzymów i kwestarzy, tudzież kupców
Od Lewantu z słodkim winem i figami;
Przytém roje krzyżowników schorowanych,
Co wracają z Palestyny poranieni.

DRUGI UCZEŃ.

A jakież wam tu nauki wykładają,
Jakie kursa zakresłają do przebycia?

PIÉRWSZY UCZEŃ.

Pierwsze trzy lata w kollegium poświęcamy
Na samą tylko logikę, jako główne
Zródło wszelkiej wiedzy, prawdy i piękności.

DRUGI UCZEŃ.

To wygląda dosyć dziwnie, wyznać muszę,
Jak na szkołę medycyny; jednak na to
Bez wątpienia są zasady.

PIÉRWSZY UCZEŃ.

Tak! zaiste.

Bo sam tylko przenikliwy dyalektyk
 Może zostać wielkim sługą Eskulapa:
 To aksyomat dowiedziony przed wiekami,
 Że logika ważną rolę odegrywa
 W niezmiernych tajemnicach medycyny.
 Bez logiki powiedz proszę, z kąd zaczerpasz
 Dowodzenia, że nikt w wiedzy ci nie zrówna?
 Po tym wstępie pięciolecie poświęcamy
 Wyłącznemu studyowaniu medycyny,
 Przeplatając to teorią chirurgiczną,
 To dyssekcyą krając członki nie rogatych,
 Jako najbliższych układem do człowieka.

DRUGI UCZEŃ.

Jakież dzieła nazywacie kwiatem sztuki?

PIÉRWSZY UCZEŃ.

Długi szereg autorów,
 Lecz najwięcej nasi słyną
 Gariopontus Passionarius,
 I Mateusz Platearius,
 I wolumen arcy głośny,
 Jako Regimen Collegii,
 Dla Roberta Normandskiego
 Prześlicznym wierszem łacińskim.
 Każde z dzieł tych ma swą kolęj.
 A gdy wszystkich przeczytamy
 Idą dysputy na stopnie,
 Z całą paradą krytyki.
 I publiczna dyssertacya,
 Kwestya, odsiecz, explanacya,
 Podług cytat z Hippokrata
 I ustępów z Analityk.
 Tu Magister tryumfalnie
 Bierze książkę w ręce swoje
 I na niej składa przysięgę
 Uroczą, że strzedz będzie:
 Starych reguł dobrej szkoły,
 Że doniesie, gdy aptekarz
 Zrobi zgubną mieszaninę,
 Że nawiedzać będzie codzien
 Po dwa razy swych pacjentów,
 I raz nocą, jeśli w mieście,
 A gdy biedni, bez zapłaty.
 Po tej przysiędze na głowę

Kładą mn z laurów koronę;
 W twarz całują, pierścień kładą,
 Pompatycznie Doctor Artium
 Et physices w świat wychodzi.
 A teraz bracie w czas wolny
 Wejdźmy, jeśli chęć potemu,
 Posłuchać pięknej prelekeyi
 O Aurelim Kassiodorze.

(Wchodzą. Ukazuje się Lucyfer w postaci doktora).

LUCYFER.

Oto jest wielka szkoła w Salerno,
 Przybytek sporów i wiecznej walki,
 Wyschniętych mózgów i serc żarzących,
 Gdzie każdy uczeń musi z zazdrością
 Na każdym kroku i poruszeniu
 Usłyszyć szelest cudzych wawrzynów.
 Niebo Salerna słynie tak zdrowiem,
 Sąsiad Wezuwiusz swych wulkanicznych
 Piersi oddechem czyści powietrze.
 A gmachy mają postać ponurą,
 Która obudza smutek i trwogę:
 I tak przystoi siedlisku błędów,
 Gdzie stare fałsze kują i leją.
 I ztąd rok rocznie stoma rękami
 Gorliwój młodzi na świat puszczają,
 Aby ten kąkol posiany w wierze
 Kwitł i dojrzewał na obcych ziemiach.
 Co widzę na téj przybite bramie?
 Jakiś scholastyk na bój wyzywa
 I będzie bronił w obec wszech widzów
 Odwiecznej kwestyi dobra i złego.
 Tą razą piękna gratka mię czeka,
 Bo tego zdawna już doświadczyłem,
 Że spór podobny bitwą się kończy.
 Oto temata, w które zapewne
 Pół-mózgu wylał uczony głupiec.

(Czyta tezy).

Czyli aniołom, gdy spadają z nieba
 Pośrednią drogę przebiegać potrzeba?
 Czy zła ma źródło swoje w woli Pana,
 Czy też jest dziełem samego szatana?
 Kiedy, zkad, dokąd spadło ciało złego ducha,
 I czy dotąd przykute jeszcze do łańcucha?
 Na te pytania ja mam odpowiedź:
 Póki chępliwy rodzaj człowieka
 W podobnych temu młynach mleć będzie,
 Ja jestem pewnym na moim tronie.

Pękam ze śmiechu, kiedy ci ludzio
Mijając złote ziarno pod stopą,
Chyłą się po źdźbło nিকেzmennej słomki,
Którą Lombardus rozsiał po świecie.

(*Widać zdala księcia Henryka, Elsyą i jej orszak*).

Moi goście idą tu! Jak lekkie powietrze,
Co za wonność bije wskroś, wszystkie zmysły mam!
Istny raj, gdzie człowiek żył przed wieków wiekami;
To jest niewinności dech modlitwy i wiary,
Którą żadna ziemską moc, ani ból nie zetrze;
Takię wiary jaką wre dusza młodociana
Nim ją dotkną, czasu dłoń i życia ciężary.
To powietrze ścisza pierś wolnego szatana,
Moje serce pełne jest bezimiennęj trwogi:
Lękam się, by z dwojga dusz, za tak liczne trudy,
Za mój krwawy czoła pot. jaki los złowrogi
Nagle z rąk nie wyrwał mi najdroższęj, najświętszëj
Eterychnęj duszy! tak, nie wyrwał na wieki.
Druga dawno moją jest: jej dzień niedaleki:
Lecz mu jeszcze daje czas, niech technieniem zarazy
Truje jeszcze braci swych, i z każdym oddechem
Zionie zemstą, gniewem, krwią, samolubstwa zmasą
I najnikczemniejszą z nich... od śmierci odrazą.
Wszak naturę jego znam, wszak między wszystkiemi,
Co przez moją parci moc, idą na rozkazy,
Tulają się wszęsz i wzdłuż, po manowcach ziemi,
Najdroższy nie zginie mi Henryk Hohenek.

S C E N A XXIV.

(*Wchodzą: KSIĄŻĘ HENRYK, ELSYA i orszak*).

KSIĄŻĘ HENRYK.

Proszę nam wskazać drogę do księdza Angelo!

LUCYFER.

Oto stoi przed wami.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Więc rzecz ci znajoma:
Jestem Henryk Hohenek; towarzyska moja
Jest dziewicą o której w listach mych mówiłem.

LUCYFER.

Wiesz, jak jest uroczytą, jak świętą ta sprawa:
Tu pośpiech byłby zbrodnią. Czyliż ta dziewica

Gotwa na ofiarę, czy ją bez podszeptu
Z własnej woli ponosi.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Próżne były prośby,
Przedstawienia, błagania; groźby nadaremne:
Jój wola niezachwiana.

LUCYFER (*do Elsy*).

To godne podziwu.
Czyś dobrze rozważyła?

ELSYA.

Panie! nie przychodzę
Rozumować, lecz umrzeć. Twojém téż jest dziełem
Nie badać mię, lecz zabić. Już jestem gotowa,
Pilno mi, pilno odejść ztąd, nim jaka ziemską
Znikoma myśl zakłóci wieczny pokój ducha.

KSIĄŻĘ HENRYK.

O! gdybym tu nie przyszedł, gdybym pierwój skonął
A ty została w chatce wśród gajów ojczystych,
I nigdy mię znalaz. Ach! cóż uczynilem!
Wróćę, wróćę i umrę.

ELSYA.

Nie! to być nie może.
Gdyby te zimne, płaskie glazy, które depczę,
Zmieniły się w żarzące; a ta wąła furtka
W piec płomienny, ziejący ogniem siedmiorakim:—
Muszę spełnić ofiarę.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Nie! ja ci zabraniam!
Ani na stopę dalej. Jam zamierzył tylko
Twoje męztwo wystawić na zuchwałą próbę:
Dosyć na tém. Ja także mam na śmierć odwagę,
Tyś mię jój nauczyła!

ELSYA.

Jużto zapomniałeś
O słowie? Nie! nie! daj mi spełnić posłannictwo!
Ty nie patrzysz na życie i śmierć mojęm okiem.
Oto dwaj aniołowie patrzą niewidzialnie
Na każdego z żyjących, pisząc w wielką księgę
Ich dobre i złe czyny. Ten, który tam wkreśla
Nasze dobre uczynki, wkreśliwszy zamyka
Swą księgę i z nią w niebo wstępuje do Boga;
Drugi swą straszną księgę aż do nocw trzyma

Otworem, by zostawić czas na żal, i jeśli
 Żal nastąpił wspomnienie czynu się zaciera,
 Zostawiając po sobie biały kres na karcie.
 Jeźliż czyn mój jest dobrym, a śmiem mieć tę wiarę,
 Cofniętym być nie może. Bo już go w niebiosach
 Zaznaczono, jako czyn dobry, dokonany.
 Reszta jest twoją: czemuż czekasz, jam gotowa.

(Do orszaku swojego).

Nie płaczcie przyjaciele! weselcie się raczej,
 Ja cierpień czuć nie będę, odejdę w pokoju,
 A wam przybędzie nowy przyjaciel za światem.
 Niech was tych drzwi skrzypnięcie nie strwoży, gdy za nie
 Przejdę za chwilę: wiem ja, wiem, co tam mię czeka.

(Do Henryka).

A ty! książę, odniesiesz me błogosławieństwo
 Do domu mego ojca i wszystkiej rodziny;
 Dzisiaj rano w kościele modliłam się za nich:
 Po spowiedzi, pokucie i świętej komunii,
 Zduszą wolną od grzechu modliłam się za nich.
 Bóg tam pieczę mieć będzie, jam już niepotrzebna;
 Niech w życiu twojem pamięć o mnie pozostanie
 Nie na to, by je miała trwożyć i zakłócać,
 Lecz je dopełnić, życie do życia dodając.
 A jeśli obok siebie, przy wieczornym ogniu,
 Dojrzysz kiedy twarz moję pośród innych twarzy:
 Oby ta twarz dla ciebie nie była jak widmo
 Gnieźdzące się w twym zamku, lecz jak gość życzliwy,
 Jak, oto, jedna z istot twojego rodzeństwa,
 Która, gdy nieobecna, czegoś braknie w domu.
 Już powiedziałam wszystko. Prowadź mię Angelo.

KSIĄŻĘ HENRYK.

O! błagam cię Angelo, zaklinam na Boga,
 Nie słuchaj nieszczęśliwej, mówi w pomieszaniu:
 Nie na śmierć jam sprowadził, lecz na uleczenie.

ELSYA.

O mój książę!

LUCYFER.

Dziewico, pójdź za mną, ot tędy.

*(Elsya wchodzi za Lucyferem, który odpycha Henryka
 i z trzaskiem zamyka drzwi za sobą).*

KSIĄŻĘ HENRYK.

Odeszła a z nią cały blask mego istnienia,
 I świat wszystek śmiertelnym osnutę całunem.

O ja najpotworniejszy płaz, ja widmo hańby,
 Jakąż ofiarą resztę dni mych okupiłem!
 Ach nietylko jój śmiercią, ale samobójczą
 Śmiercią wszej prawdy, piękna, wiary w mém jestestwie.
 Głos geniuszu, natchnienie, świętość człowieczeństwa,
 Wiara, nadzieja, miłość i serce umarło:
 I przenajświętsze znamię boskości natury,
 Ten jeden czyn z oblicza duszy startł na wieki,
 A z człowieka zostało—czcze miano ksiąźęcia.

(Do otaczających).

Czemuście dali spełnić taki czyn zbrodniczy?
 Nie skępowali dłoni i dali wykonać
 Dzieło zniszczenia siebie? Angelo morderco!
(Uderza we drzwi, lecz bez skutku).

ELSYA *(z wnętrza).*

Żegnam cię, ksiąźę drogi, żegnam!

KSIĄŻĘ HENRYK.

Drzwi wysadzić.

LUCYFER.

Już zapóźno.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Nie będzie zapóźno,
(Wysadzają drzwi i wdzierają się).

S C E N A XXV.

(Chata w Odenwald).

URSZULA *(przędzie. Latem, popołudniu).*

URSZULA.

Tak! doświadczone, słuszne to przeczucie moje:
 Śmierć nie sięga po jedno, lecz zawsze po dwoje.
 Ile razy nawiedza, czy strzechę ze słomy,
 Czy pałace ziocone i królewskie zamki,
 Za próg domu wychodząc, nie domyka klaniki
 I pierw, nim rok upłynie, wraca w próg znajomy.
 Nigdy z rodziny jedna dusza nie ubywa:
 Ha! może w tém i Boża ręka miłościwa,
 By tam pod czarną skibą pomiędzy obcemi,
 Nie tęskniło się długo wygnañcowi z ziemi.
 Ja tutaj samotniejsza, o przebacz mi Panie!

Przykrać to droga, ale przykrzejsze zostanie;
 I gdyby nie ta dziatwa, błagałabym Boga,
 By przed rokiem zawinął gość do mego proga.
 A Gotlieb? jemu życie w ciągłych trudach płynie,
 To w upale na błoni, to w lesnej gęstwinie;
 Lecz wiem, że i on nie tam myśla, gdzie oczyma,
 I że téj ciężkiej pracy serce się nie ima.
 Gdy wraca wieczór, aby z potu otrzeć czoło,
 Nie wesół on, nie wesół, siada. często wzdycha:
 Widzę nieraz, po twarzy stoczy się łza cicha.
 Trzebaż moją łzę ukryć i patrzeć wesoło.
 Tylko serce mych dzieci jasne jak blask słońca,
 Ale moje, o boli i blizkie już końca!
 Boże wspomóż, a twojej zostawiamy woli
 Czy rączysz przynieść ulgę, czy koniec niedoli.

(Wygląda przez otwarte drzwi).

Któż tam drogą ku chacie pod drzewami skręca?
 Jakiś sługa, a na nim liberya książęca.
 Wkoło drogą pogląda na drzewka i domy,
 Jakby szukał i badał, miejsca nieświadomy.
 Oto przy ulach stanął, znów wkoło spoziera,
 Przybliżył się do bramy, znów cofa się, bada:
 Widać pszczoł niezwyčajny; nareszcie otwiera,
 Ale jakaś nieznana przejmuję mię trwoga.
(Wchodzi gajowy).

GAJOWY.

Czyli to jest Gotlieba dzierzawna osada?

URSZULA.

Tak, jemu dał ją książę i mnie jego żonie.
 Proszę, usiądźcie: jaki cel ma wasza droga.

GAJOWY.

Więci od mego księcia!

URSZULA.

O życiu, czy zgonie?

GAJOWY.

Dobra kobieto! zbyteś w pytaniach skwapliwa.

URSZULA.

Dajże mi raz odpowiedź—jak się książę miewa?

GAJOWY.

Druga mija godzina jak księcia widziałem,
 Gdy po rzece z powrotem unosił go statek;
 Ale z cerą tak świeżą, zdrowiem tak wspaniałém,
 Jakby go Bóg powrócił do młodzieńczych latek.

URSZULA (*rozpaczliwie*).

Więc dziecię moje, Elsy moja już umarła!

GAJOWY.

Tego, dobra niewiasto, ja nie powiedziałem:
Nie przechodź rowu mostem, aż będziesz przy rowie,
Jest to stare i bardzo rozumne przysłowie.

URSZULA.

Bracie! ty serca mego doświadczasz zbyt srogo.

GAJOWY.

Więc słuchaj: córka twoja już odtąd nie będzie...
Tak! nie będzie, jak była, wieśniaczką ubogą.

URSZULA.

Patrz, jam prosta, nic więcej, prosta białogłowa,
Biedna, styrana smutkiem, przytém starość tłoczy,
A godzisz się szafować te szydereze słowa,
I dolewać goryczy do dni mych ostatka
Drażniąc i tak po Elsyi wypłakane oczy?
Miej litość, wszak i ciebie urodziła matka.

GAJOWY.

O! córka twoja żyje i książę jest zdrowy,
Dowiesz się, pozwól tylko dokończyć mi mowy.
Elsya do końca ślubom swym została wierną:
Ale gdy się zbliżyli już do bram Salerno
Zacniejszą myślą księcia napelnia się dusza,
Chce ocalić od śmierci to święte pachole
I dni jego zachować na szczęśliwsze dole.
A wtém i on cudownie odzyskuje zdrowie
Dotknąwszy się męczeńskich kości Mateusza.
Potém długie wędrówki przez góry i skały,
Przez cud rozpoczętego dzieła dokonały.

URSZULA.

Matko Boża! co z nieba przytulasz swe dziatki,
Jeśli głośny krzyk serca rozrzewnionej matki
Godzisz dojść Ciebie w owych przybytkach jasności,
Kędy królujesz w wiecznym Majestacie chwały,
Przyjm, o! przyjm głos modlitwy i rzewnej wdzięczności.
Niech te ręce, co mego Zbawcę piastowały,
Niegodną łzę poniosą przed obecność Pana,
A jeśli ty wysłuchasz, Bóg ojciec wysłucha.
Maryo! bo stopa twoja świętością ocalana.,
A wszak żyje me dziecię, co oddało ducha.

GAJOWY.

Ja nie rzekłem, że twoja umarła dziecina,
 A jeźliś tak myślała, nie moja to wina.
 I w chwili, gdy ci daję miłe doniesienie,
 Już płyną do ojczyzny po wspaniałym Renie,
 Na przepysznym, w złoconém popiersiu, okręcie,
 W którym biało-czerwona powiewa bandera,
 Właśnie jak u twój córki na policzkach cera.
 Dziś zwie ją cały orszak księżniczką Alicyą,
 Bo z Salerno w ojczyste powracając kraje
 Uczynił ślub, że Elsyi dłoń z sercem oddaje.

URSZULA.

Matko Boga żywego, nie mogę dać wiary,
 Słucham, niby nie słyszę: to cuda lub czary.

GAJOWY.

Widziałem ją stojącą na okrętu moście,
 Piękny baldachin z góry rzucił na nią cienie.
 Z obu brzegów rojami cisnęli się goście,
 Pod nagłowie z jedwabiu wily się pierścienie
 Jój gęstych złotych włosów i niby strumienie,
 Wiały z wiatrem i wiejąc na szyję spadały.
 I tak piękną się zdawa, choć między piękniemi,
 Jak we śnie lub historyi dama z obcej ziemi.
 I księcia téż był widok piękny i wspaniały:
 Wsiadając zegnał okiem wdzięczności i dumy,
 Zgromadzone nad rzeką liczne widzów tłumy,
 Które z czcią i okrzykiem płynących zęgały.

URSZULA.

Tak! ujrzę ją przed wiecznym zwarciem mego oka!
 Nie umarła—już wierzę—niemylnie to wieści,
 Bóg słuchając, wystuchał nakoniec z wysoka
 Tych ciężkich modłów, które bez słowa, bez dźwięku
 Serca nasze w milczącym powtarzały jęku.
 O! prowadźcie ją do mnie, bo oka źrenica
 Nie wytrzyma, tak pragnie i łaknie jój lica;
 Już z duszy się wyrывa krzyk słodkiéj boleści,
 Już ją dłoń moja ściska, już dłoń moja pieści.
 Widzę ją, błogosławie, słyszę dziatek wrzaski:
 Najdroższa Elsyo, dziecię Boga, dziecię łaski.

(*Wybiega do ogrodu*),

S C E N A XXVI.*(Zamek w Vautsbergu nad Renem).*

KSIĄŻĘ HENRYK i ELSYA *(stoją na tarasie. Wieczór, w oddali słychać głos dzwonka).*

KSIĄŻĘ HENRYK.

Już nie ma świadka. Zostaliśmy sami,
Goście weselni znikli za górami,
Schodzący wieczór nawleka zasłonę
Na białe wzgórze, na dęby zielone,
Gniazda, rodziną ptasząt zaludnione.

ELSYA.

Jakiś tam dzwonek w oddali zagrywa:
Pieśń jego miękka, wolna i tęskliwa.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Znam ja ten dzwonek; z Gajsenhejmu wieży
Codziennie on ciszę przerywa klasztorną
Zegnając słońce modlitwą wieczorną.

ELSYA.

Słuchajmy.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Już dziś więcej nie uderzy.
Dawno, o dawno, Elsyo ukochana
Ten sam posępny dzwonek, w chwili mroku
Dźwiękiem przenikał ucho Karlomana,
Kiedy Fastradę mając przy swym boku,
Tu siedział w całym majestacie chwały,
A duszę tajne troski pożerały.

ELSYA.

Mnie on nie straszy, on mi w drżącym stroju,
Mówi o jakimś głębokim spokoju
I nieskończonej ufności ku tobie.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Znasz o Fastrady pierścieniu podanie?
Że gdy dwór króla stanął w Akwisgranie,
Ona umarła, że we łzach rozpaczy
Król dni i nocy na kochanym grobie,
Siedział i w bólach pędził byt tułaczy.
Tak długo, długo aż w błękitne łono

Jezióra, pierścień z jój palca wrzucono.
 Wtedy król wielki wypogodził skronie
 I patrząc znowu na błękitne tonie,
 Już nie opuścił schronienia drogiego.

ELSYA.

Miłość prawdziwa.

KSIĄŻĘ HENRYK.

Królowa dla niego

Nie uczyniła tego, co ty dla mnie!

ELSYA.

A ty tak wiernym czy zostaniesz dla mnie,
 I czyli będziesz kochać tak po zgonie?

KSIĄŻĘ HENRYK.

W objęciach życia i w śmierci powiciu,
 W burzy i słońca blasku, w dniu i nocy,
 W chwale, w upadku, w sile i niemocy
 Jam zawsze twoim, w tém i w przyszłym życiu.
 Ty masz Fastrady pierścień on w przezroczu
 Cichój błękitnej fali twoich oczu,
 Złożony na dnie bohaterskiej duszy,
 Gdzie świat nie skłóci, burza nie naruszy
 Tój magii światel, któremi klejnoty
 Biją z pierścienia, bo ten pierścień złoty,
 Który na rękę piastujesz od rana,
 To tylko symbol owego pierścienia,
 Co w dnie twój duszy niewidzialnie świeci,
 A świeci dla mnie, twego Karlomana.
 Lecz noc już zdała zarzuca swe sieci,
 Na czele nocy idzie pomrok mglisty,
 A przed pomrokiem na skroniach tój góry
 Gasną purpury, gasną ametysty:
 Czas już się chronić od rosy i chłodu,
 Wejdźmy do zamku.

ELSYA.

Nie, nie, jeszcze chwila.

Patrz na ów płomień, to z za gór od wschodu
 Dobry nasz księżyc twarz bladą wychyła.
 O! jak mi słodko świeci, to nad szczytem
 Lasów, to w liściu skropionym lżą rosy.
 Noc go ukocha, gdy te srebrne włosy
 Skąpie w gwiazd morzu, pomiesza z błękitem.

KSIĄŻĘ HENRYK.

O! ileż razy, nim stygnące siły
 Dziennego ciepła, nocy ustąpiły,
 Stałem tu długo, w dumach bez wyrazu,
 Patrząc jak gasną rysy krajobrazu.
 Aż mgły nadeszły, we mgłach się topiły
 Baszty, winnice, wioski i ogrody,
 I szczyty miasta; tylko nie zatarta
 Góra z potopu wynurzyła skronie.
 Lecz wtenczas nie te ścisnęły mię dłonie
 I nie ta głowa, na piersiach mych wsparta,
 Marząc w zaciszu, snuła sny różane.
 Elsy! ty ku mnie zdziwione oblicza,
 Ty ku mnie zwracasz oczy zadumane!
 To głowa wieszczą, to dłoń nie dziewicza
 Lecz dłoń minstrela me ręce ścisnęła:
 Byłyto piękne, rycerskie oblicza,
 Włos gęsty, czarny, postawa zuchwała,
 A pełna wdzięku. Może w tej godzinie,
 Gdy pamięć jego tu świeci nademną,
 Ten wieszcz natchniony błądzi w Palestynie.
 Ale czas wrócić bo wietrzno i ciemno.
 Już widma w białej osnute zasłonie,
 Już mgły wieczorne snują się w dolinie
 I zimną rękę kładą na twe skronie.
 (Wychodzą).

OBJAŚNIENIA.

1. „Bo te dzwony namaszczone.”

Poświęcenie i chrzest dzwonów stanowiły jedną z najpiękniejszych uroczystości w wiekach średnich; koncylium kolońskie wydało następujące polecenie:

„Dzwony mają być uważane za święte, jako trąby wojującego kościoła, które lud zgromadzają na słuchanie słowa Bożego, kapłaństwo na ogłaszanie Bożego miłosierdzia we dnie, a prawdy nocą; aby ich dźwiękiem wierni byli wzywani na modły, i duch pobożności w nich się utwierdził. Ojcowie utrzymywali, iż złe duchy odstrasza dźwięk dzwonów i zmusza do ucieczki; a gdy się one rozproszą, osoba wiernych jest zabezpieczona, Dzwon odwraca burze i błyskawice i szatanów nawalnicę w porażkę obraca.”

2. „Braciszek Kutbert przemawia do ludu.”

Ten wzorek tak zwanych *Risus Paschales*, albo ulicznych kazań Wielkanocnych nie jest przesadzony. W wieku XV ojciec Barletta, Dominikanin, tak słynął swym ludowym kaznodziejstwem, iż urosło przysłowie:

„*Nescit praedicare,
Qui nescit Barlettare.*”

Między nadużyciami w owym wieku, mowi Tiraboschi, był i zwyczaj wzbudzania kazaniem śmiechu słuchacza. Śmiałość języka w tych ludowych kazaniach dochodziła do tego stopnia, iż pewne miejsca powtórzyć się nie dały.

3. „Narodzenie Pańskie, Misterya.”

Najpiękniejszą kartą w dziejach średnich jest bezwątpienia ta, która przedstawia zawiązek dramatu chrześcijańskiego w Misteryach, Mirakulach i innych widowisk rodzajach. Przedstawiano je naprzód w kościołach, następnie na ulicach, na stałych lub ruchomych scenach.

Najdawniejszym dziełem scenicznym, jakie się dochoowało jest *Christos Paschon* Grzegorza Nazyanzeńskiego, napisane po grecku w wieku IV. Drugie miejsce zajmuje łacińska Misterya mnicha Roswitha, w wieku X utworzona, która przy rubasznosci i braku konstrukcyi odznacza się mocą dramatyczną i zajęciem.

Przedstawienia religijne niezupełnie jeszcze ustaly. W Ober-Ammergau, w Tyrolu, wielkie widowisko tego rodzaju dawane bywa co 10 lat. W r. 1852 podobne widowisko dane było przez Niemców w Bostonie.

4. „Skryptorium.”

Nader zajmującą była rozprawa o kaligrafach i chryzografach średniowiecznych: byli to po największej części zakonnicy, którzy przepisywali dobrowolnie, lub za pokutę, rękopisma klasyków i ksiąg świętych. Na końcu dzieła czytamy nieraz ciekawe epilogi przepisywaczy: „Jak wędrowiec raduje się, oglądając dom rodzinny, tak raduje się pisarz na widok ostatniej stronicy swojego rękopismu”.

„Słodko jest pisać ostatnią głoskę dzieła.”

„Wy, co czytacie, módlcie się za mnie, pokornego grzesznika Teodula.”

„Ilu was czytać będzie tę księgę, raczcie, proszę, darować mi, jeżeli się pomylił w przecinku, kropce, przydechu, odcinku; a niech was Bóg błogosławi. Amen”.

„Zbaw, o Trójco Święta, Boże Ojczy, Synu Boży, Duchu Święty, zbaw moje trzy palce, któremi tę książkę pisałem.”

5. „Minnezenger Walter Vogelweide.”

Jeden z najznakomitszych liryków niemieckich w wieku XII na XIII. Żył za cesarzów: Filipa, Ottona IVgo i Fryderyka IIgo. Poeta w życiu samym, jak w pieśniach, rycerz pod murami Jeruzalemu, uosobił on typ *śpiewaka miłości* wieków średnich tak piórem, jak losami swojemi. Autor *Złotej legendy* kresli o nim taką powiastkę, c. artą na podaniu, a która tak wydatnie dokończy charakterystyki minnezengera:

„Vogelweide minnezenger
Gdy już świat nasz miał opuścić,
Kazał złożyć swoje ciało
Pod wieżą staréj świątyni.

Skarby oddał zakonowi,
Skarby wszystkie, tylko prosił:
By codzień w dobie południa
W dziedzińcu ptaszki karmiono.

„Wszak, mówił, te błędne wieszczce,
Sztuki śpiewu mię uczyły:
Tym minstrelom chcę zapłacić
Za naukę długoletnią.”

A tak umarł minnezenger,
I na mocy jego woli
Codzień ptaszki ucztowały
Z rąk dzieci na grobie wieszca.

Tak dzień za dniem z wież, wieżyczek,
W porę deszczu i pogody,
Tak dzień za dniem w tłumném gronie,
Lecą minstrele powietrza.

I siadają po gałązkach,
Co dziedziniec osłaniały:
To na ziemię, na grobowiec,
Na rzeźbioną twarz poety.

To na kraty szyb klasztornych,
To na rygle drzwi i klamki:
Ot druga wojna wartburska,
Którą niegdyś Walter stoczył.

Tam śpiewają pieśni swoje,
Tam śpiewają uwielbienia;
Jedno imię powtarzają,
Imię wieszca Vogelweida.

Aż nakoniec dumny opat
Zaczął szemrać: „co za zbytek?
Lepiej chleb ten niech pożywi
Naszych mnichów, co post znoszą.”

O! już próżno z wież, wieżyczek
Próżno z murów i gniazdu leśnych,
Gdy dzwon bije na południe,
Lecą goście nieproszeni.

Próżno głosy żalonymi
 Gdzieś tam na gotyckiej wieży
 Skarżą się minstrele w piórach,
 Prosząc dziątek o biesiadę.

Czas już dawno starł napisy
 Z głazów grobowca w klasztorze,
 Tylko podanie wskazuje
 Gdzie spią święte wieszczą kości.

Lecz wkoło wielkiej katedry,
 Słodkiem echem rozniesione,
 Jeszcze ptaszki powtarzają
 Imię wieszczą i legendę.

6. „Ukazuje się Lucyfer.”

Obstawiając całą dekoracją średnio-wieczną niniejszy utwór, można było nie wprowadzić urzędowego typu dramy owoczesnej: księżęcia mroku. Za ledwie bożki starożytne, uosabiające dodatnią siłę, zaszczycały się takim wpływem, jak przeczący, natrętny pośrednik złego w początkach drugiego tysiąco-lecia po Chrystusie. „*Le diable*”, powiada Michelet, *ne prenait plus la peine de se cacher*” ukazywał się bez ceremonii. Tak dalece, że podług autentycznych świadectw, nie wahał się stanąć przed magikiem uroczyście, w chwili obrzędu.

7. „Doktor Serafico.”

Ktokolwiek zna historią filozofii, przypomni sobie, iż nie tylko wielkim myślicielom rozdawano głośnie tytuły: doktorów *bożych* serafiuskich, anielskich, doktorów niezwycięzonych, doktorów niezmazanych; lecz i czciciele pewnych wyznań filozoficznych przyjmowali kolor swojego nauczyciela. W dyspucie dwóch doktorów (scena 22) jest między innymi napomknienie o walce Realistów z Nominalistami, która trwając przeszło trzy wieki, podobnie pracom alchimistów, jakkolwiek nie doprowadziła do odkrycia złota, przyniosła jednak wielkie rezultaty w myśleniu i naukach.



PRZEGLĄD

LITERATURY ZAGRANICZNEJ.

LITERATURA ANGIELSKA.

Rzut ogólny.—Reakeya.—Pani Stowe.—Afryka.—Druzowie Libanu.—
Życie Waszyngtona.

Rok upływa od chwili, jak na karcie Ateneum ukazała się długa kolumna z pięknym, samorodnym wierszem, w typie czysto-amerykańskim: byłato pieśń o Hiawacie, proroku i nauczycielu narodów. Od owéj chwili tysiące gwiazd nowych błysło na przestworzu literatury angielskiej. Przybyły wielkie imiona w Anglii i Ameryce, którym historia sztuki sama otwiera miejsce w rocznikach swoich: „et coeli plus iusta parte reliquit”.

Obok Longfellowa występuje Yendis; obok Szelleya, Buchanam Read, Aytoun, i wreszcie małej liczbie znany, nieszczęśliwy Edgar Allan Poe. Nieutulona w żalu miłości chrześcijańskiej pani Beecher Stowe, ta czarna filozofka, jak podobało się ją nazwać krytykom, zachęcona milczeniem publiczności o jéj „Kluczu do chaty wuja Tomasza”; pani Stowe, dla której sprawa Kansas stała się jakby upoważnieniem do tryumfującego: „mówiłam a nie wierzono mi”, dziś występuje z dziełem tegoż koloru, pod nazwą: „Dred” przez au-

torkę Chały wuja Tomasza. To wyzywające przypomnienie się czytelnikom, zamiast podpisu imienia, kazało się domyślać panom krytykom, iż Dred jest tylko mdłym przedłużeniem wuja Tomasza. Ale w końcu przemogła ta zbawienna prawda, na którą czekamy od lat 20 „że lepiej jest przeczytać książkę pierwój nim zaczniemy pisać jój recenzją”. Po przeczytaniu Dreda zauważano, że to jest tylko utwór tój samój szlachetnej Harryetty (Stowe), i dalszy ciąg wyznania wiary, ale nie marny odgrzewek idei, która za pierwszém żądłem traci siłę żywota.

Longfellow, Bryant, Poe i Yendis, Alexander Smith i Arnold rozpoczynają chlubnie reakcją sztuki narodowej, ten jakby morski odpływ pojęć estetycznych ku Francyi, która dawno przypisuje sobie zaszczyt ciśnienia na umysłowość i towarzyskość Albionu. Wiek XVIII właściwie rozpoczął wewnętrzne stosunki dwóch plemion. Kiedy K. Duboys z upoważnienia władzy udawszy się do Anglii, począł się rozpytywać o literaturę i sztukę angielską, za powrotem do kraju uważał za rzecz przyzwoitą usprawiedliwić się ze swojej ciekawości. „Jeżeli, powiada on, zwiedzam cudze kraje w celu poznania ich ducha, bynajmniej nie zrzekam się ducha własnej narodowości”.

Suveren XVIII wieku (tak nazywa Guizot analitycznego ducha zeszłego stulecia) był wspólną cechą obu narodów. Wspólność roli już znacznie złagodziła spadkową cierpkosć stosunków. Ale jeszcze w r. 1765 Walpole zwiedzając Francją mówi: „Kraj ten nadzwyczaj zubożył się;... zdaje mi się, iż my, Anglicy, wiele się do tego przyczynili. Okruszyny chleba, zmiecione z angielskich dyliżansów, alicie Paryża pokrywających, musiały ten kraj utuczyć. Ale teraz stali się Francuzi filozofami, matematykami, moralistami; prawdziwie nie opłaci się fatyga przepłynięcia kanału i znalezienia tych nudów, jakie się ma u siebie.

Uśmiech wyszedł tu z mody. Poczciwi ludzie nie mają czasu śmiać się. Muszą przecież Bogu i królowi swojemu wypowiedzieć postuszeństwo. Nad tém pracują ich mężowie i żony”.

Oto próbka z tego wielkiego tekstu rodowej nienawiści ludów, z obu stron kanału. Postawmyż obok niego kilka wierszy z najnowszej książki francuzkiej: „Histoire des causes de la grandeur de l'Angleterre” pana Gourand.

„Materyalna wielkość tego narodu nie stanowi całego tytułu, który podnosi stolicę Anglii do godności matki wszech metropolii. Przedstawia się nam ten naród jeszcze pod jedném, nierównie wyższém stanowiskiem w obec innych narodów: mens agit moles. Zajmuje on i w świecie myśli również świetne położenie, jak w świecie materyi”.

Wydał on zpośród siebie Newtona dla nauk fizycznych; Bakona i Lokka dla filozofii; dla wysokiej poezyi tworcę ostatniej epopei: Milтона; dla sceny, Szekspira, dla liryzmu Byrona; dla powieści, autora Wawerleya i Iwanhoe.

Ten jednak wpływ ducha francuzkiego najmniej dosięgnął sztuki. W tej najszczytniejszej sferze indywidualności narodu, Albionczyk umie być samym sobą. Pojął on głęboko tę prawdę, że poezya jest modlitwą, gdzie forma, tylko z świętych tajników ideału wy płynąć może, nie zaś z napływowych żywiołów; inaczéj sztuka byłaby kłamstwem. Pierwotni mieszkańcy Ameryki, spostrzegłszy silne własności prochu strzelniczego, skradli pewną jego ilość i zasadzili w ziemię, w przekonaniu, że wyrośnie i dojrzeje. Jeżeli ten wielki człowiek, którego nazywamy narodem, zrzeka się indywidualności, jeżeli w sztuce zamiast być twórcą, woli zostać uczonym naśladowcą: najpierwsza wzgarda czeka go od tych, których naśladowe. Gdyby Szach-nameh nie był oparł swéj lutni na świętym za-

kresie ducha narodu, czyliżbyśmy go czytali z takim zapamiętem?

Poezja angielska jest samorodną, zład określenie jój ducha organicznie się wiąże z określeniem natury plemienia. Same nawet ogólne pierwiastki sztuki, jakoto: mistycyzm, obrazowanie, patos, ulegają tu idealnemu wpływowi narodowości. Zdolność wyczytania symbolów w księdze przyrody, tęsknego szukania siebie w kształtach tego wielkiego świata, który każdemu plemieniu nadał oddzielny zmysł do poglądania na jego (świata) formy, silna a przebacząca ironia; a przede wszystkim klassyczny spokój w poruszaniu wielkich zapytań sztuki i życia:—to są wydatne strony charakteru literatury, której przegląd zamierzaliśmy.

Wszechstronność stanowiska, oparta na historycznym położeniu tego plemienia, mogłaby także wchodzić w poczet przymiotów jego literatury: lecz dotąd ogranicza się tylko do jeograficznych odkryć i etnografii. Za to w tym ostatnim zakresie są oni mistrzami. Zapał do wypraw, w ich politycznym świecie kierowany godłem hanzeatów: „kupujemy od nich iisa za trzy grosze, a sprzedajmy potem ogon za 10 złotych”; ten zapał w świecie naukowym podniecany jest naturalną wszechstronnością fizycznej organizacyi kraju. Anglia, powiada amerykański pisarz Emerson (*English traits*. 1856) w rozliczności swój powierzchni jest miniaturą Europy. Wszystkie rysunki gruntu są w niej reprezentowane: doliny, bagna, rzeki, morskie wybrzeża, kopalnie w Kornwallis, jaskinie w Matloku, krajobrazy w Dovedale, rozkoszne widoki morskie w Tor-Bay, a w Westmorelandzie mamy tu nawet „kieszonkową Szwajcaryą”.

Nadmieniliśmy już o wpływie ducha francuzkiego na umysłowość Anglii, a zarazem o reakcyi. Ważnym współzawodnikiem żywiołu francuzkiego jest objawiający się w ostatnich latach germanizm, który zdaniem

pewniej liczby pisarzy, ma być odzwierciedleniem długo uspiętego pierwiastku anglo-saksońskiego, tak ważną grającego rolę w życiu i organizacji plemienia. Wszakże nie powinniśmy brać wyrazów za istotę. Jeżeli przez germanizm rozumieć mamy tę stronę własności sztuki, której wyrazem jest tęskne wyzieranie poza fakt i walka widomego z niewidomem i smutek i zagadka, i to, co Ampère nazywa „pięknością trwogi i cierpienia”: tedy germanizm znajdziemy wszechwładnie panującym w eposie perskiej, tak samo jak romanizm w *Ha-fizie*, i tysiąc faktów innych, dowodzących, iż poprzednicy naśladować mogli późnych swoich potomków. Czyliż natura ludzka w powszechnym rozwoju władz ducha, nie może w pewnych dobach uwydatnić jednej cechy przed drugą, i jakby zawiesić na chwilę, albo przenieść z plemienia na plemię monopol pewnych wyjątkowych dążeń, poglądów i usposobień? Mamy prawo powiedzieć, że Longfellow w swoim *Hyperyonie* jest Goetem, lub Jean Paulem, że niejeden z naszych sielankowych pisarzy jest Gesnerem, tak samo, jak męża wytrwałego nazywać nam wolno Rzymianinem, dowcipnego Francuzem, i t. d. Moc porównania nie sięga dalej nad przenośnią. Czyliż Kochanowski przez naśladowanie Orfeusza, nad grobem córki wyronił te święte łąki, które wiek przemienił w kosztowną perłę? albo Libelt ma zostać Germaninem za to, że badał tajemnice ducha ludzkiego?

Ważną gałąź piśmiennictwa angielskiego stanowią podróże. Podróż, jak wiemy, wydatnie oznaczona jest temiz samemi cechami, jak dziejopismo. W obu rodzajach mamy fakta i kierującą niemi duszę pisarza. Tak zwane podróże z wrażeniami w nowszych czasach podniosły się do godności dzieł literatury pięknej. Do rzędu takich dzieł liczy się utwór młodego pisarza amerykańskiego Williama Curtis, podróż po Nilu. Przed kilką miesiącami również znakomity autor niemiecki

Gregorovius wydał w podobnym rodzaju: *Figury, życie i sceny włoskie* (1). Obie te książki są w głębokiem pokrewieństwie, w obydwóch widzimy przedstawioną: poetyczną obecność ducha w naturze. Byron, jak wiadomo był nader szczęśliwym w obrazowaniu natury; częstokroć znajdował on jej formy zbyt pięknymi dla człowieka: „O ziemio cudnie piękna! woła on w zwykłym sobie rozżaleniu, czemuż roztaczasz swoje dary dla plemienia tak niegodnego tych wdzięków”. W ogóle idealne obrazowanie przyrody jest wyłączną cechą poezyi nowożytniej. Starożytnym brakło tego wielkiego zmysłu na świat zewnętrzny, dlatego ich malowidła są wprawdzie wierniejsze. Ampère w całej Grecyi poznaje dziś jeszcze Iliadę; ale nie odkrywamy w całej Iliadzie jednego napomknienia o utajonym w naturze symbolu ducha. Nie zastąpi go nawet wszystkie poglądy mitologiczny, ukrywający w każdym źródle i drzewku przestoczoną dziewicę lub męża.

William Kurtis tak mówi o palmie:

„Humboldt, człowiek wszechświata i wieszcz, dzieli kulę ziemską podług jej piękności, i palmę uwielbia jako symbol swój pierwszej tęsknoty do Wschodu. Znana mi jedna palma na wyspie Kapri; stoi ona w dobraném towarzystwie świetnych fig i uroczystych oleandrów. Opiera się ona o balkon i spoziera daleko na błękit morza Śródziemnego. Przy marzącem, południowem świetle Italii dosięga wzrokiem zatoki neapolitańskiej i dymów Wezuwiusza, a w pełni księżyca złotych pomarańcz Sorrentu, kolebki Tassa, lub Pauzylippo, grobu Wirgiliusza. O palmo szczęśliwa! tyś widziała wszystko, co jest pięknego w zatoce neapolitańskiej.

„Pewien błakający się wieszcz marzył kiedyś pod blaskiem księżyca w ciemni tej palmy i słodką pieśń nucił, przenikniony głęboką tajemnicą współczucia;

(1) *Figuren, Geschichte und scenerien aus Italien*, 1856. Leipzig.

bo palma owa, jak wszystkie palmy, była wieszczem.... Wszak palmy nie tylko są wieszczami, są także i prorokami, świętymi drzewami wspomnień religijnych.

„Gdy Jezus szedł do Jeruzalem, rzucono gałązki palmowe: odtąd palma jest godłem pokoju. Na wspinających obrazach staro-chrześcijańskiej szkoły palma jest jedyną dekoracją ze świata przyrody; ona to wieje nad głową Maryi, ocienia proroków i świeci w dłoni cherubinów nad śmiertelnym łóżem męczennika! Pokaż mi coś piękniejszego nad obraz Korredzia „ucieczka do Egiptu,” gdzie anioły złotowłose uśmiechają się przez gałązki palmy na widok matki miłującej i umiłowanego dziecięcia.

„W Egipcie szczególnie jest piękną palma daktylowa; tam z powiewnym włosem na szczycie, stoi ona niby księżna w szatach godowych, wśród palm pospolitych, które wszakże w gronie drzew należą do wybranego towarzystwa, dla swój wrodzonej wyższości. Wysmukła ich postać zawsze zdawać mi się będzie kolumną, podpierającą sklepienia zwrotnikowego nieba; gdziekolwiek spotkam gałązkę palmy, będzie to czarno-księżka różyczka, która mię przeniesie nad Nil i jego rzadkie pagórki palmowe. Palma szczęśliwą jest tylko w swoim gaju ojczystym, gdzie na nią spada cień rowiennic; ale gdy sama jedna, jest ona obrazem tęsknoty i osierocenia. Wierz mi, wierz! gdybym był poetą, moje serce rozptynęłoby się w pieśń o smutnej samotnej palmie.”

Powieść angielska, tak świetnie dziś reprezentowana przez p. Cavanagh, przez Karola Read'a (autora powieści: Nigdy niepóźna poprawa), Wiliama Fullom (Ludzie światowi) i nakoniec przez autorkę Dreda, ma tę dążność złą i dobrą zarazem, iż zamieniając się nieznacznie na organ zdań społecznych, przedsiębierze walkę otwartą. W tej drodze zyskuje się wiele, bez wątpienia; ale zagrożonym jest artystyczny charakter

utworu. Mówić o humoryście w powieści angielskiej jest rzeczą zbyteczną; „fatalizm klimatu” ma tu swoje najsilniejsze zastosowanie. Któż myśląc o Londynie, nie pomyśli zarazem o jego mgłach i humoryście natury. Emerson w swoich „Zarysach angielskich” przypomina czytelnikowi to dowcipne przysłowie: „wśród dnia pięknego, przy kominku; wśród dnia brzydkiego, koło kominka.”

Obieg książek powieściowych, z których każda wydatnie wypowiada swoją barwę, najlepiej tłumaczy nam dzisiejszą dążność czytającej powszechności. Mielśmy przykłady, iż jeden tydzień wyczerpał dwa lub trzy wydania. Powieść pani Stowe, o której w ciągu obszerniej pomówimy, wydana w 120 tysiącach exemplarzy, już dziś wyczerpana, ma wystąpić w nowym, również olbrzymim przedruku.

Jak nateraz, księgarze zajmują się głównie wygotowaniem ozdobnych wydań na podarunki familijne w święto Bożego Narodzenia (Christmas Books).

Powieść pani Stowe jest prawdziwą eposeą. Od wierzchołka głównego typu rozchodzą się tu charaktery i wypadki w rozlicznych kierunkach; działacze i działanie na wspólnej osi oparte, obracając się, giną w rozmaitości odcieniów i tylko z owego logólnego wierzchołka, to jest z głównej myśli poematu oko ogarnąć może niewidzialną na pozór jedność utworu. A jakąż piękność i wykończenie w oddzielnych kształtach, jakie bogactwo w tych pokładach charakterów, które niejako tworzą się i krystalizują pod piórem autorki; ile tu skarbów dla poety, dla psychologa, dla człowieka! Są i błędy, są bezwątowania; nie owe błędy w fałszywym położeniu ostrogi na posągu bohatera; ale błędy wielkie, które tylko wśród wielkich zalet rodzić się mogą: pośpiech i kobieca niecierpliwość w przeprowadzeniu pewnych zasad, z pominięciem tej mądrej zasady, że i czasowi trzeba czas zostawić; zbytnie

nagromadzenie faktów, za któremi zaledwie serce i wyobraźnia podążyć mogą; przedewszystkiem zaś zbyt plastyczne uosobienie doktryn. Są to wady, na które może autorka kładzie główny akcent swojej artystycznej szkoły.

Nie wysnujemy tu szczegółowo treści utworu, aby nie pozbawiać czytelników interesu tajemnicy, a przytém powodowani uwagą na zakres sprawozdania, przedstawimy tylko niektóre zarysy i położenia.

W biednej chacie na łożu, przy ciemnym blasku lampy widzimy młodą, niedawno czerstwą, piękną kobietę, na której cierpienia wycisnęły już znamię długiej walki i blizkiego zgonu. Stary jej sługa, wierny murzyn, Tiff, utula płaczące, od głodu naprzykrzone dzieci, z których najmłodsze nieszczęśliwa matka karmi ostatkiem swojego życia. Czarna statua wierności (murzyn) upewnia chorą, że długo oczekiwany gość musi wkrótce powrócić do domu. Wreszcie otwierają się drzwi, wchodzi on do chaty, a za nim murzyn wnosi tuziny koszów, pudełek i skrzynek z towarami. Gościem tym był silnie zbudowany, wysoki młodzieniec, który natrętnym hałasem najobojętniej przerywa chwilowy sen umierającej i opowiada jej tysiąc swoich przyszłych widoków handlarskich. Rozkazuje sobie podać wieczerzę i wśród grymasów i wymówek, szalonym apetytem rozwesela smutne oczy tej biednej istoty, która, mówiąc nawiasem, była jego żoną! Zapala fajkę, chmura dymu pobudziła uspokojony na chwilę kaszel żony, która przez szczerą, gorącą miłość dla nieczułego męża, chciałaby ten kaszel przytłumić. Ale Kryps (mąż chorój) na szczęście przypomniał sobie, że mu się jeszcze coś należy. Imbryk z herbatą, o który ten dobry człowiek zawczasu się dopemniał i dobra fajka musiały przecież obstać przy swoich prawach, obok nudnej kwestyi nawiedzenia umierającej żony.

— Janie Janie—rzekła nareszcie kobieta po kilkochwilowym kaszlu—jabym chciała, abys tu usiadł przy mnie; bardzo, bardzo się cieszę, żeś już powrócił. Długo o tém myślałam i dręczył mię niepokój. Miałam ci coś powiedzieć. Ja wkrótce umrę.

— O! to lubię—odrzekł Kryps.—Humory biją, humory i nie więcój.

— Nie, Janie! spojrz na mnie, na moje ręce, na twarz. Patrz jakim osłabiona, a jaki kaszel: co chwila zdaje mi się, że już kończę. Wierz mi, nie troszczę się o siebie; ale lękam, się aby dzieci nie wyrosły tak zaniedbane, jak my byliśmy oboje. Chciałabym, aby umiały czytać i były czémś na świecie.”

— No! a cóż im z tego przyjdzie? Ja nie uczyłem się nigdy czytać, a czy nie jestem walny człowiek? A małoż tu ludzi wokoło nas, co robią pieniądze, nie umiając pisać ani czytać. Wierz mi! wierutne głupstwo, to wasze czytanie. Wszak ciebie uczyli kiedyś czytać w dzieciństwie; no i co złąd dobrego dla ciebie?

— Gdyby tu była jakaś szkółka, jakiś kościół, gdyby coś nakształt nieba, chciałabym je tam widzieć. Fanny, mam nadzieję, będzie się uczyć.

— O! o! na co człowiekowi trzeszczyć nad uchem takimi bredniami. Zmęczyłem się i chcę spać.

Kryps miał słuszność, chciało mu się spać. Rozebrał się więc, położył się i wkrótce zaczął chrapać.

Murzyn Tyff uspokoił chorą, wziął dziecko z jej rąk i uspił: chora wpadła w sen głęboki.

Tyff pocichu nakrył popiołem węgle, usiadł przy łożu i gonił błędnym wzrokiem za ruchomemi cieniami pląsającemi po ścianie; przysłuchując się to ciężkim jękowi sosen, to twardemu oddechowi śpiącego pana. Niekiedy chwiał się w chwilowém uspieniu, to znów wstał i wstrząsnął się, aby sen odpędzić. Uczucie czarnej trwogi upadło na jego duszę. Nie dlatego, aby się obawiał czegoś, bo wyrazy swój pani uważał

tylko za przecucia istoty wycieńczonej chorobą. Myśl, aby ona rzeczywiście umarła, aby odeszła, nie zdawszy na niego całej troski swojej; ta myśl nie przyszła mu do głowy. O północy, jakby pod dotknięciem ręki jakiegoś ducha, oczy jego otwały się nagle. Jęto wyschła, zimna ręka trzymała dłoń Tyffa, oczy chorąg szerokie, błękitne świeciły szczególną, duchową promiennością.

— Tyffie, wyrzekła z trudnością, widziałam kogoś... On mi rzekł to, i to wszystko prawda. Widziałam, jak wielkie były cierpienia. On, on, on idzie po mnie. Powiedz o nim moim dzieciom. — A potem drżące westchnienie, lekki dreszcz i powieki spadły na oczy: na zawsze.

Śmierć zawsze jest nagłą, jakkolwiek stopniowe być mogły jej zbliżania się kroki. Tyff myślał zrazu, że to było omdlenie, używał więc wszelkich wysilen do przywrócenia jej życia. O! gdyby kto mógł patrzyć, jak on swoją czarną dłońią rozgrzewał jej wychudłe, perłowe ręce, jak głowę jej składał na swoje ramiona, jak wzywał w tysiącnych wyrazach miłości, i duszę własną wyléwał w najczulsze rozrzewnienia nad zimnym, już niebacznym uchem. Nakoniec razita go myśl śmierci: rzuca się na ziemię przy łożu i krzyczy gorzko, rozpaczliwie. Jakaś moc w sercu broniła mu budzić tego człowieka, który tak głęboko, tak spokojnie spał obok umarłej; nie mógł pogodzić się z myślą, aby ów człowiek miał jakie prawo do tej kobiety i do dzielenia z nim smutku. Lecz krzyk obudził Krypsa, który z dzikim wejrzeniem usiadł na łożu, odgarniając włosy z nad oczu.

— Tyffie! czego głupsze wyjesz mi nad głową?

Tyff zatrzymując łzy na chwilę, z gniewem wskazał na zimną postać.

— Masz tobie! anim się spodziewał w tej ostatniej nocy: a teraz rób, co chcesz.

I odskoczył z trwogą od bezdusznój postaci.

— Otóż mi rzecz! Czym téż przypuszczał kiedy, że będę w jedném łożu z trupem. No no! to mi piękna rzecz!

Z wiarą w gotowość ludzi do niesienia pomocy bliźniemu, z wiarą właściwą dzikim synom natury, Tyff udaje się do Niny, młodej, bogatej właścicielki sąsiedniej plantacyi, prosząc, aby mu pomogła dźwigać ciężar położenia.

Szlachetna Nina przybywa w towarzystwie Claytona i służby.

Staęła w otwartych drzwiach chaty. Łoże pokrywał biały całun, a ciało ubrane w białą szatę, leżało tak spokojne, tak zbliżone do życia, że ledwieby tu ktoś wierzył w obecność śmierci. Wyraz troski, zękania i boleści, niedawno wyciśnięty na twarzy, ustąpił miejsca rzewnemu spokojowi, ocienionemu tajemniczą trwogą, jakby się wpatrywała w jakiś świat niewysłowiony.

Dusza, choć zapadła głęboko pod horyzont istnienia, rzuciła za sobą blask na twarz, promieniejący jak zachodnie niebo. W głowach na łożu siedziała mała córka, przy niej chłopczyk, z wyrazem stłumionego podziwu.

Tyff wszedł pocichu, trzymając w ręku splot białego jażminu, który położył na piersiach zmarłej.

— Przykrą miała drogę, rzekł Tyff, ale oto! odeszła do domu. Czyż nie piękna! O! biédna owieczka (1).

— Biédna, odrzekła Nina, biédna! a jak wiele cierpiała!

Nina zrosiwszy łzami zwłoki téj róży, którą Bóg zerwał, aby tam dojrzała, „gdzie nieśmiertelne kwiaty nie więdną” zapytuje Tyffa, gdzie ją chce pogrzebać.

(1) Murzyni w chwilach uniesień używają częstych alluzji do Pisma świętego.

— Pogrzebać—zawołał stary sługa, zakrywając twarz rękami, gdy trzy cisnęły się z pod palców—pogrzebać, o Boże! o Boże! tak, ja wiem, to musi nastąpić. Ale ja nie mogę: nie... spojrz pani, jak ona jest piękną, nie prawdaż?

Pisarze angielscy mają szczególną cześć dla obrazowania téj zawsze staréj a zawsze nowéj sytuacji. Dla kogo drogimi są ludzie, kto umie tę drugą ludzkość, uświęconą świętym namaszczeniem nicestwa kochać i za grobem, czuć obecność utraconych braci; kto wierzy w owę błogostawioną bezpośredniość między płaczącym a opłakiwanym: niech czyta tę książkę.

Zobaczmy teraz, czém jest psychologia pod piórem naszej artystki: oto mamy określenie nowego, oryginalnego typu: wróżbiarza. Czytelnik osądzi, do jakiego stopnia pisarz może tu być panem faktu:

„Jest pewna granica światła pomiędzy zdrowiem a chorobą, na którą starożytni Grecy i Rzymianie zapatrywali się z osobliwszą czcią. Uważali oni na osobę, której władze były tak usposobione, jakoby krocząca pod strasznym cieniem stanu nadprzyrodzonego. A jako głębokie tajemnice gwiazd stają się widzialnymi tylko w nocy, tak równie i w tém zaćmieniu materialniejszych władz duszy, uważali często przebudzenie się nadprzyrodzonej intuicji. Gorące, dodatnie światło nowoczesnego materializmu, które wypala z głębin naszego bytu każdą kroplę rosy, które odszukuje i wysusza każdy strumyk i nieubłaganym promieniem przenika w chłodne ustronia poetycznej możliwości; ten duch bez sumienia, zapewne nie pozwoli na taką nieokreśloną sferę, bo w nowoczesnej antropologii mamy tylko dwa wyrazy: zdrowie i choroba.

Któż zaiste znajdzie godną nazwę dla tego dziwnego i anormalnego warunku istnienia, w jakim (nasz bohater) największą część życia przepędził... Ten ta-

jemniczy dar ducha, który nasi górale (Highlanders) nazywają drugim wzrokiem, jest u murzynów nader częstym i pospolitym zjawiskiem.

Określać istotę tego daru nie śmiemy. Czy tu jest jakaś zdolność w duszy jeszcze nie rozwinięta, zdolność, która dla przyszłości jest tém, czém dla przeszłości pamięć? Czy jakiś wyłączny, nadzwyczaj wykończony warunek organizacyi zmysłowej, który obdarza człowieka instynktową mądrością natury zwierzęcej? Na to nie mamy odpowiedzi, atoli to fakt niezaprzeczony, że Dred nieraz winien był tej wyjątkowej naturze swojej ocalenie z niebezpieczeństwa; w niejto czerpał on tajemniczą przestrogę o ukrytych czatach, na jego życie czyhających, a niejednokrotnie spełniona przepowiednia nacechowała jego prorocтва piętnem straszliwej powagi. Ileżto razy burza groźnie hucząca nad jego głową, zmięta las jak trzcinę, a szerokie drzewo wyrwane z korzeniem z giętkiego gruntu runęło z łoskotem gromu; on wówczas, jakby mroczny duch nawałnicy, krzychał z radości i naigrawał się. Te uroczyście trwożące potęgi natury zdawały się podniecać go i niecierpliwić duszę, że się dzień sądu nie zbliża."

Pani Stowe, na jej zaszczyt powiedzieć to można, zaślubiła na pociski, które ją zewsząd dosięgają. Wypowiedzieć postuszeństwo istniejącemu porządkowi w sztuce, nie ugiąć kolana przed togą krytyki a jednak pisać i tworzyć pięknie: to dwie niepojednane rzeczy. Wszakże ironiczny pogląd na rzeczy ludzkie łagodzi tu niewystawiona miłość bliźniego, serce gotowe do przebaczenia, cześć dla cnoty i cudnie przeważająca wzgarda ku złemu. Dla duszy umiejaczej kochać tak głęboko, świat cały jest poezją. Natura tę ma wielką wagę dla ducha ludzkiego, że w niej wszystko znaleźć może, a przedewszystkiem siebie samego.

„Jak czułe, słodkie i niewinne są wszystkie dzieci Boga. Ze spokojnych cieniów lasu nie uleciał jeszcze

ten błogi stan, który nasze grzechy wystraszyły z mieszkań ludzkich. Słodko spadają promienie księżyca po perlach rosy na liściu; spokojnie dyszy wiatr po gałązkach sosny, potrząsa kwiatkiem i drżącym mchem nad głowami dzieci śpiących bez matki. Ty! co dźwigasz w swém łonie serce spiekłe od cierpień i znękanie prózną walką wśród ludzi, zejź tu do puszczy, a znajdziesz Tego, który rzekł: „Jak tego, którego pokrzepia matka jego, ja pokrzepię cię, ja będę jako rosa dla Izraela, Urośnie on, jako lilia.”

Wśród takięto puszczy śpią małe dziatki, wystraszone z domu przez niegodną macochę, którą Kryps poślubił zaraz po zgonie owęj nieszczęśliwéj matki. Wierny murzyn Tyff, który je uprowadził w głąb lasu z pod prześladowczéj ręki, teraz, gdy usnęły na złamaném drzewie wśród liści i mchu, on zwraca się do Boga z błaganem. To więcéj jak modlitwa: to rozmowa z ojcem. Tyff usprawiedliwia swoję ucieczkę, porównywa ją z ucieczką do Egiptu. „Wszak Bóg widział jak ta kobieta jest złośliwą, jak ona dzieci prześladowuje, a temu ojcu tak łatwo wesprzeć cierpiących”. Nim spać się pokładły, dzieci zapytują Tyffa, czém żywić się będą w puszczy. Tyff przypomina im naiwnie „o aniołach i cudowném zstąpieniu manny na puszcze”. Bóg nie zawstydził poetycznéj wiary murzyna. Dred przechodząc rankiem około śpiących dzieci i Tyffa, położył chleb i mięso obok ich leśnego łoża. Tyff przebudza się, widzi pożywienie, ręką niewidzialną położone. Ucieszył się na ten widok zaspokajający, że sieroty będą nakarmione; radość ta gasła jednak przed rozrzuwającym uczuciem, że Bóg tak prędko „usłyszał jego wyrazy”.

—O Tyffie!—rzekła Teddy—to te anioły wczorajsze przyniosły nam śniadanie. A czemużes mię nie obudził. Chciałam ich zobaczyć; jak żyję, nie widziałam anioła.

— Ani ja, mój miodeczku—odpowiedział Tyff z całą szczerością—oni najczęściej przychodzą, gdy my śpiemy.

— Wuju Tyffie (1)—mówi budząca się Fanny—spałam głęboko, mój sen był bardzo piękny: śniło mi się, że byłam w miejscu opustoszożonym, i nie mogłam wyjść ztamtąd; pełno skał i cierni, a i brat był ze mną. Gdy się pniemy i pniemy, nadchodzi mama, a wyglądała jak nasza mama, tylko daleko piękniejsza: miała białą suknię aż do stóp długą. Bierze nas za ręce, skała się otwiera i ścieżką schodzimy na zieloną łąkę: tam pełno lilii i dzikich jagód, i mama odeszła.

— A dobrze—odrzekł Tyff—może téż ona przyniosła nam śniadanie: patrzcie, co my tu mamy.

Te wyrazy zajęły małą Fanny, ale po chwilowym namyśle, rzekła:

— Nie! nie mama to przyniosła; wątpię, aby tam był chleb i mięso.

— Nie wiem, nie wiem, z kąd ten dar pochodzi. Lecz podziękujmy Bogu moje dzieci, i czekajmy co dalej będzie. Cicho, cicho!!....

Wystrzał głośno rozległ się po rosistej gęstwinie lasu.

Dzieci przelękły się.

Clayton był narzeczoną Niny. Szlachetny charakter młodzieńca, jego spokojny a głęboki pogląd na życie, osłonięty poważnym mistycyzmem religii, a z drugiej strony również szlachetne serce Niny, ale żywe, lotne, nieprzylegające stale do żadnej głębszej myśli, tworzyły zachwycającą harmonią przeciwieństw. Przed kilką miesiącami podczas pięknego wieczora w domu rodziny Clayton odbywała się cicha wiejska uczta. Mu-

(1) Wuj, ciotka, zwykle tytuły nadawane murzynom po domach.

rzyni domowi, którzy w Claytonie kochali już przyszłego pana, ułożyli w tajemnicy małą zabawkę sceniczną. Wśród pieśni ułożonych naprędce, nie jedna była alluzya do przyszłego szczęścia narzeczonych. Nina śmiała się lub rumieniła stosownie do tekstu tych dzikich, pół-afrykańskich chórów, które w stylu oryginalnym, językiem łamanym (murzyni rzadko dochodzą do władania językiem swych panów) uwielbiały ją pod symboliczném imieniem Róży z północnej Karoliny.

„O ta Róża z północnej Karoliny,
O ta Roża z północnej Karoliny!
Życzymy panu szczęsnej doli
Z Rożą z północnej Karoliny.

Nie chłopczyku, ty się mylisz:
To światło jój pięknych oczu.
O! ja widzę, jak dwie róże
Kwitną na jednej grządce.

O! ja widzę dwie gwiazdy
Wstają na ciemnym niebie.

Nie, chłopczyku, ty się mylisz:
To jój policzki tak się rumienia.

i t. d.

Teraz upłynęło kilka miesięcy od uczty. Clayton, w swojej plantacyi na kilkanaście mil odległej, odbiera list od Niny, zawierający smutne doniesienia. Zarazą wybuchła w jój plantacyi i porywa groźnie jedną ofiarę po drugiej. Nina ufna w tego Boga, o którym tyle słyszała od Clayтона, pozostaje w swój wiosce, kiedy wszyscy prawie posiadacze plantacyi uciekli do miast. Ona kocha serdecznie swoich czarnych bliźnich, poświęca się, ratuje, umacnia na duchu.

Clayton odebrałszy list Niny, lecz dopiero w tydzień, dzięki „mądrym urządzeniom stanów południowych” puszcza się natychmiast w podróż do Kanemy (posiadłości Niny).

„Całą noc pędził na swoim rumaku przez puszcę sosnową, gdzie żadne oko nie patrzyło na niego, prócz oka tajemniczych gwiazd. Na ostatniej stacyi, dokąd wstąpił po świeżego konia, spostrzega trwogę i zamieszanie. Troje ludzi umarło, czwarty już dogorywał. Po całej drodze powietrze zdawało się napełnione odgłosami strachu i śmierci. Skoro zdaleka ujrzał plan-

tacye Niny, serce jego przejął nagły dreszcz, jakiego doświadcza człowiek, wracający do domu z dalekiej wycieczki, zaczętej pod groźnem przeczuciem klęsk nieodgadnionych. Jeszcze się nie rozwidniło, kiedy Clayton mijał chatkę Tyffa.

Zatrzymuje się przed nią, brama stoi nawpół otwartą, drzwi chaty odemknięte. Na kilkakrotne wołania nie otrzymując odpowiedzi, wsiada znów na konia. Błyszczące światło gwiazd wystarczyło dla przekonania go, że wszystko tu było pustkowiem. Wyglądało to cokolwiek na złą wróżbę. W chwili, gdy wsiadał na konia, gotując się do jazdy, silny głos odezwał się przed nim w ciemności lasu: byłato majestatyczna i posepna pieśń w tonie minorowym:

„Na tronie w obłoku zasiądzie Pan!
Jasne płomienie gotują mu drogę:
Piorun i ciemność, ogień z nawałnicą
Prowadzą dzień straszny”.

Znekany nocną podróżą, jego system nerwowy jeszcze bardziej ugiął się pod wpływem strasznych obrazów, napełniających duszę: niedziw więc, iż te dźwięki spadły na niego całym ciężarem potęgi zabo-
bonnej. Clayton doznał osobliwszego wrażenia, gdy z pod ciemnej arkady sosen ujrzał zbliżającą się czarną postać. Nieznajomy zdawał się postępować jednostajnym krokiem, stosując go do posepnej pieśni, którą śpiewał.

— Któż ty jesteś—zawołał Clayton, usiłując odzyskać odwagę.

— Ja?—odrzekł czarny przychodzień—ja jestem głos wołającego na puszczy. Ja jestem znak ludowi o blizkim sądzie.

Clayton zachwiał się na chwilę; nieznajomy mówił dalej.

— Widziałem Pana idącego z dziesięcioma tysięcy świętych. Przed Nim szedł pomór, i rozżarzone węgle szły przed stopami Jego.

Straszne wyrazy grzęmiały pod sklepieniem lasu, jakby przekleństwa anioła niszczyciela. Po chwili mowca znów odezwał się tonem niżonym, ale posępnym:

— Nie płacz nad zmarłą! ani smuć się nad nią. Patrz! oto baranek stoi na górze Syon, a z nim 144,000, a imię jego ojca wypisane na ich czołach. Oto anioł idzie, mający pieczęć Boga, i ona ma być naznaczona pieczęcią na czole dla baranka.—I oddalił się zwolna, śpiewając w swym pochodzie w głąb lasu:

Umarła! umarła,
Bywaj zdrów, bracie!
Pogrzeb mię w ziemi Egiptu

Obok mego brata,
Obok mojej matki.
Umarła, umarła!

„Clayton, skręcając zwolna po nieuczęszczanej drodze, czuł jak tajemnicza trwoga ciśnię się w jego duszę. Dźwięki głosu i dziki styl mówcy przypomniat mu owe nocne zgromadzenia religijne (camp-meeting), i chociaż starał się wyrozumować sobie, że zapewne jakiś dziki fanatyk, podniecony jeszcze bardziej obecnością śmierci i zniszczenia wokoło, był twórcą tych straszliwych prorocत्व: nie mógł przecież zastonić wyobraźni od napływu przeczucia i trwogi. Wszak życie nasze można nazwać zamieszkałym domem, zbudowanym na samych granicach kraju pomroki i cieniów śmierci. Tysiąc żywotnych nitek wiąże nas z królestwem niewidzialności i zagadki: i najmocniejsze serca, które nigdy nie znały trwogi, musiały raz kiedyś uciścić bicie serca, na jeden szmer dostłyszany z pod zastony. Może najzapamiętalszy sceptyk w rzeczach ducha miewa godziny, w których wstłdzi się wyznać, że i on ulega siłom tego straszego pokrewieństwa, co nas z nieznanym światem jednoczy. Podczas trwania klęski dziwnem było spojrzeć i widzić, z jak niezmienną foremnością, blaskiem i pięknnością odbywały się ruchy świata przyrodzonego. Wśród zgiętku, jęków konania, łez, rozpaczy i upadku serc, w zwykłym maje-

stacie wschodziło i zachodziło słońce, rosa szklita się i zorza purpurowym blaskiem poprzedzała gwiazdy: śpiewało ptastwo, płaśaty wody i kwiat błyszczą: wszędzie w naturze był przepych, rozkosz i urozystość.

Gdy Clayton wjechał w granice Kanemy, pierwsza osoba, zapytana z obawą, odrzekła mu: „Bogu dzięki Mistres Nina żyje jeszcze.” Więc to było tylko marzenie.

— Więc jesteś jeszcze wpośród nas, rózo moja! O! Bóg jest dobrym... Mniemałem, żeś już umarła, Miss Nino!

— Nie! Edwardzie, Bóg był z nami. Straciliśmy wielu: mnie Bóg zachował jeszcze dla ciebie.

— Jesteście rzeczywiście zdrową—rzekł Clayton, biorąc jęj rękę i patrząc w oczy—wyglądasz bardzo, bardzo blado!

— Nic dziwnego, jest tu wiele do czynienia, ale czuję się zupełnie zdrową: nigdy zdrowszą nie była, a co dziwniej, nigdy szczęśliwszą, spokojniejszą, pewniejszą miłości Boga.

— Wiész, Miss Nino, ta spokojność mię przeraża: ta dziwna, nieziemska szczęśliwość, tak podobna do tęg, którą czują umierający!

— Nie, myślę, że gdy nie mamy innęj podpory, prócz Ojca niebieskiego, On przychodzi do nas bliżej jak zwykle: to jest cała tajemnica mojego szczęścia i pokoju. Lecz wejdz pan do swego pokoju, jesteś znużony.

Zostawszy sam jeden w swoim pokoju, Clayton uczuł dopiero cały ciężar nagłęg i niepokojącéj podróży. Po śniadaniu, sen nieprzetamany owładnął nim, i wkrótce Clayton zasnął głęboko. Pięrsze chwile przespał bez marzeń, lecz gdy minęło pięrsze znużenie, podniecony system nerwowy począł sny jego malować w błędne i trwożliwe obrazy. Oto widzi się

znów z Niną w swojej wiosce, gdzie murzyni przesuwają się, rzucając kwiaty pod ich stopy; ale bukiet z kwiatów pomarańczy pokryty był czarną krepeą. Nina podnosi rzucony bukiet, zdiera czarną krepeę z uśmiechem, kładzie kwiaty na skroniach, a chór śpiewa.

O! ta róża z północnej Karoliny!

O! ta róża z północnej Karoliny!

Wtém nagle śpiew zamienia się w narzekania, a processya w pochód pogrzebowy. Głos ponury, podobny owemu, który Clayton słyszał w lesie, śpiewa:

Placz, płacz, bo róża uwiędła,

Róża północnej Karoliny!

Zrywa się ze snu przerażony Clayton i zamiast pieśni pogrzebowej, słyszy zdaleka melodyjny śpiew Niny:

Spiesz, spiesz do ziemi szczęśliwej,

Gdzie tęsknota już nieznana;

Lecz piérwój niech uroczysty

Połączy mię węzeł z tobą.

Śpiesz, a śpiesz się, uleć ze mną,

Tam świetne gody czekają.

Całe szczęście będzie twoje,

Twoje, twoje, tylko twoje!

Lato ma swe ciężkie chmury,

Listek musi spaść z róży.

Pieśń mówiła prawdę... Niny głos nagle umilkł, spiesznie wybiegła z altany, gdzie Claytonowi niedawno przygotowała śniadanie.

— Miss Nino, czy ci brakuje czego?

— Nic, nic, rzekła pomieszana dziewczica, wrócę natychmiast.—Clayton widział, jak Nina pobiegła do szafki, gdzie były krople, i jak ztamtąd wzięła flaszkę.

Clayton wydał krzyk trwogi i pobiegł szybko za Niną.

— Nino! czy jesteś chorą? czy jesteś chorą?

— Tak, zdaje mi się, tylko, może—i wkrótce Nina opuściła głowę na ramię Claytona.

Któż z czytelników nie przypomniał sobie w tej chwili owej pięknej, ale smutnej sytuacji, bo poeta

ma to smutne przeznaczenie nazywać piękném to, co łyzy wyciska:

Maryo! czyś ty nie chora, bo taką masz postać,
Jakbyś się wkrótce miała do aniołów dostać.

Niestety! podobieństwo sytuacji idzie jeszcze dalej!
„Lekki oddech słabnie i słabnie stopniowo: nadziei już nie było. Noc tymczasem przysuwa się cichym, uroczystym krokiem. Łagodny dęszczyk kropił na dziedzińcu, szumiąc tu i owdzie po listkach, a w komnacie wszystko ucichło.”

Mamyż wymówić ostatni, najsmutniejszy wyraz sceny?-,

Trzech wielkich poetów upodobało sobie w owém dzikiém sprzeciwieństwie, jakie przedstawia tu na ziemi widok naszych wiekuistych nieszczęść i nadaremnej walki, a tam w górze, widok niezmiennych obrotów nieba i planet. O! jak mistrzowsko wywiązała się tu artystka, spuszczaając zastonę; podobnie jak wielki muzyk, rozkołysawszy harmonią do najgwałtowniejszych wibracyi, kładzie wielką pauzę. Bo genialnie zapytuje się pani Stowe „na taką rozpacz, czy jest cośkolwiek na niebie lub ziemi?”

*Życie Waszyngtona, przez Irwinga Waszyngtona. 3 tomy.
1856 roku.*

Coż wspanialszego na widok prawdy, majestatycznie kładnącej rękę na usta zawiści, i namiętne stronictwa zmuszającej do słuchania wyroku, jaki historia wyrzeknie nad czynami ludów. Oby dziejopisarz strząskął raczej pióro, nim je ma zmaczać w bezbożnym płynie fałszu, albo pochlebstwem zakrwawić serce sprawiedliwości! Niezachwiany sąd nad przeszłością wy-

dany, jest wprawdzie ową oderwaną tylko cnotą, gdzie idzie o ocenienie starych wypadków, które straciły już dla nas żywotną wagę pokrewieństwa; ale i tu historyk jest słońcem, od którego faktu biorą barwę i ciepło; a cóż dopiero, jeżeli zadaniem jego są wypadki ledwie co zamknięte, nie namaszczone jeszcze świętą neutralnością wieków, stykające się jeszcze żywo z natchnieniem i wspomnieniami!

Tegoto rodzaju stosunek zachodzi między nowym światem amerykańskim a jego metropolią. Świeżo wydarty trójząb oceanu zostawił niezaszłe jeszcze ślady pasowania na dłoniach starłej Anglii, zamało oswojonej z upokarzającym godłem „non tibi imperium maris.”

Przedstawiając przeto życie bohatera (1), który wstrząsnął stary kolos potęgi morskiej i odparł szeregi Jerzego III, który położył kres starym warunkom i zamknął drogę nieobliczonym dążeniom handlu i propagandy; autor tego dzieła miał zadanie trudne, trudne w najpolityczniejszym znaczeniu wyrazu. A jednak przeprowadził on je wzorowo. Uwielbił zwycięzcę nie drażniąc dumy zwyciężonego. Nie pokrywał, nie tłumaczył, bo jego bohater nie potrzebował pobłażania, ani usprawiedliwień, a jednak dzieło jego w obu ładach zaszczycone zostało niemal równym współczuciem. Jeżeli namiętności nie ucichły zupełnie, przecież „synowie metropolii przestali już złorzeczyć polityce, która spowodowała kolonią do ogłoszenia niezależności; z drugiej zaś strony Amerykanie przestali znieważać naród, który miał nieszczęście być rządzone od władców takich jak Jerzy III i takich ministrów, jak lord North.” Winszują sobie nawet Anglicy, iż wówczas zamiast utraty Ameryki nie utracili całego stanowiska w Europie. Życie Waszyngtona w trzech czę-

(1) Life of George Washington, dzieło Irvinga.

ściach dotąd wydanych, doprowadza nas do bitwy pod Bunkers Hill (I), kiedy Waszyngton objął dowództwo; następnie do zakończenia kampanii Jersey (II), nareszcie do szturmów Stony Point (III).

Kiedy generał angielski Howe, którego imię zmuszeni będziemy wspomnieć raz jeszcze w sprawozdaniu o piśmiennictwie tegoczesném, kiedy Howe okrzyczanym był w Londynie jako zwycięzca, Amerykanie zadali mu ciężką porażkę. W tym czasie przybył do niego kandydat innego rodzaju i sam mu się przedstawił. „Był to młodzieniec rodem z Litwy, który w swoim kraju, a następnie we Francji uczył się wojennego rzemiosła.”

Wiadomo czytelnikowi, iż wojna północno-amerykańska przedstawia wiele obrazów romantycznych. Przytaczamy jeden z nich dosłownie z dzieła autora:

„W dywizji generała Frasera znajdował się młody oficer, Dawid Jones, legitymista amerykański. Przed wybuchnięciem wypadków, rodzina jego mieszkała w bliskości Fort Edward. Pomiedzy młodym porucznikiem i piękną dziewczcą M'Crea zawiązała się wzajemna miłość. Była ona córką kapłana presbiteryańskiego, niedawno zmarłego, i mieszkała z bratem swoim nad brzegami Hudsonu poniżej Fortu Edwarda. Oblubieńcy mieli się wkrótce połączyć, gdy nagłe wybuchnięcie wypadków rozdzieliło rodzinę i zerwało wszystkie węzły społeczne. Rodzina Jonesów należała do stronnictwa rojalistów, zaś brat M'Crea był gorliwym wigiem. Jonesowie usunęli się do Kanady, gdzie Dawid znakomite zajmował miejsce pomiędzy wiernymi sztandarowi królewskiemu i otrzymał tam posadę porucznika. Wzajemność uczuć między narzeczonymi nie ustawała, i niewątpliwie utrzymywali z sobą piśmienne stosunki. Porucznik Jones był teraz w obozie Frasera, w swoim dawnym sąsiedztwie Miss Crea była w odwiedzinach u wdowy O'Neil, mieszkającej w Fort Edward. Zbliżenie się armii królewskiej rzuciło postrach po kraju,

mieszkańcy uciekali z domów. Brat Miss Crei postanowił oddalić się do Albany, posłał więc do siostry z poleceniem, aby była w gotowości towarzyszenia mu.

Miss Crea wahała się. Brat powtarza poselstwo i przedstawia jój niebezpieczeństwo pozostawania dłużej w bliskości fortu, który niehybnie wpadnie w ręce nieprzyjaciela. Dziewica jeszcze odwleka. Tymczasem kobieta, u której bawiła, należała do party legitymistów i była przyjaciółką generała Frazera. Jój więc dom i własność były zabezpieczone: więc w razie nawet zdobycia fortu, obawa jój brata zdawała się bezzasadną. Jój narzeczony był w armii królewskiej, a zdobycie przypuszczalne fortu, dawało nadzieję połączenia się dwojga oblubieńców. Wszakże poselstwo brata było nalegające. Dziewica, jakkolwiek nie bez oporu, postanowiła usłuchać przedstawień i już miała wsiadać w mały statek, przeznaczony do przewiezienia kilku rodzin. Wtém, tegoż samego poranku, kiedy miało nastąpić odplynięcie, w bliskości fortu zaszła przerażająca scena. Oddział indyjskich maroderów, wysłany od Burgoyne w celu niepokojenia wojsk amerykańskich, napadł na okolicę. Kilku Indyan napadło na dom pani O'Niel, złupili go, wzięli jako jeńców wdowę i młodą, goszczącą u niej M'Cree. Przerażona dziewczina przyrzeka dzikim wielką nagrodę, jeżeli darują jój życie i odwiozą w bezpieczeństwie do brytańskiego obozu. W czasie odpoczynku, między dzikimi wszczyna się kłótnia, podniecona trunkiem; wydzierają sobie zdobycz i prawo odebrania nagrody. Sprzeczka dochodzi stopniowo do szalorój ostateczności, tak, iż jeden z pomiędzy nich, uniesiony wściekłą zemstą, zabija nieszczęśliwą M'Cree na miejscu, uwieńczając zbrodnię, podług zwyczaju, odcięciem czaszki na znak tryumfu. Ten krwawy czyn zgrozą przejął generała Burgoyne. Lecz bardziej okropność wrażenia powiększoną została tą wieścią, iż Indyanie owi wysłani byli

przez porucznika Jones, w celu przyprowadzenia M'Crey do obozu. Zaprzeczył on téj wieści i zaprzeczeniu da-
no wiarę. Burgoyne zwołał na radę dowódców in-
dyjskich i nastawał energicznie, aby sprawca był uka-
rany śmiercią. To żądanie wywołało silne wzburze-
nie. Winny był znakomitym wojownikiem, i dowódcą;
i „dziki honor” jego towarzyszy wzbudził się na obro-
nę bohatera. Sant Luc odwołał na stronę generała
Burgoyne, przedstawiając mu groźnie, aby nie doprowa-
dzał sprawy do ostateczności, zapewniając, iż z uspo-
sobienia, jakie panuje między dowódcami należy wnio-
skować, iż w razie ukarania winowajcy, wszyscy ich
żołnierze opuszczą armią angielską. Burgoyne był tedy
zmuszonym oszczędzić mordercę, lecz wydał rozkaz,
aby odtąd żaden oddział Indyan nie ważył się robić wy-
cieczki bez oficera brytańskiego, lub innéj godnéj zaufa-
nia osoby, stającéj się odpowiedzialną za ich postępk.
Jednakże sprawa brytańska poniosła ciężką zmagę.
Śmierć M'Crey rozległa się po całym kraju. Graniczni
mieszkańcy, dotąd spokojni, pochwycili oręż dla bronie-
nia rodziny i ogniska. W rozżaleniu, mściwe ich oczy
poza Indyanami spozierały na ich przewodzców. Znie-
nawidzili oni tę armią, która głosząc się wyznawczynią
cywilizacyi, mogła zawiązać sojusz z barbarzyńcami;
przeklinali ten ster, który, nazywając ich poddanemi,
dozwolił podobnym wrogom samopas pustoszyć ich do-
my. Krew nieszczęśliwéj dziewicy przelaną była nie-
darmo: wyrosły z niéj legiony. Imię jéj, jako hasło
trwogi, przebiegło wzdłuż brzegów Hudsonu”.

Dzieło Irwinga należy, jak widzimy, do dawniej-
széj szkoły, to jest przedstawia owe spokojne epos hi-
storyczne, gdzie rzadko dusza pisarza wychyla się
z poza faktów, jedynie zajęta wątkiem przedmiotu. Li-
czy się on dziś w Ameryce do najgłośniejszych znanych pi-
sarzy, a życiorys tego Fabiusza, nie wątpimy, nowy do-
da kwiat do jego sławy pisarskiéj.

Była chwila, kiedy Europa z trwogą i zawiścią spoglądała na wzrastającą potęgę Afryki; kiedy zebrany naokoło kotliny morza Śródziemnego świat starożytny drżał o swoje losy, aby kiedyś nie był zalany ową semitycką cywilizacją, która w osobie Kartaginy wciśkała się z Afryki do Hiszpanii, z Hiszpanii do Galii, z Galii na półwysep włoski. Ale pamiętny dzień bitwy pod Zamą skruszył napierające na Europę żywioły ducha semityckiego i ocalił naszą, to jest zasadę prawodawczego postępu i idealnej religii.

Oddtąd Afryka, jakby zepchnięta w głąb samej siebie, z groźnej stała się nieznaną, z współzawodniczącą bierną, z handlowej i zwyciężkiej korsarską. Pozostały atoli dwa nakazujące szczątki pierwotnego jęj charakteru: dzikość i tajemnica.

Kilkakrotne w ostatnich latach podróże naokoło świata zdarły mistyczną zasłonę: znikła poezya oddalenia, syczenie pary wystraszyło mity z oceanu, i podług wyrażenia Anglików, któremu nic zarzucić nie można, „dzisiaj jesteśmy już wszędzie u siebie.”

Pozostał atoli jeden dziewiczy ląd, jeden gaj „nie-
tknięty żadnym toporem”: pozostała środkowa Afryka. Przeczucie wielu nieznanych, nieprzewidzianych kształtów, w jakie się życie owych ludów ułożyć musiało, a to bez natchnienia z wewnątrz, bez objawienia z zewnątrz; to przeczucie przyzywa gorąco uwagę Europejczyka ku tym ziemiom spartym na równiku, dla których historia nic jeszcze nie uczyniła. Nie z większym zapamiętaniem zatrzymywano w wiekach średnich pielgrzymów, wracających z Palestyny, jak dzisiaj chwytnie najdrobniejszą wiadomość o mieszkańcach Wielkiej pustyni i brzegów Wory i Biniu. Zrozumienie tych duchowych potrzeb naszego czasu, wyrażających się w zamitowaniu tego, co jest nieznanem, tak rozszerzyło literaturę odkryć geograficznych, że podróże po Afryce stanowią dzisiaj same przez się rozległą wyłączość. Z pomiędzy

dzień, odnoszących się do tego przedmiotu położyć należy na pierwszym miejscu pracę pana Baikie, pod napisem: *Opis wyprawy po rzekach: Niger i Czadda, odbytej w r. 1854.* Wydany przez Williama Baikie, z upoważnienia rządu Jej królewskiej Mości. Londyn.

Przed jedenastą laty Beekroft odkrył odnogę Nigru. Następnie w skutek przedstawień Bartha i Richardsona rząd angielski zarządził wyprawę naukową. Okazało się, iż Biniu i Czadda są jedną i tąż samą rzeką. Nakoniec posłano śrubowy statek „Plejada” celem dalszych poszukiwań pod dowództwem naprzód p. Tayler, a następnie samego Baikie. Stanąwszy na czele wyprawy Dr. Baikie wpłynął od ujścia z 12 Europejczykami i 53 „ludźmi kolorowemi.” Ci ostatni z plemienia Kru słyną za najzdolniejszych żeglarzy w Afryce zachodniej.

„Przyjęto za zasadę używać do żeglugi, jak najmniej ludzi białych, płynąć podczas wezbrania rzeki, albo w porze deszczów, i braniem chininy usposabiać organizm Europejczyków do znoszenia klimatu. Podróż odbywała się środkiem między malowniczymi gajami palm i plantacyami bananowemi. Na brzegu rzeki spotykają podróżujących tłumy krajowców tatuowanych, niosąc ptaki, kokosowe orzechy, a biorąc w zamian chustki, flaszki i tabakierki. Nieraz, gdy dowódzca odbywa spostrzeżenia astronomiczne, on sam jest przedmiotem spostrzeżeń dla czatującego nań krokodyla.”

Przytaczamy tu ciekawy szczegół o plemienu, mieszkającym dostownie w wodzie. Ta amfibia z duszą nieśmiertelną, naśladowującą architekturę bobrów, Dr. Baikie tak opisuje:

„Jak jest urządzone wewnątrz domu tych istot ziemno-wodnych, domyślić się nie mogę, lecz widzieliśmy mieszkania, z których zajmujący je, koniecznie musiał zanurzać się w wodę, jeżeli chciał wyjść ze swojej siedziby. Z trudnym do opisanego zdumieniem żeglowa-

liśmy obok tych miast wodnych, nie mogąc pojąć, jak mogły istoty ludzkie istnieć pod takimi warunkami. Słyszeliśmy o dzikich plemionach mieszkających po jamach i rozpadlinach skał, czytaliśmy o plemionach Indostanu gnieźdzących się po drzewach, o całych rodzinach chińskich, które przepędzają życie w stątkach na rzece lub kanale; wiemy także, iż Tuarykowie i Szambachowie koczują po rozległej pustyni piaszczystej, że Eskimowie zagrzebują się w jamy śniegowe; lecz pomysłić ani marzyć nie śmieliśmy nigdy, aby podobni nam ludzie mogli tworzyć dobrowolnie, jakby kolonie bobrów, lub szukali wzoru u koni rzecznych albo krokodyłów, mieszkających w ościenném bagnie. Niedaleko od nas ujrzeliśmy wielkie drzewo, u którego stóp mały ciągnął się pas suchego łądu; zbliżamy się tam z narzędziami obserwacyjnymi. Ledwieśmy się urządzili, gdy prawie cała ludność miejscowa, częścią brodząc, częścią przepływając przez małą mieliznę, ruszyła wprost ku nam i spoglądała z dzikiem zdumieniem. Po kilku spostrzeżeniach cofnęliśmy się do łodzi, postanawiając spędzić parę chwil na ciekawej rozrywce. Teraz mogliśmy lepiej przypatrzeć się nowym przyjaciółom, którzy w wielkiem gronie dokoła zgromadzali się: wszyscy bez śladu odzieży. Jeden z młodzieży rozumiał kilka wyrazów w języku Hausa, i tym sposobem dowiedzieliśmy się, że to był naród Dulti o którym słyszeliśmy w Dżynie i że mieszkańcy byli tegoż samego szczepu, lecz daleko dzikszemi, surowszemi i w stanie większej nagości, aniżeli inne gałęzie plemienia Baibai. Zbliżyła się ku nam łódka, na dnie której leżała ogromna ryba; ledwie zdążyłem zdjąć z niej oczny rysunek, gdy nagle zmusza mię konieczność cofnięcia się do naszej łodzi. Postawa bowiem dzikich zwróciła uwagę naszą mimowolnie. Mężczyźni zaczęli gromadzić się dokoła coraz bliżej, oddaliwszy z pośród siebie dzieci i niewiasty.

Co chwila wzrastała ich poufałość, i wreszcie bez ogródki pokazali chęć schwytania i złupienia statku. Z gałęzi drzewa, na którym przyczepiony siedział, jakiś dygnitarz rzucał na nas ostre spojrzenia: było ich król, który wszakże nie zamierzał powściągnąć ich niewinnego łakomstwa. Jakoż jeden z ciekawych, ujrawszy wyglądającą z kieszeni naszego Kruanina chustkę czerwoną, sięgnął po nią; gdy nagle mój pies, dotąd spokojny, podniósł głowę, chcąc zobaczyć, co się też dzieje. Ukazanie się tej nowej osoby strwożyło wojowników Dulti, którzy dotąd jeszcze nie widzieli podobnego zwierzątka. Cofnęli się przeto dla zrobienia narady, i z oznaką niespokojności pytali mię, czyli on nie zechce ukąsić. Upewniłem ich, że tak będzie. Tymczasem rzecz nabierała coraz więcej powagi: mieliśmy przed sobą około 400 dzikich, gotowych do natarcia. W trudnym położeniu, powtórzyliśmy środek już raz użyty w Dżynie: porwałem więc kilka cacek i podałem najbliżej stojącemu. Z chciwością rzucił się tłum, zdjęty ciekawością do oglądania błyskotek”.

Tymczasem, jak się łatwo domyśleć, szanowny nasz Dr. Baikie uciekł wraz z towarzyszami. Pogoń ścigała ich dość długo, nareszcie dostali się na prąd rzeki. W powrocie p. Baikie nawiedzony został febrą, mimo hojnego używania chininy. Odkrycia jego spowodują bez wątpienia rząd angielski do zarządzenia drugiej, praktycznej wyprawy. Wiadomości geograficzne i etnograficzne, zebrane przez p. Baikie posuną naukę daleko. Wyborna mappa dołączona do tego znakomitego dzieła, pokazuje, jak daleko rozszerzył się zakres podróży po tej części Afryki od lat 30-tu.

Sceny i widoki na Wschodzie (Scenes and Sights in the East. p. James Bruce.

Autor, téj książki nader zajmującej, przytacza w niej wiele ciekawych rysów z mitologii Indyan, z etnografii i historyi. Mówi zaś z takim uwielbieniem dla Indyan, z tak uszczypliwemi zwrotami do administracyi angielskiej, że go w Londynie przezwano czcicielem Wisznu. Zajęty nas opisy wspaniałych widoków, jakie przedstawia na Wschodzie natura, tak sama w nakazujących tworach, jak pośrednio w wyrażających jéj wielmożność dziełach sztuki. Zastępują podobnie na uwagę zebrane podania ludowe, zwyczaje i przesady, te ważne dla myśliciela szczątki zatraconych systemów filozofii i upadłych religii. Taką jest np. wiara Indyan w jaszczurkę. Jéj głos ma być zrozumiałym dla ludzi wtajemniczonych. Jaszczurka sumienna ostrzeże gospodarza o mającém nastąpić najściu nocnego zbójcy. Jaszczurka złośliwa i niecna uwiadomi złodzieja, wskaże mu najlepszą porę i miejsce, gdzie się kryją kosztowne przedmioty w domu mieszkańca.

Wspomnieć wypada o nowym, nader żywotnym fakcie, który jak dla nauki, tak również i dla samych dziejów gotuje niezmiernie ważne następstwa. Jestto dokonana w latach 1852, 3 i 4, a przed kilką miesiącami ogłoszona drukiem:

Wyprawa amerykańskiej eskadry na morza Chin i Japonii pod dowództwem Komodora Perry (Londyn i Nowy-York, 1856).

Obszerne to dzieło dostarcza mnóstwo szczegółów o tém najmniej znaném plemieniu, które przez traktat handlowy z Ameryką, z czasem wejdzie do rodziny narodów, a przyjętém będzie tém serdeczniej, że dotąd widzianém było tylko przez teleskop. Stosunki bo-

wiem Holandyi niewiele wyjaśniły wewnętrzny byt Japonii...

— Druzowie Libanu, ich zwyczaje, obyczaje i historia, przez pana Chasseaud (Bentley).

Któż bez uniesienia wspomni owe nieśmiertelne cedry Libanu, o których podania i powiastki kotływały do snu dzieciństwo nasze i równo ze świtem życia, ze śpiewem piastunki budziły przeczucie tego, co jest niewidome a wielkie: owe zaczarowane przestrzenie ziemi obiecanej, do których rycerze krzyżowi tęsknili w swęj podróży, mówiąc: „oby téż i nam Bóg dozwolił zginąć raz pod murami Jerozolimy, nim wrócimy do ojczyzny.” Autor niniejszego dzieła, urodzony w Syryi, posiadający dokładną znajomość narzeczy, mógł wnikać głębiej, jak ktokolwiek inny, w tajniki życia plemion Libanu, ocenić ich uczucia bohaterskie, wyobrażenia religijne, ich dzieje. Skreślony tu przytém obraz samęj krainy z jęj przepyszną wegetacją leśną, z jęj kolorami i światłem. W końcu umieścić autor przekład arabskiego rękopismu, zawierającego zasady religii tego plemienia.

Druzowie, odosobnieni wiarą, typem i historią od reszty, mieszkają po wsiach i oddzielnych częściach kraju, gdzie mają w sąsiedztwie Maronitów, swoich nieprzyjaciół. Oto wzór stylu i poglądu autora:

„Po lewéj stronie, tuż pod nami, widać domy, ogrody i wioski; dalej rozległy krajobraz gęsto pokryty przepyszny lasem oliwnym, nad którym panuje głusząca gęstwina rosnących palm i dumnie wznosi głowy, niby czujna straż, strzegąca latorośl oliwną od najeźdźników. W téj właśnie chwili chłodny wiatr od morza zawiewa i szeleści między gałązkami, rozprasza suche liście, i ziemi oblicza otula złoto barwnym płaszczem jesieni. Lecz wszystko to jest niczém w porównaniu z tym gwarem i szumem gałęzi, gdy nadejdzie czas zbioru. Wtędy na każdéj odnodze żyznęj oliwy zacze-

piony, ojciec i dzieci, wstrząsnie całą istotą drzewa, aby zebrać jak można najwięcej, a kobiety i dziewczęta z rozestłanymi matami i ogromnym koszem, chwytają jakby deszczem padające oliwki. Następnie rozdzielają owoc na różne przeznaczenia: część zachowana będzie w soli i wodzie, część obróconą będzie na wycisk."

Znajdujemy u tego plemienia piękne zabytki pierwotnego typu. Godnym uwagi jest fakt, dowodzący zarazem prawdziwego starożytnego charakteru mieszkańców, że gdy Druz raz opuści drzewo, z którego natrzęst owoców, pod żadnym warunkiem nie dotknie tego drzewa powtórnie, gdyby nawet największa liczba owoców pozostała na niem. Ostatek niedający się oderwać od gałęzi, uważany jest jako udział dla biednego: w tym względzie Druzowie trzymają się zasady wspólnej wszystkim plemionom Syrii; zasady jednobrzmiącej ze słowami ksiąg wtórego zakonu (rozd. 24) „a jeśli będziesz obijał twoje drzewo oliwne, nie wnijdiesz powtórnie na gałęzie: będzie to dla przychodnia, dla sieroty i wdowy."

Uporczywa wiara w nietykalność plemiennych form, tak naturalnie właściwa ludom zamkniętym w górach, u Druzów maluje się we wszystkich nałogach i odcieniach życia. Jak zwykle u narodów dzikich, chcę mówić patryarchalnych, ta miłość ku swoim formom ukazuje pod ujemną postacią „nienawiścią ku obcym zwyczajom."

Jakkolwiek przywykli np. do widoku kapelusza europejskiego, jednak Burckhard znalazł u nich pomiędzy innymi przekleństwami i to „oby Bóg włożył na ciebie kapelusz."

Prawo schronienia również wchodzi w poczet świętych stron charakteru Druzów.

„Jeżeliby dziś nawet który z książąt, ujęty darami lub z jakiegokolwiek pobudki, zamierzył wykryć człowieka, któryby szukał schronienia między Druzami, cały

kraj podniósłby rękę i przeszkodził mu w złamaniu praw gościnności i wyciśnięciu takiej plamy na imieniu Druzów. Ów nawet niewierny, straszny Dżezzar-pasza, którego imię szerzyło postrach na Wschodzie, i którego czyny nie znalazły równych sobie w dziejach okrucieństw, nawet ten człowiek, który oddał rząd gór w ręce swoich słuźalców, nie zdołał wymóżyć na nich wydania jednego zbiega. Oślaniali go, dopóki mogli, w końcu zaś zagrożeni, ułatwili mu dalszą ucieczkę.”

Krainy te są często widownią krwawych zająć między Druzami i ich religijnymi przeciwnikami: Maronitami. Autor opisuje najazd Maronitów . podczas nocy, gdzie z podziwieniem wyczytujemy, iż Druzowie w ciągu kilkunastu godzin zgromadzili 12,000 żołnierza i napad odparli.

W przyjmowaniu pieniędzy Druzowie zachowują nadzwyczajną przezorność religijną. Jeżeli w cudzym domu przychodzi im odebrać należytość za sprzedaną oliwę lub jedwab, z obawy, aby pieniądz nie pochodził z rąk nieczystych, zmieniają go pierwój na inną monetę, i tym sposobem upośredniają stosunek między sobą a pierwotnym dawcą, lub kupcem.

Pielgrzymka do Mekki i Medyny p. Riszarda Burton. (Personal Narrative of a Pilgrimage to El-Medinah and Meccah).

Autor pomienionego dzieła dostąpił zaszczytu, jakim ledwie kto z jego współwyznawców pochlubić się może: przypuszczony był do ucałowania czarnego kamienia w Medynie. Powodzenie w téj niebezpiecznej wycieczce, p. Burton winien przyjętemu na siebie charakterowi Afganistanina. Opis ceremoniatu tak nowy, tak oryginalny dla Europejczyka, zdawał się nam godnym powtórzenia.

„Oto nakoniec, mówi p. Burton, jestem u kresu długiej i męczącej pielgrzymki, urzeczywistniającej zamysły i nadzieje tylu lat życia mego. Fata-morgana wyobraźni oblekła osobliwszym urokiem ogromny katafalk i jego ciemny całun. Nie były to tłumki białej starożytności Egiptu, ani szczątki harmonijnej piękności, jak w Grecyi i Włoszech, ani barbarzyński ogrom, jak w pomnikach Indyi; lecz widok był przedziwny: a jak mało ludzi patrzyło na tę sławną trumnę z relikwiami (shrine)! Śmiało rzec mogę, że ze wszystkich czcicieli, którzy płacząc przytulali się do kortyny, i serce bijące przykładałi do kamienia, żaden nie czuł głębszego wzruszenia, jak przybylec z dalekiej północy, Hadzy! Zdało mi się że oto prawdą jest, co mówiły legendy arabskie, że powiewne skrzydła aniołów, nie słodki zefir poranku, wzdymają czarne nakrycie trumny. Lecz jeśli mam wyznać upokarzającą prawdę, ich uczucia były szczytnym zapałem religijnym: moje—zachwyceciem dumy.

Rzadko który z muzułmanów spogląda po raz pierwszy na Kaabę bez zdumienia i uroczystej trwogi. Mówią żartobliwie, iż nowo-przybywający potrzebuje tu przewodnika do modlitwy. Przeto mój przewodnik zostawił mi chwilę samotności, ale wkrótce ostrzegł mię, że już czas rozpocząć. Zbliżywszy się, wchodzimy przez bramę synów starłej kobiety. Tu podnosimy ręce i odmawiamy Labbaik, Takbir i Jahlil, następnie powtarzamy jakieś modły, pociągając rękoma po twarzy. Teraz trzeba posunąć się na miejsce modlitwy Szafei, blisko źródła Zem Zem, gdzie się oddaje podwójną czołobitność na cześć meczetu. Po tém spełnia się czarę świętej wody, i wręcza dar niosącym ją Sakkas, którzy w mojem imieniu rozdają wodę biednym w naczyniach glinianych na pamiątkę.

Zbliżamy się do wschodniego węgła Kaaby, zawierającego czarny kamień, i w odległości kilku kroków

od niego powtarzamy z wzniesionemi rękami: „nie masz Boga, prócz Allaha, którego przymierzem jest prawda, a sługa jego jest zwycięzcą. Nie masz Boga tylko sam Allah, bez współuczestnika: jego jest królestwo, jemu niech będzie chwala, on wszech rzeczy władcą.” Po tych wyrazach przystępujemy jak najbliżej do kamienia. Mnóstwo pielgrzymów uprzedziło nas w dotknięciu kamienia: kładziemy ręce na uszach, a następnie spuszcza-
jąc je, w postawie błagalnej, mówimy: „o! Allahu! w two-
jój wierze, i na sprawdzenie twojej księgi i naśladowa-
nie przykładu proroka twojego: niech go Allah błogo-
sławi i zachowa. Allahu! wyciągam dłonie ku tobie
i wielką jest moja żądza ku tobie. Przyjm moje błaga-
nia, zmniejsz przeszkody i ulituj się mojego upokorzenia
i przebacz mi.”

Lecz jeszcze nie będąc usposobionym dosięgnąć kamienia, kładziemy ręce na uszy, z dłonią obróconą ku kamieniowi, jakoby dotykając go, odmawiamy modlitwy; błogosławimy proroka i całujemy kraj palców u prawej ręki. Tu rozpoczyna się ceremonia okrą-
żania, (Tawaf) to jest obchodu Kaaby po otaczającym ją
wygładzonym granicie. Powtórzyłem więc za moim
przewodnikiem: „W imię Allaha, zamierzam obejść
siedm obchodów wielkiemu i uwielbionemu Allahowi.”
We drzwiach Kaaby mówią się wyrazy: „Allahu, zapra-
wdę dom ten jest twoim domem; świątynia ta, twoją
świątynią; ochrona ta, twoją ochroną; i to jest miejsce
tego, który ulatuje do ciebie z ognia. To jest miejsce
Abrahama, który się uciekł do ciebie z płomieni.”

Nakoniec p. Burton ucałował czarny kamień, jako
muzułmanin. Dzieło zawiera wiele ciekawych rysów,
spostrzeżeń, pokazujących dowcipnego-ethnografa i mędr-
ca.

O STOSUNKACH WZAJEMNYCH WŁAŚCICIELI DÓBR I WŁOŚCIAN W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

PRZEZ

Antoniego Cyprysińskiego.

I. Stosunek prawny, w jakim włościan Królestwa Polskiego zastał Ukaz Najwyższy z d. 26 maja (7 czerwca) 1846 r.

Nadawca Ustawy d. 22 lipca 1807 roku, ogłoszonej na-
przód dla dzisiejszych gubernii: warszawskiej, płockiej
i augustowskiej, a potem rozciągniętej do dzisiejszych
gubernii radomskiej i lubelskiej, zastał w prowincjach
składać mających Księstwo Warszawskie ludność rolni-
czą, własności gruntów nie mającą, ale na cudzych osia-
dła, w wolności swojej osobistej ograniczoną i wzajemnie
właścicielei gruntów, w swobodnym niemi rozrządzaniu
ograniczającą. Tę ludność, która stanowiła większą da-
leko połowę ogółu mieszkańców kraju, porównał Na-
dawca Ustawy z ich resztą, gdy w art. 4 wyrzekł: „znosi
się niewola, wszyscy obywatele są równi przed obliczem
prawa.”

W art. 86 tejże Ustawy powiedziano: „że ona do-
pełnioną będzie urządzeniami wychodzącemi od króla,
a roztrząsanemi w Jego radzie stanu.” Otóż dopełnie-

nie Ustawy przez rozwinięcie jęj art. 4, było jedną z najpięrcwszych czynności rządu, wynikających z przepisu art. 86.

Jakoż dnia 1 grudnia 1807 roku, minister sekretarz stanu wezwał z rozkazu królewskiego radę stanu o ułożenie i przedstawienie projektu, dopełnić mającego art. 4 Ustawy, i do wezwania swego dołączył dwa pisma, mieszczące w sobie skazówki od Tronu, w jaki sposób czynność tę dopełnićby należało.

W pierwszym z nich powiedziano: 1) Że niewola którą Ustawa znosi, ogranicza się w Polsce jedynie na stanie poddaństwa włościan czyli na ich przywiązaniu do ziemi. 2) Że w wykonaniu Ustawy wypada znieść poddaństwo czyli zapewnić włościanom wolność osobistą, oraz własność przemysłu i dorobku. 3) Że nawzajem przez roztropność i sprawiedliwość należy zabezpieczyć właścicielom dóbr nienaruszone prawo własności do gruntów posiadanych przez włościan, które oni od wieków trzymali tylko pod obowiązkiem pewnej robocizny, pańszczyzną zwanęj, i zapewnić im zwrot danego inwentarza, zasiewów i zapomożeń. 4) Że znosząc dotychczasowe i co do dziedziców i co do włościan wzajemne ograniczenia, zdaje się rzeczą największej wagi ustanowić najprzyzwoitsze dla obu stron sposoby do zawierania dobrowolnych umów, których nowy porządek rzeczy wymaga. 5) Że bez wątpienia byłoby najpożądanyszem, gdyby można włościanom nadać własność przez sprzedaż albo dzierżawę wieczystą, za stosowną do gatunku i rozległości gruntu opłatę czynszu w pieniądzech, daninę w zbożu lub odpowiednią dwom powyższym sposobom i sprawiedliwie rozłożoną pańszczyznę, czy za połączone bądź dwa, bądź wszystkie trzy powyższe rodzaje wynagrodzenia. 6) Że dla zapewnienia stron i zapobieżenia wszelkiemu nadwerczeniu, umowy między panami i włościanami mające składanemi być w publicznych aktach i obowiązywać przed każdym sądem, zawierane być winny pod dozorem rządowym, t. j. w uczestnictwie ustanowić się mających prokuratorów, którzyby zaświadczaali warunki umów i dozorowali wzajemnych między kontraktującemi korzyści. 7) Że powinien być

przepisany normalny czas do uzupełnienia tego przedsięwzięcia, po którym włościanin każdy, któryby nie dowiedział swego aktualnego stanu, zostałby za włościanę poczytany, i nakoniec 8) że zawarte dotąd między dziedzicami a włościanami sądowe kontrakty, nadane przywileje, zapadłe wyroki najwyższych instancyj, moc swoją zachować mają.

W drugim piśmie sekretarza stanu, Najjaśniejszy Pan chcąc niezwłocznie ludowi swemu Księstwa Warszawskiego wskazać korzyści opieki rządowej, którą nad nim rozciągnąć pragnie, objawić mu prawidła uwolnienia go z poddaństwa osobistego, i wyjaśnić stosunki ludu rolniczego z rządem nowo wprowadzającym się i z dziedzicami gruntów, na których własności los tychże rolników osadził, a monarcha ich aktualnie osiedlonych zastaje; poleca radzie ministrów, *naprzód* podać opinią o dacie i formie ogłoszenia uwolnienia z poddaństwa, i współcześnie wezwania włościan do umów dobrowolnych nadal z dziedzicami, o sposobach rozmaitych umów mogących się pod opieką rządu *tymczasowie* zawierać dobrowolnie między dziedzicami gruntów z włościanami; gdzie o tém gromady traktować mogą, oraz czy przez wójtów swoich, czy przez wybrane dobrowolnie osoby; które jurysdykcyje miejscowe i jak dawać mają tym traktowaniom assystencyą, powagę i rękojmię zawartych umów; czy sędziowie pokoju téj ważnej dla kraju usługi podjąćby się nie powinni; jak nastąpić ma natychmiast wpisanie pewne i stałe ludzi roboczych w gminie pod *rękojmią gromad*, dlatego, żeby ze źle zrozumianego uwolnienia, duch próżniactwa i wędrówki, ludzi do roli przywiązanych, od rolnictwa nie odrywał; *powtóre* zebrać wiadomości o dzisiejszym stanie chłopów w różnych departamentach, o różności ich losu i kondycyi z różnych używalnych dotąd umów i zwyczajów wynikłych; podać sposoby rolnikom ułatwienia kupna własności i spłacenia inwentarza czyli bydła do nich nie należącego (załogi), nakoniec dla zastąpienia umów, mogących pod opieką rządu zawierać się *tymczasowie* między dziedzicami gruntów a włościanami, przedstawić sposoby dalsze, potrzebujące dłuższego czasu i dokładniejszej

znajomości dobroci ziemi, ku porównaniu, ile można w całym kraju takowych umów stosownie do wartości robocizny, ziemi i jej produktów, do zręczności miejsc, handlu i wygód.

Już w tych rozkazach królewskich radzie ministrów danych, widoczna jest myśl podwójnej czynności w urządzeniu stosunków włościańskich, to jest: naprzód uporządkowania ich *zaraz tymczasowego*, a następnie *stałego*, po zebraniu potrzebnych ku temu wiadomości.

Czyniąc zadość woli Najwyższej, rada stanu złożyła królowi dnia 17 grudnia 1807 r. projekt do postanowienia, który dnia 21 t. m. zamieniony został w prawo, składające części dopełnienie Ustawy z 27 lipca tegoż roku.

Prawo to z 5-ciu artykułów złożone, rozciąga się tylko do osiadłych w dobrach prywatnych rolników, włościan i z wyrobku żyjących, i do właścicieli tychże dóbr. *Co do rolników*, znosi wszelkie dotychczasowe ograniczenia ich wolności osobistej i zależność od wyroków dziedzica, gdy stanowi: 1) że każdy rolnik włościanin i z wyrobku żyjący, mocen jest wyprowadzić się z miejsca w którym dotąd zostawał i przenieść się w obrębie Księztwa Warszawskiego tam, gdzie dobra wola jego będzie (art. 1), za opowiedzeniem się dziedzicowi, tudzież zwierzchności wskazanej od władzy administracyjnej powiatowej (art. 2) i pod obowiązkiem oddania dziedzicowi własności jego gruntowej, składającej się z załogi i usiewów, wyjąwszy gdyby udowodnił, że tę własność utracił po dniu 1 października 1806 r., czyto przez pomor, czy to inną klęskę (art. 5); i po 2) że dziedzic chcącego wyprowadzić się rolnika wstrzymywać nie jest mocen (art. 2), ani w żadnym zdarzeniu z powodu pretensyi swoich, których rolnik zaprzecza, poniewolnie zatrzymywać go nie może: lecz takich zaprzeczonych pretensyi, sądownie dochodzić winien (art. 5).

Co do właścicieli dóbr. Prawo 21 grudnia 1807 r. znosi wszelkie dotychczasowe ograniczenia prawa własności dziedziców do gruntów przez włościan posiadanych, i pełne wykonywanie tego prawa zawiesza tylko do roku, t. j. do dnia 21 grudnia 1808 r.; gdy stanowi w art. 3, że zapewnia się dla rolników włościan i z wy-

robku żyjących, chcących się pozostać w miejscu teraźniejszego ich pobytu, zupełna wolność przemieszkowania *do roku*, byleby odbywali też same powinności, którym podlegali dotąd; i że dziedzic przez ten przeciąg czasu ani do wyprowadzenia się przymuszać, ani podwyższać żadnego rodzaju obowiązków, nad używane dotąd, nie jest mocen. Nakoniec art. 4 przepisuje, że na każde wezwanie sądowe, osoby do tego umocowane przyjmować będą dobrowolne umowy, czyto wieczyste, sprzedażne, czy też doczesne, według warunków zobowiązanych przez strony ugodzonych pomiędzy rolnikami i dziedzicami, czy są zawarte w tych samych wsiach, w których zostawali dotąd, czy też rolnicy wchodzą w układy z obcymi dziedzicami; i że osoba sądowa powinna być jako świadek rządowy, pod odpowiedzialnością osobistą dający baczność: 1) czy strony są w stanie zawierania dobrowolnych umów, 2) czyli jest istotnie samowolna umowa i czy nie zachodzi jakowa bojaźń, przymus lub podstęp, i że każdy szczegół czynności w protokule zawartym i oznaczonym być winien.

Z osnowy tego prawa okazuje się: 1) że przy układaniu jego nie miano na widoku stałego przyszłego urzędnika włościan, później dopiero nastąpić mającego, po obmyśleniu sposobów do ułatwienia *kupna na własność* i zastąpienia tymczasowych umów przez porównanie ich stosownie do wartości robocizny, ziemi i jej produktów, do zręczności miejsc, handlu, i wygod; 2) że przecinając dotychczasowy między dziedzicami a włościanami związek, chciano jedynie na początek, o ile dobrowolna zajdzie umowa, w dowód jej pismienno obie strony opatrzyć, i 3) że nadając włościanom wszystkim prawo opuszczenia swoich dziedziców natychmiast, a przeciwnie wkładając na dziedziców obowiązek utrzymania do roku tych, którzyby dotychczasowe powinności wypełniać chcieli, rachowano na to, że obawa utraty po upływie roku, z jednej strony dotychczasowych posiadłości, z drugiej dotychczasowych prestacyi, skłoni i dziedziców i włościan, do zawarcia układów przed d. 21 grudnia 1808 roku.

Dnia 23 stycznia 1808 r. minister sprawiedliwości przedłożył królowi, że od ogłoszenia prawa 21 grudnia

1807 r. pełno jest zgłoszeń się 'o układy tak włościan jak dziedziców: że forma układu i instrukcja o jego zawieraniu już gotowe, przesłane będą niebawnie Najjaśniejszemu Panu: że koszta umowy o zwyczajną osadę włościańską, przypadające po połowie na strony, nie przeniosą złp. 4 gr. 2, z czego przyjmujący ją otrzyma złp. 2, pisarz jego złp. 1, zwróci się z reszty koszt drukowanego egzemplarza, a za stempel wpłynie do skarbu około złp. 150,000; że atoli należy przeznaczyć tylko do zawierania układów, a zatem czasowo, około 120 notaryuszów; że o przedstawienie sobie zdatnych do tego i pewnych osób uczynił odezwę do sądów appellacyjnych, i że mianować ich będzie, jak tylko upoważnionym do tego przez Najjaśniejszego Pana zostanie.

Do powtórnego przełożenia z dnia 8 lutego 1808 r. dołączając tenże minister sprawiedliwości wzór umowy włościańskiej i instrukcją o jej zawieraniu, jako téż spis osób, przedstawionych przez sądy na notaryuszów; ponowił prośbę do N. Pana o upoważnienie siebie do ich mianowania, bez czego art. 4 prawa z 21 grud. 1807 roku nie mógłby zostać wykonanym.

Upoważnienie rzeczone, jako téż zatwierdzenie wozu układu włościańskiego, z poprawką przez samego monarchę uczynioną, aby tożsamość osób notaryuszowi nieznanym, poświadczaną była ile możności przez proboszczów miejscowych, sołtysów, wojtów, lub wiary godnych sąsiadów nieznanego, a to końcem zapobieżenia wszelkim podejściom przy podobnych czynnościach trafić się mogącym, dane zostało przez odezwę ministra sekretarza stanu do ministra sprawiedliwości d. 18 lutego 1808 roku.

Wzór protokularny umowy włościańskiej obejmuje w sobie dwojakie szczegóły, odnoszące się jedne *do formy*, drugie *do osnowy* kontraktu.

Formy zasadzają się na tém, że notaryusz *a)* ma poświadczyć lub sprawdzić tożsamość stron lub ich pełnomocników; *b)* rozpoznać czy strony są w dobrém zdrowiu i zdatne do zawierania umów; *c)* przekonać się z odpowiedzi do protokołu zapisanych czy zawierają kontrakt dobrowolnie, a w szczególności czy włościanin nie

przystępuje do niego z bojaźni lub niewiedomości; *d)* odczytać całe dzieło i poświadczyć odczytanie jego w języku znanym stronom; *e)* po odczytaniu zapisać odpowiedź na trzy zapytania: czy strony nie mają co do powiedzenia przeciwko szczegółom kontraktu? czy chcą jeszcze co dodać lub opuścić? czy zezwalają, aby przyjmujący kontrakt urzędownie go potwierdził? *f)* uczynić wzmiankę o sporządzeniu protokołu na trzy ręce, i na koniec *g)* wziąć podpisy lub podznaczenia stron z poświadczeniem co do pisać nie umiejących.

Szczegóły na wzorze kontraktu odnoszące się do jego osnowy mają na widoku: 1) ód skład; 2) trwanie, i 3) cenę dzierżawy.

Co do składu dzierżawy wchodzi do niego: *a)* grunta, z oznaczeniem ich rozległości podług pomiaru, lub gdzie go niema, przybliżonej według miar miejscowych, z wymienieniem czyli jest wolne pastwisko i gdzie; *b)* budowle z ich wyszczególnieniem oraz objaśnieniem jak się odbywać mają naprawy, przestawiania lub postawienia na nowo, jako też czy dozwolone jest branie drzewa na budowy, na reparacye i ogrodzenia; *c)* zasiewy, *d)* inwentarz żywy, *e)* inwentarz martwy czyli sprzęty rolnicze z zamieszczeniem szczegółowego opisu i oszacowania ruchomości przez biegłych. Oprócz tego zaś wymienia się w kontrakcie, czy dozwolone jest dzierżawcy prowadzenie obcych trunków, łowienie ryb, polowanie, branie drzewa na opał, zbieranie grzybów, żołądzi i t. d. wreszcie czy mlewo dozwolonem jest w cudzych młynach, czy tylko w miejscowych, ale z zastrzeżeniem wybierania miarki sprawiedliwej, według przepisów rządowych.

Co do trwania dzierżawy, oznacza się jej przeciąg i termin jej wypowiedzenia.

Co do ceny dzierżawnej, stanowiąc ją mogą, z wymienieniem terminu płacenia lub oddawania 1) pieniądze, 2) zboże, 3) daniny, 4) robocizna tygodniowa *ciągła i pieszka*. *Ciągła* z wymienieniem, wiele dni na tydzień oraz ilo-bydlnych lub ilo-konnych: i z oznaczeniem dnia ciągłego przez wymiar roboty przy oraniu, radleniu i włóczeniu przez liczbę godzin w dwóch półtrocach od św. Wojciecha i św. Michała, wytrącając czas na odpoczynek, przy

zwózce siana i zboża, z wyrażeniem ile ma być brane na wóz oziminy i jarzyny: przez liczbę *mil i ciężar*, przy wywozie zboża różnego na sprzedaż: przez liczbę *obrotów dziennych* przy zwózce drzewa, cegły, gliny. *Piesza*, z wymienieniem ile dni na tydzień i z oznaczeniem dnia pieszego przez liczbę *godzin* w dwóch powyżej wskazanych półroczach, wytrącając czas na odpoczynek; przez liczbę *morgów* przy sianokosie, przez ilość *kop* oziminy i jarzyny przy żniwie: przez liczbę *snopów* oziminy i jarzyny przy młocce: przez liczbę *korcy* przy rżnięciu sieczki a przez liczbę *sążni* przy rąbaniu drzew, 5) *Inne powinności* jakoto szarwarki, gwałty czyli tłoki, daremsczyzny, kopanie jarzyn, strzyżenie owiec, przedzenie, paszenie oraz stróża nocna i dzienna z kolei podług liczby gospodarzy, 6) *najem* z oznaczeniem ile w każdym z dwóch półroczy może być żądanych dni ciągłych i pieszych i za jaką opłatą. Następnie wzór umowy zostawia miejsce na układ o potrącenia za gradobicia, ogień piorunowy, powiewny, zarazę założnego bydła i za jakiegokolwiek inne szkody; a nakoniec na układ co do podatków, prowiantów, podwód, stójek i innych robót tak ręcznych jakoteż i bydłem od rządu nakazywanych oraz wszelkich ciężarów i obowiązków rządowych.

Instrukcya, złożona z punktów XXI zawiera w sobie poniższe, niezamieszczone w samym wzorze umowy przepisy: 1) o znaczeniu, sposobie działania i wynagrodzaniu notaryusza; 2) o formie kontraktu; 3) o osnowie kontraktu i po 4te o kosztach kontraktu.

Co do I. Wyznaczona do zawierania kontraktów sądowa osoba, to jest notaryusz, jest ze strony rządu świadkiem odpowiedzialnym zdatności stron, dobrowolności umowy i niezachodzenia podstępów, upoważniającym imieniem rządu też umowę (II). Do prywatnych dóbr zjeżdża na *wezwanie* stron lub jednej z nich, (wstęp), do narodowych lub duchownych, tylko na rekwizycyą prefekta umccowanego od ministra (XV). Podwody do przejazdu z miejsca na miejsce, dają strony wzywające notaryusza (XXI); od każdego kontraktu otrzymuje wynagrodzenia notaryusz złp. 2, a pisarz jego złp. 1 (XXI). Na drukach kontraktowych ma na przy-

padki zniszczenia 5% (XX). Zebrane pieniądze odsyła do kassyera sądów departamentowych (XX); co tydzień zdaje rapport sądowi departamentowemu ze swych czynności, z dokładnym wyrażeniem ilości i gatunku zawartych kontraktów (XIX).

Co do II. Notaryusz rozpoczyna czynności swoje od odczytania instrukcyi (wstęp); ilości wszystkie literami zapisywać ma (VI); kontrakt, i jedną z nim całość stanowiący inwentarz, podpisany być winien przez strony lub ich pełnomocników dostatecznie wylegitymowanych, przez notaryusza, przez jego pisarza, oprócz tego przez świadków, wyjąwszy, gdyby zachodziła trudność w dobraniu przyzwoitych (IV), oraz przez taxatorów przysięgłych, którzy wtenczas tylko nie są potrzebni, gdy się strony same na ilość taxy dobrowolnie ugodzą (XI); nareszcie przez zaufanego stronom tłumacza, którego dostarczą, jeżeli po polsku nie umieją (V). Mogą być stronom wydawane kopie układu po francuzku, lub po niemiecku, ale protokół polski jest oryginałem, którego trzymać się należy (V). Protokół, czyli układ spisuje się w trzech oryginałach, z których jeden pozostaje przy aktach, drugi oddaje się właścicielowi gruntu, trzeci włościaninowi (XVII).

Co do III. Po odczytaniu stronom instrukcyi; oświadcza im notaryusz, że mają wolność zupełną umówienia się o wszelkie warunki, podług jakich chcą układ pomiędzy sobą zawrzeć (I). Dlatego téż szczegóły niepotrzebne z protokołu wykreśli, a nieprzewidziane na końcu umieści (III). Gdyby strony wcale inne jak w drukowanym wzorze warunki dobrowolnej umowy podawały, notaryusz bez względu na szczegóły drukowane, całkiem je wypisze według dobrowolnego stron układu (XVI). Zwraca także instrukcyja baczność notaryusza na potrzebę jasnego opisanja szczególnież powinności nadzwyczajnych pod różnemi nazwiskami i zwyczajami miejscowemi, jak np. gdy strony ułożą się 1) o szarwarki; 2) tłoki; 3) powaby; 4) daremszczyzny; 5) kopanie warzyw; 6) wyrywanie lnu; 7) obieranie i siekanie kapusty; 8) suszenie i tłuczenie siemienia; 9)

wybijanie oleju; 10) darcie pierza; 11) przędzenie; 12) obrabianie płótna; 13) dój; 14) paszenie bydła, stada, świń, drobiu; 15) podbieranie pszczół; 16) pieńkowe; 17) rąbanie drew; 18) stróża dzienna i nocna; 19) mycie i strzyżenie owiec; 20) obrabianie kaszy; 21) mielenie mąk; 22) mielenie słodu; 23) jeżdżenie i chodzenie w drogi; 24) wypalanie węgla; 25) robienie smoły; 26) bicie bydła, wieprzów i t. p. (VII).

Następnie, co do wypadków zmniejszania ceny dzierżawnej, czyli remissyi, każe instrukcyja notaryuszowi ściśle opisywać warunki, co do szkód, nietylko zrządzonych przez klęski, ale także przez winę i niedbalstwo (XII). Nakoniec, zapisywać poleca w kontraktach, mianowicie czasowych, jak się umówiły strony względem wygnojenia roli i nie- wywożenia za granicę gnoju na gruncie przysposobionego (XIII), oraz pytać się czyli jest układ względem zasadzania pewnej liczby drzew, zwłaszcza fruktowych; względem pszczół i ich przeniesienia przy ukończeniu kontraktu (XIV).

Co do IV. Koszta są wspólne dla stron (XXI), składają się one: a) z wynagrodzenia notaryusza i jego pisarza, które od każdej umowy wynosi złp. 3; b) z zapłaty za druki na kontrakt, których każdy arkusz kosztuje groszy 4 (XX); i c) ze stępla, który w kontrakcie o dom i aż do pół włoki chełmińskiej wynosi gr. 7½; od pół włoki do włoki gr. 15; od włoki do dwóch włok złp. 1; od dwóch włok i więcej złp. 2 (XVIII).

Z rozwagi nad tą instrukcyą przekonywamy się, *naprzód*: że ona objaśnia, zmienia i uzupełnia dekret królewski dnia 21 grudnia 1807 r. *Objaśnia* w tém, że osobami sądowemi, które według art. 4 powinny być przy umowie włościańskiej, jako świadkowie rządowi, pod odpowiedzialnością osobistą baczenie dający, czy strony są w stanie zawierania dobrowolnych umów, czyli jest istotnie samowolna umowa, i czy nie zachodzi jakowa bojaźń, przymus lub podstęp, są notaryusze do zawierania tych umów upoważnieni. *Zmienia* w tém, że gdy według art. 4 dekretu, umowy włościańskie zawierane być miały przez osoby do tego umocowane, na każde *wezwanie sądowe*; według instrukcyi notaryusze zje-

zdzać będą do zawierania umów na wezwanie stron lub jednej z nich. *Uzupełnia* w tém, że możność zawierania umów włościańskich rozciąga do dóbr narodowych i duchownych, ilekroć notaryusz wezwany o to będzie przez prefekta umocowanego od ministra; *powtóre*, że instrukcyja uzupełnia wzór umowy włościańskiej, mianowicie co do powinności nądzwyczajnych, co do przypadków zmniejszania ceny dzierżawnej z powodu klęsk: co do nawozów, ogrodów i pszczoł; *potrzebie*, że w przedmiocie pozawierania umów włościańskich w całym kraju miała głównie na widoku pośpiech jako téż oszczędzenie włościanom czasu i pieniędzy, gdy postanowiła, że notaryusze w przeznaczonych sobie obrębach, z miejsca na miejsce dla spisywania umów przenosić się będą; że umowy zawierane być mają na gruncie, a zatém bez odrywania w tym celu włościan do miast powiatowych, lub innych; nakoniec gdy wydatek włościanina na umowę, choćby najdłuższą i o gospodarstwo najrozleglejsze nie miał przenosić złp. 3; *poczwarte*, że sposób umawiania się zostawiony był zupełnie i bezwarunkowo samym stronom, ponieważ ani wzór kontraktu, ani instrukcyja notaryuszów nie mieści w sobie żadnych zasad, żadnych warunków, którychby trzymać się należało, od którychby odstąpić nie było wolno. W jednej i w drugiej widzimy tylko wyliczenie przedmiotów mogących wchodzić w umowę, czyli niejako zbiór zapytań, na które odpowiedzi stron w protokół zapisane, stanowią mają osnowę umowy: co większa nawet, te przedmioty i te zapytania, stosownie do woli stron, według ustępów instrukcyi I, III i XVI, opuszczane i pomijane, jako téż nowe i inne, przydawane być mogą.

W parę miesięcy po ukończeniu powyższych przygotowań do umów z włościanami, bo od 1 maja 1808 roku, na mocy art. 69 ustawy dnia 22 lipca 1807 r. że kodex Napoleona będzie prawem cywilném Księstwa Warszawskiego, i na skutek dekretu dnia 27 stycznia 1808 r., że od 1 maja tegoż roku ma być wprowadzony, i że od tego dnia według niego wyroki wydawane będą; tenże kodex stał się obowiązującym dla wszystkich mie-

szkańców kraju, a tém samym i dla włościan, składających największą część jego ludności.

Z uwagi na przedmiot posiadania i użytkowania włościan, to jest grunta wiejskie poddane zwyczajnemu w kraju gospodarstwu rolnemu, stosunek prawny właściciela dóbr z włościanami nie mógł podpaść pod inną część prawa cywilnego, jak pod tytuł VIII księgi III o kontrakcie najmu, a w szczególności pod tytułu tego dział I^{szy}, zawierający urządzenia ogólne, oraz działu II^{go} oddział 1^{szy}: o prawidłach wspólnych najmów domów i dóbr wiejskich, i oddział 3^{ci} o prawidłach szczególnych kontraktów dzierżawy.

W pięćdziesięciu czterech artykułach powołanego wyżej tytułu VIII księgi III, w dziewięciu z niemi związkowych z innych tytułów, objęło prawo cywilne przepisy odnoszące się:

I^{od} do istoty dzierżawy;

II^{re} do formy czyli tytułu prawnego dzierżawy;

III^{cie} do trwania czyli przeciągu dzierżawy;

IV^{te} do poddzierżawiania lub ustępowania dzierżawy;

V^{te} do obowiązków, ze względu na rzecz wydzierżawioną, tak puszczającego jak i biorącego dzierżawę;

VI^{te} Do ceny dzierżawnej. A w szczególności:

Co do I, czyli co do istoty dzierżawy, art. 1709 stanowi: Najem jest kontrakt, przez który jedna ze stron obowiązuje się dać do używania drugiej rzecz jaką na pewien czas i za pewną cenę, którą druga płacić obowiązkuje się.

Co do II czyli tytułu dzierżawy, według art. 1719, najmować można przez pismo albo słownie.

Co do III czyli trwania albo czasu dzierżawy, przepisy kodexu ściągają się: a) do rozpoczęcia dzierżawy; b) do ograniczonego w pewnych przypadkach jęj trwania; c) do różnych sposobów jęj kończenia się; d) do obowiązków dzierżawcy jako wchodzącego w dzierżawę lub z niej wychodzącego. Jakoż: a, *co do rozpoczęcia dzierżawy* art. 1715 stanowi: Jeżeli dzierżawa zawarta bez pisma, nie jest jeszcze wykonana, a zaprzecza jęj druga strona; nie można na to przyjmować dowodu przez świadki, chociaż-

by najmniejsza była cena, i chociażby przytaczano, że zadatek był dany: przysięga tylko może być naznaczona temu, który dzierżawy zaprzecza; *b, co do ograniczonego w pewnych przypadkach trwania dzierżawy* art. 1718. Artykuły tytułu o kontrakcie małżeńskim i o wzajemnych prawach między małżonkami, dotyczące się dzierżaw dóbr mężatek, stosują się do dzierżaw małoletnich. Przepis ten odnosi się do art. 1429 i 1430 kodexu téj osnowy: *piérwszy*, kontrakty dzierżawne, które sam mąż zawarł o dobra żony na czas przechodzący lat 9, w przypadku rozwiązania wspólności obowiązują żonę albo dzieci-ców po niej tylko na czas pozostały jeszcze, bądź od pierwotnego biegu lat 9^{ciu}, jeżeli strony w nim są jeszcze; bądź od drugiego i tak następnie, w sposobie, żeby pozostało dzierżawcy prawo tylko ukończenia używania lat 9^{ciu}, w którym się znajduje; *drugi*, kontrakty dzierżawne dziewięcioletnie lub niższe, które mąż sam zawarł albo odnowił co do dóbr żony swojej, więcej niż na trzy lata przed upłynieniem dzierżawy, jeżeli idzie o dobra wiejskie, a więcej nad dwa lata przed tymże samym czasem, jeżeli idzie o domy, nie mają skutku, chyba by wykonanie ich zaczęło się przed rozwiązaniem wspólności. W miejsce tych przepisów kodex Cyw. Polski z r. 1825 zamieścił poniższe zawarte w art. 197 i 198: *piérwszy*, kontrakt dzierżawy lub najmu przez męża samego jako rządcę majątku żony zawarty, przedłużony lub odnowiony, nie obowiązuje żony lub jej następców na czas po ustaniu użytkowania męża, jeżeli zawarcie, przedłużenie lub odnowienie nastąpiło wcześniej jak rokiem przed terminem, od którego wykonanie ma się zaczynać, chyba toż wykonanie za trwającego jeszcze użytkowania męża było zaczęte, i *drugi*, przecież i w tym razie, gdy kontrakt jest obowiązującym, nie obowiązuje żony lub jej następców na czas dłuższy jak na lat trzy, które jeżeli dzierżawa lub najem już rozpoczęte zostały, liczone będą od zaczęcia bądź piérwszego przeciągu trzechletniego, gdy ten jeszcze nie upłynął, bądź drugiego, i tak następnie w tym sposobie, ażeby dzierżawcy lub najmującemu pozostało tylko prawo ukończenia przeciągu trzechletniego bieżącego; *c, co do różnych sposobów koń-*

czenia się dzierżawy. Ogłosiwszy w art. 1742 zasadę, że kontrakt najmu nie rozwiązuje się przez śmierć puszczającego ani przez śmierć dzierżawcy, wymienia kodex cztery sposoby kończenia się dzierżawy, t. j.: *piérwszy* w terminie oznaczonym przez umowę lub prawo, *drugi* przez zepsucie lub stratę rzeczy wydzierżawionój, *trzeci* przez uchybienie obowiązkom umowy dzierżawnój, *czwarty* przez skutek przedaży dóbr danych w dzierżawę, i względem każdego z nich podaje poniższe prawidła, a w szczególności *względem piérwszego*. Art. 1736. Jeżeli puszczona była dzierżawa nie na piśmie, jedna strona nie może wypowiedzieć drugiej, tylko zachowując dzierżawny przeciąg czasu oznaczony zwyczajami miejscowemi. Art. 1737, Dzierżawa ustaje samém przez się prawem przy wyjściu czasu oznaczonego: gdy zrobiona była na piśmie, i nie potrzeba czynić wypowiedzenia. Art. 1738. Jeżeli przy wyjściu czasu dzierżaw na piśmie, pozostaje dzierżawca, i jest zostawiony w posiadaniu; następuje nowy kontrakt dzierżawny, którego skutek urządza się podług artykułu o dzierżawach nie na piśmie. Art. 1739. Gdy jest wręczone wypowiedzenie, dzierżawca choć pozostający w używaniu, nie może się odwoływać do tego, że najęcie powtórne nastąpiło za niewyraźném zezwoleniem (*tacita reconductio*). Art. 1740. W przypadku dwóch artykułów poprzedzających, zaręczenie dane z powodu dzierżawy, nie rozciąga się do zobowiązań wypływających z przedłużenia. Art. 1774. Dzierżawa wiejskich gruntów nie na piśmie, poczytuje się, że jest uczyniona na czas, jaki jest potrzebny dzierżawcy, aby mógł zebrać wszystkie przychody z zadzierżawionego dziedzictwa. I tak: zadzierżawienie łąki, winnicy i wszelkiego gruntu, z którego przychody zbierają się całkiem w ciągu roku, poczytywane jest za uczynione na rok; dzierżawa rolniczych gruntów, która się podziela na uprawy idące podług przemian czyli na kilka pól, poczytuje się za uczynioną na lat tyle, ile jest takich przemian. Art. 1775. Dzierżawa dziedzictw wiejskich choć nie na piśmie zrobiona, ustaje samém przez się prawem przy wyjściu czasu, na który według poprzedzającego art. poczytuje się, że zrobioną była. Art. 1776.

Jeżeli przy wyjściu dzierżaw wiejskich pisanych, dzierżawca zostaje i jest zostawiony w posiadaniu; następuje nowy kontrakt dzierżawny, którego skutek urządzony jest art. 1774. *Względem drugiego. Art. 1722.* Jeżeli w czasie trwania dzierżawy rzecz najęta zepsuje się całkiem przez losowy przypadek; rozchodzi się kontrakt dzierżawny samém przez się prawem; jeżeli rzecz w części tylko jest zepsuta, dzierżawca może według okoliczności żądać, albo zmniejszenia ceny, albo rozejścia się dzierżawy: w jednym i drugim przypadku żadne wynagrodzenie miejsca nie ma. *Art. 1741 ustęp 1.* Rozwiązuje się kontrakt najmu przez stratę rzeczy najętą. *Art. 1724 ustępy 1 i 3.* Jeżeli podczas dzierżawy rzecz najęta potrzebuje gwałtownych napraw i które nie mogą być odłożone aż do jej ukończenia; dzierżawca znosić je powinien, jakkolwiek ma ztąd niewygodę i chociażby przez czas ich robienia pozbawiony był części rzeczy najętą. Jeżeli naprawy takiej są natury, że niemieszkalnym to sprawują, co jest potrzebne do mieszkania dzierżawcy i jego rodziny, może dzierżawca zerwać kontrakt dzierżawny. *Względem trzeciego. Art. 1741 ustęp 2.* Rozwiązuje się kontrakt najmu przez uchybienie wzajemne puszczającego i dzierżawcy w dopełnieniu obowiązków swoich. *Art. 1729.* Jeżeli dzierżawca używa rzeczy najętą nie na to, na co przeznaczoną była, albo na to, z czego szkoda dla puszczającego w dzierżawę wyniknąć może; puszczający w dzierżawę może zerwać kontrakt dzierżawny według okoliczności. *Art. 1766.* Jeżeli dzierżawca dziedzictwa wiejskiego nie utrzymuje w niem zwierząt i narzędzi do swego gospodarstwa potrzebnych; jeżeli zaniedbuje uprawy albo nie gospodaruje jak dobry ojciec rodziny; jeżeli używa rzeczy najętą nie na to, na co przeznaczona była; albo w ogólności, jeżeli nie wykonuje zastrzeżeń kontraktu, a ztąd szkoda wynika dla puszczającego: puszczający według okoliczności może wyrobić zerwanie dzierżawy. W przypadku zerwania pochodzącego z czynu dzierżawcy; obowiązany on jest do wynagrodzenia szkód i straconych zysków, jak jest powiedziane w art. 1764. *Względem czwartego. Art. 1743.* Jeżeli dzierżawiający sprzedaje rzecz najętą, nabywca nie

może wyruszyć dzierżawcy lub komornika, który ma dzierżawę urzędową, albo której data jest pewna, chyba by dzierżawiający zachował sobie takie prawo przez kontrakt dzierżawny. *Art. 1744.* Jeżeli umówione było przy kontrakcie dzierżawy, że w przypadku przedaży nabywca będzie mógł wyruszyć dzierżawcę lub komornika, a żaden nie zaszedł układ względem wynagrodzenia szkód i straconych zysków; puszczający winien jest wynagrodzić dzierżawcę lub komornika w następującym sposobie. *Art. 1746.* Jeżeli idzie o dobra wiejskie: wynagrodzenie należące się od puszczającego dla dzierżawcy, jest trzecią częścią ceny dzierżawnej za cały czas, którego bieg jeszcze pozostaje. *Art. 1747.* Wynagrodzenie urządzane będzie przez biegłych, jeżeli idzie o rękodzielnie i fabryki albo inne roboty i założenia wymagające wielkich nakładów. *Art. 1748.* Nabywca, który chce użyć możności zachowanej kontraktem dzierżawnym wyruszenia dzierżawcy w przypadku przedaży, powinien ostrzedz dzierżawcę dóbr wiejskich przynajmniej rokiem pierwój. *Art. 1749.* Nie mogą być wyruszani dzierżawcy lub komornicy, póki im nie zapłaci puszczający, albo gdyby ten nie zapłacił, to nowy nabywca, wynagrodzeń szkód i straconych zysków powyżej wyłożonych. *Art. 1750.* Jeżeli dzierżawa nie jest uczyniona przez akt urzędowy, albo daty pewnej nie ma; nie jest obowiązany nabywca do żadnych wynagrodzeń. *Art. 1751.* Nabywca z ugodą odkupu wtenczas tylko może używać władzy wyruszenia dzierżawcy, gdy upłynie czas na odkup wyznaczony, a on się stanie właścicielem niezmiennym. *Co do obowiązków dzierżawcy, jako wchodzącego w dzierżawę lub z niej wychodzącego. Art. 1730.* Jeżeli opisany był stan miejscowy między dzierżawiającym a dzierżawcą, dzierżawca powinien oddać rzecz taką, jaką odebrał podług tego stanu, wyjąwszy co zniszczało albo się zepsuło przez dawność lub siłę większą. *Art. 1731.* Jeżeli stan miejscowy opisany nie był; poczytuje się, że dzierżawca wziął rzeczy podług dobrego stanu napraw komornicznych i w takimże oddać powinien, wyjąwszy gdy jest dowód przeciwny. *Art. 1777.* Wychodzący dzierżawca powinien zostawić następcy swemu w gospodar-

stwie przyzwoite mieszkanie i inne łatwości do prac roku następującego, i wzajemnie wchodzący dzierżawca powinien udzielić wychodzącemu przyzwoite mieszkanie i inne łatwości do spotrzebowania karmu i do zebrania reszty przychodów. W jednym i drugim przypadku tym stosować się potrzeba do zwyczajów miejscowych. *Art. 1778.* Wychodzący dzierżawca powinien także zostawić słomę i gnój z roku, jeżeli go odebrał przy wnijsieiu swoim w używanie, i choćby ich był nie zastał, właściciel może je zatrzymać podług oszacowania.

Co do IV czyli co do poddzierżawiania lub ustępowania dzierżawy, rozporządza kodex w art. 1717. Biorący dzierżawę, ma prawo poddzierżawić albo ustąpić komu swój dzierżawy, jeżeli taka moc zabroniona mu nie była. Może mu być zabroniona do całości lub do części; zastrzeżenie takie zawsze ściśle brane bywa. *W art. 1763.* Kto gospodaruje pod warunkiem dzielenia się przychodami z puszczejącym w dzierżawę; nie może poddzierżawić ani ustąpić, jeżeli nie otrzymał na to wyraźnego pozwolenia w kontrakcie. *Art. 1764.* Gdyby przeciw temu wykroczył, właściciel ma prawo wziąć używanie na siebie, a dzierżawca skazany jest na wynagrodzenie szkód i straconych zysków wypływających z niewykonania kontraktu.

Co do V czyli co do obowiązków ze względu na rzecz wydzierżawioną tak puszczejącego jak biorącego dzierżawę. Te są dwojakie: *jedne puszczejącego dzierżawę czyli właściciela, drugie dzierżawcy.*

Co do pierwszych stanowi art. 1719. Puszczejący dzierżawę obowiązany jest z natury kontraktu, i nie potrzeba aby to wyrażone było przez szczególny układ: 1) oddać dzierżawcy rzecz najętą, 2) utrzymywać tę rzecz w stanie zdatnym do użytku dla jakiego jest najętą, 3) utrzymywać w spokojném używaniu téj rzeczy dzierżawcę, przez czas trwania dzierżawy. *Art. 1720.* Puszczejący w dzierżawę obowiązany jest wydać rzecz w dobrym stanie naprawioną ze wszystkiém. W czasie trwania dzierżawy powinien czynić wszelkie naprawy, które potrzebnemi być mogą, oprócz napraw komor-

niczych. *Art. 1721.* Winien jest być rękojmią dzierżawcy za wszystkie wady lub niedostatki w rzeczy najętej, któreby przeszkadzały do jej użycia, choćby sam nawet puszczający o nich nie wiedział przy puszczaniu w dzierżawę. Jeżeli z takich wad lub niedostatków wypływa jakaś strata dla dzierżawcy, wynagrodzić ją powinien puszczający w dzierżawę. *Art. 1725.* Puszczający w dzierżawę nie obowiązany do rękojmi dla dzierżawcy za niespokojność jaką trzecie osoby sprawić mogą przez czyny swoje w jego używaniu, żadnego prawa nie roszcząc do rzeczy najętej; a zachowuje się prawo dzierżawcy poszukiwania na trzecich w osobistém swoim imieniu. *Art. 1726.* Jeżeli przeciwnie komornik lub dzierżawca wzruszani byli w używaniu swoim przez skutek sprawy tyczącej się własności gruntu; mają prawo do stosownego zmniejszenia ceny w kontrakcie najmu lub dzierżawy, byleby wzruszenie takie i przeszkoda doniesione były właścicielowi. *Art. 1727.* Jeżeli ci, którzy gwałtowność uczynili zakładają sobie jakieś prawa do rzeczy najętej, albo jeżeli sam dzierżawca pozwany jest do sądu, aby był skazanym na odstąpienie całości lub części téj rzeczy, albo żeby ponosił wykonywanie jakiej służebności; powinien wezwać puszczającego w dzierżawę z powodu rękojmi, i powinien być uwolniony od procesu, jeżeli tego wymaga, mianując puszczającego w dzierżawę za którego posiada. *Art. 1723.* Puszczający w dzierżawę, przez czas trwania dzierżawy, nie może odmienić formy rzeczy najętej. *Co do drugich. Art. 1728 ustęp 1.* Dzierżawca ma obowiązek istotny używać najętej rzeczy jak dobry ojciec rodziny, i podług przeznaczenia, jakie jej dzierżawa nadaje, albo według przeznaczenia domniemanego według okoliczności, gdyby umowy nie było. *Art. 1732.* Odpowiada dzierżawca za spustoszenia i straty, które nastąpiły podczas jego używania, chybaby dowiódł, że w tém nie jest winny. *Art. 1735.* Dzierżawca odpowiada za spustoszenia i straty, które czynią osoby jego domu albo podkomornicy. *Art. 1733.* Dzierżawca odpowiada za spalenie, chybaby dowiódł, że spalenie nastąpiło przypadkiem losowym, albo przez siłę większą, albo przez wadę budowy, albo że ogień przeszedł z domu

sąsiedzkiego. *Art. 1734.* Jeżeli jest kilku komorników, wszyscy są odpowiedzialni solidarnie za spalenie; chybaby dowiedli, że pożar począł się w mieszkaniu jednego z nich: w takim przypadku ten sam odpowiada; albo téż kilku z nich dowiodło, że pożar nie mógł zacząć się u nich: w takim przypadku ci nie są odpowiedzialni. *Art. 1767.* Każdy dzierżawca dóbr wiejskich obowiązany jest składać zbiory w miejsca kontraktem wyznaczone. *Art. 1768.* Dzierżawca dóbr wiejskich powinien ostrzegać właściciela o popełnionych przywłaszczeniach gruntu, pod karą wynagrodzenia szkód i straconych zysków i nakładów. Ostrzeżenia takie czynione być powinny w takimże samym przeciągu czasu, jaki jest urządzony na przypadek pozwania podług odległości miejsca.

Co do VI czyli ceny dzierżawnej. Przepisy kodexu w tym przedmiocie ściągają się:

- a) do oznaczenia ceny dzierżawnej;
- b) do obowiązku jój płacenia;
- c) do przypadku stałego jój powiększenia albo zmniejszenia;

d) do przypadku czasowego jój zmniejszenia czyli remissyi. W szczególności zaś. *Co do a.* Wynagrodzenie od biorącego dla puszczonego dzierżawę jest dwójakie: albo podział przychodów (*art. 1763*), albo opłata ceny dzierżawnej (*art. 1709*). *Co do ceny dzierżawnej art. 1716* stanowi: gdy będzie spór o cenę dzierżawy słownej, której wykonanie zaczęło się a nie ma kwitu; przysiędze właściciela będzie dana wiara, jeżeli nie obra raczej dzierżawca żądania, aby nastąpiło oszacowanie przez biegłych: w takim przypadku koszta oszacowania takiego, są ciężarem dzierżawcy, jeżeli oszacowanie przenosi cenę, którą oświadczył. *Co do b. Art. 1728 w ustępie 2* stanowi: dzierżawca ma obowiązek istotny płacenia ceny dzierżawnej w czasach umówionych. *Co do c. Art. 1722*, jeżeli w czasie trwania dzierżawy rzecz najęta zepsuje się w części przez losowy przypadek; dzierżawca może żądać według okoliczności albo rozejścia się dzierżawy, albo zmniejszenia ceny. *Art. 1724 ustęp 1 i 2.* Jeżeli podczas dzierżawy rzecz najęta potrzebuje raptownych napraw, które nie mogą być odto-

żone aż do jej ukończenia, dzierżawca znosić je powinien, jakkolwiek ma ztąd niewygodę, i chociażby przez czas ich robienia pozbawiony był części rzeczy najętj: lecz jeżeli naprawy takie trwają dłużej nad dni 40, cena dzierżawy zmniejszoną będzie w stosunku czasu i części rzeczy najętj, której dzierżawca był pozbawiony. *Art. 1724.* Jeżeli komornik lub dzierżawca wzruszani byli w używaniu swoim przez skutek sprawy tyczącej się własności gruntu; mają prawo do stosownego zmniejszenia ceny w kontrakcie najmu lub dzierżawy, byleby wzruszenie takie i przeszkoda doniesione były właścicielowi. *Art. 1765.* Jeżeli w kontrakcie dzierżawy wyrażona jest objętość gruntu mniejsza albo większa nad rzeczywistą; następuje powiększenie lub zmniejszenie ceny dzierżawnej tylko w przypadkach i podług prawideł wyrażonych w tytule o sprzedaży (artykuły kodexu od 1616 do 1623). *Nakoniec co do d, Art. 1769.* Jeżeli dzierżawa uczyniona jest na lat kilka, a przez czas dzierżawy całość lub połowa zbioru przynajmniej, zginęła przypadkiem losowym; dzierżawca może żądać zmniejszenia ceny dzierżawnej, chyba by był nagrodzony przez poprzedzające zbiory. Jeżeli wynagrodzonym nie był, oszacowanie zmniejszenia takiego następuje dopiero przy końcu dzierżawy, i wtenczas potrąca się używanie z lat wszystkich. Jednakże sędzia może tymczasowo uwolnić dzierżawcę od wypłaty części ceny w stosunku poniesionej straty. *Art. 1770.* Jeżeli dzierżawa roczna jest tylko, a nastąpiła strata całego przychodu lub przynajmniej połowy, dzierżawca uwolniony jest od części stosownej do ceny dzierżawnej. Żadnego zmniejszenia żądać nie może, jeżeli strata mniejsza jest nad połowę. *Art. 1771.* Dzierżawca nie może otrzymać zmniejszenia, skoro strata przychodów nastąpiła po zebraniu ich z ziemi, chyba by kontrakt dzierżawny nadał właścicielowi część zbioru w naturze: w takim przypadku właściciel ponosi swoją część w stracie, byleby dzierżawca nie spóźnił się z wydaniem części właściciela ze zbioru. Równie dzierżawca wymagać nie może zmniejszenia, jeżeli przyczyna szkody już była i była znana w czasie zawarcia kontraktu. *Art. 1772.* Dzierżawca może wziąć na

siebie losowe przypadki przez wyraźny układ. *Art. 1773.* Układ taki rozciąga się tylko do zwyczajnych przypadków, jakimi są: gradobicie ogień piorunowy (*feu du ciel*), przemarznięcie albo opadnięcie zawiązków owoców. Nie rozciąga się do losowych przypadków nadzwyczajnych, jakimi są: spustoszenia wojenne albo zalewy, którym kraj zwyczajnie nie podlega, chyba by dzierżawca wziął na siebie wszystkie przypadki losowe przewidziane lub nieprzewidziane.

Wzór umowy włościańskiej i instrukcją o jej zawieraniu zatwierdzone w lutym 1808 r. porównyując z prawem o dzierżawie wprowadzonem dnia 1 maja tegoż roku, widzimy, że gdy ów wzór i instrukcja ograniczyły się na wyliczeniu szczegółów, o które umowa według warunków przez strony same przyjętych zawierana być miała, kodex cywilny daleko więcej uczynił, bo zamieścił w sobie całkowity kontrakt dzierżawny, t. j. podał warunki dzierżawy, z niemniejszą zupełnością, jak mądrością, cały ten tak ważny przedmiot wyczerpując. Nastąpiło to i dla zupełności zbioru praw, i dla przyjętej w art. 1714 zasady; że o dzierżawę umawiać się można nie tylko na piśmie, ale także i słownie. Ztąd wynikało, że ilekroć strony nie miały zamiaru stanowić między sobą opisów dzierżawnych od kodexu odmiennych, do czego osobny tytuł byłby potrzebnym, pozostawały im tylko do słownej umowy dwa szczegóły, t. j.: oznaczenie przedmiotu wydzierżawionego i ustanowienie ceny dzierżawnej. Co większa, opierwszy z tych szczegółów, to jest, o istnienie dzierżawy słownie wypuszczonej mógł według art. 1715 zachodzić spór wtenczas tylko, gdy jeszcze wykonywać się nie zaczęła, i spór ten przez przysięgę strony zaprzeczającej mógł być rozstrzygany, ponieważ dzierżawa dana bez pisma a rozpoczęta, żadnemu zaprzeczeniu podlegać nie może. Co do drugiego zaś szczegółu, to jest ceny dzierżawnej słownie umówionej, spór zachodzić mogący, według art. 1716 rozstrzygać ma przysięga właściciela, albo też na żądanie dzierżawcy oszacowanie przez biegłych; w którymto razie, dzierżawca ponosi koszt oszacowania, przenoszącego cenę którą oświadczył.

Cena dzierżawna, jeden z warunków koniecznych istnienia dzierżawy, oznaczona została przez kodex jako zobowiązanie *dania*, to jest albo w pieniądzech (art. 1709), albo w udziale przychodów z gruntu, czyli produktów (art. 1763 i 1771). Nie ma w dzierżawnych przepisach kodexu żadnej wzmianki o cenie dzierżawnej w robociznie lub jakichbądź osobistych posługach czyli o zobowiązaniu *czynienia*, do którego wykonania, cywilnie nikt zmuszonym być nie może, i które według art. 1142, gdy go dłużnik nie wykonywa, rozwiązuje się przez wynagrodzenie szkód i straconych zysków.

Prawie współcześnie z kodexem Cywilnym wprowadzona została do kraju instytucja francuzka notaryuszów, urzędników kaucyonowanych, przysięgłych, przyjmować mających akta dobrej woli, a zatém i umowy dzierżawne; obowiązanych przestrzegać z urzędu i pod odpowiedzialnością, czyli strony są w stanie zawierania dobrowolnych umów, czyli jest istotnie samowolna umowa, i czy nie zachodzi jakowa bojaźń, przymus lub podstęp.

Przyjęciu prawa francuzkiego i francuzkiej ustawy notaryalnej, oraz przypuszczeniu, że na skutek wspomnianych w przedstawieniu ministra sprawiedliwości dnia 23 stycznia 1808 r. licznych zgłoszeń się o układy tak włościan jako i dziedziców, i jedni i drudzy użyją dwóch powyższych instytucji do niezwłocznego pomiędzy sobą urządzenia prawnego stosunku, przypisać zapewne należy, że tak silnie w miesiącach grudniu 1807 r., styczniu i lutym 1808 r. powzięty zamiar doprowadzenia umów między włościanami i dziedzicami, już odtąd posuwany i popierany nie był: że tak o wzorze kontraktu włościańskiego jako i o instrukcji do jego zawierania zupełnie zapomniano.

Przypuszczenie, że kodex i ustawa notaryalna, skuteczniej jak wzór i instrukcja z miesiąca lutego 1808 r. przyłożą się do uporządkowania stosunków włościan, zupełnie omyłone zostało.

Kodex francuzki nie zastał u nas społeczności takiej, dla jakiej był układany. We Francyi, wszelkie powinności osobiste włościan zniesione były w r. 1789

i później: przez wyprzedaż dóbr rządowych, poduchownych i emigranckich, i przez skutki wprowadzonego w kodexie równego działu majątków, wzrosła niesłychanie liczba, aczkolwiek małych właścicieli gruntu: położenie kraju i okoliczności czasu otwierały uboższej klasie ludności inne oprócz uprawy roli zajęcia i środki utrzymania się; nie miało więc tam posiadanie włościańskie takiej, jak u nas rozciągłości i ważności. Przeciwnie, w Księstwie Warszawskim trwał w całkowitym składzie swoim od wieków zakorzeniony układ pańszczyzniany: zupełne prawie nie istnienie przemysłu i handlu całą niemal ludność przykuwało do roli; bardzo mała była liczba, i to znaczniejszych właścicieli ziemi. Największa część ludności, nie mając własnej, zmuszoną była utrzymywać się z cudzej: ztąd posiadanie włościańskie w Księstwie Warszawskim było, i na długo jeszcze być miało, głównym warunkiem życia prawie ogółu mieszkańców kraju.

Zdaje się więc, że dla zapewnienia prawu francuzkiemu skuteczności w Księstwie Warszawskim potrzeba było, albo stan społeczny kraju zamienić na odpowiedni nowemu prawodawstwu, a przedewszystkiém znieść pańszczyznę i w miejsce jej wprowadzić cenę dzierżawną pieniężną lub produktową, t. j. wprowadzić do układu dzierżawnego zobowiązanie *dania* w miejsce zobowiązania *czynienia*: albo téż, jeżeli tak wielka i nagła zmiana w chwili zniszczenia kraju przez wojnę i powołania go do wielkich wysiłen pieniężnych byłaby zachwiała byt właścicieli ziemskich, a utworzenie innego stanu społecznego okoliczności już nie od rozkazu rządu, ale od postępnego wzrostu zamożności powszechniej było zawisłe; nowe prawodawstwo do miejscowego społecznego stanu zastosować w sposób, zapewniający stopniowe jego przerodzenie; i w tym celu należało w ustawie przechodniej przy wprowadzeniu kodexu i notaryatu francuzkiego, z uwagi na niepewność posiadania, ciemnotę i ubóstwo włościan, jakotéż na stosunek rolniczy miejscowy nader od francuzkiego odmienny, postanowić: 1^o że rok *łaski*, dany włościanom w art. 3^{im} dekretu 21 grudnia 1807 r. upływający w dniu 21 grud. 1808 r. po

którego upływie mogli już być przez właścicieli do nowych obowiązków pociągani, inaczéj urządzani lub z gruntu usuwani, przedłuża się do pewnej a znacznej liczby lat, stanowić mającej okres dzierżawny; 2^{re} że o tę dzierżawę zawarte być mają w ustanowionym jak najkrótszym przeciągu czasu umowy piśmienne przed notaryuszami, do tego szczególnie mianowanemi, według instrukcyi z miesiąca lutego 1808 r. na grunt zjeżdzać mającemi, i za opłatą nie większą jak w tejże instrukcyi ustanowiona została; 3^{cie} że lubo cena dzierżawna stanowiona być może nietylko w pieniądzach lub produktach, ale także i w robociznie; w przypadku atoli niezgadzenia się włościanina na podaną ze strony właściciela, stosowany będzie art. 1716 kodexu, o oszacowaniu przez biegłych przysięgłych, podobnie jak notaryusze do téj czynności wyłącznie wyznaczonych, i na ich wezwanie na grunt przybywać mających; 4^{te} że w szczególnych a wyjątkowych zdarzeniach, gdzieby położenie posiadłości włościańskich stawiało nieprzebytą zaporę do zaprowadzenia zgodnego z zasadami gospodarstwa na folwarkach *istniejących*, będzie mogła w ciągu dzierżawy, nastąpić zamiana gruntów, lub w razie jéj nieprzyjęcia przez dzierżawcę, rozwiązanie dzierżawy; 5^{te} że co do wszelkich innych (prócz wyżej wymienionych) szczegółów dzierżawy, jeżeli się strony inaczéj nie umówią, obowiązującemi będą przepisy kodexu Cywilnego: 6^{te} że postępowanie sądowe w sporach dzierżawnych między właścicielami a włościanami będzie jak najbardziej skrócone, jak najtańsze, i do jak najmniejszej liczby instrukcyi ograniczone; nakoniec 7^{me}, że po upływie oznaczonego okresu dzierżawy włościańskiej, cena dzierżawna tylko w pieniądzach lub w udziale ze zbiorów będzie mogła być stanowiona, czyli że pańszczyzna zostanie zniesiona i zakazana.

Przepisy takie czyniąc przedewszystkiém zadość gwałtownej potrzebie zabezpieczenia na pewny przeciąg czasu bytu i położenia włościan, byłyby zarazem obudziły we właścicielach uznanie potrzeby zaprowadzenia z czasem innego gospodarskiego układu: byłyby dały sposobność przygotowania się do téj zmiany: byłyby,

wprowadzeniem ludu rolniczego w ścisły i od dowolności nie zależący stosunek prawny i sądowy, usunęły przy samém zawieraniu umów dawniejsze nieufności i obawy; byłyby wykształcać zaczęły jego społeczne i prawne pojęcia; nakoniec byłyby w niczém nie krępowały rządu, co do postąpienia według okoliczności po wyjściu zamierzonego okresu dzierżawy włościańskiej.

Gdy zaś rząd ani jednego, ani drugiego nie uczynił; łatwo było przewidzieć, że go w tym nie mieli wyręczyć sami właściciele dóbr i włościanie: pierwsi wysileniami trzech po sobie idących wojen, przeciążeni i zubożeni na długo, nawet po ich ukończeniu, nie mający funduszu na procenta od długów hipotecznych, a tém mniej kapitału na gospodarstwo najmowe; drudzy, mający wprawdzie największą potrzebę przedłużenia i ustalenia posiadania swojego, ale nie mający żadnego środka ku skłonieniu właścicieli dóbr do wejścia z nimi o to w układy.

Jak zatem z jednej strony po ogłoszeniu prawa d. 21 grudnia 1807 r. włościanie, wyjątkowo tylko, najczęściej pojedynczo i w pewnych stronach, mianowicie zaś w prowincjach po-pruskich, wolności przeniesienia się użyli, a zresztą włościańska ludność miejsca nie odmieniła; tak z drugiej strony, dawniejszy układ gospodarski, nawet co do włościan osadzanych na miejscu tych, którzy później grunt opuszczali, niemal wszędzie pozostał.

Z dwóch w kodexie znanych sposobów uiszczania się przez dzierżawcę, ani gospodarowanie pod warunkiem dzielenia się przychodami z puszczejącym dzierżawę, w użycie nie weszło, ani ceny dzierżawnej pieniężnej nie wprowadzono: i oprócz czynszów dopłatkowych i danin, stanowionych zwykle w miejsce robocizny obrachowanej, a zbywającej od potrzeb folwarku, które jakkolwiek upowszechnione, zaledwie zasługują na uwagę, bo są bardzo małą częścią ogółu powinności włościańskich; główném dla właściciela wynagrodzeniem za grunt wypuszczony włościaninowi, była jak dawniej, pańszczyzna.

Tak więc stosunkowi dzierżawnemu urządzonemu przez prawo brakowało jednego z naczelných znamion, to jest właściwej ceny dzierżawnej; ztąd wynikała trudność stosowania do włościan pańszczyznianých, ważnych przepisów kodexu o jej stanowieniu, wypłacie, jako téż o jej w pewnych przypadkach stałym albo czasowym zmniejszeniu: ztąd także wypływało, że dzierżawa włościańska, nie w całości swojej pod opiekę sądów wejść mogła.

Jak już powiedziało się wyżej, włościanie pańszczyzniani zaciągali względem właściciela, nie zobowiązanie *dana*, ale zobowiązanie *czynienia*. Gdy zaś do odebrania pańszczyzny, czyli tego co powinno być *uczynioném*, nie można było skutecznie używać sądowej exekucyi, właściwej do poszukiwania zapłaty, i w ogóle tego, co powinno być *danem*; pozostawało właścicielom dóbr należność tę odbierać osobiście, albo przez pośrednictwo zastępców i sług ekonomicznych, i częstokroć do wyjścia na pańszczyznę i do należytego jej odrobienia, środkami gwałtownymi, jakie były w ich ręku, włościan przymuszać. Użycie takiego sposobu pochodziło przy pańszczyźnie z koniecznej potrzeby, a ułatwiane było, odwiecznym wyobrażeniem włościan o powadze i znaczeniu właściciela dóbr, istotnym znaczeniu jego w nowym porządku władz jako miejscowego sędziego i urzędnika, nakoniec ubóstwem i niewiadomością ludu wiejskiego, o różnicy, zachodzącej między stanem jego rzeczywistym, a zamierzonym i określonym przez prawo.

Ta prywatna, dominialna droga, biegnąca poza traktem prawnym i sądowym, prowadziła prosto do najrozmaitszej samowolności: bo gdy zdarzać się mogące przy wypłatach pieniężnych wątpliwości o ilość, lub wartość, prostują się i rozstrzygają natychmiast, przeliczeniem, obrachunkiem, albo zamianą; wyrzeczenie, czyli włościanin pańszczyzniany obowiązkowi swemu zadość uczynił, zależało wprost od uznania właściciela dóbr, jego dzierżawcy, lub oficjalisty, nietylko że odrobioną została należna liczba dni, ale także, że wszystko to, tak dopełnioném było, jak według jego widzenia dopełnioném być było powinno. W wydarzających się

z tego licznych niedogodnościach trudny był ratunek u sądów: dlatego też właściciele dóbr, wtenczas dopiero, kiedy osobista ich powaga i siła nie skutkowałą, a mianowicie w przypadkach zbiorowego oporu; włościanie, a mianowicie całe wsi, w przypadkach zbytecznego ucisku, uciekali się, pierwsi o pomoc exekucyjną, drudzy o opiekę i obronę, do władz administracyjnych.

Działanie w sądach nieskuteczne do odbierania pańszczyzny w swoim czasie i w naturze, właściwe było do rozwiązania umowy przez wynagrodzenie szkód i straconych zysków, i tu dzierżawa włościańska wracała pod wpływ sądowy. Sprawy jednakże takie, w których właścicielom dóbr mniej chodziło o wynagrodzenie strat i korzyści, trudne od włościan, funduszu na odpowiedzialność nie mających, jak raczej o *exmissya*, czyli pozbycie się ich z gruntu i domu, nie częste były: zwykle bowiem powaga i wola dziedzica, wystarczała do skłonienia ich, aby od gospodarstwa odstąpili.

Obowiązek jednej strony *dania* drugiej do używania *jakięj rzeczy, na pewny czas i za pewną cenę*; obowiązek drugiej strony *płatania téj pewnej ceny*, są to dwie części, dwie składowe i nierozdzielne połowy dzierżawy: dwa źródła główne, z których wszystkie dzierżawne przepisy płyną. Jedna część, jedna połowa: to jest *rzecz do używania dana* znalazła się gotowa w gruntach wiejskich włościanom wypuszczonych: drugiej, to jest *ceny*, czyli zapłaty pieniężnej nie było, a raczej nie utworzono; dlatego też właściwy stosunek prawny nie uzupełnił się: i budowa dzierżawy włościańskiej, dla braku połowy fundamentu, stanąć nie mogła.

Z téj przyczyny, obok układu dzierżawnego w kodelixie określonego, pozostawał nadal jako całemu krajowi, z małemi tylko wyjątkami, wspólny, odwieczny układ pańszczyzniany; zabezpieczający warsztat rolny od wyludnienia i przeludnienia; zapewniający włościanom spieniężenie jedyne go ich, w takim stanie funduszu, pracy: podający rolnemu przemysłowi korzyści z jęj podziału, bez którego nie ma zysków: mający w sobie samym, jako systemat pełny, żywioł nieograniczonego trwania: ale trzymający gospodarstwo krajowe w więzach, a najwię-

kszą część ludności kraju, rolników, w nędzy i zwyczajnych jej skutkach: poniżeniu i ciemnocie. Od wprowadzenia kodexu, posiadanie włościańskie powszechnie, (bo z rzadkimi nader wyjątkami) w całym kraju pismieną umową niezapewnione, zawisłóm było, co do trwania swego, według art. 1774 i 1775, od czasu, potrzebnego do zebrania wszystkich przychodów z zadzierżawionego dziedzictwa. A ponieważ włościanie jedni swój grunt corocznie w całości obsiewać zwykli, drudzy dzielić go na trzy zmiany: prawna więc dzierżawa włościańska była roczna, a najdłużej trzyletnia. Nie podpada wątpliwości, że przed upływem tego roku, albo tych trzech lat, samowolne, to jest bez wyroku sądowego odebranie włościaninowi gruntu, byłoby czynem prawu przeciwnym, rodzajem gwałtu, surową odpowiedzialność za sobą pociągającym, i że sądy wymierzyłyby tak, pokrzywdzonemu dzierżawcy należyte zadość uczynienie, gdyby pojedynczy włościanin miał i wiadomość o przepisach prawa, i czas na przewodzenie procesu, i fundusze na opłacenie kosztów jego. Ale nawet w przypuszczeniu oczekiwania z odebraniem dzierżawy do prawnego jej końca po roku, lub latach trzech, i tak właściciel gruntu co rok, a przynajmniej co trzy lata, miał prawo zmieniać i posiadłości i obowiązki włościanina, albo go zupełnie z gruntu usunąć; i wzajemnie włościanin co rok, a przynajmniej co trzy lata miał zasadę obawiać się, albo narzucenia uciążliwszych warunków, albo usunięcia z gruntu, albo wreszcie niemożności utrzymania się przy nim, nawet pod najkosztowniejszymi warunkami, jeżeli wcielenie go do niw folwarcznych zostało postanowione.

Brak potrzebnych wiadomości i materyałów nie dozwala nateraz nic pewnego powiedzieć o początku osobistych obowiązków włościańskich, niknącym w bardzo oddalonej przeszłości.

We wsiach pańszczyznianych przed oczami naszymi dla usługi gospodarstwa folwarcznego zakładanych, największa część tych obowiązków, przeznaczona była do uprawy i zasiewu gruntów dworskich, pewna do robót peryodycznych i terminowych użycia wielu rąk wymagających, mianowicie, do sprzętu siana i zboża; pewna do

wywożenia na targi miejscowych zbiorów, inna do uprawy ogrodów: a jeżeli zabezpieczenie tych potrzeb nie wyczerpywało jeszcze całkowitej od włościanina ustanowionej należności; uzupełniano ją oznaczeniem pewnych danin i czynszów dopłatkowych.

O ileby na tych terażniejszych przykładach opierać można sąd o przeszłości, wolno byłoby wnosić, że pańszczyzna stała, tygodniowa, pańszczyzna pomocna na pewne pory czasu ustanowiona, wywózka miejscowych produktów, posługa ogrodowa, daniny i czynsze dopłatkowe, jako téż za użytek z lasu, oddawanie popiołów, przedmiot w ubiegłych czasach nader ważny, wreszcie powinność bronienia całości dóbr, którym z samego położenia ich, grozić mogły wylewy wód i utrzymywanie dzieł przedsiębranych dla odwrócenia szkody, zdają się być najdawniejszymi rodzajami powinności włościańskich: jako téż, że obowiązek najmowania się dworowi za pewne wynagrodzenie, nakładany był przy zaprowadzaniu prestacyi tam tylko, gdzie z powodu czy małej rozległości gruntów na wieś przeznaczonych, czy małej liczby osadników wieś składać mającej, robocizna stała do wszystkich potrzeb folwarku nie była dostateczna.

Daremszczyzny i najmy przymusowe nieoznaczone, zdają się być późniejszym tworem i skutkiem *naprzód* powiększonych potrzeb folwarku, ogrodów i w ogóle gospodarstwa, z przyczyny opustoszenia osad włościańskich a wcielenia ich do niw folwarcznych, powiększania pól dworskich obracaniem pod uprawę przestrzeni dawniej nie używanych albo nowo wykarczowanych, rozprzestrzenienia uprawy pewnych produktów niegdyś tylko ogrodowych, wiele pracy i rąk wymagającej, utrzymywania większej ilości inwentarza użytkowego: *powtórę* potrzeby wynagrodzenia dziedzicowi zapomóg i zasiłków w układzie pańszczyznianym nieuchronnych, i wreszcie *potrzezie*, nieładu w gospodarstwie, i nieumiejętności wyprowadzenia z ustanowionych pierwotnie dni, całego użytku, jaki przy trafném rozporządzeniu znajomości rzeczy i pilnym dozorze mógł być z nich wyprowadzonym.

Tym sposobem, lubo natura i po większej części nazwania pierwotnych obowiązków zostawały te same, roz-

ciągłość ich nieskończenie i w najrozmaitszy sposób mogła się powiększać i powiększała. Rosło w miarę tego uciażenie włościan, którzy dla ubóstwa i ciemnoty nie byli zupełnie w stanie ulżyć swojej niedoli; co większa, zadawnione trwanie takiego stanu rzeczy, wpoilo niejako w ogół i dziedziców i włościan tak mocne przeświadczenie o jego konieczności i niezmienności, że wydawane różnemi czasy, szczególnież téż pod rządem pruskim i austryackim prawa i urzędzenia, zmierzające ku umiarkowaniu wzajemnych właściciela z włościanami stosunków, po największej części pozostawały bez skutku, a zniesione za tych rządów powinności włościańskie okazały się po ich ustaniu, tak jak dawniej, istniejącemi.

Ustawa 22 lipca 1807 r., dekret 21 grudnia tegoż roku, prawo cywilne wprowadzone 1 maja 1808 r. ogłosiły wprawdzie zniesienie niewoli, właściwiej poddaństwa, zapewniły równość mieszkańców przed prawem i postawiły włościan gospodarstwa wiejskie prowadzących pod przepisami kodexowemi dzierżawy. Gdy atoli poprzestały na samej tylko promulgacyi tych zasad, można powiedzieć, że nie wprowadziły włościan do przybytku prawnej opieki, że tylko drogę im do niego okazały i otworzyły, nie obmyśliwszy jednakże środków i pomocy koniecznych do jój przebycia.

I nie jestto osobiste tylko zdanie nasze. Poważny znawca tego przedmiotu F. A. F. Greweniz królewskopruski tajny radca sprawiedliwości, właściciel dóbr w księstwie poznańskim, w książce „*Włościanin w Polsce*”, po niemiecku napisanej, a w r. 1818 w przekładzie polskim ogłoszonej, między innemi okolicznościami odnoszącemi się do zaprowadzonej w r. 1807 zmiany, przywodzi: 1^o że w jego majątku w jesieni tegoż roku zawaliła się chata włościańska, i że podług obowiązku posłał własnym kosztem pewną liczbę robotników do jój podźwignienia; że po wyjściu dni roboty brakowało tylko 7 kołków, i otynkowania, do czego włościanin żądał dalszej pomocy, a kiedy właściciel wyrzucił mu to, jako niedarowane lenistwo, że mając taką liczbę swoich, téż przy najmniej małej rzeczy do własnego pomieszkania sam

zrobić nie chce, pokornie odpowiedział: „panie, a czy po roku zostanę ja jeszcze?” 2^{gie} Że na jednym z traktów publicznych widziano w r. 1807 w jesieni, wioskę, której wszystkie dachy były pozawalane; właściciel, jak powiadano, był nieprzytomny lub podupadły; z włościan zaś żaden nie dotknął się naprawy: bo i jakież, mówi Grewniz, dorzeczne powody uciśniony i tak już nieumiarkowanemi ciężarami, jednoroczny kawałek gruntu posiadacz mógł mieć, do zagrodzenia trwałego płotu, do podparcia chyłącego się słupa, do pociągnięcia rowu albo zaszczepienia owocowego drzewa? Niewola do gruntu przywiązująca, działa tu jeszcze przynajmniej dla gruntu dobroczynniej. A następnie tenże autor, położenie włościan po ustawie 22 lipca i dekrete 21 grudnia 1807 r. temi wyrazami określa: „Dla włościanina, któremu język, nieokrzesanie, dawny nałóg i ostateczne ubóstwo, przejście do lepszej krainy niepodobnym prawie czynią, wolność odmiany miejsca *w tymże samym kraju*, gdzie *nigdzie* lepiej nie znajdzie, nie ma żadnej korzyści. Jest to wolność ptaka na dachu, który gdy się na niego rzuca kamikami, zlatuje z jednego aby siadł na drugim.” Niemniej silnie wyraził się w tymże przedmiocie zacnej pamięci Marcin Badeni ostatecznie minister sprawiedliwości, gdy wyrzekł, że „Ustawy roku 1807 zdjęły wprawdzie z nóg włościanina okowy, ale razem z obuwiem.” Wreszcie, że tu wielu innych pominiemy, trafnie toż samo położenie ocenił, niegdyś dyrektor wydziału w Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policyi, radca stanu, Kajetan Koźmian, gdy w przypisach do swego Ziemiaństwa powiedział: że lubo w królestwie Polskiem ustawy zaręczają wszystkim równość w obliczu prawa: lubo włościaninowi wolno jest uchylić się od uciążliwej zwierzchności i dochodzić swojej krzywdy w sądzie; jednakże, z jednej strony przy ciemnocie i ubóstwie jego, a z drugiej przy wysokich opłatach sądowych, obojętności obrońców i urzędników, to święte zaręczenie jest raczej pozornym jak rzeczywistym.”

Taki stan rzeczy pozostał i później nawet, gdy po bezprzykładnych od roku 1807 do 1815 wysileniach i klęskach, kraj odetchnął, i pod wpływem nowych insty-

tucyj, mianowicie Towarzystwa Kredytowego i Banku Polskiego, właściciele ziemscy przychodzić zaczęli do lepszego bytu. Co większa, zataić nie można, że wzrastająca zamożność kraju, obróciła się na ucisk włościan w dobrach prywatnych; że była, w pewnym stopniu zarazem i przyczyną i owocem coraz większego pogorszenia ich losu. Bo jeżeli gdzieniegdzie, szczególnież też w majątkach wielkich właścicieli, zakładano wsi nowe, zaprowadzano szczęśliwie przemianę gospodarstwa w ten sposób, że włościanie przy osadach swoich, niekiedy nawet ulepszonych pozostawieni i z pańszczyznianych na czynszowych czyli na dzierżawców, cenę dzierżawną płacących przemienieni zostali; w ogólności jednak, albo gospodarstwa dworskie rozszerzały się kosztem posiadłości włościańskich do folwarków wcielanych, a miejsce dawniejszych gospodarzów zajmowali kopczarze lub ogrodnicy, właściwie słudzy folwarczni, albo też niepodobna dla włościan naszych a przez przychodniów zagranicznych ofiarowana opłata wkupnego, skłaniała właścicieli do rozdzielania pomiędzy nich pól, tak folwarcznych jak wiejskich, a tém samém do usuwania włościan miejscowych.

Tym sposobem powstawać, przedstawiać się włościanom prywatnym i różne w nich myśli obudzać mogła coraz bardziej rażąca różnica między ich położeniem a polepszającym się bytem włościan w dobrach rządowych. W niektórych okolicach kraju zaczęła już niknąć rodzima gospodarcza ludność włościańska. Jeżeli więc kiedy, to teraz żałować przychodziło, że zamiar rządu Księstwa Warszawskiego ustalenia posiadania włościan przez pismienne umowy nie doszedł do skutku. Takie było położenie włościan w chwili, gdy zapadł ukaz Najwyższy dnia 26 maja (7 czerwca) 1846 roku.

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Biografowie i biografie. — *Les Faux Bons-Hommes*, komedia we czterech aktach Teodora Barrière. — *La Tour Saint-Jacques la Boucherie*, pięcioaktowa melodrama Alexan. Dumasa et compagnie. — Wiadomości literackie.

Jakkolwiek chwila obecna niebardzo jest stosowna do wypowiedziania ludziom prawdy, a mianowicie do sądzenia zwycięzców i zwyciężonych w sposób ani nadto pochlebny, ani nadto ponizający: liczba biografów zwiększa się codziennie w Paryżu. Literaci, finansisci, artyści, dyplomaci, monarchowie codziennie przed nowym pozują malarzem.

Eugeniusz Mirecourt autor *Biografii społecznych*, pierwszy wprowadził na ten nowy tor literaturę francuzką. Po Mirecourze zjawił się autor *Portretów politycznych XIX wieku* Hippolit Castille, a po nim vice hrabia Artur de la Guéronnière począł wydawać *Etudy i portrety polityczne*. Pominąwszy innych podrzędnych, zajmiemy się przeglądem dzieł tych trzech biografów.

Biografie społecznych składają się już z przeszło stu pozysztów. Powodzenia tej publikacji nie usprawiedliwia ani talent autora, ani prawdziwość podawanych przezeń szczegółów, ani sympatya ogółu do jego zasad politycznych; nawet miłość skandali, na którą autor najwięcej liczył, nie zjednałaby jego wydawnictwu tak wielkiej popularności, gdyby nie nowa warstwa czytelników, która się utworzyła we Francyi w ciągu ostatnich lat kilku. Są to ludzie, których interesa i spekulacye

przez lat dwadzieścia trzymały zdala od politycznego i literackiego ruchu, a którzy przyszedłszy w końcu do majątku i spokoju, zasmakowali w lekturze znęcani jej taniością. Dla téjto ciekawej massy czytelników, pan Mirecourt maluje obrazki wszystkich świętych paryzkich, naksztalt częstochowskich malarzy.

Drugie, mniej liczne grono jego czytelników, składa wyuzdana publiczność stolicy, zawsze chciwa plotek i obmowy, a słuchająca z radością potwarzy. Cały świat wyższy paryzki pogardza zarówno publikacją jak autorem, uważając go słusznie za ptaka kalającego własne gniazdo. Jakoż rzeczywiście: nie ma ani jednego pisarza, ani jednego sławniejszego we Francyi człowieka, któregooby Mirecourt w swojej dziesięcio-susowej książeczce nie powalał. Ztąd każdy Francuz dbały o honor narodu, ma go za renegata, a cudzoziemiec czyta ze wstrętem dzieła jego, i rozpatrując się w tym tłumie ludzi bez serca, bez godności, bez cnoty, bez czci i wiary, mimowolnie wykrzyknąć musi: tożto więc są owe sławne francuzkie znakomitości, owe geniusze, którzy swoje opinie narzucają światu!

Autor *Biografii społecznych* spotwarza nietylko żywych, ale i umarłych. W kilka dni po śmierci Lamennaigo, kiedy cały Paryż tylko jego skolem był zajęty, Mirecourt przewidując dobry interes, przywołał wielkiego męża przed swój blażeński trybunał. Biografią zmarłego temi zaczyna słowy: „Bóg go już osądził, teraz my go sądzić będziemy”. Po tym prologu następuje długi szereg najnikczemniejszych potwarzy.

Ale już dosyć o téj spekulacyi zwanéj *Les Contemporains*. Próbką, którąśmy podali, maluje ją dostatecznie, a czytelnicy słusznie wzięliby nam za złe, gdybyśmy ich dłużej przy takim autorze i takim dziele zatrzymywali.

Hippolit Castille zajęty wyłącznie polityką, nie wdaje się ani w teatru, ani w sztuki piękne, ani w literaturę. Jego *Portrety polityczne XIX wieku* tworzą dotąd następującą galeryą: Napoleon III, generał Cavaignac, Ledru Rollin, Montalembert, del Carretto, Alexander II, księżna Orleańska, Drouyn de l’Huys, Palmerston, Louis Blanc. Zapowiedziani: Saint-Arnaud, Canrobert, Espartero, Omer-Pasza, hrabia Chambord i królowa Wiktorya.

Castille ma więcej zdolności pisarskich niż Mirecourt, zbywa mu jednak na dwóch koniecznych zaletach biografy: na-

turalności i prostocie. W przedmowie autor zowie swoje książeczki *le grand chemin des nations*, poczem dodaje skromnie, że język dyplomatyczny byłby nie na swoim miejscu w tych ulotnych szkicach, w których nie trzeba szukać rozwiązania wielkich kwestyj społecznych. Oświadczenie wydaje nam się zbyteczne, bo czytelnik za swoje dziesięć sous tak wiele nie wymaga: szuka rozrywki, a znalazłszy takową ze wszystkich *solucyi* autora kwituje.

Mimo powyższych oświadczeń i odrzekania się języka dyplomatycznego, autor *Portretów politycznych* bardzo często w miejscach drażliwych niejasno się tłumaczy, lub miesza w opowiadanie napuszczając frazesy, które dziwnie wyglądają obok prozaicznych szczegółów, z których żywot politycznych ludzi złożony. Mówiąc naprzykład o apetycie Palmerstona, Castille woła ni ztąd ni zowąd: „I ja wierzyłem w doskonałość rodzaju ludzkiego, i ja co poranki życia goniłem za ideałem, jak myśliwiec za łanią w lesie, i ja obiegłem dokoła cały świat myśli!” Tak wielka podróż była zupełnie zbyteczna do napisania żywotu lorda Palmerstona lub Omera-Paszy; dla tych zaś, co będą czytać biografią królowej Wiktoryi, Fiquelmonta lub Wilhelma IV, jest rzeczą zupełnie obojętną, czy autor był, czy nie był demokratą; czy doznał, czy nie doznał zawodów i rozczarowania, i czy w końcu zatonął pod ciężarem swych wielkich idei żeglując po rozhukanym oceanie namiętności, lub po wielu burzach do przeciwnego zawiął portu.

Nic niedorzeczniejszego nad deklamacye i tragiczne pozy w broszurze: broszura powinna opowiadać, nie dyskutować; powinna być napisana w sposób lekki i mieścić jak najwięcej faktów. Jeżeli piszący uchybi tym dwóm warunkom, jeżeli zechce na świszku wykladać metafizykę polityczną, nie nauczy niczego, a znudzi wszystkich niezawodnie.

Wytknąwszy powyżej wady autora *Portretów politycznych*, musimy mu oddać tę sprawiedliwość, że nie goni za skandalem, szczegółów brudnych nie wyszukuje wcale, a jeżeli ich dotknąć musi, to czyni to w sposób poważny i przyzwoity. Z tego powodu przezwaną go tutaj *Mirecourem serjo*.

Jeżeli Castille jest poważnym Mirecourem, la Guéronnierra słusznie nazwaczą można edycją poprawną sentymentalnego Castilla. Sposób pisania dwóch tych portrecistów politycznych bardzo sobie podobny. Vice-hrabia de la Guéronnière jeszcze

na wyższy ton naciągnięty, występuje jak błędny rycerz broniący pokrzywdzonych: każde nieszczęście łączy mu wyciska, z równym zapalem całuje przyjaciół i nieprzyjaciół, jednym uściskiem obejmuje wszystkie stronnictwa, przemawia nie jak historyk, ale jak siostra miłosierdzia. Następne wyjątki najlepsze dadzą pojęcie, w jaki sposób la Guéronnière maluje swoje portrety. Zaczynamy od Napoleona III.

„Twarz jego wyraża słodycz i spokój, ale jestto tylko maska kryjąca wielką potęgę wewnętrzną. Wzrok jego jest zamglony, ale głęboki jak myśl, w której się pogrąża, a która czasami przyływa z duszy w źrenicę. Czoło jego ponure, szerokie i pełne twórczości; usta zimne, przycięte, często ironiczne, ale właśnie to ich umiarkowanie uwydatnia silny wyraz, z jakim cesarz wolę swoją ogłasza. Słowa rzuca jak od niechcienia, ale żadnego nie wymówi napróżno; obojętność ich powierzchowna dowodzi pewności siebie, której żadne uczucie nie mąci, a żadna trudność nie straszy. Charakter silny, złagodzony dobrocią serca, spryt osłonięty prostotą, spokój natchniony nie wahającym się nigdy sumieniem i wytrwałą wolą, odwaga prosta, naturalna, bez ostentacji ani dumy, takt umysłu odgadujący wszystkie myśli, wszystkie choćby najdrobniejsze wrażenia; przenikliwość, która uważa i widzi wszystko niby nie patrząc; cierpliwość, której najdłuższe oczekiwanie nie zmęczy, wielka trafność w działaniu, umiejętność korzystania z chwili i osiągnięcia celu nie prześcigając go, do tego wrodzona wspaniałomyślność, która poddaje wielkie pomysły, i decyzya, która dozwala je uskuteczniać: takim jest Ludwik Napoleon Bonaparte”.

Przypatrzmy się teraz hrabiemu Chambord.

„Hrabia Chambord posiada jedną z najpiękniejszych głów pomiędzy europejskimi książętami. Piękność jego fizyczna jest niejako odbiciem piękności moralnej. Szczerść, prawość, dobroć, błyszcza w jego oku: inteligencya jaśnieje na jego czole. Cała postać hrabiego pełna jest téj harmonii i czystości linii, które godnie mógłby tylko oddać pędzel Rafaela, lub dłuto Fidiasza. Wszystko w nim: wyraz oczu, cera, dźwięk głosu, gesta, zdradzają silną i zdrową duszę, której nie wysuszyły namiętności, żaden jad nie otrul, żadna przywara nie poniżyła”.

O księciu Joinville, la Guéronnière znowu tak się wyraża:

„Książę Joinville łączy w sobie całą elegancją swego szczepu; elegancja ta nie będąc rycerską, nie jest także powszednia. Rysy twarzy jego są delikatne i regularne; czoło nie wysokie, ale szlachetne i piękne, myśl przediera zasłonę która je okrywa. Przez oczy niebieskie i słodkie, nad którymi czarna brew porasta, przebija smutek wewnętrzny. W żywszej rozmowie cień ten znika, wzrok księcia ciska błyskawice, które odsłaniają nieustraszoną żołnierską duszę jego. Nos prosty, usta piękne, na których przebiega natchnienie, broda gęsta i miękka, kompletują tę męską myślącą fizyonomią, gdzie oznaki arystokratycznego pochodzenia, i ślady burzliwego marynarskiego życia łączą się z głębokim wyrazem dumy narodowej, przyćmioną jakimś przecuciem nieszczęśliwej przyszłości. Fatalizm odbija się w twarzy księcia jako cień tajemniczy ludzkiego przeznaczenia”.

Jeżeli Bonapartyści, legitymiści i orleaniści nie są zadowoleni z powyższych portretów, to już im zapewne nikt nie dogodzi. Vice-hrabia de la Guéronnière (jako czytelnicy widzieć mogą) obdzielił ich z nieporównaną bezstronnością.

Ostatecznie, zapatrując się ze stanowiska literackiego na zdolności autorskie trzech biografów, o których mowa, przyznać trzeba, że Castille pisze lepiej niż Mirecourt, a la Guéronnière lepiej od Castilla. Ale pomijawszy tę różnicę formy, trzej ci autorowie należą do jednej szkoły: Mirecour twierdzi, że styl powinien mieć swoje *horyzonty i perspektywy*; Castille lubi *siadywać w niebieskim cieniu buków*; Vice-hrabia de la Guéronnière widzi *fatalizm odbijający się w twarzy jako cień tajemniczy ludzkiego przeznaczenia*. Oto, jakim językiem przemawiają teraz pisarze polityczni. Ale cóż innego stworzyć może fałszywa i błędna maniera, jaką dziś do malowania ludzi znakomitych wprowadzono? Wszystkie te osoby udrapowane i uróżowane w pracowni malarza, wydają się jak galerya figur woskowych: niby to się uśmiechają, niby patrzą; ale ruchu, ale prawdy, nie dojrzyś nigdzie ani odrobiny. Prawdziwe mogą być tylko postacie, które wystają same na tle historycznych dramatów, które z pod pióra dziejopisa wyszły prawie bez jego wiedzy. Wyrwane z pola swój działalności, osamotnione, ubrane stosownie do okoliczności, lub oprawione w sztuczne ramy chwilowego usposobienia artysty, będą zawsze tylko śmieszną parodią prawdy.

W *Vaudevillu* przedstawiają teraz wyborną komedią we czterech aktach pod tytułem: *Les Faux Bons-Hommes*. Jestto nowy utwór Teodora Barriere autora *Dziewic marmurowych*, jednego z najcharakterystyczniejszych obrazów życia paryzkiego. *Les Faux Bons-Hommes* choć zupełnie w innym rodzaju, są niemniej wiernym dagierotypem obyczajów zachodnich. Wymagający krytyk mógłby zarzucić téj sztuce brak całości, gdyż sceny, jak oderwane kartki albumu, prawie nie łączą się z sobą: tak jest w istocie, ale ten obraz w kawałkach nie mniej przez to ma wyrazu, bo każdy kamyczek téj mozaiki połyskuje dowcipem i jest wyrwany żywcem z budowy społeczności francuzkiej.

Przegląd téj żywej galeryi obrazów rozpoczynamy od pana Peponnet, ojca dwóch pięknych córek na wydaniu, do których posagu zbiega się rój pretendentów. Peponnet jest dość powszednim typem zbogaconego głupca, któremu wszystkie wyższe uczucia i pojęcia równie są obce, jak chińskiemu malarzowi prawa perspektywy i estetyki. Niezdolny pożyczyć grosza przyjacielowi, ani wesprzeć nędzarza; brudny ten sknera gotów jednak zawsze rzucić swe kapitały w każdą, choćby fikcyjną entrepryzę. Należy on do rodziny skąpców tegoczesnych, którzy niepoprzestając już na platonicznej miłości grosiwa, swe dukaty do płodności zmuszają.

Dufourré, także typ mieszczański, zajmuje jeszcze niższy szczebel na drabinie jestestw organicznych: jestto podrzędny dorobkowiec zasklepiiony w samolubstwie, jak robak w sérze; występuje on zawsze na scenę z połowicą, także ciekawą w swoim rodzaju poczwarką, z którą się wadzi ząb za ząb, kiedy są sami, a przy ludziach udaje zakochanego.

Marzeniem téj dobranej pary jest ożenienie syna z córką Peponneta. Ów syn gagatek, pan Raul Dufourré, należy znów do cechu szlifobruków, czyli młodych błaznów, ordynarnie głupich, którzy życie swoje pędzą na bulwarach i po kawiarniach, a marzą o gabinetach *Domu złotego*. Stworzenie to ubrane przez najpiérwszego krawca, kształtem do człowieka podobne, nie zna wyższych rozkoszy w tém i przyszłym życiu, jak palić cygara, iść na hecę, lub bal opery, przejechać się po lasku bulońskim na najętym pegazie, a wieczorem upić się zamrożonym szampanem.

Najcharakterystyczniejsze dwie osoby sztuki, są: notaryusz Vertillac i siostrzeniec jego Edgar; piérwszy mianowicie należy do przerażających typów naszego czasu. Wyobraźcie sobie figurę długą, suchą, zastyglą, z gestem gilotyny a głosem woznego, włosami ekonomicznie zaczesanemi na czubku głowy, i okularami, przez które przebija złośliwość kota bawiącego się z myszą. Logiczny jak rachunkowe działanie, Vertillac drewnianemi usty wygłasza zasady poważne i surowe; nie śmieje się nigdy i nigdy nie gniewa; twarz jego niezmienna przypomina zatarte wyciski na starych pieniądzech: słowem jestto chodząca mechanika, coś nakształt oprawionego w człowieczą formę zegara, na który patrząc wydaje ci się, że lada chwila wybiję godzinę.

Siostrzeniec Vertillaca malarz, kocha jedną z córek Peponneta, ale przekonawszy się, że dopóki będzie artystą, ani ojciec nie da mu córki, ani wuj majątku: niby porzuca sztuki piękne dla bursy. Wybieg udaje się wybornie: ojciec panny widząc młodzieńca w złotój gorączce, wyleczonego radykalnie ze wszystkiego co uczuciem trąci, niemyślącego o niczém, tylko o pieniądzech, nabiera dlań szacunku i przyrzeka rękę córki, o którą młody spekulant prosi obliczając ostatni kurs papierów. Wuj, który znać go nie chciał póki się pędzłami bawił, teraz pełen uwielbienia uznaje go za jedynego swego spadkobiercę.

Najlepsza jest scena, na której się kończy akt trzeci: Edgar znalazłszy kwandrans wolny, przybywa do przyszłego teścia i stanąwszy za stołem (bo nie ma czasu usiąść) otoczony gronem bursistów, redaguje sam swój kontrakt ślubny, i podaje go do czytania ojcu. Peponnet przebiegłszy pismo, zrywa się cały w potach:.. kontrakt ciągle tylko mówi o jego śmierci; na jego skonie polega urzeczywistnienie *nadziei* i całe szczęście młodej pary. Starzec przerażony widokiem śmierci, która mu z każdej strony zaziera w oczy, zżyma się i kurczy; instynkt konserwacyi przemaga wszystkie inne względy, chociaż więc uwielbia oględność i praktyczność przyszłego zięcia, na swym nagrobku podpisać się nie chce.

Tu pan Edgar, któremu śpieszno wrócić na burzę, wziąwszy ze statystyki *minimum* i *maximum* wieku ludzkiego, obrachowuje naprędee wiek średni człowieka i dowodzi ojcu cyframi, ile mu jeszcze lat życia pozostaje w najlepszym razie. Z drugiej strony wuj, ów człowiek cynkowy, staje nad poca-

cym się Peponnetem i głosem kurantowego zegara wygłasza owe oklepane, a zawsze rozpaczliwe prawdy, jak naprzykład: Interes interesem; wszystko przewidzieć należy; nie wiedzieć kto z brzegu: wyobraź sobie na chwilę, żeś pochowany; kontrakt to nie czeże słowo; co napisane to nie żarty. i t. p.

W ten sposób pogrzebany żywcem przy podzwonném własnych dukatów, nieszczęśliwy ojciec, pada bez tchu na krzesło i na wszystko przystaje.

Genialna ta scena, śmieszna i straszna zarazem, przypomina rozdzierającą wesołość niektórych scen Balzaka: sztuka powinna się na niej skończyć. Czwarty akt mieści wprawdzie wiele ślicznych szczegółów: przedstawia obrazek domowego szczęścia dwojga młodych ludzi, namalowany jakby kwietnym pyłkiem na listku róży, a tak uroczy, że patrząc nań dech wstrzymujesz obawiając się, żeby go tchnienie rzeczywistości nie zwiało; ale wrażenie ostatniej sceny poprzedniego aktu jest tak silne, tak głęboko wbija się w wyobraźnię, że wszystko co następuje, koniecznie słabszém wydać się musi.

Sztuka zyskała ogromne powodzenie. Jestto jedyny prawdziwy sukces, jaki się pojawił w teatrach paryzkich drugiego rzędu, od czasów *Dziewic marmurowych*. Niezrównana gra aktorów głównie się do niego przyczyniła, wszystko tu bowiem polega na akcji; taż sama komedia przedstawiona nie przez paryzkich aktorów, małe, albo żadnego nie sprawiłaby wrażenia.

— Podczas kiedy klaskano w Vaudevillu, w Cyrku wygwizdano Dumasa, a raczej Xawerego Montépin, na którego sztuce Dumas, nie wiedząc czy dla miłości pieniędzy, czy autora, nazwisko swoje obok jego nazwiska zapisać pozwolił. Pierwszy to raz jak Dumas Dumasem, podobna spotkała go kłeska; ale będzie to dlań nauką, że nawet Jowiszowi nie wszystko wolno w Paryżu. Jestto fakt tém więcej zasługujący na uwagę, że publiczność nie wygwizdała Dumasa jako autora. (każdy czuł, że w téj sztuce ani jednego jego słowa nie było), ale wygwizdała go jako człowieka, a raczej jako szarlatana handlującego swą sławą i zartującego sobie za grubo z ludźmi.

Pięcio-aktowa melodrama pod napisem: *la Tour Saint-Jacques-la-Boucherie*, jest zbiorem wszystkich błędów i nonsensów, w jakie tylko popaść może historyczny dramaturg: akcja wolna, sytuacje naciągane, sceny bez związku, zamieszanie, nieład, chaos, brak interesu, intrygi, węzła; ścisk osób, któ-

rych charaktery nieoznaczone, a uczucia i namiętności nierozwinięte.

Rzecz rozpoczyna się kłopotami jakiegoś szlachcica Raula Tremblay, który niemogąc odszukać ojcowskiego testamentu, zostaje wyzuty z majątku przez kuzyna swego Jakóba Tremblay. Od tych interesów familijnych, autor nagle odrywa wida i prowadzi do królewskiego pałacu właśnie w chwili, kiedy goniec przybywa zawiadomić królewicza, później Karola VII, że stolica Normandyi po siedmio-miesięcznym oporze, poddała się Anglikom. Goniec opowiada szczegółowo klęski, jakich doznali obleżeni, jak wyjadłszy wszystkie psy, konie, szczury i koty, wygnali za mury fortecy dwadzieścia tysięcy starców, kobiet i dzieci, którzy pomarli z głodu pomiędzy miastem a nieprzyjacielskim obozem; jak zdobyte miasto musiało złożyć królowi angielskiemu trzykroć sto tysięcy talarów, jak utraciło na rusztowaniu sześćciu najzacniejszych obywateli, i. t. d.

Zdawałoby się, że po takim bolesnym obrazie klęsk narodowych, interesa pana Raula już nikogo obchodzić nie mogą; autor jednak mniema przeciwnie: nietylko natychmiast po monologu gońca do Raula powraca, ale nadto wskazuje na słuchanie płaskich rozmów trzech zbirów, z którymi Jakób umawia się o zabójstwo krewnego.

W następnym akcie zbiry napadają Raula; jeden przeszywa go szpadą, drugi mu głowę rozbija maczugą. co nie przeszkadza, że wkrótce potem występuje zdrowiuteńki.

Po tym epizodzie znowu powracamy do królewskiego pałacu, ażeby być świadkami oblężania Karola VI. Król drze firanki, przewraca meble, zastawia drzwi łóżkiem, żeby duchy nie weszły: skacze, rzuca się jak zwierze w klatce. Z téj smutnej roli wyzwala go nareszcie przybycie doktora Flamel'a, który ma dar uspakajania monarchy.

Tu znów staje napoprzek nowa awantura: ukradzenie dziecka przez cyganekę, której związku ze sztuką mimo najszerszych chęci dopatrzeć nie mogliśmy. Po cygance, sprawy publiczne przychodzą na stół, a po nich znów testament pana Raula, ale tu już gwizdanie, krzyki i tupanie zniecierpliwionéj publiczności z taką wybuchły mocą, żeśmy dalej przerwanego wątku uchwycić nie zdołali, co nam pewnie czytelnicy wybaczą, będąc dostatecznie wynudzeni treścią piérwszój połowy, którą

opowiedzieliśmy jedynie dlatego, żeby dać pojęcie, jak dalece Dumas drwi sobie ze świata, i jak jest niebezpiecznie na podpisach jego polegać.

Wyszło dzieło pod napisem: *Historja włościactwa francuzkiego* przez pana Bonnemére. — Janowski zastępca Micheleta w kolegium francuzkiem rozpoczął tę trudną pracę.

— Felix Coulbeau wydał ważną dla Francuzów książkę pod tytułem, *Etudes sur Colbert*, za którą otrzymał od Akademii pierwszą nagrodę w wydziale ekonomii politycznej.

— Flourens sekretarz akademii nauk, napisał: *Les Eloges historiques*. Są to studia sławnych uczonych francuzkich skreślone w sposób przystępny dla większej publiczności. Dzieło będzie w dwóch tomach, z których pierwszy już wyszedł i obejmuje *pochwałę* Cuvier'a, Blumenbacha, Geoffroy-Saint-Hilaire, Blainowill'a, i Leopolda Buch.

— Wystawa malarska zostanie otwartą dnia 25 marca 1857 roku w pałacu wystawy, i trwać będzie do 25 kwietnia.

KRONIKA LITERACKA.

Ocenienie stanowiska p. Felixa Żochowskiego w umiejętności językowej, oparte na jego Mowni i odpowiedzi danej ks. Malinowskiemu, wraz z podaniem rysu nowego systemu koniugacyi słowiańskiej.

Odpowiedź, którą mnie zaszczycić raczył p. Żochowski w Bibliotece Warszawskiej, poszyt wrześniey, dostatecznie poświadcza, że ten uczony mąż albo nie rozumiał tego, na co odpowiadał, albo rozumiejąc, fakta do swoich celów naciągał.

W mojej bowiem odezwie umieszczonej w Bibliotece Warszawskiej za kwiecień, radziłem li tylko wydawcom Słownika Polskiego zapowiedzianego przez księgarza Orgelbranda z Wilna, ażeby w układzie zamierzonego dzieła nie szli za przykładem Słownika Lindego, w którym na czele słów położył autor tryb bezokoliczny, ale raczej wrócili do dawnego zwyczaju kładzenia zamiast niego 1 osoby Oznajmującego. Kładzenie na czele w Słowniku Lindego trybu bezokolicznego, uznałem za błąd, oświadczając zarazem na str. 180, że się *obecnym wydawcom Słownika Lindego błędu tego poprawiać nie godziło*. P. zaś Żochowski na str. 607 za wrzesień, powiada: „Potrzecie: z deszczu pod rynnę wpadliby dziś wydawcy Słownika Lindego, gdyby czas terażniejszy za zasadę przyjęli; że znowu i czas przeszły pominęli (ma się rozumieć wbrew mojej Mowni), to widoczna nie chcieli odstępować od piérwszej edycyi.”

Na str. 181 za kwiecień zganilem system koniugacyi ks. Dobrowskiego, który właściwie mówiąc w mojej krytyce rozprawy Cegielskiego obalałem. P. zaś Żochowski wykazawszy, że jedyna droga do badań ojczystego języka jest ta, którą sam przebywał, to jest, bez znajomości organizmu języków pokrewnych i pobratymczych, i zarzuciwszy lingwistyce porównawczej, której jestem zwolennikiem i wielbicielem, iż zgromadza mnóstwo materyałów do niepotrzebnych i kłótliwych zapasów: tak

dowodzi swojego zarzutu na str. 607 za wrzesień w wypadku 4: „Żywy dowód tego daje nam p. M. który w 6 form słów przez Dobrowskiego napisanych dla starosłowiańskiego języka, usiłuje wtłoczyć słowa polskie. Z swojej strony oświadczam z matematyczną pewnością, że te rękawiczki są zamale i dlatego popękają.”

Powiada p. Ż. że najniesłuszniejsze czynię zarzuty Lindemu, że przyjął tryb bezokoliczny za zasadę, a sam we wstępie swojej odpowiedzi na str. 595 powiada: „żem wypowiedział myśl ważną i prawdziwą, że tryb bezokoliczny jak jest w Lindym, nie powinien być częścią główną w Słowniku, na co zupełnie się, mówi autor, zgadzam.” Nie jestże to sprzeczność?

Kto na takich podstawach i w taki sposób rozpoczyna spór uczony, pomimo wstępu okraszzonego pożyczaną frazeologią z Chowanny i Myślini Trentowskiego, nie może sobie rościć prawa, aby jego rozumowanie oparte na dziecinnych przenośniach i obrazach było nieomyślnem (i wyrażając się słowy zwolennika mądrości p. Trentowskiego, było awoźnem).

Lecz o cóż chodzi? p. Ż. życzy sobie, ażeby przynajmniej kiedyś w wydaniu Słownika Lindego położono na czele słów imiesłów kończący się na ł, który bardzo nieumiejętnie nazywa po swojemu czasem przeszłym, gdy tymczasem ten imiesłów używany jako predykat, tylko w połączeniu z wyraźnym lub domyślnym łącznikiem (copula) *jestem*, zastępuje w polszczyźnie niedostatek zatraconej formy czasu przeszłego, dochowanej w starosłowiańskim, serbskim i łużyckim i jako imiesłów znajduje się poza obrębem właściwej konjugacyi. Ja zaś z mojej strony radzę zamiast imiesłowu, którego p. Ż. nazywa mężem, jabłkiem i żołędzią kłaść na czele pierwszą osobę Oznajmującego, którego p. Żoch. nazywa młodzieniaszkim. Pierwszą osobę radzę kłaść nie tylko dlatego, że jest pierwszą, ale że zarazem ta forma leży w obrębie właściwej konjugacyi, której istotnym warunkiem jest, ażeby spajała w jeden wyraz temat jako predykat z zaimkiem osobistym jako subjektem, a tym warunkom odpowiada rzeczona forma; np. w kocham, mogę, robę, temata kocha-mog-rob-oznaczają predykat, końcówka zaś *m* i z niego powstałe *ę* oznaczają subjekt pierwszej osoby. I tu w tej formie widzimy akt prawdziwego konjugowania czyli spajania. Jeżeli w języku którymkolwiek wyraża się dla ubóstwa form słownych pojedynczych osobno predykat, osobno subjekt, osobno łącznik, jak np. we francuzkim: *j'ai été, tu as été. i t. d.* w niemieckim *ich bin gewesen, du bist gewesen, u. s. w.* lub tylko z domyślnym łącznikiem (copula), jak w rosyjskim *я был, ты был он был*; takowe postępowanie nazywamy również w grammatyce konjugacją, ale takowa konjugacja jest omonna, złożona i niewłaściwa, i jakkolwiek powyższe przykłady odpowiadają co do znaczenia formom np. łacińskim *z fui, fuisti, fuit*, jednakże właściwą pojedynczą konjugacją nazwać tego nie możemy.

Z tego wyvodu jasno wypływa, że chcąc w układaniu słowników polskich postępować odpowiednio wynikom badań umiejętności językowej, nie można kłaść na czele ani trybu bezokolicznego (tego rzeczownika słownego) np. *być*, jak kładł Linde, ani imiesłowu na *ł*; jak chce p. Żochowski, gdyż ani jedna ani druga forma nie jest formą pełną, mieszczącą w sobie subjekt, a obie służą tylko do omawiania (ad pariphrasim) zbywających nam form; np. *czynić* będę lub będę *czynił*.

Piszemy wprawdzie w naszym języku: *byłem, byłeś, byliśmy, byliście; kochałem kochałeś kochaliśmy kochaliście* i t. d. i grammatycy nasi wszyscy nie wyłączając - nawet ani Mowni p. Żochowskiego, przydatki łączone w jeden wyraz z imiesłowem *m ś. śmy-ście* nazywają końcówkami i kładą je przez to na równi z końcówkami *m sz my cie* np. w *kocham kochasz kochamy kochacie*; przez co wywołują zamieszanie pojąć. Myśmy się jednak tym ludzić nie powinni, i przecież raz uznać nam trzeba, że, *m ś śmy-ście* łączone z imiesłowem nie są to właściwe końcówki, choć stoją na końcu, ale raczej prawdziwe słowa posiłkowe (copulae) skrócone z *jesm jesi jesmy jeście*, jako czytamy w Psalterzu Małgorzaty: *ja spał jesm y naspiał jesm; po naszymu; ja spałem i naspiałem się i wstałem; ząby grzeszników starł jes; teraz starłeś; zgrzeszyli jesmy; teraz zgrzeszyliśmy; nie szedł jest; teraz nie szedł (bez jest), powiedział jest, są czynili; dzisiaj mówim powiedział, czynili, bez słowa posiłkowego: jest są*, które tu jest według koniecznych praw logicznych domyślne. Ztąd wypływa, że i nasze: *byłem byłeś byli* i t. d. są formy omowne, nie wyłączając nawet: *był*, które dopiero ze słowem posiłkowym domyślném *jest* składa formę czasu przeszłego, a raczej musi zastępować ten czas, któryśmy oddawna poronili. I to jest przyczyna, że my to słowo posiłkowe w postaci *m-ś-śmy-ście* możemy odrywać od imiesłowu i przyczyniać go tam, gdzie nam się podoba; gdy tymczasem prawdziwych końcówek słowa: *m sz my cie*, jako istotnych zaimków osobistych np. od *kocha-m, kocha-sz* i t. d. jak w innych językach tak i u nas odrywać nie możemy. To kojarzenie słowa posiłkowego na początku obciętego z imiesłowem lub jakimkolwiek wyrazem w piśmie w jeden wyraz, nie ma miejsca ani w żadnym narzeczu słowiańskim, ani w żadnym języku europejskim: jestto wyłączna własność pisowni polskiej. O ile mi wiadomo takowe zjawisko ma tylko miejsce w dzisiejszym perskim języku, tak dalece, że o tym, *m, ś, śmy-ście* to samo powiedzieć możemy, co powiedział Alexander Chodźko w swojej „Grammaire Persanne, Paris 1852 na str. 18 o podobnych szczątkach słownych w Irańskim: „Ce débrie verbal, pris isolément n' a aucune signification et ne s'emploie jamais tout seul. Il s' adjoint à toutes les partis du discours, soit conjugables soit declinables” (Ten szczątek słowny wzięty osobno nie ma żadnego znaczenia i nie używa się nigdy samotnie. Kojarzy się ze wszystkimi częściami mowy tak kon-

jugującemi się i deklinującemi”; dodajmy że u nas i z partykułami np. *żem, żeś, żeśmy żeście*. Może tu kto zarzuci, że w *m ś* zginął zupełnie temat *jes*, a następnie te głoski nie za słowo posiłkowe, lecz za końcówki uważać należy. Na to odpowiadam: którzyż z grammatyków w deklinacyi zaimku wskazującego w mianowniku przestarzałego *ji ja je* formy *go* zamiast *jego*, *mu* zamiast *jemu* uważa za końcówki, jakkolwiek i tu temat *je* całkiem zginął? Z tego wywodu każdy się także przekonać może, jak jest niesłuszne żądanie przeciwne umiejętności p. Żochowskiego, ażeby w Słowniku kłaść na czele według jego systemu konjugacyi imiesłow na *ł*. stojący poza obrębem, również jak tryb bezokoliczny właściwej konjugacyi i nie wyrażający pełnej formy słowa. Wypada jeszcze zastanowić się, czemu Francuzi i Niemcy w układzie słowników nie kładą jak Grecy i Łacini słownikarze pierwszej osoby czasu teraźniejszego, lecz tryb bezokoliczny? Odpowiedź na to jest prosta: w niemieckim i francuzkim języku tak się przytarła końcówka *1ej* osoby, że dla *jéj* wyrażenia zaimek osobisty *ich je* przy słowie wyraźnie kłaść muszą; musieliby tedy albo każde słowo zaczynać od *ich je*, albo kłaść tryb rozkazujący: *liebe fliehe aime fuis*: unikając jednego i drugiego, nie mogli sobie stosowniej postąpić, jak użyć do *téj* posługi trybu bezokolicznego. Wszakże kiedy nasz język z innemi słowiańskimi oznacza *1szą* osobę końcówką i nie potrzebuje do takowego oznaczania zaimka *ja* jak Grecy i Rzymianie nie potrzebują tu *ego* dla wyrażenia *1ej* osoby; słuszną jest rzeczą, ażebyśmy dla tego podobieństwa w tym względzie języka słowiańskiego z greckim i łacińskim poszli raczej za wzorem Greków i Rzymian, aniżeli za przykładem Francuzów i Niemców. Z tych powodów głosuję za *1szą* osobę Oznajmującego bez względu na mój system konjugacyi, a głos mój popieram świadectwem niezaprzeczoném ks. Knapskiego i Bandtkiego. Tu mi zarzuca p. Ż. nadużywanie historyczności i skierowanie *jéj* do moich widoków. Aby tego dowieść zniża uczone prace tych mężów do rzędu wokabularzów układanych dla dzieci. Jestże to sprawiedliwie, oględnie i awoźnie? Aby z mojej strony dowiódł, że tych mężów słowniki nie są wokabularze dla dzieci, dosyć będzie, kiedy podam w ogólnych zarysach ich opis. Ks. Knapskiego prac uczonych posiadam 3 tomy: tom 1 pod napisem: *Thesaurus Polono-Latino-Graecus*, in fol. str. 1465, w którym objaśnienie partykuły polskiej *a* zajmuje 5 kolumn druku. Przy drugim tomie tegoż autora in 4to str. 944, stanowiącym część łacińsko-polsko-niemiecką są adnotacye rozłożone w porządku alfabetycznym na 29 stronicach, tyczące się po większej części ortografii, grammatyki, pisowni i słowotworstwa polskiego. Tom zaś III in 4to około 1400 stronic zawiera przysłowia polskie wytłumaczone na język łaciński i grecki i objaśnione po łacinie. Jerzego Samuela Bandtkiego Słownik

drukowany w Wrocławiu 1806 in octavo str. 1988, przy którym jest rozprawa o słowie polskim obejmująca stronic 27.

Z samego gołego opisu dzieł rzeczonych każdy bezstronny czytelnik już osądzić zdoła, że ich autorowie w swoich pracach uwzględniali i język polski. A choć ks. Knapski na 5 kolumnach objaśnił jedną partykułę polską *a*: choć w adnotacyach objaśnia wiele rzeczy dotyczących się grammatyki polskiej, choć cały tom III-ci poświęca objaśnieniu przysłów polskich, choć z jego prac pełną dłonią czerpał sam Linde, choć Bandtkie dodaje do swego Słownika rozprawę o słowie polskim na 27 stronicach: jednakże to wszystko nic nie znaczy u p. Ż., gdyż głosi ziomkom swoim, że ci słownikarze patrzyli tylko na języki obce, a nie na język polski. Czyliż tak oczywiste fałsze rozgłaszać jest sprawiedliwie, awoźnie, oględnie? Zgadzaż się to z ową mądrością autora własnym dorobkiem nabytą (albo powiedzmy raczej prawdę, wyczerpniętą z Chowanny i Myślini Trentowskiego).

P. Ż. dlatego, że po drabinie swój Mowni, którą przez lat 18 budował już wstąpił na piętro, jak to sam ogłasza; przywłaszcza sobie tylko samemu prawo wydania wyroku o rzeczy, której nie rozumie. Nie rozumie bowiem mojego systemu konjugacyi podanego w ogólnych zarysach w mojej odezwie do wileńskich wydawców Słownika polskiego, identyfikując mój system z systemem ks. Dobrowskiego. Że ktoś czegoś nie rozumie, poczytywać mu za złe nie można; ale to zasługuje na publiczne skarcenie, że w odpowiedzi, której mi raczył udzielić, mierzył mój system miarą swojego systemu, a takim sposobem w skutek swego awoźnego rozumowania potworzywszy jak n. p. na str: 602: siejć siejł, gać gał, dziwolągi, ogłosił takowe, jako przezemnie wywołane z fałszywego założenia. Takowe postępowanie nazywa on rozumowaniem awoźném, a przecie każdy według najprostszych prawideł logiki o rzeczach sądzący, przyzna, że jest nieprawe i niezasadne. Zresztą takie dziwolągi wypływać będą z formy czasu terażniejszego tylko wtedy, kiedy inne formy słowa rozwijać będziem według systemu p. Żochowskiego, ale nie według mojego. Powiada p. Ż. na str. 602 „tak niekorzystne wypadki dla czasu terażniejszego, nie zdołają nikogo nakłonić, aby go za główny czas w słowie poczytywał.”

Ten wyrok autora przeciwny jest temu, co się już działo i dzieje w grammatyce słowiańskiej: bo Kopitar tak w swojej Grammatyce słowiańskiej dodanej do Pomnika trydenckiego (Glagolita Clozyanus) jak w swojej Grammatyce krańskiej, Schleicher w swojej Formenlehre der Kirchenslawische-Sprache. Bonn, 1852, Fröhlich i Berlicz w swoich ilirskich Grammatykach wychodzą z czasu terażniejszego, a ostatni wyraźnie z 1-jej osoby, a dlatego nie tworzą żadnych dziwolągów, jakich się p. Ż. potworzyć podobało; niech się tedy nie lęka, ja ich tworzyć nie będę; nigdy nie będę uczył, że trzeba mówić kasłak,

że trzeba pisać jjem przez dwa jot, że znamię może być znamieniem, chociaż jest zmienne i całkiem ginie. i t. d.

Na str. 181 poszyt kwietniowy powiedziałem, że w mowie słowiańskiej nie w trybie bezokolicznym, lecz w 1-jej osobie Oznajmującego całego i prawdziwego tematu szukać, że tę formę za naczelną uważać należy. Ale z tego bynajmniej nie wypływa, ażebym konjugacją porównywał z p. Ż. do jabłoni, lub dębu.

Owszem takowe porównywanie jest mi dowodem, że autor Mówni nie ma prawdziwego pojęcia o konjugacyi. Żadnej pojedynczej formy słowa, a następnie ani 1-jej osoby nie uważam ani za młodzieniaszka, ani jabłko, lub żołędź. Drzewo bowiem składa się z korzenia, pnia, gałęzi, liści i t. d., ani pień, ani gałąź ani liść nie jest korzeniem i odwrotnie; gdy tymczasem w każdej formie słowa foremego w pierwotnej jej postaci jest i musi być temat i końcówka. Ile więc jest sposobów, jak powiedział słusznie Cegielski spajania tematów z końcówkami, tyle w danym języku być musi, ani mniej ani więcej konjugacyi. Ta konjugacya nie jest aktem rośnięcia, jakim się rozwija roślina, ale jest prawdziwą syntezą, spajaniem. W każdej tak zwaney przez p. Ż. części słowa jest temat, w częściach zaś drzewa np. w pniu, w gałęzi, w liściu nie ma korzenia, i odwrotnie, w ziarnie zaś niepojętym dla nas sposobem wszystko zawarte; gdy znowu temat, a raczej jakakolwiek forma słowa nie zawiera w sobie wszystkich innych form słowa tak nazwanych przez p. Żochowskiego części słowa, owszem temat jest częścią składową każdej formy słowa. W porządkowaniu konjugacyi już cić od czegoś, od pewnej formy wyjść należy, a taką być sędzę najwłaściwszą 1-wszą osobę Oznajmującego. Z tego rozwoju mojego pojęcia o konjugacyi bezstronny sędzia zapewne uzna, iż potworzone w odpowiedzi przez p. Ż. grammatyczne dziwolagi nie na karb mojego systemu, lecz jedynie na karb fałszywego pojęcia o konjugacyi, w jakim autor Mówni tak sobie upodobał, policzyć należy.

Powiedziałem dalej w Bibliotece Warszawskiej, kwiecień 1856 na str. 184: „żeśmy w czasie wyjścia na świat Słownika Lindego stali nisko w umiejętności ojczystego języka; ale i dzisiaj nie wieleśmy w tym względzie postąpili: dowodem tego wszystkie nasze grammatyki opracowane li w praktycznym kierunku, osnute na wyłącznej i powierzchownej znajomości ojczystego języka, obejmujące częstokroć wiele prawideł bardzo płytkich, a nawet niedorzecznych.” Dzisiaj przytaczam na poparcie mojego twierdzenia dowody z Mówni p. Ż. wydanej w Warszawie 1852 r. Na str. 126, 127, 128, 129 głosi poważnie: że pierwsiastkowo zamiast jém jész je jemy jécie jedzą, mówiono: jeść jestem, jeść jesteś i t. d. dlatego każe pisać jjem jjesz przez dwa jot. - Zkądże się wyroiła u autora Mówni taka grammatyczna brednia? oto ztąd, że autor nie badał umiejętnie organizmu, ani

pokrewnych ani pobratymczych języków. Inaczej byłby się nauczył, że słowa *jes'm* (jestem) *sum*, *ect* i t. d. w całej mowie jafeckiej jest jeden i ten sam temat wszystkim spólny, złożony z dwu pierwiastków: z zaimka wskazującego, w sankr. *as*, w grek. łaciń. *es* w słow. *jes*, a następnie. że tu w dziedzinie słowiańskiej *jot* zastępuje jak zwykle w tyłu innych razach przydech nazwany *spiritus lenis* (por. Adam Yadam, Apfel jabłko). Tak samo się rzecz ma co do *jot* słowa *jém*, którego pierwiastek również jest spólny wszystkim językom jafeckim: w Sanskr. *ad*, w Gr. Łac. Lit. *ed*, w słow. *jad*, i że słowo *jem* jak wszystkie inne słowa we wszystkich językach jafeckich rozwijało się niezależnie w swój konjugacji od słowa *jes'm*, *jestem*. A jeżeli w *jém jész* i t. d. wymawiamy z większym przyciskiem zgłoskę *je* niżeli w *jedzą*, to dla tej prostej przyczyny, że w *jém jeść* i t. d. wypadło pierwiastkowe *d*. które w formie *jedzą* znowu się w zmiekczonej postaci pojawia: dlatego ten przycisk na *je* ustaje. Podwajac zaś poprzedzającą spółgłoskę dlatego, że złączona z nią samogłoska z przyciskiem się wymawia, jest tylko urojeniem, żadną analogią uzasadnić się nie mogącem p. Żochowskiego, urojeniem tak rażącym, iż żaden rozsądny pisarz do tego pravidła podwajania dotąd się nie stosował i stosować nie będzie. Ten jeden przykład wystarcza na dowód, jak lingwistyka porównawcza ochronić może i chroni specjalnego grammatyka od śmiesznych bredni.

P. Ż. radzi słownikarzom polskim, żeby imiesłów na *ł* na czele słowa kładli według najniedorzeczniejszego systemu konjugacji, jaki kiedykolwiek się pojawił w grammatyce polskiej. Nicby się nie zawiązało dla umiejętności językowej, gdyby kto chciał sobie zadać pracę krytykowania systemu koniugacji jego Mowni. I tego też niepotrzeba, dosyć jest tylko wskazać jedną sprzeczność i jedną grammatyczną niedorzeczność, a cała budowa odrazu się rozwali. Str. 97 § 159 swój Mowni, powiada autor: „Jądrem słowa jest to wszystko, co się znajduje w osobie trzeciej czasu przeszłego liczby pojedynczej przed końcówką *ł*, np. *mógł*, *tłuk-ł*, *czyni-ł* *chodzi-ł*. Wszelka spółgłoska bądź bezpośrednio leżąca przed końcówką *ł*, bądź samogłoską od niej przegrodzona jest spółgłoską przybierającą: np. *strzeg-ł* *piek-ł* *k-u-ł*. Wszelka samogłoska przegradzająca przybierającą od końcówki zasady jest cechą słowa: np. *czyn-i-ł*, *k-u-ł*, *słysz-a-ł*, *tańcz-y-ł* i t. p. a ta cecha jest dwojaka: stała i zmienna” (sic?). Z tego wykładu wypływa, że p. Ż. przyjmuje jądra bezcechowe kończące się na spółgłoskę np. *mog* *tłuk*, i jądra kończące się na samogłoskę, którą nazywa cechą słowa, np. *czyni* *chodzi* *ku* *słysz* *tańczy*. Tak każdy ten wykład tu rozumieć musi. Lecz z tą nauką zasadniczą systemu jakże pogodzić dalszy jego rozwój w § 207 podany; tu znów wprost przeciwnie swoim zasadom naucza tak: „Do modły piątej nale-

zą słowa, których jądro składa się z jednej spółgłoski miękkiej (sic?) lub najwięcej z dwu miękkich łatwo po sobie spływających, a ztąd niejako jedno brzmienie składających (sic?); cechą zaś po nich następującą jest *a* w zasadzie, np. siał, ział, wiał, lał, dział, śmiał". Któż tu nie spostrzeże sprzeczności? P. Ż. pokazał nam w § 159 jądra kończące się nietylko na spółgłoski *og* tłuk, ale i na samogłoski np. czyni chodzi ku słysza tańczy. W § zaś 207 pokazuje nam gwałtem p. Ż. li tylko spółgłoskowe jądra, *s, z, w', l', dz, sm'*. Rozścina tedy pierwiastki (etymony) *sz, zsz, wsz, dzsz, smsz*, które dla każdego grammatyka święte i nietykalne być powinny, bo w nich leży podstawa pojęcia jego stosunku, które się z pierwiastków za przydaniem pogłosek twórczych (Wortbildungsfähige) i pogłosek względnych czyli końcówek (Beziehungsfähige) rozwijają.

Cóż wart system rozwalający elementarne zasady umiejętności językowej? Dalej p. Ż. w § 159 przypuszcza cechę (rozumiemy z niemieckiego Zeichen) t. j. znamię, charakter dwojaki: stały i zmienny. Jestże to, że się wyrażę à la Trentowski słowy jego zwolennika, awoźnie? Znamię każde według wymagań zdrowego rozsądku i w rzeczach potocznych i w umiejętności nie powinno być inne jak tylko stałe, wyraźne, nietykalne, niezmienne. Jeżeli samego znamienia rozpoznać nie mogę, dlatego że mi się przemienia, raz niknie, drugi raz pojawia się, raz jest, drugi raz go nie ma, jak w systemie konjugacyi autora Mówni, po czémże rzecz znamionowaną rozpoznam? Kto tedy przyjmuje za znamię czy tam z niemiecka cechę zmienną nie stałą, samogłoskę znikającą, ten ludzi sam siebie i drugich pozorem umiejętności, ale zarazem dowodzi oczywiście, że system jego na słabiej albo raczej na żadnej nie opiera się podstawie.

I taka nauka p. Ż. urągająca się z umiejętności językowej ma nadawać autorowi prawo narzucania narodowi najniedorzeczniejszej w świecie pisowni, podwajania j jjem jjesz i t. d. urojonych form językowych, jak kaszał, kasłę i prawo sądenia o rzeczy, której nie rozumie. Zkądże to pochodzi że p. Zochowski narzuca nam formę kaszał, której nie znamy i której ani Linde nigdzie nie wyczytał? oto dlatego, iż się sam nie nauczył, że tego słowa należącego do jego modły ósmej, a do mojej koniugacyi 3ciój pierwotnym tematem jest kaszl, bo w mianowniku kaszel kaszl-u e nie jest pierwiastkowe, ale jak je sam p. Ż. nazywa podręczne. Od tego tematu pierwotnego kaszl urabia się temat drugi pochodny kaszła, przez przydanie do pierwszego samogłoski *a*; jak zaś przydaniem samogłoski *a* do tematu król w dopełniaczu nie będzie króła ale króla, tak też z kaszl nie może się urobić kaszał, ani kasłał, ale koniecznie kaszłał.

P. Ż. twierdzi uzupełniając w danej mi odpowiedzi swoje naukę o słowie na str. 604 Biblioteki, że słów: pleć mléc sami Polacy piśmienni odmieniać nie umieją, jak dowodzą często wyrażenia: pelę pele, plewią wyplew, melę mele; pelłem, pelł, mel-

lem meł; plilem plit, mliłem mlił, pełly, mełly, melcie pełcie; plenie mlenie, mielenie pielenie" gdy tymczasem wszystkie te formy (heteroclitae) przez naszego grammatyka potępione równie są dobre i organiczne, jak i te, które jedynie za dobre uznaje. Jeżeli się co potępia trzeba koniecznie wyrok uzasadnić, gdyż inaczej wyrok być może niesprawiedliwy. P. Zochowskiemu podobają się lepiej formy miół piół, dlatego może, że są przez dyssydenckich autorów Budnego i Seklucyana używane: czyż według autora Mówni, katoliccy pisarze np. Wujek, Skarga mniej znali język ojczysty od polskich dyssydentów?

P. Ż. zarzuca mi, że gwałcę prawa spółgłoski *j*, i ten zarzut jest niesłuszny: odsyłam go w tym względzie do wyjątku mojego listu pisanego do p. Papłońskiego, wydrukowanego w Gazecie Warszawskiej, a przekona się jeżeli mnie zrozumieć zechce, jakie mam wyobrażenie o istocie i znaczeniu spółgłoski *jot* w mowie słowiańskiej. Że nie piszę *jiskra* *jich* *moji*, ale po staremu: *iskra*, *ich*, *moi*, to jeszcze nie zaprzeczam istnienia spółgłoski *j*. Wiem, że wymawianie samogłoski *i* jest dwojakie: jedno że tak powiem niemiecko-czeskie, z przydechem cienkim *i* *eum spiritu leni*; drugie słowiańsko-polskie, w którym zamiast przydechu wymawiamy spółgłoskę *jot*. Spójnik *i* powszechnie się w polszczyźnie wymawia *ji*, a nie *i*, a jednak i p. Ż. i Lelewel piszą *i*. Kto chce bowiem pisać wszędzie *ji* ten powinien pierw nas skłonić do wymawiania samogłoski *i* na sposób niemiecki z przydechem cienkim. Słusznie zresztą sądzi p. Ż. że takowa głoska *i*, która właściwie wyraża nam dwie głoski czyli zgłoskę *ji*, jest bardzo niedogodną, zwłaszcza w objaśnianiu prawideł grammatycznych i mąci nam częstokroć pojęcie rzeczy nader prostych; tę niedogodność wypływającą ztąd, że dwa różne brzmienia oznaczamy wbrew zasadom fonetycznego pisma jedną postacią, dzielim z Rossyanami, którzy nie tylko zgłoskę *ji* jak my, ale i zgłoski *je*, *ja*, *ju* w braku spółgłoski *jot* w piśmie cyrylskiemi pojedynczemi postaciami oznaczają *е*, *я*, *ю*. Jakkolwiek bądź w całej tej kwestyi główną jest rzeczą wiedzieć, że nasze polskie *i* równe jest zgłosce *ji*, sposób pisania pełny i właściwy lub skrócony mniejszej wagi, i można tu tymczasem zostawić wolność w wyborze. Podałem spójkę *i* w pełnej postaci to jest *ji*, chcąc zwrócić uwagę mojego czytelnika, że wszelkie zmiękczenia spółgłosek tematowych powstają nie przez wpływ samogłoski czystej *i* z przydechem cienkim, lecz przez zlanie się w jedno brzmienie spółgłoski *jot* z twardą jakąkolwiek spółgłoską, i to mi p. Ż. poczytał za grzech śmiertelny. Drugim grzechem moim jest, że wprowadzam do mojego systemu koniugacyi spójkę *i* czyli raczej *ji*. Spójkę nazwał czystym urojeniem; czy tylko tę czy wszelką inną spójkę, tego nie raczył zawyrokować! Wszakże kiedy p. Ż. uznaną przez Miklosicza, Schleichera i ks. Pawskiego spójkę *je* policza do końcówki, wnosić mi wypada, że każda spójka według p. Zochowskiego jest czystym urojeniem, a następnie i moja *ji*. Należy mi więc w ogóle

udowodnić, że spójka *je* jest rzeczywistą istotą w konjugacji słowiańskiej a następnie i polskiej; powtóre, że i moja spójka *ji* równa jest spójce *je*, a tak jedna jak druga czyni tę samą posługę w konjugacji wszystkich narzeczy słowiańskich, a następnie i naszego polskiego. Jestto kwestya żywotna mojego systemu, dlatego rozwiode się nad nią obszernie.

Elementarne pewniki umiejętności językowej przez drugich oddawna już dowiedzione i uznane są, iż w ogóle w konjugacji żadna forma słowa nierozwija się z innej formy, ale każda powstaje niezawisłe od drugiej z tematu i końcówki; że wywodzenie jednej formy od drugiej niczym innym nie jest w grammatykach naszych, jak w stariej grammatyce hebrajskiej tak zwane *voces memoriales*, jak tylko środkiem ułatwiać mającym według systemu starych grammatyków praktyczną naukę języka, ale nie ma żadnej umiętnej podstawy. Nie wie p. Ż. albo wiedzieć nie raczy, że istotą mechanizmu konjugacji jest łączenie tematu ze szczątkami zaimków osobistych. Jeżeli więc pomiędzy tematem i końcówką jest samogłoska, czyliż to jest wykroczeniem przeciwko zdrowej logice nazywać takową samogłoskę spójką? Ks. Pawski nazywa ją (zob. poszyt III str. 142 § 75) *соединительная гласная* (spajającą samogłoską) i tak się o niej wyraża: „Знаки лицъ присоединяются къ глагольнымъ корнямъ двумя способами: 1) безъ помощи соединительной гласной *e* (*je*) 2) съ помощію *ея*. (Znamiona osób spajają się ze słownemi tematami dwoma sposoby 1) bez pomocy spajającej samogłoski *e* (*je*), 2) z jej pomocą). Miklosicz i Schleicher pisząc po niemiecku nazywają tę samogłoskę *bindelaut*. Moja więc spójka w ogóle nie jest istotą urojoną przezemnie tylko, ale rzeczą uznaną w ogóle przez najznakomitszych dzisiejszych badaczy mowy słowiańskiej. Tą zaś spójką jest samogłoska jotowana *e* czyli zgłoska *je*, a to jot tej zgłoski jest przyczyną miękczenia spółgłoski ostatniej tematu. P. zaś Ż. zrobił z tej spójki samogłoskę czystą czyli wymawianą z przydechem ciekim i policzył ją z pogwałceniem zasad umiętności do końcówki.

W taki sposób autor *Mówni* w § 172 popełnił dwa grube błędy przeciw zasadom elementarnym umiętności językowej, lekce sobie tu wając już wypowiedzianą przez naszego Mrozińskiego prawdę, że samogłoski żadnego nie wywierają wpływu na spółgłoski w języku naszym, i nie wyjaśnił nam dlaczego ostatnie spółgłoski jego bezcechowych jąder np. *plot*, *bod* w formach np. *pleciemy* *bodziemy* *t d* przechodzą w *é dz*. Może autor nam na to powie: że *pleć* *bodź* są też jego jądrami jak powiada o *będz*, aleć i *plot* *bod* za swoje jądra uznać musi, gdyż inaczej trudno wytłumaczyć jakim sposobem w formach *plotę* *bodę*, *plotą* *bodą* *é i dz* przechodzą w *t i d*; a tak autor nasz ma dwojakie jądra, gdy tymczasem wszyscy inni grammatycy uznać tu muszą jedyny tylko temat to jest *plot*, *bod*, do którego końcówka pierwszej pojedynczej osoby *ę*, i trzeciej mno-

gięj *q ac* imiesłowu łączą się tak jak końcówki *l é szy* bez spółki, we wszelkich zaś innych formach np. pleciemy bodziemy, zmięczyło się *t* w *ć*, *d* w *dź* w skutek spółgłoski jot spółki *je* pośredniczącej pomiędzy tematem *plot*, *bod*, i końcówką *my*, gdyż *ć* powstaje z *tj*, *dź* z *dj*. Autor zaś przypuszczając w końcówce samogłoskę *e* z przydechem ciekim bez *j* nie mającej mocu miękczenia poprzedzającej spółgłoski np. byłem, brat-em, mat-e-k nie wyjaśnia nam przyczyny zachodzącego tu miękczenia spółgłosek tematowych. Powtóre zblądził, że tę samogłoskę *e* nazwał fałszywie końcówką, dlatego jedynie, że jest na końcu w 3iej osobie pojedynczej np. plecie bodzie, w niedostatku bowiem znajomości organizmu języków pokrewnych i pobratymczych sądził o rzeczy z pozoru i powierzchownie: inaczey wiedziałby, że te formy plecie bodzie i t. p. są w polskim języku uszkodzone, zbywa im bowiem zaimka 3iej osoby, którato końcówka w sanskrycie jest *ti*, w łacińskim i ruskim *t*, *тъ*, w starosłowiańskim *тъ*, a więc z powodu uszkodzenia tylko, powodując się jedynie czuciem swojego języka, które uważa w umiejętności ojczystego języka za wystarczające, autor Mówni uznał samogłoskę *e*, dlatego, że stoi na końcu w formach plecie, bodzie za końcówkę, choć ona w gruncie rzeczy nie jest końcówką, ale tylko być może, nie należąc do tematu, spółką, i jest nią rzeczywiście, ale nie czystą, lecz połączoną z jot, to jest *je*. A tak w system konjugacyi według zdania Mikłosicza, Schleichera i ks. Pawskiego i mojego wpływa spółka *je*, którą p. Ż. bardzo nieumiejętnie nazywa końcówką. Ale czy téż czasem to *je* w plecie bodzie i t. p. nie należy do tematu? Bynajmniej, i to z dwu przyczyn należyc nie może. Najpierw, że w słowiańskiej mowie nie masz żadnego tematu kończącego się na *e*; piszemy wprawdzie fonetycznie *mdle-ję siwie-ję* i t. p. nie mając *jat* w naszym abecadle, ale właściwie *mdlъ-ję, siwъ-ję* pisać byśmy etymologicznie powinni, a brak téj samogłoski jak *ъ*, zrodzonej w dziedzinie mowy słowiańskiej w abecadle łacińskim, w którego pętach język nasz rad nie rad chodzić musi, nie powinien badacza mowy ojczystej wyprowadzać w pole. Powtóre, nie należy to *je* do tematu, gdyż wszystkie temata kończące się na samogłoskę, zachowują téż samogłoskę stale, nigdy jéj nie odrzucając zupełnie, jak w łacinie temata *doce-audi* w *do-cere audio*, temata *sensu-die* w *sensu-s die-s*, tak téż w *bi-ję, ku-ję my-ję* i t. p. temata *bi-ku-my-niezmiennemi* zawsze pozostają. Z tego wywodu również wypływa, że zgłoska *je* nie należąc ani do tematu, ani do końcówki, koniecznie spółką być musi.

Wykazawszy tedy dostatecznie istnienie spółki *je* w konjugacyi czyli spajaniu słowiańskiem uznaney przez Mikłosicza, Schleichera i ks. Pawskiego, twierdżę, że prócz niéj jest druga spółka *ji*, którą ciż badacze policzają do ostatniej tematowej np. twierdżąc, że słów chwałę czynię i t. p. tematami są chwali czy-

ni i wyprowadzają formy chwalisz, chwalimy chwalicie, od form jak oni mówią pełnych, chwaliysz, chwalijemy, chwalicie przez przypuszczenie kontrakcyi zgłosek *jije* w *ji* czyli *i*. Tę naukę mistrzów moich bezwarunkowo odrzucam, jakkolwiek nie zaprzeczam istnieniu tematów kończących się na *i*, np. *bi-pi-wi* w *bi-ję pi-ję* w *bi-ję* i tym podobnych. Ale właśnie te temata *bi-pi-wi* jak inne samogłoską zakończone np. *my-ję tru-ję* spajając się ze spójką *je* nigdy się nie kotraują w żadnym narzeczu, na *i* czyli *ji*. Powody dla których odstępuję tu od nauki moich mistrzów są następujące. Najpierw przez wzgląd na formy chwałę chwałą, czynię czynią, chwał czyni i t. p. w których mniemana samogłoska tematowa ostatnia *ji* zginęła, a ginąć takowa nie może i nie powinna (jak to widzimy w *pi-ję piją pij* i t. p. a nie *pię pią* i t. d.) zostało się tylko *j z ji*, które miękczy spółgłoskę twardą tematu *ł n*, boć i nawet sam *p*. Żochowski przyzna, że w formach *czynię czynią* samogłoska *i* nie jest samogłoską ale tylko znakiem miękczenia czyli raczej po mojemu jot. tak, że *chwałę chwałą, czynię czynią* (których według mojego systemu temata są *chwał, czyn*) powstały z *chwałję chwałją, czynję czynją, chwałj czynj*, gdyż *lj* tworzy *l*, a *nj=ń*; powtóre nie ma w starosłowiańskich pomnikach form, *chwaliysz, chwalijem* i t. p. są to formy tylko przez Miklosicza, Schleichera i ks. Pawskiego przypuszczone, a nie są dostatecznie pewnymi przykładami stwierdzone; potrzebie słowa których temata kończą się na *ji* np. *bi-ję, wi-ję pi-ję* i t. p. zamiast *bji-ę, wji-ję, pji-ję*, spajają się w osobie 2giej 3ciej pojedynczej, i pierwszej i drugiej mnogiej jak wszystkie inne słowa tematów samogłoskowych, np. *tru-ję bledn-ję my-ję* i t. p. za pomocą spójki *je*, i w żadnym narzeczu słowiańskim formy: *pijem, pijesz, pijecie* i t. p. nie kotraują się w *pisz, pi, pim picie* (za *pijecie*) co by przecie miejsce mieć mogło, gdyby formy np. *chwalisz chwalim* i t. p. powstały przez kontrakcyą z *chwali-jesz, z chwali-jem* i t. d. Jeżeli powiedzą, że *bię bisz bi bimy bicie* (za *bijecie*) być nie może dlatego, że *bi* jest temat jednozgłoskowy, to na taki zarzut odpowiadam, wszak podług waszej teoryi i temata słów: *tłę ćmie lśnie* i t. p. są też jednozgłoskowe: *tli, ćmi, lśni*, a jednak urabiają formy *tlisz tlim ćmisz ćmim* i t. d. a jednak nie mogą nawzajem urabiać form *tlijesz, tlijem ćmijesz, ćmijem ćmji* i t. p. Czemuz nawzajem nie mogło gdziekolwiek być *pisz* za *pi-jesz pimy picie* za *pijemy pijecie, bię, bisz, bi bimy bicie* za *biję, bijesz bije bijemy bijecie*, a jednak tego w żadnym narzeczu nie znajdziesz. Ztąd jasno się wykazuje, że tematami słów, *biję piję wi-ję* są zgłoski *bi-pi-wi* i t. p. tematami zaś słów: *tłę lśnie ćmie* są spółgłoski *ti-lśn-ćm*, a w formach *tlisz tlicie lśniesz* i t. d. samogłoska *i=ji* jest spójką, w słowach zaś *bijesz bijecie* i t. d. samogłoska *i=ji* jest ostatnią tematową. Że różnica tematów wyżej rzeczonych słów stanowi różnicę w ich konjugacyi. Nadto czytałem w bia-

łoruskich pieśniach formy: budzisz budzić, zamiast budziesz budzić. Możeżto być, ażeby w formach budziesz, budzić, zgłoska *je* była spójką, a w kiałoruskich formach budziesz budzić *ji* powstałe z *je* nie miało być spójką, ale ostatnią tematu? I zaiste porównywanie głosowni języków pokrewnych i pobratymczych uczy, że samogłoski jotowane tak *je* jako *ji* powstają z samogłosek pierwotnych *a* o jotowanych, np. ac-us czeskie *jeh-la* łac *jacio*, *prolicio*, *cano cecini* nasze *jigla* sanskr. *agnis*, ogień *ignis*, *jazda* *jadło* czeskie *jizda* *jidło*, ruskie *oleń* *oziero*, nasze *jelen* *jezioro*, czeskie *kral* *krale* zamiast *kralja*, czeskie *wolani*, łużyckie *wołanjo* nasze *wołanje* (piszę tu *j* zamiast *i* krótkiego, gdyż istotnie wszystkie nasze *i* po spółgłoskach miękkzonych stoją przed samogłoskami zamiast *j*).

Dla naoczego przekonania się, że samogłoski jotowane *je* *ji* płyną w słowiańszczyźnie z jednego źródła to jest z *jo*, zestawię kilka słów z jednakowym tematem np. *t* i *n* z których rząd pierwszy spaja się ze spójką *je*, drugi ze spójką *ji*.

temat

spójka	{	ciagn—ciągnę	ciągniesz	ciągnął	ciągniony	ciągnieni	
je	{	plot—plotę	pleciesz	plótl	pleciony	plecienie.	
je	{	ran	ranie	ranisz	ranił	raniony	ranienie
	{	trat	tracę	tracisz	tracił	tracony	tracenie.

Jak nas formy *ciągniony* *ciągnienie* *ciągniesz*, *pleciony* *plecienie* *pleciesz* uczą, że spójka *je* powstała z pierwotnego *je* tak samo formy *raniony* *ranienie* *ranisz*, *tracony* *tracenie* *tracisz*, uczą nas, że spójka *ji* powstała ze zgłoski *jo*. Przytym uważać należy, iż według praw głosowych tak *c* jako *ć* powstaje ze złączenia dwójki *tj* w jedno brzmienie. W formach zaś *pleciony* *ciągniony* spójka *je* i również w formach *tracony* *raniony* spójka *je* przez wpływ następnej spółgłoski twardej *n*, wróciły do pierwotnej swjej postaci *jo* z której się rozwinęły; takowy podobny zwrot samogłosek *e* i do *o* *u* widzimy i w łacinie *leg-i-t* *leg-u-nt* *τύπεται* *τύπεται* *τοπιονται*. Rzecz to jest nader prosta i naturalna, gdy tymczasem grammatycy przyjmujący tu temat *traci* zamiast *trat*, *rani* zamiast *ran*, okropnie się kręcić muszą, by wytłumaczyć pojawienie się samogłosek *o* *e* w formach *tracony* *traceni* *raniony* *ranieni*: według mojej zaś teoryi jest tu tylko zwrot samogłoski *i*-*ji* do źródła *jo*, z którego ta samogłoska wypłynęła. Nadto wszystkie temata kończące się na samogłoskę, łączą się z końcówką imiesłowu biernego *ny* *ty* bez wszelkiej przemiany tejże samogłoski i bez spójki, np. temata *bi-pi* *wi* *sz-ls-my-ku* *kocha*, urabiają imiesłowy bierne *bi-ty* *pi-ty* *wi-ty* *sia-ny* *la-ny*, *ku-ty* *kochany*, czemuż to nie mówimy *chwality* *ranity* *tracity*, lub *chwaliny* *raniny* *traciny* i t. d. Przyczyna tego jest, iż tu *i* słów *chwałę* *ranie* *tracę* nie jest ostatnią tematu lecz tylko spójką. A tak z tego wyvodu przekonać się może

p. Ż. jeżeli zechcę że moja spółka *ji=i* nie jest czczem urojeniem, pomimo że moi mistrzowie jój nie uznają, i łatwo zgadnąć dlaczego? Opiera się ona ostatecznie na zasadach głosowni długo przezemnie i wszechstronnie na drodze porównawczej badanych. Pierwszy Cegielski wpadł na ślad spółki *ji* w swojej rozprawie o słowie, ja zaś tylko tu dowiodłem jój rzeczywistego istnienia w naszej koniugacyi. Cegielski prócz tego uznawał za spółkę ostatnią tematową samogłoskę *a* i nie dociekl istnienia spółki *je*, co jedno jak i drugie było błędem, jak to wykazałem w mojej krytyce jego rozprawy. Po tém uzasadnieniu dwu spółek *je* i *ji* wypływających z jednego źródła *jo* szematyzuję kilku rzuconemi przykładami system mojej koniugacyi.

Do 1-szej należą jedno-tematowe za spółką *je*.

Dziela się na dwa rzędy.

a) jeden, których ostatnia głoska tematu jest spółgłoska zawsze twarda, prócz nieforemnych: miele kole piele, np. temata tłu-k-sun-dm-tłu-kę tłuczesz (zatłukcesz) tłu-kt tłu-c tłu-czon
 s sunę suniesz sunął sunąć sunięty
 dmę dmiesz dał dąć dęty.

b) drugich samogłoska jakakolwiek, to jest *i y a u* prócz *e i o ę i a*; np. temata *bi-my w-wola-czu* jako to bije my-je kocha'm wola'm za kochaję wołaję, jak mówią kaszubi, czu-je. (Uwaga nie ma tu tematu zakończonego na *jo*!).

Do II-giej koniugacyi należą jedno-tematowe ze spółką *ji* kończące się zawsze *li* na spółgłoskę twardą i spółgłoskę *j*. te się również dziela na dwa rzędy.

a) w których spółka *ji* przed końcówkami, *ł, ć, n* pozostaje nieodmienną np. temat *uk*, uczę uczysz uczył uczyć uczony uczenie zamiast *ukję ukjesz* i t. d.

temat *goj goję gojisz gojił gojić, gojony gojenie,*

(a nie *goł goć* jak sobie wyroił p. Ż.).

b) w których temat przed końcówkami *ł, ć, n*, przez stopniowanie przechodzi w *ł jat'*

np. temat *słych-słyszę* za *słychję, słyszysz* za *słychjesz* *słyszł słyszć* (że *jat'* w polszczyźnie przed twardą spółgłoską w ogóle wymawia się jak *a*, przed miękką jak *e*, toć to pewnie rzecz już wiadoma),

temat *boj—boję bojisz-bojł* kontrahowane w polszczyźnie w *bał, bąc*).

Do III koniugacyi należą słowa dwu tematowe, jeden temat spaja się ze spółką *je*, i kończy się zawsze na spółgłoskę twardą np. *kołat-maz-lam-kołacę mażę łamie, kołacesz mażesz, łamiész* i t. d. chyba że temat przed użyciem *go* do koniugowania, już się był wyrobił na spółgłoskę zmiękczoną *k* np. *kaszł* (kaszel kaszlu) *kaszłę kaszlesz*, albo kończy się *ła j* np. *kra krajesz*, drugi temat téj koniugacyi urabia się z pierwszeg

przez przydanie samogłoski a, i ten temat używa się jak w koniugacyi lwszój temat na a, przed końcówkami ł é n bez spójki, np. kołata-maza-łama-kaszła-kraja-kołatał-mazał-łamał-kaszłał krajał kołatać kołatany, (jak kochał kochać kochany do lwszój). (P. Ż. błędnie tu uczy form kasłał kasłać kasłanie, o czém wyżej).

Otóż jest rys mojego systemu koniugacyi, dla którego całkowitego wyczerpnienia trzeba znać naukę o urabianiu się tematów tak pierwiastkowych jako pochodnych, i nieco głębiej i dokładniej rozwinięte prawa słowiańskiej głosowni, niż je dotąd rozwinięli Mikłosicz, Schleicher i ks. Pawski. Zrozumieź mnie teraz p. Ż. bo dotąd nie rozumiał ani mojej krytyki rozprawy Cegielskiego o słowie, ani mojego systemu koniugacyi, którego ogólne rysy mimochodem podałem już w mojej odezwie do wydawców Słownika Polskiego. Tą razą widzę owo stare przysłowie: „mądrej głowie, dość dwie słowie” nie sprawdziło się na autorze Mówni. W krytyce rozprawy Cegielskiego o słowie obaliłem system koniugacyi ks. Dobrowskiego, jakże tedy miałbym w mojej odezwie do słownikarzy podawać rysy obalonego przeze mnie systemu, który podobało się autorowi danej mi odpowiedzi nazwać rękawicą, ma się rozumieć o sześciu palcach, a jednak tak ciasną że popęka. Nie, uczony mężu! nie rozumiałeś mnie wcale z swego wysokiego piętra, bo moja rękawica, jak tu wykazałem, jest nie o sześciu, ale tylko o trzech palcach; a jednak choć jeszcze ciaśniejsza niż ks. Dobrowskiego, pomieszczę w niej wygodnie wszystkie 10 modeł Mówni. I tak w pierwszym palcu pomieszczę p. Żochowskiego modłę 1szą, 3cią, 4tą, 5tą, 6tą, 9tą, 10tą, w drugim palcu schowam modłę 2gą i 7mą, a w 3cim palcu umieszczę same tylko słowa modły 8mej i zaręczyć mogę uczonój publiczności i p. Ż. naprzód, iż moja rękawica nie pęknie, chociaż w niej wygodnie pomieszczę nietylko wszystkie słowa polskie, ale nadto i wszystkie słowa wszystkich narzeczy słowiańskich.

Tyle o moim systemie koniugacyi; teraz niech mi się godzi autora odpowiedzi zapytać, w którychżeto narzeczach słowiańskich p. Ż. wyczytał formy depcę drepcę dygocę? Nie wie nawet o tém, że pierwsza osoba liczby pojedynczej w jednym tylko narzeczku polskim na ę kończyć się może, a prócz polszczyzny w żadnym inném. Kto takiej grubej niewiadomości pobratymczych narzeczy dał sobie publiczne świadectwo, jak p. Żochowski w Bibliotece Warszawskiej za wrzesień 1856, str. 601, tego nie mogę uznać za właściwego sędziego, czyli formy małopolskie: depcę kołaczę klekoczę i t. d. są żywcem od Rusinów przejęte lub nie; bo tu p. Ż. jest na swoim wysokim piętrze w położeniu Polaka nie znającego języka włoskiego i upierającego się do upadłego, że kapelasz jest wyraz czysto polski. Dziwna to rzecz, że Linde w swoim słowniku te słowa, które

p. Ż. na str. 601 urabia na *czę* kołaczą, prócz drepczę i t. d. przytacza na *czę* np. kołacę, depcę i t. d. Czy to ztąd pochodzi że pomiędzy autorami z których ś. p. Linde czerpał wyrazy i przykłady i formy do swego słownika nie było ani jednego Małopolanina tylko sami Mazurzy i Wielkopolanie! Spółgłoska *t* w polszczyźnie złana w jedno brzmienie że spółgłoską *jot*, tylko pod zasłoną spółgłoski *s* przechodzi w danych okolicznościach w *cz* np. pusty, puszcza, chłosta, chłoszczę, chłoszczesz, i t. d. gdzie zaś tego *s* przy niej nie ma przemienia się *tj* tylko w *c* i *ć* np. tracę (temat) trat tracisz płacę (tem. płat) płacisz, cnota cnocie, a że Rusini *t* nawet i same bez *s* miekczą na *cz* i *tj* (шь) np. мучить мучуть мучу мучень (mące mącisz mącon; коротить корочу, корочень, krócić króćę krócon: щептать, щепчу, шепчеть, щепчеть, szeptać, szepcę, szepcesz, przeto słusznie formy przez niektórych pisarzy, za przykładem może Mówni używane, uważam za ruskie, a nie za czysto polskie. Czemu to p. Żochowski, który każe pisać szepcę, kołacę, nie pisze również tracę traczon jak Rusini трачу трачень, wszak tu obudwu słów temat kończy się na *t* trat jak kłopot-szept, a z jednakowych przyczyn jedne i te same pod jednemi warunkami zwykły następować skutki.

Kończąc moje uwagi nad grammatyczną mądrością p. Żochowskiego winienem dla dobra umiejętności zwrócić uwagę czytelnika jeszcze na jedną różnicę zapatrywania się na umiejętność językową, jaka zachodzi pomiędzy mną i p. Żochowskim. W poszycie kwietn. Bibl. Warsz. powiedziałem, str. 184: „Nie mamy żadnej umiejętnej krytycznie opracowanej grammatyki języka ojczystego, i mieć jej nie będziem pierwój, popóki ci, którzy się tą umiejętnością zajmują, (a takim jest z powołania p. Żochowski) nim zasiądą do pisania grammatyki polskiej, nie zgłębią pierwój dokładnie i nie poznają umiejętnie narzecza staro-słowiańskiego i wszystkich pobratymczych narzeczy” na str. 185: „w Bogu nadzieja, że i pod tym względem u nas będzie lepiej, skoro tylko na tém polu poznamy i uznamy niedostatek i ubóstwo nasze.” Ażebyśmy do tego nader pożądanego celu nie trafili, usiłuje p. Żochowski raz na zawsze zagrodzić nam drogę i na powyższy mój ustęp, taką mi w poszycie wrześnieowym pod N-em 4 odprawę daje. Autor odpowiedzi tak rozprawia: „Znajomość języków pobratymczych rzecz bardzo pożyteczna, ale najgłówniejsza jest znajomość swojego. Język swój można czuć i znać; obcy tylko znać. Gdy uzbrojeni czuciem i znajomością gruntowną swojego języka zrobimy wycieczkę do pobratymców, zbierzemy obfite plony, mogące niekiedy nam być pomocą i potwierdzeniem niejednej prawdy; gdy od nich naprzód naukę zaczniemy, zgromadzimy mnóstwo zapasów do niepotrzebnych i kłótliwych zapasów.”

Inne jest położenie człowieka poprzestającego li na znajomości ojczystego języka, a inne powołanie grammatyka.

Każdy uczony powinien znać języki klassyczne i ile możności języki oświeconych narodów Europy; każdy uczony Słowianin nadto powinien znać i pobratymcze narzecza. Zadaniem przeto np. grammatyka polskiego być powinno, tak uczyć języka ojczystego, ażeby przez tę naukę ułatwić, sprostować drogę do nauki tak języków pobratymczych, jako i obcych. Jakże rozwiąże swoje zadanie grammatyk bez zgłębienia organizmu języków pokrewnych i pobratymczych?—tego nie pojmuję. To rozumowanie więc p. Ż. jest płytkie, szkodliwe i mylne. Nie zgadza się bowiem z prawdą, ażeby obcych języków czuć nie można. Czemużto znający język hebrajski z inném uczuciem czyta pieśń Mojżesza, prorocstwa Izajasza, treny Jeremiasza i t. d. w oryginale, aniżeli w tłumaczeniu Septuaginty, lub Vulgaty, a nawet w tłumaczeniu Wujka, lub Biblii gdańskiej. Znający dokładnie język grecki i łaciński woli zapewne czytać Iliadę, Odyssę, Eneidę i t. d. w oryginale niż w najlepszym tłumaczeniu. Czemuż to?—bo i do poczucia piękności języków obcych człowiek przez naukę i wprawę dojść może, a p. Ż. temu zaprzecza. Lecz nie zapuszczając się zbyt daleko, sam p. Żochowski żywym jest dowodem, jak jego powyższe rozumowanie jest płytkie i szkodliwe. Pracował on jak sam powiada w przedmowie do swój Mówni przez lat 18, pod wpływem czucia, i jak mu się zdawało gruntownej znajomości swojego języka. I cóż zbudował?—oto drabinę, po której wstąpił na swoje piętro, z którego spogląda z pogardą na uczonych stojących na poziomym partezie. Owocem jego prac jestto owa Mównia z niedorzeczną i wcale niepotrzebną nową terminologią grammatyczną dziwnego nabożeństwa, z owemi jądrami, miotami, słowami konanemi, miotowemi, przedmiotowemi, przedmiotmiotowemi, jednotrójnemi i t. d. (zob. str. 92 Mówni), i z podwójnemi jotami i z kasłaniem. Co tam jest dobrego, to są rzeczy stare i dawno już znane, a co nowego, to płytkie, urojone i na nic nieprzydatne. Taką nowością jest system jego nowy koniugacyi z 10-ciu modłami, na przeciwnych umiejętności językowej urojeniach oparty i sam z sobą sprzeczny, jak to wykazałem. Nie jestże to żywy dowód, że bez umiejętnej i gruntownej znajomości organizmu języków spokrewnionych i pobratymczych z pożytkiem umiejętnej grammatyki języka polskiego pisać już nie można. Dowiódł nam przed wszystkiemi p. Ż. przez rozliczne w jego Mówni ogłoszone grammatyczne brednie, że dzisiaj nie ma innej drogi, dla chcącego oczyścić umiejętność językową w naszym narodzie od podobnych na przyszłość niedorzeczności, jak tylko wziąć się wprzód do zgłębiania organizmu spokrewnionych i pobratymczych języków, nim się weźmie pióro do pisania grammatyki polskiej. Któż w przyszłości uwierzy, że Mównia p. Żochowskiego wyszła na świat w Warszawie na początku drugiej połowy XIX stulecia w obec tak wielkiego postępu umiejętności językowej na Zachodzie, a nawet u pobratymców? Ona to właśnie wraz z rzezoną

odpowiedzią, jest pieczęcią i koroną wszelkich naszych grammatycznych niedorzeczności i anachronizmem XIX wieku. Skoro wyjdzie pierwsza grammatyka polska porównawcza, kto jąkolwiek napisze, wtedy też Mównia p. Żochowskiego pójdzie ad acta. Dotąd nie wychodzi, tym lepiej dla jej autora, może sobie tymczasem z zadowoleniem dumnie spoglądać ze swego piętra na pracowników parterowych. Ale przyjdzie czas, kiedy autor Mówni spadnie ze swego tronu, i będzie musiał zająć swe miejsce pomiędzy uczonemi poniżej parteru. Odpowiedź jego na moje uwagi, nad sposobem wydawania Słowników polskich, jest niczém więcej, jak tylko głosem trwogi, aby nie spaść ze swego piętra za pojawieniem się u nas grammatyki porównawczej.

Cegielski pierwszy u nas ogłosił piosnkę przymawiania przez cudzoziemców i pobratymców już dawno nuconą; aleśmy jej nie słyszeli. Powtarza ją Cegielski, a za nim Malinowski. Pan zaś Żochowski zamiast uderzyć się w piersi, jeszcze się gniewa na tych, którzy się odważają na wypowiedzenie swojemu narodowi istotnej prawdy. Coż ztąd? oto się wykazuje potrzeba ciągłego powtarzania téj tak nader najprzyjemnej uszom p. Żochowskiego piosenki, dopóki nie będzie lepiej. Dlatego to pan Żochowski tak szyderczo przymawia p. Cegielskiemu; godziż to się? Nam ubolewać raczej należy, że nieprzyjazny nam zbieg okoliczności wydarł nam tak światłego i uzdolnionego męża, jakim jest p. Cegielski z dziedziny naukowej, na inne pole działania. Pomimo tego, że jak błędnie sądzi autor Mówni, porzucił pracę zawiódłszy się na szukaniu skarbów u Dobrowskiego, poświęca teraz swe myślenie bardzo ciężkiej materji, której wagą, jak się wyraża autor, same prawie centnary: jednakże dla cnót jego obywatelskich, dla poświęceń jego w niejednym względzie dobru powszechnemu czujemy dla niego wszyscy, którzy go bliżej znamy powszechny szacunek i życzymy autorowi Mówni, aby sobie na podobny zasłużyć umiał, i pamiętał o tém, że każdy niezasłużony pocisk ubliżający osobistości takiego męża, jakim jest p. Cegielski, przyjmujemy tu nad Wartą z słuszném oburzeniem.

Komorniki pod Poznaniem,
d. 17 października 1856 r.

Ks. Fran. Xaw. Malinowski.

Hieronim Radziejowski i Mikołaj Zebrzydowski.

Niewinny mój artykułik o archiwum tajném królewickim, umieszczony w poszycie wrześnieowym Biblioteki Warszawskiej, wywołał dwie reklamacye w obronie tyluż ludzi, których nieszczęsnej pamięci zlorzezyło już kilka pokoleń pol-

skich, złorzeczą dzisiejsze i złorzeczyć będą przyszłe. Temi ludźmi są: Hieronim Radziejowski i Mikołaj Żebrzydowski. Za pierwszym podniósł głos w numerze 173 Kroniki Warszawskiej na rok bieżący znakomity badacz dziejów ojczystych, p. Julian Bartoszewicz, w artykule pod napisem: *O charakterze Radziejowskiego*. Główną treścią tego artykułu jest, że Jan Kazimierz, nie zaś Radziejowski winien jest temu wszystkiemu, co ostatni nabroił, że Radziejowski palając nienawiścią ku Janowi Kazimierzowi, jego a nie Rzeczpospolitą chciał zgubić; że powróciwszy z Szwedami do Polski, działał w sposób zupełnie prawny: że Szwedom poddała się szlachta wielkopolska przez konfederacyą pod Ujściem; że Karol Gustaw nie zrozumiał swego położenia i dlatego zginął: myślał, że kraj zawojował, a szlachta myślała, że ją przyszedł uwolnić od króla: że nareszcie Radziejowski w czasie poselstwa swego do Porty stanął na wysokości swego stanowiska. Tyle p. Bartoszewicz powiedział na obronę Radziejowskiego; daleko więcej o mnie i o sobie samym. Mnie wytyka, że tak rzeczy znajduję, jak je czarno na białym wyczytam, to jest innemi słowy, że wierzę wszystkiemu, co jest drukowanym, chociażby nawet w dawnym kalendarzu krakowskim; że byłbym w szczególnym kłopotcie, gdybym o jakiej postaci historycznej, nieukazującej się w świetle dodatniem, znalazł przypadkiem jakie materyały dla niej pochlebne; że mam swoje dane z góry sympatye, lub antypatye historyczne: nareszcie, że p. Bartoszewicz rzeczy kombinuje i na sprawę Radziejowskiego z wyższego zapatruje się stanowiska. Na ten nowy a zupełnie mylny pogląd p. Bartoszewicza, na sprawę Radziejowskiego, widzę się przymuszonym odpowiedzieć w własnej i prawdy historycznej obronie.

Nigdy nie zaprzeczałem, aby Radziejowski nie doznał jakiejś krzywdy od Jana Kazimierza, owszem w artykule moim o archiwum tajnym w Królewcu powiedziałem wyraźnie, że Radziejowski mszcząc się za krzywdę wyrządzoną mu od Jana Kazimierza, nikczemnik podburzał obce narody przeciw Polsce. Ale nie krzywda wyrządzona mu przez Jana Kazimierza, (którą zresztą Jan Kazimierz chciał sownie nagrodzić, dając mu za pieczęć mniejszą pierwsze krzesło świeckie senatorskie, to jest: kasztelanią krakowską) wypędziła go z kraju, tylko własna burzliwość charakteru. Wina zatem, lub niewinność Jana Kazimierza względem Radziejowskiego wychodzi tu zupełnie, jak prawnicy mówią, *ex nexu* sprawy, bez względu na to, czy Radziejowski miał jaką urazę do króla, lub nie, bez względu na to, którakolwiek tam z kobiet Ludwika Marya, czy też Kazanowska, albo raczej Radziejowska dała powód do nieporozumienia króla z podkanclerzym, bo nie to nieporozumienie z królem, ale co innego zrobiło Radziejowskiego zdrajcą kraju. Faktem jest niezaprzeczonym i każdemu znanym, że Radziejowski dopuścił się pod bokiem królewskim zbrodni, napadłszy zbrojnie na mieszkanie swojej żony i zamordowawszy w tym gwałcie kilkun-

ludzi; że sąd marszałkowski wydał nań wyrok śmierci, a ponieważ nie był przytomnym, wyrok infamii. Lubo wyrok sądu marszałkowskiego niezupełnie był sprawiedliwym, bo stronę przeciwną, która równie zawiniła, zbyt łagodnie ukarał, (wszakże i sąd marszałkowski musiał mieć jakieś prawne motywa do ukarania Radziejowskiego surowiej niż żonę jego i brata jej Służkę), to wszelako niesprawiedliwość ta nie upoważniała go bynajmniej do podniesienia ręki na własną ojczyznę. Gdyby w sercu jego tlała była choćby najmniejsza iskierka poczciwości i cnoty obywatelskiej, byłby się poddał bez szemrania wyrokowi sądu marszałkowskiego, starając się skutki jego osłabić, albo też całkiem zniweczyć na drogach prawnych, (co też i robił), których miał mnóstwo przed sobą, a gdy go te drogi do pożądanego celu nie doprowadziły, mógł naprawę krzywdy swojej, jeżeli kara za występki krzywdą nazywać się może, zostawić czasowi, a nie dać się unieść na bezdroża namiętności, która go już w kraju, stróża z obowiązku i piastuna praw i przestrzegacza porządku, do krwawych bezpraw popchnęła. Ale zamiast tego, cóż on robi? Udaje się do Szwecyi, przyjmowany od królowej Krystyny, jakoby ambasador potężnego, z Szwecyą sprzymierzonego narodu. W publicznej kilkugodzinnej audyencji, wykrywa królowej słabość Polski, zachęca do podniesienia wojny przeciw własnej ojczyźnie, stawiając Szwedom przed oczy największą łatwość oderwania na zawsze Inflant od Polski. Niedosć na tém: z Sztokolmu podburza przeciw Polsce kozaków. W liście przejętym do Chmielnickiego przyznaje się sam do zdrady, że po zwycięztwie pod Beresteczkiem, nakłonił pospolite ruszenie, aby pokonanych Zaporozców nie ścigało i do reszty nie gnębiło. Zachęca go do wkroczenia z Tatarami, Siedmiogrodzianami i innemi do Polski. Za przejęte listy do kozaków, sejm 1652 roku uznał go i ogłosił zdrajcą kraju (1).

Kto zatem Szwedów pobudzał do oderwania od Polski Inflant, kto chciał na nią całe brzemie nowej wojny kozackiej,

(1) Pan Bartoszewicz zdaje się nie wierzyć w autentyczność przejętych listów Radziejowskiego do kozaków. Ależ pokazywane były publicznie na sejmie 1652 r. posłom i senatorom, którzy zapewne podpis podkanclerzego dobrze znali. Radziejowski też w osobnym manifeste, nie mogąc zaprzeć się ręki swojej w podpisie, ucieka się do zwyczajnego zbrodniarzom wykrętu, utrzymując, że dworzaniego swemu Jasińskiemu dał blankiety z podpisem swoim, że w znalezione te przy Jasińskim blankiety wpisano zmyśloną korespondencyą jego z kozakami. Jestto nawet głupio pomysłany wykręt, któremu nikt wierzyć nie mógł, bo cóż dawał Jasińskiemu blankiety z podpisem swoim, który zaufania tego łatwo mógł nadużyć na szkodę swego pryncypała? Czemuż sam Jasiński nie reklamował, nie poszedł do jakiego grodu z protestacyą, że mu odebrano blankiety z podpisem Radziejowskiego, których nadużyć na szkodę ostatniego łatwo każdemu było?

tatarskiej i t. p. zwać; kto elektorowi brandeburskiemu odstępował część Prus królewskich i Wielkopolski, byle tylko wojskiem swoim te prowincye zajął i do wzniesienia rozruchów w kraju dopomógł, ten zaiste nietylko Jana Kazimierza, ale i Rzeczpospolitą chciał zgubić, ten był prostym zdrajcą kraju, pomimo zręcznej obrony jego przez pana Bartoszewicza w rozbiórce historyi Rudawskiego, pomimo że p. Bartoszewicz usprawiedliwia zbrodnicze kroki Radziejowskiego namiętnością i usiłuje wlać w duszę jego najszlachetniejsze uczucia i wysnuć z głowy jego myśl zbawienną nowój polityki, zrobienia Polski z Szwecyą państwem federacyjném pod rządami Karola Gustawa. Pomimo tego wszystkiego, powtarzam, Radziejowski był niktzemnikiem, podłym zdrajcą kraju, a w pomysłach p. Bartoszewicza „*O charakterze Radziejowskiego*” jest więcej poezyi, niż prawdy historycznej. Ludzi nie sędzimy z tego, co w głębi duszy swojej ukrywają, lub ukrywać mogą, bo w tę otchłań i najbystrzejszy wzrok badacza przedrzeć się nie zdoła, ale z jawnych lub skrytych ich czynów. Że w głowie Radziejowskiego błysnąć mogła jaka myśl szczęśliwa, zdolna zbawić Polskę, któż się o to z p. Bartoszewiczem sprzeczać będzie? Ale cóż znaczy myśl, zamiar dobry Radziejowskiego, jeżeli je kiedy względem Polski miał, gdy czyny jego, jawne i skryte, były téj myśli, temu zamiarowi zupełnie przeciwne? Usprawiedliwiać téż czyny ludzkie namiętnością, jest niebezpiecznie, bo w takim razie nie masz cnoty, nie masz zbrodni. I tego, co na publicznych drogach rozbija, można uniewinniać namiętnością.

Z wojskiem szwedzkim, po kilku latach tułactwa i intrygowania przeciw Polsce na rozmaitych dworach zagranicznych, wrócił Radziejowski do Polski i działał, jak p. Bartoszewicz twierdzi, zupełnie w sposobie prawnym. Zobaczmy, jakato była ta *prawność* jego. Najsamprzód, gdy przez sejm 1652 roku, a zatém z woli całego narodu, którego reprezentantami był senat i posłowie, ogłoszonym został za zdrajcę kraju, gdy infamia z niego zdjętą nie była, czyż mógł (choćby to wszystko względem niego największą niesprawiedliwością było) *prawnie* do kraju wracać? Cóż powiedzieć o jego *prawném, legalném* postępowaniu w czasie najścia Szwedów na Polskę? Szwedzi wkroczyli do Wielkiéjpolki po nieprzyjacielsku, zaczawszy kroki wojenne od zrabowania Czaplinka i obsadzenia starostwa drahimskiego. Na spotkanie ich wyszło pod Ujście pospolite ruszenie dwóch województw wielkopolskich, zachodząc im drogę i zamierzając dać nieprzyjacielowi odpór, i już rozpoczęły się utarczki, (a zatém szlachta o uwolnieniu się od Jana Kazimierza nie myślała), gdy Radziejowski przeciąga ku swoim zamiarom Opalińskiego, wojewodę poznańskiego i kilku możnowładców. W rządzie dawnym polskim, na pozór szlachecko-demokratycznym, a w istocie oligarchicznym, dosyć było mieć po swojej myśli kilku możnowładców, a gmin szlachty szedł na

oślepił ich głosem. Tak się stało i pod Ujściem. Opaliński, Grudziński, Potulicki i kilku innych, przerobieni przez Radziejowskiego, nakłonili szlachtę wielkopolską do zaniechania kroków nieprzyjacielskich przeciw Szwedom i zawarli kapitulacyę z Witembergiem, której opis z współczesnego rękopismu umieściłem w Przyjacielu ludu na rok 1840. Kapitulacyę tą zastrzegła sobie szlachta wielkopolska między innymi: wolność religijną, zachowanie trybunału i sądów grodzkich, potwierdzenie wszelkich prerogatyw szlacheckich i „*jeźliby z królem terażniejszym przyszło do bitwy, żeby w tém zaniechano stanu szlacheckiego.*” Szlachta więc ta nawet w swoim oblężeniu chwilowem wzbraśniała się walczyć przeciw Janowi Kazimierzowi: od którego, podług p. Bartoszewicza, chciała się uwolnić za pomocą Karola Gustawa. P. Bartoszewicz nadaje tej kapitulacyi ujskiej tytuł, konfederacyi i twierdzi że uprawniła kroki Radziejowskiego w wojnie szwedzkiej. O konfederacye nie było wprawdzie trudno w dawniej Polsce, bo gdyby nawet jakiemu możnowładcy przyszło było do głowy zawiązać konfederacyę przeciw Panu Bogu, znalazłby był tysiące w niej uczestników pomiędzy ciemną, hulacką i próżniacką szlachtą, której żywiołem były zaburzenia krajowe. Ale szlachta wielkopolska nie zawiązała bynajmniej konfederacyi pod Ujściem, zawarła tylko prostą kapitulacyę z Witembergiem, częścią namówiona do tego od Radziejowskiego, częścią też z potrzeby, bo się liczniejszemu i bitniejszemu nieprzyjacielowi w otwartem polu oprzeć nie mogła: jednakże gdyby intrygi Radziejowskiego nie stanęły były temu na przeszkodzie, mogła się obronną ręką cofać do obwarowanego Poznania, a Witemberg nie byłby śmiały w 17000 wojska posuwać się w głąb Polski. Przypuśćmy jednak, że kapitulacya ujska była konfederacyę przeciw Janowi Kazimierzowi podniesioną, a Karol Gustaw, jak się p. Bartoszewicz wyraża, jej marszałkiem generalnym ogłoszony. Czyżto dwa województwa, które obranego przez siebie króla haniębnie i bez najmniejszej przyczyny opuściły, reprezentowały cały naród? Czyż mogły legalizować zdradę Radziejowskiego i wyciskać znamię prawości i prawności na nowych jego intrygach w czasie wojny szwedzkiej? P. Bartoszewicz mówi dalej, że Karol Gustaw nie zrozumiał swego położenia: myślał, że kraj zawojuwał, a szlachta myślała, że ją przyszedł uwolnić od króla. Karol Gustaw znał dokładnie swoje położenie. Nie marzyło mu się nigdy zostać królem polskim, bo wiedział dobrze, że ani Polacy, ani też sąsiedzi, zazdrośni i obawiający się potęgi szwedzkiej nie dozwoliliby mu byli długo popasać w Polsce. Chodziło mu tylko o zdobycie niektórych prowincyi na Polsce i utrzymanie się przy nich. Dlatego też wkraczając do Polski z wojskiem swoim, zawarł tajemny traktat z elektorem brandeburskim o rozbiór Polski. Traktatu tego kopię mam przed sobą: przypuścił do niego później i Rakoczego i innych. Co do szla-

chty polskiej, ta wyjąwszy kilku malkontentów, nie myślała się nigdy z pod panowania Jana Kazimierza wyłamywać. Jakizby też mogła była mieć do tego powód? Czyż tak troskliwa o swoje swobody, upatrywała taką ich rękojmią w Karolu Gustawie, wychowanym w zasadach rządu despotycznego, mającym na swoje skinienie kilkadziesiąt tysięcy bitnego wojska szwedzkiego: Karolu Gustawie, który się już poprzednio targnął na swobody szlachty szwedzkiej, jaką miała w Janie Kazimierzu, nawykłym do jej swawoli, niemającym w ręku najmniejszego sposobu do poskromienia tej swawoli? Czyż szlachta chcąc się pozbyć tak bezwładnego króla, jakim był Jan Kazimierz, potrzebowała była czekać z tą operacją na wtargnienie Szwedów do Polski? Że opuściła Jana Kazimierza pod Ujściem, zrobiła to nie z żadnego planu, żadnej rachuby, lub widoków politycznych, ale z namowy, z wrodzonej sobie lekkomyślności, z zniewieściałości, (której poprzednio w wojnie z kozakami pod Piławcami dała dowody), nareszcie, że się dobitnie wyrażę, z głupoty. Z tej jej głupoty korzystał Radziejowski, przebiegły intrygant (1), (podobnie jak syn jego kardynał Michał Ra-

(1) Że w opinii współczesnych Radziejowski uchodził za wielkiego intryganta, mam dowód w rękopismie sporym z roku 1651, w którym znajdują się paszkwile na króla, królową, Ossolińskiego i innych dygnitarzy, a nawet na biskupów ówczesnych. Paszkwil na Radziejowskiego tak brzmi:

„Chytry, mądry, lecz przecie wiedz nie Ulissesie,
 Jak niewstydnie bezchwalny twój się humor niesie.
 Ej, jeźliś mądry, jeźliś dowcipny cokolwiek
 Radzęć, weź przed się rozum, bądź mądry na swój wiek.
 Obaczysz, gdy nie widzisz, co chodzi za tobą:
 Nieszczęście w stopę szczęścia stanowią się z sobą.
 Jakże to ty rozsądzisz szalbierzu bezecny
 Mądrością przewrotności, coś nie długowieczny?
 Radziejowskim nazwanym zostajesz od rady,
 A twe w ojczyźnie rady są złośliwe zdrady.
 Dank sam dajesz nad inszych dowcipowi swemu,
 Złośliwie go zażywasz, bowiem przewrotnemu
 Językowi dodajesz pokarmu chytrości.
 Ej radź, co radź z onej enoty, a nie z przewrotności!
 Jak możesz żyć w ojczyźnie dobrym, coś złośliwie
 Obrócił rzeczy opak, że tak niecnotliwie
 Wyjąłeś panu z ręki sławy dokonczenie,
 Szeptem cne pospolite wzruszając ruszenie.
 Któż taki, żeby nie rzekł, że jesteś bezecny
 I nie życzył: byś nie był zdrajcą długowieczny”.

Wreszcie domysł pana Bartoszewicza, iż nie Jan Kazimierz z Radziejowską, ale przeciwnie Ludwika Marya z Radziejowskim miała poro-

dziejowski), aby nasycić zemstę swoją ku Janowi Kazimierzowi. Że to odstąpienie szlachty od króla było sprawką Radziejowskiego i kilku innych podobnych jemu intrygantów, wiedzieli dobrze o tém współcześni, a związek wojska litewskiego dnia 2 lutego w Horoszczy 1657 r. zawarty, tak ich w manifestie swoim wytyka: „W oczach to było nietylko całej ojczyzny naszej od nieprzyjaciół zewsząd uciśnionej i od niechętnych opuszczonej synów, ale świat wszystek zdumiony patrzył, jako przeciwko Bogu i ojczyźnie i cnocie w koncepcie głów niezycziwych i na pospolity urodzonych upadek uformowane praktyki zalterowały w sercu poddanych haereditaryum ku panu condorem i subtelną radą ad eam indignitatem złośliwych nakloniły synów, że pierwszym i niesłychanym w ojczyźnie naszej przykładem obcego pana przyjąwszy protekcyą przeciwko swęj własnej, głosem wolnym obranej i zgodą obojga w tém państwie narodów ukoronowanej głowie jad wszelakiej niechęci wywarli i na wydurcie dostojenstwa Majestatu Pańskiego budząc w sobie i zapamiętałych adherentach szaloną ochotę ręce sprzysiężone niesli.” Ale pozwólmy na to, że szlachta chciała się pozbyć Jana Kazimierza za pomocą Szwedów; że Karol Gustaw zrozumiał swój interes, przelamał wszelkie trudności, przeszkody i zawady, jakie się nawijały na ciernistej drodze do tronu polskiego i ogłosił się królem polskim. Cóżby naród na tém zyskał?. Czy tryumf Radziejowskiego, jego zemsta dokonana na Janie Kazimierzu byłyby korzyścią dla kraju?. Złe nie leżało w królach, ale w instytucjach narodowych, w obyczajach, w charakterze i niskim stopniu oświaty szlachty. Czyby panował Jan Kazimierz, czy Karol Gustaw (który zresztą nie był bynajmniej gieniuszem), ten sam byłby nierząd, ci sami byłiby Radziejowscy, te same Montuy, te same konfederacye wojskowe, ten sam stan chorobliwy Rzeczypospolitej. O tém mógł nie wiedzieć prosty szlachcic powiatowy i mógł sobie

zumienia miłosne, zdaje się potwierdzać jeden z kilku paszkwilów na Ludwikę Maryą, w wspomnionym rękopismie z roku 1651, umieszczony. Oto jest ten paszkwil:

„Paszkwil na królową”.

„W klasztor się cnych konwertytek

Dwór Radziejowskiego mieni.

Ztąd k...m. duszny pożytek,

A sama (królowa) w nim ma być ksieni.

Konwertytek Krolasa klasztor założyła,

Żeby tym do pokuty k...m. posłużyła.

Do konwentu poprawdzie Sieniutę dać może,

Bo on pewnie nieborak miłować pomoże”.

Ale tém winniejszym byłby w takim razie Radziejowski, bo skrzywdziwszy Jana Kazimierza, jeszcze zemstę przeciwko skrzywdzonemu przez siebie monarsze wywierał.

w zmianie osoby króla obiecywać lepsze dla siebie i kraju czasy, ale Radziejowski, podkanclerzy, człowiek na wiek, w którym żył z wysokiem ukształceniem naukowym i politycznym (między innymi posiadał dokładnie język francuzki, w którym w Paryżu Linażowi (Linage) de Vauciennes opowiadał o wojnie kozackiej za czasów Jana Kazimierza); znał wszelkie téj zmiany rządu następstwa. Nakoniec Radziejowski chcąc chorobę Rzeczypospolitej, sprowadzeniem Szwedów do Polski i strąceniem Jana Kazimierza z tronu uleczyć, wiedział dobrze, że lekarstwo gorsze było od samej choroby, bo z poprzednich wojen szwedzkich nie tajemnym mu było postępowanie Szwedów w Prusach i w Inflantach, bo wiedział, że Jan Kazimierz spokrewniony z domem rakuskim, krzywem okiem na zabory Szwedów patrzącym, nie dałby się bez okropnej wojny domowej wyzuć z tronu.

Przywrócony później do łaski królewskiej i do utraconych praw obywatelskich, użytym został Radziejowski do poselstwa do W. Porty. I to poselstwo nazywa pan Bartoszewicz, nie wiedząc na jakiej zasadzie, wysokością jego stanowiska. Radziejowski zawarł bowiem na tém poselstwie uciążliwy dla Polski pokój z Turcyą. Polska zrzekła się w nim zwierzchności nad kozakami, którzy się Porcie poddali, i obowiązała się wypowiedzieć wojnę Moskwie, nie będąc do niej przygotowaną, potrzebując po takim zniszczeniu kraju, jakiego od roku 1649—1660 doznała, długoletniego wytchnienia. To, co na tém poselstwie wycierpiał, nie było nic nadzwyczajnego. Wtrącanie posłów polskich przez Portę do więzienia, nie było nowiną. Każdy wybierający się na to poselstwo, był przygotowanym na największe przykrości i niebezpieczeństwa, a jednakże ubiegano się o ten zaszczyt usłużenia ojczyźnie, i Radziejowski przyjąwszy poselstwo do Turcyi, nie stanął na wysokości stanowiska obywatelskiego, tylko Jan Kazimierz i rzeczpospolita, zniżyli się powierzając takiemu człowiekowi tak ważną missyą. Nie stał on przecież bynajmniej tém poselstwem z siebie plamy zdrady kraju, która żywot jego skalala.

Tyle o Radziejowskim. Teraz nieco o sobie i panu Bartoszewiczu. Ja poczytywałem i poczytuję Radziejowskiego z wszystkimi historykami naszymi, dawniejszemi, i nowszemi za prostego zdrajcę kraju, za nikczemnika, który dla dogodzenia namiętności swojej pograżył kraj w otchłani nieszczęść i klęsk z których się już nigdy nie mógł zupełnie podźwignąć. Wolno jest przecież panu Bartoszewiczowi być innego o Radziejowskim zdania, wolno mu jest uważać go za niewinnego (1), za

(1) Zadziwienia mego zataić nie mogę, że pan Bartoszewicz w rozbiórce przekładu historyi Rudawskiego, mówi: „Radziejowski z Rudawskiego pokazuje się wcale niewinnym”. Rudawski nie uważa bynajmniej Radziejowskiego co do zdrady kraju za niewinnego. Owszem, prócz

działającego legalnie, prawnie, ale niegodzi mu się obierać z rozsądku człowieka. który na tém samym polu literatury ojczystej co on, z tą tylko różnicą, że daleko -dawniej, pracuje, który także stara się rzeczy kombinować, wiele rękopismów z *poddaszy* zebrał, a z daleko większej liczby notatki porobił; który nareszcie w archiwach tajnych zagranicznych postaci nasze historyczne innemi znajdował jak się przedstawiają w historykach lub rękopismach poddaszanych. Pan Bartoszewicz zarzuca mi, że rzeczy znajduję tak, jak je czarno na białem gdzie wyczytam. Nie przeczę temu bynajmniej. Upoetyzować faktów, wnikać w myśli skryte działaczy tych faktów, nie umiem: za najwyższe stańowisko, do jakiego się historyk wznieść może, uważam czystą, niezmaconą żadnemi domysłami bezwzględną prawdę. Pan Bartoszewicz mówi dalej, żebym był w szczególnym kłopotcie, gdybym o jakiej postaci historycznej, nieukazującej się w świetle dodatniem, znalazł jakie pochlebne dla niej świadectwo. Zaręczam panu Bartoszewiczowi, że miawszy w ręku kilkaset listów najwybitniejszych postaci naszych historycznych, pisanych do Owerbeków, Skultetów, Flemmingów i t. p. które mi się ukazywały w świetle dodatniem lub ujemnem, a zawsze prawdziwem. bo bez masek, któremi się okrywały na sejmach, sejmikach, w kołach, w życiu publicznem i prywatnem, nie miałem najmniejszego kłopotu uformować sobie natychmiast zdanie trafne o ich charakterze, o ich moralnej wartości, i sympatyje lub antypatyje moje, jakie na ławkach szkolnych ku tym postaciom historycznym powziąłem, zmieniałem według świadectwa, jakie same, i własnoręcznie w listach skrytych do nieprzyjaciół kraju o charakterze swoim składały. Wyznać muszę otwarcie, że nieraz doznałem bardzo przykrego uczucia, gdy postać jaka historyczna, o której zacności charakteru w szkołach mi niegdyś prawiono, sama własną ręką zdarła z oczu moich zasłonę ukrywającą jej podłości, i przymusiła mię westchnąć mimowolnie z Owidiuszem: *Heu mihi, cur vidi.*

Za Zebrzydowskim ujęto się w doniesieniach literackich Biblioteki Warszawskiej w numerze październikowym, zarazem utrzymując, że znalazły się dowody nieskazitelnej prawości charakteru Zebrzydowskiego, którego tylko partyzanci Zygmunta III ohydnyim imieniem zdrajcy kraju napiętnowali. Życzyłbym z całego serca, żeby Zebrzydowskiego do utraconej czci histo-

w wielu innych miejscach, tak się wyraża o nim, w tomie II strona 4 przekładu polskiego: „Zdziwi się potomność nad tym *ohydnym buntem*, przez czterech najznakomitszych panów polskich dokonany. Mniejby bolesnem było, gdyby sprawczynią ruchu stała się czorń, ciągła, niesprawiedliwą i niewolniczą pracą nekana, lub gdyby bitwę wydała drobna i uboższa szlachta; lecz *winowajcy* byli to Radziwiłł, Radziejowski, Grudziński, Opaliński, wojewodowie i senatorowie.

rycznej przywrócić można, boby karty dziejów naszych mniej jedno nazwisko plamiło; ale niestety, najzaciętsi nawet nieprzyjaciele Zygmunta III nie potrafią buntu Zebrzydowskiego usprawiedliwić. I. Zebrzydowski takim samym był zbrodniem stanu, jak Radziejowski, z tą tylko różnicą, że ten prywatnej krzywdy swojej, prawdziwej czy urojonej, szukał mścicieli w obcych narodach, ów wciągał do swojej zemsty, aby nasycić własną dumę upokorzeniem Zygmunta III, współobywateli. Zebrzydowski przewyższa jeszcze Radziejowskiego w zbrodni tém, że on pierwszy dał zgubny przykład wchodzenia w zapasy zbrojne z władzą wykonawczą. Bez niego nie byłoby może Rodziejowskich, Montu, Ujściów, konfederacyj tarnogrodzkich i ich gwarantów, i t. p. bo szanowanie praw i form legalnych, lub ich pogarda, tak się odziedziczają, jak inne cnoty lub wady przodków.

Rokosz Zebrzydowskiego znanym jest w najdrobniejszych szczegółach z Łubieńskiego, Piaseckiego, Cillego, Naruszewicza (w życiu Chodkiewicza), Niemcewicza i innych. Pobudką do niego była zemsta. „Zdarzyło się zatem, mówi Piasecki, którego zapewne nikt o predylekcyą ku Zygmuntowi III nie obwini, że dom na zamku przyległy pałacowi królewskiemu, który wprawdzie do króla należał, ale który oddawna starostowie zamku krakowskiego zamieszkiwali, a teraz Mikołaj Zebrzydowski wojewoda krakowski, tegoż zamku starosta zamieszkiwał, król dla przyjęcia gości weselnych zająć kazał, wyrzuciwszy z niego wojewodę. Co tego tak ubodło, iż własną krzywdę połączył z krzywdami publicznymi, tylekroć na sejmach poruszaniem, pobudziwszy wszystkie stany królestwa do ich usunięcia, zastarzałym obyczajem narodu, w którym rzadko kto bierze na siebie obronę sprawy rzeczypospolitej przeciw królowi, gdy nie jest do tego własną urazą pobudzonym.” Inni historycy przydają jeszcze do tego, że Zebrzydowski zniewolony ustąpić z domu miał wyrzec: „Dobrze! ja z kamienicy, ale Szwed z kraju!” Czy mu się te wyrazy z ust wymknęły, czy téż nie, mniejsza o to, dość, że uniesiony niczém nieuhamowaną żądzą zemsty, bez zastanowienia się nad tém, jakie klęski na kraj sprowadzi przekroczeniem krajowych praw, które prywatnym, chociaż i senatorem, zwoływać zjazdów publicznych zabraniały, wydawał uniwersały, składał zjazdy, nareszcie zawiązał rokosz otwarty przeciw Zygmuntowi III. Szlachta łącząca się z tym rokoszem, nie wiedziała nawet o co chodziło. W kole bowiem dnia 6 czerwca 1606 pod Lublinem wołała: „Powiedzcie, pociście nas tu zaciągnęli, co się dzieje niech pierwej wiemy.” A w dniu 8 czerwca 1606 pod Lublinem deputowani z różnych województw mówili: „Zaszły nas jednych uniwersały steżyckie, drugich *rumores* rozmaite o wielkiem zamieszaniu i upadku ojczyzny, praw i wolności naszych. Dowiadują się tedy bracia nasi przez nas: cobyto takowego było, coby alterowało *Rempublicam*, prawa i wolności nasze? Od kogo są prawa łamane, co za dokumen-

ta są tych rumorów, kto ich przyczyną.” Zebrzydowski znając to dobrze, że powtórzeniem zarzutów, czynionych Zygmuntowi III już na sejmach, nie potrafiłby był szlachtę wciągnąć w swój prywatny interes, udawał, że wie o wielkim zamachu króla na Rzeczpospolitą; ociągał się jednakże długo z wyjawieniem tajemnicy, aż nareszcie party od szlachty, aby powiedział wyraźnie co złego na króla wie, chcąc nie chcąc, udzielił jej następujące: „*Otworzenie praktyk przez JMci Pana wojewodę i krakowskiego: Oznajmujemy, iż JMci Pan wojewoda krakowski już praktyki odkrył i pokazał z podpisem ręki królewskiej z pieczęciami, i z podpisem ręki cesarskiej i z pieczęciami konsens super condescensionem regni Ernestowi ze czterema kondycjami. 1. Aby mu Inflanty i Estonią puszczone. 2. Aby dano w małżeństwo nieboszczkę żonę pierwszą. 3. Aby mu po czterdziestu tysięcy czerwonych złotych na każdy rok dawano. 4. Aby miał pomoc na Moskiewskiego do rekuperowania państw swoich pobranych. Co latius patet w praktyce za tymże konsensem, którym wprzód wspomniał z podpisem ręki cesarskiej i z pieczęcią jego. Te wszystkie rzeczy Pan Bóg dziwnym sposobem odkrył przez cudzoziemca z pokoju J. K. Mości. Ten cudzoziemiec przyszedł do JMci Pana wojewody krakowskiego, mało mu będąc znajomy, i odkrył mu wszystkie te praktyki. JMci Pana wojewoda mianować gotów cudzoziemca, przez którego się praktyka działa i senatory i autentice dowodzić na nie, tylko asssekuracyi chce, aby *judiciali decreto* exekucją swoją sprawa wziąć mogła, a on, aby nie był zostawiony na koszu. JMci Pan Parnawski (Stabrowski, kasztelan parnawski) pokazał list pana Sicińskiego, który to ma w sobie, iż król jegomość przez trzy osoby Szwedom *in anno 1601* dziewięć beczek pieniędzy Carolusowi do Szwecyi *durante bello livonico* poselał, które pieniądze aresztowano mu na cle i w jednym wozie rewidowano trzy beczki. Ten areszt ma *autentice*, ale go jeszcze nie pokazał.” Takimi niedorzecznemi kłamstwami (bo mógłżeż Zygmunt III posyłać beczkami pieniądze Karolowi Sudermanowi, który go z tronu szwedzkiego wyzuwał (?) jątrzył Zebrzydowski umysły szlachty przeciw królowi, aby ją w rokoszu utrzymać. Mędrsi z pomiędzy téj szlachty wiedzieli dobrze, że Zebrzydowskiemu nie chodziło bynajmniej o dobro kraju, o swobody szlacheckie tylko o dogodzenie własnej dumie, otwierali więc współobywatelom swoim oczy na właściwe powody rokoszu. Zebrzydowski zatem, aby osłabić wrażenie, jakie zapatrywanie się ludzi rozumnych na sprawę rokoszu w narodzie robiło, rozrzucił na swoją obronę po kraju piśmiemko: *Pokazanie niewinności rokoszan między ludźmi.* „Krótki sposób—mówi w tém piśmiemku—do pokazania ludziom tym, którzy doma siedząc przy kuflu, mocno się opowiadają miłośnikami ojczyzny, praw, swobód i wolności szlacheckich, a z niewiadomości przeciwko rokoszanom bluźnią szczypiąc ich na dobrej sławie, jakobyto oni z jakichś prywat swych, a nie z miłości ku-*

ojczyźnie te prace, te koszty, trudy, urągania, a naostatek i zdrowia swe tracić mieli. A to wszystko mają z tych, którzy opuściwszy naprzód bojaźń Bożą, wstyd straciwszy pod tym pretextem dostojęstwa Pańskiego, niemogąc dojść inaczej do tego biednego zysku, przeciwko wolności szlachectwa swego szturmują i krew braci swej rozlewają, takowym sposobem oczy ludziom mydląc. Naprzód od starszych zaczynają. Iż wojewoda krakowski z Radziwillem mając przyczynę i obrazę do króla, jeden o izbę, drugi o budy, rokosz sobie zaczęli, udawając przed szlachtą, że im prawo połamano, że owych z domem raku- skim spraktykowano, że Infanty za nasze pieniądze zawojowa- no, skarby i koronę pobrano, kwartę w Rawie *privata autoritate* gwałtem wzięto. A to czynią na zdradzie oczy ludziom mydląc, aby w tym odnęcie prywat swych dopięli. I tak u nich izba w budy gra, dowodu żadnego nie mając, tylko dawne listy nie- boszczyka pana kanclerza, na których to jest, że się król jego- mość podpisał, choć był nie winien, więcej to czyniąc dla uspo- kojenia rzeczypospolitej, do czego sam pan kanclerz króla przy- wiódł. Więcej pokazać nie mogą nad to, i to się już dawno umorzyło. A przecie uporowi swemu dogadzając, koniecznie chcą wszystek senat i rzeczpospolitą ohydzić, nastąpiwszy na dostojność pańską praktyką swą, którą dawno zaczęli, aby kró- la jegomości z państwa złożyli a inszego obrali, co się jawnie z tém odkryli, gdy panu posłuszeństwo wypowiedzieli. Zaczem królowi jegomości nie złąbyto inaczej postąpić, jedno jako prze- ciwko zdrajcom i rebellizatorom swym." Zarzuty, które tu Ze- brzydowski przeciwko sobie w usta przeciwników swoich kła- dzie, były sprawiedliwe. Dumnemu temu satrapie nie chodziło bynajmniej o swobody szlacheckie, o zgwałcone przez Zygmun- ta III *pacta conventa*, jak się z całego toku rokoshu, którego kil- kudziesiąt-arkuszowy, bardzo szczegółowy opis współczesny mam pod ręką, pokazuje; ale o zemstę na Zygmuncie III, że rad jego nie słuchał, że go od boku swego, ile mógł, usuwał. Posta- nowił on więc złożyć monarchę tego z tronu, posadzić na nim innego, któryby mu tytułem wdzięczności pozwolił sobą i kra- jem rządzić. A gdyby się sztuka była udała, wtedy inaczejby on szlachcie był zaśpiewał o wolności szlacheckiej o *absolutum dominium*, którym szlachtę, jak dzieci bobakiem, tak straszył. Zawinił przeciwko własnej ojczyźnie okropnie. Rozlewał bez najmniejszej potrzeby (bo rzeczy o które na pozor bunt pod- niósł, mogły być załatwione na drodze legalnej, tojest, na sejmach) krew bratnią, spustoszył znaczną część kraju, odrywał tysiące rąk od zwyczajnych zatrudnień, ubożył mieszkańców okolic, przez które rokoshanie przechodzili, niszcząc wszystko około siebie jak szarańcza, ogolocił granice z wojska, które król na własną obronę w głąb kraju ściągnąć musiał, zawichrzył we- wnętrznymi i zewnętrznymi sprawami kraju: a co najgorsza, dał pierwszy zgubny przykład możnowładztwu wchodzenia w zbroj-

ne zapasy z władzą wykonawczą. Godzien, aby imię jego było w największym obrzydzeniu najpóźniejszych pokoleń polskich, aby obok Glińskich, Oscików, Zborowskich (Samuelów), Radziejowskich i tym podobnej drużyny na wieki paradowało! Kalwaryą swoją nie zgładził on bynajmniej śmiertelnego grzechu rokoshu. Wszakże gdyby Zygmunt III (który zresztą w ciągu całego tego rokoshu pokazał się wyższym nad samego siebie, bo zachował moc charakteru przed zwycięstwem, a po nim szlachetne umiarkowanie) innym był człowiekiem, byłby i ten rokosh na korzyść Polski obrócił, jak mu to radzono w pisemku pod tytułem: *Okulary*. „Państwo—mówi wspomniane pisemko—w którym zuchwała licencya pod tytułem szlacheckich swobód regimentuje, a nie może być w swój całości pod władzą jednego pana żadnym sposobem zachowane, gdy nie będzie reformowane. Takie jest to nasze Królestwo Polskie, bo jest jakoby bestya o stu głowach, która ma *tot reges et leges, quot nobiles*. Reformacyi tedy koniecznie potrzebuje, żeby się tak w swej całości ostać mogło. Do której, iż się teraz same wrota otworzyły, chwycić tę pogodę zaraz trzeba, bo *post haec occasio calva*. Dobrze to upatrzyły wszystkie pod niebem państwa, królestwa, monarchie, że władza królów, panów czy monarchów ma być swobodna i w mocy ich położona. Przeto wszystkie rzeczypospolite, ktemu te, które dochodzą jako górnością, dowcipów, tak inwencyą rządów, nasz naród polski, takową władzę *ultra* panom do rąk podały, aby oni w rzeczypospolitej wolnie, swobodnie zarządzili, w nich sobie rady i urzędniki *secundum arbitrium* (i do łaski swej, aby nie wierzgali) obierając i stanowiąc. Do czego i nas samych sama natura gwałtem ciągnęła i na nas też, choć tego nie czują, tego wymagała, żeśmy *Fatidico quodam spiritu* powtórzyli: nierządem Polska stoi! Prawdziwe bowiem to słowo polskie było i jest, że *nierządem*, bo któryż może być większy nierząd, jako ten, że panu poddani rozkazują? jako się to u nas dotąd w tej nierządnej rzeczypospolitej działo, a teraz się najwięcej przez pany Rokoshany sandomierskie wynurzyło, a to wszystko owa licencya, płaszczem wolności przyodziana, sprawiła. Začzem, co jeden rzekł senator *victor dabit leges*. żeby *victor* z onego nierządu rząd uczynił, panowanie swe aby umocnił, licencyą aby ukrocił, do czego *jus* w rękę dierży, to jest prawo kolca żelazne.”—Niestety, z tej rady nie chciał, czy nie mógł korzystać Zygmunt III i *licencya* szlachecka, albo raczej możnowładzka została nietkniętą na zgubę Polski!

X. M.

Pamiętniki Kommissyi archeologicznej wileńskiej. Część I. Wydana pod redakcyą Michała Balińskiego i Ludwika Kondratowicza. (Text rossyjski i polski obok; na karcie tytułowej napis: „Zapiski Wilenskoj Archeologiczeskoj Kommissyi. Czast I. Izdana pod Redakcieju Adama Kirkora i Matwieja Gusewa.” Wilno. Drukiem Józefa Zawadzkiego. 1856. W 4ce. Str. 59).

W drzeworycie na księdze otwartej czytamy imiona: Naruszewicza, Czackiego, ks. Poczobuta, J. Śniadeckiego, ks. Siestrzeńczewicza, Chodakowskiego, ks. Jundzilla i ks. Bobrowskiego.

We wstępie mówią wydawcy o ważności archeologii, i o treści *Pamiętnika*, którego część pierwszą mamy przed oczyma. Pismo to zawierać ma: 1) wszystkie pisma współ-członków kommissyi archeologicznej wileńskiej. 2) Sprawozdania z posiedzeń i działań kommissyi. 3) Opisy nowych wykopalisk, lub ofiar do muzeum złożonych i 4) Systematyczne katalogi przedmiotów, które już to muzeum składają. Tym sposobem czytelnicy *Pamiętników* tych znajdą w nich zawsze obok siebie i dzieje postępowego działania kommissyi, i obraz obecnego stanu muzeum, i ostateczny wypadek wszystkich umysłowych prac i zdolności członków towarzystwa tego, „dla których (jak się dobrze autor wstępu wyraża) jak miłość rodzinnego kraju jest jedynym bodźcem i celem, tak uprzejme przyjęcie współ-ziomków będzie jedyną i najmiłą nagrodą.”

Zaczyna się tom ten *Pamiętnika* znaną już ustawą o muzeum starożytności i tymczasowej archeologicznej kommissyi w Wilnie; następuje opis urządzenia muzeum w sali b. wileńskiego uniwersytetu zwanej *aulą*. Posiedzenie pierwsze d. 11 stycznia 1856 r. Po otwarciu tego posiedzenia przez prezesa hr. Eustachego Tyszkiewicza, odczytano: programmat działań tej kommissyi, skreślony i przedstawiony przez tegoż hr. Tyszkiewicza. Programmat ten złożony z 14 artykułów, grüntownie określa cel prac i działania na przyszłość, aby przynieść pożądane owoce dla nauki dziejów naszych. W treści przynajmniej podamy tu główne. Oprócz dokładnych naukowych katalogów samego muzeum, i postępów u nas archeologii, Kommissya ma się bezwzględnie zająć ogłoszeniem szczegółowej instrukcyi, tak co do poszukiwań w łonie ziemi ukrytych pamiątek, jako też sposobów dobywania, i przechowania ich bez uszkodzenia. Przygotować wykaz w tamecznej prowincyi kurhanów, horodyszcz, pieczar, cmentarzy i t. d. starożytnych pomników: jak zamków, klasztorów, domów murowanych, grobowców; zebrać ściśle wiadomości o miejscach i osobach do których należą pa-

miątki starożytności we wszystkich gałęziach archeologii: nie-
mniej o znakomitych księgozbiorach, archiwach starożytnych
aktów, galeryach obrazów i t. p. Zebrane te wiadomości, oraz
opisy zabytków starożytnych tak przechowywanych w samém
muzeum, jako téż i u prywatnych, w rocznych sprawozdaniach
ogłaszać drukiem, i objaśniać rysunkiem w językach rossyjskim
i polskim, a badania ciekawsze i we francuzkim. Niezależnie
od tych prac, kommissya ogłaszać zamierza rozmaite akta,
przywileje i dokumenta, tyczące się historyi prowincyi, lub mo-
gące służyć za materyał wyjaśniający historyą szczególnych pa-
nowań, świątyń, miasteczek, rzemieślniczych cechów i biografii
znakomitych ludzi. Na żądanie tak władz jak i prywatnych
objaśniać będzie odkryte starożytne pomniki; przyjmować do
wyczytania, przepisania, tłumaczeń i objaśnień wszelkiego ro-
dzaju akta i dokumenta pisane w językach staro-hebrajskim,
staro-tatarskim (którego używają dzisiejsi karaimi), staro-sło-
wiańskim, łacińskim, oraz manuskrypta pisane charakterem sta-
roświeckim, nie dla każdego dostępnym. Przy przedsięwziętém
oczyszczaniu rzek litewskich, kommissya przedsięweźmie stoso-
wne środki do śledzenia, na dnie ich spoczywających pomników
przedchrześcijańskich: wiadomo bowiem, że posągi bożyszcz
i należące do nich ofiarne przybory topiono. Tak na dnie rzeki
w Galicyi uchował się posąg Swiatowida. Zamierza w ostatku
po zebraniu dostatecznych materyałów ułożyć słownik starożyt-
niczy pamiątek archeologicznych.

Z tego zarysu w programmacie tym widzimy, że uczony
prezes nic nie zaniedbał, co tylko na baczną uwagę zasługi-
wało w téj gałęzi nauki, że jeżeli towarzystwo archeologiczne
wileńskie, w myśl tego planu starania swoje i prace rozwinie,
możemy się spodziewać niemałych dla rozjaśnienia ciemnej prze-
szłości korzyści.

Na tém posiedzeniu członek kommissyi Gusiew powitał
prezesa, i w krótkich ale serdecznych słowach złożył mu po-
dziękowanie, jako pierwszemu twórcy muzeum wileńskiego.

„Dla tego (słowa M. Gusiewa), kto się poświęcił nauce,
i pracując na jój polu bez przerwy, z niemałym trudem i za-
parciem się siebie, zebrane skarby i bogaty zapas swój wiedzy
oddał na społeczny użytek: dla tego, jak sądzę, nie masz wyż-
szej i dostojniejszej nagrody, jak słyseć od współbraci spra-
wiedliwe ocenienie wielkości téj ofiary, i uczuwać żywą radość,
widząc uwieńczonemi swe długoletnie usiłowania. Jest jeszcze
jedna, godna zazdrości nagroda dla każdego, kto działa na spo-
łeczną korzyść: tą nagrodą jest wdzięczna pamięć i cześć dla
imienia kiedyś w dalekiej potomności”.

W trzech następnych posiedzeniach czytamy dalszy ciąg
starań kommissyi tak co do prac natychmiastowych, jako
i dłuższego wymagających czasu, oraz przygotowania do aktu
publicznego otwarcia muzeum 17 kwietnia 1856 r. Piękna to

była i pamiętna dla Wilna i Litwy chwila, gdy w opustoszałym lat tyle gmachu b. uniwersytetu wileńskiego i wstawionej *Auli*, zniszczonej, a teraz strojonej na nowo herbami starymi litewskich województw, z pyłu niepamięci prześliczne al fresco Smuglewicza przejrzało, i tłum tę salę 300 osób nappełnił. Stanęli na czele dostojni dygnitarze, duchowieństwo, urzędnicy cywilni i wojskowi, professorowie b. wileńskiego uniwersytetu, naczelnicy i nauczyciele różnych naukowych zakładów w Wilnie, szlachta, literaci, artyści, znakomitsi kupcy, naczelnicy miejskich cechów z chorągwiami i buławami, znakami swojego urzędu, które dzisiaj stanowią rzadkość archeologiczną, albowiem niektóre z nich datują od pierwotnego wprowadzenia prawa magdeburskiego, tojest od czasów Jagielly. Po przemowie prezesa, Adam Kirkor odczytał rozprawę: „Znaczenie i postęp archeologii w naszych czasach”.

Wymownie a treściwie rzecz swoją rozwinął znany oddawna chlubnie w piśmiennictwie naszym A. Kirkor; zwrócić musimy przecie jego uwagę, że w wyliczeniu imion zasłużonych na polu prac archeologicznych, które zaczynając od *Księstwa Poznańskiego* wylicza: opuścił: Jędrzeja Moraczewskiego i Józefa Łukaszewicza; w Galicyi: Augusta Bielowskiego, Karola Szajnochę, dwóch hr. Stadnickich i hr. Dzieduszyckiego; w Warszawie: F. M. Sobieszczańskiego i Kazimierza Stronczyńskiego. A nadewszystko przepomniał imienia jednego z pierwszych naszych historyków, którego prace na polu archeologii przeważne zajmują miejsce. Mówię tu o Joachimie Lelewelu: niepamięć taka zadziwiać nas musi, wszakże to imię przodować zwykło przed wszystkiemi w tej nauce pracownikami.

W gałęzi czysto numizmatycznej wylicza A. Kirkor tylko Czackiego i Kazimierza Bandtkiego. Opuszczono ważne prace Zagórskiego, Kazimierza Stronczyńskiego, i niedawno zgasłego Tymoteusza Lipińskiego. Godziłoby się, aby imiona dobrze zasłużonych na polu dziejów i badań archeologicznych w lepszej pamięci były: wszakże to nie tak liczna drużyna, aby jej dorazu objąć pamięcią nie można, a nie powątpiewamy wcale, żeby ich prace były obcemi litewskiemu archeologowi, bo ci wszyscy, jak pięknie wyraził Kirkor. „W owej świątyni, w której rozdiera się poza-grobowa zgasłych pokoleń zasłona,” złożyli bogate plony swych prac i badań.

W ustępie tejże rozprawy, w której autor mówi o ważnych wykopaliskach i odkryciach archeologicznych, można tu wiele dodać: a o najważniejszych wykopaliskach krajowych w obszernych granicach dawniej Rzeczypospolitej, nie wspomniano zupełnie (1).

(1) Zwracamy uwagę szanownych redaktorów *Pamiętnika* na wyrażenie niezgodne z duchem naszego języka, a użyte w dwóch miejscach. Na str. 24 czytamy: „Od dnia otwarcia kommissyi, *ofтары*, które tu postę-

Następnie sędziwy Paweł Kukolnik odczytał rozprawę: „O pomocach do dopełnienia dziejów Litwy”. „Przed trzydziestą laty, na tém samym miejscu (mówi) głos mój rozległ się po raz pierwszy, gdym rozpoczynał me prace na niwie narodowego oświecenia. Nieraz tu się znajdowałem jako świadek i uczestnik nauczających rozpraw, które były posilnym pokarmem dla umysłu i serca słuchaczy”. W wymownej tej rozprawie, ustępy nacechowane uczuciem radości i wdzięczności dla *tych*, co przyłożyli rękę do zakładu muzeum wileńskiego, umiemy oceniać.

P. Kukolnik zwraca głównie uwagę na potrzebę badań i sumiennych studiów nad ludem litewskim, i zagrzewa do badań archeologicznych. Te dwa źródła mogą jasno i dobitnie życie domowe staro-pogańskiej Litwy objaśnić i charakterystykę wierną podać.

„Litwinów, powtarzając na oślep wykrzykniki starych kronikarzy, nazywaliśmy barbarzyńcami i krwiożerczą dziczą. Nie mieliśmy wyobrażenia o wewnętrznym życiu tego narodu, bośmy nie mieli na czém się oprzeć. Ale nie chciała Opatrzność, aby się na zawsze ustaliło krzywdzące, a wciąż trzech wieków panujące w uczonym świecie o tym narodzie mniemanie. Zjawily się niezmordowane umysły, które wzięły przed się wykopać ją z mogiły, zerwać włożoną nań przez jednostronnych pisarzy krwawą szatę, i ukazać światu postać taką, jaką była za życia. Aby tego dokonać, należało wejść pod strzechy, gdzie mieszkała nędza i poniżenie, rozkopać mogiły i kurhany, zapytać nawet niemych głązów i metali, wsłuchać się w dźwięczne ostatki rzeczywistego bytu narodu, w pieśni, przysłowia: zagłębić się w ocalałe szczęty zwyczajów, obyczajów, gierzaków, nie pomijając guseł i przesądów: w taki tylko sposób można było wynurzyć, a raczej otworzyć owę lepszą, z lekceważeniem przez kronikarzew pominiętą połowę historii litewskiego narodu.”

Te badania, ta praca wielka a umiejętna naszemu zostawiona stuleciu, nowe obrazy, tchnące prawdą i życiem wydo była z zamierzchłej przeszłości. P. Kukolnik pięknie i ze znajomością wielką przedmiotu, rozwija nam ducha pieśni litewskich, zwraca uwagę na przysłowia, na zwyczaj i obyczaj ludowy, wreszcie na starożytne prawa pogańskiej Litwy.

Na piątym posiedzeniu d. 11 maja 1856 r. postanowiono przyspieszyć wydawnictwo Pamiętników, i widzimy z jaką się gorliwością wzięto, gdy już część ich pierwszą posiadamy w ręku. Część druga ma obejmować pracę Konstantego hr. Tyszkiewicza, której treścią będzie opis horodyszcz, zamków i kur-

pity” (mowa o darach dla muzeum). Na str. 50 „przeczytano listę ofiar, które od różnych osób *postąpiły* do muzeum”. Mówiąc po polsku, *ofiary* skazane mogą tylko *postępować*: ale *ofiary* w znaczeniu darów, tylko *przybywają*, albo *zbogacają* muzeum.

hanów mińskiej gubernii, z planami i topograficznymi kartami. Do redakcyi tego Pamiętnika do oddziału polskiego wyznaczono współ-redaktora Biblioteki Warszawskiej Michała Balińskiego i Ludwika Kondratowicza; do rosyjskiego Adama Kirkora i Macieja Gusiewa. Niezależnie od tego Pamiętnika, oddzielnie mają być ogłaszane drukiem „*Prace archeograficznego oddziału.*” Tom pierwszy obejmie królewskie dyplomata i pisma odnoszące się do XIV i XV wieku. Redakcyą do tego pisma wybrano z prałata Herburta (1), Adama Jochera, i uczonego sekretarza kommissyi Maurycego Krupowicza, którym polecono zająć się zebraniem materyałów, przechowujących się już to w muzeum, już w centralnym archiwum i bibliotekach klasztornych, a częściowo w archiwum wileńskiej izby dóbr państwa. Zamyka tę część lista imienna członków kommissyi archeologicznej i pierwszą Pamiętnika: „Spis dobrowolnych ofiar dla wileńskiego muzeum starożytności,” obejmuje stu dwóch dawców, a ta liczba może przekonać o wielkim współczuciu obywateli dla tego naukowego zakładu. I my podzielimy je szczerze, bo któż z szlachetnie myślących nie ucieszy się z serca, widząc jak w ciągu niespełna jednego roku, po Najwyższym zatwierdzeniu muzeum, już je urządzono i otwarto: z jak pięknym zapalem wszyscy pracownicy ofiarowali gotowość trudu, aby obfite żniwo nauce przyspieszyć! Gdy plony zapowiedziane ujrzymy, cześć naszą do tego współczucia dodamy.

Kończąc ten przegląd *Pamiętnika*, nie mogę przepomnieć, że w nim mieści się także i piękny wiersz Ludwika Kondratowicza (Syrokomli) na uroczyste otwarcie muzeum starożytności w Wilnie d. 17 kwietnia 1856 roku, który rozdano wszystkim obecnym na tym świetnym obrzędzie. Wiersz ten pomimo powagi urzędowej, odpowiedniej obchodowi, ma śliczne ustępy.

Przywiedziemy tu samo zakończenie.

„A jeśli trudy nasze warto mieć na względzie,
Niech ku nam wasze serce z pomocą przybędzie.
Nie chcą bogatych darów téj świątyni ściany:
Rdzawy kawał żelaza w polu wyorany,

(1) Z tego Pamiętnika dowiadujemy się, że tenże sam prałat Herbut przedstawił swe prace rozpoczęte jeszcze w r. 1835, zawierające materyały do historii kościoła w Litwie od 1387 r. do 1800. J. I. Kraszewskiemu jako członkowi rzeczywistemu poruczono ułożenie: Skazówki dla czyniących poszukiwania archeologiczne; Stefanowi Lipińskiemu rozpatrzeć i porównać z oryginałem przekład z niemieckiego ważnego dzieła dla archeologii państw północnych p. n. „*Leitfaden zur Nordischen Alterthumskunde, herausgegeben von der Koeniglichen Gesellschaft fuer Nordische Alterthumskunde. Kopenhagen, 1837*”; Alex. Ważyńskiemu, opisanie świętych medalów, których wizerunki konserwują się w muzeum.

Stara miedziana drachma gryszpanem pokryta,
Albo karta odwieczna co nikt nie wyczyta,
Lub staroświecki obraz z odwiecznemi plamy,
Oto cała jałmużna jakiej pożądamy!
Jeśli z takimi dary pospieszyć ochota,
Między święte pamiątki umieścim te wota,
A może śród tych szczątków najlichsza okrucha,
Posłuży do zbadania dziejowego ducha,
I kartę historyczną oczyści od baśni,
I przeszłość nam odsłoni i przyszłość rozjaśni.
Za czasów starożytnych, jak nam piszą dzieje,
Zawieszano w kościołach wojenne trofeje:
I dzisiaj toczy walkę i zwycięztwa szuka
Z czasem i niepamięcią dziejowa nauka;
A te stare żelaztwa, te spróchniałe karty,
To łup w imię nauki czasowi wydarty:
Zawieszamy go z chlubą w pamiątek kościele.
Ale walka trwa ciągle, zdobyczy jest wiele:
Wspomóżcie nas w tej walce, dodajcie nam siły,
Kto szanuje pradziada, komu prawnuk miły,
A da Bóg może plony zjawią się bogate:
Przeszłość weźmie uczczenie, a przyszłość oświatę."

K. Wł. Wojcicki.



ROZMAITOŚCI.

POCZĄTEK IKONOGRAFII NASZÉJ.

W spisie małego zbioru rycin i obrazków w odciskach z blach miedzianych, które przedstawiają wizerunki królów polskich i znakomitych mężów; tudzież SS. Patronów naszych i błog. Polaków. Dodane są prace rytowników naszych i inne tu należące przedmioty.

Kilka słów wstępnych.— Od chwili, kiedy po długich lat uspienia budzić się i z sobą rachować zaczęliśmy, co téż w piśmiennych pamiątkach po przodkach, i jakie utwory z dziedziny sztuki po nich się nam dostały: wiele dotąd nieznanego na jaw się wydobyło.— Jeżeli pracują uczeni mężowie nad rozjaśnieniem dziejów i dawnéj literatury naszéj, i ogłaszają stare, pyłem czasu przytrząśnione pomniki; toć nie zasypiają miłośnicy i znawcy sztuk pięknych i starożytności naszych, gdy odszukanemi wiadomościami rozszerzają przestrzeń wiedzy naszéj, i obznajmniają nas z tém, co dotąd w zapomnieniu ukryte było,

Z różnych dotąd z druku wyszłych dzieł, dowiedzieliśmy się o naszych malarzach i ich pracach, oraz o niektórych plastycznych utworach mistrzów naszych. tudzież o pomnikach i zabytkach starożytności krajowych; ale w jednéj gałęzi sztuki zbyt jeszcze mało zebrano wiadomości, t. j. o rycinach i rytownikach naszych.... Są lubownicy, posiadający zbiory płodów rylca tak swojskiego jako i cudzoziemców, jakimi są wizerunki królów i znakomitych mężów naszych, których tak wielka liczba za granicą z pras rytowniczych wyszła (1), i od nichto oczekiwać należy, że nas dokładniejszym wyjaśnieniem rzeczy téj obdarzą.

(1) Prasy rytownicze za granicą daleko więcej i ważniejszych wydały rycin do naszéj narodowości odnoszących się, niż nasze. Wizerunki znakomitych mężów polskich i inne przedmioty wychodziły we Francyi,

Posiadając skromny zapas obrazków i rycin polskich, poważam się niniejszym spisem dać mały początek ikonografii naszej, która w przyszłości do większych doprowadzoną być może rozmiarów, boć przecie nie razem Kraków zbudowano... Wprawdzie zbiorek ten nie mieści w sobie arcyrzadkich i wspaniałych utworów rylca, (bo też w nie rytownictwo nasze nie jest zbyt bogatém); mało jest u mnie dzieł Falka (1) a nie ma wcale rycin Ziarnka, Stwosza; Morawy, gdy to Fenixy zaledwo w monarchicznych i książęcych zbiorach napotkać można... Nawet nie jest za możnym w ryciny polskie obcych mistrzów, i tylko jest takim, jaki w szczupłym kółku działalności mojej złożyć zdołałem: zgoła jest zgodnie z przysłowiem: według stawu grobla.

Nie tajno mi, że się odważam na wiele, gdy małego znaczenia kolekcją przeznaczam na podwalinę okazalszej budowli ikonografii naszej; lecz czynię to w myśli i z otuchą, że wywołam szczęśliwych posiadaczy rycin do udzielenia o tych skarbach rozleglejszych wiadomości: wszak udało mi się piórwszym opisem Krakowa poprzedzić monografie prawie wszystkich większych miast polskich.

Pracy tej mojej szczuplejszą zakresliłem granicę, nie zapuszczając się w tę powódź wizerunków i t. p. jaką nam dała litografia i spokrewnione z nią nowe wynalazki, i pozostałem tylko przy miedziorytach. Ominąłem też wiele drobiazgów, które choć

Niemcech, Włoszech i Holandyi, czego dowodząc dam tu mały wyciąg z opisanja zbioru s. p. Adolfa Cichockiego w Paryżu, ogłoszonego w piśmie czasowém poznańskim, jakoto: Zygmunta I portretów 7; Zygmunta Augusta 9; Stefana Batorego 20; Zygmunta III 30; Władysława IV 34; Jana Kazimierza i Michała Korybuta 28; Jana III 46; Augusta II i III 60; Stanisława Leszczyńskiego 42; Stanisława Augusta 28.

Sławnych Polaków. — Kopernika 27; Hozyusza 10; Jana Zamoyckiego 12; Chodkiewicza 7; Tadeusza Kościuszki 42; księcia Józefa Poniatowskiego 42; Polek różnych przeszło 200: wszystko prawie przez rytowników obcych krajów,

Opis ten zbioru s. p. Cichockiego jest ważnym materiałem do dokładnej ikonografii polskiej, a dla zbierających ryciny, dadzą niemalże zasilek dzieła obce, jak np.:

Historia di Leopoldo Cesare, przez Gualdo Galeazzi, wyd. w Wiedniu, z portretami wielu Polaków.

Historia dalla Polonia di Bernardo Zajdler Polacco. Wydana w 2 tomach w Florencyi r. 1831, w której znajduje się przeszło 100 rozmaitych rycin.

Ubiory dawnego wojska polskiego za czasów Augustów saskich, rytowane w Niemcech, sztuk 76.

(1) Rycin Falka, dokładne spisy ogłosił J. L. Kraszewski i Edward bar. Rustawiecki.

pojedynczo małej są wartości, niezbędnie jednak w każdym zbiorze znaleźć się muszą.

W końcu, do spisu tego dołączyłem różne prace rytowników naszych z przeszłego stulecia, i niektóre z czasów nam bliższych, co jest niejako cząstkowym dopełnieniem badań zacnej pamięci Gwalberta Pawlikowskiego, który w Czasopiśmie Lwowskim z r. 1829 i 1830, ogłosił wiadomość o rytownikach polskich, lecz prac ich nie wymienił. *Feci quod potui.*

Pisałem w Krakowie 1856 r.

Ambroży Grabowski

WIZERUNKI ZBIOROWE KRÓLÓW.

Series chronologica ducum ac Regum Polonorum, a Lacho I ad Augustum II. (Dodany jest: August III. oraz Stanisław August). Z takim nadpisem wydane są na czterech arkuszach wizerunki książąt i królów polskich, z krótkim rysem żywota pod każdym.— Poprzedzają dwie osobne ryciny wstępne, na jednej przemówka: *Lectori humanissime etc.*, na drugiej herb współczesny kraju.— *Typis ac sumptibus Dominici de Rubeis etc. A 1702.—Benedict. Fariat sculp.— A. Barbey scripsit.*— Wizerunków 52, wysokości cali 7.

Kollekcyą tę portretów, zdaje się, że poprzedziła rycina arkuszowa z napisem u wierzchu *Principum ac Regum Poloniae effigies*, na której jest 49 małych wizerunków, począwszy od Lecha I, a kończąc na królu Janie III. Kształty też same, z tą tylko odmianą, że gdy w tej tu osoby obrócone twarzą ku lewej stronie, w poprzedniej zwrócone są ku prawej.— Wielkość ryciny, wys. cali 11, szer. cali 14 i pół.

Rycina arkuszowa, znana pod nazw. *Orzeł Tretera*, z 44 wizerunkami królów polskich.— Mówiłem o niej w dziele: *Skarbniczka naszej archeologii etc.*, na stron. 53.

Wizerunki książąt i królów począwszy od Lecha I. aż do Jana III. włącznie w liczbie 45... Podpisy w języku niemieckim, a pochodzą z dzieła niem. Jana Melesandra, in 12.

Rycina z dzieła in 4to *Polnischer Koenigstamm*, drukowanego w Norymbergu, na której jest 12 małych wyobrażeń królów naszych.

Cur somno inerti Patrlae decus dextram? Fredr.— X. Michał Soltyk Ref. Kor., dziekan kat. krak., własnym nakładem rytować kazał w Wiedniu na wielkim arkuszu 9 medalionów królów, i 6 takichże znakomitych mężów Polaków. Na odwrotnej stronie są stosowne napisy łacińskie,

Z nieznanego mi dzieła 17 wizerunków książąt i królów naszych, każdy wys. cali 3.

Trzy ryciny in 12mo z 18 małąkami portrecikami królów polskich,— *Rytował Joachim Lelewel.*

Rycina arkuszowa z nadpisem: *Reginarum Poloniae a Rege Jagellone effigies.*— Są to jedenaście małych wizerunków królowych polskich jakoto: Hedvigis, Elisabetha, Imp. Alberti filia; Bona Sfortia; Elisabetha Ferdinandi II. Imp. filia; Anna Jagellonia; Anna Caroli Archid. Austriae Filia; Constantia; Cecil. Renata; Mar. Ludovica Gonzaga; Eleonora Maria; Maria Casimira.— *G. Vander Gouven scul.*

Lachus I. a quo Polochy et Lechia. Po bokach napisu mały widoczek miasta, nad nim napis: *Conditor*,— Po drugiej stronie widok namiotów, z napisem *Bellator*, in 8.

JAGIELLONOWIE.

Króla Zygmunta I. obraz nad kaplicą Jagiellońską w kościele kat. krak:— *G. F. Vogel sc. a Norimb.* in 8.

Królowa Anna Jagiellonka, żona Stefana Batorego w świetnym stroju, nad kaplicą Jagiell. *J. Sontag del. C. Mayer sc.* in 8.

Królowa Anna Batorowa jako wdowa, odmalowana nad Kaplicą Jagiell. *J. Sontag del. C. Mayer sc.* in 8.

Katarzyna Królowa szwedzka.— *Joh. Ender gez. — Stahlst. v. Dav. Weiss. Wien.* in 12.

Piękny dawny drzeworyt: Bona Zygmunta I. małżonka, z kroniki Mac. Miechowity r. 1521. — Pod wizerunkiem 14 wierszów łacińskich P. Gundeliusa.

Ser. Princeps ac Dominus Joachimus Ernestus Marchio Brandeb.— (Mąż Jadwigi, zięć Zygmunta I.) *L. K. excud.* in 8 majori.

Albertus Maregrave van Brandenburch, Hertoch in Pruysen, Burchgrave tot Noremerch (Wnuk Zygmunta I) in 4to.

Z Y G M U N T IIIci.

O (może) najdawniejszym rytowanym wizerunku Zygmunta III. z r. 1597, mówiłem w Skarbnicze Archeologii naszej etc. str. 106.

Sigismundus III. D. G. Rex Pol. M. Dux Lit. Russ. etc.— Cztero wiersz: *Fulcit Atlas humeris regnum radiantis Olympi etc.* wys. cali 7.

Sigismundus III. D. G. Rex. Pol. etc.— Czterowiersz tenże z dodaniem jeszcze dwóch wierszy: *Lucas Kilian sculp. et excud.* Wys. cali 8.

Tenże wizerunek powtórzony, lecz już bez nazwiska rytownika, wydanie odmienne in 8.

Sigismundus III etc.—Sześciowersz: *Dum me Sarmaticis natum etc.*—*I. L. Gotfr.* Wys. cali 11.

Sigismundus III. etc. Popiersie otoczone z boków armaturą, *J. L. Hennig sc.*—Wys. c. 4. szer. c. 6.

Piekarskiego napad na Zygmunta III. w kościele, rycina z dawnego niem. dzieła in folio.

Sigismundus III. D. G. Rex etc. Popiersie w owalu, u spodu sześciowersz: *Dum ME. Sarmaticis natum genitricis Polona etc.* Wys. c. 5.

Sigismundus III. Rex. Pol. etc.—Sześciowersz jak powyższy; in 4to.

Sigismundus III. etc. w owalu.—*By der Gratien Gode Conink von Polen etc.*—Wys. c. 6 i pół.

WŁADYSŁAW IV.

Vladislaus Sigismundus D. G. Poloniae et Sueciae Princeps; rycina z obrazu Rubensa; obaczyć Skarbniczkę Archeologii pag 106.

Uladislaus König in Polen und Schweden.—Rycina wys. cali 11.

Icon Vladislai Sigismondi Pol. et Suec. Principis etc. Pięciowersz: *Quem tot Sarmatice populi spaciosaque regna etc.* wys. c. 7.

Vladislao IV Re di Polonia.—Popiersie w ośmioboku in 4to.

Vladislaus IV. par la grace de Dieu Roy de Pologne.—*Baltha Moncornet etc.* in 4to.

Tenże król, odmiennie przez Moncorneta rytowany, in 4to.

Vladislaus IV. Dei gratia Rex Poloniae etc. Popiersie owalne wys. cali 6.

Vladislaus Sigism. Pol. et Suec. Princeps etc.—Armatura po bokach popiersia. *J. L. Hennig sc. in Nur.* Wys. c. 4. szer. c. 6.

Maria de Gonzaga de Mantoa Regina de Polonia. *P. Aubry fecit.* in 4to.

JAN KAZIMIERZ.

Giovanni Casimiro Re di Polonia e di Svetia, gran Duca di Litvania A. 1668. *Cor. Meyssens fe. Vienne.* Wys. cali 9 i pół.

Joannes Casimirus Dei gratia Rex Poloniae etc., bez nazwiska rytownika in 4to.

Sereniss. et potentissim. Princeps ac Dominus De Joannes Casimirus D. G. Rex Poloniae etc.—Popiersie z piórami na głowie, in 4to.

Joannes Casimirus Poloniae, Sueciae Rex, in 8.

Casimirus Rex Poloniae,— mała rycinka.

Ludovica Maria Gonzaga, Joanni Casimiri Regis Poloniae et Sueciae uxor. *de Jode sculp. Jean Meyssens etc. Antverpiae, in 4to.*

MICHAŁ KORYBUT.

Michael Rex Poloniae magnus Dux Lituaniae etc. wys. c. 12.

J A N III.

Joannes III. D. G. Rex Pol.— Czterowiersz łaciński i także niemiecki. Frustra Roma suos extollit, Graecia frustra etc. *J. Saal del. et sculp. 1697.— Wys. c. 10.*

Johannes der dritte von Gottes Gnaden König in Pohlen etc. w pośród napisu herb kraju z snopkiem Wazow (tak) in 4to.

Joannes dei Gratia Rex Poloniae, terror hostium Dei liberator civium Christi.— Czterow. niem: *Die Schlacht der Türkischen Macht etc.— in 4to.*

Joannes III. D. G. Rex Poloniarum, magnus dux Lithuaniae Ukrainae etc.— in 4to.

Joannes III. Rex Pol.— Wizerunek do pół figury, król ręką wsparty na buławie.— *Wys. c. 6.*

Johann. Sobiesky Ueberwinder der Türcken. *B. Rode inv. et del. J. W. M, fe. in 8vo.*

Jean Sobieski Roi de Pologne. *G. L. Crusius etc. Wys. c. 5.*

Jan III. Sobieski.— *Kupetzky pinx. G. Böhme sc. wys. c. 6.*

Popiersie Jana III. i razem królowej. Z dzieła: Janina przez Rubinkowskiego, in 8.

Jean III. Roy de Pologne, in 8.

Johannes der dritte König in Polen etc.— Król na koniu, in 8.

Jan Sobieski naglony prośbami ces. Leopolda idzie na odsiecz Wiednia. Król siedzący na koniu, za nim rycerstwo, w oddali widok Wiednia.— *Bach del. Rosmaesler sc. in 8.*

Joannes Rex Polonor. popiersie w śród wieńca palm.— in 8.

Jacobus Ludovicus Sobieski, Joannis III. Reg. Pol. primogenitus. in 8.

La Princesse Sobieski (Klem. Maria córka Jakóba Sobieskiego i Jadwigi księżny neyburgskiej) *Trintsani Romae pinx. C. Dupuis sculp.— Wys. c. 9.*

Jacobus Praetend. Printz von Wales (zięć Jakóba, mąż Klem. Maryi) in 8.

Joannes Theodorus Max. II. Elect. Bav. et Theres. Cunig. Reg. Polon. Princ. filius. (Wnuk Jana III.) *G. Demarée S. E. B. P. pinx.— J. A. Zimmermann sc. Monachii, wys. c. 10.*

Maximilian Emmanuel Churfürst in Bayern (małżonek Teresy Kuneg. Sobieskiej)—in 8.

Spotkanie się Jana III. z cesarzem Leopoldem. Podpisu nie ma. Na pierwszym planie król i cesarz z swemi orszakami; na drugim Turcy i wojska chrześcijańskie idą naprzeciw siebie; na trzecim widok Wiednia do którego Turcy biją z armat, a oblężęncy im odpowiadają. Robota słabej wartości, zdaje się że krak. rytownika.— Wys. c. 6, szer: c. 4 i pół.

Dwie ryciny Roomyn de Hooghe, bitwy Jana Sobieskiego. N. 7. *Ouverture du grand Bois de Vienne etc.*— N. 9. *Prise du grand estandart etc.*— *Per Jacobus Peters esc. Antver.*— Wys. c. 6. sz. c. 7.

Wielka arkuszowa rycina zaślubin Jakóba Pretendenta angielskiego z Klem. Maryą Sobieską r. 1719.— *Romae, typis Jo. M. Salvioni in Archigymn. Sapientiae.*— *August Masucci inv. et delin.*— *Ant. Friz. scul.*—

Herb Janina.— *Des Hauses Sobiesky Wappen*, in 8.

AUGUST II.

Fridericus Augustus Rex Poloniarum et Elector Saxoniae etc. W śród podpisu herb. Nazwisko rytownika zdaje się że odcięte.— Wys. c. 14.

Fridericus Augustus Rex Poloniarum Elector Saxoniae etc. Gravé a Leipzig per M. Bernigerotte le fils 173.. Wys. c. 12.

Fridericus Augustus Rex Poloniarum etc.— *Bernigeroth sc. Lips.* Wys. c. 12. Rycina odmienna od poprzedniej.

August II. aquatinta, podpis odcięty. Cali 12.

Fridrich August König in Polen Hertzog in Sachsen etc. I. M. Diehl del.— *C. H. Müller scul.*— Cali 11.

Fridericus Augustus Rex Poloniarum Elector Saxoniae.— *Syng sc. Dresdae.*— in 4to.

Fridericus Augustus Rex Poloniae et Elector Saxoniae, S. R. I. Archi-Mareschalcus.— in 4to.

August II w półfigurze, z boków bogata ornamentacya. U spodu dwuwiersz *Virgiliusza: Quem sese ore ferens etc.*— Takież *Propercjusza: Omnia Regali cedant etc.* Wys. c. 7 i pół.

Augustus II. Rex Poloniae, w zbroi, w ręce prawej buława, prawa sparta na szyszaku. *M. B. sc. c. 7.*

Augustus II. Rex Pol. et Elector Saxon. W kapeluszu trójrogatym. Wys. c. 6.

Frédéric Auguste Electeur de Saxe né le 12 Mai 1670.— *Silvestre pinx. C. Roy scul.*— Wys. c. 5.

Fryderyk August Elektor Saski. *G. G. Endner sc. Lipsiae*, in 8.

Fridrich Augustus König in Polen und Churfürst in Sachsen.— *C. Fritasch sc. Hamburgi.*— in 8.

Fridericus Augustus Rex Poloniarum Elector Saxoniae. Półfigury w pancerzu.

Augustus II. D. G. Rex Polon. Elector Sax. Mała rycinka.

Christina Eberhardina Regina Poloniarum et Elect. Saxon. Ośmiowersz niem: Seh ich den Salomon etc.— *M. Bodenehr sc.* in 8vo.

Christina Eberhardina Regina Poloniarum Electrix Saxon. 4.

Christina Eberhardina Regina Poloniarum etc. in 8.

STANISŁAW LESZCZYŃSKI.

Stanislas Leszczyński. *Luneburg pinx. Moitte scul.*— Wys. c. 9.

Le Roy Stanislas. — *A. Parischez Odieuvre Md. d'estam.* in 8vo.

Stanislas I. Roy de Pologne grand duc de Lithuanie. Król w całej figurze, w peruce, w ręku trzyma buławę, lewa o bok wsparta. Venloo pinx.— *Andreas Reinhardt filius sculpsit.* c. 5.

Stanislas Roy de Pologne Duc de Lorraine et de Bar. U dołu czterowersz: Son nom vivra dans tous les âges. Wys. c. 5.

Jest i inne wydanie tejże ryciny, z małą bardzo odmianą i tylko jest o pół cala mniejsza.

Stanislaus König in Polen Herzog in Lothringen und Bar. Głowa uwieńczona laurem, u dołu popiersia czterowersz niem. Sein Name wird in allen Zeiten leben etc. *B. sc. Hallae.* Wys. c. 5.

Stanislaus Leszczyński. Piękne popiersie, zwierzchny ubiór gronostajami obłożony, bez król. godel.— *Gez. v. Minutoli.*— *Gest. v. Auguste Hüssener.* Wys. c. 5.

Stanislaus I. Postać do kolan. Król w prawej ręce trzyma draperya, lewa wsparta na szyszaku. W. c. 5.

Stanislaus Rex Poloniae et Dux Lotharingiae.— in 8.

Stanislaus Rex.— in 8. Na trzech powyższych nie ma nazwiska rytownika.

Catharina König Stanislai Gemahlin.— Pół-figury.— Wys. c. 5.

Marie Praincesse (tak) de Pologne Reine de France et de Navarre. Królowa ma rękę wspartą na księdze, na której widać napis: *Chapitre 33.*— Wys. c. 14 i pół.

Marie princesse de Pologne Reine de France etc. *J. M. Nattier pinxii.*— *J. Tardieu sculpsit.*— Królowa równie jak wyżej rękę wspiera na otwartej księdze.— *Chapitre 33.* Wys. c. 18.

Maria Leszczyński Regina Galliae. Pół-figury: w owalu *J. Be-soef sculp.*— Wys. c. 5.

Marie Leszińska (tak) Reine de France.— *Gravé par Bernigeroth le F.*— Wys. c. 5.

Marie de Pologne Reine de France et de Navarre. A Paris chez Odieuvre Md. d'estampes, in 8vo.

Marie Leckzińska (tak) Reine de France. *A. Cardon sculp.*— Wys. c. 4.

Wappen des gewesenen König von Polen Stanislai.— in 8.

AUGUST III.

Auguste III. Roy de Pologne Electeur de Saxe.— *Peint en 1755 par le Comte Pierre Rotari.— Gravé par Joseph Canale professeur de l'Academie etc.—* Wys. c. 13.

Frederic Auguste III. Roy de Pologne grand duc de Lithuanie etc.— *Peint a Dresde par De Silvestre,— Gravé par J. Daulle Graveur du Roy. Wys. c. 9.*

Augustus III. Rex Poloniae Elector Saxoniae etc. *J. E. Nilson inv. del. sculp. et excud. A. V.—* Wys. c. 8 i pół.

August III.—Maleńkie popiersie, obok niego siedząca postać niewieścia, w jednej ręce berło, w drugiej trzyma czapkę; spodem napis: *Sub quo libertas Principe tanta fuit.* Wys. c. 2. szer. c. 3.

Maria Josepha Regina Poloniae Elect. Sax. Pół figury w o-walu, 1737. *Sysang sc.— in 8.—* Taż rycina, inne wydanie przez Sysang. 8.—

Maria Josepha regina Poloniarum Electrix Saxon. Popiersie w pośród wieńca.— *in 8.*

Fridericus Christianus Leopoldus Princeps Regius primogenitus Poloniae etc. *Inventé et gravé p. J. E. Nilson a Augsburg.—* Wys. c. 8. i pół.

Fridericus Christianus Leopoldus Princeps Regius atque Elect. Sax. *Konno. Böcklin sc. Lipsiae. Wys. c. 11.*

Fr. Xaverius Aug. Alb. Lud. Reg. Princ. Polon. et Lith. Dux. Sax. etc. *J. E. Nilson inv. sculp. et excud. A. V.—* Wys. c. 9.

Carl Christian Joseph Princeps Saxoniae III. na koniu. *Böcklin exc. Lipsiae. Wys. c. 10 i pół.*

Clement Wenceslas elu Archeveque de Treves, Archichancelier etc. *Gravé par Egid Verhalst Graveur de S. A. El.— Peint par H. C. Brand Peintre du Cabinet de S. A. Elect.—* Wys. c. 12.

Maria Anna Augusti III. Regis Polon et Elect. Sax. etc.— *Georg Demarée S. E. B. Pictor primar. pin.— Jos. Ant. Zimmerman S. E. et St. Pr. Bav. Chalcogr. sc. Mon.—* Wys. c. 9 i pół.

Maria Anna Princ. Reg. Pol. et Saxon.— *Sysang sc. 1736.* Wys. c. 8.

Marie Antoinette Princesse Royale de Pologne Electrice de Saxe, née Princesse Imperiale de Baviere. *Peint en pastel par S. A. Royale meme.— Gravé par Giuseppe Canale etc. 1764.—* Wys. cali 17 i pół.

Maria Antonia Gemahlin des Konigl. Pohl. und Chur-Prinzens von Sachsen.— *in 8.*

STANISŁAW AUGUST PONIATOWSKI.

Stanislaus Augustus D. G. Rex Poloniae, electus die 7 Septemb. A. 1764.— *Dedykowane Jerzemu Mniszchowi Marsz. w. kor.— J. B. Lampi pinx.— I. Pichler sculp.—* Wys. c. 14. i pół.

Stanislaus Augustus D. G. Rex Poloniae M. D. Lith. Natus d. 17. Jan. 1731. Elect. d. 7. Sept. Coron. d. 25. Nov. 1764. Warsov.— Popiersie w owalu. Tarcza z herbem królestwa. Z boków dwie postacie, z jednej strony napis *Dignissimo*, z drugiej: *Historia Reg. Pol.*— U spodu: *Bonvicini Warsow. Pinx.*— *J. E. Nilson Acad. Caes. Franc. del. sc. et excud. Aug. Vind. etc.*— Wys. c. 8 i pół.

Stanisław August.— Podpis w moim exempl. odcięty.— Rycina aqua-forte. Król trzyma w ręku kartę papieru. Wys. c. 10.

Stanislaus Augustus Rex Polon.— Popiersie w owalu, pod nim król siedzi na ziemi a przed nim kłęczy Kuźma błagający przebaczenia w wiadomym wypadku d. 3. Listop. r. 1771. *J. E. Nilson fec. et excud. A. V.*— *I. S. Noggles.*— Wys. c. 9.

Stanislas Auguste Poniatowski Roi de Pologne etc. Elec. le 6. Sept. 1764 (bez nazw. rytownika).— Wys. c. 9.

Stanislaus Augustus D. G. Rex Poloniae M. D. Lith.— U dolu medal koron. Hanc jussit fortuna mereri.— *C. F. Fritsch del. et fecit.*— *I. Amsterdam by Samuel Cruys.*— Wys. c. 8.

Stanislaus Augustus D. G. Rex Poloniae M. D. Lit. raptus d. 3. Nov. 1771.— *Ezocki pinx.*— *Jac. Andr. Fridrich S. Duc. Wirtemberg scul. aut. sc.*— *Aug. Vind.*— Wys. c. 6.

Stanislaus Augustus Rex Poloniarum.— Orzeł w locie unosi tarczę z popiersiem król.— *J. D. Philippin geb. Sysang sc.* Piękna praca ręki niewieściej.— Wys. c. 5 i pół.

Stanislas Auguste Poniatowski Roi de Pologne. Popiersie w owalu. *Alex. Tardien sculp.*— Wys. c. 4.

Stanislaus Augustus Rex Poloniae M. Dux Lit.— Głowa królewska w owalu, nad nią napis: *Hanc jussit Fortuna mereri.*— Wys. c. 4.

Stanislaus Augustus König von Pohlen. 1792.— Król przepasany wstęgą ord. z lewego ramienia.— Wys. c. 2 i pół.

Stanislaus August König von Pohlen.— Małeńka rycina wys. c. 2 i pół.

ZNAKOMICI MEŻOWIE POLACY (*).

Christoff *Artiszewsky* General-Leitenant in Brasilien.— Wizerunek z niem. historycznego dzieła.— Wys. c. 6.

Woyciech *Bogusławski.*— Dwuwiersz: Krzywdzące głos oczysty mniemania umorzył etc.— in 8.

Le Comte *Branicki* petit General de la Couronne.— *Sysang sc.* in 8.

(*) Wiele także wizerunków sławnych mężów zbioru mojego, znajduje się w oddziale rytowników Polaków, na końcu.

Henry Comte de Brühl, prem. Ministre de S. M. le Roy de Pologne Electeur de Saxe. *Peint par Louis de Sylvestre, gravé par Balechoux an. 1760.*— Wys. c. 20.

Alois Frider. Brühl S. R. I. Comes, sumus Regni Poloniae rei Tormentariae Praefectus.— *B. Folino ad vivo del. et sculp. Varsaviae 1774.*— Wys. c. 9.

Fridericus Aloisius Joseph Comes de Brühl.— in 4to.

Pawel Xawery Brzostowski.— in 4to.

Wizerunek okolo ktorego napis: Bogislao Chmielnick, u dolu podpis: *Bogdano Kmielnieski*, in 4to.— (Potomkowie jego byli do szlachectwa przypuszczeni i dobrami nadani, *Niesiecki I.*

Jos. Car. Chodkiewicz Pal. Vilm. sup. Exer. M. D. L. Dux.— *M. Kayl del. C. G. Rasp. sculpsit Dresdae.*— (Wizerunek ten rytowany nakładem Mich. Groella księgarza Warsz).— Wys. c. 8.

Jan Karol Chodkiewicz Wojewoda Wileński Hetman W. X. Lit. *Zofia Chodkiewiczówna rysowała.*— *D. Weiss sc.*— in 8. maj.

Chodkiewicz.— Hetman w całej postaci odziany delią.— Wys. C. 4 i pół.

Tadeusz Czacki. Popiersie okolone wieńcem; napis: Z jego wpływu i pracy mieć będą prawnuki dwie pamiątki najdroższe, język i nauki. *M. M. Praliński delin. D. Weiss sc. Viennae.* c. 5.

Stefano Zernecki, Generale dell'armi Pollache, Palatino di Chiovia, capitano di Pietricovia etc. *Cor. Meissens fe. Vien.* Wys. c. 9.

Augustus Dux Czartoriski Palatinus Russiae. *Sysang sc.* in 8.

Raphael Jos. Czerwiakowski Phil. et Med. Dr. publ. et ord. Chirurgiae et art. obst. in schola Regni principe Academiae Graecov. professor. *Gezeichnet und gest. bey Löschenkohl in Wien.* Wys: c. 6.

Illustr. Excel. Dns. Stanisla. Donhof, S. R. I. Comes Palat. Polocensis Campidux M. D. L. Mała rycinka.

D. Martinus a Dunino Archiepis. Posenensis. MDCCCXXXIX. offerebant **Sacerdotes Oratorii Seminarii Posenensis.** Wys. c. 9. i pół.

Pawel Działyński Wda. Pomorski. *J. Piwarski del. Varsav. Laurens sc. Berolini.* in 8. maj.

Adamus Stanislaus in Grabowo Grabowski Episcopus Varmiensis et Sambiensis. (Nazwisko rytownika zatarte, podobno *J. Myliusa.* Wys. c. 11.

Jan Heveliusz astronom Gdańszczanin. Czterowiersz: Aetheris et vastimensor celebratus Olimpi etc. *A. Stech pinxit. Lambertus Vischer sculp.* Wys. c. 10 i pół.

Stanislae Hosius Polonois. Chap. 82. Wys. c. 7. (kardynał). **Stanislaus Hosius Episcopus Poznanionensis.** *Busch sc. Berolini.* in 8.

Stanislaus Joannes *Jablonowski* supremus exercituum Regni Poloniae Dux. J. Mariette fecit. Wys. c. 6 i pół.

Daniel Ernestus *Jabłoński* S. Theol. D. S. Reg. Maj. Boruss. a Consiliis sacris et Ecclesiasticis, concionator Anticus primarius, unitatis Bohemorum in Polonia majori Senior, etc. Natus a. MDCLX. J. Jac. Haid sculp. et excud. Aug. Vind. Rycina aqua forte. Wys. c. 12. (1).

Beatus Vincentius de Rosis *Kadłubek* ex episcopo Cracoviensi Monachus in Mon. Andreovien. Ord. Cister. Ejus cultum immemorabilem approbavit Sedes Aplica die 11. Febr. 1764. Franciscus Rogaliński Abbas Mon. Bledzovien. Ord. Cister. ejusdem postulator. Błog. mąż klęczy przed ukrzyż. J. Chr. Obok leżą infuła i pastorał oraz tarcza z herbem *Poray*. Wys. c. 11 i pół.

Beatus Vincentius *Kadłubek* ex de Rosis, qui relicto Cracoviensi Episcopatu ordin. cisterciense. Andreovii amplexus, A. 1226 sanctissime obiit. Nad wizerunkiem klęczącego napis: Spiritus meus super mel dulcis. Eccl. 24. Wys. c. 5.

Błogosławiony Wincenty *Kadłubek* wprzód biskup krakowski potym zakonnik Cysters w klasztorze Jędrzejowskim cudami słynący. Rycina w zupełności co do rysunku naśladowana z powyższej. Wys. c. 5.

B. Vincentius *Kadłubek* Confessor Cisterciens. Błog. mąż klęczy przed wyobrażeniem Bogarodzicy. Wys. c. 4.

Beatus Vincentius de Rosis *Kadłubek*, ex Episcopo Cracoviensi Monachus etc. Wys. c. 4 i pół.

Franciszek Karpinski. Frey. 1804, Varsovie. in 8.

Jan *Kochanowski*. Czworowiersz: Cnota skarb wieczny etc. J. C. Böhme scul. in 8.

Seb. *Klonowicz*. Napis: Dum vita grata est, mortis conditio optima est. Z *Pam. Sandom.* in 8.

Chistophorus *Kluk*, canonicus honor. Crusvicensis, Praepos. Eccles. parochial Ciechonow. Wys. c. 6.

Franciszek Dyonizy *Kniaźnin*. in 8.

X. Hugo *Sztumberg Kollatay*; mała rycinka, na której nie ma jego nazwiska. J. F. *Tourcaty* sculp. 1793.

Stanis. *Konarski* Scholar. Piar. in 8.

Nicolaus *Copernicus* Tornaens Borussus, mathematic. nat. A. 1473., obiit 1543. Dwuwiersz: Non docet instabilis Copernicus aeteris orbes etc. T. v. *Meurs* scul. in 4.

115. Nicolaus *Copernicus* mathematicus. Dwuwiersz: Quid cum si mihi terra movetur, solque quiescit etc. MDXLIII. in 8.

(1) Rodzina *Jabłońskich* pochodzi z Polski, czego dowodem herb *Jasińczyk* na jego wizerunku. Mąż to był uczony, a świadczą o tém dzieła jego w języku łacińskim o starożytnościach egipskich, i w innych materyach. Urodził się w Gdańsku, a umarł 1742 r.

Nicolaus Copernicus, geb. d. 19 Febr. 1473. gest. d. 24 maj 1543. in 8.

Kopernik. A. Menzel del. Stahlst. v. X. Reifensand. Düsseldorf. in 8.

Thaddeus Kościuszko. Engraved by William Sharp, from a model in wax. (Podług rysunku J. U. Niemcewicza, rycinę tę ogłosił Bowler w Galeryi historycznej r. 1800). Wys. c. 14, szer. c. 16.

Wizerunków tego męża istnieje wielka ilość wydanych przez obcych rytowników; z posiadanych tylko tu niektóre przywiodę: np.

1) *Virtus repulsae nescio sordide. Intaminatis fulget honoribus.* W Krakowie u Jana. Maja, r 1794. Wys. c. 5.

2) *Melius est nos in bello mori, quam videre mala gentis nostri et sanctorum.* *Machab. I. 3.* Odcisnione w czasie obchodu założenia pomnika w Krakowie r. 1820. Wys. c. 5.

3) Wizerunek przy dziele: *Les Obseques de Kościuszko par Lagard de Messance*, wyszłem w M. nachium. *Gravé p. Pfeiffer a Vienne.* Wys. c. 9.

4) *Kościuszko, Grassi del... Wien bey F. X. Stöckl.* Wys. c. 5.

5) *Kościuszko. U dołu drobném pismem: D'après le portrait gravé par Ant. Oleszczyński etc.* Wys. c. 4.

6) *Mały portrecik. D. Berger sc. 1794.*

7) *Kościuszko. I. F. Schröter sculp.* in 8.

8) *Kościuszko. Chez Fietta et comp. a Krigshaber près d'Augsburg.* Wys. c. 8.

9) *Kościuszko. Erlaube noch einmal etc. Zu finden bey Shultz etc. in Nürnberg.* in 8.

10) *Thaddeus Kociusko (tak) Oberfeldher der poln. Armees gest. d. 15 Octob. 1817. J. Grassi pinx. G. Taubert del. C. W. Bock sc.* in 8.

11) *Tad. Kościuszko konno z nap: Nakryj głowę, a potem wejdziemy w ugodę. P. C. Geisler del. Norimberg. P. Walther sc.* in 8.

12) *Tadeus Kościusko gefangen. A. Strigno.* in 8.

Rycina arkuszowa z objaśnieniem w języku niem. *J. M. Will. A. V.*

Koltshizki. Taki ma napis mała rycinka wyobrażająca Fran. Jerzego Kulczyckiego rodem z Sambora, który zostając w Wiedniu r. 1683, przebrany za Turka i umiętny języka tego narodu, przemykał się przez obozy tureckie, przynosząc listy do obozu chrześcian. *Ebersbach fec.* O Kulczyckim jest wiadomość w *Czasopiśmie Lwowskiem*, r. 1832.

Ignacy Krasicki. Czterowiersz: W twych dziełach Polski, pamiętka zostanie etc. J. C. Böhme sc. in 8.

Michael Krzyczewski nobilis Litvanus cosacorum rebelium contra Litwanos Dux, in 4.

Samuel Bogumil *Linde*. Medal za Słownik języka polskiego. *Seb. Langer sc. Viennae.* in 8.

Joannes *Lipski* Episc. Cracov. Dux Sev. Cancell. Reg. Pol. *Lips. Sysang fec.* in 8.

Andrzej *Lipski* B. Krak. Małeńki wizerunek z podpisem: *Notat meliora lapillo etc.* Rycina z bogatą ornarn. Wys. c. 10 i pół.

Theodorus Princeps S. R. I. *Lubomirski* Palatinus Cracoviae. *Sysang sc.* in 8.

Tegoż odmienny wizerunek. *Sysang sc.* in 8.

Tegoż jeszcze inny. *Bernigeroth sc.* in 8.

Georgius Sebastianus *Lubomirski* Comes de Wisnicz et Jaroslaviae, S. R. I. Princeps Mareschallus magnus Regni Poloniae. Bez nazw. rytownika. Wys. c. 10 i pół.

Michael Alexander *Lubomirski* S. R. I. Princeps, Comes in Wisnicz. *Petrus de Michaelibus F.* Wys. c. 9.

Józef X-że *Lubomirski* kaszt. Kijowski generał wojsk polskich. Staraniem X-cia Henryka *Lubomirskiego*. *A. Geiger sc.* in folio.

Izabella z książąt Czartoryskich księżna *Lubomirska* marszałkowa wielka kor. Staraniem X. Henr. *Lubomirskiego*. *A. Geiger sc.* Wys. c. 10.

Józef *Łęski*, małeńka rycina wykonana w Paryżu. Rytownicze jego prace są niżej w dziale: Rytownicy Polacy.

Mathias a *Łubna* *Lubiński* canonicus regularis Smi. Sepulchri, postea Archiepiscopus Gnesnensis etc. *Mathias Trodt sc. Pragae.* in 4.

Felix Pomian hrabia *Lubiński* Minister Spraw. X. Warszawskiego. U dołu napis: Założycielowi swemu wdzięczna szkola Prawa. *W. pinx. L. sc. (Ligber?)* r. 1810. Wys. c. 9.

Le General *Madaliński*. 1794. *C. Antonini inv.* in 12.

Johann *Malachowsky* den Kron. Polen Gross-Cantzler, des Königl. Poln. weissen Adler Ordens. Ritter. *J. C. Sysang. sc.* Wys. c. 11.

Joh. *Malachowski* Cron. unter Canzler von Polen. *G. M. Bernigeroth sculpsit Lipsiae 1740.* in 8.

Stanisław *Malachowski*. Piękna rycina. Wys. c. 5.

Hyacanthus Comes in Cmielów *Malachowski* Regni Poloniae supremus Cancellarius. Napis: Quod avus gessit Parensque munus etc. in 4. maj.

Mathias de Crachau (tak) Plenipotentiaire de Pologne, in 4.

Johannes *Mazeppa* Cosacorum Zaporoviensium supr. belli Dux. in 8.

Jerzy hr. *Mniszech* Wda. Sandomierski, ojciec Carowej Maryny. in 8. maj.

Illustrissimus Excellentissimus D. D. Josephus Vandalinus S. R. I. et in magna *Konczyce* et *Ossowaica* Comes *Mniszech*.

supr. Regni Mareschallus, Capit. Jawor. etc. *Sim. Thadd Sondermayr Graveur de S. A. S. E. de Cologne sc. Aug. Vind. Wys. c. 11.*

Joseph Vandalinus Graf von magna Koneczyce *Mniszech*, Cron. Gross. Marschal von Polen. in 8.

Josephus *Mniszech* supremus Mareschalcus Reg. Polon. z buławą w ręku. *Sysang. sc. in 8.*

Georgius a magna Koneczyce Vandalinus *Mniszech*, in Dukla et Brzostoviae Dinasta, Castellanus Cracov. *D. Cunego sc. Romae A. 1784. Wys. c. 12.*

Illustris. D. Georg. *Mniszech* Comes de magna et parva Koneczyce, Palat. Sandomirien. Timenti Deum debetur Coniux etc. *Lucas Kilianus Aug. sculpsit. in 4.*

Maryna hr. *Mniszechówna*, córka Woj. Sandom. *J. Piwarski del. F. W. Bottinger sc. Berolini. in 8. maj.*

Luca Conte de Bnin Opaliński, maresciallo Generale in Russia etc. *Lorch sc. Wys. c. 8 i pół.*

Illustris. et Excel. Princeps Dnus. Georgius Dux in *Ossolin*, S. R. I. Princeps, Comes a Tenczyn etc.— *B. Moncornet excudit avec privilege du Roy.— Wys. c. 6.*

Georgius Dux in *Ossolin* S. R. I. Princeps, Comes in Tenczyn *Ossolinski*, supr. Regni Pol. Cancellarius.— *M. Keyl del. et sculp. Dresdae.— Wys. c. 7.*

Maximilian Graf von Teezyn *Ossolinski*, Schatzmeister des Konig. Poln. Gerichts zu Drohiczyn.— in 8.

Le Comte *Ossolinski* grand Trésorier de la Couronne. *Sysang sc.— in 8.*

Joz. Max. Hr. z Tęczyna *Ossolinski*. Za założenie publicznej Biblioteki w Lwowie, Ziomkowie.— *Seb. Langer sc. Vienna. in 80. maj.*

Tomasz z Rawitów Hrabia *Ostrowski*, Prezes Senatu Królestwa polskiego.— *C. Humel p.— Bl. Höfel sc. Wys. c. 13. i pół.*

Wizerunek Pawła *Piaseckiego* biskupa przemysł. U dołu dwuwiersz: *Effigiem cernis Piaseci, laurea cingit, laurea scripsit, laurea jure gerit.—* W panegyryku pośmiert. pr. M. Stan. Zyznowskiego pod tyt: *Bonus Patriae Senator et antistes.— Wys. c. 7.*

Stanislaus *Poniatowski* Palatinus Masoviae. *Sysang sc.— in 8.*

Tenże wizerunek rytowany pr. *Bernigeroth.— in 8.*

Le Prince Joseph *Poniatowski* Général de Division, Ministre de la guerre du duché de Varsovie.— Dedié a son Altesse Madame la Princesse *Poniatowska*, grande Chambelane de la Couronne, par son très humble serviteur *J. Kosinski*.— *Dessiné par Jos. de Kosinski.— Gravé par J. Schuman et A. Riedel a Dresde, 1809.—* Książę w postawie stojącej. *Wys. c. 11. i pół.*

Le Prince *Poniatowski*; *Gravé par Esbrard.— Wys. c. 16 i p.*

Joseph *Poniatowski* (Le Prince) Maréchal de France, Grand Croix et Chevalier de plusieurs ordres etc.— *Dessiné par Marc Lesuir A Paris chez l'Auteur.— Wys. c. 9.*

Fürst *Poniatowski* Kais. Franz. Reichs-Marschall.— in 4to. Wizerunek tegoż bez napisu.— *Ignazio Pavon incise in Roma.*— Wys. c. 10.

Józef Xiąże *Poniatowski.*— Wys. c. 4. (Ryt. w Dreźnie r. 1809). *Poniatowski*— U wierzchu i z boków znaczniejsze epokijego życia w języku franc. Wys. c. 4.

Tytuł do kompozycyi muzycznej. *Elegie harmonique sur la mort heroique de S. A. le Prince Poniatowski.*

Stanislaus a Potok *Potocki* in Tartakow et Human Dinasta, Palat. Belz.— *Dom. Cunego sc. Romae 1784.*— Wys. c. 12.

La Comtesse *Potocka* née comtesse Komorowska Palatine de Belz. etc.— *Demian Pinx.* — *Weiss sc.*— Wys. c. 10.

Stanislaus Felix a Potok *Potocki* Palatinus Russiae, Belzensis, Sokaliensis etc. Praefectus, in Human, Tulczyn etc. Dinasta etc. *Pompeus de Battoni pinx.* — *Dom. Cunego. sc. Romae 1783.* Wys. c. 27. i pół.

Josepha Georgia Mniszech Castellani Cracoviensis filia, Stanislai in Human *Potocki* Pal. Russiae conjux.— *Pompeus de Battoni pinx.*— *Dominicus Cunego sc. Romae 1783.* Wys. c. 17 i pół.

Josephus *Potocki* Palatinus Kijoviensis.— *Gravé par Sysang* in 8.

Theodorus princeps *Potocki* Archi-Episcopus Gnesnens. Primas Regni Pol.— in 8.

Tenże wizerunek odmienny. Dwa aniolki trzymają tarczę z herbem Pilawa.— in 8vo.

Franciscus Salesius a Potok *Potocki* Palatinus generalis Terrarum Kiovie etc.— *Bacciarelli pictor Regius pinxit Varsaviae.*— *Domin. Cunego sc. Romae 1782.* Wys. c. 18.

Anna Elisabetha Stanislai a Potok *Potocki* in Brody et Ducatu Zbarasz Dinastae, Palatini Posnaniensis filia, Francisci Salesii *Potocki* Conjux.— *Bacciarelli pictor Regius pinxit Varsaviae.*— *Dom. Cunego sc. Romae. 1782.* Wys. c. 17.

Michael *Potocki* Palatinus Volhyniensis. *Sysang sc.*— in 8.

Włodzimierz *Potocki* założyciel i pierwszy Polkownik konnej Artylleryi polsk.— *Schom pinx, Decker del.* Staraniem xcia Henryka Lubomirskiego.

M. Hyacinthus Aegidius *Przybylski*, in universitate Studiorum Cracoviensi Antiquitatum et Graecae Literaturae Professor etc. Vitae solamen Musae mihi, Patria Numen.— *Michael Stachowicz pinx. Cracoviae.* — *Seb. Langer sc. Viennae. 1811.* Wys. c. 7.

Michael S. R. E. Cardinalis *Radziejowski*, Archiepisc. Gnesnensis Polonus — Wys. c. 8 i pół.

Tenże wizerunek mniejszy, in 8vo.

Jakób *Redel* Gen. Bdy. Dowodz. Artylleryi wojsk polskich. *Del. au Phisionotrace, et gravé p. Queneday.*— in 8 maj.

Les Deux freres (*Rzewouscy*) *Gravé par S. Kütner a Mitau, 1789.* Wys. c. 22.

Joannes Fridericus S. R. I. Comes *Sapieha*, Castellanus Trocensis, Praefectus Brestiensis, Eques aquilae albae, A. D. 1730.— Popiersie w zbroi. Wys. c. 7.

Johann Friedrich *Sapieha*, des heil. Röm. Reichs Graf in Koden etc. *Sysang sc.*— Wys. c. 12.

Jan Piotr *Sapieha* starost. uświatski. wodz wojsk polskich na Moskwie.— Umarł w Kremlinie d. 24. Września r. 1612, in 8vo.

Janussius *Radzivil* D. G. Birze ac Dubingae (*tak*) Dux, S. R. I. Princeps, Neveliae et Sobiesii Comes. Ducatus Samogitia Generalis Capitaneus etc.— in 4to.

Janusio *Radzivil* Duca di Birza e Dubing (*tak*), Principe del S. R. Imperio, Capitan generale etc. *Maurit. Lang scul.*— Wys. cali 9.

Janussius *Radzivil* Dux Birzae et Dubing, S. R. I. Princeps etc. Wys. c. 12.

Illustriss. et celsiss. Principi a Dno. Janussie D. G. Duci *Radzivil* in Birza et Dubinki Principi, Nevellae et Sebiecy Comiti etc.— in 4to.

Ill. D. Nicolaus Christophorus *Radzivil* Dux in Olika et Nieswiesz, aet. A. XXXIII.— Czterowiersz: Dum Solymae tenas Princeps *Radivilus* adet etc.— Wys. c. 7.

Trés haut et très puissant seigneur Christophe *Radzivil*, par la grace de Dieu Duc de Birze et de Dubinko etc. *B. Moncornet ex-cum priv.*— in 4to..

Christophorus *Ratzivilius* (*tak*) Dux in Birze et Dubincki etc. in 8.

Sophia Gemahlin des Fürsten Hieronimus *Radzivil*, geborne Princessin von Thurn und Taxis. in 8vo.

Ill. S. R. I. Princeps Dominicus de *Radzivil* Dux in Olyka, Nieswież, Birze, Dubincki, Kleck, Comes in Mir. Receptus, 2 Febr. 1773. in 8vo.

Herb Radziwiłow. Illustr. S. R. I. Princeps Antonius de *Radzivil* Dux in Olyka etc.— Receptus 3 Nov. 1782.— in 8vo.

X. Fr. *Siarczyński* Kanonik Warszawski, Proboszcz i Dziekan kollegiaty Jarosławskiej etc.— *Rysował Xaw. Prek, rytował Karol Pfeifer członek Akad. sztuk pięknych w Wiedniu, 1828.*— Wys. c. 7.

Ven. Petrus *Skarga* Polonus.— Orzeł trzyma wstęgę z napisem: Verbum ipsius quasi facula ardebat.— Uspodu: E. Canonico Leopoliensi factus Romae Tyro S. J. etc.— *Philipp Andreas Kilian sc. A. V.*— in 8vo.

Xiądz Piotr *Skarga* Pawęski zgromadzenia Jezuickiego etc. *Mich. Stachowicz del. Cracov.*— *Seb. Langer sculp. Viennae.* Wys. cali 6.

X. Piotr *Skarga*. Popiersie.— *H. Paszkowski delin.*— *Joh. Mansfeld sc.*— in 8.

Cajetanus *Soltyk* Episcopus Cracoviensis Dux Severiae.— *Baciarelli pinx.*— *Cunego et Perini sculp. Romae 1767.* Wys. c. 26.
Cajetan *Soltyk* Bischof von Cracau.— in 4to.

Veit Stoss der ältere, ein berühmter Bildhauer, Kupferstecher und Maler aus Cracau etc.— *C. F. T. von Schad sc. Nor. 1793.* in 8vo.

Są jeszcze i dwa małe wizerunki tego naszego rodaka w małym kształcie, a jeden z jego nazwiskiem i monogramem.

Alexander Josephus S. R. I. Comes Sulkoſski.— *Sysang sc.* in 8vo.

Christophorus Antonius in Słupow Szembek Episcopos Cuiavienſis et Pomeraniae.— *Sysang sc.*— in 8vo.

Klementyna Tańska, (Hofmanowa).— in 8.

Jan na Tarnowie Hrabia Tarnowski kasztelan krakowski, Hetman w. Kor. Umarł r. 1561. Anna Narburtoſowa rys. S. Lr. (Langer).— in 8.

Tegoż mały wizerunek (medalionik) w zbroi. *W. H. Tarnowska del.*

Anna z Krakowa Terlecka, urodzona r. 1810, zgasła 1835. *Rybicka ryt. w Pradze staraniem M. Rościszewskiego.*— (są w druku jej poezye).— in 12mo.

Michael Fürst Wiśniowitſki (tak), Gross-Cantzler und Regimentarius von Lithauen. Popiersie w zbroi.— *B. sculpsit,* in 8.

Le Prince Wiśniowiski (tak) Castellan de Cracovie. *Gravé par Busch.*— in 8.

Józef Wybicki, popiersie w owalu.— *Poehman del.*— *W. Netting sc.* 1805. — Jest i drugi wizerunek odmiennie bez nazwiska rytownika i rysown.

Józef Zajaczek General dywizyi.— Z malowania Bechona *Mich. Stachowicz del.*— *Seb. Langer sc. Vien.*— in 12to.

Andreas Stanislaus Kostka Comes in Zaluskie Zaluski Episcopos Cracov. Dux Sever. (Jeden z fundatorów Biblioteki publicznej, gorliwy opiekun Akademii krak. górnictwa i gospodarstwa narodowego, pierwszy sprowadził kartofle (ziemniaki) do Polski). *Wys. c. 12 i pół.*

Andreas Stanislaus Kostka Comes in Zaluskie Zaluski Episcopos Cracoviensis Dux Severiae.— *J. M. Bernigeroth sc. Lipsiae* 1745.— *Wys. c. 7.*

Andreas Stanislaus Kostka Graf in Zaluskie Zaluski Bischoff zu Cracau und Herzog in Severien.— *Wys. c. 11 i pół.*

Andreas Stanislaus Kostka Comes in Zaluskie Zaluski Episc. Crac. Dux Severiae.— *Wys. c. 6.*

Andreas C. de Zaluski Episc. Varm. et Sambien. etc. 1709. *Bernigeroth sc. Lipsiae.* *Wys. c. 17.*

Andreas C. de Zaluski Episcopos Varmiensis et Sambiensis S. R. I. Princeps, supremus Regni Poloniae Cancellarius etc. 1709. *Bernigeroth sculp. a Lipsiae.*— *Wys. c. 11.*

Andreas C. de Zaluski Episcopos Varmiensis. et Sambien. etc. *J. E. Kraus sc. Lipsiae.*— in 8.

Tenże wizerunek. *Sysang sc. Lips.* in 8.

Josephus Andreas Comes in Zaluskie *Zaluski*, supr. Regni Poloniae Referendarius, Abbas Villariae, Belnaci et Fontanelli in Gallia, Canonicus Ecclae. Cath. Cracoviensis etc.— *Schleuen fec. Berlini.*— Wys. c. 7.

Martinus Comes in Zaluskie *Zaluski* Episcopus Dresnensis, Suffraganeus et praepositus Plocensis, Dux Sielunensis etc.— *Schlauen fec.* Wys. c. 7.

J. Zamojski.—Z boków popiersia ośm zdarzeń z życia jego. U dołu widok: Cracovia ab obsidione feliciter liberata. *Moreau del.* 1789. *Massard sculp.* Wys. c. 8.

Joannes *de Zamoscio* Cancellarius et summus Dux Exercituum Regni Poloniae. in 4.

Johan *de Zamośćio* Cancellarius Regni Poloniae. Małeńka rycinka, Wys. c. 2.

Jan Zamojski, popiersie. Z dzieła: Myśli o pismach polskich in 8.

Zaręba Confederationis Marszał in Polen. Postać na koniu z pałaszem w rękę. U dołu sześciowiersz. *N-ro 32. Joh. Martin Will excudit Aug. Vind.* Wys. c. 12.

* * *

Nakładem ś. p. Gwałb. Pawlikowskiego, wyszły za granicą rytowane wizerunki w jednakim kształcie tych mężów: Jerzy *Zenowicz, Sułkowski*; Karol *Piątkowski*, Paweł *Jerzmanowski*. in 8.

(Dalszy ciąg nastąpi).



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

Niedawno zamieściła Bibliotekà Warszawska naukę o stawianiu konduktorów podług tego, jak została ogłoszona przez delegacyà złożoną z członków Akademii umiejętności paryzkiej. Ponieważ przedmiot ten jest nadzwyczajnie ważny, jako uzupełnienie więc w tym względzie poprzednich wiadomości, podajemy jeszcze i następne.

Lubo Akademia umiejętności paryzka nie ma zwyczaju rozbiierać prac drukiem ogłoszonych, czyni jednak wyjątek ze względu na dzieła napisane w językach zagranicznych. Taki był przypadek z książką bardzo zasługującą na uwagę p. W. Snow-Harris, wydaną z polecenia obudwóch izb parlamentu angielskiego.

Powyzsze dzieło obejmuje szereg dowodów tyczących się straty okrętów z powodu uderzenia pioruna; dołączone zaś są do niego trzy ryciny wyobrażające doświadczenia w celu okazania praw wyładowania się elektryczności.

Zbiór ten z dwojakiego stanowiska jest bardzo ważny: raz ze względu praktycznego stawiania konduktorów; powtóre ze względu naukowego. Znajduje się w nim przeszło 180 przypadków urzędownie stwierdzonych, tyczących się okrętów królewsko-angielskiej lub kupieckiej marynarki, uderzonych i uszkodzonych od pioruna. Oprócz tego obejmuje on wiadomość historyczną urzędową o 40 przypadkach okrętów marynarki królewskiej, na których urządzono stale z wszystkimi szczegółami konduktory elektryczne, poczem okręty te w rozmaitych częściach świata wytrzymały uderzenie silnej elektryczności atmosferycznej bez doznania najmniejszego uszczerbku.

Niegdyś okręty marynarki angielskiej straszliwe straty ponosiły od pioruna; bo w przeciągu pięciu lat, 40 okrętów liniowych, 20 fregat i 10 korwet z tego powodu stało się w części niezdatnymi do boju. Wyliczono 150 wypadków, w których zginęło 100 majtków, 250 było ciężko ranionych, a blisko 200

obalonych na pokład i to naraz po 20 lub 30 ludzi. W jednym z powyższych przypadków, okręt wraz z żaglami i masztami został zapalony. Z liczby 54 okrętów kupieckich uderzonych od pioruna, najmniej 18 było całkiem straconych, spalonych lub zatopionych. W czterech przypadkach uderzenia pioruna w okręt, zauważano przodowy maszt zgruchotany, chociaż wielki maszt miał na sobie konduktor opatrzony zwykłym łańcuchem.

Powyższe spostrzeżenia jedyne w swoim rodzaju, uważane ze względu nauki, nabierają nadzwyczajnej ważności z powodu, iż rzucają ważne światło na naturę i sposób działania wyładowującej się elektryczności z powietrza, skutki zniszczenia przez nią sprawiane i t. d.

Z baczного zastanowienia się i zglębienia czynów nagromadzonych przez czwartą prawie część wieku, wyprowadził p. Snow-Harris ten wniosek, że teoria konduktorów początkowo utworzona, nie jest wcale dokładną. Przekonany on jest, że konduktory nie przyciągają wcale pioruna; że ich działanie ochraniające polega wyłącznie na przedstawieniu mniejszego oporu, przy kierunku przebiegu lub wyładowaniu się elektryczności w ten sposób, że jeżeli droga piorunu przez konduktor nie jest taka, aby przedstawiała najmniej oporu, piorun wtedy się podzieli i uderzy w ciała otaczające, lub też pobliskie, co nazywa się pospolicie uderzeniem boczném. Przykład powyżej przywiedziony przedniego masztu zgruchotanego przez piorun wtedy, gdy wielki maszt miał na sobie konduktor i łączniki czyli sznury łączące; oraz wiele innych podobnych przypadków, zdaje się widocznie przekonywać, że konduktory nie wywierają swego wpływu na powierzchnią wielkiej średnicy, i że działalność ich jedynie na tém polega, iż w okolicznościach zwyczajnych otwierają drogę krótszą i mniej niż inne oporu przedstawiającą elektryczności, która ma spłynąć z chmury do ziemi.

P. S. H. sądzi, że dla osłonięcia od piorunu z zupełną pewnością okrętu lub budynku, potrzeba tak postąpić, aby całość budynku stanowić mogła tylko opór bierny; wtedy zaś z natury rzeczy tak będzie, jeżeli jest znaczna ilość metalu. Tym sposobem elektryczność gwałtownie się nie wyładowuje, czyli piorun nie powstanie, ale natomiast spokojnie spłynie we wszystkich kierunkach do ziemi, stosownie do swój natury i podług prawidła powyżej przytoczonego *najmniejszego oporu*, bez zrządzenia żadnego następnego uderzenia.

Wychodząc z tej głównej zasady, p. S. H. rozkazał posadzać na masztach i kadłubach wszystkich okrętów marynarki królewsko-angielskiej konduktory elektryczne szerokich rozmiarów, utwierdzone stale, i tak urządzone, że konduktory po sobie idące łączą się wspólnie i tworzą zawsze łańcuch ciągły, bez względu na ciśnienie wywierane na maszty i okręt, przez żagle lub inne ciężary.

Od 25 lat jak zastosowano powyższy układ, żaden z okrętów marynarki angielskiej, najmniejszego nie doznał uszkodzenia od pioruna, chociaż wiele z nich było wystawionych na gwałtowne burze w różnych częściach świata. Tym sposobem przypadki uderzeń piorunowych znikły z dziejów nowoczesnych marynarki wojennej angielskiej.

Podobny sposób stawiania konduktorów na budowlach lądowych, starano się zastosować w nowym królewskim pałacu w Westminster.

* Wiadomo, że dzisiaj metal **glin** (aluminium) pomimo jeszcze wysokiej ceny (kilogram kosztuje około 200 franków); z powodu swych szacownych własności, zaczyna już wchodzić w użycie techniczne. Nie zastanawiając się nad temiż własnościami, które podaliśmy już w poprzednich numerach Biblioteki Warszawskiej; opiszemy niektóre jego spize (aliaże) ze względu na ich zastosowanie techniczne, podług spostrzeżeń pp. Tissier. Opis ich pracy przywodzi się do następującej treści:

W ogólności glin, tak jak cynk, z trudnością łączy się z innymi metalami, które, lubo wprawdzie zwiększają jego twardość, ale pomniejszają za to klepalność. Glin z dwudziestą częścią żelaza lub miedzi jest prawie niezdatny do przerabiania; z dziesiątą częścią miedzi nabiera kruchości na podobieństwo szkła i w powietrzu czernieje; srebro i złoto niszczą także jego własności lubo w mniejszym stopniu. Spiz złożony z 5 części srebra i 100 glinu, ma jednak własności techniczne czystego glinu, ale jest trwalszy i daje się piękniej wygładzać. Jedna dziesiąta złota, nie niszczy klepalności glinu; ale za to jedna tysięczna część bizmutu tak psuje glin, iż ten łupie się pod młotem. Jedna dwudziesta glinu nadaje miedzi połysk i barwę złota, oraz taką twardość, że spiz złota używany na monetę, może być przez poprzedni porysowany; przyczem spiz glinu nie traci swjej klepalności. Dziesiąta część glinu wydaje z miedzią spiz barwy bladego złota, bardzo twardy i dosyć klepalny, zdolny nabrać blasku stali. Pięć części glinu ze 100 srebra, wydają spiz tak twardy jak srebro w monecie, która ma w sobie dziesiątą część miedzi.

* P. Hervé Maugon radzi ze względu na zdrowie mieszkańców miast, zastosować sposób używany w Leicester do oczyszczania kanałów. Polega zaś on na wlewaniu w nie mleka wapiennego, które osadzi natychmiast wszystkie ciała azotowe, poczem woda może być w rzekę wpuszczana bez obawy niedogodności. Osad wapienno-azotowy wysuszony nakształt cegieł stanowi wyborny nawóz. Tym sposobem otrzymuje się 30 na 100 azotu, zawartego w wodach kloacnych.

J. B...a.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Józef Korzeniowski wykończył komedią we trzech aktach wierszem p. n.: „Młody mąż”.—J. I. Kraszewski wkrótce nadeśle powieść, której treścią jest Gertruda Komorowska, téj saméj, której pamięć jej pierwszy obudził Antoni Malczeski w swojej Maryi. Wydawcy nasi nowych edycy Maryi zgłaszali się do p. Zakrzewskiego nauczyciela w Kielcach, który miał posiadać w odpisie dwie tragedye Malczeskiego: Helenę i Samuela Zborowskiego. Pokazało się teraz, że p. Zakrzewski tych odpisów nie ma, i że ta wiadomość umieszczona w życiorysie poety (w dziele: Cmentarz Powązkowski pod Warszawą) jest najprawdziwsza, iż na kilka miesięcy przed zgonem swoim Malczeski wszystkie swoje papiery spalił, i jak sądowe śledztwo wykryło po jego śmierci: „żadnych nie znaleziono papierów”.

— Dotąd wiedzieliśmy z podania tylko, że król Jan Kazimierz wpadł w ostatnią śmiertelną chorobę z powodu odebranych z Polski niepomysłnych doniesień, mianowicie o wzięciu przez Turków Kamieńca. Jeden z młodych zwolenników badań historycznych, zwiedzając niedawno stolicę Francyi, wygrzebał w łamecznym archiwum cesarstwa piśmienny dowód, że tak w rzeczy saméj było. Tym dowodem jest list kogoś z otaczających Jana Kazimierza, pisany do zakonnika w Paryżu w opactwie św. Germain des Prés. Oto wyjątek z tego listu, wypisany wiernie i z zachowaniem wszelkich niedokładności, niezupełnie, jak widać umiającego po francuzku korespondenta: „*A Moulins 5 Octobr. 1672. Mon très cher Père. Je ne vous diray que trois mots pour vous donner advis de la maladie du Roy qui a esté plus grande et perilleuse quelle ne paraist maintenant. S. M. a pris une melancholie si profonde du mauvais estat des affaires de Pologne que cela avec quelque disposition qui y estoit peut estre d'ailleurs luy a donné la fievre qui comença le 3 de ce mois apres midy par un petit frisson, mais sur le midy il tomba dans une espece de lethargie estant dans un assoupissement continuel et si grand qu'il le falloit tirer et pousser jusques a minuit pour l'veiller.*” (*Arch. gén. de l'Emp. Fran. K. 1332*).

Tenże, w przejeździe przez Gniezno, łameczne zwiedzając archiwa, wyczytał w jednym dokumencie (akta kapituły gnieźn. III) z r. 1492, co następuje: „*Turzi de impressa. Ibid. ex parte honeste Turzi civis Cracov. rogatu. est quis libros p. eum impressos Ruthenicos et alios imprimendos Sua Rma plas cum suis dominis admittet ad publicand qui dnus Rus Archpus axamiatos vot. dominorum inhibuit, ne publicarentur, nec imprimetur de cetero.*” Zdaje się to być dowodem, że Turzi był w Krakowie w końcu XV wieku jednym z tych drukarzy, którzy tam po Świętopełku Fiolu wydawali książki głoškami słowiańskimi, a o czém nie wspomina Historya drukarń Bandtkiego. Podający nam tę wiadomość, za miły obowiązek poczytał wyra-

zić oraz podziwienie swoje nad starannością, z jaką utrzymywane jest archiwum w Gnieźnie, i nad światłą uprzejmością, z jaką, za zezwoleniem prześw. kapituły, terażniejszy jej sekretarz J. X. Dyament, udzielał mu do przepatrywania skarbów swojej opiece powierzonych.

— Gazety nasze przygotowały nowe zasoby na rok 1857. Gazeta Warszawska jako stałych swoich współpracowników wymienia J. I. Kraszewskiego, Józefa Korzeniowskiego, Zygmunta Kaczkowskiego, Władysława Syrokomlę (Kondratowicza), Antoniego Nowosielskiego (Marcinkowskiego), Antoniego Pietkiewicza (Adama Pługa) i Tadeusza Padalicę (Zenona Fischa). — Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych ogłosiła, że w pierwszym kwartale drukować będzie w odcinku powieść Z. Kaczkowskiego p. n.: „Annuncjata“ z pierwszych czasów Stanisława Augusta: a następnie powieść J. Korzeniowskiego.

— Gazeta Codzienna skończywszy 25 lat bytu swego, z nowemi zasobami: „bez szumnych obietnic i nowych programatów (jak wyraża) pragnie w dalszém wydawnictwie zasłużyć sobie na względy i przychyłność łaskawych czytelników“. Do współpracowników tego pisma liczą się: J. K. Gregorowicz redaktor odpowiedzialny: J. I. Kraszewski, W. A. Maciejowski, Józef Sikorski, Henryk Lewestam, F. S. Dmochowski, Antoni Pietkiewicz, Seweryna z Ż. Pruszkowa, W. Sabowski, Wł. Wolski i w. i.

— F. S. Dmochowski obecnie pracuje nad wykończeniem swoich Pamiętników z zawodu literackiego, które w osobném dziele zamierza ogłosić. Będzie to wielce zajmująca i nauczająca praca, szczególnież owa chwila przełomu, kiedy tak zwana klassyczność ustąpić z pola zmuszoną została. F. S. Dmochowski w tej walce z romantykami ważny sam miał udział, a wszystkich piszących w Warszawie stale mieszkających, jak i chwilowo przebywających, miał sposobność jednych bliżej poznać, z drugimi żył w ścisłych znajomości i przyjaźni stosunkach. Gładkie i wprawne pióro tego pisarza, przy ważności faktów i obfitości szczegółów albo mało znanych, lub wcale nieznajomych, zapewnia temu dziełu dobre przyjęcie i upowszechnienie. Pragnęlibyśmy, ażeby autor nie usuwał ze swjej pracy strony anegdotycznej, i mnóstwa owych drobnych szczegółów, które tak doskonale malują ludzi tamtego okresu, a w niejednym żarciku, dowcipie, znajdzie czytelnik mocny rys charakterystyczny. Obszernych rozmiarów może to być dzieło, jeżeli F. S. Dmochowski zechce nam czasy i literatów odmalować od ostatnich lat Księstwa Warszawskiego do r. 1830.

— Jak wielką pomoc może dać fotografia badaniom archeologicznym, i zarazem młodym naszym malarzom, którzy poświęcili swój talent wyłącznie rzeczom ojczystym: dowodzą albumy fotograficzne Karola Bajera, i młodego artysty Marcina Olszyńskiego. Pierwszy, zabytki starożytności będące na wystawie w pałacu Potockich zdjął w najwspanialszych przerysach; drugi z jednej wsi Mazowsza (Starogród w Stanisławowskiem z nad rzeki Swidra) pozdejmował nie tylko widoki różne budowy chat, młynu wodnego, wnętrza stodoły przy młócce, obrzędu dożenek: ale w trzech oddzielnych gruppach przedstawił nam, to gromadę kmieci, to niewiast wiejskich, i młodych wyrostków. Charakterystyczne ich oblicza i postaci, stanowią wysoką wartość tych fotografii i wielki mo-

gą dać materyał dla naszych artystów, chcących prawdę i wierność oblicza naszych Mazurów w swoich utworach przedstawić. A prawda oblicza kmiotków naszych jak i postaci była niezbędną, bo widzieliśmy już nieraz jak młodzi malarze przedstawiali naszych włościan bez zachowania właściwego im charakteru w rysach twarzy, wyrazu, i przekrzywiali całą ich postać. Życzyć należy, ażeby wzięto się u nas do naśladowania tak szczęśliwego pomysłu we wszystkich okolicach kraju naszego, a wkrótce mielibyśmy obfite materyały dla naszych malarzy. Z album Marcina Olszyńskiego wspomnieć musimy: Chatę wiejską z chróścianym starym płótem, przed nią grupa dziewcząt, a na przedzie gospodarz w czapie, z ręką za pas założoną; część wsi z dwiema chałupami, i siedzącą drużyną kobiet, i młyn wodny o trzech-kołach: każda z tych fotografii mogłaby dać prześliczny pejzaż. W ostatku nadmienić jeszcze musimy o popiersiu starca z tejże wsi, a dawnego wojaka, które uderza szczególną oryginalnością i wyrazistością oblicza.

— Księgarz K. Bernstein ogłosił w taniem wydaniu broszurkę p. n. „Klejnoty poezji polskiej“ wybrane z dzieł najznakomitszych tegoczesnych poetów. Od niedawnego czasu spostrzegamy szczególnie poho-pnych naszych wielu księgarzy, do ogłaszania drukiem pism takich, za które nie czują się w obowiązku zapłacenia honorarium autorom. Widzieliśmy takie współzawodnictwo w wydaniu kilku naraz edycyi Maryi Malczeskiego, teraz zjawiają się wybory poezji. Zawsze to trochę godziwsze, jak owa piraterya księgarska, która grassowała przed kilką laty. Wtedy autorów naszych będących za granicą pojawiły się przedruki całych dzieł kilkotomowych, albo wyjątki obszerne najpiękniejszych poetycznych utworów. Opinia publiczna powstrzymała już nieco to łupieztwo księgarskie.

— Rapsod rycerski *Mohort* Wincentego Pola, dorazu pozyskał ogólny poklask. Jeden z młodziej generacyi w wierszu do autora *Mohorta*, taki nam kreśli obrazek naszych poetów w porównaniu z Polem.

„Inni porwawszy prawdy wiekuiste,
Wzniesli się z niemi w sfery takie mgliste,
I utonęli gdzieś w italskich chmurach:
Rycerze—ale tylko na lazurach.
Błyskają—myślisz że błyski mieczowe,
Że damasceńskie; gdzie tam:—księżycowe!
Dotknij, a oni i złote ich struny
W deszczu z brylantów spadną na laguny.
A wzrok od pługu wysłany za niemi
Znużon szukaniem, znów spada ku ziemi,
I woli patrzeć na skowronki boże,
Co mu nad skibą dzwonią, którą orze.
Inni wprost poszli drogi przeciwnemi:
Ci, duszą całą przyłgnęli do ziemi
I ziemię złocą: bawią się w kwiateczki,
W słowicze trele, w gwiazdeczki, w dzieweczki,
W obrazki świętych. w cacka wypieszczone,
Nawet—w najświętszą cierniową koronę.

A gdy iza czasem spadnie z ich piosneczek,
 To już perełka, brylancik, kwiateczek,
 Dowód miłości dla swoich niezbity,
 I ma w salonie efekt wysmienity.
 Tyś jeden został na tej wysokości,
 Gdzie leżą wodzów bezpotomnych kości,
 Gdzie wielkich ojców pokutnicze duchy
 Od wieków naród wzywają do skruchy,
 Gdzie powiewają znaki narodowe,
 I gdzie pokryte rdzą „klucze dziejowe.”
 One, tak nieme dziś, laski pasterskie,
 One, hetmanów buławy rycerskie.
 Tyś sam pozostał, choć nie brak ci skrzydeł
 Co i najszybszym orłom mogą sprostać;
 Aleś rozróżnił prawdę od mamidel,
 I wierny ojcom wolałeś pozostać,
 I duchem idąc za Bożym rozkazem,
 Błądzącym braciom stoisz drogokazem.
 Zatknąwszy szablę na ojców zagonie,
 Serdeczną rolę sprawiasz kmieciu Boży,
 A choć ból nieraz załamie ci dłonie,
 Patrząc na okół jak się w świecie sroży:
 Znowu do pługa wracasz po dawnemu.
 O! bo nie sobie ufasz, ale temu
 Co nas zapewnił: aby się nie trwożył
 Nikt, kto w Nim całe nadzieje położył.
 To też ci za to aniołowie biali,
 Przedziwnie wielkie szepcą tajemnice,
 I przed twém okiem, tak pootwierali
 Polskiego ducha głębokie skarbnice,
 Że jeno patrzeć, jak ci się odsłania
 Najgłębsza z wszystkich tajnia!”

— Ksiądz Adam Stanisław Krasiński kanonik katedry wileńskiej, bawiący w Petersburgu, w nader ozdobnym i starannym wydaniu, z rycinami, wydał nowy przekład wierszem, zabytku starożytnego: „Pieśń o półku Igora.” Wiadomo, że jeden z pierwszorzędných naszych poetów badaczy dziejowych przełożył wierszem ten pomnik poezji starosłowiańskiej. August Bielowski dał piérwszy poznać rodakom arcydzieło nieznanego piewcy. Przekład jego wierszem liczył się do znakomitszych utworów w literaturze naszej. Do tego dołączył wierne tłumaczenie prozą.

— Zapowiedziane „Bajki, powiastki, obrazki i wierszyki moralne dla dzieciaków różnego wieku” Tomasza Minasowicza, wyszły z druku nakładem księgarza Zygmunta Szteblera, w starannej i ozdobnej edycji. Autor, młodość spędziwszy w służbie b. wojska polskiego, a następnie oddany pracy rolniczej, wolne chwile poświęcił pisaniu tych bajek i powiastek, tak łatwo a wdzięcznie przylegających do umysłów młodocianych. Wiedziony piękną myślą, dążył do szlachetnego celu, aby surową nauką moral-

ną, podać w dostępnej i miłej postaci dla dziatwy naszej. Nie wątpimy, że dziełko to małe co do objętości, ale ważne co do treści i wpływu, znajdzie zasłużone przyjęcie i upowszechnienie.

— Znakomity historyczny nasz powieściopisarz, ukrywający się pod pseudonimem Bodzantowicza, po mistrzowskiem odmalowaniu nam czeigodnej postaci starosty wareckiego, pracuje nad oddaniem w wier-nych zarysach Kazimierza Pułaskiego syna jego. Miłość jego dla Franciszki Krasieńskiej może dać wątek do pięknej narodowej powieści. Wprawdzie „w Dzienniku Franciszki Krasieńskiej”, przez Hofmanową ogłoszonym, nie masz wzmianki o Kazimierzu Pułaskim: są przecież w zachowaniu prywatnym własnoręczne listy jego, dowodzące że się kochał w niej, że później Krasieńska zaślubiona królewiczowi synowi Augusta III, nie zapomniała o Pułaskim towarzyszu lat młodych i wspierała go w czasie pobytu jego we Francyi. Pułaski wierny tej miłości, spędził życie bezżenny, i zginął po bohatersku w Ameryce przy szturmie miasta Savannach, wpadłszy na czele oddziału jazdy francuzkiej i zdobywszy baterią angielską.

— Otrzymujemy wiadomość z Wilna, że badacz dziejów naszych Edward Kottubaj, zamierza ogłosić drukiem: „Galeryą Nieświezką.” Text da nam obszernę życiorysy przemożnego domu książąt Radziwiłłów, a wizerunki w drzeworytach dołączone zostaną. Nad drzeworytami temi pracuje Michał Starkman, wydawca „Kościołów Warszawskich.”

— Olejny portret założyciela „Muzeum starożytności wileńskiego”, Eustachego hr. Tyszkiewicza, ma być zawieszony w témże Muzeum, dla uczczenia zasług tego męża. W litografii p. Pecq oglądaliśmy pięknie odbity wizerunek Eust. hr. Tyszkiewicza, rysowany na kamieniu przez Władysława Walkiewicza. Wizerunek ten zaleca się i wielkiem podobieństwem, i prawdziwie artystycznym wykonaniem. Wyjdzie on w nowym zbiorze, który p. Pecq zamysła zeszytami ogłaszać, łącząc w nim portrety tak żyjących jak i zmarłych znakomitszych mężów naszych, wraz z widokami miejsc historycznych, oraz dawnych ubiorów, uzbrojenia, i szczegółów domowego życia naszych praojców. Text odpowiedni będzie dołączony. O ważnej i zajmującej tej publikacji wkrótce podamy obszerniejsze sprawozdanie.

— Dowiadujemy się z dodatku do „Czasu” że prawdziwym wynalazcą telegrafów elektrycznych jest nasz rodak: „Wojciech Lutowski” były uczeń Instytutu politechnicznego w Warszawie, który bawiąc w Londynie w obowiązkach inżyniera u profesora Wheatstone, temuż udzielił sweje odkrycie. Lutowski wyjechał do Rzplitej wenezuelskiej, a uczony professor pomysł jego w praktykę wprowadził i upowszechnił.

— Ziomek nasz Wielkopolanin Xawery Okulicki, dla otrzymania stopnia doktora praw w uniwersytecie wrocławskim, napisał i ogłosił drukiem rozprawę p. n. — „De Revaluatione et restitutione Matrimonii”. (Vratislaviae, Typis Roberti Nischkowsky, w 8-ce str. 36).

— Alexander hr. Przeddziecki w Gazecie Codzienniej ogłosił artykuł o zbieraniu dawnych napisów chrześcijańskich, które wraz z relikwiami św. męczenników dostać się mogły do naszego kraju. Przytaczamy go w całości:

„*Najdawniejsze napisy chrześcijańskie.*”

Muzeum chrześcijańskie w Rzymie wzbogaca się codziennie przedmiotami z pierwszych wieków chrześcijaństwa, odkrywanymi w katakumbach naokoło wiecznego miasta. Pomniki grobowe oznaczone są prawie wszystkie napisami, których zbiór stanowiłby ważny przybytek do literatury archeologii chrześcijańskiej. Zbiór ten rozpoczął od kilkunastu lat kawaler Jan Chrzeciel de Rossi w Rzymie. Nieodstępny towarzysz wielebnego ojca Macchi, któremu papież porучzył poszukiwania po katakumbach rzymskich, kawaler de Rossi pierwszy nowo odkryte napisy postrzega, odczytuje, i do swoich tabliczek przenosi. Jego zbiór napisów do kilkunastu tysięcy dochodzący, systematycznie na wieki i rodzaje podzielony, kosztem Stolicy Apostolskiej drukuje się w Rzymie. Pragnąc zbiorowi temu największą możebną doskonałość zapewnić, kawaler de Rossi zwrócił uwagę na wysyłane do wszystkich krajów katolickich relikwie, po większej części z katakumb wyjęte, a czasem wraz z kamieniem grobowym i napisem autentycznym przesyłane. Zdarzało się także, że w listach dowodzących autentyczności przesyłanych relikwii (w autentykach), umieszczano kopie z napisów znalezionych w katakumbach. Z prośbą o takie napisy, przy relikwiach przysyłane do Polski, udał się kawaler de Rossi za pośrednictwem mojem, do uczonych kraju tutejszego. Już jeden napis taki z kollegiaty łowickiej, uczonemu archeologowi rzymskiemu podałem. W kaplicy świętej Wiktorii bowiem, złożone są relikwie świętej w trumnie srebrnej, a czaszka jej w złotej tece, sprowadzona z Rzymu w pierwszych latach wieku XVII przez Henryka Firleja proboszcza miechowskiego, później biskupa płockiego, wreszcie arcybiskupa gnieźnieńskiego i prymasa. W ołtarzu św. Wiktorii na marmurze wyryty napis:

„*Victoria quae vixit annis XVIII quiescit in pace*”
(Wiktorja, która żyła lat 18 spoczyła w pokoju).

„*Haec tabula cum sua inscriptione reperia fuit supra corpus S. Victoriae in Cryptis Romanis via Salaria extra portam*”.

(Tablica ta ze swoim napisem znaleziona została nad zwłokami św. Wiktorii w katakumbach rzymskich, przy drodze Salaria poza bramą).

Ktoby podobne napisy, albo ślady napisów znalazł, proszony jest o nadesłanie ich w kopii dla uzupełnienia zbioru i dzieła kawalera de Rossi, bądź niżej podpisanemu, bądź redakcyom pism peryodycznych a zwłaszcza Pamiętnika religijno-moralnego, które raczą zapewne niniejszą wiadomość w szpaltach swoich powtórzyć“.

Alexander Przedziecki.

— Czas, dodatek miesięczny tomu IV, zeszyt 2 za listopad 1856 wyszedł z druku i obejmuje: Kilka słów o epoce w której rozkwitła bizantyńska sztuka, przez Józefa Kremera. O najznakomitszych tegoczesnych mówcach religijnych (część 3-cia, dokończenie) przez ks. Zygmunta Gollana. Trzy bajki Fr. Morawskiego. Nigdy i zawsze, czyli dwie siostry, dramat w pięciu aktach przez Maurycego Manna. Przegląd piśmiennictwa p. Lucjana Siemieńskiego. Kwestye i przymierza przez Maurycego Manna. Kronika. Gazetka Literacka. Dramat Maurycego Manna w 5 aktach, wzięty jest z naszego społeczeństwa i najnowszych czasów, bo rzecz się dzieje w 1847 roku. Postaciom wprowadzonym to zarzucić możemy,

że żadna prawdziwie narodowego typu nie ma. Nic ich rodowości nie cechuje, i zdaje się czytając ten dramat, jakby to był dobry przekład z francuzkiego, którego tłumacz napisawszy, że „rzecz się dzieje w r. 1847 w pałacu hrabiego na wsi, o 12 mil od Warszawy,” nie troszczył się już więcej z zastosowaniem i przerobieniem oryginału do polskiego zwyczaju i obyczaju. Główne postaci: hrabia, Irena, Juliusz, Moliński, i jakiś członek paryzkiego Żokéjklubu, Leon Zenowicz, nie są wcale naszymi postaciami w niczem: nietylko w rysach charakterystycznych, ale nawet i w mowie.

Pomimo to, dramat ten przedstawiony na scenie naszej, żywe obudziły zajęcie. Mówiąc o sztuce dramatycznej, nie mogę pominąć zdania, jakie w tymże zeszycie w Kronice czytamy w korespondencji z Krakowa i ze Lwowa, o przedstawieniu „Hrabiego na Wątorach” Wł. Syrokomli. Z Krakowa piszą: „Mieliśmy jedną nowość w teatrze: Hrabiego na Wątorach, potomka Romulusów i Cyrusów, właściciela srebrnej tarczy z godłem beczki i wiernego Szansopanszy, któremu na imię Baltazar. Hrabia na Wątorach jest ciężkim grzechem, który niełatwo przyjdzie Syrokomli zmasać: musiały chyba wykupić wszystkie co do jednego egzemplarza i spalić je na stosie ofiarnym dla przebłagania cieniów tych, którym ubliżył. Dlaczego u nas dramata historyczne nie udają się, dlaczego ten w wąsach, ów w tarczy herbowej widzi przeszłość? Bo nauka historii leży odłogiem, bo oprócz spisu ważniejszych zdarzeń, który szumnie nazywamy historią, nie mamy nawet jakich takich porządnie zebranych materiałów historycznych”. Sztukę Syrokomli grano także we Lwowie. „Kiedy pisarz swojski (słowa korespondenta ze Lwowa) fałszywe oblicze swego narodu kreśli, to podobny fantastyczny obrazek (nie wątpimy że jest tylko fantastycznym) nie zbawi od grzechu literackiego. Uderzmy się w piersi, mieliśmy i mamy swoje wady, ależ dlaboga! nie strójmy naszych przodków w wady cudze, boć i tym którzy nie żyją, sprawiedliwość się należy, nawet i na scenie. Właśnie też scena łącząc z przedstawieniem ułudę rzeczywistości, zaciera prawdziwe rysy historii u wielkiej części widzów”.

W przeglądzie piśmiennictwa bierze Lucyan Siemieński pod uwagę tomik poezyi: „Kwiaty i Kolce” przez Felicjana. (Felicjana Faleńskiego). We wstępie tłumaczy się Siemieński, dlaczego z takim upodobaniem mówi o utworach poetycznych.

„Może mi kto zarzuci, że zbyt często zajmuję się tym rodzajem literatury z uszczerbkiem innych rodzajów, że nadto wielkie daje miejsce poezyi, co może gniewać ludzi poważnych, nie mieć powabu dla umysłów lekkich, wstrętem nabawiać dusze pospolite, a tylko zajmować szczupłe kółko wybranych czytelników. Jednakże kto zważy niesprawiedliwą nierówność w kolejach literackiego powołania, kto się zastanowi nad niedorzecznością moralną dającą nieraz skandalicznej lub głupiej powieści stokroć więcej rozgłosu, sławy i dochodu, niż jakiemu szlachetniei czysto poetycznemu tomikowi poezyi, ten przyjdzie, jak mniemam, do tego przekonania i wniosku, że sumienie nakazuje, a uczucie słuszności wymaga, aby znalazło się gdzieś schronienie dla tych królów bez królestw, którzy wołają unieść swoje czyste godła, niżeli je kalać bezrozumnym oklaskiem”.

Po takim wstępie przystępuje do oceny samego utworu. „Nie pojmuję, przyznam się, jak się to stało, że w pewnym względzie nowy tok poezji Felicjana, pełność i obfitość natchnienia, bogactwo porównań i obrazów, a nadewszystko rączy lot liryczny i niezrównana artystyczność w plastycznym rysunku figur, zgoła te przymioty prawdziwego poetycznego talentu, nie wiem jakim sposobem uszły wzroku pisarzy dających sąd o nich po dziennikach“. Erotyków Felicjana nie chwali, ale między niemi znajduje kilka bardzo ładnych piosneczek, zalecających się prostotą i najszcześliwiej związaną całością. „Właśnie to misterne ujęcie całości, w której nic dodać, nic odrzucić, daleko wyżej cenię, niż najświetniejsze strofki i obrazki słabo zlepione ze sobą. Między innemi piosnka: „Rozmaryn“ nosi cechę skończonego artystostwa.

Miała sukienkę białą, gdym do niéj
 Z pożegnalnemi wszedł słowy;
 W pasie błękitną wstążkę, u skroni
 Wianuszek rozmarynowy.
 — Czym ładna tobie?— spyta nieśmiało.
 — Oh! co ty mówisz dziewczyno:
 Gdyby inaczéj kiedy być miało,
 Niech z łez mi oczy wypłyną!—
 Ona jak bluszcz, gdy drzewo obwinie,
 Splotem swych rąk mię obwija.
 — Albo ja będę twoją jedynie
 Albo nie będę niczyja.—
 W świat mię iść pchnęło. Wtém nagła zmiana
 W powrót mię pędzi myśl tkliwa,
 Wracam, dziewczyna moja wybrana
 W chłodnej trumience spoczywa.
 W sukience białej jak mieć ją chciałem,
 W przepasce z modrych wstążeczek,
 W światłych jéj włosach, nad czołem białem
 Rozmarynowy wianeczek.
 Złożyłem na jéj piersi dziewczęcój
 Wkrzyż obie rączki łabędzie:
 Nie będzie ona moją już więcéj,
 Lecz i niczyją nie będzie.
 I znów poszedłem gdzie wzrok poniesie,
 Idę przez ciernie i znoje,
 I znów mi spieszno stanąć przy kresie,
 Dziewczę bo czeka mię moje.

„Czegoż trzeba więcéj! Cała ta smutna historia-zamknięta w niewielu strofkach, a jest jakby długim romansem. Felicjan, znać to, kształcił się na dobrych wzorach, bo umie do wagi i harmonii przyprowadzać części, i tym sposobem tworzyć jakby z jednego odlewu swoje obrazki i posążki“.

„Najbardziej, zdaniem mojem, udatne kawałki, nacechowane niepospolitym artyzmem są te, które Felicjan złożył w uniesieniu dla świetnych wspomnień starożytnéj Hellady. W poezjach z motywów greckich,

jak i naszych słowiańskich, podziwiam w Kwiatkach i kolcach nadzwyczajną żywość w obrazowaniu, i niepospolity talent plastycznego uobecnienia nam każdej postaci. Są to rysy tak szczęśliwe, tak mocne i dobitne, że czytelnikowi odrazu wrażają się w pamięć, lubo częstokroć ku końcowi humorystyczny zwrot psuje poważny efekt początku. Jakże to piękny, jak skończony obrazek: „Zwycięzca Hippodromu”! Poeta stawia się w osobie szermierza w gonitwach wozowych, i jakby wyprzedzając polot kół warczących, z szalonym pędem lirycznym chwytą wszystkie uczucia i wrażenia jakie mogły przejść przez serce i głowę takiemu szermierzowi, co pędzi na złamanie szyi, aby tylko zyskał wieniec, i mógł go u stóp kochanki złożyć. Wszystko tu jest objęte, zupełne, ściśnione i nagłe, a tak uobecnione, że jakbyśmy gołym okiem patrzyli na ten sprzęg wichrowy, lecący w tumanie kurzawy; i druzgocący się u mety”.

Do równie szczęśliwych utworów liczy poezye p. n.: Tancerka Herkulanu, Bój-zabawa; Sprawa o królową. „Wszystkie te powiastki trzymane są w tonie epickim: ogromny w nich ruch i życie, plastyka figur nakreślonych częstokroć kilką potężnymi rysami, daje dobrą wróżbę, że śpiewak Kwiatów i kolców umiałby podołać i poematowi większych rozmiarów, w którymby postaci występowały samodzielnie, a nie jak teraz zwyczaj w rozwlekłych pogawędach, gdzie się wszystko opisuje lub opowiada, przeplatane częstokroć reflexyami dość prozaicznymi, a zawsze dydaktycznymi, opowiadającego. Porończe to dziecko epopei, tak się ma zupełnie do swojej matki, jak nasza zapieckowa epoka, do epok bohaterskich.”

Siemiński jako wytrawny artysta przeczuwa, że Faleński podołałby utworom większych rozmiarów ze wspomnień starożytniej Hellady. Nie omylił się w tém wcale. Znamy w rękopiśmie tego młodego poety wielkich rozmiarów poemat, z kilku pieśni złożony p. n. Termopile. w którym rozwinął, obok głębokiej znajomości tamtych czasów, cały talent poetyczny. Gdyby ten utwór wzniosły poznał Siemiński (a dotąd ukryty w rękopiśmie) sam jako wyborny znawca starożytniej Hellady, nie porównany tłumacz Homera, doznałby niekłamanej radości, że co przepowiada tu, już się ziściło. Obraz ten wielki, z pod prochów tylu wieków, w potężnych zarysach występuje na widownię, gra pełnem życiem i ciepłem, zdumiewa i zachwyca. Czytając ten utwór nie mogliśmy zataić podziwienia nad tym spokojem, powagą, a mimo to promieniejący prawdziwą poezyą. Posługuje tu, jak w wielu utworach Faleńskiego język jedrny, zwięzły (lubo czasem do przesady), i prawdziwie polski. Znać w nim, że nasz poeta, bo godny tego nazwiska, długo studyował zapomnianą literaturę Zygmunrowskich czasów. Z dziejowych naszych utworów, mamy większych rozmiarów (w rękopiśmie także) Psie pole. Utwór ten, może pomiędzy najlepszymi w Kwiatkach i kolcach stanąć na czele. Zbiorek ogłoszony jest tylko małą częścią tego, co napisał Faleński: i pewni jesteśmy, że nie zawiedzie tych nadziei pięknych, które powziął o nim Siemiński.

„Dziwiło mię (pisze w końcu swego rozbioru) dlaczego krytyka nie podniosła zalet humorystycznych piosnek rozsianych tak obficie w Kwiatkach i kolcach: czy ten rodzaj uważała zbyt lekki, lub nieznaczający dla swoich szczytnych poglądów i stanowisk?—Co więc, przestała

nawet autorowi przestrożę, aby nie wpadł w to, czém zgrzeszył Henryk Heine. Ależ ja sądzę, przestrzeń dzieląca Felicyana od autora *Romancero*, tak jest szeroka, że jeszcze nie ma obawy. Tymczasem ta mieszanina tkliwości i ironii, lekkości i filozoficznej głębi, miękkości i siły, tworząca naturę humorysty, zawsze należeć będzie do niezwykłych zjawisk w naszej poezyi, która niekiedy przystrajając się w chmurną powagę arcykapłańską, jakby dźwigała losy i przeszłość całej ludzkości, potrzebowałaby żeby jej ukazano prawdę w mniejszem zwierciadélku. W humorystycznych poezjach Felicyana można znaleźć tę żywą, swobodną, nieobrażającą nikogo żartobliwość w połączeniu z tą poetyczną sympatją, co umie czuć wszystko, zrozumieć i wyrazić. Myśl ciągle czujna, kapryśna, śmiała, z jednego ciągu wyobrażeń i przedmiotu rzuca się w drugi, aby jaką tajemnicę serca wyświecić, jaką sprzeczność natury naszej odsonić, jaką prawdę rozdętą jak balon przekłuć i do właściwej objętości sprowadzić. Dlatego też uśmiech, wesołość, polotność, towarzyszą kapryśnej i wałęsającej się wyobraźni, lecz ta niefrasobliwość, niedbająca niby o cały świat, jest tylko pokrywką dla cichego smutku lub łez. Właśnie owa nagłość wrażeń, owe sprzeczności coraz nowe, są treścią i tajemnicą humorysty, który może ogarniać naraz dwie strony życia, dzielić się między łzy i wesołość, i niezmordowaną fantazją ożywiać przedmiotybrane z najwyższych i najniższych sfer. Mogę powiedzieć, że właśnie ta strona humorystyczna jest u Felicyana najoryginalniejsza, co jeszcze nie znaczy, aby już nic nie zostawiała do życzenia; owszem, w wielu strofkach spotyka się pewne wymuszenie, dowcip naciągnięty, a o trywialność czasem tak blisko trąci, że prawie staje się płaskim. Kto ma przymioty humorysty, niepotrzebuje gonić za dowcipem: sam on przychodzi. Dlatego nie wszystkie piosunki są równej wartości, w wielu przecie znać że je artysta kreślił. Uczucie też artystyczne w wysokim stopniu wyrobione prowadzi rękę Felicyanowi, kiedy pisze swoje poezye. Mam niepłonną nadzieję, że w następnych płodach, jakie ogłosi, pójdzie jeszcze dalej, i pewnie przepisywać siebie nie będzie, ani trzymać się Hejnego."

— Pamiętnika religijno-moralnego nr. 12 za miesiąc grudzień 1856 r. wyszedł z druku i obejmuje z ważniejszych przedmiotów: Wycieczka letnia po Litwie, z poglądu religijnego, p. A. Muchlińskiego. O zapisach posagowych dla ubogich panien w Warszawie. Opis kościoła parafialnego we wsi Brańszczyku dyecezyi plockiej; ks. Bonifacjo Ostrzykowskiego: Wiadomość o domu przytułku urządzającym się w Warszawie dla niemowląt ubogich rodziców: (czerpana z źródeł urzędowych). Pobyt w Warszawie jego excellencyi arcybiskupa Chigi. W korespondencyi z Mohylewa czytamy rzewny i smutny obraz umierającego obywatela, ukąszonego przez psa wściekłego. Wiedział, że medycyna nie ma lekarstwa, i długo passował się ze śmiercią. W końcu tego zeszytu czytamy przemowę do czytelników podpisaną przez dwóch redaktorów X. A. J. Szelewskiego i J. K. Mętlewicza. Jest to sprawozdanie o tém piśmie wierne, wraz, rzec można, z treściwą jego historią od czasu powstania. Nie możemy pominąć bardzo ciekawego ustępu, a który dosadnie maluje ospałość pewnej warstwy czytelników. „Redakcja zachęcając zamożniejszych kapłanów do prenumeraty, przyjęła na sie-

bie koszta przesyłki pocztowej, i obniżyła nawet przedpłatę, w widokach pozyskania większej liczby czytelników. Te bezinteresowne jednak starania i ofiary, niezupełnym uwieńczyte zostały skutkiem. Niechętni wszelkiego rodzaju nauce i czytaniu, (choć takich na szczęście nie przeważa liczba), poczytali to za narzucenie sobie pism niepotrzebnych, a nawet jeśli uwłaczać najszczerzszym usiłowaniom i mozolnym a niewdzięcznym pracom naszym. Zmuszeni więc jesteśmy nietylko w naszym, ale w sprawie wszystkich naszych szlachetnych autorów i uczonych wystąpić. Autorstwo wszakże, ani wydawnictwo nie stało się jeszcze u nas zyskową spekulacją jak we Francyi i Anglii, gdzie redaktorowie i autorowie, na miliony i krocie zyski swoje obliczają. Powołanie autora lub pisarza utalentowanego jest prawdziwą misją od Boga natchnioną, dla oświecenia i dobra swych współbliźnich. Gdyby tacy ludzie, u których duchowe skarby nad ziemskimi jawnie przeważają, ubiegali się za samą doczesnością, za zyskiem lub czczym dymem sławy, niezawodnie innąby sobie obrali drogę, i zapewne przy swoich zdolnościach większeby zyski odnieśli, niżeli z mozolnej, pocziwiej pracy literackiej. Czemże jest bowiem pomysłność i majątki rzemieślników i fabrykantów naszych, w stosunku do klasy pismienniczej, do literatów? A przecież pierwsi nie potrzebują tyle się mozolić i nadwierać sił umysłowych i fizycznych, co drudzy. Oprócz ubóstwa, niewdzięczności, i trocha czci między małą garstką umiających pojmosferać ich ziomek, czegoż się kiedy dorobili z pism swoich, nasi uczeni autorowie i redaktorowie? Jednakowoż żadna siła nie wstrzymuje tych wybrańców społeczności w ich zawodzie, same nawet przeciwności zdają się hartu ich duszy dodawać. Tak i my ufni tylko w lepszą przyszłość, ujawszy się raz pługą, nie oglądamy się za siebie, i z rokiem następnym, dalej pracę naszą, na chwałę Boga, i pożytek ludzi prowadzić będziemy." Dziękować należy szanownym redaktorom Pamiętnika religijno-moralnego za te słowa pełne energii i prawdy. Możeby należało tylko mały protest położyć co do wyrażenia, że nie ma u nas wydawnictw spekulacyjnych. Przecież z pism codziennych w Warszawie wychodzących, dwa są dobrą spekulacją, i wydawcom przynoszą bogatsze zyski, niżli wielkie dobra ziemskie. Do wydawców należą księgarze, a ci biedy literackiej wcale niecierpią: porobili już majątki, żyją wygodnie i dostatnio za pracę i trud literatów naszych. Wracając do pomienionego sprawozdania, jeżeli redaktorowie Pamiętnika znaleźli „niechętnych wszelkiemu rodzajowi nauce i czytania w swojej warstwie czytelników, a do tego uprzedzonych i zazdrosnych o mniemane zyski: to i co do innych pism naszych, i w innej warstwie, jeszcze liczniejszej też same uprzedzenia, niechęć do nauki i czytania, a przenoszących zysk materialny nad wszystko, znajdujemy. Obecnie radzimy redakcyi Pamiętnika, ażeby dla zachęcenia do prenumeraty z bieżącym rokiem nową seryą tego pisma zaczęła: wielu bowiem, coby z chęcią prenumerowało Pamiętnik, niemając i niemogąc mieć zupełnego kompletu, wstrzymuje się od zapisów. Serya nowa, stanowiąca oddzielną całość, znajdzie oprócz dawnych i nowych prenumeratorów w niemalżej liczbie, tym więcej, gdy teraz przy staranności redakcyi, Pamiętnik już od lat kilku zyskał chlubny a należny zasłuzę rozgłos.

— Antoniego Wieniarskiego wkrótce wyjdą: „Szkice towarzyskie i obyczajowe: Warszawa i Warszawianie”. Dzieło we 2 tomach, nakładem księgarza Bernsteina.

— Tegoż autora komedia we 3 aktach p. n. *Warszawiany i Hreczkosieje*, ma być wkrótce przedstawioną na Teatrze Rozmaitości. Dobre przyjęcie dwóch sztuk: „Ulicznika Warszawskiego,” i „Nad Wisłą”, zachęciło autora do prac nowych na polu dramatycznym.

— Nakładem i drukiem S. Orgelbranda księgarza i typografa, wyszło dzieło p. n. „Zarysy filozofii katolickiej w czterech poglądach zawarte, przez Eleonorę Ziemięcką, poświęcone pamięci ks. Ignacego Hołowińskiego. W przedmowie autorka pisze: „Wydając to dziełko, nie możemy się wstrzymać od wyrażenia najżywszej wdzięczności naszej JW. prałatowi Wiktorowi Ożarówskiemu, JW. prałatowi Janowi Dekert, oraz W. X. kanonikowi Olszańskiemu profesorowi filozofii w Akademii duchownej Warszawskiej, za staranne przejrzenie tej pracy i światłe uwagi. Miło nam, że możemy poszczycić się takim świadectwem, i cieszymy się zarazem, że świadectwo to ma dziś taką powagę dla czytelników: niech ono nam wyjedna łaskawe przyjęcie pracy naszej i niech czystość naszych intencji, sumienna usilność w zgodzeniu wiary z nauką, osłonią niedostateczność, jakiej świecki pisarz, a mianowicie pisarz-kobieta, pracujący w takich przedmiotach, uchronić się nie jest w stanie. Szczera chęć odpowiedzenia naszemu zadaniu, jest jeszcze powodem, że mniej dbaliśmy o doskonałość formy, chętnie wielostronne względy następczające się myśli naszej, uzupełniając przypiskami. Poznawszy różne drogi wiedzy ludzkiej, lękaliśmy się wszelkiej dwóznacznosci, chcieliśmy dokładnie przekonania nasze uprzytomnić, i dlatego uboczne wyjaśnienia zdawały nam się godnymi uwagi czytelnika. Ostrożność ta tym była potrzebniejszą, że w dziełku tém chcieliśmy niejako położyć zasady nauki, którą następnie w tym samym duchu, w osobnych pracach rozwijać zamierzamy.” Znany wdzięk pióra pani E. Ziemięckiej, jasność wykładu i powaga przedmiotu, nie wątpimy, że pociągnie ku sobie wielu czytelników.

—•••••

OD REDAKCYI.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie w r. 1857 w tym samym porządku jak dotąd. Ulepszenia jakie zaprowadzone zostały, czytająca publiczność sama oceni. Prenumerujący na r. b. otrzymają bezpłatnie **Spis alfabetyczny i przedmiotowy** całej pierwszej seryi Biblioteki Warszawskiej z lat 16-tu, to jest od r. 1841 do 1856 włącznie.

—•••••

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.

Listopad, 1856.

Listopad 1856.

Dostarczenia Meteorologiczne w Obser-

watorium Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1g. 14m. 45s, 7 czyli w łuku 18°41'25, 75 na

wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stopniowy					PSYCHROMETR cz. sredn. dzienna	STAN NIEBA					KIERUNEK WIATRU					Wysokość wody spadłej w milim. z	
	6	10	4	10	6	10	4	10	6	10		4	10	6	10	4	10	6	10	4	10		
	god.rano	god.rano	godz. w.	godz. w.	god.rano	god.rano	godz. w.	godz. w.	god.rano	god.rano		godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
1	765.81	766.72	766.15	766.46	3°.1	1°.1	3°.6	3°.3	godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.	2.0		
2	765.69	765.30	763.67	761.72	0.4	0.9	0.8	0.0	pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	2.0		
3	759.09	758.70	757.01	756.65	0.6	0.4	2.1	1.8	poch. mgł.	mgła	mgła gruba	mgła lekka	PdW.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	2.0		
4	753.49	751.80	748.45	747.66	3.6	5.0	4.7	2.5	mgła gruba	lek. pochm.	lek. pochm.	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	2.0		
5	752.79	753.82	755.06	757.72	1.2	0.2	1.6	0.2	pr. pogod.	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	2.0		
6	750.53	760.85	760.64	760.19	1.3	0.7	1.3	0.1	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	2.0		
7	751.61	757.82	757.51	757.68	0.5	0.7	0.3	0.0	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	2.2		
8	755.21	754.12	749.28	745.03	0.0	1.2	2.1	2.7	pochmurny	poch. desz.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	2.2		
9	743.43	744.75	745.28	746.65	0.0	2.3	5.0	6.6	poch. desz.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	1.6		
10	746.57	746.70	745.11	744.74	8.9	5.8	2.2	2.1	pogodny	pogodny	pogodny	pochmurny	PdZ.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	1.6		
11	742.36	742.17	740.22	739.48	0.8	1.5	3.1	3.2	pochmurny	pochmurny	deszcz	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	2.0		
12	736.96	736.49	736.17	738.59	4.4	5.0	3.8	1.3	poch. desz.	poch. desz.	poch. desz.	poch. desz.	Pd.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	3.2		
13	737.71	737.50	740.08	742.77	0.8	1.4	1.2	0.9	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	5.4		
14	742.36	741.63	739.48	739.42	1.5	0.2	1.6	0.6	lek. pochm.	pr. pogod.	pochmurny	śnieg	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	2.0		
15	741.77	742.45	741.75	742.62	0.2	1.0	0.8	0.2	pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	2.0		
16	745.46	746.96	747.50	749.87	0.2	0.3	0.6	1.1	poch. śnieg	pr. pogod.	poch. śnieg	poch. śnieg	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	4.8		
17	753.12	753.94	753.09	749.17	5.7	5.0	2.5	0.7	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	4.8		
18	748.24	749.74	750.35	753.35	0.0	0.8	0.7	2.1	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	4.8		
19	755.94	756.74	757.00	757.39	5.7	4.6	3.4	7.4	pog. mgła	pogodny	pogodny	pogodny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	4.8		
20	757.00	757.25	755.56	755.66	11.1	7.9	3.2	5.7	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	4.8		
21	755.96	756.88	757.58	758.72	7.3	3.1	2.5	6.1	pogodny	pogodny	napój pog.	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	4.4		
22	757.15	755.92	750.48	744.61	5.9	3.1	0.1	1.3	pogodny	lek. zamgl.	pogodny	mgła	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	4.4		
23	741.01	741.68	740.61	739.90	1.4	1.6	1.8	0.8	poch. śnieg	poch. mgła	mgła	mgła	PdZ.	Z.	PdZ.	PdZ.	Z.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	4.4		
24	734.58	731.19	724.31	724.17	0.4	0.3	1.7	1.7	mgła	śnieg	mgła desd.	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	2.8		
25	723.63	725.32	730.15	733.40	0.2	0.5	3.1	4.3	pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	2.8		
26	738.07	738.43	738.87	739.28	6.9	5.8	4.6	6.4	pr. pog. śn.	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	2.8		
27	741.00	742.20	744.13	745.78	7.5	6.0	6.1	8.0	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	2.8		
28	747.24	748.21	746.41	743.51	9.7	8.7	8.7	11.4	lek. pochm.	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	Z.	2.8		
29	740.54	740.77	740.89	741.98	6.3	4.1	2.5	7.2	poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	2.8		
30	742.64	743.78	744.24	744.31	11.4	6.8	5.0	5.2	pogodny	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	PdW.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.	2.8		
Śre.	743.096	743.401	747.582	747.691	2° 83'	1° 45'	0° 61'	1° 51'														17.0	21.0

	m.	°.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	747.942	27	7.559
Najwyżej barometr dochodził d. 1 o g. 10 r.	766.72	28	3.884
Najniżej — — d. 25 o g. 6 r.	723.63	26	8.782
Dotąd ani razu w listopadzie barometr nie spadł tak nisko.			
Średnia zmiana dzienna barometru	5.192		2.302
Największa zmiana dzienna barometru d. 23—24 o g. 4 w.	16.30		7.226
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	2.297		1.019
Średnia temperatura listopada wynosi:	750.239	27	8.578
i ta jest niższa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	— 1°.69 C.	—	1°.35 R.
	3.12 „		2.49 „
Największe ciepło było d. 4 i 12 o g. 10 r.	+ 1.43 „	+ 1.14 „	
Największe zimno — d. 20 o g. 10 w. i 30 o g. 6 r.	+ 5.0 „	+ 4.40 „	
Średnia zmiana dzienna temperatury	— 11.4 „	— 9.12 „	
Największa zmiana dzienna temperatury d. 10—11 o g. 6 r.	2.725 „	2.180 „	
Termometrograf wskazał:	9.7 „	7.76 „	

Maximum: + 6°.2 R. d. 4 po połud.

Minimum: — 9°.2 „ d. 29 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 92.6, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 4.52 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 0.01 większa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 17.0 mil. czyli 7.54 lin. par.; z śniegu 21 0 mil. czyli 9.31 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 38.0 mil. czyli 16.85 lin. par. ilość ta wody jest o 3.63 lin. par. mniejsza od tej, jaka w listopadzie u nas spada.

Dni pogodnych było 4, napół pogodnych 3, pochmurnych 23.

— deszczu 7 (d. 1, 4, 9, 11, 12, 13, 24).

— śniegu 12 (d. 5, 7, 11, 13, 14, 15, 16, 22, 23, 24, 26, 29).

— mgły 6 (d. 2, 3, 13, 19, 23, 24).

Wichrów było 5 (3 Z., 2 PdZ.).

Wiatrów mocnych 15 (6 PnZ., 6 Z., 2 PdZ., 1 PdW.).

Wiatr panujący Zachodni, częste były także Południowo-Zachodnie i Południowo-Wschodnie.

Listopad r. b. był mroźny, niepogodny, wilgotny w śnieg obfity, o 2 i pół stop. R. zimniejszy niż zwykle. W pierwszej połowie był słotny i wilgotny; w drugiej mroźny i śnieżny, osobliwie w pięciu dniach ostatnich. Dwa razy tylko w ciągu lat 30 upłynionych miesiąc ten był podobnie, a nawet przešlo o pół stopnia mroźniejszy niż w r. b. to jest w r. 1837 i 1835. Najcieplejsze dni były d. 1, 4, 11, 12, 13; najzimniejsze d. 19, 20, 26, 27, 28, 29, 30. Barometr w tym miesiącu utrzymywał się bardzo nisko; zmiany barometru były częste i znaczne i tym towarzyszyły wichry. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był mniej pogodnym niż zwykle; w stanie bowiem normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 2,9:6,1:21; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 4:3:23. Trzy dni to jest d. 2, 3, 23 odznaczały się mgłą grubą. Wody ze śniegu spadło o 3.02 lin. par. więcej niż zwykle. Pierwszy śnieg tej jesieni spadł w nocy z d. 4 na 5. Stan wody na Wiśle pod Warszawą najwyższy dochodził stóp 3 cali 8 d. 21; najniższy stóp 1 cali 6 d. 23, 24, 25.

MAZEW.

PRZYCZYNEK DO HISTORII WIEJSKICH I MIEJSKICH OSAD W POLSCE.

PRZEZ

W. A. Maciejowskiego.

I.

MAZOWO, MAZOW, MAZEW.

Na pograniczu dawnych księstw łeczyckiego, gostyńskiego i kujawskiego leży, między miastami Łęczycą i Krośniewicami, rządowa wieś Mazew, w okolicy przed trzystu laty lesistej, a dziś ogołoconej nietylko z borów i krzaków lecz nawet z polnych cierni i chróstów, które wycięto na płoty i paliwo w niedostatku samorodnego drzewa. Chceszli go mieć teraz, wysadzaj niém drogi, i co chwila dosadzaj nowo, bo co posadzisz to ci połamie i zniszczy przechodzień, urągając twój pracy i skrzętniej na przyszłość oględności. Nie tak bywało tu przed wieki: albowiem, jak miejscowego kościoła uczą akta, miał jeszcze r. 1521 tutejszy proboszcz swoje lasy, których dziś bynajmniejszego nie ma śladu. W tychto przez cały kilkomilowy, który tu rząd pruski niegdyś założył, mazewski amt rozciągających się puszczech, osiadłszy przed pięćset laty, jeżeli nie dawniej, mazowieccy za ze-

zwoleniem książąt łęczyckich bartnicy dali nazwę założonej od siebie włości, która od Mazowszan nazywając się Mazowem uzyskała dzisiejsze przez zamianę ona e miano. Z Mazowa więc powstała w zeszłym wieku wieś Mazew i tak się nazywa obecnie. Różne ona przechodziła koleje. Będąc niegdyś sama w sobie czyli nie mając folwarku, dostała go i pod jego przeszła zarząd, z przyczyn następujących.

Jak z innych tak i z téj włości ciągnięte dochody i wszelkie korzyści zapisawszy książęta dla archikollegiaty łęczyckiej, stali się powodem, że kollegiaty tejże przełożony czyli tak zwany kustosz, założył dwór w Mazewie dla siebie i swoich następców: z kąd powstał folwark, i zamiana wsi z rządowej na włość prywatną. Ato-li prywatną została się ta wieś na pozór tylko, gdyż rzeczywiście była nią o tyle tylko, o ile jest nią i dziś: ten albowiem, co w niej włada, dzierżawcą jest rządowym; w jego imieniu sprawuje we wsi opiekunczą nad kościołem a nad gromadą wójtowską władzę, czynsze ustanowione od rządu pobiera, i wszelkie z folwarku ciągnie korzyści; a z resztą ma włościan sąsiadami, gdyż ci są takimiż co sam posiadaczami wsi, czyli są i oni również rządowemi dzierżawcami. To téż nie w innym charakterze wystąpił r. 1387 kustosz łęczycki w dziedzictwie, lub, jak się akt urzędowy z r. 1416 wyraża, we włości i dziedzictwie mazewskim (1) do archikollegiaty łęczyckiej należącym. Pobierał on ze wsi czynsze, a z folwarku ciągnął wszelkie korzyści, będąc wieczystym jego posiadaczem. A jak dziś rząd postąpił sobie według upodobania z włością, z pańszczyznianej czynszową za zniesieniem się z dzierżawcą uczyniwszy ją, tak i w r. 1416 na wstawiennictwo o to do króla przez samegoż uczynione kustosza, zrobił ze wsi Mazewa mia-

(1) *Inter haereditates Mazowo et Zelénowo*, wyraża się akt z r. 1387; *in villa et hereditate Mazow ad custodiam Ecclesie Collegiate Sancte Marie Lanciencensis Gnesnensis diocesis*, mówi akt z r. 1416.

sto, opiekę nad niém temuż kustoszowi oddawszy. Ten za zniesieniem się zapewne z archikollegiatą zapisał Mazew, który z miasta na włość znowu nie wiadomo dla jakich przyczyn już r. 1521 zamieniony został, czyli oddał go na rzecz arcybiskupa gnieźnieńskiego, (z kąd Mazew włością arcybiskupią nazywał się odtąd), zachowawszy przy sobie samą tylko dziesięcinę wytyczną pobieraną od włościan, tudzież ciągniony z propinacyi dochód. Następnie, ale nie wiadomo w którym roku, odstąpił arcybiskup swój zapis księżom Missyonarzom gnieźnieńskim, którzy stawszy się przez to dziedzicznymi również Mazewa posiadaczami, dziesięcinę ową Łeczyckiej kollegiacie jeszcze r. 1728 i 1789 opłacali. Zaciśnięci kapłani ci, więcej o włościan niż własne dbając dobro, gdy tak niedołążnie gospodarowali w swojej posiadłości, że nie mieli z niej przyzwoitego utrzymania, zrzekli się swęj własności, i pod rozporządzenie konsystorza łowickiego, nie wiadomo kiedy ale w latach 1789—1793 nie zawodnie, oddaliją. Po drugim kraju rozbiórce i dóbr duchownych na rzecz skarbu królewsko-pruskiego zabraniu, stał się Mazew siedliskiem rządowej na pięć mil, jak wyżej rzekliśmy, rozległej z poza Łeczycy aż pod Kłodawę rozciągającej się ekonomii. Po utworzeniu księstwa Warszawskiego zmienił się skład ekonomii tejże. Zmniejszona w granicach swoich składała się z dóbr soboczkich i Mazewa tylko, i chodziła, ale nie w wieczystej lecz kilkonastoletniej dzierżawie. Gdy rząd królestwa polskiego darował por. 1832 z drugich dóbr swój dochód, czyli Sobotkę z przyległościami na donacyą obrócił, stał się Mazew tak zwanym odpadkiem, czyli jedyną z ekonomii mazewskiej na części rozpadłej rządową włością. Tę ażeby zadzierżawił, zaproponowała donataryuszowi władająca rządowemi dobrami komisya przychodów i skarbu; na co gdy on przystać nie chciał, pozostał się Mazew przy dawnym dzierżawcy aż do ekspirowania mu kontraktu. Wtedyto zgłosił się autor tego

artykułu do rządu z prośbą, ażeby rzeczony odpadek raczył mu dać w długoletnie posiadanie; na co gdy łaskawie zezwolił tenże, zawarty przezeń kontrakt z komisją skarbu zapewnił mu posiadanie Mazewa na lat trzydzieści od r. 1846 począwszy, za sumę anszlagową i z prawem do odpadków przywiązaniem. Objęte w posiadanie dobra odstąpił tenże synowi swojemu, zlawwszy nań wszelkie służące sobie do Mazewa prawo.

II.

POWÓD NAPISANIA HISTORYI MAZEWA I UŻYTE K'TEMU ŻRZÓDŁA.

Gdy według dawnego składu rzeczy zostaje przy dzierżawcy wsi i posiadaczu folwarku opieka nad włością Mazew, i gdy z mocy kontraktu zawartego z rządem wójtostwo téż i przewodnictwo w zgromadzeniu kościelném mazewskiej parafii do niego należy, przeto do syna mojego, jako swojego reprezentanta, udali się w roku zeszłym włościanie, prosząc, ażeby raczył upowszechnić na ich koszt własny przez druk dane im niegdyś od księży Misyjonarzów „prawo”, zwłazsza gdy papierowy jego rękopis nadwątlony został przez czas, i obawa jest że może zmarnieć: rozumieli przez to włościanie statut bractwa, o którym niżej pomówimy. Gospodarstwem zajęty będąc syn mój prosił bym go w tém wyreczył, czegom się tém chętniej podjął, gdy uważając ten krok za pewny rodzaj postępu w cywilizacyi mazewskiego ludu, mniemałem, że może to zachęci i inne bractwa kościelne licznie po naszym rozsypane kraju, do ogłaszania drukiem swych statutów, a przez to do pomnożenia dla przyszłego historyka włościństwa w Polsce materyatów dziejowych. Niechno bowiem, pomyślałem, zbiorą się bractw kościelnych statuta, i jakkolwiek wyłożą osad wiejskich dzieje, to już tém samém zrobi się pierwszy krok do napisania historyi polskiego ludu, i zasługa tych,

którzy się cywilizacją jego opiekowali i opiekują pokaże się w pełni. Przez to sprostuje się nie jedno mylne zdanie, jakie dotąd o polskich właścicielach i osadnikach wiejskich krąży w kraju i za granicą. Tą powodowany myślą zacząłem szukać materyałów do napisania historyi Mazewa i znalazłem je: naprzód w resztkach najdawniejszego archiwum ziemskiego łęczyckiego, obecnie w Warszawie w zbiorze dawnych archiwów przy trybunale cywilnym pierwszej instancji utrzymywanych, przechowującego się, z kąd wydobyty akt do r. 1387 odnoszący się, w tomie VI obecnie drukującej się Historyi prawodawstw ogłoszę. Drugim źródłem jest akt lokacyjny miasta Mazewa r. 1416 na wiecy czyli sejmie w Żarnowcu przez króla Władysława Jagiełłę odbyty dany, a w tomie wtórym Dyplomatarjusza polskiego w Warszawie od r. 1847 drukiem ogłaszanego znajdujący się na stronicy 382. Trzecim źródłem są akta kościelne mazewskie i słaboszowskie, z których wyjęty spis dochodów kościoła parafialnego Mazewa z r. 1521 pochodzący, wydrukuję przy końcu artykułu tego, resztę zaś cokolwiek z tychże wyczytałem aktów ważnego przywiodę niżej w treści. Czwartym nakoniec i ostatnim źródłem są akta królewsko-pruskiej ekonomii mazewskiej, w których posiadaniu syn mój zostaje. Źródło to jest najmniej wagi, o dochody bowiem z ekonomii ciągnąć się dające, a nie o historią Mazewa troszczyli się pruscy urzędnicy.

III.

KOŚCIÓŁ I SZKOŁA; PARAFIA MAZEWSKA.

Zaczynając rzecz od chwali bożej zwracam uwagę czytelnika na to, że dopiero w akcie lokacyjnym miasta Mazewa znajduje się pierwsza wzmianka o istniejącym, zapewne już od czasu założenia włości, parafialnym koście-

le, pod wezwaniem tém, co i dziś jeszcze. Parafia tutejsza na samym tylko Mazewie w długie ograniczała się czasy. Jagiełło stanowiąc wnowo założonóm mieście kilkudniowy w dzień S. Jana Chrzciciela rozpoczynać się mający jarmark, upoważnił nas do twierdzenia, że pod imieniem pomienionego świętego został niewiadomo kiedy we wsi Mazewie założony kościół. Tegoż atoli świętego wymieniając akt z r. 1521, dodaje kościołowi za patronkę i Katarzynę świętą, która dziś nie ma nawet ołtarza w kościele mazewskim, i nie jój téż, ale samego tylko świętego Jana uroczystość obchodzi się tamże rokrocznie w d. 24 czerwca odpustem. Długo a długo przestawała parafia na jednéj wsi tylko: lecz już przed r. 1812 przybyły jój dwie szlacheckie włości, Rzętków zapewne i Zieleniew; a w roku pomienionym trzynaście takichże dostało się jój, przez co powiększyła się liczba wiernych tak, iż dziś z wsi szesnastu składając się mazewska parafia liczy 1790 osób płci obojój. Niestety sąsiedniej parafii słaboszowskiej, wyszło jój, jak się to pospolicie dzieje, na szczęście. Ludna wieś szlachecka Słaboszow była w końcu zeszłego i na początku teraźniejszego wieku świadkiem zajść nieprzyzwoitych, między dziedzicami jój a proboszczami zdarzanych. Akta słaboszowskie świadczą, że w r. 1721 Wawrzyniec Grabski skarbnik i Józef Grabski podczaszy łęczycki, bracia rodzeni, w Słaboszowie wspólnie gospodarujący, znieważyli na osobie i uszkodzili na majątku księdza Wita Borowskiego plebana swojego; że w roku 1812 Franciszek Morzkowski Słaboszowa dziedzic nie chciał, dla gorszących sporów jakie miał z proboszczem, łożyć kosztu na naprawę budowli podupadłego kościoła. W skutek czego rząd księstwa Warszawskiego kazał zamknąć kościół, a parafią z 27 wsi składającą się na przyległe parafie, siedlecką, topolską, wituńską, grabowską i mazewską rozdać, mimo zabiegów o to dziedzica, który, pomiar-kowawszy się że zbłądził, chciał złe naprawić, byle mógł

parafią odzyskać. Na podaną sobie o to prośbę dał przez generalnego oficyała swego łowickiego r. 1815, ówczesny arcybiskup gnieźnieński Raczyński odpowiedź, że dla dobrze wiadomych dziedzicowi przyczyn parafia Słabuszowowi przywróconą być nie może. Okoliczność ta postawiła dochody probostwa mazewskiego w lepszym jak dotąd były stanie. Miał r. 1521 proboszcz utrzymanie z roli, łąki i lasów, z placów miejskich, z dziesięciny snopowej od folwarku, a zbożowej od mieszczan, prócz me-sznego (fundacyi na odprawowanie osobno kilkumyśi ś. do roku) w zbożu i pieniądzech pobieranego. Miał nadto dziesięcinę snopową i pieniężną na wieś Romartów włas-nością archikollegiaty będącą, przekazaną sobie od ku-stosza, chociaż wieś ta, o dobrą milę od Mazewa odle-głą będąc, do parafii innéj należała i należy. Oprócz tych rozlicznych dziesięcin dawali mieszczanie mazewscy osobną jeszcze w snopach kustoszowi archikollegiaty dziesięcinę. Nie wiadomo ile pieniędzy wszystko to na ówczesną monetę wynosić mogło; nie wiadomo téż dla jakich okoliczności dziesięcina ta zmniejszyła się na po-czątku XVIII wieku o tyle, że ledwo złotych polskich 920, groszy 22, denarów 47 wynosiła, nie licząc w to opłaca-néj przez niegdyś mieszczan a teraz znowu włościan ma-zewskich kustoszowi: chociaż bowiem odstąpił tenże proboszczowi dziesięciny, jednakże nie dał mu całej, ale część tylko. Tytułem téj części brała w r. 1728 archikol-legiata od mazewskiego probostwa zł. 150 z dodatkiem korcy 13 i dwóch ćwiartek owsa. Dziś jeszcze po znie-sieniu przed r. 1831 archikollegiaty, opłaca proboszcz tę dziesięcinę dla skarbu królestwa, wnosząc ją do kassy powiatowej łęczyckiej, ale owsa nie daje. Że taki był stan dochodów probostwa, poświadczyli to r. 1789, zasia-dający w ówczesnej kommissyi cywilno-wojskowej łę-czyckiej panowie, a mianowicie: Jan Saryusz Stokowski podkomorzy województwa łęczyckiego, tudzież członko-wie kommissyi tejże, czyli kommissarze: Rupert z Skrzyń-

na Dunin chorąży, Władysław z Wardeżyna Wardęski wojski, Wojciech Byszewski skarbnik. Obecnie atoli są dochody proboszcza daleko większe; albowiem oprócz dziesięciny romartowskięj w zbożu pobieranęj, płaci mu folwark mazewski zł. 615 gr. 6, a włościanie zł. 820: nie wchodzą w to dochody parafialne stałe i niestałe.

Nie pytając o to, czy razem z kościołem założono szkołę parafialną, pewną jest rzeczą, że ona już r. 1521 istniała w Mazewie; że ją pod swoim zarządem wyłącznym miał proboszcz, a może i sam w niej uczył, mając podówczas nader małe w parafii zatrudnienia. Fundusz szkolny składał się wtedy z placu i ogrodu. Dziś prócz mieszkania i opatu z rządowych pobieranego lasów, ma nauczyciel morgę roli na ogród i zł. 600 pensyi rocznej.

IV.

WIEŚ, FOLWARK I MIASTO MAZEW.

W lesistej Polsce chętnie to widział rząd krajowy że przybywał zkadınąd osadnik, by hodować pszczoły i karczować las, tudzież uprawiać wykarczowaną rolę. Piérwszy lat dziesiątek siedział na roli swobodnie, nie zgoła nie płacąc nikomu; za następne lata płacił już czynsz umówiony, dając go w pieniądzech lub produktach, lub téż roboczną odpłacając się zań. Pobierany czynsz takowy ustępował panujący w łęczyckiej ziemi książę komu chciał wyświadczyć łaskę. Obdarowany dochodami włości brał na siebie obowiązek administrowania wsi i sądzenia włościan; jeżeli kogo z nich skrzywdził, wglądał w to monarcha: co trwało aż do r. 1416, w którym włość Mazew zamieniono w miasto. Król Władysław Jagiełło, jak rzekliśmy, oświadczył na wiecy (na sejmie), na początku sierpnia owego roku w mieście Żarnowcu pod Krakowem odbytej: „że gdy z wyprawy na krzyża-

ków wracając, miał we wsi Mazewie, kolegiaty łęczycyckiej, jak się wyraził dziedzicznej, a w dyecezyi gnieźnieńskiej i łęczycyckiej ziemi leżącej, stanowisko swoje, wtedy mieszkańcy téj włości nie mało szkód ponieśli przez wojsko. Chcąc więc szkody te wynagrodzić im jakkolwiek, przychylił się do prośb księdza Kielczona z Brzowa kustosza kolegiaty rzeczonej a swojego kapelana, ażeby pomienioną wieś raczył na miasto zamienić, i miastu temu Mazowom-Kielczona nazywać się dozwolił. Na co przystawszy, mówi dalej król tenże, ustanowił jeden jarmark do roku z dniem świętego Jana Chrzciciela zaczynać się i przez dni trzy trwać mający; tudzież na tygodniowe co drugą niedzielę tamże odbywać się mające zezwolił targi, ubezpieczywszy je takimi prawami, jakie służyły praktykującym się w Łęczycy jarmarkom i targom. Przeniósł téż włość Mazów z polskiego na magdeburskie prawo, osobne dla niej pod prezydencyą własnego wójta (sędziego), tak cywilne jak i kryminalne urządził sądy, nad któremi opiekę zlał na pomienionego księdza Kielczona, rozkazując mu by czuwał nad dobrem nowo założonego miasta, i nikomu prócz monarchy wtrącać się w jego nie dozwolił prawa."

Mazew stawszy się ze wsi miastem w czémże swój los polepszył? Polepszył go w tém, że zamiast robić pańszczyznę płacił odtąd czynsze, i prócz podatków nadzwyczajnie dawanych, tudzież służby wojskowej w piechocie, bo w konnicy sama tylko służywała w dawniej Polsce szlachta, żadnych nie ponosił zgoła ciężarów. Zostawał zaś do nadanego sobie przez rząd wójta w témże, co dawniej i dziś do dzierżawcy zostaje stosunku. Wójt osobną rolą uposażony będąc, co mu za pensyą starczyć miało, pełnił te same obowiązki co niegdyś dzierżawca, który po zamienieniu wsi na miasto przestał istnieć w Mazewie. Te same przeto co idzisiejszy wójt gminy, tylko na większą rozłożoną skalę, miał wójt ówczesny zatrudnienia: rządził mieszczanami i sądził ich, kola-

tora i opiekuna szkoły zastępował miejsce, bronił praw miejskich nikomu się, w moc postanowienia króla Jagiełły, mieszać do nich nie pozwalając. Nadzieja lepszego mieszczan mienia polegała na przemyśle i handlu: jakoż pojawiły się w mieście rozliczne zabudowania (tabernae stawiane na placach miejskich, w których jednakże mieszkający przemysłowcy rolą się raczej i wyrobnictwem niż rzemiosłami zatrudniać musieli, gdy od osadzonych w budynkach, które proboszcz powystawiał pobierał tenże nietylko czynsze lecz miał i robocizny, do których, a mianowicie do kośby siana i kopania gliny byli mu oni z mocy kontraktu obowiązani. Takie budynki stawiał w mieście kustosz i dochody z nich podobne ciągnął; co właśnie dowodzi, że jak innych miasteczek polskich a nawet miast mieszkańcy, tak i mazewscy obywatele, trudniąc się więcej rolą niż rzemiosłami i handlem, zasłużyli, by też o nich i mieście ich powiedziano: „że jest jak wieś, a jego mieszczenie jak chłopi.“ I nie mogło być inaczej, skoro w okół Mazewa leżały dawne więtość wielką mające miasta, Kutno, Łęczycza i Kłodawa mianowicie, które ciągnąc do siebie wszelkie korzyści z handlu, przywiodły o upadek nietylko jarmarki lecz i targi mazewskie. To zapewne było powodem, że w lat sto po swojej lokacyi wsią znowu a nie miastem będący Mazew, powrócił do dawnego stanu, i że w końcu dzierżawą jak rzekliśmy chodził, nie będąc nawet oczynszowaną lecz pańszczyznianą włością. Tylko nowi, za rządu księstwa Warszawskiego na opustoszałych osadach przez Bielskiego owczesnego dzierżawcę ulokowani Niemcy, czynsz opłacali; włościanie zaś polscy ręczną i sprzężajną robotą uiszczali się folwarkowi za użytkowanie roli.

Autor artykułu tego robiąc kontrakt z rządem dzierżawę wsi i folwarku Mazew, wziął na siebie obowiązek „urządzić i oczynszować włościan kosztem własnym jednocześnie z dobrami Sobotka donacyjnymi“; gdy nie-

pewny był tego, czy rychło sobockie dobra czynszowane będą lub nawet czy kiedy będą, i gdy pragnął przyjść w pomoc włościanom, którzy sobie bardzo czynszowania życzyli, nie chcąc być w gorszym od niemieckich osadników prawie; na to bacząc tenże podał zaraz następnego roku po wnijsciu w posiadanie dzierżawy prośbę do komisji rządowej przychodów i skarbu, ażeby mu czynszować natychmiast mazewskich włościan dozwoliła. Komisja rządowa chętnie się do tej prośby przychyliwszy, postanowiła, ażeby wespół z Mazewem i Sobolka, jako jedną z nim stanowiącą niegdyś całość, czynszowana została. Z pięciudziesiąt przeszło włók obszaru mazewskiej ziemi, przypadło na folwark dwanaście włók ornój roli; resztę dano w posiadanie gromadzie, z gospodarzy i komorników złożonej. Tym sposobem wrócili znowu Mazowiaki do stanu w jakim zostawali przed wieki, który nie był od terażniejszego lepszy, cywilizacją ludu może wyjąwszy.

V.

BRACTWO I JEGO STATUT.

Zanim się nad tą cywilizacją zastanowimy, zapytajmy kto ją tu zaszczeplił przed wieki? Zaszczeplił ją kościół katolicki i szerzył przez szkołę, cywilizując dalej pierwotnego, przez rolnictwo, rzemiosła i przemysł cywilizowanego osadnika; wiadomo albowiem z dziejów, że zakładając po lasach nowe osady, zajmowali się Mazowszanie rolą i bartnictwem, stanowiąc cech bartniczy statutowo urządzone. Że i w Mazewie był niegdyś cech takowy, i miał swoje, podobne do istniejących w XVI wieku tu i owdzie na Mazowszu prawa, wnoszę z napomnień o tém w statucie bractwa r. 1779 postanowionego. Skoro albowiem po wycięciu lasów upadło tak dalece bartnictwo, że dziś są jego ledwo jakiekolwiek

w Mazewie i jego okolicach ślady, wtedy ówcześni posiadacze włości, księża misyjonarze, widząc że istnieje w niej od ludzi tamże mieszkających założony (nie powiedziano kiedy) cech, i chcąc przymnożyć tymże ludziom miłości i zgody, cech ów zmienili w tém, że już do niego nie sami tylko jak dotąd majstrowie, lecz i gospodarze rolą a nie rzemiosłem zajmujący się należeć mieli (1). Tym końcem nowe prawa czyli tak zwany statut bracki przepisali cechowi, i starszyznę z cechmistrza, podskarbiego i pisarza złożoną ustanowili; poddali téż cech pod nadzór miejscowego dworu i księdza (2). Gdy statut samę tylko chwałę bożą na uwadze mając powołuje się na jakoweś prawo odrębne od artykułów cechowych (3) więc widać ztąd, że one istniały, lecz jako statutem nie objęte zaginęły, skoro ze szczętem podupadło bartnictwo. Dziś więc cech mazewski ma kierunek czysto religijny, w myśl nowego statutu, którego oryginał znajduje się obecnie w ręku Mateusza Kińskiego jednego z mazewskich gospodarzy, obranego cechmistrzem. Statut ten, na papierze w arkuszowym kształcie pisany wydając, uprzedzam czytelnika, że go podzielił na §§ i pisownią dawną przemienił na nowszą. Z resztą wydrukować tak zupełnie, jak stoi w oryginale kazałem go. Oto jest:

1. Statut.

In Nomine Domini.

Każdemu wiadomo, że Bóg stwarzając człowieka stworzył do społeczeństwa, ażeby wraz kiedy się plemię ludzkie rozmnoży, z sobą wspólnie żyli. To było początkiem, że ludzie wraz z sobą łączyli się, budowali sobie pospołu mieszkania; ztąd powstało, że potem

(1) §. 11 statutu.

(2) §§. 2 9, 16, 18 statutu.

(3) §. 21 statutu, w porównaniu z §§. 14, 16 tegoż statutu.

wszyscy jednomyślnie budowali sobie miasta, stanowili sobie prawa i podług nich zachowywali się. Żeby zaś tém gruntowniej trwało to społeczeństwo, włożył Bóg największe na człowieka prawo, ażeby wzajemna między ludźmi zachowywała się miłość, mówiąc: *będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego*, jako o tém mamy na samym początku Przykazań Boskich. Było zatem skuteczne to prawo Najwyższego Pana, jako widzimy tyle dowodów: stoją miasta, stoją miasteczka i wioski, w których wszyscy ludzie złączeni, pod jednego pana rządem mieszkają. Taż sama miłość aby się tém ściślej zachowała, wynaleźli ludzie z natchnienia Boskiego sobie i poczynili bractwa, ustanowili cechy, aby tym sposobem i większa miłość między nimi i większa chwała Boska przez nich była na świecie. To kiedy się po całym świecie dzieje, spodziewamy się, że rozporządzenie Najwyższego Boga zdarzyło i teraz, to jest w roku 1779 dnia ósmego listopada w sam dzień oktawy Wszystkich Świętych, że ludzie we wsi Mazowie mieszkający, z dobrej woli swojej ułożyli między sobą cech czyli konfraternią. Mając zatem nadzieję, iż to będzie i z chwałą Boską i z większym pomnożeniem zgody i miłości między nimi, tenże cech potwierdzić umyśliliśmy. Żeby zaś z tym większym to wszystko było porządkiem (ponieważ nie może być nigdy porządnie rzecz uczyniona, kiedy swoich nie będzie miała przepisów), zdaje nam się ustanowić im niektóre prawa i artykuły, które każdy wchodzący do tegoż cechu powinien będzie zachować.

Artykuły czyli obowiązki, które cech mazowski zachowywać powinien.

§ 1. Ponieważ w każdym stanie, w każdym zgromadzeniu, najpierwsza ma być baczność na chwałę Boską,

o którą się każdy jak najwięcej starać powinien, powtórę, na miłość i zgodę wzajemną; najpierwsze zatem punkta o chwale Boskiej zaczynamy.

§ 2. Lubo każdy bywać powinien we dni święte w kościele na mszy i jęj słuchoać, a to z obowiązku przykazania kościelnego, ażeby dni święte święcić; szczególniej jednak każdy znajdujący się w tymże (cechu) obowiązany będzie co niedziela i co święto nieskasowane znajdować się na mszy świętej śpiewanej, a to gdyby można razem w jedném miejscu zgromadzić się: gdyby zaś kogo zaszcza jaka potrzeba lub przeszkoda, dla której nie mógłby się znajdować na nabożeństwie, wtenczas powinien oznajmić o tém cechmistrzowi.

§ 3. Wtenczas kiedy będzie wystawienie Najświętszego Sakramentu, bracia w cechu zostający, powinni podczas wystawienia i schowania tegoż Najświętszego Sakramentu nabożnie ze świecami klęczeć, pamiętając o tém, że to wtenczas anielską sprawują powinność, którzyto nieustannie Bogu utajonemu w Najświętszym Sakramencie służą.

§ 4. Powinni będą podczas processyi, kiedy będzie z Najświętszym Sakramentem, nabożnie ze świecami parami asystować.

§ 5. W przypadające cztery razy do roku suche dni, to jest: przed ś. Tomaszem, przed ś. Maciejem, przed ś. Trójcą i przed ś. Mateuszem mszą świętą zakupić, i na niej wszyscy być powinni. Taż msza święta ma być ofiarowana, teraz za dusze krewnych i przyjaciół, potem zaś za dusze tych, którzy się w tymże cechu znajdowali. Pamiętać zatem należy, że wy, którzy teraz żyjecie, pomrzecie; przyjdzie zatem ten czas, którego i za was taż msza święta odprawiać się będzie.

§ 6. Ołtarz Najświętszej Maryi Panny, który sobie tenże cech obiera, powinien będzie porządnie utrzymywać i światłem na opał opatrywać.

§ 7. W dzień Najświętszej Maryi Panny, która w tym ołtarzu znajdować się będzie, obowiązany będzie cech mszą świętą wotywę zakupić i na niej być. Także w ten dzień wszyscy znajdujący się w tymże cechu, jako w dzień patronki i opiekunki swojej, powinni będą spowiadać się i wszyscy razem do komunii świętej podczas mszy świętej od siebie zakupionej przystępować.

§ 8. Kiedy się zaś trafi, iż który zostający w cechu lub z jego rodziny obumrze, wtenczas cały cech czyniąc mu ostatnią przysługę, obowiązany będzie podczas exportacyi i pogrzebu assystować mu ze świecami, a to darmo: za samego tylko brata cechowego cech złoży się na mszę za duszę jego, i jeżeli będą mogli, toby jej słuchać. Gdyby zaś trafiło się iż umrze ten, który nie jest w cechu, wtenczas można mu (jeżeli prosić jego należący będą) assystować, ale zapłacić powinien od każdej świecy po groszy sześć.

§ 9. Jeżeliby który cechowy zachorował, obowiązani będą, przez miłość ku bliźniemu, w chorobie czasem go odwiedzać i o nim mieć staranie; a gdyby się trafiło, iż brat cechowy chorujący, nie miałby z czego dać sobie w słabości pomocy, wtenczas każdy ile możliwości co ma z daru Boskiego obowiązany będzie zaratować go. Nawet gdyby tego była potrzeba, za dołożeniem się lub dworu lub księdza, otworzy skrzynkę i ztamtąd jaki grosz choremu dać, zapisawszy to w rejestr.

Artykuły, jak się mają sprawować bracia cechowi.

§ 10. Mocno się przykazuje, ażeby się zachować w zgodzie i miłości, aby nie było żadnych kłótni. Przeszedłszy na schadzki zabrania się, ażeby żadnej nie było pijatyki.

§ 11. Cech nietylko się ma składać z samych majstrów, ale nawet wolno będzie przystępować i wpisywać

się do tego cechu i innym gospodarzom, którzy się nie bawią rzemiosłem ale tylko rolą.

§ 12. Ktoby chciał być przyjętym do tego cechu, takowy przy samém wpisaniu do rejestru ma przyłożyć złotych dwa na światło, które to wpisanie ma się dziać przy zgromadzeniu wszystkich braci.

§ 13. Aby zapobiec częstym schadzkom, któreby mogły być opóźnieniem w robotach, zaczęm stanowi się: iż schadzki mają być cztery razy do roku, a to przed suchedniami. W niedzielę bowiem zwyczajnie w kościele zapowiadają się suche dni, kiedy przypadają; można zatem po obiedzie uczynić schadzkę, i wtenczas gdyby który żądał być policzonym do braci cechowych, ma stanąć i opowiedzieć swoje żądanie.

§ 14. Przykazuje się, ażeby kiedy się będą odprawiać schadzki, aby nie było próżnego bałamucenia, obmawiania innych lub zmawania się na kogo; ale żeby zszedłszy się, najpierw przeczytać artykuły cechowe, potem naradzać się o potrzebach cechu, także przestrogi uczynić, jeżeli kto w czém wykroczył, a za przewinienie podług artykułów ukarać.

§ 15. Aby nie było sprzeczki o miejsce schadzki, naznacza się zatem aby się schodzić do cechmistrza.

§ 16. Żeby nie było nieporządku jakiego, zaczęm bracia cechowi obiorą sobie, kogo im się będzie podobało z współbraci swoich, jednego cechmistrzem a drugiego podskarbin: do tych dwóch należeć będzie cały rząd cechu. Przestrzegać także do nich należy wszelkich hałasów podczas schadzek, bo to samo byłoby nieuszanowaniem prawa.

§ 17. Skrzynka cechowa ma być pod dwoma kluczami i dwoma kłódkami lub zamkami odmiennymi: jeden zatem klucz ma być u cechmistrza a drugi u podskarbiniego, aby jeden bez drugiego nie otwierał.

§ 18. Ponieważ cechobejść się nie może bez pisarza, któryby rejestr trzymał, lub wpisywał braci do cechu,

lub téż artykuły czytał, trzeba zatém pisarza któryby to czynił. Że zaś darmo być nie może aby kto się tego podjął, zaczęm stanowimy: iż na każdój schadzce, każdy brat na pisarza da grosz jeden; gdyby zaś było wielu braci cechowych, to pół grosza: pisarza zaś będzie powinność wszystko co potrzeba pisać.

Obowiązki starszego.

§ 19. Powinien starszy wiedzieć o tém, że on jest, który najpierwszy z siebie ma dać dobry przykład. Powinien zawsze w kościele bywać, artykuły prawa zachować i przestrzegać, aby inni je zachowywali.

§ 20. Kiedy przyjdzie czas schadzek, starszy powinien lub przez człowieka swego lub przez najmłodszego brata na schadzki zapraszać, także kiedyby który umarł z braci na pogrzeb znać dawać.

§ 21. Jak prędko obaczy którego z braci wykraczającego, przestrzedz go; jeżeliby się nie poprawił, wtenczas oznajmić pisarzowi aby on zanotował, a przyszedłszy na schadzkę, pisarz przeczyta w czém kto wykroczył, a po przeczytaniu sąd podług prawa.

Obowiązki braci.

§ 22. Powinni wiedzieć kiedy obiorą sobie starszego, iż go powinni słuchać i szanować obowiązki swoje, których się podejmują wiernie chować.

§ 23. Wykroczywszy w czém, nie być upornym, ale się poddać zupełnie pod prawo, i karę przyjąć, która jest prawem naznaczona.

§ 24. Obierając starszego nie trzeba mieć względu tylko na to, aby był wiernym w zachowaniu praw, nabożnym, przykładnym i sprawiedliwym.

§ 25. Gdyby się ten, który był obranym za starszego podobał, można go zatém i na drugi rok potwierdzić, można i dłużej jak się będzie zdawało.

§ 26. Sposób obierania starszego taki ma być. W poniedziałek świąteczny znijdą się bracia i przez głosy obierać będą: kto tedy będzie miał więcej głosów, ten zostanie starszym. Obrawszy więc starszego, potem podskarbiego tymże samym sposobem, po skończoném obieraniu przeniosą skrzynkę do nowego starszego i klucze oddając uczynią przy wszystkich porachunek wiernie co jest w skrzynce, a pisarz oddając rejestra zapisze wiele starszy nowy odbiera; kary zaś na przestępujących naznaczać będą takie, na jakie się wszyscy zgodzą, albo przynajmniej większa część cechu.

(podpisano)

X. Jan Długaj, Prefekt Seminarium Gnieźnieńskiego Congregationis Missionis *mp.* (L. S.)

2. *Artykuły do statutu dodatkowe.*

Nie ujmując zasłudze, jaką zacny missyonarz położył dla włości, a sądząc, że i ja przyczyniwszy się do jój szczęścia przez oczynszowanie jój prędsze jakem był powinien, nabyłem przez to prawa, bym mógł stanąć o jój dobru; z tego powodu więc, jakotóż ze względu na obecne czasy, w których każdy człowiek powinien, jeżeli może, starać się o naukę czytania, pisania i rachowania, gdyż mając ją poprowadzi lepiej swoje gospodarstwo: robię do statutu dodatki, artykuły jego paragrafami 12, 24 objęte uzupełniające, i stanowią jak następuje:

§ 27. Chociaż każdy uczeiwy Mazewiak ma prawo wstąpić do cechu za wolą braci, jednakże wkłada się na tychże braci obowiązek nie przyjmowania do swego grona, ktoby czytać, pisać i rachować nie umiał, zwa-

szcza gdy istnieje we wsi szkoła, i gdy Nauczyciel postanowiony w niej płatny jest za to od braci, ażeby uczył ich dzieci, które skoro dorosną, wpiszą się również do cechu.

§ 28. Tém więcéj wymagać tego należy od cechmistrza, gdy obecnie on sam bez podskarbiego i pisarza rządzi cechem. Stanowi się przeto, ażeby nadal takiego tylko brata obierać cechmistrem, któryby się nietylko pobożnością, prawością, trzeźwością, gospodarnością zalecał, lecz nadto umiał czytać, pisać i rachować koniecznie.

VI.

UOBYCZAJENIE LUDU.

Kiedy księża missyonarze religijne cele cechowi mazewskiemu naznaczali wyłączenie, składał się on wtedy, jak rzekliśmy, z majstrów jedynéj pamiątki dawnego miastwa, która dziś jeszcze niezupełnie znikła. Dotąd bowiem zabłąkiwa się do wsi i mieszka w niej rzemieślnik jeden i drugi, co na przyszłość, jak mniemam, tém częściej powtarzać się może, gdy okolonizowanie włościan dało powód do tworzenia się tak zwanego proletaryatu, czyli powstawania gospodarstw bez roli: albowiem całą jaka była w Mazewie rozporządzone przez oczynszowanie, i więcéj jój nie ma na nowe uposażenia. Proletaryat ten już się dziś uczuwać daje, gdyż nie wolno włościanom dzielić między swe dzieci osady, lecz jednemu z nich całą, ze spłatą dla drugich, zostawić ją winni. Ażeby więc mieli z czego żyć rolą nieuposażeni synowie włościańscy, i ażeby nie samém się zajmowali wyrobnictwem, lecz szli do rzemioś, powinni się zawczasu na przyszłych terminatorów sposobić, czyli uczyć się czytać, pisać i rachować: co jest rzeczą szkoły. Lecz ta istniejąc w Mazewie przeszło

od trzystu lat nie przyniosła dotąd żadnej korzyści; nie wpłynął na nią, jak powinien był cech nowo r. 1779 urządzony, czemu dziś przez artykuły dodatkowe zaradziliśmy. Wykonanie tego postanowienia i nadzieja zaszczerpienia między ludem potrzebnej mu oświaty, polega nadal na proboszczu opiekunie szkoły, którego wraz z dzierżawcą powołał statut (§ 9) na nadzorcę bractwa. Gdy Pleban religią i moralność ludu ma i powinien głównie mieć na pieczy, dzierżawca przede wszystkim zająć się winien bytem włościan materyalnym. Czyni z nich każdy co może, walcząc z trudnościami z miejscowych okoliczności pochodzącymi. W szkole bywa pusto, gdyż włościanin nie posyła latem na naukę dzieci do gospodarskich zatrudnień jak mówi potrzebne sobie, a zimą dla śnieżnych zawiejów posyłać ich nie może, mieszkając zdala od szkoły. Co próżną jest wymówką, bo posiadający konie gospodarze mogliby kolejno odwozić rano a przywozić wieczorem ze szkoły działwę, dawszy jej pożywienie z sobą, by nie potrzebowała chadzać na obiad. Do kościoła nie wszyscy uczęszczają gorliwie, z przyczyny następującej. Ponieważ wbrew rozkazowi rządu, odbywają się w dni świąteczne, po sąsiednich miastach szlacheckich, w Grabowie, Krośniewicach, Kutnie targi, więc raczej na te targi, niż do świątyni Pańskiej wolać uczęszczać włościanie jarmarcznicy: wiele zatem mozołu ponieść potrzeba, ażeby ich kościołowi i szkole zniewolić, ażeby im jarmarki wybić z głowy. Stara się o jedno i drugie miejscowy proboszcz, i na szczęście może się o to starać, mając na to podostatkiem czasu, gdyż nie prowadzi rolnego gospodarstwa, lecz ma fundusz z dziesięcin obmyślony. Ponieważ cywilizacya na prowadzeniu się człowieka moralném zależy głównie, przeto wiele się dla niej uczyni, jeżeli ku niej, ku religii, ku miłości bliźniego, ku pracy i oszczędności kierowany włościanin, poweźmie to przekonanie, że modlitwa i praca jak

od człowieka odgania złe pokusy, tak téż główną jest podstawą jego szczęścia. Do osiągnięcia jednakże tego celu, do przejęcia się ową o modlitwie i pracy myślą, wzoru i zachęty potrzeba, którą młody znaleźć powinien w szkole, a starzy z góry ją od tych otrzymać mają, którzy stoją na czele włości. Stoi zaś proboszcz i dzierżawca, i ci właśnie dając mu z siebie przykład staranności o to, ażeby w zdrowém ciele zachować czystość obyczajów, ażeby ciało w ustawicznym ruchu i w ciągłej zostawało pracy, są dla niego właśnie przez to jakoby świecznikami praw Boskich i ludzkich. O przykład więc idący z góry nie ma obawy: ale jest obawa o szkołę, z której w takim jak ona dziś jest składzie nie ma żadnego pożytku.

Przypis do tego artykułu, akt uposażający probostwo zawierający.

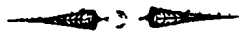
Capitulum Praelatorum et Canonicorum almae ecclesiae metropolitanae Gnesnensis. Universis et singulis quorum interest tenore praesentium significamus et ad indubitam notitiam deducimus, erectionem seu descriptionem proventuum ecclesiae parochialis in villa Mazowo sitae, in libro beneficiorum ecclesiasticorum proventuum, qui in anno domini millesimo quingentesimo vigesimo primo ex mandato reverendissimi olim Joannis de Łasko Archiepiscopi Gnesnensis conscriptus in archivo nostro capitulari diligenter asservatur, de verbo ad verbum contineri in eadem quae sequitur forma.

Mazowo in villa mensae archiepiscopalis ecclesiae Gnesnensis, in eadem ecclesia parochiali tituli Sancti Joannis Baptistae et sanctae Catharinae, de jure patronatus custodis ecclesiae collegiatae sanctae Mariae Lanciciensis pro tempore existentis. Quam pro nunc obtinet honorabilis Andreas de.....dem Mazowo ex praesentatione venerabilis Sigismundi de Kamieniecz Custodis olim Lanciciensis. Qui propter defectum seu paucitatem proventuum ejusdem olim ecclesiae, non potest servare ex antiquo vicarium solum ministrum, et nulla alia villa ad eam jure parochiali spectat solum ipsa Masowo. Quae quidem ecclesia habet pro dote et fundo et ipsius Rector solummodo bona et proventus infra scriptos, quorum extat

modo in possessione. Videlicet in primis habet ex opposito ejusdem ecclesiae aream specialem pro curia plebanali, et in eadem modo curiam cum horto, ejusdem latitudinis prout area se extendit. Item unam aliam aream pro scola cum horto, eidem areae contiguo. Item duos mansos seu laneos agri pro praedio cum pratis et silvis, ipsis agris seu mansis adjacentibus et confinantibus. Insuper duas tabernas inter areas aliarum tabernarum domini Custodis jacentes, quae tabernae seu areae arearum non habent aliquos agros aut prata, solum hortos satis magnos. Quarum tabernarum possessores Plebano pro tempore existenti solvunt pro censu ex earum qualibet per viginti grossos, et non obligantur ad aliquos labores, solum ad fenum rastrandum et colligendum et arillam quando opus est fodiendum. Item habet ultra prata, agris ut praemissum est adjacentia, unum speciale pratum dictum et appellatum Gacz, circa limites haereditatis Zieleniewo. Item decimam manipularem ex agris praedialibus et advocatiae omnibus et singulis proveniente[m], quam conducit Plebanus proprio in horreum dotis plebanalis. Ex agris vero cmetonalibus decimas manipulares percipit Custos Lanciencsis, et pro parochiali ejusdem villae Cmetones loco colendae, Missalla..... quolibet manso per unum chorum siliginis et per unum avenae, tabernatores vero per unum grossum. Romartowo villa Custodiae Lanciencsis sub parochiali vijtunia. In qua scultetus ex agris scultetiae seu advocatiae trium laneorum, ratione decimae, ex quadam ordinatione, solvit ecclesiae parochiali in Mazowo Rectori ex antiquo singulis annis per unam marcam, et ex agris cmethonalibus Cmethones decimas manipulares solvunt, simul cum censibus de quolibet manso per sexagenam, et per unum modium avenae. Taxata est eadem ecclesia ad mediam marcam argenti, quod vero ad denarium sancti Petri Camerae apostolicae, ad unum scotum.

Quae omnia et singula superinscripta sic et non aliter prout in supra scripto proventuum beneficiorum ecclesiasticorum libro continentur, hic deprompta ac desumpta esse notificamus, intimamus, declaramus et attestamus praesentibus literis nostris: quas in fidem per Notarium nostrum capitularem subscriptas sigillo nostro communiri jussimus. Gnesnae d. 13 8bris 1812.

Josephus Ollrych, Praepositus et illust. et reverendiss. Capituli metropolitani Gnesnens. actorum Notarius Juratus mpp.



KORYOLAN.

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH.

PRZEKŁAD Z SZEKSPIRA

PRZEZ

J. Paszkowskiego.

OSOBY.

KAJUS MARCYUSZ KORYOLAN, Rzymianin szlachetnego rodu.

TYTUS AARCYUSZ
KOMINIUSZ } dowódcy wojsk przeciw Wolskom.

MENENIUSZ AGRYPPA, przyjaciel Koryolana.

SYCYNIUS WELUTUS
JUNIUS BRUTUS } trybunowie ludu.

Młody MARCYUSZ, syn Koryolana.

Rzymski Herold.

TULLUS AUFIDYUSZ, wódz Wolsków.

Powiernik AUFIDYUSZA.

Sprzysiężeni w zмовie z Aufidyuszem.

Jeden z obywateli Ancyum.

Dwóch wolscyjskich wartowników.

WOLUMNIA, matka Koryolana.

WIRGILIA, żona Koryolana.

WALERYA, przyjaciółka Wirgilii.

Jedna z służebnic Wirgilii.

Rzymscy i wolscyjscy senatorowie, patrycyuszowie, edyłowie, liktorowie,
żołnierze, obywatele, gońcy, słudzy Aufidyusza i inne osoby.

*Rzecz dzieje się częścią w Rzymie, częścią w posiadłościach
Wolsków i Ancyatów.*

AKT I.

SCENA PIÉRWSZA.

(Ulica w Rzymie).

*Tłum zbuntowanych obywateli wchodzi z kijami, pałkami
i inną podobną bronią.*

1 OBYWATEL.

Posłuchajcie mnie nim się dalej udamy.

OBYWATELE *(jeden przez drugiego).*

Mów, mów!

1 OBYWATEL.

Postanowiliściez nieodmiennie wszyscy umrzeć raczej jak głód cierpieć?

OBYWATELE.

Nieinaczéj, nieinaczéj.

1 OBYWATEL.

Trzeba wam przedewszystkiém wiedzieć, że Kajus Marcyusz jest hersztem nieprzyjaciół ludu.

OBYWATELE.

Wiemy o tém, wiemy.

1 OBYWATEL.

Zabijmy go więc, a będziemy mieć zboże za dowolną cenę. Zgadzaście się na to?

OBYWATELE.

Zgadzamy się; nie ma się nad czém rozvodzić: idźmy, idźmy.

2 OBYWATEL.

Słowo, zacni obywatele.

1 OBYWATEL.

Myśmy biédni obywatele: zacnemi nazywają się patrycyusze; to, co przeładcywa ich uprzywilejowane kiszki, nasby postawiło na nogach. Gdyby przynajmniej dla własnego zdrowia chcieli nam odstąpić przewyżki od swych potrzeb, moglibyśmy przypuścić, że nas z ludzkości wspierają; ale oni powtarzają sobie, że nas trzeba

krótko trzymać. Nasza chudość, widomy skutek nędzy naszej, jest tabellą specyfikacyjną ich intrat, nasze cierpienia są dla nich lichwą: zemścijmyż się za to, póki się nie obrócimy w szczapy, a bogom wiadomo, że mówię to łaknąc chleba, nie zaś pragnąc zemsty.

2 OBYWATEL.

Nastajesz więc osobliwie na Kaja Marcyusza?

1 OBYWATEL.

Najbardziej na niego, bo on jest najzawziętym na lud brytanem.

2 OBYWATEL.

Zważ, jakie on ojczyźnie wyświadczył przysługi.

1 OBYWATEL.

Nie przeczę: moglibyśmy mu za nie wdzięcznością zapłacić, ale on sam sobie płaci za nie dumą.

2 OBYWATEL.

Być może: w każdym razie jednak nie godzi się źle o nim mówić.

1 OBYWATEL.

Powiadam wam, że co bądź dobrego zrobił, zrobił to jedynie dla zaspokojenia dumy: niech tam ludzie delikatni jak chcą mówią, że on ojczyznę miał na celu; ja nie przestanę utrzymywać, że celem jego było przypodobanie się matce i wyniosłość, w którą rośnie w miarę zasług.

2 OBYWATEL.

Poczytujecie mu za występki to, co leży w jego naturze i czego tém samém nie może się pozbyć; nie możecie jednak żadną miarą powiedzieć, żeby był chciwy.

1 OBYWATEL.

Jeżeli tego powiedzieć nie mogę, nie idzie za tém, żeby mi brakło zarzutów: znalazłoby się ich tyle, że człowiek zmordowałby się ich wyliczaniem. (*Krzyki za sceną*). Cóżto za krzyki? Tamta część miasta powstała. Czegóż tu stoim i paplem! Dalej, do kapitolu!

OBYWATELE.

Dalej! dalej!

1 OBYWATEL.

Cicho, któż to się zbliża?

(*Meneniusz Agryppa wchodzi*).

2 OBYWATEL.

Szanowny Meneniusz Agryppa: ten był zawsze dobrym dla ludzi.

1 OBYWATEL.

On jeden jako tako pocziwy: niechby wszyscy byli tacy tylko!

MENENIUSZ.

Cóż sięto święci, moi współrodacy?
Gdzieżto idziecie z kijmi i pałkami?
O co wam idzie? Powiedzcie mi, proszę.

1 OBYWATEL.

Zamiar nasz nie jest senatowi obcym; już go przed piętnastą dniami doszły posłuchy o tém, cośmy mieli na myśli, a co teraz postanowiliśmy przywieść do skutku. Panowie senatory mówią, że biedni suplikanci mają ciężki oddech: poznają teraz, że mają i ciężkie pięści.

MENENIUSZ.

Moi panowie, łaskawcy, sąsiedzi,
Chcecież się sami o zgubę przyprawić?

1 OBYWATEL.

Nie boimy się tego, panie, bośmy już o nią przyprawieni.

MENENIUSZ.

Mogę wam ręczyć, moi przyjaciele,
Że patrycyusze mają o was pieczę:
Co się waszego tyczy niedostatku,
I waszój biédy, podczas téj drożyzny,
Za to zarówno moglibyście miotać
Kijmi na niebo, jak na rzymskie państwo,
Które iść dalej będzie swoją drogą,
Rwąc krocie twardszych wędzideł, niż wszelkie
Mogące przez was stawić się zawady.
Drożyznę bowiem rządzą bogowie,
Nie patrycyusze: a u tych, schyłone
Kolana raczój mogłyby coś wskórać,
Nie podniesione ramiona. Niestety!
Niedola rzuca was w większą niedolę;
I złorzeczycie sterownikom państwa,
I przeklinacie jako nieprzyjaciół
Tych, co się o was, jak ojcowie troszczą.

I OBYWATEL.

Troszczą się o nas! Ba i bardzo! Pięknie się troszczą: pozwalają nam umierać z głodu, a magazyny ich pełne zboża; wydają ustawy o lichwie, aby wspierać lichwiarzy; kassują codzien zbawienne jakie prawo, stawiające tamę bogaczom, i codzien uciążliwsze ogłaszają postanowienia ku uszczerbkowi i ograniczeniu biédaków: jeżeli nas wojna nie zjé, oni to zrobią. Takato ich troskliwość o nas.

MENENIUSZ.

Albo musicie przyznać, że nad miarę
Złe macie serca, albo ścierpić zarzut,
Że macie bardzo złe w głowie. Opowiem
Wam jedną powieść; jużście ją może
Słyszeli kiedy: gdy jednakże ona
W obecnej chwili wielce jest stosowną,
Spróbuję ją wam raz jeszcze przytoczyć.

I OBYWATEL.

Słuchamy jój, panie: nie spodziewajcie się jednak otumanić dykteryjkami naszej biédy. Mówcież więc.

MENENIUSZ.

Onego czasu wszystkie członki ciała
Zbuntowały się przeciw żołądkowi,
I obwiniły go, że on jak przepaść
Spoczywa w ciele gnuśny i nieczynny,
Chłonąc pokarmy i nigdy nie dzieląc
Prac z resztą członków; gdy tymczasem one
Patrzą, słuchają, radzą, uczą, chodzą,
Czują, i wzajem sobie pomagając
Zaspokajają żądze i potrzeby
Całego ciała. Żołądek rzekł na to...

I OBYWATEL.

Cóż on rzekł? Ciekawy jestem.

MENENIUSZ.

Zaraz się o tém dowiécie. Z uśmiechem,
Nie takim jednak coto idzie z serca;
Lecz oto takim—(bo żołądek może
Nietylko mówić, jak widzicie, ale
I śmiać się czasem), odparł on szyderczo
Nechętym członkom, owym rozdąsanym
Organom, co mu zazdrościły bytu,
Z równą słusnością, jak wy powstajecie

Na senatorów, że nie są takimi
Jakbyście chcieli i jakeście sami.

I OBYWATEL.

Niech wasz żołądek kpi sobie zdrów: jakto!
Tożby król członków głowa, serce radca,
Oko stróż, ramię żołnierz, koń nasz noga,
Język nasz herold, oprócz tylu innych
Ważnych narzędzi i pomniejszych części
Naszej maszyny, tożby to....

MENENIUSZ.

Co? Cóżby?
Ten człowiek śmieć mi przerywać!—Co? Cóżby?

I OBYWATEL.

Tożby to wszystko pasibrzuch żołądek
Miał trzymać w klubach; żołądek, ta istna
Kloaka ciała?

MENENIUSZ.

Cóż dalej? coż dalej?

I OBYWATEL.

Jakąż odpowiedź mógł dać ten pasożyt
Na zażalenie owych cnych działaczy?

MENENIUSZ.

Zaraz wam powiem, jeżeli się tylko
Zdolacie zdobyć przez parę chwil na to,
Na czym wam zbywa, to jest na cierpliwość,
Będziecie słyszeć odpowiedź żołądka.

I OBYWATEL.

Zadługo się z nią ociągacie.

MENENIUSZ.

Uważ,
Mój przyjacielu, poważny żołądek
Nie tak był prędkim, jak strona skarąca;
Zastanowiwszy się, tak odpowiedział:
*Prawda to, moi współwcieleni bracia,
Że ja karm wspólną nam pierwszy odbieram;
I słusznie: bom ja spiclerz, bom ja magazyn
Całego ciała; pomnijcie atoli,
Że ja strumieńmi krwi waszej posyłam
Do dworu, w serce; do stolicy, mózgu;
I że rozliczną drogą różnych funkcyj*

*Najtęższe nerwy i najmniejsze żyłki
Biorą odemnie swój dział pożywienia.
Skoro zaś moi kochani, (tak dalej
Mówił żołądek), uważajcie dobrze....*

I OBYWATEL.

No, no; cóż dalej mówił pan żołądek?

MENENIUSZ.

*Skoro zaś wszyscy razem nie możecie
Widzieć naocznie, czego wam dostarczam,
Mogę wam moje rachunki pokazać, z których poznacie, że
wszyscy odemnie*

*Otrzymujecie sam ekstrakt wszystkiego,
Mnie zaś zostają gręzy. Cóż wy na to?*

I OBYWATEL.

Wzdyć to odpowiedź: Radzibyśmy tylko
Usłyszeć teraz jej zastosowanie.

MENENIUSZ.

Senat nasz jest tym pocziwym żołądkiem,
A wy jesteście krnąbrnymi członkami:
Bo zważcie tylko jego trudy, jego
Gorliwą czynność; rozpoznajcie baczenie
To, co się tyczy publicznego dobra;
A przekonacie się sami, że wszelka
Ogólna korzyść, jaka wam przypada,
Od niego tylko pochodzi, nie od was.
Cóż na to waszmość, waszmość, mój ty wielki
Palcze u nogi tego zgromadzenia?

I OBYWATEL.

Ja wielki palec u nogi? Dlaczego?

MENENIUSZ.

Bo będąc jednym z najnieokrzesanych,
Najnikczemniejszych, najbrudniejszych cząstek
Tęj mądrej zgrai, stajesz na jej czele.
Nędzny odrzutku, znam cię: tyś tu przyszedł
Podszezuwać innych, byś sam coś skorzystał:
Dalej, do pałek! Rzym z szczurami swemi
Staje do walki; jedna strona musi
Wziąć wnyki.—Witaj, szlachetny Marcyuszu!
(*Kajus Marcyusz wchodzi*).

MARCYUSZ.

Witaj!—Cóż się to dzieje? Coto znaczy!
Niesforne gbury, dlaczegoż to drapiąc
Litości godną świerzbę swych mozgownic,
Chcecie powiększać swoje wrzody?

I OBYWATEL.

Zawsze

Otrzymujemy od was dobre słowo.

MARCYUSZ.

Ktoby wam dobre dał słowo, ten byłby
 Pochlebcą niższym nad wszelką pogardę;
 Czegoż wy chcecie, trutnie, wy, co ani
 Pokoju ani wojny nie lubicie?
 Jedno was straszy, drugie uzuchwala.
 Kto wam zaufa, ten zamiast lwów znaleźć,
 Znajdzie zajęcy, zamiast lisów gęsi;
 Statek wasz tém jest, czém iskra na lodzie,
 Czém szron na słońcu. Cała wasza cnota
 Na tém polega, aby pod niebiosą
 Wynosić tego, kogo potępiły
 Własne postęпки, a potępiającą
 Lżyć sprawiedliwość. Kto na cześć zasłużył,
 Ten zasługuje na waszą nienawiść:
 Życzenia wasze są jako apetyt
 Chorego, który najbardziej pożąda
 Tego, co może zwiększyć jego niemoc.
 Kto wasze względy zyskuje, ten pływa
 Pletwą z ołowiu, trzcina dęby rąbie:
 Niech wam kat świeci! Wamże-by zaufać?
 Wam, co zmieniacie zdanie z każdą chwilą:
 Szlachetnym zwiecie tego, co wam wczoraj
 Był nienawistnym, a nikczemnym tego,
 Co wczoraj jeszcze był ozdobą waszą?
 Cóż się to znaczy, że się tu i owdzie
 Włóczycie wrzeszcząc i wyszczekujecie
 Na senat, który za przewodem bogów
 Trzyma was w swoich opiekuńczych korbach,
 Ażebyście się sami nie pożarli?
 Czegoż oni chcą?

MENENIUSZ.

Zboża i zniżenia

Jego wysokiej ceny: twierdzą bowiem,
 Że miasto jest niém dobrze opatrzone.

MARCYUSZ.

Obwiesiel onito twierdzą? Jak świerszcze
 Siedzą za piecem i wstawiają w siebie,
 Że wiedzą, co się dzieje w kapitole:
 Kto pozyskuje wziętość, kto się wznosi
 I kto upada; popierają fakcye,
 I domniemanę kojarzą małżeństwa;

Jednym dodają splendoru, a drugich,
Których nie lubią, obryzgują błotem,
Gorzój, jak swoje dziurawe chodaki.
I oni twierdzą, że mamy dość zboża?
O! gdyby senat chciał na bok odłożyć
Litość i miecza użyć mi pozwolił,
Nagromadziłbym z tych głów kapuścianych
Stos tak wysoki, jak najwyżej mogę
Dotrzeć szpicą méj włóczni.

MENENIUSZ.

Ci się już dali przekonać: bo chociaż
Na roztropności potężnie im zbywa,
Tchórzem są za to porządnie podszyci.
Ale powiedz mi, proszę, co się stało
Z tą drugą tłuszcza, tam?

MARCYUSZ.

Już się rozpierzchła.
Niech im kat świeci! Mówili, że głodni,
Stękali pletąc przysłowia, jakoto:
Że głód rozbija mury; że psy nawet
Dostają strawę; że chleb jest dla wszystkich
Co mają gęby; że bogowie dają
Zboże nie tylko dla bogatych. W takich
I tym podobnych bzdurstwach wyzionęli
Swe uzalania, którym czyniąc zadość,
Postanowiono, zgodnie z ich życzeniem,
Coś, co szlachetną myśl przejmuje zgrozą,
I śmiałą władzę w bladą lalkę zmieni.
Zaczęli wtedy rzucać czapki w górę,
Jakby je chcieli zawiesić na obu
Rogach księżycy, i jak opętani
Wrzeszczeć z radości.

MENENIUSZ.

Cóż postanowiono?

MARCYUSZ.

Pięciu trybunów wedle ich wyboru,
Którzy praw szui strzedz i bronić mają:
Jednym obrany został Junius Brutus,
Drugim Sycynius Welutus; kto więcej,
Nie wiem.—Do kroćset siarczystych piorunów!
Prędzej byłoby to szubrawcze plemię
Z całego Rzymu poździerało dachy,
Niżby zdołało było coś takiego
Wymódz odemnie. Wezmą oni wkrótce

Większą przewagę, i poparci buntem
Przyjdą nam podać trudniejsze warunki.

MENENIUSZ.

Rzecz dziwna.

MARCYUSZ.

Precz ztąd do domów, hultaje!
(*Goniec nadchodzi*).

GONIEC.

Gdzie Kajus Marcyusz?

MARCYUSZ.

Tu: cóż mi obwieścisz?

GONIEC.

To, że Wolskowie wzięli się do broni.

MARCYUSZ.

Cieszę się z tego: będziem przecie mogli
Przewietrzyć trochę ten stęchły kram gminu;
Lecz oto nasza starszyzna.

(*Kominiusz, Tytus Larcyusz i inni senatorowie, Junius
Brutus i Sycynius Welutus wchodzi*).

I SENATOR.

Marcyuszu.

Prawdę mówileś; Wolskowie istotnie
Podnieśli oręż.

MARCYUSZ.

Przywodzi im sławny
Tullus Aufidyusz, z którym twarda sprawa.
Grzészę zazdroszcząc mu jego wartości.
Zaprawdę, gdybym nie był tém, czém jestem,
Nim tylko byłbym chciał.

KOMINIUSZ.

Jużeście kiedyś

Szczerbili z sobą miecze.

MARCYUSZ.

Gdyby jedna

Połowa świata drugą wzięła za łeb,
A on stał na téj stronie co i ja,
Umyślniebym wszczął bunt, dlatego tylko,
Abym go mógł mieć przeciw sobie. On jest

Lwem, na którego polowanie łechce
Mą dumę.

I SENATOR.

Zacny Marcyuszu, chciój zatém
Pod Kominiuszem wziąć udział w téj wojnie.

KOMINIUSZ.

Wszakżeś nam to już przyrzekł?

MARCYUSZ.

Nieinaczéj,
I wiernym słowu.—Tytusie Larcyuszu,
Będiesz więc jeszcze raz świadkiem mojego
Spotkania z Aufidyuszem: wszakże będziesz?
Jeszcześ nie ztępiał?

LARCYUSZ.

Nie, Marcyuszu: wolę,
Choćby o kuli pójść z drugimi walcząc,
Niż zostać z tyłu.

MENENIUSZ.

Szlachetna krew!

I SENATOR.

Idźmy

Do Kapitolu, tam na nas czekają
Najlepsi nasi przyjaciele.

LARCYUSZ.

Idźmy.

Ty nam przewodnicz, panie, i ty także,
Cny Kominiuszu; my za wami pójdziem:
Wam przód przystoi.

KOMINIUSZ.

Szlachetny Larcyuszu!

I SENATOR (*do obywateli*).

Daléj! do domu!

MARCYUSZ.

Nie, niech pójdą z nami:
Wolskowie mają dość zboża; pozwólcie
Tym szczurom napaść się w ich śpichrzach. Nuże,
Przezacna zgrajo, pokaż swą waleczność!
(*Senatorowie, Kominiusz, Marcyusz, Larcyusz i Mene-
niusz wychodzą. Obywatele wynoszą się chyłkiem*).

SYCYNIUSZ.

Jestże kto bardziej dumny jak ten Marcyusz?

BRUTUS.

Nie wiem, kogoby z nim porównać.

SYCYNIUSZ.

Będąc obrani trybunami ludu.. .

BRUTUS.

Czy uważałeś jego wzrok i gięsta?

SYCYNIUSZ.

Nie, tylko jego przekąsy.

BRUTUS.

Gdy go rozdrażnisz, z bogów szydzić gotów.

SYCYNIUSZ.

Drwić z spokojnego księżyca.

BRUTUS.

Obecna wojna pożera go; nie wie,
Jak się już nadać, że tak jest waleczny.

SYCYNIUSZ.

Tego rodzaju ludzie polechtani
Bodźcem powodzeń, pogardzają cieniem,
Pod którym chodzą w południe: dlatego
Dziwi mnie, że on przy swój wyniosłości,
Pod Kominiuszem nie wzbrania się służyć.

BRUTUS.

Sławy, o którą mu idzie, a której
Nie skape względy już zyskał, nie można
Skuteczniej nabyć i łatwiej zarazem,
Jak stojąc za kimś będącym na czele:
Bo jeśli się co nie uda, powiedzą:
Wódz temu winien; choć wódz z swojej strony
Czynił, co tylko człowiek czynić może;
Głupia krytyka krzyczyć będzie wtedy:
O! gdyby Marcyusz był tę rzecz prowadził!

SYCYNIUSZ.

Jeżeli się zaś powiedzie, opinia,
Która tak bardzo sprzyja Marcyuszowi,
Obierze z zasług Kominiusza.

BRUTUS.

Z góry
Można przewidzieć, że połowa chwały
Kominiuszowej na Marcyusza spłynie,
Choćby ten na nią nie pracował; wszystkie
Zaś jego chyby podniosą wysokość
Zalet Marcyusza, choćby Marcyusz w gruncie
Bynajmniej na to nie zasłużył.

SYCYNIUSZ.

Pójdźmy
Posłuchać, co tam o wyprawie radzą,
I w jaki sposób weźmie się ten człowiek
Do obecnego przedsięwzięcia.

BRUTUS.

Idźmy.
(*Wychodzą*).

SCENA DRUGA.

AUFIDYUSZ i SENATOROWIE.

(Koryole. Wnętrze senatu).

I SENATOR.

Jesteś więc tego zdania, Aufidyuszu,
Że Rzym przeniknął nasze tajne plany
I wie co knujem?

AUFIDYUSZ.

Inneż zdanie wasze?

Kiedyż-to u nas co bądź umyślono
I wykonano, żeby wprzód do Rzymu
Nie doszły o tém posłuchy? Przed czterma
Nie spełna dniami miałem ztamtąd wieści,
Których treść na to wychodzi, podobno
Mam list przy sobie; oto jest, słuchajcie: (*czyta*)
*„Zbierają wojska, nie wiadomo jednak,
Czy je chcą wysłać na wschód, czy na zachód;
Drożyna wielka, lud wicherzy, i słyhać,
Że wódz Kominiusz, a z nim Marcyusz, dawny
Wasz nieprzyjaciel, (którego jednakże
Rzymianie bardziej niż wy nienawidzą),
I Tytus Larcyusz, waleczny Rzymianin,
Kierują we trzech przygotowaniem
Do téj wyprawy. Śnadź ona jest na was.
Pomyślcie nad tém”.*

1 SENATOR.

Nasze wojska w polu.
Nie wątpiliśmy, że Rzym skory będzie
Dać nam odpowiedź.

AUFIDYUSZ.

Ani się wam zdało
Stosownem plan nasz w tajemnicy trzymać
Tak długo, ażby śmiało mógł wyjść na wierzch;
Bo go Rzym w samym zarodzie przewąchał.
Przez to odkrycie zostajemy zbici
Z drogi do celu, który się zasadzał
Na wzięciu kilku miast, nimby się w Rzymie
O poruszeniach naszych dowiedziano.

2 SENATOR.

Działaj niezwłocznie, zacy Aufidyuszu:
Nie tracąc czasu spiesz do swoich hufców;
My tu w Koryolach zostaniem ku straży
I ku obronie: jeśli nas oblegną,
Przyjdź nam na odsiecz: nie sądzę jednakże,
Abyś ich znalazł przygotowanemi.

AUFIDYUSZ.

O! nie uwodźcie się; mówię wam o tém,
Jako o rzeczy pewnej; więcej powiem:
Liczne oddziały ich wojsk już są w marszu
I tu zmierzają. Żegnam was, panowie.
Jeśli się spotkam z Kajusem Marcyuszem,
Nie będzie żartów między nami, bośmy
Przysięgli sobie wzajem póty walczyć,
Póki jednemu z nas tchu nie zabraknie.

WSZYSCY.

Niech cię bogowie wspierają!

AUFIDYUSZ.

I w zdrowiu
Was utrzymują!

1 SENATOR.

Żegnaj!

2 SENATOR.

Żegnaj!

WSZYSCY.

Żegnaj!
(Wychodzą).

SCENA TRZECIA.*(Rzym. Komnata w domu Marcyusza).***WOLUMNIA i WIRGILIA** *(siedzą na zydlach i szyją).***WOLUMNIA.**

Proszę cię, córko, śpiewaj, a przynajmniej bądź weselszą. Gdyby mój syn był moim mężem, bardziejbym się czuła szczęśliwą w jego nieobecności, która mu jedna sławę, niż w jego objęciach, któreby mi świadczyły o jego miłości. Gdy jeszcze małym był chłopięciem, jedynym owocem mego żywota; gdy jego młodość i uroda wszystkich pociągała oczy; gdy inna matka takiego dziecka, na całodzienne prośby królów nie byłaby odstąpiła jednej godziny spoglądania na nie: wtedy ja, marząc o jego przyszłości, myśląc, że ta piękna postać bez wieńca chwały byłaby tém, czém marny obrazek zawieszony na ścianie, znajdowałam uciechę w wyszukiwaniu dlań niebezpieczeństw, wśród których mógł się dobić chwały. Wysłałam go na krwawą wojnę, z której wrócił ozdobiony wieńcem dębowym. Zaprawdę, córko, nie bardziej zadrgałam z radości słysząc po raz pierwszy, że mi się urodziło dziecko płci męskiej, jak widząc po raz pierwszy, że się to dziecko pokazało mężem.

WIRGILIA.

Lecz gdyby był zginął, o pani, gdyby był zginął!

WOLUMNIA.

Wtedyby jego dobre imię zastąpiło mi było miejsce syna i w niemybym się była odrodziła. Szczerze ci wyznaję, że gdybym miała dwunastu synów, z którychby każdy stał na równi w mém sercu, i każdy był mi tak drogim, jak twój i mój kochany Marcyusz, wolałabym, żeby jedenastu szlachetnie umarło za ojczyznę, niż żeby jeden poza bitwą zmarniał na łożu rozkoszy.

*(Domownica wchodzi).***DOMOWNICA.**

Pani, szlachetna sąsiadka, Walerya,
Przyszła odwiedzić was.

WIRGILIA.

Błagam cię, pani,

Pozwól mi odejść.

WOLUMNIA.

Zostań. Zdaje mi się,
 Że słyszę odgłos trąb twojego męża;
 Że widzę, jak w tej chwili Aufidyusza
 Targa za włosy, a przed nim Wolskowie,
 Jak dzieci przed lwem stronią; zdaje mi się,
 Że jestem przy tém, jak tupa i woła:
Za mną tu, tchórze! was w trwodze poczęto,
Chociaż byliście w Rzymie narodzeni—
 I łuskokrytą ręką obcierając
 Skrwawione czoło, postępuje naprzód,
 Naksztalt żniwiarza, który postanowił
 Zżąć wszystko, albo ufracić zarobek.

WIRGILIA.

Skrwawione czoło! O, chroń go Jowiszu!

WOLUMNIA.

Milcz, głupie dziecko! Krwawe znamię bardziej
 Ozdabia męża, niż złote trofeje.
 Piersi Hekuby, karmiące Hektora,
 Mniej były piękne niż Hektora czoło,
 Gdy zeń krew ciekła pod ciosami Greków.
 Powiedz Waleryi, żeśmy ją gotowe
 Przyjąć, jak zawsze.

(Domownica wychodzi).

WIRGILIA.

O nieba! zasłońcie
 Mego małżonka przed tym Aufidyuszem!

WOLU MNIA.

Dziecinne modły! On zegnje zuchwały
 Kark Aufidyusza i zdepcę go nogą.

(Domownica wprowadza Waleryą i jej towarzyszkę).

WALERYA.

Zacne niewiasty, bądźcie pozdrowione!

WOLUMNIA.

Luba sąsiadko.

WIRGILIA.

Miło mi widzieć was.

WALERYA.

Jakże się macie? Zakute z was domatorki. Cóżto?
 szyjecie widzę; śliczne rąbki, na poczeiwość! Jakże się
 miewa twój mały synek, Wirgilio?

WIRGILIA.

Dziękuję wam, łaskawa pani; zdrow jest do usług waszych.

WOLUMNIA.

Wolałby patrzeć na połysk mieczów i słuchać odgłosu trąb, niż siedzieć przy swoim ochmistrze.

WALERYA.

Walny chłopiec: prawdziwy syn swego ojca. Przeszłej środy przyglądałam mu się przez pół godziny: ma coś tak pewnego w sobie. Widziałam jak pogonił za złotobarwnym motylem; schwytał go i puścił: dalejże znowu w pogoń za nim i znowu go schwytał. Schwytałwszy go znowu, czyto z gniewu, że się dał złapać, czyto z innej jakiej przyczyny, zacisnął zęby i zgniółł go: powiadam wam, zgniółł go bez litości.

WOLUMNIA.

To z ojca te raptusy.

WALERYA.

Doprawdy, rzadkie dziecko.

WIRGILIA.

Ladaco, pani.

WALERYA.

Odlóżcie na bok robotę i pójdźcie ze mną: muszę was dziś rozpróżniaczyć.

WIRGILIA.

Wybacz, kochana pani, nie wyjdę na krok z domu.

WALERYA.

Ani na krok?

WOLUMNIA.

Wyjdzie, wyjdzie.

WIRGILIA.

Przepraszam cię, matka: nie wyjdę, nie przestąpię progu domu, dopóki mój pan nie powróci z wojny.

WALERYA.

Wstydź się, nierozsądnie czynisz, więżąc się tak w domu. Pójdź, odwiedzimy leżącą połogiem przyjaciółkę.

WIRGILIA.

Życzę jej prędkiego wydobrzenia i odwiedzę ją w modłach moich; ale do niej pójść nie mogę.

WOLUMNIA.

Dlaczego? powiedz, dlaczego?

WIRGILIA.

Nie dla oszczędzenia sobie fatygi, ani dla braku życzliwości ku niéj.

WALERYA.

Chcesz być drugą Penelopą; powiadają jednak, że wszystkie jéj prace pod niebytność Ulissesa posłużyły tylko do rozplemienia molów w Itace. Pójdź; chciałabym, żeby ten twój rąntuch tak był czuły jak twoje palce, ażebyś go z litości kłuc przestała. Pójdź, pójdź z nami.

WIRGILIA.

Nie, kochana pani, wybacz mi: doprawdy nie pójdę.

WALERYA.

Daj się namówić, a ja ci za to udzieję wybornych nowin o twym mężu.

WIRGILIA.

Jeszcze ich być nie może, pani.

WALERYA.

Jako żywo, nie żartuję: téj nocy nadeszły wieści od niego.

WIRGILIA.

O! pani, czy podobna?

WALERYA.

Tak jest, rzeczywiście; słyszałam to od jednego z senatorów. Rzecz się ma tak: Wolskowie wysłali wojsko, przeciw któremu pociągnął Kominiusz z częścią naszych falang; twój mąż i Tytus Larcyusz rozłożyli się pod Koryolami; nie wątpią bynajmniej o pomyslnym skutku wyprawy i spodziewają się położyć wkrótce koniec téj wojnie. Wszystko to, na honor, szczerą jest prawdą; a teraz, proszę cię, pójdź z nami.

WIRGILIA.

Miej mnie za wytłumaczoną, łaskawa pani; będę ci we wszystkiém posłuszną, prócz w tém jednym.

WOLUMNIA.

Daj jéj pokój, w takim usposobieniu, jak jest teraz, popsułaby nam dobry humor.

WALERYA.

W istocie, i ja tak sędzę. Bądź więc zdrowa.—
Pójdźmy, szanowna przyjaciółko.—Proszę cię, jeszcze
raz, Wirgilio, wypraw za drzwi posepność i pójdź z nami.

WIRGILIA.

Nie, kochana pani; rzetelnie powiadam, że nie mo-
gę. Życzę wam dobrej zabawy.

WALERYA.

Kiedy tak, bądźże zdrowa.

(*Wychodzą*).

SCENA CZWARTA.

(*Pod Koryolami*).

(*Przy odgłosie trąb wchodzą z chorągwiami: MAR-
CYUSZ, LARCYSZ, dowódcy i żołnierze, ku
nim nadbiega goniec*).

MARCYSZ.

Nadchodzą wieści ztamtąd. O co idzie,
Że się już starli?

LARCYSZ.

Konia mego stawiam
Przeciw twojemu, że jeszcze nie.

MARCYSZ.

Zgoda.

Czy wódz nasz starł się już z nieprzyjacielem?

GONIEC.

Stoją naprzeciw siebie, ale jeszcze
Nie przemówili do siebie i słowa.

LARCYSZ.

Koń twój należy do mnie.

MARCYSZ.

Przyjmij odkup.

LARCYSZ.

Ani go sprzedam, ani go daruję,
Pożyczyć ci go wszakże gotów jestem
Na jakie pół-sta lat. Wezwijmy miasto
Do poddania się.

MARCYUSZ.

Dalekoż ztąd stoją
Obadwa wojska?

GONIEC.

O półtory mili.

MARCYUSZ.

Będziemy ich więc, a oni nas słyszeć.
A teraz, Marsie, dodaj nam szybkości,
Abyśmy mogli nie otarłszy mieczów
Ruszyć na pomoc naszym braciom w polu.
Nuże, surmacze, dajcie znak.

*(Dają znak do rozmówienia się. Na murach ukazuje się
kilku senatorów i mieszczan).*

Tullus Aufidyusz jest-li w murach waszych?
Odpowiadajcie.

I SENATOR.

Niéma go i niéma
Nikogo, coby się lękał was bardziej
Jak on, który się wcale was nie lęka.
Słyszycie odgłos naszych tręb?

(Odgłos tręb w oddali).
Wzywają

One do walki dzielną naszą młodzież.
Zburzym te mury prędzój, niżby one
Miały nas zamknąć jak bydło. Te bramy
Zdają się wprawdzie zatarassowane,
Ale podparte są tylko trzcunami;
Otworzą się wnet same. Czy słyszycie?

(Powtórny odgłos tręb i wrzawa w oddaleniu).

Tam jest Aufidyusz: słyszycie, jak hula
Wśród waszych falang rozbitych?

MARCYUSZ.

Dość tego.

LARCYUSZ.

Niech ten zgiełk będzie nam hasłem. — Hej! drabin!
*(Bramy Koryol otwierają się nagle i Wolskowie wchodzą na
scenę).*

MARCYUSZ.

Nie boją się nas i wychodzą. Daléj!
Zasłońcie serca tarczami i walczcie
Przy serc pomocy, pewniejszej niż tarcze.
Naprzód, waleczny Tytusie! Te lotry
Wyrażną sobie igraszkę z nas stroją:
Czuję po całym ciele pot wściekłości.

Dałój, żołnierze! Naprzód! kto się cofnie,
Będzie w mych oczach Wolskim i poczuje
Smak mego miecza.

(Hasło do bitwy. Rzymianie i Wolskowie wychodzą walcząc. Rzymianie zostają odparci do swych przykopów. Marcyusz powraca),

MARCYUSZ.

Niech was tkną wszystkie zarazy południa!
Wy kały Rzymu, psy!—niech was okryją
Wrzody i trądy, byście wstręt budzili
Przed ukazaniem się, byście się wzajem
O milę z ciągiem wiatru zarażali!
O gęsie dusze w powłoce człowieczój!
Jakżeście mogli uciec przed hałastrą,
Któraby małpy w puch rozbiły? Bodaj
Was Ereb schłonał! Wszystkie rany z tyłu,
Plecy czerwone, a oblicza blade
Z trwogi i znoju. Wróćcie do ataku,
Albo, do wszystkich piorunów, porzucę
Nieprzyjaciela, a rzucę się na was;
Podnieście głowy! Poprawcie się! Jeśli
Śmiało natrzecie, zagnamy ich nazad
Między ich baby: tak jak oni teraz
Do tych przekopów nas odparli.

(Powtórne hasło do bitwy. Wolskowie i Rzymianie stają znowu naprzeciw siebie i walka znowu się wszczyną. Wolskowie cofają się do miasta. Marcyusz ściga ich aż do bram).

Bramy otwarte: wesprzyjcie mnie teraz!
Szczęście otwiera je idącym naprzód,
Nie tym, co podle tył podają. Za mną!

(Wbiega w bramę, która w tejże chwili zostaje za nim zatrasniętą).

1 ŻOŁNIERZ.

Szalona śmiałość! Nie głupim pójść za nim.

2 ŻOŁNIERZ.

Ani ja.

3 ŻOŁNIERZ.

Patrzcie, zatrasnęli bramę!

(Szczęk broni nie ustaje).

WSZYSCY.

Będziez mu ciepło! Przepadł, ani wątpić.
(Tytus i Larcyusz wchodzą).

LARCYUSZ.

Co się z Marcyuszem stało?

WSZYSCY.

Zginął pewnie.

I ŻOŁNIERZ.

Zdążając krok w krok za pierzchającymi
 Wszedł z nimi razem do miasta, wtém nagle
 Zamknięto bramy. Został się sam przeciw
 Całej załodze.

LARCYUSZ.

O szlachetny mężu!

W tobie jest lepszy hart, niż w mieczu twoim,
 Choć on ze stali: kiedy on się zgina,
 Ty się wyprężasz. Opuszczono ciebie!
 Rubin, tak wielki jak ty, obok ciebie
 Straciłby wartość. Tyś był wojownikiem
 Szkoły Katona: nietylko prawicą
 Dzielnym i strasznym, lecz i siłą wzroku.
 I brzmieniem głosu, do gromu podobném,
 Takeś przerażać umiał nieprzyjaciół,
 Że się zdawało, jakby świat miał febrę,
 I trzął się w swoich posadach.
 (*Marcyusz wraca skrwawiony i ścigany przez nieprzyjaciół*).

I ŻOŁNIERZ:

Patrz, wodzu!

LARCYUSZ.

To Marcyusz: idźmy mu pomódz lub zginąć!
 (*Walczą i wszyscy wchodzi do miasta*).

SCENA PIĄTA.(*Wewnątrz miasta. Ulica*).(*Kilku Rzymian wchodzi z łupami*).

I RZYMIANIN.

Zaniosę to do Rzymu.

2 RZYMIANIN.

A ja to.

3 RZYMIANIN.

Zjedzże kaduka! Wziąłem to za złoto.

*(Wrzawa wojenna ciągle się daje słyszeć w oddali.
Marcyusz i Tytus Larcyusz wchodzi z trębaczem).*

MARCYUSZ.

Patrz-no, ci trutnie ważą czas na równi
Z złamaną drachmą. Ołowiane łyżki,
Bety, żelaztwo nie warte obola,
Stare lachmany, któreby kat pogrzebł
Razem z wisielcem: wszystko to zagarnia
Ta szuja, jeszcze przed skończeniem bitwy.
Rzućcie mi zaraz precz tę drań.—Słyszycie
Tę wrzawę, ten szczełk broni w tamtej stronie?
Tam wasz wódz: dalej do niego! Tam brodzi
W strugach krwi waszych współziomków Aufidyusz,
Cel nienawiści mojej. Cny Tytusie,
Weź pewną liczbę ludzi, ile trzeba
Do obsadzenia miasta; ja tymczasem
Z takimi, którzy mają szczyptę ducha,
Pospieszę w pomoc Kominiuszowi.

LARCYUSZ.

Zacny człowieku, tyś ranny; po takięj
Gwałtownej pracy niepodobna tobie
Przedsiębrać nowęj wyprawy.

MARCYUSZ.

Bez pochwał.
Tytusie, jeszcze się wcale nie rozgrzał.
Bądź zdrów: ubytek tych kilku krwi kropel
Na zdrowie będzie mi, a nie na szkodę:
Tak się ukazać chcę Aufidyuszowi
I walczyć.

LARCYUSZ.

Oby nadobna bogini
Fortuna, chciała zakochać się w tobie,
I swemi czary odbijała miecze
Twych przeciwników! Dzielny wojowniku,
Niech szczęście będzie ci giermkim!

MARCYUSZ.

A tobie
Tak wiernym druhem, jak tym, których wznosi
Najwyżej. Bywaj zdrów.

LARCYUSZ.

O wzorze mężów!
(*Marcyusz wychodzi*).

Idź zadać w trąbę na rynku; każ na nim
Zebrać się pierwszym urzędnikom miasta!
Tam im zamiary oznajmimy nasze.

(*Wychodzą*).

SCENA SZÓSTA.

(*W pobliżności obozu Kominiusza*).

KOMINIUSZ (*z wojskiem w odwrocie wchodzi na scenę*).

KOMINIUSZ.

Nabierzcie nieco tchu, jestem z was kontent.
Sprawiliśmy się, moi przyjaciele,
Tak, jak przystoi Rzymianom: w spotkaniu
Nie lekkomyślnie, w odwrocie nie podle.
Będziemy jeszcze musieli wytrzymać
Nowe natarcie wrogów. W ciągu walki
Dochodziły nas od czasu do czasu
Wiatrem niesione wojenne odgłosy
Naszych współbraci. Oby ich orężom
Bogowie rzymscy tak błogostawili,
Jak tego sobie życzym; aby nasze
Obadwa wojska radośnie złączone,
Dzięczynną mogły im ofiarę złożyć!
(*Goniec nadbiega*).

Cóż tam nowego?

GONIEC.

Mieszkańcy koryolscy
Zrobiwszy z miasta wycieczkę, wydali
Wojskom Larcjusza i Marcjusza bitwę.
Widziałem naszych odpartyh do szanćów:
I z tćm przychodzę.

KOMINIUSZ.

Choćbyś mówił prawdę,
Nie zdaje mi się, abyś dobrze mówił.
Jakże to dawno się stało?

GONIEC.

Nie dawniej,
Jak przededwoma godzinami, wodzu.

KOMINIUSZ.

Nie masz ztąd mili do Koryol: dopiero
Cośmy słyszeli odgłosy ich kotłów:
Jakżeś mógł tyle czasu spotrzebować
Na przejście jednej mili i tak późno
Przybyć z tą wieścią?

GONIEC.

Przednie straże Wolsków

W pogoń puścili się za mną; musiałem
Nadłożyć drogi trzy czy cztery mile;
Inaczéj byłbym tu był przed godziną.
(*Marcyusz wchodzi*).

KOMINIUSZ.

Któż to jest, co się tu zbliża, jak widmo
Męża ległego w boju? O! bogowie!
To twarz, to postać Marcyusza: widziałem
Go już tak kiedyś.

MARCYUSZ.

Przychodzęż zapóźno?

KOMINIUSZ.

Pastérz nie mógłby dokładnie odróżnić
Odgłosu grzmotu od brzęku grzechotki,
Jak ja odróżniam dźwięk głosu Marcyusza
Od wszelkich dźwięków znajomych.

MARCYUSZ.

O! pozwól

Mi się uściskać ramieniem tak zdrowém,
Jak wtedy, kiedy chodziłem w zaloty;
Z równie radosném uczuciem, jak wtedy,
Kiedyśmy ślubny dzień nasz obchodzili,
I blask jarzących pochodni nam świecił
Do łóż małżeńskich.

KOMINIUSZ.

Kwiecie wojowników!

Mów co się dzieje z Tytusem Larcyuszem?

MARCYUSZ.

To, co z kimś, urząd sędziego pełniącym:
Dekretującym jednych na wygnanie,
A drugich na śmierć; ułaskawiającym
Jednych, a drugich przejmującym trwogą.
W imieniu Rzymu trzyma on Korycle,
Jakby na sforze ogara, którego
Puści gdy zechce.

KOMINIUSZ.

Gdzież jest ten niecnota,
Co mówił, że was odparto do szaniców?
Niech się tu zaraz stawi.

MARCYUSZ.

Daj mu pokój;
On prawdę mówił: bo te bohaterzy
Co były ze mną — (podła zbiéranina!
Niech im kat świeci! im dawać trybunów!)
Jak mysz przed kotem zemknęli przed zgrają
Gorszą od siebie.

KOMINIUSZ.

Jakimże sposobem
Zwycięztwo przy was zostało?

MARCYUSZ.

Zostawmy
Opowiadanie na później.
Gdzież nieprzyjacieli? Jesteścież już pola
Bitwy panami? Jeśli nie, dlaczegoż
Stać się onymi zwlekacie?

KOMINIUSZ.

Marcyuszu,
Ścieraliśmy się z niepomyślnym skutkiem,
I cofnęliśmy się dla pomyślniejszój
Odmiany losu.

MARCYUSZ.

Nie wiecież, jak stoją
Ich wojska i gdzie znajdują się ludzie,
W których swą ufność położyli?

KOMINIUSZ.

Jeślim
Dobrze uważał, przednią straż trzymają
Ancyaci, czoło ich wojska; a wodzem
Ich jest Aufidyusz jądro ich nadziei.

MARCYUSZ.

Wodzu! zaklinam cię na wszystkie bitwy,
Któreśmy razem odbyli; na wszystką
Krew, którą obok siebie przeleliśmy;
Na owę przyjaźń, którąśmy przyrzekli
Sobie nawzajem:—pozwól mi pójść przeciw
Aufidyuszowi i jego Ancyatom,
I to niezwłocznie. Napelniwszy przestwór

Podniesionemi mieczmi i włóczniami,
Doświadczmy szczęścia téj chwili.

KOMINIUSZ.

Chociażbym
Wolał, ażebyś przedewszystkiém inném
Pokrzepiającą wziął kąpiel, i balsam
Pozwolił sobie przyłożyć na rany,
Nie śmiem się jednak opierać
Żądaniu twemu. Wybierz sobie ludzi,
Którzy najlepiej wesprzć cię zdołają
W tém przedsięwzięciu.

MARCYUSZ.

Są nimi ci, którzy
Najwięcej czują pochopu do tego.—
Jeżeli tu jest kto taki. (a grzechem
Byłoby wątpić), co lubi ten pokost,
Którym widzicie mnie pomalowanym;
Jeżeli tu jest kto taki, co mniej się
Uszczerbku ciała, jak zléj sławy lęka,
Co myśli, że śmierć szlachetna ma stokroć
Więcej wartości, niż jałowe życie,
I bardziej kocha ojczyznę niż siebie:
Niech taki współ z podobnemi sobie
Poruszy ręką—tak:

(Podnosi rękę i wstrząsa nią).

Na okazanie

Swój gotowości, i uda się za mną.

*(Wszyscy wydają okrzyk i potrząsają mieczami, podnoszą
go na ramionach i rzucają czapki w górę).*

Mnie tylko? tylko mnie? Cóżto, czy chcecie
Miecz ze mnie zrobić? Bez tych zwierzchnich oznak!
Któryż z was w gruncie nie wart czterech Wolsków?
Któryż, w spotkaniu z Aufidyuszem, tak się
Nie złożył tarczą, jak on się nią składa?
Przecież choć wszystkim wam dziękuję, muszę
Pewną część tylko z pomiędzy was wybrać:
Reszta dopełni swego obowiązku
W inném spotkaniu, gdy się pora zdarzy.
Marsz, więc!—Niech czterech setników oddzieli
Z komendy swojej tych, co się okażą
Najbardziej skłonni do boju.

KOMINIUSZ.

Ruszajcie.

Moi waleczni, stwierdźcie te oznaki.

Męztwa czynami, a będziecie z nami
 Dzielili wszelkie korzyści zwycięstwa.
 (*Wychodzą*).

SCENA SIÓDMA.

(*Bramy Koryol*).

TYTUS LARCYUSZ (*zostawiwszy załogę w Koryolach, idąc przy odgłosie trąb i kottów na pomoc Kominiuszowi i Marcyuszowi, wchodzi na scenę z Namiestnikiem swoim, oddziałem żołnierzy i przewodnikiem*).

LARCYUSZ.

Niech bramy będą strzeżone; pełnijcie
 Waszę powinność tak, jakem wam wskazał:
 Jeżeli przyślę, wyprawcie natychmiast
 Tamte centurye; reszta ich wystarczy
 Do utrzymania się jakiś czas. Jeśli
 Przegramy bitwę, będziemy musieli
 Opuścić miasto.

NAMIESTNIK.

Spuść się na nas, wodzu.

LARCYUSZ.

Idźcie i bramy zamknijcie za sobą. —
 Hej! przewodniku, postępuj przed nami
 I do rzymskiego prowadź nas obozu.
 (*Wychodzą*).

SCENA ÓSMA.

(*Pole bitwy pomiędzy obozami Rzymian i Wolsków*).

(*Wrzawa wojenna*. MARCYUSZ i AUFIDYUSZ
wchodzą).

MARCYUSZ:

Z tobą chcę tylko walczyć, boś ty dla mnie
 Nienawistniejszy jak krzywoprzysięzca.

AUFIDYUSZ.

Równieśmy sobie nienawistni: niéma
 W Afryce węża, którymbyś się bardziej

Brzydził, jak twoją sławą i zuchwalstwem.
Trzymaj się krzepko!

MARCYUSZ.

Kto się piérwszy cofnie,
Niech skona jako niewolnik drugiego,
I niech go przeklną bogowie!

AUFIDYUSZ.

Jeżeli ja ci tył podam, Marcyuszu,
Wolno ci będzie szczuć mnie jak zająca.

MARCYUSZ.

Niéma trzech godzin, Tullusie, jak w murach
Twojego miasta samopas walczyłem
I wyprawiałem co chciałem. Nie moja
To krew, którą mnie widzisz tak upstrzonym.
W imieniu zemsty natęż swoje siły.

AUFIDYUSZ.

Chociażbyś nawet był Hektorem, owym,
Gwiazdą twojego chełpliwego rodu,
Nie wymkniesz mi się ztąd.

(Walczą. Kilku Wolsków przychodzi w pomoc Aufidyuszowi).

Usłużni, ale niemeźni!—Przekłęta
Wasza gorliwość wstydem mnie okrywa.

(Wychodzą walcząc. Aufidyusz i Wolskowie ustępują przed Marcyuszem).

SCENA DZIEWIĄTA.

(Zgietk bitwy. Sygnały do odwrotu. Muzyka tryumfalna. Z jednej strony wchodzi KOMINIUSZ z częścią wojska; z drugiej MARCYUSZ, z zawieszoną ręką na bindzie, na czele swego oddziału).

KOMINIUSZ.

Gdybym ci zaczął opowiadać twoje
Dzisiejsze czyny, sambyś im, Marcyuszu,
Nie chciał dać wiary: ale zdam z nich sprawę
Tam, gdzie słuchając ich senatorowie
Łzy mieszać będą z uśmiechem radości;
Gdzie znakomici patrycyusze mileząc

Słuchać mnie będą, wzruszać ramionami,
 Wreszcie podziwiać; gdzie kobiety będą
 Drzeć z przerażenia i w słodkiem wzruszeniu
 Z uwagą chwytać każde moje słowo;
 Gdzie płytkogłowi trybunowie, wespół
 Z cuchnącą zgrają niesfornych plebejan,
 Nienawidzący twój wyższości, będą
 Zmuszeni mówić:—*Dziękujemy bogom,
 Że Rzym takiego ma żołnierza!*
 Aleś ty przyszedł na szczątki biesiady,
 Suta wprzód ucztę spożywszy.

*(Tytus Larcyzus wracając z pogoni za nieprzyjacielem
 wchodzi z wojskiem swoim).*

LARCYUSZ.

O wodzu!

Oto jest rumak: my tylko czapraki.
 Gdybyś był widział!

MARCYUSZ.

Przestań! Moja matka

Posiadająca szczególny przywilej
 Do wynoszenia zalet swego rodu,
 Chwałąc mnie, przykrość mi sprawia. Zrobiłem
 To, co wy, to jest, co mogłem; jednaki
 Mielіśmy bodziec, to jest myśl, że przez to
 Służym ojczyźnie: kto wypełnił tylko
 To, czego pragnął, ten w zasłudze stoi
 Ze mną na równi.

KOMINIUSZ.

Nie będziesz ty grobem
 Twych cnót: Rzym musi znać wartość swych dzieci.
 Występkieby to było, i zaprawdę
 Gorszym jak kradzież, gorszym jak oszczerstwo,
 Kryć czyny twoje i przemilczać o tém,
 Co podniesione do szczytu uwielbień,
 Skromnémby jeszcze się zdało: dlatego
 Pozwolisz, abym (w celu okazania
 Czém jesteś, nie zaś w dank za to, coś zdziałal),
 Przemówił do cię przed obliczem wojska.

MARCYUSZ.

Rany me, chociaż same przez się błahe,
 Bolałyby mnie, gdybym o nich słyszał.

KOMINIUSZ.

Gdyby je raczej milczeniem pokryto,
 Wtedyby słusznie mogły się rozgnoić

I zgangrenować; byłabyto bowiem
 Niewdzięczność gorsza niż drażniący plaster.
 Z wszystkich tych koni (którycheśmy wzięli
 Niemalą ilość, i to dobrej rasy),
 Z wszystkich tych skarbów, których nam dostarczył
 Ich gród i obóz, wolno ci dziesiątą
 Część wziąć na własność: oddaję ją tobie
 Przed uczynieniem ogólnego działu,
 I zostawiamy ci wybór.

MARCYUSZ.

Dziękując,
 Wodzu! nie mogę jednak w żaden sposób
 Na sercu mojem wymódz przyzwolenia,
 Iżbym zapłatę przyjął za usługi
 Miecza mojego. Uchylam się przeto
 Od téj korzyści, i pragnę pozostać
 Na równej stopie z tymi, którzy byli
 Świadcami moich usiłowań.

*(Przeciągły odgłos trąb. Wszyscy wykrzykują: Marcyusz!
 Marcyusz! rzucają w górę czapki i włócznie. Kominiusz
 i Larcyusz stoją z odkrytymi głowami).*

Oby

Te instrumenta, które znieważacie,
 Nigdy już więcej nie zabrzmiały! Kiedy
 Trąby i kotły na polu Bellony
 Mogą się zniżyć do dworaczych pochlebstw,
 Dwory i miasta powinnyby w tysiąc
 Barw się przyodziać. Kiedy się stal może
 Stawać tak miękką, jak jedwab' gnuśnika,
 Niechże z niej szyją koldry wojownikom!
 Przestańcie. Toż więc za to, żem jak baba
 Nie otarł nosa, gdy mi krew szła z niego;
 Żem kilku słabych powalił charłaków,
 Co i niejeden z obecnych tu zrobił,
 Chociaż nikt tego nie pamięta: za to
 Hyperboliczne odbieram oklaski;
 Jak gdybym lubił karmić moję małość
 Mdlą karmią pochwał zaprawionych kłamstwem.

KOMINIUSZ.

Zaskromny jesteś Marcyuszu: strowszy
 Dla swoich zasług, niż uprzejmy dla nas,
 Którzy cześć prawdzie oddajemy. Wybacz,
 Ale ponieważ sam chcesz krzywdzić siebie,
 Musim cię piérwój, (jak kogoś, co godzi
 Na własne zdrowie), ująć w pęta, zanim

Będziem się mogli lepiej porozumić.—
 Niech więc wiadomo będzie nam i światu,
 Że Kajus Marcyusz zasłużył w téj wojnie
 Na bohaterski wieniec; w dowód czego
 Daję mu mego dziarskiego rumaka,
 Wychowanego w obozach, z wszelkiemi
 Należącemi do niego przybory;
 Za to zaś, co pod Koryolami zdziałał,
 Niechaj nazwany będzie uroczyście,
 Wśród wiwatowych ogólnych okrzyków:
Kajem Marcyuszem Koryolanem.—
 Noś ten dodatek godnie aż do śmierci!
 (Odgłos trąb i kottów).

WSZYSCY.

Niech żyje Kajus Marcyusz Koryolanus!

KORYOLAN.

Idę twarz obmyć: zobaczycie potem
 Czy mnie ta nazwa rumieni. Przyjmijcie
 Dzięki tymczasem:—konia twego, wodzu,
 Rad będę dosiąść, i przez całe życie.
 Jako pióropusz na szyszaku nosić
 Na czele mych nazw ten drogi dodatek,
 Który od ciebie otrzymałem.

KOMINIUSZ.

A teraz idźmy do namiotów spocząć
 Po trudach; wprzódy trzeba nam jednakże
 Wysłać do Rzymu listy z doniesieniem
 O odniesioném zwycięztwie.—Larcyuszu,
 Tobie wypada powrócić do Koryol;
 Przyślesz nam ztamtąd do Rzymu przedniejszych
 Obywateli, celem traktowania
 Z nimi o własném ich dobru i naszém.

LARCYSZ.

Wypełnię, wodzu, co każesz.

KORYOLAN.

Bogowie

Naigrawać się ze mnie zaczynają:
 Ja, com przed chwilą odrzucił ofiarę
 Książęcych darów, zniewolony jestem
 Udać się z prośbą do mojego wodza.

KOMINIUSZ.

Z góry już masz jój skutek.—O cóż idzie?

KORYOLAN.

Zdarzyło mi się w Koryolach, przed laty,
 Nocować w domu pewnego biédaka,
 Który mię przyjął gościnnie; ten człowiek
 Zostawszy dzisiaj pojmany przez naszych,
 Zawolał na mnie: ale wzrok mój wtedy
 Widział przed sobą tylko Aufidyusza,
 I gniew zagłuszył litość w mojem sercu.
 Proszę cię teraz wodzu, puść na wolność
 Tego biédaka!

KOMINIUSZ.

O! ta prośba godną
 Jest ciebie! Choćby ten człowiek był mego
 Brata zabójcą, zostałby natychmiast,
 Tak jak wiatr wolnym.—Uwolń go Tytusie.

LARCYSZ.

Jakież jest jego miano?

KORYOLAN.

Na Jowisza,
 Nie mogę sobie przypomnieć:—znużony
 Jestem; nie jestem w stanie zebrać myśli.
 Nie ma tu wina?

KOMINIUSZ.

Idźmy do namiotu;
 Krew ustąpiła z twych lic; czas w to wejrzeć:
 Nie ociągajmy się dłużej.

(Wychodzą).

SCENA DZIESIĄTA.

(Obóz Wolsków).

(Odgłos trąb i rogów. TULLUS AUFIDYUSZ skrwa-
 miony wchodzi na scenę z dwoma czy trzema żoł-
 nierzami).

AUFIDYUSZ.

Wzięto więc miasto!

1 ŻOŁNIERZ.

Nieinaczéj, wodzu;
 Ale podobno ma być powrócone
 Pod łagodnemi warunkami.

AUFIDYUSZ.

Pod warunkami?—O! trzeba mi było
 Być Rzymianinem, kiedy będąc Wolskiem,
 Nie mogę być tém, czém jestem. Warunki!
 Jakież u kata łagodne warunki
 Mogą się mieścić w układach dla strony,
 Co się na łaskę zdała lub niełaskę?
 Pięć razy z tobą walczyłem, Marcyuszu,
 I tyleż razy pobity zostałem;
 Spotkałoby mnie, rozumiem, toż samo
 Za każdym razem, chociażbyśmy z sobą
 Ścierali miecze, tak często jak jemy.
 Na wszystkie nieba i piekła! Jeżeli
 Kiedykolwiek jeszcze przyjdzie mi się znowu
 Broda o brodę zetknąć z tym człowiekiem:
 Albo ja padnę, albo on. Szlachetne
 Współzawodnictwo już mnie dziś nie lechce;
 Dotąd myślałem go zgnieść w równej walce,
 Miecz z jego mieczem zkryżowawszy; teraz
 Nie dbam o środki byle się go pozbyć:
 Siła lub podstęp, jedno z tego dwojga,
 Musi go dosięgnąć.

I ŻOŁNIERZ.

To prawdziwy szatan.

AUFIDYUSZ.

Śmielszy od niego, ale mniej subtelny:
 Moja waleczność nasiąkła trucizną
 Przez to jedynie, że cierpiała plamę,
 Którą ją okrył: gotowa dla niego
 Zaprzec się siebie. Nic nie zdoła wstrzymać
 Mój ręki: ani sen, ani modlitwa,
 Ani choroba, ani nagość, ani
 Próg Kapitolu, ani wnętrze świątyni,
 Ani kapłanów pobożne obrzędy,
 Ani czas ofiar; nic z tego wszystkiego.
 Co wszelkiej stawia wściekłości zaporę,
 Nie zdoła żadnym starym przywilejem,
 I zardzewiałym puklerzem zwyczajem
 Zasłonić piersi Marcyusza przed gromem
 Mój nienawiści: gdziekolwiek go znajdę,
 Choćby to było w domu i pod strażą
 Brata mojego własnego, utopię
 Chciwą krwi jego dłoń w jego wnętrznościach.
 —Idźcie do miasta, wywieźcie się, co tam
 Zaszło nowego, i jacy do Rzymu
 Posłani będą zakładnicy.

I ŻOŁNIERZ.

Mamyż

Sami iść, wodzu? nie pójdieszże z nami?

AUFIDYUSZ.

Czekają na mnie w gaju cyprysowym
 (Ku południowi za młynami miasta):
 Tam mi donieście, jak się świat obraca,
 Abym do tego zastosować umiał
 Dalszy mój obrót.

I ŻOŁNIERZ.

Uczynim tak, wodzu.

(Wychodzą).

AKT II.

SCENA PIĘRWSZA.

(Rzym. Plac publiczny).

MENENIUSZ, SYCYNIU SZ i BRUTUS.

MENENIUSZ.

Augurowie powiedzieli mi, że téj nocy będziemy
 mieli wieści.

BRUTUS.

Dobre czy złe?

MENENIUSZ.

Nie zupełnie odpowiednie życzeniom ludu, bo lud
 nie lubi Marcyusza.

SYCYNIU SZ.

Natura uczy zwierzęta poznawać nieprzyjaciół.

MENENIUSZ.

Powiedźcie mi, proszę, kogo wilk lubi?

SYCYNIU SZ.

Jagnięta.

MENENIUSZ.

Ba, dlatego, żeby je rad pożreć; tak jak głodni ple-
 bejanie radziby pożreć szlachetnego Marcyusza.

BRUTUS.

To jagnię nie lada: mruczy jak niedźwiedź.

MENENIUSZ.

To niedźwiedź nie lada, co żyje jak jagnię. Jesteście już starzy obadwa, odpowiedźcież mi, proszę, na jedno zapytanie.

OB. TRYBUNOWIE.

Chętnie to uczynim.

MENENIUSZ.

Jakiemiżto wadami upośledzony jest Marcyusz, którychbyście wy nie mieli podostatkiem?

BRUTUS.

Nie upośledzony on jest żadną, owszem sownie każda uposażony.

SYCYNIUSZ.

Mianowicie dumą.

BRUTUS.

Którą depce drugich bez względu.

MENENIUSZ.

To rzecz dziwna: wiecież wy, co o was mówią na mieście, to jest w naszych wyższego rzędu towarzystwach? Czy wiecie?

OB. TRYBUNOWIE.

Cóż takiego o nas mówią?

MENENIUSZ.

Ponieważ dopiero co wspomnieliście o dumie, nie będziecież urażeni?

OB. TRYBUNOWIE.

Bynajmniej, panie, bynajmniej.

MENENIUSZ.

Niewiele zresztą na tém zależy, bo mała doza pierwszej lepszej okoliczności zdolną wam będzie odjąć i bez tego wielką porcją wyrozumienia. Popuście więc cugle cholerze i gniewajcie się jak chcecie, jeżeli się wam to podoba. Zarzucacie więc Marcyuszowi, że jest dumny?

BRUTUS

Nie sami jedni to czynimy.

MENENIUSZ.

Wiem ja, że sami jedni mało co możecie uczynić; macie licznych popleczników: inaczéj czynności wasze wydałyby się dziwnie odosobnionemi. Zdolności wasze tak są drobne, iż niepodobna im wiele zrobić samym przez się. Mówicie o dumie? O! gdybyście mogli zwrócić oczy wasze na włos rosnący wam na karku, i zrobić ja-ki-taki przegląd wewnętrznej strony jestestw waszych! Gdybyście mogli!

BRUTUS.

Cóżbyśmy zobaczyli?

MENENIUSZ.

Co? Oto parę lichych, nadętych, gwałtownych, drażliwych urzędników, (*alias* półgłówek), jedynych w swoim rodzaju na cały Rzym.

SYCYNIUSZ.

Meneniuszu, waszmość także dokładnie jesteś znany!

MENENIUSZ.

Znany jestem jako patrycyusz, mający swoje dziwactwa i lubiący czarę dobrego wina, w którego skład Tyber nie wchodzi; o którym mówią, że jest cokolwiek za słaby, bo pierwszego lepszego skargi popiera, porywczy i do tubki podobny, kiedy głupie wymagania słyszy: że woli pośladek nocy jak czoło poranku. Co myślę, to i mówię; złość mą przelewam w słowa, kiedy spotkam dwóch takich, jak wy dobroczyńców ludzkości, (Likurgusami nazwać was nie mogę), a napój podany mi przez nich nie głaszcze mi podniebienia, to się skrzywię. Nie mogę powiedzieć, że wasze miłości dobrze rzecz rozważyli; kiedy widzę, że do większej części ich syllab wchodzi *as-i-nus*; a chociaż nie spieram się z temi, co utrzymują, żeście poważni i szanowni, mniemam jednak, że kapitalnie kłamią ci, co mówią, że wam dobrze z oczu patrzy. Jeżeli tego wszystkiego dostrzegacie na mappie mego mikrokozmu, idzież zatém, że jestem znany dokładnie? I cóżby wasze ślepe przenikliwość mogły sprostować, jeżeli dokładnie jestem znany?

BRUTUS.

No, no, już my waćpana dobrze znamy.

MENENIUSZ.

Nie znacie ani mnie, ani siebie, ani niczego zgoła! Dumni jesteście z tego, że czereda gojzków czapice zdejmuje przed wami i nogami wam uniżenie wierzga; mar-

nujecie drogie przedpołudnie słuchając sprawy między przekupką i tandeciarzem, a potem odraczacie mizerny spór o trzy grosze na drugi dzień audyencyi. Jeżeli was przy słuchaniu stron kolka zażgnie, wykrzywiacie się jak maskary, podnosicie czerwoną flagę ku zniecierpliwieniu najspokojniejszych, i chwytając się za brzuch zostawiacie spór zawikłany bardziej, niż był przed wprowadzeniem: jedyna zgoda do której przyprowadzacie strony na tém zależy, że i tych i owych nazwicie szelmami. Jesteście czworonożną szajką dziwnego nabożeństwa.

BRUTUS.

No, no, no; wiadomo każdemu, że waszmość jesteście lepszym śmieszkiem u stołu, jak potrzebnym sprzętem w Kapitolu.

MENENIUSZ.

Kapłani nawet muszą się stać trefniami w towarzystwie tak śmiesznych, jak wy, kreatur. Kiedy się wam zdarzy jako tako mówić w jakiej materji, to jeszcze i wtedy wasza mowa nie warta poruszenia bród waszych, a wasze brody nie zasługują na nic szlachetniejszego po śmierci, jak żeby nimi wypchać poduszki gałganiarza lub utkać z nich derę na osła. Mimo tego utrzymujecie, że Marcyusz jest dumny: on, którego wartość lekko oceniona przewyższa wartość wszystkich poprzedników waszych w rumel wziętych od czasów Deukaliona, chociaż może najlepsi z nich z ojca na syna pełnili urząd oprawców. Dobranoc, moi przezacni pasterze plebejskiej trzody, dłuższa rozmowa z wami mogłaby mi mózg zarazić: pozwalam sobie pożegnać was.

(Brutus i Sycyniusz oddalają się w głąb sceny).

(Wolumnia, Wirgilia, Walerya i kilka innych niewiast wchodzi).

Witajcie, piękne, szlachetne niewiasty. Gdyby lu-na była ziemianką, śmiałoby mogła obok was stanąć: gdzieżto tak niecierpliwio wzrok posyłacie?

WOLUMNIA.

Zacny Meneniuszu, mój Marcyusz jest spodziewany: na miłość Junony idźmy naprzeciwko niego.

MENENIUSZ.

Co słyszę! Marcyusz powraca?

WOLUMNIA.

Tak jest, Meneniuszu: powraca szczęśliwie i zaszczytnie!

MENENIUSZ.

Do góry czapko moja! Jowiszu, przyjm pokłon i dzięki!—Marcyusz, Marcyusz powraca?

DWIE NIEWIASTY.

Nieinaczéj, wkrótce tu będzie.

WOLUMNIA.

Patrz, oto list od niego: senat odebrał drugi, jego żona trzeci, a czwarty, pewnie w domu na was czeka!

MENENIUSZ.

Biada memu domowi! roztrząsnę go za powrotem. List do mnie od niego?

WIRGILIA.

Najniezawodniéj znajdziecie list w domu: widziałam go.

MENENIUSZ.

List od niego? Wieść ta wprawia mnie w stan zdrowia, krórego na siedm lat wystarczy. Dziś jeszcze dam szcztka w nos lekarzowi: najdoskonalszy przepis Galena szarłatańskim jest środkiem, nielepszym od końskiej miktury, w porównaniu z taką receptą. Nie jestże on ranny? bo on bez ran nie zwykł powracać.

WIRGILIA.

O, nie, nie, nie!

WOLUMNIA.

I owszem, jest ranny: bogom za to dzięki składam.

MENENIUSZ.

Czynię i ja toż samo, jeżeli tylko jego rany nie są cięższego kalibru: będą mu one do twarzy.—Przynosisz w garści zwycięstwo?

WOLUMNIA.

Na czole, Meneniuszu, po trzecito już raz wraca w wieńcu dębowym.

MENENIUSZ.

Musiał dać dobrą pamiątkę Aufidyuszowi?

WOLUMNIA.

Tytus Larcyzus pisze, że walczyli z sobą, ale Aufidyusz uszedł.

MENENIUSZ.

I dobrze zrobił, mogę mu ręczyć: bo gdyby mu był dotrzymał placu, za wszystkie skrzynie Koryol i wszystko złoto co w nich jest, nie chciałbym wyglądać tak, jakby on był wyglądał. Czy wie o tém senat?

WOLUMNIA.

Idźmy moje kobiety.—Nieinaczéj, nieinaczéj; senat odebrał listy od wodza, w których tenże przyznaje memu synowi cały zaszczyt téj wojny: przewyższyć on miał w dwójnasób tym razem poprzednie swoje czyny.

WALERYA.

W istocie, dziwne o nim rzeczy opowiadają.

MENENIUSZ.

Dziwne? gwarantuję, że nie przesadzono o włos rzeczywistości.

WIRGILIA.

Dałyby bogi, żeby tak było!

WOLUMNIA.

Dałabyś pokój swoim żeby...

MENENIUSZ.

A ja dałbym gardło, że tak jest.—Gdzież on raniony?—Polecam was bogom! (*Do Trybunów, którzy przystąpili*). Marcyusz powraca: przybyło mu powodów być dumnym.—Gdzież on raniony?

WOLUMNIA.

W łopatkę i w lewe ramię: podostatkiem będzie miał blizn do pokazania ludowi, kiedy się będzie starał o przynależny mu stopień. Przy wypędzeniu Tarkwiniuszów otrzymał był siedm cięć.

MENENIUSZ.

Z tych, jedno w kark, a dwa w udo, o ile pamiętam: wiemy już więc o dziewięciu.

WOLUMNIA.

Udając się na ostatnią wyprawę, miał na sobie dwadzieścia pięć szram.

MENENIUSZ.

Będzie ich więc miał dwadzieścia i siedm: każda z nich stała się grobem nieprzyjaciela.

(Odgłos trąb i okrzyki).

Słyszycie te głosy?

WOLUMNIA.

Sąto Marcyusza heroldowie: przed nim

Idą okrzyki, za nim łzy zostają.

Duch śmierci siedzi na jego prawicy,

Którą gdy wstrząśnie, giną przeciwnicy.

(Marsz. Odgłos trąb. Kominiusz i Tytus Larcyzus wchodzi; pomiędzy nimi Koryolan z dębowym wieńcem na czole; za nimi rotmistrze i żołnierze; na przodzie herold).

HEROLD.

Wiadomo czynim Rzymowie, że Marcyusz
Sam jeden walczył w murach miasta Koryol,
Gdzie obok sławy zyskał nowe miano
W dodatku do dwóch dawnych; od téj pory
Ma się zwać: Kajus Marcyusz Koryolanus.—
Witaj wslawiony mężtwem Koryolanie!

(Odgłos trąb).

WSZYSCY.

Witaj wslawiony mężtwem Koryolanie!

KORYOLAN.

Dość tego: okrzyk ten razi mi serce.
Dość tego, błagam.

KOMINIUSZ.

Oto wasza matka.

KORYOLAN.

O! matko! *(kłęka).* Wiem, żeś za moję pomyślność
Do wszystkich bogów zanosila modły.

WOLUMNIA.

Powstań, waleczny bohaterze, powstań
Luby Marcyuszu, szlachetny Kajuszu
W nagrodę chlubnych dzieł świeżo nazwany—
Jakieżto miano? Ha, mam cię podobno
Zwać Koryolanem? Drogi Koryolanie!—
Lecz oto twoja żona.

KORYOLAN.

O! ty moje
Wdzięczne milczenie, pozdrawiam cię! Czyżbyś

Się śmiała, gdybym był w trumnie powrócił,
 Kiedy przy moim tryumfie łzy ronisz?
 O! luba, takie oblicza dziś mają
 Wdowy w Koryolach i matki żałosne
 Po stracie synów.

MENENIUSZ.

Niechże cię bogowie
 Ukoronują!

KORYOLAN.

Żyjesz jeszcze stary?—(*Do Waleryi*).
 Wybacz mi, zacna pani: w rzeczy samój,
 Nie wiem gdzie pierwój mam się zwrócić:—Witaj,
 Rodzinne miasto; witajcie mi wszyscy
 Razem; witajcie poszczególne wszyscy!

MENENIUSZ.

Po sto tysięcy razy witaj! Mógłbym
 Śmiać się i płakać: czuję się napół
 Lekkim i ciężkim: witaj nam! Niech temu
 Przekleństwo toczy serce, kto nie kontent
 Z twego widoku.—W was trzech powiniemy
 Rzym się rozszaléc: są tu jednak stare,
 Dzikie jabłonie, których cierpki owoc
 Obiektamentów wam nie da. Ztémwszystkiém
 Bądźcie nam całym sercem pozdrowieni:
 Chwastem nazwijmy chwast, a błędy głupców
 Głupotą.

KOMINIUSZ.

Dobrze mówisz.

KORYOLAN.

Tak jest zawsze.

HEROLD.

Dalój, mężowie!

KORYOLAN (*do żony i matki*).

Podajcie mi dłonie:
 Nim mnie dach domu naszego ocieni,
 Muszę odwiedzić zacnych patrycyuszów,
 Od których obok pozdrowień, zaszczytny
 Dank otrzymałem.

WOLUMNIA.

Dożyłam spełnienia
 Życzeń mych, nawet marzeń: jednej tylko

Brak jeszcze rzeczy, a i téj zapewne
Rzym względem ciebie ziścić nie zaniedba.

KORYOLAN.

Bądź przekonaną, matko, że wołałbym
Być po swojemu sługą, niż panować
Po służalczemu.

KOMINIUSZ.

Idźmy na Kapitol.

(Odgłos trąb i rogów. Wszyscy odchodzą tym samym porządkiem jak weszli. Trybunowie zostają).

BRUTUS.

Wszystko co żyje, o nim tylko mówi:
Kto ma wzrok słaby okulary wkłada,
Aby go ujrzeć; świegotliwa nianka
Pozwala dziecku zanieść się od krzyku,
A plecie o nim; lada pluch skręciwszy
Najdroższą szmatę koło szyi, idzie
Piąć się na mury i gapić na niego;
Wystawy domów, przyźby, okna, ganki
Upstrzone; gną się dachy, na facyatach
Okraczkiem siedzą żyjące facyaty,
Tém tylko jedném do siebie podobne,
Że wszystkie oczy wytrzeszczają. Rzadko
Napotykanii Flaminowie drą się
Pośrodkiem tłumów, i zaledwie dysząc
Szukają sobie miejsca wśród mottochu;
Nasze zazwyczaj zakwefione damy
Podają śmiało swoje delikatne
Różą i lilią jaśniejące lica,
Na łup figlarnych Feba pocałunków:
Taki ścisk wszędzie, taki wir, jak gdyby
Jakiś bóg w tego człowieka wcielony
Dał mu nadludzką potęgę i powab.

SYCYNIUSZ.

Zobaczysz, że się ani spostrzeżemy,
Jak go obiorą konsulem.

BRUTUS.

A wtedy

Urząd nasz pójdzie spać.

SYCYNIUSZ.

On nie potrafi

Z umiarkowaniem piastować do końca
Swoich godności; to co dziś pozyskał,
Utraci jutro.

BRUTUS.

W tém nasza otucha.

SYCYNIUSZ.

Nie wątp, że nasi mieszczkańscy mandanci
Przy piérwszój lepszój okazji poczują
Dawną ku niemu niechęć i zapomną
O jego nowych zaszczytach; do czego
Że im da powód, znając jego dumę,
Z łatwością można przewidzieć.

BRUTUS.

Słyszałem,
Jak się zarzekał, że choćby chciał zostać
Konsulem, nigdy nie pójdzie na rynek,
Nigdy nie włoży na siebie wytartój
Szaty pokory, ani téż nie będzie,
Ran swych po formie odkrywać ludowi,
By tym sposobem skarbić sobie jego
Smrodliwy oddech.

SYCYNIUSZ.

Tém lepiėj.

BRUTUS.

Powiedział,
Oto są jego słowa:—że wolałby
Nie być konsulem, niż być nim inaczėj,
Jak za usilną prośbą sobie równych,
I w skutek życzeń szlachty.

SYCYNIUSZ.

Nie pragnijmy
Niczego więcéj: jedno, żeby wytrwał
W tém przedsięwzięciu i one wykonał.

BRUTUS.

Zdaje się, że tak zrobi.

SYCYNIUSZ.

W takim razie
Zgotuje sobie to, czego mu życzym,
To jest niechybną zgubę.

BRUTUS.

Jedno z dwojga
Musí nastąpić: albo on upadnie,
Albo my wpływ nasz utracim. Dlatego
Trzeba nam zręcznie poszepnąć ludowi,

Jak on go zawsze niecierpiał; że gdyby
 Miał władzę, toby go zaprzął do jarzma;
 Obróńcom jego nakazał milczenie;
 Ukrócił jego swobody: że on go
 W praktycznym życiu, w publicznych stosunkach,
 Względnie na zdolność i na użyteczność,
 Za nic lepszego nie ma, jak wielbłąda
 Na wojnie, który dostaje posiłek
 Za to jedynie, że dźwiga ciężary,
 A kije, kiedy pod niemi upada.

SYCYNIUSZ.

Skoro się o tém, coś powiedział, wspomni
 W stosownym czasie, kiedy jego niczém
 Nieposkromiona zuchwałość wybuchnie
 W oczy ludowi, (wybuchnie zaś ona,
 Jak tylko się go podżegnie, a jego
 Podżedz tak łatwo jak psem poszczuć owce),
 Wtedy ten wybuch ogarnie w lot suche
 Paliwo ludu, a dym złąd powstały,
 Zaćmi na zawsze cały jego urok.

(Posłaniec wchodzi).

BRUTUS.

Co nam przynosisz?

POSLANIEC.

Jesteście wezwani

Do Kapitolu. Zanosi się na to,
 Że Marcynusz będzie konsulem: widziałem
 Głuchych tłoczących się żeby go widzieć,
 A ślepych żeby go słyszeć. Matrony,
 Niewiasty, panny rzucały na niego
 W przechodzie chusty, szarfy i zasłony;
 Szlachta skłaniała się z uszanowaniem,
 Jak przed statua Jowisza: a nasze
 Tłumy wydały taki grzmot okrzyków,
 Zrobiły taki grad z czapek, jakiegom
 Jeszcze nie widział.

BRUTUS.

Idźmy na Kapitol!

Nastrojmy oczy i słuchy do tego,
 Co jest, a serca postawmy na czatach
 Tego, co będzie.

SYCYNIUSZ.

Wesprę cię we wszystkim.
(Wychodzą).

SCENA DRUGA.*(Tamże. Kapitol).**(Dwaj woźni ustawiają senatorskie krzesła i kładą na nich poduszki).*

1 WOŹNY.

Śpieszmy się; wkrótce nadejdą. Iluż jest kandydatów do konsulatu?

2 WOŹNY.

Trzech podobno: ale powszechnie mówią, że Koryolan będzie obrany.

1 WOŹNY.

Tęgito człowiek: ale kaducznie dumny i nie ma serca do ludu.

2 WOŹNY.

Prawdę mówiąc, bywali wielcy ludzie, którzy podchlebiali ludowi, a lud do nich nie miał serca; są także tacy, do których lud ma serce, nie wiedząc sam dlaczego: idzie za tém, że jeżeli lud ma do kogoś serce nie wiedząc dlaczego, z równą zasadą nie ma go do kogoś drugiego. Jeżeli więc Koryolan nie dba o to, czy go lud lubi czy nie lubi, dowodzi tém, że zna doskonale naturę ludu, a szlachetności charakteru tém, że mu to jawnie okazuje.

1 WOŹNY.

Gdyby mu to było wszystko jedno, czy lud go lubi, czy nie lubi, obojętnieby się względem niego zachował: to jest: nie czyniłby mu ani dobrze, ani źle; ale on żarliwiej się stara o nienawiść ludu, niż lud o uczynienie mu w tém zadość, i niczego nie zaniedbuje, żeby się okazać otwartym jego przeciwnikiem. Mojem zdaniem, paradę robić z lekceważenia i drażnienia ludu, jest równie naganném, jak czynić to, na co prawość nie pozwala, to jest, pochlebiać dla zyskania jego względów.

2 WOŹNY.

Znakomicie się zasłużył ojczyźnie, i wyniesienie się jego nie szło po tak łatwych stopniach, jak u tych, co nadskakując i lasząc się ludowi, czapkowaniem tylko, bez żadnego innego tytułu jednali sobie jego cześć i życliwość; on swoje godność tak mu postawił przed oczyma, a swoje czyny tak mu wraził w serce, że jego milcze-

nie i niewyznawanie tego co czuje, byłoby już rodzajem krzyżującą niewdzięcznością obelgi, a odezwanie się ubliżające, złością, która sama sobie zadając kłamstwo, oburzyłaby i przejęła zgrozą każdego, coby ją słyszał.

I WOŹNY.

Niema co mówić: zacny to jest człowiek.

Ustąpmy: oto nadchodzą.

(Przy odgłosie muzyki wchodzi poprzedzeni od liktorów: Kominiusz, konsul, Meneniusz, Koryolan, wielu innych senatorów, Sycyniusz i Brutus. Senatorowie zajmują swoje miejsca, trybunowie swoje).

MENENIUSZ.

Po tymczasowém załatwieniu kwestyi
W sprawie z Wolskami, i po wyrzeczeniu
Względem powrotu Tytusa Larcjusza,
Główném zadaniem zebrania naszego
W obecnej dobie jest wynagrodzenie
Znakomitego męża, który świeżo
Tak ważne przyniósł ojczyźnie posługi:
Dlatego chciejcie łaskawie, przezacni
I przedostojni panowie, zawezwać
Teraźniejszego naszego konsula,
A niegdy wodza naszej tak pomyślnie
Przeprowadzonej wyprawy, ażeby
Wam zdał pokrótce relacją o czynach
Kaja Marcjusza Koryolana, który
Jest tu pomiędzy wami, a to celem
Podziękowania mu i zawdzięczenia
Miarą zaszczytów odpowiednią mierze
Jego zasługi.

I SENATOR.

Mów, cny Kominiuszu:

Nie pomiń, przez wzgląd na długość, niczego,
I spraw, abyśmy uznali, że raczej
Naszemu państwu na nagrodzie zbywa,
Niż nam na chęci przysądzenia onęj
Jak najswowicięj. Naczelnicy ludu!
Senat was prosi, abyście nasamprzód
Uprzejme ucho podać, a następnie
Z przychylnym wnioskiem raczyli zdać sprawę
Z tego, co zajdzie.

SYCYNIUSZ.

Jest to arew miłym

Dla nas wezwaniem i jesteśmy skłonni

Wedle możności uczcić i potwierdzić
Przedmiot naszego zebrania.

BRUTUS.

O tyle
Chętniej, o ile dostojny kandydat
Zechce uprzejmie cenić wartość ludu
Niż to dotychczas czynił.

MENENIUSZ.

Dawne dzieje!
Lepiej byłoby milczeć, niż to wznawiać:
Chcecież posłuchać Kominiusza?

BRUTUS.

Z całą
Uwagą, panie; rozumiałbym jednak,
Ze moja wzmianka stosowniejszą była,
Niżeli wasza przygana.

MENENIUSZ.

On kocha
Wasz lud, upewniam; nie żądajcie jednak,
Żeby z miłości aż łożę z nim dzielił.
Zabierz głos, zacny Kominiuszu.— Cóż to?
O! zostań, zostań!
(*Koryolan zrywa się z miejsca i chce wyjść*).

I SENATOR.

Usiądź, Koryolanie,
Nie wstydz się słyszeć o tém, co z honorem
Spełnić umiałeś.

KORYOLAN.

Wybaczcie, ojcowie:
Wolę na nowo goić moje rany,
Niż słuchać, jakem je poniósł.

BRUTUS.

Nie mogę
Przypuścić, panie, że to moje słowa
Tak cię wzruszyły z miejsca.

KORYOLAN.

O, bynajmniej!
Masz waćpan słuszność: nieraz mi się jednak
Zdarzyło słowom tył podać, gdzie stale
Dotrzymał płacu padającym ciosom.
Nie głosząc, zranić mnie waszmość nie mogłeś;

Co się zaś tyczy ludu, o! na honor,
Cenię go, ile wart.

MENENIUSZ.

Usiądź, prosimy.

KORYOLAN.

Wolałbym sobie spokojnie dać głowę
Iskać na słońcu, gdy alarm uderzą.
Niż siedzieć gnuśnie słuchając opisu
Mojęj nicości.

(*Wychodzi*).

MENENIUSZ.

Przewodnicy ludu!

Może-ż ten człowiek zalecać się tłumom,
(w których na tysiąc głów, ledwie jest jedna
godna uczczenia), gdy sam, jak widzicie,
Wolałby raczej wszystkie swoje członki
Podać na hazard w honorowej sprawie,
Niż jedno ucho tym, coby mu chcieli
O tém powiedzieć?—zaczynj, Kominiuszu.

KOMINIUSZ.

Słów mi zabraknie: Koryolana czyny
Słabo się bowiem nie dadzą wyrazić.
Powszechnie twierdzą, że waleczność z wszystkich
Cnota jest najpierwszą, i że sama przez się
Najznakomiciej uszlachetnia ludzi:
Jeżeli tak jest, nikt w świecie nie może
Zrównać w zacności mężowi, o którym
Mówić mam zaszczyt. Gdy Tarkwiniusz Pyszny
Z wojskami pod Rzym podstąpił, on wtedy
Szesnaście mając lat walczył opodal
Od reszty hufców; ówczesny dyktator,
O którym ze czcią przychodzi mi wspomnieć,
Był świadkiem jego popisu i widział,
Jak przed bezbrodém amazońskim licem
Młodzieńca, starzy pierzchali brodacze:
Jakiś Rzymianin obkoczony został
Od nieprzyjaciół, on niosąc mu pomoc,
W obec konsula własną ręką zabił
Trzech napastników; z samym Tarkwiniuszem
Ścierał się nawet i takie mu zadał
Cięcie, że stary wojownik aż przyklękł.
Wtedy już, kiedy mógł był jeszcze dźwięk
Udać na scenie, okazał się w boju
Najpierwszym mężem i w nagrodę zyskał

Dębowy wieniec. Tak nieznacznie przeszedł
 Z małoletności do męskiego wieku:
 Rosnąc jak morze, odtąd w siedmnastu
 Bitwach z kolei wszystkim innym mieczom
 Odbierał wieńce. Nareszcie w ostatniej.
 Tak pod murami jak i w murach Koryol,—
 Tu muszę wyznać, że nie będę w stanie
 Sprostac mu żadnym opisem,—powstrzymał
 Uciekających i nieporównanym
 Przykładem swoim sprawił, że lekliwym
 Niebezpieczeństwo stało się igraszką.
 Jak przed okrętem żaglowym fala,
 Tak przed naciskiem jego dłoni wszystko
 Ustępowało i padało: jego
 Miecz, (stępel śmierci) gdziekolwiek zabłysnął,
 Wszędzie ślad wyrzył. Od stóp aż do głowy
 Cały wydawał się jakąś żyjącą
 Masą krwi, której wszelkim poruszeniom
 Towarzyszyły jęki konających.
 Sam jeden wkroczył w groźne bramy miasta,
 Aby się zgubnym stać jego obrońcom;
 Sam bez pomocy wyszedł z nich i nagle
 Nowych nabrawszy sił spadł jak planeta
 Na mury Koryol: cokolwiek się stało,
 Jego jest dziełem. Kiedy trud wojenny
 Zaczynał czasem nieco wadlić jego
 Przytomne władze. wtedy podwojony
 Duch jego dawał w mgnieniu oka odsiecz
 Fatydze ciała. Szybkim zwrotem przeszedł
 Na pole bitwy, jak geniusz zagłady,
 Depcząc tych, co mu śmieli opór stawić:
 I pókiśmy się nie stali panami
 Tak pola bitwy jak i miasta, póty
 Nie ustał w pracy, aby choć na chwilę
 Dać folgę piersi wytchnieniem.

MENENIUSZ.

To człowiek!

I SENATOR.

Wart on ze wszech miar tego dostojenstwa
 Na jakie chcemy go wynieść.

KOMINIUSZ.

On bopy

Odrzucił nogą, skarbami pogardził,
 Jak pospolitym śmieciem: on nie bragnie
 Niczego więcej nad to, co ostatnia

Nędza dać może; nagrodę swych czynów
Znajduje w samychże czynach, i dość mu
Działać dlatego tylko, żeby zdziałać.

MENENIUSZ.

Szlachetny człowiek! Kaźcie go przywołać.

I SENATOR.

Idźcie przywołać Koryolana.

WOŹNY.

Właśnie nadchodzi.

(Koryolan wraca).

MENENIUSZ.

Cny Koryolanie, senat postanowił
Nadać ci godność konsula.

KORYOLAN.

Do niego

Należą moje usługi i życie.

MENENIUSZ.

Zostaje ci już tylko zwykłym trybem
Mieć rzecz do ludu.

KORYOLAN.

Pozwólcie mi, proszę,

Tryb ten pominąć: nie mogę przyoblec
Szat kandydata; nie mogę obnażać
Mych ran i w imię ich błagać o głosy:
Raczej od tego mię uwolnić.

SYCYNIUSZ.

Panie!

Lud nie odstąpi od swych praw, i ani
Joty nie ujmie ze zwykłych obrzędów.

MENENIUSZ.

Lud pod tym względem nie zwykł czynić ujmy.
Proszę cię, poddaj się prawom zwyczaju:
I za przykładem poprzedników dopełń
Form wymaganych.

KORYOLAN.

Jestto rola, której

Nikt nie odegra bez zarumienienia,
I która słusznie powinna być kiedyś
Być skassowaną.

BRUTUS.

Zapiszmy to sobie.

KORYOLAN.

Chęć się w obec mass, prawić im: patrzcie,
 Comto ja zrobił; odsłaniać im szramy
 Już zabliznione, którebym chciał ukryć,
 Tak, jakbym na to tylko je odebrał
 Abym skuteczniej o ich łaskę zebrał.
 Nie!

MENENIUSZ.

Nie bądź wzbronny. Trybunowie ludu,
 Zalecamy wam, abyscie ludowi
 Postanowienie oznajmili nasze:
 Szlachetnemu zaś konsulowi zyczym
 Wszelkich powodzeń i honorów.

SENATOROWIE.

Wszelkich powodzeń i honorów cnemu
 Koryolanowi!

(Odgłos trąb. Senatorowie rozchodzą się).

BRUTUS.

A co, czy słyszałeś,
 Jak się on względem ludu chce postawić?

SYCYNIUSZ.

Niechże i lud wie, jak się ma postawić
 Naprzeciw niego. Jeśli on wystąpi
 Z prośbą do ludu, to będzie miał minę,
 Jakby pogardzał tém o co go prosi,
 Dlatego, że cel jego prośby zawisł
 Od łaski ludu.

BRUTUS.

Pójdź, uwiadomimy
 Naszych klientów o tém, co tu zaszło:
 Czekają na nas na rynku.

(Wychodzą).

SCENA TRZECIA.

(Tamże. Forum).

(Kilku OBYWATELI wchodzi).

I OBYWATEL.

Jużto, jeżeli nas poprosi o głosy, odmówić mu nie
 będziemy mogli.

2 OBYWATEL.

Będziemy mogli i owszem, jeżeli tylko zechcemy.

3 OBYWATEL.

Mocni jesteśmy to uczynić, ale jestto moc przechodząca naszą możność: bo jak nam pokaże swoje rany, taki nam zamknie gęby i zmusi nas do względnej odpowiedzi: jakże nam znowu powie o swoich pięknych czynach, będziemy mu także musieli o naszych uczuciach coś pięknego powiedzieć. Niewdzięczność potworną jest rzeczą; zaczem lud niewdzięczny byłby potwornym ludem, a my jako jego członkowie bylibyśmy potwornymi członkami.

1 OBYWATEL.

Na poparcie czego mogłyby posłużyć własne jego wyrazy, boć on nas przecię nazwał pstrogłową hydrą, wtedy, kiedyśmy się domagali zboża.

3 OBYWATEL.

Nazwało nas tak wielu; nie dlatego, że jedni z nas mają czarne głowy, inni siwe a inni łyse; ale, że u nas w głowach są takie różne barwy: i w rzeczy samej, gdyby myśli nasze mogły się wydobyć z jednej czaszki, podobnoby jedne poleciały na wschód, drugie na zachód, te na północ, a te na południe, a zdania ich zwróciłyby się z prostej drogi na wszystkie punkta kompasu.

2 OBYWATEL.

Tak myślicie? Na jakąż drogę, waszém zdaniem, zwróciłoby się moje zdanie?

3 OBYWATEL.

Twoje zdanie nie tak prędkoby się mogło wyzwolic, jak u kogokolwiek innego, bo jest w ciasném miejscu szczelnie zamknięte; ale gdyby się wydostało na wolność, toby pewnie powędrowało na południe.

2 OBYWATEL.

Dlaczego na południe?

3 OBYWATEL.

Dlatego, żeby się w parę zamienić. Skoroby się tam trzy jego części ulotniły w massie złych wyziewów, czwarta, przez sumiennosc, pówróciłaby do ciebie, żeby ci do ożenienia się dopomódz.

2 OBYWATEL.

Ciebie się zawsze zarty trzymają: wolneć one, wolne.

3 OBYWATEL.

Jesteście gotowi pisać się za nim? Ale mniejsza o to: większość tu rozstrzygnie. Powiadam wam, że gdyby on się tylko chciał zbliżyć do ludu, nie byłoby godniejszego człowieka.

(Koryolan i Meneniusz wchodzi).

Otóż i on, i to w szacie pokory. Uważajcie jego postawę. Nie wypada nam tu stać razem, ale zbliżyć się do niego po jednym, po dwóch albo po trzech. Trzeba żeby każdemu z nas pojedynczo przedłożył swoje żądanie; tym sposobem każdy z nas będzie miał honor dać mu swój głos własnymi ustami. Pójdźcie więc: pokażę wam, jak macie do niego przystąpić.

WSZYSCY.

Zgoda, zgoda!

(Wychodzą).

MENENIUSZ.

Błędnie uważasz tę rzecz, Koryolanie:
Nie wieszli, że się temu poddawali
Najznakomitsi ludzie?

KORYOLAN.

Cóż im powiem?
—Proszę waszmościów—tfy! tfy! nie potrafię
Nagiąć języka do takiej przemowy:
—Patrzcie, panowie, oto moje rany:
Odebrałem je walcząc za ojczyznę,
Wtenczas, gdy pewna liczba braci waszych
Gwałtu krzyczała i zmykała z placu
Przed dźwiękiem własnych trąb naszych.

MENENIUSZ.

Na bogi!
Nie mów im tego: powinienes raczej
Polecić siebie ich dobrej pamięci.

KORYOLAN.

Niech im kat świeci z ich pamięcią! Wolę,
Żeby zupełnie o mnie zapomnieli,
Jak zapomnieli o cnotach, o których
Naprawdę prawią im nasi kapłani.

MENENIUSZ.

Chcesz wszystko popsuć. Zostawiam cię: przemów
Do nich uprzejmie; zaklinam cię!

(Wychodzi).

(Wchodzi dwóch obywateli).

KORYOLAN.

Każ im

Umyć się piérwój i wyplukać zęby.—
Oto już dwóch się zbliża.—Wiecie waszmość,
W jakim tu celu jestem?

1 OBYWATEL.

Wiemy, panie:

Lecz chcejcie wyznać, co was tu przywiodło?

KORYOLAN.

Moje zasługi.

2 OBYWATEL.

A! wasze zasługi.

KORYOLAN.

Ma się rozumieć, że nie dobra wola.

1 OBYWATEL.

Jakto? nie dobra wola?

KORYOLAN.

Nieinaczéj:

Bom dobrowolnie nigdy jeszcze dotąd
Nie trudził biédnych prośbami.

1 OBYWATEL.

Trzeba wam wiedzieć, panie, że jeżeli
Wam w czém wygodzim, to tylko w nadziei,
Ze coś zyskamy u was.

KORYOLAN.

Bardzo dobrze:

Silaz kosztuje wasz konsulat?

1 OBYWATEL.

Tyle,

Ile kosztuje żadać go uprzejmie.

KORYOLAN.

Uprzejmie żadać? Proszę więc waszmościów,
Pozwólcie mi go dostąpić. Mam rany,
I gotówem je wam zaprezentować
Gdzie na ustroniu.—Cóż, panowie, będeż
Miał wasze głosy?

2 OBYWATEL.

Będziesz je miał, panie.

KORYOLAN.

Rzecz więc skończona. Wyprosiłem sobie
Przecie jałmużnę dwóch poważnych głosów:
Dobranoc!

1 OBYWATEL.

Jakoś to dziwnie wygląda.

2 OBYWATEL.

Radbym się cofnąć: ale mniejsza o to.

*(Wychodzą).**(Dwaj inni obywatele wchodzi).*

KORYOLAN.

Moi panowie, jeżeli się to zgadza z melodią głosów
waszych, żebym był konsulem, chciejcie zauważyć, że
mam na sobie strój formalny.

3 OBYWATEL.

Piękniesz się, panie, zasłużył ojczyźnie, ale nie pięk-
nie się zasługiwałeś.

KORYOLAN.

Co znaczy ten enigenat?

3 OBYWATEL.

Byłeś, panie, plagą nieprzyjaciół kraju a biczem je-
go przyjaciół; okazywałeś się nieprzychylnym pospolitemu
ludowi.

KORYOLAN.

Powinnibyście mi to do cnót policzyć, żem przy-
chylności mojej nie pospolitował. Będę odtąd, mój pa-
nie, inaczej sobie postępował z przyrodnim moim bratem,
ludem: głaskać go będę, żeby sobie na większy jego sza-
cunek zasłużyć; jest to bowiem warunek, którego on ści-
śle przestrzega: a ponieważ w mądrości swojej, woli po-
siadać raczej moją czapkę jak serce, nie zaniedbam mu
się kiwać i kłaniać, i przestanę być oryginałem; to jest
kopiować będę urok ludzi popularnych i hojnie obdzielać
nim na żądanie. Na tej zasadzie, proszę waszmościów
o możliwość zostania konsulem.

4 OBYWATEL.

Spodziewamy się, panie, znaleźć w was dobrego
przyjaciela, i na tej zasadzie ofiarujemy wam nasze głosy.

3 OBYWATEL.

Odebrałeś, panie, niemało ran za ojczyznę.

KORYOLAN.

Nie będę świadomości waszmość panów obarczał ich pokazywaniem. Wielce sobie ważę ich głosy, dlatego nie choę ich dłużej zatrzymywać.

OBYWATELE.

Niech wam bogowie, panie, dadzą wszystko dobre! Z serca wam tego życzymy.

(Wychodzą).

KORYOLAN.

Miluchne głosy!
Lepiej jest umrzeć, głód i męki znosić,
Niż o nagrodę zasłużoną prosić.
Mnieżto przystoi, tu, w tej wilczej szacie
Stać ku jałowej gminu aprobacie?
Przed tym i owym uniżać się chłystkiem?
Zwyczaj chce tego. Gdyby nam we wszystkim
Zwyczaj był normą, starożytne śmiecie,
Pozostałyby nietknięte na świecie,
I takie góry błędówby powstały,
Że święta prawda jużby tej zawały
Przebić nie mogła. Precz, podła głupoto!
Kto dla godności gotów rzucać w błoto
Wewnętrzna godność, niech sobie zabierze
Ten cel upodleń. Lecz jużem w tej mierze
Przebył pół drogi; cofnąć się nie mogę:
Zabrnąwszy, muszę przebrnąć dalszą drogę.

(Trzej inni obywatele wchodzą).

Otóż i nowe głosy!
Mościpanowie, dajcie mi swe głosy!
Dla pozyskania ich głosów walczyłem,
Nie dosypiałem, odebrałem przeszło
Parę tuzinów ran; dla pozyskania
Ich głosów byłem w kilkunastu bitwach;
Dla pozyskania ich głosów zrobiłem
Siła zachodów mniejwięcej zaszczytnych.
Dajcież mi głosy: krótko mówiąc, chciałbym
Zostać konsulem.

5 OBYWATEL.

Szlachetnie postępował, nie może mu więc zbraknąć głosów pocziwych ludzi.

6 OBYWATEL.

Niech więc będzie konsulem! Niech go bogowie błogosławią i utrzymują w przyjaźni z ludem,

WSZYSCY.

Tak niech się staniel
 Bogowie z tobą, szlachetny konsul!
(Obywatele wychodzą).

KORYOLAN.

Szanowne głosy!
(Meneniusz wchodzi z Brutusem i Sycyniuszem).

MENENIUSZ.

Uczyliś już, Koryolanie, zadość
 Zwykłej rutynie; oto trybunowie
 Przychylnie ludu przynoszą ci wota.
 Nie pozostaje ci teraz nic więcej,
 Jak tylko w znakach godności niezwłocznie
 Pójść się przedstawić senatowi.

KORYOLAN.

Zatém

To już minęło?

SYCYNIUSZ.

Dopełniłeś, panie,
 Uświęconego zwyczajem warunku;
 Lud cię potwierdza: wzywamy cię przeto,
 Abyś się udał niezwłocznie po odbiór
 Publicznej sankcyi.

KORYOLAN.

Gdzież sięto mam udać?

Do Kapitolu?

SYCYNIUSZ.

Tak: do Kapitolu.

KORYOLAN.

Mogę więc zdjąć ten ubiór?

SYCYNIUSZ.

Możesz, panie.

KORYOLAN.

Uczynię téżto natychmiast, a skoro
 Znów będę sobą, stawię się w senacie.

MENENIUSZ.

Idźmy. A waszmość panowie?

BRUTUS.

My tutaj

Czekać będziemy na lud.

SYCYNIUSZ.

Bądźcie zdrowi.

(Koryolan i Meneniusz wychodzą).

Zgryzł orzech, ale mu ciężko na sercu:
To z oczu widać.

BRUTUS.

Pod szatą pokory
Zawsze taż sama wyniosłość. Cóż myślisz?
Mamyż rozpuścić lud?

(Obywatele wracają).

SYCYNIUSZ.

Tak więc, waszmoście,
Daliście temu człowiekowi głosy?

1 OBYWATEL.

Ta, jużci; niby tak.

BRUTUS.

Prosimy bogów,
Ażeby się on wam za to odwdzieczył.

2 OBYWATEL.

Dalyby bogi! Według mojej biednej
Miary widzenia zdało mi się jakoś,
Że on z nas szdyził prosząc nas o głosy.

3 OBYWATEL.

Ba, nawet drwił z nas.

1 OBYWATEL.

Ej, to taki jego
Sposób mówienia; nie myślał drwić.

2 OBYWATEL.

Żaden

Z nas, oprócz ciebie jednego nie wąpi,
Że on się z nami obszedł pogardliwie:
Powinien nam był pokazać znamiona
Swojej zasługi, rany odebrane
W obronie kraju.

SYCYNIUSZ.

Musiłci je przecie
Pokazać: jakto nie?

OBYWATELE *(jeden przez drugiego).*

Nikt ich nie widział.

3 OBYWATEL.

Powiedział, że ma rany, że je gotów
 Zaprezentować nam gdzie na uboczu;
 Potém skłaniając się z urągowskiem,
 Rzekł: *Chciałbym zostać konsulem, atoli
 Bez waszych głosów, dawny zwyczaj nie chce
 Na to pozwolić: dajcie mi więc głosy.
 Kiedyśmy mu wtém uczynili zadość,
 Wtedy przebaknął:—Dziękuję wasanom
 Za wasze głosy,—lube głosy!—teraz,
 Mając je w garści, nie mam już z wasaństwem
 Nic do czynienia.—Nie byłyż to drwiny?*

SYCYNIUSZ.

Alboście byli ślepi, żeście tego
 Włót nie spostrzegli; albo dobroduszni
 Jak dzieci, żeście spostrzegłszy to, dali
 Mu jednak głosy.

BRUTUS.

Czyżeście nie mogli
 Tak mu powiedzieć, jak was nauczono?
 Nie mając władzy, będąc jeszcze w rzędzie
 Prostych sług państwa, był on wrogiem waszym;
 Zawsze opierał się waszym swobodom
 I przywilejom, które posiadacie
 Stanowiąc ciało popolitójrzeczy.
 Jeżeli teraz zyskawszy znaczenie,
 Miejsce u steru państwa, pozostanie
 Nieprzyjacielem ludu: czyliż wasze
 Wota nie będą przeciwko wam samym
 Wołać o pomstę? Trzeba mu wam było
 Powiedzieć, że jak z jednej strony jego
 Chwalebne czyny torują mu drogę
 Do tego, o co się stara; tak z drugiej
 Uprzejmy jego i wdzięczny charakter
 Niepłoną czyni wam wróżbę, że będzie
 Pamiętał o was, w dank za wasze głosy,
 I że zamieni niechęć ku wam w miłość,
 Zostając stale przychylnym wam panem.

SYCYNIUSZ.

Gdybyście byli rzecz tak wyluszczyli,
 Jak wam instrukcją dano, bylibyście
 Byli trafili w jego słabą stronę,
 I chęci jego zbadali; a przytém
 Alboby musiał był wam uroczyste
 Dać przyrzeczenie, którebyście w każdym

Razie potrzeby mogli mu przypomnieć;
 Aiboby jego gwałtowna natura,
 W niczém hamulca klauzul niecierpiąca,
 Została przez to podrażniona: wtedy
 Wzburzywszy mu żółć, bylibyście byli
 Mogli korzystać z jego uniesienia,
 I z kwitkiem panka odprawić.

BRUTUS.

Skoroście

Zauważyli, że on was traktował
 Z jawną pogardą, wtenczas, kiedy jako
 Supplikant waszych potrzebował względów:
 Pomyślcie jeno, jakiejto pogardy
 Przyjdzie wam wtedy doświadczyć od niego,
 Kiedy was będzie mógł zgnieść? Cóż u licha,
 Nie macieź serca w ciele, klepek w głowie,
 A język na to tylko, żeby wrzeszczeć
 Przeciw powadze rozumu?

SYCYNIUSZ.

Czyżeście

Żadnego dotąd jeszcze kandydata
 Nie odpalili? Zkądże wam dziś znowu
 Przyszedł szal czynić fawor człowiekowi,
 Który bynajmniej was nie prosił; owszem
 Z był was drwinkami?

3 OBYWATEL.

On nie zatwierdzony
 Jeszcze; możemy go jeszcze odpalić.

2 OBYWATEL.

I odpalimy: ja pięćset mieć będę
 Głosów potemu.

1 OBYWATEL.

Ja tysiąc; nie licząc
 Półgłosów, które się przypną w dodatku.

BRUTUS.

Idźcież nie tracąc czasu uwiadomić
 Waszych przyjaciół, że sobie obrali
 Konsula, który ich z swobód obierze,
 Głos im ukróci jak psom, które często
 Bywają bite za szczekanie, chociaż
 Na to są, żeby szczekały.

SYCYNIUSZ.

Zgromadźcie

Ich, i po zdrowém rozważeniu rzeczy
 Jednogłównymi głosy odwołajcie
 Wasz niedorzeczny wybór. - Przypomnijcie
 Im jego dumę i nienawiść ku wam;
 Nie zapomnijcie im także nadmienić,
 Z jaką on wzdargą był dla szat pokory;
 Jak się z was, niby prosząc, naigrawał:
 Ale naówcześnie affekt wasz ku niemu,
 Wzgląd na zasługi jego nie pozwolił
 Wam pilnie baczyć na jego obejście,
 Którym niegodnie i uwłaczająco
 Zakorzenionej nienawiści ku wam
 Jawny dał dowód.

BRUTUS.

Złóżcie całą winę

Na nas: powiedźcie, żeśmy pracowali
 Usilnie nad tém, ażebyście (w razie,
 Jeżeli k'temu nie zajdzie przeszkoda),
 Poparli jego elekcyę.

SYCYNIUSZ.

Powiedźcie,

Żeście mu dali wasze wota raczej
 Wskutek naszego rozkazu, jak w skutek
 Własnej skłonności; i że waząc w myśli
 To, co wam zrobić kazano, z tém, co wam
 Zrobić przystało, w chwili roztargnienia,
 Mimowolnieście głosowali za nim:
 Tak, bez skrupułu złóżcie na nas winę.

BRUTUS.

Nie oszczędzajcie nas: powiedźcie, żeśmy
 Opowiadali wam, jakto on młodo
 Zaczął ojczyźnie służyć; jak już dawno
 Służy; z jakiego szczepu ród wywodzi:
 Że go szlachetny dom Marcyuszów wydał,
 Z którego wyszedł niegdyś Ankus Marcyusz,
 Zięć Numy, ten sam, co później był królem
 Po wiekopomnej sławy Hostyliusza.
 Z tegoż samego pochodzili domu
 Publiusz i Kwintus, którzy nam najlepszą
 Wodociągami wodę sprowadzili;
 A Cenzorinus, ulubieniec ludu,

Godzien swój nazwy, bo dwakroć piastował
Godność cenzora, był jego pradziadem.

SYCYNIUSZ.

Jako potomka tak zacnego rodu,
Który sam oprócz tego osobiście
Na wywyższenie zasłużył, żarliwie
Poleciliśmy go waszej pamięci;
Porównywając wszakże terażniejsze
Postępowanie jego i poprzednie,
Przekonaliście się, że on jest stale
Nieprzyjacielem waszym, i dlatego
Cofacie waszą skorą approbatę.

BRUTUS.

Powiedzcie, (i w to bijcie jak najwięcej),
Żebyście mu jój, jako żywo, nigdy
Nie byli dali, gdybyście nie byli
Do tego przez nas namówieni:—Idźcie,
I zebrawszy się w przyzwoitój liczbie,
Udajcie się do Kapitolu.

OBYWATELE.

Spieszmy

Błąd nasz naprawić: byłto błąd nielada.
(Wychodzą).

BRUTUS.

Niech idą: lepiej nam zaryzykować
To poruszenie, niż czekać na większe,
Które musiałyby nastąpić. Skoro
On po swojemu w wściekłość wpadnie słysząc
Ich odwołanie, my wtedy wystąpmy
I korzyść schwyćmy za łeb.

SYCYNIUSZ.

Idźmy zaraz:

Trzeba nam bowiem być na Kapitolu
Wprzód, niż pospólstwo: tym sposobem cała
Ta sprawa wyda się własném ich dziełem,
Choć w gruncie przez nas była podżegroną.
(Wychodzą).

AKT III.

SCENA PIÉRWSZA.

(*Odgłos rogów: KORYOLAN, MENENIUSZ, KOMINIUSZ, TYTUS LARCYUSZ, wchodzą w orszaku senatorów i patrycyuszów*).

KORYOLAN.

Tullus Aufidyusz znów się więc odgrażał?

LARCYUSZ.

Tak, i to właśnie nas spowodowało
Pospieszniej zawrzeć pokój.

KORYOLAN.

Więc Wolskowie
Stoją na takiej stopie jak poprzednio
Czekając tylko na sposobną porę,
Żeby nas znowu napaść?

LARCYUSZ.

Taką oni
Świeżo ponieśli klęskę, że my starzy
Powiewających chorągwi ich pewnie
Nigdy już więcej nie ujrzym.

KORYOLAN.

Widziałeś
Gdzie Aufidyusza?

LARCYUSZ.

Z glejtem bezpieczeństwa
Przyszedł on do mnie, i klął Wolskom za to,
Że tak nikczemnie miasto nam poddali:
Jest teraz w Ancyum.

KORYOLAN.

Czy mówił co o mnie?

LARCYUSZ.

Mówił.

KORYOLAN.

Cóż mówił?

LARCYUSZ.

Żeście się już nieraz
 Starli samowtór; że niema na świecie
 Rzeczy, którąby nienawidził bardziej,
 Jak ciebie; i że gotów oddać wszystkie
 Swoje dostatki bez nadziei zwrotu,
 Byleby tylko mógł się wreszcie nazwać
 Twoim zwycięzcą.

KORYOLAN.

Jest więc teraz w Ancyum?

LARCYUSZ.

Tak, w Ancyum.

KORYOLAN.

Radbym go pójść tam odwiedzić,
 I nienawiści jego odpowiedzieć.—
 A teraz, witaj nam Tytusie!—
 (*Sycyniusz i Brutus wchodzą*).

Patrzcie!

Sąto tak zwani trybunowie ludu,
 Języki gminnej gęby. Gardzę nimi,
 Bo się dmą w sposób wzburzający wszelką
 Szlachetną flegmę.

SYCYNIUSZ.

Ani kroku dalej!

KORYOLAN.

Coto jest?

BRUTUS.

Dalej iść byłoby zgubnem:

Nie idźcie dalej.

KORYOLAN.

Co znaczy ta zmiana?

MENENIUSZ.

Zkąd powód?

KOMINIUSZ.

Szlachty i ludu?

Czyliż on nie zyskał wotów

BRUTUS.

Nie zyskał ich jeszcze.

KORYOLAN.

Miałem więc głosy żaków?

I SENATOR.

Trybunowie,

Nie brońcie mu iść na rynek: odstąpcie.

BRUTUS.

Lud jest rozżarty na niego.

SYCYNIUSZ.

Ogólny

Wybuch nastąpi, jeśli się ukaze.

KORYOLAN.

To więc lud waszą jest trzodą?—I na cóż
Głos jest udziałem tych, co go wydają
I zaprzeczają go natychmiast?—Jakaż
Jest wasza funkcya? Jesteście ich gębą,
Czemuż ich zębów nie trzymacie w karchach?
Podbechtaliście ich?

MENENIUSZ.

Miarkuj się, miarkuj!

KORYOLAN.

To ułożona rzecz: intryga, w celu
Upokorzenia szlachty. Możnaż znieść to
I żyć, gdzie tacy bezkarnie rej wodzą,
Co sami rządzić nieumieją c, nie chcą
Być rządzonemi?

BRUTUS.

Nie nazywaj tego

Intrygą, panie! Lud woła, żeś sztydził
Z niego; żeś sarkał, kiedy mu bezpłatnie
Dawano zboże; żeś czernił tych, co się
Za nim wstawiali, zwąc ich lizusami,
Chorągiewkami, odstępcami szlachty.

KORYOLAN.

To i wprzód było wiadomém.

BRUTUS.

Nie wszystkim.

KORYOLAN.

Doniosłeś im więc potém?

BRUTUS

Jam miał donieść?

KORYOLAN.

Do takich kroków zdasz się waszmość.

BRUTUS.

Zdam się

Do niejednego, by sprostować wasze.

KORYOLAN.

Na cóż mi tedy być konsulem, na co?
 O, na te chmury co wiszą nad nami,
 Jeżeli jestem tak złym sługą kraju,
 Zróbcie mnie lepiej trybunem.

SYCYNIUSZ.

Ta mowa

Zdradza zbyt jawnie to, co jest przyczyną
 Szemrania ludu. Chceszli, panie, dopiąć
 Celu swych życzeń, trzeba ci oględniej
 Dotychczasowe zbadać stanowisko:
 Ani się stawiać tak górnio jak konsul,
 Ani tak nisko jak trybun.

MENENIUSZ.

Zbierz flegmę.

KOMINIUSZ.

Lud błędnie został poinformowany.
 Takie krętaćstwo nie jest godne Rzymian;
 Ani Koryolan nie zarobił sobie,
 Aby mu dzisiaj na utorowanej
 Zasługą drodze tak uwłaczającą
 Tamę stawiano.

KORYOLAN.

Prawić mi o zbożu!
 Com wtedy mówił, powtórzę i teraz.

MENENIUSZ.

Tylko nie teraz, nie teraz.

I SENATOR.

Nie teraz,

W tém uniesieniu.

KORYOLAN.

Teraz, jako żywo!
 Wybaczcie zacni przyjaciele.—Niechaj

Ten zmienny, durny tłum spojrz mi w oczy
 I w nich się przejrzy: powtarzam, że głaszcząc
 Ten ród, żywimy ku ujmie senatu
 Kąkol rokoszu, zuchwalstwa, zamieszek;
 Sami go siejem i sami w-orujem,
 Dając tym ludziom miejsce w naszym kole,
 Któremu chyba o tyle brak tylko
 Czi i powagi, o ile się niemi
 Dzieli z żebractwem.

MENENIUSZ.

Dobrze, ale przestań.

I SENATOR.

Prosim cię, panie, przestań.

KORYOLAN.

Ja mam przestać?

Jakem przelewał krew mą za ojczyznę,
 Nie obawiając się potęgi wrogów,
 Tak przekonanie me przelewać będę
 W słowa, dopóki tchu w piersi méj stanie;
 Na przekor temu liszajowi, który
 Lekceważymy, jednakże samo chcąc
 Zarażać mu się pozwalamy.

BRUTUS.

Mówisz,

Panie, o ludu, jak gdybyś był bóstwem
 Karzącém, nie zaś stworzeniem podobnie
 Upośledzoném.

SYCYNIUSZ.

Trzeba nam lud o tém

Uprzedzić.

MENENIUSZ.

O czém? o jego gorączce?

KORYOLAN.

O méj gorączce! Chociażbyni był zimnym
 Jak sen północny, na władcę piorunów,
 Ani na jotę nie zmienilibym zdania.

SYCYNIUSZ.

Jad tego zdania pozostanie jadem
 Tam, gdzie jest; nigdzie dalej nie dosięgnie:
 Tak ma być.

KORYOLAN.

Tak ma być! — Mości panowie,
Słyszycie tego trytona serdeli?
Uważaliście jego ton stanowczy?

KOMINIUSZ.

Tak, to trąciło prawodawczym stylem.

KORYOLAN.

Tak ma być! O! wy dobrzy ale słabi
Patrycyuszowie, wy senatorowie
Poważni, ale nad miarę niebaczni,
Jakżeście mogli pozwolić téj hydrze
Obierać sobie urzędników, którzy,
Chociaż są tylko rogami potworu,
Apodyktycznym tonem śmia przemawiać,
I przez to dawać wam do zrozumienia,
Że waszę rzekę sprowadzą do rowu
I sami w łożu jój spoczną? Jeżeli
Przy nich jest władza, zasłońcie ze wstydem
Waszę ślepotę; jeżeli nie, zbudźcie
Zgubną łagodność waszę. Jeżeliście
Światli, przestańcie być prostodusznymi;
Jeśli nie, idźcie im krzesła podstawiać
I kłaść przy sobie poduszki. Będziecie
Plebejuszami, jeśli oni będą
Senatorami: a onić już nie są
Czém inném, skoro po zmieszaniu głosów
Obojój strony ich wrzask dominuje.
Pozwoliliście im obierać sobie
Pełnomocników: otóż i obrali
Sobie takiego, który w obec grona
Mezów, powagą przewyższającego
Areopagi greckie, śmie wyjeżdżać
Z swém popularném: *tak ma być!* Na bogi!
Taki stan rzeczy poniża konsulat:
I serce mi się kraje, pomyślawszy,
Że kędy miejsce obok siebie mają
Dwie równe władze, łatwo zamieszanie
Zakraść się może w szczeliny, i zrządzić
Upadek jednéj przez drugą.

KOMINIUSZ.

Masz słuszność:

Idźmy na rynek.

KORYOLAN.

Kto pierwszy wniósł, żeby
Z publicznych spięchrzów darmo wydać zboże,

Jak się to zwykle było praktykować
U Greków....

MENENIUSZ.

Dobrze, dobrze, ale przestań.

KORYOLAN.

(Chociaż tam lud miał więcej praw do władzy),
Ten, mówię, rzucił kość nieposłuszeństwa
I zgubę państwa zaszczylił.

BRUTUS.

Miałżeby

Lud dać głos komuś co tak mówi?

KORYOLAN.

Dam ja

Natychmiast racją, dlaczego tak mówię;
A ta ważniejszą jest niż jego głosy.
Wię on, że zboża nie dostał w nagrodę,
Boć mu wewnętrzne przekonanie szepce,
Że żadnych k'temu zasług nie położył.
Będąc wezwany na wojnę, podówczas,
Kiedy ojczyźnie szło o śmierć lub życie,
Nie chciał przestąpić bram: ten rodzaj zasług
Nie jedna prawa do bezpłatnych datków.
Na samejże zaś wojnie, ciągle jego
Niespokojności i rokosze, w których
Głównie dał dowód swojej waleczności,
Nie przemówiły za nim. Jego liczne
Skargi na senat, jako wiatr zasadne,
Nie mogły także, rozumiem, wywołać
Naszej tak łatwej darowizny. Jakież
Był tedy powód? jakimże processem
Ten różnolity, niesyty brzuch trawi
Ową uczynność senatu? Niech fakta
Staną za słowa, któreby brzmieć mogły,
Jak następuje: *Żądaliśmy tego,*
Bo stanowimy większość, i z bojaźni
Dano nam cośmy chcieli. Tym sposobem
Sami wzruszamy świętość naszych posad,
I przyprawiamy się o to, że szuja
Troskliwość naszą nazywa bojaźnią.
Przyjdzie do tego z czasem, że wylamią
Rygle senatu i że wrony będą
Dziobały orłów.

MENENIUSZ.

Pójdź, pójdź; dość już tego.

BRUTUS.

Dość, i nad miarę.

KORYOLAN.

Nie, weźcie co wasze:

Niech to, co możnaby stwierdzić przysięga
 Zarówno w bogów jak ludzi obliczu,
 Zapieczętuje koniec mowy mojej!
 Przy takiej dwójcy władz, gdzie jedna strona
 Słusznie pogardza a druga niesłusznie
 Miota obelgi; gdzie ród, tytuł, mądrość,
 Niczego zgoła stanowić nie może,
 Bez potwierdzenia albo odrzucenia
 Massy głupoty,—prawdziwe potrzeby
 Ustąpić muszą chwilowym błyskotkom:
 A gdzie jest taka przewrotność, tam wszystko
 Prędy czy później musi się przewrócić.
 Dlatego wzywam was,—którym przystoi
 Nie lęklivemi być lecz przezornemi,
 Którzy podstawy exystencji państwa
 Bardziej kochacie, niż się domyślacie
 Jak mało braknie im żeby runęły;
 Którzy szlachetny żywot przekładacie
 Nad długowieczny, i wolicie raczej
 Heroicznemi dryakwiami chore
 Przesadzić ciało, niż oddać je śmierci
 Na pewną pastwę, wyrwicie od razu
 Ten język paszczy pospólstwa, nie dajcie
 Im lizać miodu, który jest dlań jadem.
 Uszczerbek waszój powagi przynosi
 Uszczerbek zdrowój toice, odbiera
 Właściwą godność państwu, przyprawiając
 Je o niemożność świadczenia dobrodziejstw
 Wśród złego, które śmie je kontrolować.

BRUTUS.

Dość już powiedział.

SYCYNIUSZ.

Mówił jako zdrajca,
 I jako zdrajca odpowieć.

KORYOLAN.

Nędzniku!

Przepadnij w wzgardzie!—Na lichoz ludowi
 Ta drań trybunów? od których zależny
 Odmawia wyższój władzy posłuszeństwa?
 W zamęcie buntu obrano ich, w chwili,

Gdy nie potrzeba, ale mus był prawem;
 Niechże na odwrót w sposobniejszej chwili
 Musi być prawem to, co jest koniecznym,
 I wpływ ich legnie w prochu!

BRUTUS.

Jawna zdrada.

SYCYNIUSZ.

I tożto ma być, konsul?—Nigdy, nigdy!

BRUTUS.

Hej, edylowie! pochwyćcie go!

SYCYNIUSZ.

Biegnij

Po lud,

(Brutus wychodzi).

W którego wszechwładnym imieniu
 Aresztuję cię, jako nowatora,
 Zdrajcę i wroga rzeczypospolitej.
 Rozkazuję ci zaraz być posłusznym,
 I zaraz za mną pójść.

KORYOLAN.

Precz stary capie!

SENATOROWIE I PATRYCYUSZOWIE.

My poręczamy za nim.

KOMINIUSZ.

Odstąp, starcze.

KORYOLAN.

Zbutwiały zlepku, precz, albo wytrząsnę
 Z szat twoich wszystkie twe kości.

SYCYNIUSZ.

Na pomoc,

Obywatele!

(Brutus powraca z edylami i gromadą obywateli).

MENENIUSZ.

Zalecamy jednej

I drugiej stronie więcej wzajemnego
 Uszanowania.

SYCYNIUSZ.

Oto ten, co śmiał się
 Targnąć na waszą władzę.

BRUTUS.

Edyłowcie,

Bierzcie go!

OBYWATELE.

Biada mu! biada mu!

2 SENATOR.

Stójcie!

(Patrycyuszowie i obywatele ucierają się wkoło Koryolana)

Hola! hej! trybunowie, patrycyusze,

Obywatele!—Hej! obywatele,

Brutusie, Sycyniuszu, Koryolanie!

OBYWATELE.

Stójcie, wstrzymajcie się, czekajcie, stójcie!

MENENIUSZ.

Do czegożto ma przyjść?—Tchu mi brakuje!

Ta waśń nas wtrąci w przepaść.—Trybunowie,

Przemówcie przecie.—Miej wzgląd, Koryolanie.

Mów, Sycyniuszu.

SYCYNIUSZ.

Słuchajcie mnie, ładzie.

OBYWATELE.

Nasz trybun mówi:—Słuchajmy. Hej, cicho!

SYCYNIUSZ.

Jesteście w punkcie utracenia swobód:

Marcyusz chce je wam odjąć; ten sam Marcyusz,

Coście go świeżo zanominowali

Konsulem.

MENENIUSZ.

Fuj, fuj, fuj! nie jestto gasić,

Ale rozżarzać pożar.

1 SENATOR.

Burzyć miasto,

I wszystko z ziemią równać.

SYCYNIUSZ.

Czemże inném

Jest miasto, jeśli nie ludem?

OBYWATELE.

To prawda,

To szczerą prawdą: lud stanowi miasto!

BRUTUS.

Za zezwoleniem wszystkich zostaliśmy
Urzędnikami ludu.

OBYWATELE.

Tak: i nadal

Pozostaniecie nimi.

MENENIUSZ.

Jako tacy,
Powinnibyscie także postępować.

KORYOLAN.

Tak postępować jestto siać zniszczenie;
Z fundamentami równać szczyty gmachów,
I wszystko co się znakomicie wznosi
Grzebać w zwaliskach.

SYCYNIUSZ.

Godzien śmierci za to.

BRUTUS.

Albo się mamy utrzymać przy władzy,
Albo ją mamy utracić.—W imieniu
Tęj części ludu, która nas obrała
Stróżami swoich praw, dekretujemy
Marcyusza godnym śmierci.

SYCYNIUSZ.

Niech więc będzie
Zaprowadzony na Tarpejską skałę,
I z niej zstrącony w przepaść.

BRUTUS.

Edylowie,

Weźcie go!

OBYWATELE.

Poddaj się, poddaj, Marcyuszu.

MENENIUSZ.

Posłuchajcie mnie, trybunowie; słowo:
Nic, tylko słowo.

EDYLOWIE.

Cicho, cicho!

MENENIUSZ.

Bądźcie

Takimi jak się wydajecie, to jest

Rzeczywistemi przyjaciółmi kraju,
I zachowajcie się z umiarkowaniem
W tej sprawie, którą z taką gwałtownością
Chcecie załatwić.

BRUTUS.

Powolne działanie

Dobrym jest, panie, środkiem, lecz nie w razie
Gwałtownych chorób.—Bierzcie go, prowadźcie
Zaraz na skałę!

KORYOLAN.

Nie: tu wolę umrzeć.
(Dobywa miecza).

Niejeden tu jest, co mnie widział w boju;
Niechaj na sobie sprawdzi to co widział.

MENENIUSZ.

Schowaj miecz. Chwilę tylko, trybunowie.

BRUTUS.

Bierzcie go: dalej!

MENENIUSZ.

Na pomoc, na pomoc!

W kim krew szlachetna płynie! Hej, na pomoc,
Młodzi i starzy!

OBYWATELE.

Niech ginie, niech ginie!

*(Wśród tego zamieszania trybunowie, edylowie i obywatele
zostają wyparci).*

MENENIUSZ.

Wracaj do domu teraz; śpiesz, bez zwłoki:
Inaczej wszystko za nic.

2 SENATOR.

Idź, idź!

KORYOLAN.

Śmiało

Stawmy im czoło; mamy równą liczbę
Przyjaciół jak i nieprzyjaciół.

MENENIUSZ.

Chcesz

Do tego rzeczy doprowadzić?

I SENATOR.

Niech nas
Bogowie chronią! Zacny przyjacielu,
Odejdź do domu, i zdaj naszej pieczy
Tę smutną sprawę.

MÉNENIUSZ.

Bo w téj alternacie
Nic sam nie wskórasz: zaklinam cię, odejdź!

KOMINIUSZ.

Pójdź z nami razem, pójdź z nami.

KORYOLAN.

Chciałbym, żebyto byli barbarzyńcy,
(Którymi w gruncie są, choć ich Rzym wydał),
A nie Rzymianie, (którymi bynajmniej
Nie są, choć się ich matki ooieliły
Pod przysionkami Kapitolu).

MENENIUSZ.

Odejdź,
Błagamy ciebie; nie przelewaj w usta
Sprawiedliwego gniewu twego: jedna
Chwila zaciąga dług względem następnych.

KORYOLAN.

Na innym gruncie zgniótlbym ich czterdziestu.

MENENIUSZ.

Ja sam najteższych dwóch wziąłbym na siebie:
Choćby tych łotrów trybunów.

KOMINIUSZ.

Lecz teraz
Liczba nad wszelką miarę jest nierówną;
A męztwo zmienia się w istne szaleństwo,
Gdy chce walący się budynek wspierać.
Chceszże tu czekać na powrót motłochu,
Którego wściekłość wybuchnie niebawem,
Jak woda w biegu wstrzymana i przerwie
Dotychczasowe swe tamy?

MENENIUSZ.

Idź, proszę:
Spróbuję, czy mój stary dowcip znajdzie
Odbyt u ludzi niezdolnych nim zgrzeszyć.
Trzeba nam zatkać tę dziurę gałganem
Jakiéj bądź barwy.

KOMINIUSZ.

Wysłuchaj próśb naszych:

Daj się nakłonić.

KORYOLAN.

Idźmyż więc.

(Koryolan, Kominiusz i inni wychodzą).

1 PATRYCYUSZ.

Ten człowiek

Zniweczył sobie przyszłość.

MENENIUSZ.

Jego umysł

Jest za szlachetny dla naszego świata:

Nie schlebiłby on Neptunowi, choćby

Mu szło o trójnog, ani Jowiszowi

Za wszystkie jego gromy. Jego serce

Jest w ustach: co się pocznie w jego piersi,

To jego język wnet musi urodzić;

Będąc zaś zdjęty gniewem, zapomina,

Że kiedykolwiek słyszał miano śmierci.

Będziemy mieli sęk nielada!

(Zgiełk zewnątrz).

2 PATRYCYUSZ.

Radbym,

Żeby już byli w łóżku!

MENENIUSZ

Jabym wolał,

Żeby nie w łóżku byli, ale w Tybrze!—

Co za zawziętość! Nie mógłże on trochę

Ustąpić?

(Brutus i Sycyniusz wracają z gromadą pospólstwa).

SYCYNIUSZ.

Gdzie jest ta zmija, co chciała

Wyludnić miasto i sama być wszystkiem?

MENENIUSZ.

Cni trybunowie...

SYCYNIUSZ.

Zostanie zstrącony

Z Tarpejskiej skały; nie ma dlań litości:

Śmiał się opierać prawu, to też prawo

Odmawia mu wręcz zwykłej procedury,

I oddaje go całej surowości

Władz, które za nie miał.

I OBYWATEL.

Powinien wiedzieć,
 Że Trybunowie są ustami ludu,
 A my rękami ich.

OBYWATELE (*w kilku razem*).

Już on się dowiód.

MENENIUSZ.

Moi panowie!

SYCYNIUSZ.

Cicho!

MENENIUSZ.

Nie wołajcie
 Gwałtu, gdzie swego możecie spokojnym
 Dopiąć wyrokiem.

SYCYNIUSZ.

Jakże się to stało,
 Żeście panowie temu człowiekowi
 Ujść dopomogli?

MENENIUSZ.

Chciejcie mnie wysłuchać.
 Tak samo, jak znam zalety konsula,
 Tak samo mogę wymienić i jego
 Wady.

SYCYNIUSZ.

Konsula!—Jakiego konsula?

MENENIUSZ.

Konsula Koryolana.

BRUTUS.

Co? on konsul!

MENENIUSZ.

Jeżelibym mógł zyskać posłuchanie
 Panów trybunów i wasze poczciwi
 Obywatele, powiedziałbym słowo,
 Lub dwa najwięcej; coby was o inną
 Nie przyprawiło szkodę, jak o stratę
 Kilku chwil czasu.

SYCYNIUSZ.

Mówcież, panie, mówcie,
 Ale nie długo, bo nam pilno sprząść.

Ten gad zdradziecki: wypędzić go, grozi
 Niebezpieczeństwem; trzymać go zaś w mieście
 Grozi nam śmiercią: stało więc, że ma
 Zginąć téj nocy.

MENENIUSZ.

Nie dajcie, bogowie,
 Aby nasz sławny Rzym, którego wdzięczność
 Dla zasłużonych dzieci swoich stoi
 W Jowisza nawet księdze zapisana,
 Na wzór wyrodnej matki miał dziś własny
 Płód swój pożerać.

SYCYNIUSZ.

On jest chorobliwą
 Narością, którą gwałtem trzeba odciąć.

MENENIUSZ.

O! on jest raczej chorym tylko członkiem:
 Odciąć go zgubnie, uleczyć go łatwo.
 Cóż on tak złego uczynił Rzymowi,
 Żeby aż na śmierć zasłużył? Że wrogów
 Naszych zabijał? Krew, którą utracił,
 (A utracił jój rękę, o niejedną
 Uncyą obficie, niż jój dziś ma); krew ta
 Przelaną była w obronie ojczyzny:
 Maż mu ojczyznę resztę jój odbierać?
 Taki postępek okryłby nas wszystkich,
 Cobyśmy mogli orobić to i ścierpieć,
 Wieczystém piętnem hańby.

SYCYNIUSZ.

Stara piosnka.

BRUTUS.

I na fałszywą nutę. Kiedy dobrze
 Służył ojczyźnie, wtedy go ojczyzna
 Umiała także cenić.

MENENIUSZ.

Kiedy nogę
 Dotknie gangrena, dawne jój usługi
 Przystają już być cenione?

BRUTUS.

Niczego
 Słuchać nie chcemy:—idźcie go poszukać
 W jego mieszkaniu i wywlec go z tamtąd,
 Aby się jego zaraźliwy oddech
 Dalej nie rozszedł.

MENENIUSZ.

Jeszcze tylko słowo;
Słowo, panowie. Ta tygrysia wściekłość,
Poznawszy gorzkie skutki nierozważnej
Swój porywczosci, zechce poniewczasie
Ołowiem sobie okowywać nogi.
Złóżcie na niego sąd; inaczéj bowiem
Powstaną partye (bo on ma przyjaciół),
I wielki nasz Rzym runie w waśni Rzymian.

BRUTUS.

Gdyby tak miało być...

SYCYNIUSZ.

Co wasze prawisz?
Nie wiemyż jak on umieć być posłusznym?
Nie uderzyłże on naszych edylów?
Nie targnąłże się na nas samych?—Idźmy!

MENENIUSZ.

Zważcie, że on się wychował w obozach,
Odkąd mógł dźwignąć miecz; że się nie ćwiczył
W cedzonej mowie: mąkę i otręby
Razem pytluje. Pozwólcie mi działać:
Pójdę do niego i biorę na siebie
Skłonić go, żeby się stawił przed wami,
I wedle prawnych form usprawiedliwił
Z zarzutów, albo kaźń poniósł.

I SENATOR.

Szlachetni
Obrońcy ludu, to jest droga zgodna
Z ludzkością, inna byłaby za krwawą;
A końca naprzód nie można przewidzieć.

SYCYNIUSZ.

Szlachetny Meneniuszu, bądźże waćpan
W téj sprawie niby delegatem ludu.
Mości-panowie, złóżcie broń.

BRUTUS.

Jednakże
Nie rozpierzchajcie się.

SYCYNIUSZ.

Idźcie na rynek:
Tam, Meneniuszu, czekać na was będziem:
Jeśli Marcyusza nam nie przyprrowadzisz,
Chwycim się pierwszej drogi.

MENENIUSZ.

Przyprowadzę
Go, przyprowadzę:—szanowni koledzy,
Mogęż na wasze liczyć uczestnictwo?
(*Do senatorów*).

Musi się stawić, inaczej najgorsze
Skutki wynikną.

I SENATOR.

Chętnie ci służymy.
(*Wychodzą*).

SCENA DRUGA.*(Komnata w domu Koryolana).*KORYOLAN (*z patrycjuszami wchodzi*).

KORYOLAN.

Niech się wkoło mnie jak chcą srożą, niech mi
Stawią przed oczy sromotną śmierć w kole,
Albo u kopyt rozpędzonych koni;
Niech na Tarpejską skałę wsadzą jeszcze
Dziesięć skał takich, aby dno przepaści
Sięgało dalej niż wzrok może dosięgnąć:
Jeszcze i wtedy będę dla nich takim
Samym jak jestem.

(Wolumnia wchodzi).

I PATRYCYUSZ.

Tém szlachetniej czynisz.

KORYOLAN.

Zastanawia mnie to, że moja matka
Nie okazuje mi teraz takiego
Zadowolenia jak dawniej; a przecie
Sama ich dawniej zwała poddańcami
Z wełną pod strzyżę; istotami, które
Na to są tylko, aby je kupować
Za marny szeląg i za marny szeląg
Sprzedawać; żeby szły na zgromadzenia
Z odkrytą głową; żeby się gapiły,
Słuchały milcząc i wpadały w podziw,
Kiedy ktoś mego stopnia wstał i prawił
O sprawach kraju!

(Do Wolumnia).

O was mówię, matko.
 Dlaczegoż mnie chcesz widzieć uleglejszym?
 Chciałażbyś, abym zaprzeczał sam sobie?
 O! powiedz raczej, że nie zaprzestaję
 Być tém, czém jestem.

WOLUMNIA.

Synu, synu, synu!
 Trzeba ci było wprzód pozyskać władzę,
 Nimesz ją stracił.

KORYOLAN.

Dajmy temu pokój.

WOLUMNIA.

Byłbyś był łatwo mógł być tém, czém jesteś,
 Gdybyś być sobą mniej był usiłował.
 Nie postawionoby się tak na drodze
 Twoim widokom, gdybyś był dopiéro
 Wtedy był pozór odrzucił, kiedyby
 Już nie zdołano stanąć ci na poprzek.

KORYOLAN.

Niech im kat świeci!

WOLUMNIA.

Niech ich spali nawet!
 (*Meneniusz z senatorami wchodzi*).

MENENIUSZ.

Pójdź, pójdź! za ostro się z nimi obszedleś,
 Za opryskliwie; trzeba ci powrócić
 I złe naprawić.

I SENATOR.

Niéma środka: jeśli
 Tego nie zrobisz, nasze wielkie miasto
 Rozpadnie się i runie.

WOLUMNIA.

Śłuchaj rady:
 I ja mam serce nieugięte, ale
 Umysł mój zwraca czynność mego gniewu
 Na korzystniejszą drogę.

MENENIUSZ.

Dobrze mówisz,
 Zacna matrono. Nimby on w ten sposób
 Stanąć miał przed tą trzodą, w innym ozasis,
 Nieomieszkałbym ja sam przywdziać zbroi,

Którą już ledwie mogę dźwignąć: ale
W obecnym razie krok ten jest niezbędnym,
Jako lekarstwo, w gwałtownej chorobie
Czasu, potrzebne dla całości państwa.

KORYOLAN.

Cóż mam uczynić?

MENENIUSZ.

Wrócić do trybunów.

KORYOLAN.

Dobrze: cóż potem? cóż potem?

MENENIUSZ.

Żałować

Tego coś wyrzekł.

KORYOLAN.

Żałować? Przed nimi?

Nie mogłbym tego przed obliczem bogów,
A mam żałować przed nimi?

WOLUMNIA.

Mój synu,

Za niezawisły masz sposób myślenia:
Pięknyto przymiot, ale niebezpieczny
W niektórych razach ostatecznych. Nieraz
Z ust twych słyszałam, że honor i zrzeczność,
Na wzór przyjaciół nierozłącznych, w parze
Chodzą na wojnie: jeśli tak jest, powiedz,
Czém może jedno drugiemu zaszkodzić
W czasie pokoju, że je w nim rozdzielasz?

KORYOLAN.

Przestańcie, matko.

MENENIUSZ.

Dobre zapytanie.

WOLUMNIA.

Jeśli na wojnie zgadza się z honorem
Wydawać się tém, czém się w gruncie nie jest,
I k'temu zrzeczność przyzywać na pomoc;
Dlaczegożby mniej miało być godziwem,
Honor z zrzecznością spleść w czasie pokoju,
Kiedy tak wojna jak pokój zarówno
Obu tych zalet wymaga?

KORYOLAN.

O! matko,
Dlaczegoż przy tém obstajesz?

WOLUMNIA.

Bo teraz
Masz się odezwać do ludu nie wedle
Własnego zdania i poszeptu serca,
Ale takimi słowy, które będą
Języka twego nieprawemi dziećmi:
Głoskami, które z przekonaniem twojém
Nie będą nic mieć wspólnego. Nie bardziej
Ci to ubliży, jak wejście do miasta
W skutek uprzejmój odezwy, bez czego
Nie uniknąłbyś niebezpieczeństw walki
I krwi rozlewu. Byłabym zaiste
W sprzeczności z sobą, gdybym się wahała
Tak honorowo postąpić w potrzebie,
W którejby los mój i moich najbliższych
Był narażony. W téj potrzebie teraz
Jestem ja, żona twa, syn, szlachta, senat;
A ty ludowi wolisz pokazywać
Zmarszczone czoło, niż pozorny uśmiech,
Którymbyś kupić mógł jego przychylność
I zabezpieczyć tém samém nas wszystkich
Od nieochybnój ruiny.

MENENIUSZ.

Szlachetna
Matko rzymianko!—Pójdź, pójdź z nami; przemów
Do nich uprzejmie: tym sposobem zdołasz
Nietylko zakląć złe dziś nam grożące,
Lecz i odzyskać to, cośmy stracili.

WOLUMNIA.

Uczyń tak, synu, proszę cię: pójdź do nich
Z tą czapką w rękę; unieś ją do góry:
Pocałuj ziemię kolanami (w takich
Bowień okazyach gesta są wymową.
A oczy gminu wrażliwsze niż uszy);
Kiwaj im głową, aby pomyśleli,
Że twarde serce twe skruszało, zmiękło,
Jako dojrzała morwowa jagoda,
Którą najmniejszy wiatr ztrząsa. Lub wreszcie
Powiedz im, żeś jest żołnierzem, że będąc
W bitwach i w wrzawie wychowanym, nie masz
Tego łatwego, słodkiego obejścia,

Które właściwie, jak to sam przyznajesz,
Miećbyś powinien; a którego oni,
Właściwie mogą od ciebie wymagać,
Skoro się starasz o ich względy: wszakże
Uczynisz wszystko, co będzie w twój mocy,
Ażebym się im nadal przypodobać.

MENENIUSZ.

Weź się w ten sposób do rzeczy, a wszystkich
Sobie zniewolisz: bo tacy prostacy
Równie pochopni są do przebaczenia,
Gdy ich pogłaszczesz, jak skorzy do krzyków
O łada bzdurstwo.

WOLUMNIA.

Jeszcze raz cię proszę,
Posłuchaj rady i pójdz do nich, chociaż
Wiem, że wolałbyś za nieprzyjacielem
W ognistą otchłań skoczyć, niż mu w chłodzie
O włos pochlebić. Otóż i Kominiusz.

KOMINIUSZ (*wchodzi*).

Byłem na rynku: wypada ci spieszenie
Zebrać stronników, lub szukać uciezki
W zimnej krwi, albo oddaleniu. Wszystko
Wre przeciw tobie.

MENENIUSZ.

Niech jeno uprzejmie
Do nich przemówi.

KOMINIUSZ.

Toby wprowadzie mogło
Zaradzić złemu, ale czy on tylko
Potrafi zdobyć się na to?

WOLUMNIA.

Powinien,
Musi się zdobyć.—Zaklinam cię synu:
Powiedz, żeś gotów i idź to uczynić.

KORYOLAN.

Mam więc pójść ciemną odkrywać przed nimi?
Podłemi usta szlachetnemu sercu
Kłamstwo zadawać, że się musi temu
Poddać spokojnie? Dobrze, niech tak będzie.
Gdyby atoli szło tylko o stratę
Tęj pojedynczej jednostki Marcyusza,

Niechby ją starli w proch i rozrzučili
 Na cztery wiatry.—Idźmy:—Zadaliście
 Mi rolę, której plamy nigdy w życiu
 Zatrzeć nie zdołam.

MENENIUSZ.

Pójdź, my cię wesprzemy.

WOLUMNIA.

Kochany synu: mówiłeś był dawniej,
 Że ci pochwały moje bodźcem były
 Na polu Marsa: niechajże cię one
 Zachęcą teraz do téj roli trudnej
 I tak dla ciebie nowój.

KORYOLAN.

Dobrze więc, dobrze więc. Precz mężki ducha!
 Niech mnie duch sprośnej niewolnicy natchnie;
 Wojenne gardło moje, które dźwiękom
 Trąb wtórowało, niechaj się zamieni
 W cienką piszczałkę rzezańca lub niańki,
 Co dzieci lula! Niech szalbierski uśmiech
 Osiądzie na mych licach; lzy żakowskie
 Powloką szybę mych oczu! Niech w ustach
 Moich żebraczy język zabelkoce;
 Kolana moje, com je dotąd chyba
 Pnąc się pod górę zginał, niech się zniżą
 Jak u charłaka, co bierze jałmużnę!
 Nie, nie, nie zrobię tego: bo musiałbym
 Przestać czić godność własną i grą ciała
 Wdrażać mój umysł do najostatniejszej
 W świecie podłości.

WOLUMNIA.

Jak ci się podoba:
 Żebrać od ciebie większym jest zakąłem
 Dla mnie, niż od nich dla ciebie. Zgub wszystko:
 Daj matce doznać skutków dumy twojej!
 Wolę to, jak się obawiać zgubnego
 Twego uporu: bo pogardzam śmiercią
 Tak samo jak ty. Rób co chcesz; odwaga,
 Którą się pysznisz, moją jest: tyś z mojem
 Mlekiem ją wyssał; ale duma twoja
 Wyłączną twoją własnością.

KORYOLAN.

O matko,
 Idę na rynek; bądź zadowolona,

Prześtań mnie winić. Jak szachraj wyludzę
 Ich dobre względy, jak kuglarz podchwyce
 Serc ich życzliwość i wróce do ciebie
 Pieścildem wszystkich rzemieślników Rzymu.
 Oto już idę, patrz: pozdrów mą żonę.
 Wróce konsulem, lub zwątpię na zawsze,
 Aby mój język na drodze pochlebstwa
 Mógł kiedy czego dokazać.

WOLUMNIA.

Masz wszelką

Wolność.

(Wychodzi).

KOMINIUSZ.

Dalejże, dalej; trybunowie
 Czekają na cię: uzbrój się w łagodność,
 Bo oni mają, jak słyszę, wystąpić
 Z oskarżeniami gorszemi niż dotąd.

KORYOLAN.

Łagodność jest więc basłem. Dobrze, idźmy:
 Niech mnie oskarżą jak chcą, ja odbiję
 Ich oskarżenia jak mi honor każe.

MENENIUSZ.

Tylko łagodnie.

KORYOLAN.

O! tak, tak, łagodnie.
(Wychodzą).

SCENA TRZECIA.*(Tamże. Forum).*SYCYNIUSZ i BRUTUS *(wchodzą).*

BRUTUS.

Bijmy w to, że on chce sobie przywłaszczyć
 Tyrańską władzę: jeśli nam w tém ujdzie,
 Przywiedzmy jego nienawiść do ludu;
 I to, że zdobycz wzięta na Ancyatach
 Jeszcze nie była rozdzieloną.

(Edyl wchodzi).

Jakże?

Czy przyjdzie?

EDYL.

Idzie już.

BRUTUS.

Z kim?

EDYL.

Z Meneniuszem

I z pewną liczbą senatorów, którzy
Mu są życzliwi.

BRUTUS.

Czy masz szczegółowy
Spis wszystkich głosów przez nas zwerbowanych?

EDYL.

Mam go tu: oto jest.

BRUTUS.

Sąli spisane

Porządkiem cechów?

EDYL.

Tak jest.

BRUTUS.

Jdźcie teraz

Wezwać w to miejsce gminy; skoro powiem:
Tak ma być z mocy praw i woli ludu,
Czyli to będzie śmierć, sztrof, czy wygnanie,
Niech, jeśli powiem: śmierć, chórem: *śmierć*, krzyczą;
Sztrof, jeśli powiem: sztrof; *wygnanie*, jeśli
Powiem, wygnanie; obstając przy dawniej
Prerogatywie swojej i legalnej
W tej mierze władzy.

EDYL.

Powiem im.

BRUTUS.

A skoro

Raz zaczną krzyczeć, niech nie poprzestają;
Qwszem z całego gardła wrzeszczą, nagłać,
O przyspieszenie wydanego przez nas
Wyroku.

EDYL.

Bardzo dobrze.

SYCYNIUSZ.

Niech się niczém
Zmiękczyć nie dają i bacznymi będą
Na wszelkie nasze skinienia.

BRUTUS.

Spiesz po nich.

(Edyl wychodzi).

Od razu wprawmy go w wściekłość. On przywykł
Zwycięzko wszelki pokonywać opór,
Żadnym się nie da powściągnąć wędzidłem.
Jak weźmie na kiel, wypowie nam wszystko
Co żywie ślina mu pada, a wtedy
Będziemy go mieć w punkcie pożądanym,
Żeby mu prawnie kark skrócić.

SYCYNIUSZ.

Nadchodzi.

(Koryolan, Meneniusz, Kominiusz, senatorowie i patrycyuszowie wchodzi).

MENENIUSZ.

Tylko spokojnie, błagam cię.

KORYOLAN.

Spokojnym

Będę jak szkapa, która za garść paszy
Furę galganów ciągnie.—Niech bogowie
Stale w opiece swojej utrzymują
Nasz Rzym i krzesła sędziowskie osadzą
Zacnem ludźmi: niech pomiędzy nami
Zaszczepią miłość! Obszerne świątynie
Nasze napelną łaską, a ulice
Błogim widokiem zgody!

I SENATOR.

Amen, amen.

MENENIUSZ.

Piękne zaiste życzenie!

(Edyl wraca z tłumem obywateli).

SYCYNIUSZ.

Obywatele, przystąpcie!

EDYL.

Słuchajcie

Waszych trybunów; uciszcie się: baczność!

KORYOLAN.

Sluchajcie mnie wprzód.

OB. TRYBUNOWIE.

Dobrze, mów.—Milczenie!

KORYOLAN.

Nie będę-ż więcéj badany? Czy na tém
Skończy się wszystko?

SYCYNIUSZ.

Ja się ciebie pytam,
Czy się poddajesz wyrokowi ludu,
Czy chcesz szanować jego urzędników,
I czyś jest gotów ponieść zgodną z prawem
Karę za winy, które ci niebawem
Dowiedzionemi będą?

KORYOLAN.

Jestem gotów.

MENENIUSZ.

Słyszycie, obywatele, on mówi,
Że gotów. Weźcie na uwagę jego
Wojenne czyny, pomyślcie o jego
Szerokich bliznach, które wyglądają
Jako grobowce na cmentarzu.

KORYOLAN.

Furda!

To są draśnięcia, szramy, śmiechu warte.

MENENIUSZ.

Zważcie następnie, że gdy w jego mowie
Nie przebija się obywatel; żołnierz
Stoi przed wami: nie bierzcie przyszorstkich
Jego wyrażeń za objaw niechęci;
Jedno, jak rzekłem, za sposób mówienia,
Który przystoi żołnierzowi bardziej,
Jak urażanie się wam.

KOMINIUSZ.

Nieinaczéj.

KORYOLAN.

Jakiż jest powód, że zostawszy świeżo
Za wspólną zgodą obrany konsulem,
Doznaję teraz tak wielkiej obeiği,
Iż mi tę godność odbieracie?

SYCYNIUSZ.

Zanim.

Ci odpowiemy, ty nam odpowiadaj.

KORYOLAN.

Mówcie więc: ani słowa, powinienem.

SYCYNIUSZ.

Oskarżamy cię: żeś się kusił odjąć
Rzymowi jego starodawne prawa,
I sam zagarnąć despotyczną władzę:
Dopuszciles się przez to zdrady ludu.

KORYOLAN.

Co? zdrady?

MENENIUSZ.

Tylko bez gniewu: przyrzekłeś...

KORYOLAN

Żeby z najgłębszych otchłani piekielnych
Ognie zionęły na ten lud! Ja zdrajca!—
Bezwstydnny, fałszem przesiąkły trybunie!
Choćby w twych oczach pięćdziesiąt tysięcy
Środków zagłady siedziało, w twém ręku
Tyleż milionów, w kłamliwych twych ustach
Dwa razy tyle, jeszczebym ci w oczy
Powiedział: kłamiesz, tak śmiało, jak śmiało
Zanoszę modły do bogów,

SYCYNIUSZ.

Czy słyszysz,

Ludu?

OBYWATELE.

Na skałę z nim, na skałę z nim!

SYCYNIUSZ.

Cicho! Nie mamy potrzeby przywozić
Na potępienie go niczego więcej:
Jego postęпки, jego słowa, dosyć
Świadczą w tej mierze. Widzieliście sami,
Jak się na waszych targnął urzędników;
Siłą się oparł prawu; słyszeliście,
Jak wam złorzeczył, i tu nawet bluźnił
Tym, których prawa władza ma stanowić
O jego losie: te wszystkie przestępstwa
Tak kapitalne, już go czynią godnym
Najsromotniejszej śmierci.

BRUTUS.

Bacząc wszakże,
 Że względem Rzymu położył zasługi.....

KORYOLAN.

Co tam waść pleciesz o zasługach?

BRUTUS.

Mówię,
 O czém wiem...

KORYOLAN.

Waść wiesz?

MENENIUSZ.

Także dotrzymujesz
 Danego matce przyrzeczenia?

KOMINIUSZ.

Miejże
 Wzgląd przecie.

KORYOLAN.

Nie chcę już na nic mieć względu:
 Niechaj wyrzekną wyrok, niech mnie skazą
 Na śmierć z Tarpejskiej skały, na wygnanie,
 Na dożywotnie tułactwo. Chociażbym
 O jedno ziarnko dnia chciał ten los odwlec,
 Nie opłaciłbym jedném dobrém słowem
 Ich przyzwolenia; ani bym za wszystkie
 Dary ich łaski nie krępował dłużej
 Mojego męstwa, choćbym je ryczałtem
 Mógł u nich kupić za marne *dzień dobry*.

SYCYNIUSZ.

Z powodu przeto, że różnemi czasy
 Uwłaczał ludu powadze, szukając
 Środków odjęcia mu władzy, jak tego
 Świeży dał dowód podniósłszy zbrodniczo
 Rękę nietylko w obec nietykalnej
 Sprawiedliwości, ale co ważniejsza
 Na samychże jej wykonawców:
 W imieniu ludu i z mocy służących
 Nam atrybucyi trybunalnej władzy,
 Wypędzamy go z miasta jednocześnie
 Z tém wyrzeczeniem: nie wolno mu odtąd
 Pod karą śmierci wstąpić w bramy Rzymu.
 Taka jest wola ludu; tak ma być.

OBYWATEL.

Tak ma być! Precz z nim! Niech będzie wygnany!
Tak ma być!

KOMINIUSZ.

Posłuchajcie mnie, moi przyjaciele!

SYCYNIUSZ.

Wyrok już zapadł: już po wszystkiém.

KOMINIUSZ.

Słowo:

Byłem konsulem i mogę na sobie
Pokazać znaki nieprzyjaciół Rzymu;
Kocham ojczyznę uczuciem gorętszém,
Świętszém i głębszém niż własne me życie,
Drogą mą żonę, owoc jój żywota,
Skarb mego rodu: jeżeli obecnie
O tém nadmieniam...

SYCYNIUSZ.

Wiemy dokąd zmierzasz:

Cóż tedy?

BRUTUS.

Niéma tu o czém już mówić;
Wygnany został jako nieprzyjaciel
Ludzi i kraju: niechże się wynosi.
Tak ma być!

OBYWATELE.

Tak ma być! tak ma być! Precz z nim!

KORYOLAN.

Podła, wrzaskliwa pisarnia, której technienie
Jest dla mnie tém, czém wyziew zgnitych bagien;
Której przychylnosć tyle u mnie warta,
Ile poblizkosć ścierw niepogrzebionych,
Zarządzająca mi powietrze; ja to,
Ja ci powiadam: precz odemnie! Zostań,
Marnij tu w swoim niedołęztwie! Niech was
Najmniejszy szelest wskrós przejmując dreszczem!
Widok wiejących piór nieprzyjacielskich,
Niechaj was w rozpacz wprawia! Używajcie
Z całą swobodą władzy wypędzania
Obróńców waszych, aż was wreszcie wasza
Głupota, która nie widzi nie czując,
I niéma nawet prostego instynktu

Własnego dobra, odda w obce ręce,
Które was w kluby wezmą, jako bydło,
Niewydobywszy miecza! Gardząc wami,
Z wzgardą odwracam się od tego miasta.
Jestci gdzieindziej jeszcze świat!

(Koryolan, Kominiusz, Meneniusz, senatorowie i patrycyuszowie wychodzą).

EDYLOWIE.

Poszedł już, poszedł wróg ludu!

OBYWATELE.

Wróg nasz wygnany! poszedł już! Ha! ha!
(Lud wydaje okrzyki i rzuca czapki w górę).

SYCYNIUSZ.

Idźcie w trop za nim aż do bram,
Urągajcie mu, jak on wam urągał:
Oddajcie mu wet za wet, nam zaś dajcie
Dla bezpieczeństwa straż przez miasto.

OBYWATELE.

Idźmy,
Odprowadźmy go do bram:—Niech bogowie
Strzegą dni naszych szlachetnych trybunów!
(Wychodzą).

AKT IV.

SCENA PIÉRWSZA.

(Tamże. Przed bramą miasta).

KORYOLAN, WOLUMNIA, WIRGILIA, MENE-
NIUSZ, KOMINIUSZ *(wchodzą z orszakiem mło-
dych patrycyuszów).*

KORYOLAN.

Położcie tamę łzom; bądźcie mi zdrowi:
Tysiącno-głowy zwierz rogami swemi
Wybódl mnie z moich progów.—Ejże, matko,
Gdzież jest twój dawny hart? Nieraz mawiałaś,
Że przeciwności są próbnym kamieniem
Tęgości ducha; że los pospolity
Znośnym być może pospolitym ludziom;
Że kiedy morze jest spokojne, wtedy

Każda łódź śmiało płynie; że im cięższe
 Ciosy fortuny, tém chlubniejsze rany,
 Jeśli je znosim mężnie i roztropnie.
 Tyś we mnie takie wpoila zasady,
 Które przejęte niemi serce mogły
 Niezwyciężonóm uczynić.

WIRGILIA.

O, bogi!

KORYOLAN.

Przestań, kobiéto, proszę cię.

WOLUMNIA.

Niech czarna

Zaraza spadnie na ten lud i wszystkie
 Warsztaty jego przepadną!

KORYOLAN.

Cóż z tego?

Będą mnie cenić, gdy mnie mieć nie będą.
 Matko! zbierz w sobie ów duch, za którego
 Wzniosłém natchnieniem mawiałaś mi nieraz,
 Że gdybyś była żoną Herkulesa,
 Byłabyś była częścią jego prac wzięta
 Na swój rachunek, aby tym sposobem
 Ulżyć mężowi trudów.—Kominiuszu,
 Nie smuć się; bądź zdrow,—Żono moja! matko!
 Żegnam was! jeszcze mi będzie się szczęście.
 I ty mój stary, wierny Meneniuszu!
 Łzy twoje słodsze są, niż łzy u młodych:
 Mogą ci strawić wzrok.—Dawny mój wodzu!
 Widziałem nieraz twoją nieugiętość,
 I tyś był nieraz świadkiem takich rzeczy,
 Na których widok serce mogło stwardnąć;
 Powiedz tym smutnym niewiastom, że szlochać
 Nad nieszczęściami nieuniknionemi,
 Równie jest zdrożném jak z nich się naśmiewać.
 Matko! wiesz dobrze, że niebezpieczeństwa
 Moje kończyły się dotychczas zawsze
 Twoją pocięchą: dufaj w to i nadal.
 Chociaż sam jeden idę w świat. (jakoby
 Do odludnego legowiska smoka,
 Który dokoła szerzy postrach, wszakże
 Bardziej w podaniach, jak w rzeczy istnieje),
 Nie myśl na chwilę, by syn twego łona
 Albo się kusił przejść dane granice,
 Albo się kiedykolwiek dał uwikłać
 W sidła przewrotnych praktyk.

WOLUMNIA.

Drogi synu!
 Gdzież się chcesz udać? Weź z sobą na jaki
 Czas Kominiusza: postanów coś naprzód,
 Zamiast się puszczać na dzikie koleje
 Ślepego trafu.

KORYOLAN.

Bogom się oddaję.

KOMINIUSZ.

Ja cię przez miesiąc nie opuszczę: razem
 Będziemy radzić gdzie stale zamieszkaś,
 Abyś mógł słyszeć o swoich i oni
 Wzajem o tobie: a gdy czas nastęczy
 Sposobną porę, w którejbyś mógł wrócić,
 Abyśmy wtedy nie potrzebowali
 Pojedynczego po szerokim świecie
 Szukać człowieka i nie utracili
 Korzyści, które nieobecnych zawsze
 Chybiają.

KORYOLAN.

Bądźcie zdrowi:—Kominiuszu!

Jesteś już letni i syty wojennych
 Biesiad: nie tobie tulać się po świecie
 Z kimś, co ma jeszcze niestargane siły:
 Przyjmuję twoje towarzystwo tylko
 Do bramy.—Luba żono, droga matko,
 Cni przyjaciele, pójdźcie: jak odejdę,
 Poślijcie za mną nieme pożegnania,
 I uśmiechnijcie się. Pójdźcie: choć będę
 Zdaleka od was, zawsze mieć będziecie
 Odemnie wieści, i nigdy inaczéj
 Nie usłyszycie o mnie, jak w sposobie
 Godnym przeszłości mojej.

MENENIUSZ.

To mi mowa:

Aż miło słuchać!—No, no, dość już tego:
 Idźmy, otrzyjmy łzy!—Gdybym mógł zstrząsnąć
 Jaki dziesiątek lat z tych starych kości,
 Wszędziebym poszedł za tobą.

KORYOLAN.

Daj rękę:

Idźmy.

(Wychodzą).

SCENA DRUGA.*(Tamże. Ulica w pobliżności bramy).***SYCYNIUSZ i BRUTUS** *(wchodzą z edylem).*

SYCYNIUSZ.

Każ im się rozejść; już go niema w mieście:
 Nie posuwajmy się dalej.—Stronnicy
 Jego ze szlachty krzywo na nas patrzą.

BRUTUS.

Pokazaliśmy im co możemy; teraz
 Dopiąwszy swego trzeba nam się wydać
 Pokorniejszemi naprzeciw tych panów,
 Niżeśmy byli przed dopięciem .

SYCYNIUSZ.

Każ się

Rozejść ludowi: powiedz mu, że jego
 Wróg już ustąpił, i że jego prawa
 Znow odzyskały moc.

BRUTUS.

Rozpuść ich zaraz.
(Edyl wychodzi).

(Wolumnia, Wirgilia i Meneniusz wchodzą).
 Oto nadchodzi jego matka.

SYCYNIUSZ.

Zéjdźmy

Jéj z drogi.

BRUTUS.

Czemu?

SYCYNIUSZ.

Oszalała, mówią.

BRUTUS.

Już nas spostrzegli: idźmy swoją drogą.

WOLUMNIA.

Ha, to wy! Niech was każn niebios przywali
 Za wasze dzieło!

MENENIUSZ.

Ciszéj, ciszéj!

WOLUMNIA.

Gdybym
Mogła płacz wstrzymać, usłyszelibyście....
Lecz posłuchajcie i tak.

(Do Brutusa który chce odejść).
Zostań.

WIRGILIA (do Sycyniusza).

Zostań.—

Czemuż nie mogę tak samo powiedzieć
Do mego męża!

SYCYNIUSZ.

Ażaliż jesteście

Męzkiego rodu?

WOLUMNIA.

Tak, głupcze.—Ot głupiec!

Czyliżto ojciec mój nie był mężczyzną?
Mamże się tego rumienić?—Nikczemny,
Lisi wyrodku, tyżeśto się ważył
Wygnać człowieka, który w sprawie Rzymu
Oreżem swoim więcej zadał ciosów.
Niżeś ty twoim językiem słów splodził?

SYCYNIUSZ.

O, dobre nieba!

WOLUMNIA.

I to szlachetniejszych
Ciosów, niżeli ty słów, z dobrem Rzymu.—
Słuchajno: ale nie; poczekaj jednak:
Chciałabym, żeby mój syn był w Arabii,
I miał przed sobą całe twoje plemię,
A w ręku swój miecz.

SYCYNIUSZ.

Cóżby z tąd wynikło?

WIRGILIA.

Co? Położyłby on od razu, pewnie,
Koniec twojemu pokoleniu.

WOLUMNIA.

Temu

Gniazdu bękartów!—Tak szlachotny człowiek,
Za tyle zasług!

MENENIUSZ

Dajcie pokój, idźmy.

SYCYNIUSZ.

Żałuję, że tak nie skończył jak zaczął,
I że związawszy tak chwalebny węzeł,
Sam go rozwiązał potem.

BRUTUS.

Żalujemy.

WOLUMNIA.

Żaloscne dusze! A kóżto, jeżeli
Nie wy, podbechtał przeciw niemu motłoch?
To bydło, które o jego wartości
Tyle jest w stanie sądzić, ile ja
O niezbadanych tajemnicach niebios.

BRUTUS.

Prosim was, panie, pozwólcie nam odejść.

WOLUMNIA.

Proszę cię, panie, odejdz. Spełniliście
Czyn bohaterski, tryumfujcież teraz;
Ale pomnijcie, że jako Kapitol
Przenosi czołem niskie strzechy Rzymu,
Tak syn mój (mąż téj szlachetnej niewiasty,
Co ją widzicie tu), przenosi duchem
Wszystkich was w rumel wziętych.

BRUTUS.

Dobrze, dobrze:

Już idziem.

SYCYNIUSZ.

Czegoż tu stoim, u licha,
Za cel przekąsów szalonej niewiasty?
Idźmy.

WOLUMNIA.

Zabierzcie z sobą modły moje.
(Trybunowie odchodzą).

Radabym, żeby bogowie nie mieli
Nic do czynienia więcej, jedno spełniać
Moje przekleństwa! Gdybym tylk nędzników
Raz na dzień tylko mogła mieć przed sobą,
Pozbyłabym się wnet tego ciężaru,
Który mi tłoczy serce.

MENENIUSZ.

Obeszł, ście
Się walnie z niemi, i słusznie; a teraz

Podobał się wam spożyć w moim domu
Małą wieczerzę?

WOLUMNIA.

Gniew jest moją karmią:
Sama się trawię i głodową śmiercią
Umrę z sytości. Pójdź, córko; zaniechaj
Tych niedołącznych, nadaremnych żalów:
Rozpaczaj tak jak ja, na wzór Junony
Wrąc gniewem. Pójdź, pójdź.

MENENIUSZ.

Hańba ci, o Rzymie!
(*Wychodzą*).

SCENA TRZECIA.

(*Droga pomiędzy Rzymem i Ancyum*).

(*Z dwóch stron przeciwnych wchodzą: Rzymianin
i Wolsk, i spotykają się w pośrodku*).

RZYMIANIN.

Znam cię i jestem ci znany: nazwisko twoje Adryan,
jeśli się nie mylę.

WOLSK.

W istocie, tak mnie zowią: ale wasza osoba wyszła
mi z pamięci.

RZYMIANIN.

Rzymianinem jestem, ale, jak ty, służę przeciw Rzymowi:
nie poznajeszże mnie teraz?

WOLSK.

Nikanor? wszakże tak?

RZYMIANIN.

Ten sam, do usług.

WOLSK.

Większą miałeś brodę kiedym cię widział poraz
ostatni, ale mowa twoja uwydatnia rysy twojej twarzy.
Cóż tam nowego w Rzymie? Mam polecenie od wolskiego
rządu dowiedzieć się, co się u was dzieje:
oszczędziłeś mi dzień drogi.

RZYMIANIN.

W Rzymie były niespokojności: lud powstał przeciwko senatorom, patrycyuszom i szlachcie.

WOLSK.

Były? A więc się już skończyły? Rząd nasz nie wie o tém i czyni wielkie przygotowania do wojny, spodziewając się ich zejść w samym zapale rozruchu.

RZYMIANIN.

Gorączka już minęła, ale najmniejsza okazyja może ją wzmódz na nowo; bo szlachta tak żywo wzięła do serca wygnanie poczciwego Koryolana, że bardzo myśli o odebraniu wszelkiej władzy ludowi i skassowaniu na zawsze trybunów. Tli to tak, powiadam waszmości, i niewiele brakuje do gwałtownego wybuchu.

WOLSK.

Koryolan wygnany?

RZYMIANIN.

Wygnyany, bracie.

WOLSK.

Mile przyjęty będziesz z tą wieścią, Nikanorze.

RZYMIANIN.

Pora wam jest przyjazną: słyszałem, że cudzą żonę najłatwiej uwieść wtedy, kiedy się z mężem poróżni. Wasz mążny Tullus Aufidyusz poradzi sobie w téj wojnie bez wielkiego trudu, skoro Rzymowi ubył taki, jak Koryolan obrońca.

WOLSK.

Nie zaśpi też pewnie sprawy. Poczytuję sobie za szczęście, żem się z waszmością tak przypadkowo zdybał; uwalniasz mnie od dalszych zachodów i stawiasz mnie w możności towarzyszenia ci.

RZYMIANIN.

Opowiem ci w ciągu drogi dziwne rzeczy o Rzymie; wszystkie się składają na waszę korzyść. Powiadasz więc, że macie armią w pogotowiu?

WOLSK.

I to prawdziwie królewską. Już setnicy z centuriami swemi mają wyznaczone marszruty: żołd im z góry zapłacono, czekają tylko na rozkaz do pochodu.

RZYMIANIN.

Cieszę się słysząc o takowej ich gotowości i tuszę, że moje przybycie tém mniej im pozwoli stać nieczynnie. Niechże się święci nasze spotkanie: serdecznie-m rad z towarzystwa waszmości.

WOLSK.

Uprzedzasz mnie waszmość: dla mnie to radość, że mu mogę służyć.

RZYMIANIN.

Idźmyż tedy razem.

SCENA CZWARTA.

(Ancyum. Przed domem Aufidyusza).

KORYOLAN, *(w pospolitej odzieży przebrany i osłonięty wchodzi).*

KORYOLAN.

Porządne to jest miasto, ten gród Ancyum:
O! grodzie, jato jestem, ten sam, który
Twoje niewiasty przywiódł o wdowieństwo:
Przed którym w wirze bitwy padł i skonał
Niejeden dziedzic tych pięknych budowli.
Nie poznaj ty mnie, boby mnie inaczej
Twe biało-głowy różnami zakłuły,
A chłopcy twoje ukamienowały
W pigmejskiej bitwie.

(Obywatel wchodzi).

Bądź pozdrowion, panie.

OBYWATEL.

Nawzajem.

KORYOLAN.

Wskażcie mi, jeżeli łaska,
Gdzie mieszka wielki Aufidyusz. Nie wiecie,
Czy jest on w Ancyum?

OBYWATEL.

Jest, i teraz właśnie

Wyprawia ucztę panom rady.

KORYOLAN.

Gdzie jest

Dom jego? chcecie mi, proszę, pokazać.

OBYWATEL.

Ot tu, przed wami.

KORYOLAN.

Dziękuję waszmości.

(Obywatel wychodzi).

O! świecie, dziwnie są twoje koleje!
 Najprzywiązańsi przyjaciele, którzy
 W dwojgu łon jedno zdali się mieć serce;
 Których godziny, łoża, mienie, jadło,
 Prace, uciechy, wszystko było wspólnem;
 Którzy w miłości byli nierozdzielni
 Jako bliźnięta, nagle skutkiem sporu
 O rzecz niewartą szeląga, wpadają
 W najzapalczywszą ku sobie nieprzyjaźń:
 A z drugiej strony najnieubłagański
 Nieprzyjaciele, którym jadowite
 Szepty zawiści i przemyśliwania,
 Jakby mógł jeden drugiemu zaszkodzić,
 Sen przerywały, dla bzdurstwa, o którym
 Wspomnieć nie warto, zmieniają się nagle
 W najzgorzalszych przyjaciół i ściśle
 Jednoczą z sobą byt i całą przyszłość.
 Tak się ma właśnie ze mną: nienawidzę
 Miejsce mych rodzinnych, a kocham to miasto,
 Którego dotąd byłem wrogiem. Wnijdźmy:
 Zabije-li mnie, sprawiedliwie zrobi;
 Zostawi-li mnie przy życiu, wyświadczę
 Przysługi jego ojczyźnie.

*(Wychodzi).***SCENA PIĄTA.***(Tamże. Sala w domu Aufdyusza).**(Muzyka zewnątrz. Jeden z miejscowych sług
wchodzi).*

1 SŁUGA.

Wina, wina, wina! Cóżto za usługa: czy nasi ludzie
posnęli?

(Drugi sługa wchoāzi).

2 SŁUGA.

Gdzie Kotus? Pan go woła. Kotus!
(Koryolan wchodzi).

KORYOLAN.

Piękny dom: miły zapach uczy wonie,
Lecz jam do gościa niepodobny.
(*Pierwszy sługa wraca*).

1 SŁUGA.

Czego chcesz, przyjacielu? Zkąd jesteś? Nie ma tu miejsca dla ciebie: proszę cię, wyjdź za drzwi.

KORYOLAN.

Nie zasłużyłem na lepsze przyjęcie,
Będąc, czem jestem.
(*Wchodzi drugi sługa*).

2 SŁUGA.

Z kąd waść? Czy odźwierny ma oczy z tyłu, że wpuszcza takie figury? Wynoś się zkąd przyszedłeś.

KORYOLAN.

Precz!

2 SŁUGA.

Precz? Ty sam precz!

KORYOLAN.

Jesteś naprzykrzony.

2 SŁUGA.

Jaki mi zuch! Zaraz ci lepiej rzecz przelożę.
(*Wchodzi trzeci sługa. Pierwszy spotyka się z nim*).

3 SŁUGA.

Coto za człowiek?

1 SŁUGA.

Oryginał, jakiego nie widziałem; nie mogę się go pozbyć z domu: poprośno tu naszego pana.

3 SŁUGA.

Po coś tu przyszedł, człowieku? Radzę ci, nie zawadzaj tu dłużej.

KORYOLAN.

Pozwólcie mi tu stać, moi panowie:
Nie zrobię krzywdy waszemu ognisku.

3 SŁUGA.

Któż waść jesteś?

KORYOLAN.

Szlachcic.

3 SŁUGA.

Podupadły, widać.

KORYOLAN.

W istocie, podupadły.

3 SŁUGA.

Proszę cię, mój podupadły szlachcicu, obierz sobie inne stanowisko; tu nie ma miejsca dla waszmości: wy-
noś się, pókiś cały!

KORYOLAN.

Precz drabie! pilnuj twego obowiązku,
I idź się napaść szczątkami biesiady.

(Odręca go).

3 SŁUGA.

Cóżto? nie chcesz? Idźno, kamracie, donieść pa-
nu, jakiego tu ma gościa.

2 SŁUGA.

Zaraz to zrobię.

(Wychodzi).

3 SŁUGA.

Gdzie mieszkasz?

KORYOLAN.

Pod stropem.

3 SŁUGA.

Jakim?

KORYOLAN.

Niebieskim.

3 SŁUGA.

Pod stropem niebieskim?

KORYOLAN.

Wzdyć tak.

3 SŁUGA.

Gdzież jest ten strop?

KORYOLAN.

W mieście wron i kawek.

3 SŁUGA.

W mieście wron i kawek? — Patrzcie, coto za
osiol! — To tedy mieszkasz i z gawronami?

KORYOLAN.

Nie: nie jestem przecie sługą twego pana.

3 SŁUGA.

Mojego pana śmiesz zaczepiać?

KORYOLAN.

Patrz, żebym twojej pani nie zaczepił;
Dość tego: weź blat pod pachę i ruszaj!

*(Wypędza go).**(Aufidyusz wchodzi z drugim sługą).*

AUFIDYUSZ.

Gdzie jest ten człowiek?

2 SŁUGA.

Tu, panie: byłbym go wypchnął jak psa, gdybym się nie był obawiał harmideru narobić w pobliżności panów.

AUFIDYUSZ.

Z kąd jesteś? czego chcesz? jak się nazywasz?
Czemu nie mówisz? Odpowiadaj, jak się
Nazywasz?

KORYOLAN *(odstaniając się)*.

Jeśliś mnie jeszcze nie poznał,
Tullusie, jeśli ci widok méj twarzy
Nie mówi głośno kim jestem: zaprawdę,
Muszę ci moje wymienić nazwisko.

AUFIDYUSZ.

Wymień je.

(Słudzy oddalają się w głąb sceny).

KORYOLAN.

Jestto nazwisko niedźwiedzine
Dla ucha Wolsków; twarde i rażące
Dla twego.

AUFIDYUSZ.

Wymień je. Masz postać groźną,
W twarzy twój jest coś rozkazującego;
A choć pokrowiec twój podarty, widno,
Że się szlachetny pod nim sprzęt ukrywa.
Jak się nazywasz?

KORYOLAN.

Przygotuj się zmarszczyć
Czoło. Jeszczeż mnie teraz nie poznajesz?

AUFIDYUSZ.

Nie, nie poznaję cię:—Jak się nazywasz?

KORYOLAN.

Nazwisko moje Tullusie, jest Marcyusz.
 Jamto ów Kajus Marcyusz, który Wolskom,
 A w szczególności tobie, tyle ciężkich
 Krzywd i klęsk zadał, na poparcie czego
 Posłużyć może nazwa Koryolana,
 Którą mi dano. W nagrodę przebytych
 Mozolnych trudów, srogich niebezpieczeństw,
 I krwi przelanéj za niewdzięczną ziemię,
 Zyskałem tylko ten przydomek: hasło
 Twój sprawiedliwej ku mnie nienawiści.
 Krom tego miana nic mi nie zostało.
 Dzikość i zawiść ludu, ośmielona
 Ustapieniami chwiejającéj się szlachty,
 Niedbałéj o mnie, pochłonęła resztę,
 I przypawiła mnie o to, żem został
 Przez niewolniczą hałastrę sromotnie
 Wygnany z Rzymu. Tato ostateczność
 Sprowadza mnie dziś do twego ogniska.
 Nie myśl, ażebym ludził się nadzieją,
 Że mi zachowasz życie: gdybym bowiem
 Lękał się śmierci, nikogobym pewnie
 Na całym świecie nie unikał bardziej
 Jak ciebie; staję tu nie w innym celu,
 Jedno, ażebym się skwitował z tymi,
 Co mnie skrzywdzili. Jeżeli więc w sercu
 Żywisz gniew, któryby rad odwetować
 Własne twe krzywdy i zabliznić rany
 Twojego kraju, masz sposobność: przybierz
 Moję niedolę w pomoc doli twojéj,
 I użyj zemsty mojej za narzędzie
 Twojéj korzyści; będę bowiem walczył
 Przeciwko mojej skażonéj ojczyźnie
 Z całą wściekłością podziemnych zastępów.
 Jeżeli ci to jednak nie dogadza.
 Jeżeli syty walk i znojów nie chcesz
 Dalej próbować szczęścia, w takim razie
 Krótko rzecz możesz skończyć: syty życia,
 Chętnie ci głowę poddaję pod topór;
 Weź ją jak swoje, zmyj dawne urazy.
 Niedorzecznością byłoby z twój strony
 Nie wziąć jéj, bacząc, żem cię od tak dawna
 Z zawziętą ścigał nienawiścią, z piersi

Ojczyzny twojej beczki krwi wytoczył,
I życzym nie mógł, jedno ku twój szkodzie,
Jeśli bym nie mógł żyć, ku wyświadczeniu
Przysług twój sprawie.

AUFIDYUSZ.

O Marcyuszu, każde
Z twych słów wyrwało z serca mego korzeń
Dawniej niechęci. Choćby mi sam Jowisz
Z głębi chmur boskie obwieszczając rzeczy
Powiedział: *tak jest*, nie dałbym mu większej
Wiary jak tobie, szlachetny Marcyuszu.
Pozwól mi objąć ramieniem to ciało,
O które tyle-kroć razy miotałem
Sękatą moją maczugą, aż trzaski
Lecące w górę zaćmiewały księżyc.
Oto, rękojeść miecza obejmując,
Zobowiązuję się równie żarliwym
Współzawodnikiem twoim być w przyjaźni,
Jak mnie nim w boju znajdowałeś, kiedym
Zajrząc ci sławy, występował na harc
Doświadczać twego męstwa. Wiedz nasamprzód
Żem kochał dziewczkę, którąm wziął za żonę;
Żaden miłośnik nie wdychał serdeczniej;
Lecz teraz, widząc tu ciebie, cny mężu,
Radośniej skacze mi serce niż wówczas,
Kiedym małżonkę moję po raz pierwszy
Ujrzał wchodzącą w me progi. Tak, Marsie!
A teraz, dowiedz się, żeśmy na nowo
Zebrali siły; zakładałem sobie
Raz jeszcze zmierzyć się z tobą i albo
Tobie odrąbać tarczę od ramienia,
Albo dać sobie odciąć ramię. Tyś mnie
Dwanaście razy pokonał; za każdym
Co noc marzyłem o spotkaniach z tobą:
Stałeś przedemną we śnie, walczyliśmy,
Gruchotaliśmy sobie wzajem hełmy,
Chwytałyśmy się oburącz za gardło:
I przebudzałem się martwy z rozpaczy,
Że to był tylko sen. O! tak, Marcyuszu,
Choćbyśmy żadnych zająć nie mieli z Rzymem,
Żadnych do niego uraz, za to jedno,
Że ciebie wygnał, wielki bohaterze
Podnieśliśmy całą naszą ludność
Od lat dwunastu do siedmdziesięciu,
I jako wrzący potok wlelibyśmy
Żar wojny w wnętrze niewdzięcznego kraju.

Pójdź, pójdź, i w dowód przyjacielskich uczuć
 Uściśnij ręce naszym senatorom,
 Którzy mnie przyszli pożegnać; nie później
 Bowiem jak jutro zamierzam się rzucić
 Na posiadłości wasze, może nawet
 Na samo miasto.

KORYOLAN.

Wspierajcie mnie bogi!

AUFIDYUSZ.

Jżeli zatem chcesz, dostojny mężu,
 Sam sprawą zemsty twój kierować, przyjmij
 Połowę mojej władzy i postanów,—
 Ile, że jesteś bieglejszy w rzemiośle,
 I bliżej zdolny ocenić silniejszą
 I słabszą stronę twój ziemi,—którędy
 Mamy się udać i od czego zacząć:
 Czy zaraz do bram Rzymu zakolać,
 Czyli téż, celem rzucenia postrachu,
 Pohulać piérwój w dalszych okolicach.
 Ale pójdź: pozwól, bym cię przedewszystkiém
 Przedstawił moim gościom, którzy z góry
 Na każde twoje zgodzą się żądanie.
 Witaj po tysiąc razy! nigdyś nie był
 Nieprzyjacielem naszym w takim stopniu,
 Jak teraz jesteś przyjacielem, mimo
 Żeś niepoślednio był tym piérwszym. Podaj
 Mi rękę! Niechaj się święci ta chwila,
 W której cię mogę nazwać gościem moim.

*(Koryolan i Aufidyusz wychodzą).**(Słudzy zbliżają się).*

1 SŁUGA.

Szczególne się rzeczy dzieją.

2 SŁUGA.

Świerzbilo mnie coś, żeby go poczęstować laga,
 a jednak coś mi szeptało, że jego ubiór fałszywie mówi
 o jego osobie.

1 SŁUGA.

Cóżto on ma za rękę! Zakręcił mną w dwóch
 palcach jak ten, co frygę puszcza.

2 SŁUGA.

Wyczytałem mu ja z oczu, że w nim jest coś: miał
 on widocznie w twarzy coś takiego,—nie wiem, jakby to
 powiedzieć.

1 SŁUGA.

W istocie, miał coś takiego, jak gdyby,—niech mnie kaci porwą, jeżeli zaraz nie pomyślał,—że w nim jest coś więcej jak myślałem.

2 SŁUGA.

Dalipan, i ja to samo; poprostu mówiąc, niema na świecie równego mu człowieka.

1 SŁUGA.

I ja tak sędzę; ani większego żołnierza, chyba tylko jeden.

2 SŁUGA.

Kto? nasz pan?

1 SŁUGA.

Ani mowy o tém.

2 SŁUGA.

On wart sześciu takich.

1 SŁUGA.

Ejże, chyba nie tyle; ale że *większy* żołnierz, to pewna.

2 SŁUGA.

Prawdę powiedziawszy, nie wysłowię jakby to można wyrazić: jednakże nasz wódz jedyny jest do obrony miasta.

1 SŁUGA.

Ba, i do szturm.

(Trzeci sługa wchodzi).

3 SŁUGA.

O mazgaje, o niedolegi, wiecież co wam powiem?

1 i 2 SŁUGA.

Co, co, co? Co takiego? Mów.

3 SŁUGA.

Nie chciałbym być Rzymianinem za nic w świecie: na jednoby mi wyszło być zbrodniarzem, co go na śmierć wiodą.

1 i 2 SŁUGA.

Dlaczegoż-to? Dlaczego?

3 SŁUGA.

Dlaczego? A toć tu jest ten, co tyle razy na kwaśne jabłko zbil naszego wodza,—Kajus Marcyusz.

1 SŁUGA.

Na kwaśne jabłko? naszego wodza?

3 SŁUGA.

Co tam kwaśne jabłko, ale, że go nieraz pobił, to pewna!

2 SŁUGA.

Dajcie pokój; jesteśmy zgodni kamraci i dobrzy przyjaciele; stał on mu zawsze kością w gardle: sam to słyszałem z jego ust.

1 SŁUGA.

Prawdę mówiąc dał on mu się nieraz we znaki: pod Koryolami naprzykład, popłatał go i pokiereszował jak pieczeń.

2 SŁUGA.

Gdyby miał ludożerczą naturę, byłby go był upiekł i pożarł.

1 SŁUGA.

Cóż nam więcéj powiesz?

3 SŁUGA.

Na rękach go tam noszą, jak gdyby był rodzonym synem i dziedzicem Marsa; sadowią go na najpiérwszém miejscu przy stole: senatorowie za lada słowem uniżają przed nim łysiny: sam nasz wódz nadskakuje mu jak gach w zalotach, błogosławi się ręką i z wytrzeszczoném białkiem stoi na czatach jego słów. Ale essencją moich nowin jest to, że nasz wódz rozpadł się na dwie części i że jest tylko połową tego, czém był wczoraj, bo tamten zabrał drugą połowę na prośby i za zgodą całej kompanii. Powiada, że pójdzie natrzeć uszu tym, co bram Rzymu strzegą, że wszystko zkosi przed sobą i wolną sobie utoruje drogę.

2 SŁUGA.

Bardzo on do tego podobny; nie wyobrażam sobie człowieka, któremuby bardziéj coś takiego z oczu patrzyło. Jak powiedział, tak robi.

3 SŁUGA.

Niéma kwestyi że zrobi: bo trzeba wam wiedzieć, moi panowie, że tyłuż ma przyjaciół co i nieprzyjaciół: tylko że owi przyjaciele (mówiąc między nami) nie śmia (widzicie) pokazać się (że tak powiem) jego przyjaciółmi, dopóki jest dyskredowany.

1 SŁUGA.

Dyskredowany! Co to znaczy?

3 SŁUGA.

Ale skoro zobaczą, że mu się grzebień podniósł, i że mu krew nie skrzepła, powylażą z kryjówek jak króliki po deszczu i skakać zaczną wkoło niego.

1 SŁUGA.

Rychłoż rozpocznie działanie?

3 SŁUGA.

Jutro; dziś: teraz zaraz. Usłyszycie kotły dziś jeszcze po południu; będzie to niejako na wety: nie otrą ust, a już hasło zabrzmia.

2 SŁUGA.

Tak więc świat znowu się rozrucha. Pokój na to jest tylko, żeby żelazo rdzewiało, żeby się krawcy mnożyli i fabrykanci rymów.

1 SŁUGA.

Bodajto wojna, i ja mówię; ona a pokój, to tak jak dzień i noc; rześko na niej, ruchawo, głośno i swobodnie. A pokój to prawdziwy letarg, paraliż: ekliwy, głuchy, ospały, nieczuły; i więcej płodzi bękartów niż wojna zabija ludzi.

2 SŁUGA.

Tak, tak: i jeżeli wojna pod pewnym względem może się zwać nierządnicą, to niezaprzeczenie pokój śmiało można nazwać przyprawiaczem rogów.

1 SŁUGA.

I przyprawiaczem ludzi o to, że jedni drugich nienawidzą.

3 SŁUGA.

Racya zaś w tém, że wtedy mniej potrzebują jedni drugich. Niech więc żyje wojna! a w szczególności ta, co ma nastąpić. Kładę mieszek w zakład, że wkrótce Rzymianie tak będą tani jak Wolskowie!— Wstają od stołu, wstają od stołu.

WSZYSCY TRZEJ.

Spieszmy, spieszmy, spieszmy.

(Wybiegają).

SCENA SZÓSTA.*(Rzym. Plac publiczny).***SYCYNIUSZ i BRUTUS** *(wchodzą).*

SYCYNIUSZ.

Nic coś nie słychać o nim; w każdym razie
 Nie mamy się go potrzeby obawiać;
 Pokój obecny i spokojność ludu,
 Który niedawno jeszcze tak się burzył,
 Bezsilnym czynią wszelki jego zamach.
 Świat idzie swoim trybem, na przekorę
 Jego stronnikom, którzyby woleli,
 Aczkolwiek może z własną swoją szkodą,
 Widzieć wicherzące po ulicach tłumy,
 Niżeli cichą czynność rzemieślnika,
 Śpiewającego przy pracy, i raźnie
 Zwijającego się koło warsztatu.

(Meneniusz wchodzi).

BRUTUS.

W poręśmy wzięli się do rzeczy. Wszakto
 Meneniusz.

SYCYNIUSZ.

On sam. Od pewnego czasu
 Wygrzeczniał stary.— Witaj, panie.

MENENIUSZ.

Witam

Waszmościów.

SYCYNIUSZ.

Ten wasz Koryolan niewielką
 Jakoś po sobie próżnię pozostawił.
 Chybaby może między przyjaciółmi:
 Rzeczpospolita stoi i stać będzie,
 Choćby się nie wiem jak zżymał.

MENENIUSZ.

Tak, jak jest, dobrze jest; byłoby jednak
 Nierównie lepiej, gdyby był miał władzę
 Nad sobą.

SYCYNIUSZ.

Gdzież on się teraz obraca?
 Nie słyszeliściez nic?

MENENIUSZ.

Nic nie słyszałem;
I jego matka, jego żona także
Nic nie słyszały.
(*Trzech czy czterech obywateli wchodzi*).

OBYWATELE.

Niech wam bogowie płacą!

SYCYNIUSZ.

Dobry wieczór,
Sąsiedzi.

BRUTUS.

Dobry wieczór, dobry wieczór.

I OBYWATEL.

Powinniśmy się z żonami i z dziećmi
Na klęczkach dzień w dzień modlić za was.

SYCYNIUSZ.

Żyćcie
I prosperujcie!

BRUTUS.

Bądźcie zdrowi. Gdyby
Was był Koryolan tak jak my miłował!

OBYWATELE.

Poruczamy was bogom.

OB. TRYBUNOWIE.

Bądźcie zdrowi.
(*Obywatele wychodzą*).

SYCYNIUSZ.

Lepsze to dzisiaj czasy i weselsze,
Niż owe, kiedy ciż sami ludziska
Biegali *gwaltu!* krzycząc.

BRUTUS.

Kajus Marcyusz
Niepospolitym prawda był żołnierzem;
Ale zuchwałym nad wszelkie pojęcie,
Dumnym, wyniosłym, samolubnym.

SYCYNIUSZ.

Pełnym
Uzurpatorskich uroszczeń.

MENENIUSZ.

Nie sędzę.

SYCYNIUSZ.

Bylibyśmy się o tém przekonali,
Niechnoby tylko był został konsulem.

BRUTUS.

Bogowie strzegli nas i uchronili
Rzym od tyranii.

(Edyl wchodzi).

EDYL.

Cześć wam, trybunowie:

Jakiś niewolnik przytrzymany przez nas,
W skutek badania zeznał, że Wolskowie
Dwoma wojskami wtargnęli w granice
Rzymu i z wściekłą zawziętością niszczą
Co tylko im się nawinie.

MENENIUSZ.

Aufidyusz

Nie traci czasu, widzę: usłyszawszy
O oddaleniu Marcjusza, na nowo
Wystawia rogi, które przytulone
W skorupie ruszyć się z miejsca nie śmiały,
Dopóki Marcjusz bronił Rzymu.

SYCYNIUSZ.

Co tam

Waszmość nam prawisz o Marcjuszu?

BRUTUS.

Kaźcie

Wychłostać tego rozsiewacza bajek;
To być nie może: Wolskowieby z nami
Nie śmieli zerwać.

MENENIUSZ.

Nie śmieliby zerwać?

To być nie może? Że może być, mamy
Przykłady: ja sam trzy razy widziałem
Coś podobnego. Zanim ukarżecie
Tego człowieka, dowiedźcie się wprzód
Z kąd on zaczerpnął tę wieść; moglibyście
Go bowiem skrzywdzić, jeżeli rzetelną
Prawdę podając uprzedził wás o tém,
Co nam istotnie grozi.

SYCYNIUSZ.

Przestań waćpan:

To być nie może.

BRUTUS.

To bajka wierutna.

(Goniec wchodzi).

GONIEC.

Szlachta w największém poruszeniu spiesz
Do sali obrad: doszła ją wiadomość
Przerażająca.

SYCYNIUSZ.

To ten pies niewolnik.--

Wysypcie mu sto plag na środku rynku:
Onto narobił tego swém zeznaniem!
Onto.

GONIEC.

Zeznanie tego niewolnika

Sprawdza się, panie: oprócz tego chodzi
Straszniejsza jeszcze wieść.

SYCYNIUSZ.

Jeszcze straszniejsza?

GONIEC.

Dość głośno mówią, (o ile to prawda,
Nie wiem): że Kajus Marcyusz w połączeniu
Z Aufidyuszem, znaczne wojska wiezie
Przeciw Rzymowi, i przysięga zemstę
Tak wielką, jak jest wielki przeciąg czasu
Między najmłodszym a najstarszym wiekiem.

SYCYNIUSZ.

Niepodobnego w tém nic niéma.

BRUTUS.

Jestto

Po prostu wymysł, dążący do tego,
Ażeby słabsi ludzie zapragnęli
Mić znów Marcyusza w Rzymie.

SYCYNIUSZ.

Próżny fortel.

MENENIUSZ.

Niéma w tém ani cienia podobieństwa:
On i Aufidyusz tak się z sobą zgodzą,
Jak najsprzeczniesze żywioly.
(*Drugi goniec wchodzi*).

GONIEC.

Panowie!

Senat was wzywa: massy wojsk pod wodzą
Kaja Marcyusza i Aufidyusza
Pustoszą naszą ziemię: już zajęły
Znaczną część kraju, spaliwszy i wzięwszy,
Co im stanęło na drodze.
(*Kominiusz wchodzi*).

KOMINIUSZ.

Cieszcie się z swego dzieła!

MENENIUSZ.

Cóż się stało?

KOMINIUSZ.

Dopomogliście gwałcić córy wasze,
Dopomogliście, żeby wam na głowy
Dachy zrzucono: żeby wam pod nosem
Żony hańbiono!

MENENIUSZ.

Nieba! cóż się stało!

KOMINIUSZ.

Żeby świątynie wasze do ostatniej
Cegły runęły, i owe swobody,
O które tak wam chodziło, zmały
I znikczemniały tak, iżby je można
W najlichszą dziurę wsadzić.

MENENIUSZ.

Cóż się stało?

Piękneście dzieło osnuli:—Na bogi:
Mów, co się stało? Jeżeliby Marcyusz
Miał się połączyć z Wolskami...

KOMINIUSZ..

Jeżeli!

On jest bożyszczem ich, jest dla nich jakimś
Wyższém jestestwem, które nie natura
Wydała, ale jakieś inne bóstwo
Z lepszego ludzi lejące metalu;
Prowadzi ich jak chce, a oni idą

W trop za nim przeciw nam frycom. tak ufnie
 Jak chłopcy co za motylami gonią:
 Lub jak rzeźnicy, idący na szlachtuz
 Muchy zabijać.

MENENIUSZ.

Oto wasze dzieło:

Wasze i waszój fartuchowój zgrai;
 Otóżto skutek waszego współnictwa
 Z temi, co mają powalane łapy,
 A dech cuchnący czosnkiem.

KOMINIUSZ.

On wam zstrząśnie

Rzym na kark.

MENENIUSZ.

Tak jak Herkules trząśł z drzewa
 Dojrzały owoc. Pięknieście nam żniwo
 Zasieli!

BRUTUS.

Ale czy to tylko prawda?

KOMINIUSZ.

Czy prawda! Prędzej zbledniecie jak trupy,
 Niz się dowiecie o czém inném. Wszystkie
 Powiaty rokosz podnoszą radośnie:
 Kto się opiera, odważném szaleństwem
 Śmiech tylko wzbudza i pada ofiarą
 Głupiej stałości. Możnaż mu to zganić?
 Wy sami łącznie z wrogami waszemi
 Musicie przyznać mu słusność.

MENENIUSZ.

Jedynie
 Jego wspaniałość może nas ocalić.

KOMINIUSZ.

I któż go o nią poprosi? Trybunom
 Wstyd nie otworzy ust; lud zasługuje
 Na jego litość tak jak wilk na litość
 Owczarza: jego przyjaciele także
 Nie mogą się z tém odezwać, bo gdyby
 Mu powiedzieli: *Oszczędź Rzym, podnobraż*
 niesprawiedliwości mu wyrządzili,
 Jak ci, co jego ściągnęli nienawiść,
 I okaziliby się przez to jego
 Nieprzyjaciołmi.

MENENIUSZ.

Niestety, to prawda!

Gdybym go widział podpalającego
 Mój dom, nie miałbym czoła mu powiedzieć:
Folguj.—Pięknieście nas wykierowali,
 Trzymając z stekiem partaczów! Pięknieście
 Zpartali dzieło!

KOMINIUSZ.

Wyście to przywiedli

Rzym o wstrząśnienie, któremu zaradzić
 Niepodobieństwem jest prawie.

TRYBUNOWIE.

Nie mówcie,

Że to my.

MENENIUSZ.

Nie wy! któż więc? Może senat?
 Myśmy sprzyjali mu, ale jak bydło
 Rozbrataliśmy szlachetność z szlachectwem,
 Ustąpiwszy wam i dawszy go z miasta
 Wsykać waszym szczokaczom.

KOMINIUSZ.

Zawyja

Oni wnet za nim. Tullus Aufidyusz,
 Pierwszy mąż po nim słucha jego skinień,
 Jak gdyby jego był podwładnym. Rozpacz
 Jedyną tarczą jest, jedyną siłą,
 Jaką im możem przeciwstawić.

(Gromada obywateli wchodzi).

MENENIUSZ.

Oto

Szanowna gawiedź.—Aufidyusz jest tedy
 Z nim razem?—Wyście to zapowietrzyli
 Rzym, podrzucając swoje przepocone,
 Pługawe czapki, wtenczas gdy Koryolan
 Szedł na wygnanie. Zbliża się on teraz,
 A każdy włos tych co mu towarzyszą
 Biczem jest na was. Ilu niedołęgów
 Rzuciło czapki, tylu głabów gardłem
 Zapłaci za głos, co im wyszedł z gardła.
 Niéma co mówić; chociażby nas wszystkich
 Spalił na węgiel, jeszczeby miał słusność.

OBYWATELE.

Straszne nas rzeczy dochodzą.

1 OBYWATEL.

Co do mnie,
Kiedy mówiłem: wygnać go, mówiłem
Także, że szkodaby go było wygnać.

2 OBYWATEL.

I ja także.

3 OBYWATEL.

I ja także, i prawdę mówiąc wielu z nas tak samo
mówiło. Cokolwiek zrobiliśmy, zrobiliśmy to w najlep-
szej myśli: i chociażśmy dobrowolnie zgodzili się, żeby
go wygnać, stało się to jednak mimo woli naszej.

KOMINIUSZ.

Pocziwe dusze z was!

MENENIUSZ.

Nawarzyliście
Kwaśnego piwa, wypijcież je teraz.
Udamyż się na Kapitol?

KOMINIUSZ.

A jakże;
Tam przedewszystkiém.
(*Kominiusz i Meneniusz wychodzą*).

SYCYNIUSZ.

Wracajcie do domów,
Nie przypuszczajcie obawy: to klika;
Oniby radzi, żeby było prawdą,
To co na pozór tak ich trwoży! Idźcie,
Idźcie do domów i nie okazujcie
Najmniejszej trwogi.

1 OBYWATEL.

Niech się bogowie nad nami zmiłują! Chodźcie bra-
cia, wracajmy do domów. Ja zawsze mówiłem, żeśmy
nie mieli racyi go wypędzać.

2 OBYWATEL.

Wszystcyśmy to mówili. Cóż robić! wracajmy do
domów.

(*Obywatele wychodzą*).

BRUTUS.

Nie podobają mi się te nowiny.

SYCYNIUSZ.

I mnie tak samo.

BRUTUS.

Idźmy na Kapitol.
Chętniebym oddał połowę fortuny;
Żeby to było bajką.

SYCYNIUSZ.

Idźmy, idźmy.
(*Wychodzą*).

SCENA SIÓDMA.*(Obóz w niewielkiej odległości od Rzymu).*AUFIDYUSZ (*wchodzi z swym powiernikiem*).

AUFIDYUSZ.

Czy jeszcze wszystko bije czołem temu
Rzymianinowi?

POWIERNIK.

Nie pojmuje, jaką
Moc czarodziejską posiada ten człowiek;
On staje naszym żołnierzom za przedmiot
Modłów przed stołem, rozmów w czasie jada,
Podzięk przy końcu biesiad; ty zaś panie,
Bledniesz nieznacznie w oczach własnych ludzi.

AUFIDYUSZ.

Nie mogę temu nateraz zaradzić,
Bo podejmując coś przeciwko temu
Zwichnałbym nasze plany. Takię dumy,
Jakię sam teraz od niego doświadczam,
Nie przypuszczałem: mianowicie wtenczas
Kiedym mu moje otwierał objęcia.
Natura jego niepoprawna; darmo,
Trzeba zabaczać i znosić to, czego
Zmienić nie można.

POWIERNIK.

Wolałbym był jednak,
(Dla twego dobra, panie) żebyś nie był
Dzielił z nim władzy: lecz żebyś był albo
Na siebie przyjął cały onęj ciężar,
Albo zupełnie jemu go zostawił.

AUFIDYUSZ.

Zrozumiałem cię, dobrze; i bądź pewnym,
 Że skoro przyjdzie z nim do porachunku,
 Będę mu takie mógł stawić zarzuty,
 Jakich się ani domyśla. Na pozór
 Zdaje się wprawdzie, i on sam rozumie,
 Że dobrze rzeczy prowadzi; że cały
 Wylany jest dla sprawy Wolsków. Walczy
 Jak smok i ledwie miecz z pochwy dobędzie,
 Juźci i pobił; jest jednak coś, czego
 Jeszcze nie zrobił; coś, co albo jemu
 Kark skreści, albo mój na szwank narazi,
 Jeżeli kiedy przyjdzie między nami
 Do porachunku.

POWIERNIK.

Rozumiesz-li panie,
 Że on zdobędzie Rzym?

AUFIDYUSZ.

Wszystkie obronne
 Miejsca poddają mu się bez oporu,
 I szlachta rzymska trzyma jego stronę;
 Senatorowie i patrycyuszowie
 Także są za nim: trybunowie zera
 W sprawie wojennej; a lud ich zarówno
 Pochopny będzie wezwać go napowrót,
 Jak był skwapliwy wygnąć go. Ja mniemam,
 Że Rzym tém będzie dla niego, czém ryby
 Są dla morskiego orła, który one
 Porywa mocą naturalnej władzy.
 Służył on zrazu zaszczytnie Rzymowi,
 Ale nie umiał z jednostajnym zawsze
 Umiarkowaniem piastować zaszczytów.
 Czyli-to była duma, nazbyt często
 Pociągająca szczęśliwych za metę
 Danęj im doli, czyli brak zdrowego
 Rozsądku w trafnym użyciu wypadków
 Których był panem, czy wreszcie natura,
 Która niedając mu być tém, czém nie był,
 Nie pozwoliła mu twardego hełmu
 Złożyć na miękkim krześle i szeptala:
 Że surowością równie dobrze można
 W pokoju rządzić jak na wojnie: mniejsza
 Czy to, owo, dosyć, że coś z tego,
 (Bo on wszystkiego tego ma potrochu,
 Potrochu, mówię; nie powiem, że wszystko),

Dość, że coś z tego zrobiło go straszny,
 Znienawidzonym, a wreszcie wygnańcem:
 Zasługi jego same się zabiły
 Tém, że zabardzo wychodziły na wierzch.
 Niezaprzeczenie cnoty nasze leżą
 W opinii świata; wszelka zaś potęga,
 Jakkolwiek w sobie chwalebna, znajduje
 Grób na mównicy, z której siebie chwali.
 Płomień ruguje płomień, falę fala.
 Prawo praw, siła sił budowę zwala.
 Idźmy. Marcyuszu, jeśli Rzym posiędziesz,
 Biada ci wtedy: bo wnet moim będziesz.

(*Wychodzą*).

AKT V.

SCENA PIĘRWSZA.

(*Rzym. Plac publiczny*).

MENENIUSZ, KOMINIUSZ, SYCYNIOUSZ, BRU-
 TUS (*i inni wchodzą*).

MENENIUSZ.

Nie, ja nie pójdę: słyszeliście sami,
 Co mówił dawny wódz jego, któremu
 On tak był drogim. On mnie wprowadzie kiedyś
 Ojcem nazywał: ale cóż ztąd? Wyście
 Go wypędzili, wy idźcie do niego:
 Idźcie na milę przed jego namiotem
 Paść na kolana i na klęczkach pełzać
 Żebrając jego przebaczenia. Kiedy
 On Kominiusza wzbraniał się wysłuchać,
 Ja ani kroku nie zrobię.

KOMINIUSZ.

Nie chciał mnie poznać nawet.

MENENIUSZ.

Czy słyszycie?

KOMINIUSZ.

Raz mnie jednakże nazwał po imieniu:
 Zakląłem go na dawne nasze związki,
 Na krew, którąśmy przelewali razem,
 Ale on głuchy był na te zaklęcia.

Zaparł się wszelkich nazw dotychczasowych:
 Powiedział, że jest czémś nieokreślonym,
 Czémś bezimiennym, że sobie dopięro
 Zamierza ukuć nazwisko w płomieniach
 Pałacego się Rzymu.

MENENIUSZ.

Cóż wy na to?

Pięknychście rzeczy narobili: to mi
 Para trybunów, co się przez patryotyzm
 Starła o to, żeby w Rzymie węgle
 Staniały. Będą wam pomniki stawiać!

KOMINIUSZ.

Napomknąłem mu, jakaby to było,
 Monarchy godną wspaniałomyślnością
 Przebaczyć tam, gdzie ani śmia rachować
 Na przebaczenie; a on odpowiedział:
 Że to jest śmieszna rzecz, aby karzący
 Ukaranego o łaskę prosili.

MENENIUSZ.

Wybornie: mógłże powiedzieć inaczej?

KOMINIUSZ.

Usiłowałem obudzić w nim czulość
 Na dolę jego prywatnych przyjaciół:
 Odrzekł mi na to, że trudno mu zdrową
 Słomę wybierać ze stosu zepsutej,
 Zbutwiałej mierzwy; że gwoli jednego
 Albo dwóch biednych ziarn, byłoby głupstwem
 Nie puszczać z dymem barłogu i wachać
 Coś, co obraża nos.

MENENIUSZ.

Gwoli jednego
 Albo dwóch biednych ziarn? Ja, jego matka,
 Żona, syn, nawet ten szanowny człowiek,
 Jesteśmy biedne ziarna: wy jesteście
 Zbutwiałą mierzwą, której odór bije
 Pod księżyc: dla was wszyscy musim splanąć.

SYCYNIUSZ.

Nie, nie; uspokój się, panie. Jeżeli
 Nam odmawiacie pomocy w téj nigdy
 Nieprzewidzianej toni, nie zwałajcie
 Na nas przynajmniej całej winy. Pewni
 Jesteśmy jednak, że gdybyście cacieli

W téj oplakanéj odezwać się sprawie,
Głos wasz dopomógłby ojczyźnie bardziej,
Niż wszelkie wojska, którebyśmy mogli
Zebrać naprędce.

MENENIUSZ.

Nie: nie chcę się wcale

W to mieszać.

SYCYNIUSZ.

Błagam was, pójdźcie do niego.

MENENIUSZ.

Po cóż ja tam mam pójść?

BRUTUS.

Po to jedynie,
Żeby spróbować, co wpływ wasz u niego
Wskórać potrafi dla zbawienia Rzymu.

MENENIUSZ.

A jeśli on mnie tak, jak Kominiusza
Z niczém odprawi; to cóż wtedy?—Jeśli
Niewysłuchany, obrażony jego
Nieuprzejmością, z kwitkiem do was wrócę;
To i cóż wtedy?

SYCYNIUSZ.

Wtedy Rzym wam będzie
Za waszę dobrą chęć obowiązany,
Z uwagi, żeście czynili co mogli
Dla jego dobra.

MENENIUSZ.

Dobrze więc, spróbuję.
Rozumiem, że mnie wysłucha: że jednak
Mógł się oburknąć i zacisnąć zęby
Kiedy Kominiusz go odwiedził, to mnie
Zbija z terminu. Snadź wtedy był nie swój;
Musiał być jeszcze przed obiadem. Kiedy
Żyły niepełne, krew w człowieku chłodna,
Zrzedni jesteśmy i niezdolni baczyć
Ani przebaczyć; kiedy zaś przeciwnie
Winem i jadłem dobrze wprzód opatrzym
Owe kanały i dukta krwi, wtedy
Wnet nasze dusze giętszemi się stają,
Niż kiedy pościm jak kapłani. Czekać
Więc będę, aż pod dyktetycznym względem

Usposobiony będzie odpowiednio;
Wtedy dopiero szturm przypuszczę.

SYCYNIU SZ.

Więcie

Najlepiej, panie, jaką obrać drogę
Do jego serca, i fatyga wasza
Nie może chybić celu.

MENENIU SZ.

Na poczciwość,
Zrobię co mogę i wkrótce się dowiem,
Jak wiele mogę.

(*Wychodzi*).

KOMINIUSZ.

On go nie wysłucha.

SYCYNIU SZ.

Nie?

KOMINIUSZ.

Nie: powiadam wam. On siedzi w złości;
Wzrok mu się iskrzy, jakby chciał Rzym spalić;
A litość jego jest spętanym więźniem
Jego urazy: uklęknąłem przed nim;
Półgębkiem rzekł mi: *powstań*, i niedbałem
Skinieniem ręki pokazał mi wyjście.
Co postanowił zrobić, i od czego
Z mocy przysięgi odstąpić nie może,
W przysłanym liście oznajmił mi potem,
Dodając, iż nam pozostaje tylko
Poddać się jego warunkom.
Jeśli go matka nie zmiękczy i żona,
Które, jak słyszę, mają go pójść błagać
O łaskę, żadnej już niema nadziei.
Idźmy więc do nich, panowie, i prośmy,
Aby zabiegi swoje przyspieszyły.

(*Wychodzą*).

SCENA DRUGA.

(*Forpoczty Wolsków przed Rzymem. Warty na posterunkach*).

MENENIU SZ (*wchodzi*).

I WARTOWNIK.

Stój! Zkąd?

2 WARTOWNIK.

Stój! nazad!

MENENIUSZ.

Pełnicie służbę po ludzku, to dobrze:
Ale za wielkiem waszém pozwoleniem
Przychodzę tutaj w poselstwie:—w poselstwie
Do Koryolana.

1 WARTOWNIK.

Od kogo?

MENENIUSZ.

Od Rzymu.

1 WARTOWNIK.

Nie przejdiesz wasze, wracaj z kąd przyszedłeś:
Koryolan nie chce już słyszeć o Rzymie.

2 WARTOWNIK.

Prędzěj ujrzycie Rzym w płomieniach, niż się
Z nim rozmówicie.

MENENIUSZ.

Moi przyjaciele,
Musiał wam pewnie wasz wódz nieraz prawić
O Rzymie i o przyjaciolach, których
W nim pozostawił; można więc sto stawić
Przeciw jednemu, że i moje miano
Was doszło: jestem Meneniusz.

1 WARTOWNIK.

Być może;

Idź waśc zdrów, mości Meneniuszu: siła
Waszego miana nic tu nie poradzi.

MENENIUSZ.

Mówię ci, przecie chłopcze, żom przyjaciel
Twojego wodza: żywą byłem księgą
Jego chwalebnych dzieł, w którejto księdze
Ludzie czytali szeroko i długie
O jego sławie nieztównanej; bom ja
Moich przyjaciół (których on jest głową).
Zawsze wystawiał w tak korzystném świetle,
Na jakie tylko prawda bez uszczerbku
Zgodzić się mogła: ba, czasami nawet
Przeholowałem i chwałę go pchnąłem
Prawdę, jak kulę po gładkiej płaszczyźnie

Za rzeczywisty jój obręb: dlatego
Musisz mnie puścić, chłopcze.

1 WARTOWNIK.

Chociażbyś był waszmość tyle kłamstw na jego korzyść powiedział, ileś tu w swoim interesie słów uronił, nie przejdiesz, dalipan, nie przejdiesz; chociażby równy zaszczyt przynosiło kłamać jak żyć pocziwie. Dlatego proszę nazad.

MENENIUSZ.

Zważ, mój przyjacielu, że się nazywam Meneniusz; że to nazwisko figurowało zawsze na czele listy przyjaciół twego wodza.

2 WARTOWNIK.

Jeżeliś waszmość z przyjaźni ku niemu pełnił urząd kłamcy (jak to sam wyznajesz), ja z mojego urzędu oświadczam ci po prawdzie, że nie przejdiesz: zawróć się więc i odejź.

MENENIUSZ.

Powiedźcie mi, czy jadł on już obiad? bo nie chciałbym z nim mówić przed obiadem.

1 WARTOWNIK.

Jesteś waśc Rzymianinem, czy nie jesteś?

MENENIUSZ.

Jestem nim, tak dobrze jak i wasz wódz.

1 WARTOWNIK.

Powinienbyś więc nienawidzieć Rzym, tak jak on go nienawidzi. Jakto? Wyforowaliście najdzielniejszego swego obrońcę, w przystępie ślepego szału oddaliście tarczę waszą w ręce nieprzyjaciół i spodziewacie się zakląć jego zemstę babskimi jękami, dziewiczemi załamowaniami rąk i niedołężnymi instancjami takiego starca gaduły jak waszmość? Jak wam może przejść przez głowę, żeby tak słaby oddech mógł zdmuchnąć groźący Rzymowi pożar? Mylicie się grubo: dlatego zawróć się waszmość do Rzymu i gotuj się na śmierć wraz z drugimi. Zapadł już dekret na was; przysięga naszego wodza zagradza wam wszelką drogę do frysztu i ułaskawienia.

MENENIUSZ.

Milcz, drabie; gdyby twój komendant wiedział, że tu jestem, obszedłby się ze mną z szanowaniem.

2 WARTOWNIK.

Idź waść: nasz komendant nie wie nawet, czy waść jesteś na świecie.

MENENIUSZ.

Mówię o waszym wodzu.

1 WARTOWNIK.

Nasz wódz nie troszczy się o waści. Jeszcze raz, odstęp waść, jeżeli nie chcesz, żebym z twojego ciała wyprosił resztę krwi co się w niém kołace.—Nazad! oto ostatnie słowo: nazad!

MENENIUSZ.

Ależ posłuchaj, posłuchaj.

(*Koryolan i Aufidyusz wchodzi*).

KORYOLAN.

Co się tu dzieje?

MENENIUSZ.

Zaraz mi ty inaczej śpiewać będziesz zuchwały zawalidrogo: dowiesz się, jak się ze mną trzeba obchodzić, i że lada drągal na placówce nie może mi bronić przystępu do mego syna Koryolana; bacz na rozmowę moję z nim i wnioskuje, azali zasługujesz na szubienicę, lub na inny jaki rodzaj śmierci dłuższy dla widzów i cięższy dla ciebie: słuchaj i truchlój myśląc co cię czeka.—Niech nieśmiertelni bogowie na nieustającym posiedzeniu radzą o twój prywatnej pomyślności, i niech cię miłują tak jak cię miłuje stary twój przyjaciel Meneniusz! O synu, synu mój! ty nam pożogę gotujesz: patrz, tu jest woda do ugaszenia jój. Zaledwie mnie nakłoniono, żebym się udał do ciebie; ale przekonany, że oprócz mnie nikt cię nie potrafi wzruszyć, podałem ucho naglącym mnie westchnieniom i oto stoję przed tobą: zaklinam cię, przebacz Rzymowi i żebrzącym łaski twój współrodakom. Niech litościwi bogowie ukoją twój gniew i zwrócą szczątki jego na tego tu hultaja, który jak kłoc zagradał mi drogę do ciebie.

KORYOLAN.

Precz!

MENENIUSZ.

Jakto? Precz!

KORYOLAN.

Nie znam cię; nie znam matki, żony, dziecka,
Nikogo: wszystko, co się mnie dotyka,

Należy dzisiaj do kogo innego.
 Choć zemsta, którą tchnę, moja jest własną,
 Jój umorzenie leży w piersiach Wolsków.
 Niech raczej czarna niepamięć ze szczeniem
 Zatrze ślad naszej dawniej zażyłości,
 Niżby ją litość miała budzić. Odejdź!
 Twardsze są uszy moje dla prośb waszych,
 Niż bramy wasze dla mojej potęgi.
 Ponieważ jednak był czas żem ci sprzyjał,
 Weź to: pisałem to dla ciebie, starcze.

(Oddaje mu list).

I miałem przesłać ci przez gońca. Nie chcę
 Z ust twoich słyszeć ani słowa więcej.
 Patrz Aufidyuszu, ten człowiek był pierwszym
 Mym przyjacielem w Rzymie: widzisz jednak.

AUFIDYUSZ.

Stalość ta czyni ci zaszczyt.

(Koryolan i Aufidyusz wychodzą).

2 WARTOWNIK.

No, i cóż mości panie, nazywasz się przecie Meneniusz?

1 WARTOWNIK.

To istne czarodziejskie słowo. Patrząc teraz którądy droga do domu.

2 WARTOWNIK.

Kaducznież nas zmyto za daną waszej wielmożności odprawę.

1 WARTOWNIK.

Z jakiegożto ja powodu mam truchleć, jak waść myślisz?

MENENIUSZ

Mniejsza mi o cały świat, a z nim i o waszego wódza. Co się tyczy takich, jak wy istot, o takim drobiazgu ani mi przyjdzie pomyśleć. Kto sam pragnie umrzeć, ten się nie boi śmierci z rąk drugiego. Niech wasz wódz co chce robi; co do was: pchajcie jak najdłużej waszą taczkę i niech się z wiekiem powiększa nędza wasza! Jak mnie powiedziano, tak ja wam powiadam: Precz!

(Wychodzi).

2 WARTOWNIK.

Tęgi starowina, na poczciwość!

I WARTOWNIK.

Bierz go lichy! Nasz wódz to mi człowiek! Jak skała, jak dąb niewzruszony wiatrem.

(*Wychodzą*).

SCENA TRZECIA.

(*Namiot Koryolana*).

KORYOLAN, AUFIDYUSZ (*i inni wchodzą*).

KORYOLAN.

Jutro staniemy pod murami Rzymu.
Współtowarzyszu mój w tej sprawie, donieś
Wolscyjskim panom rady, czy rzetelnie
Zobowiązania mojego dopełniam.

AUFIDYUSZ.

W istocie, tylko nasz interes miałeś
Na względzie: głuchy byłeś na wszechstronne
Utyskiwania i błagania Rzymu;
Puściłeś mimo poszepty przyjaciół,
Tych nawet, którzy z pewnością liczyli
Na twę powolność.

KORYOLAN.

Ten starzec, którego
Świeżo z rozdartém sercem odprawiłem,
Kochał mnie bardziej jak ojciec; co mówię,
On mnie ubóstwiał: wistocie, ostatnia
Otucha Rzymu na nim polegała.
Okazałem się twardym względem niego;
Przez wzgląd jednakże na dawną z nim przyjaźń,
Podałem jeszcze raz owe warunki,
Które Rzym już był odrzucił, a których
I teraz pewno nie przyjmie, tém bardziej
Że się za jego pośrednictwem większych
Rzeczy spodziewał: dobrze rzecz zważywszy
Ustałem z nich nieco. Od tej chwili
Żadne wstawienia, żadne prośby posłów,
Ani prywatnych przyjaciół nie znajdą
Do mnie przystępu. Lecz cóżto za hałas?

(*Hałas za sceną*).

Czyliżbym miał być stawiony na próbę,
W tej właśnie chwili kiedy to wyrzekłem?

(*W żałobnych szatach wchodzi: Wirgilia, Wolumnia prowadząca małego Marcyusza za rękę, Walerya i ich orszak.*)

Małżonka moja idzie przodem; za nią
Szanowna forma, w której to naczynie
Wzięło początek, a obok niej mała
Odrośl jej szczepu. Ale precz czułości!
Pękajcie wszelkie ogniwa natury!
Zakamieniałość niechaj będzie cnotą.
Czémże jest wdzięczna ta pokora, albo
Ten wzrok gołębi, który bogów nawet
Może uczynić krzywoprzysięzcami?
Mięknę i czuję się z takiegoż kruszcu
Jak inni. Matka moja chyli czoło,
Jak gdyby Olimp skłaniał się błagalnie
Przed kretowiskiem, a mój mały synek
Ma w twarzy wyraz pojednawczy, którym
Cała natura woła: *Nie odmawiaj!*
Nie! niech Wolskowie Rzym zrównają z ziemią,
Niechaj Italią wzdłuż i w szerz rozryją,
Nie będę nigdy tyle dobrodusznym,
Iżbym ślepego miał słuchać instynktu;
Nieporuszony stać będę, jak gdybym
Własnym był twórcą i nie miał najmniejszej
Wspólności z ludźmi.

WIRGILIA.

Meżu mój i panie!

KORYOLAN.

Niestety, inne w Rzymie miałem oocy.

WIRGILIA.

Smutekto, panie, który tak nas zmienił,
Nasuwa ci tę myśl.

KORYOLAN

Jak ów zły aktor,
Na samym wstępie zapominam roli,
I najsromotniej utykam. Najmilsze
Moje! przebaczcie mi moją nieczułość,
Ale nie mówcie mi: *przebacz Rzymi nom.*
O! choćby tylko jeden pocałunek,
Długi jak moje wygnanie, a słodki
Jak nasycenie zemsty! Na zazdrośną
Królowę niebios, pocałunek taki

Wziąłem od ciebie, luba, przy rozstaniu;
I wierne usta me w dziewiczym stanie
Zachowały go dotąd. O bogowie!
Ja tu rozprawiam, a najszlachetniejsza
Ze wszystkich matek na tej ziemi, jeszcze
Niepowitana. Zniżcie się kolana!

(Kłęk).

Okażcie głębszą cześć, niż zwykle hołdy
Niewieścich synów.

WOLUMNIA.

Powstań! Mnieto raczej
Na granitowej poduszce wypada
Kłęknąć przed tobą i w kontr przyrodzeniu
Cześć ci okazać, tak, jak gdybym była
Jakiś obłądnym, pośrednim jestestwem
Pomiędzy dzieckiem a matką.

(Kłęk).

KORYOLAN.

Ty kłękasz?
Przedemną? przed twym zawstydzonym synem?
Niechże więc lichy żwir z wysobłego brzegu
Bije o gwiazdy; niech szalony wichor
Dumnemi cedry miota o tarcz słońca,
Niepodobieństwo mieniać w rzeczywiście
I niemożebność w czyn.

WOLUMNIA.

Tys mój bohater:
Płód mego łona. Czy znasz tę niewiastę?

KORYOLAN.

Witaj szlachetna córo Publikoli,
Ty luno Rzymu, czysta jako sople,
Którą mróz osnuł z najbielszego śniegu,
I wdzięcznie zwiesił u świątyni Dyany,
Droga Waleryo!

WOLUMNIA.

A to małe ziarnko,
Twego pnia, które się z czasem stać może
Tak wielkiem jak ty drzewem.

KORYOLAN.

Niech bóg wojny
Za pozwoleniem wielkiego Jowisza
Zaprawi duch twój szlachetnością, abys
Rósł wolen plamy i stał wśród bitw, jako
Ów słup na morzu, który się opiera

Wszelkim nawałom i chroni od zguby
Tych, co nań patrzą.

WOLUMNIA.

Na kolana, chłopcze.

KORYOLAN.

To mój waleczny syn.

WOLUMNIA.

Dowiedz się teraz,
Że ten syn, żona twoja, ta niewiasta
I ja, przyszliśmy z prośbami do ciebie.

KORYOLAN.

Błagam was, milczcie: lub jeżeli chcecie
Prosić mnie o co, pamiętajcie z góry
Nie pocztywać za odmowę tego,
Czego związany przysięgą nie mogę
Dla was uczynić. Nie żądajcie, abym
Rozpuścił wojsko, lub kapitulował
Z rzemieślnikami Rzymu. Nie znajdujcie
W postępowaniu mojem cech wyrodka:
Nie usiłujcie chłodniejszemi względy
Tłumić mojego gniewu.

WOLUMNIA.

Przestań! przestań!

Jużes powiedział, że się nie możemy
Niczego zgoła spodziewać od ciebie,
Bo my cię mamy, o to tylko prosić,
Czego nam z góry odmawiasz. Będziemy
Prosić jednakże, aby cała wina
Bezskuteczności naszych błagań spadła
Na ciebie: słuchaj zatem.

KORYOLAN.

Aufidyuszu

I wy Wolskowie, bądźcie obecnymi;
Nie chcę mieć bowiem z Rzymem żadnych obcych
Dla was stosunków.—O cóż tedy idzie?

WOLUMNIA.

Choćbyśmy ani słowa nie wyrzekły,
Odzienie nasze i nasze oblicza
Jużby wskazały, jaki był nasz żywot
Od chwili twego oddalenia. Pomyśl
Sam tylko, czy są gdzie niefortunniejsze
Niewiasty, jak my w tej dobie? Twój widok,

Miasto rozjaśniać nam oczy radością,
 I serca nasze pociechą napawać,
 Wyciska z tamtych łzy, a te przejmuję
 Bolem i trwogą: możeż być inaczej,
 Gdy matka, żona, dziecko, widzi syna,
 Męża i ojca rozdzierającego
 Wnętrznosci wspólnej ojczyzny! Zawziętość
 Twoja pozbawia nas nawet możności
 Wznoszenia modłów do bogów, tej ulgi,
 Którą w nieszczęściu najlichszy ma nędzarz:
 Bo czyliż mogę modlić się za sprawę
 Ojczyzny, co jest obowiązkiem naszym,
 I za pomyślność twojego oręża,
 Co jest podobnie naszym obowiązkiem?
 Niestety! albo nam przyjdzie utracić
 Ojczyznę, drogą żywicielkę naszą,
 Albo postradać ciebie, który jesteś
 Pociechą naszą w ojczyźnie. Na korzyść
 Którąbądź strony los przechyli szalę,
 Którąbądź nasze spełni się życzenie,
 Nie mogę ciosu uniknąć: bo albo
 W kajdanach musisz, jak obcy złoczyńca,
 Pośrodkiem ulic Rzymu być ciągniony,
 Albo w tryumfie przejść po jego gruzach,
 Palmą zwycięstwa ozdobiony za to,
 Żeś mężnie przelał krew żony i dzieci.
 Co się mnie tyczy, bynajmniej nie myślę
 Czekać wypadku tej wojny: jeżeli
 Nie zdołam skłonić cię do szlachetnego
 Zaspokojenia obudwu stron, zamiast
 Cobyś na zgubę jednej z nich miał godzić,
 Nieprędzej pójdiesz zdobyć gród rodzinny,
 (Nie prędzej, zapisz to sobie), aż przejdiesz
 Po ciele matki twojej, po tém łonie,
 Któreć wydało na świat.

WIRGILIA.

I po mojem,
 Które ci tego dziedzica imienia
 Twego wydało.

MAŁY MARCYUSZ.

Nie przejdzie on po mnie:
 Schowam się, będę rośl, a potem walczył.

KORYOLAN.

Kto nie chce przejąć niewieściego ducha,
 Niech nigdy niewiast i dzieci nie słucha:
 Za długo już tu siedzę.

(Powstaje).

WOLUMNIA.

O! nie odchódź!

Gdyby to, o co cię prosim, zmierzało
 Do ocalenia Rzymian jednocześnie
 Ze szkodą Wolsków, którym służysz, słusznie
 Mógłbyś odrzucić nasze prośby, jako
 Zgubną dla twego honoru truciznę;
 Ale nam o nic innego nie idzie,
 Jak o wzajemne pojednanie. Niechby
 Wolskowie mogli powiedzieć: *wspaniale*
Postąpiliśmy z niemi, a Rzymianie:
Wspaniale z nami postąpiono; niechby
 Jedni i drudzy błogosławiąc ciebie
 Mogli zawołać: *Chwała tobie sprawco*
Tego pokoju! Synu mój, wiesz dobrze,
 Ze skutek wojen zawsze jest niepewny:
 Ale to pewna, że gdybyś Rzym zdobył,
 Całym owocem twojego zwycięstwa
 Byłoby takie imię, które nigdy
 Z niczyichby ust nie wyszło bez przekleństw,
 Pod którym takby pisały kroniki:
Byłto szlachetny mąż, ale ostatnim
Postępkiem zmaszał całą swoją przeszłość;
Zburzył ojczyznę: imię jego przeto
Zgroza dla przyszłych pozostanie wieków.
 Ubiegałeś się o zaszczytny rozgłos,
 Chciałeś majestat bogów naśladować,
 Gromem powietrzne sklepienia rozsadać,
 A wzdyc do siarki swój użyłeś tylko
 Takiego beltu, któryby zaledwie
 Dąb mógł rozszczepić. Nic nie odpowiadasz?
 Mniemasz-li, że to jest ozdobą meża
 Niezapominać uraż?—Mów ty, córko:
 On nie dba o twe łzy.—Mów ty, pachole:
 Może dziecinne twoje słowa więcej
 Na nim wymogą, niż moja wymowa.—
 Nikt niema większych jak on obowiązków
 Dla matki, a on mi się tu pozwala
 Rozwodzić, jakby spętany miał język.
 Biedna ja, com cię do walk zachęcała,
 Gdącząc jak kokosz, choć tracąc cię, mogłam
 Zostać bezdzietną; com cię za powrotem
 Obsypywała błogosławieństwami,
 Nie miałam nigdy téj słodkiej pociechy,
 Abyś mi w czém bądź okazał powolność.
 Nazwij żądanie me niesprawiedliwém;
 Każ mnie odpędzić; nie rzeknę i słowa:
 Ale jeżeli tego nie uczynisz,

Wręcz ci powiadam, że czynisz niegodnie,
 I że bogowie skarżą cię za takie
 Lekceważenie i łamanie względów
 Matce należnych.—Odwraca się, milczy:
 Dalej niewiasty, zegnijmy kolana,
 Upokórzmy go tém upokorzeniem:
 Przydomek jego więcej widać wpływa
 Na jego pychę, niż nasze błagania
 Na jego czułość. Dalej, na kolana!
 Ostatnito już krok:—wrócimy potem
 Do Rzymu umrzeć z rodakami.—Spojrzyj
 Raz jeszcze na nas, na to chłopię, które
 Niemogąc jeszcze uczuć swych wysławić,
 Klęczy i ręce ku tobie wyciąga.
 Czémżebyś upor twój usprawiedliwił
 W obec téj niemój wymowy?—Dość tego:
 Idźmy. Ten człowiek miał matkę Wolscyankę,
 W Koryolach żonę ma, a jego dziecko
 Musi być pewnie takie jak i ojciec:—
 Bywaj zdrów! skoro ujrzę pożar Rzymu,
 Wtedy ci powiem jeszcze coś: na teraz
 Niczego więcej z ust mych nie usłyszysz.

KORYOLAN.

O! matko, matko!

(Bierze Wolumnją za rękę i milczy przez czas niejaki).

Cóżeś uczyniła?

Spojrzyj: niebiosa otwarły się na ścież;
 Bogowie patrzą się na nas i szydzą
 Z nienaturalnej téj sceny. O! matko,
 Matko! odniosłaś zwycięstwo fortune
 Dla Rzymu, ale dla twojego syna,
 Wierzaj mi, bardzo niebezpieczne: może
 Nawet fatalne. Niech się święci jednak:
 Przyjmę następstwa jego.—Aufidyuszu,
 Niemogąc dalej prowadzić téj wojny,
 Zawrę godziwy pokój. Czyżbyś, powiedz,
 Na mojem miejscu mniej był słuchał matki,
 I mniej był zadość uczynił jój prośbie?

AUFIDYUSZ.

Byłem wzruszony.

KORYOLAN.

Mógłbym przysiądz na to!
 Musiałato być trudna proba, kiedy
 Litość zdolała oczy me zwilgocić.
 Powiedz mi, jaki wam pokój najleniej

Dogadzać będzie? Co do mnie, nie myślę
Wracać do Rzymu; pójdę z wami. Chciej mnie
Wesprzeć w tej sprawie.—Matko moja! żono!

AUFIDYUSZ (*na stronie*).

Nie mam ci za złe, żeś wspaniałomyślność
Przeniósł nad honor: to mi dopomoże
Wrócić na dawne moje stanowisko.
(*Niewiasty dają znak Koryolanowi*).

KORYOLAN.

Nie traćmy czasu.

(*Do Wolumnii i Wirgilio*).

Ale piérwój pójdźmy
Spełnić puhary. Weźmiecie ze sobą
Lepsze świadectwo, niż słowa, bo pismo,
W którym wzajemne, podobne warunki
Spisane będą i pieczęcią naszą
Stwierdzone. Pójdźcie z nami do namiotu.
Jeżeli komu to wamby powinien
Rzym wznieść świątynie: wszystkie jego miecze,
Wszystkie zastępy wojsk z nim sprzymierzonych
Nie potrafiłyby były wyjednać
Tego pokoju.

(*Wychodzą*).

SCENA CZWARTA.

(*Rzym. Plac publiczny*).

MENENIUSZ i SYCYNIU SZ (*wchodzą*).

MENENIUSZ.

Czy widzisz ten narożny kamień Kapitolu?

SYCYNIU SZ.

Widzę, cóż z tego?

MENENIUSZ.

Jeżeli znajdziesz sposób poruszenia go z miejsca
małym palcem, to jeszcze jest nadzieja, że nasze kobiety,
a w szczególności jego matka, potrafią na nim coś wy-
módz. Ale ja mówię, że żadnej niema nadziei: głowy
nasze dekretowane i egzekucya za pasem.

SYCYNIU SZ.

Możesz się człowiek w krótkim czasie do tego sto-
pnia zmienić?

MENENIUSZ.

Pomiędzy poczwarką a motylem jest różnica; a przecie motyl był poczwarką. Ten Marcyusz stał się z człowieka smokiem: ma skrzydła; jest czémś więcej, jak pełzającą istotą.

SYCYNIUSZ.

On był do matki bardzo przywiązany.

MENENIUSZ.

I do mnie także: ale teraz dba on o matkę tyle, co koń ośmioletni: cierpkość jego najdojrzalszaby skwaśnia jagodę. Kiedy stąpa, myślałbyś, że to kusza posuwa się pod mury; ziemia zdaje się pod nim uginać; wzrok jego przebiłby pancerz; mowa jego jest jak dźwięk dzwonów pogrzebowych, a mruczenie podobne do grzmotu. Siedzi w obozie jak drugi Alexander: co każe uczynić, to ledwie wyrzekł, staje się czynem. Wieczności mu brak tylko, żeby był bogiem, i niebos, z którychby światu panował.

SYCYNIUSZ.

Biada nam, jeżeli ten jego obraz prawdziwy!

MENENIUSZ.

Odmalowałem go jakim jest: osądź z tego, czy przyczynienie się matki potrafi go rozczulić. Jego rozczulić! u niego czułości tyle, co mleka w samcu tygrysie: przekona się o tém biedne nasze miasto, a wszystkiego tego wyście przyczyną.

SYCYNIUSZ.

Niech się bogowie nad nami zmiłują!

MENENIUSZ.

Nie, w takim przypadku nie zmiłują się nad nami bogowie. Nie mieliśmy na nich względu, kiedyśmy go wyganiali; to też i oni teraz nie będą mieli na nas względu, kiedy on nam przychodzi kark skrócić.

(Posłaniec wchodzi).

POŚLANIEC.

Uciekaj, panie, jeśli dbasz o życie:
Lud gniewny porwał waszego kolegę,
Wlecze go środkiem ulic i przysięga,
Że go powolną śmiercią zamorduje,
Jeżeli matka i żona Marcyusza
Nie wrócą z dobrą odpowiedzią.

(Drugi posłaniec wchodzi).

SYCYNIUSZ.

Cóż tam?

POŚLANIEC.

Dobre nowiny, radosne nowiny:
 Niewiasty tryumf odniosły, Wolskowie
 Usunęli się i Koryolan z niemi.
 Od czasu wyjścia z Rzymu Tarkwiniuszów,
 Jeszcze piękniejszy dzień nam nie zajaśniał.

SYCYNIUSZ.

Jestżeto szczerą prawdą? Jesteś pewny,
 Że to jest prawdą?

POŚLANIEC.

Tak jak pewny jestem,
 Że słońce szczerym jest ogniem. Z jakiegoż
 Świata wracacie, że wąpicie o tém?
 Nigdy tak chyżo parta wichrem fala
 Nie wylewała się przez łuki arkad,
 Jak się w tej chwili przez bramy wylewa
 Uradowany tłum ludu. Słyszycie?
(Odgłos trąb, obojów i kotłów w połączeniu z okrzykami słychać za sceną).

Trąby, puzany, harfy, surmy, flety,
 Kotły, cymbały i okrzyki Rzymian,
 Wzbudzają słońce do płasów. Słyszycie?
(Znowu okrzyki).

MENENIUSZ.

Walna wieść: spieszę na spotkanie naszych
 Szlachetnych niewiast. Tę Wolumnię warto
 Ozłocić; całe miasto senatorów
 I patrycyuszów, z konsulami razem,
 Nie zrównoważy jój w zasłudze; co się
 Tyczy trybunów, takich jak wy, tychby
 Do równowagi trzeba wziąć przynajmniej
 Tylu, ileby cały kraj i morze
 Mogło pomieścić. Dobrzeście się dzisiaj
 Modlili: jeszcze dziś rano nie byłbym
 Był dań denara za dziesięć tysięcy
 Głów waszych. Co za radosne okrzyki!
(Okrzyki i muzyka).

SYCYNIUSZ.

Niech cię nasamprzód bogi błogosławia!
 Następnie przyjmij nasze dziękczynienia
 Za tę wiadomość.

POŚLANIEC.

My wszyscy podobno
Równy tu mamy powód do dziękczynień.

SYCYNIUSZ.

Dalekoż one są od miasta?

POŚLANIEC.

Były
Tuż przed bramami gdym tu przyszedł.

SYCYNIUSZ.

Idźmyż

Na ich spotkanie i dołączmy głosy
Do tych weselnych okrzyków.

(Postępują).

(Niewiasty otoczone senatorami patrycjuszami i ludem przechodzą przez scenę).

I SENATOR.

Oto zbawczyni nasza, życie Rzymu!
Zwołajcie wszystkie cechy, chwalcie bogi,
Rozpalcie ognie tryumfalne, sypcie
Kwiaty pod nogi tych niewiast, zagłuszcie
Ów okrzyk, który Marcyusza wywołał,
W niebo bijącym okrzykiem wdzięczności,
Należnym jego matce! Krzyczcie: cześć wam,
Cześć wam, niewiasty! cześć wam!

WSZYSCY.

Cześć wam, cześć wam,
Niewiasty! Cześć wam!

*(Odgłos trąb i kotłów).**(Wszyscy wychodzą).***SCENA PIĄTA.***(Ancyum. Plac publiczny).*

TULLUS AUFIDYUSZ *(wchodzi z orszakiem swoim).*

AUFIDYUSZ.

Oznajmcie panom rady, że tu jestem;
Wręczcie im, ten list: gdy go przeczytają,

Niech się zgromadzą na rynku, ażebym
 Tak im, jak gminom dowodnie wykazał
 Zawartą w liście tym prawdę. Oskarżam
 Tego zmiennika, który się nie wahał
 Wnijść w bramy miasta i zamierza stanąć
 Przed ludem, tuszając, że się wnet oczyści
 Zręcznym do niego przemówieniem. Spieszcie.

(Orszak odchodzi).

*(Trzech czy czterech sprzysiężonych stronników Aufidyusza
 wchodzi).*

Witam was!

1 SPRZYSIĘŻONY.

Cóż się dzieje z naszym wodzem?

AUFIDYUSZ.

To, co z człowiekiem otrutym przez własny
 Czyn miłosierdzia i zamordowanym
 Przez własną litość.

2 SPRZYSIĘŻONY.

Szlachetny Tullusie,

Jeżeli jeszcze trwasz w owym zamiarze,
 W którym naszego poparcia żądałeś,
 Gotowiśmy cię dziś jeszcze uwolnić
 Od grożącego ci niebezpieczeństwa.

AUFIDYUSZ.

Nie mogę jeszcze nic wyrzec stanowczo:
 Trzeba nam zbadać wprzód usposobienie
 Ludu.

3 SPRZYSIĘŻONY.

Lud będzie wahał się bez końca,
 Póki będziecie stać naprzeciw siebie;
 Ale upadek jednego, uczyni
 Wnet spadkobiercą jego względów tego,
 Co pozostanie przy życiu.

AUFIDYUSZ.

Wiem o tem;

I mam też na czém ugruntować powód
 Mego zamachu. Wyniosłem go, dałem
 Honor mój w zakład za jego rzetelność,
 A on wyniosłszy się z mój łaski, polał
 Rosą pochlebstwa nowe swoje pole;
 Odwiódł odemnie przyjaciół i ugiął
 K'temu swój umysł, znany dotąd zawsze
 Z samowolności, szorstkości i gamy.

3 SPRZYSIĘŻONY.

Wyniosłość, z jaką starał się był w Rzymie
O konsulostwo, którego też za to
Nie dostał ..

AUFIDYUSZ.

Właśnie o tém chciałem mówić:
Wyniany za to, przyszedł do mnie; poddał
Pod mój miecz gardło. Przyjąłem go mile;
Zrobiłem go mym towarzyszem broni;
Wszelkim życzeniom jego dogodziłem;
Co więcéj, dałem mu wybrać w szeregach
Mojego wojska najdzielniejszych ludzi,
Z któremiby swe plany uskutecznił;
Sam osobiście podjąłem się służyć
Jego widokom; byłem mu pomocą
Do żniwa chwały, którą on wyłącznie
Sobie przywłaszczył; znajdowałem nawet
Jakowąś chlubę w wyrządzaniu sobie
Téj krzywdy: ażem się wydał nareszcie
Służalcem jego, nie współ-towarzyszem,
Ażem się przezeń ujrzał traktowanym
Jak prosty żołdak.

1 SPRZYSIĘŻONY.

Nieinaczéj: wojsko
Zdumiewało się nad tem. Naostatek,
Kiedy już Rzym miał w garści i kiedyśmy
Z rychłym podbojem wyglądali nie mniej
Łupów jak chwały...

AUFIDYUSZ.

Toć-to przeciw niemu
Wypręży nerwy mojego ramienia:
Dla kilku kropel niewieściéj wilgoci,
Tanich jak kłamstwo, sprzedał krew i trudy
Wielkiéj wyprawy naszéj: umrze za to,
A ja odżyję. Słyszycie ten odgłos?
(*Trąby i kotły odzywają się przy głośnych okrzykach ludu.*)

1 SPRZYSIĘŻONY.

Jak goniec wszedłeś, panie, w progi domu,
Rodzinne miasto głucho cię przyjęło;
A jego powrót rozdziera powietrze
Grzmotem okrzyków.

wieściopisarze, których jedynym celem było bawić lub poruszać czytelników, znaleźli w dziennikarskich kolumnach pewniejszy środek dojścia do popularności i majątku, od tego, jaki im nastęczał teatr.

Porównawszy największe powodzenie utworów teatralnych przedstawionych w Paryżu w ciągu ubiegłych lat dwudziestu, z powodzeniem niektórych romansów, jak np. *Indiana*, *Compagnon du Tour de France*, *Consuelo*, *la Peau de chagrin*, *Monte-Christo*, a mianowicie *Żyd wieczny*, *Tajemnice Paryża*, *Marcin podrzutek* i t. p., ogromną znajdujemy przewyżkę po stronie romansu. Nie ma zakątka ziemi, gdzieby nie doszły i gdzieby ich nie czytano chciwie; gdzieby coś z tych myśli nie weszło w czyn, nie wsiąkło w serca ludzkie, kiedy tymczasem wszystkie prawie dramata i komedye potrzebujące aktorów i teatru, służyły za zabawkę mniej wrażliwej populacji miejskiej.

Ostatecznie rzecz można, że dramaturgowie francuzcy piszą dla Francuzów, a mianowicie dla Paryżanów; romansopisarze zaś więcej dla zagranicy, niż dla własnego kraju: bo Francuz nad spokojne czytanie najmądrzejszej książki, przekłada zawsze teatr działający zarazem na umysł i wszystkie zmysły jego. Prócz tego wysoka cena, mianowicie dłuższych powieści, była powodem ich niepopularności we Francyi. Księgarz Jaccottet pierwszy zwrócił na to uwagę: utworzył nowe wydawnictwo i począł sprzedawać po franku wszystkie dawne i nowe romanse. *Les Confessions d'un bohémien* należą do tegoż zbioru, który pod ogólnym tytułem *Biblioteki Nowej* w krótkim czasie niezmiernie się rozpowszechnił.

Pan Fremy były professor literatury starożytniej, teraz dziennikarz i literat, na wstępie objaśnia tytuł swojej książki, a zarazem treść jej wypowiada temi słowy:

„Spowiedź cygana? rzecz nieciekawa, powie każdy: przedmiot nienowy, wyszarzany.... Na to odpowiem, że nazwa cygan nie znaczy wyłącznie człowieka żyjącego z dnia na dzień, awanturnika spacerującego po świecie w malowniczych łańchmanach z zawiązanymi oczyma, typu zużytego tak dobrze w teatrze, jak w romansie: są także cygany moralne, awanturnicy inteligencyjni, uczuciowi, których dzieje niemniej zajmujące, zamierzyłem opowiedzieć w tej książce”.

Autor ma słuszność: nietylko człowiek bez rodziny, bez dachu i bez pieniędzy, człowiek zostawiony jakto mówią własnemu przemysłowi, zasługuje na nazwę cygana; prócz tych są jeszcze cyganie duchowi, ludzie goniący bez wytchnienia za ideałem, wiecznie niespokojni: szukający wiecznie po ścieżkach i przepaściach życia prawdy, czyli rozwiązania dręczących problemów, które im wysuszają mózgi. Takim niezmordowanym pielgrzymem czy cyganem był Wilhelm Meister; jednym z takich mniej genialnym, ale niemniej cierpiącym jest spowiadający się cygan pana Fremy. Filozof, literat, artysta, straciwszy wiarę w siebie i w drugich, opuszcza Francją i osiada w małym miasteczku niemieckim, chcąc zapomnieć i być zapomnianym. Tam żyje z lekcyi, bez miłości, bez pragnień, oderwany od świata, zrezygnowany na wieczną niedolę.

Wtém dnia pewnego, trupa francuzkich aktorów przybywa do cichej siedziby naszego bohatera; całe miasteczko ożywia się łoskotem bębnow i świetnymi programami uciech, któremi przejezdna zgraja szarlatanów zwabia łatwowiernych do przemienionej w teatr stodoły. Młody mizantrop idąc, nie wiedzieć, za głosem przeznaczenia czy popędem ogólnym, przybywa także na owe widowisko. Tam siedząc na spróchniałej ławie, przed szeregiem lamp dymiących, spostrzega naraz dziewczynę ustrojoną w polne bławatki i gazową sukienkę, która cudnie od bladój jej cery i czarnego oka

odbija; spostrzega tę, którą kochać będzie całe życie, za którą pójdzie przez błotniste gościńce bawić zgrają jarmarczną, dla której wytrzyma skwar i zimno, zniesie najdolegliwsze bole i męki.

Biędny Wilhelm Meister! biędny cygan: w jednej chwili traci jedyne swoje dobro, jedyną zdobycz życia, spokój: bo Cypryanna blada dziewczyna w bławatkach, jest jedném z tych prześlicznych narzędzi tortur, które Bóg stwarza w gniewie, lub piekło na udęczenie ludzkie sieje po świecie. Cyganka duchem i professyą, doznawszy od szlachetnego młodzieńca tysiące dowodów miłości i poświęcenia, następującym żegna go listem w chwili, kiedy tenże ma ją pojąć za żonę:

„Porzucam cię z nadzieją, że się jeszcze kiedyś spotkamy: tymczasem nie przeklinaj mnie, proszę. Robiłam co mogłam, żeby się zgodzić z losem, któryś mi chciał zapewnić, alem tego dokazać nie potrafiła. Zniosłabym łatwiej największą męczarnią, niż istnienie, którego wszystkie godziny byłyby sobie podobne. Czuję, że takie życie zabiłoby mnie niechybnie. Chciałes skowronka zamknąć w klatce, w klatce pięknej i wygodnej; ale czyż nie wiesz filozofie, że on drąc się do słońca, wnetby sobie o jój złote kraty skrzydełka i główkę potrzaskał? Rozkosz i zbytek nie wystarczy Cypryannie, jeżeli nie jest przepleciony bolem i niedostatkiem: dziś trzeba jój wzruszeń i poklasków tłumu, jutro odpoczynku i cichości; raz burzy w polu, popasu w lesie: to znów uczyły w pięknym salonie i kadzideł sławy. Nienasycona, nieuchwycona, awanturnicza artystka, cyganka sercem, wyobraźnią i przywyknieniem, oto kobieta którąś pokochał biędny filozofie. Kto się przywiąże do takiej kobiety, musi ją kochać z pistoletem w kieszeni, albo umrzeć waryatem”.

Romans kończy się w domu obłąkanych. Tamto mając przed oczyma nieodstępną marę téj, którą kochał, biędny młodzieniec spowiedź swoją zakończy z prostotą.

rzewniejszą od najpatetyczniejszych dramatów: bo jest-
że w życiu boleśnieszka walka nad owę żądę wyłączne-
go posiadania serca, które się tylko napół oddać może,
nad owe nieustanne zapasy, z których wiemy naprzód,
że nie wyjdziemy zwyciężko.

Bohaterowie romansu zeszłego wieku nie umieli
jeszcze badać i analizować własnego serca: jest to tortu-
ra, na którą ich dopiero tegocześni pisarze wskazują,
częstokroć nadużywając cierpliwości czytelnika. Pan
Fremy potrafił szczęśliwie uniknąć zbyt szczegółowej
dyssekcji: cierpienie badał sercem, nie skalpelem, i dla-
tego niedola jego bohatera budzi współczucie. Jednak-
ż uważając rzecz ze stanowiska filozoficznego, wyda-
je się właściwiej, żeby autor nie mężczyźnie, ale kobie-
cie był pierwszą rolę porucił. Biedny marzyciel naj-
przód zasklepiiony w nauce, a później w miłości, ani
się nie spodziewać od świata, ani nic dać nie może dzi-
siejszemu społeczeństwu; kiedy przeciwnie, młoda
i piękna kobieta jak Cypryanna, obdarzona wrodzoną po-
ezją i ową artystyczną błyskotliwością, tak wysoko dziś
cenioną, może wywierać wpływ przeważny na ludzi,
i zostawić wyraźny ślad swego przejścia. Spowiedź
cyganki byłaby więc daleko ciekawsza i pożyteczniej-
sza od spowiedzi cygana.

Pod napisem „Drobne przykrości” Old-Nick skre-
ślił był kiedyś z wielkim talentem ujemną stronę bytu
ludzkiego; poparty biegłym ołówkiem Grandvilla, odma-
lował wykwintnie nędzę tego padołu płaczu i mikrosko-
piczne dolegliwości życia, które tém więcej dokuczają,
że nie mogą posłużyć za temat do żadnego dramatu,
a zamiast też współczucia, zazwyczaj uśmiech wywołu-
ją na usta powiernika. Niepotrzebna ta książka długo
bezkarne grasowała na kontynencie, obrzydzając lu-
dziom i tak już niemity i oskubany z poezji żywot: aż

wreszcie znalazł się człowiek, który jako pendant do tego bolesnego obrazu przedstawił wesołą stronę życia. Jules Janin pod napisem: *Les petits bonheurs* zgromadził i opowiedział wszystkie prawdziwe i rzeczywiste szczęścia ludzkie, to jest te, które człek czuje wtedy, kiedy je posiada; z inném bowiem szczęściem, szczęściem wielkiém jak sława, władza, miłość, rzecz się ma zazwyczaj jak ze zdrowiem: „ile go trzeba cenić, ten się tylko dowie, kto go utracił.”

Jean Paul porównywa życie szczęśliwego człowieka do księgi ze złoconemi brzegami: zdaleka świeci ona jak słońce; ale otworzywszy ją, widzisz, że każda karta tylko zaledwie dojrzaną niteczką złotą obwiedziona. Otóż Jules Janin zręczném piórem zniósł tę złotą kuzawę błyszczącą gdzieniegdzie po czarnych manowcach życia, i posypał nią wszystkie karty swój arcydowcipnej i miłej księżeczki, której czytanie nader kojący wpływ wywiera na nerwy. Prócz obrazków Gavarniego, których sam widok wzrok raduje, a umysł do wesołości usposabia, na każdej kartce znajdziesz tam jedno, a czasem dwa i cztery szczęścia; prawda niewielkie, ale w massie nasycające:—jak z małych porcyj złożony długi obiad.

Wszystko jest radością dlatego, kto na małym poprzestawać umie; nawet podagra, wedle Jules Janina jest rodzajem szczęścia: choroba ta zmusza człowieka do pilnowania domowego ogniska, którego wpływ dobroczynny uśmierza nienawiści, daje spokój umyśtu i koirany serdeczne, wkłada najniewstrzeźliwszych do trzeźwości, téj szanownej cnoty, która jest matką pracy i czystych myśli, nadto nie pozwala słuchoać nadętych tragedyj i bezrozumnych komedyek. Janin tak gruntośnie dowodzi rozmaitych korzyści podagry, że w końcu czytelnik zaczyna uważać ją za rzeczywistą łaskę niebios, i zazdrości mu téj zbawiennéj choroby, która za-

zwyczaj przez pół roku wesołemu feiletoniście wstać z krzesła nie dozwala.

Jeżeli prawdziwe dolegliwości życia autor tak ocukrzyć umie, cóż dopiero, skoro wpadnie na przedmiot rzeczywiście przyjemny: jeżeli naprzykład zacznie opisywać wycieczki na wieś, podwieczorki na trawie, powrót do Paryża w nocy, przechadzkę po wybrzeżach Sekwany oświeconą dwiema girlandami gazowych świateł, наконец wesołą kolacją z przyjaciółmi, gdzie naprzemiany zdrój dowcipu i zdrój alikantu dopóty płyną, dopóki sny uroczne nie sprowadzą rozkosznych wizyj przed zamknięte powieki biesiadników i jeszcze w lepsze nie przeniosą ich światy.

Każdy wiek ma swoje uciechy, czyli małe szczęścia, jak je autor zowie; ale najtrwalsze są szczęścia młodości: bo choć ich już nie doświadczamy, pamiętamy o nich. Młodość jest jednym nieprzerwanym pasmem szczęścia; wtedy każda przeciwność, każda boleść służy tylko jako cień czarny do lepszego uwydatnienia brylantowej radości: tży są dobroczynnym deszczem dopomagającym do rozwoju kwiatów; cierpienie, zawsze gwałtowne i przemijające grzmotem, który wstrząsa całą naturę i wywołuje z niej nowe bogactwa. Młoda, jeszcze nieznająca miłości dusza, ma już swoje przecuciowe rozkosze, które jak stado motyli nad kielichem wonnego kwiatu krążą około serca, muskając je powiewem jedwabnych skrzydeł. Pierwszy romans przeczytany w cieniu jasmínowych szpalerów, pierwszy wiersz płomienny, którego się uczymy na pamięć gdzieś w głębi szumiącego lasu, pierwszy koń wtorujący galopem szafowi młodej głowie, pierwszy dramat, lub pierwsza słyszana opera, nie sążto wszystko szczęścia niedorostka, które zostają na wieki w pamięci serca. A cóż dopiero kiedy się serce obudził...

Tego szczęścia już nie dotyka Janin, i lepiej: bo zapewne nie dorównałby w tym przedmiocie Mussetowi,

który wrażenie pierwszej miłości najgłębiej z poetów francuzkich oddał w tej jednej strofie swjej sławnej hiszpańskiej powieści:

„Il se peut qu'on oublie un rendez-vous donné,
Une chance, un remords, et l'heure ou l'on est né,
Et l'argent qu'on emprunte. Il se peut qu'on oublie
Sa femme, ses amis, son chien et sa patrie.
Il se peut qu'un vieillard perde jusqu'a son nom.
Mais jamais l'insensé, jamais le moribond,
Celui qui perd l'esprit, ni celui qui rend l'ame,
N'ont oublié la voix de la première femme,
Qui leur a dit tout bas ces quatre mots si doux
Et si mistérieux. *My dear child, I love You.*”

Przeszedłszy wszystkie drobne szczęścia młodości, Jules Janin wylicza kolejno uciechy rozmaitych stanów. Szczęściu dziennikarzy i literatów poświęca długie rozdziały; pominął atoli jedną przyjemność, przyjemność, którą czuje każdy czytający jego ostatnią pracę, to jest, że rozkoszą być musi pisać książkę, której zadaniem odmładzać serca, w duszy budzić czyste wspomnienia, a nadewszystko zachęcać ludzi, żeby poprzestawali na małym, nigdy nie zgłębiali swego szczęścia, ani nie wdawali się w jego dyssekcye: bo szczęście jest jak Eurydyka: — nie oglądaj się czy za tobą idzie; jeżeli się obejrzyysz, jak mgła się rozwieje.

— Mówiąc o ostatniej, wspomnimy tu jeszcze o poprzedniej pracy Jules Janina, Biografii Gerarda de Nerval, który tak smutnie zakończył życie zeszłej zimy. Janin, osobisty przyjaciel Nerval'a, z niezwykłym sobie czuciem i wysokim nastrojeniem ducha ocenił charakter i talent tego znakomitego pisarza. Sądzymy, że czytelnicy nasi chętnie przeczytają niektóre wyjątki z biografii człowieka, o którym powiedział Goëthe, że go sam jeden w całej Francyi zrozumiał.

.... „Fatalnej nocy z pierwszego na drugi lutego 1855 roku, w zaułku pewnej niegodnej ulicy, szyfoniery przechodząc o szóstej rano znaleźli trupa powieszzonego

na powrozie, przymocowanym do kraty okna. Nogi nie-szczęśliwego dotykały prawie rynsztoku, ubior jego był wykwinny ale zaniedbany. Widocznie człowiek ten długo szukał téj ulicy i tego szkaradnego miejsca, zanim spełnił straszne samobójstwo. Na wołanie gałganiarzy zbiegli się ludzie i odcięli zabójczy powróż: trup był jeszcze ciepły, ale człowiek już nie żył.

„Człowiek ten, niestety! był jednym z najzdolniejszych pisarzy swęgo czasu, jednym z tych, co spadli z burzą 1830 r., z ową burzą ozywczą, która wywołała niejednego geniusza i mnóstwo talentów. Samobójca zwał się Gerard de Nerval. Śmierć jego zmartwiła wszystkich, ale nie zdziwiła nikogo: oddawna już biędna ta dusza knuła swój straszny zamiar. Nerwał za życia już nie żył, lecz śnił na jawie: było marzyciel, od którego ludzie doznali tylko miłości. Wierzył on w metampsychozę, wróżby i duchy, z naiwnością opowiadał o cudach Cagliostro i magicznych zachwytach księdza Buquoi. Sam wiódł życie koczujące, żył z dnia na dzień: raz był bogaty, raz biędny, umiał wiele, bardzo wiele, a czego się nie nauczył, to odgadł. Ścisłą przyjaźnią związany z Homerem i Wirgiliuszem, wziął się naraz do tłumaczenia Szekspira i Goëthego, który w religijnie przechowanym liście, oddaje swemu młodemu tłumaczowi sprawiedliwość, a w końcu powiada, że w całej Francyi jeden tylko Gérard de Nerval go zrozumiał.

„Gérard żył z płodów swęgo umyśtu, życie zaś spędzał na podróżach, które zazwyczaj odbywał pieszo. Głód sprowadzał go z obłoków na ziemię, gdzie przez czas jakiś mówił i czynił jak zwykły śmiertelnik. W tych chwilach Nerwał pisał z nieporównanym talentem powieści, krytyki, dramata i podróże. Skoro tylko uzbierał trochę grosza na niezbędny kawałek chleba, uciekał w dalekie kraje: szczęśliwy, jak student na wakacyach. Wszystko mu było dobre, byle nie spodziane. Lubił zarówno słońce i cienie, Belgią i Wschód; piękne meble

podobały mu się, ale łaachmany także go nie raziły; znosił z równym humorem bogactwo i nędzę: jak w jedném tak w drugiem położeniu był zawsze na swoim miejscu. Wydał, sam nie wiedząc ani kiedy, ani jak, wiele prześlicznych utworów, jak naprzykład: Kobiety Kairu, Noc Ramazanu, Lovely, Córy ognia, Holenderskie uczty, Miłostki Wiedeńskie, Sceny z życia Niemieckiego, Miasta i Pałace Czeskie, i t. d.

„Ze wszystkich dramatów, na których się podpisał i tych, na których się nie podpisał, największe zrobił wrażenie Léo Buckard, przedstawiony w Porte-Saint-Martin. W przedziwnym tym dramacie Nerval przedstawił młode Niemcy spragnione jedności, marzące o swobodzie, pokrywające spiski nauką, szyjące z filozofii i teologii płaszczyki dla swych rewolucyjnych wybuchów. Publiczność francuzka, która jeszcze niedaleko postąpiła w sztuce konspirowania, słuchała tego dramatu zdumiona i poruszona aż do żywego,

„Gérard de Nerval był improwizatorem w prawdziwym znaczeniu tego wyrazu: rzucał on na wiatr piosneczki i karty zapisane to na oberżowym stole, to na przydrożnym kamieniu, to gdzieś pod piramid cieniem, to przy kawiarnianym piecu. Na kilka dni przed śmiercią pisał jeszcze rzecz dziwną pod tytułem: Aurelia czyli sen i życie. W téj książce, która jest ostatnim wyrazem tego szczytnego umysłu pełnego cienia i światła, ileż jest owych krzyków duszy, które autor Lukrecyi zowie *verae voces*. Jakież tam błyskanie w tych chmurach, jakże głęboka boleść w tém sercu!

„Najlepsze pojęcie cierpień téj samotnej duszy poweźmie czytelnik z opisu ostatniego pokoju, który zamieszkiwał Nerval; jestto ostatnia karta, jaką na tym świecie napisał: karta, której przyjaciel bez łez nie przeczyta, a nieznajomy nie przejrzy bez wzruszenia:

„Pokój mój leży w kurytarzu zamieszkałym po jednej stronie przez waryatów, po drugiej przez służących. Okno wychodzi na podwórze zasadzone drzewami, wzrok mój z przyjemnością zatrzymuje się na liściastym orzechu włoskim, który tam rośnie; poza murem podwórza widać ulicę: przy zachodzącym słońcu horyzont się rozszerza. Tu i owdzie wychyli się z okna jaka piękna głowa kobiety, lub różowa twarzyczka dziecka; rozlegają się śpiewy, krzyki i śmiechy, których słuchać wesoło lub smutno, wedle usposobienia duszy. W tym pokoju zgromadziłem wszystkie resztki moich rozwianych majątków; cęła moja przypomina laboratorium doktora Fausta: przy oknie stoi stół starożytny zakończony orlemi głowami, nad nim konsola podparta sfinxem skrzydlatym; dalej komoda, biblioteka z XVII wieku i łóżko z téjże epoki okryte karmazynową kotarą. Przy kominku stoi serwantka z porcelaną sewrską i japońską, nargil przywieziony ze Stambułu; na kominie dwie czary wspaniałe, jedna z alabastru, druga z kryształu. Oparte o ścianę stoją drzwi pokryte mitologicznymi obrazkami, które kiedyś malowali przyjaciele, dziś sławni artyści. Obicie kryją dwa wielkie płótna przedstawiające muzę Historyi i muzę Komedyi.

„Przez kilka dni z upodobaniem układałem to wszystko, i złożyłem dziwną całość podobną zarazem do pałacu i chaty; całość, która jest dość wiernym obrazem mojego koczującego życia. Nad łóżkiem zawiesiłem arabskie ubiory, dwa szale kaszmirowe i pielgrzymią butelkę. Wielki plan Kairu przybiłem nad biblioteką. Biblioteka moja jest to najdziwniejszy stos książek, jakie kiedy zgromadzono na świecie: dzieła naukowe, historyczne, religijne, kabalistyczne, astrologiczne, poezye, podróże, tragedye, piosneczki i vaudeville: słowem wieża Babel w dwustu tomach. Czytając to wszystko mędrzecby zwaryował: kto wie, może waryat zmądrzeje...

„O nieba! jaka radość! Układając notatki, listy i manuskrypta, znalazłem... mamże powiedzieć.... znalazłem na pozótkłym i zmiętym papierze jedyny ślad mojej jedynéj miłości... Ach! odczytajmy raz jeszcze to pismo: wielu słów brakuje, wiele się zatarta, wiele wymazanych... (Tu zapisana strofka, którą Gérard zwykł był nucić):

Le matin n'est plus, le soir pas encore,
 Pourtant de nos yeux l'éclair a pali;
 Mais le soir venu ressemble a l'aurore,
 Et la nuit plus tard amene l'oubli!"

„Biédny Gérard! Tą piosenką własnej kompozycyi, którą nam zawsze śpiewał, zakończył na wieki swoje z nami rozmowę.

.... „Nerval nigdy nikomu nie schlebiał, nikomu nie winien nie był, nikogo nie zdradził: to téż każdy go kochał i cenił. Że miał niewinność dziecięcą, miał także i przywileje dziecka: chodził, mówił, wychodził, powracał, wedle swéj woli lub kaprysu. Byłto jedyny człowiek admiirowany szczerze w burzliwéj literackiéj rodzinie; dość mu było powiedzieć „słuchajcie” żeby go wszyscy słuchali. Gérard upajał się natchnieniem swoich przyjaciół, jak w dwudziestym roku upajamy się pięknoscią kochanki. Chodził zawsze zamyślony, zawsze układając w swojej niewinnéj głowie romans, dramat, poemat, komedią lub piosenczkę. W chwilach natchnienia był prawdziwym czarnoksiężnikiem, robił cuda: byłby ci powiedział co się dzieje w niebie, gdybyś go o to zapytał. Boleść z jaką go płaczemy można było porównać z zachwytem, z jakim słuchaliśmy go. Miał zaledwie lat czterdzieści pięć, kiedy spełnił z uśmiechem swój zamiar fatalny. Na wiadomość o jego skonie cały Paryż jęknął, jak jeden człowiek; wszystkie wybrane umysły miały sobie za zaszczyt odprowadzić do grobu zwłoki tego wzniosłego i nieszczęśliwego człowieka. Nowa ulica Rivoli zatarta wszelki ślad przepa-

ści, w którą wpadł nasz poeta godny szacunku i miłości najgodniejszych.”

Ernest Feydeau w dalszym ciągu znakomitego dzieła swego pod tytułem *Histoire des usages Funèbres et des Sépultures des Peuples Anciens*, napisał nowy tom obejmujący pogrzebowe zwyczaje Egipcyan, którzy sami jedni na ziemi wydali walkę naturalnej destrukcyi. Jaki był powód téj niewdzięcznej pracy, tego upierania się przy konserwowaniu w jednej formie materyi przeznaczonéj prawem przyrody na ciągłą przemianę, pan Feydeau objaśnia na wstępie.

Wedle mitologii egipskiej dusza zależała od ciała nawet po rozłączeniu; zrzuconą formę odbijała zawsze w dalszych swych przeobrażeniach; mimo czasu i przestrzeni czuła wszystkie fazy destrukcyi, przez jakie jéj zwłoki przechodziły. Swoboda i czystość duszy zależały od całości i czystości ciał porzuconych: ztąd owe staranne hodowanie trupów. Trup był dla Egipcyan depozytem powierzonym przez człowieka odjeżdżającego w daleką podróż, depozytem świętym, od sumiennego przechowania którego zależało przeznaczenie duszy podróżnika. Idea nienaruszalności ciała była uczczeniem nieśmiertelnej duszy, pozostającej zawsze w tajemniczym związku ze swym kształtem, i mogącej zapotrzebować go przy ostatnim obrachunku u kresu wędrówki.

Tęż samę myśl, cudnie nagiętą do spraw ziemskich, znajdujemy w poemacie Lambro:

.... «Tak Egipcyanin w liście z aloesu
Obwija zwiędłe umarłego serce;
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa:
Chociaż w tym liściu serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie... Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemne odgadnie,
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu, na dnie.”

Wykazawszy, czemu naród egipski przez całe wieki prawie wyłącznie był zajęty balsamowaniem się i ko-

paniem sobie grobów, pan Feydeau wprowadza czytelnika w podziemne Teby, które odbudował z potęgą poety-erudyta.

Jestto miasto umarłych pod miastem żywych, miasto milczące jak grób, czynne jak pracownia, złożone z sal ciągnących się w aulady, zdające się gubić w pomroce nieskończoności. Tam, pod pozorem kapłanów żałobnych, ubranych w skórę pantery i kołpaki zakończone głową szakala, niegdyś cała armia balsamicielei krzątała się w cichości, zajęta swą ponurą pracą. Tysiące trupów z pomocą owych uczonych konserwatyistów podnosiło się powoli do godności mumij. Jedni, oczyszczone z wnętrzości ciała wypełniali pachnącymi ziołami; drudzy zanurzali je w kotle wrzącej żywicy; inni powijali cienkimi taśmami; inni nakoniec, na ułożonych w skrzyni nieboszczykach, krasnemi farby malowali dziwadła, pisali hieroglify i ostatnim namazywali lakierem.

Miasto umarłych ma także swoją hierarchię: różnicę stanów zachowywano tam wiernie. Ciała monarchów i kapłanów, po zwykłym zabalsamowaniu przechodziły w ręce złotników, malarzy i perukarzy, którzy trefili trupa w wykwintne pukle, przylepiali mu długą brodę, wprawiali w miejsce prawdziwych oczu z emalii; wszystkie zaś członki najprzedniejszemi barwili kolorami.

Dostojne niewiasty jeszcze staranniej i wykwintniej balsamowano. Piękne ciała kobiece pod biegłą ręką artystów zmieniały się w pachnące posągi, nasadzone złotem i kością słoniową jak ateńska Pallada. Złoczone ich piersi otoczone girlandami kwiatów, wydawały się jak dwie czary greckie uwieńczone różami; usta były podobne do napół rozkwitłego granatu, a ręce skrzyżowane wdzięcznie, nadawały tej formie niewieściej wyraz nieokreślonej pokory i strasznej zadumy, która razem przyciągała oczy i przerażała wyobraźnię.

Ciała kobiece mają swoje osobne galerye w podziemnych Tebach. Znalezione tam pomiędzy innymi mumią kobiety z dzieckiem u piersi, tak wybornie zakonserwowaną, tak mistrzowskim odmalowaną pędzlem, i z tak bolesnym wyrazem twarzy, że przy niej „posąg Nioby wydaje się być tylko bladym cieniem cierpienia.”

Mumie drugiej klasy nie były wcale złoczone: obwijano je w grubszą bieliznę i zamykano w nieozdobnych skrzyniach; ubogich zaś i niewolników chowano w trzciniowych koszykach, wystanych palmowemi liśćmi.

Spacerując z panem Feydeau po tebańskich katakumbach, czytelnik doznaje dziwnego wrażenia: wydaje mu się, że go oprowadzają po jakiejś tajemniczój bibliotece. Wszystkie te długie szeregi mumij oparte o ściany, owinięte w zapisane hieroglifami papierusy i osadzone w tubki, nie sąż pobobne do książek? Jedne wspaniale oprawne, opowiadają sławę monarszą, lub tajemnice kapłaństwa; inne w skromnej okładce, zawierają historią zwykłego życia; inne nakoniec, obwinięte w szary pokrowiec, wyrzucają możnym nędzę niewoli, która się aż za grobem przeciąga.

Gdyby kto mógł przebić wzrokiem egipską ziemię, zadrżałby na widok tego umarłego świata, co się pod żyjący podkopał. Każde miasto żywe stało na grzbiecie miasta umarłego; każdy dom był wchodem do grobowego lochu, pod stopami każdego człowieka, jak korzenie drzewa, ciągnęły się w ziemi długie szeregi mumij: cały Egipt jest wiekiem jednego grobu. Stąpając po nim, słyszysz dzwoniącą pod nogami próżnią,

Dziwna zaiste wiara, i dziwna była praca tego narodu, który całą swoją żywotność skierował do grobów, a zajęty wyłącznie zmarłemi, kręcąc się jak mrowisko, to po stromych grzbietach piramid, to po lochach zastawionych trumnami, w końcu sam odrętwiał, usnął i zastygł, zostawiając po sobie ogromne dzieła dowodzące tytanicznój siły, i żal że jój tak nędznie użył. Olbrzymie

egipskie mauzolea, owe góry, które sypano nad głową jednéj mumii, rażą dysproporcją, zdumiewają nie poruszając. Grobowiec człowieka nie powinien zadaleko odbiegać od jego kształtów: wielkość duszy jest nieograniczona, ale ciało ma pewne granice, których nie przechodzi. Świat cały niedość obszerny, żeby pomieścić pamięć wielkich czynów bohatera, ale jedna góra na pomnik dla jego ciała zawielka.

Mimo to wszystko, nawet nieprzyjaciel mumii i piramid, przyznać musi, że książka pana Feydeau poświęcona śmierci, pełna jest życia. Zupełnie wolna od pedanteryi i nieprzystępnej dla ogółu erudycyi, napisana obrazowo z wielką elegancją stylu, czyta się bardzo przyjemnie: szczególnież téż rozdziały, w których autor odbudowuje Teby egipskie, zasługują na uwagę. Czytelnik czuje, że piszący nie w książkach, ale w samych wnętrznościach swego ponurego przedmiotu wyszukał tysiączne szczegóły, któremi ten piękny ustęp przepęt-niony, że ani Herodot, ani Diodor, ale echo grobowców było jego wyrocznią.

Czterdzieści rycin narysowanych umiejętnie przez pana d'Avennes, dopełniają opisy Egiptu. Do następujących tomów, w których autor opisze pogrzeby indyjskie, assyryjskie, greckie i judejskie, przygotowuje ryciny brat jego, Alfred Feydeau, który mu towarzyszył w dalekich podróżach, i na miejscu rysunki ciekawszych przedmiotów zdejmował.

Na listopadowém posiedzeniu Akademii nauk, jeden z członków odczytał ciekawe sprawozdanie o wyprawie pana Escayrac de Lauture, którą tenże przedsięwziął zeszłej jesieni celem dojścia do źródeł Nilu Białego. Szanowny członek podał zarazem królki spis usiłowań, jakie dotąd poczyniono bezowocnie dla rozwiązania téj ważnej geograficznej zagadki.

Wyprawa, na której czele stoi uczony hrabia Escayrac de Lauture, składa się z dwunastu ludzi specjalnych: inżynierów, geografów, hydraulików, astronomów, doktorów i fotografów; w gronie tém jest dwóch Polaków: Bolestawski i Kiński, obaj członkowie Cesarskiego Instytutu Geografii Wojskowej.

Hrabia Escayrac zwiedził już dawniej przystępną część południowego Egiptu, i wydał kilka książek o tych prawie nieznanach strefach. Dzieła te uderzyły teraźniejszego vice-króla Egiptu Mohameda Saïda, i sam, jako znany protektor oświaty i nauk, zaproponował panu Escayrac dalsze poszukiwania, obiecując mu wszelką pomoc w tém trudném a ważném przedsięwzięciu.

Podawszy swój plan pod zatwierdzenie vice-króla i uzyskawszy takowe, Escayrac powrócił do Europy celem wyszukania towarzyszy, bez których zamierzonej wyprawy dokonać nie mógł. Zebrawszy odważną garstkę uczonych gotowych na trudy i śmierć nawet, dotąd bowiem mało kto z tych, co się w tę podróż wybrali powrócił, odpłynął napowrót do Kairu, z kąd 16 października wysłał naprzód dwa parowce rządowe i cztery mniejsze statki, które czekać go mają u pierwszej katarakty Nilu.

Wszystkie koszta wyprawy wziął na siebie Mohamed Saïd: nietylko szczerze zaopatrzył podróżnych we wszystkie do drogi potrzebne przedmioty; ale nadto dodał im dla bezpieczeństwa eskortę złożoną z trzystu żołnierzy.

Doświadczony przywódcą, ze swój strony, rozważnie przewiedziały możebne wypadki podróży i obmyślił środki zaradcze: kazał najprzód zrobić sobie w Tryeście trzydzieści sześć wozów mogących rozbierać się na kawałki; przygotował mosty na pontonach; zaopatrzył się w gutaperkowe łodzie, narzędzia ciesielskie, kowalskie i inne mogące się przydać w tak trudnej ekspedycyi. Zabrał także mnóstwo prezentów dla tak zwa-

nych Mecks'ów, dzikich mieszkańców koczujących nad brzegami Nilu w południowej Afryce. Z powyższemi środkami i dokładną znajomością usiłowań, jakie w tym przedmiocie poczynili jego poprzednicy, pan Escayrac jeżeli nie stanie u zamierzonego celu, to niezawodnie daleko posunie odkrycie.

Najważniejsza wyprawa do źródeł Nilu Białego odbyła się w ostatnich latach rządów Mehemet-Alego; przewodniczyli jej Arnaud inżynier francuzki będący dotąd w służbie rządu egipskiego, i Sabatier brat konsula francuzkiego w Egipcie. Wyprawa ta doszła do 4 stopnia szerokości północnej, to jest zrobiła przeszło pięćset mil polskich nad Nilem Białym, który zdaje się być właściwem korytem tej rzeki, gdyż jest daleko szerszy, głębszy i dłuższy od łożyska Nilu Niebieskiego, którego źródła odkrył Anglik Bruce.

Szanowny członek Akademii nauk nadmienił w swém sprawozdaniu o dotąd niedrukowanym dzienniku podróży pp. Arnaud i Sabatier. Dziennik ten ma zawierać bardzo ciekawe obserwacye nad biegiem rzeki, stanem powietrza, płodami ziemniemi tamtej strefy, jak również zamieszkującemi ją ludźmi. Starannie wypracowana szczegółowa mapa zdjęta na miejscu, dodaje wagi tej książce, która niezadługo ma wyjść na widok publiczny.

Po tej wyprawie przedsiębrano jeszcze kilka mniej ważnych: z tych najdalej posunęta się wycieczka misjonarzy austriackich osiedlonych w Khartum. Don Angelo Vinco i Don Knobiecher przewodniczący tej ekspedycji dołączyli podobno do 2 stopnia północnego. Wedle ich sprawozdania, w tém miejscu rzeka znacznie się zwęża, prądy zaś i skały podwodne czynią żeglugę prawie niepodobną: ztąd wniosek, że źródła muszą już być bliskie, czemu jednak zaprzeczają krajowcy.

Obecnie puszczająca się do źródeł Białego Nilu ekspedycja hrabiego Escayrac de Lauture, jest więc trze-

cia z rzędu: spodziewać się należy, iż wsparta doświadczeniem dwóch poprzednich, oraz pomocą vice-króla, szczęśliwie stanie u kresu.

Skończywszy relacją naukową, której treść przytoczyliśmy powyżej, członek akademii opowiedział jeszcze pokrótce obecny stan stosunków handlowych w głębi Egiptu. Żegluga na Nilu jest teraz zupełnie wolna: od dwunastu lat kupcy europejscy zamieniają tam swoje towary na kość słoniową, która stanowi główne bogactwo krajowców. Ponieważ jednak oszukaństwa, a nawet gwałty, których się dopuszczali Europejczycy na łatwowiernych Mecksach nadto się zagęściły i przychodziło nieraz do krwi rolewu; rząd egipski zaprowadził wzdłuż rzeki posterunki wojskowe, których przywódcy obowiązani są czuwać nad porządkiem, przestrzegać sprawiedliwości, a mianowicie protegować krajowców.

Hrabia Escayrac wraz z gronem uczonych towarzyszy wyruszył z Kairu w końcu października: jeżeli się podróż powiedzie, spodziewany jest z powrotem za dwa lata.

Żadne poważniejsze dzieło nie pojawiło się w tym miesiącu, zajętym wyłącznie przysposabianiem błyskotnych fraszek. Po księgarniach nic nie widać prócz książek treści zabawnej, przygotowanych na noworoczne podarunki, to jest świeżo przedrukowanych i oprawionych bogato.

W rzędzie tych ostatnich pierwsze zajmują miejsce *les Métamorphoses du jour Grandvilla*. Są to karykatury w rodzaju *Reineke Fuchs'a* Kaulbacha: jak tam, tak i tu charaktery, fizyonomie i namiętności ludzkie przedstawione pod niewinną postacią zwierząt, otwierają szerokie pole do żartów i domysłów. Kto jednak zna sławną ilustracyą *Lisa Goëthego*, ten szkice *Grandvilla* przerzucać będzie, myśląc o tamtych, które nie mają sobie równych na świecie.

— Ksiądz Sergent wydał Keepsak religijny *les Enfants de la Bible*: jestto dalszy ciąg *Kobiet Biblijnych*, które wyszły poprzednio. Książka ta nader ozdobna, mieści wyjątki z Pisma Świętego, oraz rozmaite wiersze poetów francuzkich, napisane w duchu biblijnym. Powyższy text gęsto przeplatają wspaniałe ilustracye Staal'a.

— *Les Reines de France* i *Les Reines d'Espagne* z krótkim textem historycznym, należą do piękniejszych książek noworocznych: pierwsza galerya przedstawia wszystkie monarchinie francuzkie od Klotyldy aż do Maryi Antoniny; Marya Leszczyńska jest także w tym zbiorze. W drugiej galeryi widzimy wszystkie królowe hiszpańskie, od Placydyi aż do panującej Izabelli. Autorka dwóch tych zbiorów, panna Celliez, w rząd ukoronowanych Hiszpanek zamieściła także Chimenę, mniemając słusznie, że małżonka Cyda choć bez korony w ich poczet policzona być może.

Les femmes illustres de la France rysowane przez Jules Davida, a opisane przez hrabinę Drohojewską, stanowią jakby trzeci tom powyższych dwóch galeryj; możnaby go nawet nazwać pierwszym, chociaż wyszedł później, gdyż skronie jego bohaterek zdobi najwyższa na ziemi korona: aureola geniuszu.



POWRÓT ZE SWADZBY.

Wszystko pięknie, panie swacie!
Matka sama w dom zaprasza:
Stół nakryty czeka w chacie,
Radzi temu co gadacie,
Dali żytko—będzie nasza.
Przy malince, przy dziewczusze
Serce gada mimowoli;
Bóg nam stulą związał dusze!
Co téj doli, doli, doli!
Oh, czy tylko pan pozwoli?

Córka w matkę, gospodyni!
Taki u nich ród kochany:
Czy w kościele, czyto w hini (1)
Bogu, ludziom nie zawini.
Lecz po pańsku radzą pany!
Ja swe biedne serce suszę:
On nie pyta, co mię boli...
Bóg nam stulą związał duszę!
Co téj doli, doli, doli!
Oh, czy tylko pan pozwoli?

Jéj oczęta, świętek cały:
Takie zwawe, tak miłosne,
Jak słoneczko w dzień Kupały (2).
Zadumany, oszalały.
Zda się w młodsze latka rosne,
Jak za ptaszka zda się rusze
W kraj swobody, świat sokoli...
Bóg nam stulą związał duszę!
Co téj doli, doli, doli,
Oh, czy tylko pan pozwoli?

(1) Od ħinué (ginać) malownicza nazwa karczmy.

(2) Lud nasz utrzymuje powszechnie, że w dniu Kupały czyli sobótek (24 czerwca) słońce wznosząc się nad widnokres oscyluje widomie: swawoli, psoci.

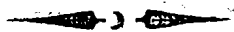
Gdybym umiał czarno-biało,
 Jabym pisał aż do króla:
 Jasny panie, jasna chwało,
 Daj nam dłonią twą wspaniałą
 To, co dała już matula;
 Pobłogosław ku otusze,
 Nie pogardzaj chleba, soli (1):
 Bóg nam stulą związał duszę!
 Co téj doli, doli, doli!
 Oh, czy tylko pan pozwoli?

Jak bywało w lepszej porze,
 Gdyby chodził Bóg po ziemi:
 Ręce, stopki Twe, o Boże,
 Wycalowałbym w pokorze,
 Łzami oblał gorącemi.
 Nie odepchnąłbyś, jak tuszę,
 Dałbyś użyć wolnej woli:
 Tyś nam stulą związał duszę!
 Co téj doli, doli, doli!
 Oh, czy tylko pan pozwoli?

Jakto?... prawdaż? wy mówicie,
 Że się pobrać nie zabroni?
 Że schowany w chłopskim bycie
 Zna ich myśli, zna ich życie,
 Dla nich serce ma na dłoni?....
 Co ja biedny cierpieć muszę!
 Swacie, jedziesz tak powoli...
 Bóg nam stulą związał duszę!
 Co téj doli, doli, doli!
 Oh, czy tylko pan pozwoli?

Władysław Korotyński.

(1) Gospodarz albo kto inny przez niego wyznaczony idąc do krewnych i przyjaciół z zaproszeniem na chrzciny lub wesele, niesie do nich kawał chleba i nieco soli.—Piękny obyczaj!



JEZUICI W KALISZU

(1581—1773)

SZKIC HISTORYCZNY.

SKRĘŚLIE

Cezar Biernacki.

Kiedy w pierwszej połowie XVI wieku krzewić się poczęła w Europie reforma dogmatów wiary katolickiej i obrzędów, spowodowana nauką Lutra, Kalwina i innych nowatorów: wówczas hierarchia rzymska skłoniła się w łonie prawowiernego kościoła szukać sił, na poskromienie tych zgubnych dążeń. Wtedyto Ignacy Lojola, Hiszpan, skojarzył regułę monastyczną przez papieża Pawła III pod nazwą Towarzystwa Jezusowego (*Societas Jesu*) roku 1540 zatwierdzoną. Zgromadzenie to, w początku zaraz swego powstania w olbrzymie siły wzrastać i z niezmierną szybkością rozszerzać się poczęło; a mieściło w sobie ludzi wysoce naukowo usposobionych, połączonych duchem ustawy, która nie przywiązując członków do żadnego kraju, przejęła ich szczególniejszym zamiłowaniem swojej instytucji i najściślejszym posłuszeństwem rozkazom wyłącznie tylko jednego. Papieże wspierając nowy zakon, najobszerniejsze poczynili mu nadania, a monarchowie, biskupi i różni panowie świeccy ubiegali się o sprowadzenie onego do swych krajów i hojniejsze uposażenie. Najpierw, bo w r. już 1540 Jezuici przyjęci zostali do Portugalii za Jana III; następnie do Hiszpanii i do Włoch: we Francji osiedli około roku 1561, w Anglii za Jakóba II Stuarta, później w Szwecji, arcyksięstwie Austryackim, Bawaryi i Belgii.

Z widoków i koniecznego następstwa, wyglądali z upragnieniem Jezuici pory, kiedy i w Polsce siejba ewangeliczna,

zacznie plony doczesne do winnicy ich gromadzić. Pobożnym tym pragnieniom, same okoliczności sprzyjać się zdawały: jawnie bowiem w sąsiednich krajach opowiadana reformacja, już około r. 1544 i u nas zwolenników swoich znajdować zaczęła; a gdy tam w zapasach dyalektycznych o literę Pisma św. niesprawiedliwości i fanatyzmu padały ofiary, u nas ogół przeciwny prześladowaniu i zaburzeniom z okazji wiary, wiedziony wrodzonym uczuciem swobód i obywatelskiej miłości, usilnie pragnął utrzymać tolerancją zdań religijnych. Zygmunt I był gorliwym katolikiem, wszelako niczych wyobrażeń nie ścieśniał; lecz za panowania syna jego Zygmunta Augusta, który więcej pobiłzał reformie i podobno jój nawet sprzyjał, nowe pojęcia szerzyły się już jawnie, a odstępstwo od wiary przodków było częstsze. Lecz przyczyną tego, jak się później okazało, było także nietrafne postępowanie księży w nierozważnym częstokroć wymierzaniu kar, i nadużywaniu klątwy. Oni również wywołali spory o exekwowanie przez władze cywilne wyroków duchownych, o uiszczanie dziesięcin i wszelkich powinności dyecezalnych, w czém szlachta okazywała szczególniejszą opieszałość. Kwestye te podejmowały się rozstrzygać sejmy i synody, ale zawsze bezskutecznie; bo pomimo wszelkich starań i zabiegów ludzi umiarkowanych, brak wzajemnej ufności stronnictw nie doprowadzał do pożądanej zgody: wdanie się nawet Stolicy Apostolskiej w pojednanie onych r. 1555 za pośrednictwem obłudnego kardynała Lipomanięgo nie przyniosło pomyślniejszej odmiany. Zniechęcone wreszcie duchowieństwo polskie chcąc tak szkodliwe pod każdym względem zakończyć zatargi, postanowiło przywieść do skutku myśl swoją: sprowadzenie do kraju Jezuitów.

Stanisław Hozyusz kardynał biskup warmiński, bystry i oględny, nadto wielki wpływ i znaczenie posiadający, był pierwszym, który ich w r. 1565 w Brunsbergu w starych Prusiech w wygodnym kollegium osadził i dostatecznie uposażył.

Do owéjto epoki budzącego się na korzyść Zgromadzenia Jezusowego interesu, odnosi się także założenie nowego kollegium w mieście starożytnym Kaliszu.

Szlachta bowiem wielkopolska uległa w znacznej części wpływowi nowych wyobrażeń, a znakomitsze familie np. Leszczyńskich, Krotowskich, Opalińskich, Marszewskich, Lipskich i inne, zawsze upornie stawały, gdzie szło o sprawę wolności sumienia i upowszechnienie nowego wyznania. Wszędzie też

za ich wpływem wznosiły się liczne zbory dyssydentów, i wśród ogólniejszego ich powodzenia jednocześnie powstały szkoły: w Gołuchowie, Pleszewie i w Kozminku o mil 2 od Kalisza. Zbory podobne związane nie tylko w samym Kaliszu, ale i w jego okolicach, oraz inne okoliczności, tamowały parafialnemu duchowieństwu możliwość swobodnego sprawowania obowiązków kościelnych. Świadczą o tém wiarogodne spółczesne pisma, a mianowicie: kardynał Jan Franciszek Commendoni sprawujący w Polsce za Zygmunta Augusta przez lat 2 urząd legata stolicy apostolskiej, świadomy wszelkich widoków i osobistych dążeń znaczniejszych panów rady, i w sprawy polityczne kraju wtajemniczony który w jednym z wielu listów swoich dyplomatycznych, o ówczesnych wypadkach, jako naoczny świadek kardynałowi Karolowi Boromeuszowi zdając poufną relacją, pod dniem 4 listopada 1565 roku między innymi i o m. Kaliszu w następujących mówi wyrazach (1).

„Po wyjeździe moim z Ciężenia (2) przybyłem wczoraj (3 listopada) do Kalisza, gdzie zatrzymałem się dziś, jako w dniu niedzielnym, oraz dla wyrozumienia, w jakim stanie znajduje się sprawa wiary. To miasto jedno z większych i stolica województwa, otoczone przez właścicieli ziemskich, dla sąsiedztwa z Niemcami, zarazonych po większej części nowościami, nie małych doświadcza od nich przykrości. Niemniej atoli nabożeństwo odbywa się przykładnie po wszystkich kościołach; lud zachował się dość czystym od różnowierstwa“. Taki stan rzeczy zapowiadający nadal niejakie trudności, spowodował przybycie Jezuitów do owego miasta.

W tém miejscu należy nadmienić jakich użyliśmy źródeł przy kreśleniu niniejszego obrazu. Wiadomo, że każde kollegium jezuickie utrzymywało dwie księgi miejscowe: jedną pod tytułem „*liber domus*“, to jest kronika, w której zwykle notowano wszystkie ważniejsze zdarzenia, nawet poza obrębem murów zakonnych zaszłe, mające pewne znaczenie i ogół niekiedy interesujące; drugą „*liber resignationum*“, to jest księga osób zdających i obejmujących urzędy lub godności w zgromadzeniu.

(1) Pamiętniki o dawniej Polsce z czasów Zygmunta Augusta obejmujące listy Jana Franciszka Commendoni do Karola Boromeusza, wyd. Mik. Malinowskiego. Wilno 1851. T. II, 314.

(2) Ciężenia, wieś położona w powiecie konińskim, parafialna, dawniej rządowa, dziś w posiadaniu prywatnym Wawawa hr. Gutakowskiego.

Dziś podobne autentyki, prawie nigdzie lub bardzo rzadko gdzie znaleźć się jeszcze mogą w całości dochowane, gdyż Jezuici po zniesieniu starali się ślady pozostałe swojego istnienia niszczyć lub zacierać: dlatego też wszelkie wiadomości należące do dziejów kaliskiego kollegium, z powodu braku tych podstaw nie dały się zebrać w świetle dość jasnym, mimo najusilniejszego onych poszukiwania. Wypadało zatem szukać pomocy w różnych broszurach spółczesnych i starych notatach tu i owdzie dopatrzonych, które poniżej tekstu niejednokrotnie będą cytowane.

Z wdzięcznością przychodzi mi wyznać, iż do uzupełnienia niniejszej pracy wiele się także, jużto radą, już udzieleniem odpowiednich materyałów przyczynić raczyli: pp. Alexander hr. Przedziecki, ś. p. Adryan Krzyżanowski, Józef Muczkowski professor i bibliotekarz uniwersytetu Jagiellońskiego, Fr. Max. Sobieszczański, Julian Bartoszewicz, Józef Szaniawski archiw. archiwum akt daw. kalis. i Józef Pluciński U. K. R. P. i S. Tym sposobem zdołałem utworzyć oddzielną o Jezuitach kaliskich monografią, mającą kiedyś wejść w skład historycznego opisu tego miasta.

Kreśląc dzieje Jezuitów kaliskich przedstawiliśmy obraz ich przeszłości w 4 ustępach, niejednakiego wprawdzie rozmiaru i ważności; ale układ taki z samego rzeczy następstwa był koniecznym dla systematyczniejszego rozwinięcia przedmiotu. Pierwszy więc dział obejmuje wiadomości dotyczące się erekcyi i ustalenia bytu kollegium; w drugim jest mowa o samym kościele; w trzecim o szkołach; czwarty nakoniec zawiera szczegóły o zamożności i ogólném uposażeniu téj rezydencyi, z przydaną wiadomością o zwierzchnikach kollegium.

I.

Sprowadzenie Jezuitów do Kalisza. — Karnkowski zakłada im kollegium i buduje kościół. — Otwarcie szkół. — Król Zygmunt III odwiedza nową fundacyą. — Poświęcenie kościoła. — Karnkowski rad często przebywa u Jezuitów. — Zgon jego. — Trzęsienie zdarzeń potocznych.

Obawa podkopania wiary: obrządków kościoła katolickiego, spowodowana szerzącą się w Wielkopolsce religijną reformą, wyrodziła potrzebę spiesżnej obrony i skutecznych środków zaradczych przeciw téj demonstracyi wzmagającój się z dniem

każdym. Jezuici znając tok i następstwa tego rodzaju wypadków, a umiając dobro religii z celami swego zakonu w czas godzić, około 1581 roku przybyli do Kalisza; którzy zaś byli pierwsi z nazwiska i w jakiej liczbie co tu osiedli? o tém historia nic nie wspomina. Miejsce to uznali stosowniejszém i dogodniejszém nad inne téj prowincyi, gdyż wiadomo, iż nie zwykli byli zakładać swych kollegiów i rezydencyj w stronach odludnych, ubogich; lecz woleli osiadać po miastach mających już niejakię w kraju znaczenie. Takim téż wówczas był i Kalisz, albowiem dając schronienie wielu cudzoziemcom, w skutek zaś napływu ludności i swobód wyłącznych, które królowie polscy dla podniesienia przemysłu miastu temu nadali, a ztąd przeciągnięcia niemal całego handlu z okolic sąsiednich, stał się ludnym i zamożnym: nie dziw więc, że zwrócił na siebie uwagę starszych zakonu. Lecz ci po przybyciu swoim do Kalisza nie zaraz mogli rozwinąć właściwą sobie działalność: potrzeba było wpięrw obznajmić się z miejscowością, z nowém położeniem oswoić, usposobienie i wzajemne stosunki mieszkańców zrozumieć, ułagodzić nieprzyjazne umysły, a nadewszystko przychylnę stronictwo sobie pozyskać. Do téj misyi przełożeni zwykle wybierali ludzi naukowo uzdolnionych, obrotnych i czynnych, z życiem publiczném otrząskanych, silnej wymowy, mogących zatém skutecznie opowiadać naukę kościoła i gromić jego nieprzyjaciół.

Gdy wpływ sprzyjających okoliczności zdołał usunąć głównejsze przeszkody, łatwiej już było, jak utrzymywali Jezuici o fundatora i dobrodziejów; lecz w Kaliszu ta zasada nie znalazła rychłego zastosowania: tu bowiem nieco później, gdy na miejsce zmarłego w roku 1581 prymasa i arcybiskupa gnieźnieńskiego Jakóba Uchańskiego, król Stefan Batory, Karnkowskiego biskupa kujawskiego przeznaczył, nadzieja pewniejsza i w Jezuitów wstąpiła. Nowy prymas nie odrazu jednak powziął myśl czynienia fundacyi dla Jezuitów w Kaliszu, chociaż byłto człowiek wysokiego ukształcenia i zdolności, cały poświęcony pomnażaniu chwały Bożej i do wspierania ubóstwa i szlache-tnych zamiarów zawsze gotowy: wszelako dawniej już dokonane przez niego podobne fundacye, mogły jeszcze robić nadzieję przywiedzenia do skutku nowych. Zwyczajem owego czasu lubił on, jak inni i szanował Jezuitów, rad się nimi otaczał, uważając ich szczególniej za skutecznych działaczy do wytępienia różnowierców. Mogli więc śmiało synowie Lojoli między różne-

mi potrzebami i Kalisz jego pamięci zalecić. Karnkowskiemu nie trzeba było słów wielu, bo sam odgadując prawie ich życzenia pragnął ulubieńcom swoim przysłużyć się dziełem wspaniałym, oczekując na to stosownej tylko pory. Jakoż w pięć miesięcy po wyniesieniu go na godność naczelną kościoła polskiego, zamiar ten dojrzał i w czyn się z wolna zamieniać począł. Naprzód domniemany fundator gromadził pieniądze, układał i rozwijał plany względem wyboru miejsca dla przyszłych budowli i obmyślenia funduszu na zaspakajanie bieżących potrzeb: Jezuiti ze swęj strony wspierali go w tém roztropną radą.

Roku 1582 (1) przystępując prymas do rzeczy, obszerny plac w mieście zakupił; gdy jednocześnie Jan Marya Bernardoni Medyolańczyk (2) naówczas w zgromadzeniu jezuickim z biegłości architekta słynący braciшек, plan zaprojektowanych gmachów ukończył, i do wykonania onego zezwolenie Karnkowskiego uzyskał. Budowę rozpoczęto zaraz na wielką skalę. Budowniczy ów, wysokie w swoim zawodzie posiadając ukształcenie, wiedział, że ma pomieścić ludzi z pobożności i powołania zakonników, lecz nauką, dostatkami i znaczeniem połączonych ze światem: miał więc razem wystawić klasztor i okazałe, wytwornością wewnętrzną nacechowane budowle. Żywięj przede wszystkim zajęto się stawianiem collegium i zabudowań gospodarczych, bo sama potrzeba gwałtownie tego wymagała. Nabożenstwo zaś do czasu wystawienia kościoła, Jezuiti odprawiali w miejscowęj collegiacie.

W budowie collegium jak nadmienia Niesiecki (3) w roku 1588 miał także przyjąć udział Paweł Potworowski h. Dębno.

Kiedy w r. 1584 roboty budowlane o tyle już posunięto, że księża do nowych murów wprowadzić się mogli, zaraz z upoważnienia generała zakonu na pierwszego rektora collegium (jak pisze jezuita Jan Wielewicki fol. 48) przeznaczony został znakomity w towarzystwie Jezusowém Kasper Sawicki rodem

(1) *Annuae Litterae Soc. Jesu. Romae* 1589 p. 178.

(2) Jan Marya Bernardoni rodem z Como urodził się roku 1542. Jezuita, prosty laik, obok innych przymiotów odznaczał się szczególnięj jako jeden ze zdolniejszych budowniczych kościelnych swojego czasu. Podług jego planów stanęły najcelniejsze gmachy jezuickie w całej Polsce. Umarł w Krakowie r. 1605 mając wieku lat 63. *Wiadom. hist. o sztuk. pięk. w polsce* p. Fr. M. Sobieszczańskiego II, 210.

(3) *Kor. pols. wyd. lwowskie* III, 712.

z Wilna (1). Przybyło téż wkrótce z Poznania kilku nauczycieli, otworzono klasy grammatyki i syntaxis, które poprzednio w szkole parafialnej u ś. Mikołaja pomieszczone były. W następnym roku, t. j. 1585 Karnkowski dla uposażenia swojej fundacyi wyznaczył Zgromadzeniu trzy wsie: Kokanin, Żychów i Lisków (2), a w lat sześć później nadał wieś Sławno w województwie gnieźnieńskim położoną (3). Lecz że wieś ta dla zbytnej odległości niedogodną była Zgromadzeniu, a bliżej Kalisza była wieś Bochlewo należąca do kollegium Jezuitów w Poznaniu, dla obustronnej więc dogodności prymas Karnkowski dopełnił między obu Zgromadzeniami zamianę, przeznaczając wieś Bochlewo Jezuitom kaliskim, a Sławno poznańskim.

Posuwane z pośpiechem roboty około budowy gmachów klasztornych, nie pozwoliły jako pilniejsze przystąpić jednocześnie do wzniesienia kościoła. To téż budowa jego dopiero po wykończeniu pierwszych zaczęła nabierać życia: jakoż w r. 1587 sam arcybiskup kamień węgielny założył i przytomnemu na tym obrzędzie ludowi Towarzystwo Jezusowe przychylnie zalecił (4). Gdy już w niczem żadna nie zachodziła przeszkoda, prymas celem przyspieszenia robót sam krzątać się począł: zaglądał wszędzie, w każdy zakątek, opieszalnych rzemieślników strofował, nie szczędząc dla pracowitych łaskawej zachęty. Przy takich usiłowaniach z pośpiechem iść musiała budowa, a od czasu do czasu przybierała coraz okazalsze rozmiary i formy, zbliżając się do końca; aż nareszcie po 8 latach wspaniała budowla Jezuitów ukończony został w r. 1595 według pierwotnych planów i wymiarów (5).

Prymas będąc zawsze o uświetnienie dzieła swego troskliwy, obok zewnętrznych upiększeń świątyni miał wzgląd na potrzeby i ozdoby jej wewnętrzne, a że w wydatkach był nie skąpy, zaopatrzył ją obficie w aparata, naczynia i sprzęty, wszystko pięknej roboty i drogocennej wartości.

(1) Według rękopismu będącego własnością p. J. Muczkowskiego.

(2) Akta metryki koronnej ks. 133, i. 150.

(3) *Annuae Litt. S. J.* p. 178.

(4) *Annuae Litt. S. J. Romae* 1589, f. 178.

(5) Porównywając z r. 1589 wyrytym na tablicy, ponad drzwiami kościoła wmurowanej, okazuje się pozorna niezgodność: powstała ona z wcześniejszego ukończenia robót zewnętrznych świątyni (obacz ustęp o kościele).

Sama nawet Opatrzność wynagradzając gorliwego o sprawę religii starca pozwoliła mu doczekać téj pociechy, iż dzieło swoje ujrzał w zupełném rozwinięciu. Zygmunt III lubił pry-masa i miał dla niego niezwykle szacunek. Tym razem wiedząc o kłopotliwych staraniach jego ku rozkrzewieniu chwały Bożej, pragnął mu zrobić małą niespodziankę; umyślnie tegoż roku z licznym orszakiem dworzan i znaczniejszych panów koronnych przybył do Kalisza, zwiedzić wystawione przez Karnkowskiego kościoł i gmachy klasztorne wtedy właśnie, kiedy fundator był tam obecny (1). Król osobiście wszelkie szczegóły oglądał. piękną myśl założyciela chwalił i z oznaką wielkiej łaskawości przyjmował oracyą witającego zgromadzenia Jezuitów. W samej rzeczy odwiedziny te musiały być arcybiskupowi nader mi-łemi. Przy téj sposobności młodzież szkolna popisywała się także z naukami przed królem.

Na obrzęd poświęcenia kościoła i objęcia cel klasztornych wyznaczony został dzień 8 września 1596 roku, to jest uroczystość Narodzenia N. M. P. (2), który dopełnił z wielką świętością i asystencyą kleru przy odprawieniu zwykłych ceremonij ks. Gniazdowski suffragan gnieźnieński w przytomności wielu biskupów, opatów, dziekanów, dygnitarzy świeckich, oraz licznie zgromadzonych mieszkańców miasta i okolic (3). Sam prymas stosowne do okoliczności powiedział kazanie z tekstu psalmu 80 Dawida: „o dwojakim kościele chrześcijańskim: powszechnym i materyalnym“, które wydrukować kazał i przypisał Zygmuntowi III, gdzie w przedmowie między innemi wyraził: „Tylko o to proszę, aby W. K. M. miłościwe oko mieć raczył naprzód na to tam zgromadzenie patrum Soc. Jesu, którzy są wielką podporą kościoła Bożego, którzy *primam et praecipuam curam gerunt juventutis in pietate et timore Dei, optimisque Dei, optimisque disciplinis formanda et instituenda*. Potém téż, aby miasto od rozruchów i tumultów wolne było: a nadania i fundusze od najazdów, gwałtów, aby bronić W. K. M. rozkazać raczył. Bo *musae et artes* bez pokoju i obrony stać i trwać nie mogą: jako wdowy i sieroty bez opiekuna, których obrona zlecona jest od Pana Boga najwyższej zwierzchności.”

(1) *Annuae litt. S. J. Neapoli*. 1604, 335.

(2) *Vitae Praesul. Pol. Aug. Duc. Lit. Fr. Rzepnicki I*, 139 i *Obraz bibl. Jochera II*, 309.

(3) *Annuae Litt. S. J. Neapoli*. 1605.

Wystawiony przy kollegium kościół poświęcono pod wezwaniem śś. męczenników Wojciecha i Stanisława, pierwszych błogosławionych patronów Polski. Przywilój erekcyjny oblatowany w księgach archiwum metryki koronnej, instalacją Jezuitów w Kaliszu w formie urzędowej publicznie objawił (1).

Kiedy tak świetnie otwierano nowe kollegium, generałem zakonu był naówczas sławny Klaudyusz Aquaviva, prowincyałem zaś polskim Bernard Confaloneri rodem Włoch, a zgromadzenie kollegium kaliskiego już się składało wówczas z 24 osób.

Wszelako od owój epoki znaczenie polityczne Karnkowskiego słabnąć poczęło, zwłaszcza od czasu, kiedy z ubliżeniem władzy panującego zwołał samowładnie zjazd do m. Koła i przez to ściągnął na siebie zarzuty i nieukontentowanie. Takto wiele pięknych jego przymiotów dumą, uporem i porywcznością przyćmionych zostało. To też coraz widoczniej prymas na siłach upadać zaczął. Złamany wiekiem, skołatany zgryzotą, resztę życia pragnął przepędzić w spokojnym zaciszu. Tę potrzebę oddawna czując, o niej ciągle marząc, wystawił dla siebie przy kollegium skromny domek (do ostatnich czasów istnienia Jezuitów pałacikiem Karnkowskiego zwany) i w nim osiadł. Wszystko tu mógł mieć czego tylko żądał, a przedewszystkiém spokojność i wygodę. Skoro bywało przybędzie do Kalisza, pomimo że w tém mieście zawsze stał otwarty na jego przyjęcie wspaniały dworzec arcybiskupi, jeszcze przez Jarosława Bogoryą Skotnickiego wzniesiony, chętniej jednak do swoich Jezuitów ciągnął i wpośród nich zamieszkiwał, aby się tylko blizkiem obcowaniem z nimi mógł cieszyć. Prymas był bardzo nabożny, więc żywot świątobliwie prowadził. Codziennie ofiarę ś. sam sprawował i ludowi ewangelią tłumaczył, sakrament chrztu nowo nawróconym udzielał, ochrzczonych bierzmował: słowem wszelkie posługi kapłańskie i miłosierne uczynki gorliwie i przykładowie wypełniał; pomimo tego jednak żył okazale, stół u niego jako u senatora zawsze z wykwinem zastawiony, podczas którego czytano zwykle książki duchownej treści, albo się teologicznymi lub politycznymi przedmiotami zajmowano. W chwilach wolniejszych prymas bawił się także piórem. Do ostatniej chwili życia acz widocznie upadał na zdrowiu, wywiadywał się o potrzebach kollegium i w miarę ważności takowym zaradzał. Jako

(1) Kopia zamieszczona w przypisie N. 1.

dowód prawdziwej troskliwości o wygodę i wpływ pożądany na zdrowie szkolnej młodzieży i mieszkańców kollegium, roczniki jezuickie wspominają: że w r. 1601 Karnkowski kazał zbudować wodociąg, który dostarczał wody czystej i świeżej z dwóch górnych poza miastem znajdujących się źródeł (1).

W Gnieźnie r. 1603 prymas Karnkowski namaszczał jeszcze na biskupa przemyskiego Mateusza Pstrokońskiego; lecz na zwołany wkrótce do Krakowa sejm dla słabości przybyć już nie mógł: jakoż w Zielone Świątki podczas odprawującego się w Kaliszu jubileuszu, wśród licznego zgromadzenia ludu, kiedy we wszystkich kościołach duchowieństwo, a zwłaszcza Jezuici zajęci byli u siebie sprawowaniem posług religijnych, nagle rozeszła się wieść o niebezpiecznym stanie zdrowia arcybiskupa. Natychmiast udał się do niego rektor (którym był naówczas Michał Ortisi) z jednym socyuszem, a zastawszy go blizkim zgonu, już go nie odstępował dniem i nocą, czuwając przez trzy doby przy chorym. Wszakże mimo tych starań schorzały kapłan po przyjęciu śś. sakramentów na rękę Jezuitów pod wieczór oddał Bogu ducha. Stało się to w Łowiczu d. 8 czerwca 1603 roku u ks. Bernardynów (2) w pokojach, które sam urządził, a które do dziś dnia zowią się arcybiskupiami. Odtąd Jezuici kaliscy według przyjętego zwyczaju, w codziennych pacierzach swoich trzykrotną do N. P. Różańcowej za duszę fundatora poczęli odmawiać koronkę. Dawszy za życia tyle dowodów swjej przychylności Jezuitom kaliskim, nie chciał zgasty pasterz i po zgonie z nimi się rozłączać; dlatego zawczasu oznaczył w Kaliszu dla siebie miejsce wiecznego spoczynku.

Kapituła gnieźnieńska szanując zasługi prymasa założyciela i dobrodzieja Jezuitów tutejszych wystawiła mu z własnych funduszków w r. 1611 w kościele do tegoż zgromadzenia należącym ozdobny pomnik (3).

Wybudowawszy gmachy mieszkalne i kościół, zamierzał Karnkowski w jednej linii z temi szkoły jeszcze wystawić, lecz tego już sam nie mógł przywieść do skutku; umierając jednak wykonawcom ostatniej woli Bernardowi Maciejowskiemu krakowskiemu i Janowi Tarnowskiemu kujawskiemu, biskupom,

(1) *Annuae litt. S. J. Antverpiae* 1618.

(2) *Annuae litt. S. J. Duaci* 1618. Starowolski, *Mon. Sarm.*

(3) *Annuae litt. S. J. Dilingao*, bez roku.

zostawił na ten cel 5,000 złotych ówczesnych, oraz inne zapisy (1). Przedsięwziął dzieło to późniejszy arcybiskup Maciej Łubiński, na przełożenie brata swego Marcina ówczesnego rektora tegoż kolegium (2). Że zaś i jego przed ukończeniem wznoszącej się budowli szkolnej śmierć zaskoczyła, na dokonanie więc onęj przeznaczył testamentem 11,000 złotych.

Wspomnieć jeszcze wypada, iż archidiecezja gnieźnieńska przez niejaki czas posiadała w m. Kaliszu seminaryum duchowne przez prymasa Karnkowskiego, około r. 1591, przy kolegium jezuickim założone, którego naukowy kierunek objęło także Zgromadzenie Jezusowe. Seminaryum to uposażone było dwoma wsiami: Mazew i Romartów należącemi niegdyś do kustody łączyckiej. Na synodzie złożonym w Łowiczu d. 29 marca 1593 roku za poprzedniem zniesieniem się z kapitułą gnieźnieńską, Karnkowski nowęj instytucyi nadał odpowiednią ustawę. Seminaryum wszakże w tém mieście niedługim cieszyło się bytem. Czwarty albowiem po Karnkowskim następca, arcybiskup Wawrzyniec Gembicki (1616—1624), zapewne dla dogodności i okazalszēj prezentacyi kapituły, przeniósł je do Gniezna, gdzie w osobnym gmachu pomieszczone zostało. Dwudziestu czterech alumnów utrzymywano na funduszu Karnkowskiego; dwóch profesorów uczyło: teologii moralnej, prawa kanonicznego, muzyki, chorału i komputu kościelnego. Jednym z jego przełożonych w Kaliszu był ks. Gaspar Chudzyński kanonik gnieźnieński, doktor teologii zm. 1698 r. (3).

Nim przystąpimy do szczegółowego opisu kościoła i szkolnej instytucyi pod nadzorem Zgromadzenia zostających, sądzimy, iż nie będzie zbytęcznym przytoczyć niektóre wypadki odnoszące się do Jezuitów kaliskich, lubo te okażą się odrębnego względem siebie znaczenia.

Jeszcze za życia Karnkowskiego prymasa i staraniem tegoż odbyła się w tutejszē kolegium, dnia 10 maja 1584 roku

(1) Series archiepiscoporum gnesnensium p. Steph. Damalevicium. Vars. 1649 p. 328.

(2) Vita venerabilis servi Dei Mathiae Łubiński etc. p. Ant. Flor. Buydecki. Calissii. Typ. Coll. Soc. Jesu 1752, p. 146. Rzepnicki I, 168.

(3) Hist. szkół w Kor. i W. ks. Lit. J. Łukaszewicza IV, 282, 296. Przeciwnie zaś Damalewicz w dziele poprzednio cytowaném na str. 328 jako założyciela i nadawcę tegoż seminaryum w Kaliszu, przedstawił Macieja Drzewickiego arcyb. gnieźn., co miało nastąpić około r. 1603.

piérwsza kongregacya, złożona z 15 księży Tow. Jez. podejmowanych kosztem samego fundatora, na którémto zebraniu ks. Jakób Wujek z Wągrowca obrany był prokuratorem (1).

Gdy r. 1588. m. Kalisz zostało dotknięte morowém powietrzem, zatrwożeni Jezuiti zamknęli szkoły; a chociaż pozwolono im wynosić się z kollegium w bezpieczniejsze miejsca, znalazło się przecież wielu, co woleli nieść pomoc nieszczęśliwym, niż w ucieczce osobistego szukać ocalenia. Celem odwrócenia téj klęski naznaczone były powszechne modły t. j. suplikacye (2). Zaraza srożyła się do połowy lutego następnego roku z wielką gwałtownością; skutkiem tego Zgromadzenie Jezusowe znacznie zmalało, tak, iż podówczas liczono w kollegium tylko 2ch księży i 4ch socyuszów, w końcu dopiero kwietnia rozpoczęto nauki szkolne (3).

Wice-prowincyał ks. Paweł Boksa na dzień 12 sierpnia 1603 r. zwołał do Kalisza kongregacyą. Zebraniu temu złożonemu z 40 osób przewodniczył Decius Stiverius prowincyał z Rzymu przysłany, obowiązki zaś prokuratora pełnił ks. Fryderyk Bartsch (4).

Roku 1605, morowe powietrze zmusiło zgromadzenie wynieść się z miasta i dom wraz z uczniami opuścić. Część jedna szukała schronienia w Złoczewie, druga w Rychwale, gdzie ze szczodrobliwości pani Biechowskiéj, ofiarowano Jezuitom dom obszerny we wszystkie potrzeby i wygody życia przez cały czas ich pobytu zaopatrzony. Dla wyższych i niższych klass były wtedy odczytywane studia w zebraniu dość liczném (5). W dwa lata później podczas podobnej klęski, niejaki Jędrzej Złotkowski uchodzących znów z mięsa Jezuitów do siebie przyjął i hojnie podejmował (6).

Janczyński Tomasz Jezuita zmarły 1651 r. w tutejszém kollegium, zostawić miał wiele rękopismów (7).

(1) Kalendarz Jezuicki większy na rok przestęp. 1740 etc. ks. Jana Poszakowskiego Rekt. Koll. w Nieświeżu S. J.

(2) *Annuae Litt. S. J. Romae* 1590.

(3) *Annuae Litt. S. J. Romae* 1591.

(4) *Kal. Jez. większy Ks. J. Poszakowskiego.*

(5) *Annuae Litt. Duaci*, 1618.

(6) *Kor. Pols. Niesiecki IV*, 748.

(7) *Tamże I*, 28.

Za panowania Jana Kazimierza, podczas wojny szwedzkiej, kiedy r. 1656 Jezuici tutejsi przed napaścią nieprzyjaciela schronienia szukali; wtedy niejaki Konopnicki Wojciech h. Jastrzębiec ze szczerą gościnnością ich przyjął (1).

Pacanowski Piotr h. Jelita S. J. zarządzający nowicyatem krakowskim, kollegium ostrogskim, w końcu prowincją polską, na tym urzędzie roku 1667, obrawszy sobie stałe zamieszkanie w Kaliszu życie zakończył (2).

Jako dowód zadziwiającej siły fizycznej jednego z księży tutejszego zgromadzenia, Gabryel Rzączyński przytacza następującą wiadomość: Stan. Korabiewski Soc. Jesu, niezwykłą od natury obdarzony siłą, sam część ławek do szkoły pownosił, zrobił wóz, którego pomimo zaprzężonej czwórki woźnica z miejsca ruszyć nie mógł ani biciem koni ani wołaniem; także wielką ilość ołowiu, przez tyleż koni zwiezioną, sam z woza zdjął (3).

Wawrzyniec Ganganelli, papież, znany pod imieniem Klementa XIV, bullą z dnia 21 lipca 1773 roku zawyrokował zniesienie Jezuitów: rok więc ten, jak wszędzie, tak i w Kaliszu był ostatnią chwilą prawnego ich bytu, który trwał przez dwa wieki prawie. Księża zmienili zaraz suknie: jedni się rozeszli, inni wyjednali sobie beneficya i obowiązki po parafiach: niewiele zaś pozostało nauczycielami przy szkole miejscowej. W kilka lat później Kommissya Edukacyjna, postanowieniem z dnia 13 lipca 1779 r. wyznaczyła dla dwóch exjezuitów emerytów pełniących przy kollegiacie kaliskiej obowiązki kaznodziei i penitencyarza, pensją roczną złp. 1200 każdemu. Taż Kommissya, według zarządzenia prymasa ustąpiła wieczyście na szpital Bonifratrów: kościół, dawne szkoły i bursę z całym gospodarskim zabudowaniem, nic nie wyłączając, oprócz sprzętów i aparatów kościelnych, tudzież ruchomości zgromadzeniu akademickiemu koniecznie potrzebnych, niemniej część ogrodu z altaną tamże będącą (4).

Za czasów pruskich kościół przeznaczono dla ewangelików, w zabudowaniach zaś klasztornych pomieszczono zakład kadecki (Kadetenhaus) rejencyą i kamerę.

(1) Kor. Pols. Niesiecki II, 596.

(2) tamże III, 550.

(3) Historia Naturalis Curiosa Reg. Pclo. etc. Sandomiriae 1721 p. 317.

(4) Protokół Kom. Eduk.

III.

Kościół śś. męcz. Wojciecha i Stanisława. — Jego struktura. — Ołtarze, nagrobki, uroczystości religijne, bractwa. —

Kościół Jezuitów znacznym nakładem Karnkowskiego pod wezwaniem śś. męcz. Wojciecha i Stanisława wzniesiony, stał się dla Kalisza prawdziwą ozdobą, a nawet otrzymał wpośród innych pierwsze miejsce, i do dziś dnia prawie z wyjątkiem tylko zmian wewnętrznych w pierwotnym zachowuje się stanie. Godnym też jest zadziwienia, że gdy miasto, już to częstymi pożary, już dwukrotnym najazdem Szwedów i wielu innymi klęskami nawiedzane było, ten tylko kościół wolny był od ruiny i zniszczenia, tak iż poglądając na półtrzęcio-wiekowy pobożności przodków zabytek, jedyną tu po zniesionym zakonie pamiątkę, możemy jeszcze wsparci historycznymi świadectwami mniej więcej dokładny tej świątyni dać opis.

Styl zewnętrzny kościoła w szczegółach niejednostajny, mieszany, w ogóle jezuickim zwany. Szczyt frontonu podwójnym rzędem dziesięciu pilastrów podparty, którego sześć górnych ramion tyleż dla ozdoby piramidalnych zakończy wieżyczek, uwieńcza krzyż żelazny w złożonej bani osadzony. Okien frontowych pierwszego i drugiego piętra, dostateczna i symetrycznie zastosowana liczba: między którymi jedno nad drzwiami głównymi okrągłe. Wysoko pod krzyżem u środkowego okna założony ganek żelazny, pod którym w gipsowym medalionie wyobrażone trzy lilie, herb miejscowej archidiecezyi gnieźnieńskiej; poniżej między insygniami arcybiskupimi, herb, Junosza, Stanisława Karnkowskiego prymasa, jako założyciela tej świątyni (1), pod tym zaś na marmurowej płycie wryty był napis następujący:

(1) Opis ten odpowiadający rycinie, wzięty został z rękopisu formatu wielkiego arkusza, znajdującego się w Główn. Bibl. Okręgu Nauk. Warsz. p. t.: „Zbiory różnych fabryk po-jezuickich, t. j. kościołów, kolegiów oraz innych mieszkań i zabudowań z plantami, facyatami, przecięciami, reformami, placami, ogrodami: teraz pod rządami Prześw. Kom. Eduk. Narod. będących, w najdokładniejszą wymiarze przez rysunki architektury, z opisaniem dochodu, stanu i położenia w jakim się które znajdują sporządzone, tudzież i informację, przez Stanisława Zawadzkiego majora korpusu inżynierów, architekta Prześw. Kom. Eduk. Narod.

D. O. M.

Stanislaus Karnkowski D. G. Archiepiscopus Gniesnensis et Primas pro sua in Ecclesiam Rempublicam Polonam charitate templum hoc S. Adalberti aedificatum, a fundamentis extruxit, dotavit, ornavit Anno Christi CIOIOLXXXIX (1).

Wreszcie pod samym prawie krzyżem w owalném zakłęśnięcu znak Tow. Jezus. w zwykłej anagrammie **IHS** był umieszczony. Szerokość frontonu przy podstawie 80, a wysokość rachowana od podstawy do szczytu, czyli do osady bani, na której krzyż się wznosi, 96 stóp liczy. Mury kościoła silne i trwałe, jak wszystkich w ogóle ówczesnych budowli; wiązanie pod dachem mocne, karpiówką olejem napuszczoną kryte; drzwi główne, w samym środku umieszczone prowadzą do małego przedsionka; wewnątrz kościoła w formie prostokąta, z ścianą za w. ołtarzem w łuk wygiętą. W głównej nawie, po obu stronach, między arkadami 8 łoż gustowną rzeźbą à jour przyozdobione; presbyteryum od nawy oddzielone balustradą; posadzka kamienna, ambona od wejścia po prawej stronie, nad głównymi drzwiami; na obszernym chórze, odpowiednich wymiarów i symetrycznego składu, organy. Należy oddać słuszość Jezuitom, że utrzymując kościół w przepychu połączonym z schludnością, starali się w tém przewyższać zawsze inne zakony.

Za Jezuitów było w tym kościele 9 ołtarzy i 1 kaplica (2), które opiszemy w porządku następującym;

1. *Ołtarz wielki.* drewniany, pięknej formy, mieścił w sobie obraz N. Panny Bolesnej. Głowy Zbawiciela i Matki Najświętszej ozdobione koronami srebrnymi, poczęści wyłaczanemi i wysadzaniem różnej barwy kamieriami. Na mniejsze ustawione było

roku 1788. „Nadmienić przytém należy, że nie wszystko to, co tytuł obiecuje znaleźć tam można: jednak pomimo tego manuskrypt ów jest nader ważny i w swoim rodzaju zapewne jedyny.

(1) Honor N. M. P. historycznie wyrażony etc., przytym Kalendarz osobliwy na r. Pańsk. 1741, w Kaliszu, w druk. Collegii S. J. przez anonyma (rzeczywiście ks. Wojc. Bystrzonowski) str. 10.

(2) Do skreślenia wiadomości o ołtarzach, użyte były: Spis oryginalny inwentarza ruchomości i ozdób kościelnych i wzmiankowane dzieło ks. W. Bystrzonowskiego.

cyboryum z blachy miedzianej, posrebrzaniej, wykute, ze skromną zewnątrz rzeźbą; na przodzie tego przybytku, krzyż drewniany z wizerunkiem srebrnym Chrystusa i z takimiż u podstawy osóbkami; nad Sanctissimum imię Jezus promieniejące ze srebra. Bystrzonowski wspomina: „zwykle w czasie postu czterdziestodniowego w tymże oltarzu statua N. M. Bolesnej trzymającej na łonie Chrystusa, na podobieństwo obrazu Jarosławskiego dla adoracyi wystawioną bywała. Obok tegoż oltarza, ku czci pobożnych, na miejscu najprzedniejszem umieszczony był wspaniały obraz ś. Józefa Oblubieńca. Niektóre familie staraniem ojców S. J. za szczególnego patrona tego świętego obierać sobie były zwykły; zaczęły przy chrzcie św. na pierwsze, lub drugie imię to brały.”

2. *Oltarz z obrazem N. P. Większej (Beatae Virginis majoris)* z rozkazu ś. Franciszka Borgiasza generała S. J. w kopii z oryginału w Rzymie znajdującego się, około r. 1608 do Kalisza przysłany, przez lat 18 zostawał w posiadaniu kongregacyi miejskiej pod tytułem Nawiedzenia N. M. Panny. Tam już pewnemi wstawił się łaskami, z tego powodu dla powszechniejszej czci i poszanowania, za zezwoleniem tegoż bractwa do kościoła Soc. Jesu z wielką uroczystością, r. 1626 przeniesiony. W wyższej części oltarza był przybytek, *domus sapientiae* z siedmiu małych złączonych kolumn srebrnych zrobiony; przy nim w obłokach dwóch aniołków i 12 gwiazdek małych, a wszystko z cienkiej blachy srebrnej, także w pośrodku oltarza obłoki z aniołkami otaczające obraz cały. Nad głowami P. Jezusa i Matki Boskiej korony wyłacane srebrne z klejnotami i także opromienienie; wyżej nad mensą owal, w którym obraz ś. Józefa z P. Jezusem przyozdobiony srebrem i wotami. Uczniowie jezuitcy różnych oddziałów filozoficznych w dowód czci ku N. Pannie, dla ozdoby oltarza tego składali dary i wota, lub zawieszali dedykowane swęj patronce konkluzye (1).

3. *Oltarz ś. Stanisława Kostki*. Na tle z aksamitu ponsowego, M. Boska przedstawiona na wózku białemi końmi ciągnionym, podaje P. Jezusa św. Stanisławowi na tymże wózku

(1) Był zwyczaj w szkołach jezuiickich. że najlepsze przez uczniów na zadany temat wypracowane ody, epigrammata i t. p. panegiryki, albo opisy historyczne cudów świętych Pańskich zawieszano na ścianach w klasie lub w kościele, na pewnych uprzywilejowanych oltarzach. (*Lukaszewicz. Hist. szkół I*, 241.

przed nią klęczącemu; miała sukienkę srebrną pozłacaną i taką koronę; nad głową P. Jezusa aureola srebrna perłami i kamieniami sadzona; u ś. Stanisława podobne opromienienie wyzłacane, a sukienka z aksamitu czarnego, haftem w desenie i kamieniami naszyta: słowem cały obraz zasypany był bogactwem.

4. *Ołtarz ś. Alojzego* patrona uczącej się młodzieży. W górnej części obrazu, na tle aksamitnym koloru karmazynowego figura srebrna; na takimże postumencie, obok niej z jednej strony Chrystus na krzyżu, z drugiej jakaś nieznana postać, wgórze po bokach dwóch aniołków. Święty wyobrażony z opromienioną głową z krzyżykiem w jednej, a lilią w drugiej ręce; przy nim stolik, na którym książka złożona; obok anioł z wieńcem. Poniżej tego obrazu był wizerunek ś. Tomasza z Akwinu z akcesoryami, jakoto: książka, pióro, na piersiach słońce i Duch ś. misterniej ze srebra roboty.

5. *Ołtarz N. P. Posiłkującej*. Na aksamicie koloru zielonego, grupa z 7 osób złożona: nad czterma głowami korony, nad dwoma innymi aureole, ostatnią zaś pięć gwiazdek zdobiło: na wszystkich szaty srebrne. Tło obrazu przystrojone rzutem srebrzystych kwiatków.

Niejednokrotnie od stolicy apostolskiej do tego ołtarza nadawane były odpusty: między innymi Klemens XII papież wydał indulgencją na wybawienie dusz w czyscowych mękach zostających, które w bractwo Matki Boskiej Posiłkującej wpisane były, gdy którykolwiek kapłan w dzień sobotni przy tymże ołtarzu odprawi mszę ś.

6. *Ołtarz P. Jezusa ukrzyżowanego*. W górze ponad obrazem w owalu promień srebrny, wśród którego Duch ś.; pod spodem z liter srebrnych w języku łacińskim napis: „*lignum vitae*”; poniżej naksztalt okręciku wyobrażenie z chorągiewką i okrąg świata na boku: wszystko z blachy srebrnej. W przedniejszym miejscu na karmazynowym aksamicie liście i winna latorośl masyw srebrne, na całym obrazie rozpięte, na tém dopiero figura ukrzyżowanego Chrystusa snycerską robotą z drzewa wyrobiona. Poniżej w medalionie na czerwonym aksamicie serce P. Jezusa srebrne z raną szkiełkami kolorowemi opasaną, otoczone koroną cierniową w opromienieniu; wizerunek ten przyozdobiony był wotami.

7. *Ołtarz ś. Ignacego*, głównego patrona, orędownika i patriarchy zakonu, później od innych w tym kościele był posta-

wiony, jak o tém świadczy Niesiecki (1): że Jan Ignacy Leszczyński h. Wieniawa starosta ostrzeszowski, syn Wacława wojewody łęczyckiego, zmarły 1697 r. ołtarz św. Ignacego w kaliskim kościele w dowód pobożności i uwielbienia własnym wystawił kosztem. W ołtarzu tym, na tle z sukna ponsowego, wizerunek założyciela i ustawodawcy zakonu, przystrojony sukienką srebrną w części złoconą; głowa świętego w opromienieniu; powyżej Bóg Ojciec i Syn w obłokach, a Imię Jezus w promieniach: przyozdabiały niemniej aniołki w różnych miejscach obrazu poprzyczepiane. Niżej nad mensą umieszczony był wizerunek ś. Jana Nepomucena, uwieńczony 5 srebrnymi gwiazdkami.

8. *W ołtarzu ś. Franciszka Xawerego* dwa były obrazy wystawione na uczczenie tego świętego. Jeden mniejszy u samej góry na tle czerwonym, cały ze srebra wyrobiony z akcesoryami. W miejscu przedniejszym ołtarza mieścił się drugi obraz większych rozmiarów, także blachą srebrną pokryty. Osoby P. Jezusa i ś. Xawerego wśród grupy innych figur były wydatniejsze i różniły się większym przepychem ozdób. Niesiecki czyni wzmiankę, którą tu powtarzamy (2): że Konstancya Leszczyńska wojewodzina podlaska, obraz ś. Xawiera w kaliskim kościele srebrną sukienką przystroiła. W niżej zawieszonym mniejszym owalu wizerunek ś. Franciszka Regis założony był pobożnymi wotami.

9. *Ołtarz śś. męczenników* (zapewne Wojciecha i Stanisława), pod których wezwaniem kościół ten był erygowany; wszelako żadnej pewnej w tym względzie nie ma wiadomości; a także dla braku szczegółów nic o ołtarzu powiedzieć nie można, zwłaszcza, że nie posiadał, jak inne żadnych osobliwości, powołanym inwentarzem objętych.

Kaplica N. P. Bolesnej, imienia Szyszkowskich, znajdowała się po prawej stronie ku presbyteryum, którą Mikołaj Szyszkowski h. Ostoja, podkomorzy wieluński własnym kosztem wybudował. Postawiona była z cegły w kwadrat, znacznej wysokości, zakończona u wierzchu kopułą światło do wnętrza przepuszczającą: cała miedzią pokryta. Wnętrze tej kaplicy bogate, ozdobne, i wspaniałe bez żadnych błyskotek, odbierających wdzięk sztuce, a dziwnie harmonijne połączenie symetrii i smaku, nada-

(1) Kor. pols. IV, 88.

(2) tamże I, 346.

wało właściwy urok i powagę temu miejscu. Ołtarz cały z marmuru poczęści alabastrem zdobiony mieścił w sobie obraz N. M. Bolesnej, który (jak pisze Bystrzonowski) miał być wielce ślicznym; z tego też powodu przybytek ten był przedmiotem szczególniejszej czci pobożnych i wielkiego nabożeństwa: albowiem podczas kiedy doroczne święto (mówi tenże) odprawiało się w kościele OO. Jezuitów, przyczyniali się do świetności obrzędu uczniowie *kursu fizycznego*, którzy mając N. M. Bolesną za patronkę, w dzień ten kaplicę zwykli byli illuminować.

Teraz wspomniemy o spoczywających zmarłych i zarazem pomnikach ku wiecznej pamięci w tymże kościele niegdyś istniejących, w którego podziemiach mieściły się groby nie tylko księży, lecz i osób świeckich różnego powołania, poczęści dobrodziejów tutejszego kollegium, z których dość znaczna liczba miała pomniki kamienne, świadczące o urodzeniu, zasługach, godnościach, wieku i roku zejścia niemal każdego.

Znaczną część ściany w prezbyteryum po lewej stronie do wielk. ołtarza, dotąd jeszcze wspaniały w dobrym stanie zachowany zajmuje sarkofag, cały z marmuru czarnego w stylu bizantyńskim, w mur osadzony. W płaskorzeźbie, z białego na tle czarném marmuru, wykuty obraz przedstawia z lewej strony ukrzyżowanego Chrystusa, a przed Nim, po prawej, w pontyfikalnym stroju klęczącego ze złożonemi rękami fundatora kościoła. W całym układzie jest symetryczność, dobry rysunek i naturalna wyniosłość kształtów, a w ogóle dokładne wykonanie. Poniżej tej rzeźby na wielkim płycie czyta się następujący w języku łacińskim napis:

D. O. M.

Gratiae—Pietati—Memoriae

Stanislao a Karnków

Archiepiscopo Gnesnensi, Legato Nato Regni Poloniae

Primati et primo Principi

E vetusta et clarissima illustrium bello paceque Virorum, meritis et honoribus amplissimis Karnkoviensium familia, post conservatam tribus funestis interregnis, legum et civium salutem vindicatam religionem, pacem et tranquillitatem stabilitam, Rempub. consilio et auxilio auctam patriam exornatam, merita quanquam in omnem sed maxime nobilem juventutem Collegiis, Bursa, Seminariis augustae exedificatis probata VV. Capitulum ejusdem Ecclesiae Metropolit. Gne-

snen. sanctissime defuncto sempiternae in Benefactoris nomen pietatis et venerationis monumentum hoc in templo ipsius munificentia honori divino et utilitati animarum suae quieti excitato deposuit. A morte desideratissimi principis anno 8 a mundo salute 1611. Obiit anno Domini MDCIII die 8 Junii aetatis anno LXXXIII. Episcopatum Cujaviensem XVIII annis. Archiepiscopatum Gnesnensem XII administravit.

W kaplicy Szyszkowskich znajdował się ozdobny kamień wyrażający zasługi spoczywającego w podziemiu założyciela Mikołaja Szyszkowskiego, z którego w monumentach Starowolskiego zamieszczony napis powtarzamy:

D. O. M.

*Generosus Nicolaus Szyszkowski
Succamerarius Terrae Viellunensis*

Ante obitum mortalitatis non immemor

*Cogitavit dies antiquos et annos aeternos in mentae habuit,
Animae ergo suae domum non manu factam praeparaturus sacellum hoc*

*Divae Parenti, coelorum Reginae unico post Deum refugio
erexit:*

*Corpori vero loculum et locum subaltari hocce insignitum
marmore elegit,*

Quisquis est o Viator!

Superstiti Deum propitium, morituro felicem horam

Mortus requiem aeternam apprecare et supplici accinne

*Quaerens me sedisti lassus redemisti crucem passus, tantus
labor non sit cassus,*

Następnie był kamień z napisem Dadziboga Karnkowskiego, h. Junosza wojewody derptskiego, starosty dobrzyńskiego i odolanowskiego, zmarłego w r. 1617.

D. O. M.

Divisque Maribus.

*Daćbogi a Karnków Palat. Derpat. Capitanei Odolanov.
Quem Respublica religione munificata, excelsa animi generosi supra humanam virtutem magnitudine insignem in pace Senatorem consultum, bellis Suedico, Livonico, Valachico, Ducem infractum, ter in Patriis tumultibus fidum,*

anno florentis aevi 44 cito raptum cum Ordinibus luxit universis, Anno CIOICXVII. Ejus immortalitati Perillustris Conjunx Grisella a Sobieszyn Palatino Lublinensi nata, simulque Carolo communi pignori hoc posthumum posuit opus anno MDXXII (?) Fidelem etiam suo post fata lapis loquitur credent omnes.

Jana Rozrażewskiego h. Doliwa krajczego królewskiego, starosty odolanowskiego także w tym kościele spoczywającego, nagrobek z napisem:

D. O. M.

Et immortalitati sacrum

Illustris et Magnificus Dominus Joannes Comes a Rozrażew, Incisor. S. R. M. Odolanoviensis Capitaneus. Aetatem juvenilem in exteris nationibus exegit, quo facilius avitae majorum suorum gloriae haeres et aemulus existeret annis major ac tum illustris familiae suae, tum suam et laude conspicuus Patriae civis de Republ. bene et amicis suis meritus evasit. Adarma natus belli, miles fortissimus, contra Osmanum Turcarum Imperatorem Regnum Poloniae innumeris copiis petentem, sub Chocimo bini vexilli chastatorum militum et peditum praefectus, unum Reipubl. sumptibus alterum suis aluit Mansueldique; copias fines Majoris Poloniae vastantes, ab arce Odolanoviensium repressit, animus heroicus ejus semper fuit, nunquam Reipub. et suis, tum in toga tum in pace deesse velle, denique praeter complura alia animi ad summa nati decora, Catholici hominis officium non praetermittens, dissidentium animos admirabili studio, prudentia summa, concordiae restituere satagebat saepius in Tribunali Judex, Legatus ad Comitata toties vitam homine digno, ritu Ecclesiae Romanae Sacramentis omnibus munitus, pie et sancte finivit. Anno Restitutae Salutis 1628 die 11 Decembris, aetatis 33.

Na środku bocznej ściany kościoła płyt marmurowy z napisem:

D. O. M.

*Margarita a Mastowice Łąyszczevska
Castellana Sochaczowien.*

*Utroque de parente avitae Nobilitatis clara sanguine,
Pietati Christianae,*

Vixit annos 52 demum anno 1631 die 24 Julii, mortalis esse desiit. Quae non solum animi opes, verum terrae divitias rara ultimae voluntatis felicitate, in coelum praemisit, huic templo aliquot florenorum millia alibi supra decem donavit. Tempora monasteria, domos egestatis, prona semper munificentia auxit.

Sed moestissimo Marito

Nicolao Łayszczewski

Castellano Sochaczoviensi

Posthumam in dotem cessit amor superstes, extinctae Conjugis cujus ille supremo fato acerbe laesus, scribit in marmore duram doloris sui memoriam.

Na boku jest tarcza na 4 pola krzyżem przedzielona z herbami: Samson, Wierusz, Nabram i Pomian. Pomnik ten dotąd jeszcze istnieje.

Podobnież na ścianie od strony Ewangelii wpuszczony marmur z napisem w języku łacińskim objaśniającym: że tutaj spoczywają zwłoki *Ludwika Łętkowskiego*, *Tomasza i Krystyny z Bartochowskich* syna, a *Kunegundy z Radolińskich* małżonka, z którą się po śmierci w grobie połączył, benefaktora kollegium, zmarłego 1756 r. d. 4 lipca w wieku lat 50.

Oprócz tych były jeszcze nagrobki:

Wojciecha Janczyńskiego męża rycerskiego pod *Żółkiewskim* hetmanem, zmarłego r. 1614 z marmuru wykuty, i

Czarneckiego Krzysztofa h. Łodzia, starosty *Żywieckiego*, zm. 1636 roku.

W podziemiach kościelnych spoczywały zwłoki różnych osób, bez nagrobków; z ważniejszych, są:

Sary Taleskiej obywatelki *kaliskiej*, założycielki bursy ubogich zm. 1608 r.

Gryzeldy z Sobieskich pierwszego ślubu *Karnkowskiej* *Dadziboga* wojewody *derptskiego*, 2-voto *Rozrażewskiej* kasztel. poznań. starosty *Odolań*. małżonki zm. 1621 r.

Jana Biskupskiego h. Lis, *Cześnika Sieradz*, zm. 1623 r.

Piotra Biskupskiego t. h. i godności.

Jakóba Paprockiego h. Jelita.

Wojciecha Gądkowskiego h. Korab chorążego *kalis*. zm. r. 1645.

Łukasza Mycielskiego h. Dołęga syna *Samuela z Mycielina* wojskiego *sieradz*. zm. 1678 r.

Adama Bułakowskiego, miecznika kalis. kasztelana rogozińskiego, deputata na trybunał kor. w r. 1693 wraz z ojcem podczasym poznańskim.

Stanisława Lipskiego h. Grabie, proboszcza gnieźnieńs. i płoc. zm. 1711 r. syna Jana sędziego ziem. kalis. i wielu innych (1).

Uroczystości i bractwa (2). Oprócz codziennych modłów i zwykłego niedzielnego nabożeństwa z kazaniem, jakoteż popołudniowej nauki katechizmu dla dzieci, ściśle były obchodzone doroczne odpusty, uroczystości świąt większych, oraz na różne intencje: sexcenny, oktawy, decenny i t. p. adoracje z wielkim olśnieniem i wystawnością praktykowane; co wszystko do częstego nawiedzania kościoła jezuickiego zachęcać mogło, sprowadzając liczne w tym celu zebrania pobożnego ludu. Konfesyonały od rana do zmierzchu w nieustanném były zawsze obleżeniu, znaczna bowiem liczba obecnych księży (3) z całą gorliwością pracowała przy spowiedzi.

Wszyscy, co tylko żyli w zgodzie z Bogiem i Jezuitami, cisnęli się do trybunału sumienia.

(1) Monum. Sarmatarum Starowolskiego, Kor. pols. Niesieckiego i notatki p. J. Szaniawskiego.

(2) Honor. N. M. P. historycznie wyrażony etc. p. ks. Woj. Bystrzonowskiego.

(3) Liczba Jezuitów kollegium kaliskiego w różnych czasach była rozmaita, i tak:

W roku 1585 było zgromadzenia w ogóle osób 11.

—	1586	}	—	—	—	—	12.
—	1587						
—	1588	—	—	—	—	—	18.
—	1589	—	—	—	—	—	21.
—	1590	}	—	—	—	—	21.
—	1591						
—	1592	—	—	—	—	—	26.
—	1593	—	—	—	—	—	27.
—	1594	}	—	—	—	—	24.
—	1595						
—	1596	—	—	—	—	—	24.
—	1598	—	—	—	—	—	32.
—	1600	—	—	—	—	—	44.
—	1601	—	—	—	—	—	46.
—	1602	—	—	—	—	—	51.
—	1603	—	—	—	—	—	54.
—	1604	—	—	—	—	—	62.

Uczony J. Muczkowski utrzymuje, że obok wprowadzenia Jezuitów dla powstrzymania szerzącej się gwałtownie w kraju reformacyi, zawiązanie bractw pobożnych okazać się miało nie-
mniej skutecznym ku temu celowi środkiem. Pomimo materyal-
nych planów zakonu, jak o tém świadczy historia przeszłości,
sprawa wiary widocznie się krzepiła w odrodzeniu ducha kato-
lickiego, bo ustawy brackie były wzorem przykładowym bezinte-
resownego łączenia się i zgody. Przy kościele tutejszych Jezui-
tów bractwa te były w większej aniżeli gdzieindziej liczbie. Pod
różnemi tytułami istniało Matki Boskiej 6: innych tyleż, w ogó-
le 12, a mianowicie:

1. *Bractwo Oczyszczenia N. M. P.*, którego zawiązek był taki: pod godłem Zwiastowania N. M. P. (*Annunciationis B. V.*) r. 1584 założoną została kongregacya większa (*Congregatio maxima*) (1), którą rokiem wcześniej, przy swym kościele zaprowadzili Jezuici w Rzymie. Grzegorz XIII papież t. r. d. 5. grudnia ustawy bractwa tego zatwierdził, a w r. 1586 upowa-
żnił generała Jezuitów do wcielenia doń wszystkich innych sto-
warzyszeń pobożnych téjże nazwy, przypuszczając je do udziału
we wszystkich wspomnionemu bractwu służących odpustach. Korporacyą tę zawiązali Jezuici dla samej tylko szlachty dojrzał-
szej, przypuszczali jednak i młodzież szkolną dobrego urodzenia,
odznaczającą się zaletami w naukach i moralném sprawowaniem,
zapisanych zaś do bractwa tego zwano powszechnie milicyą Ma-
ryi (*Sodales Mariani*); w r. 1600 samych uczniów liczyło się
w tém bractwie 127 (2). Bractwo Zwiastowania trwało tylko
przy tutejszym kościele do r. 1604 (3), od tego bowiem czasu
przyjęło tytuł kongregacyi średniej (*congregatio media*) (4).
W końcu pod nazwą Oczyszczenia N. M. P. do samego zniesie-
nia zakonu przetrwało, mianując się niekiedy kongregacyą więk-

W roku 1605	było	zgrupowania	w	ogóle	osób	58.
—	1606	—	—	—	—	64.
—	1607	—	—	—	—	60.
—	1608	—	—	—	—	58.
—	1609	—	—	—	—	56.
—	1610	—	—	—	—	57.
—	1611	—	—	—	—	58.

(1) Honor N. P. histor. wyrażony, ks. W Bystrzanowskiego.

(2) *Annae Litt. Soc. Jesu, Antverpiae* 1618.

(3) *Tamże* 48. (4) *Tamże*.

szą. Treść ustawy bractwa tego ma się znajdować w dziele pod tytułem: *Leges et statuta Congregationum B. Virginis, quae in Collegio Soc. Jesu institutae, atque a Sede apostolica approbatae variis indulgentiis et gratis exornatae sunt. Calissii 1604. in 12. (1).*

2. *Bractwo Nawiedzenia N. M. P.* Pod tém wezwaniem kongregacya miejska w sam dzień uroczystości swojej patronki, r. 1605 ustanowioną i przez Pawła V papięza potwierdzoną była; lecz swego istnienia liczyła dwa lata: bowiem Klaudyusz Aquaviva generał zakonu, r. 1607 w dzień ś. Macieja apostoła w przywilejach głównej kongregacyi rzymskiej (Zwiastowania N. M. P.) bractwo to z tamtą porównał i do niej przyłączył; w początkach zaś jego zaprowadzenia kardynał Bernard Maciejowski, prymas, arcybiskup gnieźnieński w poczet członków został zaproszony i przyjęty, którego to zaszczytu kongregacya rzymska w osobnym do kaliskiego bractwa adresowanym liście powinszowanie swoje wyraziła (2).

3. *Bractwo Narodzenia N. M. P.* Pod tym tytułem ustanowione było bractwo *Artificum*, na wzór poznańskiego, także przy kollegium jezuickim założonego. Nabożeństwo przez to bractwo odprawiane tak opisuje ks. W. Bystrzonowski: „Prócz zwyczajnych nabożeństw kilka razy do roku, sodales téj kongregacyi zwykli odprawiać processye: to jest w dzień uroczystości Narodzenia N. M. P., w niedzielę Wielkanocną i w oktawę Bożego Ciała w kościele jezuickim. We wtorek mięsopustny miała kongregacya processyą po rynku przy czterech exhortach: o śmierci, sądzie, o niebie i piekle; wielkoczwartkową procesyą do kościoła ś. Mikołaja, wielkopiątkową po różnych kościołach odbywała, z naukami przez Jezuitów miewanemi. Tenże w inném miejscu tak mówi o pobożnych bractwa tego wycieczkach: „Corocznie w miesiącu maju, gdy dni wypadały świąteczne, kongregacya *artificum* pobożną naprzemian podejmowała peregrynacyą do poblizszych miejsc cudownemi obrazami N. M. P. wslawionych, jak np. jednego roku do Szkalmierzyc, drugiego do Dębego, wsiów o milę od miasta odległych; w trzecim zwykle roku podczas Zielonych Świątek, przed własnym obrazem srebrne wota składała, dodając niemniej, że w nawiedzaniu szpita-

(1) Obraz bibliograf. Jochera III; 335,

(2) Honor N. M. P. hist. wyraż. ks. W. Bystrzonowskiego. 90.

łów i opatrywaniu jałmużnami, świątobliwy zwyczaj statecznie zachowują (bracia). Nawiasowo jeszcze wspomina, jako w czasie święta Rożańca N. M. P. kongregacja Narodzenia zwykła była assystować processyi u ks. Franciszkanów. Bractwo to istniało przy tutejszym kościele do zniesienia zakonu (1).

4. *Bractwo Niepokalanego Poczęcia N. M. P.*, o którym to tylko wiadomo, że od pierwotnej konfraternii Zwiastowania oddzielone, i do czasu zniesienia Jezuitów pod swą nazwą przetrwało. Kiedy ten rozdział nastąpił, z jakiego powodu i za czyjśm staraniem, pewnej wiadomości powziąć nie było można, o czém nawet Bystrzonowski żadnej wzmianki nie czyni (2).

5. *Bractwo N. M. P. Posiłkującej* (3). O powstaniu bractwa nie mając żadnej pewności nad wzmiankę samego prawie tylko tytułu, ograniczyć się musimy na kilku o niém słowach. Z wielką okazałością, przy licznej assystencyi miejscowego duchowieństwa zwykło było obchodzić z uroczystością święto kościelne Zaślubienia N. M. P. Obraz patronki i protektorki tej konfraterni umieszczony był w jednym z ołtarzy, o którym się wyżej wspomniało; nakoniec, że Apolonia z Gajewskich Koźmińska, żona kasztel. Rogozińskiego, w d. 21 lipca 1733 r. na ogólne potrzeby bractwa 2500 złp. zapisała (4).

6. *Bractwo Serca N. M. P.*, o którym to tylko wiadomo, że w r. 1734 z kościoła Jezuitów kaliskich do ks. Bernardynów przyproawdzone zostało (5).

7. *Bractwo Serca Jezusowego*. Staraniem tego bractwa corocznie w dni piątkowe miesiąca marca odbywało się nabożeństwo w kaplicy Szyszkowskich przed obrazem Matki Boskiej Bolesnej (6).

8. *Bractwo dobrej śmierci*. W każdą niedzielę przed obrazem N. M. Bolesnej w kaplicy Szyszkowskich odprawiało się nabożeństwo na intencją tego bractwa (7). Według wiadomości czerpniętych ze starych papierów i kartek z pod pióra Jezuitów wyszłych, przekonywamy się, że pomienione bractwo posiadało sumę 1500 złp., którą Jezuiti tutejsi dali synagodze kaliskiej na wyderkał z 10% rocznym procentem, zastrzeżonym przez umowę zawartą in vigilia natalis S. Joannis Baptistae

(1) Honor N. M. P. hist. wyraż. k. W. Bystrzonow. 114, 115 129.

(2) Tamże 55. (3) Tamże 40. (4) Ze starych papierów jezuitów. (5) Honor N. M. P. etc. 81. (6) Tamże 63. (7) Tamże.

A. 1691. Taż synagoga w r. 1693 dała skrypt rektorowi kolegium na 2200 złp., pomienionej kongregacyi zapisanych, z obowiązkiem opłacania rocznie także 10% ad quietationes manuales. Roku 1703 FERIA secunda ante Dominicam Exaudi, spisane zostały warunki o wypożyczenie żydom 600 złp. na korzyść bractwa, a w r. 1716 od summy 1000 złp. obowiązali się znów opłacić 10% rocznego procentu. Kwit datowany FERIA tertia ante festum S. Margarethae Virginis A. 1719 in Castr. Calis. na summę niewiadomą przez ks. Węzyka ingrosowaną miał się znajdować w zachowaniu u niejakiego Wyrzykowskiego. FERIA secunda post Dominicam Paschae, 1723 urzędowo zatwierdzono pokwitowanie synagogi kaliskiej z opłacanych procentów od summy 4900 złp. do bractwa Dobrej śmierci należących. Co zaś do reszty kapitałów, własnością bractwa tego będących, można się gubić w domysłach, gdyż przywiedzione cyfry nie dopełniają jeszcze obrazu uposażenia i stanu majątkowego, jakie bractwo to mogło posiadać i używać, stosownie do okazujących się potrzeb.

9. *Bractwo ś. Jana Nepomucena* (1) używało do nabożeństwa książkę przypisaną książętom Sułkowskim, którą Jocher zacytował pod tytułem: *Neo Pometum Orthodoxae Pietatis multifariis selectarum devotionum fructibus-abundans, pro augendo honore et cultu s. Joannis Nepomuceni singularissimi vere penitentiam et fama periclitantium Patroni, per Donatum Raab Reformatum Plantatum in quinque semitas pro cujus libet singulari devotione et fervore spiritus dispositum. Calissii Typis S. J. 1752 in 8. kart. 26* (2).

10. *Bractwo ś. Magdaleny* (3).

11. *Bractwo ś. Franciszka Borgiasza* (4).

12. *Bractwo Wszystkich Świętych* (5).

Każde zapewne z tych bractw, jak np. Dobrej śmierci, posiadać musiało własne fundusze z drobnych zapisów i dobrowolnych ofiar przez pobożnych członków czynione, których wszakże śladu istnienia, przy całym usiłowaniu wykryć nie było można, a które zapewne stanowiły ważne zasoby tych stowarzyszeń.

(1) Honor N. M. P. ks. W. Bystrzon. 40.

(2) *Obraz Bibliograficz.* Jochera III, 135.

(3) Honor N. M. P. etc. 40.

(4) Tamże. (5) Tamże.

ZARYSY KOSMOLOGICZNE.

BUDOWA WSZECHŚWIATA,

JEGO WIELKOŚĆ I DZIEJE UTWORZENIA SIĘ.

NAPISAE

Apolinary Zagórski.

Niebiosa rozpowiadają chwałę Bożą, a dzieła rąk Jego oznajmują utwierdzenie
Dzień dniowi opowiada słowo: a noc nocy podaje naukę.
Nie masz języków ani mów, któreby nie słyszały głosów ich.
Na wszystkie ziemie wyszedł głos ich: i na kończyny okręgu ziemi słowa ich.
Księgi psalmów. 18.

Wzniósłszy oczy w gwiazdny sklep niebios, wpatrzywszy się

..... w tę harfę bez końca,
W której księżyc, gwiazdy, słońca,
Tkwią jak śruby niewzruszone;
A od dołu aż do szczytu
Struny z światła i błękitu
Drgają w bezmiar naciągnięte....

dreszcz tajemny, uroczysty przejmując serce człowieka. Jakieś tchnienie nieskończoności wieje z tych ciemnych lazurów gwiazdami ukwieconych, uczucie nieśmiertelności wymowniej się odzywa w głębi ducha, i tęsknotą do niebieskiej ojczyzny żywiej bije glina serca; zda się, że na skrzydłach tych gwiazdnych promieni łatwiej wznieść się duchowi do uczucia wielkości Stworzyciela i łatwiej oderwać się od matki ziemi, by ulecieć w przestwory pokoju i harmonii wiekuistej. Sama ziemia nawet jak

gdyby się nastrajała do ogólnego wyrazu Wszechświata: otula się stopniowo, o ile może w płaszczyźnie ciszy, skoro tylko wieczorna godzina zwiastowana pierwszą gwiazdą, zabije po nad nią i jej doczesnym gwarem; i milczenie to zda się wzrastać tém bardziej, im bardziej rozgwieżdżają się niebiosy.

Nic tak nie uzdalnia ku wzniesieniu się do szczytów myśli, jak cisza tej bezgłębnej i bezbrzeżnej toni falującej gwiazdami, która uroczystością swoją przerażała Pascala. Serce w niej rośnie znajdując ukoj dla ziemskich boleści; a duch olbrzymieje natchnieniem, które jako rosa niebios, jako ich przecucie, zalatuje od tych górnych sklepień.

Lecz kiedy duch ostygnie nieco z zachwyty i pozostanie myśl zaciekająca, pytająca tych gwiazd: czém są? jak trwają? i jak powstały? a nie znajdzie w sobie samej odpowiedzi, przywołuje wówczas na pomoc rozum; a ten dopiero ogarniając pamięcią skarbnicę wiedzy, dostrzeżeń i sprawdzonych domysłów minionych wiekowych pokoleń, to jest wsparłszy się na nauce, zadanie to olbrzymie rozstrzygnąć usiłuje z całą szczytnością, jakiej tylko nauka zdolna. Bo skłamał, kto wyrzekł: iż nauka skrzydła myśli odejmuje; przeciwnie, ona je rozpościera, z tą tylko różnicą, że lotowi jej daje szybować po oceanie prawdy, a nie po nikłych falach lotnej wyobraźni; bo ile tylko razy nauka zdobyła prawdę w świecie ciała, tylekroć razy duch urósł, bo widnokrąg jego się rozszerzył.

Lecz dla człowieka, co się począł wczoraj, a jutro w grób zsunie, ciężko doczekać się prawdy, do której się dochodzi znojną pracą myśli, a zbiera plony po zbyt długich wiekach; a że go pali wewnętrzny ogień nieśmiertelności, który go zmusza gonić za prawdą, więc w zniecierpliwieniu swoim woli częstokroć powierzyć się wyobraźni, by mu odpowiedziała na pytania, których tajemnicą od kolébki jest otoczony; lecz zadając je, nie baczy na to, że zaledwo do jutra odpowiedzi jej będą mocne go zadowolnić.

Wyobraźnia téż zawsze wyprzedzała myśl rozumną w wiekowym rozwoju ludzkości, potrzebując mniej czasu dla wzniesienia swoich gmachów, które prawie odrazu cu-

downą mocą fantastycznego pomysłu stają; wówczas, gdy myślenie porządne, rozumne, ugruntowane na faktach, to jest wszelka prawdziwa budowa naukowa wznosi się powoli, z ciężkim trudem, a robota doznaje nieraz przerw wiekowych, i zanim nowy kamień dorzucą budownicy, płyną wieki jak chwile, aż Pan zdejmie łuskę z oczu i da przejrzeć prawdę swą w świetle natchnień zesłanych.

Przekonać się o tém najłatwiej, przejrzawszy tylko głównejsze pojęcia o budowie Świata wszystkich ludów starożytnych, tak jak nam je dochowały ich księgi i dzieje, i gmach wiedzy nowożytny, wzniesiony pracą wieków, a bardziej jeszcze trudem geniuszów, którego uzupełnienie będzie zadaniem całego nieskończonego szeregu przyszłych pokoleń naukowych.

Zacznę od wyłożenia pojęć Indyi, téj wspólnej matki całego naszego szczepu, którego pokrewności poświadczają popsute złomy pierwotnej Aryów mowy, wykształconej na nasze starożytne i nowożytne języki.

Pomysły Indyjskie o budowie świata najściślej związane są z kosmogenią i mitologią ich, ponieważ świat jest tylko częściową emanacją Boga. „Na początku nie było ani bytu, ani niebytu, ani nieba, ani ziemi, ani nic nad niemi; nie było ani wód głębokich, ani otchłani, ani śmierci, ani nieśmiertelności, ani różnicy dnia od nocy: były tylko ciemności i chaos. *On* tylko żył bez oddechu sam z myślą swoją“. (*Rig Veda* przekład Colebrooke'a str. 33). „Jeden atom, który wyszedł ze mnie stworzył świat, a ja jednak zostałem cały“ (*Bagavad-Gita* księg. X § 42) powiada o sobie Stwórca Indyjski.

Świat zaś ten zbudowany następuje.

W pośrodku Ziemi wznosi się kształtem tarczy czworobocznej, czterobarwnej, święta góra Meru, oś świata podpierająca niebo, ziemię i piekło. Wokoło góry Meru na bezmiernym oceanie leży wysp cztery w kierunku głównych strón świata, których ogół stanowi kulę ziemską opasaną siedmioma górami złotemi, siedmioma morzami wonnemi, a dalej jeszcze olbrzymie karyatydy podpierają sklepienie niebios, przewożąc dwunastu znakom zwierzyńcowym. Na szczycie góry Meru płaszczyna czworoboczna otoczona kosztownymi kamieniami, służy

łożem kwiatowi Lotos, trzymającemu w swoim łonie trójkąt, z którego się zdroi Wszechświat, którego On początkiem. A z niego wykwita bóstwo wiekuiste Lingam. Poniżej nieco w koło czterech słupów ze złota, srebra, miedzi i żelaza podpierających sam szczyt świętej góry, rozdziela się potok spadający z nogi Wisznu na gwiazdę biegunową, który w przebiegu swoim przeciąwszy sferę księżyca spada na nią, i przez pysk czterech głównych zwierząt: wielbłąda, jelenia, konia i wołu, zdroi cztery główne rzeki świata: Indus, Ganges, Brahmapooter i Gomate. Ziemia zaś sama opiera się cała na grzbiecie ośmiu słoni spoczywających na olbrzymim zółwiu, który nie ma już żadnej podstawy; co téż naprowadzało mędrca indyjskiego Bahashara Atkarya (żył na 1114 lat prz. n. Chrystusa Pana) na domniemanie siły przyciągania ziemi. Powiada on bowiem najwyraźniej, iż „ziemia posiada siłę, za pomocą której ciągnie ku sobie wszelkie ciało ciężkie, jakie tylko istnieje; co tłumaczy przyczynę, dla której nie spadają ciała leżące w dolnej części ziemi lub po jej bokach“.

W okół zaś tej ziemi, Słońce kształtu sześciennego podtrzymywane, ciągnięone i obracane ruchem wirowym, sześcioma prądami wiatrów, prowadzi za sobą gromady światów, przewodząc bezustannym ruchem, tańcowi tych sfer niebieskich. Kierownikiem zaś tego harmonijnego kolistego tańca sfer, lat, miesięcy i chwil, jest Kryszna jedno z wcieleń Wisznu drugiej osoby *trimutri* (trójcy) indyjskiej. W połowie wysokości świętej góry, wznosić się zaczyna Ziemia Niebieska (*swargaboumi*), która powtarza tę, co leży w dole, przez siedliska planet i niebiosą będące mieszkaniem bogów. Sąto siedm niebios żądz (*patalas*), siedm stopni oczyszczenia zamieszkałych przez doskonalsze od człowieka istoty (Wilford *Of the geographic systems of the Hind w Asiatic Researches* t. VIII); a ponad temi niebiosami zaczyna się ośmnasto piętrowy świat form, doskonalszych jeszcze duchów: i cała ta misterna budowa zwie się światem człowieka, a jest małym punkcikiem w nieskończoności światów. Tysiąc milionów podobnych ludzkemu światów tworzy universum; sto kwintylionów takich uniwer-

sów składa dopiero jedno piętro; a dwadzieścia piętr podobnych tworzy grupę światów, z których każdy jest podparty o kwiat Lotos spoczywający na nicości. Liczebny wyraz tej Asankyja, to jest nieprzeliczonej ilości światów jest jedność, przy której trzeba dopisać 4,456,448 zer. Tę wielkość niezmierną jeden Buddha tylko zdoła przeniknąć.

Tworzenie się światów w pojęciach Indyjskich dotąd nie ustało. Południowe niebo wedle ich pojęć miało być później stworzone niż północne, bo w wielkim bohater-skim ich poemacie Ramayana, Visvamitra „grozi dawnym bogom utworzeniem wspanialszej i gwiezdzijszej niż północna, półkuli południowej“. Materya światorodna która służy do utworzenia światów zwie się po sanskrycku *akasz*.

Cały ten dziwotwór wyobraźni indyjskiej o wielkości i budowie Wszechświata, pomimo, iż nieskończenie jest niższym od istotnej prawdy, nieporównanie jednak prześcignął fantazyę innych ludów starożytnych. Znając dziwaczność pojęć kosmogonicznych Egipcyan (wyśmianych jeszcze przez Arystofanesa w komedyi *Ptaki*), którzy sobie wyobrażali świat w zarodku, jako jajo zapłodnione, które rozkruszywszy się na dwoje, dało początek gwiezdystemu sklepowi niebios i ziemi naszej; niepodobna przyzwolić, jak tego chcą niektórzy, by jasne pojęcia Pytagorejczyków o budowie świata mogły im były przyjść z Egiptu. Podziwiać raczej należy, na ile wieków ta szkoła wyprzedziła swój czas, i jak zgodnie zeszła się z pojęciami nowożytnych, do których ci ostatni wzniesli się ścisłością dostrzeżeń pomocniczonych narzędziami optyczno-mierniczemi, a nadewszystko analizą matematyczną.

Philolaus w pierwszych niepewnie stawianych krokach, przypuszczał że słońce jest zwierciadłem odbijającym światło i ciepło środkowego jakiegoś ognia (*hestia*), wokół którego Słońce i Ziemia obiegają; lecz ziemia nie ma dla niego ruchu wirowego. Ale w trzecim wieku przed naszą erą, Arystarchus z Samos, który publicznie został potępiony za bezbożność targnięcia się na nieśmiertelną Westę wyobrazicielkę nieruchomości Ziemi,

a następnie Kleantes z Assos i Seleukus babilończyk, znali dokładnie podwójny ruch naszej kuli, dzienny w okół swój osi i doroczny wokół Słońca, większego od ziemi samój, wedle mniemania Zenona założyciela szkoły stoików. Dla Arystarcha Słońce było tylko jedną z gwiazd stałych zbliżonych do nas; a Plutarch powiada, iż Heraklides utrzymywał, „że każda gwiazda jest światem oddzielnym w nieskończoności niebios, otoczonym ziemią, planetami i przestworem niebieskim“.

Nie można dość odżałować, iż te jasne i prawdziwe pojęcia o budowie Świata, niedostatecznie się rozpowszechniły, a dla braku dowodów matematycznych, nietylko nie mogły się stale usadowić, lecz owszem ustąpić musiały miejsca innym, błędnym, powszechniejszym, które wnioskując z pozornych ruchów nie mogły się wznieść do prawdziwych pojęć o budowie, a tém samém o wielkości Wszechświata.

Środkiem świata w pojęciu Greków za czasów Homera, był Olimp; ziemię zaś całą Thales wyobrażał w kształcie tarczy opasanej wokół oceanem i pochyłonej nieco ku południowi z powodu większego brzemienia, którym ją przeciąża bujna roślinność zwrotnikowa (Plutarch *de Plac. phil.* II 12). Pojęcie to przez długi czas przetrwało. Sklep niebios wznoszący się ponad powietrzem dźwigały Atlas i Kaukaz. Słońce wymiarów niewielkich pojmovane raz jako kamień rozżarzony, to znów jak ogień czysty, wynurzało się z oceanu Wschodniego i obiegłszy łukiem sklep niebieski na wozie tryumfalnym, zanurzało się wieczorem w toniach oceanu Zachodniego, z kąd je w nocy, okręt złoty dzieło rąk Wulkana, odprowadzało na wschód przez północ (*Histoire de la Geogr.* Malte Brun).

Pseudo Arystoteles powiada, „że: w samym środku Wszechświata jest punkt stały i nieruchomy, który działem losu przypadł ziemi; na kończynach świata jest powierzchnia zewsząd go ograniczająca. Ten najwyższy kraniec świata zwany jest Niebem. Zapelniony on jest ciałami Boskimi, znanemi ludzicom pod nazwą gwiazd, a obraca się ruchem bezprzeczanym, wiodąc poza sobą tym wirem owe ciała nieśmiertelne, które wszystkie idą

w tymże kierunku zgodnie, bezustannie i nieskończenie“ (*De Mundo*). Obrót zaś wirowy sklepu Niebieskiego, odbywa się na osi materyalnej, której jeden koniec przypiera w pobliżu gwiazd północnych o szczyt niebios, ku którym jest przytwierdzony; a drugi przeszedłszy przez środek Ziemi, kończy się gdzieś pod nią w kierunku południa. W okół tej stałej osi, obraca się Wszechświat cały, dlatego też ją zwano *osią Świata*.

Cały szereg planet szedł w szyku następnym: wokół środka świata, to jest wokół Ziemi krąży najprzód Księżyc, dalej Merkury, Wenera, Słońce, Mars, Jowisz i Saturn. Wszystkie te planety odbywały swe kołowania w niższych przestworach coraz bardziej zimniejących ze stopniem oddalenia; a ponad nimi, wedle pojęć Anaxymenesa i Empedoklesa, eter „skrzepły przez ogień“, zamieniony w sklepioną masę twardą kryształową, do której przygwożdżone są wszystkie gwiazdy nieba, obraca się ruchem najchyźszym; i zdaniem Arystotelesa (*Meteorologia* t. 3 str. 340) „do tyła rozpała tym ruchem przestrzeń pod nim leżącą, iż ciepło jęj udziela się nawet powierzchni ziemi.“ Lecz niektórzy filozofowie domyślając się niejednakięj odległości gwiazd od Ziemi, musieli zwiększać liczbę tych przejrzystych spółśrodkowych sfer kryształu wchodzących jedna w drugą. Niektórzy przypuszczali ich 7 do 10, inni o wiele więcej, mnożąc je dowoli wedle pojęć swoich (naprzykład Eudoksyusz wyobrażał 27 takich sfer, a Arystoteles 55). Swobodne krążenie planet, o którym Empedokles mówił na 2000 lat przed Keplerem, nie było mniemaniem powszechném; owszem i planety przytwierdzano także nieruchomie do sfer kryształowych, których obroty zawikłane, miały stanowić ruch tych ciał. Starożytni nie mogli bowiem wyobrazić sobie ciała zawieszzonego swobodnie w przestrzeni i nie podpartego żadną materyalną podstawą. Ponad najwyższą kryształową sferą gwiazd znajdował się tylko eter ognisty.

Nadto jeszcze szkoły Pytagorejska i Platońska wychodząc z zasady harmonii liczb i tonów, która wedle ich pojęć musiała się odbić w uszeregowaniu ciał niebieskich, utrzymywały że i planety i gwiazdy wydają tony

muzyczne, przebiegając przez fale eterowe które w tym przechodzie swym potracają i tworzą w ten sposób harmonijną nigdy nieustanną muzykę niebieskich sfer. Marzenia te zostały wznowione w XVI wieku przez Tycho Brahego i Keplera, którzy obadwa jeszcze wierzyli w dźwięczny koncert Wszechświata.

Pomimo, iż słabe chociaż niezupełnie jasne wyobrażenie o sile ciężkości, zaczęły świtać w myśli filozofów Anaxagoresa, Demokryta i Platona, planety jednak krążyły w powszechném przekonaniu starożytnych w okół środków próżnych, niematerjalnych, leżących na obwodzie innego wielkiego koła zwanego *deferentem*, którego środek zajmowała ziemia. Pomysł takiego dziwaczego ruchu zwanego *epicyklowym* należy się Apoloniuszowi z Perga, który żył na parę wieków przed naszą erą. A jednak pojęcie takiego ruchu było już wielkim krokiem postępu w porównaniu pojęć, które przedtém jeszcze panowały; bo starożytni wedle świadectwa Vitruwiusza nie mogąc wytłumaczyć sobie wstecznego pozornie ruchu planet w ich niektórych stanowiskach, i zatrzymywania się ich chwilowego, sprzeczynianego rzeczywiście obiegowym ruchem ziemi, rozumieli jak powiada ten uczony, „iż planety z powodu swój odległości, nie będąc dostatecznie oświetlanemi na swych drogach, zatrzymują się niekiedy na czas dla odszukania ich (liber IX).”

Pomysły Ptolomeusza o budowie Świata, które przekazał w swém dziele nazwaném przez niego: *Syntaxa matematyczna*, a przezwaném przez Arabów dziełem „bardzo wielkiém“ *Alma gesta*, i które pod tą nazwą doszło do nas; nie mogło nic razić zawilnością i dziwacznością swoją tak sprzeczną z pojęciami naszymi filozoficznymi o prostocie praw i sił, któremi Stwórca rządzi wszechświat; że już nie mówię filozofia, lecz zdrowy rozsądek włożył w usta Alfonsa X króla Kastylijskiego tak powszechnie znane słowa: „jeśli by mnie Bóg wezwał na doradcę świat ten tworząc, byłbym go lepiej urządził“.

Wieki średnie, które żyły tylko pojęciami starożytnych i powtarzały prawie dosłownie astronomiczne i fizyczne pomysły Arystotelesa, Hiparcha i Ptolomeusza, dochowały nam ściśle wyobrażenia o kryształowych

spółśrodkowych sferach. Wielki Dante Alighieri, którego pojęcia kosmologiczne były mieszaniną pojęć chrześcijańskich i arabskich, a który tak doskonale streścił nie tylko całą wiedzę teologiczno-filozoficzną, lecz i astronomiczno-fizyczną scholastyków, w swój nieśmiertelnej Komedyi tak słusznie przez potomność Boską przezwaną, podaje nam obraz układu świata ściśle Ptolomeuszowski. Jedno mistyczny geniusz jego nadał tym dziesięciu sferom znaczenie symboliczne i stopniowém wzniesieniem błogosławionych duchów, zaludnił te ciała i przestwory.

Księżyc „perłą niebios“ przezeń nazwany, uczynił mieszkaniem tych duchów, którzy za życia ślub uczyniwszy z dziewictwa, wyrzekli się go dla miłości ziemskiej, dlatego też zaledwo dosięgnąć zdołali pierwszego stopnia niebios. Na Merkurym osadził zaś takie duchy, które się zbyt sławy ziemskiej dobijali. Wenerę uczynił pomieszkaniem tych dusz, które upadkiem ziemskiego kochania skalane, zdołały jednak przeduchownić namiętność tej miłości. Na świeczniku świata, Słońcu „wielkorządcy przyrody“ umieścił świeczniki kościoła, wielkich teologów. Poległych za krzyż i wiarę przyoblekł w ciała płonące blaskiem zbawczego znamienia i niemi Marsa zaludnił. A w jeszcze duchowniejszą, promienniejszą szatę ciał przyrodził sprawiedliwych, uczynił Jowisza ich przybytkiem i świecą na nim jako orły srebrne. Lecz kto się zagłębiał za życia w tajemnice prawd wiekuistych, religijnych, ten dostąpił siódmego nieba i przebywa na Saturnie, z kąd po bezgranicznej złotej drabinie zstępują wciąż anielskich duchów chóry z ósmej sfery, z nieba Gwiazd stałych, „nie mającego granic ni biegunów“. Tam duchów najczystszych tryumfalnego orszaku Chrystusa, najwyższe mieszkanie, tam niebios królowa przebywa i jeden się wznosi hymn błogosławieństwa. Te wszystkie niższe sfery nieb upodwładnione są dziewiątej, zewsząd je otaczającej, a która jest pierwszą dźwignią ruchu (il primo mobile) tych sfer; w świecie zaś ducha tą przyczyną jest pierwsza, najwyższa miłość świat ogarniająca. Mistyczny geniusz Dantego, w całym blasku rōztoczył się dopiero gdy wkroczył w sferę najwyższą, w Empireum, gdzie wybrani zasiadają na milicnach tro-

nów roztoczonych w okół tronu Przedwiecznego, jako liście kielicha róży wiecznej, białej, mistycznej; a ze stóp tronu tego bije łuna światłości wiekuistej, której oglądanie daje pokój wieczysty wszelkiemu stworzeniu:

„Che solo in lui vedere ha la sua pace“. (*Il Paradiso Divina Comedia* Dante Alighieri).

Wzniesienie się do prawdziwych pojęć o wielkości Świata, zależne było w dużej części od poznania wielkości naszej własnej Ziemi jako podstawy, która mogła posłużyć późniejszym wymiarom przestworów niebieskich.

Kulistość kształtu ziemi była znaną Pitagorejczykom (Hicetasowi Ecphantusowi i Heraklidesowi z Pontu), których pojęcia w tym względzie wysmiewała szkoła Epikuresa robiąca im zarzut, żeby się ludzie nie zdołali utrzymać na tej przeciwległej półkuli *Antichthon* zwaną. Późniejszymi czasy Arystoteles, Strabon, Cyceron, Seneka i Pomponiusz Mela ze starożytnych, przechowali tradycję prawdziwego kształtu ziemi i przekazali ją następnie przez Arabów wiekom średnim, w których mniemanym obskurantyzmie, jak Humboldt powiada, jasne i zdrowe pojęcia starożytności przechowały się po klasztorach i kolegiach. Śkarby tych prawd przechodziły spuścizną z pokolenia na pokolenie. Widzimy téż, że Arab Edrisi, a następnie Albert wielki, Rogeryusz Bakon, Dante, Piotr d'Ailly i Rogeryusz Beauvais nie ulegli błędom pojęć współczesnych, dla których ziemia miała jeszcze kształt płaski; kolisty, lub równoległoboczny podzielony symetrycznie na cztery zatoki (Arabską, Perską, morze Kaspjskie i Sinus Romanus czyli morze Śródziemne). Owszem, uczeni ci byli głęboko przekonani o kulistym kształcie ziemi; brakowało im jednak dowodów niezbitych, opartych na odkryciach geograficznych i były to raczej mniej więcej szczęśliwe domysły i wnioski, niżli pewniki naukowe.

Widnokraż geograficznych pojęć starożytnych rozszerzał się powoli i winien był to rozprzestrzenianie się przemysłowym i podbójczym stosunkom Egipcyan, handlowym żaglom Fenicyan, niespokojnej ciekawości Hellenów i zamięłowaniu Tusków w barsztynie; a nakoniec wielkim zdobywczym wyprawom Macedończyka. Je-

dnakże starożytni nie zdołali bynajmniej doścignąć idei prawdziwej o wielkości i kształcie Ziemi naszej.

Pierwsze niepewne odkrycia Amerykańskich wybrzeży dzisiejszej Wirginii i Florydy, zrobione w IX wieku przez Irlandczyków, a dochowane w podaniach ich najdawniejszych Sagów; również jak pewniejsze powtórne odkrycie północniejszych szerokości téjże Ameryki (a mianowicie wyspy Nantucket, Massachuset, Nowej Szkocyi, Nowej ziemi i Labradoru) dokonane w X wieku (986 r.) przez Islandczyków, a mianowicie przez Leifa syna Eryka Czerwonego, nie wywarły żadnego wpływu na rozszerzenie pojęć o wielkości naszej ziemi (*Examen critique de l'histoire de la Géographie de Nouveau Continent* par Alexandre Humboldt). Odkrycia te pozostały bezwplywowemi dla Europy, pomimo wielkiego oddziaływania, jakie mogli ci odkrywcy wyrzucić na plemiona zamieszkujące podówczas Amerykę. Na wniosek ten zdaje się nawet naprowadzać zjawienie się w téjże epoce, cywilizatora Peruańskiego Manco-Capac'a, coby służyło za dowód, że i pierwsze ziarno oświaty zostało rzucone na ziemię Amerykańską przez Europejczyków.

Zmarniały także bezużytecznie dla cywilizacyi, nieco później dokonane następne dwukrotne odkrycia północnej Ameryki. Pierwsze w 1380 r. przez braci Zeni Weneccyanów, którzy wybadali odkrycia Skandynawów przybijając do brzegów odkrytych przez tych ostatnich; a drugie dokonane prawie w sto lat później, a mianowicie w r. 1476 przez sternika polskiego Jana Szkolna (z Kolna), który się znajdował podówczas na służbie u Krystyana I króla Duńskiego i przewodził wyprawie morskiej Duńczyków. Dotarł on aż do Labradoru. To odkrycie przez Polaka wschodnio-północnych wybrzeży Amerykańskich, jest przedostatniem w kolei czasów, bo na 16 lat tylko poprzedza ostateczne odkrycie środkowej Ameryki przez Kolumba (*Pomniejsze pisma geograficzno-historyczne* J. Lelewela, *Historya geografii* str. 58).

Zaszczyt prawdziwego odkrycia Nowego Świata, które otworzyło istotnie świat nowy dla działawczego ducha ludzkości, należy się bezspornie wielkiemu Genuńczykowi Krzysztofowi Kolumbowi, który pierwszy

odsunął zaporę granic ziemi, przepłynąwszy Atlantyk zwany wówczas *Mare tenebrosum*.

W głębokim przeświadczeniu o kulistości kształtu ziemi, w czém go jeszcze bardziej utwierdził współczesny mu znakomity astronom uczony Toscanelli, z którym się bezwiednie zeszli na drodze téj myśli olbrzymiej, szedł on odkryć „wschód przez zachód” i przekonał się, „że ziemia nie jest tak wielką jak ją wyobrażają“ (słowa z jego *Lettera rarissima* pisanego z Jamajki do Ferdynanda i Izabelli w dniu 7 lipca 1503 r.). W pobożnym zapale wyzwolenia grobu Chrystusa Pana i rozszerzenia światła wiary, ta wielka dusza *ostatniego krzyżowca*, jak go pięknie i prawdziwie nazwał Mickiewicz, we wzniosłym i nedorównanym uczuciu pokory, spowiada się i wyznaje w zostawionej księdze proroctw, że był tylko narzędziem w ręku Bożém w dokonaniu tego wielkiego celu (1).

Odtąd późniejsze wyprawy dokonane w XV i XVI wieku, mianowicie przez Vasco de Gama w celu opłynię-

(1) Są to słowa tak rzadkiej i wzniosłej prostoty i pokory, że nie mogę powstrzymać się od dosłownego ich przytoczenia. Powiada on: «do wykonania przedsięwzięcia poznania tajemnic ziemi, znalazłem Pana sprzyjającego mym zamiarom, Jego to ręka raczyła udarować mnie skłonnościami ku temu i pojętnością. On to obdarzył mnie szczerze znajomością żeglugi, z nauki o gwiazdach udzielił mi tyle, ilem jój mógł potrzebować, zarównoż jak i z arytmetyki i geometryi. Nadto obdarzył mnie zdolnością zrysowywania krajobrazów i umieszczania na nich we właściwych miejscach miast, rzek i gór. W czasie młodości mojej zgłębiałem wszelkiego rodzaju pisma, dzieje, kroniki, filozofie i inne nauki i sztuki wedle miary udzielonych mi przez Boga zdolności umysłowych; Jego ręką widomie wiedziony, przepłynąłem ztąd do Indyi, bowiem On mnie natchnął wolą do wykonania tego przedsięwzięcia i wówczas to w żarliwości tego zapалу, zwróciłem się do waszych królewskich mości (do Ferdynanda i Izabelli). Wszyscy ci, którzy zasłyszeli o moim zamiarze zaprzeczali możności jego wykonania i wysmiewali się ze mnie; wszystkie nauki o których wspominałem na nic mi się nie przydały, i jeśli w Waszych Królewskich mościach wiara i wytrwanie pozostały niezachwianemi: komuż zawdzięczać macie światło, które Was również jak i mnie oświeciło, jeśli nie Duchowi Świętemu» (*libro de los Profecias* fol. IV przytoczone w Humboldta *Histoire de la geographie de Nouv. Cont.*). Pobożna dusza Kolumba widziała w odkryciu Indyi jedno cud ręki Bożej i spełnienie się proroctw Izajasza i Dawida. Co do téj ostatniej myśli jego i przytoczonych dowodów, są one niezmiernie naciąganiem i świadczą tylko o późniejszym skierowaniu mistyczném tego wielkiego serca i umysłu.

cia Afryki i dotarcia do Indyj wschodnich, a przez Magellana i Sebastyana de Elcano (1520—22 r.) w zamiarze opłynięcia w koło kulę naszą dopełniły znajomości kształtu i głównych wymiarów wielkości naszej ziemi, a raczej przekonały o porównawczej jej małości, gdy wielki Kopernik i jego wielcy następcy Galileusz, Kepler i Newton pojęli szyk, prawa i wielkość układu słonecznego.

Tak jak Kolumbowi należy się zaszczyt odkrycia Ameryki, pomimo iż miał poprzedników, których przypadkowy traf zaniósł na brzegi, do których on docierał z samowiedzą celu, tak i naszemu Kopernikowi należy się niezaprzeczenie sława wyjaśnienia istotnej budowy i szyku ciał naszego układu, pomimo, iż szkoła pitagorejska na kilkanaście wieków uprzedziła go w tym względzie na drodze myśli, którą Kopernik podjął, przeprowadził naukowo i dowiódł matematycznie. Bo jest-li zresztą jakiegobądź naukowe prawo dzisiejszej wiedzy, któreby nie było przeczute lub domyślane przez te genialne dzieci, których dzieje zwać Grekami?

Wznowienie fałszywej nauki pitagorejczyków: *falsa illa doctrina pitagorica*, jak ją nazywa dekret Congregazione del'Indice (1), stanowi tylko część zasługi naszego rodaka; dowód zaś matematyczny sprostowania dotychczasowych zawiłości ruchów ciał układu, i wykazanie doskonalszej i piękniejszej ich harmonii, gdy pochodnię świata (*lucerna mundi*) uczynimy środkiem krążeń tych ciał, jest właśnie głównym i najpiękniejszym liściem jego wieńca. Odtąd zkarłała Ziemia, strącona z przywłaszczonego przez siebie tronu dzierzzonego wieków tyle, zeszła do rzędu mniejszych zaledwo planet, krążących w okół tego Słońca, któremu ona niegdyś w hardości swój pychy, kazała obiegać w okół siebie, nie przysądzając mu nawet swych wymiarów.

(1) Dekret ten przeciw dziełu Kopernika, również jak i dekret potępiający dzieła Galileusza zostały cdwołane przez papieża Piusa VII w r. 1828. Zwołane w tym celu zgromadzenie kongregacyi jednogłośnie przyzwoliło na przedstawienie wniesione przez kardynała Toriozzi, „żeby oczyścić kościół święty od zgorzenia, jakiemu daje miejsce utrzymanie tych edyktów».

Lecz jako w świecie moralnym, każda prawda zdobywa się ofiarą, a otrzymuje nagrodę w wyższym i doskonałym postąpieniu w prawdzie Bożej, tak tu stało się zarówno w świecie fizycznym. Ziemia nauczona wzniosłej cnoty pokory przez Kopernika, w uczuciu tém, to jest w spokornieniu, w uznaniu prawdziwego stanowiska swego, zajmowanego pomiędzy ciałami niebieskimi, wzniesć się dopiero zdołała do tych wysokich spoglądów o budowie Wszechświata, do których doszła w następnych wiekach, a które wszystkie wspierają się na tym węgielnym kamieniu, założonym przez Polaka.

„W rzeczach nauki powaga tysięcy mniej waży, niż najprostsze rozumowanie jednego” powiedział Galileusz; i rzeczywiście runęła odtąd cała budowa kryształowych współśrodkowych sfer, których liczba wzrosła już była do 77, również jak i sztuczne ruchy epicyklowe; a zanim do obalenia tych fałszywych pojęć przyłożył się także i dowód materyalny swobodnego krążenia komet w niebieskich przestworach, już geniusz Kopernika nauczał: iż Słońce zawieszony w pośrodku świata swojego, otoczony jest szeregiem planet swobodnie wokół niego krążących, a idących w szyku następnym: Merkury, Wenera, Ziemia, Mars, Jowisz i Saturn. Z całego zaś świetnego domniemanego dawniej orszaku Ziemi, pozostał jój tylko jeden Księżyc, który stale towarzyszy jój krążeniom wokół ogniska układu.

Wsteczny krok zrobiony na chwilę przez Tycho Brahe'go, który uznając ruch wszystkich planet wokół słońca, Słońcu samemu kazał się obracać z niemi razem wokół Ziemi nieruchomej, niedługo królował w świecie nauki. Prawda dowiedziona matematycznie, musiała zwyciężyć wszystko co mogło poważać się jój przeciwstawić; a walcząc oczywistością i pokonywając przekonaniem, znalazła wkrótce obrońców i rozkrzewicieli w najpotężniejszych geniuszach owoczesnych Keplerze i Galileuszu. Odtąd tryumf myśli Kopernika został zapewnionym, bo czyż nakoniec wcześniej czy później mogła nie zwyciężyć prawda, którą najwymowniej i najjawniej głosiła sama przyroda?

Ale Kopernik wykazawszy architektonikę układu słonecznego, nie znał praw życia téj budowy, praw krążeń tych ciał, a tylko domyślał się siły, która temi ciałami włada, nie mając jeszcze dokładnego pojęcia praw jej działania. Drogi planet uznaje on być doskonałemi kołami, a środkiem krążenia ciała może być dla niego punkt niematerialny.

Wedle filozoficznych pojęć starożytnych o boskiej naturze ciał niebieskich i o prostoci praw, któremi rządzi przyroda, obroty tych ciał powinny były odbywać się po najdoskonalszój linii; a że najdoskonalszą ze wszystkich linii zamkniętych jest koło, najgłębszém przeto przekonaniem starożytnych było, iż wszystkie ciała niebieskie odbywają swe krążenia po kołach. Dopiero Kepler z dostrzeżeń robionych nad planetą Marszem przekonawszy się o niezgodności przypuszczalnej kolistój linii jego drogi, z rzeczywistemi jego położeniami, doszedł i do wypadku: że ciała niebieskie krążą nie po kołach, lecz po ellipsach, i że Słońce leży nie w środku pierwszych, lecz w ognisku drugich. Jest to pierwsze ze trzech wielkich praw noszących nazwę *praw Keplera*, któremi ten genialny prawodawca ruchu ciał niebieskich zapisał w nauce nieśmiertelne swe imię. Mistyczny równie jak i matematyczny geniusz jego szukając praw harmonii w świecie błąkał się czas jakiś we wznowionych przez siebie pojęciach Pytagorejczyków o analogii zachodzącej pomiędzy odległościami znanych wówczas planet z siedmioma tonami muzyki. Następnie znów przypuszczał, że ich uszykowania zależne są od kształtu pięciu prawidłowych brył geometrycznych. Lecz po nieudatnych powyższych probach dociekl nakoniec prawdziwego stosunku odległości ciał niebieskich i ciągle zmiennego ich ruchu, i wyraził je dwoma innemi prawami. A mianowicie: prawami zgodności harmonijnej pomiędzy przestrzenią ubieżoną przez ciała niebieskie i czasem w którym ten ruch został odbyty; również jak pomiędzy czasem całkowitych obrotów tych ciał w okół Słońca i odległościami ich od tegoż wspólnego ogniska, tak iż znając jedno, można otrzymać drugie rachunkiem.

Odkrywszy te szczytne prawa tak przeciwne ówczesnym pojęciom mechaniki niebieskiej, Kepler zwątpił, by myśl jego mogła być rychło zrozumianą przez współczesnych i potomność. Wielki jego umysł w głębokiem przeświadczeniu prawdy, którą zdobył, wyrzekł wówczas te wzniosłe słowa tchnące pokojem, właściwym jedno geniuszowi posiadającemu świadomość sił własnych. „Los rzucony, zaczynam pisać me dzieło: czy je będą czytać w tym wieku, czy téż w przyszłych, cóż mi na tém zależy? Będzie ono mogło poczekać na czytelnika. Czyliż Stwórca nie czekał sześciu tysięcy lat na czytelnika dzieł swoich.”

Nieodżałowana szkoda, że potężny ten umysł wzniosłszy się do tak głębokich spoglądów o Wszechświecie i jego prawach, obłąkał się później w mistycznych marzeniach i przyćmił nieco tém samém swoją piękną sławę. W swém dziele *Harmonii Świata*, wydanej w 1619 r. Kepler cały Świat Słoneczny mieni być całością organiczną, związaną z sobą tajemnymi, nieprzepartemi węzłami sympatyj. Ciało Niebieskie mniema on być rodzajem zwierząt kosmicznych, posiadających organa fizyczne i obdarzonych duszą rozumną, która jest przyczyną ich ruchu, związku ich z sobą i zgodności ich krążeń w okół Słońca. Słońce zaś będąc rządcą ruchu tych istot jest ogniskiem czystego rozumu, źródłem harmonii wiecznej, skupieniem najdoskonalszej mądrości: jedném słowem jest najszczytniejszym symbolem Stwórcy Samego. (*Harmonices Mundi* 1. V. 1619).

Pomimo iż Kepler zdaje się zupełnie jasno wiedział, że siłą rządzącą układem planet jest ciężenie i prawo téj siły możnaby wyprowadzić z jego praw ruchu; a niektórzy późniejsi filozofowie, i matematycy, jak Descartes Borelli i Hooke domniemywali się poczęści tożsamości siły dzierżącej światy z ciężkością ciał ziemskich i przyciąganiem się ich wzajemném, których prawo było znane, również jak podległość temu prawu wszystkich ciał ziemskich (bowiem od czasu Galileusza wiadomo już było prawo jednakiéj szybkości spadania w próżni różnorodnych ciał), jednak zaszczyt nieśmiertelny matematycznego wykazania ciężenia powszechnego należy się niez-

przeczenie genialnemu Newtonowi, który dowiódł: iż ta sama siła, która utrzymuje wszelkie ciało na kuli ziemskiej i oderwać się mu od niej nie daje, a rzucony kamień zmusza do spadnięcia, skoro siła rzutu ustanie, trwa i w odległościach oddaleń ciał niebieskich, trzyma je wszystkie na wodzy, i że krążenie tych ciał jest tylko ciągłym spadaniem ich ku swemu środkowi ciężkości, uwarunkowanym niewyczerpującą się nigdy siłą rzutu, która sama w sobie dotąd pozostała tajemnicą. Siła zaś ciężkości warunkuje się dwojako: najprzód, wielkością masy ciała, która wzrasta i ubywa w prostym stosunku tej ilości; wtóre zaś, słabnąć w miarę oddalenia ciała, w pewnym stałym stosunku matematycznym (w odwrotnym z kwadratów odległości).

Tak jak nasz Kopernik postawił odrazu myśl swoją jako pewnik niezachwianie ugruntowany na matematyce; tak i Newton, tę zdobytą przez siebie wielką prawdę przyrody, podał nie jako przypuszczenie, lecz jako prawo wyczytane z faktów. „Hypoteses non fingo” powiada, „hypotez nie stawiam, bo wszystko co się tylko nie wywodzi ze zjawisk natury, jest hipotezą, a hipotezy nie powinny być przyjęte w filozofii przyrody.” Szedł on przeciwnie drogą wywodów, a trzymając się ściśle zasady swojej: by „z niewielkiej ilości faktów odkryć prawo natury, a następnie za pomocą tych praw, zdać sprawę ze wszystkich innych powinowatych zjawisk”, zdołał zdobyć najpowszechniejsze i najwładniejsze prawo Wszechświata. Krążenie księżyca wokół ziemi było dla niego tą myślą promienną, która mu wskazała prawo tej siły znajdującej z wiekami coraz większe tylko sprawdzenie i powszechniejsze stosowanie.

Ta jedność i powszechność siły rządzącej wszystkimi ciałami Wszechświata, równie jak każdym atomem ich materii, dała także przejrzeć Newton'owi najwyższą z prawd ducha, była mu objawieniem istnienia Stwórcy; a w jedności siły władzącej wyczytał *jedność* Boga. „Ponieważ, jak powiada, wszystko nosi na sobie znamię jednego planu w zbudowaniu, oczywista więc, że wszystko musi być podległe jednemu i téjże Istocie.”

Newton dał dowód fizyczny prawdziwości systemu Kopernika; mianowicie iż Ziemia nie miałaby siły utrzymać cały układ słoneczny, bowiem masa jej wynosi zaledwo $\frac{1}{3552410}$, część masy układu. Władcą zaś wszystkich tych ciał, może być tylko jedno Słońce które 750 razy przewyższa swą masą cały układ wzięty razem.

Odkąd ci trzej wielcy geniusze: Kopernik, Kepler i Newton wykazali prawa budowy, ruchu i siły władającej układem Słonecznym, wielcy współcześni im astronomowie, również jak i astronomowie wieków następnych, przynieśli tylko nowe dowody na poparcie prawdziwości tych pomysłów; bowiem każde nowo odkryte przez nich ciało, szło tylko dopełniać i uharmonizować ten piękny doskonały szyk układu naszego, podlegając każde po szczególnie odkrytym prawom.

W końcu XVIII i w połowie XIX wieku, Wilhelm Herschel i Leverrier odkryciem Urana i Neptuna dopełnili liczbę wielkich planet, których dziś rachują 8.

Odkrycie tego ostatniego planety jest jedną z najpiękniejszych chlub rozumu ludzkiego i szczytnych tryumfów nauki. Na mocy wszechwładności prawa ciężenia powszechnego, astronom Le Verrier rozważając ruch postępowy Urana i badając przyezyny zboczeń jego od stanowisk, na których się ten planeta powinien był znajdować z wypadku rachunku, a które się niczém dotąd w zupełności nie dawały wytłumaczyć, wpadł na genialny pomysł, że przyezyną tego nieprawidłowego ruchu Urana być musi planeta jeszcze niedojrzany, leżący poza krańcami wiadomego wówczas układu słonecznego, który przyciąganiem swęj masy wytrąca go z położenia właściwego. Następnie zaś z rozważenia tych wstrząśnień zdołał wniesć o odległości tego domyślanego planety, o massie jego i o ówczesném stanowisku przestrzenném. Nieomylném okiem matematyki uczony ten bez pomocy jakich bądź środków fizycznych zdołał przedrzeć zasłonę przestrzennęj dali, a jako nie nawykły do dostrzeżeń napisał do astronoma berlińskiego Galle'a, żeby nastawił lunetę na część niebios wskazaną przez niego.

Galle zadosyć uczynił jego żądaniu i przewidziany planeta znalazł się istotnie w polu lunety.

Był to jeden z tych błyskawicznych wypadków nauki, któremi ona od czasu do czasu poraża zdumionych niedowiarków nienawykłych do wierzenia w nieomyłność jej wniosków, chociażby najściślej ugruntowanych. Poza Neptunem nie znamy już żadnego planety, lecz śledzenie ruchu jego i wstrząśnień przez lat kilkadziesiąt, umożliwi odkrycie następnego w rzędzie odległości ich od Słońca; i w ten sposób z krażeń i wstrząsań ciał znanych będziemy mogli nadal dochodzić istnienia nieznanych planet w kolejnym ich następstwie. Wpiérw okiem nauki, niż okiem teleskopu; nieomyłnością analizy rachunku zastąpimy wadliwość i niedoskonałość środków dostrzeżeń optycznych; a dokonamy tego wsparci na wszechwładności Newton'skiego wyrazu prawa ciężenia powszechnego.

Galileusz, Huygens, Dominik Cassini, Wilhelm Herszel, Bond i Lassell, dotsrzegli, że nie jedna Ziemia ma towarzysza; lecz że planety Jowisz, Saturn, Uran i Neptun posiadają całe układy podobnych księżycy; a nadto że Saturn otoczony jest trzema pierścieniami. Odkrycie księżyców Jowisza, czyli świata Jowiszowego jak go nazwał sam odkrywca jego genialny Galileusz, miało jeszcze wielką zasługę udowodnienia prawdziwości systematu Kopernika.

W końcu XVII wieku Childrey kapelan lorda Somersset, a następnie Dominik Cassini odkryli pierścień materji kosmicznej zwanój Zorzą Zwierzyńcową, który krąży także wokół Słońca w pośród szeregu planet.

W tymże niemal czasie Halley wliczył pierwszego Kometę, który dotąd jego nazwę nosi, do rzędu ciał stale wokół słońca krążących i odtąd zaczyna się cały wieloliczny ich szereg rok rocznie wzrastający.

Kepler wychodząc ze swój zasady harmonii w uszykowaniu budowy świata domyślał się istnienia planety niedojrzanego jeszcze pomiędzy Marsem i Jowiszem. Tę zbyt wielką próżnię przedzielającój ich przestrzeni nie mógł wielki umysł jego pojąć niezapełnioną. Późniejszymi zaś czasy na początku wieku naszego, astronom Olbers opierając się na dziwnie przybliżonóm prawie (wynale-

zionem przez Tytiusa choć nosi nazwę Bode'go, lecz nie mogącem być zwanem prawem dla braku ścisłości), a mianowicie, że w szyku oddaleń planet od słońca, każdy następujący w tym szeregu leży prawie dwa razy dalej od poprzedniego planety, to jest, iż Wenera leży w odległości dwa razy większej niż Merkury, a Ziemia dwa razy większej od Wenery, Mars dwa razy większej niż Ziemia i tak następnie, zaczął poszukiwać planety w odległości dwa razy większej od Marsa, która to przestrzeń, jak już wiemy, uznawana była za opróżnioną. W istocie też przewidzenie to zostało sprawdzonem z tą tylko różnicą, że w tém miejscu przestrzennem zamiast jednego planety znaleziono dużą ilość małych. Od pierwszego dnia pierwszego roku XIX stulecia, zaczyna się stały ciąg odkryć tych drobnych ciał planetarnych, Planetoidami zwanych, krążących pierścieniem wokół Słońca pomiędzy Marsem i Jowiszem. Pierwsze z nich Ceres, odkryte zostało przez Olbers'a, a 42 Izyda przez Pogson'a w połowie czerwca zeszłego roku: liczba ich wzrasta bezustannie.

Nakoniec do rzędu ciał naszego układu słonecznego zaliczyć jeszcze wypada, owę nieprzeliczoną ilość ciał metorycznych, pochodzenia planetarnego, owe światy poronione, które nam spadają gradem kamieni, lub pojedynczymi wielkimi bryłami; albo téż tylko jako gwiazdy spadające, oznaczają na chwilę ślad swojej drogi na niebios lazurze srebrnym światła potokiem, by dalej pójść kołować, niedowidziane już dla oczu naszych i szkieł.

Wedle jednych krążą one wokół Słońca pierścieniem przecinającym w czterech punktach drogę Ziemi, a wedle innych zaś astronomów, cały ich lik niemający prawidłowego kierunku, ze wszech stron otacza przestrzeń pewną, wśród której kilka planet, a w ich liczbie Ziemia nasza, kołowania swe odbywają wokół ogniska układu.

(Dokończenie nastąpi).

O STOSUNKACH WZAJEMNYCH MIĘDZY WŁAŚCICIELAMI DÓBR A WŁOŚCIANAMI W KRÓLESTWIE POLSKIM.

PRZEZ

Antoniego Cyprysińskiego.

II. Duch ustawy z d. 26 maja (7 czerwca) 1846 roku.

Do najważniejszych dla kraju urządzeń z czasu przeszłego panowania, należy Ukaz Najwyższy dany dnia 26 maja (7 czerwca), a ogłoszony dnia 20 sierpnia (1 września) 1846 roku, w tój osnowie:

„Zważywszy, że w Naszém królestwie Polském, włościanie, po nadaniu im wolności osobistój, doznali już w dobrach rządowych od 1831 roku znakomitych co do ich powinności ulg, i byt onych przez stopniowo przedsiębrane środki, coraz się bardziej ustala; kiedy przeciwnie włościanie w dobrach prywatnych osiedli, skutkiem nieoznaczenia przez prawo, stałych w tój mierze zasad, jedynie od dowolności właścicieli dóbr zależą: zważywszy, że właściciele dóbr, korzystając z takowego stanu rzeczy, samowolnie rugują włościan lub odejmują i uszczuplają grunta, przez nich oddawna posiadane, z kąd następnie wynikają: pomnożenie liczby włościan pozbawionych roli i częste ich przesiedlanie, wywierające wpływ szkodliwy na zamożność i moralność tój pożytecznej klasy ludności krajowej: zważywszy nako-

niec, że włościanie osiedli w dobrach prywatnych, z obawy utracenia gruntów przez nich oddawna obrabianych, zmuszani są częstokroć do przyjmowania warunków i ponoszenia powinności uciążliwych, bądź przez właścicieli dowolnie narzuconych, bądź na samych zwyczajach jedynie opartych; My uznaliśmy za rzecz niezbędną, zanim wydane zostaną przepisy ogólne o urządzeniu włościan, oznaczyć wstępne onych zasady, i dlatego mieć chcemy:

„*Artykuł 1.* Rolnicy po miastach i wsiach prywatnych osiedli, przynajmniej trzy morgi gruntu dla siebie obrabiający, dopóki obowiązki do nich przywiązane należyście wykonywać będą, używać mają na przyszłość zajmowanych obecnie gruntów i innych dogodności, a właściciele dóbr nie mogą ich samowolnie rugować, ani odejmować i uszczuplać ich posiadłości, ani podwyższać ich obowiązków. Rolnicy zaś wolni są przenosić się z jednych dóbr do drugich, byleby istniejące w tej mierze przepisy policyjne zachowywali i opowiadali się właścicielowi, na trzy miesiące przed nastąpieniem roku gospodarskiego.”

„*Artykuł 2.* Osady opróżnione po włościanach ubywających, obowiązkiem będzie właściciela, najdalej w ciągu lat dwóch zamieszczać innemi włościanami, nie wcielając bynajmniej takowych osad do gruntów folwarcznych.”

„*Artykuł 3.* Z liczby istniejących w dobrach prywatnych pod rozmaitemi nazwami darnoch i najmów przymusowych, wszelkie które okażą się nieopartemi na tytułach prawnych mają być przez Radę Administracyjną zniesione, w dobrach prywatnych w zarządzie samych właścicieli zostających od dnia 20 grudnia 1846 (1 stycznia 1847), w dobrach zaś, które na mocy zawartych w formie urzędowej przed dniem 20 grudnia 1845 (1 stycznia 1846) roku kontraktów, są wdzierżawione, od daty expiracyi kontraktów.”

„*Artykuł 4.* Dla rozpoznawania i rozstrzygania sporów pomiędzy właścicielami dóbr i włościanami w sposób jak najdogodniejszy i o ile być może, skrócony, Rada Administracyjna, w miejsce dotychczasowego postępowania, uznanego za uciążliwe dla włościan, wyda stosowne przepisy, wskazujące osobne formy postępowania i oznaczające jurysdykcyę, którym podobne sprawy odtąd ulegać mają, a tym

czasem taż Rada, poleci Władzom Administracyjnym czuwać jak najtroskliwiej, iżby powinności i obowiązki włościan względem właścicieli dóbr, nie przewyższały tych, jakie po zniesieniu nieprawych darmoch i najmów przymuszonych, okażą się na prawnym tytule oparte, i jakie w dniu 20 grudnia 1845 (1 stycznia 1846) roku istniały; niemniej, aby w sprawach właścicieli z włościanami, wymierzoną była ścisła sprawiedliwość, i udzielaną zgodna z prawem, komu należy, opieka.”

„*Artykuł 5.* Właścicielom którzyby mieli zamiar zawierać z włościanami umowy o czynszowanie, Władze Administracyjne udzielać będą potrzebną pomoc i opiekę; wszakże umowy tego rodzaju, mają być przez Władzę Gubernialną ze szczegółowemi wnioskami, przedstawiane do zatwierdzenia wyższej Władzy Rządowej, którą Rada Administracyjna do tego wyznaczy.”

„*Artykuł 6.* Posiadacze wieczyści dóbr rządowych, tudzież do funduszu edukacyjnego, do instytucyj i gmin należących, obowiązani są zostających tam rolnych mieszczan i włościan utrzymać przy dotychczasowych posiadłościach, i nie mogą nowych nakładać obowiązków nad te, jakie są inwentarzami lub innemi tytułami opisane, a zachodzić mogące spory, rozstrzygane być mają przez Władze właściwe Administracyjne.”

„*Artykuł 7.* Wykonanie téj Naszej woli i stopniowe jej rozwinięcie, Namiestnikowi Naszemu, tudzież Radzie Administracyjnej królestwa Polskiego poruczamy.”

Zanim przystąpimy do rozbioru szczegółowych przepisów tego ważnego aktu; przypatrzmy się poprzednio całości jego, w której, jakby w postawie i w obliczu, duch czyli myśl jego wyraźniej się przebija.

Konieczność przyjscia w pomoc ogółowi włościanu królestwa Polskiego wyprowadza Ukaz Najwyższy, z nieoznaczenia przez prawo obowiązków włościan i tém samém zażelenia ich, jedynie od dowolności właścicieli. Poprzedni wywód okazał istnienie takiego stanu rzeczy i źródło jego, w niepogodzeniu powszechnego prawa ze składem społeczności naszej rolniej, mianowicie zaś w jednoroczności lub trzyletności prawnej dzierżawy i w niezaprowadzeniu właściwej ceny dzierżawnej.

Jako skutki niedostateczności prawa i zależności włościan od dowolności właścicieli dóbr, to jest, jako złe wymagające zaradzenia, podaje dalej Ukaz Najwyższy, *naprzód*, że właściciele samowolnie rugują włościan, zmieniają i uszczuplają grunta przez nich oddawna posiadane, zaczęm idzie pomnażanie się liczby włościan pozbawionych roli i częste ich przesiedlanie się, szkodliwie wpływające na zamożność i moralność téj pożytecznej klasy ludności krajowej, i *powtóre*, że włościanie z obawy utracenia gruntów przez nich oddawna obrabianych zmuszani są częstokroć przyjmować i znosić powinności uciążliwe, bądź przez właścicieli dowolnie narzucone, bądź jedynie na zwyczaj oparte.

Bezpośrednim przeto zamiarem Najwyższego Ukazu było przeciąć: 1) rugowanie włościan, odiniane lub uszczuplanie ich posiadłości; 2) wzrastanie liczby rodzin włościańskich bezrolnych; 3) istnienie powinności nieprawnych i 4) możliwość samowolnego nadal podwyższania obowiązków nawet prawu nieprzeciwnych; czemu téż stało się zadość przez rozporządzenia, *co do 1*, w artykule *piérszym*, że rolnicy po miastach i wsiach prywatnych osiedli, przynajmniej trzy morgi gruntu dla siebie obrabiający, dopóki obowiązki do nich przywiązane należycie wykonywać będą, używać mają na przyszłość zajmowanych obecnie gruntów i innych dogodności, a właściciele dóbr nie mogą ich samowolnie rugować, ani odejmować i uszczuplać ich posiadłości; i *w artykule 6*, że posiadacze wieczyści dóbr Rządowych, tudzież do funduszu edukacyjnego, do instytutów i gmin należących, obowiązani są zostających tam rolnych mieszczan i włościan utrzymać przy dotychczasowych posiadłościach, i nie mogą nowych nakładać obowiązków nad te, jakie są inwentarzami lub innemi tytułami opisane. *Co do drugiego*, w *artykule drugim*, że osady opróznione po włościanach ubywających obowiązkiem będzie właściciela najdalej w ciągu lat dwóch zamieszczać innemi włościanami, nie wcielając bynajmniej takowych osad do gruntów folwarcznych. *Co do trzeciego*, w *artykule trzecim*, że z liczby istniejących w dobrach prywatnych pod rozmaitemi nazwami darmocho i najmów przymusowych, wszelkie, które okażą się nieopartemi na tytułach prawnych, mają być przez Radę Administracyjną zniesione, w dobrach prywatnych w zarządzie samych właścici-

cielów zostających od dnia 20 grudnia 1846 (1 stycznia 1847) roku; w dobrach zaś, które na mocy zawartych w formie urzędowej przed dniem 20 grudnia 1845 (1 stycznia 1846) roku kontraktów, są wydzierżawione, od daty expiracyi kontraktów. *Co do czwartego, w artykule, pierwszym, że właściciele nie mogą podwyższać obowiązków włościan, oraz w artykule czwartym, że Rada Administracyjna, poleci Władzom Administracyjnym czuwać jak najtroskliwiej, iżby powinności i obowiązki włościan względem właścicieli dóbr nie przewyższały tych, jakie po zniesieniu nieprawych darmoch i najmów przymusowych okazały się na prawnym tytule oparte, i jakie w dniu 20 grudnia 1845 (1 stycznia 1846) roku istniały.*

Oprócz powyższych opisów, wyczerpujących środki zaradzenia niedogodnościom w pobudkach do wydania Najwyższego Ukazu wymienionym, zamieścił jeszcze tenże Ukaz, trzy wprost z pobudkami w związku nie zostające, a jużto interes włościan, już wspólny ich i dziedziców dóbr na celu mające rozporządzenia: 1) o terminie opuszczania gospodarstw przez włościan, 2) o rozsądzaniu spraw pomiędzy włościanami a właścicielami dóbr, i 3) o czynszowaniu włościan; w szczególności zaś postanowił: *co do pierwszego w artykule pierwszym, że rolnicy wolni są przenosić się z jednych dóbr do drugich, byleby istniejące w tej mierze przepisy policyjne zachowywali i opowiadali się właścicielowi na trzy miesiące przed nastąpieniem roku gospodarskiego; co do drugiego w artykule czwartym, że dla rozpoznawania i rozstrzygania sporów między właścicielami dóbr i włościanami, w sposób jak najdogodniejszy i o ile być może skrócony, Rada Administracyjna, w miejsce dotychczasowego postępowania, uznanego za uciążliwe dla włościan, wyda stosowne przepisy, wskazujące osobne formy postępowania i oznaczające jurysdykcyę, którym podobne sprawy odtąd ulegać mają; a tym czasem poleci też Rada Władzom Administracyjnym czuwać jak najtroskliwiej, aby w sprawach właścicieli z włościanami, wynierzaną była ścisła sprawiedliwość i udzielaną zgodną z prawem, komu należy, opieka; nakoniec co do trzeciego w artykule piątym, że właścicielom, którzyby mieli zamiar zawierać z włościanami umowy o czynszowanie, Władze Administracyjne udzielać*

będą potrzebną pomoc i opiekę; wszakże umowy tego rodzaju, mają być przez Władzę Gubernialną ze szczegółowemi wnioskami przedstawiane do zatwierdzenia wyższej Władzy Rządowej, którą Rada Administracyjna do tego wyznaczy.

Wykonanie i stopniowe rozwinięcie myśli Swojej, raz we wstępie do Najwyższego Ukazu, a drugi raz w sześciu jego artykułach objawionej, poruczył Prawodawca Namiestnikowi Swemu i Radzie Administracyjnej Królestwa.

Od roku 1807 do 1846 upłynęło lat prawie czterdzieści. Najlepszym dowodem małego postępu sprawy włościańskiej, troskliwości samych stron, i swobodnemu ich umawianiu się pozostawionej, jest wielkie, po upływie blisko połowy stulecia podobieństwo stanu rzeczy; za którym poszło podobieństwo ustaw, w dwóch tych, tak znacznie oddalonych od siebie terminach.

Odezwa Króla Saskiego do rady stanu dnia 1 grudnia 1807 roku, tak jak i Ukaz Najwyższy dnia 26 maja (7 czerwca) 1846 roku, odróżniają urządzenie tymczasowe nastąpić mające zaraz, od urządzenia stałego nastąpić mającego później. I wtedy i teraz, uznano koniecznym utrzymać w niezmienności do czasu, stan istniejący posiadania i powinności włościan: z tą wszakże różnicą na zaletę późniejszych urządzeń, że gdy w roku 1807 niezmiennosc ograniczono tylko *do roku*, chociażby w tym przeciągu czasu do stałego urządzenia nie przyszło; w roku 1846 stan istniejący, złagodzony nadto uchYLENIEM obowiązków nieprawnych, przedłużono aż do wprowadzenia ustawy o stałym urządzeniu włościan; w skutek czego utrzymanie tymczasowości, zawisłe po roku 1808 od woli samych właścicieli dóbr stało się dla nich od roku 1846 bezwarunkowo obowiązującym. Tak w roku 1807 jak w 1846 miano na uwadze prawne ustalenie stosunków włościan z właścicielami dóbr na przeciąg tymczasowości, przez umowy: z tą atoli odmianą, dającą wyższość Ustawie roku 1846, że gdy w roku 1807 król saski polegając na rozumieniu przez strony wzajemnego pożytku, dojście umów do skutku im samym pozostawił, nie zastrzegłszy na umów tych warunki i ośnowę żadnego dla siebie wpływu; Ukaz Najwyższy 1846 roku stał się sam, na przeciąg tymczasowości kontraktem dla włościan,

bo oznaczył i ustalił trzy główne rzeczy, to jest: przedmiot, trwanie, i wszystkie szczegóły stanowić lub wyobrażać mające cenę dzierżawną. Oprócz tego, o czém rząd księstwa Warszawskiego nie był pomyślał, o tém Najwyższy Ukaz 1846 roku nie zapomniał, gdy zapowiedziawszy ustanowienie dogodnego dla włościan sądownictwa, zwiastował im, jeden z najgłówniejszych środków istotnego wprowadzenia ich do przybytku prawnej opieki.

Jakkolwiek zdaje się, że i w całości Najwyższego Ukazu i w każdym z osobnych jego przepisów, duch jego iest widoczny; jednakże dwa w tym przedmiocie powstały zdania, które przyprowadzone do najkrótszego wyrażenia tak się wysłowić dadzą: *jedno*, że artykuły od 1. do 6. włącznie Najwyższego Ukazu prawa własności dziedziców dóbr do gruntów przez włościan posiadanych bynajmniej nie naruszyły ani nie zmieniły: że stanowczo, niczego jednej stronie nie odebrały i drugiej nie dały; *drugie*, że przemieniły włościan na wieczystych, czy dzierżawców czy użytkowników, pod stałemi w nich zawartemi obowiązkami.

Stronnikom tego drugiego zdania łatwo było od wyobrażenia wiecznotrwałości Najwyższego Ukazu, przejść do wyobrażenia wiecznotrwałości posiadania włościańskiego, składu osad włościańskich i obowiązków do ich posiadania przywiązanych, czyli prestacyi, a poniekąd nawet do wyobrażenia przelewu z właścicieli dóbr na włościan prawa własności gruntów posiadłość włościańską stanowiących. Nie zwrócili oni może bacności na skutki, jakie z przypuszczenia, że Ukaz Najwyższy jest Ustawą nie tymczasową ale stałą, wyniknącby musiały, ze względu na stosunek prawny, na skład posiadłości włościańskich i na przywiązane do nich powinności, jakie Ukaz Najwyższy istniejącemi zastał. W szczególności zaś nie uważali może; *co do stosunku prawnego*, że niktby zapewne uznać nie mógł za mający i mogący trwać wiecznie, rodzaj dzierżawy żadnemu prawodawstwu nieznanym, z żadnym niezgodnym: w której właściciel gruntu znosićby musiał na zawsze dzierżawcę, jego potomków lub prawonabywców, a dzierżawca miałby moc, w każdym go roku opuścić, wkładając jeszcze na niego obowiązek, wyszukania w jego miejsce następcy; *co do przedmiotu posiadłości włościańskiej*, że obowiązek zacho-

wania na wieczne czasy takiego składu osad włościańskich, jaki był w roku 1846 wstrzymywałyby na zawsze postęp i zamożności włościan i gospodarstwa krajowego, szczególnie tam, gdzie dla polepszenia jego, zamiany i regulacye byłyby koniecznemi; *co do powinności, przywiązanych do osad włościańskich*, że obowiązek utrzymania na wieczne czasy, jeżeli nie co do nomenklatury i postaci, to przynajmniej co do wartości, prestacyi włościańskich, jakie były w roku 1846, wkrótceby okazał się zgubnym i dla włościan i dla dziedziców dóbr: *dla włościan*, ponieważ ich powinności, jakkolwiek zniesieniem nieprawnych wymagań pomniejszone, są jeszcze w wielu miejscach zbyt uciążliwymi, a gdzie zasadzają się głównie na osobistej posłudze, stawałyby się coraz uciążliwszemi i kosztowniejszemi, w miarę wzrostu gospodarstwa i podwyższania się ceny najmu: *dla dziedziców dóbr*, ponieważ mając udział we wzrastających coraz ciężarach krajowych, nie mieliby wzajemnego udziału w korzyściach z podnoszącej się coraz wartości ziemi: a gdzie ich dochody od włościan zasadzają się nie na posługach osobistych, lecz na opłacie, traciliby nieskończenie na mniemaniu się ceny pieniędzy: nakoniec nie uważali i tego, że rozporządzenia Najwyższego Ukazu w trzech powyższych okolicznościach, rodzaju, składu i warunków posiadania włościańskiego, wypływające wprost i koniecznie z jego charakteru tymczasowości, a zatem tak jak i ona sama; nieuchronną potrzebą usprawiedliwione; nie dałyby w przypuszczeniu, że przepisy zawarte w 6 artykułach Najwyższego Ukazu są ustawą stałą, pogodzić się z zasadami ani prawodawstwa, ani prawa, ani ekonomii politycznej, ani słuszności. Mogło wprawdzie w stronnikach tego drugiego zdania obudzić wątpliwość wyrażenie użyte w końcu wstępu do Najwyższego Ukazu w tych słowach: „Uznaliśmy za rzecz niezbędną, zanim wydane zostaną przepisy ogólne o urządzeniu włościan, oznaczyć *wstępne onych* zasady, i dlatego mieć chcemy” jako dające pozór do mniemania, że zaraz po owych wyrazach idące przepisy zawarte w sześciu artykułach Ukazu, są *wstępem* czyli *początkiem* do stałego włościan urzędnictwa; a zatem, że przez same ich wykonanie i rozwinięcie, wielkie to dzieło uzupełnione zostanie. Ale tę wątpliwość usuwa odniesienie się do oryginalnego tekstu rossyj-

skiego Najwyższego Ukazu, w którym powiedziano: „Мы признали необходимымъ впредь до изданія общаго закона объ устройствѣ поселянъ, положить къ тому предварительныя основанія, и вслѣдствѣ того повелѣваемъ” to jest „My uznaliśmy koniecznym, na czas (lub na przeciąg) do wydania powszechnego prawa o urządzeniu włościan, oznaczyć *ku temu poprzedzające zasady, a właściwiej zabezpieczające środki* i dlatego rozkazujemy.” Przywiedzione wyrazy oryginalnego tekstu, nie tylko nie czynią o tém wzmianki aby rozporządzenia sześciu artykułów Ukazu były wstępem czyli początkiem stałego urządzenia; ale przeciwnie oznaczają wyraźnie naturę tychże rozporządzeń *tymczasową* i trwanie *tymczasowości* ograniczają tylko do chwili wydania powszechnego prawa o włościanach.

Takie rozumienie Najwyższego Ukazu, zgodne z jego naturą, zamiarem i wyrazami samego Prawodawcy, jest najpiérwszym warunkiem zachowania mu w każdym szczególe wykonania właściwej fizyonomii i całej żywotnej jego siły; jest jedynym środkiem zapobieżenia temu, aby przez pomieszanie dwóch rzeczy, celem, rozciągłością, a w wielu względach i zasadami bardzo od siebie różnych, nie zmącić wyobrażeń ludu rolniczego o istotnym znaczeniu téj ustawy, lub téż przez łączenie z urządzeniem tymczasowym, tego co się do stałego urządzenia, odnosi, obu tak ważnych dzieł nie powikłać i nie opóźnić.

Postanowienia zamieszczone w Najwyższym Ukazie dosięgają ważnością i donośnością swoją wzniosłych wido-ków jego Nadawcy. Moźnaby powiedzieć, że jak Jozue wstrzymał bieg słońca, nie dlatego, aby miał zburzonym zostać ład i porządek świata, ale dlatego tylko, aby uzupełnić się mogło zwycięztwo ludu Bożego; podobnie prawodawca nasz rydwan, rzeczy włościańskiej krajowej, ku przepaści pędzący, wstrzymał potężnym swoim skinieniem, i założył nań Ukaz dnia 26 maja (7 czerwca) 1846 roku, jako hamulec; nie dlatego atoli, aby na téj groźnej spadzistości miał pozostać na zawsze, ale tylko dopóty, dopóki uitorowaną nie zostanie dla niego droga niemyląca i bezpieczna.

Trzymać się zatem wypada niewątpliwiej osnowy Najwyższego Ukazu i przyjąć, że on jest zarazem zapowiedzeniem przyszłego powszechnego prawa o włościanach, i ani

zasad tegoż prawa, ani praw własności bynajmniej nie przesądającym składem przepisów, których celem jest utrzymać i jakby znieruchomić do czasu stan wzajemnego stosunku, dziedziców dóbr i włościan, jaki był w dniu 20 grudnia 1845 (1 stycznia 1846) r., a to dla zapobieżenia, żeby tenże stan nie został jeszcze bardziej na szkodę włościan zmienionym i pogorszonym; niepłonnie bowiem przewidywać i obawiać się było można, że przy popędzie, jaki do rugowania włościan wzrastał po różnych okolicach kraju, w ostatnich przed wydaniem Ukazu latach, powszechne prawo włościańskie wymagające dłuższej rozwagi i pracy, po przejściu wszystkich stopni swojej formacji, mogło już było prawie nie zastać przedmiotu, dla którego było przeznaczone i do którego miało być zastosowane.

Z dwóch tak dobitnie odróżnionych zamiarów Najwyższego Ukazu, dwojaka też wynika organiczna praca: *jedna* uporządkowania tymczasowości w ten sposób, aby nietylko stan włościan istniejący w dniu 20 grudnia 1845 (1 stycznia 1846) roku nie został na ich uszczerbek zmienionym, ale także aby ulepszenia jego tamowaniami nie były; i *druga* przygotowania powszechnego prawa o włościanach, mającego kres położyć stanowi tymczasowemu.

Każda tymczasowość jest z natury swojej znakiem nie-normalnego stanu, jakby patologicznym symptomatem społeczności, jakby okresem kuracyi, wymagającym częstokroć środków ostrych i bolesnych, które atoli ustają z chwilą ustania choroby; każdej zatem, mniejsza lub większa użyteczność albo szkodliwość, zależy wprost od jej krótszego albo dłuższego trwania. Oprócz tego każda tymczasowość, podobnie jak choroba, prowadzi za sobą, pewne wstrząśnienie, pewne obawy, niespokojności, pewne wstrzymanie naturalnego biegu rzeczy, ażąd i konieczne szkody, tak, że do każdej, a tém bardziej do naszej stosunku włościańskiego, jako głęboko sięgającej w majątkowe położenie i właścicieli dóbr i włościan, stosowaćby można słowa Cycerona wyrzeczone o poborach ludu rzymskiego: „Nam caeteris in rebus, quum venit calamitas, tum detrimentum accipitur; in vectigalibus, non solum adventus mali, sed etiam metus ipse, affert calamitatem.” Dlatego też, jak z jednej strony zaprowadzanie tymczasowości bywa niekiedy koniecznym;

tak z drugiej, dla skrepowanych od niej, nic pożądanszego być nie może, jak najkrótsze jej trwanie i jak najprędszy jej koniec.

Z takiego zapatrywania się na ducha Najwyższego Ukazu dnia 26 maja (7 czerwca) 1846 roku i dalsza robota nasza rozdziela się na dwie części, to jest: *piérwszą* o tymczasowém urządzeniu włościan przez Ukaz Najwyższy za-zaprowadzoném, i *drugą* o stałym urządzeniu włościan czyli o powszechném prawie włościańskiem w tymże Najwyższym Ukazie zapowiedzianém.



ROZMAITOŚCI.

OSTATNIE CHWILE ŻYCIA.

(Wyjątek z dziennika domowego).

Bądź pokorną przed Bogiem, a mężną przed ludźmi, Elżbieto: doktor nie ma już prawie żadnej o Lucyanie nadziei. Raz jeszcze jutro spróbuje sondę zapuścić, ale wątpi, czy znajdzie tę kulę nieszczęsną, która się zdaje coraz dalej usuwać. Chory tymczasem nie traci przytomności, spokojny jest, cierpliwszy niż był kiedykolwiek w pełni sił i zdrowia, gorączka nawet nie zachwiała władz jego umysłowych; owszem podniosła je nieomal do stopnia natchnienia i jasnowidzenia. Mój Boże, jakizto zapas siły w tym organizmie!... Poczciwa Milcia ustąpiła Lucyanowi własnej izdebki, ostatniego zakątka, gdzie sama czasem wypocząć mogła na chwilę. Nie jest to jeszcze cichość pożądana i zupełna, lecz w obecnym położeniu jest za co Bogu dziękować, że się i takie schronienie znalazło. Pokoik wprawdzie nie wielki, ale dość wysoki, czyściuteczko biały, okno na ogród wychodzące, przy łóżku w głowach czarny z lekarstwami stoliczek, a w nogach krzesło na którym zawsze ktoś z przychylnych sieduje i czuwa. Chciałabym ci temi drobnymi szczegółami osłodzić nie na dzisiaj, ale na kiedyś stratę, którą poniesiesz. Już cię gdy lata, lata miną, gdy mniej z boleścią a więcej ze wspomnieniem żyć zaczniesz, błogo ci będzie pomyśleć, że twój Lucyan wśród pogodnych i dobrych wrażeń umierał, że mu nie brakło na pożegnanie ani światła, ani powietrza, ani widoku rodzinnej ziemi, ani starań tkliwej przyjaźni. Pojmuję, że teraz wszystko ci jeszcze obojętnym będzie: uczujesz tylko to, z czego ja sama otrząsnąć się nie mogę: uczujesz żal jakiś rozpaczliwy za szczęściem, co z twego życia odpada, jak ja go czuję ciągle za ubytkiem piękna i dobrego, które dla świata ginie. Później dopiero, może się obie nieraz pcciozimy, że twój ukochany

a mój piękny i dobry odszedł sobie w pokoju przed jakąś chwilą wielkich boleści, gorzkich zawodów, prób ciężkich i doświadczeń nad siły człowiecze. Tobie dziś trudno przypuszczeniu takiemu dać wiarę: ja ci mówię jednak, ja, dwa razy wiekiem starsza i wszystkich żalów serdecznych świadomsza, ja ci mówię, tak bywa najczęściej. Płakałam tylu drogich zmarłych moich szczerym, nieutulonym płaczem, i zawsze prędej, czy później, musiałam ręce złożyć, a Bogu dziękować, że już nie ma ich ze mną!.. Przyjdzie godzina, w której się pewnie także śmierci Lucyana radować smutnie będziemy—„Ach! jakie szczęście że on tego nie dożył, że on tego nie widzi, że jemu to przynajmniej oszczędzonym zostało!.. Zobaczysz Elżbietko, mimowolnie powtórzysz kiedyś słowa podobne, masz prawo nie wiedzieć o tem, lecz ja wiem; tylko, z tej całej wiedzy i mnie jakoś hartu nie przybywa: tak cierpię, tak się moczuję z koniecznością, takbym chciała wydrzeć zniszczeniu ten piękny obraz Boży, jak gdybym miała dla niego przyszłość najświetniejszą i najwygodniejszą na ziemi miejsce. Oh! bo Lucyan jest rzeczywiście „pięknym” obrazem Bożym: im więcej rysy jego się zmieniają, tém więcej rys każdy uwydatnia się w duchowej prawdzie swojej i ze śmierci nieśmiertelnym wybija pierwiastkiem. Widziałam go przed miesiącem, zdawał mi się tylko trochę wyższy, trochę przystojniejszy od innych młodych ludzi, którzy mój salonik napełniali wtedy. Zapytana o niego, wątpię nawet, czy byłabym umiała komukolwiek charakterystycznie go opisać; dzisiaj już pewna siebie jestem, że nie zapomnę nigdy tej twarzy: na rzymskich zdaje się kościach ezysto-sławiańskim ciałem powleczonej, gdyby ją w profilu suchym odznaczyć konturem, toby kto myślał, że z jakiego medalu przed-Cesarowych czasów rysowana; kontur wypełnić tylko cieniami i kolorytem, nikt się już nie omyli, że syna poczciwych naszych Piastów wizerunek. Czoło znać jeszcze, że rzymskie, gładkie, trochę niby dumne, nad brwiami wzniesione lekką czaszki wypukłością; nos rzymski także, w przejściu z orlego na cudny typ grecki, jak też niegdyś drapieżne zbiegi Romula na rycerskich przeradzały się Scypionów; ale usta, ale oczy, ale całe wypełnienie czystego twarzy obwodu, to bezzaprzeczenia, to zupełnie nasze, Elżbietko. Usta mają takie rzewne a serdeczne uśmiechy, taką dziecinną czystość w swojej pełności, taką prostotę w swoim rozwarciu; oczy mają takie błękitne spojrzenia, a takie ciemne źrenice! Nie domyślałam się nawet podobnego wzroku, bo to nie owa hardość i przenikliwość bystrych promieni dyamentowego kaleidoskopu, ale trudno powiedzieć: na mnie oczy Lucyana robią wrażenie gwiazd z głębokości przepaścistej świecących: im więcej się pochylić, im więcej spojrzeniem w ich spojrzeniu zanurzyć, tém one coraz jaśniejsze, coraz spokojniej we własnej światłości utkane, a dalekie, a głębokie, jak nieskończoność.

Wczoraj dopiero spostrzegłam się Elżbietko, że mimowolnie wszystkie widziane dotychczas obrazy i wszystkich prawie spotkanych w życiu ludzi przyrównywał sobie do tego młodzieńczego oblicza, które mi się stało już pewną miarą na ocenienie wartości, na wytłumaczenie prawdziwego znaczenia wszelkich kształtów zewnętrznych. Gdzie czoło jest podobne a brak podobnego uśmiechu i spojrzenia, tam pycha tylko inteligencyi, tam siła woli bez miłosierdzia; gdzie uśmiech i spojrzenie a brak odpowiedniej kościstej podsady, tam miłość do słabości posunięta, lub idealność w rozmarzenie zapadła: trzeba koniecznie takiej zgody jaką twarz Lucyana przedstawia, żeby do pierwowzoru najdoskonalszego się zbliżyć, ale też na to trzeba mieć i duszę Lucyana, co to niby z pogańskiej wszechwładzy i chrześcijańskiego czucia urobiona, w naszej przeszłości Regulusowe uszlachetniła cnoty, w naszych boleściach z Katońskiej rozmiękła twardości, naszymi ofiarami Maryszowe spłaciła błędy. I pomyśleć, że za dni kilka, za kilkanaście może godzin, garstka ziemi przysypie tyle jeszcze nie użytych skarbów, że ze szczupłej gromadki sprawiedliwych i poświęconych ubędzie i to najgłodniejsze sprawiedliwości, najchętniejsze do poświęceń serce; pomyśleć, że gdy codzien rodzą się kaleki, potwory, samoluby, wydziercy, tutaj umiera on, piękny i dobry, on wyższych zdolności, a miłującego ducha... Pomyśleć to i nie sarknąć... Nie sarknąć—broń Boże, Elżbieto, gwałtem sobie przypominać trzeba, że Pan i Ojciec nasz w Niebiesiech jest Mądrością i Łaską najwyższą, tylko my nie zawsze wiemy, nie ciągle pamiętamy, nie od razu pojąć jesteśmy zdolni.—Przyszłość dopiero objaśni, bo przez wieki wieków „Bóg się usprawiedliwia w sądach swoich”. Przecież czujesz że tych słów z prostego zwyczaju nie piszę, mam niemi sama duszę przepelnioną; nie daję ci rady, ani pociechy: daję ci żywy przykład i komunią spełnianego czynu, a niech ci się nie zda—jeżem obca, więc też obojętniejsza, więc też łatwiej się z wyrokami Najwyższego zgadzająca. Kto wie, czy mnie nawet nie trudniej jak tobie ukorzyć się przed niemi? Ty tracisz własność swoją, ty możesz w każdej chwili powiedzieć „oddałam;” ja tracę część wspólnego bogactwa, i załamuję ręce, bo najbliższém wrażeniem mojem jest to: że mi wzięto!...

List mój przerwałam, gdyż Lucyan kazał mię prosić do siebie; zaledwie się zbliżyłam i przy łóżku stanęłam, popatrzył mi w oczy badawczo i spytał łagodnym głosem:

— Czy kto umarł znowu?

Spostrzegłam się dopiero, że mi łzy nieotarte po twarzy płynęły.

— Nikt dzisiaj jeszcze—odpowiedziałam pospiesznie..

— Więc na zadatek płaczecie po tych, którzy jutro umrzeć mają?— rzekł z uśmiechem w jedynęj wolnej ręce moję rękę ścisnąjąc.

Nie dlatego, by jemu wzruszenia oszczędzić, lecz dla siebie samej, by się w głos nie rozplakać, chciałam inny dać naszemu rozmowie kierunek.

— Ot, zwyczajnie, odpowiedziałam z udaną swobodą, pisałam listy, a zawsze jest więcej smutnych niż pomyślnych wieści do rozdania. Czego to jednak było tu potrzeba?

— Ot, zwyczajnie, powtórzył żartobliwie mnie przedrzężniając, leżałam sobie nie śpiący, a zawsze wtedy choremu więcej dziwactw niż zdrowych myśli do głowy przychodzi; i mnie także zachciało się z łóżkiem trochę bliżej ku oknu powędrować.. Prosiłem posługacza, żeby tu pani zawezwał, a pani jako najrozsądniejsza i najwszechmocniejsza opiekunka moja, raczysz mi to zachcenie z głowy wybić, lub zadość uczynić mu każesz.

Skłopotalam się okropnie, bo nie mogłam przewidzieć, czy jakkolwiek lekkie poruszenie, stanu chorego nie pogorszy jednak; z drugiej strony tęsknota jego do powietrza i szerszego na świat Boży widoku, tak mi się poczuć dała, jak gdyby mi z własnego wydarła się serca. Lucyan odgadł zapewne jedno i drugie wrażenie; kiedy w namysłach stałam, on znów prosić zaczął:

— Jestem pewny, że mi to nie szkodzić nie będzie, a słońce zachodzi tak pięknie; ztąd go nie widać, lecz pełno złota i purpury w powietrzu. Czyż warto się pozbawiać takiej dekoracji dla...—zatrzymał się i dodał po krótkiej rozwadze,—dla trochę mniej, lub trochę więcej bólu.

Poszłam się naradzić z chirurgiem, wezwałam kilku zręcznych pomocników i dzięki Bogu, udało nam się łóżko bez żadnego prawie wstrząśnienia przenieść. Gdy już Lucyana dobrze koło okna ustawiono, całej twarzy wyrazem ucieszył się i drzewom ogródka, i tuż za ogródkiem płynącej rzece, ale najdłużej wzrok jego spoczął na ramionach drewnianego krzyża, który się trochę dalej wznosił przy zakrzywionej do sąsiedniego miasteczka drodze. Nic nie mówił, bo znać lękał się, by z głosu nie poznano, że go trochę przenośna podróż zmęczyła: łatwo tylko odgadnąć było można dziękczynną w myślach modlitwę, pobożne a rozkoszne w sercu uniesienie. Tymczasem wszyscy się oddalili, ja sama dla pilnowania chorego zostałam. Przyniosłam sobie krzesło, usiadłam naprzeciw Lucyana, wydobyłam z kieszonki podręczną moją robotkę i chciałam się nią zająć szczerze, ale robotka mimowiedzy na kolana opadła:—raz wzniosłszy oczy przed siebie, już ich spuścić ani odwrócić nie mogłam. W orzeźwiającym ciepłym majowego wieczoru, Lucyan zdawał się powoli do sił przychodzić, oddech jego coraz był równiejszy, cera twarzy coraz czerstwiejsza; usta lekko piérwój nerwowym bolem ściągnięte, wypełniały się krwią i życiem, jak gdyby jeszcze pełen nadziei toast im się należał. Ujęłam ową nieprzybandażowaną rękę, która po mojej stronie leżała wyciągnięta: ręka była jędrna, miękka, nie smoczona, niezbyt sucha tak-

że; jak najwyraźniej gorączka zawisła na chwilę, prąd swobodnego ducha zranione ciało przenurował i wskrzesił.

— Dobrze mi tutaj! ach! jak dobrze!—zawołał nakoniec czystszy i pełniejszy niż w biegu całej choroby głosem. Oto mi są podarowane chwile, w których prawdziwie warto i błogo umierać. No, czemuż pani zaraz łzy się w oczach kręca; a rozumna kobieta, a chrześciana...

— Niech mię Bóg broni od takiego rozumu i od takiego chrześcijaństwa, co pocziwie łzy w oczach wysusza—rzekłam mu do spokojnego zmuszając się uśmiechu.—Gdybym nie zapłakała czasem na widok tylu nieszczęść i klęsk tylu: po czémżeby mię w dzień sądu ostatecznego anioł wskrzesiciel rozpoznał. Może wzięłby mię za skorupkę berlińskiej porcelany, lub angielskiego wedgwoodu i niemiłosiernie na śmiecisko wyrzucił; a kiedy śladu moich łez dzisiejszych dopatrzy, to zaraz pozna nadwiślańską glinę i przypomni sobie, że z takiej samej Pan Bóg pierwszego człowieka ulepił.

Lucyan znów się zadumał.

— Masz pani słusność—odezwał się wreszcie:— są łzy świadectwa, tylko jabym chciał i pani i wszystkim moim gorzkich łez żalu oszczędzić. Mówmy otwarcie: wszak prawda, że blizką śmiercią zagrożony jestem?

Nie starczyło mi siły na potwierdzającą odpowiedź, moniej tylko trzymaną w dłoni dłoń jego ścisnęłam i usta coś niewyraźnie o nadziei szepnęły.

— Wszak prawda—powtórzył z lekkim naciskiem—ja to już wiem, że prawda, ale czemuż wy, dobra opiekunko moja, razem ze mną do wspólki wiedzieć tego nie chcecie?

Tyle pewności i prośby zarazem było w tych słowach ostatnich, że nagle zrozumiałam całe usposobienie i wszystkie moralne potrzeby Lucyana; on chciał, póki mu władze umysłowe wiernie służyły jeszcze, z całą uroczyścią ducha obchodzić wielkie swego przerodzenia święto; miałamże ja dziecinną troskliwość i kłamliwymi obietnicami narzucać mu jakąś względną dla żalu mego obłudę? miałamże rozrywać skupiające się w jedną pracę myśli, żeby go niepewną możliwością życia, z najwznioslejszego piękna śmierci wydziedziczać? Nie, Elżbietko, na mojem miejscu byłabyś także znalazła odwagę powiedzieć, jak ja powiedziałam mu wtedy:

— Prawda Lucyanie, doktor zawyrokował wielkie niebezpieczeństwo, ale gdzie sztuki lekarskiej nadzieja się kończy, tam się nadzieja chrześcian zaczyna.

Oczy chorego zabłysły wszystkimi jasnościami jego duszy.

— Dziękuję wam za te szczerze i religijne słowa—rzekł z głębokim wzruszeniem—wyswobodziliście mię od wszelkiego przymusu, rozpowinęliście z wszystkich moich bandaży. Mam teraz wolne ręce, mam skrzydła, mam siły. Będę przy was

umięrał swobodnie. Wy tacy dobrzy jak matka rodzona. Każdę myśl podzielę z wami i dla moich najdroższych w waszj pamięci złożę. Jak oni wszyscy żałować mię będą! Najpiérwěj stryja mego wam polecam. Starajcie się go uspokoić i pocieszyć, niech aby cząstką waszj przyjaźni odplacę mu ten mozoł, z jakim mię za swoję trzecztyśiączną emeryturę wychowywał. Ilu on sobie surdutów nie sprawił, ilu filiżanek ulubionj czarnej kawy nie dopił, żeby tylko mnie na szkoły, mundurki, książki i kajeta potrzebnych pieniędzy dostarczyć. Pewny byłem, że mu to kiedyś zwrócę stokrotnie, że odsluzę w miłości i synowskich staraniach; ale inaczej Opatrzność zrządziła: to téz stryj moim żalem jedynym, bo jedynym osobistym, a niespełnionym życia obowiązkiem; chyba duch się z pod niego nie wylamie: wszak prawda? Obowiązek rzecz święta, obowiązek to rozkaz Boży, wyższy nad wolę i wybór człowieka: nie ja go sobie znaczyłem; z tajemnic przeszłości wypłynął, w tajemnicach przyszłości dokonać się musi. Dziwną mam jakąś pewnośc, że mego biędnego stryja nie opuszczę: ale bo ja nikogo z moich nie opuszczę; będę służył, kochał, czuwał innym sposobem może, nie inną duszą przeciez. Im śmierć bliższa, tém silniejsze téj nieomylnosci poczucie. Wszelkie stosunki moje rozjaśniają mi się tylko i gatunkują według złożonj w nich prawdy. Są takie, co nikną z oczu, są, co jak grzech zapomnienia łaski potrzebują, są, co jak niepotrzebny ciężar złożą się nad grobem; lecz gdzie raz wiekuistośc się przebiła, tam już zaginać nie może. Wiekuistém jest wszelkie ukochanie myśli Bozj, prawa Bozego, obietnic Bozych. Z kim się choć raz podzielimy opłatkiem wspólnej wiary w dobre, wspólnej tęsknoty za sprawiedliwém, wspólnych nadziei zbawienia; z kim wymienimy słowo pokoju, wzajemnej przestrogi, lub zachęty ku poczciwěj pracy, z kim się aby w jednym szlachetnym połączymy zamiarze, aby w jedněj odmówioněj razem zgodzimy modlitwie, z tym i wieczność nas nie rozdzieli. Oh! jak ja to czuję głąboko teraz właśnie; gdy ostatnia chwila się zbliża, a światłość wiekuista piérwszym promykiem swoim rozprasza wszelkie sądów i nawyknień ludzkich ciemności. Spotkałem przeciez i złęgo wiele na ścieżkach żywota; i nieprzyjaźń mię potraciła, i zawiść obdarła, i fałsz oszukał mię często, a w obecněj chwili mam tylko pamięć dla moich najlepszych, mam tylko miłość dla tego, co ukochać warto. Że mię kto ranił, ledwie wspomnę sobie, żem piersią własną oltarz wioski rodzinnej zasłonił: to jeszcze pod skalpelem chirurga, z lancetem w rozkrojoném ciele jutro panu i Bogu mojemu dziękować będę...

Powiedzcie wy im wszystkim, że ich kochałem aż do śmierci.

Mój poczciwy Paweł... brat ośmioma laty starszy, popędliwy, nerwami gwałtowny, a sercem jak wata miękki. W dzieciństwie bardzo przewodził nademną, czasem i prętem bez lito-

ści wytrzeptał, aż w siły urosłem i z przewodzenia do wzajemnych walk przyszło, a z walk do równości, a z równości do przewodzenia znowu, lecz już mojej głowy. Ileżto razy zastanawialiśmy się nad tą dziwną koleją naszych stosunków. Paweł nie czuł się nią bynajmniej upokorzonym; on mię tak kochał... Ot, zdaje mi się, że tak, jak to nas tylko siostry kochają.

Wszystko co zrobiłem zawsze mu się podobało: w przeprowadzeniu każdego zdania, lub zamiaru moje uwagi zdawały mu się najwłaściwszem uzupełnieniem jego własnych pojęć; nigdy w niczem żadnego współzawodnictwa; na każdy wypadek pomoc nieochybna; na każde moje żądanie macierzyńskie ustępstwo; ojcowska do poświęcenia swego interesu gotowość. Drogę ten, jedyny Paweł! co ja mu świetnych ideałów do grobu z sobą poniosę: ministra spraw wewnętrznych, poetę, hetmana, bo w jego przekonaniu tém wszystkiem być mogłem. Zadziwi się niemal, gdy mu przyjdzie dalszy ciąg dziejów bez mego historycznego imienia wyobrazić sobie. Co ja się też nazartowałem z tej braterskiej zarozumiałości: „Mamą Pawlunią” przezywałem go często, i rzeczywiście twarzą, jak mówiono, był do naszej matki podobnym. Kto tam zgadnie, co za dziedzictwo wraz z podobieństwem rysów od umarłych się przejmuję. Żegnaj Pawle! nie miałem czasu urzeczywistnić najdrobniejszej cząsteczki twoich świetnych marzeń, ale też i skłamać im czasu nie miałem.

Tu głos chorego przycichł, w odrywanych przestankach jedynie poszeptywał sobie z niewymownej błogości uśmiechem:

— Mój dobry Paweł! mój najserdeczniejszy — widać, że zbierał myślą dalsze i bliższe o nim wspomnienia. Później znów inne w pamięci stały postaci.

— Ksiądz Euzebi nieraz pewnie westchnie za moją duszę, on ją też ubogacił całą przeszłością niejako. W pierwszych chwilach zagorzałego nowatorstwa byłbym jak drugi Mieczysław kruszył i topił wszystkie dawne ludzkości bożyszcza: Grecy, Rzymianie, to były prochy pod stopą moją; klassycyzm, to był powijak geniuszu; sława, to przesąd; wielkość, to egoizm. Ksiądz Euzebi najpierwszy dał mi w ręce źródłowe dzieła prostomyślnych tytanów zamarłego świata „czytaj, mówił do mnie, czytaj i nie pogardzaj, ale czyn lepiej”. Pod jego wpływem, za jego przywodem zwiedziłem Troję, szedłem z Milcyadesem na pola Maratonu, widziałem Temistokła pod Salaminą; słuchałem Peryklesa na pogrzebnej uroczystości w Atenach, obradowałem z senatorami Rzymu i żyłem jako obecny wśród tych mężów, wśród tych zdarzeń. Dopiero wtedy pojąłem jak ciężką na nas włożyły powinność owe pogany starożytności, którym sprostać już trudno, a których jednak przerość my chrześciance koniecznie musimy. Co tam za pewność samego siebie w duchu; co za forma wykończona, w paniała i spokojna na zewnątrz! Oh! ja ze ślepym Homerem i z ojcem Herodotem pewnie

się gdzie zejść na drogach mojej dalekiej przyszłości. Decyuszów także powitać muszę; ale wy może nie wierzycie w Homera i Decyuszów, a Herodot starym bajarzem jest dla was tylko?—zagađnął mię nagle z półuśmiechem wesołym. Jakie na mnie wrażenie zrobił ten smętny żart przedśmiertny, chyba poczujesz Elżbieto: ja się tłumaczyć nigdy nie poważę. Wielkie szczęście, że Lucyan odpowiedzi nie czekał; z przypomnieniem Homera, z przypomnieniem zaczerpniętej w książkach nauki, myśl jego popłynęła ku szkolnym towarzyszom, ku młodym przyjaciolom... Wszystkich imiona wspominał koleją, nie wiem tylko, czy o wszystkich, ja z równą wiernością słowa jego powtórzyć potrafię.

—Leon—mówił on—Leon byłby gotów do boju stanąć przeciw każdemu, co śmiał osobistości Homera zaprzeczać i w siedmiu królów rzymskich nie wierzył: germańskim wymysłem nazywał to zawsze. Drażniłem się z nim często, że nie German, lecz Włoch najpierw rozbił na rapsody całość Illiady i Odyssei.—I cóż to znaczy—odpowiedział z gniewem—o Włocha pomyśle nikt przez lat tyle ani słowa nie wiedział, bo Włoch się jął nie swojej rzeczy: Włoch nie umie niszczyć i przeczyć. German dopiero jak cisnął grubą księgą swoją, tak wszyscy usłyszeli, że się coś druzgoce i wali.—Według zdania Leona teutońska rassa jest wielkim taranem do rozbicia pogańskiego świata przeznaczonym: o ile w chrześcijaństwie jój byt się przedłużył, o tyle znaczy swoje ślady rozbiciem i skruszeniem. Zaborczość, analiza, nihilizm, to jój kolej dziejowa. Fryderyk Wielki, Niehbur, Strauss, to trzy logicznie po sobie następujące aforyzmy, trzy najwyższe w Walhalli niemieckiej posągi. Wartoby słyszeć Leona, jak on tę myśl rozwija. Dzielnny chłopak! jest w nim prawdziwie natura jego imienia, a najwybitniejsza z plemiennością germańską sprzeczność. Bo to dziwna mieszanina właśnie lenistwa i twórczości: kiedy wszyscy gonią za szczęściem, na los ciężko pracują, on pewny swojej siły z boku przylega, i zdarzenia, jak lew łupu swego oczekuje bezczynnie; ale niech tylko sposobność byle jaka, niech prawdopodobna nadzieja o jeden rzut od jego legowiska się przesunie, jużci na nogach i trzyma szponami. Całe życie składa mu się z chwil pogardliwej apatyi, po których następują niezrównanej energii chwile. Do wytrwałych usiłowań wcale on się nie przyda, do śmiałych czynów jedyny; zawsze mu wróżyłem, że jeśli kiedy żołnierzem będzie, to albo w długich marszach ze zmęczenia padnie, albo przy jakim oblężeniu fortece nieprzyjacielską w powietrze wysadzi i zginie jako Samson pod rumowisk gradem. Gdzie on się téż obraca? W ostatnim liście Józefa żadnej o nim nie było wzmianki, trochę mię to dziwi i niepokoi... ale dowiem się przecież. Śmierć jest niezawodnie jakimś stopniem wszechwiedzy, o tych przynajmniej, których kochamy i którzy nas kochają; a mnie z Leonem syamskiemi bliźniętami przeżywano. Zawsze nam było dobrze i wygodnie razem, cho-

cięż nie powiem żebyto była przyjaźń najtkliwsza, była jednak najzupełniejsza zgoda. Józef kochał mię więcej nierównie, z pewną słabością nawet; gdybym tylko jego i Pawła miał na świecie, to mógłbym zwolna rozpuścić się, rozgrymasić jak despotę, a spyszczyć jak głupiec... Ej nie... nie... ja przesadzam i wybyście uwierzyć gotowi, że czyjabądź miłość szczerą, jakiegobądź człowieka zepsuje na ziemi. Nigdy mnie ani Józef, ani Paweł nie zepsuł: właśnie ich wszystkie z dobrą wiarą osobistości mojej narzucone idealiki, czyniły mię sumiennie za ich urzęczywistnianie odpowiedzialnym. Co sił starczyło dociągałem się do wyznaczonej miary: a Stefan za to na łokcie, na ćwierci, na cale i na linijki wiedział ile mi jeszcze brakuje; w razie chwilowego zaniedbania przestrzegał surowo, chłostał dowcipem, przypiekał ostrą prawdą. Wam się to jednak bynajmniej osobliwym nie wyda, że Stefana więcej prawie niż Józefa, więcej niż Pawła kocham. Gdyby ten człowiek był na mnie palcem skinął, tobym przez płomieniejący ogień pobiegł ku niemu; gdyby mi był powiedział, że jest prorokiem, tobym uwierzył; gdyby mi kazał co złego zrobić, tobym usłuchał, bo miałem przekonanie, że on wszystko jaśniej widzi, gruntowniej pojmuje, sprawiedliwiej odemnie sądzi. Nie przyznawałem się do tego fanatyzmu sam przed sobą nawet, lecz dziś spostrzegam dopiero jak głęboko tkwił w mojej duszy. Możeto było trochę grzeszne uczucie; nigdy człowiek w tak bezwarunkowe poddaństwo względem człowieka wprzagać się nie powinien, ale charakter Stefana był poczęści mojem uniewinnieniem. Rozum waząc, nie wiem, czy go miał więcej odemnie; wiadomości, to już bez wątpienia mieliśmy zupełnie równą dozę; lecz gdy szło o kierunek spraw życia, nie chcąc musiałem uznać jego zwierzchnictwo. Pewność w rzucie oka, prędkie objęcie wszelkich okoliczności, rozeznanie warunków, wyprowadzenie wniosków, zastosowanie sposobów, nadewszystko krew zimna, niezém niezachwiana powaga, żadną przeciwnością niezłamana wola, te go czyniły niby Jazonem naszej młodej przeciw światu i przeciw biedzie argonautyki. Ot, wiecie pani, gdyby Stefan chciał wejść na iglicę Maryackiej wieży, to najpierw potrafilby dowieść i wam i mnie, i wszystkim koło siebie że to jest nieodbitie potrzebną rzeczą; potem sam szedłby z nami; a czy on, czy kto inny upadł, czy nogęby złamał, dla Stefana byłoby to zupełnie równą wartości wypadkiem. Możeby wolał trochę, aby na niego spadło to nieszczęście, lecz nie przez miłość dla cierpiącego, tylko przez miłość dla zamiaru, bo nieohybnie wstałby prędziej, niż kto inny i szedł dalej swoją drogą: jemu zaś wszystko na tém zależy jedynie, by dojsć, by stanąć u celu. Dzięki Bogu, cel piękniejszy i świętszy, chociaż wyższy niż Maryackie wieże. Cel jest mądrością, cnotą i szczęściem: jakże więc tego Stefana nie kochać. Przy nim zawsze krew w sercu się rozgrzewa, pomimo tego, że on sam zimny z pozoru; przy nim zawsze prę-

dziej się biegnie, choć jego krok wymierzony; niepośpieszny, ale on też chyba siedmiomilowe buty z francuzkich bajek wielkoluda nosi. Niedawno wybrał się w drogę, a gdzie już zaszedł.. Wpływ, opinia, majątek, to materyały, które bez żadnego przyboru własną pracą uzbierał, i z których wie, że dopiero ma służbę czynić ludzkości—Oh! Bóg jest bardzo dobry, bardzo litościwy, że go dłużej odemnie na zagonie trzyma; kiedyś, gdy się za moją duszę będziecie modlili, módlcie się także, niech wam Opatrzność Stefana w sile i spokoju zachowa. Prędzej czy później przekonacie się, coto za użyteczny, możny w pracach dla bliźnich człowiek z niego będzie...

Nasz Karol także innemu zawodowi się poświęcił, lecz pewny jestem, że go chlubnie i poczciwie przebieży. Jeśli okoliczności sprzyjać mu będą, wyrośnie z niego prawdziwy nowej szkoły i nowych pojęć artysta. My, w artystach przyzwyczajaliśmy się widzieć ludzi niekarnych, fantazyjnych, dziwaków jednem słowem. Według ogólnie przyjętej opinii artyście wolno być gorszym od drugich ludzi człowiekiem; jeśli namiętnościom swoim puści wodze, jeśli się zawieruszy w gwałtowne wrażenia, w życie bez ładu i związku, to nam się zdaje, że większej siły zaczerpnie na wydanie owych arcydzieł, które nam właśnie ład, związek, potęgę i czystość objawiać mają. Karol nie uznaje tak potwornej sprzeczności: z natury jest on trochę burzliwy, ale z natury także głębokiem obdarzony uczuciem i religijnie czujnem a sprawiedliwem sumieniem. Miłość dla prawdy jest w jego organizmie tém, czém miłość dla sztuki w organizmie innych malarzy, tylko trzeba wiedzieć, że jego prawda nie ogranicza się wiernem oddaniem rzeczywistości, nie jest owym realizmem, co przeciw idealizmowi walczy: jest prawdą prawd wszelkich, prawdą zbawienia i myśli Bożej. Ta cześć dla prawdy, ten jój instykt żadnym sofizmem nie-skrzywiony, stanowić kiedyś będzie cechowe piętno wszystkich dzieł Karola, jeśli się szczerze i zupełnie malarstwu poświęci. Obrazy jego nie zginą w tłumie: nie liczbą jedynie powiększą masę rozwieszonych po galeryach płócien, ale szeregiem nowych wyobrażeń, szeregiem moralnych poglądów z bogactwem przypatrujących się im znawców i nieznawców. Może was to dziwi trochę, że względem powołania Karola wyraziłem lekką wątpliwość; i mnie się niegdyś zdawało, że się artyści na konieczną pracę według swego talentu rodzą, bo też spotykałem takich jedynie, w których talent był pochłaniającą inne, lub wyłączną władzą: dopiero osobistość Karola przekonała mię że talent, wielki nawet, znakomity bardzo talent może być i być powinien tylko naddatkiem, jedną kosztownością więcej przyrzuconą do skarbnicy ducha ludzkiego. Karolowi z łatwością przyszłoby się wyrzec ołówka i pędzla, bo Karol poza talentem swoim jest człowiekiem, który potrafi to wszystko, co my potrafimy, chociaż potrafi i to, do czego my zdolni nie jesteśmy. Mam przecież ufność w Bogu, że ten dar łaski przydatniej, że to „więcej”

co Karol przyniósł ze sobą na świat, nie obciąży go żalem, ani zmnarnowania swego, ani swojej bezużyteczności. Dla niego malarstwo nie jest fatalistycznie potrzebném, ale dla mnie, on jest potrzebny malarstwu. On ze sztuki nie weźmie utrzymania, wrażeń przyjemnych, wykształcenia umysłowego; i owszem, sam jój przyniesie dań własną, dań jasnego rozumu i szlachetnego serca. Trudno-bo wyobrazić sobie, o ile te pierwiastki są niezbędne we wszelkich utworach artyzmu; ludziom się zdaje, że zdolność może je zastąpić: niech zdolny mistrz wykona piękne dzieło, a najsurowszy krytyk o nic więcej dopominać się nie będzie. Tymczasem pięknego dzieła wykonać nie można bez prawdy, prawdy poczuć nie można bez właściwych do jój przyjęcia organów, bez jasnego rozumu i szlachetnego serca. Krąży to już oddawna w liczbie spowszedniałych maxym, tylko tak spowszedniałych właśnie, że przez zaniedbanie aż nowemi się stają. Każdy dzisiaj powtórzy: „prawda jest warunkiem piękności; gdzie brak prawdy, tam piękności nie ma”; ale któż się zastanowi, choćby tyle co Piłat pontski, i kto spyta Chrystusa w sumieniu swoim: „a cóż jest prawdą?” Gromady całe biorą za piękność to, co im się podoba, nim gromadom całym, to, co jest prawdziwem podobać się zacznie: długo, oh! pono długo jeszcze ziemia czekać będzie musiała. Wysoko już w hierarchii godności człowieczej ten stoi, komu się prawda podoba. Karolowi właśnie owa prawda jedyna, owa moralna i religijna, jest przewodnią gwiazdą życia, i dlatego nie wątpię, że się w jego utworach odbije, że się stanie ich oryginalnością najwłaściwszą. Ileż razy mogłem się o tém przekonać w naszych poufnych stosunkach! Każdy sąd jego o cudzej pracy, każdy pomysł do nowego dzieła rozszerzył mi zawsze widnokrąg dobrego, lub sprostował jakąś duchową omyłkę. Raz pamiętam, zachwycalem się wyborną kopią Magdaleny Corregia: Karol wzruszył tylko ramionami i rzekł smutnie wzdychając: „Biednej pokutnicy jeszcze za grobem ciężą grzechy jój żywota,” a kiedy z uniesieniem broniłem mego upodobania: „Gdyby to była Julietta, mówił spokojnie, gdyby śliczna Wenecyanka za swoim Romeo tęskniąca, pewnie cześbym oddał mistrzowi; ale pokutnica!... ja myślę, że nawet Julietta po oddaleniu Romea, Dydona po wyjeździe Eneasza trocheby więcej schudła i zczerniała, niż ta jawnogrzesznica rozpamiętywająca mękę swego Chrystusa i utratę swojej niewinności”. Zrobiłem uwagę, że jawnogrzesznicy sam Chrystus przecież wszystkie już winy odpuścił: to może być piękną i cichą w żalu swoim. „Nie, nie, zaprzeczył Karol, Chrystus przebaczył, ale ona sama nie przebaczyła sobie jeszcze”. Chcesz być mędrszym od katechizmu Lucyianie i dlatego się błąkasz; w katechizmie znajdziesz mój drogi, że odpuszczenie grzechów z pokuty nie zwalnia. Znów ci się zdaje, że to jest tylko surową ustawą kościelną: to jest prawdą chrześcijańskiej natury. Odpuszczenie grzechów zmienia skłonności nasze, rozjaśnia ciemność naszych wyobrażeń lecz nie umarza pamięci.

Chciéj tylko uprzytomnić sobie życie takiej duszy, co już świętość najwyższą ukochała, a musi wlec za sobą kawał powalającej, uśmieconej przeszłości, z którą się na żaden sposób rozstać nie może. W niebie, zbawiona, zapewne dostanie od Boga jakąś nową władzę, nowe uczucie przeciw jéj wspomnieniom oddziaływające, wielkiém miłosierdziem je ogarnie, jak gdybyto były bliźniego tylko wspomnienia; lecz tutaj na ziemi, pomyśl Lucyane, gdybyś ty sam naprzykład, w chwili oblędu, złego pojęcia rzeczy, przez bojaźń, lub namiętność zdradził dobrego przyjaciela, a jednak masz zarody prawości: cud łaski bożej rozwija je w tobie, stajesz się nagle prawym, szlachetnym, wstręt czującym przeciw wszelkiemu brudowi młodzieńcem. Cóż? czy bardzo godne zazdrości byłoby twoje położenie? Czy w obec hartownej cnoty Stefana nie czułbyś się na proch startym i upokorzonym; czy choćbyś znalazł przyjaciół, choćby oni tobie ufali, mógłbyś ich zupełnemu przebaczeniu zaufać? a zdradzonego czybyś pozbył z myśli jak saméj Mary po ranném obudzeniu? Toć wyobraź sobie teraz, że zdradzonym przyjacielem Magdalény jest Bóg Chrystus; że wzorem, który jéj na żywe oczy staje jest Marya bez zmazy. Sam zmartwychwstały Rabboni: „Nie dotykaj mnie”—woła: On, co później niewiernemu Tomaszowi ran swoich dotknąć pozwala. Zrozumiéj, uprzytomnij sobie tę miłość bez granic Izraelitki dla Messyasza, wyciągniętej z kału; dla Jezusa, na którym nikt grzechu nie dowiedzie; przykuty jeszcze do ziemi, dla Syna Człowieczego, co już w niebo wstąpił; choć jedną chwilę przeżyj w téj miłości, a nie będziesz później zachwycał się pokutnicą malowaną w taki sposób, że widok jéj rozbudza wszystkie wrażenia ponęty i rozkoszy, które ona gorzkimi oplakała łzami”.

I żebyście wiedzieli, droga pani, jak zawsze ten Karol umie się przenieść w chwilę podaną na obrazie, umie się wtajemniczyć w osobistość przedstawionych osób, a rozsądziłi je według niezmiennéj prawd Bożych sprawiedliwości, to doprawdy, historyk mógłby mu pozazdrościć. Niezbyt dawno przed tą całą zawieruchą, odwiedzałem go, w jego szczuplutkiej na poddaszu pracowni; jak mi zaczął o religijném malarstwie mówić, tak ja sam w duszy czułem, że się religijniejszym staję. Pierwéj zdawało mi się, że Włochy zamknęły już całą seryą religijnych obrazów; Karol mi dowiódł, iż są nawet nietknięte żyły w téj obfitej kopalni: prawda chrześcijańska wyczerpnięta dla dziejów ludzkości ma i dla sztuki coraz świeższe, coraz nowsze, coraz wyższe natchnienia. Choćby tylko uzupełnić dotychczasowe omyłki, jużby wiele do roboty się znalazło, a cóż jeszcze, gdyby zacząć rozprzestrzeniać, tworzyć, zdobywać; gdyby świętość zawartą dzisiaj w postaciach modlących się, lub zachwyconych, przenieść w postaci czynne, i skarbiące sobie zachwycenia żywioły; gdyby jéj promieniem rozświecić wszystkie władze ducha ludzkiego, wszystkie poczęte serc ludzkich uczucia i wszystkie prace dni dziejowych naszych. Wiemy, czém jest ro-

zum, wyobraźnia, nauka, czém miłość kraju, rodziny i własnej godności; czém męstwo, wytrwałość, szlachetność: ale jeszcze artyści muszą nam stawić przed oczy czém jest to wszystko właśnie. Świętości podsycone pierwiastkiem, jakże wzniosłe kombinacje się tworzą z owęj nadwyższości ludzkiej, w najwyższość bożą podniesionęj: a toć to całe przestworza, wieki całe, toć to nieskończoność przed artystami. Karol pokornie mi się przyznał, że mu jeszcze typów odpowiednich jego pomysłem brakuje; ogranicza się więc nateraz wymiarem, jak mówi, sprawiedliwości kilku pokrzywdzonym. Zaczął najpierw od Sary i Izaaka, którzy głośniej niż wszyscy obdarci, zrabowani i spotwarzeni o pomstę na malarzy do nieba wołają. Karol utrzymuje, że wypędzenie Agary szczególnie, przez najbiegłęjszych mistrzów było zawsze z Hogartowskim humorem traktowane. Agara jest wszędzie prześladowaną pięknoscią, Izmael ślicznym jak mitologicznym półbożek dziecięciem, Abraham zawojowanym mężem, Sara jędzą zazdrośną, a Izaak rozgrymaszonym żydziakiem. Tymczasem to wszystko jest kłamstwo i błąd w sztuce, bo jest kłamstwo w prawie duchowém i herezya w religijnych podaniach. Gdyby ludzie nie sądzili się mędrszemi od Pisma Świętego, łatwiejby im przyszło w jednę cząsteczkę chociaż tak mądrymi jak Pismo Święte zostać. Według biblijnej myśli Agara powinna stanąć jako harda nalożnica; Izmael jako syn niewolnicy, syn zmysłowego uścisku; Abraham jako patryarcha z władzą i prawem sędziego; Sara jako żona i siostra, a Izaak jako dziecko anielskich obietnic. Tak ich pojął Karol i tak ustawił na obrazie swoim. Nie jestem dość biegłym znawcą, bym szczegóły wykonania ocenił, lecz wrażenie ogólnego układu, mojem wrażeniem sądząc, za najlepsze uznaję. Przy rozwiniętych kształtach gniewnej, a jednak ciałem powabnej jak namiętność Egipcyaniki, stokroć artystyczniej, niżeli we wszystkich innych dziełach odbija postać dziewięćdziesięcioletniej Sary z niespożytą swoją moralną przedstawioną pięknoscią. Mimowolnie trzeba w niej uczyć kapłankę rodzinnego życia, spełnionych obowiązków i czystych zawsze myśli; twarz jęj stara bez zgrzybiałości, przywiedła bez zmarszczek, rysy wydatne a nie ostre, spokojne a nie martwe, poważne i smutne, a nie dumne i oburzone. Kto w sercu nie ma uznania takiej kobiety, niech co chce czyni, takiej też twarzy dla niej w żadnych nie dobierze ideałach: trzeba koniecznie duszą Karola pojąć niewiasty duszę, we wszystkich jęj przejawach od kolebki aż do grobu, od pieszczoty córki, do błogosławieństwa prababki; trzeba ją uznać i kochać żeby stworzyć równie doskonałą jak Sara pierwowzór. Niezawodnie jest to ta sama kobieta co ją Paweł apostoł „wola” w swym liście nazywa; wolną przez prawdę, która nas wyswobadza, przez miłość, która jak śmierć jest silna; wolną od ciemnoty i niewiadomości od potępienia i zmysłowych szalów; wolną od zwycięstw czasu i kajdan niedołęztwa, wolną w uczucie, w rozumie, w możności,

bo wolną w zbawieniu swoim. A co za przecudna sprzeczność między dwoma chłopiętami tych dwóch tak sprzecznych matek! Izaak wobec Izmaela, maluczki i pokorny przed gwałtownikiem potężnym, skrzywdzony przed krzywdzicielem, osłonięty łaską bożą, przed pysznym siłą własnego ramienia, pasterz przed łucznikiem, protoplasta Chrystusa, przed protoplastą Mahometa, a zawsze, zawsze syn wolny przed synem niewolnicy, dziedzic królestwa Bożego przed poddanym, co w jego dziedzictwie części mieć nie będzie. Karol nie tylko stworzył dwa typy: Karol przeczuł dwa kierunki ludzkości, i zrozumiał proroków obietnice. Ach! czy mu tylko danem będzie skończyć ten obraz: może w dzisiejszych trudach ręka mu ociężyc? Może tak szkicu odejść będzie musiał, jak ja odchodzę pierwszych pieśni wielkiego mego o „Życiu i Śmierci” poematu. Nie spodziewalibyście się po mnie takiego zuchwalstwa, jednak trzeba grzech wyznać: porwałem się na ogromny w dziesięciu pieśniach poemat. Przez wszystkie historyczne i niehistoryczne wieki prowadziłem ducha człowieczego ku zwycięztwu nad śmiercią i ku wszechmocy nad życiem: chciałem pokonać śmierć, której się lękamy instynktem jak zwierzęta, którą szerzymy rozumem jak szatany, której tak często znowu sercem pragniemy jak zwyczajnie utrudzeni i cierpiący ludzie. Ale widać, śmierć się obraziła za to i chciała koniecznie na rękę ze mną się spróbować: do téj chwili nie czuję przecież, by mocniejszą była...

Z tém słowem Lucyan dłuższy trochę zrobił przestanek; nie było na nim znać wielkiego zmęczenia, lecz trochę głębsze zamyslenie, jak gdyby własnego sumienia chciał pytać, czy prawdą jest to, co powiedział? Zapewne sumienie mu przyswiadczyło, bo po chwili bardzo spokojnie zagadnął mię znowu:

— Wszak Karol już wie o mojem niebezpieczeństwie?

— Doktor właśnie dzisiaj miał mi powiedzieć.

— A jego tu jeszcze niéma!— zawołał z lekkim, jedynym w ciągu całej rozmowy osobistego żalu poddźwiękiem.

Łatwo mi było usprawiedliwić Karola, który istotnie tak prędko przybyć nie mógł, gdyż sam o pół mili stąd przy chorym bracie dnie i nocy trawił. Skorom przyczynę jego nieobecności wyznała Lucyanowi, strasznie się zaniepokoił, aż mu kilkakrotnie powtórzyć musiałam, że choć brat Karola cierpi straszliwie, i ciągłego dozoru potrzebuje, wszelka jednak nadzieja, prawie pewność jego ocalenia, pozostała.

— To niechże Karol siedzi przy bracie— mówił znów szczerze jego położeniem przejęty.— Biedny Ignacy! żonę i troję dzieci w kłopotach majątkowych zostawić, toby mu okropnie było, lecz kiedy wy za jego przyjście do zdrowia ręcycie, muszę wierzyć, choć żal mi serce ściska, boć jemu gorszy los niżeli mnie wypadł. Za przedłużenie terminu wypłaty, on cierpieć musi srodcę, dla mnie żadnej prekluzji; lecz też ból wcale znośny. Tęskno mi jednak, że Karola nie zobaczę, miałem do niego wielką prośbę ostatnią...

I znów Lucyan zamilkł, a ja dziwiłam się, czemu tak długo twego nie wspominał imienia. Czy dla ciebie jednej miał więcej żalu rozstania i sam się drażnić nie chciał? czy tak wierzył w serce twoje, że mu zbyt czułym się zdało przez cudze pośrednictwo wiadome i odczuwane z całą rzeczywistością swoją przesyłać wyrazy? Rozważałam to sobie w duszy mimowolnie, a Lucyan tymczasem odpoczywał po zbyt może długim wysileniu i tylko natężonym wzrokiem przypatrywał się objętej framugą okna okolicy. Samego zachodu słońca nie było widać w tej stronie, ale jaskrawe smugi jego promieni grały po drzewach, więcej pączkami kwiatów jak liściem okrytych, przesuwały się zwolna po krzakach dobrze już zielonego agrestu i po zagonach kielkujących niedawno zasianymi kwiatkami. W oddaleniu rzeka zwykle błękitna złocistą się ublakowała czerwonością. Złoto posypało się na trawę łąk pobrzeżnych, nawet krzyż ciemny, ostatni punkt w dowidywanym krajobrazie od jasnego złota niby rozgorzał cały. W miarę jak słońce ku ziemi się spuszczało, różne części tego złotego pejzażu w coraz głębszą, niestopniowaną, lecz wydatnie odciętą zapadały ciemność. Najpierw grządki jedne po drugich zaczęły szarzać i w jednolitą stąpić się masę; potem woda swoje topazy i rubiny w połyskliwy zmieniła szafir; potem utonęła we zmroku drobna dziatwa agrestowych i pożyczkowych krzewów, potem na wierzchołkach tylko grusz, śliwek i jabłonek zostało kilka gorętszych barw i blasków; potem już tylko ramiona krzyża ostatnie zatrzymały promienie.... Lucyan wiódł oczyma za ustępującym światłem jak gdyby magnetyczną siłą wzrok jego ciągnęło ku sobie, kiedy sam krzyż jedynym widniejszym pozostał: spojrzenie Lucyana na krzyżu odpoczęło. Nie potrzebował mówić: z uśmiechu i łzy jego odgadłam, co za wdzięcznym, co za pobożnym uczuciem serce mu wzbierało na ten przypadkowy symbol ostatnich światła połysków, w ostatnim życia wieczorze żegnających go znakiem ofiary i zbawienia; dopiero gdy i krzyż pociemniał, lekka niespokojność na twarz Lucyana wybiła, uniół głowy nad możność prawie, szyję wyciągnął. popatrzył o ile mógł najdalej... lecz i najdalej wszystko dokoła przygasło.

— „Tymczasem słońce bywaj mi zdrowe”: rzekł z głębokim westchnieniem, i głowa jego bezsilnie na poduszki opadła, oczy się przymknęły: mocniejsza bladeść po licu się rozlała. Zatrwożona wstałam co prędzej, przyłożyłam rękę do czoła, do piersi, czoło było zimne, wilgotne, ale serce biło równo, choć silnymi uderzeniami. Lucyan wzniósł na mnie ociężałe powieki, ścisnął moją rękę i chciał się trochę roześmiać, żeby mnie uspokoić; nie powiodła mu się jednak ta próba, ledwie że wargi zadrgnęły nieco boleśnie. Trudno oznaczyć, jak długą chwilę w milczeniu spędziliśmy oboje: ja, trzymając mu ocet z wodą na skroniach; on ciągle mi tę intencją uśmiechem dziękując: nareszcie po jego woli się stało, uśmiech prawdziwy, nie przymusowy rozpogodził całe jego oblicze.

— Niepotrzebnie się tak trwożycie—rzekł znowu pewnym i silniejącym w każdym słowie głosem—to moje zwykłe, organiczne usposobienie. Przyznam się wam, że gdy najzdrowszy byłem, zawsze widok zachodzącego słońca okropnie przykre, ale to fizycznie przykre robił na mnie wrażenie. Ma się rozumieć, że przy zdrowiu i muskularnej ciała krzepkości nie omdlewałem co wieczór, jak powój lub anemona, niemniej wszakże z godziną zachodu bila dla mnie dzień po dniu jakaś chwila przelotnej boleści; teraz górę wzięła nademną. Lecz już zle przeszło, wierzajcie mi, przeszło zupełnie: jutro zobaczę jeszcze wschód mego kochanego słońca..., a zachodu... nie doczekam. Chwała Panu na wysokości. No, czemuż tak stoicie moja droga pani? Ręczę wam, że mi przed jutrzejszą operacją całą noc siły i spokojności podarowano z nieba: siadajcież na swoim miejscu, tam was lepiej mogę widzieć i lepiej rozmawiać z wami.—Gdy go usłuchałam, on mię usłuchać nie chciał i zamiast do snu w ciichości się sposobić:

— Czy też wam, spytał, nie zdarzyło się kiedy zauważać, jaki to dziwny stosunek bardzo często imię na chrzcie dane człowiekowi z jego losem, albo też z jego usposobieniem łączy się w dalszym ciągu życia. Ja przynajmniej wdzięczny jestem mojej matce, że mię Lucyanem nazwać kazała: to imię w świetle ma swój źródłosłów; od dzieciństwa też, nie potrafię wam wypowiedzieć, jak ja kocham światło, jak goniłem za światłem czy natury, czy ducha, byle świeciło oczom i rozumowi, a nie mogę się skarżyć: jasno było w mojem życiu. Dwudziesto-czteroletnia przeszłość moja jest ciąglem wstępowaniem na coraz pełniejszą blasków widownię. Jakież rozkosze! jakie to uniesienia, kiedy nauka zaczęła świat mi rozpromieniać, kiedy codziennie prawie dowiadywałem się czegoś, rozpoznawałem nowe przedmioty, odkrywałem nowe przestrzenie i wieki; a kiedy serce żywiej wszelką miłością piękna i dobrego zapłonęło, o Boże mój! o Boże, zrozumiałem ja wtedy dopiero twoje: „Fiat lux” wiekuiste!.. Wszystko co kiedykolwiek uznałem jako wielkie, mądre i święte: wszechmoc, wiedza, cnota, wszystko mi zawsze tłumaczyło się pewnym poczuciem światła, ognia, gwiazd, słońca. Słońcem była dla mnie Elżbieta. Nie mogę sobie zdać sprawy, czém byłbym został, gdyby jej brakowało w mojem przeznaczeniu, bo też nie mogę sobie wyobrazić, czém byłaby ziemia, czém księżyc, czém planety w warunkach bezsłonecznego systematu. Może z tych samych złożone pierwiastków, też same wydałyby twory w inną skombinowane atrakcyą, po tych samych krążyłyby drogach, tylko z odjęciem barwy i połysku. Miałyby zapach kwiaty, ciężkość gatunkową metale, przezroczystość kryształy: różaby jedynie wdzięcznej swojej krasy nie miała, zlotoby się nie świeciło, a dyament nie iskrzył. Tak i ze mną bez wątpienia: gdybym Elżbiety w darze od Pana Boga nie dostał, trzymałbym się prawdopodobnie obowiązkowej drogi; nie szkodziłbym nikomu, pracowałbym jak

koń po stepaku na kawałek chleba i nie domyślił się nawet, że piękną jest ta ziemia boża, co mię na sobie dźwiga, że najpiękniejsi są ci ludzie, co ją wraz ze mną prawem ukochania, wspomnień i nadziei dziedzczą. Bez Elżbiety jabym nigdy w życiu nie pojął coto jest kobieta, a więc nie pojął całej jednej świata połowy: szczęście i cierpienie, ohydę grzechu i cześć świętości nawpół tylko znałbym, czuł, doświadczał. Mozebym szalał za jaką ładną i zalotną dziewczyną, mozebym się ożenił z jaką posażną lub świetnie wychowaną panienką; żonębym stroił, pieścił, a do znoszenia kaprysów moich układał: w razie oporu, jeszczebym pewniej pono dla świętej spokojności jej znów dziwactwom ulegał; lecz przy tej całej dyplomatyce wygładzającej dwóch nieprzyjaznych sobie interesów chropowatość, nigdybym się w prawa harmonii nie wtajemniczył.—Elżbieta jedynie objawiła mi prawdziwe znaczenie tych słów Bożych w Genesis Mojżeszowej: „Nie dobrze być człowiekiem samemu: uczynmy mu pomoc jemu podobną.” Tak jest: Elżbieta była ciągle pomocą mnie podobną; ani górująca nademną, ani przezemnie górowana, miała te właśnie przymioty i te wady drobnutkie, których ja do uzacnienia mojej duszy potrzebowałem, i w których odemnie tylko jej dusza rozświecenie i wsparcie wziąć mogła. Za co ją więcej kochałem: czy za to, że mnie lepszym czyniła? czy za to, że widziałem, jak sama przy mnie lepszeje? Nie wiem: po niemiecku w ostatniej chwili analizować nie będą. Kochałem ją za wszystko i ze wszystkiem naraz, kochałem za uprawdzenie każdego mojego o prawdzie przecucia i wyobrażenia. Czasem nęcilo mię ku sobie coś takiego, czego rozumem udowodnić, nauką zastosować w ogólną zasadę nie umiałem; czasem też wstręt czułem, a wstyd mi było samego siebie, że instynktowi brakło ludzkiego usprawiedliwienia: ona przeszła, rzuciła słów kilka, zajęła się tém lub owém we właściwy sposób, i choć to na pozór żadnego związku z przedmiotem mojego ulubienia lub wstrętu nie miało, znalazłem zaraz nic Aryadny z labiryntu wszelkich wątpliwości, na jasność dnia Bożego mnie wiodącą. Ktoby mi był na przykład bez herezyi, bez jezuityzmu wyrozumował dość logicznie wyższość ducha nad literę, wolność w prawdzie doskonalszą niż wolność w prawie najliteralniejszym, to co w kościele zowią łaską, świętsze niż to nawet, co w świecie zasługą posłusznosci jest zwane? Nikt podobno, gdybym nie miał obok siebie takiej przeczystej, wyższemi władzami ubogaconej duszy; co więcej żyła natchnieniem niż przykazaniem Bożem, a żyła dobrze, pięknie, spokojnie, głęboko jak koral w morzu, wysoko jak zwyczajnie moje słońce na niebie. Zdaje mi się, źle mówię; nie zdaje mi się, tego pewny jestem, że choć mię wiele pocziwych serc żałować będzie, w niczyjém sercu moja osobistość tak długo się nie przeciągnie jakimś współtrwaniem nierozdzielnym, jakąś współpracą bezprzestanną, jak w najpełniejszym miłości sercu Elżbiety mojej. Pierwsze chwile jej za-

lu będą nawet mniej łzawe, mniej utęskliwe; nie jeden aż się zadziwi, czemu tak mało płacze, kiedy tak wiele kochała? Lecz ona po co ma płakać: ona, co wie i czuje, że my się nigdy nie rozstaniemy!...

Odczytuj sobie te słowa Elżbieto, powtórz je kilkakrotnie, boć dopiero przed dwiema godzinami wyszły z ust Lucyana. Możesz w nich czuć jeszcze tchnienie jego piersi, możesz dosłyszyć akcent ich wymówienia: musisz im wierzyć i musisz żyć niemi. Gdy Lucyan w chwili zadumania zbierał najlepsze, najserdeczniejsze myśli swoje, by mi wszystkie dla ciebie przekazać, drzwi się uchyliły i wszedł posługacz z zapaloną lampką: chory nie dał jej przesłonić sobie.

— A toż wiecie—proszącym odezwał się głosem—toż wiecie, że ja nie tylko allegorycznie światło lubię, lecz bez przenośni każde co świeci: już z tym płomyczkiem zaraz mi jakoś raźniej i weseliej.

Nim dogodziłam naszemu najdroższemu w ustawieniu przyniesionej lampki, znów się klamka poruszyła, i niespodzianie wszedł Karol na palcach, ostrożnie, cichuteczko, jak to się wchodzi do śpiącej matki, lub do konającego przyjaciela. Możesz sobie jego zadziwienie wyobrazić, gdy ten przyjaciel uśmiechniętą twarzą i radosnym wykrzykiem jak najzdrowszy człowiek go przywitał.

— Karol! poczeiwy Karol!—w téjże chwili jednak zaraz mu choroba Ignacego na myśli stanęła—ale po co i ty brata odstąpiłeś!—dodał ze smutnym wyrzutem.

— Brat się ma lepiej, siedzi przy nim teść i żona—odpowiedział Karol ściskając w obu rękach wyciągnioną ku sobie rękę Lucyana i patrząc w oczy jego pełnym łez powstrzymywanych wzrokiem.—Biedny chłopiec, uwiadomiony od południa już o niebezpieczeństwie grożącym jutrzejszej operacyi, przez kilka godzin tak się zmienił, tak pomizerniał, że aż mu oczy wpadły i twarz zzieleniała prawie. Ileż szczeriej przyjaźni, ileż tkliwego braterstwa otaczało Lucyana! Szczęśliwi oni wszyscy, co się tak kochali wśród obojętnych i nienawistnych tłumu!

— Czemuż więc smutny i zbiedzony jesteś, kiedy brat zdrowszy?—zapytał Lucyan swego najdroższego artysty.

— Powiedz raczej zmęczony trochę, bo istotnie miałem wiele u Ignacego do roboty: przyszedłem tu piechotą—usprawiedliwiał się Karel.

— Ej! ty obłudniku!—przerwał mu chory wesolo—czy myślisz, że już nie wiem o wszystkim? Przyszedłeś się pożegnać ze mną, więc żal ci serce ściska, a nie chcesz dać tego znać po sobie. Wielka nam obu krzywda się ztąd dzieje: czas na płonącym udawaniu tracimy, a mamy przecież w chwili rozstania coś ważniejszego do powiedzenia sobie. Najpierw zastanów się Karolu, czy śmierć moja warta łez lub skargi? Są ludzie, którzy umierają w rozpacz, w zniechęceniu, przygnębieni troskami,

znużeni długą chorobą: tych żałuj, kiedyć masz litościwe serce; ale ze mną Karolu dziel tylko samę uciechę i wdzięczność dla Boga. Ileżto razy dawniej rozmyślałem już o tój chwili stanowczego przejścia duszy naszej: zawsze mię jakaś bojaźń ogarniała, żeby na mnie bez przygotowania, wśród złego usposobienia, z moralném niedołęstwem nie spadła: bo śmierć to najogólniejsze podsummowanie życia człowieczego—„bo wieczność taka jak śmierci godzina,” woła Juliusz poeta nasz ulubiony: z ostatnich myśli i wrażeń umierającego, tworzą się w przebywającym kędyś duchu nowe zdolności i władze. Litowałem się zawsze nad temi próżniakami, co do śmierci jak do łózka spoczynku się spieszą; nad temi głupcami, co się w nią z najgłośniejszym jękiem boleści swojej rzucają. Wyobrażcieno sobie, mój malarzu, jak szkaradną na tamtym świecie plamą występuje każda taka rozmazgajona osobistość. Nie, ja zawsze błaganem uprzykrzałem się Bogu, żeby mię od nagłej, niespodziewanej i złej śmierci bronił. Nie chcę w łachmanach, bez szaty godowej, skrzywiony i wyziębły jasnym zbawionych lub zbawiających się chórom przedstawiać: chcę wziąć szatę najlepszych moich wspomnień i uczuć, koronę myśli najczystszych; chcę z uśmiechem, młodością, chcę z całą pełnią władz i zdolności moich uchylić głowy przed Tronem Najwyższego, i czekać dalszych wyroków. Otóż Pan stokroć dobry, stokroć miłosierny wysłuchuje mię, Karolu....

Nazbierałem do serca samych klejnotów i kosztowności. Mam was tylko: Elżbietę, pamięć wspólnej pracy naszej, wiarę we wszystko, cośmy wierzyli, z dobrém imieniem u ludzi, możność czynienia dobrego ludziom dla wszelkiego mojego ukochania, dla wszelkiej mojej nadziei, mam dotykalnie całą wieczność przed sobą—a ty smutny Karolu?.. ty mię żałujesz?..

— I czemuż się nie mam przyznać—odrzekł Karol, a łzy mu już bez przeszkody dwoma strumieniami po twarzy ciekły—Żałuję cię nasz Lucyanie, bo ty masz wieczność bliską: ale my bez ciebie mamy jeszcze doczesność tak długą, tak ciężką i ciemną.

— Bezemnie? nie wierz temu. Bezemnie? a gdzież jabym się podział? Toć mówiłem ci właśnie, że w śmierci czuję tylko nowego życia początek, i czuję, że nowe życie z uzbieranych na chwilę śmierci pierwiastków rozwinąć się musi. Cóż ja przynoszę Panu do ostatniego porachunku? Cóż mię teraz zajmuje? Czy gwiazdy, czy dróg mlecznych, czy niewidzianych i niepojętych splendorów blaski? Nie: przed chwilą właśnie nim wszedłeś, rozmawiałem z panią o tём, że kocham światło, ale je kocham i w tój lampce małej i w odbiciu na każdym proszku ziemi: kocham dlatego, bo lepiej widzę stawy, lasy, łąki, jeziora i twarze poczciwych ludzi; kocham światło, bo w świetle wy wszyscy moi, bo was wszystkich kocham, Karclu: a jestże sposób rozłączyć duszę z miłością jęj?—To niepodobna. W jakich warun-

kach moja wieczność splecie się z czasu waszego promieniami—tego nie wiem: to zostawiam do wyprorokowania doskonalszej przyszłości i potężniejszym duchom: lecz że się spleść musi, czuję wszystkimi władzami umysłu i serca. Powinieneś zaufać świadectwu takiego, co umiera—i wzięwszy rękę Karola położył ją na swojej piersi, jakby znakiem jakiejś przysięgi chciał dopełnić i uważnić wymówione słowa.

Karol uległ wpływowi, któremu, ja sama uległam piérwój jeszcze; bez względu na to, czy się chory nie trudzi, stał jak przykuty obok łóżka i z chciwością słuchał wszystkiego, co Lucyan pełną duszą wypowiadał przed nami: ale nakoniec mężka hartowność piérwój się w błędzie od mojego kobiecego oczarowania spostrzegła: przyznaję ci się do winy, że sama piérwsza nie pomyślałam o odejściu. Lucyan potrafił mię jakoś przekonać, juścić nie o wytrwałości swego zdrowia, lecz o potrzebie złożenia nam testamentu wszystkich skarbów swoich, pojęć i marzeń, wspomnień i nadziei zmiarkowałam się dopiero, gdy go troskliwszy Karol napominać zaczął.

— Jabył cię słuchał, słuchał do białego dnia Lucyanie; to się nie godzi jednak, już zbyt długo mówileś, trzeba koniecznie odpocząć i zasnąć: jutrzejsza operacya niewiele dobrego zwiastuje, tém mniej właśnie na kartę stawiać możemy...

— Stawiajcie wszystko—przerwał Lucyan udając niecierpliwość i zadanie—co postawicie, to naszą wygraną będzie, gdyż z wielkiego banku, ani wy już, ani ja się choć jednéj doby więcéj nie spodziewamy przecież.

— Czy spodziewamy, czy nie spodziewamy—rzekł Karol badzo stanowczym głosem—to inna rzecz, mój drogi; tymczasem póki żyjesz, naszym obowiązkiem jest tak z tobą postępować, jak gdybyś miał żyć najdlużej. Nie chciejże nas zostawiać z gorzkim wyrzutem sumienia, żeśmy się w czémkolwiek do twojéj straty przyczynili. Sam wiész najlepiéj, jak po doznaniem nieszczęściu, ludzie zawsze to sami siebie, to drugich oskarżają: uwolnijże nas dwoje przynajmniej od okropności tego przypuszczenia, że mogło być ci lepiéj, gdybyśmy z lepszą i serdeczniejszą pilnowali cię surowością.

Zdaje się, że te ostatnie wyrazy proszącym głosem wymówione zrobiły dość silne na Lucyanie wrażenie.

— Dobrze, już dobrze—odpowiedział pokornie—kazecie, to będę cicho; kazecie, to będę spał; kazecie, to będę się pieścił i oszczędzał jak gdyby byłę warto; lecz piérwój musisz mi przyrzec, Karolu, że jednéj mojéj próbie zadosyć uczynisz...

— Aż strach mię bierze, Lucyanie, cóżto za próba, co aż obietnicami wspierać się musi...

— Bądź spokojny: nie idzie mi o przekupienie twego sumienia, tylko o przełamanie może lekkiego wstrętu, o zniesienie małej przykrości. Jak umrę, piérwszego dnia zaraz, póki jeszcze będzie ostatnią prawdą życia w moich trapiach rysach, zrobisz

mój portret i prześlesz go Elżbiecie: ona cały zakres nowój kolei odgadnie z pośmiertelnej twarzy, od niej najwięcej o mnie będziecie się mogli dowiedzieć.—Karol nie od razu zdobył się na odpowiedź, jednak po chwili rzekł stłumionym głosem—przyrzekam.

— Was droga pani, to już nie proszę nawet, byście do niej pisali....

— I macie słusność—odrzekłam—list zaczęty już leży na moim stoliku.

— Więc idźcie najpierw spocząć trochę, a potem go dokończycie. Kiedy wy surowi, ja także surowym będę; nie chcę was widzieć wcale aż do jutra, do odwiedzin chirurga i doktora.

Karol poparł bardzo silnie rozkaz Lucyana.

— Próżnobym się sprzeczała z wami—rzekłam zwyciężona ich nielitościwą koalicją—pójdę sobie, kiedy wiem, że mię ktoś lepszy zastąpi; ale jutro nie myślę czekać na lekarskie odwiedziny: wrócę razem z pierwszym brzaskiem wschodzącego słońca, Lucyanie, i przyprowadzę ci naszego księdza Cyrylla. Jestem pewna, że nam obojgu rad będziesz...

— Wam chyba Elżbieta swojej duszy pożyczyła—odpowiedział mi tylko serdecznie, jak syn rękę moję całując i rozstaliśmy się jeszcze z nadzieją, jeszcze ze słowem „do widzenia.” Co jutro będzie o tym czasie? Nie chcę rozmysłem psuć sobie danych od Lucyana wrażeń: pójdę lepiej zobaczyć, czy Milecia nie potrzebuje mojej wyreki. Zmówię paciérz, spróbuję zasnąć na godzinkę, a pewnie téż i słońce długo na siebie czekać nie da, bo już noc dobrze się przepołowila. Żegnaj cię Elżbieto; nie żegnam uściskiem na jakiś czas rozstania, ale w myśli i w uczuciu żegnajm znakiem krzyża świętego na wielką boleść i na wielkie męztwo...

(W dalszym ciągu dzienniczka, pospiesznym i prawie nieczytelnym dopisano charakterem).

Kula wydobyta; Lucyana jeszcze żyje: za dwadzieścia cztery godzin, jeśli gangrena nie przystąpi, doktor powiedział, że będzie można mieć nadzieję. Póki losy się ważą, póki modlitwą uprosić co można, módl się Elżbieto: módl się taką wiarą i takim głośnym jękiem, żebyś aż wymusiła na Bogu miłosierdzie, Chrystus przecież natrętnie w nocy do drzwi śpiącego z całą rodziną gospodarza kołatać pozwolił—o! módl się, módl się Elżbieto.

I co później się stało nic nie wiem; ten urywek dzienniczka znalazłam w odesłanych mi zdalekich stron papierach: że bez daty bez podpisu, nie dziwi mię to wcale, bo takie zwykłe bywają nasze kobiece pisma.

Lublin,

w dzień śś. apostołów Szymona i Judy.

G. Ż.

KORRESPONDENCYE.

Wyjatek z listu Alexandra Tyszyńskiego (do K. Wł. W.).

„Dramat A. E. Odyńca „Barbare”, czytałem: zdaje się, że wyjdzie w Poznaniu. Będzieto bez zaprzeczenia jeden z najpiękniejszych dramatów polskich, i najpiękniejsza kompozycja jej autora. Takiej Barbary przy innym nawet guście wieku, nie mógłby był napisać Feliński, ani nikt mu z współczesnych, bo nie było jeszcze tych pamiętników, które wydał Baliński. Figury w Barbarze Odyńca, to i z charakterów, i z mowy figury wieku, a przytém wszędzie poezya i wiersz estetyczny. Teraz pisze „Lubomirskiego” i admiruje bardzo „Lubomirskiego” Szajnochy.

„Artykuł Michała Grabowskiego w Kronice o Kraszewskim i tu się podobał, jak się zwykle podoba nagana, a przytém ostra. Według mnie, jestto tylko zapisanie zdań bardzo pobieżnych, jakąś osobistą niechęcią jawnie niecechowanych, a które bynajmniej nie dają rzetelnej charakterystyki pism i utworów autora, którego nazwisko jest napisem artykułu.—W lipcu (1856 r.) miałem sobie przywieziony na wieś numer Gazety w Warszawskiej, której Nowosielski z długim rzędem cytacyi (wypisanych z Edgara Quinet) zarzucał mi, że pisząc o filozofii nie czytałem Spinozy. Że nie wspomniałem Spinozy, jak wielu innych, to pewna; ale zarzut ten był dla mnie tylko zabawnym, bo artykuł ten przywiózł mi był właśnie i doręczył z uśmiechem Muchliński, z którego biblioteki miałem przed kilką laty Spinozę”.

Wyjatek z listu Augusta Bielowskiego (do K. Wł. W.).

Lwów, 1857 r. „Wiész zapewne, zem tego lata zrobił podróż dość daleką o własnym koszcie, celem zebrania materyałów do „Monumentów”. Za pomocą zrobionych w tój podróży znajomości, powiodło mi się odszukać oryginał owego listu św. Brunona o Bolesławie Chrobrym, który „Besida Moskowska” i wasza Biblioteka Warszawska, wydrukowały z późnej Uffenbacha kopii. Mówię oryginał, bo takim on jest w stosunku do Uffenbachowego odpisu, ale właściwie jest to takż odpis, ale odpis w początku jedenastego wieku kreślony, na pergaminie, ręką wprawną i dość wyraźném pismem. Różnice są znaczne i ważne. Wiele

skróceń źle czytał Uffenbach, nie robił sobie też skrupułu poprawiać w jedném lub drugiem miejscu według swego widzimisię. Była to zwyczajna w owym wieku mania uczonych. Wymykały się przed jego okiem pojedyncze słowa, a w jedném miejscu wiersz cały wypuścił. W „Monumentach” więc wydrukuję ten ważny pomnik z dyplomatyczną ścisłością, dodawszy opis Kodexu i podobiznę dokładną.

„Staram się o dokładny odpis „Żywota Metodego”. Przed czterema laty mogłem drukować ten pomnik z jednego lichego rękopismu, jaki wówczas był znany; dziś gdy starsze i lepsze wykryto, muszę je mieć w odpisie, lub z nich warianty, choćby się wydawnictwo „Monumentów” o dwa i trzy miesiące spóźniło, bo inaczej całe przedsięwzięcie narażę na zarzut ważny: niedbalstwa i bezkrytyczności”.



DONIESIENIA LITERACKIE.

WARSZAWA.

Archiwum cesarstwa w Paryżu, założone podczas pierwszej rewolucyi, mieści się w obszernym pałacu Soubise, a z domami przyłączanemi później w miarę zwiększających się mass papierów, archiwum zajmuje, można powiedzieć, jakby całą dziel miasta. O wielości tam zachowujących się skarbów można poniekąd wyobrażenie powziąć z tego, iż one są zapisane pod 4 milionami liczb biegnących. Najstarożytniejsze pergaminowe pomniki, tak nazwany *Trésor des Chartres*, dokumenta z czasu Merowingów i Karolowingów od wieku VI do X, zajmują ogromną salę, przeszło w 4000 sporych ksiąg staraniem pana Lenormand opravione. Całe archiwum podzielone jest na trzy sekcye: *historyczną*, *administracyjną* i *prawną*; w tej ostatniej zachowane są archiwa dawnych parlamentów. Wyroków (*des Arrêts*) parlamentu paryzkiego 6,000 ksiąg liczą; pokazują między innymi protokół sądu w sprawie Joanny d'Arc i na szpalcie portret bohaterskiej dziewicy niewprawną ręką woznego, ale naocznego świadka sprawy, wykonany. Gdym się udał do p. de Chambrie, generalnego dyrektora archiwum państwa, z życzeniem przejrzenia tego, coby się dotyczyło dziejów Rzpltej naszej, okazał on największą gotowość stania się mi pomocnym, mówiąc: „w życiu mojem z wielu rodakami pana połączony byłem ścisłą przyjaźnią; już poumierali, ale o żadnym wspomnieć nie mogę bez głębokiego żalu”, i ukazały się łzy w oku starca gdy tego domawiał. Naczelne posady w każdej sekcji zajmują ludzie znakomici w zawodzie literackim: p. de Beauchêne, wymowny autor tkliwej historyi Ludwika XVII, p. de Mas Latrie, który cztery razy zwiedził Cypr czyniąc poszukiwania do dziejów tej wyspy pod rządami domu Lusignan. W prezydującym nad salą czytelnii poznałem skromnego i uczonego wydawcę kodexu Barbarossy (*Codex diplomaticus FridERICI II BARBAROSSAE*). Sumiennosc, ostroznosc i uprzejmosc — z jaką przypuszczają do poszukiwan, są rękojmnią całości tych skarbów i ciągłego

pożytku, który ztąd wszyscy odnosić mogą. Z rzeczy ściągających się do dziejów Rzpltej polskiej, jest kilka kartonów pozostałych po śmierci Jana Kazimierza. Do ciekawszych i wydatniejszej wartości dokumentów należy korespondencya królowej Maryi Ludwiki z księciem de Condé i księciem d'Enghien w przedmiocie wyniesienia tego ostatniego na tron. Obznajomienie się z tym ciągiem listów jest koniecznie potrzebne dla piszącego dzieje panowania Jana Kazimierza. Przytoczę ustęp okazujący, jak królowa była pewną dopięcia swoich zamiarów; następcza się w nim oraz nieznaną szczegół, iż dla przeciągnięcia Jerzego Lubomirskiego do stronnictwa królowej, chciano syna jego, starostę Spiskiego, połączyć związkim małżeńskim z wnuczką Kondusza, córką promowanego na królestwo księcia d'Enghien. W liście tedy z r. 1663 Xbr. pisze Marya Ludwika: „*Le Mareschal se soubmettra a ce que l'on voudra. Cependant je fais tout ce que je doit pour obliger Morstain a estre persuade que je suis loule telle qu'il le peut desirer. Je le suis que l'affaire de la succession se posera bien et qu'elle ne souffrira plus d'opposition. Il serait bon que le duc et ma niepce parlissent avec quelque Polonais pour apprendre quelque chose en cette langue la. Cela me parait sy necessaire que rien ne le peut estre davantage... L'on m'a parle du mariage de la Princesse Marie et du Staroste Spicki mais j'ay dit que cela n'estait plus possible par les raisons que je vous ay deja escrites. Cette alliance ne me plaist point. J'ay pourtant remis cet affaire à Paris ou on en parlera. Je ne crois point cela dutout necessaire et la Princesse Marie aurait beaucoup à souffrir. On m'a nomme la Princesse Benedicte pour ce mariage, mais j'ay fait conoistre qu'il n'y fallait pas penser. Que l'on soit donc advertis de tout cecy et que l'on sache que ces gens ne sont plus aussi considerable qu'ils ont esté*”. (K. 1331).

Cała ta korespondencya sprostowana być powinna, co do ocenienia społecznych faktów, zbiorem doniesień Markiza de Lumbres, posła francuzkiego przy dworze Jana Kazimierza. Ze zbioru tego, który się znajduje w British-Muzeum w Londynie, zapisany tam pod N. 4532 LXI E. Harl. widać między innemi, że Kolbert myślał o pociągnięciu i Polski do swego sławnego systematu handlowego. W r. 1660 de Lumbres odpowiadając pisze: „*J'ay sondé cette cour sur le commerce d'entre la France et la Pologne. Les ministres le goutent mais la Reyne y apporte de la difficulté a cause que pour debiter son set, elle propose de faire interdire les cutres. C'est pourquoi quelques un des mieux intentionés sont d'advis de differer d'en parler jusqu'a ce que le successeur soit nommé*”. W kartonach Jana Kazimierza, mianowicie w kartonie K. 1332, znalazła się „Copia Scriptu barona Biboniego posła polskiego przy dworze hiszpańskim (za Wład. IV). Oto jeden jój ustęp: „*Electia króla polskiego tych wieków jedyna jest wszystkiey Europie y iakoby iedyny tylko Akt woiności którą Polacy mają, bo w ostatku krolowie ich są Despotici: mogą to czym sami są, a są tym czym chcą, byle tylko mieli serec, rozum a odwagę, iako się to dało widzieć we dwu ostatnich krolach iako Zygmuncie III i Władysławie IV, którzy mocą dzielności y zasług swoich rządaili wszystkim. W czym jest przysłowie że krolowie Polscy tantum possunt quantum valent*”.

Dzięki staraniu świątłych osób, kilkanaście arkuszy wzmiankowanej korespondencji królowej Maryi Ludwiki, już wydrukowane, czekają na ogłoszenie. Cieszymy się nadzieją, iż zamierzone dzieło, ku pożytkowi historyi, całe szczęśliwie doprowadzone zostanie do końca.

— Czytelnia Niedzielną rozpoczęła z r. b. drugi rok swego bytu. Współczucie z jakim przyjęta została, a czego najlepszym dowodem było przeszło 3 000 prenumeratorów, jest rękojmią dla redakcyi, że pojęła potrzeby swoich czytelników. Nie wątpimy, że pismo to i w roku bieżącym równego dozna upowszechnienia, tém więcej, że staranność redakcyi jest nieustanną w doborze odpowiednich duchowi pisma artykułów.— W rocznym sprawozdaniu swoim, redakcyja w nr. 52 Czytelni, wymieniła alfabetycznie wszystkich współpracowników swoich; przywiedzimy ich cały poczet: Bogusławski, Broszkiewicz Karol, Czajkowski Józef, Czermiński Floryan, ksiądz Czermiński, prof. Dawid, Dr. Estrejcher, Garbiński Władysław, Gąsowski, Gregorowicz Jan, Grejnert, Hubner, Wojciech Jastrzębowski, Ilnicka Marya, Jaroński, Kontrymowicz, Konwerski, Korzeniowski Józef, J. I. Kraszewski, ksiądz Kurowski, Kucz Karol, Leśniewska, Lewocka Karolina, Libera, Luceński, Łoziński, Machczyńska, Majewski Józef, Mirolica, Niwiński Antoni, Papłoński Jan, Pawłowski Sabin, Petrów Alexandra, Pisulewski prof., Pług Adam, Popławski Artur, Prusakowa Seweryna, Przybysławski, Przysłański Stanisław, ksiądz Pułtatycki, Radomiński referendarz, Rogozińska Władysława, ksiądz Sienicki, Scisłowska Zofia, Smolikowski Jan, W. Sobański, Świeszewski, Szlenker Xawery, Szymanowski Waclaw, ksiądz Więcślowski Filipin, Wilczyński, Wielogłowska Tekla, A. Wieniarski, Wójcicki K. Wł., Wzdulski Konstanty, Zajączkowski, hrabianka Róża Zamojska.

— Zakład litograficzny M. Fajansa pospiesza z wykończeniem całej seryi „Wizerunków polskich”, ażeby w r. b. wydać należne zeszyty do 15 wedle dawnego prospektu. Zeszyt IX-ty już skończony, obejmuje wizerunki Andrzeja hr. Zamojskiego, Hadziewicza, J. W. Bandtkiego; z odpowiednią okładką. Sześć następnych zeszytów wychodzić będą po dwa razem dla przedszego wydania, i dadzą nam wizerunki: Teodora Narbutta, Józefa Muczkowskiego, Fr. Wężyka, Jana Królikowskiego, Alexandra Lessera, W. Jastrzębowskiego, Fr. hr. Skarbka, księcia Kazimierza Lubomirskiego, Lucyana Siemieńskiego, Eleonory Ziemięckiej, Karola Kurpińskiego, Aloizego Żółkowskiego, Władysława Syrokomli, prof. Zejsznera, Józefa Komorowskiego, Rychtera, Zygmunta Kaczkowskiego i artystę Zalewskiego.—W tymże zakładzie wykonano na wzór zagraniczny: „Pamiątkę z Warszawy”. Jest to róża kolorowana, z liśćmi i pączkami, która się rozkłada, a w każdym złożeniu wewnątrz ma coraz nowe widoki Warszawy, w ogóle jest ich 28. Po raz pierwszy są tu zamieszczone widoki gmachów senatu, instytutu szlacheckiego i saskiego placu z hotelem Europejskim.

— Wspomnieliśmy już o ogłoszonym w Petersburgu w ozdobnym wydaniu „Pieśni o pułku Igora” starosłowiańskim poemacie z XII wieku, w nowym przekładzie ks. Ad. St. Krasieńskiego. Uczony nasz filolog Jan Papłoński w obszernym sprawozdaniu krytycznym, umieszczonym w Gazecie Warszawskiej na r. b. szczegółowo rozbierając cały ten pomnik, a zarazem mówiąc tak o pierwszym przekładzie Augusta Bielowskiego,

jak i o nowym ks. Kraszińskiego; temu ostatniemu stanowczo przyznaje pierwszeństwo. „Co do nas (pisze w końcu) to teraz po przekładzie ks. Kraszińskiego, gotowiliśmy się zgodzić z Wiszniewskim, że pieśń o wyprawie Igora równie do ruskiej jak do polskiej literatury należy: jak oryginał jednej, tak tłumaczenie drugiej prawdziwą jest ozdobą. Cześć p. Bielowskiemu, co pierwsze przełamał lody, ale większa ks. Kraszińskiemu, co tak wspaniale po morzu przeszłości żeglować potrafił”.

Inne wszakże powody kierowały myślą tak Wiszniewskiego, jak Bielowskiego w uznaniu tego pomnika zarówno do ruskiej jak do polskiej literatury. Wiszniewski wyrzekł: „Jestto pieśń w polsko-ruskiem ułożona narzeczcu, w wieku XII lub XIII w czasach po Nestorze, kiedy wpływ Polski na Ruś coraz mocniej działał i w literaturze ruskiej objawiał się”. (Hist. lit. pol. T. I, str. 224). Bielowski w przemowie do swego przekładu napisał: „przejęty pięknosciami tej pieśni starałem się przełożyć ją na język ojczysty w przekonaniu, iż myśl śpiewaka naszej ziemi wynurzona przed sześciuset laty, w dzisiejszej naszej mowie tęgość i dosadność znajdzie”. Dla czytelników nieznaną przekładu ks. Kraszińskiego, podamy tu dwa ustępy: „*Opisu bitwy i Żalów Jarostawnny*”: a obok też ustępy w tłumaczeniu A. Bielowskiego.

I.

(Przekład Ks. Kraszińskiego).

Od rana do wieczora,
 Od zmroku po świt biały
 Walczą pułki Igora,
 Sypią się gradem hartowne strzały.
 Tu szabla z grzmotem o hełmy szczęka,
 Tu z trzaskiem dzida stalowa pęka,
 Między stepy nieznanemi,
 W dalekiej Połowców ziemi.
 Czarna kopyty ziemia zorana,
 Od krwi rozmiękła, kośćmi zasiana,
 Obficie ruskie zarodziły pola,
 Lecz plonem były klęska i niedola.
 Jaki szum w stepie? i tętent koni?
 Nad rankiem o słońca wschodzie?
 Igor znów pułki woła do broni,
 Żal mu cię miły bracie Wsewołodzie!
 Jeden dzień wre bój zajadły,
 Drugi dzień płynie krwi morze,
 W trzecim o południu padły
 Sztandary twoje Igorze.
 Tu się bracia rozłączyli,
 Nad bystrą rzeką Kajałą,
 Tutaj krwawego wina im niestało.
 Na godach śmierci swatów popoiii,

I ucztę dla nich wyprawiwszy krwawą,
 Za ojców ziemię polegli ze sławą.
 Trawy od żalu zwiędły stepowe,
 Z tęsknoty drzewa schyliły głowę.

(Z przekładu A. Bielowskiego).

Takieto niegdy ścierały się mocy,
 Lecz takiej wojny nie słyszano jeszcze:
 Od ranych świtów do nocy, od nocy
 Do świtu, gęste strzał się leją deszcze;
 Słychać grzmot szabel, wśród trzasku oszczepów
 W dalekiej ziemi połowieckich stepów.
 A czarny obszar końskimi kopyty
 Zorany, kośćmi zasiany, krwią żmyty,
 Wydał dla Rusi plon bujny—niedolę.... (1).
 Co za szum rano? co za dźwięk przez pole?
 Igor zawraca pułki, żal go bodzie
 Za tobą bracie Wsewołodzie!
 I dzień i drugi trwa pobój zajadły,
 W trzecim sztandary wojsk Igora padły:
 Tu się brat z bratem nad bystrą Kajałą
 Żegna, krwawego wina im niestało.
 Skończyło ucztę chrobre ruskie plemię,
 Pocziwszy wrogi, padło za swą ziemię!...
 Żałosna trawa ziemią liść rozściela,
 I drzewo tęschne przekłania konary
 Bo wstały czasy, nie czasy wesela:
 Pustynia całe zalega obszary.

II.

PŁACZ JAROSŁAWY.

(Przekład Ks. Krasińskiego).

Słychać od świtu płacz księżnej głośny,
 A i kukulce jęk nie tak żaloszny:
 Polecę, mówi, nad Douu fale,
 Bobrowy rękaw zwilżę w Kajale,
 Obmyję krwawe książęcia rany:
 Bo cały wrogów szablami zrabany.

(1) W pieśniach ludu naszej Rusi w Galicyi podobny znajdujemy opis pola bitwy:

„Czorna rola wyorana
 I kulami zasijana,
 Biłym tilom zwoloczenia,
 Czuzen krowciu społoczenia”.

Jarosławna po Igorze
Od świtu płacze w Putywelskim dworze.

„Wietrze mój, wietrze! czemu tak srogo
Dmiesz, gospodynie? i lekkimi pióry
Niesiesz od chana strzał takie chmury
Na garstkę moich wojowników droga?
Małoż ci jeszcze bujać po przestworzu,
Ponad gór szczyty i po nieba sklepie,
Albo okręty druzgotać po morzu;
Na cóż mą radość rozwiałeś po stepie?”

Jarosławna po Igorze
Od świtu płacze w Putywelskim dworze.

„O Dnieprze sławny! twój nurt głęboki
W ziemi Połowców rwie twarde opoki:
Przeciw *Kobiaka* na twojej wodzie (1)
Niegdyś pływały Światosława łodzie:
Duszę méj duszy wroć mi gospodynie!
Niech łza gorąca do morza nie płynie”.

Jarosławna po Igorze
Od świtu płacze w Putywelskim dworze.

„Ty słońce jasne, słońce me przejasne!
Dla wszystkich ciepłe i dla wszystkich krasne!
Czemu skwar na me biędne pulki lejesz?
W bezwodnym stepie takim ogniem ziejesz?
Bez kropli rosy łuk się rozsycha,
Strzała w kołczanie więziona wzdycha”.

(Przekład A. Bielowskiego).

Głos Jarosławny słyhać: (rankiem w maju
Kukułka takiem hukaniem się żali).

„Polecę (mówi) kukułką k'Dunaju,
Bobrowy rękaw umoczę w Kajali,
Otrę krew księciu, i rany niedawne
Na skrzeplém cie!”

Słyhać Jarosławnę,
Z wieżyc Putywła tak płacze zaraniem:

„O! wietrze, wietrze! czemu silnem wianiem
Chanowi w pomoc idą skrzydła twoje?
Czem miotasz strzały na lube mi woje?
Małoż ci jeszcze po gór bujać szczycie,

(1) *Kobiak* był wodzem Połowców, którego wielki książę Światosław w r. 1184 niedaleko rzeki Orły poraził, i samego wraz z dwoma synami i 7000 wojska wziął w niewolę.

I chwiać korable po morza błękiecie?
Czemu wesele rozwiałeś mi dawne?"

Z wieżyc Putywła słychać Jarosławnę:

„O Dnieprze sławą ciekący po ziemi!
Skały's Połowców przedarł prądy twemi,
Tys Światosława korablów gromadę
Niósł na Kobiaka, wróc mi mego ładę (1)
Niech łza ku morzu nie płynie ustawna”.

Z wieżyc Putywła płacze Jarosławna:

„O słońce trzykroć promienne i ciepłe!
Ożywiasz żywe, budzisz twory skrzepłe,
Za cóż z twych szlaków popod niebnym sklepie,
Na luba moje ciskasz żar nieczuły?
Łuki w bezwodnym spaczyły im stepie.
Żary, tęsknota zadławiła tuły”.

Dodamy tu, że Bielowski bez żadnych podziałów na rozdziały i pieśni, przedstawił nam ten pomnik starożytny: ks. Krasiński podzielił na XII pieśni. Jędrny, staropolski język, dawne zwroty mowy naszej cechują przekład Bielowskiego: ks. Krasiński językiem naszych czasów oddał swoje tłumaczenie, lubo czuł sam nieraz potrzebę starych form języka i gdzie ich użył zwraca na to uwagę swoich czytelników. Ilustrowane to wydanie pod względem ozdobności i staranności edycji nie ustępuje ani paryżkim ani angielskim. Korrekta tak staranna, że tylko jeden błąd (na str. 30) w tekście znaleźliśmy, w wyrazie *bezwodowym* zamiast *bezwodnym*. Praca ta ks. Krasińskiego jest rzeczywiście ozdobą literatury naszej.

— Czas, dodatek miesięczny za grudzień 1856, zamykający zbiór całoroczny, obejmuje: I. Macaulay i rewolucya 1688 przez Michała Słomczewskiego. II. Wspomnienie o pułku lekkokonnym polskim gwardyi Napoleona I i niektóre sprostowania tyczące się tego pułku przez generała Józefa hr. Żaluskiego. Dla dziejów naszych okresu księstwa Warszawskiego, jest to drogocenny materiał. Autor przechodzi od pierwszego zawiązku dzieje tego pułku, jego organizacyą i prostuje mylnie o nim podania: biorąc zaś na uwagę rozprawy K. Wojcickiego tak o Lisowczykach, jakoteż o Hussarzach (z Obrazów starodawnych) okazuje dowodnie szczegółowemi przykładami, że w dzielności i zręczności pułk ten się nie odrodził od wspomnianej stariej jazdy polskiej. Następnie przechodząc życiorys w Cmentarzu Powązkowskim ogłoszony kapitana *Romana*, prostuje niektóre szczegóły i rzuca na niektóre swoje powątpiewania. „Dla czegoż (słowa autora) czytamy w tym samym zeszytcie Cmentarza Powązkowskiego nekrologi pułkownika piechoty Cypryana Godebskiego i majora Luxa pełne powagi, prawdy i prostoty, tak jak przystało na bohatera zpod Raszyna i rycerza z San-Domingo”? Objaśnić musimy szanownego autora, że szczegóły do życiorysu *Romana*, wydawca Cmentarza Powązkowskiego

(1) Łado, słowiańskie bóstwo miłości, harmonii i porządku, spominane i dziś w pieśniach ludu. Jarosławna nazywa tćm mianem swego męża, co oznacza razem ładnego i kochanego.

miał sobie udzielone od rodziny pozostałej tego wojownika, a szczegóły podane są wiernie skreślone wedle opowieści samegoż śp. Romana. Co do życiorysu Godebskiego i Luxa, do tych wydawca sam zbierał wiadomości już z notat swoich, już z podań towarzyszków broni, już z pozostałych papierów. Cała ta rozprawa hr. Załuskiego nadzwyczaj zajmująca, dla piszącego dzieje wypraw wojennych czasów księstwa Warszawskiego do r. 1815 będzie nieocenionym skarbem. III. Z poezyi czytamy z rękopismów Podhoreckich: Rytm wiekowy i bajkę Marcina Mołskiego p. n. „Kaczka”: którą z powodu, że w ogłoszonym zbiorze przez wnuka jego opuszczono, w całości przywodzimy.

„W jednej folwarcznej zagrodzie,
Rodzina drobiu bez trosk i w swobodzie,
Najspokojniej żyła sobie.
Wtém gdy poczciwe ptastwo ziarnka dziobie,
Z kałuży kaczka wyskoczy, i oto
Z pleców skalanych strzęsa na nie błoto.
A to gadzina, co z czołem tak śmiałem
Czystych obrzuca swym kalem!..
Czemu was zbrudzić podły ptak się stara?
Świadek sceny kwoka stara
Rzecz na to rozgniewanym:
„Żeby nie został sam jeden skalanym.”
Lecz nie na wiele kaczce to posłuży,
Brudniejsza jeszcze, niż wyszła z kałuży”.

Poezya p. n. „Klaudya Homonoea” Władysława Kulczyckiego, wzięta treść do niej z napisu na starożytnym sarkofagu w Rzymie. IV Czarne kwiaty Cypryana Norwida, fragment fantastyczny, zawiera małe szczegóły o znakomitszych naszych poetach Adamie Mickiewiczu, J. Słowackim i Szopenie.— V. Dyaryusz podróży z Warszawy do Petersburga hr. Kazimierza Konst: de Brohl Platara, starosty inflanckiego, później podkanclerzego litewskiego w r. 1792 odbytej, przepisany przez J. I. Kraszewskiego. Ważny to i ciekawy materiał do owej chwili, kiedy konfederacya Targowicka wzięta przewagę. W przeglądzie pismienictwa Lucyan Siemiński bierze na uwagę i pod rozbiór poemat dramatyczny Mikołaja Antoniewicza „Anna Oświecimówna” oraz dwie tragedye „Samuela Zborowskiego i Jadwigę, wydane w Krakowie bezimiennie, a napisane wierszem białym i z chorami. Tragedye te pomimo długiego czasu od puszczenie w obieg handlu księgarskiego, dotąd się u nas nie pojawiły. Maurycyego Manna artykuł p. n. „Błędne koło” dotyczy strony politycznej. Kronika zawiera korespondencye z Krakowa, Wiednia, Berlina, Paryża, Rzymu, Londynu i Warszawy. Korespondent ten warszawski najmniej zasługuje na to, aby się mieścił w gronie swoich współ-towarzyszy. Wierutne bajki, brudy z zakątów naszego miasta, rzeczy niesłyszane, plotki nie wiemy z kąd wyciągnięte, wszystko to znajdziesz w korespondencyi z Warszawy: tylko rzetelności w podanych faktach i prawdy sumiennej w sprawozdaniu nie masz. Mówimy rycałtem o korespondencyi tej ciągnącej się co zeszyt w dodatku Czasu od początku Igo zeszytu do ostatniego. Korespondencye za to z Paryża

i Londynu, są pełne zajęcia i ważności: znać w nich wytrawne pióro i wyższy pogląd. Przywiedziem tu z pierwszej zdanie o obecnej literaturze francuzkiej. „Młodzi autorowie paryzcy przezuwają do dziś dnia idee, które rozsiał po świecie wielki duch romantyczny 1830 roku: żaden z nich ani na krok dalej nie postąpił, że zaś nic na świecie nie stoi, pisarze dzisiejsi jeżeli nie poszli naprzód, koniecznie cofnąć się musieli. Jakoż rzeczywiście stoją nieskończenie niżej od swoich pierwowzorów, nie dlatego, żeby im zbywało na pisarskim talencie, ale dlatego, że nie mają jak tamci, głębokiej wiary we własne słowo, a co gorsza, nie mają czucia: człowiek zaś to tylko widzi co czuje. Za brakiem uczucia poszedł więc koniecznie brak prawdy, który choć umiejętnie pokrywany znajomością perspektywy, cytatami z Pisma Świętego, i sztucznym kwiecieniem artyzmu, razi przecież nieznośnie w każdym nowym płodzie piśmiennictwa tutejszego. Literatura francuzka idzie ku mierności. Nikt tu już źle nie pisze, ale też nikt dobrze (w dawnym znaczeniu tego wyrazu: zrównanie umysłów zupełne. Jednocześnie piszący autorowie spotykają się w pomysłach ustawicznie, późniejsi rabują poprzedników. Nieprzeliczona masa literatów francuzkich podobna jest do ładu zboża, na którym wszystkie kłosa równej miary, kołyszą się za tym samym powiewem wiatru. Są jeszcze między niemi lekkie odcienia, któreby indywidualizmem nazwać można; ale jest także pewna moneta zdawkowa idei, pewna rutyna objawienia myśli, która krążąc jednostajnym prądem po wszystkich książkach, czyni z bieżącej literatury francuzkiej rodzaj bezkolorowej i jałowej polewki, której już nietylko na attyckiej, ale nawet na kuchennej soli zbywa. Wpatrzywszy się pilnie w szerokie koryto tej mętnej rzeki, baczny krytyk dostrzeże w niej pewne prądy nakształt tych, jakie przy ujściu rysują strumienie wpadające do morza; pewne kolory, które każda rzeczka przynosi z sobą do oceanu, a które mówiąc o piśmiennictwie nazwiemy szkołami, aczkolwiek wyraz ten nie jest tu właściwy, bo zawyraźnie rzecz określa.—Najwydatniejszy z takich prądów rysuje w bieżącej literaturze francuzkiej tak zwana szkoła Brutusów, na której czele stoją dwaj akademicy: Augier i Pousard, a przy nich wzdychający do akademicznego fotelu Feuillet. Trzej ci autorowie zagrzewają ludzi do cnoty, jak pozytywki grające pieśni nabożne; na każdej przez nich napisanej karcie napotkasz mnóstwo rad zbawiennych, co niemiara pięknych zasad i zdań Katońskich, wypowiedzianych muięj więcęj gładko. Jednak mimo to wszystko jakiś chłód co ztamtąd wieje, uwiadamia cię mimowoli, że tych szczytnych przepisów nie natchnęła gorąca miłość dobrego, ale je podyłtował dobrze zrozumiany interes własny; że te podniosłe chęci są wyrobem głowy nie serca, a ta miłość bliźniego jest poprostu *un parti pris*, suchy plód rozumu, mogący żyć wiecznie, nie będąc karmiony żadnym dobrym uczynkiem. W końcu rozpatrzywszy się bliżęj dochodzisz do przekonania, że ci moralni autorowie są jak owe słupy, coto wskazują drogę, a same nigdy nią nie chodzą. Szkoła Ponsarda przedstawia w każdej sztuce jakiegoś szalonego, lub występnego młodzieńca, marnotrawnego syna, rozpustnika, gracza, fałszerza, albo jeszcze gorzję, który trzymając się pilnie recepty autora dramatu, w piątym akcie jak gołąbek bieje; jakies Magdaleny, które kiedyś już zupełnie zwątpił o ich nawróceniu, nagle stają się świę-

temi. Szkole tej nie chodzi ani o uchwycenie charakteru, ani o prawdopodobieństwo, ani o spostrzeżenia trafne, ani o dowcip, ani o dramatyczność, tylko o to: żeby przedstawione osoby mogły wyrecytować jak najwięcej przysłowiowych sentencji i prawd oklepanych, jak np.: nie kradnij, nie zabijaj i t. d. „Honor i pieniądze i Bursa” Ponsarda, ściśle w powyższych warunkach napisane, zyskały poklask wszystkich uczciwych episierów. *Le Mariage d'Olympe* Augiera, już mniejsze zrobił wrażenie; autor bowiem cierpiący jeszcze czasami artystyczny zawrót głowy, zboczył tu i owdzie z udeptanej ścieżki zalet uznanych. Jako pisarz Augier stoi daleko wyżej od Ponsarda: wiersz mniej jest mechaniczny, ma więcej czucia, subtelności, ale mimo to Ponsard jest głową szkoły Brutusów. Trzeci jej filar Feuillet, którego osoby przemawiają stylem przemów akademicznych zamała oddał usługi sprawie, ażebym się jego komedyjkami zatrudniał. Dumas syn, także należy do szkoły Ponsarda, tylko że mając daleko więcej dowcipu i więcej artystyczności, mniej krochmali ideały swoje, przez co poważniej wyglądają. Przymiemy on jakoś umać tu i owdzie cieraistą drogę obowiązku i wskazać na niej niejedną lilję, której woń czystsza jest dla ducha, niż drażniące zapachy egzotycznych bukietów. Ale to tylko różnica formy: w gruncie wszyscy ci pisarze są zimni i napuszeni; każdy z nich jest satyrykiem nie dramaturgiem. Zamiast malować społeczność jaką jest, dać widzieć jej złe, ale i dobre strony, daje tylko złe i przedstawia na scenie nie osoby żyjące, ale jakieś filozofujące maryonетки, których posłannictwem wytepienie przywar ludzkości. Wiktor Sejour stoi na czele szkoły, której w stal zakute bohaterzy nigdy nie podnoszą przyłbicy: zawsze uzbrojeni w sztylety i truciznę, otoczeni zasadzkami, szpiegami, konjugują okropne słowa, zapłodzone zbrodniczymi rzeczownikami, jak np.: ja rozbijam, ty wieszasz, on podpala, my mordujem, wy trujecie, oni zdradzają i t. p. Przedstawiani w tych melodramatach monarchowie i monarchinie, mają zawsze czarną jak węgiel duszę, mówią krótko a węzłowato, i obwiniają się wzajemnie o wszelkiego rodzaju nieprawości. W każdej takiej jaskini łotrów krąży białe stado aniołów mścicieli, którzy pod koniec sztuki wyrzucają zdrajców co do nogi.” Opuszczamy w tym przeglądzie wymienionych innych pisarzy, gdyż od czasu do czasu nasza „Kronika z Paryża:“ daje ich poznać czytelnikom.

W Gazetce literackiej zamykającej ten dodatek Czasu, czytamy o doniesieniach literackich w Bibliotece naszej: „od niejakiego czasu obrabiane na szerszą skalę, dostarczają wielostronnych wiadomości z piśmienniczego świata, z czego i nasza Gazetka korzyść odnosi”. Na końcu mamy spis alfabetyczny przedmiotów i autorów z całego roku 1856, a z czterech tomów tego pisma.

— Komedya J. Korzeniowskiego wierszem we 3 aktach: „Młody mąż”: ogłoszona w odcinku Gazety Warszawskiej, ma wyjść w oddzielnej książce.

— Opowiadanie z czasów Augustowskich p. n. „Pan Marcin Kwieć” przez Stanisława Reytena, ogłoszone w odcinku Gazety Codzienniej, wyszło w oddzielnej książce. Jestto raczej zajmujący i ciekawy pamiętnik o jednym możnowładcy z rodziny Radziwiłłów. Obrazek ten w dosadnych rysach daje nam dokładne wyobrażenie o owych magnatach, których rody

już się zbliżały szybko do upadku i wygasaly, uprzedzając ostatnią ruinę dawniej Rzeczypospolitej.

— Nakładem przedsiębiorczego księgarza S. Orgelbranda w ozdobnym i starannym wydaniu wyszły: „Hygiena polska“, Dra Teodora Tripplina. 2 tomy z rycinami kolorowanymi; Wykład chemii nieorganicznej zastosowanej do przemysłu, rolnictwa i medycyny, Einila Czyrniańskiego prof. uniwersytetu Jagiellońskiego z 132 drzeworytami; Tom X Historii powszechnej Cezara Cantu. Tom XI ostatni już jest pod prasą; oddzielny tom XII zawierać ma obraz literatury ludów słowiańskich. Tom ten będzie i oddzielnie do nabycia; zajmuje się obrazem tym ze wszechmiar dla nas zajmującym, znany i zasłużony w literaturze naszej Leon Rogalski. Nakładem tegoż księgarza wyszły: „Pamiętniki lekarza“, serya druga w 4 tomach, Teod. Dra Tripplina. Obecnie drukuje dalszy ciąg przekładu Historii konsulatu z Thiersa.

— Księgarz S. H. Merzbach po wydaniu w 2 edycjach 10 tomów w Gospodarstwa wiejskiego, Michała Oczapowskiego, ogłosił teraz we 2 tomach nieznaną jeszcze pracę tegoż autora pod napisem: „Nauka ekonomii czyli zarządu gospodarstwa“, z wizerunkiem bardzo trafnym zgasłego meża. Tomy te stanowią całość z pomienionymi 10 tomami, ale i oddzielnie nabyte być mogą. Nakładem tegoż księgarza wyjdą wkrótce: „Historia naturalna“, wydana dawniej przez ś. p. profesora Leśniewskiego, teraz w nowej edycji znacznie pomnożona, z dodaną botaniką. Dzieło to obejmie dwa spore tomy z 48 kolorowanymi rycinami. „Świat przedpotopowy“ Zimermana: przekład z niemieckiego przez Dziekońskiego, tom jeden duży z kilkuset drzeworytami w tekście. Zeszyty należące do seryi 1856 r. Księgi Świata wyjdą w ciągu miesiąca i natychmiast rozpocznie się druk tego pisma nowej seryi na rok bieżący. Pamiętki historyczne, dzieła pośmiertnego Tomasza Święckiego, kończy się zeszyt trzeci. Z mniejszych nakładów téjże księgarni wyjdzie książeczka p. n. „Grzeczne dzieci“ po francuzku i po polsku z rycinami kolorowanymi.

— Gustaw Sennewald w r. b. rozpocznie druk dzieł: Historii literatury polskiej w zarysach, edycja 2 przerobiona i powiększona K. Wł. Wojcickiego we 4 tomach; oraz po raz pierwszy z rękopismów ogłoszone kazania znanego historyka J. Albertrandego biskupa Zenopolitańskiego.

— Druk dzieła W. A. Maciejowskiego: „Historia prawodawstw słowiańskich“, coraz postępuje: tom pierwszy najobszerniejszy ze wszystkich wyjdzie w marcu. Uczona ta praca ma być równocześnie tłumaczona na język niemiecki.

— Wystawa starożytności i przedmiotów sztuki zamkniętą zostaje z dniem 1 lutego r. b. Ogłoszony katalog téj wystawy ściąga teraz więcej ciekawych, bo w nim każdy znalazł dokładne objaśnienie oglądanego przedmiotu. Katalog ten stanowi dzieło pracowicie obrobione i nader ważny materiał dla archeologa i starożytnika krajowego. Należy tu powtórzyć z wdzięcznością imiona tych zacnych współpracowników, którzy ze szlachetnym zapałem nie tylko zajmowali się uporządkowaniem i ustawieniem w dwóch salach zebranych przedmiotów, ale nie pożałowali pracy w napisaniu pomienionego katalogu. Z powodu ogromu pracy podzielono spis na podziały: Karol Beyer i Bolesław Podczaszyński opisali starożytności krajowe i obce; pułkownik b. w. polskich Marcin Klemensowski bron i uzbrojenie; inne przedmioty opisał pp. Alexander Przedziecki,

Henryk Stecki, Eugeniusz Zawadzki, Mikołaj Wisłocki, Karol Beyer, B. Podczaszyński i J. Gauger; ostateczną zaś redakcją i dopilnowanie druku podjął B. Podczaszyński. Tak połączonemi siłami, prędzej niż mogliśmy się spodziewać, otrzymaliśmy dzieło wielkiej ceny pod skromną tylko nazwą katalogu. Patrząc na ten zbiór znakomity na wystawie, tak piękny i tyle nauczający, powtórzyć musimy życzenie nasze, ażebyśmy mogli się doczekać stałego muzeum starożytności, jakim się cieszy stary gród Gedymina—Wilno. Jeżeli tam zebrano wspaniałą ofiarą Eustachego hr. Tyszkiewicza i gorliwością zacnych obywateli litewskich, już zbiór piękny zabytków przeszłości, i u nas złożyłby się niepośledniejszy. Nie brakłoby i gmachu na pomieszczenie odpowiedniego: zyskałaby wiele z tego nauka a głównie dzieje nasze. Oprócz tego katalogu, Karol Beyer wydał „Album fotograficzne starożytności i przedmiotów sztuki“ na 30 tablicach; do którego objaśnienie mieści tenże sam katalog; Album to kosztujące rs. 50, nie może się upowszechnić dla wysokiej ceny. Tyleto błogich następstw i korzyści dla nauki dała nam wystawa starożytności, której pierwszą myśl piękną rzucił na grunt niejałowy, nasz artysta malarz J. Simmler.

— Rozrywek dla młodocia tego wieku wyszła część 2 tomu trzeciego. Zeszyt ten zaleca się tak różnaitością, jak i dobozem przedmiotów. Z krajowych przedmiotów czytamy w obrazach przeszłości: „Kacpra Miaskowskiego poetę z epoki Zygmunatów“ opowieść poetyczną, poświęconą pamięci polskiego wieszcza, w której jak rzecz tak i oddanie niewiele pozostawia do życzenia; rzewna pieśń nad kołyską dziewczeczki; Krakowska pszenica, legenda: wszystko utwory poetyczne samej redaktorki. Zaczyna się w tymże zeszycie obszernie wspomnienie z życia młodej dziewicy, Karoliny Skibickiej.

— Pana Józefa Śmigielska wydała już dwa tomiki pisma p. n. „Zabawy przyjemne i pożyteczne dla młodego wieku.“ W mniejszych rozmiarach jak Rozrywki pani S. Prusakowej, stara się p. Śmigielska odpowiedzieć swemu zadaniu. W piśmie tém najwięcej czytamy prac samej redaktorki. W zeszycie ostatnim, zajmujący mamy jej pióra opis Bendzina i jego okolic. Znana w literaturze naszej pani Paulina Wilkońska, napisała do tego pisma komedyjkę w jednym akcie p. n. Cyganki. Rzecz wyborna do przedstawienia dla dzieci na domowym teatryku.

† Dnia 22 listopada 1856 roku umarł w Żytomierzu w samej sile wieku Kazimierz Jaks Komornicki literat i artysta malarz. J. I. Kraszewski poświęcił zmarłemu przyjacielowi tkliwe i rzewne wspomnienie.

† Dnia 14 stycznia 1857 r. zakończył życie w Warszawie ks. Franciszek Xawery Kurowski były prowincjał zakonu księży Piarów. Jako literat, kapłan i obywatel położył przeważne zasługi godne powszechnego hołdu. W dniu 16 b. m. i r. oddano mu ostatnią posługę, uczczeniem rzadkiem w dziejach naszego miasta: dawni uczniowie, dziś już osiwniali obywatele i urzędnicy, przenieśli z kościoła Łs. Piarów do grobu na cmentarz Powązkowski na własnych barkach szanowne zwłoki zgasłego męża, co życiem całym zasłużył sobie na tak piękny hołd po zgonie.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Grudzień, 1856.

Grudzień 1956.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatorium Astronomicznym Warszawa.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m.45^s, 7 czyli w roku 18°41'25",5 wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprrowadzony do 0°					TERMOMETR stusłopniowy					Wielkość na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA					KIERUNEK WIATRU					Wysokość wody spadłej w milim. z		
	6	10	4	10	6	10	4	10	6	10		4	10	6	10	4	10	6	10	4	10		dé- szczn	śnie- gu
	god.rano	god.rano	godz. w.	godz. w.	god.rano	god.rano	godz. w.	godz. w.	god.rano	god.rano		godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.			
1	742.83	742.52	739.91	738.05	4°6	4°4	3°8	4°3	99	ch. śnieg	śnieg	śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	śnieg	ch. śnieg			4.0	
2	738.30	739.14	742.36	745.85	5.2	4.6	7.8	8.6	98	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg			9.2	
3	750.44	751.61	751.32	751.54	6.3	6.1	8.2	14.9	97	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
4	750.38	751.26	753.38	754.01	17.8	16.5	10.2	5.9	95	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
5	751.56	750.28	748.49	749.42	7.4	6.3	4.2	2.3	95	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
6	749.71	749.76	746.34	747.92	3.3	5.0	0.0	3.5	91	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg			3.6	
7	746.92	746.44	746.40	748.27	3.8	5.5	7.1	8.4	92	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
8	750.26	751.17	750.97	751.15	7.3	9.6	8.5	4.6	75	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
9	751.70	752.41	752.63	753.84	1.8	1.0	3.6	6.3	83	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
10	751.93	751.47	748.83	748.57	0.4	1.6	3.6	0.8	89	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
11	748.91	749.50	748.81	748.84	0.9	0.0	2.0	1.5	96	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
12	745.30	745.04	742.84	742.08	1.1	0.2	1.5	2.1	96	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
13	739.76	738.98	738.98	736.16	0.6	1.2	2.4	0.0	97	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
14	735.42	730.02	730.32	736.50	1.5	0.4	1.7	0.3	97	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
15	739.10	740.40	744.81	748.54	0.8	1.6	2.1	0.8	95	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
16	757.32	760.77	765.62	766.54	2.7	4.5	3.3	5.0	95	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
17	763.97	763.28	758.55	755.15	5.4	4.1	3.7	3.1	93	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
18	750.71	750.35	748.67	749.29	2.3	1.4	0.6	0.8	99	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
19	747.83	747.07	753.49	752.60	0.5	0.1	0.2	0.2	98	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
20	744.29	744.29	744.29	744.29	1.1	2.5	3.9	4.4	97	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
21	744.52	744.17	743.09	745.29	6.3	6.5	7.1	6.1	90	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg			7.6	
22	741.79	740.58	737.87	735.43	6.5	6.2	4.6	4.4	95	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg			4.0	
23	736.14	736.76	737.52	742.22	1.1	0.4	2.1	3.7	91	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg			4.0	
24	744.08	744.10	743.87	742.71	5.0	3.6	7.5	9.7	100	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg			3.2	
25	736.81	736.10	734.28	733.29	2.9	0.5	0.5	0.0	97	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg			4.0	
26	728.78	726.92	725.60	729.14	2.7	4.0	4.8	3.1	89	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg			2.4	
27	732.45	733.28	730.44	733.04	0.3	1.0	2.5	0.4	94	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg			2.8	
28	743.31	741.36	743.00	744.25	0.5	0.5	0.2	3.7	93	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
29	746.65	747.52	749.06	751.51	4.1	2.8	2.3	3.5	98	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
30	754.41	756.39	758.44	760.04	4.3	2.5	0.2	0.5	96	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
31	759.94	759.53	757.06	755.27	3.5	2.3	0.3	0.3	94	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg	śnieg	ch. śnieg				
Śre.	746.126	746.372	745.930	746.439	1°50	0°80	0°05	0°79	94														26.4	27.2

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	746.229	27	6.800
Najwyżej barometr dochodził d. 16 o g. 10 w.	766.54	28	3.805
Najniżej — — — d. 26 o g. 4 w.	725.60	26	9.656
Średnia zmiana dzienna barometru	5.495		2.436
Największa zmiana dzienna barometru d. 15—16 o g. 4 w.	20.81		9.225
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	5.327		2.362
Średnia temperatura grudnia wynosi: i ta jest większa o	— 0°.76 C.	—	0°.61 R.
od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	1.74 „		1.39 „
Największe ciepło było d. 8 o g. 10 r.	+ 2.50 „	—	2.00 „
Największe zimno — d. 4 o g. 6 r.	+ 9.6 „	+	8.58 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	— 17.8 „	—	14.24 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 3—4 o g. 6 r.	3.266 „		2.613 „
Termometrograf wskazał:	11.5 „		9.20 „

Maximum: + 9°.5 R. d. 8 po połud.
Minimum: —14°.6 „ d. 4 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 94.0, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 4.84 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blisko o 0.01 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 26.4 mil. czyli 11.70 lin. par.; z śniegu 27 2 mil. czyli 12.06 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 53.6 mil. czyli 23.76 lin. par. ilość ta wody jest o 8.96 lin. par. większa od tej, jaka średnio u nas w grudniu spada.

Dni pogodnych było 6, napół pogodnych 8, pochmurnych 17.

- deszczu 10 (d. 6, 7, 12, 15, 20, 21, 22, 23, 26, 27).
- śniegu 7 (d. 1, 2, 16, 18, 19, 23, 24).
- gradu 1 (d. 23).
- mgły 2 (d. 18, 19).

Wichrów było 4 (4 Z.).

Wiatrów mocnych 17 (11 Z., 2 PnW., 2 PnZ., 2 PdZ.).

Wiatr panujący Zachodni, częste były także Południowo-Zachodnie i Południowe.

Grudzień r. b. odznaczał się łagodnym lecz zmiennym stanem powietrza; był bowiem blisko o półtora stopnia R. cieplejszy niż zwykle, a nawet blisko o stopień R. cieplejszy od listopada co jest wyjątkiem od zwykłego biegu temperatury; niektóre dni jak d. 7, 8, 9, 10 oraz 20, 21, 22 były tak ciepłe jak w porze jesienniej, tak łagodny stan powietrza był skutkiem wiatrów zachodnich i południowo-zachodnich często w tym miesiącu panujących. Pierwsze pięć dni były chłodne, następne dziesięć ciepłe; druga połowa miesiąca była dość ciepła lecz zmienna i wietrzna. Najcieplejsze dni były d. 7, 8, 9, 20, 21, 22; najchłodniejsze d. 1, 2, 3, 4, 5, 24. Zmiana miesięczna temperatury wynosiła 24.1 stop. R. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był pogodniejszy niż zwykle; w stanie bowiem normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 3,4:5,0:22,6; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 6:8:17. Trzy dni 20, 21, 22 w czasie przesilenia zimowego, były ciepłe lecz słotne, i wietrzne. Dnia 21 prawie przez cały dzień panował silny wichor zachodni. D. 23 od godz. 12 do 1 z południa padały krupy tak obficie iż pokryły powierzchnię ziemi warstwą białą blisko na cal grubą. D. 24 z rana mróz dochodził 4 stop. R. a od godz. 6 do 10 rano, padał śnieg obficie. Wody ze śniegu w całym miesiącu spadło na 1 cal wysoko i tyleż z deszczu.

Dnia 9 o godz. 4 wieczór koło białe otaczało księżyc.

Wysokość wody na Wiśle pod Warszawą największa stóp 8 cali 1 d. 27; najmniejsza stóp 2 cali 5 d. 1.

Wypadki średnie dostarczeń meteorologicznych w Obserwatorium Astronomicznem Warszawskiem w roku 1856 Poblonych.

Miejsce dostarczeń wzniósione jest 367,6 stop przyklich nad poziom morza; jego szerokość geograficzna 52° 13', długość w czasie 1° 14' 45", czyli w roku 18 41' 25" 3 na wschód względem południka parzyckiego.

Main data table with columns: MIESIĄCE, WYSOKOŚĆ BAROMETRU, TEMPERATURA, PSYCHROMETR, STAN NIEBA, ILOŚĆ WODY, KIERUNEK WIATRU, STAN WODY. Rows include months from Styczeń to Listopada.

WYCIECZKA NA LITWĘ.

WSPOMNIENIA PODRÓŻY.

PRZEZ

Ferdynanda Nowakowskiego.

I.

Bliziej poznać Litwę, dawno sobie już zamierzyłem: przyszła przecież chwila tak gorąco przezemnie pożądana. Dnia ... lipca r. z. trzechkrotny odgłos pocztowej trąbki zmusił mnie do zajęcia dość na pozór tylko niedogodnego miejsca w dylizansie. Wszystkim wiadomo prawie, jak wielka liczba znajduje się w Warszawie chcących podróżować traktem kowieńskim, a ztąd, że na 12 dni trzeba pierwój zapisać się na pocztę: nieświadomemu więc dostało mi się ostatnie miejsce nr. 5 we froncie karety, obok pocztyliona. Pierwszy turkot kół przerwał mnogie odgłosy pożegnań przyjaciół i kolegów licznie tu zebranych; życzenia najszcześliwszój podróży, tak silnie połączone z pocałunkami i uściskiem dłoni, teraz może za natręctwo uważałem, bom nie miał nawet czasu rzucić okiem na inne miejsca w karecie, na co przecież żadną miarą obojętnym być nie można, zwłaszcza, że mimo tak silnego zajęcia, zauważyłem zewnątrz okien karety lekkie bujanie wstążek.

Z coraz bardziej wzrastającym, niemiętym po bruku tętnieniem karety, ujrzałem się wpośród wyniosłych murów Krakowskiego-Przedmieścia, a mijając kościół OO. Bernardynów nagle roztwarł się przedemną czarodziejski horyzont. Koloryt dumnej Wisły, przy ślicznym lazurze nieba, słońcu milionowe rzucającym promienie i lekkim wietrze, przedziwnie się przedstawiał, a stara sąsiadka Praga patrząc na to zdawała się radośnie uśmiechać. Po całorocznej więzi między-murów, pierwszy raz wyrwawszy się na świeże powietrze, puściłem wodze swęj wyobraźni. Marzyłem i marzyłbym kto wie jak długo, i o czém, gdyby piorunujący głos urzędnika mostowego: „jedź wolnym krokiem” nie obudził pocztyliona ze snu, a mnie z najmilszych zadumań. Minąwszy most powitany świeżym turkotem i mniej delikatnym trzęsieniem na Pradze, znów wróciłem do pierwotnego zajęcia, nie zważając, że i mój towarzysz toż samo zrobił. Dozwalając mu we śnie błogosławić pierwszego wynalazcę spirytusu, mimowoli przyjąłem obowiązki pocztyliona. Machając aż do znużenia biczem, dojechałem przecie do upragnionej Jabłonny, gdzie dostrzegłem przed domem pocztowym miejscowego ekspedytora, z ciekawością i ze zgrozą przyglądającego się takiemu, w jego mniemaniu, amatorskiemu powożeniu. Zeskoczywszy z kozła z przebudzonym już towarzyszem, zaczepiony zostałem przez ekspedytora:

— Bardzo pan widzę lubi konie, kiedy sam powozi.

— Konie lubię—odrzekłem—ale jeszcze za tēm nie idzie, abym sam pragnął powozić i to pocztową karete. Czasem z musu wiele rzeczy trzeba robić.

— Jakto?—przerwie urzędnik—to może ten hultaj spał, bo nawet sygnału pocztowego nie słyszałem, nie trąbił zdaje się; a to t... gdzie on? Dam ja mu.

— Spał rzeczywiście—odpowiadam—bo słaby jest, daj mu pan pokój. Pokazuje się jednak, że podobne

zdarzenia często mają miejsce, kiedy pan tak odrazu, jak lekarz dzielny chorobę, przyczynę tę odgadnąłeś.

— Ach! panie dobrodzieju — krzyknie zaperzony expedytor—co tu z temi hultajami począć: wszystko to pijaki, gał... Przestrzegamy, łajemy, ale coto pomoże: człowiek więcéj sobie zaszkodzi, przywodząc się do gniewu. Boto panie dobrodzieju, jeszcze może być, czego Boże zachowaj, jaki wypadek. Ot np. nocą to może z szosy i w rów całą karetę wpakować, albo gdzie zawadzi, urwie oś, i komu bieda, mnie, mnie: zaraz się tłumacz, protokoły, stawiaj się do naczelnika, exkuzuj, a w domu pan dobrodziej wie: pańskie oko konia tuczy. Jak mnie nie ma, wszystko idzie teń do sasa, ten do lasa. Wprawdzie Magdzia to poczciwa kobiecina, gdyby nie ona, to jabym.... ależ zawsze to kobieta.

— Ach panie! każ pan konie prędzéj zmienić—odezwie się jakiś piskliwy głosik z okna karety.

— Ach panie! na miłość Boga spieszniej: mam męża chorego—wylata z tegoż miejsca jakiś tenor.

— I tak nędznie jechaliśmy, blisko dwie godziny te 15 wiorst: a toć żydem lepiej jak pocztą—dorzuci 40-letni może mężczyzna.

— Ani nawet nie trąbił ten pocztylion — rzecze w tymże czasie 60-letnia staruszka.

— Zaraz, zaraz—odpowié nagabany zewsząd zarządca—już konie przeprężone; ale państwo mówicie że źle powoził: zaraz zaraz, porównam ja czas przepisany, o! na wszystko są reguły. A pani mówi że nie trąbił: dam ja mu, popamięta mnie, dam ja temu...

Widząc, że z téj chmurki mogłaby być burza rzeczywista, zbliżam się czempredzój do okna karety, i proszę krótko o odwołanie skargi, twierdząc, że skutek nie może być osiągniętym, bo nie pocztylion, ale ja powożitem.

— Ach! to niespodzianka—krzykną razem, różne wiekiem i rysami twarzy trzy damy.—Ślicznie panu za nią dziękuję, jednak dalej nie radebyśmy, aby...

— Abym ja powoził—odpowiem—a nawet sambym sobie tego nie życzył.

Wtém odgłos trąbki wywołany poprzedniém kłaśnięciem w dłonie systematycznego zarządcy, zmusił mnie do przerwania zaczętej rozmowy i zajęcia swego miejsca.

Z odmianą poczytliwa i koni zyskaliśmy znacznie na czasie, bo niebawem pokazał się Serock, a za nim śliczna towarzysza całej przestrzeni trzechmilorów aż do Pułtuszka, owa nadobna Narew, snująca się po zielonych równinach, tuż obok szosy, niemal w niektórych miejscach ję się dotykając, jak wstążka rzucona w nieładzie na stolik buduarowej jakiej piękności.

Następnie zbliżyliśmy się do starego grodu sięgającego początkiem IXgo stulecia, owęj dawnęj kasztelanii, rezydencyi książąt Mazowieckich i aż do r. 1796 stolicy biskupów książąt pułtuskich. Pułtusk tak blizki nas, że prawie każdy wie o jego położeniu między górami z ślicznym widokiem na okrążającą go Narew, i dobrym dziś stanie, po tylu klęskach jakie go dawniej dotykały. Przeszedł on ciężkie proby ognia i miecza. Morowe zarazy w latach 1559, 1564, 1565, 1571, 1580, 1607 i 1652 znacznie ludność zmniejszyły. Pożary, szczególniej w r. 1633 spowodował zupełny upadek, bo całe miasto w perzynę zamienił. Piérwszy napad Litwinów, Naruszewicz (1) naznacza r. 1324, kiedy Dawid kasztelan grodzieński z rozkazu Giedymina księcia litewskiego wtargnął w Mazowsze i około 20 listopada miasto Pułtusk, oraz 130 wiosek zniszczył, 30 kościołów parafialnych spalił, a wymordowawszy 4000 ludzi, z łupieżą i jeńcami wrócił. Drugą wizytę oddał

(1) Tom V str. 409 wyd. Mostow.

Pułtuskowi Kiejstut r. 1368 dość nieprzyjemną, bo nie mogąc wziąć zamku, otoczył go naokoło stosami wielkimi, pozostałych od pogorzelniska miejskiego niedopałków; wzniecony ogień potrzaskał mury, a obrońcy wewnątrz zamknięci nie mogąc znieść gorąca, albo się w miejscu skwarzyli, albo uciekali. Zniszczywszy tym sposobem wszystko, nim wojsko mazowieckie na odsiecz przyszło, Kiejstut z plonem do Litwy uszedł (1).

W latach 1656 Szwedzi to miasto oblegali, w 1703 Karol XII król szwedzki pobił tu Sasów; w 1806 w grudniu 26 była na polach miasta, między wojskami rosyjskimi i francuzkimi wśród błot największych stoczona krwawa i zacięta bitwa pod dowództwem ze strony rosyjskiej generała Kamieńskiego, a ze strony przeciwniej marszałka Lannes, od godziny 11 zrana aż do 6 wieczorem ciągle trwająca. Dnia następnego, 27 grudnia, po przejściu wojska rosyjskiego za Narew, straż francuzka weszła do miasta. Przybycie tych wojsk będzie pamiętném dla Pułtuska, bo w pierwszych dniach ogołoczone było z żywności, tak, że za mały bocheneczek chleba funt ledwie ważący, ze zboża przez połowę zmielonego z otrębami, płacono i to ukradkiem w nocy złp. 2 (2).

Po wyjściu Francuzów r. 1807 przyszli Bawarczykowie, i w maju dnia 16 z rosyjskimi wojskami stoczyli trzygodziną utarczkę, zakończoną małemi stratami, bo dwóch poruczników z bawarskiego, a z rosyjskiego kozacki porucznik Gregorowicz polegli (3).

Ale zapominam się że jestem w podróży. Wsiadam teraz już do środka karety, bo towarzystwo się zmienia i zmniejsza; zamiast owego tenoru i sympatyzującej z pocztarską trąbką 60 letniej staruszki, zajmuje obok

(1) Naruszewicz T. VI str. 334.

(2) Gawarecki, Wiadomość hist. m. Pułtuska str. 27.

(3) Gawarecki Wiadomość histo. m. Pułtuska str. 29.

mnie miejsce mężczyzna 36 letni, rumiany, z ogromnymi bokobrodami i wąsem, na pozór nader miły; a naprzeciw nas, znany już 40to letni, szczupły, wyżółkły jak liść jesienny, małe człeczyna z młodą kobietą.

Przybysz zmierzwszy nas bystremi śmiejącemi się oczkami, zaczął częstować pastylkami, chcąc zapewne prędzej zawiązać rozmowę, i podając siedzącej naprzeciw mnie pulchnej brunetce pudełko, odzywa się:

— Teraz mam nadzieję, pojedziem lepiej.

— A to dlaczego — przerywa znać ojciec naszej pięknej towarzyszk.

— Bo ja—rzecze przybysz—lubię poganiać tringeltem. Pani nie lubi pastylków?— pyta znów wciąż milczącej damy.

— Przeciwnie, lubię, ale później uczynię zadość pańskiej prośbie.

— Weźże Maniu—rzecze ów śledziowaty mężczyzna—pastylki te są wyborne, a nawet o drugi pana proszę; dalibóg arcy doskonałe: a panu dobrodziejowi mogę za to służyć tabaczką?

— Bardzo chętnie—odpowie rumiany przybysz—zażywam czasami.

— A pan dobrodziej—obracając znów do mnie mowę—choć młody nie brzydz się; tabaczka na kurz i na oczy dobra.

— Ślicznie dziękuję.

Ot i tak pastylki z tabaką postużyły do wzajemnych przedstawień się, gawęd, mających na myśli najpierw zaspokojenie ciekawości o celu każdego podróży, miejscu zamieszkania, tak że całe grono w okamgnieniu dobrze się już znało i lubiło jakby, znajomość początek od kolebki lub szkolnych ławek wzięta. Wnet dowiedzieliśmy się więc napewno, że wychudły jegomość jest ojcem brunety i odwodzi ją na czas do rodziny, a rumiany mężczyzna, wracający Litwin do swych posiadłości. Ze wszystkim był on najwymo-

wniejszy, wciąż i długo rozprawiał o swoich podróżach za granicą, o Paryżu, Londynie, Wenecyi i t. d., i taki wyznać trzeba posiadał talent opowiadania, że mimowolnie zaostrzył naszą uwagę, a nawet tém tak silnie na młodą damę, prawie dotąd obumarłą wpłynął, że i ona wkrótce wyznała, że była w Puławskim instytucie, Krakowie, i w taki wpadła kaznodziejski zapał, iż możeby niejedną tajemnicę serca była odkryta, gdybyśmy niespodzianie nie byli się znaleźli pod murami Ostrołki, u celu jój podróży.

Mimo pory wieczornój ruch w mieście był niezwykły: szum naksztatł brzęczenia rojących się pszczoł, ale stokroć silniejszy, lub odgłosu wód gdzieś wdali spadających, coraz mocniej w miarę zbliżania się ku rynkowi nas dochodził. Tu pełno chłopków z kieliszkiem i butlą w dłoni, utyskujących zapewne nad swą dolą, tam grupa czubiących się potężnie, ówdzie kramy pod strażą żydowstwa, właściwemi im giestami zalecającego swe towary—zwyczajnie jak w dniu jarmarcznym.

Nim zdołaliśmy wysiąść przed uprzywilejowaną w mieście restauracją, już chmara żydowstwa z płoi żeńskiej złożona, obsaczyła nas dokoła, niedozwalając wstąpić ni na próg, i przedstawiając natarczywie swe bursztynowe wyroby. Wiadomo, że okolice Ostrołki bogate są w bursztyny, i stanowią niemłą podstawę bytu części ludności. Najwięcej jednak kupują przejeżdżający: to téż przed nadejściem poczty każda ze starych i młodszych żydówek rozkłada swe pudła napakowane cygarniczkami, flakonikami, bransoletkami, krzyżykami i t. p. i czeka niecierpliwie na gości.

Aby dać wyobrażenie o stopniu ich zabieглиwości, dość przytoczyć zdarzenie w Łomży, gdzie kilka familii z Ostrołki z temi wyrobami się przeniosta. Godzina 2ga w nocy, wśród deszczu z silnym wiatrem złączonogo, zimna, widać w dali nisko błyszczącą gwiazdkę,

coraz bliżej się przysuwającą. Nie mogłem wyjść z podziwienia i wytlumaczyć tego meteorycznego zjawiska, i z wielką ciekawością pobiegłem żywo pod górę ku temu błyszczącemu ruchomemu znaczkowi: niebawem zdumiony przekonałem się o zdążających popiesznie trzech kobietach przy świetle latarki, z swemi bursztynkami ku poczcie.

Przy wyjściu z restauracyi, szturm żydowski silniej działał: zewsząd słyszeć się dawały okrzyki:— Jaśnie panie! bursztyny! śliczne bursztyny! graf cygarniczek!

— Co chcesz za tę cygarnicę—odezwę się bez zamiaru kupna do brzydkiiej jak megera baby, aby dać gawiedzi choć rozmową chwilowe zajęcie.

— Tylko 8 rubelków Jaśnie Wielmożna panie.

— Nie kupię.

— No, co Jasnego pan da? no, 6 rubelków! Słowem, ile pan da?—Chcę ułliszyć?

— A ty, cobys' wzięta za ten flakonik—rzeknę do młodej brunety.

— Ny szwarc jur!—odezwie się owa czarna jak cygan żydówka—niech go młodszego ma szczęście co utargować.

— Dwanaście złotych upraszam łaski pana grafa—odpowie młoda izraelitka.

— Nie kupię.

— Ny, co pan daje, ile pan daje, jedno słówko; ny, wiele dostanę—i tym podobne z ruchem pojazdu wzmagaty się głosy.

Odjeżdżając już zawołam żartem—ty stara, dwa ruble dostaniesz.

— Niech pan bierze! niech pan weźmie! niech pan ptacil wrzeszczy cała gromada żydostwa, i 14-to letni szajgiec, pędząc co tchu mu starczyło, nie podnosząc już spadłej szlafmocy i może o 60 kroków mnie oddalonemu wręcza swój towar. Choć przedmiot nie był

wart téj ceny, słowo się rzekło, trzeba było zapłacić. Tym sposobem najszcześliwiej spekulują tu ci bursztynowicze.

Rumiany Litwin swoimi dwu-złotowemi tryngiel-tówkami, przy wyznaniu—nie ręczę czy szczerém, że jest bezzennym, o tyle zdołał zwrócić uwagę opuszczającego nas w Ostrołęce rodzeństwa, że nawet zyskał zaproszenie ojca, aby przy pierwszym pobycie w Warszawie nie minął skromnych jego progów. Mnie profana rzucającego tylko po dysce, już to szczęście nie spotkało.

Korzystając z opróżnionych miejsc i ciemnych opon nocy, dumając jeszcze długo, pograżyliśmy się w tak silny sen, że uroczy ranek, wypogodzony, zastał nas aż pod Augustowem.

Obejrzawszy tu śluzę i kolosalne podnoszone w górę w czasie przepływu statków mosty; zachwycając się widokiem jezior tak hojnie w téj stronie kraju porozrzucanych i uroczo w lasach szczególnie się przedstawiających, sąsiad mój w małej za Augustowem odległości wskazał bielutki dworek, mówiąc:—wiesz pan tam na górze wieś: prawdziwe do niej przywiązane jest podanie. Nie tak dawno, przed kilku-dziesięcią wszakże laty, przejeżdżał król Poniatowski; a że to była godzina obiadu, zapragnął co zjeść, i tym celem zboczywszy z drogi, która dawniej bliżej szła téj wioski, wstąpił do białego dworku. Znalazł tam podeszłą już kobietę, snać posiadaczkę tego miejsca, a objawwszy jéj swoje żądanie z dodatkiem, że jest królem, wprowadził ją w kłopot nie do opisania.

— Taki gość jak król, z mnogim orszakiem, co mu dać jeść, zkąd tu czego wziąć na tyle luda; tu nie ma nic w domu—szepotała wciąż do swój Kachny, krzątająca się babina wkółko jak kołowrotek, i trzęsą się z przelęknienia, jak liść w czasie burzy.

— Ach! Jaśnie panie, wielki panie! czy tam Najjaśniejszy panie! nie mam nic gotowego—odezwie się do króla.

— To racz pani co sporządzić, bo jesteśmy przy apetycie—rzecze jakiś towarzysz królewski.

— To chyba kawy—krzyknie uradowana swym pomysłem starowina.

— Dobrze—odpowie król—niech i tak będzie.

Za chwilę ogromny garnek zakipiał wielkimi kłęby kawy, powierzchnia śmietanki pokrywała się zmarszczkami, jak rysy w lata podchodzącej twarzy, a w rogu kuchennéj izby, Kachna wycierała rznięte szklanice ustawiając na tacy.

— A cóż, Kachna, czy już szkło gotowe—odezwie się pani domu.

— A jus prosę jejmości.

— Ale słyszysz—patrzac na Kachnę wielkimi oczami—w czém tu nalać dla tego króla? Trzebaby jakiegoś kubka srebrnego, a tu w domu niéma, pożyczyc także się nie da.

— To moze prosę jejmości, cukier h a j n o k wyrzucic, a w tę śrębną cukiernicę, coto mo jelonka na wierzchu nalać.

— A masz racyą—odpowie uśmiechając się z tak w porę udzielonéj rady—masz racyą istotnie. Dawajże prędzej tę cukiernicę.

I w mgnieniu oka kilka szklanek otaczało w środku umieszczoną na tacy cukiernicę, również jak szklanki napełnioną kawą, które Kachna pragnęła zanieść do przeciwległéj izby gościom, gdy przestraszona wykrzykiem pani: „daj pokój! nie ruszaj!” o mało nie upuściła całego przyrządu.

— Daj pokój, ja sama poniosę tym wielkim gościom, ale naprzód oddzielnie dla samego króla—przemówi jejmość, gładząc włosy wyglądające z pod wiewających falbanek potężnego czepca.

I już niosła owę tacę z cukiernicą, gdy w sieni taki ją strach czegoś ogarnął, że miała zamiar oddać na powrót Kachnie, odmykając jej tymczasem drzwi do izby gościnnéj; lecz myśl przystąpienia się królowi zaprowadziła ją przed niego samego. Tu takiego znów dostała drżenia ciała, szczególniej rąk, godna politowania starowina, że król chciał uprzeczyć postawienie posiłku na stole, zdumiony widokiem jedynéj cukiernicy; ale nie zdążył, bo przy ciągłym drganiu wieko cukiernicy spadło, i taż się zatrzaśta.

— Oh, ja nieszczęśliwa!, co teraz pocznę—wrzasnie przeraźliwie babina.

— Co się takiego pani stało—rzecze król niepojmując nagłej zmiany jej twarzy.

— Ach Jasnie!... Najjaśniejszy panie! a to już dwa lata minęło jak od niej kluczyk zginął, a tu kawa dla Najjaśniejszego Pana.

— Co? tu kawa—rzecze łagodnie król, spoglądając na siedzących i duszących się prawie od śmiechu.

Kachna tymczasem usłyszawszy za drzwiami przeraźliwy krzyk pani, nie tracąc ani chwili wpada z drugą tacą z ustawionemi nań szklankami pełnemi kawy i śmiało lokuje na stole. Wybawiona z ambarasu pani przez swą głupowatą Kachnę, jak ją zwykle nazywała, przeproszała bardzo króla za taki wypadek, żałując najwięcej tego, że król z tak niewłaściwego naczynia pić był zmuszonym.

Zabierając się do odjazdu, dziękując za szczeroserdeczne przyjęcie, zapytał król, czy nie ma jakiejś doniosłej prośby, którójby z wielką przyjemnością rad zadość uczynić. Jedno nic, było odpowiedzią; po długim wreszcie wzdraganiu się wyjąkała starowina nieśmiało.

— Najjaśniejszy Panie! biśdnéj i obarczonéj dziećmi wdowy, uwolnienie od zaległego dwuletniego czynszu, z téj wi oski skarbowi opłacanego, jużby było wielkim szczęściem.

W kilka miesięcy potem, przystany akt z własnoręcznym podpisem króla, nadający wioskę na własność jój i potomstwu, był powodem radości, jakiej opisać nikt nie jest w stanie. Przybyła tylko do zwykłych pa-cierzy oddzielna modlitwa za swego dobroczyńcę, którą razem z dziećmi ciągle odmawiała, jakby chcąc zaszczerpieć w młodych sercach wdzięczność dla tego, o którym i przy skonie nie zapomniata, bo ostatnie ula-tujące z jój ust słowo, było „król”.

I kiedy mój sąsiad, kończąc historią wypadku przytoczonego objaśnił, że mająteczek ten i dziś jest w rękach téj samój rodziny, wjeżdżaliśmy w jedną długą i szeroką ulicę zabudowaną różnokolorowemi kamienicami, to jest do Suwałk. Nie zdołaliśmy jeszcze zbliżyć się do stacyi pocztowój, a już dolatywał nas głos:

— Bartek! a ubieraj tam siwkę z gniadym.—Skoro kareta stanęła, krzyczał dalej ten sam zdaje się jego-mość, stojąc z założonemi w tył rękoma, z świecącą łysiną i potężnym karmazynowym nosem;—macie pa-nowie 30 minut czasu na obiad! 30!—i zakręciwszy się jak młodziak na pięcie znikł w tłumie nas otaczającym. Niedziela złączona z jakimś żydowskim świętem, mas-sę widzów tu sprowadziła, złożonych z prowincjonal-nych elegantów w kapelusikach, z laseczkami od nie-chcenia niby tędy przechodzących, żydostwa różne-go gatunku, pejsaczów i niby cywilizowanych, bacho-rów bez liczby, oraz dziadów i kalek przed któremi na żadnej stacyi opędzić się nie można.

W restauracyi umieszczonej w izbach przeciwle-głych passazerskim, jedząc zwolna obiad już mieliśmy chęć rozprawiać się z przyciągającemi ponętą wonią kotletami, gdy z trzaskiem drzwi wpada ów tysy jego-mość, wołając:

— Siadać! siadać panowie! bo czas!

— Zaraz panie dobrodzieju—odpowiemy obaj jednocześnie—kończymy, jeszcze nie upłynęło 30 minut.

— Co tam zaraz! trąb i jedź! — krzyknie przez uchylony lufcik okna na pocztyliona.

I nim dokończył, już karetą ruszyła.

— Nie ma rady—odezwie się mój sąsiad—bierzmy wszystko z talerzami.

On pakuje, ja wybiegam na ulicę w celu zatrzymania koni, zły na rozporządzającego waryata z zimną krwią przechodzącego się po sali, i jakby drwiącego z całego nie do opisania nieładu. Goni nas restauratorka, wołając w obec licznie zebranej przed sienią gawiedzi:

— Proszę zapłacić! tak nie można! a to mi się podoba, a to pięknie! zjeść i uciekać!

Płacimy, kończymy w karecie obiad, i obdarzamy na następnej stacyi talerzami, zdziwione takim datkiem żebraki!

Niedziela! a widać grupy tu i owdzie skrzętnych żniwiarzy. Tam dalej pokazują się fury z wołami lub końmi, pasującemi się z nadmiarem ciężaru zbożowego, dobywającemi zda się ostatnich sił, celem usłużenia nielitościwym panom, obdarzającym je często jeszcze potężnemi razami.

— Są to żydzi—rzecze sąsiad—licznie w téj okolicy zajmujący się uprawą roli.

— Jakbyto było dobrze—przerwę—gdyby i inni współwyznawcy szli za tych przykładem.

— Tysiące rąk do pracy—doda mój towarzysz—przybyłoby krajowi. Gdybym mógł wptynać na to, zajęłbym się niebawem przeorganizowaniem tych pasożytów w rolników, żyjących dziś, wedle ich wyrażenia się z przemysłu. Wiem aż nadto dobrze, ileby to trudności za sobą pociągnęło; bo żydom się zdaje, że oni nie są stworzeni do pracy potem czoła skrapianej, mając sposobność prędszego nabywania kapitałów bez trudu, z lichwy i oszustwa. A przecie za czasów kró-

lestwa izraelskiego, nie kto inny krajął ziemię sochą i pielęgnował winnice, jak żydzi, ci nieproszeni goście, te pijawki wyssysające prawie krew ze wszystkich klass naszego społeczeństwa—a mówił to z takim wzruszeniem, że silny rumieniec ubarwił mu lice i czoło.

Długo w noc czyniąc zobopólne uwagi nad tym przedmiotem, czuliśmy już po dwóchdniowej drodze ogromne znużenie. Śpiąc smaczno nie wiedzieliśmy nawet o przebyciu kilkunasto-milowej przestrzeni, nie ocknąwszy się, aż przy błysku pierwszych promieni słońca, ozłacających dzisiejszą granicę Litwy—Niemen.

III.

Witam cię Litwo! matko Witenesów, Mendogów, Giedyminów i Jagiełłów; matko mężów, którzy swém przejściem tak potężną aureolą uwieńczyli twe skronie, wryli ci na kartach historyi ślad wiecznotrwały. Bogata w krwią przesiąknięta a chlubne wspomnienia, witam cię słowy twojego poety:

Tutaj chrobrym zapalem pierś męża oddycha,
Tutaj miłość dziewicza gorąca, choć cicha;
Tutaj znać burze życia na obliczu starem.... (1).

Małe domki drewniane, zbudowane jeden za drugim po obu stronach szosy, naprowadzały mię na domysł, że wkrótce ujrzę miasto, albo że jestem już na jego przedmieściu; i nie zawiodłem się, bo dość długa płaszczyna nagle po nader spadzistej górze sprowadza w dół, w wąwóz, któremu z jednego boku towarzyszą wyniosłe gołe wzgórza, a z drugiego także ubarwione przepysznyimi drzewami, oraz poprzerzynane głębokimi jarami, w których znów gruppują się kępki cudnej zieloności krzewów. Postępując zaś dalej w ślad za skręcającą się na lewo drogą, coraz niżej, niespo-

(1) Wład. Syrokomli. Dębóróg str. 4.

dzianie ujrzyś niemal pod swemi stopy całe Kowno z odwiecznym sąsiadem Niemnem, a na nim lekki jak taśma most rzucony.

Niemen ma teraz uroczy widok: w jego zwierciadle przeglądają się z południowej strony kamienice piętrowe (Alexota) wzniesione na bardzo małej przestrzeni pod samemi stopami tańcucha gór, ciągnącego się wzdłuż rzeki ku zachodowi, a z północnej wyniosłe wieżycy i bliższe świątynie.

Minąwszy most wita cię na samym wstępie wielkie granitowe ocembrowanie, rozłożone na prawo i lewo ulicy Nadniemeńskiej, przedłużające się w tym kierunku w bulwary; następnie przez tuż stojącą świątynię dawniej XX. Franciszkanów, dziś cerkiew św. Mikołaja, i jadąc dalej prosto ulicą, patrzą na cię zdumioném okiem gruzy klasztoru tejże świątyni, łącznie z przeciwległym frontonem zrujnowanego kościoła z cegły czerwonej w stylu niby gotyckim zbudowanego, tu powszechnie za świątynię Perkuna poczytywane.

Położenie Kowna tak jest romantyczne, zachwycające, że bez wątpienia do najpiękniejszych miejsc zaliczone być może. Padół kilkowiorstowej przestrzeni, na którym zbudowane miasto, zamykają góry w kształcie prostokątnego trójkąta, podstawą zwróconego ku północo-zachodowi, za którą płynie niewidzialna z miasta Wilia, wysokością ku wschodowi, a za przekątnią możnaby tu wziąć nieco kręty Niemen, strzeżony z południowej strony przez porośnię lasami góry aż do samego Jurborga. W trzech takich punktach umieszczane oko wiecznieby się pieściło różnym, a zawsze uroczym widokiem: różnym, bo odmienna wysokość gór, odmienne przedstawia pejzaże. Mojem zdaniem pierwszeństwo oddałbym górze *Wesołą* zwaną, przyległej Alexocie, na szczyt której 340 prowadzi umyślnie przyrzadzonych schodków. Im się wyżej wznosić, tym coraz większy wyziera krajobraz, jakby z pod uchylanych

niewidzialną dłoń draperyj. Zrazu zda się, wierzchołki licznych wież, jak widma z ziemi wychodzą; następnie budowle przystrojone w czerwone turbany, a w końcu kiedy błysnie swoim szklistym grzbietem za górami snująca się Wilia, przerywając dalej część miasta, z gwałtownym pędem szeroko wdzierająca się w smętny, odbitemi drzewami zielono zafarbowany Niemen: wtedy serce takim zapałem uczuć ci zakipi, że chciałbyś przyrość do tego miejsca. I dawni poganie, praojce Litwy, nie byli dalecy od tych estetycznych pojęć, kiedy czcąc bóstwa przejęci, na tej górze wzniesli przybytek, gdzie gorzał ów Znicz, jak pozostałe ślady o tym przekonywają, lubo okazywane zwaliska zdają się być nacechowane nowszą epoką.

Góra od strony północnej zowie się Zieloną, zapewne od koloru pokrywającej ją trawy. Ciągnie się jednym pasmem przeświecającem gdzieś tysiącami garbami. Widok ztąd malowniczy na miasto i Alexotę, a dalej, za skrajem Niemna, na umieszczonej samoistnie, kształtu kolosalnego kopca Napoleonowską górę. Tu wielki wojownik, wedle opowiadań starców, przeglądał całą okolicę, orłem spojrzeniem przewodniczył wojskom przesuwającym się tłumnie na 4-ch przygotowanych w tym celu mostach; tu wreszcie obiadował.

Zwróciwszy się ku północo-zachodowi uderza oko niemały kontrast: drewniane domki zbudowane wśród piasków stanowią część miasta zwaną dawniej Wiliampol (1) dziś Słobodą (2), połączoną z Kownem przez most łyżwowy na oddzielającej ją Wilii się unoszący.

Znużony może czytelniku temi obrazami, zejdz z gór w miasto i przed poznaniem dzisiejszego stanu, potrąć o kilka historycznych wspomnień, koniecznych do wykazania przyczyny jego upadku.

(1) Pomniejsze pisma historyczne T. Narbutta str. 274.

(2) Słoboda wyraz ruski znaczy: przedmieście.

Kowno, Cauna, a w XV wieku Caonia, Cawonia i Cawna po łacinie nazywane (1), czém było, tém być może kiedyś, ale dziś nie jest. Piszą dużo a jeszcze więcej mówią, że Kowno się podnosi, że ciągle wzrasta; ale chwilowego błysku, za ciągłe światło poczytywać nie można. Dwuletnia przyświecająca miastu gwiazda, otwarciem żelugi na morzu Bałtyckiem już zagaszona: kiedy zaświta, trudno przewidzieć.

Początek Kowna jest niewiadomy: Strykowski i tu urodzony Kojatowicz, założycielem zamku przy wpadku Wilii w Niemen, około X wieku mianują Kunasa v. Konasa, średniego syna Palemona, owego bajecznego protoplasty Litwy (2). Od niego nazwisko najprzód zamku Konassowo, a następnie i miasta Kowna wyprawdają. Przez cały wiek XIII Kowno nie zajmowało żadnego znaczenia politycznego w dziejach litewskich; Krzyżacy wówczas zajęci byli Prusami: dopiero za Olgerda i Kiejstuta, Kowno staje się prawdziwem przedmurzem od drapieżności krzyżackiej.

Roku 1362 Winrych Kniprode wielki mistrz zakonu przybywszy z ogromnemi siłami pod zamek kowieński, mimo dzielnej obrony Olgerda, Kiejstuta i Patryka książąt litewskich, bierze go szturmem. Z ziemią zrównany, w trzy lata przez Litwinów odbudowany został; lecz w r. 1383 w wojnie zakonu z Jagiełłą znowu całkiem zburzony. Krzyżacy na miejscu tych zwalisk sprowadzając materiały Niemnem, wzniesli nową warownią nazwaną Ritterswerder, to jest rycerską wyspą, dlatego, że przekop od Wilii do Niemna zrobiony i zamek otaczający tworzył wyspę: i tento jest właściwie zamek, którego gruzy do dziś dnia nad samym brzegiem Wilii sterczą.

Dnia 25 października 1384 r. W. książę Jagiełło zmusił do zdania się Krzyżaków na łaskę, mimo przy-

(1) Starożytna Polska M. Balińskiego, T III, str. 396.

(2) Strykowski, T. I, str. 84.

bywającego na odsiecz obleżonym Konrada Wallenroda. Podczas powtórnego odpadnienia Witolda na stronę zakonu, Kowno zostawszy w ręku tego księcia coraz mocniej się utwierdzało. Tu Witold r. 1396 w piątek po św. Jakóbie zawieszenie broni z wielkim mistrzem podpisał.

Po traktacie z zakonem w Grodnie r. 1398 zawartym, przez który Krzyżacy stali się panami Żmudzi, Witold fortyfikował zamek i miasto; lecz potem zmieniwszy myśl pierwotną i poczytując za bardziej szkodliwą Litwie niepożyteczną warownię kowieńską, w razie wojny, kazał za pierwszym ukazaniem się nieprzyjaciół opuścić ją i spalić. Odtąd Kowno straciło swoją ważność jako stanowisko wojenne, lecz za to stało się środkowym punktem wszelkich rokowań między wielkim księciem litewskim a zakonem krzyżackim zachodzących. Witold zajęty podbijaniem Rusi, wzięwszy Smoleńsk chciał być spokojnym od Krzyżaków; złożył przeto zjazd z wielkim mistrzem w Kownie r. 1404 w połowie sierpnia, gdzie wspaniale go przyjąwszy, posiadanie Żmudzi na nowo zatwierdził dla zakonu i posiłkować przyrzekł, na co traktaty na piśmie wydał. Wezwani tu bojarowie żmudzcy przez wielkiego księcia, złożyć musieli hołd poddaństwa wielkiemu mistrzowi; co więcej, w następnym ręku w tém mieście ułożoną została z marszałkiem zakonu wyprawa na Żmudziów, usiłujących zrzucić jarzmo krzyżackie.

W kilka lat, celem usunięcia nieporozumień o granicę między zakonem a Polską, odbył się w Kownie dnia 6 stycznia 1408 r. bezskutecznie kongres, na którym prócz Jagiełły i senatorów polskich znajdowali się wielki mistrz inflancki, a Witold był pośrednikiem między królem polskim a Krzyżakami.

Z tego miasta r. 1413 Jagiełło z Witoldem udali się Niemnem na Żmudź dla nawracania mieszkańców jej do wiary Chrystusa. Pierwszy ślad praw pisanych

dla Kowna, jaki w archiwum zniszczoném dotąd pozostał, jest potwierdzenie przez Witolda w r. 1408 przywilejów poprzednio spalonych. Dbały o dobro tego miasta powiększał on jego ludność osadzonemi z Krymu Tatarami i Karaimami, którym przywileje nadał, nawet ów zamek tyle razy burzony ostatecznie naprawił i obronnym uczynił.

Po zgonie Witolda, a szczególnie za połączeniem władzy najwyższej obu narodów w jednej osobie Kazimierza Jagiellończyka, który to miasto lubił i często w niem przebywał, swobody jego wzrastały. Tu w r. 1451 prosił króla Piotr Vasquez poseł Filipa Dobrego księcia Burgundyi o posiłki do odzyskania Ziemi świętej; lecz obawą ściągnięcia najazdu Tatarów na Polskę, król się wymówił.

Alexander Jagiellończyk zostawszy wielkim księciem litewskim, żydów i kacerzów wpuszczać do Kowna zakazał (1). Za jego panowania przeniesiony w początku r. 1506 z Trok na mieszkanie do zamku kowieńskiego Szach-Achmet han kipczańskiej ordy, który utraciwszy swe państwo szukał polskiej pomocy, życia tu dokonał.

Pod berłem Zygmunatów, nowe nadania, szczególnie mądre ustawy Zygmunta Starego, bogactwo i handel podnosiły, chociaż znaczenie handlowe Kowna sięga dawniejszych czasów. Już za Kiejstuta było ono pierwszym punktem w Litwie, gdzie się zamiana towarów niemieckich, na płody surowe litewskie odbywała. Handel ten mocno musiał być ożywionym, kiedy Anglicy już w tym czasie pakta handlowe z Litwą zawierali. Henryk Walezyusz w swoim potwierdzeniu praw, nazywa Kowno zaszczytem rzeczypospolitej, a za Batorego przybrało już postać okazałą europejskiego miasta. W r. 1584 różnowiercy mieli tu swoje prasy drukar-

(1) Pisma pom. hist. T. Narbutta str. 505 i Star. Polska str. 407.

skie. Bardzo wielka liczba rzemieślników i kupców cudzoziemskich, najwięcej Niemców tu osiadająca, przyjąwszy prawo miejskie, zaczęła wznosić porządne domy murowane, z których powstały następnie między widłami obu rzek nowe ulice, zwane (1): Garbarska, Powilejska i Niemiecki kąt, po litewsku Wokiecziu-Kampas. Wielkie śpichlerze po większej części także murowane, wzniosły się nad Wilią i Niemnem; cztery faktorye: holenderska, angielska, pruska i szwedzka stałe tu utrzymywane a podobno i wenecka, osiadły w kamienicach umyślnie na ten cel wymurowanych, mennicami zwanych, część fundamentów których do dziś dnia istnieje (2). Obrot handlu hurtowego podniósł się prawie do miliona dukatów. Główna komora celna także w Kownie była ustanowiona. Do takiego szczęścia miasta przyczyniło się niemało prawo sejmowe za Władysława IV r. 1647 wznawiające zaniedbany mniej więcej skład towarów w Kownie. Ono to zmusiło właścicieli ziemskich nieprowadząc do Królewca płody swoje tu zwozić, a kupców inflanckich i pruskich przybywać do Kowna dla targu i kupna. W tym czasie wprowadzeni tu Jezuici staraniem Alberta Kojatowicza znakomitego dziejopisarza litewskiego, i jego brata Kazimierza, obu kapłanów tego zakonu, kc-

(1) T. Narbutta pisma hist, pomn. str. 272. Wilno 1856.

(2) Pan Jan Prekier miejscowy badacz starożytności utrzymuje, że w tych mennicach były bite pieniądze, i wszelkich dokłada możebnych starań, w wynalezieniu jakiej z owego czasu i miejsca wyszłej monety. Jeśli znajdzie, nie wątpimy, że owocem swych zabiegów z ogółem się chętnie podzieli. Zdanie p. Prekiera więcej zbliża do prawdy akt ślubny w najdawniejszej księdze kościelnej gminy ewangelicko-luterskiej, po niemiecku w Kownie spisany: „pod rokiem 1668 dwudziestej niedzieli po świętej Trójcy, czyli dnia 14 października, zaślubione osoby z powodu spodziewanych niespokojności przy nadchodzącym sejmiku i sądach kapturowych, zaślubiono nie uwłaczając prawu i przepisom: pana *Jana Kinmera służącego przy tutejszej mennicy z czcigodną i cnotliwą panną i t. d.*”. Wiadomość tę udzielił najprzód były pastor téjże gminy w Kownie, dziś w Rydze będący, numizmatyk *Treu*, hr. Czapskiemu, ten p. Karolowi Beyer, a ostatni mnie.

ściołem i kollegium swoim ozdobili miasto. Lecz rok 1655 silnie wstrząsł posady kwitnącego bytu miasta, wkroczywszy bowiem wojska nieprzyjacielskie w sierpniu, wszystkie gmachy zrabowawszy spaliły. Tym sposobem zubożone i wyludnione miasto ustawami za Jana Kazimierza r. 1662 (1) uwolnione od wszelkich podatków publicznych na lat 10, oraz Jana III z r. 1676, Augusta II 1698, goiło tak głęboko zadane rany, i rzeczywiście już ożywiać się poczęło, gdy okropny cios znowu wszystkie te usiłowania zniweczył; nadzwyczajny pożar r. 1731 całe miasto z wyjątkiem kilkunastu domów zamienił w perzynę. Odtąd trudno było mieszkańcom powrócić do dawnego stanu, tym bardziej, że z przekopaniem kanału od Niemna do Pregła, ułatwiającym spław towarów do Prus, szczególnież Królewca, cały handel z kupcami, bogactwem i ludnością w ręce pruskie przeszedł. Kowno poczęło być miastem ubogiem (2) przy téj okoliczności, że w czasie przechodu wojsk sąsiedzkich w r. 1750 do Prus, samych kamienic z kramami kilkadziesiąt rozebrano, na wymurowanie pieców do pieczenia chleba.

W tak opłakanym stanie zostawało Kowno aż do panowania Stanisława Poniatowskiego, który 40,000 złp. przeznaczył na poprawę fary. Po upadku Jezuitów kommissya edukacyina wprowadziła tu szkołę podwydziałową, która już w r. 1787 istniała. Najwięcej jednak przyczyniły się do polepszenia losu mieszkańców świetne ustawy czteroletniego sejmu; handel tak się ożywił, że kapitał obrotowy dochodził już 500,000 dukatów. Właścicieli domów było 357 chrześcian, prócz miasteczka Wiliampola za rzeką Wilią, i żydów, których liczba wyrównywała chrześciańskiej: w ogóle ludności posiadało 28,000. Kupców utrzymujących

(1) Vol. leg. IV, fol. 906, libertacye m. Kowna nr. 58.

(2) Pisma pom. hist. T. Narbutta str. 273—274.

sklepy bławatne, galanteryjne i sukienne w mieście było 4ch, w Wiliampolu 6, aptek 5.

Odpadnienie znowu w r. 1794 traktu zaniemeńskiego do Prus zadało ogromną klęskę miastu, wstrzymując powrót do dawniej zamożności i handlu, z tej głównie przyczyny, że obszerny kraj na tamtej stronie Niemna położony i mało mający miasteczek targowych, wysyłających do Kowna swoje produkty, zaprzestał ich teraz dostarczać, i tym sposobem osuszył zupełnie targi jego, niegdyś tak ludne.

Obok tego pominąwszy nawet i pożar w r. 1800, który trzecią część główną miasta w popiół obrócił; rok 1812 srogim śladem napiętnował i tak już optakany stan mieszkańców. Ogromny korpus wojsk pod dowództwem samego cesarza Napoleona zalał całe miasto; ciężary zwykłe w takich razach gnioły biednych nie do uwierzenia właścicieli miejskich, a odwrót Francuzów w liczbie przeszło 200,000 przy zrabowaniu wszystkich domów, był przyczyną świeżego pożaru (1). Tak zniszczało Kowno, że w r. 1817 liczyło tylko 200 domów. Dopiero od kilkunastu lat przez zamianę miasta na gubernialne, stopniowo ludność i handel wzrastać poczęły. Uptynione dwa lata 1854 i 1855 zmieniły postać jego znakomicie. Zamknięcie morza Bałtyckiego zwróciło cały ruch handlowy na Kowno; ludzie przyptywali jak woda, tysiące zwoszczyków dniem i nocą ciągnęło ku miastu z przetadowanemi towarami kubitkami, psując szosę i napełniając place i ulice do tego stopnia, że z jednej na drugą stronę ulicy przejść było niepodobna. Kowno miało podobieństwo do ula w czasie rojenia się pszczół. To wpłynęło na podwyższenie cen nie tylko żywności, ale i mieszkań, szczególnież z niższego rzędu, za które z rs. 20 do 100 się płacono. Robotnik wynajmujący się dziś za

(1) Pisma hist. pom. T. Narbutta str. 275.

kop. 30; przedtem ledwie za rsr. 1 choiał się podjąć pracy. Budowano domy drewniane, które cały nowy plan zajęły, tworząc Nowe miasto z kilku ulic po dwie wiorsty długich i kilku poprzecznych złożone. Ale po zawarciu pokoju paryzkiego, Kowno jak za dotknięciem czarodziejskiej różeczki, wróciło raptem do pierwiastkowej ciszy, ciesząc się korzyściami, jakie w tym czasie zdołało osiągnąć. Stając się zaś miastem składowém przy uregulować się mającej, po uprzątnieniu zawad na Wilii, żegludze parowej i połączeniu tym sposobem z Wilnem, a koleją żelazną z Królewcem, może rzeczywiście stopniowo przychodzić do bytu, jaki niegdyś miało.

Dziś ludności posiada Kowno 25,000, złożonej z chrześcian, przewyższającej liczby żydów i kilku familij tatarskich. Kantorów handlowych ma 6, aptek 3, dwie cukiernie, i fabrykę cygar. Po klassie wyrobniczej przemaga mieszczaństwo; lepsze zaś towarzystwo po większej części stanowią tu urzędnicy, w znacznej dość liczbie, jako w mieście gubernialném, posiadającym wszystkie władze gubernialne i powiatowe.

Jeżeli czytelniku pragniesz widzieć, jak teraz wygląda wewnątrz miasta, to przejdź się razem ze mną po jego ulicach, a wnet dostrzeżesz, że w ogóle utrzymane jest mimo żydostwa bardzo schludnie. Największy ruch objawia się przy ulicy Wielkiej, ubraniej samemi kramami jeden przy drugim i kilku najznakomitszemi sklepami, podobnej zupełnie do Nowowiniarskiej w Warszawie, tylko znacznie dłuższej. Ona łącząc Stare miasto z Nowém, sprowadza tu wszystkich mieszkańców, i swoich i przybyszów, i jeżeliby się godziło sądzić z życia, jakie przedstawia, to śmiałoby można wyrzec, że onato jest Kownem. Zdobi ją kościół farny, szkoda tylko, że frontem zwrócony ku ulicy Mostowej, początkiem sięgający czasów krzyżackich, o czém i budowa jego, wyniosłych z czerwonej cegły

murów i b. wysokich okien zdaje się upewniać. Dziś mieszczą się tu XX. Augustyanie w liczbie 14-tu pod prezydencją przeora ks. Pietkiewicza (1). Nieco dalej ku Nowemu-miastu stoją zabudowania klasztorne skassowanego kościoła Dominikanów i sam kościół w kształcie krzyża, wzniesiony podobno przez Krzysztofa Białożora pod tytułem Bożego Ciała (2). Zwracając się ku zachodowi, wyjdziem na plac bardzo piękny, dawniej rynkiem zwany, kwadratowy niemal, blisko do 200 kroków wzdłuż i wszerz mający, otoczony baryerkami zewnątrz, a wewnątrz szpalerem podwójnym dookoła topoli, swoją kolosalną wzniosłością i grubością dających poczuć, nawet i szronem upstrzonej głowie, swą dawność i swe starszeństwo. Wszystkie cztery strony tego placu okrąża przejazd, a następnie bardzo piękne murowane domy i kościoły. Południowy bok kwadratu zajmuje głównie jeden gmach, z pośrodku którego wystrzeliwają dwie duże wieżycy kościoła dawniej Jezuitów, dziś Aleksandra Newskiego soboru. W gmachu tym jak dawniej tak i dziś mieści się gimnazyum. Ta cała połać placu, swoją symetrycznością architektoniczną, swoją dziewiczą białością, rywalizuje z innymi i bezwątpienia tryumf odnosi. Z temi murami łączy się dużo wspomnień: wszyscy ci, co tu w tej krynicy mądrości swe ukształcenie poczerpnęli, do grobu zaniosą niezatarty ślad, wyryty na młodych ich umysłach; ci zwłaszcza, którzy mieli szczęście słuchać wykładu mistrza nad mistrze, wieszczą,

(1) W innym miejscu mam zamiar skreślić więcej szczegółowy stan wszystkich kościołów kowieńskich, z napisami na murach, nagrobkach i kamieniach, jakie zatracie czasu jeszcze nie uległy.

(2) P. M. Baliński w Starożytnej Polsce na karcie 412, założycielem tego kościoła mianował Massalskiego Alexandra 1621 r., który rzeczywiście nieco później wznosił kościół w Kownie pod imieniem Ś-tėj Trójcy, ale nie *Dominikanów*, tylko *Bernardynek*. Doszły do naszych czasów Inwentarz kościoła OO. Dominikanów z r. 1820. tak nas objaśnia, oraz napisy na murach kościoła Bernardynek znajdujące się.

który słowem swoim, tak piękny dla ziemi polskiej uwił wieniec. W tych murach było jego mieszkanie oraz Kojatowicza. Pragnąłem całą duszą obejrzeć komnaty, w których tak wielcy ludzie przebywali, lecz napróżno, bo całe wnętrze gmachu jezuickiego już przebudowane.

Zachodnią część kwadratu zajmują kościoły: Bernardynów, którego zład tylko dzwonnica widzialna, i PP. Bernardynek; piérwszy pod tytułem św. Jerzego, zbudowany w r. 1467 przez Szadziwojewskiego marszałka grodzieńskiego, skasowany r. 1842; a drugi pod wezwaniem Św. Trójcy wzniesiony i ukończony roku 1634 przez Alexandra Massalskiego, wojewodę mińskiego, kasztelana smoleńskiego, oraz żonę jego Apoloniją z Jasińskich: mieści 25 zakonnic pod zarządem ksieni p. Klary Korzeniowskiej.

Nie od rzeczy może będzie powtórzyć tu nagrobek w kościele bernardyńskim na tablicy blaszanej wyciśnięty, przybitój do wielkiego ołtarza, jako malujący duch swego czasu:

D. O. M.

„Umarł roku 1768.

Tu są śmiertelne zwłoki
złożone

Jnie Wgo w Bogu zesłego

Ludwika Chelchowskiego

Chorążego Powiatu Kowieńskiego

Porucznika Hussarskiego

Znaku J. O. X^{cia} Kanclerza Wgo X. L. Regimentarza

Dywizyi Żmudzkiej,

Kto zwrocisz na ten napis ciekawe powieki,

Mów: niech Chorąży w Bogu spoczywa na wieki.”

Główną ozdobę placu stanowi na środku umieszczony starożytny ratusz, z majestatycznie panującą, najwyższą nad wszystkie kowieńskie wieżycą. Obszerne w nim salony, elegancko urządzone służą do przyj-

mowania przejeżdżających osób z rodziny cesarskiej, a w zimie odbywają się tu zabawy maskaradowe.

Naprzeciw znów ratusza uderza oko już nowsze dzieło: pomnik żelazny, dosyć wysoki, z złotym krzyżem na wierzchu, wzniesiony na pamiątkę odwrotu Francuzów w r. 1812. Całe to miejsce, objęte odrazu okiem, ma bez zaprzeczenia jakiś urok, i jest najpiękniejszym w Kownie; zastępuje ogród spacerowy i dlatego też dopiero w godzinach wieczornych zapełnia się kowieńską publiką.

Nowe-Miasto choć się łączy ze Starém nosi zupełnie odrębną postać, z przyczyny rzadko pobudowanych domów, i swęj trzywiorstowej blisko długości: ciągną się bowiem domy aż pod stopy gór i dotykają lasów je pokrywających. Panuje tu smętna cisza, czasem pędem jednokonnej dorożki przerwana: nikogo tu dziwić nie powinno, że w mieście przy takiej ludności używają się dorożki, kto zwróci uwagę na jego przestrzeń. Idąc szeroką, prostą jak strzała ulicą Nowego-Miasta zwracają uwagę jeszcze trzy kościoły: pierwszy Benedyktynek przy początku góry Zielonej, w r. 1625 przez Andrzeja Skorulskiego, marszałka kowieńskiego zbudowany, przy którym mieszka 18 zakonnic z ksienią p. Alexandrą Gongiedowną; drugi Siostr Miłosierdzia, mały, gdzie miejscowym zwyczajem co piątek po południu wszyscy nabożni mieszkańcy uczęszczają; a trzeci o wiorstę przeszło od tego oddalony, XX. Karmelitów, założony w r. 1716 przez Krzysztofa i Annę z Zawiszów Szczytów, kasztelanów smoleńskich, skassowany w r. 1842, dziś mieszczący chorych.

Życie umysłowe odłogiem tu nie leży, zwłaszcza w tych czasach silniej się objawiać poczyną, ku czemu wiele się przyczynia założona w r. b. na miejscu licego kramu porządna księgarnia p. Leona Klaczko z Wilna, administrowana umiejętnie przez pana.... pana... ot

i przepomniałem jego nazwiska. Wszystkie książki w różnych językach, muzykalia, tu się znajdują, co ułatwia prędsze tworzenie się domowych biblioteczek, z którymi częstokroć się można spotykać. Brak tylko czuć się daje pism peryodycznych: w miejscach publicznych żadnej gazety, nawet i z rosyjskich nie ma: za-
możniejsi, a częściej ciekawsi niektóre prenumerują i wzajemną zamianą ułatwiają sobie czytanie. Zpo-
między widzianych przezemnie odznacza się piękny zbiór assessora kollegialnego p. Jana Prekiera urzę-
dnika do szczególnych poruczeń przy kowieńskim gu-
bernatorze i mnogością i dawnością. Pan Prekier jest już znany z zamiłowania starożytności: dostarczał on
materyały do Polski Starożytnej panu M. Balińskiemu (1) wówczas jeszcze, kiedy mieszkał w Szawlach. Całe swe życie poświęca tylko poszukiwaniom, rozkopywa-
niom kurhanów, wiele też szczegółów można u niego zobaczyć. Oprócz wielkiej liczby różnych przywi-
leją, aktów, listów znakomitych mężów, już to w ory-
ginałach już w odpisach odnoszących się głównie do historyi Litwy, zastępuje na uwagę jego zbiór numi-
zmatyczny około dwóch tysięcy sztuk zawierający, oprócz polskich i innych narodów monety, oraz medale.

Zamiłowanie do muzyki znakomite: czasami by-
wają koncerty amatorskie. Na ostatni w celu bardzo szlachetnym, bo na korzyść swojego, chorego nauczy-
ciela przez dawne uczennice danym, w dniu 12 lipca zgromadziła się cała miejscowa publiczność. I nie dzi-
wnego, bo obok celu, afisze zapowiedziały utwory słyn-
nych mistrzów jak np. Meyerbera, Donizettego, a co najważniejsza nazwiska pięknych wykonawczyń, z któ-
rych p. M. Szukszta i małoletnia p. L. Godzińska zachwy-
cając słuchaczy, odbierały wieńce z tysięcznych okla-
sków splatane.

(1) Patrz Starożytna Polska M. Baliński str. 447. Wspomnienia Żmudzi Jucewicza str. 76.

Odbywszy taką pielgrzymkę po mieście, może się czytelnik nie poleni zajrzeć na kowieńskie cmentarze, mogiłkami tu zwane. Cmentarz to niemiła rzecz, a przecie godzi się i umarłych odwiedzić. Mogiła, ten jawny dowód niechybnój każdego śmierci, ile tu myśli nasuwa, ile łez, ile kropli krwi z serca wyciska. Nie ma tego, ktoby nie doznał tych przykrych wrażeń, a jednak ich nie unikamy: lubimy chodzić na mogiły, czy to czynim z tęsknoty do tych, co nas opuścili, czy w nadziei oswojenia się z przyszłością:—ja nie wiem. Ciągną się tutaj cmentarze jedném pasmem pod samemi stopami gór, dotykając Nowego-Miasta: cokolwiek nawet zablizko niego leżą. Chmury ciemne gruppując się w różne kształty, ścigając naprzemian, upewniały mnie o blizkiej burzy: z połowy drogi nie chciało mi się już wracać. Drobną kroplistą deszczą po chwili także nie zdołał mnie przestraszyć: postanowiłem już dosięgnąć celu. Kiedy wszedłem w oparkanie jednego z 3ch cmentarzy przy sobie będących, burza była w całej sile, ulewa okropna, trzask piorunów przerażający. Błądząc pomiędzy stami krzyżów i krzyżyków drewnianych, napróżno szukałem jakiego zajmującego grobowca, aż przecie w samym rogu dostrzegłem biały posąg: biegnę aby ujrzeć, kto z tego licznego zastępu pozyskał taką oznakę pamięci; lecz szelestem gnącej się pod memi stopami trawy zbudzone z chwilowego ostupienia widmo, zwróciło ku mnie głowę, i znów spuściwszy, rękami ją zakryło. Ujrzałem zbliżka, zdumiony, nie kamień, nie widmo, lecz modlącą się i łkającą jakąś wiejską kobietę: ona klęcząc płakała rzewnie, i zwilżoną ziemię całowała. Moja obecność i burza zupełnie ją nie obchodziły, a na zapytania nie dawała odpowiedzi; wreszcie, kiedym badał o przyczynę smutku i pragnął ją uspokoić, radząc, że takim długim pobylem może nabawić się cierpienia, odrzekła szlochając:

— Zazdroszczę deszczowi, który dojdzie do mogiły mego męża, a moje łzy doń nie dojdą—i znowu bardziej płakała.

Ostąpiąłem na taką odpowiedź. O święta kobieto, żono! gdyby wszystkie tak jak ty kochały!.....

Wzruszony do głębi serca, zostawiwszy owę strapioną na grobie i korzystając z ustającej burzy, ruszyłem dalej.

Minąwszy nowe cmentarze, kilka warzywnych ogrodów i młyn opuszczony, na ruczaju z między gór do Niemna dążącym zbudowany, wchodzi się w wąwóz, z początku roztwarty, później ścieśniony, bardzo wysokimi i stromymi górami, porośniętymi świerkowym i lipowym lasem. Góry otaczające ten rów głęboki raz schodzą się bliźutko, ledwie niewielkie przejście zostawiając, drugi raz rozszerzają, i tym sposobem tworzą piętnaście małych dolinek, ślicznym z trawy i kwiatów uwitym kobiercem zastanych. Urocze miejsce! To nie Ojcowska dolina przerażająca swoimi kolosalnymi skałami: tu nie ma ani jednego kamyczka, woń tylko kwiatów, brzęczenie lekkie owadów, złączone z szmerem kręto, środkiem snującego się strumyka, z błękitnym w górze niebios namiotem, tysiące tchnie uczuć choćby w najzimniejsze serce. Leszczyna suto okalająca brzegi ruczaju, jakby w chęci utajenia go przed okiem ciekawca, tworzy gdzieniegdzie malownicze kępy. Ukochał też słowiański piewca to lubę dla siebie miejsce, które dziś przyjętą odeń nazwą, jeszcze podnosi swój wdzięk. W Grażynie opisując pałac Witolda, takie dał o niej świadectwo:

„Widziałem pysznych Krzyżaków warownie,
Na które Prusak nie spojrzy bez strachu;
A przecież mniejsze od Witolda gmachu
Co jest na Wilnie, lub Trockiem jeziorze!
Widziałem piękną dolinę przy Kowale:
Kędy Rusalek dłoń wiosną i latem
Ściele murawę, krasnym dzierzgą światem:
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie!”

Mijając jedną za drugą owe dolinki ciągnące się przeszło 4 wiorsty, doszedłem aż do wsi Pietraszuny nad Niemnem, odległej od Kowna o milę, idąc drogą zwyczajną. Z takiego położenia miejsca możnaby zdaje się nieomylnie sądzić, że Niemen był pierwszym twórcą tego wąwozu; bo gdyby nawet nim teraz płynął, zachowałby kierunek prosty ku zachodowi, kiedy dziś skracając się od Pietraszun ku południowi w kształcie podkowy, pokazuje się dopiero pod Kownem.

Włościanie Pietraszun oszczędzając sobie drogi, w lecie tym wąwozem, zamiast traktem, dojeżdżają do miasta; lecz w więcej ścieśnionych miejscach muszą korytem małego strumyka drogę odbywać.

Przed wieczorem wracałem do miasta, ale traktem właściwym, to jest wileńskim, zatrzymawszy się umyślnie na przyległej stromiej górze, z której widok cudowny na Kowno, zwłaszcza przy zachodzie słońca. Słońce powolnie zaczęło się schylać ku horyzontowi, który się rumienił i złocił, jakby rozścielając purpurę i złotogłów na jego przyjęcie. Ten Niemen, którym wówczas zda się krew lub lava rozpalona płynęła, te lśniące wieże, jakby skąpane w ogniu, dumnie się unoszące nad kłębamii dymu buchającego z kominów, wzgórze w złocistej szacie i ten las masztów z różno-barwnymi wstęgami, jakieżto wszystko krajobraz przedstawiało!

Następnego dnia już byłem na drodze ku Czerwonemu Dworowi, słynnemu na całą okolicę z przepychu i bogactwa. Kto tylko przejeżdża przez Kowno, nigdy go nie pominie: bo dla wszystkich otwiera gościnne podwoje. Już jestem na moście jarzmiącym Wilię, szeroko i z parciem wlewającą się w Niemen; widzę, to młyn parowy, to żydami przesiąkniętą Słobodę, ozdobioną wielką murowaną z czerwonym dachem bóżnicą, to góry i lasy—ale nie widzę owych trzech ulic: Powilejskiej, Garbarskiej i Wokieczu, Kampas,

bo niesforna Wilia dawno je swym pędem uniosła, i dziś razem z Niemnem liżąc stopy kościoła Bernardynów, gotują mu powolne konanie.

O dwie mile od Portugalskiej Cintry, leży wieś *Marfa*, sąsiadka gmachu wzniesionego na wzór *Escuryalu* przez *Jana V-go*, a o dwie wiorsty za *Kownem* leży nad Niemnem piękny folwark *Marwa*, ulubione miejsce spacerów kowieńskich. Zostawiwszy go na hoku i przejechawszy z cztery wiorsty drogi, wciąż brzegiem Niemna idąc, ujrzym piękną zieloną równinę poprzerywaną wstęgą spokojnej *Niewiaży*, z niewielkim promem, oddzielającą *Żmudź* od Litwy; następnie obszerną górę przystrojoną bielutką świątynią, do której prowadzi wysadzana drzewami droga, opasująca tę górę, jak gwint śrubę. Zaprawdę! nie można już było stosowniejszego dla przybytku Boga obrać miejsca! Tam dalej na prawo za kościołem ciemny las, z którego wygląda, jakby przez ciekawość, czerwona baszta z wielką flagą: to *Czerwony Dwór*.

Czerwony Dwór po litewsku *Raudon Dwaris* początkiem sięga czasów Krzyżackich, bo obok miejscowego podania, p. *Narbutt* twierdzi (1), że go marszałek zakonu *Ulrych Jungingen* zajmując *żmudzką* ziemię, w skutku traktatów z *Jagiellą* i *Witoldem* wymurował r. 1405, dla utwierdzenia panowania zakonu w tym kraju. Dawniej należał do *Zabiełtów*; w ostatniej wojnie spalony zupełnie, dopiero przez dzisiejszego właściciela hr. *Benedykta Tyszkiewicza* odnowiony i dziełami sztuki przyozdobiony został.

Jestto dom jednopiętrowy z cegły, z ścianami i dachem czerwonym, z jedyną basztą w rogu od strony północnej stojącą. Dawniej każdy róg gmachu kończyła podobna baszta, dziś od strony południowej w obu rogach są nowowzniesione dwie baszty, ale zna-

(1) Tom VI str. 97.

cznie mniejsze. Mieści się na wysokości górze, okrażonej wielkimi rowami, jakby przedwiekowymi fosami, w których już ogromne jodły powyrastawały, przeciągając się od północy w gęsty las. Przestrzeń frontowa zamieniona w pyszny ogród, pełen kwiatów zachwycającej barwy i woni, zamknięty pięknymi budowlami. Szczególne tu są altany: pień jesionu wysokiego, przechodzi przez środek stolika, a gałęzie spadając wokół do samej ziemi, podparte słupkami, tworzą nadzwyczaj przyjemne i wygodne w czasie upałów schronienie. Orkiestra z kilkunastu osób złożona, kosztem dziedzica utrzymywana, codziennie tu grywa.

Od strony południowej między nowymi dwiema bastiami urządzone taras, oszklony i w zimie za pomocą rur ogrzewany, daje taki widok, którego opisać niepodobna: od południa szeroki Niemen, od wschodu pasmo wzgórz z wioską Romajnią, u podnóża których spokojna, prawie nieruchoma Niewiaża, przesuwając się z wąwozu na zielone błonie. Tu kręśląc łuki, dochodzi niemal do brzegów starego Niemna; niedowierzając jego gościnności, czy też żałując swego samostnienia, wraca się i pieszcząc się nieco z zieloną równiną wkracza nareszcie nieśmiało w koryto pani litewskich rzek. Owdzie poroste jary, chaty wieśniacze, dalej bielutka jak taśma dołem ciągnąca się drożyna, zamykają ten piękny pejzaż.

Wnętrze pałacu także zwraca uwagę niejednym przedmiotem: wejście do salonu złotego strzeże ciągle trzech rycerzy, zdaje się litewskich, w dawniej żelaznej zbroi: rozumie się nieżywych. Z obrazów olejnych odznacza się i kolorytem i wielkością: złożenie Chrystusa do grobu, kopia zdaje się z Giuseppe porta zwanego Salviatim (długi łokci $3\frac{1}{2}$, szeroki $2\frac{1}{2}$); św. Magdalena (może) przez Batoni'ego (długi łokci $3\frac{1}{4}$, szeroki 2 i 3 cale); kilkanaście Żametha w Rzymie robionych; Wnętrze kaplicy św. Kazi-

mierza w Wilnie, przez M. Zaleskiego r. 1846. Oprócz wielu innych niewiadomego mnie pędzla, jest kilkanaście familijnych portretów, z tych dwa zasługują na wspomnienie: pierwszy pędzla p. Kaniewskiego (1846 r.) przedstawiający w naturalnej wielkości samego dziedzica, w stroju myśliwskim; drugi zmarłej w r. 1848 hr. Joanny Tyszkiewiczowej, przez Hallpein (r. 1845).

Z rzeźby z karraryjskiego marmuru: statua św. Jana, dłuta Pampoloni'ego. Figura alegoryczna kobiety naturalnej wielkości przez L. Bienaimè; popiersie zony Hr. Benedykta przez Oskara Sosnowskiego w Rzymie wykonane i kilka pomniejszych. Oprócz tego znajdują się kosztowne mozaiki i wiele innych drogocennych przedmiotów.

Spadzistość góry na której stoi kościół, pokryta jest matami krzyżykami ledwie o stopę nad ziemię wyglądającymi; sąto mogiłki miejscowe, nieoparkanione, tak od niechcienia przyczepione do boku góry, której wcale nie szpecą, lecz owszem dodają pewnego poszanowania. Między innemi złożone tu są ciała poprzednich dziedziców: Maryi Teresy z Sobolewskich i Jerzego Zabięty zmarłych r. 1795 i 1828, oraz wnuki ich Maryi z Zaleskich Prozorowej, zmarłej nagle 1849 r. jak umieszczony napis na wielkiej marmurowej płycie, grób pokrywającej, objaśnia.

Sam kościół na dokończeniu, odznacza się pięknoscia budowy zewnątrz i wewnątrz. Mógłby śmiało zdobić jakie miasto. Wzniesiony wedle planu budowniczego Włocha p. Cezara-Laurentego Anihini. Fronton z dwiema wieżami podobny Święto-Krzyżkiemu w Warszawie. Z wieży widać okolicę na kilka mil, Kowno jak na dłoni, a powierzchnia Niemna błyszczy jak droga wystana lustrami, w których niebios sklepienia póty się odbijają, póki on nie zginie w czarném tle lasów.

Wewnątrz kościoła wznoszą się z każdej strony po 4 arkady na kolumnach w porządku doryckim; sklepienie zdobią piękne rozety gipsowe. Wielki ołtarz o 8-miu kolumnach korynckich, zdoł obraz św. Scholastyki pędzla Czechowicza, przeniesiony po kassaeyi kościoła z Trok; między kolumnami 4-ch apostołów z księgami. Nad tym ołtarzem, drugi mały także o 8-iu kolumnach, wpośrodku których gipsowe figury przedstawiają chrzest Jezusa Chrystusa, nad czém znowu złoty krzyż dotyka sklepienia. W dwóch bocznych ołtarzach umieszczono obrazy: z lewój strony Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus, kopia z Rafaela, a z prawój konającego św. Józefa, oba w r. 1852 i 1853 malowane przez Giorgio Berti w Florency. Chór przystrojony w emblemata muzyczne unosi się na 4-ch kolumnach porządku jońskiego bez podstav. Wielkie organy o 40-stu głosach, robił Maćkiewicz: mają kosztować 7,000 rsr.

Presbiterium oddzielone ballustradą, posadzka w całym kościele z marmuru białego i czarnego, co tu jest niemałym szczegółem. Po wsiach zwykle kościoły są drewniane, a w Kownie na ośm kościołów tylko jeden Bernardyński wyłożony marmurem, reszta cegłą lub piaskowcem.

Ale szczególniej godną widzenia jest kaplica hr. Tyszkiewicza, za wielkim ołtarzem, umieszczona tak, że jej długość stanowi szerokość kościoła. Ma tylko jeden ołtarz od strony północnej, skromny, ale z pięknym obrazem św. Benedykta, patrona fundatora, pędzla Czechowicza, nabyty w Trokach. Naprzeciw chóru z organami małymi, ale prześlicznymi. Gdyby tu nic więcej się nie znajdowało, już byłoby pięknie, lecz na samym wstępie zaraz uderza pomnik wpośrodku kaplicy ustawiony, arcydzieło sztuki! Na sarkofagu z karraryjskiego marmuru 3½ łokcia długim, 1¾ szerokim, leży trumna z wyobrażeniem zwłok zmarłej

zony fundatora, także z tegoż marmuru. Ciało i trumnę od połowy pokrywają draperye rzucone tak cudnie, że pragnącego zdjąć białą obstonę już nieraz zawiodły. Twarz mająca się odznaczać podobieństwem, ręce nakrzyż złożone, tak misternie wykonane, że tam nic nie brakuje: każda żyłka jest na swoim miejscu i gdyby nie rażąca białość, rzekłbyś, że to nie kamień, ale rzeczywiste zwłoki. Patrząc na ten marmur, doznaje się nieokreślonego zachwytu, zdumienia i głębokiego szacunku dla artysty, który zimny głaz owiął taką prawdą, przelał weń swe życie! Tak, życie, bo pierwszy grobowiec, jak mi mówiono, w przeprawie, zazdroszcząc niby tryumfu artyście, wody Bałtyku pochłoneły, przyprawiając o śmierć twórcę i niedozwalając mu drugiego wykończyć. Kosztować ma 25,000 rubli srebrem. Każdy łatwo pojmie zmartwienie artysty, sprawione stratą przedmiotu, nad którym lata strawił, przy tej niefortunnej okoliczności, że miał być nieassekuirowany i wystany na ryzyko mistrza Pampolonięgo.

Pomnik ten wysokości ma łokci $3\frac{1}{4}$: z prawej strony na wykutęj tablicy unoszonej przez dwóch aniołów taki złocisty napis:

Pamięci
Wandy z Wańkowiczów hrabinęj
Tyszkiewiczowęj
urodzonej r. 1808 m. Września 7-go
zmarłej w Bad-Ems r. 1842
Czerwca 26-go dnia.

Na stronie przeciwległéj, na takiéjże tablicy:

Benedykt hr. Tyszkiewicz
Herbu Leliwa

maż stroskany te zwłoki z Bad-Ems do kraju sprowadził i na wieczny spoczynek złożył w tój kaplicy, staraniem jego wzniesionéj
r. 1843 m. Czerwca 26 dnia.

Na wezgłowiu trumny:

Lougi Pampoloni fece a. 1847 Florenz.

Niżéj na podstawie: herb Leliwa.

Tegoż samego dnia jest tu jeszcze pomnik na marmurze łokieć przeszło wysokim, przedstawiający synka fundatorów Michała, urodzonego w kwietniu 1832 r. zmarłego w maju t. r. Dziecię bokiem leżące, prześlicznie zrobione.

Pod chórem są sklepy, w których spoczywają ciała Tyszkiewiczów; tu mają być przeniesione z cmentarnej góry zwłoki Zabiełtów i Prozorowój.

Przeprawiając się napowrót promem i rzucając pożegnalne spojrzenia nie tylko na ludzi, ale góry i lasy, nie mogłem nie podziwiać spokoju Niewiaży, której wody stoją zda się w miejscu. Postyszawszy to ciągnący linę przewoźnik, spluwając zaklął:

— A djabłać tam spokojna, narobiła ona nam biedy, co i wnuki nasze będą pamiętać.

— Może się wicina (1) jaka zatopiła?

— Jeszcze gorzej mój panoczku: przed siedmiu czy ośmiu laty przejeżdżała tędy, jakoby i pon, tylko nocą pani nasa z Romajnie (2), ot tam z tej wioski, musiał ją pon przecie widzieć ze dworu. Forśmon był pijany, a kto go wiedzioł, że on pijany, kiedy ciemno, a dészcz loł jak z cebra. Wpuściłem go na prom, koni lejcowych nie wyprzągł, bo mu się nie chciało: odbiliśmy od brzegu już kawoł, aż tu panie święty, koniska jak zaczął chimerować, ja ledwiem się od liny odsunął: patrzę a tu karéta tyłem b a c h i konie i wszystkich ściągnęła za sobą do wody. O Chryste drogi! co tu począć! zacząłem lamentować, ludzi się nazbiegało i państwo z Czerwonego Dwora, a co tu radzić, kiedy głębia i noc. Koniska przecie z pijanicą i dwoma przednimi kołami wyptłyły, ale pudło karéty... poszło z moją panią na dół—i wzdychając zapłakał.

— I nie wydobyliście przecie karéty—zapytam.

(1) Statek wodny.

(2) Romajnie, dawniej *Romowe*, czyli jedno z miejsc świętych u pogan litewskich.

— A cóż, choć wy dostała się po wielkiej procy, kiedy pani i gubernantka już były nie żywe. A leżą tam na górze w grobie, przecie pon i tam łąził, to musiał widzieć. Kto wie coby i mnie było spotkało, gdyby matka pani nie była moja krzesna, choć jo Bogiem się świadczę, nic nie winien.

Wypadek ten tak silnie wdrożył się w serce i pamięć mieszkańców całej okolicy, że na wspomnienie Niewiaży, wszyscy o nim rozprawiają, i to pewna, że obleczony szatą podania wieki przetrwa.

Wspomniałem wyżej, że na baszcie Czerwonego Dworu powiewa flaga: dodaję, iż tylko pod obecność pana dworu, kiedy pragnie kogo przyjąć. Flagi są różnobarwne, ale zawsze z herbem Leliwa ogromnych rozmiarów. Przypomina nam to czasy feudalizmu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

—•••••

IDEAŁ PIĘKNA W MUZYCE

I JAKIE SIĘ JĘJ STANOWISKO W DZIEDZINIE SZTUK NALEŻY.

PRZEZ

J. M. Wiślickiego.

Muzyka, to miłe cacko, ma przeznaczenie zatrudniać ręce i uszy, a czasami nogi; muzyka, to niewinna zabawka, dobra do rozpędzenia nudów, i nic więcej (1); nawet podług zdania jej miłośników, dla jednych jest ona lubem roztertargnieniem, dla drugich rzemiosłem. Taka opinia o muzyce światowej kółkuje w większej części ukształconego towarzystwa: jest to fakt niezaprzeczony, a nie lepszy sąd wyrobił się u nas o muzyce kościelnej.

Tymczasem muzyka od wieków rozgościła się między nami, przenikła do najniższych warstw społeczeństwa; obecnie nawet stała się nieodzowną w wyższym wychowaniu dzieci naszych. To rozpowszechnienie, ta sympatya dla muzyki, wreszcie owo wygórowanie w niej tylu naszych ziomków, niczyjej uwagi nie zwraca, i dziwny fenomen w pojęciu muzyki u nas przedstawia, której z tradycyi naznaczają wprawdzie miejsce między sztukami pięknymi, ale zwykle ostatnie. Idzie ona samopas, bez pomocy, bez opieki; nikt się o nią nie troszczy, nikt o właściwy pogląd nie upomni: nawet sami jej kapłani, artyści, którzy albo w wyższą sferę myślą nie sięgają, albo w pismach swych prze-

(1) Takie zdanie o muzyce zamieściło jedno z rozpowszechnionych pism warszawskich, w artykule niedawno ogłoszonym, pod tytułem: „Literaci i artyści, zmarli w ubiegłym roku.”

sadzoną pedanterią grzesząc, od czytania ich powszechność odstręczają.

Tak powierzchownego u nas sądu o muzyce, bezwarunkowo potępić nie mogę; kiedy u narodów, gdzie pogląd na nią dosięgnął większej dojrzałości, gdzie sztuka z wyższego stanowiska jest pojmowaną, znaleźli się ludzie naukowcy, którzy o muzyce dość płytko rozmawiali. Grzechu tego dopuściło się nawet kilku znakomitych estetyków niemieckich, rodaków wielkiego Mozarta, Bethovena i Webera.

Zamierzwszy w niniejszej rozprawie mówić o estetycznej piękności tkwiącej w muzyce, o stosunku i wpływie jej na ludzkość, zająć waszą uwagę wyższym poglądem na tę najstarszą siostrę w rodzinie sztuk pięknych, a tém samém sprostować błędny o niej sąd, i wrócić przynależne pierwszeństwo: z góry przewiduję powątpiewanie, jużto ze względu na zadanie, jużto wywołane obawą suchego wywodu, którym się zwykle odznaczają poważniejsze rozumowania.

Dzięki Bogu, minęły już bezpowrotnie czasy zamętu scholastycznego: obecnie nauka przywdziawszy strój zwyczajny, wykładem nie ćmi, nie odurza nikogo. To też uprzedzam, iż chociaż przyjdzie mi niekiedy zwrócić się do badań ducha ludzkiego, mówić o przedmiocie z natury swój abstrakcyjnym, to jednakże abstrakcjami, jako też technicyzmem, uwagi waszej utrudzać nie będę. Nadto nadmienić tu wypada: że mimo długich badań ulubionego przedmiotu, nie rachowałem jedynie na własne siły, a tém mniejsze na własne doświadczenie. Ztąd też, co do głównych zasad, trzymałem się jasno i logicznie wysnutych poglądów, zgodnych z mojem przekonaniem, znanego w uczonym świecie: teoretyka i muzyka p. Fetis, od lat 30 naprzód dyrektora konserwatorium paryzkiego, a teraz pełniącego ten sam obowiązek w Bruxelli. Jeżeli więc w dalszym ciągu méj rozprawy znajdziecie niezbite prawdy, przekonujące dowody; te wszystkie należą do mego przewodnika: usterki zaś, mnie samemu przypisane być powinny.

I.

'Idea piękna w czółności.

Idea piękna po części i przez naszych estetyków traktowana, według mniemań rozpowszechnionych przez abbego Batteaux,

Burke, Diderota i niektórych myślicieli z XVIII wieku, miała być wynikiem z naśladowania natury, a sztuki miały za cel jęj naśladownictwo. Takie pojęcie piękna wypłynęło z filozofii, która przypuszcza, że wszystko, co się odbywa w dziedzinie ducha, jest wynikiem zmysłów. Mała liczba myślicieli samodzielnych nie mogła się oprzeć większości, która na oślep chwytając zdania z Zachodu do nas przybłąkane, skrzywione idee o sztukach między nami upowszechniła. Dowodem tego cała plejada rymotwórców z XVIII i początku XIX wieku, szczególnież poczet Stanisławowskich malarzy, którzy zmysłowość za wyłączny cel sobie wybrali.

Nawet podotąd ten, tradycją podtrzymywany przesąd, tuła się między naszymi artystami; czy on ma gruntowną podstawę, zaraz się przekonamy. Głębsze zastanowienie przekona nas, że człowiek w sztukach pod względem ogólnym nie naśladuje natury, ale tylko odbiera od niej wrażenia, posługuje się jęj formami, dla przedstawienia widomie dzieł swoich. Wszakże nikt tego nie zaprzeczy: że gdyby artysta za treść swych utworów nie brał własnych pojęć, nie czerpał z własnego ducha, tylko wprost niewolniczo naśladował naturę, praca jego byłaby dlań ciągłym źródłem zawodu i rozpaczy: gdyż tętno ożywiające naturę, które jest dziełem samego Boga, dawałoby pierwowzorowi nieporównaną wyższość nad kopią przez człowieka dokonaną.

Na poparcie mego dowodzenia weźmy naprzykład dioramę: złudzenie w niej dosięga wysokiego stopnia, jednakże nikt jeszcze nie odważył się porównywać dioramy z obrazami mistrzów, które stanowią chwałę malarstwa: chyba tłumy ludzi pospolitych, którzy wszystko mierzą cyrklem zmysłów, a uczucie, strona duchowa zupełnie w nich uśpione.

Diorama dlatego właśnie, że ściśle, niewolniczo, naśladuje naturę, daleko jest niższą od obrazów genialnych malarzy, chociaż zadaniem jęj jest złudzenie wzroku. Wszyscy o tém wiedzą, że natura w dioramie nie przedstawia się inaczej, tylko w postaci trupa. W widokach dioramicznych postaciom ludzkim brakuje zawsze ruchu: a więc cel złudzenia tutaj chybiony. Tymczasem nikt z wykształconym nmysłem nie zarzucił martwości postaciom w obrazach nieśmiertelnych mistrzów; gdyż oni wiali w nie ruch, życie sztuki, które różni się od ruchu i życia natury.

Malarstwo i rzeźbiarstwo jako sztuki plastyczne, powierzchownie badane, nadają jakiś cień prawdy mniemaniu, które

właśnie zbijałem; ale i ten pozór zniknie, skoro weźmiemy za cel naszego porównania muzykę, lub poezję, sztuki nie przemawiające do samego wzroku.

Poeta, muzyk, nie wyprowadza ideału piękna z nicości, bo stwarzanie nie jest udziałem śmiertelnika; lecz dla uwidomienia idei posługuje się materiałami, wziętymi ze świata zmysłowego: mimo tego poetę, lub muzyka, który ten cudny ideał przedstawił, nie nazywamyż wielkim malarzem? Nie zaprzeczam, że człowiek ma zadanie studyować naturę dla wyuczenia się typów, które potem za pośrednictwem własnej wyobraźni i sztuki, uzupełnia. Przedmioty oraz działanie natury zmysłowej nie zapładnia naszych myśli, ale ogranicza się na podrzędnej roli, to jest pobudzającej, i w tym względzie przyroda jest tylko prostą przypadłością, a nie główną przyczyną.

Teraz zobaczymy, czy formuła piękna, o którą się dawniej tyle spierano, leży zewnątrz, czy w nas samych.

Po wielu walkach materyalistów z idealistami, doszliśmy nareszcie do przeświadczenia, że przedmiot zmysłowy nie może nam dać tego, czego w sobie nie zawiera. Boć łatwo przychodzimy do rozróżnienia drzewa od kamienia; ale w tej mnogości przedmiotów pod zmysły podpadających, kto wam powie i dowie, że to stanowi piękność, a to brzydotę? Możebyście tu chcieli przyzwać na pomoc rozmiary? ale kto je wam oznaczy, mające np. stanowić o piękności twarzy człowieka? Wszakże do tego pojęcia nie dochodzimy drogą doświadczenia; bo natura nigdy nie przedstawia oblicza abstrakcyjnie pięknego. Przypuśćmy jednakże, iż w naturze istnieje wzór doskonałej piękności, i że byliśmy szczęśliwi napotkać go raz w życiu; pytam się tu, jakim sposobem wiemy, że ta twarz jest piękniejsza od drugich? Skoro ujrzymy typ zbliżony do doskonałości, nasz sąd poddyktuje nam głos tajemny, z wnętrza piersi wydobywający się, który skłania nas do wykrzyku „to jest piękne!”

Ale cóżto jest ów głos wewnątrz nas przemawiający, jeżeli nie poczucie ducha owego typu, który harmonizuje z typem zewnątrz niego będącym. Modele piękna spoczywają w duchu człowieka, tym wydatniejsze, im większym on poczuciem, czyli jak pospolicie nazywamy, wyższym talentem jest obdarzony.

Wielki artysta, geniusz w chwili poczęcia, odtwarza je dla drugich głoskami widomemi, to jest używając marmuru, farb lub tonów. Owto typ spoczywający w duszy mistrza, jako

częstce bóstwa samego, dozwalała mu rozróżnić w modelu, co stanowi charakter jego piękności, dopatrzyć też niedostatku. Mistrz sztuki, obdarzony takim jasnowidzeniem, z form przedstawiających się mu zewnątrz, wybiera najpiękniejsze, dla złożenia całości, którą świat ujrawszy uznaje za arcydzieło. Gdyby więc, jak utrzymywali stronnicy materjalizmu, ideał piękna nie był wyłączną własnością ducha ludzkiego, z niego nie płynął: to jest widoczném, że wybór i uznanie rzeczywistego piękna byłby dla człowieka niemożliwym, niepodobnym.

Mniemam, iż po uczynieniu choć tak pobieżnego wywodu, nikt nie będzie utrzymywać, jakoby artyści w tworzeniu ideału sztuki byli tylko naśladowcami natury; że typ piękna nie w duchu, ale zewnątrz niego leży. Fałszywe to zdanie, ze względu na sztuki plastyczne, a nawet w zastosowaniu do poezji słowa, niedorzeczniejszém jeszcze bardziej się okaże względem poezji tonów, czyli muzyki.

Byli tacy, nawet między ziomkami Mozarta, którzy źródła muzyki śledzili w ruchu żywiołów natury, upatrując jej powinowactwo w szumie fal, szmerze drzew, świergotaniu ptasząt. Gdyby poezja tonów wynikała z tak nieczystego ponika, gdyby ją tak ograniczone szranki krępowały, to idąc tym śladem, mogłaby posunąć się do naśladowania ryku bydła, beczenia owiec, szczekania psów i t. d., bo sztuka niecierpi ograniczenia, a w tém następstwie do jakiejby doszła ostateczności, łatwo przewidzieć, i wtedy przestałaby być sztuką, aureolą ludzkości.

II.

Teorya piękna w muzyce.

Najznakomitsi myśliciele zeszłego i obecnego stulecia byli tego przekonania, że muzyka tonami tych samych skutków dopina, co rzeźbiarstwo przez marmur, malarstwo przez kolory, a poezja przez żywe słowo. Wielu estetyków mając słabe, albo spaczone pojęcie o muzyce, uważali ją za identyczną z innymi sztukami, postawili ją niżej od tamtych, bo zasadzającą się na organie słuchu, który jest drugorzędnym po wzroku. Ograniczyli jej utylitarną wartość do kategorii, w której mieścimy zwykle

sztukę bawienia, i mniemając, że działanie muzyki streszcza się na prostej grze zmysłów, tak mało zaszczytne stanowisko dla niej nazaczyli.

Nawet Kant nie znając ani pierwiastku duchowego ani potęgi muzyki, wpadł w błąd właściwy materialistom. Co więcej, Hegel, ten wrzący przeciwnik zmysłowego świata, ten apostoł absolutnej twórczości ducha, ta silnie myśląca głowa, dająca tyle dowodów głębokiego poglądu; ów Hegel w swych prelekcjach o estetyce nie pojął ani pryncypiów, ani roli, jaką zajmuje muzyka w nieśmiertelnej dziedzinie piękna!

Co do innych, którzy wyższego posłannictwa nie wahali się przyznać muzyce, nie uważając jej za proste głaskanie organu słyszenia, jednakże i tacy nie byli pewni, w jaki sposób ideał poczęty w łonie artysty kojarzy się z wyobraźnią i uczuciem. Mówili też o dziełach muzycznych w wyrazach wątpliwych, zdradzających ich niepewność, zakłopotanie.

Powszechny niejako sąd uważa ucho za miejsce, gdzie się skupia i przejawia fenomen akustyczny. Mylne to jest jednakże twierdzenie, bo ucho jest tylko przyrządem do przyjmowania brzmień oraz zewnętrznych wrażeń akustycznych; albowiem gdyby miało wyższe przeznaczenie, to organizacja ucha, jako instrumentu muzycznego, byłaby niedostateczną do sprawienia wewnętrznej rozkoszy, jak niewłaściwie utrzymywało wielu uczonych. Gdyby według ich teorii, ucho było na ten cel utworzone, to przedewszystkiem musiałoby być siedliskiem uwagi, rozbioru i sądu. Z pozornych a niewłaściwych poglądów uczonych, łatwo dające się obalić dedukcye wyprowadzić tylko można, i te prostego rozsądku krytyki nie wytrzymają.

Zebym to bliżej określił, i natychmiast odparł mogący być uczyniony zarzut, powiem jeszcze, iż w naturze nie ma fałszywych tonów, bo każdy pojedynczo wzięty dźwięk jest czystym, a obijając się o nasz organ słuchu, natury swój nie zmienia. Pojęcie więc i rozróżnienie czystego od tak nazywanego fałszywego tonu, jest wypływem z rozwagi naszego ducha przez porównanie. Porównanie więc to nie jest darem organu słyszenia, ale naszego uczucia, duszy, która sama jedna według skali udoskonalenia, ocenia i wydaje sąd o stosunku tonów między sobą. Przyjemne więc wrażenie, jakie wam sprawia następstwo, albo pochod dźwięków, jest czysto intelektualne, umysłowe. Zobaczmy, jak w tymże czasie może się stać czuciowe

Pewne następstwo brzmień, nazwanych tonami, których związek może być z łatwością ogarnięty i pojęty, stanowi formułę tonalności, zwykle znaną pod imieniem gammy. Wszystkie tony w przestrzeni gammy mają związek homogeniczny i harmonijny, bądźto czy są ustawione jedne po drugich w porządku tonalnym, dla utworzenia z nich melodyi; bądźto kiedy są złączone według pewnego wyboru w jedną wiązkę, jednocześnie brzmiącą, to jest w akordy. (1) Jeżeli tony należące do innej gammy zaplączą się, czy do zwykłego następstwa, czy w zbiorowe ogniwa i utworzą inny porządek, a raczej nieporządek w tonalności: wtedy usłyszymy albo dzikobrzmiącą melodią, albo przykry (dysharmonijny) akord. Związek tonów będzie zachwiany, pojęcie w swém źródle zmacone, ztąd też musi działać na uczucie nasze w sposób przykry, drażliwy.

Skutek dopiero opisany objawia się w tém, co w pospolitém znaczeniu nazywamy śpiewać albo grać fałszywie. Wykonawca dzieła muzycznego, który budzi w nas to przykre uczucie, nic innego nie robi, jak tylko do tonów stanowiących jednolitą gammę, miesza tony dla niej obce, jużto z powodu wadliwej organizacyi organów, która nagli go do śpiewania za wysoko lub za nisko, już przez zmordowanie tychże organów śpiewnych, już nakoniec kiedy idzie o wykonawcę instrumentowego, z powodu niestrójności tego narzędzia muzycznego.

Mniemam, iż stawione tu dowody przekonały każdego o tej prawdzie, że wrażenia spełnione tonami, w jakimkolwiek one stoją porządku, wynikają z porównania wzajemnego stosunku brzmień, któreto znowu porównanie nie może być udziałem organu słyszenia, lecz wyłącznie naszego pojęcia. Pojęcie i rozważa, dwie atrybucye ducha, prowadzą do porównań stosunków, i w duchu też człowieka, a nie w jego organach zmysłowych spoczywa typ czyli formuła gammy. Żebym to lepiej jeszcze poparł, powiem, iż kompozytorowie muzyczni każdy ton gammy czują, i dlatego z pamięci bez dotknięcia jakiegobądź instrumentu dzieła swoje napisać są zdolni.

Gdybyśmy wzięli pod uwagę jakikolwiek ton, to takowy nie może dla nas istnieć tylko w pewnym okresie czasu; a więc każdy dźwięk (ton) przedstawia się w czasie, choćby w najdrob-

(1) Używam tych tylko wyrazów technicznych, które w powszechności niemal każdemu są znane.

niejszej jego cząstce. Ztąd idzie, że czas jest także przedmiotem do zauważania w muzyce, jak rozciągłość w architekturze. Trwanie tonów uważane za ułamek z jednostki czasu, ma wzajemny stosunek. Gdybyśmy wzięli jakikolwiek ton za zasadę, struna wydająca go robi, przypuśćmy w ciągu sekundy 50 wibracji czyli drgań, to jego wyższa oktawa (ósmy ton w porządku dyatonicznym) wibruje w tymże okresie czasu dwa razy tyle i t. d.

Z przykładu tego przekonujemy się, że stosunek tonu do tonu w wibracji ciała dźwięk wydającego nie jest jednakowy, chociaż postępowy co do ilości, idąc z dołu w górę gammy; formuła gammy przekonałaby was nawet, że stosunek ten między niektórymi tonami zbacza z proporcji, jaką w postępie matematycznym mieć powinny. Niektórzy uczeni chcieli zrównoważyć wszystkie tony gammy dyatonicznej do równej proporcji, mianowicie zrównać ilość drgań w tonach *E* i *F* oraz *H* i *C* sąsiadujących z sobą; ale praca ich okazała się nieużyteczną, bo niepraktyczną. A dlaczego? oto dlatego, że tony przez fizyków lub matematyków w wibracjach swych zrównane, nie znalazły potwierdzenia w naszym umyśle, drażniły typ gammy spoczywający w duszy ludzkiej, która brzmienia przykre dlań tony wydające, jako niezgodne z jej nieśmiertelnym pierwiastkiem bezwarunkowo potępiła, i do składu gammy muzycznej nie przyjęła.

Fakt dopiero przywiedziony stanowczo przekonywa, że muzyka jest czystym wynikiem z ludzkiego ducha, jego wyłączną własnością, czystą abstrakcją; że tam tylko jej źródła szukać trzeba, a nie w zmysłach, jak niektórzy śmieli utrzymywać.

Teraz przystąpmy do przypatrzenia się innym zjawiskom w muzyce, godnym naszej rozwagi. Mianowicie, że jakakolwiek będzie kombinacja tonów, czyto w melodyi czy w akordach, czy nareszcie piérwszej z drugimi złączonej, uczucie tego będzie równoczesne. Umysł nasz pojmuje i ogarnia wszystkie tony w skład tej kombinacji wchożące, z szybkością błyskawicy, przenosi do wnętrza ducha, który albo stosunki te swą sankcją potwierdza, albo je bezwarunkowo odrzuca. Bez tej własności jako daru przyrodzonego, niepodobna byłoby pojąć i zrozumieć kompozycji wykonywaną przez pewną liczbę artystów: co więcej, ogarnięcie jakiegokolwiek dzieła muzycznego stałoby się niepodobnym.

W ogólności muzyka nieokreślona czasem, a zatem pozbawiona swój głównej zasady nie mogłaby być pojętą, gdyż tylko

przez regularne trwanie tonów w czasie, melodia i harmonia przybierają charakter, na nasze uczucie działający.

Poczucie symetryczności tonów, niejako ich budowy, nie pochodzi z wrażeń zewnętrznych; to też Kant słuszną zrobił uwagę, że czas jest dotykalną formułą wewnętrznych zmysłów, jak przestrzeń jest znowu modłą zewnętrznych. Przytoczę tu także zdanie Leibniza: *że muzyka jest tajemnym rachunkiem, który według swego sposobu wykonywa dusza*. A więc pomiar dłuższego lub krótszego trwania tonów leży w nas; duch ludzki wykonywa ten rachunek bezwzględnie na zewnętrzne przyczyny, stosownie do stopnia swój organizacyi i ukształcenia. Ztąd też fałszywie grających lub śpiewających, jeżeli to nie wynika z wady organizmu głosowego lub instrumentu, niewłaściwie nazywają w pospolitym języku nie mającemi ucha; bo powinni ich nazywać nie mającemi duszy czyli poczucia muzycznego. O wykonywających zaś dzieła bez symetrii w czasie, mówimy, że grają bez taktu.

Widzimy więc, że metryczność jest jedną z formuł stanowiących piękność w muzyce. Tu mógłby mi ktoś przywieść, że nie tylko muzyka, ale i poezya, mianowicie u Greków jakoteż Rzymian szczyła się tą własnością, nawet główną formę jej stanowiła. Prawda, że tak zwany iloczasa był ozdobą poezyj starożytnych ludów, ale też poezye ich były śpiewane, i tworzyły nierozłączną całość z muzyką. Twórca poezyi tworzył jednocześnie melodią, a nawet może pierwój muzykę, nie tak jak dzisiaj, gdzie kompozytor musi naginać się do poezyi, a częstokroć ubóstwo myśli wierszopisarza skarbami muzyki osłaniać. Więc poezya śpiewana, aż do czasów trubadurów, minstrelów i naszych gęslarzy, była tylko częścią muzyki: muzyk i poeta stanowili jedną osobę (1).

• Ale muzyka szczególnie w nowszych czasach, oprócz iloczasu i rytmu, posiada tyle przymiotów realizujących *piękno*, że o wielką odległość zostawia za sobą poezyą.

Pomijam tu określenie choćby w zarysach iloczasu i rytmu, tych dwóch motorów, które tak przeważnie na duszę

(1) Dziwnie, że nie powiem śmiesznie. wyglądają owe apostrofy dzisiejszych poetów, którzy odzywają się do swych czytelników: „*Stuchajcie, śpiewam to i to*“. Przedrzeźnianie starych Greków razby ustać powinno, z przyczyn wyżej określonych, a tém bardziej niewłaściwie dawane nazwisko piewców twórcom poezyj.

naszę wpływają, bo te dwa czynniki muzyczne powszechnie są znajome; ale dla okazania bogactwa muzyki, muszę zwrócić uwagę na te jej przymioty i wewnętrzne własności, któremi poezya słowa obdarzoną nie jest.

Bogactwo muzyki zależy naprzód na różnitości iloczasu i rytmu, które w jednej sztuce rozlicznie kombinowane, stosownie do geniuszu i smaku kompozytora, chroni ją od jednostajności, której podlega poezya skandowana. Bogactwo to jeszcze w tém leży, że iloczas dowolnie zmieniać możemy, a tém samém nadać inny charakter wykonywanej sztuce. Zmiana iloczasu natychmiast czuć się daje, ilekroć nadamy tonom krótsze lub dłuższe trwanie w określonym czasie. W czerpaniu jednak z tego rogu obfitości należy być bardzo ostrożnym, ażeby nie skoślawić myśli autora; dowolność ta niekiedy szczęśliwie użyta, zostawiona jest tylko wyższym zdolnościom, którym niejako duch twórczy, samodzielnie w wyborze przewodniczy.

Różnitość taktu muzycznego, co do jego trwania w czasie jest tak wielka, że do bardzo rozległych kombinacyj prowadzi. Ruch ten w chwili tworzenia dzieła, nawet w jego początku uprzytomniony jest w duszy kompozytora. Toż samo można powiedzieć o tonacyi i rytmie, które się wraz z myślą rodzą; a jakkolwiek nie stanowią jej treści, to wszakże są szatą zwierzchnią, która o jej charakterze decyduje, i do kolorytu w malarstwie porównane być mogą.

Aby więc przy wykonywaniu dzieła muzycznego koloryt właściwy był zachowany, a tém samém myśl autora z zamierzonym efektem, to jest skutkiem została wypowiedziana, kompozytor zwykle na początku sztuki, oprócz tonacyi i rytmu oznacza miarę trwania taktu, czy wolno lub przyspieszonym ruchem ma być odegrany. Niepojęcie lub odstępstwo samowolne od nakazu autora, krzywi myśl jego czasem do tego stopnia, że z najszczytniejszej robi trywialną, albo tak przeistacza, iż staje się trudną do poznania (1).

Otóż zapoznaliśmy trzy cechy piękna muzycznego, to jest: wartość tonu w stosunku innych do téjże gammy należących;

(1) Tu muszę przytoczyć wykonanie *stabat* Rossiniego na pewnym koncercie, które w wielu numerach, przez fałszywe wskazanie taktu przez dyrygującego, z poważnego, szczytnego, trywialne lub skoczne się przedstawiło.

wartość jego ze względu na takt i rytm, któreto cechy czas ogranicza.

Prócz charakterystyki z tych trzech przymiotów wypływającej, jeszcze każda tonacja w szeregu gam ma swój właściwy koloryt od innych ją odróżniający. Liczne odcienia głosu ludzkiego i instrumentów stanowiących kontyngens orkiestry, dają coraz nowe farby, a ztąd charaktery, których bezkarnie naruszać nie godzi się. Natchniony kompozytor czerpie w tych skarbach różnaitości, które prawie granic nie mają. Duch muzyka-mistrza w poczęciu swego utworu, naznaczając tonacją i rodzaj głosu lub instrumentu, nadaje dziełu właściwy celowi charakter; zmiana przez użycie innego narzędzia muzycznego, albo głosu, lub téż przez przestawienie do innej gammy czyli tak zwaną transpozycją, niszczy zwykle efekt, chybia swego celu, fałszując język, którym kompozytor przemawiał do uczucia współbraci, aby ich z sobą unieść w świat nadzmysłowy.

Przypatrzmy się jeszcze innym przymiotom realizującym piękno w muzyce, mianowicie różnym rodzajom akcentu. Każdy ton w takcie jest albo słaby, lub mocny, niekiedy jeden wybitniejszy; inną razą całe takty grają się mocno i przeciwnie: można téż z najdelikatniejszym stopniowaniem przejść z najcichszego do najmocniejszego brzmienia i nawzajem, jużto natężając siłę jednego tonu, już całych taktów. Liczne są znaki służące do oznaczenia cieniowań w muzyce, których długi szereg pomnę, jako mniej więcej znajomy; ale wszystkie te akcenta pomnażają skarby wyrażen mających zawładnąć uczuciem słuchacza, a któremi inne sztuki posługiwać się nie mogą.

Oto są żywioły, przez które artysta może niejako urzeczywistnić piękno w muzyce. Dwa z tych, to jest intonacja i trwanie tonów w czasie tkwią w naszej wrażliwości i pojęciu; trzy inne: dźwięk, rozciągłość i akcent, wpływają na nasze uczucie.

Ale czy na nich jedynie polega estetyczna piękność w dziedzinie muzyki? o nie, bynajmniej. Kompozytor mógłby użyć ich w najwyszukańszej kombinacji, ustawić tony według wszelkich zasad praktyką uświęconych, i dać im logiczny pochwód, słowem utworzyć dzieło, które pedanci nazywają *poprawnie napisaną sztuką*; a jednakże pomimo mistrzowskiego jej wykonania, prześliznęłaby się po nerwach, nie zrobiwszy na naszym sercu najmniejszego wrażenia, a uwaga nasza byłaby roztargnioną, chociaż tam była i jakaś melodia, harmonia bez błędu, autor oka-

zał nawet zręczność we władaniu głosami i instrumentami. I czemuż to przypisać, że niekiedy w utworach kompozytorów pewnego rozgłosu używających, tę czczość spotykamy: cóż tam brakowało?

W tém zapytaniu leży kwestya, cała trudność wyłożenia teoryi piękna w muzyce. Proszę o cierpliwość jeszcze, a może mi się uda ten gordyjski węzeł rozwikłać.

Wymienione dopiero żywioty są tém dla muzyki, czém jest czystość w zwyczajnej mowie, albo czém mechanizm wierszowania w poezyi: i to téż zdaje się stanowić powinowactwo między temi sztukami. Lecz jakkolwiek weźmiemy rodzaj poezyi, nawet fantastyczny, zawsze ona będzie miała za osnowę uczucia zdeterminowane, czyny dokonane, albo fikcyjne, ale nierozzerwaném ogniwem skute ze światem zmysłowym. Nawet epopeja i dramat nie mogą się czém inném poszczycić, chociaż ogniskiem ich są namiętności ludzkie; lecz nie czysto duchowe, bo gdyby było inaczej, wtedy poemat stałby się niezrozumiałym mytem. Goete próbował wznieść się do téj sfery, i jest dotąd dla Niemców nawet niepojętym. Przewidując to, powiedział w swych pamiętnikach, że poezye jego dopiero wiek przyszły zrozumie!

Muzyka nie ma tych danych, co inne sztuki: ona nie czerpie swój treść ze świata zmysłowego, czyny dla niej nie istnieją, rzeczywistość ziemską nie jest jój dziedziną; co należy do nabytej świadomości, to dla niej jest obcém, a z idei determinowanych bierze tylko abstrakcją, jako swoje substancją. Wielkość, siła, wdzięk, prostota, wesołość, smutek, rozpacz, miłość do ekstazy posunięta, zazdrość z jój gwałtownością: są przedmiotem muzyki, która stara się wypowiedzieć to wszystko językiem powszechnym, niebiańskim, bo niewyrobionym przez ludzi, a trafiającym do ducha wszelkich żyjących stworzeń. Czy na to potrzeba dowodów?

W témto tryumf muzyki, że jest czysto duchową; w tém jój wyższość nad inne swe siostry. Ducha, ów pierwiastek Boski, który czuje, myśli i chce, muzyk obiera sobie za cel, za swą dziedzinę; wyłącznie duch ludzki dla téj sztuki jest celem, bo on téż stanowi treść saméjże muzyki. W tych właśnie szrankach muzyka różni się od sztuk piastycznych, daleko niższych od niej, a nawet i od saméj poezyi, i tęto jedynie sztukę możnaby nazwać transcendentalną.

Lecz może zapyta mnie ktoś, jakim sposobem potrafi muzyk wyrazić te różne fazy, w jakich się serce i dusza człowieka znajduje, mając tylko na swą posługę brzmienia tonów? Na zapytanie więc uczynione odpowiem w prostocie ducha: że to właśnie jest tajemnicą geniuszu, który skalpelem rozmowań sondować się nie da. Wszakże w tym względzie mogę odwołać się do waszego świadectwa, jak wielka jest władza kompozytora rządzącego tonami. Nieraz zapewne słyszeliście dobrze wykonane dzieła mistrzów, czyto religijne, czy świeckie; spytajcie ich twórców, jakimi środkami doszli do téj intuicji, aby wlać tyle potęgi, tyle piękności w swe kompozycje, które owładnęły wasz umysł i serce: badajcie samychże mistrzów, a oni wam z tego nie będą mogli zdać sumiennego rachunku.

Ażebym zaś nie rozminął się z główném mojem założeniem, muszę wam dowieść, że muzyka nigdy nie jest piękniejszą a zatém potężniejszą, jak wtedy, kiedy jest czysto idealna. Tu więc wypada mi pokrótce wspomnieć o rozwijaniu się pojęć muzycznych, od czasów, kiedy tę sztukę po wiekach barbarzyństwa średniowiecznego na seryo zaczęto uprawiać. Okres ten przypada na wiek XVI, bo od wznowienia muzyki na zasadach określonych od XII do XV stulecia, więcej forma niż treść zajmowała kompozytorów, i wyłącznym celem była ich nauki. Do r. 1550 tak mało przywiązywano wartości do melodyi, że w kompozycjach kościelnych za temat całej mszy wystarczał śpiew gregoryański, rozwleczony i obciążony wyszukanemi formami, oraz kombinacyami harmonii. Częstość śpiew ludowy służący za kanwę do najniemoralniejszego tekstu, brany był na temat do mszy i obrabiany w kontrapunkcie mniej więcej szczęśliwie prowadzonym. Dziwolągi te z fanatyzmu i szkolarkstwa wyrosłe, dosięgły tak rażącej formy, że papieże wzgardą obrzucili muzykę, a wreszcie papież Marcelli chciał na zawsze wygnać ją z przybytków Pańskich.

Ale sam Bóg wstrzymał piorun mający uderzyć w tę sztukę, którą na pociechę ludzi i ozdobę swych świątyń światu udzielił. W roku 1550 zjawił się mąż nazwiskiem *Palestryna*; onto naznaczony przez Boga, udał się do papieża z prośbą, aby nim rzuci grom na muzykę, raczył posłuchać mszy, którą dla świątyni watykańskiej napisał. Dzieło to, którego pomysł świadczy

o geniuszu człowieka, w epoce swego zjawienia zyskało powodzenie, jakiego się natchniony autor mógł spodziewać. Po wysłuchaniu mszy Palestryny, papież nie tylko nie usunął muzyki z przybytków Pańskich, ale owszem zachwycony nią, wznosił wyżej i umieścił na stanowisku, jakiego nigdy w kościele pierwszej nie zajmowała.

Uczucie, które przez śpiew ludzki z towarzyszeniem jednego lub wielu instrumentów muzycznych ma unieść nas do wiekuistego Bóstwa, nie powinno mieć nic ziemskiego. Nie skończona wielkość Boga Stwórcy świata, może posunąć człowieka do entuzjazmu; ale on jest bardzo różny od tego, którego doświadczamy dla rzeczy ziemskich. Wzniosłe uczucia miłości ku swemu Stwórcy, i wdzięczności, jakie się rodzą w naszej duszy, na wspomnienie ofiary naszego odkupienia, nie są podobne do tych, które w nas budzą istoty ziemskie. Spokój i wzniosłość najwięcej przystoją modlitwie, która wyrwa się z piersi człowieka, aby spocząć u stóp tronu Przedwiecznego.

Czy takie uwagi zrobił sobie Palestryna, nim przystąpił do napisania mszy, o której mówiłem, wątpliwa byłaby odpowiedź; ale czego sobie nie powiedział, to jednakże dokonał. Żałuję, że w tej chwili nie mogę wam dać usłyszeć w całej okazałości znakomitego dzieła Palestryny, które wynikało z natchnienia Ewangelii, bobyście sami najlepiej poświadczyli o prawdzie, a razem o potężnym wpływie religijnej muzyki na nasze uczucie, czystą wiarą wspierane. Bo też bez niej najzdolniejszy kompozytor nie utworzy dzieła kościelnego, któreby w zupełności swe posłannictwo spełniło.

Muzyka kościelna jest najszczytniejszym ideałem, mającym swe poczucie w imaginacyi, w połączeniu z uczuciem czystej wiary: bez tych danych nie zrodzi się dzieło religijne. To też podobnie jak wielcy malarze XV i XVI wieku, Palestryna głęboko przejęty wiarą, w swych mszach, motetach i hymnach, dosięgł szerokich rozmiarów, silnie wpłynął na podniesienie religijnej muzyki, bo jego kompozycyji żadna ziemska namiętność nie kazi; ale muzyka Palestryny jest surową, zbyt ascetyczną. Nie jest to winą jego geniuszu, ale raczej stanowiska, na jakim się znajdowała naówczas sztuka, jak to zaraz zobaczymy. Palestryna też nie zerwał zaraz z uświęconymi formami; największe talenta nie odrazu wylamują się z wymagań swój epoki, i tego im za grzech poczytać nie można; ale cechą swego geniuszu

piętnując dzieła przez siebie utworzone, nadają popęd sztuce do dalszego rozwoju, i tato ich wyłączna własność, wznosi mistrzów nad poziom pospolitości.

Wiadomo, że w ostatnich latach XVI wieku, Klaudyusz *Monteverde*, kompozytor z weneckiej szkoły, instynktowo natrafił na harmonią atrakcyjną, która zrodziła konieczność rozwiązywania kadencyi frazesów. Monteverde stał się wynalazcą gammy chromatycznej, którą z 7 do 13 tonów podniósł, a tém samém niewyczerpane bogactwa kombinacyj i akcent wyrażający namiętność, dawniej nieznaną, odkrył.

Nowa tonalność czyli gamma muzyczna, jest zupełnie różnym systematem od tego, który służył za podstawę muzyce, aż do epoki wynalazku Monteverda. Przejście z jednej gammy do drugiej, porzucenie stopniowań w kombinacji formułowej, dla nowości wyrażen malujących zapał, namiętność; utworzenie dramatu muzycznego, ze wszystkimi swemi warunkami, o których dawniej pojęcia nie miano, oto są następstwa odkrycia śmiałego Monteverde,

Gamma chromatyczna wprowadziwszy muzykę na nowe dziedziny, w świat dotąd nieznaną, zrzuciła téż wielkie zmiany w dziełach kompozytorów, którzy chwycili skwapliwie na swą paletę nowe farby, tak żywo, tak dobitnie mogące uwydatnić ich uczucia. Nowość ta wpłynęła na zmianę stylu, chociaż formy pozostały, a i muzyka kościelna reakcyi téj oprzeć się nie mogła. Niepostrzeżenie charakter jój dotąd poważny, surowy, zmieniać się zaczął w patetyczny, a nawet przybierać barwę namiętną. Z czasem mając otwartą drogę do niewyczerpanych kombinacyj, twórcy dzieł muzyki kościelnej wyrobili tak nazwany styl koncertowy, który kompozytorów sprowadził znowu na ścieżki fałszu, niemocy i szkolarstwa.

Lecz i tu mimo pomroki zasłaniającej czystą prawdę, rzeczywiste piękno w sztuce, ludzie obdarzeni wyższym talentem, od czasu do czasu błyskali promieniem, który święty ogień religijnego natchnienia podtrzymywał. Takimi byli na początku XVIII wieku: Marcelli w swoich psalmach; później Pergollezi, J. S. Bach w niektórych kantatach spirytualnych i w pięknej mszy z *h* minor.

W środku XVIII wieku wyszedł z łona Niemiec geniusz, który Boską sztukę pchnął na nowe tory, muzyce kościelnej przywrócił jój godność. Genuszem tym był Mozart! Jego *Re-*

quiem, a nade wszystko *Ave verum*, według sądu, na którym potomność już swą pieczęć uznania przyłożyła, jest najdoskonalszym wzorem zjednoczenia uczuć wiary, z rzewnością i pewnym mistycyzmem. Palestryna i Mozart chociaż 3ma blisko wiekami od siebie rozdzieleni, stanęli jednak obadwa na szczycie sztuki, która za pomocą tonów wzniosła ludzkość do tronu Przedwiecznego.

Kompozytorowie obecnego stulecia mniej więcej szczęśliwie naśladowując wielkiego Mozarta, czasami dościgają zamierzonego celu; ale wprowadzając do kościoła wszystkie przybory teatralnej orkiestry, grzeszą zbytkiem i przesadą, a najwięcej rutyną, z której dotąd muzyka religijna wyswobodzić się nie zdołała.

I któż może zaprzeczyć potęgi słowa, kiedy go jeszcze wygłasza z kazalnicy, mający apostolskie posłannictwo kapłan; lecz nierównie silniej unosi ducha muzyka brzmiąca w świątyni Pańskiej, jeśli ta z wiarą i namaszczeniem utworzoną została.

W kaplicy Louvr'u zasiadł Ludwik XIV z całym dworem, a z ambony grzmiał wymowny głos Bosuet'a, przedstawiający wielki, a zarazem straszny obraz sądu ostatecznego: poblady lica króla, przestach malował się na twarzach dworzan, których oczy spoczęły nieruchomie na postaci kaznodziei. On zamilkł, a wtém na chórze odezwał się hymn Palestryny: wszyscy z Bosuet'em padają na twarze, wołając: Boże! Boże zmiłuj się nad nami! W téj chwili zdawało się, że sam Bóg sprawiedliwy, ale nieskończonej dobroci zstąpił z niebios dla pocieszenia i utwierdzenia zwątpiałych. Nieokreślona radość i szczęście spokoju zajaśniały znowu na czołach zgromadzonych w kaplicy; bo wszyscy odeszli z pociechą i nadzieją w sercu. I czyż to był mały tryumf muzyki?

Działanie sztuk plastycznych nie wyłączając malarstwa znakomity wywiera wpływ na poczucie ducha ludzkiego, na umysły wykształcone. Wielka jest potęga wymowy i poezyi, ale wyższą nierównie władzą obdarzona jest muzyka, jako język całej ludzkości nieulegający warunkom klimatu i przestrzeni, zarówno przemawiający do każdego serca, bez różnicy płci, wieku i narodowości. Odwołuję się tu do was samych: wszakże nieraz będąc w świątyni Pańskiej, kiedy odezwał się potężny głos organ, kiedy lud wraz z kapłanem padłszy na kolana wielkim głosem zanucił hymn: Święty Boże! Święty mocny! jakież

to silne, nieogarnione uczucie zatrzęsło sercem, całą waszą istotą. Czyście wtedy spokojni, szczęśliwi w duszy, wraz z tym potężnym głosem na skrzydłach modlitwy nie unieśli się do Ojca Powszechnego, który zdawało się, że zstąpił z niebios, aby przyjąć waszą prośbę? I jakizto ziemski język, jaka wymowa, poezya zdoła obudzić, uobecnić taką chwilę błogosławionej ekstazy? tylko sama, sama jedna muzyka.

Wędrowcy wyznający nie rzymsko katolicką religią, z zimną rozważą oglądają dzieła geniuszów w Watykanie i Sykstyńskiej kaplicy zgromadzone; ale kiedy tam zabrzmiał śpiew mistrzów kościelnej muzyki, mimowoli zginają się ich kolana, i padają przed Tym, który w każdej świątyni czczony jest jako przedwieczny *Jehova*. Liczne tego mógłbym dać przykłady, a między nimi cudowne nawrócenie głośniego w świecie uczonym Ratyzbony.

Tyle o muzyce kościelnej, która dowiedzione dopiero skutki na nasze uczucie i ducha wywiera; teraz z kolei powinienbym opowiedzieć przymioty i wrażenia odebrane od muzyki dramatycznej, oraz innych jej rodzajów: jednakże ponieważ celem mojego pisma jest wykrycie cech piękności w muzyce, a zarazem ich stosunku do innych sztuk nadobnych, nie weźmiecie mi za złe, że nateraz ograniczę się na tych rodzajach, w których kompozytor nieskrępowany żadnym programem, żadną poddaną myślą, puścił wodze czystemu natchnieniu. Usiłowaniem mojem będzie więc określenie, jakim sposobem piękno wykształca się w abstrakcyjnym ideale, co tylko ma miejsce w muzyce czysto instrumentalnej.

A więc cóżto jest, co determinuje natchnienie artysty, kiedy tworzy dzieło tego rodzaju? Nie ma tu wcale syntezy między myślą i światem zewnętrznym, żadnego punktu determinowanego, tylko ideał, sam czysty ideał. Powiem wam, że kompozytor w chwili tworzenia takiego dzieła nie odebrał ani zewnątrz, ani ze świata wewnętrznego żadnego wrażenia, żadne nie brzmiały w duszy namiętności; bo ani smutek, ani radość, ni gniew, ani też miłość lub zazdrość nie prześliznęły się po jego sercu: a jednakże czuje on nieodpartą konieczność objawienia w czynie swój siły twórczej. Czucie będzie w tym razie niejako zamarłe, i tylko sama myśl jest tu czynnikiem. Idea muzyczna poczęta w myśli będzie utworem absolutnym, jeżeli artysta zapomni o efekcie tonów w ich pochodzie, i w rozmaitych między sobą zawisłościach. Tu więc kompozytor znajduje się sam w obec

swój idei, od niego téż samego wypływa cały rozwój poczętego naprzód frazesu.

Frazes ten, jak powiedziałem, nie utworzył się pod żadnym wpływem jakiegobądź namietności: jest on mniej więcej prostym, być może nawet, iż nie zawiera nic takiego, coby było godnym uwagi za pierwszym usłyszeniem. Uzupełnienie frazesu i zamienienie go w peryod, leży w pojęciu genialnego artysty. Za ledwie okres ten został uzupełniony, kiedy wyobraźnia usnuła już plan do całego wątku. Rodzą się ustępy jakby czarodziejską mocą wywołane, które budzą uwagę słuchacza, i cały utwór muzyczny opromieniają blaskiem prawdy. Frazes pierwszy zwracając się, przechodzi do drugiego instrumentu, zmienia koloryt, wzbogaca się następnie i stopniowo licznemi szczegółami, aż przebiegłszy wszelkie fazy przemian pierwotnej idei, dzieło staje się zupełnym. Tak poczęty i dokonany utwór muzyczny, którego duszą jest abstrakcyjne piękno, wypłynął z samej wyobraźni, wspieraną rozumem, stojącym na straży przy granicach gustu i uczucia: a jak pierwsza wlała życie, upiększyła dzieło nieporównanym wdziękiem; tak znowu drugi (rozum) przewodnicząc szczegółom, nadaje harmonią i zgodę całości sztuki.

Jest jeszcze inny rodzaj piękna w kompozycjach instrumentalnych, którego źródło mieści się w tkliwości i sentymentalności serca, kiedy kompozytor w chwili poczęcia tematu do swego dzieła, znajduje się pod wpływem melancholicznym, czułym, albo bolesnym, któryto wpływ nie jest skutkiem zewnętrznych wrażeń, ale naturalnego wewnętrznego usposobienia. Autor tworząc takie dzieło, rzuca na papier myśl (frazes) będącą odbiciem stanu jego duszy. Tu podobnie jak w kompozycjach, o których dopiero co mówiłem, frazes stopniowo się kompletuje, wypełnia, rozwija, wzbogaca wymownemi ustępy; a choć niekiedy błysnie pogodnym i weselszym obliczem, jakby promykiem nadziei, to zawsze wraca i kończy się jękiem boleści.

Jaka więc główna przyczyna wpłynęła na utworzenie dzieł temi dwoma rodzajami piękna nacechowanych, zaraz wam powiem: w pierwszym utworze wszystko poczęło się i wynikło z dziedziny ducha, w drugim nastąpiło wzajemne działanie myśli na uczucie; pierwszy więc rodzaj piękna wynika z kontemplacji idei samej w sobie, drugi jest wpływem usposobienia serca od pierwszej młodości, do którego téż nagina się z czasem wyobraźnia. Piękno objawione w pierwszym utworze wzbudzi uwiel-

bienie, słodkie zadowolenie, w wykształconém czuciu słuchacza; drugi bezwzględnie wpływa na massy, nastrajając ich duszę do uczucia, jakim autor był powodowany.

Tych dwóch rodzajów piękna w muzyce instrumentalnej liczne mógłbym przywieść wam przykłady, już to z dzieł Hajdena, Bethovena, Mozarta i Mendelsolna; już z Schuberta, a nade wszystko z naszego Chopina. Analizując utwory tych mistrzów sztuki wykazałbym wam do oczywistości zasady i pojawy piękna, o jakich dopiero mówiłem. Nie chcąc jednak rozszerzać ramek mojego wywodu, a co najwięcej, zamierzywszy sobie unikać technicznych rozprawiań, ograniczę się tylko na pobieżnym rozbiorze jednego nokturna Chopina, powszechnie znanego, czemu mimo uczynionej intencji oprzeć się nie mogę.

Chcę tu mówić o dziele oznaczoném liczbą 55, mianowicie o nokturnie Nr. 1 (takt wolny, czteroćwierciowy). Ośm pierwszych taktów, a właściwie nawet 4 stanowią temat w następstwie cudnie osnowany.

Przypatrzmy się, jakie uczucia budzi autor tém dziełem w duszy słuchacza środkami muzycznymi, używając za tłumacza tylko fortepianu. Melodya tematu w tonacyi *f mol*, wsparta zmieniającą się, ale trafnie użytą harmonią, zaraz na wstępie usposabia do spokojnej i tkliwej zadumy. Sam temat wystarczyłby już do przywołania w pamięci niejednej chwili życia, pełnej goryczy i cierni, gdzie zwątpienie, niepewność ogarnęły umysł dojrzałego młodzieńca. Ale zaledwie ubiegło 16 taktów, autor błyska swobodniejszą myślą, jakby pogodnym rankiem po burzliwej nocy, słabym promykiem nadziei. Przerzucanie się tonacyi w 8miu taktach z *as dur*, do *c dur*, potem *c mol* wybitnie malują różne stopnie walki, cierpienia, z nadzieją pogodniejszej przyszłości. Po *ritenuto*, jakby odetchnieniu, autor znowu wraca do tematu, owęj smętnęj myśli, mimowoli zdradzającej nieukojoną boleść serca. *Piu mosso* nieodparcie nasuwa słuchaczowi obraz wzburzenia. Tłum wspomnień, które migocząc pamiętkami z ubiegłej młodości, rwią się do sfer nieznanych, aż nareszcie utrudzone uczucie słuchacza wewnętrzną walką, koi się promykiem błogiej nadziei.

Tu coraz wolniej spadający do niższych oktaw biegnik, kadenecya w krótkotrwałych akordach, zakończona fermatą; tym ostatnim wykrzykiem boleści znów prowadzi do pierwotnej myśli, która teraz wijąc się przez różne tonacje, kołysze umysł

i serce cichym, smutkiem, co znajdzie kres cierpień w spokoju mogiły.

Cząstkę swego życia, doświadczonych uczuć, wypowiedział Chopin w kompozycji, którą nam zostawił pod formą nokturna. I ktokolwiek pojmuje język tonowy, a usłyszy dobrze wykonane to dzieło, każdy doświadczy tych samych uczuć, które wstrząsały sercem kompozytora w chwili, kiedy widomymi znakami kreślił je dla drugich, o czém wielekroć miałem sposobność się przekonać.

Przytoczony tu przykład jeden z pomiędzy wielu dzieł tego rodzaju, dostatecznym jest do wskazania piękna opromieniającego czysto duchowe kompozycje mistrzów, którzy myśli swe nie ze świata zmysłowego poczerpnęli, na których w czasie poczęcia i ukończenia dzieła żadne zewnątrz odebrane wrażenie nie wpływało. Muzyka więc nie czerpie swego ideału piękna ze świata widzialnego, ani się posługuje formami zmysłowemi, bo jest wynikiem ducha, a tém samym czysto abstrakcyjna.

Stosunek muzyki do innych sztuk i do ludzkości.— Jój stanowisko.

Dwa szlachetniejsze zmysły, to jest wzrok i słuch, pośredniczą pomiędzy duchem człowieka a zewnętrznym światem, w którym widomie sztuki istnieją, a istnieć w nim muszą, bo człowiek nie jest istotą bezwarunkowo abstrakcyjną, ale złożoną z dwóch pierwiastków nawzajem się przenikających. Sztuki bytujące w przestrzeni, tak nazwane plastyczne, odnoszą się do wzroku, i stanowią niejako pierwszy szereg; ograniczone zaś czasem należą do słuchu. Przestrzeń jest kresem materji: sztuki więc jak architektura, malarstwo, rzeźba istnieją jakby zewnątrz naszego ducha. Te zaś, które spoczywają na tle czasu, to jest poezja i muzyka, tracąc swą materialność, leżą wewnątrz nas, a jako wpływ czysto duchowy, są też o całą sferę wyższe od tamtych (1).

(1) Kremer w Listach z Krakowa (tom 1 str. 119 i dal.) przywiódłszy też samą zasadę w podziale sztuk, tworzy ich trzy rodzaje, zaliczając do pierwszego sztuki przemawiające do wzroku, do drugiego muzykę, a w trzecim niby dualizmie tamtych stawia poezję. Co, jak widzieliśmy jest mylnym twierdzeniem, i sam Kremer dalej zaprzecza mu, mówiąc, że poezja przez rym i rytm jest także muzyką

Różnica ta dwóch gałęzi sztuk jest uderzająca, bo wynika z zasady dopiero przywiedzionej, i na prawie naturalnem opiera się.

Dlatego też im dłużej wpatrujemy się w wspaniałe, najczystszych wymiarów budynek, w obraz lub posąg, choćby to był dziełem największego mistrza, im więcej się z nimi oswajamy, tém bardziej pierwotne wrażenie słabieje. Dzieła te stopniowo i tak dalece coraz mniejszy wpływ na nasz umysł wywierają, iż z czasem względem nich przychodzimy do stanu stykającego się z obojętnością. Jest to naturalne następstwo z kontemplacji sztuk ograniczonych przestrzenią, które więżą myśl w materyi, i dla których duch nie jest bezwzględny zadaniem, celem i końcem.

Wymowa i poezya w zwykłym znaczeniu, do drugiej kategorii sztuk należące, jakkolwiek zajęły najbliższe stanowisko muzyki, wszakże pod pewnym względem tym samym prawom co i dzieła plastyki podlegają. Nie można zaprzeczyć, że skutki żywego słowa są potężne; Opatrzność w pewnych epokach zsyła wieszczów, którzy są kwiatem narodów, ale poezya ogranicza się jedną narodowością, a nawet i czasem. Homer, kiedy śpiewał swoje rapsody, był bożyszczem dla Greków; dzisiaj dziwimy się raczej wykonaniu, ale tętno które zapalało Milcyadesów zamarło już na wieki, siła słowa ożywiająca pieśni Homera bezpowrotnie już zniknęła.

Na samą jedną muzykę bieg czasu i narodowość nie wywiera żadnego wpływu, ona jedna jako pochodząca ze sfer niebiańskich jest nieśmiertelną; zmieniają się tylko lub starzeją formy, ale treść jej pozostaje niezmienna: onato przemawia zarówno do wszystkich ludów i czasów. Przed dziełami Palestryny i Mozarta padają na kolana przeszłe i obecne pokolenia, wszelkie narodowości. Siedm wieków pieśń Bogarodzicy wydobyta z piersi tysiąca wojowników, z równą gotowością i zapalem prowadziła do boju za czasów Bolesława Chrobrego, jak i Jana III. W témto leży wielkość muzyki, to nadaje jej pierwszeństwo przed innymi sztukami, a nawet przed samą poezją ziemskiego słowa.

Muzyka jako bezwzględne dzieło ducha, w nim swe źródło mająca, jako język powszechny całej ludzkości, prawie od jej kolebki oddaną została na postugę religii. Niedarmo też powiedziano, że kto śpiewa, dwa razy się modli. Pienia też towarzyszą

człowiekowi od kolebki do grobu, w dniach szczęścia i żałoby, przy ołtarzu i na bojach w obronie praw najdroższych. W hymnie żałobnym leje łzy i zarazem pociesza błogą nadzieją, piosnką matka utula niemowlę, starcowi łzy rosą powieki, kiedy mu zabrzmiała nuta z lat jego dziecinnych. Muzyka nie wykląda ani religii ani moralności; ale przez nią stajemy się pobożniejszymi, na skrzydłach wspaniałej melodyi łatwiej unosimy się do tronu Wszechmocnego. Człowiek z sercem czujący wyższą muzykę, nie ubliży imieniowi człowieczeństwa, nkołysany cudną pieśnią nie spełni czynu nieszlachetnego. Podłość zwykle zamieszkuje w otrętwałém sercu, niezdołném poczuć piękności muzyki. Ona też nie daje moralności, lecz otacza aureolą duszę człowieka, czyni go godniejszym siebie samego, nieraz wyprowadza z kału brudoty. Dawnoto już uznana prawda, i dlatego rządy i społeczeństwo ucywilizowanych narodów, wprowadziły muzykę do przybytków nauk dla ludu, a nawet do więzień.

Jestto widomy wpływ muzyki, a ztąd dobrodziejstwa dla ludzkości. Stosunek tej sztuki do ogółu coraz szersze rozmiary przybiera, im muzyka lepiej zostaje zapoznaną, ocenioną, ale jej pierwszeństwa nie stanowi. Wyższość muzyki nad wszystkie jej siostrzyce spoczywa w bogactwie środków do ujawnienia swego ideału piękna w źródle przedwieczném, bo w duchu człowieka, w jej żywiole, to jest w uczuciu serca, gdzie też i objawiona religia swój tron założyła. A jak ta boska nauka jedną jest w swjej treści, przystępna dla każdego ludu, płci, wieku, jedną po wszystkie czasy: tak też jej służebnica muzyka, jedną i powszechną jest, oraz będzie dla całej ludzkości.

Pierwszeństwo muzyki nad wszystkie inne sztuki przyznały najdawniejsze ludy, a mianowicie najpiękniejsze chwile starożytnej Grecji. Obecnie przyszła kolej na nią u narodów zachodniej i środkowej Europy: przyjdzie czas i u nas, gdzie muzyka lepiej poznana a oceniona, należne sobie stanowisko bez zaprzeczenia zajmie.



PRZEGLĄD

LITERATURY ZAGRANICZNEJ.

Literatura angielska współczesna.

Karol Mackay poeta.— Karoliny Dent: „Myśli i rzuty.— Tomasz Read.— Pani Busk i jój dzieło: Średniowieczni papieże, cesarze, królowie i Krzyżowcy czyli Niemcy, Włochy i Palestyna w XII i XIII wieku.—Emersona: Zarysy Anglii.— Johna Motley: Początek rzeczypospolitej holenderskiej.— Klemensa Markham: Kuzko, czyli Podróż do dawniej stolicy Peru i Lima.— Wycieczka do stolicy nowożytnego Peru.— Odkrycie drogi północno-zachodniej.— Henryka Dalton: Historia Guyanny brytańskiej.— Alex. Frybes.— Indyjskie roczniki prowincyi Grozerat.”

Do nader popularnych poetów w Anglii liczy się Karol Mackay. Jeżeli dzieje sztuki chlubne zgotowały miejsce dla wybranych namaszczeńców, to jest dla tych niewielu, którzy posunęli ją na drodze ideału, tedy bez wątpienia nie odmówią swój karty i tym, którzy lutnię przeistoczyli w trybunę wielkich cnót i uczuć społecznych. Jestto drugi rząd wieszczów, nauczycieli, którzy ideał wprowadzony w drugą materję przenoszą do narodu, i ogłaszają aż do najgłębszych warstw swojego wieku. Anglicy nazywają tę rzeszę poetów charakterystycznym imieniem młodszych minstrelów (minor minstrels). Ale ta nazwa nie ubliżająca ich artystycznej zasłudze, nieraz obejmuje wielkie dusze, a w ich dziełach gorące myśli: gdzie poświęcili sztukę rozległościom wpływu; pomysł myślom; mistycyzm wcieleniu; ideał piękna ideałowi dobra; sławę indywidualną, postępowi ogólnemu. Po-

wiemy o nich to, co Wiszniewski powiedział o nieznanym z mienia, zatraconym wynalazcach sochy i sierpa: „Wieczna przedmiotowa, to jest bezimienna sława udziałem ich będzie.” Pieśni Karola Mackay powtarzane są dziś na ulicach Londynu, a kiedyś powtarzane będą po wioskach, jak pieśń Karpińskiego o Filonie! Poeta po długim milczeniu podjął lutnię z tryumfem. Ostatnia jego pieśń: „Kłoda złota” jest najpiękniejszym faktem tej wzniosłej poezji czynu, której bohaterką jest cnota pozostawiona nie w martwej masce abstraktu, lecz w uroczystej osobistości, z prawdą, miłością i cierpieniem. Wśród tej ruchliwej, bezdennnej stolicy Albionu, gdzie tak spokojnie, tak obojętnie leży nędza obok przepychu; gdzie bez ustanku trącają o siebie dwa światy, świat karety i bruku: tam co chwila rodzą się wymowne fakta dla poezji, a tysiąc ich ginie bez pamięci w chaosie mrowiska. A gdy świat karety wśród poważnych interesów balu, teatrów i baletów, niema chwili wolnej do pomyślenia o drobniejszej kwestyi: żebractwa i głodu; wówczas wieszczę staje się ich orędownikiem. Piękna pani, którą Anglia nazywa Fashion, wstępuje do księgarni dla nabycia najpiękniejszej na ten rok prezentowej książki (Christ masbook), zwabiona cudnym wydaniem. Rzeczywiście jestto dzieło prześliczne; edycja, o jakiej my *chudzi literaci* wiemy tylko z ogłoszeń księgarzy londyńskich: księga w sukni balowej, marocco ze złotymi drapekami zewnątrz, z galerią obrazów wewnątrz, z fantastycznymi głoskami w tytule, z kosztownym złotym brzegiem, godnym stanowić czoło biblioteki Eskuryalu (tam księgi jak wiadomo stoją frontem, a tytuły wyrobione na roztworze): słowem to ironiczny symbol Londynu, bo złota księga nieraz opiewa nędzę i cierpienia! Tak więc dopiero od szlachetnego wieszczę dowiedziała się Fashion, że pod kołami jej powozu roi się plemię objęte razem z nią pod abstrakcyjną nazwą *człowieka!* Lecz nie godzi się stanąć na ironii. Fashion od tej chwili ma zwyczaj jechać wolniej, co mówię, jest roztargniona: oto właśnie ominęła pałac ułożonej wizyty. Ogląda się, tam jakaś drżąca postać tuli się pod balkon przed ulewą: „nasz poeta dobrze mówi, to coś naszego, tożsamość rasy widoczna”; i pani Fashion miała także słusność, gdyż ową postacią był rzeczywiście człowiek. Człowiek, najpiękniejsza z istot bożych na tym świecie, głęboko pomyślane dzieło rozumu i uczucia; ale jakaż edycja! jaka portargana, żebracka odzież, jaka twarz wychudła, jakie oczy stra-

wione od lez, od walki potrzeb ze środkami. O tak! tak, do-
brze mówił nasz poeta.

„Złota kłoda” Karola Mackay przynosi czytelnika na
ulicę Londynu nocą.

W deszcz stopiona chmura cała,
Trzeszczą deski okiennicy;
Chorażewka zardzewiała
Gnie się, skrzypiąc pod ulewą:
To na prawo, to na lewo.
Pod mgłą czarną już nie brodzi
Ludzka stopa wśród powodzi;
Lecz on snuje się w zamieci
Jak cień wiatrami spłoszony.
W rzęd za lampą lampa świeci,
Ale drżąc i nieśmiele,
Na kamienne tło ulicy
W ukos blade światło ściele
Niby ogień w trzęsawicy,
Lub w ręku widma pochodnia,
Co gdzieś nocą w zgniłym stawie
Taniec wiedzie, i przechodnia
Wzrok opęta, omajaczy.

Podę drzwiami wskroś przewiane
Chłodem nocy, zlewną strugą,
Siedzą dwie żebraczki stare
Tuląc wzajem jedna drugą.
Jak przechodził z lewej strony,
One za nim patrzą długo;
Patrzą za nim, gwarzą zcicha:
„Czy go widzisz?” to szalony:
Znać przysiadła go niedola,
Bo tak błąka się, tak wzdycha!
Ale co mu tam z litości
Dwóch nędzarek, co pod cudzym
Tulą progiem stare kości;
I jak pomódz, duszo miła?
Jabym smutek stratowała,
Gdybym mężem się zrodziła:
Niech mu pomoże, kto może;
Co tam warte ich kłopoty:
Nasza nędza, to już nędza”.

O wy! żebraczki, sieroty,
Wy zdeptane drożne kwiaty!
On nie widzi, on nie słucha
Słów litości, skargi głosu;

W nim zamknięte jego światy,
Światy grzechów i chaosu.
A tu zlewna nawalnica
Brew mu targa, mrozi lica.
Oto stanął, coś przemawia:
„Już mi duszę szal zacięcia!
Ty przystani wiekuista
Czy odmówisz mi schronienia?
Już ten oddech niepotrzebny:
Weź go, weź go, przyjdź z oddali;
Pilno mi w ów świat pogrzebny,
W byt na łonie czarnej fali
Strudzonemu walką życia
Daru śmierci niegodnemu”.

A deszcz płynie, potok rośnie,
Nowe wiatry z pęt spuszczone
Szumią w głębi, wrą żalostnie;
Tylko w murach cisza padła:
Milczy senat, jego gromy,
Mowców głosy i uchwały;
Milczy sala biesiadowa:
Jéj róże pozamierały.

Pół marząca, pół uspiona
Z trudów balu, z raną w sercu,
Wraca piękność z pięknych grona
Obwinięta w gronostaje.
Piękność blada, spracowana
Wirem tańca; konie lecą:
Spieszno pani, spieszno koniom,
Bruk się łamie, iskry świecą.

Tyleż iskier się zamęci
Pod kopytem w dnie kałuży,
Gdy żelazo gładz potraści
I przemoże wrzawę barzy.

Piękność zziębła, a płomienna
Szybę karety odmyka,
Widzi postać koczującą
Szalonego samotnika.
Lecz kareta złoto-przeżna
Pędzi dalej nieprzytomnie.
„To szalony”, mówi księżna,

„Tak z pijaństwa”, mówi książę;
 „Lub z miłości”, rzecze skromnie
 Piękna córka....

I westchnęła bez uznania,
 I wstecz zgarnęła włos lniany,
 Co jój bladą skroń osłania,

Jedź, jedź z Bogiem, śpiąca pycho
 Górną drogą po powodzi;
 Nie patrz na dół, bo na dole
 Każdy dzień milion lez rodzi.

Ty ze szczytu swego życia,
 Ty nie widzisz w blasku słońca
 Tam pod kołem gromów bicia,
 Ani krwawej błyskawicy,

Jedź na zamek. On niestety
 Nie słyszał głosu współczucia;
 Jego ucha nie dosięga
 Nocny loskot twój karety.
 On zatopił duch bezsenny
 W swój tajemny świat bezdenny,
 W czarną myśl, osierocenie,
 I samotne męki zgonu.

Dziko wre szum nawałnicy
 Cicho śpią męże stolicy;

— Niegodzi się pominąć w naszym poglądzie pięknych utworów Karoliny Dent pod skromną nazwą: Myśli i rzuty (Thoughtsand Sketches). Pani Dent zachwyca wysokim poglądem na życie, ale i podbija uroczystą spokojnością. Nie marszczy brwi z owym zagadkowym racjonalizmem, który zwykle pokrywa wewnętrzną nicość, ale myśli głęboko. Pojmuje ona, że artysta powinien myśleć: że w życiu ludzkim znajdują się pewne utajone położenia graniczące z cudownością, które już w naturze swojej są ideałem; że świat ma swoje pierwokształty piękna, i że sztuka rodzi się z siebie samej *a priori*, jako doskonałość. W jednym z utworów swoich pod nazwą: Śmierć Sywarta, Karolin Dent przedstawia nam bohatera, który czując zgon blizki, oznajmia, że gotów jest spotkać tego króla nocy z rycerskim spokojem; każe podać sobie żelazną koszulę i pancerz:

Chcę spotkać wroga, jak godne rycerza,
 Z czołem spokojnym i dumą głęboką;
 Czuć na méj piersi zimną pierś pancerza,
 Nim ją śmiertelnym całunem powiękłą.

A gdy jęk cierpienia usłyszają
 Piersi ich zbudzoną na chwilę
 Nowe myśli ukolyszą,
 Nowe uczucia złotój dołi,
 Bez tęsknoty i uznania,
 Prócz uznania: że na niebo
 Nie wszedł jeszcze blask zarania.

Śpijcie błogo, nim zaświta,
 Długo, długo, bracia moi,
 Tym pół-zgonem czarującym!
 Nędza tylko niepowita
 Musi ocknąć się przed słońcem.

Wy też cicho w świętém kole
 Śpijcie trudy i niedole.
 Niebo co wam na ramiona
 Rzuciło twarde brzemiona,
 Samo dźwignie cząstkę krzyża,
 Samo w rany balsam leje,
 Trudy słodzi, żar uśmierza
 I skraca wasze tałactwo.
 A tymczasem, nim zadnieje,
 Śpijcie walki, łzy, nadzieje,
 Nędzo, pycho i żebractwo.

Dajcież tę włócznią iskrzącą od stali,
 Mój twardy szyszak zwieszony na ścianie:
 Tam pragnę dzisiaj w moich ojców sali
 W wystawném łożu czekać na skonanie:
 Czym na głos trąby z radości nie szalał?
 Nie pieścił jękiem wrogów mego ucha?
 Czym krwawych natchnień życia nie zapalał
 U błyskawicy rycerskiego ducha?
 Jam nigdy miasta szturmowej przemocy,
 Jam zamku nie dał w haniebne poddanie!
 Mamże dziś poddać się królowi nocy,
 Zgiąć kark pod jego włócznią niewidomą?
 Nie! niech śmierć przyjdzie w całym majestacie,
 Czekam natarcia w niezachwianej ciszy.
 Burza dąb wieczny strąci z pod obłoku,
 Lecz zgięcia żadne ucho nie usłyszy.
 Tak go złożono w orężnej komnacie;
 Jeden blask świecił na stalowej szacie,
 Drugi w zapadłym, niezwalczonym oku,
 Zdaje się słuchać, jak stopą mierzoną
 Ciągnie z oddali bohaterów grono;
 Zdaje się słuchać, jak przez łąk obszary
 I trąby grają i wieją sztandary.
 Choć już stygnąca, zadrzała prawica,
 Jeszcze od wielkiej duszy nieodrodna;
 Drga w suchej dłoni włócznia bezzawodna
 Od której przysła niejedna przyłbica.
 A minstrel spojrział na arfę beczynną,
 Serce mu mówi, że z tej martwej strony
 Jeszczeby można wyzwać wielkie tony
 I pieśnią uczcić ten dzień wiekuisty.
 Tak! spojrział z dumą, lecz szybko oblicze
 Cofnął od arfy, myśl jego się wikła:
 Tam jakieś widmo, ręka tajemnicza
 Po niemiej arfie przebiegła i znikła.
 Pojął to minstrel, znać duch bohatera
 Przed duchem, wrogiem musi już broń złożyć;
 Znać iskra, którą wielka dusza miota,
 Jest już ostatnim połyskiem żywota.
 Lecz arfa musi powstać w dzień pogrzebu,
 Łza musi wesprzeć jego lot ku niebu:
 A potem... potem chlód wieczny owionie
 Piosnkę minstrela i minstrela dłonie.
 Tymczasem słońce na ocean zmierza,
 Lecz przed zachodem smutno okazała
 Orężna sala i zbroja rycerza
 W strumieniach jego światła się kapała.
 Wreszcie zagasło, i na pustym tronie

Straszliwym rojem siadły mroki szare,
 Wolniej po arfie krążą widma dłonie,
 Bliżej nadciąga śmierć po swą ofiarę;
 Lecz nikt nie ujrzał, nie usłyszał męki:
 Jeszcze blask dawny świeci uporeczywie,
 I tylko włócznia wymyka się z ręki
 I zapowiada o życia odpływie.
 Nie rozwarł garści do ostatniej chwili,
 Choć ciężka włócznia ku ziemi się chyli:
 Niżej i niżej, nareszcie opadła...
 Duch-wróg zwyciężył....

Przejdźmy teraz do poezji podmiotowej. Ta *barbara vox*, ten przykry dla ucha termin, obejmuje, jak wiemy, drugie półkole wielkiej całości: poezją myślenia. Piękność ma tu zupełnie inne warunki: ogarnia ona ów bezmiar niewcielonych światów, gdzie uczuciami są pojęcia; sytuacjami, poglądy na wszechświat; lecz tak pojęcia, jak i poglądy niestężale na symbol filozoficzny, tylko uchwycone i przedstawione jako wrażenia. Wspaniałe węgietacye myśli ujęte pod sztukę, nie w abstrakcyjnej fazie owocu i nasienia, lecz w młodzieńczej dobie kwiatu. Wszystkie zasady społeczeństwa, dziś wyznawane i czczone w życiu, musiały kiedyś objawić się światu, jako natchnienia tego rodzaju, które później wysnily się w uznaniu powszechném. Poezja podmiotowa jest przede wszystkim udziałem wieków nowożytnych. Napróżno szukalibyśmy jej w rzeźbowej poezji Greków, w panteistycznym tonie Sakontali; tém mniej jeszcze u Hafiza i liryków arabskich, zbyt zamilowanych w swojej przyrodzie. Co większa, nie da się tu nawet podciągnąć ów wzniosły pierwiastek, który Hegel mówiąc o poezji hebrajskiej, określa przez szczytność. Jeden tylko Firdusi w chwilach wielkiego wstrząśnienia natrafia na jakieś skazówki: przeczuwa, zamysła się; lecz zajęty główném pasmem epopei, nie puszcza się w głąb tych przeczuć. Niemcy, którzy tak lubią odwoływać się do tej prawdy, że na nich przeważnie przypadł udział lirycznego poglądania na świat, Niemcy w każdym wierszu Firdusego słyszą bicie germańskiego serca. Kto pragnie schwycić istotny wyraz tego ducha nowoczesnej poezji, niech czyta liryczne twory Longfellowa „Nad morzem, przy ognisku”, „Głosy nocy”; znajdzie w nich tyle filozofii, ile poezji znaleźć można w Okanie; niech czyta Edgara Poe, Arnolda, Yendysa; oni mu we własnym jego świecie odkryją muzykę sfer.

W tój chwili Ameryka zyskała młodego wieszca: *Tomasza Read* który dał się po raz piérwszy poznać ze swego; „*Domu nad morzem*” (1).

Na tle opowiadania żywém i silném, dusza poety wychyla się niejednokrotnie z poza przedmiotu, i wówczas słyszymy te monologi wspaniałe, które w powieści są dla autora wypowiedzeniem ducha, a dla słuchacza uroczą chwilą policzenia się z samym sobą.

„Oto, mówi poeta, wśród kołysania się bytu, rzucani jesteśmy co chwila z przeszłości w przyszłość; co chwila toczymy się z pod blasku słońca w głębią nocy, z pod mroku na światło. Tu ciągle krążenie na milczącym potoku; tymczasem niebo płynie nad głowami jak senne pasmo, pełne gwiazd, tajemnic i proctwa przyszłości. Już w tём okamgnieniu, patrz! stawiamy krok niezajęty dotąd w przestrzeni od początku wieków, kędy ruch świata nigdy już nie nawróci, i ta sama fala na koło nie wpadnie; z każdym rokiem obiegliśmy wielką podróż wkoło słońca: a wszak w milionie pędów i zwrotów nigdy pierwotnym szlakiem nie wracamy. Gdyby te ziemie niezliczone w przestrzeniach, jak ślimaki zostawiały za sobą świecące ślady, ileżby dziwnych farb błyszczało w bezmiarach wiecznych? A przecież taka sieć cudownych barw, zostawiona po każdym słońcu i satellicie, świeci, choć dla nas niewidzialna przed baczném okiem Jednego! Gdyby te dusze ludzkie niezliczone, zostawiały ślady jawne dla oka, każdy z barwą wskazującą, jaki charakter przechodził tą drogą: jakże zawią, jak wielobarwną zdałaby się ta sieć krętych ścieżek wszere i wzdłuż wszechświata; a tak osnuta pasmami cienia, błędów i okrucieństwa, gniewu i zawiści, że tam ciemność wzięłaby przewagę nad światłem. Taka przecież tkanka powikłanych szlaków i barw zawisła ponad światem i nie zblednie nigdy, nie zmieni się. Na wielkiej karcie ziemi każda dusza wpisuje swoje pielgrzymstwo, i tam pod okiem Boga każda się świeci w pasmach wiekuistych, a tak wyraźnie, jak dla mnie z tój skały wyraźne są warstwy pokładowe”.

Elegis, jak wiadomo, ma tu swoje ojczyznę. Któż zapomni raz przeczytaną *elegią na cmentarzu* (Greya): za naszychto dni wielki mąż Ameryki umierając, prosił o nią przyjaciół już w chwilach ostatnich głosem mdlejącym: „Grey! Grey! elegia”.

(1) *The house by the Sea*, a poem. by T. Buchanam Read. Philadelphia.

Byron rozpoczął swoją przyszłą wielkość od elegii; dostrzegamy nawet, że wielkim poetom tego narodu pomyślniej się wiodą sytuacje minorowe niż obrazy jasne, przedstawiające zapal lub szczęście: kto wreszcie nie podzieli tego zdania „że każda myśl wielka w naturze swojej ma coś tęsknego. Do rzędu znakomych poetów, serca należy *Gerard Massey*, o ile ze znanych nam tworców jego wnioskować można (1). Wyjątki z nich w następnym zeszycie naszego piśma zamieścimy.

— Z dzieł historycznych na chlubną wzmiankę zasługuje obszerna praca pani Busk: *Średniowieczni papieże, cesarze, królowie i Krzyżowcy, czyli Niemcy, Włochy i Palestyna w XII i XIII wieku*.

O żadnej dobrej historyi, jak o średnich wiekach słuszniej nie da się powiedzieć: „sądzić was będą z czynów waszych”. Nigdy myśl nie wcielała się żywiej i bezpośrednio w fakta. I ta gotowość, ta śmiem wyrzec, jednolitość myśli z czynem nadaje wiekom średnim ów chaosowy charakter dążeń bez uznania celu, gdzie wypadki rodzą się z wypadków prawem ślepego następstwa, nie poparte wewnętrznem pojęciem przyczyny. Jeden z naszych myślicieli określił ten zamęt energiczną nazwą: chemizmu! Lecz jeżeli tu z jednej strony wśród mieszaniny faktów nieodgadzionych, nieprzewidzianych, rozum dziejopisarza wypuszcza z rąk kompas i napróżno sili się pochwycić jedność „*Deum intus operantem*”, za to serce i wyobraźnia są wynagrodzone hojnie. W żadnym okresie dziejów fakta nie mają tyle powabu i perspektywy, w żadnym téż nie wymagamy od historyka większej siły i bogactwa w przedstawieniu materiału; gdy tymczasem w obrazie wieków nowożytnych oceniamy sztukę i pogląd. Księga pani Busk, jak dotąd w czterech tomach, żywo maluje nam osoby i działania: Waldenicy i krucyaty, straszne sądy tajemne (*Wehmgericht*) i Gwelfy z Gibelinami, rycerstwo i żywot klasztorny, sądy boże i wyprawa dzieci: zgoła cały pochód średnich wieków posuwa się tu dramatycznie. Za przykład przytaczamy tu niektóre ustępy:

„Kiedy spór o Germanią rozwijał się z całą siłą, oto następuje jedno z dziwnych zjawisk, odznaczających średnie wieki: była to *krucjata dzieci*. Rozpoczęła się ona we Francyi, gdzie właśnie wśród gorącej krucyaty przeciw Albigensom, Robert de

(1) *Athenaeum* N. październikowy 1856.

Courçon, Anglik, niegdyś szkolny przyjaciel Innocentego III w Paryżu, a teraz jego legat ogłaszał wyprawę do Jerozolimy. Przy całej zdolności apostoł był zapaleńcem, i swoje propagandę prowadził zupełnie w duchu Piotra Pustelnika i żarliwych jego popleczników, rozdając znaki krzyża wszelkiego rodzaju ludziom bez różnicy: dzielnym i niezdolnym. Namiętne jego odezwy zapaliły wszystkie serca, a w r. 1213 niemal ogarnęły szaleem pewnego pastuszka imieniem Stefana: ten dzieciak utrzymywał, iż Bóg sam w liście pisanym do króla Francji, upoważnił go (Stefana) do głoszenia krucyaty i objęcia dowództwa. Dzieci wszelkiego pochodzenia i płci obojędź wbrew woli rodziców gromadziły się pod ramię młodocianego wodza; aż wreszcie Stefan ujrzał się na czele 30,000 chłopców i dziewcząt. Z Francji szła przeszła do Niemiec, gdzie drugi chłopiec zgromadził 7,000 dzieci, między którymi wszakże miała być garstka i dorosłych. Niemiecki oddział tej parady przeszedł Alpy i dostał się do Genui; tam odkrycie, że droga do Jerozolimy idzie przez morze, do czego potrzebne są pieniądze, to mówię odkrycie położyło kres dalszym postępom armii. Szczęście to było dla niektórych, jeżeli bez różnicy stanu zostali w Genui na służbie u panów włoskich. Większa część już to w dalszej podróży, już w powrocie do ojczyzny została złupioną na drogach; co większa, mnóstwo wymarło z głodu, gorąca i utrudzenia. Los armii francuskiej był jeszcze okropniejszy: na czele Stefana jadącego tryumfalnie w wysłanym kobiercami wozie, armia ta przybyła do Marsylii, gdzie kupcy okazując wysokie podziwienie dla ich bohaterskiego zapędu, ofiarowali im bezpłatną podróż do Palestyny: przeto szaleem ogarnione dzieci przyjęły uwielbienia i podaną pomoc z zapędem. Miał ten korpus wsiędź na siedm okrętów, co każe się domyślać, że w podaniu liczba została przesadzona. Z tych okrętów dwa rozbiły się koło Sardynii i cała osada zginęła co do jednej duszy. I cito właśnie zatopieni doznali najmniej nieszczęścia z pośród całej armii pastuszką Stefana; kupcy bowiem, których kłamate uwielbienie zwabiło ich na pokład okrętów, uwieźli ich do Afryki i tam zapredali w niewolę muzułmańską.

Podanie mówi, że gdy płynęła krew Konradyna z ręki Karola Anjou, orzeł spuścił się z obłoków i umoczywszy skrzydło w krwi jego, „uleciał z przed oczu ludzkich ku niebu”.

Któż nie przypomni tu sobie legendy o strzałach Nemroda wielkiego łowca przed Panem"? Dzieło mówi dalej:

„Sąto podania legendowe; lecz pewien zabobonny obrządek wiążący się tradycyjnie z losami Konradyna, uświęcony jest powagą Dantego i Boccacyusza. Sycylijscy utrzymują dotąd tę przesadną wiarę przyniesioną jeszcze z metropolii (Grecyi), że morderca jedząc nad ciałem zabitego jakąś potrawę przyrządzoną na ten cel z pewnych przypraw, zostaje, jeżeli nie zupełnie oczyszczonym z winy, to przynajmniej zasłoniętym od pomsty przyjaciół i krewnych zabitego. Podanie mówi, że Karol jadł tę potrawę nad zwłokami Konradyna i jego towarzyszy zabitych. Zabobon Karola nie zadziwia nas, lecz zadziwia to, iż mógł tak jawnie zdradzać uznanie o swęj niewinności i niesprawiedliwości oszczerców”.

Uderzającym również jest ów powszechny w wiekach średnich popęd ludów pod sztandar kościoła. Król francuzki chce zrzucić z siebie szaty ziemskiej władzy i przywdziać habit; przełożony zakonu stara się go odwieść od tego zamiaru, lecz bezskutecznie (1). Nakoniec po długich naleganiach przyjmuje go i naprzód poleca mu wykonać przysięgę na posłuszeństwo klasztorne; po złożonej przysiędze jako przełożony nad nowym braciszkiem, poleca mu, aby natychmiast wrócił do rządów państwa. Nieraz nie znajdując miejsca w przepelnionym klasztorze, tajemnie porywano habit, lub odcięty węzeł od paska habitu, chowano między swoje świeckie szaty. W dziele pani Busk czytamy ciekawe fakta tego rodzaju.

— *Zarysy Anglii* (English Traits) p. R. W. Emersona. 1856.

Dwa zdumiewające zjawiska ujrzała jednocześnie literatura angielska w ostatnich miesiącach starego roku, dwie rękawice rzucone: jedna w Londynie, druga z okrętu unoszącego pana Emerson w powrocie do Ameryki. Wiliam Henryk Smith listem swoim do lorda Ellesmere chciał wstrząsnąć potężny *dogmat piśmiennictwa angielskiego*, dogmat autorstwa Szekspira. Nazwa sama téj rozprawy ma cechę jakiegoś dziwacznej ironii: „Czy autorem dramatów Szekspira był Bacon.” Podobnego rodzaju sceptycyzm, pokazując bez wątpienia niesłychany zbytek wolnego czasu, dowodzi zarazem, jak łatwém jest wprowadzić

(1) Michelet. *Histoire de France*.

zamęt w najczystsze źródło historii. Starożytni, bliżsi sceny, i prawie bezpośrednio zetknięci z podaniami Iliady, wierzyli w Homera tak silnie, jak w piękność jego obrazów; wiekom nowożytnym dopiero potrzeba było z wielkiego utworu zmasać imię wielkiego twórcy. Wolf i jego zwolennicy po długich namysłach doszli przecie do téj budującej prawdy, że „Iliada jest dziełem *nie utworzoném przez nikogo*” I owi skrupulatni badacze, dla których indywidualność Homera zdawała się zaśmiałą hipotezą, wybrali tę *naturalniejszą* hipotezę: że Iliada jest utworem „całego wieku i całego plemienia”: woleli więc wziąć allegoryą za osobę, aniżeli osobę, za rzeczywistość. Moda, jak wiadomo, jest zarażliwą: los Homera, spotkał, w trzydzieści wieków później, Nestora, dziejopisa słowiańskiego. I dziś mąż, którym chlubi się Anglia i Ameryka, co mówię, świat cały, ma się przeistoczyć w mit, bo czémże będzie ów Alexander W. oderwany od czynów swoich, jeżeli nie marną garstką „która małej urny nie zapełni”: czém będzie Szekspir, najpiękniejsza perła w koronie wieku Elżbiety, jeżeli go oderwiemy od Hamleta, Otella i króla Lira? Nie będziemy trudzić czytelników szczegółami procesu, w którym i nas, przyznajemy, nic nie zajęło oprócz tytułu. Przyjmujemy to zjawisko z taką obojętnością, z jaką naród, bliżej zajmujący się sławą Szekspira, obiecuje przyjąć kiedyś przypuszczalny paradoks: że Szekspir był autorem filozofii Bakona.

Dzieło p. Emerson, Amerykanina, dowcipne i pełne kolorytu w innym rodzaju; lecz nierównie żywiej pobudziło prasę angielską. Autor Zarysów, o którym nadmieniliśmy w poprzednim przeglądzie, mówi o pobratymcach swoich z przekąsem, rzadko przynoszącym zaszczyt pisarzowi, a nigdy autorowi dzieła o narodzie. Ale trudno nie przyznać mu wielkich zdolności w pochwyceniu typów i układzie poglądów. Emerson wierzy w gatunkowego ducha narodów i ta wiara przeważa nawet u niego nad pojęciem ducha miejscowości. Aby tę zasadę nieśmiertelności plemiennego pierwiastku przeprowadzić bez ujmy dla współziomków, Emerson naiwnie oznajmia, iż *głównem* siedliskiem rasy saxońskiej jest Ameryka; swoje zaś była matkę, ojczyznę, uważa za spadkobiercę ducha normańskiego, o którym wszakże bez ogródki tak mówi: „Normanowie przybyli z Francji do Anglii gorszymi ludźmi, aniżeli przyplływając kiedyś do tamtéj (do Francji) przed stu sześćdziesiątą

laty: już bowiem utracili byli język własny, przybierając romański, to jest barbarzyńską łacinę Gallów; a z mową odziedziczyli zarazem ich wady. Zdobycie (przez Wilhelma) zapisaném jest w kronikach pod imieniem: „Pamięć smutku“. Dwadzieścia tysięcy złoczyńców (w oryginale thieves) wylądowało w Hastings. Ci założyciele izby lordów (founders of the House of Lord) byli smokami łakomstwa i dzikości, synami łakomych i dzikich korsarzy. Wszyscy podobni do siebie, chwyтали co tylko unieść mogli, paląc, rabując, wśród gwałtów i rozboju, tak, iż cały żywioł angielski stanął nad brzegiem otchłani. A przecież taki jest urok i potęga starożytności, że wcale przyzwoici i dostojni mężowie obecnej chwili, chlubią się pochodzeniem od owych brudnych rabusiów, którzy piastowali w sercu nierównie wyższe pojęcie swoich zasług, przybierając sobie za godła: wieprza, kozła, lwa, szakala, tygrysa, wilka i węża, do których rzeczywiście byli podobnemi napiękne.“ Nikt bez wątpienia nie dostrzeże zbytku pobłażliwości w tym obrazku; ale z drugiej strony nie więcej w nim prawdy historycznej. Najście Normandów, pomimo klęsk nieodłącznych od nawiedzenia przez lud, od którego Europa wypraszała się litaniami; to najście ma wielkie znaczenie dla dziejznawcy, przypuszczającego Opatrzne cele w kolejach ludów. Pan Gourand słusznie utrzymuje, że zdobycie to dokonało wielkiego dzieła: ostatecznego ułożenia narodowego typu Anglii. Normandowie podczas 160-letniego goszczenia w Gallii, gdzie nie wywracając ducha podbitych, przeciwnie ulegli naturalnemu ciśnieniu cywilizacji południowej, przynieśli do Anglii nowy żywioł (który wszakże nie przechodził granic zewnętrznej organizacyi) — arystokracją feudalną. Ale co ważniejsza, wyrwali oni Anglię z ciasnego zakresu *ustronnej wyspy*, i przygotowali dla niej fundamentalne stanowisko wpływu na ląd stały. Wreszcie, ponieważ Normandowie mieli w swoich żyłach też samą krew skandynawską, ich najście przeto było niejako podwojeniem północnego żywiołu w narodowości Albionu. Wróćmy do tekstu: Emerson tak skreśla charakter pobratymców:

„Ludność brytańska wynosi 27 i pół milionów w królestwie zjednoczonym. Główną wagę tej ludności stanowi jej jednolitość: sąto ludzie silni, w kraju, gdzie życie, obok pewności, doszło do wartości najwyższej. Pokazują oni skłonność do bieżącego wieku, nie z wypadku, nie z popędu massy;

lecz przez charakter, przez nakazującą liczbę osobistych zdolności. Odmawiają Anglikom geniuszu: bądź jak bądź, ziemia ich wydała mężów rozległego umysłu; przyznać im trzeba dojsście lub zastosowanie główniejszych wynalazków. Mają budowę silną i wytrwałość w pracy; produkcyjna siła plemienia wystarczyła do zaludnienia wielkich części świata: zobaczmy jednak, czy powiedzie im się ów exodus milionowy, który w r. 1052 wynosił przeszło tysiąc osób dziennie. Posiadają oni dziwną własność assimilacji, i ztąd takie wierne naśladownictwo w podległych im plemionach: z napływami łączą propagandę; szerząc władzę, wnoszą ustawy. Prawa ich są gościnne, postęp ich nie nagły; lecz przez kilka wieków zachowali stałość i jedność dążenia. Czemuż to przypisać: czy potędze rasy, czy innéj jakiej sile? Zwyczajto ludzki mówić o siłach krwi i plemienia. Miło jest każdemu usłyszeć, że jego postęp przypisują nie klimatowi, ani ziemi, ani morzu, ani własnościom miejsca, jak kopalnie; nie prawom, ani podaniom lub szczęśliwemu losowi; lecz wyższości ducha, boto czyni pochwałę bezpośredniejszą jego własnością... W nauce ras pozwalamy sobie przyjmować zasadę fizyologów, że każdy muskuł, każda kość lub organ zdrowego ciała, musi się znajdować na tém samym miejscu w organizmie osób pokrewnych: upatrujemy téż w synu tych moralnych i umysłowych władz, jakie posiadał jego ojciec i przodkowie. W plemieniu, wyższość indywidualna nietylko zależy na szerokości bark, giętkości członków i postawie; lecz także na symetrii sięgającej do stopnia dowcipu.

Tu dopiéro rozpoczyna się wielkość i sława; tu dopiéro badacz rozbiera rodowód i wychowanie plemienia, jego sposób życia, pokarmy, wprawy, ukształcenie i inne warunki, które zrodziły dowcip macierzysty, przenikliwość myślenia i mężką mądrość. Jak mogli tu istnieć tacy ludzie jak król Alfred, Bakkon (Rogier), Raleigh, Sydney, Newton, Szekspir; jakie czynniki wydać mogły owych duchów potężnych, czy powietrze, czy morze, czy pokrewieństwo? Bo pewna, że ci mężowie byli odbiciem swego wieku.

Ucho słuchacza zawsze graniczyło blisko z językiem mowcy. Tak! potęga plemienna jest wielką, jeżelito prawdziwy fakt, że wszyscy Celtowie są katolikami; wszyscy Saksonowie protestantami; że Celtowie lubią jednolitość władzy, Saksonowie zasadę reprezentacji. Potęga ras, sprawdza się na ży-

dach, zatrzymujących przez dwa tysiąco-lecia pierwotny typi zasady, sprawdza się na murzynach straszliwie. Francuzi kanadyjscy, oderwani od wszelkich związków z rodzimym ludem, zachowali cechę narodową.

Przypadkiem czytałem w Missouri dzieło Tacyty „O obyczajach Germanów” i znalazłem uderzające rysy podobieństwa pomiędzy Germanami lasu Hercyńskiego a naszymi Hoosier, Sucker i Badger w lasach Ameryki“.

Emerson w ocenianiu literatury brytańskiej okazuje równe lekceważenie: jeżeli gdzie zamilcza na chwilę sam, tedy z zapalem chwytą każdy wyraz zniewagi z ust autorów brytańskich, z którymi zdarzyło mu się rozmawiać o piśmiennictwie.

„Zastaliśmy pana Wordswort spiącego na sofie. Z początku był milczący i nie swój, jak starzec nagle obudzony, któremu przerwano ułożoną drzemkę; wkrótce jednak rozgadał się o nowinach zakanałowych: krzywił się na sąsiadów, krzywił na Szkotów. „Żaden Szkot, mówił starzec, nie umie pisać po angielsku; ani Jeffrey, ani krytycy edyńburscy nie piszą po angielsku, ani nawet*** który jest zarazą na język angielski.“

Duch samolubnej wyłączności Anglików, ta ujemna miłość swojego, która nie umie kochać bez nienawiści, nie uszły oka Emersona.

„Francya, przez naturalne sprzeciwieństwo, jest czarną tablicą, na której charakter angielski kreśli swoje rysy. Ta duma zwykła się zdradzać w każdym napomknieniu o Francyi. Zdaje mi się, że każdy człowiek z krwi angielskiej w Ameryce, Europie lub Azji ma w sercu tajemne uczucie radości, że się nie urodził Francuzem. Pan Coleridge, jak mówią, składał publiczne dzięki Bogu w zakończeniu odczytu, że uchronił go od zdolności wyrażenia choćby jednej myśli w języku francuzkim. Wypada się obawiać i wątpić, czy typ Anglika nacierający a tuczny, zgodzi się z jakimkolwiek innym; czy świat będzie miał dość miejsca dla obu. Lecz, pominąwszy tę narodowość wygórowaną, przyznać potrzeba, że wyspa codziennie składa ofiary staremu bożkowi Brage, który u naszych pradziadów skandynawskich słynął z wymowy i majestatycznej postawy“.

Emerson poświęcił także kilka ustępów kwestyom religijnym, które pomijamy, w nadziei, że przytoczone miejsca dadzą

niejakie wyobrazenie o poglądzie Amerykanów na starą ojczyznę, jakkolwiek widzieliśmy w poprzedzającym sprawozdaniu, że jest tam i drugi, odwrotny prąd, który dopomaga czasowi do zatarcia wrażeń i stłumienia namiętności. Dodajmy w końcu, że dzieło Emersona nie wywołało zamierzonej przez autora polemiki — „rękawiczki nie podniesiono“.

— *Początek rzeczypospolitej Holenderskiej* (Rise of the Dutch Republic) przez *Johna Motley*, 3 tomy.

Anglia szczyti się w obecnej chwili kilku znakomitemi historykami: Maculay, Prescott, Motley, są dzisiaj w ogólnej wziętości, zbogacają bowiem nietylko przedmiot, lecz i piśmiennictwo: dzieło Maculay'a znane jest czytelnikom z wyjątków w naszym piśmie umieszczonych. Prescott poświęca się wyłącznie dziejom Hiszpanii w epoce jój przewagi politycznej; mianowicie wspominamy o dwóch jego dziełach: (panowanie Karola V i Hiszpania pod Filipem II), odkładając do następnego miesiąca bliższe szczegóły. Godnym uwagi jest niedawno ogłoszone pismo: „Pamiętniki dworu angielskiego podczas regencyi od r. 1811—1820, z oryginalnych dokumentów przez ks. Buckingham i Chandos.“. Zarzucają Maculay'owi ducha stronniczego i brak poglądu, Prescott'owi obojętność; Maculay wywołał nawet rozległą i żyzną polemikę, ponieważ każde wyznanie dotknięte jego piórem, zgromadziło swoje kolumny w obronie zasad. Tak np. wkrótce po wydaniu jego historyi ukazała się ważna książka (1) p. n. „Penn broniony przeciwko zarzutom Maculay'a“: bo i któż z ludzi godnych „prochu i ołowiu“ nie był wystawionym na pociski? Dzieło Motley'a zawiera głównie historią walki z Hiszpanią, walki niepamiętnego w dziejach ludzkości znaczenia i rodzaju. Czterdziestoletni jój okres obfituje w dramatyczne obrazy: heroizm, okrucieństwa, wielkie czyny, wytrwałość, krwawe przesady, słowem mamy wielkie epos, rozgałęzione w główne i podrzędne epizody: to epos rozpoczyna się od abdykacyi Karola V. Pomijamy znane szczegóły panowania hiszpańskiego w Holandyi: nadużycia rządców, inkwizycyą i t. p. „Młodszy Niderlandczy, opływając w dostatki, toną w rozkoszach. Podczas zaślubin Wilhelma z księżniczką saską, hrabia Schwartzburg tak pisze: „Miałem u siebie przy stole wielu książąt i hrabiów, gdzie spijano daleko więcej niż jedzono. Brat Rheingrafa,

(1) William Penn, a historical Biography, przez H. Dixon.

wypiwszy za dużo malmazyi upadł martwy na ziemię; aleśmy go nabalsamowali i odesłali do rąk jego rodziny”. Tymczasem inne warstwy ludności coraz dojrzałej sposobily się ku dziełu reformacyi. Wiadomo czytelnikom jakich środków użyła Hiszpania na wstrzymanie prądu i z jakim skutkiem. Kiedy Wilhelm opuszczając na chwilę Niderlandy, jeszcze się znajdował w Antwerpii, już na Alpach grzmiały trąby armii hiszpańskiej; wojna tedy rozpoczęła się, krwawa, długa wojna *dziadów* z potężnym władczą półtora świata, waząc się na tę lub drugą stronę bez stanowczych wypadków. Przytoczymy tu kilka zarysów z tej smutnej drammy, gdzie niejednokrotnie oblężeni przyjmowali nieprzyjaciół warem kipiącym, roztopionym ołowiem i t. d.

„Kiedy mieszkańcy oblężonego miasta stawiają rozpaczliwy opór, szczęśliwe zdarzenie wziętém było za dobrą wróżbę: mała flota złożona z uzbrojonych okrętów należących do Holandyi, zamarżła w bliskości Amsterdamu. Don Fryderyk przybywszy z Naarden, wysłał na lody oddział wojska w celu uderzenia na uwięzione okręty; lecz osada obwarowała się, sadząc obszerny szaniec naokoło floty i utworzyła niezdobytą warownię. Następnie Holendrzy robią wycieczkę z zamarżłej twierdzy z silnym oddziałem zwinnych strzelców, którzy na łyżwach puszczają się na oblegających. Nastąpiła bystra i świetna utarczka, w której Holendrzy nawykli do tego rodzaju zabawek, łatwo przemogli przeciwników, spędzili ich z pola, ze stratą kilkuset poległych na lodzie. Lecz mało było środków do obrony miasta (Harlem); byłto jeden z najobszerniejszych i najpiękniejszych grodów w Niderlandach, był też jednym z najstarszych: miał on mury starożytnej budowy z basztami słabemi. Rozległość i wątkość fortyfikacyi wymagała wielkiej załogi: na nieszczęście załoga była jeszcze słabszą niż mury. Cała więc ufność miasta polegała na piersiach mieszkańców, ulice jego były obszerne i równe, kanały wysadzone lipami i topolami; starożytny kościół rozległym gmach murowany, stał prawie w środku placu i był najwydatniejszym punktem nie tylko miasta, lecz i całej prowincyi, widzialnym na kilka mil z morza i lądu, leżącego niżej powierzchni morza: onto zdawał się całe ciche miasto garnąć pod święte skrzydła swęj opieki. Armia hiszpańska liczyła 40,000 ludzi, liczba załogi oblężonych ledwo przechodziła 4,000, między którymi stało pod bronią 300 kobiet. Ta ostatnia garstka składała się z zacnych niewiast uzbrojonych w miecze, karabiny

i sztylety. Dowodziła niemi Kenau Hasselaer wdowa ze znakomitego rodu i nieskażonego imienia; liczyła lat czterdzieści kilka i na czele swoich amazonek miała udział w wielu najstraszniejszych potrzebach tak w murach jak i za miastem. Miasto jednak za radą Wilhelma poddało się: Filip na dobrą wieść wyzdrowiał z niebezpiecznej gorączki.

Przy oblężeniu Alkmaaru miasto broniło się dzielnie: tutaj w wyłomie wylewano na Hiszpanów war, olów i niegaszone wapno. Ale obrońcy splamili się czynem okrucieństwa potępionego przez prawa narodów: pewien Hiszpan imieniem Jeronimo, wziętym został do niewoli i zaprowadzonym do miasta; otrzymawszy przyrzeczenie oswobodzenia odkrył wiele tajemnic dotyczących położenia i zamiaru oblegających. Z boleścią dodać musimy, że jeniec pomimo swoich odkryć i wbrew przyrzeczeniu został wiarotomnie zabity: błagał o życie, gdy go prowadzono na śmierć, obiecując nowe ważniejsze jeszcze tajemnice, które jednak już się zdawały zbyt zbytecznymi. Widząc bezskuteczność swych prośb nieszczęśliwy żołnierz, objawia wobec nieprzyjaciół z zupełną prostotą ducha, iż jeśli mu darują życie „padnie na kolana i odda hołd szatanowi, jako i oni czynią. Łatwo domyśleć się, że ta propozycja nie zmiękczyła serca surowych kalwinistów—Hiszpan musiał ginąć”.

W czasie oblężenia Leydy otworzono wielką tamę i Hiszpanie zdumieni się na widok flotyli płynącej ku miastu po uprawnych zagonach. Jeden okręt za drugim posuwał się za wkraczającym prądem, a Hiszpanie cofali się w coraz ciaśniejsze obręby. Pomyślny wypadek tej potrzeby podniósł ducha Holendrów, a Hiszpanie upadli na duchu. Oto obraz nocnej bitwy morskiej pomiędzy Filipsląd i Duireland.

„Niekiedy zatrzymywali się dla odetchnięcia lub stoczenia dzikiej walki z najbliższymi. Stojąc po ramię w wodzie, a niekiedy otoczeni zupełnym mrokiem, byli jednak w stanie w upatrzonj chwili puścić dobrze skierowany ogień w szeregi nieprzyjacielskie. Zelandczycy jednak nacierali na nich nie tylko palną bronią: przeszywali Hiszpanów swemi piekielnemi hakami (harpoons), innych spychali bosakami, innym rozbijali głowy biczami. Wiele odbyło się tam śmiertelnych pojedynków nocą i niejako na dnie morza; wiele czynów straszliwej odwagi, których żadne nie dojrzało oko, prócz oka spełniających je ludzi: pomimo jednak przeszkód i ciężkich strat, Hiszpanie ciągle się posuwali. Kiedy

inna broń pokazała się mało skuteczną, przyjmowani byli gradem obelg i przekleństw przez swoich, często niewidzialnych nieprzyjaciół, którzy nieprzebrani w swoich pochwałach, nazywali Hiszpanów..... Ci zaś ilekroć zazbyt dotknięci szyderczemi głosami odwrócili się, by skarcić ukrytych w ciemności oszczerców swoich, narażali się albo na stratowanie przez własnych towarzyszy, albo na zepchnięcie z wąskiej ścieżki w głębią morza: tym sposobem wielka ich liczba zginęła”.

Z dzieł etnograficznych wspomnieć należy o wyszłej przed kilką miesiącami książce Klemensa Markham p. n. „Kuzko, czyli podróż do dawniej stolicy Peru. Lima, wycieczka do stolicy nowożytnego Peru”.

Południowa Ameryka za pierwszym rzutem oka natychmiast przypomina Afrykę: ta sama wywrócona piramida, ta sama wydatność wierzchołka i gwałtowne zwięzienie południowe, wreszcie doskonała odpowiedniość w położeniu do równika. To uderzające podobieństwo mimowolnie przywodzi na pamięć zdania etnologów o wpływie położenia krajów na ich indywidualny charakter. Gdyby Ameryka południowa była dłużej zostawioną rozwojowi własnemu, lub gdyby dzieje poddając ją wpływom obcym względniejszemi były w wyborze, ów paralelizm dalby się bez wątpienia rozwinąć dalej: wszakże te dwa światy, oddzielone *skromną odległością* średnicy kuli ziemskiej, zachowały jeszcze jedną cechę wspólności dla badacza: dziewiczość przedmiotu. Z żalem wyznać przychodzi, że i tu również jak za międzymorzem małe tylko szczątki reprezentują świat starożytny. Markham zamierzył zebrać dogorywające zabytki literatury, historyi i języka pierwotnych mieszkańców Peru, czyli uczynić dla Inkas to, co uczynił Scoukcraft dla Indyan Ameryki północnej. Może i tu pod nasypowym pokładem dalby się odszukać Hiawata, i odżyć pod piórem wieszca. Podróż niniejsza tę ma zaletę, że odbyta nie wagonem lub statkiem, nie z tym obrzydłym celem odpędzenia nudów, jak zwykło ją odbywać wielu panów angielskich goniących za najdroższém wrażeniem *braku*; lecz odbyta w pocie czoła pod przewodnictwem idei odkryć z gotowością do wrażeń nauki i przyrody. W następującym wyjątku autor opisuje wycieczkę na dolinę Palmito Chico w środku Kordylierów:

„Pampa, w miejscu gdzie się droga rozdziela, pokryta była śniegiem, otoczona wysokimi górami i przerziętą we wszystkich kierunkach wielkimi rzekami, z których jedne pędziły do

Atlantyku, drugie do oceanu Spokojnego, wzrastając od tysiąca strumieni i wodospadów z szumem garnących się ku nim co kilka łokci. Niebo pokrywała gęsta mgła, śnieg spadał szerokimi płatami, wody grzmiały ze wszech stron głuszącym loskotem. Gromady dzikich kóz zaczepionych wokół na urwisku skał siedziały na tylnych łapach, a tłumy wikunas spoczywały tu i owdzie w śniegu. Dzikato była scena i smutna: rzeki nabrzmiąte czyniły przejście nader trudnym, bo spieniony potok spadał z gwałtownością straszliwą, dochodząc nieraz aż po siodła. Przed nocą dojechaliliśmy do Kumbru, tojest do najwyższej części, w wązkim wąwozie otoczonym szczytami czarnych skał, tworzącemi dziwną sprzeczność z masą śniegu, który ich czoła pokrywał.

Wtémto miejscu była jaskinia wybrana dla nas na nocleg. Tworzyła ją skała stercząca naprzeciw prostopadłego urwiska; na nieszczęście była ona zalana wodą, a z wierzchołka spadał strumień. Grunt okoliczny pokrywały kępy długiej trawy zwanej yehu, przywalonej grubą warstwą śniegu tak, że niepodobna było położyć się. Noc była czarna jak smoła (pitch dark), śnieg spadał massami. Wśród tak gnębiących okoliczności, kiedy Augustyn Carpio już upadał pod ciężarem położenia, po zimnej wieczerzy z migdałów i rodzynków, przyszło nocować w postawie stojącej; przeto sparszy głowę na mule, przepędziłem noc arcywygodną: przy silnym gwarze dokoła, usnąć było niepodobieństwem. Około 10 w nocy grzmot rozległ się przeraźliwy wokół nas, w górze i pod nami; tymczasem błyskawice oświecały scenę jaskrawym światłem, przedstawiając oczom urwiste skały Kordylierów i znów zostawiając nas w głębokiej ciemności. Równie wzniosłego widowiska nie pamiętam: zawieszony w samym środku artyleryi niebieskiej z piorunem bijącym wspaniale pod stopami memi, gdy czarne styrtły skał to wyzierały, to nikły podług gry błyskawic. Z brzaskiem dnia natura przybrała postać weselszą: śnieg ustawał, ciężkie mgły zgromadzone razem, zwolna stoczyły się w parowy, i o 5 rano na nowo rozpoczęliśmy podróż. Po przebyciu górnego grzbietu droga na dwie mile spuszczała się krętą spadzistością, utworzoną z wielkich i ślizkich skał, po których huczały wodospady. W niektórych miejscach muły nasze musiały odbywać skoki na cztery stopy; w innych zaś ścieżka zupełnie była zawalona; przychodziło więc do rzutów szalonych w miejscach, gdzie jeden krok zwicnięty mógł

nas pograć na dno ziejącej przepaści; wreszcie skończył się zstępny kierunek podróży i oto widzimy się w obszernej dolinie Palmita Chico, środkiem której płynie rzeka tegoż nazwiska. Tu się ciągną rozległe pastwiska z pasącemi się na nich stadami bydła; dolinę okalają z jednej strony niedawno przebyte Kordyliery śnieżno-głowe, z drugiej zaś mniej wyniosłe szeregi gór, ale również śniegiem pokryte na szczytach. W obecnej porze rzeka była nie do przebycia, lecz po dwumilowym objeździe przebyliśmy ją po granitowym moście zwanym Rumi-chaca. Tu znów mila drogi przepaścistej, po której dostaliśmy się do chaty pasterza, pierwszej siedziby ludzkiej we wnętrzu Kordyliarów. W środku obszernych trawą pokrytych pochyłości, gdzie się pasły owce i lamy, stała chatka w kształcie okręgowym z kamieni i na niej ostrokręgowy dach z ychu. Liczna rodzina dzieci i psów wtém odległym siedlisku tworzyła mite sprzeciwienie z obrazem minionej nocy; a że zwykle przejście przez rzekę Palmito Grande było teraz niedostępne, przeto piękna, młoda Indyanka zobowiązała się przeprowadzić nas do mostu tymczasowo rzuconego na rzece przez pasterzy. Przeszedłszy następnie szeregiem gór bujno zarosłych, rozpoczęliśmy najniebezpieczniejsze zejście; droga przybrała tu kierunek zupełnie prostopadły, a obślizła jak lód od tysiąca strumyków, które płynąc bokami, po 400 stopowém spadaniu, łączą się z ogromnym potokiem. Musieliśmy więc posuwać się brzegiem wzdłuż przepaści drożyną tak wąską, że gdy jedna noga tkwiła na skale z wysileniem, druga tymczasem wisiała ponad bezdennością. Teraz niebezpieczeństwo doszło do ostateczności, ponieważ liczne strumienie przerywając drogę, w wielu miejscach zupełnie ją zniosły. W pewnym punkcie nasuwająca się jedyna ścieżka prowadziła do skały na 8 stóp wysokości z małemi wklęsłościami, w które przemyślny muł wciskał końce swych kopyt. Nakoniec masa wystającej skały zbliżała się ku odwrotnym brzegom przepaści i tu rzucono wpoprzek kilka żerdzi zamiast mostu. Na pięćset stóp pod nim, potok rzucał się w szalonym pędzie po ogromnych załomach, zatrzymywany tylko przez zuchwałę krzewy tarniny czarnozielonej, która uporczywie zapuściła korzenie w rozpadliny i zwieszała się nad pianą wiru. Ponad nami z jednej strony góra około 2,000 stóp prostopadłej wysokości, rzucająca piękne wodostryki we wszystkich kierunkach; niektóre spadają na 800

stóp; po drugiej stronie mniej stromy i niższy łańcuch: któż opíše majestat tego widowiska”!

W Guamanga znajdują się dwa klasztory: świętej Klary i świętej Teresy, z których pierwszy był widownią dziwnego zdarzenia:

„W r. 1617 młody chorąży w wojsku hiszpańskiem zabijawszy przeciwnika swojego w pojedynku, uciekł do pałacu biskupa, jako schronienia świętego. Imię jego było Don Alonzo Diaz Ramirez de Guzman. Przyznał się on do kilku tego rodzaju zbrodni rycerskich; atoli kilka okoliczności wprawiło biskupa w podejrzenie, i wreszcie po usilném badaniu okazało się, iż sławny duelistą był kobietą. Wówczas nastąpiło zupełne wyznanie: była to Donna Catalina z Hiszpanii, z kąd wymknęła się i przebrana za mężczyznę, popłynęła do nowego świata; wylądowawszy w Payta, przypadkiem dostąpiła stopnia chorążego i w całym Peru słynęła, jako pierwszy rycerz w pojedynkach. Biskup umieścił ją w klasztorze ś. Klary, z kąd po dwuletnim pobycie odesłaną została do Hiszpanii. Wieść dodaje, iż miała uzyskać pozwolenie wdziania męskiej sukni, i że następnie odpłynąwszy do Meksyku, weszła w stopniu oficerskim do gwardyi wice-króla”.

Piękne ryciny i mappa ozdabiają książkę tak ważną z przedmiotu i z zajmującego przedstawienia.

— *Odkrycie drogi Północno-Zachodniej* na okęcie J. K. M. „Inwestygatora” od roku 1850—1854 przez kapitana R. M’Clure”.

Wielki krok na drodze odkryć morskich: północne połączenie Atlantyku z oceanem Wschodnim. Opis téj niebezpiecznej wyprawy odbytej w ciągu lat pięciu, zajmuje równie ważną kartę w dziejach piśmiennictwa jeograficznego, jak sam fakt w historyi żeglugi. Wyprawa odplynęła z Anglii w 1850, w celu poszukiwania Franklina, i dosięgnąwszy w początkach września 117^o południka, postanowiła posunąć się dalej. Żegluga po oceanie Arktycznym tak sama z siebie jest nadzwyczajną, niebezpieczeństwo rozbicia o skały lodu tak jawném i obecném co chwila, że tu rzeczywistość blisko graniczy z cudownością. Płynąc ku północy żeglarze spotykają drogę zata-mowaną massami lodu; lecz moralna odwaga nie pozwala wracać się: zamierzają przeto zimować na lodach. Dostrzegają wyspę, lecz jej brzegi stoją prostopadle na 400 stóp nad morzem, a wejście ledwie przystępne dla koziój stopy. Psy

morskie uwijają się koło liny. Okręt wmarzł, kapitan puszcza się na wyprawę po lodzie; i wstępuje na górę lodu 600 stóp nad powierzchnią morza. Ztamtąd dostrzega przy świetle wschodu brzegi Banks-Land przyległe zamaryłym wodom kanału Barrow'a. Droga Północno-Zachodnia została tedy odkrytą, i wszelka upadła wątpliwość co do wodnego związku dwóch oceanów. Lecz wpłynięcie na kanał Barrow'a miało swoje wielkie trudności; wprawdzie znajdowali się już tylko na 25 mil odległości; lecz naraz zatrzymują się przed wielką górą lodu, niepodobną do przebycia.

Kapitan Clur postanawia okrążyć południowy kraniec Banks Landu. Ten epizod był najniebezpieczniejszy, jakkolwiek zakończył się wpłynięciem na kanał Barrow'a. Wyprawa stanęła w Mercy Bay na zimowisko 23 września 1851 roku; wprawdzie w sierpniu 1852 roku poruszenie mass lodu i prądy otwartej wody napełniły osadę radością; lecz z d. 24 tegoż miesiąca zima na nowo się rozpoczęła: wszelkie nadzieje znikły. Pozostano więc jeszcze na jedną zimę, czyli jeszcze na rok, na rok mrozów straszliwych i głodu. Ale tu Opatrzność zesłała im „manne”: wielkie gromady zajęcy (do 150 w jednej), nie okazujących najmniejszej trwogi na widok nieprzyjaciela, którego zdaje się ujrzały po raz pierwszy w tych okolicach. Godna uwagi, iż trudność położenia obudza w tych zwierzętach jakąś silniejszą działalność instynktu niż w innych strefach: osiadają bowiem wpośród między gromadami renów, danieli, zapewne dla ciepła i ochrony.

— *Historya Guyany brytańskiej* przez Henryka Dalton, zajmujące i pożyteczne dzieło, zawiera opis głównych wypadków, jakim uległa ta piękna kraina od najdawniejszych czasów; skreśla jej bogactwa geologiczne, jej klimat, zarząd, osady i t. d. Rozległość Guyany angielskiej ma wynosić 100,000 kwadr. mil. ang. Wegetacya jej bujna, drzewa przepyszne, mchy głębokie i miękkie, powietrze zbyt może okrzyczane za niezdrowe.

Ważnemi są zebrane przez autora rysy obyczajów i zwyczajów dotąd zachowanych między rodowemi plemionami: oto ustęp malujący prawo zemsty rodziny przeciw zabójcy. Przewszystkiemi krewni zabitego starają się wyśledzić sprawcę: „Napełniają garnczek liśćmi, do téj ceremonii wyłącznie przeznaczonemi i stawiają nad ogniem; skoro się zaczyna gotować,

uwazają pilnie na którą stronę spadnie pierwsza piana, to bowiem ma być skazowką, z której strony przyszedł zabójca; poczem zwołują radę, wskazują kierunek poszukiwania i osobę, która śmiercią ma odpłacić za śmierć krewnego. Jeżeli sprawca nie może być odkrytym nawet po kilkoletniem śledzeniu, wtenczas inny członek z jego rodziny może być przeznaczonym na zastąpienie winowajcy. Jeden z pomiędzy krewnych zmarłego przyjmuje obowiązek spełnienia czynu. Kanayi, to jest mściciel krwi wkłada na głowę czapkę dziwnego kształtu, bierze broń i puszcza się w drogę dla wyszukania ofiary. Od téj chwili aż do powrotu ma on wstrzymać się od wszelkiej potrawy i żyje tylko płodami lasów; nie godzi mu się nawet przemówić do człowieka, którego by spotkał na drodze. Przybywszy do miejsca przeznaczonego i znalazłszy ofiarę zemsty, przez kilka dni lub tygodni wypatruje chwilę stosowną do wykonania zamiaru; jeżeli ofiarą wskazaną jest mężczyzna, zadaje mu cios w krzyż lub w kręgi; jeżeli rażony padnie, odciąga go na stronę i płytko zagrzebuje w ziemi. Trzeciéj nocy przychodzi na grób i koniec laski wciska w ziemię: zoczywszy na lasce ślady krwi, próbuje jéj, w celu odpędzenia złych skutków zabójstwa; wraca do domu uspokojony i wesóły. Jeżeli zaś zraniony ma dosyć sił dostać się do domu, prosi krewnych aby po zgonie pochowanym został w miejscu ukrytém: poczem umiera, mieszając jęki zgonu z przekleństwem. Powodem napadania na mordercę z tyłu jest ta okoliczność, że Indyanie zwykle wychodzą uzbrojeni nożem; owa zaś prośba umierającego pochodzi z téj upowszechnionéj wiary, iż jeżeli mściciel nie skosztuje krwi zabitego, ulega z czasem szaleństwu. Kobiéty i dzieci ulegają jeszcze okropniejszój zemście: otruciu gwałtownemu.”

— *Ras Mala* czyli indyjskie roczniki prowincyi *Goozerat*, przez *Alex. Forbes*; z rycinami arcytektonicznemi. Londyn 1856.

Starożytność, powiada Michelet, mniej była znaną saméj sobie, jak Niebuhrowi: jeżeli o znajomości jakiego przedmiotu wnioskować można z liczby dzieł jemu poświęconych, ów paradoks bez wahania zastosować można do Indyi. Od *Alexandra Wielkiego* aż do literatury *Siedmiu Cyferblatów* (1),

(1) *Literatura Siedmiu Cyferblatów* (*Seven Dials' Literature*), tak zwana od téj części Londynu, dawniej bardzo świętnéj, dziś osławionéj z nędzy fizycznój i moralnéj, gdzie schodzących się *siedm* ulic miały

po wszystkie czasy mówiono, pisano, marzono o Indyi. Od wieków zdumiewały świat olbrzymie formy jej natury, i olbrzymie wymiary utworów jej geniuszu. Dzieła ludów, tworzone pod nakazującym natchnieniem wielkości przyrody, rosły tu również jak ona w zdumiewających wymiarach: ogromne epepeje, potworne systemata filozofii, sucha, kontemplacyjna religia, zginająca czoła gimno-sofistów przed pojęciem nicestwa, a ponad tém wszystkiém święte znamię pierworodztwa ojczyzny rodu ludzkiego: nie byłyto cudowne ponęty, wabiące umysł mędrca, dziejopisa, ucznia? Książka, o której mówimy, opisuje nam najpiękniejszą z krain Indyi prowincją Goozerat (Guzarat); najpiękniejszą i zarazem najhistoryczniejszą ojczyznę Kryszny, bohaterów, pół-bogów i wieszczów. Tu drzemią ruiny rozległych miast, tu niegdyś wrzał duch rycerstwa, tu pałac „te-sknój królowej”, tu owe tragiczne Ranees, z kąd niewiasty rzucały się, usłyszawszy, że ich mężowie polegli w bitwie. Niezliczone napływy przychodnich ludów z północy, po kilkowiekowym panowaniu zostawiały tu ślady swój cywilizacyi. Tysiące legend i podań leżą pokładami, pomieszane, przeistoczone, jak w ogóle wszystkie mity. Forbes zebrał starannie te szczątki przeszłości i każdy miłośnik historyi wyobrazeń ludzkich czytać je będzie z zamiłowaniem. Jednym z najciekawszych jest podanie ludowe o wojowniku Dżuk Dew. Książę indyjski imieniem Syd Raj miał tego bohatera przy swoim boku, zaszczycał go wielkimi względami i obsypywał bogactwem; jednej nocy książę słyszy od wschodu jakieś zadziwiające głosy kobiet: jedne z nich śpiewają, drugie płaczą. Uderzony tém zjawiskiem Syd Raj posyła swego bohatera, aby wybadał, co te głosy znaczą, sam zaś z ciekawości udaje się za nim.

„Tymczasem Dżuk Dew idzie ku wschodowi, z kąd głosy zdawały się pochodzić: książę postępuje za nim. Rycerz przybył do bramy miasta; odźwierny otworzył furtkę i wypuścił go. Syd Raj rzecze: „ja jestem sługą dowódcy”, i odźwierny wypuścił go także. Rycerz zbliża się do miejsca, gdzie były kobiety płaczące i mówi do nich: „Któż wy jesteście? czy jesteście

na punkcie przecięcia zegar o tyluż cyferblatach. Co dzień rodzą się tam tysiące książek, które w dzień urodzenia na wieczór umierają: sąto paszkwile, śpiewki brukowe, historye odkrytych zbrodni i t. d.; lecz i ważniejsze dzieła bywają tu pokryjomu oddrukowywane: jestto więc, mówiąc po naszemu: literatura tandeciarska.

śmiertelniczki, czy żony Dewów, czy Szekotur, czy Syddy? Czegóż płaczecie zasmucone w północnej dobie? Jaka klęska was dotknęła: powiedzcie". One na to: „Zbliź się synu Dżuk Dewie! Zkądże tu przychodzisz?

„Ja, odrzekł, przychodzę wybadać przyczynę waszych narzekań". „My, odpowiedziały kobiety, jesteśmy Losy Puttunu. Godzina dziesiąta jutrzejszego rana będzie godziną zgonu Syd-Raja, dlatego płaczemy; któż teraz będzie spełniać służbę Bożą, ofiary, kto przynosić dary! Musimy tedy narzekać". Król słyszał te wyrazy stojąc w ukryciu. Dżuk Dew zapytuje znowu: „Ale któż tu śpiewa?" „Idź, rzekły Losy i sam ich zapytaj". Posłuszny rycerz idzie do kobiet śpiewających i mówi: „wy śpiewacie pieśni dobrej nowiny: kto jest waszym królem?" „My, odpowiadają, jesteśmy Losy Delhijskie, przyjeżdżamy po Syd-Raja; patrz, oto wóz gotowy: o témto są nasze śpiewy". „A kiedyż, zapytał Dżuk Dew, śmierć ma spotkać króla Syd-Raja?" Losy rzekły: „rano, kiedy będzie robił przygotowania do ofiary i włożywszy suknię z złotego jedwabiu, stanie na przyśbie: wówczas razimy go tak silnie, że padnie martwy".

Rycerz na to odzywa się: „wszak w naszych czasach nie ma króla jemu podobnego; a więc powiedzcie jakim obrzędem, jaką ofiarą lub ślubem, jakimi środkami mógłby ująć grożącej mu klęski?" „Tylko jeden środek dla niego pozostaje, odpowiedziały Losy: jeżeli jaki dowódzca równy królowi pozwoli ściąć sobie głowę i oddać ją nam, wtedy życie Syd-Raja będzie przedłużoném". Rycerz zapytuje: „a czyliż moja głowa waży tyle, abyście wy odbierając ją, przedłużyły królowi życie i panowanie: bo jeżeli tak, jestem gotów." Losy zgodziły się na to. „Jeżeli, mówią, dajesz w ofierze własne życie, Syd-Raj ocalonym zostanie". „Pozwólcież, odrzekł rycerz, opuścić was na kilka chwil; oznajmię to mojej żonie i uzyskawszy jej zezwolenie, powrócę". Losy słysząc te słowa, uśmiechnęły się pogardliwie: „żadna kobieta nie zgodzi się na śmierć swojego męża; ale pójdź, zapytaj się i wracaj śpiesznie". Dżuk Dew wrócił do domu, a Syd-Raj mówił sam do siebie: „zobaczymy, czy on też wróci lub nie, i co powie Czoury (jego żona)"; poszedł więc za nim niedostrzeżony. Dżuk Dew za powrotem do domu wszedł do górnego pokoju, uściskał żonę. Król słyszał rozmowę między żoną i mężem: usiedli obok siebie jak zazwyczaj i rycerz zaczął mówić: „Czoury, mamy tu sprawę taką". Czoury składając dłonie

rąk swoich, rzekła: „jakie są rozkazy pana mego?” Wówczas rycerz opowiedział całe zdarzenie od początku i dodał w końcu: „a teraz przychodzę prosić cię o zezwolenie”; żona odrzekła: „dzień to szczęścia, noc szczęścia. Dla takiego to dnia żyliśmy dosyć; oddaj im życie, wszak za to życie dane nam to utrzymanie, łaski i kraje. Dobrze twoje postanowienie: tak powinien postąpić każdy rycerz z rodu Rajput. Dopóki żyje Syd-Raj i króluje, wszystko idzie dobrze; w przeciwnym razie na co przyda się życie; lecz, mój książę, mam jedną prośbę: na co ja mam zostawać, dla sześciu godzin życia taką klęskę ponosić: chcę umrzeć razem z tobą.” „Ależ dzieci, dzieci, rzekł rycerz, co dzieci poczną!” Czoury odpowiedziała: „niech i one pójną wraz z nami na ofiarę”. „Jeżeli tak, odrzekł rycerz, nie zwlekajmyż długo”. Dżuk Dew wziął za rękę starsze dziecko i zeszedł z góry, żona szła za nim. Syd-Raj zdumiał się nadwyzwyczajnie. Rodzice z dwojgiem dzieci szli naprzód, król postępował za nimi, ciekawy widzieć, co się stanie. Małżonkowie stanęli przed Losami; one rzekły: „Dżuk Dewie, czy głowa twa gotową jest na ofiarę?” On przemówił: „za moją głowę ile przyczynicie lat Syd-Rajowi?” „Dwanaście lat panować będzie”, odrzekły. Znów zapytuje rycerz: „czyli życie mojej żony i dzieci mają równą wartość z moją i czyli za czworo nas udzielicie królowi czterdzieści ośm lat życia? ja bowiem ofiaruję cztery życia.” Losy rzekły: „niech tak będzie”. Czoury naprzód wystawiła swego pierworodnego syna; rycerz dobył miecza, ściał głowę dziecięcia i gotował się do ofiarowania drugiego; lecz Losy powstrzymały go: „Wielki Dżuk Dewie, udzieliłyśmy czterdzieści ośm lat tobie, żonie i dzieciom twoim”, zarazem skropiły ambrozyą zwłoki starszego dziecka, a chłopiec wstał żywy. Uśmiechnęły się Losy i rzekły: „widziałyśmy, iż wiara twoja i twojej żony jest wielką”. Wtedy kładąc ręce na głowy dziatki, oddały je matce. „Dżuk Dewie, mówią, za twoją wierność przyczyniłyśmy królowi czterdzieści ośm lat królowania”; poczem wypuściły przychodniów.

Dżuk Dew i Czoury oddawszy posłuszeństwo, wzięli dzieci i wrócili do domu. Król zachwycony naocznym przekonaniem o wierności rycerza i poświęceniu żony dla męża, wrócił do pałacu i położywszy się tak sobie marzył: „dobrze, wybornie mój Dewie, przyczyniłeś mi czterdzieści ośm lat panowania”, ale nie zasnął ani na chwilę. Po czwartej z rana koniuszy królewski przyszedł do rycerza, wzywając go przed króla: wstał,

odbył łaźnią, uczcił najwyższego Pana modlitwą i biorąc imię Boże, położył znak na swoim czole. Za nadejściem dnia poszedł do króla; Syd-Raj był w swoim dworze. Gdy wszedł rycerz, wstając z królewskiego wezgłowie, uściskał go i kładąc obok swego drugie wezgłowie, prosi go usilnie, aby na nióm usiadł. Posyła po swoich dowódców, których był wysłał na zwiady, zapytuje, jakie mają wieści z ostatniej nocy. Ci rzekli: „widzieliśmy czterech na dwóch wozach: w jednym wozie mieli dziecię urodzone i ci śpiewali, w drugim dziecię umarłe i ci płakali”. Syd-Raj słysząc to opowiadanie, uśmiechnął się i rzekł: „dobrzy z was ludzie, warci stu tysięcy, dobre filary jesteście: jeżeli nie możecie przynieść mi wiadomości, z czém tedy przychodzicie”. I odwracając się do wiernego rycerza, rzecze król: „Dżuk Dewie, opowiedz ty zdarzenie téj nocy”. „Królu, zawoła rycerz, musi być tak jak oni mówią”. Król odpowiedział: „rycerzu, opowiedz wszystko jak się zdarzyło: ja słyszałem wszystko”. A gdy rycerz wymawiał się tém, iż nie umie tworzyć powieści: wtedy sam król opowiedział całe zdarzenie i wiernego rycerza wyniósł na wysoką godność.



WYKOPALISKA W MANIECZKACH.

(Z ryciną).

Powoli ciągnąca się robota około drogi żwirowej w kierunku Szremsko-Czempińskim, nastęczyła ostatnimi dniami sposobność do odkrycia wielkiego cmentarzyska z pogańskich czasów. Robotnicy korzystając z prawa im służącego, na wydobywanie kamieni z gruntów w półmilowym promieniu, przy linii żwirowej położonych, zaczęli rozkopywać kawał pastwiska tuż przy drodze do dominium Wanieczki (własności generała Chtapowskiego) należącego. Pół łokcia pod powierzchnią małego wzgórza, a raczej zasy, na której niedawno owczarnia zbudowana, napotkali obfite warstwy i rzadkiej wielkości kamienie; zaraz pod nimi, a nawet między nimi, ziemią obległe, wychylały się różnej wielkości i kształtu urny, żale, czyli popielnice. Chciwą ciekawością zdjęci, w nadziei że tam wiekiem zagrzebane skarby dobędą, na wyścigi tłuc je zaczęli, nadaremnie pieniędzy szukając; a znalazłszy tylko piasek, glinę i niedopalone kości, z pogardą odrzucali na bok, wydobywając o tyle, o ile im przy kopaniu kamieni zawadzały. Dowiedziawszy się, o tém, pośpieszyłem na miejsce, i postarawszy się, aby wszystko co znajdą ostrożnie wydobywali i nieuszkodzone odno-

sili, zdobyłem od nich sto kilkanaście sztuk takowych. Naczynia te przez wieki wystawione na działanie wilgoci, powietrza, ciężaru ziemi, pomimo ostrożniejszego nawet wydobywania, nie dały się bez uszkodzenia wyjąć i połowa zaledwie jest zupełnie całych.

Nieobeznany z tajnikami archeologii, nie mogę wam krytycznej zdać o nich sprawy; podam więc tylko dzisiaj wiadomości o tém co posiadam, w nadziei, że ta posłuży bliżej rzecz znającym do wniosków, na korzyść ścisłej umiejętności.

Archeologia w badaniach siedzib starój Słowiańszczyzny jedno z ważniejszych zajmując miejsce, ważne już poczyniła przysługi, i słusznie, jak niedawno powiedziano, „nieraz wypada jój zastąpić świadectwa pismienne i wszelkie podania, być wskazówką poszukiwań w dziedzinie historyi, one objaśniać i dopełniać”. O ile śliskie, obszerną domysłów drogę zostawiające to pole, przy badaniach jednostronnych lub niedokładnych; o tyle przy starownych, prawdziwie umiejętności a z zimną rozważą prowadzonych, może dużo wyjaśnić i odstąpić. We wszystkich archeologicznych poszukiwaniach, chodzi głównie o to, aby się dowiedzieć: do jakich ludów należały znalezione przedmioty, oraz aby z nich wszelkie możebne o stanowisku, ukształceniu tychże zrobić wywody.

Przy Manieczkowskich wykopaliskach, na miejscu nic co do nich dojść nie będzie można: jestto wioska piękna, z wzorowém gospodarstwem, zdobna starami bardzo drzewami, należy do parafii obok leżącej wsi Brodnicy (1). Mała kapliczka przez dawnego właściciela, senatora wojewodę ś. p. Józefa Wybickiego (2) w przeszłym wieku postawiona u wjazdu do wsi, i dwa pomniki według miejscowego ludu powiatki, jedne-

(1) Akta parafialne po ostatniem spaleniu kościoła, sięgając tylko początku XVIII wieku, w przedmiocie samym nie nam nie pomogą.

(2) Zwłoki jego i nagrobek na cmentarzu kościoła w Brodnicy.

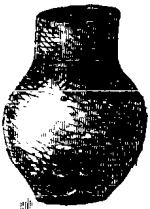


Fig. 1.

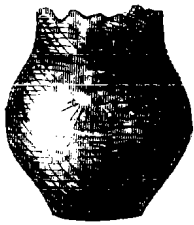


Fig. 2.



Fig. 3.

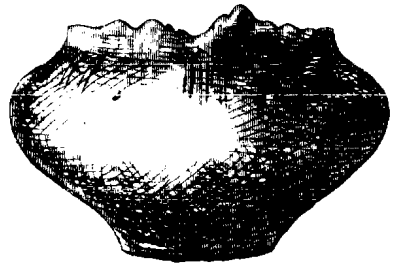


Fig. 4.



Fig. 7.

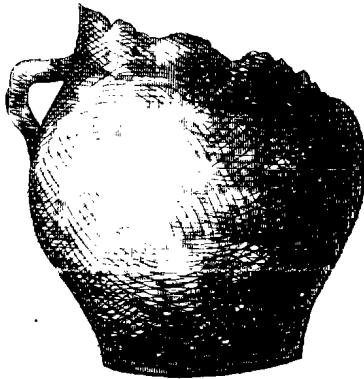


Fig. 9.

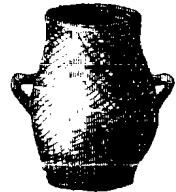


Fig. 10.

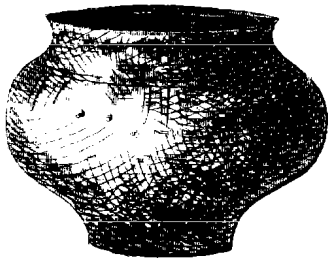


Fig. 11.

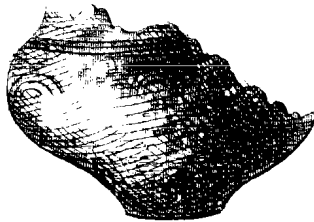


Fig. 14.

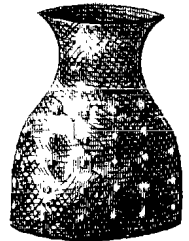


Fig. 16.

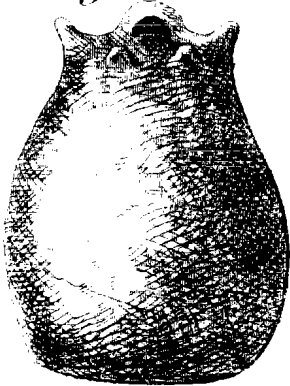


Fig. 15.

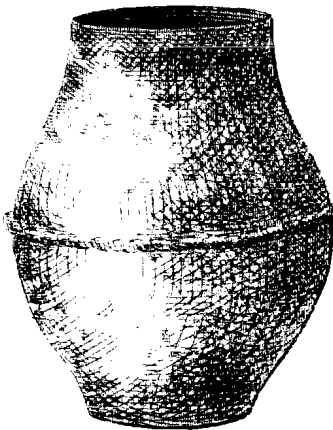


Fig. 6.



Fig. 18.

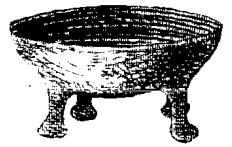


Fig. 17.



Fig. 19.



Fig. 28.



Fig. 25.



Fig. 26.

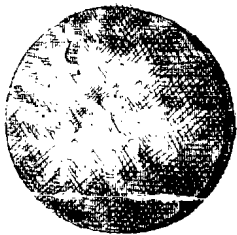


Fig. 29.



Fig. 20.



Fig. 23.



Fig. 28.

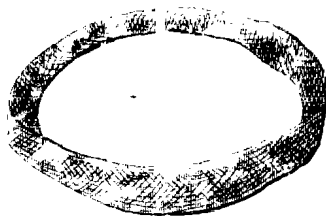


Fig. 32.

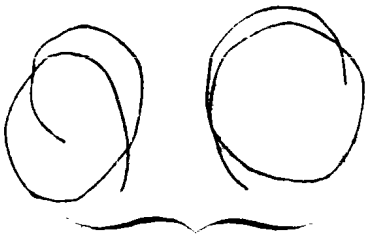


Fig. 31.



Fig. 33.



Fig. 36.

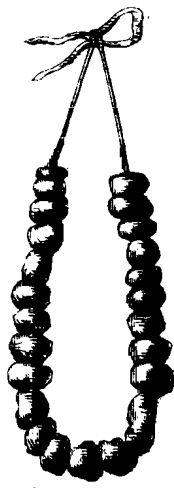


Fig. 30.

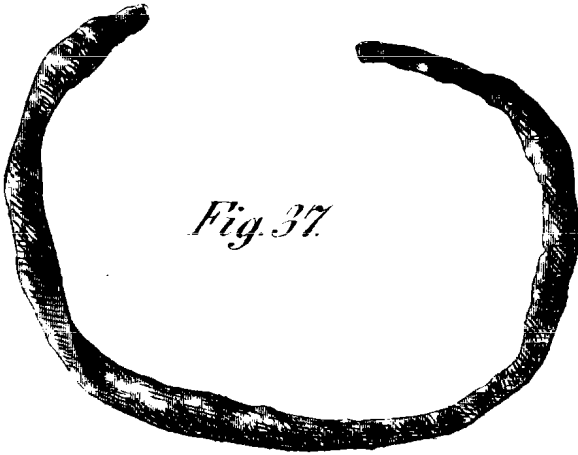


Fig. 37.



Fig. 35.

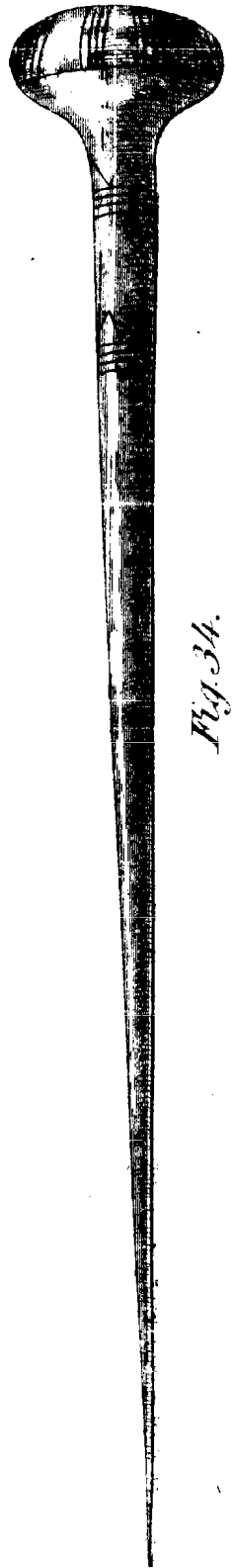


Fig. 34.

mu człowiekowi postawione, zwróć tylko uwagę (1). Wokoło Manieczek piaszczyste przeważają równiny, z małym tylko gdzieniegdzie nieznaczającym prawie wzgórzem; na wschód o ćwierć mili spore Szymanowskie jezioro, za niem powiatowe miasteczko Szrem nad Wartą, a na północ o cztery mile Poznań: tamby może w aktach grodzkich historyczne okolice wiadomości napotkać można. Z Szafarzyka (Słow. Star. I str. 290), wiemy, że w granicach wschodnich dzisiejszego księstwa mieszkali: Sulanes czy Bulanes, czy według naciągnięcia Polanes (Polanie), co zbyt jest ogólnym, a nam nie na wiele przydatnym. W każdym razie, ze wszystkich badań miejscowych wywodząc, znaną jest rzeczą, iż nad Wartą siedzieli Słowianie, a więc i te wykopaliska prócz wszelkich innych poznań (gromadnego zebrania urn, umieszczania ich niedaleko jeziora) są niezawodnie słowiańskimi.

Wykopywanie urn tak jest licznym a powszednim w tych stronach, że rzecz ta stała się dość obojętną dla tutejszych, i mało bardzo w ogóle trudu sobie w tej

(1) Przypatrzwszy im się pilniej, wykazuje się mylność podania: jeden bowiem kamienny w ogrodzie do dworu należącym, nosi dobrze zarty napis łaciński: *Singulari protectrici suae hoc fidelitatis monumentum extruxit infimus subditus Mathias Kołaczkowski judex terrestris Poznaniensis anno 1776*; a drugi zaraz naprzeciw niego stojący, tuż przy szosie, po polsku: *Jeden z największych cześników Maciej Kołaczkowski sędzia ziemski poznański prosi o westchnienie za duszę swoją*. Nieczytająca tradycya miejscowa, niewyraźnie tłumacząc dwie te przy sobie stojące i wzajem bardzo podobne figury, bierze obiedwie za nagrobki i opowiada: że było dwóch braci, którzy się z sobą pojedynekowali, obydwaj zginęli i obydwaj tu leżą, a w dodatku wskazują tuż ciągnący się wał nasypany, na którym pojedynek miał mieć miejsce. W aktach parafialnych zmarłych w roku 1767, znalazłem jeden tylko pod miesiącem kwietniem: *Ejusdem mensis M. D. Mathias Kołaczkowski judex terrestris Poznaniensis morbo mania laborans et propria occisus manu de scloneto. Sepultus est juxta decretum consistorii Poznaniensis a proximis Doctoribus S. T. approbatum in Conventu Sremensi Patrum Conventualium*. Ten więc smutny dla żyjącej dziś jeszcze rodziny wypadek, tłumaczy wszystko i ukazuje poetyczną dramatyczną skłonność wyobraźni ludu tutejszego.

sprawie zadają (1). Gdziebądź ruszyć, napotkać je można: przy spuszczeniu drzew w boru, pod lemieszem pługa, przy zakładaniu fundamentów na budowie, wiele już razy napotymano odłamy skorup wydobywających się na wierzch popielnic.

Nie było mi możebnym przedsiębrać umyślnego rozkopywania cmentarzyska w Manieczkach i ściśle poszukiwać co się w jego wnętrzu znajduje. Szukający kamieni robotnicy bądź umyślnie, bądź niezręcznością, natłukli pewno raz jeszcze tyle co posiadam; a podobno jakiś pieniążek, dwie duże śpilki, obrączka miedziana i coś jeszcze przepadło w ich rękę, czego mimo najusilniejszego starania z méj strony, odzyskać nie zdołałem. Wszakże i to, co dostałem, może się umiejętności na coś przydać, i dlatego uważam za obowiązek podać, jak tylko będę mógł najdokładniej do publicznej wiadomości.

Wykopane przedmioty są gliniane, bronzowe i miedziane. Piérwszych mam najwięcej: począwszy od maleńkich bardzo kształtnych łzawic, objętości włoskiego orzecha, aż do wielkich dwugarncowej objętości urn, przechodząc najróżniejszą wielkość, kształty, istotę masy i dokładność wykończenia lepiantyny. Do gliny dołączano wszędzie dużo grubego, błyszczącego jakby kwarc, a często metalicznie, piasku; od sposobu wypalania zapewne, a może innym środkiem powstały kolory: zupełnie czarny, ceglasty, lub blade orzechowy, kamienny. Jedne są znacznie grube, inne bardzo cienkie: te ostatnie są zwykle czarne i bardzo dzisiaj jeszcze mocne; im grubsze, tém słabsze. Na niektórych nabijane a raczej nalepiane umyślnie drobne czworograniaste kamyczki; na wielu (szczególnie czarnego ko-

(1) Jak dawno tu wynajdują urny, dość sobie przypomnieć, że Kromer, Długosz, opowiadają: jako na polu Kochowskiém pod Szremem (pół mili od Manieczek), Wład. Jagiello — r. 1415 kazał *naturalne* garnczki i dzbanki sobie kopać.

toru, a kamiennego połysku), są bardzo zgrabne wcinane ozdoby, delikatnego często ujęcia. Są to prążki potrójne, poczwórne, wokoło środka zewnętrznej ściany naczynia biegnące, mające w symetrycznym podziale pionowe, lub skośne, czasem trójkątne ozdoby, z linii prostych, lub łuków złożone. Czasem znowu pod temi prążkami znachodzą się równie symetrycznie zakłęste małe dołki (fig. 1, 2, 3, 4): dużo estetycznego smaku miały już ludy, umiejące tak piękne lepić naczynia.

Utrzymują, jakoby takie popielnice nie w ogniu wypalane, lecz na słońcu suszone były; na tych, które posiadam, są prawie na wszystkich dowody wypalania ich w ogniu, jak nadzwyczajna twardość: po tylu czasach jeszcze, czerwony, ceglasty kolor, oraz wielka kamienna spoistość cząstek masy.

Urny koloru bladego są bardzo kruche: być może, że były tylko na słońcu suszone i dlatego nie zdołały działaniu czasu tak silnie oprzeć się, a może przyczyną tego jest gruby piasek do gliny domieszany, osłabiający ścisłość masy. Te, które za wypalane uważam, mają masę jednolitą, jak mi się zdaje z gliny (innego wszakże gatunku niż się znajduje w pobliżu) i z drobno utłuczonego łuszczku (miki), który lśni się iskrząco i na powierzchni ścian i w odłamie.

Zanim powiem o kształtach znalezionych w Manieczkach urn, poprzedzę jeszcze jedną uwagą.

Pan Karol Rogawski przystawszy mi łaskawie egzemplarz swój świeżo drukowanej w Krakowie rozprawy o wykopaliskach w Leżajsku, w Galicyi nad Sanem, przez niego badanych, kreśląc w niej jasnym i pięknym piórem znaczenie popielnic w starożytności, przyznając zwyczaj tego rodzaju grzebania ciał zmarłych Słowiąnom pierwotnie, dowodząc dalej, że ten zwyczaj był u nich powszechnym, a nie pewnej klasie społeczeństwa tylko przynależnym, jak Niemcy utrzy-

mują: gdy na ich kształty swą uwagę zwraca, tak mówi na 68 stronnicy swego pisma:

„Na dwa jednakże główne charaktery kształtów urn, zwracamy tutaj pobieżnie uwagę naszych badaczyów.

„Pierwszy jest kształt smuklejszy od góry, więcéj foremny i ozdoby w sobie mający: ten idzie od południa i odbija się na wszystkich urnach południowo-wschodnich wynajdywanych, za popędem cywilizacyjnego prądu na Słowiańszczyznę z tamtych stron. Drugi jest kształt prostszy, nieforemny, pękaty, wydęty, niski; a ten pojawia się na urnach w północnych stronach wynajdywanych. Sąto wzory skadynawskie, które wpłynęły na niego, jako odbicie ponurego skandynawskiego tchnienia. Dwie téż potęgi myśli: skandynawska i heleńska, krzyżując się po Słowiańszczyźnie, wyrzeć musiały i wpływ swój na pojęcie sztuki u starzych Słowian, która się w urnach znowu odwzorowała.”

Nie naruszając wcale wiary postawionych tu twierdzeń, muszę tylko zwrócić uwagę na to, iż ich za normę i pewnik brać nie można, gdyż kształty urn znalezionych w Manieczkach są obydwóch rodzajai: są pękate, niskie, grubo w środku wydęte, które pan Rogawski chce mieć skandynawskimi; są i smaglejsze, od góry z węższém wiele zakończeniem, a więc z greckim wpływem, według jego przekonania. Na tych drugich jest zawsze więcéj ozdób, wykończenie delikatniejsze, massa lepsza, ciemna lub czarna: na niskich płaskawo pękatych są także ozdoby z tym samym charakterem, co u tamtych; lecz ujęciem znacznie się różnią, jakby inną ręką lepione, są jednak grubsze, mniej w nich symetrii i smaku, mniej stanowczego wykończenia. Niskie są zwykle duże, wysmukłe mniejsze. Z największych mam tylko cztery wysokie, inne są średnich rozmiarów, lub zupełnie małe; pęka-

te zaś, niskie, są wszystkie dużej objętości. Okoliczność zatem, że kształty zupełnie odmienne, z różnych stron według przekonania archeologów pochodzące, tutaj razem się schodzą wydaje mi się wielkiej wagi. Naprowadza to bowiem na domysł, że w przedhistorycznym czasie okolica ta musiała być na trakcie przechodnim, krzyżujących się z południa i północy ludów; dalej, że jedne i drugie łączyły się z sobą, osiadały w jednej gromadzie tutaj, a zachowując zwyczaje ojczyście, grzebali swych zmarłych według obrządku swojego i tém zapisali w głębi ziemi pochodzenie swoje. Gdyby hipoteza moja axyomatem stać się mogła, posłużyłoby to za jeden jeszcze dowód więcej, życia ściśle rodzinnego Słowian, którzy się łączyli w związki pokrewieństwa z plemiennikami swemi z najodleglejszych nawet okolic. Jakżeto więc stary i wiernie byłby przechowywany obyczaj, Polski naszej później, w której cały kraj jedną rodzinę literalnie stanowił, bo wszystkie familie związkami krwi połączone były.

Wracając do opisu kształtów manieczkowskich popielnic, te nie dadzą się zaciągnąć w rubryki umyślnego toku i oddzielnego zakroju, prócz owych dwóch wyraźnych różnic: wysokie, smagłe w górze, i niskie brzuchate w środku. Wszystkie inne nie są zdaje się zależne od umyślnego, znaczeniem odrębném nacechowanego zamiaru: lecz raczej od wypadku, woli i upodobania robiących takowe. Co do przeznaczenia i użytku, rozdzieliłbym je na trzy rodzaje:

a) na naczynia, w których złożono popioły i szczątki niedopalonych kości;

b) na naczynia obrzędowe lub symboliczne; i

c) na dodatkowe do popielnic.

Wszystkie urny wydobyte świeżo były przepelnione ziemią; ściany u góry najczęściej poobkruszane. Na wierzchu samym zawsze znajdowałem potłuczone skorupy, których znaczenie przy dalszém badaniu dopiero

mi się wyjaśniło; z tych bowiem kawałków, całości zebrać nie mogłem. Wydobywając zaś ziemię z naczyń, które na wierzchu skorupami wcale nie były pokryte, po kilku warstwach namulonego piasku, gliny, drobnych kamieni, spotykałem wtłoczoną (często nieuszkodzoną) nakrywę kształtu kulistego lub zupełnego podobieństwa do małej miseczki. Massa, proporcya i kształt jój odpowiadał zawsze należącój do niój urnie: ztąd wniosłem, że złożone popioły w naczyniu przykryto takową miseczką, która (nieprzylegając pewno szczelnie) przez ciśnienie powietrza, ziemi, przez napływ wilgoci, w miarę jak się popioły ulegały i usiadały szła za niemi; a gdy boczne ściany naczynia pęknięciem lub zwilgoceniem dozwalały jój tego, nie oparła się aż na skupionych ściśle popiołach i kościach wewnątrz. Dlatego też wyprzątając naczynia, dopiero pod taką nakrywą znajdowałem szczątki kości niedopalonych, na których ślad działania ognia sinemi smugami naznaczył się. Między niemi i nad niemi wiły się w zasypianym piasku i ziemi korzenie różnych roślin spruchniałe a często świeże, nurtowane przez robactwo: smutny widok i smutne wrażenie, jak znikomy jest trud człowieka, jak nietrwałą jego bytność. W zamieci czasów i szeregu wieków, uleciało głośne może wówczas imię osób, z których dzisiaj zimna, bezmowna tylko garstka ziemi została, a która milczeniem kryje ich czyny, nazwę i żywot!

Zauważałem, iż tylko w większych popielnicach były szczątki całego szkieletu, jak to z pozostałości mogłem poznać; w niektórych zaś mniejszych napotkałem tylko resztki czaszki drobno potłuczone, a czasem parę pierwszych kręgowych kości. Śladu spalenizny w tych drugich nie dojrzałem nigdzie: coby miało znaczyć takie rozdzielenie?

W niektórych mniejszych, acz niezupełnie małych naczyniach, nie było śladu popiołów a raczej kości:

drobniuteńki tylko piasek, a jak w jedném, znalazłem kilkanaście ułamków bardzo małych kosteczek dziwnego kształtu; że ludzkie nie były, to więcej jak pewno, bo i zbyt małe, (wiele bardzo mniejsze niż u świeżo narodzonego dziecka) i wcale nie zbliżały się nawet kształtem do naszej kostnej budowy: zdaje mi się, że są raczej pozostałościami jakiegoś małego zwierzątka, może ptaka lub gadu. Kolor ich brudno różowy, jak w mumiach. Stawiając ten domysł tutaj, dodaję, że go nie mogłem na niczem uzasadnić: zbyt są drobne i nieliczne te kosteczki, aby z nich jakąś całość, a przynajmniej jej zbliżenie, ustawić.

W innych naczyniach kształtu dzbanuszkowatego (fig. 5), znalazłem tylko drobny piasek i to zupełnie odmienny, niż jest na miejscu. Kształt sam i wszystkie odcienia jego trudno opowiedzieć; najlepiej tę rzecz oddałby rysunek: niemając nikogo pod ręką, co by mi dopomógł w tym razie, próbuję sam naszkicować przynajmniej główne zarysy, najmniejszej pretensyi do znajomości rysownictwa sobie nieroszcząc, a tém samém tłumacząc niedokładność wszelką. Ma to być tylko jak najwierniejszém objaśnieniem mego opowiadania, na jakie się zdobędę: bodaj chęć za uczynek choć raz się przydała. Fig. 6, 7, 8, 9, 10, są to popielnice z wysmukłym charakterem, mniejsze i większe; pod liczbą 11, 12, 13, 14, widzimy te drugie pękaty, niskie. I jedne i drugie mają uszy, lub są bez nich; te jednak zawsze są niezgrabne i nieproporcjonalne, i względnie do wielkości naczynia zamałe: niekiedy nawet nie mają wydrążenia, i są jakby małe przyrostki tylko (fig. 13).

Co do ustawienia ich w ziemi, nie działało to się zapewne systematycznym porządkiem. Mniej więcej kierunku pojawienia ich się w uroczysku Manieczkowskim jest od wschodu ku zachodowi, z lekkim zwrotem na południe. Stoją pionowo tuż pod kamieniami, często

obłożone niemi, od pół do dwóch łokci pod powierzchnią, w gruppach; lub pojedynczo; często zdarzy się spotkać jedną dużą w środku, a kilka małych naokoło.

Z naczyń drugiego rodzaju, to jest symbolicznych, albo wyłącznie obrzędowych, najciekawsze są dwa: jedno małe podobne do średniej gruszki, lub małego dzwonka kształtu, u dołu szersze niż u góry, bez żadnego otworu, a wewnątrz puste; za wstrząśnieniem znajdujące się w środku przedmioty grzechotaniem o sobie znać dawały. Na szczycie małe przewiercone uszko, jakby do wieszania, wokoło którego pięć lekko bardzo wystających, jakby wyrostków czy guzików tępo i gładko zakończonych. Naczynko to (fig. 15) bardzo zainteresowało, szczególnie ciekawość wzbudzały owe w środku grzechoczące przedmioty, do których nie można się było dostać, gdyż otworu umyślnego nigdzie nie było. Przed wypalaniem, włożono je niezawodnie, a później dopiero otwór zalapiono i wypalono, czy wysuszono: to bowiem trudno mi oznaczyć. Bez widocznego z wejrzenia będące celu, uważam to naczynie za służące do religijnych jakowychś obrzędów. Archeologowie mają takowe za oznakę grobów dzieciennych: czemu? co ich w tém utwierdza?—nie wiem.

Drugie naczynie, które do obrzędowych wyłącznie liczą, jest wiele większe od poprzedniego, a kształtem do kielicha zupełnie podobne. To, co stanowi właściwy kielich, jest dość spore, bo może się kwaterką cieczy wypełnić, to, co u kielicha jest podstawą, przechodzi tu w wklęsły szeroki talerzyk, mający umyślną otworem komunikacją z kielichem. Ten więc otwór nie dał naczynia do napełnienia cieczą używać; przypuszczam, że może stawiano naczynie talerzykiem do góry i na nim palono drobne ofiary, których odpływy (jeżeli to np. były owoce), otworem wpływały w kielich, na inném jeszcze jakim naczyniu ustawiony. Ca-

te ulepione z gliny, która po wypaleniu ceglasy kolor przybrała: na bocznych ścianach są wciskane symetrycznie obok siebie drobne kamyki. Już rozbite dostałem, ale z cząstek zdołałem skleić i powziąć dokładne wyobrażenie całości: w środku tylko piasek znalazłem (fig. 16).

Może do poprzedniego należy rodzaj talerzyków o 4 nóżkach, jakby płaski tygielek do smażenia, masy ciemnej, mocnej: trudno odgadnąć przeznaczenia. Jednej nóżki brakuje, znać tylko miejsce po niej, (fig. 17). Do obrzędowych naczyń należy także uważać zapewne maleńkie garnuszki za łzawnice miane pospolicie, których kilka posiadam (fig. 18—19). Bardzo zgrabne i delikatnie robione naczynka, jedno nawet ma uszka: ozdób na nich niema. Najmniejsze jest jak włoski orzech, a największe jak kurze jaje.

Wreszcie, za naczynia dodatkowe do popielnic uważam różnego rodzaju pokrywki, miseczki z uszkami i bez nich naczynia, jakby niedokończone małe urny, niby doniczki, oraz jeden krążek płaski, służący za podstawę pod popielnice. Wszystkie wielkością swą i rodzajem masy odpowiadają tym, do których należą. Przeważnie pod względem kształtu są dwa rodzaje: miseczki z dnem okrągłym, lub zlewającym się kuliste z całością, i małe jakby kapturki z jednym uchem. Na wierzchu urny znajdujące się naczynia, podobne trochę do małych (szerszych niż głębszych, a płtykich i bez dna płaskiego) filiżanek (fig. 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29). Przedmiotów metalowych mam tylko kilka; jak mówiłem poprzednio, zginęło coś znalezionych między robotnikami i w żaden sposób nie udało mi się ich odszukać: opiszę więc te, które dostałem.

Z pomiędzy miedzianych napotkałem w jednej dużej urnie, rozrzucone w nieładzie między kośćmi, paciorków jednakowej wielkości sztuk trzydzieści

dwie. Nie wszystkie są téj saméj formy: jedne wydłużone, wąskie, inne krótkie, spłaszczone; wszystkie wielkości mniej więcej najgrubszego śrutu. W tém samém naczyniu znalazłem także dwa podwójnie w obrączkę zawinięte kawałki drutu miedzianego, dość cienkiego (fig. 30, 31).

W innéj znowu popielnicy znalazłem jedną dużą obrączkę z miedzianéj blachy i drugą mniejszą z grubszego niż poprzednie i pojedynczo tylko zwiniętego drutu (fig. 32, 33).

Jak wiadomo, przyjęto za zasadę uważać za najdawniejsze wszystkie wykopaliska, w których miedź i krzemień się znajduje, jako używane w odległej bardzo starożytności. Miedziane przedmioty opisałem; dwa kawałki krzemienne, które opodal urnn znaleziono, nie chciałbym podać za pewne do wykopalisk samych należące, a to z obawy, aby wypadkowe kształty z natury, przez chęć dopatrzenia umyślnych jedne za drugie nie wziąć i błędu nie popełnić. Z dwóch więc ułamków, które posiadam, zdaje mi się, iż jeden jest jakby oderwanym końcem bełdy, a drugi kawałkiem téj części grotu, która na drzewcu osadzoną była: na ten domysł naprowadza mnie okrągłe wydrążenie, jakby umyślnie na niego wyżłobione.

Wracając do opisanych powyżej miedzianych przedmiotów, wydaje mi się jeszcze rzeczą wartą zastanowienia i mogącą jakowe wnioski podać, że w tak znacznej liczbie urnn, które badałem, w niektórych tylko się one znajdowały, i że gdzie były, to zawsze po kilka razem. Musiało więc być odróżnieniem, dla którego w niewszystkich popioły grzebano i rzeczy za życia zmarłego używane.

Nie w samych urnach, ale obok nich, znaleziono dwie śpilki, które dwie posiadam: jedna z nich większa, ma blisko pół łokcia długości, jest bronzowa i na odpowiedniej wielkości patce, jako téż i na niéj

samój, widać jeszcze weinane różne ozdoby. Charakter ich ten sam, jak na urnach, prążki naokoło i karby rozmaite nad niemi. Cel téj śpilki wydaje się dość zagadkowym: grubość i wielkość jój nie pozwala mniemać, aby służyła do użytku, jaki dzisiejsze śpilki czynią, pomimo nawet ostrego zakończenia: można więc się domyślać, iż jest narzędziem, albo symbolem (fig. 34).

Druga, równie bronzowa wiele już mniejsza, bez ozdób żadnych, ale jeszcze tak delikatnie zaostrzona, że łatwoby się nią skaleczyć można (fig. 35). Z pewnością odłamek jakiejś śpilki pozostał w małym kawałku (fig. 36), którego jeden koniec czwórma silnemi wykrojeniami ozdobiony, wydaje się, jakby był z tyłuż paciorków złożony.

Z żelaznych przedmiotów napotkałem tylko jeden: jest to duża i znacznie gruba (fig. 37), obręcz, końcami się nie schodząca, rdzą zupełnie przeżarta, a chropowatej bardzo powierzchni. Znalazłem ją w wnętrzu dużej urny, niedaleko szyi, przy bocznych jój ścianach, jakby opasująca złożone tam kości.

Tyle więc o tych nowych wykopaliskach. Nie są one wyczerpnięte i myślę, że przy ścisłym poszukiwaniu, niejednoby się jeszcze wynalazło. Rzecz to krajowa, publiczna, i dlatego do publicznej podałem ją wiadomości, jak zdołałem.

Rozpatrując, rozpytując się bliżej, może mi się uda jeszcze jakie światło na nie rzucić, coś więcej dopowiedzieć, z czém do was pośpieszyć nie omieszka.

Antoni Białecki.

Brodnica pod Szremem.



ZARYSY KOSMOLOGICZNE.

BUDOWA WSZECHŚWIATA,

JEGO WIELKOŚĆ I DZIEJE UTWORZENIA SIĘ.

NAPISANE

Apolinary Zagórski.

(Dokończenie).

Przed wykazaniem szyku i wielkości ciał Układu Słonecznego, również jak ich względnych odległości, należy dać niejakię pojęcie o sposobach, jakimi dochodzi się do ujęcia tych prawd filozofii natury, które w mniemaniu ogółu, zdają się być tak nieprzystępnymi, iż poniekaąd wiele umysłów leniwych ma je za umówione naukowe zmyślenie.

Ponieważ poznanie wymiarów przestrzeni opiera się na znajomości dokładnej ich podstawy zasadniczej; należy więc najprzód wykazać, w jaki sposób zdolano zmierzyć naszą Ziemię, której wielkość jest zasadą dalszych wypadków miernicznych.

„Bóg zbudował Świat geometrycznie”, powiedział Platon przed laty, a Galileusz w kilkanaście wieków po nim, jeszcze wyraźniej tę prawdę wyraził. „Filozofia, czyli nauka przyrody, powiada astronom florencki, zapisana jest w téj olbrzymiej księdze Wszechświatem zwanęj, która choć wiecznie otwartą leży przed nami, lecz nie może być zrozumianą bez poprzedniego naucze-

nia się jój języka, bez poznania zgłosek, któremi została napisana. Księga ta napisana jest językiem matematycznym, a pismem jój są trójkąty, koła i inne figury geometryczne, bez których niepodobna człowiekowi wyrozumieć jój wymowy." Tak téż jest w istocie: bowiem jak wszystkie drogi ciał niebieskich są liniami, tak również i każde z tych ciał jest bryłą, a każda linia, lub bryła jest figurą geometryczną, której względny stosunek części do siebie, nauka ta wyraża matematycznie, ułatwiając w ten sposób otrzymanie ich wielkości. Dość jest naprzykład znać obwód koła, aby wyrazić jego średnicę; a następnie z tych dwóch wielkości, wyprowadzić powierzchnię kuli tychże samych zasadniczych z nią wymiarów, to jest tegoż promienia; następnie znaleźć bryłowatość téjże kuli i t. d. Dlatego więc mogąc przemierzyć stronę dostępną jakiego ciała, możemy z wszelką ścisłością wyrazić niedostępne dla wymiarów linie. Naprzykład chcąc zmierzyć średnicę Ziemi, czego fizycznie osiągnąć niepodobna, dość jest znać obwód Ziemi, ponieważ w kole obwód równy jest nieco więcej jak trzem promieniom (3, 14) swoim; znając więc obwód, zna się i średnicę Ziemi. Chcąc zaś określić powierzchnię téj kuli, dość jest obwód pomnożyć przez czwartą część średnicy, to jest połowę promienia, a iloczyn ten wyrazi powierzchnię kuli; i tak następnie.

Ponieważ każde koło jakiego niebądź promienia przyjęto dzielić na 360 części, dość więc zmierzyć jedną trzysta sześćdziesiątą część koła, zwaną *stopniem*, by otrzymać wielkość całego koła. W ten sposób wiemy, iż wielkie koło Ziemi zwane Równikiem, ma 5,400 mil geograficznych długości, ponieważ na stopień łuku idzie 15 m. g., a takich stopni, jak rzeczo powyżej mieści się w kole 360. Zkąd wiedzieć możemy także, iż średnica Ziemi ma 1719 m. g.; że powierzchnia jój wynosi prawie 9,300,000; takichże mil kwadratowych; a bryłowatość przeszło półtrzecia biliona mil sześciennych.

Pomimo ogromu Ziemi, w porównaniu której człowiek jest zaledwie dojrzanym pyłkiem, kiedy najwznioślejsze nawet gór łańcuchy nie naruszają i tyle krągło-

ści jój kształtu, co ziarna piasku na globusie zwyczajnych wymiarów; pomimo, iż cała nieskończoność zdaje się przedzielać względne wielkości człowieka i Ziemi, jakże dziwnym się nam wyda, że ten olbrzym porównawczy karleje tak bardzo postawiony obok Słońca i całego ogółu Układu, iż wyrównywa zaledwo półtora milionowej części Słońca samego.

Lecz jakichżeto potrzeba przedzielających odległości, aby ciała tak olbrzymie mogły zejść do tak niewielkich pozornych wymiarów, jak Słońce naprzykład? lub zginać niedojrzane bez pomocy szkieł jak odleglejsze planety? Nakoniec, jak zmierzyć tę przepaść dzielącego nas od tych ciał przestworu?

Dla zmierzenia odległości ciał niedostępnych, jakimi są poblizsze ciała niebieskie Układu słonecznego, dwóch dostrzegaczy staje na dwóch przeciwległych Ziemi krańcach tojest na dwóch końcach ziemskiej średnicy; następnie zwracają lunety swych kątomiarów ku środkowi ciała, którego odległość chcą zmierzyć; tak iż się tworzy trójkąt, którego podstawą jest średnica Ziemi, wierzchołkiem ciało dostrzegane, a dwoma drugimi bokami trójkąta są promienie widzenia dostrzegaczy, tojest odległość ich od dostrzeganego ciała. Ponieważ znajomość jednego boku w trójkącie i przyległych mu kątów, wystarcza dla określenia resztujących części tegoż trójkąta, a w trójkącie powyższym znaną jest właśnie podstawa, tojest średnica ziemi, i kąty które z tą średnicą tworzą promienie widzenia dostrzegaczy, pozostaje więc tylko wyrazić trygonometrycznie ile razy długie boki trójkąta będą mieścić w sobie jego podstawę, której długość wiadoma w ilościach mil geograficznych. W tém leży cała tajemnica mierzenia odległości ciał niebieskich. Otrzymujemy w ten sposób, iż Ziemia odległą jest od Słońca na przeszło 12,200 swych średnic, czyli ściślej, iż promień drogi rocznego jój obiegu, wynosi 20,682,000 mil geograficznych. Jeżeli się otrzyma odległość ciała niebieskiego i zmierzy pozorną jego średnicę, nic wówczas łatwiejszego, jak wyrachować średnicę jego rzeczywistą; a następnie z téj danéj przejść do ścisłych wniosków o resztujących częściach

wymiarów tego ciała niebieskiego, wedle praw geometrycznych już nam wiadomych.

Powziąwszy niejaki ogólne wyobrażenie o metodzie, jaka służy do wymierzania wielkości i odległości ciał niebieskich; zwróćmy się teraz wstecz nieco, by objąć w całości szyk i wielkość Słonecznego Układu.

Wedle obecnego stanu nauki, Układ słoneczny składa się z ciał następujących, w następnym szyku idących.

Najprzód zawieszona jest w przestrzeni Słońce, ognisko świata, z którego ruch i życie zdroją się na wszystkie ciała jego układu. Zajmuje ono jedno z ognisk elipsów, wszystkich ciał wokół niego krążących, które nieskończenie przewyższa wielkością swą i masą większą niemal tysiąc razy od masy wszystkich tych ciał wziętych razem. Wiruje ono wokół swój osi z zachodu na wschód w ciągu niespełna 26 dni.

Z planet krążących wokół niego, najbliższym jest Merkury; ciało niewielkie wymiarami, bo 17 razy mniejsze od Ziemi, a odległe od Słońca na trochę więcej, niż trzecią część promienia drogi naszego własnego planety.

Następuje potem Wenera odległa na $\frac{2}{3}$ części promienia odległości ziemskiej, a sama bardzo niewiele różna wielkością od Ziemi.

Daliej idzie Cybela, to jest Ziemia nasza, mniejsza od Słońca przeszło 1,400,000 razy, a której wielkość i odległość powyżej wyrażone, wzięte są tu za porównawcze miary wielkości i odległości innych ciał od Słońca. Krążenia jej nie odbywają się już samotnie, lecz w towarzystwie Księżyca odległego od niej na $\frac{413}{1000}$ część średnicy jej drogi, to jest na przeszło 50,000 mil geog. Księżyc mniejszy jest od Ziemi prawie 50 razy.

Po Ziemi następuje Mars leżący w odległości $1\frac{1}{2}$ razy większej niż Ziemia, i większy także od niej prawie półtora razy.

Dalej w odległości wgraniczonej między 2 i 3 promieniami Ziemi, poza Marsem krąży cały pierścień niezmiernie drobnych planet, Planetoidami zwanych (niektórzy astronomowie zwą je, zdaje mi się niewłaściwie, asteroidami), których po dziś dzień odkryto 42. Są one

tak drobnymi, że wedle Karola Bruhns'a astronoma Berlińskiego, cały ich ogół zebrany razem i zbity w jedno ciało, wyrównywałby zaledwo $\frac{1}{6}$ części Księżyca naszego, to jest trzechsetnej części Ziemi (*De planetis minoribus inter Martem et Jovem circa Solem versantibus*).

Poza Planetoidami w oddaleniu 5 przeszło promieni ziemskich odległości, krąży olbrzymi Jowisz, większy przeszło 1,400 razy od planety naszego. Otaczają go 4 wielkie Księżyce znajdujące się w rozmaitych od niego odległościach i odbywające w rozmaitych czasach obiegi swe wokół niego.

Poza Jowiszem w odległości pół dziewięta promienia drogi ziemskiej, krąży Saturn ze swoim światkiem; większy on od Ziemi prawie 740 razy. Zadziwia on szczególnie budową swą i liczbą towarzyszy, bo w płaszczyźnie równika jego krążą trzy współśrodkowe pierścienie i przyświeca mu 8 Księżyców.

A jeszcze dalej w oddaleniu 19 odległości Ziemi, krąży z szeregiem także 8 Księżycy Uran, większy od Ziemi nieco mniej niż 100 razy.

Nakoniec na domyślanych krańcach naszego systemu, w odległości 30 promieni ziemskich, to jest 620 milionów mil, odbywa swe krążenie Neptun, większy od Ziemi półtorasta razy. Towarzyszy mu tylko jeden Księżyc, a raczej dopiero jeden zdołano dopatrzeć przy nim.

Wszystkie powyższe Planety i ich Księżyce posiadają jeszcze oprócz ruchu postępowego: ruch wirowy, skierowany z zachodu na wschód, to jest w kierunku pierwszego. Co do czasu obiegu planet wokół Słońca, to ten jest nieskończenie różny; najbliższy bowiem planeta potrzebuje tylko 87 dni dla dopełnienia onego, a najdalszy 167 lat.

W tej kuli olbrzymiego promienia 1240 milionów mil geogr. (średnica drogi Neptuna), oprócz zliczonych powyżej planet, krąży jeszcze pomiędzy Ziemią i Wenerą pierścień Zorzy Zwierzyńców; samą drogę Ziemi przecinają miryady Asteroid; a pomiędzy wszystkimi Planetami, Planetoidami i Księżycami, krążą krocie tysięcy Komet przecinające drogi tych ciał, i wybiegające

w nieskończoność poza obręb tej olbrzymiej kuli. Te ruchy, wirów i kołowań tych wszystkich ciał niebieskich, związane są z sobą pięknymi harmonijnymi prawami, świadczącymi o jedności wewnętrznego ustroju tej świątyni.

Ale czy ten piękny szyk budowy Układu Słonecznego zachowa się po wszystkie wieki równie harmonijnie? Czy nie nosi on w sobie zarodu zniszczenia i czy po upływie wieków lat nie rozpręgnie się ta misterna podziwu godna budowa?

Pierwszy to zwątpienie rzucił Newton i pierwszy się niem zatrwożył: w tej samej sile, która ciała Układu słonecznego sprzęgła, znalazł zaród jego rozprężenia i zniszczenia. Ciała bowiem niebieskie podlegając ostatecznie najpotężniejszej z mass ciał przyciągających, wstrząsane są zarazem przez cały ogół materji składającej każde z tych ciał wzajem się przyciągających w miarę mass swoich. Nietylko Słońce przyciąga Ziemię naszą i Planety, lecz też Ziemia i Planety przyciągają także Słońce, a nadto przyciągają się wzajemnie; i wszystkie te ciała dlatego tylko wokół Słońca krążą, że ono posiada najprzeważniejszą massę i przemaga swém przyciąganiem przyciąganie wszystkich innych ciał układu, których działanie nie będąc władajacém, jest jednak wstrząsajacém. Dlatego też linie eliptyczne dróg krążeń ciał układu wokół Słońca, które udowodnił Kepler, są tylko elipsami idealnemi, to jest liniami, po którychby te ciała chodziły, żeby tylko Słońce jedno miało własność przyciągającą, lub żeby tylko dwa ciała krążyły we Wszechświecie. Lecz ponieważ, jak wiadomo, każde ciało posiada siłę przyciągania, więc nawet ograniczając liczbę ciał przestrzennych do trzech, jużby one zaważdały sobie wzajem; działając: raz summą sił mass swoich, to znów ich różnicą, lub pośredniemi ich możnościami, wedle stanu ich względnych stanowisk.

Weźmy za przykład trzy ciała niebieskie: Słońce, Ziemię i Jowisza, znicestwiwszy w przypuszczeniu wszystkie inne ciała.

Ziemia i Jowisz krążą, jak wiemy wokół Słońca: jeżeli w czasie krążenia swego znajdują się na jednej linii,

to jest Ziemia po jednej stronie Słońca, a Jowisz po drugiej; to Ziemia nietylko będzie przyciągana przez Słońce, lecz i przez Jowisza zarazem, który doda siłę swęj massy do głównej Słonecznej. Ziemia więc będzie musiała w tém położeniu zbliżyć się bardziej do Słońca, niżby to miało miejsce, żeby Jowisz się tam nie znajdował; musi więc zboczyć ze swęj idealnej drogi. Jeśli przeciwnie Ziemia się znajdzie pomiędzy Słońcem i Jowiszem, to ponieważ każde z tych ciał będzie ciągnąć ją ku sobie, Ziemia będzie musiała zboczyć w inną stronę przeciwną, to jest od Słońca nieco ku Jowiszowi, czyli pójdzie po linii różnicy tych sił. Lecz niedość na tém; Ziemia na tych obudwu stanowiskach, na jakich ją pomysłiliśmy, nietylko że będzie wstrząsana przez Jowisza, który ją zbaczać będzie z jęj drogi, odciągając ją w tę lub w ową stronę, lecz nadto będzie zarazem wstrząsać Jowisza, przyciągając go bardziej ku Słońcu w obudwu razach, ponieważ droga Ziemi jest opisana drogą Jowisza; lecz jednak silniej w drugim niż w pierwszym razie, bo bliżej się niego znajdując silniej działanie swe wywrze. Wiemy już bowiem, że ciała tracą siłę przyciągającą w miarę oddalenia, wedle pewnego stałego prawa. We wszystkich pośrednich stanowiskach swych dróg, ciała te będą także działać wzajemnie na siebie, odprowadzając się bezustannie od dróg idealnych, po którychby powinny były chodzić, żeby jednego z tych ciał nie było. Obadwa zaś one, pomimo niestosunkowo małej massy w porównaniu z massą Słońca, będą je jednak przyciągać każde ku sobie, odpowiednio swęj sile, tak, że Słońce będzie bezustannie odprowadzanem od swego stanowiska względnego spoczynku i będzie chwiać się wokół tego idealnego punktu. Jednem słowem zagmatwanie ruchów tych trzech tylko ciał jest już niezmiernem, a rozwikłanie ich bardzo trudnem.

Pomyślmy teraz na ilość ciał naszego Układu, na różność ich mass i odległości; wzrastanie i małenie szybkości ich biegu; rozmaitość ciągle zmienną położenia w czasie ich bezustannych kołowań i wirów; a okaże się, że żadne z ciał układu nie choǳi po liniach prawidłowych po którychby chodzić powinno, żadne nie

wraca do punktu wyjścia, nie staje w pierwotnych warunkach, lecz tylko wężują one wokół linii idealnych dróg swoich, wyrażających jedno średni stan ich chodu.

Wstrząśnienia te nagromadzając się powoli w ciągu wieków, muszą zmienić stan układu Słonecznego. Jedne ciała będą zbliżać się, a drugie oddalać od swego ogniska; stósownie do tego: czy zostaną bardziej przyciągnięni ku Słońcu jak Planety, lub ku środkowym Planetom swoim jak Księżycy, działaniem reszty Planet i Księżycy, lub czy zostaną od nich odciągnionymi. Ciągłe przyspieszenie ruchu Jowisza, jakie zostało dostrzeżonem, kazało wnioskować, że ten Planeta z powodu coraz większego zbliżania się do Słońca, z czasem w nie wpadnie. Zwalniający się ruch obiegowy Saturna, czyli co jednoznaczne, oddalenie się jego od swego ogniska krążenia, kazało znów przeciwnie wnioskować o jego utracie w przyszłości nieprzewidzianej, z powodu coraz większego odrywania się tego ciała z obrębu siły przyciągającej Słońca. Przyspieszony ruch Księżyca naszego zdawał się zagrażać z czasem spadnięciem jego na głowy nasze. Jednem słowem cały nasz układ Słoneczny zdawał się rozwiązywać.

Wielki geniusz Newtona zwątpił natenczas o doskonałości utworu Bożego; nie zdawał mu się on posiadać warunków wiecznego trwania i potrzebować nawet „by od czasu do czasu, jak filozof ten powiada, ręka Stwórcy przychodziła w pomoc swemu dziełu i naprawiała zaszły nieład.“ Kiedy sam Newton zwątpił w wieczyste trwanie układu Słonecznego, ktożby śmiał zaprzeczyć mu w tym względzie? Ale było wyjątkowy wielki wiek, który wydał jednocześnie kilka potężnych geniuszów. Nietylko Newton świecił wówczas myślą światu, lecz i Leibnitz zarazem, który mu dorównywał geniuszem badawczym, a filozoficznością rozumu go prześcigał.

W owym czasie nie można jeszcze było złożyć dowodów matematycznych, dla zaprzeczenia poprzedniego twierdzenia; lecz Leibnitz czuł tak głęboko niefilozoficzność wniosku Newton'a, iż odważył się zrobić mu zarzuty w słowach wartych przytoczenia. „Pan Newton

i jego sektatorowie mają dość zabawne pojęcie o utworze Boga: wedle nich Stwórca od czasu do czasu potrzebuje nakręcać swój zegar zapobiegając temu, by nie stanął. Nie zdołał mu nadać wiecznego ruchu. Ta maszyna nawet jest tak niedoskoną, że Stwórca zmuszonym jest zarządzać temu od czasu do czasu i naprawiać ją nawet jak zegarmistrz swoje dzieło. Wedle mego zaś przekonania, taż sama siła trwa w mocy swój zawsze i przechodzi tylko z jednego ciała w drugie, stosownie do praw Wszechświata i do wzniosłego szyku, wedle którego on został pierwotnie urządzony przed wiekami: bowiem nie dla zaradzenia potrzebom natury Bóg czyni cuda, lecz dla podtrzymania stanu łaski.“ (*Oeuvres de Leibnitz* deuxième série, Premier écrit p. 488).“

Twierdzenie to, niektórym filozofom zdało się wówczas bezbożnym. Wystąpił przeciw niemu Clarke powiernik najtajniejszych myśli Newtona i sprzeczka ta przeistoczyła się w długi spór filozoficzny, który zawiesiła jedno śmierć Leibnitz'a.

„Utrzymywać, że nic się nie staje bez Opatrzności i nadzoru Boga, nie jest poniżeniem dzieła Jego; lecz przeciwnie wykazaniem wielkości Jego i doskonałości. Myśl tych, którzy utrzymują, że Świat jest wielką maszyną, idącą wciąż bez pomocy Bożej, jako zegar idący bez pomocy zegarmistrza: jest myślą bezbożną, doprowadzającą do materjalizmu, mającą na celu zaprzeczenie Opatrzności i wygnanie z Świata rządów Bożych. Jeśli by król posiadał królestwo, w którymby się wszystko stawało bez jego wpływu; to takie królowanie byłoby tylko imiennym i nie zasługiwałby on na nazwę króla. A ponieważ można słusznie mniemać, że ci, którzy utrzymują, że zarząd spraw państwa może trwać bez wpływu bezpośredniego króla, nie dbają o niego; zarówno też da się powiedzieć: że ci filozofowie którzy utrzymują, że Wszechświat nie potrzebuje, by Stworzyciel nim ciągle kierował i rządził, nie dalecy są zaprzeczenia Jego istnienia w Świecie“ (*Oeuvres de Leibnitz* Première réplique de Clarke).

Niezmiernie wzniosłą i gruntowną była odpowiedź Leibnitza na zrobione mu zarzuty. „Nie utrzymuję by-

najmniej, powiada on, że Świat materyalny jest maszyną, lub zegarem idącym bez pośrednictwa Boga; i owszem, jawnie głoszę że wszystkie stworzenia potrzebują Jego bezustannego wpływu, lecz stanowczo twierdzą, że jestto zegar, który idzie statecznie niepotrzebując naprawy, bowiem inaczej trzeba by przypuszczać, że się Stwórca poprawia. Bóg wszystko przewidział i wszystkiemu naprzód zarządził; w Jego dziełach istnieje harmonia i piękność zasadnicza. To pojęcie nie usuwa wcale Opatrzności i rządów Bożych, owszem robi je tylko doskonalszym. Prawdziwa Opatrzność Boża musiała wszystko naprzód przewidzieć, a nadto wszystkiemu naprzód zarządzić środkami stosownymi; bowiem inaczej nie byłaby Wszechmądrą, jeśliby nie zdołała wszystkiego przewidzieć; albo nie byłaby Wszechmocną, gdyby nie zdołała wszystkiemu zapobiedz.”

„Stwórca, powiada on nakoniec, jest nietylko Stworzycielem, lecz zarazem zachowawcą wszechrzeczy, bez któregoby one istnieć i chwili nie mogły: panowanie więc Boże nie jest imiennym, lecz najistotniejszym” (*ibid.* Second écrit de Leibnitz).

Wielki umysł Leibnitz'a zbyt wysokie miał pojęcie o dziele rąk Bożych, którego doskonałość sam Stwórca uznał, wyrzekłszy: że *bonne est*, by przypuszczać potrzebę jego poprawy i zważyć o jego niezakreślonym trwaniu, dopóki taką będzie wszechwładna wola Stworzyciela. Lecz dowody metafizyczne, które mógł złożyć Leibnitz, nie były wystarczającymi, zadowolnić one mogły jedno umysły filozoficzne; lecz w racjonalnym badaniu praw Świata przyjętymi być mogą jedno tylko dowody oparte na matematyce.

Myliłby się ktoby mniemał, że odkrycia geniuszów zawisłymi są tylko od potęgi ich natchnienia; oprócz tego głównego źródła są one także owocem stanu środków wiedzy im społecznej, której pochod być musi stopniowy. Przeskoków w niej nie masz: wszystko iść musi naprzód drogą logicznej zawisłości i konieczności rozumowań i wniosków. Jedno odkrycie nie mogłoby mieć miejsca bez drugiego, które musiało je koniecznie poprzedzić; również udowodnienie pewnej prawdy, mu-

si wówczas przypaść, gdy ona zostanie w czasie przygotowaną; to jest, gdy już będą istnieć wszystkie środki dla udowodnienia jej.

Brak analizy rachunkowej nie dozwolił Leibnitzowi poprzeć rozumowania swego filozoficznego, dowodami matematycznymi; lecz skoro tylko zdobycie tej potężnej dźwigni, której on sam węgielny kamień położył, umożliwiły wykonanie tego zadania, Laplace, Lagrange, a następnie Poisson i Leverier przeprowadzili jego rozumowanie matematyczne. Zdobyte, które w tym względzie zyskała nauka są olbrzymie; ostatni nawet ze wspomnianych matematyków zdołał obrachować z całą ścisłością na dwakroć sto tysięcy lat, licząc naprzód i wstecz, położenie przestrzenne czterech bliższych planet, mianowicie: Merkurego, Wenus, Ziemi i Marsa, to jest na 100,000 lat przed i po 1,800 roku naszej ery.

Obejmijmy pokrótce tych prac wypadki.

W tym chaosie wirów, wstrząśnień i ruchów zagmatwanych wszystkich ciał układu Słonecznego, gdzie wszystko zmienne: jak kształt ich dróg, kierunek ich wielkiej osi, (czyli linii łączącej przeciwległe punkta największego i najmniejszego zbliżenia każdego z tych ciał do Słońca), położenie ich względem płaszczyzny drogi ziemskiej czyli Ekliptyki i t. d.; jedna tylko wielkość pozostaje stałą i niezmienną, a mianowicie: wielka oś ich dróg, a tém samym czas ich obiegów. Stateczność tej wielkości jest węgielnym kamieniem trwania Układu; wszystkie zaś inne wstrząśnienia wynagradzają się zobopólnie chwając się tylko, czyli ważąc wokół pewnego średniego stanu, i nie mogą nigdy przekroczyć zakreślonych im granic.

I tak, kiedy jeden Planeta oddala się od Słońca opisując drogi coraz mniej eliptyczne, a bardziej zbliżone do koła; to natomiast w tymże samym czasie inny jaki Planeta się doń zbliża, kreśląc coraz eliptyczniejsze linie w obiegu swym dorocznym. Kiedy pochyłość płaszczyzny drogi jednego jakiego Planety do zasadniczej płaszczyzny ekliptycznej (drogi ziemskiej) zwiększa się, to natomiast droga innego znów jakiego Planety, będzie się coraz bardziej zbliżać do tej płaszczyzny dla równowa-

zenia ruchu pierwszego: jedném słowem nierówności w chodzie Planet wzajem się zrównowazając, wynagradzają się w ciągu długiego peryodu wieków i przywracają nasz układ Słoneczny do pierwotnego stanu wyjścia. Każde wstrząśnienie doszedłszy do pewnych granic, to jest do swego *maximum*, zaczyna się zmniejszać, aż dojdzie znowu do swego *minimum* i tak kolejno następnie. Droga Ziemi naprzykład, która teraz jest w epoce większego zbliżania się do kształtu kolistego, stanie się zupełném kołem za 25,000 lat, to jest w Roku Pańskim 26,800, a odtąd pocznie znowu powracać do kształtu elipsy. Dla Wenery nastąpi to znacznie prędzej, bo za 10,000 lat, to jest już w roku 11,800, droga jój będzie prawidłowym kołem. Merkury zaś, którego droga jest najbardziej wydłużoną obecnie, nawet i za 100,000 lat nie doprowadzi jój do tego kształtu, lecz jeszcze w roku 101,800, to jest tym, do którego sięgają jeszcze obliczenia Leverrier'a, zbliżać się będzie do kształtu koła, którego nie doścignie nawet i w tym czasie oddalonym. Co się zaś tyczy naszego Księżyca, to ten, wedle Leverrier'a obliczeń jeszcze 25,000 lat będzie się wciąż zbliżać do nas, a następnie po tém dopięro cyklu lat pocznie się oddalać od Ziemi (*Connaissance des Temps* na r. 1843).

Lecz czyż istnieje jaka nowa siła, która ciała niebieskie ze zbroceń ich odprowadza? Nie; siłą, która ten Wszechświat w trwaniu zachowuje: jest ciężenie. Ta sama siła, która zdawała się Newton'owi módz rozprządz i zniweczyć Świata całego budowę; okazała się być rękojnią jego trwania. Co za tryumf dla nauki odślonić w prawie władającém, moc zachowawczą; lecz jakież zarazem podziw mądrości Stworzyciela, któremu jeden i tenże środek wystarczył dla dopięcia obudwu tych celów; który w jednej i téjże sile złożył wewnętrzną moc bytu i trwania Wszechświata.

Zaszczytem rozumu ludzkiego, że prawa te zdołał zdobyć, i że wejrzawszy w przeszłość analizą rachunku zaspokoił wąpiące umysły o Bożych rąk dziele, tak iż stało się wedle słów wzniosłego wysłownia się Arago „że wszechpotęgą formuły matematycznej, Świat materialny został ugruntowanym w swych posadach.”

Lecz powróćmy myślą do ogarnienia ogromu tego przestworu zajmowanego przez nasz Układ Słoneczny, którego granic możebnych ściśle jeszcze nie znamy, lecz którego wiadome granice, aż nadto dostateczne dla porażenia myśli naszej. Idźmy więc drogą porównań, dla powzięcia prawdziwej idei o jego wielkości.

Ten przestwór bezmierny, w którym ogrom samego Słońca drobnieje, czémże jest porównany z Ziemią? Ziemia zaledwie drobném ciałem w tym przestworze, niedojrzaném nawet z odległych Planet, i pomiędzy nią a ogółem Układu, całe piętro nieskończoności przedziału.

Ale czémże jest to Słońce nasze, którego ogrom nas przeraża, a szyk budowy układu zachwyca? Maluczką zaledwie gwiazdką podobną we wszystkiém do tych, których miryady rozsiane na sklepieniu niebios, a których odległości są prawie nie wymierne. Po wielu trudach zdołano jednak zmierzyć odległości kilku z nich, biorąc jednak za podstawę trójkąta już nie średnicę Ziemi, bo ta nie wystarcza, lecz średnicę drogi dorocznego jój obiegu, która wynosi prawie 42,000,000 m. g. Otóż zmierzono, iż najbliższa gwiazda, to jest Alfa Centaura odległa jest od nas na 226,400 promieni odległości ziemskich, to jest na przeszło pięć bilionów mil.

Żeby nie zaginać w ogromach cyfr, przyjęto inną jedność za miarę porównawczą, biorąc za zasadę czas, który przebiega promień światła na sekundę. Promień bieżąc tak chyżo, iż w ciągu jednej sekundy czasu, mógłby siedm przeszło razy opasać Ziemię w równiku, potrzebuje jednak ośmiu minut i siedemnastu przeszło sekund by przyjść od Słońca do nas. Tą właśnie ostatnią wielkością zastąpiono wyraz miłowy promienia drogi ziemskiej, który jest podstawą trójkątów, za pomocą których zmierzają się odległości przedzielające nas od gwiazd. Otóż najbliższa gwiazda potrzebuje pół czwarta roku, by przebyć tę przepaść przestworu.

Żeby trochę jeszcze zmysłowiej wyrazić odległość naszą od gwiazd stałych, nadmienię następne obliczenie Wilhelma Herschl'a, że Syryusz jedna z najświetniejszych i najbliższych nas gwiazd, potrzebowałaby

33,000,000 lat, by przyciągając się wraz ze Słońcem naszym, (którego masę nieskończenie jeszcze zwiększoną w tém obliczeniu, urównawszy ją z masą Syryusza), mógł przebiec połowę téj odległości i spaść na toż Słońce, któreby drugą połowę drogi w témże czasie przebiec musiało.

Odległości te, w których myśl ginie, niczem są jeszcze porównawczo; to dopiero oddalenie najbliższych z gwiazd, a gwiazd nieskończoną ilością usiane są niebios lazury.

Jedne z nich bliższe nas, pozorną wielkością swoją prześcigają inne, a ogół ich cały zchodząc stopniowo blaskiem i wielkością, znikają całkiem dla oka nagiego. Wówczas wzmagając coraz bardziej siłę wzroku naszego potęgą szkieł, coraz głębiej nurtujemy tę przepaść i coraz więcej gwiazd tych zliczamy, ogarniając nie już tysiące, jako nagiem okiem, ale całe ich miliony, gdy się zbliżymy do pasa zwanego Drogą Mleczną, w którym światy, jako kurzawa zaledwo dostrzeżona przedstawiają się w polach teleskopów, zlewając się prawie zupełnie w mgłę nierozdzieloną. Każda z tych gwiazd jednak musi być co najmniej odległą jedna od drugiej, jak Słońce nasze od najbliższych odeń gwiazd, to jest od tych, których promień bieży do nas kilka i kilka dziesiątków lat. Na jakąż odległość trzeba te światy odsunąć, by zniszczyć przedzielające je bezmiary i zjednoczyć je prawie z sobą?

Ponieważ największe z gwiazd, te mianowicie, które zwiemy gwiazdami *pierwszej wielkości*, najbliżej nas leżą, jak się o tém przeświadczyć zdołano zmierzając ich oddalenia: trzeba więc oczywiście przyzwolić z Wilhelmem Herschel'em, że gwiazdy niższej wielkości zmały tylko z powodu większych oddaleń, a są mniej więcej równe tym, które wielkimi być się nam wydają z powodu ich bliskości. Ponieważ światło zmniejsza się w stosunku kwadratów z odległości, to żeby sprowadzić gwiazdę pierwszej wielkości, do wielkości takiej, którąby dowiedzieć dopiero można przez teleskop 20 stopowy, trzeba ją odsunąć na odległość, którą światło mogłoby zaledwo

przebiecz w 3000 lat; czyli co jednoznaczne, że te drobne gwiazdki, które dopiero siła tak potężnych teleskopów dojrzeć nam daje, potrzebują *trzydziestu wieków*, by dosłać swój promień do nas. Posiadamy jednak teraz teleskopy nieporównanie potężniejsze, bo 40 i 50 stopowe, a przytém potęga szkieł naszych wcale jeszcze nie doprowadzona do kresu, i za każdym ich ulepszeniem, coraz głębiej oko nasze nurtuje bezgłębną toń tych przestworów.

Astronomia, ta szlachetna i wzniosła nauka, która musi się pokusić o dopięcie wszystkiego, co tylko zdaje się być niepodobnym, sprobowała także zliczyć gwiazdy i wynagrodzoną téż została za tę pracę olbrzymią szczytnymi wnioskami o budowie świata. Wilhelm Herschel, którego imię w astronomii świeci jako gwiazda pierwszej wielkości, pierwszy myśl tę śmiałą podjął i sam prawie wykonał. Późniejsi astronomowie jak Wilhelm Struve i Argelandar uzupełnili tylko pracę jego i stwierdzili szczytność wniosków.

Gwiazd (których nagiem okiem widzimy zaledwo 6,000) zachowano mniej więcej 45,000,000; i choć ta liczba jest zaledwo drobną cząstką rzeczywistej bo ta jest *nieskończoną*, jednak w rozkładzie na niebie tych kilkudziesięciu milionów światów dopatrzyć się dało pewne prawo. Gęstnieją one wedle pewnego stałego stosunku, zbliżając się ku pasowi przedzielającemu sklep niebieski to jest ku Drodze Mlecznej. Ten pas różnej widomej szerokości, w niektórych miejscach przerwany, a w innych rozgałęziający się czasowo, i znów spływający, przedstawia się oku nagiemu jak biała mgła, gdzieś niegdzie światlejsza, w innych miejscach mniej jasna, lecz nie dająca się rozkładać na gwiazdy nagiem okiem. Ale kiedy na nią zwrócimy szkła lunet, lub zwierciadła teleskopów, wówczas widzimy wyraźnie gwiazdy, jako kurzawę prochu lśniąca na tym kobiercu z których cały ten pas utkany. Wyraźność ich jest tak wielka, że je łącno zliczyć można; i kiedy w przestworach odległych od tego pasa na czwartą część koła, a które względnie od niego są jego biegunami, zaledwo jedną, a czasem nawet żadnej gwiazdy nie dojrzeć w polu teleskopu:

w takimże samém polu kilkaset ich zliczyć można w niektórych miejscach Mlecznej Drogi, a w ciągu kwadransa czasu sto kilkadziesiąt tysięcy przemknie się ich przez to pole.

Ten rozkład prawidłowy doprowadził Wilhelma Herschel'a do wniosku następnego. Wszystkie gwiazdy wszystkich części nieba wzięte razem, stanowią pewien pokład, pewną warstwę kolistą, spłaszczoną, nie porównanie dłuższą niż grubszą, która widziana z Ziemi, towarzyszy Słońcu, należącemu także do tego pokładu gwiazdowego i znajdującego się prawie w jego środku, wygląda tak, iż promień wzroku naszego przeszywając nieskończenie rozmaite jego grubości, począwszy od najnniejszej do największej, spotyka najprzód z rzadka rozrzucone gwiazdy po Niebie, a następnie w miarę, nie gęstnienia ich, lecz tylko coraz większej grubości pokładu gwiazdowego, oko spotyka ich coraz więcej, aż nareszcie zlewają się one światłem w pas wyraźnie odzielający się na tle niebios, któryto pas zwiemy Drogą Mleczną. Pokład ten rozwidłowuje się u jednego końca swęj wielkiej osi, spiczasto zakończy zaś u drugiego, a w ogóle rozstrzępiony po brzegach, rozramienia się nieco na różne strony. Takimby pokład ten wydał się nam, żebyśmy go widzieć mogli wzniosłszy się ponad granice jego obwodu, lub żeby Słońce nasze było umieszczone na jego krańcach; przeciwnie zaś jeślibyśmy byli umieszczeni gdzieś z boku w pobliżu biegunów tego pierścienia, wydałby się on nam kołem, którego obwód pierścieniowy rozstrzępiałby się na ramiona zaginające się łukiem w jednym kierunku. Rzeczywiste zaś położenie Słońca naszego w tym pokładzie jest następane: stosunkowo do szerokości leży w pobliżu środka niedaleko rozdziału tego pierścieniowego kręgu; względnie zaś do długości, bliżej północnej niż południowej jego części. Szerokość, to jest grubość całego tego pokładu, wedle ocenień Wilhelma Herschel'a, robionych tylko 20 stopowym teleskopem, wynosić może przynajmniej 80 odległości gwiazdowych mniej więcej po 40 z jednej i z drugiej strony Słońca; długość zaś tegoż pokładu wynosić musi, co najmniej po 900 takich-

że odległości, tak, iż od jednego jego krańca do drugiego jest przedział 2000 odległości gwiazdowych, które światło zdolne za ledwo przebieść w 20,000 lat.

Pomimo téj przerażającej wielkości, której myśl już nawet pojąć niezdolna, zwrócić należy uwagę, iż te pomiary, dokonane tylko zostały z pomocą 20 stopowego teleskopu, to jest półtrzecia razy mniejszego od tych, które dziś posiadamy, a które nieskończeniaby odsunęły widome krańce tego gwiazdnego pokładu; a nakoniec co jeszcze ważniejsza, przyjąc we wzgląd i to także należy, iż światło nie bez straty przebiega te bezmiary eterowe.

Taki olbrzymi pokład gwiazd jak nasza Droga Mleczna, nie utrzymałby się w równowadze, gdyby był bez ruchu, i ciała te ciągnione siłą ciężkości pospadałyby jedne na drugie i po nieskończonej ilości wieków skupiłyby się w jedną bryłę. Siła ciężkości działa bowiem i z największych odległości, a to z szybkością taką, która jeśli nie jest jednoczesną, to wedle badań Laplace'a przewyższa chyżość światła, (które samo przebiega 42,000 mil na sekundę), co najmniej 50 milionów razy.

Ażeby więc te ciała mogły utrzymać się w przestrzeniach przestrzeni, zmuszone są one być w ciągłym postępowym, kolistym ruchu, wokół pewnego środka; to jest, iż Droga Mleczna musi wirować wokół swego niematerialnego środka ciężkości z szybkością taką, któraby była w stanie zrównoważyć siłę ciężenia. To téż istotnie, skoro się tylko przypatrzym najbliższym nas gwiazdom z ścisłością naukową, do jakiej nas dziś uzdolnia doskonałość budowy naszych narzędzi optyczno-mierniczych, przeświadczamy się, iż gwiazdy miejsca swe zmieniają, pomimo iż je zwykliśmy zwać gwiazdami *stałemi*. Halley piérwszy dopatrzył, iż miejsca które obecnie, a raczej za czasów jego zajmowały niektóre większe gwiazdy, różniły się od tych, na których oznaczone mi były w katalogu Hipparcha i Ptolomeusza, a w następnych wiekach z udoskonaleniem mierniczo-optycznych narzędzi, zdołano nawet wyrazić liczbowie przestrzenie, które w ciągu pewnego czasu niektóre gwiazdy przekraczają, a nadto kierunek ich ruchu. Badanie nakoniec położenia własnego Słońca naszego, względnie

do innych gwiazd, przekonało Wilhelma Herschel'a, że Słońce nasze bieży także w kierunku konstellacyi Herkulesa z szybkością przeszło jednej mili geograficznej na sekundę, ciągnąc za sobą cały orszak Planet z ich Księżycami, miliony Komet, i w ogóle wszystkie ciała należące do jego Układu. Wypadek ten, na który naprowadzał już częściowo fakt wirowego obrotu Słońca, przejmuje niewymowném uczuciem podziwu tych odległości, które pozornie w niczém niezmiennie, dopiero po kilkudziesięciu wiekach życia ludzkości dopatrzyć się dały nieśmiertelnym badaczom wdzierającym się w tajemnice stworzenia, tak szczytnie wymownego, uroczystém, wieczném milczeniem swoim.

Ale gdzie Słońce nasze bieży? czy się obraca wokół innego jakiego Słońca? czego mamy tysiączne przykłady w gwiazdach podwójnych dopełniających obiegi wkoło siebie, to jest wokół wspólnego punktu ciężkości; czy raczej idzie w ogólnym kierunku tych wszystkich gwiazd, obracając się wokół wspólnego niewiadomego punktu, w którym się przecinają linie sił ciężkości wszystkich tych ciał? To ostatnie zdaje się mieć miejsce. Kiedyś po wielu wiekach bólów i trudów, ludzkość bardziej stanowczemi dowodami twierdzenie to będzie mogła poprzeć; bo dotąd ani wspólnego kierunku ruchu, ani położenia tego niematerialnego środka ciężkości dopatrzyć; a raczej dowieść nie zdołano, pomimo kilku śmiałych w tym względzie przypuszczeń, które tylko dowiodły przedwczesności takich prac, dla braku liczniejszych dostrzeżeń.

Droga Mleczna nie może zachować tedy kształtu, jaki obecnie przedstawia; widocznie się nawet ona rozdziera, liczba gwiazd jój widzialnych nie będzie także jednakową, bo gdy jedne zapłoną, to drugie zgasną natomiast. Sam nawet kształt jój dzisiejszy jest tylko złudą, bo gdy się patrzymy w sklep Niebios, w te światy bez końca i granic, nie widzimy ich weale na miejscu, w którym się znajdują obecnie, lecz w tém, w którym się one znajdowały przed lat dziesiątkami, stami, tysiącami, krociami tysięcy, przed lat milionami, zanim się ludzkość poczęła na Ziemi, zanim Ziemia powstała

w przestrzeni, a kto wie? może zanim samo Słońce nasze utworzyło się z materii chaotycznej. Obecne położenie gwiazd w tym pokładzie, sąto, jak się ktoś szczęśliwie wyraził, „Starożytne ich dzieje” i dopiero po upływie tyluż potoków wieków, jakiś odległy potomek ludzkości widzieć je będzie na stanowiskach, w jakich znajdować się mogą obecnie. Ale czy ludzkość gościé wówczas będzie na obliczu Ziemi? tego nie wiemy.

Słońce nasze we wszystkiém podobne jest do innych gwiazd, a nawet odsunione na taką odległość, jaką najbliższe z nich zajmują, byłoby nieporównanie od nich mniejszém; co przekonywa, iż jest zaledwo gwiazdą drobnéj wielkości. Co się zaś tyczy światła jego, to te tak jest niższe od światła wielu innych Słońc, iż stanowi naprzykład zaledwo 146 części blasku Syryusza. Niepodobna więc, by jedno Słońce nasze miało być uprzywilejowane; to téż przez analogią wniesć musimy, iż każda z tych myriad gwiazd musi być otoczona podobnym układem jak i Słońce nasze; to jest, iż każda poszczególne musi mieć całe szeregi Planet, Księżyców i Komet, które z bezmierną szybkością wiodą za sobą, szubując po tych lazurach i opisując koła, wokół innego znów środka; i tylko Komety biezące po liniach nie zamkniętych, wężując od gwiazdy do gwiazdy zhaftowują dróg ich kręgi, stanowiąc jak gdyby spojnią ciał Układu Drogi Mlecznéj.

Kiedy myśl kornie zachwyconą wzniesiem do pojęcia téj olbrzymiej budowy i porównamy z nią nie już Ziemię, bo ten proch całkiem ginie, lecz Słońce z całym jego Układem, i kiedy ono zejdzie także do małości atomu; kiedy się przeświadczamy, iż zniestwienie takiej gwiazdy, jak nasze Słońce, zaledwo uczuóby się dało w tém piętrze gwiezdziestém, słów zabraknie dla wyrażenia jego nieskończoności. Jednak ten pokład ma granice. Ale cóż leży poza temi granicami? Czyliż wieczne milczenie i ciemność wiekuista panuje w téj próżni niewypełnionej, i zabraknąć miało światów do śpiewania hymnu chwały Bóżej? czyliż stań się Stworzyciela nie miało potęgi wypełnić tych przestworów, które myśl jednak pojmuje?

Nie maluczkiemu to rozumowi naszemu kłaść zakres potędze Stworzyciela; nam tylko zgłoski z tych gwiazd płonących składać, i Wszehmoc Bożą wyczytywać z nich przez wieki, słowo po słowie.

Istotnie, kiedy się wpatrzym w niebios sklep, dostrzegamy na nim maluczkie plamki białawe, które darmobyśmy się silili nagim wzrokiem zbadać; lecz kiedy przywołamy w pomoc potęgę szkieł, wzmagając ich siłę wedle potrzeby, widzimy ogromną liczbę tych ciał rozłożoną także w pewnym szyku i krzyżującą się pozornie z naszym kręgiem Mlecznym; a większa ich część ustępując stopniowo sile coraz potężniejszych teleskopów, rozkłada się na bezmierną liczbę gwiazd.

Plamki takie zwane Mglawicami, lub Obłoczkami (*nebulositas*), najbardziej badane były przez obudwu Herschel'ów: ojca i syna. Zliczyli już oni na obudwu półkolach przeszło 4,000 ciał takich.

Dziś potężny teleskop Lorda Rosse niezmiernie pomocniczy w badaniu ich; to téż zapewne kiedyś powszechniejsze posiadanie narzędzi takiej siły przy sprzyjających warunkach powietrznych, da możność astronomom przejrzeć na nowo niebo całe; i wówczasto dojrzą oni nie tysiące tych ciał, jak to dokonano teleskopem 20 stopowym, lecz znajdą zapewne cały sklep niebios niemi usłany, w którego bezgranicznym oceanie eterowym pływają one, jako niezliczonych wysep archipelag.

Mglawice te nie czém inném są, jedno Drogami Mlecznymi, zupełnie podobnymi do naszej, a odsunięte od nas na odległości takie, iż całe te olbrzymie pokłady, zlewają się w plamki białawe, nikłe, o świetle przyćmioném, pomimo iż wielkość ich jeśliby nawet tylko dorównywała naszemu pokładowi Mlecznemu, to już byłaby taką, że jak wyżej powiedziano było, promień światła dziesiątki tysięcy lat przebiegałby od jednego ich krańca do drugiego. Do nas zaś promień ich zaiedwo we *dwa miliony* lat przyjść może. Lecz dwa miliony lat to czas, jakiego potrzebują dopiero najbliższe z tych Mlecznych Dróg, by dostać swe światło do nas; a iluż milionów potrzebować będą te, których nie dojrzelśmy dotąd jeszcze dla słabości szkieł naszych?

Kiedy zniknięcie odległości dwóch jakich bądź gwiazd nie do pojęcia dla ograniczonych władz rozumu naszego, to cóż dopiero pojęcie zlania się w jedną plamę, wielkości co najwięcej dziesiątej części tarczy Księżycy, takich ilości gwiazd, iż jak się obrazowo wyraził pewien francuzki astronom „więcej ich w tych obłoczkach niżli ziarn piasku i kurzawy pyłu we wszystkich pustyniach Azyi i Afryki.”

Oto maluczkie pojęcie *nieskończoności* na drodze ciała, do której po szczeblach tylko astronomii wznieść się nieco możemy. Co się dotyczy idei *wieczności* na drodze materji, to i tu także jedno ta szczytna nauka niejakie jój przeczucie dać może, które sama zdobyła przez ciągle obcowanie z jój zmysłowym wyrazem, owemi gwiazdnymi piętrami Dróg Mlecznych, w które zdołała wnikać potęgą myśli badawczej. Zobaczymy to natychmiast.

Ponieważ te piętra pokładów światów leżą w rozmaitym kierunku względem do oka naszego, rozmaite też dla nas przybierają one kształty. Jedne z nich ukośnie z brzegu tylko widziane, przybierają kształt podłużny, inne znów krągły, jeśli je na wprost widzimy. Te krągłe Mgławice badane najpotężniejszymi szklami jakie dotąd posiadamy, przybierają kształt spiralny, to jest skrętowy; jak gdyby pęku włosów związanych razem u jednego końca, skręconych następnie w jedną stronę, a w końcu swobodnie puszczonej. Ten kształt, który dopiero teleskop Rossa odkrył w niektórych Mgławicach, zdaje się być jednym z najogólniejszych kształtów wielkich gromad tego rodzaju ciał, a przypuszczać należy, iż okaże się nawet powszechnym, po baczniejszym ich zbadaniu siłą potężniejszych jeszcze teleskopów. Na wniosek ten zdaje się naprowadzać ta uwaga: iż wielka część tych Mgławic, które miane były dawniej za kuliste, teleskop Rossa na skrętowe rozłożył.

Te skręty ramion gwiazdzistych, są jawnym dowodem wspólności wirowego obrotu całego układu tych gwiazd, które tylko ten ruch wirowy ochrania od spotykań się po drogach obiegów, lub skupienia się w jedną masę ku środkowi. Drogi te Mleczne dojść więc już musiały do równowagi układu; lecz uleż czasu potrzebo-

wały one na to? Więcej zapewne tysięcy wieków niżli jest gwiazd w tych nieskończonych chmurach słońc.

Tu już nietylko słów w języku ludzkim, ale zabraknie pojęć myśli człowieka; bo czuje on, iż póki w glinie ciała jego duch gości, dopotąd nigdy nie wzniesie się do zrozumienia: *wieczności, nieskończoności*, nawet takiej, jaka zakreślona trwaniu i istnieniu materji. I jemużto targać się do pojęcia przedwiecznego, nieskończonego ich Stworzyciela? To kres, poza który nie przekracza rozum, tam jedna dolatuje *wiara*, to jej dziedzina!

Wszystkie te Drogi Mleczne, które wzięte razem Wszechświat stanowią, wedle dzisiejszych pojęć nauki, posiadając ruch wirowy, muszą mieć jeszcze inny, a mianowicie postępowy; bowiem inaczej uległyby koniecznemu końcowi spadnięcia na siebie. Myśl tę pierwszy rzucił astronom francuzki Laugier, wzywając do ścisłego określenia położenia w przestrzeni tych piętr Mlecznych, któreby dało możność określenia kierunku ich chodu. Myśl ta niezmiernie płodna w następstwa, nie ma jeszcze dotąd żadnych danych i zaledwo po wielu wiekach może wydać owoce.

Co za otchłań nieskończoności! Więc już nietylko Ziemia, Słońce, lecz nawet i Mleczna Droga nasza jest jeszcze niczém, zaledwo maluczką częstką Wszechświata, jednym tylko atomem pomiędzy atomami tych piętr, będących jeno prochem stóp Pana.

Ogarniając myślą budowę Wszechświata, to arcydzieło najwyższego że tak rzeknę porządku architektonicznego, widzimy w nim wszędzie ruch, harmonią i postęp. Nietylko wszystko w nim doskonałe, lecz nawet konieczne, boby inaczej istnieć nie mogło; atomu świata przemieścićby nie można, bo gdzie jest, tam być powinien, a gdzie indziej byłoby nie mógł. Wszystko w nim *ruchem*, bo żaden atom nawet nie jest w spoczynku; wszystko w nim *harmonią*, bo w tych wirach światów, żadne nie spotknie się na swój-drodze; wszystko w nim *postępem*, bo żadne z nich nie wraca na miejsce, na którym było przed nieskończonością wieków, lecz spiralnie wznosi się coraz wyżej.

I tak naprzykład, kiedy Księżycy wirując na swoich osiach obracają się wkoło swych Planet, Planety porywają je ze sobą w postępowym swoim ruchu wokół Słońca swoich, obracając się także na swych osiach. Słońca zaś same także wirując porywają za sobą cały orszak Planet, Księżyców i Komet, krążąc znowu wokół innego ogniska niewiadomego, spótem z wszystkimi gwiazdami Drogi Mlecznej, która sama musi także unosić się w przestrzeni i odbywać swe krążenia wraz z innymi Mlecznymi Drogami, jak o tém wnioskować należy. Wszystkie więc te ciała poszczególne i razem wzięte, pozornie tylko zakresłają koła w swym biegu postępowym, to jest względnie tylko do ognisk wokół których krążą; rzeczywiście zaś opisują tylko linie krzywe, rozwinięte w nieskończoność przestrzeni.

Ale cały ten Wszechświat wypełniony bezgraniczną nieskończonością złoto-promiennych światów, wydawałby się jak otchłań ciemności i śmierci, gdyby nie był cały wypełniony *eterem*, w którego lotnych falach kąpią się te światy. Onto jak gdyby na skrzydłach, tak na drgających falach swoich przynosi do nas światło tych gwiazd, i jednoczy z sobą wszystkie światy, jakby powiernik i goniec tego promiennego gwiazd języka.

Podziwiając pozorną przejrzystość nieba, amerykański filozof Emerson powiedział „iz ona na to dana, by w ciałach niebieskich roztoczyć przed człowiekiem wieczysty obraz szczytnego.” Myśliciel ten dał się złudzić pozorowi, bo nietylko atmosferze ziemskiej, lecz nawet eterowi niebieskiemu, który nam światło przynosi brak zupełnej przejrzystości. Jeśli można zupełnie za wierzyć obliczeniom Olbersa, który utrzymuje, iż eter pochłania jeden promień z 800 dosyłanych przez gwiazdę tak odległą jak Syriusz, (która potrzebuje 22 lat prawie, by światło swe dosłać do nas), toby na 30,000 takich odległości powinna całkiem ustać widzialność gwiazd.

Więc jest tama dla naszej widzialności, poza którą nie przejdziem; zasłona, której nie przenikniem: myślą chyba; i jeśliby nie było téj zasłony materialnej, toby promień widzenia poprowadzony od naszego oka do ja-

kiegobądź punktu nieba, musiałby się spotkać z którą z gwiazd téj nieskończonej ilości Słońce i Mlecznych Dróg, i całe niebiosy zlałyby się w jeden sklep jasności płomiennój, mieniając się gdzieś gdzie czerwienią, błękitem lub zielonością barw wielkiej części gwiazd, a po tém płomiennie barwném sklepieniu załedwoby rozeznąć tylko można toczące się ciemne kręgi Planet, nikłe wstęgi Komet, lub zgasłe Słońca czerniłyby gdzieś gdzie to tło jasności.

Te złoto-promienne gwiazdy toczące się w bezmiernej nieskończoności przestworów, wirujące wciąż i kołujące od tak niezliczonych lat i wieków, że przed ich bezmiarem myśl się cofa przerażona, nie są bezcelnym utworem zapełniającym jedno niebios przestwory; owszem, są one również jak i Słońce nasze ogniskami zdrojącemi życie na otaczające je Planety, które na podobieństwo Ziemi naszej, muszą być zaludnione istotami odpowiedniami warunkom fizycznym każdego z tych ciał niebieskich, a śpiewającemi spółem ze stworzeniem całym wspólny hymn Bogu Panu Stwórcy swemu.

Nakreśliwszy w ogólnych zarysach pojęcia o budowie Wszechświata, do jakich wznieść się zdołali nowocześni astronomowie od Kopernika czasów aż do dni naszych; opierając się we wszystkich tych spoglądach na niezachwianych podstawach rachunku i ścisłościach dostrzeżeń; a które jako wszelka budowa Boża postawiona w obec lichych lepianek wyobraźni ludzkiej, tak nieskończenie poza sobą zostawiły wszystkie rusztowania kosmologiczne, które rozbijała fantazyja Indyan, chaotyczne pomysły Egipcyan i dowolna wyobraźnia Greków z takim trudem wzniosły: zostaje mi jeszcze słów kilka powiedzieć o *kosmogonicznych* pojęciach nowoczesnych. Jeżeli one nie będą mogły mieć takich podstaw niezachwianych, jak te, na których zwykła budować astronomia, to jednakże znajdują wielkie poparcie w rachunku prawdopodobieństwa, a nakoniec muszą być w wysokim stopniu możliwemi, kiedy już pomijając jednozgodność domysłów w tym względzie, umysłów takich jak Tycho Brahe'go i Kepler'a, mogły one zadowolnić Herschelów, Laplace'ów, Arago'ów i Humboldt'ów. Zobaczymy na-

stępnie o ile te pomysły zgodne są z dostrzeżeniami faktami.

Jak wiemy z pierwszej księgi Rodzajów: Bóg stworzył Wszechświat z *niczego*, wszechmocnością swego słowa. Ale to „stań się” Stworzyciela, nie urządziło Wszechświatu takim, jakim jest obecnie, bo na to musiały spłynąć w wieczność wieki wieków, (tak szczytnie obrazowo przez Mojżesza *dniami* nazwane); lecz raczej stworzyło materią światorodną wszystkich tych światów, któremi wypełnione są te przestwory. Pismo święte, kosmogonia, a jak zobaczymy następnie i dostrzeżenia, najzupełniej zgodne są z sobą w tym względzie. Mojżesz powiada: „rzekł Bóg, niech się stanie światłość: i stała się światłość” (Genesis Roz. I w. 3). Światło więc znaczy, było stworzone pierwiej niżli Słońce, bo o stworzeniu Słońca mowa dopiero w następnych wersetach. Nauka, a raczej ta śmiała hipoteza kosmogoniczna, którą zamierzam wyłożyć, nie co innego także utrzymuje. Pomyślał ją Wilhelm Herschel, a przedstawił w sposób jaki poniżej przedstawimy, opierając się na faktach, które naprzód wykazać należy.

Pomiędzy tysiącami tych Mgławic, a raczej pomiędzy tysiącami tych Dróg Mlecznych, niesłusznie pod tą pierwszą ogólną nazwą znanych, są tak zwane *prawdziwe mgławice* to jest takie, które nietylko iż dotąd nie dały się rozłożyć na gwiazdy, lecz wedle słów John’a Herschel’a „nie dają się nawet domyślać żadnego gwiazdzistego stanu”. Wilhelm Herschel z katalogował 52 takich Obłoczków, które razem wzięte i zebrane zająłby mogły 270tą część widomego sklepu niebios. Kształt ich podobny w tém do niektórych obłoków atmosferycznych, jest niezmiernie nieokreślny i nieprawkidłowy; wyraźny niekiedy z jednej strony, a najzupełniej nikły z drugiej; i częstokroć rozstrzępiony w długie nieprawkidłowe ramiona. W takichto Obłoczkach a raczej chmurach materji kosmicznej, rozdartych i rozszmatowanych tak dalece, iż w ich wnętrzach dostrzegać się dają wielkie ciemne przestwory, kilka lub kilkanaście punktów jaśniej świecą. Oczywista, iż nie może to pochodzić z grubszego w tém miejscu słupa materji, boby na to potrzeba było dziwne-

go trafu, który rachunek prawdopodobieństwa wręcz odrzuca; lecz musi to pochodzić z większego zgęstnienia jej w tych miejscach.

Niektóre znów mniejsze Mgławice mają kształt zupełnie prawie krągły lub eliptyczny, i prawie zawsze ku ich środkowi jest punkt bardziej świecący, co jeszcze bardziej nie mogłoby być przypadkowym i świadczy także o większym ich skupieniu ku środkowi. Właśnie pomiędzy temi ostatnimi Obłoczkami daje się czasem spostrzegać wązka smuga tej materji, która je niby wiąże jeszcze z sobą i jak gdyby świadczy o wspólności ich pochodzenia. Dodać przytém jeszcze należy, iż pomiędzy samemi gwiazdami są takie, które jak gdyby mgłą jakąś otoczone w pośrodku niej świecą tak, iż uzyskały sobie nawet nazwę Gwiazd Mgławych. Są one tak wielkie, iż niektóre z nich mają po ósm średnic drogi Urana.

Mając te fakta przed sobą, Wilhelm Herschel po głębokim ich rozważeniu wpadł na następny genialny pomysł. Najprzód stworzoną być musiała materja światłorodna (kosmiczna), której nieskończone chaotyczne chmury zalegały bezgraniczne przestwory; materja ta światłorodna zarazem, ulegając wszystkim prawom jednocześnie z nią stworzonym, to jest ruchowi i ciężeniu, zaczęła się skupiać koło kilku punktów, a ztąd też rozrzedzać w drugich, co ją nakoniec musiało doprowadzić do rozdarcia pierwotnego Obłoczka i rozdzielenia się na kilka innych pomniejszych, przedzielonych od siebie ciemnymi przestworami już całkiem opróżnionymi z światłorodnej materji, a połączonemi z sobą zaledwo wąziutkimi smugami, a raczej niciami tej materji niezmiernie już rozrzedzonej. Następnie pojedyncze te Obłoczki zaczęły okrągleć i blask ich zaczął się zwiększać ku środkowi, aż doszły do utworzenia *jądra*, coraz bardziej z biegiem wieków świecącego, które się następnie przeistoczyło w gwiazdę *mgławą*, to jest w gwiazdę otoczoną pierwotną niedoskupioną jeszcze mgławością, a nakoniec przeobraziła się w gwiazdę *prawdziwą*. Gwiazdy te znajdujące się w pobliżu siebie, przyciągały się wzajem opustoszczając całkiem przyległe przestrzenie, i siłą kolistego swego ruchu, zrównoważywszy siłę ciężenia odśrodkową siłą

wiru, doszły nakoniec do utworzenia pokładów Dróg Mlecznych.

Cała powyższa hipoteza oparta jest, jak widzimy, ściśle na faktach, bo wszystkie wymagalne przez nią stany, przez które przechodzić musi materya światorodna, aż się na gwiazdy przetworzy, najwierniej nam przedstawiają Mgławice; z tą tylko różnicą, że to co potrzebowało potoku milionów wieków dla stania się, ogarniamy jednocześnie jednym rzutem oka obejmując cały ich ogół; bo każda z nich znajduje się w którymś bądź z powyższych stanów. Zanim zaś dostrzeżenia wykonane ze wszelką możliwą ścisłością staną na świadectwo hipotezie tego genialnego astronoma i na poparcie słów jego wyrzeczonych o Obłoczku Oriona „dowodłem zmian,” to jest zanim dostrzeżenia będą mogły to zdanie sprawdzić, możemy już śmiało i stanowczo twierdzić z nim razem, że tworzenie się światów dotąd nie ustało ani na chwilę, od chwili kiedy „stań się” Stworzyciela rozgrzmiało ponad otchłanią nicości i z *niczego* stworzyło tę światorodną glinę, która się skupiła we Wszechświatach zdobny wszystkimi przymiotami harmonii, piękna, prawdy i dobra, któremi Pan raczy wieńczyć dzieła swęj Prawicy.

To dopiero dzieje powstania Słońca: przejdźmy teraz do utworzenia się Planet, Księżyców i reszty ciał Układu Słonecznego.

Należy tu roztrząsnąć dwie słynne hipotezy nowożytny: jedną Buffon'a, a drugą Laplace'a. Zaczniemy od pierwszej.

Buffon przypuszcza, że wielki jakiś kometa uderzył ukośnie o Słońce, odtrącił od jego ciekłej powierzchni część materyi składającej je, która się rozprysnęła w przestrzeni, i że te krople rozbryzgnięte skutkiem uderzenia komety uszeregowały się stosownie do swojej ciężkości gatunkowej: lżejsze odległej, a cięższe bliżej Słońca. Temi rozbryzgniętymi kroplami ciekłej materyi słonecznej, z czasem oskorupionej, są Planety; podobneż uderzenie komet o Planety utworzyły z nich ich Księżyce.

Hipoteza Buffon'a podlega niezmiernie wielu zarzutom. Najprzód oparta jest na zupełnie dowolnym przy-

puszczeniu uderzenia komety o Słońce, nadajacém przytém temu komecie masę i siłę, którą te ciała nie zdają się móżd posiadać. Wtóre, uderzenie to komety o Słońce, mogłoby tylko tłumaczyć zjawiska jednakiego kierunku obrotów wszystkich planet i wspólności płaszczyzny ich obiegu, lecz nie objaśnia bynajmniej wspólności kierunku wiru planet i ich obiegów, ponieważ te mogłyby być wręcz przeciwnemi sobie; obiegając wokół Słońce z zachodu na wschód, planety mogłyby wirować i ze wschodu na zachód. Potrzebie, wedle praw mechaniki ciała te powinnyby powracać co każdy obieg do punktu wyjścia swego, to jest w dorocznych swych obiegach, planety powinnyby potrać o Słońce z którego powstały, bo ztamtąd ten ruch obiegowy im został nadany uderzeniem komety. Wiemy, że tak nie jest. Ostatni nakoniec zarzut obalający powyższą hipotezę, jestto przypuszczony stan ciekłości materji Słonecznej, a mianowicie jego powierzchni, która, jak udowodnioném obecnie zostało jest w stanie gazowym.

Hipoteza Buffon'a ostać się długo nie mogła krytyce naukowej; odrzuconą téż wręcz została obecnie.

Przejdźmy teraz do drugiej zbudowanej na podstawach pewniejszych.

Najsceptyczniejszy i najgenialniejszy zarazem umysł matematyczny Laplace'a, który tylko budował na liczbach, a umiał wyprowadzać z tych cyfr najwznioślejsze prawdy kosmologiczne (jak matematyczne dowody nieograniczonego trwania budowy naszego Słonecznego układu), tak, iż śmiało da się o nim powiedzieć, co Lukrecyusz wyrzekł o Empedoklesie: „iż wydobył on ze świątyni swęj duszy stokroć świętsze i pewniejsze przepowiednie od tych, które z trojnoga ogłasza Pithya Feba, strojna w wieńiec wawrzynowy,” astronom ten, powiadam, znalazł hipotezę Herschel'a najzupełniej zadowalniającą, i nawet tak dalece, iż mógł ją przyjąć za podstawę swojęj *planetologii*, którą oparł na faktach poniższych.

Rozważając ogół kierunku ruchu układu Słonecznego, nie mogą nie uderzyć fakta następane. Najprzód, Słońce obraca się na swęj osi z zachodu na wschód; wtóre, wszystkie Planety i ich Księżyce mają ruch wi-

rowy z zachodu na wschód; trzecie, wszystkie Planety bezwzględnie krążą wokół Słońca z zachodu na wschód w płaszczyznach niewiele krzyżujących się z sobą, i na niewiele stopni zbaczających od płaszczyzny równika Słonecznego; następnie, iż drogi tych planet niewiele różnią się od kół; na koniec, iż Księżyce krążą wokół swych Planet także z zachodu na wschód, i także niewiele odchylają się od płaszczyzn równików swych planet, i niewiele odchodzą od prawidłowych kół. Wyjątkiem z tego powszechnego prawa są Księżyce Urana kołujące w dorocznych obiegach ze wschodu na zachód, po drogach znacznie pochyłych do płaszczyzny równika planety.

Ogół tych ruchów jednokierunkowych, który do czasów Laplace'a wynosił liczbę 43, tak dalece nie wydawał mu się być dziełem przypadkowego trafu, iż rachunkiem prawdopodobieństwa dowiódł, iż można postawić cztery tysiące miliardów przeciw jedności, iż musi to mieć jakąś przyczynę fizyczną; a wedle słów jego: „jestto prawdopodobieństwo nieskończenie wyższe od tego, na którym opieramy pewność najniezachwiańszych faktów dziejowych, o których rzeczywistości bynajmniej wątpić sobie nie pozwalamy;” prosi też on więc o tyleż wiary dla swego przypuszczenia: iż pewna pierwotna fizyczna przyczyna, musiała przewodniczyć ogólnemu kierunkowi ruchu planet. Co się zaś tyczy tego jeszcze faktu, iż Księżyce odbywają w równomiernym czasie ruch wirowy wokół osi, i obiegowy w okół swych Planet, to już całą nieskończoność stawiał przeciw jedności, że tylko ścisły węzeł fizyczny mógł być tego przyczyną.

Hypoteza, którą podał Laplace, następna.

Kiedy Słońce nasze kiedyś, przed wiekami, było jeszcze w epoce tworzenia się, mgławość jego musiała sięgać aż do krańców, w których obecnie krąży ostatni planeta; ciało to musiało wówczas obracać się ruchem wirowym z zachodu na wschód; ten ruch musiał mu być nadany jakąś siłą pierwotną, która dotąd dla nas zostaje tajemnicą i pozostanie nią na zawsze, jeżeli istotnie jest siłą pierwotną, bo do przyczyny przyczyn napró-

znobyśmy się wdzierać kusili: tój nigdy człowiek nie dosięgnie; lecz po wielu wiekach Mgławica ta ulegając sile przyciągania się cząstek, zaczęła doznawać coraz większego stopniowego skupiania się, a tём samém i coraz szybszego wirowania. Jeżeli materya obłoczko-wa sięgała pierwotnie w części równikowej do granic, w których siła odśrodkowa wynikała z wirowego ruchu tój massy, zrównoważała siłę przyciągania jądra: to cząsteczki jój leżące na tój granicy, musiały w czasie skupiania się oddzielić od reszty Obłoczku i utworzyć w pasie równikowym pierścien, obracający się oddzielnie z szybkością pierwotną. Takie oddzielania się pierścieni musiały kolejno powtarzać się w rozmaitych epokach, i w ten sposób musiał powstać cały ich szereg, zawarty zawsze w jednej płaszczyźnie równika Słońca, a kołujący z różną szybkością i tём większą, im późniejszą była epoka utworzenia się pierścienia.

Lecz kiedy w kolei czasów pierścienie te skutkiem skupienia się powolnego, przeszły w stan trochę gęstszego gazu; to zachowanie ich nieograniczone w kształcie pierścieniowym, wymagałoby niepodobnego prawie warunku, mianowicie składu najściślej jednakowego we wszystkich częściach pierścienia. Każde więc z nich musiało się przełamać na kilka części oddzielnych, a z powodu płynności swój przybrać kształt kulisty, zachowując swój ruch postępowy, a nadto nabywając ruch wirowy. Ruch zaś wirowy z konieczności musiał przybrać kierunek ruchu postępowego, ponieważ dolne cząstki składające pierścien, posiadały mniej szybkości od górnych. W tento sposób powstało tyleż Planet w stanie gazu, ile było rozłamów pierścienia. Lecz jeśli który z nich z powodu przemagającej massy, wynikłej skutkiem nierównego rozłamania się pierścienia, zdołał przyciągnąć wszystkie inne do siebie: to cały ten pierścien gazowy przeobraził się w jedną tylko masę kulistą kołującą wokół Słońca i wirującą na osi swój w kierunku kołowania.

Ten drugi przypadek miał miejsce w utworzeniu się prawie wszystkich Planet; pierwszego zaś jeden tyl-

ko przykład widzimy, a mianowicie w pierścieniu Planetoid krążących pomiędzy Marsem i Jowiszem, i to jeszcze jeśli one nie są raczej szczątkami jednego, wielkiego Planety, który się rozprysnął na cząstki, jak to Olbers utrzymuje.

Raz utworzone Planety, znajdując się jeszcze w stanie gazowym, zaczęły także skupiać się powoli, i w tenże sam sposób, tak samo jak w Mgławicy Słońca skupienie musiało utworzyć w rozmaitych kolejno-przechodowych granicach ich atmosfer, takiż szereg pierścieni, które się następnie rozłamały, przeobraziły w Księżyce, lub zachowały dotąd w stanie pierwotnym, czego jedynym przykładem są pierścienie Saturna. Wszystkie zaś one kołując w płaszczyznach równików swych Planet, po drogach prawie kolistych, w kierunku powszechnym z zachodu na wschód, wirują także w tymże samym kierunku na osiach swoich. Nakoniec po upływie nieskończonych lat, Słońce nasze musiało dojść do obecnego swego stanu, a Planety i Księżyce przeszedłszy przez stan płynny, doszły nakoniec do stanu pozornie stałego, a raczej oskorupiły się niezmiernie cieniuchną warstwą, która jednak służy niezachwianą posadą całemu organicznemu stworzeniu, a na planecie naszym dana człowiekowi jako doczesne jego królestwo.

Te cząstki słonecznej atmosfery, które wciąż za nią zostawiane nie mogły się skupić w pierścieniu, ani przyłączyć do Planet, z powodu niezmierniej swój nikłości, krążą dotąd w postaci Zorzy Zwierzyńcowej w płaszczyźnie równika Słońca, w tychże samych przestworach, w których pierwotnie zostały zostawione, zachowując i szybkość pierwotną; dlatego zaś nie stawiają tamy krążeniu ciał układu, iż są niezmiernie nikłego składu i że ruch ich musi być prawie równy ruchowi Planet, w których drogi wchodzą, a w jednakim odbywać się kierunku.

Jedne tylko komety, wedle hipotezy Laplace'a nie były nigdy częściami tej Mgławicy, z której powstały ciała układu Słonecznego; są one, wedle niego małemi oddzielnymi Mgławicami, błędzącemi od gwiazdy do gwiazdy, a utworzonymi ze zgęstnionej materii światło-

rodnej, z taką obfitością rozpostartej we Wszechświecie. Oneto wedle hipotezy Laplace'a, jeszcze w epokach tworzenia się Słońca, Planet i Księżyców musiały się wnużać w ich atmosfery, a wpadając na te ciała, uderzeniami swemi zdołały pouchylać je nieco w tę lub owę stronę od płaszczyzny równika Słońca, to jest pozbaczać je z pierwotnych płaszczyzn dróg i pozmieniac kierunek ich osi. Toż samo zrządzić musiały i z Księżycami względnie do równików ich Planet. Niektóre z Komet tamowane w swym biegu środkiem oporowym lub nadmiarową siłą przyciągania planet, nie zdołały już wyjść nigdy ze sfery działalności Słońca i przeszły w stałe członki jego układu.

Splaszczzenie dostrzeżone u biegunów Planet, również jak i Ziemi naszej, łącznie z geologią przychodzą także złożyć swoje dowody na poparcie hipotezy Laplace'a o płynności stanu, w jakim się znajdować musiały wszystkie Planety, zanim przybrały ten kształt splaszczony, który posiadać mogą tylko ciała płynne, mocą siły odśrodkowej, wynikły z wprowadzenia ich w ruch wirowy.

Z powyżej rzezonego widzimy, iż hipoteza Laplace'a objaśnia prawie wszystkie zjawiska Układu Słonecznego; a mianowicie: zupełną prawie kolistość dróg Planet i Księżyców, niewielkie zboczenia tych dróg od równika Słońca i równików Planet, i wspólność kierunku ruchów wirowych i postępowych tych wszystkich ciał z kierunkiem wirowania Słońca; a objaśnia to z tak wielkiem prawdopodobieństwem, iż jeden z najznakomitszych astronomów naszego wieku a zarazem wymowny sprawozdawca i sędzia zasług Laplace'a, mógł wyrzec z największą słusnością: iż „pomijając niektóre opuszczenia, pomysły autora *Mechaniki Niebieskiej* są jednak jedyne, które wielkością, spójnością i charakterem swym ściśle matematycznym, mogą być przyjęte za prawdziwą kosmogonią fizyczną; i jedyne, które znajdują dziś wielkie poparcie w wypadkach ostatnich badań astronomów nad Mgławicami wszelkiej wielkości i wszelkiego kształtu, któremi sklep niebios usłany (*Notices Biographiques* t. III p. 511 F. Arago).

Oto są nowożytnie pomysły kosmogoniczne. Jakaż przepaść nieskończona przegradza je od fantazyi kosmogonicznych całego Wschodu? Tam gdzie starożytnych zadowalnia *wyobraźnia*, nowożytni *matematykę* za kamień probierczy stawiać usiłują; a gdzie tamci nagnają fakta do swoich pomysłów, przemilczając wręcz im sprzeczne, to ci wprost tylko wczytują się w fakta, a po głębokim ich rozważeniu do wniosków przechodzą.

Lecz jakaż za to bezmierna różnica w otrzymanych plonach, pomiędzy dziecinnością i maluczkością pomysłów jednych, a prawdziwością i wielkością wniosków drugich? Tamte już niezdolne zadowolnić nawet dzieci, a te ogniom młodości i powadze geniuszów wystarczają.

Lecz nadto jeszcze głęboka się z tych praw źródli prawda filozoficzna, a oczywista dla każdego rozumu nieuprzedzonego. Jestto owoc, który tylko dojrzałość nauki wydać mogła, i jeden z najszczytniejszych jaki kiedykolwiek wydała.

Ten świat, który starożytność cała miała za przedwieczny, niezmienny i tożsamy, zgłębiony bliżej, nosi na sobie wszystkie cechy rozwijań się, przetwarzań i postępu; czy to zbadany w geologicznych pokładach tego atomu który Ziemią zwiemy, czy téż rozważony w stanach, kształtach i ruchach tego bezmiaru, który zwiemy Wszechświatem. Materya nosząca na sobie ślady kształceń, przekształceń się i doskonalień, musi mieć początek w *czasie*, nie posiada bowiem cech rzeczy *wiecznych*, jakimi są niezmiennność i najwyższa doskonałość, wyłączająca wszelki postęp jako już niemożliwy; musiała więc powstać w *czasie* to jest być *stworzoną*. Siły prądu życiowego nie miałyby w sobie, jeśliby ona nie była w nią włożona wyższą odeń potęgą, która ogół całości, i najdrobniejszy jój szczegół, wedle jednego planu urządziła. Wrzechświat więc jest dziełem Stworzyciela, a ręka Arcy-Mistrza spoczywa dotąd na swém arcy-dziele.

A teraz ogarnijmy raz jeszcze lecz już myślą *wiedzy* ten Wszechświat cały, sięgnijmy wzrokiem w niebiosą uczynioną słowem Pańskim (psalm 28) i wyznajmy, czy nauka nie wznosi skrzydeł ducha? czy myśl jój światłem oświecona przeszedłszy stopniowo na jój pośrednictwem

przez piętrowe szczeble nieskończoności i wieczystości, nie głębiej pojmuje pełnię chwały, mądrości i miłości Stworzyciela? czy nie dościga szczytów pokory, nie roztlewa głębszą wiarą a żywszą miłością nie rozgorywa, wejrzawszy *rozumieniem* na „wielmożność Tego, który się przyoblekł chwałą i ozdobą; przyodział się światłością jako szatą, a rozciągnął niebiosą jako oponę” (psalm 104)? Czy serce nie zdrzży tajemnym biciem zachwytu, gdy przypatrując się „Niebiosom, dziełu palców Jego, miesiącowi i gwiazdom które wystawił” (psalm 8) zrozumie uroczystą ich wymowę? „bo niebiosą rozpowiadają chwałę Najwyższego, dzień dniowi opowiada słowo, noc nocy podaje naukę; a nie masz języków ani mów, któreby nie słyszały głosów ich” (psalm 18).

Wówczas w głębokiej pokorze uznania nicestwa swego w obec wszechmocnej wielmożności i nieskończonej wielkości Stworzyciela, twarzą w prochu duch nasz woła z królem psalmistą. „Cóż jest człowiek iżże nań pamiętasz? albo syn człowieczy iżże go nawiedzasz? Uczyniłeś go mało co mniejszym od aniołów, chwałą i czią ukoronowałeś go i postanowiłeś go ponad dziełami rąk Twoich” (psalm 8). Nas marny proch i nicestwo raczyłeś ugodnić na własne syny, przybrane w nieśmiertelności wieniec, mające prawo zwać Ciebie swym Ojcem! Ciebie króla i mocarza, którego imię zgłoskami Słońce pała na Niebios sklepie lazurowym, którego chwały niezdolny objąć ten Wszechświat cały, wywiedziony z nicości stwórczą wszechmocą *stań się* Twojego! bo „Ty Panie sam, Tyś jeden uczynił Niebo i Niebo Niebios i wszystkie zastępy ich” (księga 2. *Ezdraszowa* roz. IX) „ale one poginą, jedno Ty Boże zostaniesz, i wszystkie jako szata zwiotszeją, i jako odzienie odmienisz je i odmienia się, ale Ty tenżeś jest i lata Twoje nigdy nie ustaną!” (psalm 101).

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Eugeniusz Delacroix w Akademii. — *Quatre ans de règne, où en sommes-nous?* przez Dra Verona. — Raport pana Sainte-Beuve o dziełach dramatycznych. — Opera Verdego *Rigoletto*. — Połów pereł. — List wydawcy piosneczek Bérangera. — Wiadomości literackie.

Na miejsce zmarłego Pawła Delaroche, akademia sztuk pięknych obrała swym członkiem Eugeniusza Delacroix. Przyjęcie w poważne koło klasyków naczelnika szkoły romantycznej, któremu jeszcze tak niedawno nieprzyjaciele odmawiali nawet talentu, a przyjaciele klaszcząc nakłaniali do umiarkowania, nie zdziwiło tu dziś nikogo; przeciwnie, prócz małej liczby współzawodników, jak Lehman, Larivière, Hesse i Signal, którzy jednocześnie z panem Delacroix pretendowali do fotelu akademickiego, obiór jego ucieszył większość, nikomu zaś dziwnym ani niestosownym się nie wydał. Nowyto dowód błahości opinii publicznej, która zawsze poświstem wita rodzącego się geniusza i dopiero potęgą jego złamana u nóg artysty się kładzie.

Walka ta wszędzie męcząca i długa, we Francyi przeciąga się najdłużej, bo tu dzieła sztuki najmniej podobno entuzyazmują ludzi. Uszczypliwy dowcip francuzki celuje w wynajdywaniu słabych stron każdego talentu; odkrycie plamy daleko większą sprawia mu przyjemność jak stwierdzenie piękności. Balzak powie-

dział, że admiracya jest zawsze wysileniem dla rodzaju ludzkiego: trafna ta uwaga stosuje się szczególnie do Francuzów. Skłonność do admiracyi dzieł sztuki, nie wiem udana czy prawdziwa, ale tak powszechna teraz w Polsce, przeciwna jest naturze francuzkiej, której najwybitniejszą cechą próżność. Kto uznaje piękność lub wielkość cudzego dzieła, stawia się tém samém we względnej niższości; nadto, jeżeli dzieło jest nowe, naraża na szwank swój sąd, który może nie być potwierdzony przez większość i podać w śmieszność sędziego, jeżeli zapoznany geniusz na wierzch nie wypłytnie. Wierzyć w talent artysty kiedy wielkie dzienniki zaprzeczają mu go poważnie, a małe nań ujadają jak zgraja piesków pokojowych, jestto odwaga, na którą Francuz zdobyć się nie może. Odważny aż do szaleństwa w narażaniu życia, nieśmiały jest jak dziecko, ilekroć przyjdzie narazić miłość własną. Dlatego Francuz przyjmuje łatwo tylko już ustaloną sławę, rodzącą się próbuje i waży z przezornością lichwiarza obawiającego się, ażeby miedzi nie wziął za złoto.

W tych estetycznych badaniach nie powoduje Francuzem uczucie, bo go nie ma; ani wrodzony artyzm włoski, bo go również nie posiada: jedynym doradcą jego jest rozum, który jak zawsze w kwestyach nie-realnych, waha się, maca, i zdecydować się nie może, w końcu obiera jeden z dwóch najpewniejszych sposobów ominięcia Scylli i Charybdy, których chwytają się zawsze dbający wielce o swą godność sędziowie: milczy lub szydzi.

Ileż walk stoczyć, ile polemik przeprowadzić, ile potrzeba było napisać artykułów przez lat dwadzieścia, żeby wpoić w ogół to zdanie tak uziś powszechne, że Eugeniusz Delacroix jest wielkim malarzem, godnym stanąć obok najpiérwszych włoskich kolorystów. Odważni krytycy, uczniowie i mała liczba przekonanych, którzy propagowali wówczas to zdanie, uważani byli za

szaleńców zarażonych wścieklizną; kobiety błagały ich, żeby zaniechali swych niezdrowych paradoxów; redaktorowie dzienników pokazywali z kwaśną miną listy otrzymane od zagniewanych abonentów: wszyscy krzyczeli chórem, że Delacroix nie ma pojęcia o malarstwie. Byli i tacy, co pędzel jego przewalili pijaną miotłą: porównanie niezbyt trafne, ale w tym wypadku klassycy byli mniej trudni w wyborze porównań.

Znając pozytywny umysł Francuzów pojąć łatwo, że jeżeli kogo, to ich razić musiał sposób malowania Delacroix. Niepoetyczny, trzeźwy i rozsądny naród musiał koniecznie krzywo patrzeć, zanim się z nimi oswoił, na te obrazy, których główną cechą namiętna śmiałość i kolor. Szkoła francuzka nigdy nie blyszała kolorytem, nie więc dziwnego, że nawet oko artystów przyuczone do zmroku, nie mogło długo patrzeć w tak słoneczne obrazy, jak *Łódź Danta*, *Rzeź Scio*, *Medea*, *lipcowa wolność* i tym podobne; uczniowie Davida doznać musieli przed pierwszym obrazem Delacroix wrażenia podobnego temu, jakie sprawiło pierwsze przedstawienie *Hamleta* na wielbicielach *Wolterowskiej Zairy*.

Że takie a nie inne koleje przechodził Delacroix zanim doszedł do sławy, nie dziwnego; ale to dziwnym wydać się może, że Ingres przechodził je także i równie gwałtowne jak Delacroix wywoływał w swoim czasie krytyki. Surowy styl Ingra niemniej raził jak jaskrawa paleta Delacroix. Olimpijski spokój pierwszego i jego czysto idealne kontury tyleż budziły wstręt, ile realne i do dna wzburzone obrazy drugiego. Pierwszemu zbyt marmurowość, drugiemu zbyt zarzucano cieleśność: rzecz godna uwagi, że wtedy romantycy bronili Ingra, a potępiali go klassycy.

Fakt ten dziwny na pozór, wyda się naturalny każdemu, kto się bliżej nad nim zastanowi. Obaj ci mistrze tak różni na pierwszy rzut oka, czerpią natchnienie

z najwyższych, prawdziwych źródeł sztuki: Ingres rysuje tak jak niegdyś rysowali Grecy; Delacroix koloruje jak Veronezy i Rubensy.

Paryzka wystawa powszechna rozstrzygnęła wreszcie stanowczo zbyt długie spory o miejsce, jakie obu mistrzom przysądzić należy w hierarchii malarskiej: świetne dzieła Ingra i Delacroix pozyskały palmę pierwszeństwa na ogólnym popisie, a przez znawców z całego świata uznane zostały za koronę wspaniałej wystawy francuskiej.

Jakkolwiek przyjęcie pana Delacroix na członka akademii w niczem zasługi jego nie powiększa, jestto zawsze wypadek pożądany dla wielbicieli szkoły, którą mistrz ten tak wysoko podniósł. Delacroix z rozwiniętym sztandarem romantyzmu wszedł do starej klasycznej cytadeli, tak długo nieprzystępnej rycerzom tego godła: tam zasiadłszy między patryarchami, otoczony gronem Jobów i Magnusów, którzy nie wiedzą już co się pomiędzy ludźmi dzieje, będzie im malował burze miotające duszą tegoczesnego artysty; będzie opowiadał swe potyczki, turnieje, i to, jak wreszcie zwyciężywszy nieprzyjaciół, został powołany do malowania kaplic i kościołów, gdzie tysiące allegorycznych postaci wskrzeszonych czarodziejską mocą jego pędzla, żyje i dziękuje mu za wyzwolenie z żelaznych więzów, w które je zakuła stara pedantka—rutyna.

Są atoli tacy, co spodziewają się, że nie Instytut ulegnie wpływowi nowego członka, ale malarz przemieni się pod wpływem Instytutu: przypuszczenie to wydaje nam się nieprawdopodobne. Gdyby Delacroix chciał nawet, nie potrafiłby się hamować: indywidualność jego malarska nadto jest potężna, żeby na niej jakiebądź wpływy odcisnąć się mogły. Nie Delacroix włada swym pędzlem, ale pędzel nim włada; talent unosi go jak rozbiegany rumak Mazepę po przez stepy, lasy, rzeki, wąwozy i zarośla, aż w końcu pada u mety

z omdlałym jeźdźcem, który skoro zmysły odzyska, powstaje jak tamten hetmanem.

Oddawna zapowiadana książka Veron pod napisem: *Quatre ans de règne, ou en sommes nous?* wyszła z druku w tym tygodniu. Były redaktor *Constitutionela*, dziś członek ciała prawodawczego, położył na czele swego dzieła wielki znak zapytania, na który dokładnie mógłby tylko odpowiedzieć kompletny bilans zewnętrzny i wewnętrzny położenia Francyi. Jaka jest jej polityka? jaki stan finansów? jakie korzyści z przymierza z Anglią? Zdawałoby się, że wszystkie te kwestye mieszczą się koniecznie w tém jedyném pytaniu: *ou en sommes nous?* i że niepodobna, aby jeden człowiek mógł na nie odpowiedzieć. Ale szanowny doktor przed taką bagatelą się nie cofa; Veron posiada wszystkie szlachetne ambicje genialnego encyklopedysty: na przemiany moralista, romansopisarz i historyk, dowodzi ciągle, że nic mu obcém nie jest; z godną podziwu łatwością przerzuca się od intrygi miłosnej do maszyny rządowej; z tą samą znajomością rzeczy daje dziś rady władzy, z jaką wczoraj dał publiczności przepis zupy à la Kremuski. Godna podziwu intelligencja doktora przebiega całą gamę wiedzy ludzkiej poczynawszy od rozbioru najwyższych kombinacji politycznych, aż do przypraw kuchennych. Wolter, który dotknął wszystkich kwestyj swego czasu, nie był przecież tak uniwersalny jak Veron.

W nowém swém dziele Veron czyni przegląd senatu, ciała prawodawczego, rady stanu, dziennikarstwa i o wszystkich tych rzeczach zdanie swoje daje; o sobie jednak mówi najwięcej: „Zrobiłem to lub owo;” „dałem inicjatywę do tego lub owego przedsięwzięcia,” „pierwszy głosowałem na podatek od psów,” „przepowiedziałem to kiedy byłem dyrektorem *Constitutionela*”

i t. p.: oto wiadomości, które najczęściej w historii czterech lat panowania napotkać można, gdyż innych nie znaleźliśmy wiele.

Rozpoczyna książkę wykaz trudności, z którymi rząd walczyć musiał od czasu wstąpienia na tron Ludwika Napoleona: cholera, nieurodzaj, wojna, wylewy, utrudniały naprzemiennie trudne położenie Francji. „Jednak mimo te plagi, mówi Veron, Francja w tych czasach niejedno obchodziła święto; nigdy może nie widzieliśmy w stolicy więcej wywieszonych chorągwi i wspanialszych illuminacyj jak w ciągu kilku lat ostatnich.” Autor szeroko się rozwodzi nad potęgą czteroletnich rządów, żeby, jak powiada, „miał prawo sądzić surowo trudności, jakimi przyszłość brzemienna.”

Jakie są te trudności? a naprzód czy istnieją rzeczywiście? Tego od Verona dowiedzieć się nie można: jednocześnie twierdzi, że są i że ich nie ma. Pierwsza połowa dzieła kończy się tém, że: „przez wybory powszechne Napoleon III przyrósł do ziemi francuskiej i zapuścił w nią korzenie jako dąb stuletni, którego gałęziami są: senat, ciało prawodawcze i rada stanu. Dzięki wybrańcowi ośmiu milionów, druga połowa dziewiętnastego wieku skończy się lepiej niż się zaczęła.”

Przyszłość jest więc zapewniona, i wszystko idzie jak najlepiej? Bynajmniej: autor zaprzecza temu w dalszym ciągu. To co jest, jest niezawodnie dobre, ale nie zupełnie. „Potrzeba koniecznie, mówi doktor, domagać się, z winnym respektem, niektórych zmian i ulepszeń w prawach wywołanych nieszczęściami kraju.” Dalej Veron cieszy się „że huragany systematycznej opozycji, i burze koalicji, nie huczą nigdy w umiarkowanej strefie ciała prawodawczego”; na następnej zaś karcie mówi, że „cisza sprzyja myśleniu, jeżeli więc się objawi jakiś zły prąd w opinii publicznej, będzie to wina milczenia prasy.” W końcu woła: „Milczenie dzienników i ograniczona władza ciała prawo-

dawczego, oto niebezpieczeństwa zagrażające Francyi tak teraz jak na przyszłość."

Jakże pogodzić to wszystko? Za którym ze zdań autora się oświadczyć? Wypada-li utyskiwać z nim razem na małomówność prassy francuzkiej, czy cieszyć się Olimpijskim spokojem ciała prawodawczego? To już do nas nie należy. Czekając aż się sam autor zdecyduje, zapisujemy tu kilka słów, któremi jeden z najdowcipniejszych dzienników paryzkich definiuje książkę Verona:

„Où en sommes-nous ?

— Vous en êtes au radotage, mon pauvre docteur!

Si vous posez la question de cette autre manière: Où allons-nous? on vous répondra d'une voix unanime:

— Ah! malheureux! vous n'allez pas à la postérité!"

Monitor ogłosił raport złożony ministrowi oświecenia przez komisyją wyznaczoną do rozdania premiiów za najlepsze dzieła dramatyczne przedstawione w teatrach paryzkich w ciągu zeszłego roku. Członkami komisyji są: pp. Lebrun, Mérimée, Scribe, Nisard, Doucet, Rolle, Teofil Gautier, Edward Thierry, Sainte-Beuve i Cabanis. Prezydował p. Baroche prezes rady stanu, pan Sainte-Beuve układał raport. Niniejsze sprawozdanie ciekawe jest jako pogląd oficjalny reasumujący całoroczne prace dramaturgów francuzkich. Najwyższy sąd, jaki o nich wydał paryzki areopag literacki wydaje nam się ze wszech względów zasługiwać na uwagę; dlatego przytaczamy tu w całości raport pana Sainte-Beuve, który brzmi jak następuje:

„Panie ministrze."

„Komisyja, której poruczyłeś wskazać z pomiędzy dzieł dramatycznych nadesłanych na konkurs i przed-

stawionych w 1855 roku, najgodniejsze nagrody, naznaczonej ministeryalnym dekretem z 12 października 1851: ma zaszczyt przedłożyć waszej excelencyi rezultat prac i obrań swoich.

„Komissya wzięta naprzód pod rozwagę sztuki cztero lub pięcio aktowe, przedstawione w Théâtre Français, które zyskały powodzenie, oraz odpowiadały poniekąd wszystkim pożądanym warunkom uczciwego celu i świetnej reprezentacji.

„Zastanowiwszy się nie bez pewnego zadowolenia nad dwiema sztukami, jedną dość efektowną, ale nadto powikłanej intrygi i naciąganej moralności (*La Joconde* Pawła Foucher), drugą subtelną i miłą, zapewne moralną w gruncie, ale lekką co do formy (*Périt en la demeure*, Oktawa Feuillet), komissya wzięta pod szczególną rozwagę komedią napisaną z wielką łatwością, oraz z rzadką już dziś prostotą i humorem.

„*Les Jeunes Gens* pana Leona Laya są miłém powtórzeniem ulubionego tematu starych komedyj, w których przedstawiano zawsze dwóch ojców, lub dwóch wujów: jednego co pobłaża, drugiego co karci, na to, żeby ostatecznie wykazać korzyści łagodnego, a wady srogiego obchodzenia się z młodzieżą. Zachwalany i polecany ten sposób łagodnego postępowania jest zdaniem naszym bardzo względny: powodzenie jego zależy całkowicie od dobrej natury dziecka. Postępowanie takie udaje się w rodzinie czasem, w teatrze zawsze. Trzeba zapewne, jak mówi przysłowie, żeby młodość wyszumiała; ale taka moralność nie odpowiada celowi wskazanemu przez dekret ministra; pan Laya moralizuje ojców nie synów, a skutek téj moralności taki, że skoro skarcony rano za jakieś przewinienie syn, przyjdzie wieczorem z ojcem na przedstawienie *Młodych ludzi*, zapyta go niezawodnie z poufałością upoważnioną nowoczesnym obyczajem: „Po-

wiedźże mi teraz, papo, kto z nas dwóch miał sztukę? Widzisz wyraźnie że ja!”

„Dla powyższych względów, komissya chociaż oddaje wszelką sprawiedliwość talentowi autora, i zachęca go szczerze do rozwijania tak znakomitych zdolności, nie mogła jednak, z wielkim swym żalem, oświadczyć się ostatecznie za jego dziełem, i przyznać panu Laya rządowej nagrody.

„W innych teatrach, komissya znalazła wiele sztuk zasługujących na rozbiór, ale przedewszystkiem zajęła się komedią uderzającą tak z powodu swój sławy, jak niemniej z powodu młodości i dojrzałości talentu autora: komedią, która niezawodnie jest najznakomitszą z sztuk przedstawionych w ciągu ubiegłego roku.

„Demi-Monde Alexandra Dumasa syna, był przystany na konkurs. Komissya, której każdy członek ujęty odrazu zdolnością młodego pisarza rad był tylko chwalić prawdę, dowcip i uderzającą energią jego komedyi, wstrzymała się jednak od indywidualnych sądów, i poczęła uważać sztukę z wyznaczonego sobie przez waszę excelencyą stanowiska.

„Ow Pół-świat, owa sfera długo nieokreślona, źle zdefiniowana, niepewna, dwuznaczna, która wreszcie otrzymała właściwą nazwę; ta prowincya o nieoznaczonych granicach, której geografią skreślił Dumas: jestże przedmiotem nadającym się do lekcyj moralnych? Jest nim bezwątpienia. Jeżeli w poprzedzających sztukach tegoż rodzaju, sama natura scen i obrazów szkodziła mającej z nich wyniknąć nauce; jeżeli przykład był zaraźliwy na pierwszy rzut oka, i nagły powab działał pierwiej niż wstręt: to sztuka Dumasa wcale różne czyni wrażenie. Autor po mistrzowsku umiał uchwycić i zetrzeć fałszywy pokost uczciwości, którym się pokrywa ten świat dwuznaczny, zawsze pragnący należeć do tego, co nim gardzi. Tutaj autor

nie wystawił galeryi drażniących zmysły obrazów, ale odkrył zepsucie serca i skażenie ducha.

„Członkowie komissyi zgodzili się wszyscy na prawdziwą zasługę sztuki w tym punkcie; oddali oraz sprawiedliwość czterem pierwszym aktom, które są wyborne, pełne prawdy, dowcipu i komiczności wyrwanéj z życia. Koszyczek brzoskwiń (znane porównanie kobiet do brzoskwiń), niemniej wyborny wydał się członkom komissyi jak całemu światu: jestto jedna z tych scen nazawsze pozostających w pamięci; scen, które usprawiedliwiają owę definicyą dobréj komedyi, że jest dziełem szatańskiem czyli płodem geniuszu, śmiechu i szyderstwa. Powyższe sądy większej liczby członków nader przychylné dziełu, a opierające się na niechybnym wstręcie, jaki koniecznie wywołać muszą w umysłach prawych ohydne wizerunki bohaterów Pół-świata, ostatecznie dadzą się streścić w tych kilku słowach: „Jestto sztuka, na którą ojciec nie zaprowadzi córki, ale zaprowadzi syna.”

Wszelako nie wszyscy członkowie byli tego zdania: niektórzy przeczyli, ażeby wierny obraz tego podłego świata miał wyrzucić skutek moralny; zarzucali, że nawet najszkaradniejsze figury sztuki mają jeszcze wiele powabu; że gust widzów nie zawsze jest zdrowy; że przedstawianie sztuk takich jest raczej szkodliwe niż pożyteczne; że w końcu, tak żywy, nagi, a zarazem tak zabawny obraz przywar tegoczesnych, prawdopodobnie może osiągnąć wprost przeciwne skutki: zamiast naprawiać, gorszyć ludzi.

„Inni, zapatrując się ze stanowiska naznaczonego komissyi, zarzucali nadto, że oddawszy należyłą pochwałę talentowi autora, nie można w dziele jego dopatrzeć innéj intencji prócz intencji malowania: że zrobił wierną wystawę tego co widział, że taki a nie inny jest charakter téj sztuki, i że ostatecznie nie można widzieć w Demi-Mondzie nic, prócz wyborne-

go malowidła, zapewne godnego pochwały, ale nie nagrody, gdyż ta przeznaczona jest dziełu wcale innej natury, dziełu mającemu cel wyraźny, o którym autor Pół-świata nie myślał bynajmniej.

„Jakoż paragraf czwarty dekretu ministeryalnego mówi: „Pięć tysięcy franków będą przyznawane co rocznie jako premium autorowi sztuki we czterech lub pięciu aktach wierszem lub prozą napisanej i przedstawionej w Paryżu w ciągu roku, której treść moralna posłuży za naukę klasom roboczym przez propagowanie idei zdrowych i stawianie budujących przykładów.” Odczytanie powyższego paragrafu położyło koniec dyskusji, poczem komisya jednozgodnie przeszła do innego przedmiotu.

„Pozostawało jeszcze kilka dzieł godnych uwagi: naprzód bardzo ładna komedyjka noworoczna, natchniona głębokim czuciem i wzniosłą myślą (Je dîne chez ma mère przez p. Decourcelles), następnie wielki dramat silnie zbudowany, pełen też, srogo odpokutowanych grzechów, i cnot kwitnących bezwiednie (Le Médecin des Enfants, przez p. Dennery). Ten ostatni utwór, którego węzłem jest cudzołóstwo spełnione dawniej i nie wchodzące w akcyę, okazał się prawie jednakięj treści, jak dzieła nagrodzone lat poprzednich; co się zaś tyczy ślicznej noworocznej komedyjki, przesadą byłoby nadawać jej wagę zbawiennęj nauki.

„Ostatecznie, komissya po głębokiej rozwadze, nie bez przykrości wyznać jest zmuszoną, iż nie znalazła dzieła odpowiadającego warunkom ministeryalnego dekretu. Jestto fakt bolesny: albowiem, kiedy państwo wyznacza nagrody, dla samego przykładu powinny one znaleźć odpowiednich pisarzy; jednak, mimo najszczerzych chęci, po ścisłym examenie, komissya sumiennie postąpić inaczęj nie mogła. Dodać atoli musi, że odmówienie nagrody nie pochodzi z braku utalentowanych pisarzy, ale raczęj z kierunku tych ta-

lentów, który nie spotkał się z duchem dekretu, co wszakże niemoralności ich wcale nie dowodzi.

„Zastanowiwszy się bliżej nad dekretem z d. 12 października 1851 r., komissya mniema, że okoliczności społeczne zupełnie różne dzisiaj od tych, jakie były wtedy, nakazywałyby może przemianę niektórych paragrafów dekretu. Szanowny minister, który wyznaczył w 1851 roku nagrodę dramatyczną, zalecając autorom pewną dążność moralną, jako naukę potrzebną w owój chwili, czynił to dla zrównoważenia siły pchającej umysły w sensie odwrotnym.

„Kiedy społeczność była nieustannie zagrożona upadkiem i chyliła się ku jednej stronie, nie dziwnego, że władza silną rękę położyła na przeciwniej. Dziś kiedy wedle pamiętnego wyrażenia, piramida została odwróconą i postawioną właściwie; kiedy społeczność osadzona na szerokiej podstawie odzyskała straconą równowagę: słusznie byłoby i w nagrodzie dramatycznej przywrócić rzeczom właściwą nazwę, zachęcać do tego, co było we wszystkich wielkich epokach chwałą umysłu i zarazem moralnością sztuki, to jest starać się, ażeby sztuka była sztuką w najwyższém znaczeniu tego słowa, zawsze szczytną, choć pod rozmaitą formą: tragedją, lub dramatem rymowanym, albo wysoką komedją z właściwą sobie potęgą i szczerością.

„Komissya kończąc pracę, która tak w tym, jak w zeszłym roku pozostała bezowocna, nie odważyłaby się wszakże, panie ministrze, wyrazić powyższego życzenia, gdyby nie czuła, iż tém uprzedza chęci i wchodzi w myśl waszjej excelencyi.”

„Sainte Beuve.”

— Verdi panuje téj zimy samowładnie nietylko w teatrze Włoskim, ale i w Wielkiej Operze, gdzie *Trovatore* przebrany we francuzkie stroje i przezwany *Trouvèrem*, zastępuje, jak może zupełny brak sztuk

nowych. Za żadne pieniądze nie można teraz w Paryżu usłyszeć innej muzyki, jak Verdego: Verdi z francuzką, Verdi z włoską przyprawą, wszędzie i zawsze Verdi. To systematyczne prześladowanie publiczności Verdim, nie jest koniecznie dobrze obmyślanym środkiem pozyskania mu uszpionej sympatii Paryżanów; mimo najętych klaskaczy i mody, która po salonach sprawę jego adwokatuje, coraz większe niebezpieczeństwo zagrażało chwiejącej się stawie mistrza, i nie wiedzieć na czém byłoby się skończyło, gdyby jeden z nieznanych w Paryżu synów jego: Rigoletto, nagłym ukazaniem się swoim rozdąsanym słuchaczom nie udobruchał.

Rigoletto przedstawiony świeżo w sali Ventadour, podobał się tu więcej, niż wszystkie inne utwory Verdego. Wykonany przez sławnych śpiewaków: jak Mario, Alboni i Frezzolini, obudził kilka razy jeden z tych rzeczywistych entuzjasmów, które dotąd tylko sam Rossini wywoływać umiał. Wyznać atoli trzeba, że do tryumfu Verdego przyczyniło się niemało libretto, które jak wiadomo, jest prawie dosłownym tłumaczeniem dramatu Wiktora Hugo *le Roi s'amuse*. Tłumacz ten zmienił tylko nazwiska osób, zresztą rzecz całą z niezwykłą librecistom wiernością przełożył. Verdi miał więc obszerne pole rozwinięcia swego talentu. Nigdy zapewne efektowna i gwałtowna melodia jego stosowniejszej nie dobrała sobie towarzyszek nad gryzącą werwę romantycznego dramaturga, który śmiałym polotem myśli nieraz najśmielszych przestrasza.

W operze Verdego rzecz dzieje się we Włoszech. Zamiast Franciszka I-go występuje książę Mantuy; Bianka zowie się Gilda; błazna Trybuleta przezwano Rigolettem; zbir Saltabadił przybrał pseudonim Sparafuczyla.

Pierwszy akt przedstawia biał dworu: przepyszne, rześiste oświecone sale napętnią tłum postrojo-

nych dam i mężczyzn; muzyka gra *pianissimo* skoczne kadryle; głośne śmiechy zręcznie wplecione w cichą melodię, odzywają się, jak chóry rozpusty; służba roznosi na złotych tacach złote puchary z winem; przez okna zagląda dzień blady... wewnątrz tańce, hulanka, swawola...

Czytelnicy przypominają sobie tę królewską ucztę, pełną światła i kolorów, którą Hugo ugrupował nakształt bankietu Veroneza, a na tle jej wymalował Franciszka I-go; przypominają sobie zapewne owe saturnalia rozpoczynające pierwszy akt dramatu, bo i któż mógłby zapomnieć i bal ten, i tego króla z rycersko-komicznym nosem, podobnego, jak dwie krople wody do ukoronowanego Fauna z obrazu Tycyana: króla, który wśród grona rozpustnic, wśród palącej atmosfery gorących westchnień i spojrzeń płomiennych, szczęśliwy, jak bóg pogański, roztopia się w złotym obłoku i w zachwycie mówi do swego błazna:

„Wszystkiem władać,
Chcieć wszystkiego,
I wszystko posiadać...
Jakże miło, Trybulecie,
Jakże błogo żyć na świecie!”

Muzyka Verdego oddaje dobrze pijane rozkołysanie tej uczyty, wyprawionej na szczytach wszechpotęgi: ustęp, w którym orkiestra gra pocichu menueta, a księżę gromkim głosem śpiewa pieśń rozpusty, jest bardzo efektowy. W ogóle pierwszy akt różni się od innych kompozycji Verdego, że zawiera wiele zwrotów jasnych, które brzmią dość wyraźnie i harmonijnie, żeby je spamiętać można, zanim utoną w ogólnej nawałnicy tonów.

Skoczno-szyderczą nutę, którą podają sobie naprzemiany orkiestra, chóry i sola, przerywa przybycie skrzywdzonego ojca. Pieśń jego smutna i poważna przypomina chór pogrzebny odpowiadający na szaloną

zwrotkę Genara w Lukrecyi: „la gioja del profno e fuma passager.”

Drugi akt rozpoczyna zmowa Rigoletta ze zbirem prowadzona urwanemi słowy, z których każde rani jak żądło osy; posępna muzyka wtoruje jój wybornie. Podczas, kiedy Sparafuczyl ofiaruje swój sztylet na usługi Rigoletta, orkiestra rozlacza pogrzebny temat, w którym violenczelle płaczą, mruczą basette, a ponad nimi jakaś złowroga nuta ciągle klnie i jęczy, lub urwanemi dzwoni tony, co brzmią głucho, jak pocałunki anioła śmierci.

Pojawienie się Gildy rozwidnia scenę: córka Rigoletta, którą Frezzelini z niewymownym przedstawia wdziękiem, biała i smukła, jak tuberoza, wiotka jak szarfa gazowa, schodzi po schodach i rzuca się w objęcie ojca. Ten, trącony skrzydłem anioła, staje się dobry i łagodny, jakby nigdy myśl zbrodni nie powstała w jego duszy; na słodką nutę śpiewa sierocie o matce, co ją odumartała w kolebce; zaklina, żeby nigdy, nigdy nie wychodziła sama, nigdy nie odstąpiła ciemnego welonu, co ją zastania światu: bo świat to kałuża pełna sprosnych potworów czyhających na niewinność. Zakochana Gilda odpowiada na ojcowskie napomnienia świergotaniem tęskniącego za wolnością ptaka. Duet powtarza dyalog dramatu; zachowuje wszystkie wibracje czarującej poezyi; jest wiernym jój celem. Jak w *Lieder ohne Wort* Szuberta, tak tutaj, każdy ton ma odpowiednie słowo.

Toż samo współzawodnictwo muzyki z poezją uderza w scenie księcia z Gildą. Podczas, kiedy niby zakochany książę śpiewa natarczywą Cavatinę „E il sol uel anima, la vita e amore,” słuchacz mimowolnie powtarza w myśli strofę Wiktora Hugo:

„Patrz na mnie. O! Bianco, miłość słońcem duszy!
Ciepło jego już czuć musisz, droga!
Najmilsza! Twój luby szczęście ci przynosi,

Szczęście, co tam stało nieśmiało u proga.
 Życie, to kwiat; miłość— miodowa krynica;
 To z orłem połączona w niebie gołębicą,
 To drżąca gracya na sile oparta,
 To twoja dłoń w mojej zapomniana, Bianco!
 Ach kochaj mnie, zlituj się czarowna niebianko!”

Arya Gildy, po odejściu księcia: *Caro nome che il mio cor*, jest jednym z najpiękniejszych klejnotów opery. Nie wyraźnego ani określonego w tej nadpowietrznej nucie; sąto jakby rzucone przypadkiem krople melodyi, które spadając, krystalizują się i tworzą jakieś piękne dzieło sztuki, a raczej delikatny stalaktyt, którego rzeźbiarzem natura. Mianowicie koniec arii roztopia się błogo w oddaleniu: dziewczyna z lampą w ręku wracając po schodach do domu, bierze przeciągły tryl, który się przedłuża i drży, jak światło lampy, wraz z niem słabnie na każdym schodzie, nareszcie znika w dziewczym pokoiku. Zaledwie znikła, przybywa zamaskowany chór dworaków, który śpiewa szyderyczy, urywany kwintet bardzo oryginalny: głosy spotykają się tu jak żelazo z krzemieniem, tony jak iskry się sypią i gasną na czarném tle pieśni.

Akt trzeci jest nader patetyczny: Rigoletto po wykradzeniu córki przybywa na pokoje z rozpaczą w sercu, a śmiechem na ustach; śpiew jego brzmi głucho, jak pokryty krepą bęben na pogrzebie, śmiech przeraża, jak zgrzytanie zębów. Kiedy zaś zhańbiona córka przybiega i kryje zrumienioną twarz w łono ojca, a ten z wielką rozpaczą rzuca na głowy pochlebców straszną klątwę „*Cortigiani, vil razza dannata!*”—wtedy błazen w olbrzyma urasta.

Potém następuje spowiedź córki, a po niej przysięga zemsty Rigoletta: śpiew straszny, od którego trzęsie się sala. Aryi wtoruje słaby jęk Gildy błagając o przebaczenie dla uwodziciela. Duet ten jest jakby walką litości z nienawiścią, której mściwą rękę daremnie jej słabe powstrzymują dłonie.

W ostatnim akcie dekoracya takż sama, jak w dramacie: na prawo karczma, przodem puste wybrzeże, poza którém widać płynącą Sekwanę. Książę zwabiony wdziękami szynkarki, wchodzi śpiewając po włosku sławny wierszyk, który Franciszek I-szy wypisał dyamentem na szybie w pałacu Chambord:

„Souvent femme varie,
 Bien fol est qui s'y fie.
 Une femme souvent
 N'est qu'une plume au vent.”

Podczas kiedy książę zaleca się Magdalenie, Rigoletto pokazuje Gildzie przez szparę jęj niewiernego kochanka. Z różnorodnych uczuć tych czterech osób Verdi ułożył nader dramatyczny kwartet, który znawcy najwyżej cenią z całej partycyi Rigoletta: książę śpiewa swoje miłostki, Magdalena odpowiada mu wyzywającym śmiechem, Gilda jak biały anioł płacze swych skrzydeł złamanych, Rigoletto złorzeczy i obiecuje zemstę. Efekt jest ogromny; śmiech szynkarki przeplatają jęki męczennicy, a krzyk nienawiści pada jak całun i gęszy lekkomyślną piosnkę rozpustnika. Symfonia towarzysząca temu kwartetowi wyraża burzę. Rzecz godna uwagi, że Verdi wbrew swemu zwyczajowi nie starał się tu o harmonią naśladowczą: bardzo szczęśliwie natchniony nie przedstawił burzy materyalnej, nie naśladował odgłosu grzmotów, gradu, wichru i t. d.; ale oddał raczej burzę wewnętrzną miotającą w tęg chwili sercem bohaterów sztuki, burzę, z której wypadły grom zabija—niestety! niewinnego.

Ten kwartet i ta burza niezawodnie najpiękniejsze z mnogich utworów Verdego, zjednały mu nareszcie uznanie stolicy świata, bez którego mistrz włoski mimo europejskię sławy, czuł się zawsze niewyzwolonym wyzwoloneę sztuki czeladnikiem.

Uczony francuzki, pan Lamiral, ogłosił niedawno w Bulletin de la Société d'encouragement zaj-

mującą wiadomość o łowieniu perł. Podajemy ztamtąd niektóre szczegóły, jako dające najdokładniejsze pojęcie o stanie obecnym téj mało znanéj gałęzi przemysłu.

Lamiral opowiada naprzód jak się tworzą perły. Chcieliśmy już pominąć ten ustęp wspomniawszy na ustrojoną w perły piękną połowę rodzaju ludzkiego, która nie będzie nam bardzo wdzięczna za te objaśnienia; ale powyższy wzgląd estetyczny przeważyła w nas miłość prawdy, przeto odważnie do rozłupywania perłodajnych ostryg przystępujemy.

Pomiędzy mięczakami żyjącymi w słonej i słodkiej wodzie, jest pewien rodzaj wydający materią złożoną z dwóch pierwiastków: rogowego i wapiennego. Płyn ten zarazem zwierzęcy i mineralny, którym robak wnętrze swojej skorupy bieli, tężejąc tworzy tak zwaną perłową macię. Jeżeli obfitość téj materyi jest wielka, zbiega się ona w krople, które albo osiadają na muszli, albo w ciełe ślimaka pozostają: krople te są to perły. Największe i najpiękniejsze bywają te, których robak z ciała swego nie wyrzucił, gdyż co rok z bogacają się nową warstwą materyi, i tak rosną przez ośm do dziewięciu lat, to jest przez całe życie ślimaka; kiedy przeciwnie te, które przylgną do skorupy, pozostają w rozmiarze, w jaki się pierwotnie skropliły.

Najgrubsze pokłady perłowej macicy znajdują się w wielkich ostrygach poławianych w morzu Indyjskiem, tak zwanych *ostreas meleagrinas margaritaceas*. Powierzchnia tych muszli jest czerwona, średnica ich dochodzi siedmiu cali; grubość odtłupanej wewnątrz perłowej macicy wynosi cal jeden.

Najpiękniejsze perły poławiają się w zatoce Bengalskiej, na brzegach Cejlanu i w morzu Indyjskiem. Do roku 1795 połów ten należał do Holendrów; podczas wojen indyjskich, traktatem zawartym w Amiens, wraz z wyspą Cejlan przeszedł w posiadanie Anglików.

Łowienie pereł w Cejlanie rozpoczyna się w lutym a kończy z początkiem kwietnia; statki wypływają o dziesiątej wieczorem i gnane pomyślnym wiatrem, przybywają przed wschodem słońca do ostrygowej ławy: równo ze dniem nurki rozpoczynają pracę.

Na każdej barce jest zazwyczaj sternik i dwudziestu ludzi: dziesięciu majtków i dziesięciu nurków, z których naprzemiany pięciu łowi, a pięciu odpoczywa. Przyzwyczajeni od dzieciństwa do téj ciężkiej pracy, ludzie ci po większej części rodem z Malabaru, nurkują się na dwadzieścia do dwudziestu dwóch łokci. Każdy nurek dla przyspieszenia spadku przywiązuje sobie do prawej nogi kamień w kształcie głowy cukru, na biodrach zaś zawiesza siatkę do chowania ostryg; poczem uchwyciwszy się prawą ręką sygnałowego sznura, którego koniec zostaje w łodzi, a lewą nos zatkawszy, spuszcza się w morze stojący. Przybywszy na dno, szybko zbiera muszle w siatkę, a skoro takową napełni, ciągnie za sznur sygnałowy i wraz z połowem wypływa na powierzchnię.

Przed wieczorem cała flota wraca do domu i wyładowuje zdobycz. Każdy właściciel zabiera część swoją i rozpościera ją na matach. Muszle zostają tak przez dni kilka na słońcu, poczem rybacy zabierają się do wydobywania z nich pereł sposobem dwojakim: te które są na skorupach łuskają się jak groch; te zaś które w ciele mięczaka pozostają, wypadają same z jego członków w tym celu rozgotowanych na miazgę i cedzonych przez sita. Tak wydobyte perły szlifują się proszkiem z perłowej macicy, poczem następuje ich klasyfikacya czyli przepuszczanie przez numerowane przetaki, wedle gęstości których nadaje się cena przesianym perłom.

Na wybrzeżach Arabii około wysp Catify, Dalmy, Bahrein i w zatokach morza Czerwonego, handel perłami jest bardzo znaczny: sam połów roczny około

wyspy Bahrein wyobraża przeszło sześć milionów franków wartości, a połączony z produktem wysepek sąsiednich, dochodzi dziesięciu milionów.

W tych stronach połów uskuteczniają w lipcu i sierpniu, gdyż tylko wtedy morze jest spokojne. Targi na perły i perłową macię wyłowioną w zatoce Perskiej odbywają się w Bassorze i Bagdadzie, zkąd przez Konstantynopol przychodzą na Zachód.

Najobfitsze połowy pereł bywały niegdyś w morzach położonych na wschód Ameryki. Zanim Hiszpanie podbili Meksyk i Peru, połów odbywał się tylko pomiędzy Akapulką a zatoką Tehuantepek; później rozpoczęto eksploatacyą na wielką skalę około wszystkich wysepek leżących w pobliżu przylądka Panama. Połów pereł w tych stronach był tak obfity, iż w kilka lat mizerne osady rybackie zmieniły się w kwitnące i bogate miasta. Za panowania Karola V, Ferdynanda i Filipa w czasach świetności Hiszpanii, Ameryka posyłała jój co rok za pięć milionów franków pereł: dzisiaj te źródła bogactw skutkiem złego gospodarstwa znacznie się wyczerpały.

Z całej Europy tylko Szkocya i Irlandya łowi perły w swych wodach; rzeki Perth, Tay, Don, lrt, piérwszój, a Tyron i Donegal drugiej, dostarczają dość znaczną ich ilość. Kompanie angielskie zbierają muszle perłowe u ujścia wymienionych rzek w czasie odpływu morza. Perły irlandzkie odznaczają się wielkością, a chociaż nie są ani tak przezroczyście, ani tak białe jak perły indyjskie, bywają płacone po 20 funtów szterlingów jedna.

Sposób łowienia pereł wszędzie prawie jednaki: to jest równie uciążliwy i niebezpieczny. Najzręczniejszy nurek nie pozostaje pod wodą nad 30 sekund; w czasie jednego połowu każdy z nich zanurza się piętnaście do dwudziestu razy. Wszystkie dotąd wymyślone aparaty celem ułatwienia nurkom oddychu, w użyciu okazały się niepraktyczne; nauka, która w XIX wieku uła-

twiła, tyle prac trudnych i wyzwoliła człowieka od najcięższych robót, podziśdzien w niczem nie dopomogła zabójczemu rzemiosłu nurka. Praca tych ludzi jest tak ciężka, iż każdy z nich wyciągnięty z morza, oddaje uszami i nosem znaczną ilość wody, mocno krwią zafarbowanej. Nie zdarza się nigdy, żeby który nurek dożył starości: wszyscy umierają młodo. W pewnym wieku ciało ich pokrywa się wrzodami, wzrok gaśnie i w takim stanie osłabienia najczęściej po wyjściu z wody umierają nagle, rażeni apopleksją. Prócz tego zdarza się często, że nurki stają się pastwą rekinów, których całe gromady zwabione widokiem człowieka, krążą w tych stronach morza.

Pan Lamiral opisawszy szczegółowo smutne rzemiosło nurków, dowiódłszy, że los ich gorszy od losu wyrobników pracujących w kopalniach arszeniku, że nie powinien i nie może być cierpiany w naszych czasach: proponuje zastosowanie do połowu perł podwodnych statków wynalazku doktora Payerne, któryto projekt już wzięty pod rozwagę w Anglii, zapewne wkrótce urzeczywistniony zostanie.

Jeden z dzienników brukselskich, które prawie bez wyjątku są stekiem fałszywych wieści, a często najpotworniejszych plotek, zamieścił niedawno następującą wiadomość o ukochanym pieśniarzu Francyi p. Béranger.

„Donoszą nam, że cesarzowa Eugenia uznawszy, iż pensya roczna (1500 fr.) płacona Bérangerowi przez wydawcę jego pana Perrotin nie jest dostateczna, kazała oświadczyć temuż wydawcy, że chce powiększyć pensyę Berangera do 10,000 fr., ale żąda, żeby poeta nigdy o tém nie wiedział, co bardzo łatwo da się zrobić, jeżeli p. Perrotin powie mu, że zwiększenie dochodów pochodzi ze sprzedaży dzieł jego. Zapewniają, że wydawca nie dotrzymał sekretu, co nie przeszkadza, że Beranger

przyjął pensyą od cesarzowej i podziękował N. Pani pięknym listem, w którym przyrzeka, że tylko od niej wsparcie pobierać będzie.

„Więc i ty Bérangerze?! Nie zazdrościmy ci jałmużny, owszem dowiadujemy się o niej ze złośliwem zadowolaniem. Teraz moglibyśmy i zaśpiewać podobnie, jak sam śpiewałeś ulubieńcom władzy w czasach, kiedy ci tylko o łaski ludowe chodziło. Bądźże więc po złoty, szczerze cieszymy się z tego; ubolewamy jedynie nad złym wrażeniem, jakie sprawi na ludzi, do zepsucia którego niemało się przyczyniłeś, ten wzgląd monarszy dla śpiewaka rozpusty.”

Na powyższe doniesienie pan Perrotin wydawca Bérangera odpowiedział następującym listem, który powtórzyły najcelniejsze dzienniki paryzkie:

Panie redaktorze!

„Jeden z dzienników zagranicznych zapychających swoje kolumny Bóg wie gdzie uzbieranemi plotkami, ośmielił się szydzić z naszego poety Bérangera, wyrzucając mu, że przyjął cichaczem pensyą od cesarzowej i nie powiedział o tém nikomu, jakby się wstydził swego czynu.

„Chociażby nawet moje nazwisko nie było wymienione w tym paszkwilu, jeszczebym miał obowiązek odpowiedzieć w imieniu Bérangera, który sam nigdy na potwarze nie odpowiada, ale nie może zabronić, żeby zań przyjaciele jego nie odpowiadali.

„Oto w kilku słowach fakt, który w belgijskiej kuźni plotek przekuto na obosieczną broń przeciw ludowemu poecie Francyi.

„Przed kilką miesiącami cesarzowa niespokojna o zdrowie Bérangera, przystała do mnie swego sekretarza z propozycyą, ażebym naznaczył pensyą roczną dla Bérangera i podjął się wypłacania takowej poecie; tając mu zawsze, iż ona z prywatnej szkatuły cesarzo-

wój pochodzi. Propozycja była szlachetna, ale jój przyjąć nie miał prawa: sam tylko Béranger je miał. Udałem się więc do niego i zawiadomiłem o łaskawych zamiarach cesarzowej: poeta odpowiedział mi, że postąpiłem w tym razie jak byłem powinien. Wkrótce potem napisał do mnie list, w którym wyraża wdzięczność swoją za wysokie względy, oraz dodaje, że nigdy nie był bogatszy jak teraz; że nigdy mniej jak dzisiaj nie pragnął powiększenia swego majątku, i że wdzięczność jego tém jest zupełniejsza, że nie przyjmuje dobrodziejstwa, którem go zaszczycać chciano.

„Oto słowo w słowo wszystko, co w tym interesie było zrobione i powiedziane. Mniemam, panie redaktorze, iż podzielasz moje oburzenie przeciw nie podpisanu oszczercy, który pozwala sobie mówić Bérangerowi ty, i zarzucać mu, który nigdy w życiu nic od nikogo nie przyjął, iż wyciąga rękę po jałmużnę.

„Sądzę, że nasz własny honor wymagał odparcia tych potwarzy, i że przyjemnie panu będzie złożyć ni-niejszém jeden hołd więcej człowiekowi, którego bezinteresowności dorównywa tylko jego miłosierdzie dla biędnych.”

„Perriton, wydawca piosneczek Bérangera.”

Pan Cap nagrodzony już kilka razy przez Akademię za prace swoje o uczonych francuzkich, wydał *Etudes biographiques pour servir à l'histoire des sciences*. Książka zawiera biografie pp. Paracelse, Bernard Pelissy, Belon i Mikołaja Houël. Nie nadeszła jeszcze chwila, w której powszechność zrozumie wagę takich studyów. Dzisiejsi biografowie uczonych muszą się przygotować, że ich mało, albo wcale czytać nie będą; dlatego téż tak mało pisarzy we Francyi chce się zajmować tak irudnym a niewdzięcznym przedmiotem.

— Wyszły Pamiętniki marszałka Marmont'a, księcia Raguzy.

— Pani Sand wydaje w fejletonie dziennika La Presse nowy romans, pod napisem Daniella: są to podane w listach bardzo proste i naturalne opisy Włoch. Genialna prostota tych listów dziwnie przystaje do umysłu zmęczonego nadętymi frazesami, które mi zbyt poetyczni wojażerowie uszy nasze rozsadzają.



O SPORACH JURYSDYKCYJNYCH

W ZAKRESIE SĄDOWNICTWA ZWYCZAJNEGO CYWILNEGO.

W każdym organizowanym kształcie rządu, każda wyosobniona władza ma właściwe swe atrybucye, których ani przestąpić ani ścieśniać nie powinna. Zasada ta stanowi równowagę polityczną władz rządowych i na jej zachowywaniu polega jeden z istotnych warunków legalnego działania rządu przez wszelkie swe organa. Równowagę tę wszakże trudno raz na zawsze ustalić, gdyż pomimo wytknięcia promieni granicznych pomiędzy władzami rządowymi, zawsze wiele przedmiotów przypadac będzie na krańcach zetknięcia się dwóch lub więcej różnych władz rządowych.

Pochodzi to poniekąd z istotnej lub względnej niedoskonałości wszelkich systematów społecznych lub z częstego zbiegu i mieszania się różnorodnych przedmiotów w jednym i tymże samym wypadku, lub z ciągłego rozwijania się coraz nowych stosunków społecznych, które różnych władz działanie powodują. Kwestye więc o właściwość władz rządowych leżą częstokroć w nieprzewidzianej konieczności, chociaż w nich i inne pobudki udział mieć mogą. We Francyi mianowicie za dawnych parlamentów i wielkiej rady, *grand conseil*, z powodu przywłaszczeń tak tych władz jakoteż innych władz zarządu administracyjnego, żywe toczyły się spory o kompetencyą, o atrybucye, o ustalenie równowagi między różnymi organami rządowymi.

Spory te nie ustawały w epoce wielkich zaburzeń politycznych we Francyi; jakoż po ustanowieniu najwyższego podziału rządu na władzę prawodawczą i podległe jej główne dwa organa rządowe władzy administracyjnej i władzy sądowniczej,

pozapadały kolejne ustawy prawodawcze władzę administracyjną od władzy sądowniczej odgraniczające.

Ku zapobieżeniu zaś temu, ażeby jedna władza w zakresie drugiej nie wkraczała i legalności ogólnego porządku nie wiczyła, czyli innymi słowy, ku strażi promieni granicznych między administracją a sądownictwem pociągnionych, potrzeba było tak pewnej wyższej niepodległej władzy, jakoteż pewnej formy postępowania.

Otóż straż powierzona została radzie stanu, *conseil d'état*, procedurę zaś przepisano pod tytułem sporów juryzdykcyjnych; *conflits de jurisdiction*.

Istotę sporów juryzdykcyjnych pojmowano u nas zwykle jako sprzeczność zachodzącą między administracją z jednej, a sądownictwem z drugiej strony. Mniemanie powszechniejsze nie przypuszczało, ażeby mógł powstać spór juryzdykcyjny bądźto w zakresie samej administracji, bądźto w zakresie samego sądownictwa.

Tymczasem, w systemacie rządu francuzkiego i jeden i drugi rodzaj sporu juryzdykcyjnego, iż tak rzekę, podrzędnego istnieje, a nawet wyraźny ślad sporu juryzdykcyjnego co do administracji, wyłącznie w jej zakresie znachodzi się w art. 17 konstytucyi Księstwa Warszawskiego, którego dosłowna osnowa jest następująca:

Le conseil d'état connoit des conflits de jurisdiction entre les corps administratifs et les corps judiciaires, et du contentieux de l'administration.

Rada stanu rozpoznaje zajścia o juryzdykę między władzami administracyjnymi, a władzami sądowymi, *tudzież co w administracji pod spór podpada.*

Wyrażenie bowiem *le contentieux de l'administration, co w administracji pod spór podpada*, ściąga się wyłącznie do wydziału rządowego administracyjnego i do przedmiotów rozpoznaniu sądu spornego administracyjnego podpadających. Co do takich zaś przedmiotów powstać może sprzeczność między prostą, zwyczajną władzą administracyjną, a sądem spornym administracyjnym, o to, czy przedmiot rozstrzygnięcia wymaga ulega bezpośredniej decyzji administracyjnej, czy rozpoznaniu i zawyrokowaniu sądu administracyjnego.

Podobnego rodzaju spory juryzdykcyjne, jak się nadmienilo, podrzędne, powstać mogą i w zakresie samego sądownictwa.

Lecz w systemacie rządowym francuzkim w organizmie sądownictwa z naczelną władzą sądu *kassacyjnego*, sporom juryzdykcyjnym sądowym, kwestyom o atrybucye, kompetencyą, wskazanym jest *inny tor postępowania*, różniący się od sposobu postępowania w sporach juryzdykcyjnych między administracją a sądownictwem zachodząc mogących: dlatego mianowicie, że sąd *kassacyjny* acz jest naczelną władzą sądowniczą, nie ma mocy rozsądzania spraw w samym przedmiocie spornym, *in merito, in facto*; lecz służy mu tylko atrybucya tłumaczenia prawa, *interpretatio juris*, stosownie do wydanéj w r. 1828 pod dniem 7 lipca ustawy, dawniejszą ustawę względem interpretacyi praw z dnia 16 września 1807 r. zmieniającéj.

W celu objaśnienia formy postępowania w sporach juryzdykcyjnych *sądowych*, jakotéż namienionéj ustawy, przedewszystkiém przytoczyć należy, że podług organizacyi sądowéj francuzkiéj nietylko sądom *appellacyjnym*, których we Francyi jest 27, lecz i trybunałom cywilnym I instancyi i trybunałom handlowym i sądom pokoju, ostatnim jako wydziałom spornym służy w pewnych granicach ostateczność wyrokowania.

Od wszelkich różnego stopnia wyroków ostatecznych, atoli jedynie w punktach *kassacyjnych* wyraźnie prawem określonych, wolno stronom wprost odwoływać się do sądu *kassacyjnego*.

Sądowi *kassacyjnemu* zaś służy moc dwukrotnego skasowania zaskarżonych drogą rekursu wyroków ostatecznych w jednéj i téjże saméj sprawie, a to w tym sposobie: że po odwołaniu się strony poraz piérwszy, sąd *kassacyjny* przekonawszy się o mylném tłumaczeniu i stosowaniu prawa, wyrok kasuje i sprawę *in merito* do powtórnego osądzenia sądowi równego stopnia odsyła.

Jeżeli sąd ten, albo sąd pokoju, albo trybunał cywilny lub handlowy, albo sąd *appellacyjny*, interpretacyi sądowno-*kassacyjnej* nie przyjmując, tak samo, jak poprzedni równego mu stopnia sąd sprawę osądzi i strona znowu drogą rekursu się odwołuje; natenczas sąd *kassacyjny w połączonych* wszakże *wydziałach*, skoro przy swojéj interpretacyi prawa obstaje, powtórnym ten wyrok kasuje i znowu sprawę w samym przedmiocie do osądzenia odsyła, lecz tą razą już wyłącznie do jednego z sądów *appellacyjnych*, który podobnie jak sąd *kassacyjny* obowiązany

jest sprawę w *wydziałach* połączonych rozpoznać, oraz samą sprawę rozsądzić.

Przypuściwszy więc, że sąd appellacyjny w połączonych jak się rzekło wydziałach, nie przyjąwszy interpretacji prawa przez sąd kassacyjny utrzymywanej, poszedł za zdaniem poprzednich dwóch sądów: natenczas jeżeli szło o kwestyą kompetencyjną, attrybucyjną, o władzę lub właściwość sądowniczą, *spór juryzdykcyjny sądowy* jest gotowym.

Skutkiem takiego sporu, zgodny z dwoma poprzednimi wyrokami trzeci wyrok sądu appellacyjnego jest niewzruszalnym, czyli stanowi *rem judicatum* z przewagą nad interpretacją sądu kassacyjnego; sąd kassacyjny zaś co do kwestyi spornej prawnej *quaestio juris*, obowiązany jest złożyć raport *Panujacemu*, ażeby mógł być wygotowanym w radzie stanu projekt do prawa interpretacyjnego, dla wniesienia go pod rozpoznanie i decyzją zgromadzenia prawodawczego.

Tym sposobem wszelkie spory prawne, *quaestiones juris* a tém samém i spory o juryzdykcyą, kompetencyą, attrybucyą, w których drogą rekursu i kassacyi, zgodne tłumaczenie prawa między sądem kassacyjnym a ogółem sądownictwa niższego nie wyłączając appellacyjnego, nie mogło być osiągnięciem, przychodzą ostatecznie nie do rady stanu, lecz do kognicyi i rozstrzygnięcia władzy prawodawczej.

Systemat rządowy francuzki, jak wiadomo, przeniesionym został do kraju tutejszego tak mocą konstytucyi Księstwa Warszawskiego z r. 1807, jak skutkiem zaprowadzenia w następnych latach trzech kodexów francuzkich, a mianowicie: cywilnego, procedury cywilnej i handlowego.

Rozpoznawanie sporów juryzdykcyjnych między administracyą a sądownictwem, jakotéż sporów tego rodzaju w zakresie samej administracyi zająć mogących, należało podług powołanego już powyżej art. 17 konstytucyi Księstwa Warszawskiego do *rady stanu*.

Co się tyczy sądownictwa, przepisana dekretem królewskim z dnia 3 kwietnia 1810 r. organizacya sądu kassacyjnego dla Księstwa Warszawskiego, poruczyła w art. I sprawowanie sądu kassacyjnego *radzie stanu*, w artykule zaś 19 dosłownie wyrzekła:

„Gdyby po drugiej jeszcze decyzji sądu kassacyjnego zapadł znowu w przeznaczonym do osądzenia wydziale, sądzie lub

trybunale, wyrok, któryby z tych samych powodów co i dwa pierwsze był do sądu kassacyjnego zaskarżonym, naówczas wydział, sąd lub trybunał wyrok swój wraz z wszystkimi aktami do tegoż wyroku należącemi, natychmiast do *rady stanu* odesłać powinien.

Zaś *rada stanu* dokładne opisanie przypadku, wytlumaczenia prawa potrzebującego, bez zwłoki wygotowawszy, *Nam królowi z swoją opinią do zadecydowania prześle.*

Wydane od Nas króla w takim składzie rzeczy *objaśnienie*, skazując sądom *jak się rozumieć ma pomienione prawo*, czyli *forma*, tém samém *otworzy drogę sądowi kassacyjnemu do odesłania pomienionej sprawy napowrót do wydziału sądu lub trybunału*, od którego przyszła dla skutecznego jój załatwienia, *stosownie do wykładu znajdującego się w deklaracji naszej.*“

Nie idzie tu o wykazywanie różnic postępowania sądu kassacyjnego we Francyi i w byłém Księstwie Warszawskiem: lecz to jak najwyraźniej się okazuje, że *możliwość powstania sporów interpretacyjnych, a między niemi juryzdykcyjnych*, w zakresie sądownictwa Księstwa Warszawskiego *między sądem kassacyjnym, a wszystkiemi innemi sądami ostatecznie wyrokującemi*, była przypuszczoną, i że w takich wypadkach objaśnienie i tłumaczenie prawa *interpretationem juris*, rozstrzygnięcie zachodzącej kwestyi prawnej *quaestionem juris*, król a książę Warszawski sobie zostawił, z tém nadto zastrzeżeniem, że skuteczne załatwienie *sprawy*, rozumie się w samym przedmiocie *in merito*, podług wykładu i deklaracji królewskiej nastąpić było powinno: co wszakże mogło wypaść albo na stronę sądu kassacyjnego, albo na stronę przeciwnych mu sądów.

W ciągu wielkich wojen i zmian politycznych zacząwszy od r. 1812, działanie sądu kassacyjnego Księstwa Warszawskiego ustało; po ogłoszeniu zaś bytu królestwa Polskiego, w miejsce sądu kassacyjnego ustanowionym został wyłącznie dla spraw cywilnych *sąd najwyższej instancyi*, którego organizacją rząd tymczasowy królestwa Polskiego uchwałą z dnia 21 września 1815 r. określił.

Lubo też organizacja sądu najwyższej instancyi w ogólności zachowała procedurę kassacyjną, a nawet w art. III możliwość odwoływania się do sądu najwyższej instancyi od wyroków ostatecznych wszelkiego stopnia sądów, ściśle do punktów

kassacyjnych wyraźnie w art. 10 organizacji sądu kassacyjnego z dnia 3 kwietnia 1810 r. wyszczególnionych, ograniczyła, jednakże pomimo zachowania téj zasady przeistoczyła w zupełności całą naturę czyli żywotną zasadę instytucji kassacyjnej, stanowiąc w art. XIX, że sąd najwyższej instancyi po skasowaniu zarekursowanego wyroku, *sam sprawę in merito* osądzi, lub to, co stan sprawy wymagać będzie, postanowi.

Przez nadanie sądowi najwyższej instancyi tych atrybucyj, *przerwaną* została możność wywiązania się między tymże sądem a niższém sądownictwem, sporów, jak w ogólności o interpretacyą prawa, tak w szczególności o atrybucye i rozciągłość władzy sądowniczej. Sądom pokoju, trybunałom cywilnym i handlowym tudzież sądowi appellacyjnemu pozostała pozorna, nie nieznacząca, nominalna ostateczność wyrokowania w nadanych im dawniej granicach; zaś sąd najwyższej instancyi, upoważniony do rozpoznawania wszelkich drogą kassacyi zaskarzonych wyroków ostatecznych, nietylko *in jure* co do interpretacyi prawa, lecz oraz co do rozsądzenia spraw w samym przedmiocie, *in facto, in merito*, stał się rzeczywiście co do wszelkich kwestyj prawnych jedyną instancyą sądową, prawdziwie ostateczną.

Z téj przyczyny, prawnictwo wykonawcze, *jurisprudentia forensis*, w ciągu upłynionej pod wpływem połączenia niesfornych z sobą pierwiastków organicznych sądu kassacyjnego i sądu najwyższej instancyi, nie mogło żadnych wywołać sporów o nienaruszalność władzy sądowniczej w zakresie samego sądownictwa, tém bardziej, że w przedmiocie sporów jurysdykcyjnych, konstytucya królestwa Polskiego z r. 1815 w artykule 73 pod punktem 3 ogólnie li oznajmiła „iż stanowić w przypadkach o jurysdykcyą” *de décider sur les cas de conflit de jurisdiction* będzie atrybucyą rady stanu.

W tym stanie organicznym sądownictwa krajowego, i Najwyższe nadanie statutu królestwa Polskiego z roku 1832 żadnej zmiany nie sprawiło, tylko, że ustanowiona statutem tym rada stanu, między innemi obowiązkaniami w art. 29 wyszczególnionemi, miała sobie poruczone, pod punktem 2, rozwiązywanie sporów jurysdykcyjnych między władzami administracyjnemi i sądownemi w przedmiocie zakresów ich władzy; i że na zasadzie téj, organizacya dla rady stanu pod dniem 12/24 grudnia 1832 wydana, w artykułach od 37 do 48, forme początkowania i postę-

powania w sporach jurysdykcyjnych zająć mogących przepisała.

Dopiero Ukaz z dnia $\frac{6}{18}$ września 1841 roku, którym w miejsce rady stanu i sądu najwyższej instancji *warszawskie departamenta IX i X rządzącego senatu*, oraz *ogólne zbranie* tychże departamentów ustanowionemi zostały, istotne zmiany wywołał: w rozwinięciu bowiem tegoż Ukazu zatwierdzona reskryptem Cesarskim z dnia 26 marca 1842, ustawa o warszawskich departamentach R. S. i ich ogólnem zebraniu, niemniej o sposobie zanoszenia i rozpoznawaniu skarg na wyroki mocą ostatniej instancji dotąd wydawane, poddała dotychczasowy stan co do atrybucyi, kompetencyi i władzy sędowniczej różnego stopnia sądów, tak stanowczym reformom, iż nietylko możliwość ale nawet konieczność wywoływania i przeprowadzenia sporów jurysdykcyjnych w zakresie sądownictwa na nowo się ożywiła.

Cały ogół sporów jurysdykcyjnych względem administracyi i sądownictwa, z włączeniem nadto przewidzianych sporów o atrybucye między władzami duchownemi a sądownemi, oraz samemi duchownemi, poruczonym został przez powyższą ustawę w art. 84 i 85 rozpoznawaniu i rozstrzyganiu ogólnego zebrania warszawskich departamentów R. S., a to podług zasad i prawideł, przepisanych organizacją byłej rady stanu z dnia $\frac{12}{24}$ grudnia 1832 r. w artykułach od 37 do 48.

We względzie sądownictwa przypomnieć tu przedewszystkiém należy, że podług systematu kompetencyjnego na organizacyach sądu kassacyjnego z r. 1810 i sądu najwyższej instancji z r. 1815, opartego, władza ostatecznego wyrokowania w pewnych zakresach służyła wszelkiego stopnia sądom. Ta wszakże ostateczność wyrokowania co do sądów pokoju wydziałów spornych, trybunałów cywilnych i handlowych, niemniej sądu appellacyjnego, była w istocie tylko pozorną, ponieważ właśnie od wyroków ostatecznych wszystkich pomienionych sądów wolno było odwoływać się do sądu najwyższej instancji.

Otóż pozorność tę ustawa senacka zawsze łącznie z postanowieniem o zaskarżeniu wyroków uważana zupełnie uchyliła, a lubo sądom pokoju wydziałów spornych i trybunałom handlowym władzę ostatecznego wyrokowania w zupełności odjęła; jednakże natomiast władzę tę między trybunały cywilne i instancji, sąd-appellacyjny i 9 departament R. S. podzieliła, sta-

nowiąc w art. 3 ustawy i w art. 2 postanowienia, w związku z innemi odnośnemi artykułami: że do IX departamentu należy li rozpoznawanie wyroków sądu appellacyjnego w *drugiej* instancyi wydawanych; że podobnież od wyroków *ostatecznych* trybunałów cywilnych I instancyi, dalsze odwołanie się do sądu appellacyjnego nie służy.

Tym sposobem, wyjaśniona powyżej pozornosc ostateczności wyrokowania i możność odwoływania się od wyroków ostatecznych znikła; owszem, wszelkim wyrokom ostatecznym nietylko IX departamentu lecz i sądu appellacyjnego i trybunałów cywilnych I instancyi nadaną została bezpośrednia prawomocność, czyli moc i powaga *rei judicatae*, która podług przyrodzonej tak prawu rzymskiemu jak wszystkim nowożytnym prawodawstwom zasady, *zwyczajnemi* środkami proceduralnemi odwoływania się od instancyi do instancyi sądowej już więcej wzruszoną być nie może: *quia res judicata pro veritate accipitur*.

Co do rodzaju i przedmiotu spraw, ustawa senacka, rozumie się zawsze łącznie z postanowieniem o zaskarzeniu wyroków, ograniczyła ostateczność wyrokowania w tym sposobie:

1) że trybunały cywilne I instancyi, ostatecznie bez dalszego odwołania się, wyrokować będą w sprawach *dotąd* przez sądy pokoju wydziałów spornych, bądź mocą *ostatniej*, bądź mocą *drugiej* instancyi sądzonych.

2) że sąd appellacyjny ostatecznie, bez możności dalszego odwołania się wyrokować będzie:

a) w sprawach possessoryjnych wszelkich, i innych w artykule 3 kodexu postępowania cywilnego wymienionych, gdy wartość przedmiotu spornego summe rubli srebr. 240 (złp. 1600) przenosi, to jest bez ograniczenia do najwyższych wartości.

b) w sprawach przez trybunały cywilne lub handlowe *dotąd* ostatecznie sądzonych, jako téż w innych, do summy rubli sr. 500 (złp. 4000), albo gdy idzie o nieruchomość, jeżeli dochód roczny rubli sr. 30 (złp. 200) nie przenosi.

c) obok ostatecznej téj władzy sądowniczej służy nadto sądowi appellacyjnemu, tak z mocy kodexów cywilnego i handlowego, jako téż w duchu ustawy senackiej attrybucya sprawdzania i *ostatecznego* formą wyroku bądź odrzucenia, bądź za-

twierdzenia aktów przysposobienia czyli *adopcyi* i prośb o *rehabilitacyę*.

Pomimo rozdzielenia w powyższym sposobie władzy ostatecznego wyrokowania pomiędzy sądy trzech różnych stopni; pomimo oznaczenia każdej sądowej instancyi zakresu działania legalnego: powstać mogą rozmaite kwestye i spory o rozciągłość ostatecznej władzy sędowniczej każdemu stopniowi sądu wydzielonej, tak co do rodzaju spraw, jak co do wysokości przedmiotów, niemniej o właściwość sądu; tém bardziej, że ustawa senacka w niektórych punktach odwołuje się do zasad poprzedzającego systematu kompetencyjnego, który jeżeli zwłaszcza z jursprudencji francuzkiej w jej komentarzach zebranej zaczerpniemy, przedstawia mnóstwo, a prawie nieład najrozmaitszych kwestyj kompetencyjnych, częstokroć do sofismatów lub drobnostek filozofii scholastycznej zbliżonych.

Kwestye i spory te w teraźniejszym systemacie kompetencyjnym sądownictwa krajowego dotyczyć się mogą:

a) stosunku jurysdykcyjnego, między trybunałami cywilnymi I instancyi, a sądem appellacyjnym ustanowionego;

b) stosunku jurysdykcyjnego, między sądem appellacyjnym a IX departamentem R. S. zachodzącego.

Co do spraw względem ostateczności instancyi, lub właściwości sądu, które się wyłącznie do stosunku trybunałów cywilnych i sądu appellacyjnego ściągają, ustawa senacka, w artykułach 35, 36 i 37, otworzyła drogę odwołania się do IX departamentu R. S.

Z powodu, że powołanym artykułem 37, dozwołoném jest odwołanie się do senatu w sporach o właściwość sądu; chociażby *sprawa z przedmiotu swojego ostatecznemu wyrokowaniu sądu appellacyjnego ulegała*, i że podobne odwołanie się w sporach o ostateczność instancyi w artykułach 35 i 36 przewidzianych mogłoby nastąpić, mniemano, iż ustawa senacka, w tych przypadkach, w których sąd appellacyjny w trzeciej i ostatniej instancyi wyrokował, *czwartej instancyi* dozwoliła.

Lecz mniemanie to polega na złudzeniu, gdyż odwołanie się w kwestyach o właściwość sądu, lub o ostateczność instancyi, wychodzi z kategorii stopniowego odwoływania się od instancyi do instancyi sądowej, a przechodzi w kategorię sporów *jurysdykcyjnych*; na wzór spórów jurysdykcyjnych,

rozpoznaniu ogólnego zebrania warszawskich departamentów R. S. ulegających. Jakoż w tym duchu, ustawa senacka wszelkie odwołania się do IX departamentu w sprawach, które z rodzaju lub przedmiotu swojego do ostatecznego zawyrokowania sądu appellacyjnego należą, *wyraźnie* do rozpoznania i rozstrzygnięcia li sporu o właściwość sądu lub ostateczność instancyi *ograniczyła*, pozostawiając stronom możliwość dalszego odpowiedniego wyrokowi kompetencyjnemu postępowania w głównej sprawie.

Z tego poglądu okazuje się, że w sporach kompetencyjnych, które się do trybunałów cywilnych i sądu appellacyjnego sięgają, IX departament R. S. nie występuje jako czwarta instancya sądowa do rozpoznawania głównej sprawy; lecz jako wywyższona nad trybunałami cywilnymi i sądem appellacyjnym *władza trzecia nieinteresowana*, a tém samém *bezstronna* do rozstrzygnięcia li sporu jurysdykcyjnego.

Lecz w sporach o właściwość sądu, bądź z przedmiotu, bądź z rodzaju sprawy, albo o ostateczność instancyi, któreby między sądem appellacyjnym a IX departamentem R. S. powstać mogły: któż będzie *trzecim sędzią, nieinteresowanym i bezstronnym?*

Sąd appellacyjny nie może naruszać zakresu władzy sądowniczej trybunałom cywilnym I instancyi nadanej; tém samém i departament IX rządzącego senatu nie powinien i nie może atrybucyi sądowniczych sądowi appellacyjnemu służących, ani zmniejszać, ani powiększać.

Gdyby wszakże w wydarzonych kollizjach i sporach kompetencyjnych, lub jurysdykcyjnych, IX departament te miał ostatecznie rozpoznawać i rozstrzygać, byłby sędzią w własnej sprawie kompetencyjnej, i atrybucye sądownicze sądu appellacyjnego zawisłyby od dyskrecyonalnej władzy IX departamentu.

Któraż więc wyższa władza, jako trzeci bezstronny sędzia, jest powołaną do rozstrzygnięcia sporów jurysdykcyjnych między sądem appellacyjnym, a IX departamentem?

W miarzeniu ustawy senackiej, w niedostatku wyraźnego prawa, w braku przepisów któreby artykułom 35, 36 i 37 téjże ustawy w kollizyi sądu appellacyjnego z IX departamentem odpowiadały, nasuwa się *prosta analogia* z postępowania czerpanego w sporach jurysdykcyjnych, między administracją z jednej a sądownictwem z drugiej strony, jako téż w zakresie

samój administracyi, między sądem administracyjnym a zwy-
czajną władzą administracyjną, *conflits de jurisdiction et de
contentieux de l'administration.*

Rozwiązywanie sporów jurysdykcyjnych między dwiema
władzami wyłączne attrybucye mającemi, nie może należeć do
jednej z tych władz, bo każda z nich jest stroną interesowaną.
We Francyi spory jurysdykcyjne między sądem kassacyjnym a są-
dami appellacyjnymi lub nawet niższemi trybunałami cywilnymi
i handlowemi, oraz sądami pokoju, należą za pośrednictwem
Panującego do kognicyi władzy prawodawczej. W kraju tu-
tejszym w epoce Księstwa Warszawskiego, spory tego rodzaju
w zakresie sądownictwa należały do deklaracyi interpretacyj-
nej króla saskiego, jako księcia Warszawskiego.

Dziś niedostatek wyraźnego prawa z jednej strony,
a z drugiej analogia, która w sprawach cywilnych zawsze miej-
sce znajduje, wskazują w sporach jurysdykcyjnych, między są-
dem appellacyjnym, a IX departamentem R. S. o właściwość
sądu materyalną, lub formalną, lub ostateczność instancyi pro-
stą drogę do ogólnego zebrania Warszawskich departamentów
R. S. jako wyższego trzeciego, a tém samém bezstronnego
sędziego.

Sposób wnoszenia sporów kompetencyjnych sądowych
do Ogólnego Zebrania Senatu, byłby ten sam, jaki w ogólności
dla sporów jurysdykcyjnych ustawą senacką w jój powoływa-
niu się na organizacyą byłej rady stanu z r. 1832 w artyku-
łach od 37 do 48 jest przepisany. Początkowanie formalne
należałoby do prezesa sądu appellacyjnego, wnoszenie zaś
przed Ogólne Zebranie Senatu do Komissyi R. Sprawiedliwości.

Ten wszakże sposób postępowania, nie wyłączałby inte-
resentów prywatnych od możności pośredniego działania i po-
pierania sporu kompetencyjnego, *sądowego*, raz dlatego, że
i w sporach jurysdykcyjnych administracyjnych, interesentom
prywatnym wpływ zatamowanym nie jest; powtóre dlatego,
że w zakresie sądownictwa, spory kompetencyjne, między try-
bunałami a sądem appellacyjnym, na powództwo stron pro-
cessujących, przed IX departamentem R. S. są popierane, i że
nadewszystko żywotna i ogólna zasada procedury cywilnej obo-
wiązującej, samym owszem stronom interesowanym swobodę
początkowania i popierania wszelkich processów, spraw, spo-
rów do prawodawstwa cywilnego odnoszących się pozostawia;

po trzecie dlatego, że lubo powaga i dostojność magistratur sądowych wymaga, ażeby obstabwały przy nienaruszalności wydzielonych i służących im atrybucyj sądowniczych w zakreślonych granicach, jednakże ogół społeczński, pokładając prawnosć swych stosunków majątkowych lub familijnych na obowiązującym prawodawstwie tak materyalném, jak formalném; ma najważniejszy powód szukać i znaleźć ich rękojmią w odpowiedniém tłumaczeniu i stosowaniu prawa, dla osłonięcia praw szczególnych od wypadków losowych.

A nawet w natłoku wątpliwości prawnych, prawdziwych, lub naciąganych i innych nieobliczonych pobudek, początkowanie i popiéranie nader ważnych sporów kompetencyjnych, jurysdykcyjnych, nie może zależeć od pojedynczego, indywidualnego uznania. Toć w sądownictwie francuzkiém sąd kassacyjny i sądy appellacyjne wszelkie i najmniejsze spory interpretacyjne, a tém samém i kompetencye, odbywają naprzeciwko sobie w wydziałach połączonych za wpływem całego ogółu członków.

Do tych więc zasad torujących, należałoby analogiczne postępowanie w początkowaniu, popiéraniu i wnoszeniu sporów kompetencyjnych, między sądem appellacyjnym a IX departamentem R. S. zająć mogących, zastosować.

Dla uzasadnienia konieczności przypuszczenia, sposobem analogicznym, do Ogólnego Zebrania Warszawskich Departamentów R. S. sporów kompetencyjnych, czyli jurysdykcyjnych między sądem appellacyjnym a IX departamentem senatu zająć mogących, potrzeba jeszcze zastanowić się w ogólności nad systematem kompetencyjnym cywilnym naszego sądownictwa.

System ten czerpać należy z ustawy senackiej, łącznie z postanowieniem, o zaskarżeniu wyroków; z kodexów cywilnego, proceduralnego i handlowego; z systematu kompetencyjnego francuzkiego, zwłaszcza w tém, w czém ustawa senacka do niego się odwołuje, z postanowienia z d. 28 kwietnia (10 maja) r. 1833 (Dz. Pr. XV, 215) i z ustaw hypotecznych.

System ten dotąd nie jest ujętym w żadną pewną i konsekwencyjną teorią, przez jakąkolwiek bądź pracę literacką; prawnictwo zaś wykonawcze, w którém porozrzucane kwestye i towarzyszące im częstokroć inkonsekwencye, jako liczne i niepostrzeżone uchodzą, ścisłego systematu ustalić nie zdoła.

Ustawa senacka, w oddziale o zaskarzeniu wyroków wyrzekła: że od wyroków trybunałów cywilnych i handlowych, *dotąd* w ostatniej instancji wydawanych, służy odwołanie się do sądu appellacyjnego; i że tak względem tych wyroków, jako też w innych sprawach do summy rubli sr. 600 sąd appellacyjny ostatecznie wyrokować będzie; toż samo w sprawach o nieruchomości, której roczny dochód 30 rubli nie przenosi.

Przed zapadnięciem ustawy senackiej, służyła trybunałom cywilnym i handlowym moc wyrokowania w ostatniej instancji do summy 1000 franków, złp. 1600; lecz podług systematu kompetencyjnego francuzkiego, oznaczało to summę główną, czyli *les demandes dont le principal n'excède pas la valeur de mille francs*. Chociażby więc zaległe procenta, lub inne dodatkowe roszczenia więcéj wynosiły, a nawet summę główną w ilości znacznie przechodziły, zawsze trybunały te miały prawo stanowienia w ostatniej instancji.

Gdy ustawa senacka do dawniejszego systematu kompetencyjnego odwołuje się, a nawet z nim w ścisłym związku pozostaje; przeto należałoby w tym duchu rozumieć nadaną sądowi appellacyjnemu moc ostatecznego wyrokowania do rubli 600, jako summy głównej.

Tymczasem w trwającej praktyce, taż ostateczność instancji nie jest do wysokości żądania głównego zastosowaną, tylko ustawicznie się zmienia podług ilości poszukiwanych, obok głównego żądania procentów, lub innych wynagrodzeń: przez co służąca sądowi appellacyjnemu, w tym względzie ostateczność instancji, staje się płynną, a skutkiem tego, strony interesowane, w niepewności, miotane są po tym płynie, wyżej, lub niżej.

Praktyka ta sprzeciwia się duchowi innych rozporządzeń kompetencyjnych, gdy sąd appellacyjny ma nadaną sobie moc ostatecznego wyrokowania aż do *najwyższych wartości* w sprawach possessoryjnych, tudzież w innych sprawach w art. 3 kod. postępowania cywilnego wyszczególnionych, nad 240 rubli sr. wartości przedmiotu, a mianowicie, o szkody przez ludzi, lub bydło w polach, owocach, żniwach zrzędzane; o usunięcie kopców granicznych i przywłaszczenie gruntu, drzew, żywych płotów, rowów lub innych zagrożeń; niemniej o zmianę biegu wody: wszystko to w ciągu bieżącego roku dokonane; o reparacye na dzierżawcy lub lokaterze ciężące; o wynagro-

dzenie szkód przez dzierżawcę lub lokatora żądane, byleby samo prawo do wynagrodzenia nie było sporném, nawzajem o wynagrodzenia żądane przez właściciela za zniszczenia.

Takaż sama władza ostatecznego wyrokowania służy sądowi appellacyjnemu co do *decyzyj hipotecznych* na zasadzie art. 29 ustawy hipotecznej z r. 1818, postanowienia z d. 22 października 1822 r. szczególnie w art. 7 i urzędzenia Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości z d. 22 grudnia 1835 r. o hipotece okręgowej w artykułach 26, 28, 33, 43.

Połączone te przepisy bynajmniej nie dopuszczają możności odwoływania się do instancji *trzeciej* od decyzji hipotecznych, a skutkiem tego żadne odwołania się od decyzji hipotecznych sądu appellacyjnego do IX departamentu R. S. miejsca mieć nie powinny. Tymczasem przeciwna wdrożyła się praktyka względem decyzji hipotecznych sądu appellacyjnego, których przedmiot summe rubli sr. 600 przenosi, bez względu na to, iż w dalszém następstwie logiczném, gdyby przedmiot decyzji hipotecznej *okręgowej* summe tę przenosił, do *czwartej* doszłoby się instancji: której wszakże ustawa senacka wcale nie przypuszcza.

Co do *rehabilitacji* kupieckiej, która pewnemu postępowaniu i sprawdzaniu, ekonomiczném u nas zwanemu, w izbie radnej sądu appellacyjnego, na podobieństwo postępowania adopcyjnego odbywanemu ulega, i która stosownie do artykułu 610 i innych kodexu handlowego, wyrokiem tegoż sądu, przyjętą lub odrzuconą będzie; żadna w jurysprudencji francuzkiej nie powstała kwestya, jakoby taki wyrok appellacyjny, jakimkolwiek bądź środkiem prawnym mógł być wzruszonym.

Przeciwnie, co do wyroków *adopcyjnych*, które, jak się dopiero nadmienilo, są skutkiem postępowania i sprawdzania ekonomicznego w izbie radnej sądowej, atoli z większą uroczystością, bo przez dwie instancje, a mianowicie w trybunale cywilnym I instancji i w sądzie appellacyjnym przewidzionego; jurysprudencya komentatorów kodexu francuzkiego, bynajmniej zaś jurysprudencya francuzka *foralna*, przedstawia obraz kwestyj i wątpliwości, urozmaicony zgodnością lub niezgodnością zdań i rozumowań, często mało uzasadnionych, najczęściej li naciąganych.

Jedna z ogólniejszych kwestyj, która mianowicie do treści niniejszego wywodu się odnosi, ma na celu wynalezienie

środka prawnego na obalenie dokonywanych *ważnie* adopcji, czyli na zniweczenie *ostatecznej wyroczni sądu appellacyjnego*, adopcją zatwierdzającą.

Wszyscy wszakże komentatorowie zniewoleni byli zgodzić się na to, że wyrocznia ta nie może być wzruszoną żadnym z tych środków, któremi wyraźne prawo proceduralne wyroków ostatecznych dotknąć dozwala, a w szczególności ani drogą kassacyi, ani przez restytucyą *in integrum*, ani przez opozycyą trzeciego.

Nie znajdując więc środka *legalnego* na obalenie ostateczności wyroku adopcyjnego, komentatorowie twierdzą, iż tam *akt* adopcyjny przed sędzią pokoju sporządzony, drogą *zwyczajnego processu, par action principale*, do trybunału cywilnego I instancyi przez krewnych *kollateralnych* adoptanta, po zaszłej jego śmierci, skarżonym być może.

Lecz całe to twierdzenie polega: najprzód na sofismacie, *rem judicatam* czyli ostateczność wyroku homologacyjnego wyludzającym: skutkiem którego wyrok ten pozostałby na boku, jakoby szkielet, pozbawiony wewnętrznej osnowy, a mianowicie aktu przysposobienia, który wszakże odpowiednio woli kodexowej już był *przedmiotem legalnego* rozpoznawania i *ostatecznego* zawyrokowania; polega powtóre na sofistyczném przypuszczeniu nadzwyczajnego przypadku przewidzenia adopcji, pomimo exystencyi prawego dziecka, któreby praw swych dochodzić nie zaniechało, oraz na nagłym, przez pozorne rozumowania, poskoku, do urojonych praw krewnym *kollateralnym* adoptanta służyć mających.

Na fałszywą tę drogę początkowania zasad kodexowych i wyprowadzania mylnych wniosków, komentatorowie zabłąkali się, nie zaczerpnąwszy wprzód, jak należało, z właściwego źródła *jurisprudencyi kodexowej*, początkującej od wyraźnych *motywów legislacyjnych*.

Motywa zaś te, niepomińc Lokrego, znachodzą się w trzech mowach: jednéj przez radcę stanu *Berlier*, drugięj przez mówcę trybunału *Gary* do zgromadzenia prawodawczego, trzecięj przez członka wydziału legislacyjnego *Perreau* do trybunału mianych, a nadto w komentarzu do kodexu cywilnego przez *Malevilla* jednego z bezpośrednich redaktorów kodexu cywilnego wydanym.

W obliczu zebranych tu zasad i objaśnień legislacyjnych, jednym duchem tchnących, téj *autentycznej* przewodni tłumaczenia przepisów kodexowych, co do pierwiastków i form adopcyjnych i ich skutku prawnego; z początkowania od nich i rozprawienia wniosków i następstw, w poglądzie na cały system kodexowy, a w szczególności na związkowy stosunek adopcyi i porządku sukcesyjnego, całe rusztowanie sofistyczno-scholastyczne komentatorów rozpada się; wszelkie nastrożające się kwestye znajdują logiczne swe rozwiązanie; podniesione do urojonej potęgi prawa krewnych kollateralnych rozpierchają się; poczęte w chorobliwej wyobraźni dziecię, prawe, nie pozostanie bez lekarstwa; ostateczna wyrocznia homologacyjna sądu appellacyjnego, *rescriptum Principis*, lub *uchwałę* najwyższej władzy prawodawczej zastępująca, staje się niewzruszalną na zawsze prawdą, podobnie jak niewzruszalne są wyroki najwyższych instancyj sądowych, gdy pomimo błędów, któreby się w nich wcisnąć mogły, *in toto orbe terrarum, res judicata pro veritate accipi decet*.

W naszym sądownictwie po uchyleniu przez ustawę senacką możności skarżenia wyroków ostatecznych, wszelkie wyroki ostateczne sądu appellacyjnego, a tém samém i wyroki względem rehabilitacyi, lub adopcyi, tém większą i uroczystsza mocą są otoczone.

Nie mogą być skarżone żadnym środkiem prawnym, ani téż ową urojoną akcyą pryncypalną, której dotąd żadne prawodawstwo za środek prawny wzruszenia wyroków ostatecznych nie uznało i nigdy nie uzna, gdyż w tém leżałoby zaprzeczanie wszelkiej rzeczywistej *in materia* ostateczności, nawet co do wyroków IX departamentu R. S.

A nawet, chociażby wbrew wszelkim zasadom materialnego i formalnego prawa, przyszło dopuścić zwyczajnego procesu, *action principale* przeciwko treści ostatecznego wyroku adopcyjnego, albo rehabilitacyjnego, akcyę tę zwyczajną nie mogłaby w żadnym przypadku dojść do wyższej nad sąd appellacyjny instancyi, dlatego, że rehabilitacya i adopcyja, nietylko *in forma*, lecz oraz *in materia* ostatecznemu rozpoznawaniu i zawyrokowaniu sądu appellacyjnego ulegają: podobnie, jak sprawy possessoryjne i wszelkie inne w art. 3 kodexu procedury cywilnej wyszczególnione. *Delvincourt* acz porywany twierdzeniem pochodzącem z mylnego początkowa-

nia dopuszczenia akcji pryncypalnej, jednakże przywodzi: „Les héritiers qui veulent attaquer l'adoption, doivent donc se borner a en demander la nullité par instance principale, laquelle subira les deux degrés de juridiction.

Nadto rehabilitacya ani adopcyja nie mogłyby być podciągane pod rodzaj spraw stanu, quaestio status, gdyż sprawy o stan, o prawosć dziecka, ściśle w swym przedmiocie są zamknięte, innej są natury, innym prawidłem żadnego zastosowania do nich nie mającym, ulegają; i że adoptowany wcale zupełnych praw familijnych nie nabywa, jak *Berlier* wyraźnie objaśnia, *que l'adoption n'opère pas un changement de famille.*

Rzut kilku ważniejszych tych przykładów, obudzi zapewne przekonanie, iż w terażniejszym porządku organicznym sądownictwa cywilnego, ku rozpoznawaniu sporów kompetencyjnych, między sądem appellacyjnym, a IX departamentem R. S. snujących się, użytem być powinno postępowanie *analogiczne*, ogółowi sporów jurysdykcyjnych odpowiednio.

Postępowanie to nawiodłoby na pole doświadczenia, a tém samém na możność udoskonalenia trudnego bardzo systemu kompetencyjnego sądowego, nietylko podług oderwanych pojęć i widoków, ale nadewszystko podług wypadków i kwestyj z rzeczywistości czerpanych, które zawsze najpewniejszą będą przewodnią w ustaleniu porządku i równowagi sprawiedliwości.

To zaś widoczna, że skoro trzem stopniowym instancjom sądowym, nadaną jest ostateczność wyrokowania w pewnych zakresach, a ku straży właściwego zakresu władzy sądowniczej między pierwszym a drugim stopniem instancyj sądowych, stoi trzeci bezstronny sędzia w osobie moralnej IX departamentu R. S.; tém samém ku straży właściwych promieni granicznych, między drugim a trzecim stopniem instancyj ostatecznych powołaném jest, jako trzeci bezstronny sędzia, Ogólne Zebranie Warszawskich Departamentów Rządzącego Senatu.

August Heylmann.



NARODOWE PIĘŚNI SERBSKIE.

PRZEŁOŻYŁ NA JĘZYK POLSKI

Edward Brzetysław.

Śluszenie i sprawiedliwie powiedziano, że pośród licznego grona ludów dzisiejszego świata, Słowianie są ludem najpoetyczniejszym i najmuzykalniejszym. W samym zaś tak szeroko rozgałęzioném plemienu naszym, palmę tego rodzaju zwycięstwa przyznać musimy południowym Słowianom, a mianowicie Serbom.

Pomijając to wszystko, na czém się poezya ludowa zasa-
dza, odsyłamy ciekawych do rozrzuconych w tym przedmiocie
rozpraw, a mianowicie: Piśmiennictwa W. A. Maciejowskiego,
Historji Literatury Michała Wiszniewskiego, K. Wł. Wójci-
ckiego, i niedawno wyszłych w Warszawie Narodowych pie-
śni Serbskich, przekładu Romana Zamarskiego; wreszcie nie
wspominając i o tém, co mówi o tego rodzaju literaturze P. J.
Szafarzyk, Wuk Stefanowicz Karadzicz i tylu innych, bo to
są rzeczy dla ogółu czytających prawie nieprzystępne.

Chcąc zrozumieć literaturę, a mianowicie poezyą jakiego
narodu, trzeba znać gruntownie jego dzieje, zwyczaje i oby-
czaje, jak niemniej do zrozumienia dziejów niesłychanie przy-
czynia się znajomość literatury pismiennej i ustnej. Atoli nie
jest zamiarem naszym obecnie powtarzać, jakie koleje naród
serbski przechodził, bo może, da Bóg, kiedyś obszernie tę rzecz
wyłożoną mieć będziemy; dzisiaj przestaje tylko na podaniu
do wiadomości powszechnej kilku pieśni bohaterских, jeśli
się nie myłę, wcale u nas nieznanych.

Pieśni te wydrukowane po raz piérwszy w Pradze Czeskiej w r. 1852, były mi znane jeszcze w rękopiśmie, i z nich dwie, t. j. „Ryszlianin Wuk i Doża Wenecki,” tudzież: „Hajduk Nowak i trzysta Turków” w przekładzie polskim są już drukowane.

Nie od rzeczy podobno będzie wspomnieć to, co Aca (Alexander) Popowicz wydawca tego zbioru, mówi w przedmowie do tychże pieśni, jakim sposobem on sam i towarzysz jego Skender (Alexander) Fabkowicz, przyszli do ich posiadania. Oto są jego słowa: „Królewicz Marko w Karaokanie”, „Ryszlianin Wuk i Doża Wenecki,” „Ożenienie Jakszyca Dymitra,” spisane zostały wedle śpiewu i opowiadania Kuzmana Ostojicza rodem z Perwa w Sremie (Syrmia), który w czwartym roku życia swojego w skutek ospy ociemniał i z tego powodu stanowi *ślepców* poświęcił się. (Jak mi powiadał, miał on wielu nauczycieli, od których pieśń się uczył, a między nimi Filipa Wisznicza). Umiał mnóstwo pieśni napamięć, które nie tylko odśpiewywał z towarzyszeniem gęśli, ale i pięknie deklamować umiał.

Kuzman żył w Pawłowicach, mógł mieć lat około 45 do 50, i zwykle dobrém cieszył się zdrowiem; aż dopiero w r. 1849 na św. Michał będąc w Rumie na targu, i tam zebrawszy znaczną ilość pieniędzy uległ wezwaniu kralowczana, imieniem Ilija, który go, jako niewidomego, miał do domu odprowadzić. Kuzman uwierzywszy mu, puścił się z nim w drogę; dopiero opodal od Rumu, niegodziwiec ten zdarłszy z niego kożuch, i pieniądze zabrawszy, do jakiejś niedostępnej jamy go wepchnął, i tam go losowi zostawił. Nieszczęśliwy śpiewak nie wiedząc gdzie jest, co począć i w którą stronę się obrócić, przytém utrudzony i przełęczony zasnął: lecz w skutek przeziębienia się i głodu, tamże wkrótce umarł. Te wypadki opowiadała mi jego własna żona. Pieśń „Hajduk, Nowak i trzysta Turków,” śpiewał mi Stojan Popowicz rodem z Sotina, który obecnie przebywa w Pawłowicach, jako następca Kuzmana, i którego żonę poślubił.

„Hajduk Nowak i jego córa” pisanym jest wedle opowiadania Heleny Tarabiczowój z Szaszinców. „Jankowicza Stojana i Smiljanicza Ilija” słyszałem od swego wieśniaka Joachima Konticza. „Mijata hajduka i Komnena baryaktara” słyszał Skender Fabkowicz w Pradze od Nedolika Sawicza (Dzordze-

wicza) rodem z Trzebini w Hercegowinie, obecnie w wojsku zostającego. Tenże Fabkowicz spisał także „Śmierć Czengicza, Smaila - Agi,” wedle opowiadania znajomego swojego Mikołaja Milkowicza rodem z Konawli, wojskowo służącego.

Aby pokazać, jak potężny duch gości w tym ludzie tak niegdyś sławnym i wielkim, a który z woli Opatrzności podobnie jak i pobratymcy jego wystawionym był i jest na ciężki los pokuty, i pomimo chwilowego wznoszenia się, na długowieczny upadek: postanowiłem zamieścić w polskim przekładzie kilka pieśni bohaterskich nie objętych zbiorem Pieśni Wuka Stefanowicza Karadzicza, a dotąd po reszcie Słowiańszczyzny albo wcale nic, albo bardzo mało znanych.

Uderzającym jest, jak ten lud w świeżości swojej narodowość prastarą przechował: zastanowiwszy się bowiem nad jego pieśniami, zdaje się, jakoby śpiewający lub opowiadający wraz ze swymi słuchaczami zostawał w ścisłych stosunkach ze światem już dawno minionych pokoleń. Zdaje się, jakoby całą przeszłość z obecnością niewidzialne jakieś ogniwa łączyły. Dlatego w pieśniach swoich często zwracają Serbowie mowę do bohatera, tak, jak gdyby on słyszał to, co o nim mówią i co podnosi dumę rzeszy słuchającej, i onę nierządkiem rozrzewnia i do czynu zapala. Zdarza się bowiem często, że młodzieniec słuchający ślepcą śpiewającego, uderzony sromotą i hańbą, jakiej jego przodkowie doświadczali, opuszcza rodzinę i udaje się w góry, aby zostać hajdukiem i mścić się na Turkach za krzywdy ojców i braci swoich.

A jak silnie tkwi w sercu i umysłach Serbów pamięć wielkości i za nią żal głęboki, dosyć wspomnieć, że niema człowieka u południowców naszych, któryby nie płakał na widok *Pola Kosowego* i nie wstrząsał się cały na wspomnienie nawet o nim. Pole Kosowe i bohaterowie tamże polegli są przedmiotem mnóstwa pieśni: od uporządkowania ich będzie zależało wyjaśnienie dziejów Serbii. Atoli rzecz tę, jako wymagającą licznych a obszernych studyów, odkładamy na później: obecnie przystępujemy do objaśnień pieśni przez nas na polskie przełożonych.

Przedmiotem pierwszej jest *Królewicz Marko*, jeden z najznakomitszych bohaterów przeszłości serbskiej. Był on synem króla Wukaszyna, a żył w XIV-stuleciu: imię jego do dzisiaj głośnym jest po całej południowej Słowiańszczyźnie.

Sily miał być nadwyzczajnej: buzdygan, którym jedną ręką władnął, ważył 60 ok (180 funtów); podanie mówi, że 9 letnie drzewa z korzeniami z ziemi wyrwał, krusząc je o skały; namiętnie lubił wino, do którego i koń jego Szaracz był przyzwyczajonym. Dzieje wspominają, że zginął w boju pod *Krajową*, walcząc z Turkami przeciw wojewodzie rumańskiemu Mirczetowi. W bujnej zaś fantazyi ludu, rzecz się ma wcale inaczej: jedne bowiem podania mówią, że Mirczet położył go trupem przytknąwszy mu strzelbę do ust; drugie znowu, że podczas zaciętej walki, Szaracz ugrząznawszy w bagnach Dunaju, wraz z jeźdźcem swoim utonął. Najpowszechniejszą atoli jest wiara głęboko tkwiąca w sercach i umysłach ludu, że ten bohater wcale nie zginął, ale gdzieś w jaskini drzymie. A podanie o tém tak znów brzmi: że w okropnej bitwie pod *Krajową*, gdzie tyle ludzi padło, iż konie we krwi ludzkiej pływały; Marko widząc śmierć oczywistą, wzniosłszy ręce do nieba, zawołał: „Wielki Boże! cóż się z nami stanie!” A Bóg ulitowawszy się rycerza swojego, przeniósł go wraz z koniem cudownie do jednej jaskini, gdzie dotąd obadwa zostają. Przy wnijsciu Marko zatknawszy oręż swój w skałę, położył się i drzymie, a przed Szaraczem cudowna moc Opatrzności złożyła trzy wory mchu, z których on żre powoli; a kiedy Szaracz skończy swój popas i oręż ze skały wypadnie, wtedy ocknie się Marko i powróci na widownią świata uszczęśliwić ziomeków swoich.

Pełno jest podań o życiu i skonie królewicza Marka, ale to jest najwięcej upowszechnioném. Przytaczam je dla przypomnienia, iż są ogniwa tajemnicze wiążące dzieje całej Słowiańszczyzny, bo jak wiadomo, i u nas i w Czechach lud opowiada o jakichś śpiących rycerzach: to św. Wojciecha, to św. Wacława, mających się kiedyś na głos samego Boga przebudzić (1).

Dla lepszego zrozumienia rzeczy nadmieniam, iż Wuk Stefancwicz Karadzicz podzielił pieśni serbskie na dwa rodzaje: t. j. rodzaj pieśni *mezkich* (junackich) i *żeńskich*.

Żeńskie opiewają zazwyczaj życie domowe i wypadki z niem się wiążące, a najczęściej miłość w rozlicznych swoich

(1) Podanie powyższe o królewiczu Marku było niedawno umieszczoném w jednym z pism lwowskich.

objawach. Ten rodzaj pieśni mają Serbowie wspólny z resztą Słowiańszczyzny i Europy, rodzaju zaś pieśni meżkich nie napotykamy u żadnego z ludów dzisiejszych: są one niezawodną chlubą naszych pobratymców południowych. Grecy tylko w epoce Homerskiej podobne pieśni mieli; i dlatego słusznie powiedziano, że są one dalszym ciągiem rapsodów Homerycznych.

Ten rodzaj pieśni mieści w sobie niejako całą treść żywota Serbów; w nich bowiem skupiła się cała ich świetna przeszłość i terażniejszość niezbyt pomyślna. Pieśni ich bohaterskie stanowią odbicie tego, co się na tej nieszczęśliwej ziemi przez długie wieki działo.

Ztąd znowu odnośnie do samej ich treści, przyjęto (1) podział: na *Legendy i Baśni*, noszące piętno niekiedy bardzo dawnego pochodzenia; *Rapsody Rycerskie*, plastycznie opiewające dzieje narodu, począwszy od cara Duszana t. j. szczytu chwały i wielkości Serbów, do nieszczęsnej walki na Polu Kosowém; dzieje nieszczęśliwego Łazara, królewica Marka, aż do całkowitego upadku Serbii, z którejto doby pochodzą pieśni opowiadające czyny i przygody *Hajduków*, t. j. bohaterów unikających mściwej ręki Turków, chroniących się w górach i zamtąd mszczących się zniewagi i hańby braci i ojców swoich.

Trzecie nareszcie miejsce zajmują *Romanse*, których treścią, jak się łatwo domyślcć, jest miłość.

W nowszej dobie walki narodowej Serbów z Turkami, pod wodzą Jerzego Czarnego i Miłosza Obrenowicza, powstało mnóstwo pieśni uwieczniających czyny tych znanych w świecie ludzi.

Słyszałem, że niedawno ukończona wojna z Madziarami pod przywództwem serbskiego generała Kniczana, natchnęła tych niewyczerpanych śpiewaków do nowych pieśni. I nic dziwnego, bo pieśń dla Serbów jest wszyskiem: ona zastępuje u nich od bardzo dawna szkoły, drukarnie i biblioteki, a opiewający je ślepcy są, iż tak rzec można, przechowawcami świętej tradycyi narodowej i roznościełami po wszystkich zakątkach tej naszej pięknej ziemi nadunajskiej, wspomnień

(1) Zobacz wstęp do Narodowych Pieśni Serbskich przekładu Romana Zamarskiego. Warszawa, 1853.

o sławie i potędze minionych pokoleń, a nierządki i wydarzeń dzisiejszych.

Co się tyczy przekładu, odsyłam znających język serbski do samego oryginału, aby ocenili, o ile wiernym jest nasze tłumaczenie; bo nie jest, jak się może napozór zdawać, rzeczą łatwą, umieć nawet w pokrewniej mowie oddać wszystkę jasność, naturalność i dziwną prostotę słów, nacechowanych przytęm głębokością myśli i podniosłością ducha: dlatego ośmielam się wyrzec, iż trzeba być prawdziwie czystego serca, aby takie pieśni tworzyć; jak niemniej i onych ogromną ważność w obec narodu pragnącego światła, a przystępu do niego znikąd nie mającego, należyście pojąć i ocenić.

KRÓLEWICZ MARKO W KARAOKANIE.

Co tak rano narzeka w niedzielę,
 W niedzielę tak wczas przed jarém słońcem,
 Przede słońcem i przede jutrzemką,
 Przed jutrzemką i przed ewangelią?
 A zaliż-to śpiewa sokół siwy?
 Czyliż kuka kukuleczka siwa?
 Czy znać szara zasyczała żmija?
 Gdyby sokół siwy tak zaśpiewał,
 Toby między państwem był szlachetnym;
 Gdyby sina kukała kukulka,
 Kukałaby po górach zielonych;
 Gdyby żmija, toby w skale była:
 Lecz ty biedzisz królewicu Marko
 W Arabii za morzem aż siném,
 We więzieniu arabskiego bana,
 We wielkim mieście, w Karaokanie.
 Jakżeż ciężko jemu w tój niewoli!
 Bogiem wita Araba czarnego (1):

(1) Jest zwyczaj u Serbów wiekami uświęcony, zawierania ślubów braterskich, co i u nas dawnymi czasy w obyczaju było. Śluby takie można zawierać albo w kościele z wszelkimi na ten cel ustanowionymi obrzędami, albo li tylko samém duchowem zobowiązaniem się: zawierają je zaś nietylko mężczyźni między sobą (*pobratymstwo*), ale i kobiety z kobietami (*posiestrzymstwo*) a nawet mężczyźni z kobietami.

Ktobądź wezwany w imię Boga, i nazwany bratem lub siostrą, obowiązany jest zadość uczynić proszącemu.

„Przebóg bracie, czarny Arabino!
Przez Bóg żywy i świętego Jana!
Odewrzyj-że mi w więzieniu okno,
Abym spojrział po Karaokanie,
Abym kogo ujrzał téż ze swoich,
Bądź to kuma, bądź téż przyjaciela:
Na Bogać mój pobratymie proszę.“
Arab wezwan na Boga, jest chętny:
Więc otwiera od ciemnicy okno.

Wyskakujesz królewicu Marko,
Wyskakujesz w ciemnicy na okno;
I pogląda po Karaokanie,
W niedzielę rano przed jarém słońcem,
Przed jutrzeńką i przed liturgiją
Bóg go darzy, szczęście mu dopisze:
Przedziwna go przygoda spotkała,
Bo uwiidził Toszę listonosza!
Prawą ręką skinął wraz na niego,
Prawą ręką i cienkiem rękawem:

„Chodź tu do mnie Toszo listonoszu!“

Kiedy Tosza zobaczył był Marka,
Uderzył się ręką po kolanie (1),
Przebóg jakże serce go zaboli!
Lice swoje łzami wnet zalewa;
Tak przemówi listonosz pocziwy:

„Z Bogiem bracie, królewicu Marko!

Co ty Marko w ciemnicy porabiasz?
Niestety, dziś trzeci miesiąc temu,
Jakom siném morzem się przeprawił,
I ja chodzę po ziemi arabskiej,
Po Arabii i Karaokanie.

Kogo spotkam, o ciebie się pytam,
Kogo dognam o ciebie się pytam,
Kogo widzę, o ciebie się pytam:

Czyli głowa twa martwa lub żywa?

A o tobie nigdzie nic nie słychać,
Do dzisiaj dnia i świętej niedzieli.“

Wylewasz łzy królewicu Marko.

I mówisz do Toszy listonosza:

„Jam tak wielom dopomógł w niedoli

A wyście mnie całkiem zapomnieli.“

Odpowiada mu Tosza listonosz:

„Nie, moj bracie, o! nie przez Bóg żywy!

Wzdyc ja chodzę i o ciebie pytam.“

Marko maca po kieszeni ręką,
I dobywa trzy dukaty zólte

(1) Jestto oznaką zdziwienia lub osłupienia.

Więc je daje Toszy posłańcowi:
 „Poszczęś Boże! listonoszu drogi!
 Owoż tu masz trzy dukaty żółte;
 Zejdźno prosto na rynek do miasta,
 A przynieś mi kałamarz i pióro,
 Białe pióro, czém się listy piszą:
 Co zostanie to tobie na piwo,
 Bym napisał, ze dwa lub trzy słowa
 Do Prylipa (1), do grodu białego,
 Do staruszki Jewroszyny matki.“

Tosza przyjął, zaklęty na Boga;
 A dostawszy trzy dukaty żółte,
 Bieży na dół na rynek, do miasta,
 I tam kupił papier i kałamarz,
 Białe pióro, czém się listy piszą,
 I Markowi też oknem podaje.

Marko pisze mały liścik biały,
 Prawą ręką na kolanie lewém,
 Cienkiém piórem na kartce papieru,
 W arabskiej ziemi, w Karaokanie,
 A w ciemnicy arabskiego bana;
 Potém je śle do Prylipa grodu,
 I pozdrowia swą staruszkę matkę:

„Miła matko, moje lube serce!
 Nie chcesz-li, czy téż nic nie wiesz o mnie?
 Owoż jestem we więzieniu, matko,
 W arabskiej ziemi, w Karaokanie,
 Więźniem bana młodego Arabii;
 A dziewięć jest temu już lat dzisiaj,
 I miesięcy cztery na dziesiąty:
 Gdyby nie to, anibym się żalił.
 Ban z dwunastu brzemieni chce okup (2)
 Czystego srebra, szczerego złota:
 Matko, przyślij, a wykupisz Marka!
 O! Jelice, moja wierna żono!
 Przyślijże mi jeden wianek kwiatów,
 Abym przecie wiedział, że jest wiosna,
 Kiedy będziem mieć świętego Jura
 Mojego i twojego patrona!“

Oknem pismo zwinięte podaje,
 Biorącemu rzecz posłańcowi:
 „Nieś-że pismo mojej starzej matce.“
 Tosza list ten za zanadrze kładzie,

(1) Prylip miasto serbskie, leżące niedaleko Pola Kosowego, stolica króla Wukaszyna i miejsce rodzinne królewicza Marka.

(2) Brzemię złota „towar blaga“ służy do oznaczenia wielkich bogactw, a właściwie znaczy tyle, ile jeden muł unieść zdoła.

I puszcza się z Panem Bogiem w drogę.
 Podskakując Karaokan przeszedł,
 Podśpiewując Arabią przeszedł,
 I wesoło sine morze przeszedł.

Gdy już było na południu słońce,
 W dzień sobotni, przed niedzielą świętą,
 Stara jedna nieboga królowa
 Nad studzienny pochyła się kamień,
 I polewa łzami zimny kamień;
 Często stara na słońce pogląda,
 I tak biedna ozwie się królowa:
 „Jare słonko, jakżeś ty wysoko,
 Synu Marko, gdzieś ty, i jak tobie?
 Jasne słońce wkrótce już zapadnie,
 Marko matce nigdy się nie wróci:
 Wolałabym go oczyma widzieć,
 Niżli jare na niebiosach słońce!“

Tak królowa płacze i narzeka:
 Pod tę dobę przychodzi posłaniec,
 Przed dwór biały Wukaszyna króla (1),
 I zagadnie pochwaliwszy Boga:
 „Z Bogiem stara, o, poczciwa pani!
 Czyjto jest dwór, i czyjaś ty matka?
 Za kim płaczesz i kogo wyglądasz?“
 Odrzecz mu Jewrosima stara:
 „Bądź pozdrowion, o, posłańcze miły!
 Wszakże mówisz o dziecku mém drogiém.
 Oto masz dwór Wukaszina króla,
 Złościwa jam królewska żona:
 Jednego zaś mam drogiego syna,
 Jeśliś słyshał o królewicu Marku:
 A temu już jest dziewięć lat spęła
 I miesiący cztery na dziesiąty,
 Jak już moje oczy go nie widzą,
 I jak o mym Marku nic nie słyse,
 Jest-li żywa albo martwa głowa?
 Za nim poglądam, za nim boleję!“

Na to jęj rzecze posłaniec Tosza:
 „Oj miłościwa królowo stara,
 Jabym tobie powiedział o Marku,
 Jako sam go oczyma widziałem;
 Ale trudno mówić mi głodnemu.
 Z dalekiej ziemi przychodzącemu;
 Ani mnie kto spotkał i o zdrowie pytał,
 Abym chwilkę, choć u niego spoczął!“

(1) Wukaszyn król serbski ojciec królewicza Marka, panował po zabicu cara Urosza r. 1367.

Wielki też głód dokucza mi teraz!
 Masz-li więc w swoim dworze białym,
 Byś raczyła dać to podróżnemu?“
 Odpowie jemu królowa pani:

„O Jelice, ma synowo miła!
 Masz-li ty co we swym dworze białym,
 By posilić biednego pątnika?“
 Synowa jest z rodu wysokiego,
 Chyżo skoczy leciutkiemi nogi
 I podaje pątnikowi jadła.

A kiedy się dobrze najadł pątnik,
 Rzeczce wtedy tak listonosz Tosza:

„Miłościwa, oj królowo stara,
 Jest-li jeszcze co we dworze twoim,
 Czyto wino, czy też woda chłodna,
 To pragnienie zaspokoisz moje,
 Bo mi srodze pragnienie dokucza.“
 Odpowiada jemu znów królowa:

„O Jelice, ma synowo wierna!
 Jest-li jeszcze co we dworze naszym?
 Napój tego pątnika synowo
 Bądź to winem, bądź też wodą zimną,
 A za zdrowie gospodarza Marka,
 Mego syna, twego gospodarza,
 Jeśli jeszcze żyjący nasz Marko.
 Jeśli nie żyw, synowo, nasz Marko,
 To go napój za Markową duszę.
 Tak! za Marka i mego i twego!“

Niewiasta rodu miłościwego,
 Wnet do komory pobiegnie górnej,
 Przynosi kubek złoty do wina,
 Z którego pijał królewic Marko,
 Który dwanaście ok (1) wina zmieści,
 I ten podaje listonoszowi:

„Oto daję ci ten kubek złoty,
 Napelnij go i napij się wina,
 A za zdrowie gospodarza mego,
 Jako jeszcze jest żywy nasz Marko.
 Jeśli nie żyw, mój bracie nasz Marko,
 To napij się za Markową duszę!“

Gdy się Tosza posłaniec pokrzepił,
 List ów zaraz przypomina sobie,
 A więc sięga za zanadźże ręką,
 Wydobywa liścik ów bielutki,
 I zagadnie temi słowy Tosza:

„O staruszko, o królowo pani!

(1) Oko znaczy naczynie (wazę) do mierzenia cieczy lub czego sypkiego.

Oto pismo do ciebie, to białe:
Dobrze uważ, co ci ten list pisze.“

Gdy królowa pismo pochwyciła,
I kiedy je, białe, otworzyła,
Zalewała się staruszka łzami!
Więc nie widzi, co jój pismo pisze,
Więc odezwie się królowa pani:
„O! Jelice, moja miła córko,
Naści owo drobne pismo białe;
Dobrze uważ, co ci pismo pisze:
Ja nie mogę, stara, bo nie dojrzę:
Tak mi oczy moje zasły łzami.”

Gdy Jelica list ten odebrała,
Nad listem się z gardła roześmiała:
„Oj królowo, nasza miła matko!
Owóz mamy i żywego Marka!
Twego syna, mego gospodarza,
W Arabii za morzem aż siném,
W arabskiej ziemi, w Karaokanie,
We więzieniu arabskiego bana;
A temu już spełna jest lat dziewięć,
I miesiący cztery na dziesiąty,
Jako siedzi już w ciemnicy Marko.
By mu pomódz, ja nie póżałuję:
Ban chce okup z dwunastu brzemieni
Czystego srebra, szczerego złota;
Poślij matko, toć wykupi Marka!
Ja mu pošlę jeden wieniec z kwiatów,
Aby wiedział, jaką wiosnę mamy,
I gdy przyjdzie dzień świętego Jura,
Chrzestne imię gospodyna Marka!”

Tu nie może staruszka uwierzyć:
Gdy uderzą we dzwony wieczorne,
Wnet się państwo udaje do cerkwi;
Poszła także i królowa pani,
Jako boży zakon przykazuje.

Samym zmrokiem, przed niedzielą świętą,
Kiedy z białej powrócili cerkwi.
I na stołkach posiadawszy rządem
Wszyscy państwo rozmowę prowadzą.
Daje pismo im jejmość królowa:
Pismo idzie zaś z ręki do ręki.
Gdy się wrogom dostało do ręki,
Obejrzawszy list na głos się śmieją,
I przemówią tak do cnej królowej:
„Starowino, o małżonko króla!
O królowo nasza, miła matko!

Owóż mamy przy żywocie Marka
 W Arabii, za morzem aż siném,
 W arabskiej ziemi w Karaokanie;
 Nie narzekaj i nie bój się matko:
 Wino pije po Karaokanie,
 I on lubi arabskie dziewczęta.
 A o wiernój i nie wspomni żonie;
 Ani matko, Marko jest w złej doli,
 Ale matko, Marko rozpustuje:
 Oto ciebie pokusza tak starą,
 Byś mu matko w niewoli pomogła;
 Nie ślijże mu żadanego złota.
 I nie pozbądź się przed czasem spadku.”

A gdy dojdzie przyjaciół to pismo,
 Patrząc na list poczną łzy wylewać,
 I ze łzami do królowej mówią:

„O królowo nasza, droga matko!
 Otóż mamy przy żywocie Marka,
 Twego syna, a naszego pana!
 W Arabii, aż w Karaokanie
 We więzieniu arabskiego bana;
 A temu już dzisiaj jest lat dziewięć
 I miesięcy cztery na dziesiąty,
 Jako siedzi w ciemnicy już Marko.
 Ban chce okup dwunasto-brzemienny,
 Czystego srebra, szczerego złota;
 Poślij matko, wykupisz nam Marka:
 Jeśli nie masz, to się poskładamy,
 Po drużynie, składkę uczynimy,
 A złożym się na żądane złoto,
 I młodemu pošlem Arabowi,
 Aby Marka wykupić z niewoli,
 Aby Marko nie gnił nam u bana:
 Twój to syn, a pan nasz miłościwy!”

Nie wie jednak królowa, cna pani,
 Komuli ma uwierzyć staruszka:
 Czyli wrogom, czyli przyjaciółom.
 A więc bierze biały liścik czytać,
 Do białego dworu swego idzie,
 Poczém złota ze skrzyni dobywa,
 I wnet téż na dół na miasto schodzi,
 Do jednego młodego złotnika;

Bogiem, bracia, złotnika witała:
 „Z Bogiem, bracie, mój młody złotniku,
 Wyróbże mi skrzynkę całą złotą.”

Złotnik na tę robotę przystaje,
 I zaraz ze złota skrzynkę robi;

Ona idzie na Prołomską górę (1):
 Tam przerzuci drzewa i kamienie,
 Tam pochwyci żmiję jadowitą;
 Posłuchajcie, jak do niej mówiła:
 „Z Bogiem, siostró, żmijo jadowita!
 Pomóż mi dziś w wielkiem utrapieniu:
 Zwiń się w skrzynkę ze złota zrobioną,
 A pošlę cię synowi Markowi;
 A jeśli jest Marko bardzo trapión,
 Pomóże mu w niewoli siostrzyczko!
 Wybawże go przez Boga żywego!
 Jeśli Marko żyje zaś rozpustnie,
 Zagryźże go, przez Boga żywego!”

Żmija poszła za takim zaklęciem:
 Więc się zwija we skrzyneczkę złotą.
 Odnosi ją Jewrosima stara,
 Odnosi ją do swojego úworu,
 Oddaje ją Toszy posłańcowi:

„O mój synu, listonoszu wierny!
 Na-ci synu, skrzyneczkę ze złota,
 Zanieś memu synowi Markowi.
 Nie otwórz jój, na Boga cię proszę,
 Aż u mego królewica Marka!”

Tosza przyjął na Boga zaklęty,
 Schował złotą skrzyneczkę w zanadrze,
 I odchodzi z Markowego dworu.
 Doszedł k'morzu z wesolą igraszką;
 Pośpiewując sine może przebył,
 Cicho Tosza przez Arabią przeszedł.
 A gdy doszedł do Karaokanu,
 Do ciemnicy arabskiego bana:
 Daje złotą skrzyneczkę posłaniec,
 Oknem Markowi królewicowi.

Gdy Marko wziął w rękę owę skrzynkę
 Lica swoje łzami zalewając:

„Stara moja ukochana matko,
 Czyto okup za głowę jest moją?”

Dzieńto właśnie był przed świętym Jerzym,
 A patronem Marku na chrzcie dany.
 Zaczął Marko wieczorne modlitwy;
 Gdy Bożego zakonu dopełnił,
 We więzieniu, niby w świętej cerkwi;
 On otwiera skrzyneczkę ze złota,
 Aby widzieć co jest we skrzyneczce.
 A dzień prawie patrona był Marka,
 I korona zabłysnęła złota,

(1) Prołom, wysoka góra w Hercegowinie.

We więzieniu królewica Marka!
 Na jój wierzchu kamień bercen (1) drogi,
 Cała jasna kamienna ciemnica,
 Wszystkich widać we więzieniu więźniów,
 Jak w południe przy żarzącém słońcu.

Wiesć dochodzi arabskiego bana:
 „Panie młody, Arabii banie,
 Więzień Marko dziwną ma koronę,
 Wszystkich widać po ciemnicy więźniów,
 Jak w południe przy jarzącém słońcu!”

To się dziwném banowi wydaje;
 Podchodzi więc pod ciemnicy okno
 I tak mówi ban arabskiej ziemi:

„O mój więźniu, królewicu Marko!
 Dajże ty mnie koronę ze złota,
 To cię puszczę z więzienia ciemnego.”

Lecz mu na to rzekł królewic Marko:
 „Wiary nie dam, gospodynie banie.”

Wtedy rzecze młody ban Arabii:
 „Daj mi Marku koronę swę złotą,
 Wypuszczę cię z więzienia ciemnego,
 I dam okup z dwunastu brzemieni.”

Na to znowu rzekł królewic Marko:
 „Jaćbym ci dał koronę swę złotą,
 Co mi w spadku zostawił ją ojciec;
 Lecz wypuścisz z ciemnicy swęj więźnie,
 Dasz każdemu dwanaście dukatów,
 A mnie złota brzemieni dwanaście;
 Będiesz cały tydzień nas częstował,
 Na odchodnem do mojego dworu,
 Dasz dwunastu dla mnie przewodników:
 Wtedy tobie koronę dam złotą.
 Nie otwieraj skrzyneczki tój złotój,
 Pokąd morza sinego nie przejdę,
 Bo korona do mnie przywyknęła,
 Żeby za mną puściła się w drogę.
 Aż Arabie nazad do dom wrócisz,
 Otwórz sobie skrzyneczkę ze złota,
 I raduj się z korony swęj złotój.”

Ledwie tego ban się mógł doczekać,
 Bierze zaraz od ciemnicy klucze
 i wypuszcza uwięzionych trzystu,
 A przed niemi królewica Marka;
 Prowadzi ich na swój dwór, do stołu,
 Częstuje ich przez całutki tydzień,
 Każdemu da dwanaście dukatów,

(1) Bercen, wyraz turecki, kamień drogi.

Dwanaście Marku da brzemieni złota,
 I daje mu dwunastu przewodzców;
 Daje Marko skrzyneczkę ze złota,
 Poczem z banem Marko się rozstawa;
 A gdy Marko ku pomorzu doszedł,
 Przewodników banowi odsyła.
 Ban otwiera skrzyneczkę ze złota,
 By obejrzyć koronę swę złotą.
 Wezyrowie i pany się zeszły,
 Ale piszczy szarawa wnet zmija,
 Koło szyi bana się obwija:
 Lice gryzie, czarne oczy pije.
 A to widzą pany i wezyry,
 Więc się dziwią zjawisku wielkiemu,
 I do siebie po arabsku rzekną:
 „Allah, allach, Tobie Boże chwała!
 A wielki to cud od Boga dany,
 Że się zmija Kaurin (1) wykupił,
 I więzionych trzysta wyprowadził,
 Mnogo złota czystego zabrawszy!”
 Kiedy słońce już miało zachodzić,
 Stara jedna nieboga królowa,
 Nad kamień się studny pochylila;
 Często stara na słońce pogląda:
 „Jasne słońko, wnet ty dla mnie zajdziesz,
 Marko, matce nie wróci się nigdy!”
 W tę dobę rzekł królewic Marko:
 „Boża pomoc, moja droga matko!
 Otóż jestem, moja miła duszo!”
 Kiedy matka zobaczyła Marka,
 Marko matkę w rękę pocałował,
 Dał jęj złota dwanaście brzemieni:
 Od żalości biedna stara matka,
 Że się jeszcze żywa z Markiem widzi,
 Martwa z Marka rąk na ziemię* pada.
 Pięknie Marko pochował swą matkę
 Żalościw i nieslychanie smutny;
 Sześć brzemieni wydał na to złota,
 Nim pochował swoją drogą matkę.
 Sześć brzemieni oddał swojej żonie:
 „Owóz. żono, sześć brzemieni złota,
 Zyj szczęśliwa i zdala od złego,
 A ja idę z drugim się znów spotkać!”
 Ej błogo onym, co mają kogo!
 Ciężko onym, co nie mają swego,
 Błogo bratu u brata swojego,

(1) Toż samo co Giaur, niewierny.

Synom błogo jest u rodziciela;
 Błogo bratu, kiedy ma współczucie,
 Błogo prawdzie na sądzie straszliwym!
 Każdemu jest siła na czas dana,
 Mądrość nawet po śmierci pamiętna:
 Czego pragniesz, tego się doczekasz.

HAJDUK NOWAK I TRZYSTA TURKÓW (1).

Rano wczas wstał hajduk Nowak stary,
 Wczas wstał rano w niedzielę po nowiu,
 Ze sobą niósł tykwę i motykę;
 Tamto zaszła szczęśliwa przygoda.
 Gdy go Turków trzy spotkały sotnie:
 „Poszczęść Boże, dzielny nieznajomy!
 Cóż takiego mogło cię zniewolić,
 Żeby wstawać tak rano w niedzielę?
 Chodzić kolo winogron w niedzielę?”
 „Dzieci moje, trzy sotnie Turczynów!
 Jakżebym nie miał wielkich przykrości,
 Kiedy żywię na swym dworze białym
 Aże trzysta wszelakich sierotek!
 Ja je żywię i ja je odziewam,
 Z woli Bożej i ze swego serca,
 I za moje równie miłe zdrowie.”
 Znowu jego zapytują Turcy:
 „Ach, nieboże, sierocino stary,
 Nie umiałbyś nas mołojcze przewieźć
 Przez tę górę Romaniją (2) czarną;
 Tylko bracie czasem nas nie wprowadź
 Na hajduka starego, Nowaka.
 My idziemy po piękną dziewicę:
 Jeżeli Bóg da i przejdziem szczęśliwie
 I dziewicę zdrówo przywiedziemy,

(1) *Hajduk* oznacza w ogóle łupieżcę, rozbójnika; nie wszyscy jednak trudnią się tak haniebnym rzemiosłem: biorąc zaś rzecz ze stanowiska uciśnionych południowców naszych, hajduki są żyjącą wiecznie Nemesis historyczną. Po wszystkie czasy znachodzili się tacy hajducy polityczne piętno na sobie noszący, z różnych przygód głośni i dlatego żyją ciągle w pamięci ludu. Jednym z najznakomitszych pomiędzy nimi był „*Hajduk Nowak*” którego imię, aczkolwiek żył w XV stuleciu, znanym jest po dziś dzień, tak Serbom, jako i Turkom. Niedaleko Serajewa, w Bośni, pokazują jeszcze ślady pobytu jego na skale.

Radziwój (z przydomkiem „*Deli*” dzielny, chrobry) brat jego, aż do śmierci razem z nim walczył; co też i o synach jego dwóch Nowakowiczach, Gruju i Tatomirze, powiadają.

(2) Romania, góra, na której zwykle hajduk Nowak ze swoją drużyną przebywał.

Ciebie mężem szczęsnym uczynimy.“

Roześmiał się hajduk Nowak stary,
I do Turków tak znowu przemawia:
„Dzieci moje, trzy sotnie Turczynów!
Ile jest na górze wzniosłych jodeł,
Tak ja junak umiem rozpoznawać
Nowakowe po górach przesmyki;
Przeto chcę was bracia przeprowadzić,
Przez tę górę Romaniją czarną,
A Nowaka na niej nie znajdziemy;
Lecz słuchajcie czego po was żądam:
Jam sobie już junak podstarzały,
Zestarzały i niedowidzący,
Dajcie chociaż starego mi konia,
I dajcie mi szablę jaką starą,
Abym się też stary mógł obronić.“

Spoglądają po sobie janczary,
Spoglądają jeden na drugiego;
Potém między sobą rozmawiają:
„To i dajmy mu jakiego konia.
—Posłuchajno sierocino stary!
Dajemy ci i konia i szablę,
Bowiem nas jest trzy Turczynów sotnie.
U każdego szabla dobrze kuta,
U każdego konik żartki, dzielny;
Wybierz szablę, która ci się zdaje!
Weź i konia któryć się podoba!“

Chociaż stary, ale on przebiegły;
Migiem jeszcze konie wszystkie przejrzał:
Spostrzegł zaraz pięknego kasztanka,
A kasztanka ojca Metkowicza
Pokrytego złotem i szkarłatem;
Grzywa jego przeplatana złotem,
A złoconą uzdą zauzdany,
A srebrzystém siodłém osiodłany.
Chociaż stary, ale on przebiegły,
I obejrzał sobie migiem szablę:
Obejrzał on szablę Omerową,
W której jest rękojeść ze złota.

Spojrzą na się janczarowie Turcy,
Wszystko dali i słowa nie rzekłszy.

Jeśli komu widzieć się zdarzyło,
Jako jeździ smok na czarnym djable,
To na dzielnym koniu hajduk Nowak,
Potem jeździł po górach zieżionych;
Gdy się k'swemu zbliżał stanowisku,
Do Turczynów tak przemawiać począł:
„Dzieci moje, trzy sotnie Turczynów!

Możebyście radzi co usłyszeć,
To wam zaraz zacznę wyśpiewywać:
Będę śpiewał cienko, tudzież głośno.“

Trzysta Turków jemu odpowiada:
„Zaśpiewaj nam sierocino stary,
Zaśpiewaj nam. to nas i rozerwiesz,
Bo nas drzemka już nagabać pocznie.
A jak Bóg da, to będzie i lepiej.“

Tedy stary zawodząc zaśpiewa,
Śpiewa stary, jako sokół siwy:

„Gdzieście teraz wy siwe sokoly?
Przeleciały już górę łabędzie,
Pod skrzydłami bogactwo przyniosły!“

To posłyszał dzielny młodzian Grujo,
A za Grujem młodziutki Tatomir,
Zatém swemu stryjowi mówili:

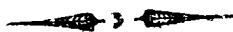
„O stryju nasz, mężny Radziwoju!
Powstań jeszcze na nogi junacze;
Oręż tobie przypniemy błyszczący,
I pójdziemy na górę Romanią,
I w Romańskie puścimy się ścieżki;
Bo głos ojca naszego poznajem.
Pewno ojciec nasz potkał się z Turki,
Albo młodych téż kupczyków zaszedł,
Więc ich wiedzie do naszych kryjówek:
Tamto musi być wiele bogactwa!“

Tego ledwo Radziwoj dosłuchał,
Kiedy lekko na nogi skoczyli;
Przypasali błyszczące oręża,
Jak rozbójnik lub jak wiley sunąc,
Zajmują swe po górach kryjóweki.

Pod tę dobę zbierali się Turcy.
Miły Boże! cudów nadzwyczajnych
Jeżeli widzieć zdarzyło się komu,
Jak się zetkli Turcy z hajdukami:
Nowak bije. a Radziwój siecze;
Młodzian Grujo na gromadę wpada,
A Tatomir hurinę przeskakuje;
Bacznie zważa, aby szpieg nie uszedł,
By nie doniósł, co się wydarzyło,
Jako się przez góry przeprawili.
Odsiekli głów tureckich moc wielką,
I zdobyli bardzo wiele bogactw;
Zabierali konie i oręża,

A po sobie pamięć zostawili.

Niech się śpiewa pokąd słońce świata
I jasnego słońca i miesiąca!



KRONIKA LITERACKA.

*Franczeska z Rimini. Tragedya Silvio Pellico, przekład
Juliana Bartoszewicza.*

Dnia 15 listopada 1856 roku, podczas bytności w téj stolicy pani Ristori, ujrzeliśmy po raz piérwszy na scenie naszej tragedya Silvio Pellico „Franczeska z Rimini”. Dniem piérwój Kuryer Warszawski (w numerze 300) uprzedził publiczność, że druk téj tragedyi jutro ukończony zostanie i nabyć jój będzie można w drukarni Józefa Unger, a w numerze z dnia 16 listopada 1856 (302) tenże Kuryer Warszawski wyraziwszy, że dla zrozumienia sztuki wielu z słuchaczy i widzów posiłkowało się tłumaczeniem polskiém Juliana Bartoszewicza, poświadczył, że tłumaczenie to wierszem nierymowym, dosłownie dokonaniem zostało. Przekład tragedyi Silvia Pellica wyszedł z druku dnia 15 listopada 1856 r. pod tytułem: „Sylwiusza Pelliko, Franczeska z Rimini, tragedia w pięciu aktach, przełożona wierszem miarowym przez Juliana Bartoszewicza, Warszawa, w drukarni Józefa Unger, r. 1856, w 16-ce, stronnice 87”.

Nie należy zapewne dramat Silvia Pellica do arcydzieł powszechnój tragicznój literatury, ale zawsze liczyć się będzie do celniejszych muzy włoskiej zaszczytów. Dobry więc przekład takiego utworu byłby istotnym przydatkiem do zasobów piśmiennictwa naszego, i do takiego téż od Juliana Bartoszewicza mieliśmy prawo tém pewniój, że tłumaczenie jego nie było dorywczo, nagle, bez przygotowania, z powodu jedynie przyjazdu do nas wielkiój artystki przedsięwzięte, ale według daty na końcu książki położonój, dawno ukończone i przez lat kilkanaście na warsztacie trzymane.

Dla tém dokładniejszego zdania sprawy o pracy p. Bartoszewicza przypomnimy treść dramatu: óbok najdosłowniejszego, ile się dało, powtórzenia prozą głównych jego ustępów, położymy przekład jego wierszem miarowym; a to zestawienie

z sobą, najwydatniej wskaże podobieństwa albo różnice, przydatki albo opuszczenia, wreszcie rzetelność albo przeniebierzenie się tłumacza.

Tragedyą, o której mowa, otwiera scena pomiędzy Guidonem, panem na Rawennie, ojcem Franczeski, przybyłym nagle na jej wezwanie i niespokojnym o jego przyczynę, a Lanciottem panem na Rimini, jej mężem, który teściowi swojemu opowiada smutną zmianę i stan żalorny domowego swego pożycia. Spotykając się z zięciem swoim, mówi Gwidon: „Więc pragnęła mnie widzieć? Natychmiast wyjechałem z Rawenny, bo tron całego świata mniejbym cenil jak córkę moję”.

LANCIOTTO.

O Gwidonie! jakże ten pałac widzisz zmienionym od dnia moich zaślubin. Ulice Rimini nie brzmią już wesołym odgłosem śpiewu i tańców: już nie usłyszysz nikogo, coby mówił o mnie, «nie ma na ziemi króla tak szczęśliwego, jak Lanciotto.» Cel naówczas zazdrości wszystkich książąt Italii; stałem się teraz ich politowania przedmiotem. Pełna wdzięków Franczeska poruszała niegdyś wszystkie serca i pięknoscia i tą lekką melancholii zasloną, która coś, więcej niebiańskiego, nadawała jej obliczu. Przypisywano to tęsknocie po domu rodzinnym i wstydlivosti świątobliwie wychowanej dziewczycy, wstręt czujającej i od hymenu, i od tronu i od poklasków. Zdawało się wreszcie, że czas zaczyna uspakajać jej smutek: mniej posępnie zaczęła oglądać na mnie; już nie usiłowała w ciągłej zostawać samotności: powstała w niej pobożna gorliwość słuchania skarg i prośb nieszczęśliwych: często odnosiła je do mnie i mówiła mi: „Kocham cię, bo sprawiedliwym jesteś i laskawie panujesz” (1).

(1)

GWIDO.

Widzieć mnie chciała? O! Rawenny mury
Rzuciłem chętnie, bo tron całej ziemi
Mniej mi jest drogi jak córka.

LANCIOTTO.

Gwidonie!

Jakże mój pałac wygląda ponury
Od dnia, gdyś ślubem moje związał dłonie;
Brzmiało Rimini śpiewy wesołemi
I dziarskim tańcem: a dzisiaj w tej chwili
Już nikt nie widzi, że na całej ziemi
Jeden Lanciotto jest książę szczęśliwy.
Wszyscy książęta Włoch mi zazdrościli:
Dziś, jakżem godzien ich wzajem litości.
Franczeska w twarzy takiej miała dziwy,
Takim cudownym poita urokiem

GWIDO.

Łzy mi wyciskasz. Powabne dziecię, była ona wszystka samym uśmiechem, samą radością: zdawała się przebiegać szczęśliwie kwiatami uślaną ścieżkę swego żywota. Ożywiające jój spojrzenie przelewało w każdego, na kogo padło, wesołego ducha lat jój młodzieńczych. Któżby to mógł być przewidzieć? Oto nagle zgasł promień tak wielkiej radości: zgasł od pierwszego ciosu cierpienia. Niestety! czule kochanego brata wojna jój wydarła. O! nieszczęsne wspomnienie! Jakże nieustannie zajmowała ona modłami niebo za tego ulubionego, wojującego brata! (1).

I takie niebo w jój oczach świeciło,
 Że każde serce chciało jój miłości,
 O niój marzyło, dla niój tylko biło;
 Smutek, co w cudnej przebłyskał zrzemicy
 Zda się początek winien był tęsknocie
 I uroczemu wstydowni dziewicy,
 Co obojętném poglądała okiem
 Na święte śluby, na tron i okłaski.
 I czas nareszcie boleść tę złagodził:
 Mniej już Franczeska oczy swe spuszczała,
 Mniej już się błakać lubiła w samocie;
 Już biedni więcej u niój mieli łaski,
 Słuchała prośb ich i męża wołała
 Aby mu czule mówić: Kocham ciebie,
 Boś sprawiedliwy i rządysz jak w niebie.

- (1) Chce mi się płakać. Biedaczka! tak była
 Zawsze szczęśliwą, wesołą: na drodze
 Tak pięknej życia podobną się zdała
 Kwiatom na wiosnę *wytryśniętym z ziemi*.
 Na kogo oczy zwróciła wesołe,
 Tego duch cały utonął w jój oczach.
 Cóż powiem dalej? oto na cios pierwszy
 Takiego szczęścia zgasł promień: zagasnął
 Na pierwszy napad boleści: wspomnienie!
 Straszliwa wojna wydarła z jój łona
 Brata, tak czule kochanego brata,
 Za którym w niebo ciągle słała prośby,
 Za którym ciągle gościła u Boga.
 Niepocieszona po brata utracie
 Niecierpi zbrojcy. ta dusza tak wzniosta
 Jakże śmiertelnie może nienawidzieć!
 Napróżno mówię; to nasi ojcowie
 Wzniecali wojnę *przestań więc narzekać*.
 Mój brat Paolo zabił twego brata,
 Ale na wojnie; *stał mu chluba rościć*,

LANCIOTTO.

Po stracie brata żyje niepokieszona i brzydzi się jego zabójcą. Dusza tak pobożna i tak łagodna, może tak śmiertelnie nienawidzić? Naprózno jej mówię: ojcowiec nasi wywołali wojnę; brat mój Paolo zabił twojego brata, ale na wojnie; dość dla niego samego zgryzoty ztąd, że go zabił; bo ludzkie i szlachetnego rycerza godne ma on uczucia (1). Mieszają ją samo imię Paola, a ja cierpię na tém, bo czule kocham oddalonego brata. Doniesiono mi, że on wraca; serce moje było radośnie: powiedziałem o tém Franczesce i błagałem, aby go łaskawie przyjęła. Na tę wiadomość krzyk wydarł się z jej piersi: „On wraca” zawołała drżąca i bez przytomności upadła. Mamże ci powiedzieć? niestety! myślałem, że już nie żyje, i w uniesieniu przysięgłem, że za jej zgon wezmę zemstę z brata mego.

GWIDO.

Nieszczęśliwy! mógłżebyś.... (2).

LANCIOTTO.

O niechaj niebo zniweczy tę bezbożną przysięgę! (3) Wzdrygnęła się usłyszawszy jej powtórzenie i rękę ku mnie wyciągając, przysięgnij, zawołała, przysięgnij, że kochać go będziesz, bo on sam tylko, gdy mnie już nie będzie, pozostanie prawdzi-

- (1) On w sercu żywi szlachetne uczucia:
 Nie, samo imię Paola ją drażni.
 Cierpiałem wiele będąc oddalony
 Od mego brata, bo go kocham duszą;
 Nagle odbieram wiadomość, że wraca
 Znowu do kraju; serce mi skakało.
 Z prośbą przychodzę do żony, *całuję*
 I błagam, by go z radością przyjęła.
 „On wraca!” zbladła, zadrżała, jęknęła,
 Padła na ziemię, myślałem: skoła!
 Mamże ci mówić? wściekły, poprzysięgłem,
 Że się jej śmierci pomszczę na mym bracie.
- (2) Mógłżebyś? powiedz....
- (3) Niebo nie słuchało
 Strasznej przysięgi: słyszę ją, powtarza
 Imię Paola bez wstrętu, bez żalu,
 I ku mnie rękę zmartwiałą wyciąga.
 Przysięgnij, wołam, przysięgnij go kochać,
 Kiedy ja umrę on ci pozostanie,
 Będzie cię wspierał: gdzietam, za nic wszystko!
 Okrutna! srogo brata nienawidzi.
 I zaraz wracać chciała do Rawenny
 Na dwór ojcowski, gdzieby jej wejrzenia
 Wzroku zabójcy brata nie spotykały.

wym przyjacielem twoim". Okrutna! wymaga, abym go kochał, a sama nienawidzi go, i chce wrócić do rodzinnego domu w Rawnie, aby zmuszoną nie była znosić widoku zabójcy brata swojego.

(Oprócz dwóch ostatnich wierszy, ustęp ten zupełnie zrozumiany nie został: przysięga żądana w oryginale przez Franczeskę od męża, w przekładzie żądana jest od niej przez Lanciotta, i to jeszcze na to, że będzie kochała jego brata Paola).

GWIDO.

Odebrawszy twój list lękałem się czy nie jest chora: ty wiesz jak ją kocham i że zadługo żyje:—rozumiesz mnie, w ciągłej o nią zostaje trwodze (1).

LANCIOTTO.

O nie mów tego!... Ilekroć na nią uszpioną patrzę, a zamknięte powieki i blade lica zaledwie znak życia dają; przyciskam do jej ust moje dla przekonania się czy jeszcze oddycha, i tak jak ty się trwożę. Chciałem ją rozerwać uroczystościami i igrzyskami; te ją nudzą. Obsypałem ją klejnotami i złotem, obdarzyłem ją władzą; była mi wdzięczną ale nierozweseloną. Znając jej pobożność, wzniosłem nowe świątynie: w nich sto Bogu poświęconych dziewic, zaszczyconych jej opieką i miłością wznoszą za nią modły do nieba; widzi ona, że wszystko czynię dla jej zjednania, przyznaje to przedemną,—i płacze. Niekiedy powstaje we mnie występna myśl: miałżebym rywala? O nieba! ależ przez całą jej istotę prześwieca serce najniewinniejsze i czyste. Otóż sama nadchodzi (2).

- (1) Właściem odebrał list twój i sądziłem,
Że już i po niej. Tak ją mocno kocham!
 Powiedz, czy żyje? mów, na miłość Boga!
 Drzę cały.
- (2) Czeka! gdy jej wzrok zagasnął,
 I kiedy widzę, że jej twarz pobladła,
 Żadnego znaku już nie daje życia,
 Zbliżam się ku niej, straszny, niespokojny
 I mym oddechem szukam jej oddechu,
 I twoją trwogą drżałem przelekniony.
 Ach! od tej chwili trzymałem Franczeskę
 Wśród zabaw ciągłych *na łonie pokoju*:
 Drogie kamienie skupowałem dla niej,
 Była mi wdzięczną, lecz nigdy wesolą.
 Bogu oddana, stawiała ołtarze,
 Co dzień sto dziewic za nią modły wznosi;
 Ona je kocha, *żywi*, pielęgnuje,
 Widzi, że ciągle myślę o jej szczęściu,

(Dziwne całego ustępu tego powikłanie w przekładzie miarowym, wynikło z przypuszczenia przez tłumacza, że to jest dalsze opowiadanie wrażenia, jakie na umyśle Franczeski uczyniła wiadomość o spodziewaném przybyciu Paola. Nowe kościoły, które w oryginale stawia Lanciotto, są w przekładzie fundacyami Franczeski. O karmieniu zakonnic, Silvio Pellico nie nie mówi.

Przystąpmy do sceny drugiej pomiędzy Lanciottem, Gwidonem i Franczeską).

GWIDO.

Córko! uściskaj mnie, to ja jestem (1).

FRANCZESKA.

Ojczel! ach podaj mi rękę, niech ją okryję pocałowaniem (2).

GWIDO.

Pójdź tu, do łona mego; niech się bicia serc naszych połączą. Pójdź i ty księżę! Jesteście oboje dziećmi mojami. Tu więc do mnie, oboje! Niebo niech was błogosławi! Tak was uści-
skałem razem w dniu owym, gdyście ręce sobie podali (3).

FRANCZESKA.

O! w owym dniu, byłeś szczęśliwym mój ojczel! (4).

GWIDO.

Co? chciałabyś może powiedzieć, że w owym dniu, ojca
szczęśliwym, a siebie nieszczęśliwą uczyniłaś? (5).

FRANCZESKA.

Nieomylnie ja miałam przeczucie, że małżonkowi mojemu
źle się odwdzięczę nieustannym płaczem! Mówiłam ci mój oj-

Widzi to zawsze, wymawia i płacze.

Przyznam się, dziką nawet myśl powzięłem:

Mamże rywala? Lecz Boże! *ta dusza*

Zdaje się, *kryje* tak niewinne serce!

Tak piękne, czyste! Patrz! otóż nadchodzi.

(1) Córko! . . twój ojciec... chodź w moje objęcia!

(2) Ojczel! mój ojczel! pozwól mi twą rękę

Tysiącem pokryć pocałunków.

(3) Tutaj,

Chodź tutaj córko! Tu na łonie mojem

Ukój twe troski, boleść, bicia serca!

Chodź tu Lanciotto! chodźcie tu oboje!

O! niech was niebo *święte* błogosławi!

Tak was ściszałem w owym dniu radosnym

Gdym ślubem *świętym* wiązałem ręce wasze.

(4) Ten dzień! tak byłeś szczęśliwy, mój ojczel!

(5) *A ciebież smutek Franczesko pomraczał!*

cze, że do małżeńskich związków powołana nie jestem. Prosiłam cię o welon zakonny; ty powiedziałeś, że tylko zameście moje uczyni cię szczęśliwym: byłam ci posłuszną (1).

GWIDO.

Niewdzięczna! mogłaś żądać zakonnego welonu od ojca, którego pozostałaś jedynym żyjącym dziecięciem? Mogłaś osiwiałemu ojcu odmówić pociechy, kołysania kiedyś na swych kolanach syna swjej córki? (2).

FRANCZESKA.

Nie przez wzgląd na siebie boleję nad tém. Bóg położył na sercu mojem niezmierny ciężar zgrzyoty; dźwigam go z cierpliwością. Łzy moje płynęłyby nieustannie przez wszystkie dni życia mojego tak w klasztornej celi jak w zgiełku świata, ale tambym moje, tylko moje cierpienia, z poddaniem się znosiła; tam swobodnie z piersi moich wzbijałyby się do Boga błagalne westchnienia, aby się ulitował nad nieszczęśliwym swoim stworzeniem i zabrać je raczył z tego padła płaczu. Ale teraz, ale tu życzyć sobie śmierci nie mogę. Udręczam cię o szlachetny małżonku mój, gdy żyję; ale udręczyłabym cię jeszcze bardziej, gdybym umarła (3).

(Wspomnienie o samotniczej, właściwie klasztornej celi byłoby w tém miejscu zrozumialsze, gdyby tłumacz dwa

- (1) Miałam przeczucie, że codziennym płaczem
Złe wynagrodzę przywiązanie męża.
Mówiłam tobie: „ojcze, mnie niebios
Nie przeznaczyły do małżeńskich związków”.
Ale ty chciałeś: mówiłeś, że szczęście
Twoje w tém leży; byłam ci posłuszną.
- (2) Niewdzięczna! chciałaś więc odmówić ojcu,
Który cię jedną na świecie posiadał?
Chciałaś odmówić mnie posiwiąłemu,
Abym w starości na kolanach moich
Piastował dziecię mojej własnej córki?
- (3) Nie, to nie dla mnie! Na ciężkie boleści
Z cierpiącym sercem Stwórcy mnie przeznaczył;
Zniosę ten wyrok: w samotniczej celi
Jak i na świecie, *życiebym skończyła*
Zatrute płaczem i nieszczęściem ciągłym;
Lecz nikt się losu biednej nie zmiłował!
Ciągłebym prosby wznosiła do Boga,
By się nad nędznym zlitował stworzeniem
I by je wyrwał z padła rozpaezy.
Dzisiaj, nie mogę życzyć sobie śmierci,
Bo choć, mój mężu, zatruwam ci życie,
Cierpiałbys więcej, gdybym żyć przestała.

razy poprzednio uczynionej wzmianki o zamiarze Franciszki wejścia do klasztoru, nie był opuścił).

LANCIOTTO.

O świętobliwa i zarazem okrutna! dręcz mnie! zaprawiaj trucizną wszystkie moje godziny, ale żyj (1)!

(Zupełnie od oryginału oddalenie się w przedostatnim wierszu ztąd poszło, że tłumacz wyraz *velen* znaczący truciznę, wziął za wyraz *vel* znaczący zasłonę).

FRANCZESKA.

Kochasz mnie zanadto, i przewiduję z trwogą, że zmuszonym będziesz tę miłość na nienawiść zamienić: że będziesz musiał ukarać mnie za winę, której nie popełniłam, a przynajmniej za winę mimowolną (2)...

LANCIOTTO.

Za jaką winę? (3).

FRANCZESKA.

Ja .. za słabo okazuję ci miłość moją... (4).

LANCIOTTO.

Ale czy ją czujesz? O! nigdybym nie wyrzekł tych słów, gdyby gwałtownie nie wyrwały się z serca mojego. Może ty chciałabyś mnie kochać, ale nie możesz? (5).

FRANCZESKA.

Co za myśl?

LANCIOTTO.

Za winną cię nie mam... mimowolnemi często są uczucia (6).

- (1) Zabij mnie droga! a jednak okrutna!
Zerwij zasłonę wszystkich nieszczęść moich!
Lecz żyj przynajmniej!
- (2) Tak mocno mnie kochasz,
A ja się lękam, abyś téj miłości
W srogą, straszliwą nie zmienił nienawiść:
Ukarz mnie... winnam... zgrzeszyłam niewinnie.
- (3) Winnas?
- (4) Tak. . słabo wynurzam ci... miłość...
- (5) Ale ją czujesz? O! nie chciałem nigdy
Mówić ci tego, co teraz w mém sercu.
Chciałabyś kochać!... lecz nieba! nie możesz?
- (6) Winną nie jesteś; uczucia
Nie są posłuszne życzeniu naszemu.

FRANCZESKA.

Co? (1).

LANCIOTTO.

Przebacz! Powtarzam, za winną cię nie mam. Jednakże, czy boleść twoja... nie wynika... z walki duszy mocnej z występłą miłością? (2).

FRANCZESKA

(rzucając się w objęcia ojca).

Ach ojczel! broń mojej sławy! Powiedz jemu, i odemnie odbierz przysięgę na to, że dopóki byłam przy tobie, dni moje upłynęły bez skazy; że odkąd przy nim jestem, ani mniemałam, żeby mógł paść na mnie choćby cień podejrzenia (3).

(Nie uniknie uwagi czytelnika, że tę samą przysięgę, o której odebranie od siebie Franczeska prosi ojca w oryginale, każe jemu wykonywać w przekładzie).

LANCIOTTO.

Przebacz! miłość jest twórcielką podejrzeń! Często mówiłem sam do siebie: a jeżeli też czysta miłość rozpała już była dawniej jej młodzieńcze serce; jeżeli w milczeniu zachowuje pamięć mego rywala, nad którego niewątpliwie przenosi swoją powinność; jakież miałbym prawo, śledzeniem jej tajemnicy, rozdrażniać krwawą jej ranę? O! niechaj raczej tajemnica ta, jeśli istnieje, na wieki pozostanie utajoną w jej niewinnym sercu. Leoz mamże powiedzieć? Pewnego dnia wzmogły się podejrzenia moje, kiedy pochwałami brata twojego pocieszyć cię chciałem. Niepokonanym uniesieniem porwana, wykrzyknęłaś: gdzież, o tajemny przyjacielu serca mojego, gdzie jesteś? Cemu nie powracasz, abym cię, zanim umrę, raz jeszcze zobaczyła (4)?

- (1) Więc?
- (2) Przebacz Franczesko, tyś wcale niewinna,
Ale twa boleść... być może w twój duszy
Walczy potężnie... z miłością... występłą.
- (3) Ojczel mój, ojczel! ratuj imię moje:
Powiedz, przysięgnij, że w twoich objęciach
Pędziłam szczęśna, piękne dni niewinne,
I nie sądziłam, by na łonie męża
Mógł cień mnie nawet podejrzenia splamić.
- (4) Daruj mi! miłość nie jest bez podejrzeń:
Myślałem nieraz, ta czysta dziewica
Może zna czystej miłości rozkosze,
I może pamięć jego dotąd jeszcze
Żywi w milczeniu; może go przekłada
Nad obowiązki, i jakimże prawem
Rozjatrzać miałbym świętą serca ranę,

(Przypuszczono w przekładzie, że może Franceska żywi w milczeniu pamięć *jego*, ale nie powiedziano: czyją; przypuszczono, że może go przekłada nad obowiązki, chociaż w oryginale wprost przeciwną myśl wyrażono stanowczo: ranę serca, której nie wypadało rozdrażniać, nazwano świętą: powiedziano wreszcie że wątpliwość Lanciotta wzrosła jak olbrzym wtedy, gdy chciał mówić żonie o bracie swoim, kiedy według oryginału miała to i powinna była być mowa o bracie jej przez Paola zabitym).

FRANCZESKA.

Ja to wymówiłam? (1).

LANCIOTTO.

A te wyrazy nie zdawały się stosować do brata twojego (2).

FRANCZESKA.

A więc i w chwili obłąkania wybadywane być mają myśli nieszczęśliwych! Ze nieszczęśliwemi są, nie dość na tém; jeszcze zniesławić ich trzeba (3).

Każdy, każdy, litość udając, wchodzi do spisku przeciw strapionemu ich umysłowi. Nie współczucia oni wyglądają, nie: ale grobu (4).

Jeżeli zatem stałam się już nieznośną dla ciebie: otwórz mi grób, a z radością weń zejde; z radością, bylebym od mężkiego uwolniła się widoku (5).

Szukać zamkniętej w piersiach tajemnic?
Zakryta w sercu, niech tam leży wiecznie!
Lecz mamże mówić? Kiedy dnia pewnego
Pięknemi słowy, chciałem cię pocieszyć,
Mówić o bracie *moim*: ta wątpliwość
Wzrosła jak olbrzym; uniesieniem zdjęta
Wołałaś ze łzą: „gdzie jesteś, gdzie jesteś
Tajemny serca mego przyjacielu?
O! przyjdź na chwilę! niechaj wprzód nim umrę
Jeszcze mojego zobaczę *aniola!*”

(1) Ja to mówiłam?

(2) Tak: *przecież te słowa*

Były o bracie.

(3) I w szaleństwie nawet

Ludzie chcą myśli wybadać występnych!

Czyżto niedosyć, że oni szaleni?

O! jeszcze potwarz musi gryść ich serce!

(4) I niby litość... każdy ich niecierpi;

Nie chcę litości... ja myślę o grobie.

(5) Gdy znieść nie możesz mojego widoku,

Otwórz mi trumnę, wstąpię w nią wesół,

Wstąpię z radością... ucieknę *od ludzi.*

GWIDO.

O córko! czy ty marzysz? (1).

LANCIOTTO.

Jakże przerażająco spoglądasz na mnie. Cóżem ci zawi-
nił (2)?

FRANCZESKA.

Alboż nie ty, udręczeń moich jesteś przyczyną? Dlaczego
oderwałeś mnie od grobu matki mojej? Tam byłby uspokoił
czas boleść moję; tu wszystko ją podnieca i nieustannie odna-
wia: tu kroku postąpić nie mogę bez przypomnienia... O ja sza-
lonal ja nie władam sobą, o niedaj wiary, nie! (3).

(Znaczenie i moc dwóch ostatnich wierszów zniknęły
w przekładzie przez opuszczenie myśli, że za każdym
krokiem budzą się Franczeski wspomnienia).

LANCIOTTO.

Do Rawenny Franczesko, odjedziesz z ojcem twoim (4).

GWIDO.

Wstrzymaj się książę! (5).

LANCIOTTO.

O! ja zrzekam się praw moich. Od ojczyzny twojej nigdy
cię już nie oderwę. Znienawidzonego od ciebie, a przecież twe-
go i tak czule kochającego cię małżonka już więcej nie zoba-
czysz (6).

A chociażbyś nawet, litością i żalem nigdy nie dotknięta,
do nieszczęśliwego męża swego nigdy nie powróciła, lub też

(1) *Szalejesz córko!*

(2) *Pocóż dzikim wzrokiem
Tak patrzysz na mnie? Com ci złego zrobił?*

(3) *Tyżes przyczyną wszystkich nieszczęść moich,
Czemuś mnie wydarł méj ojczystej ziemi,
Gdzie matki mojej spoczywają zwłoki?
Czasby złagodził wielką boleść moję:
Tu mi ją wszystko żywo przypomina
I każdy krok mój; o ja nieszczęśliwa!
Nie wierz Lanciotto, nie!*

(4) *Do twojej Rawenny
Powrócisz z ojcem Franczesko!*

(5) *Co? książę?*

(6) *Ja praw małżonka chętnie się wyrzekam:
Nie pragnę więcej twójgo powrotu.
Ten, co cię trwogą napawa, Franczesko,
To mąż twój, co cię sercem kochał tyle;
Już go nie ujrzysz....*

zobaczyłabyś go kiedyś tak zmienionego od zgryzot, żebyś go poznać nie mogła; ja mimo tego, obecność twoją w sercu zawsze czuć będę, gotowy zawsze na łono twoje się rzucić i przebaczyć (1).

FRANCZESKA.

Lanciotto! ty płaczesz (2).

GWIDO.

O córko! (3).

FRANCZESKA.

O mój ojczel! widziałeś kiedy córkę występniejszą, niewdzięczniejszą małżonkę? Bolesćto wyciska ze mnie słowa niegodne; serce nie ma w nich udziału: tylko usta same je wymawiają (4).

GWIDO.

Ach! nie skracaj dni twojego ojca: nie dopuszczaj, aby zmarnowały się cnoty twojego męża, któremu w tobie dało niebo godną i uwielbioną małżonkę (5). Grób mój mniej ciężyc mi będzie, jeżeli kiedyś stanąwszy na nim, przysięgniesz, żeś miłością i potomstwem małżonka twego uszczęśliwiła (6).

FRANCZESKA.

Ja miałabym skrócić życie ojca mojego? O nie! córką i małżonką być chcę; oby mi tylko niebo dodało siły: błagajcie je o to wraz ze mną (7).

- (1) A jeżeli z czasem
 Tknięta litością i z rozpaczą w sercu
 Być może, wrócisz do biédnego męża,
 Gdy boleść minie, już mnie ty nie poznasz.
 A ja? ja tobie błogosławić będę
 Za tyle łaski i na twojm łonie,
 U nóg twych drogiéj Franczesce przebaczę.
- (2) Lanciotto, płaczesz.
- (3) Biédna moja córko!
- (4) Ojczel! czyś widział kiedy na téj ziemi
 Winniejszą córkę, żonę niewdzięczniejszą?
 Bolesć mi słowa *zatrzymuje* w ustach,
 Ale łzy świadczą jak serce stroskane.
- (5) Nie skracaj ojcu dni jeszcze tak krótkich,
 I umiej cenić twego męża cnotę!
 Niech mu téj niebo pociechy dozwoli,
 Aby miał żonę w tobie ubóstwianą.
- (6) Lżejsza mi ziemia grobowiec pokryje
 Kiedy konając zostawię Lanciota
 Z potomstwem piękném i miłością twoją!
- (7) Ja ojcu memu mam ukrócić życie?
 O! będę córką, małżonką; lecz wesprzyj,
 Wesprzyj mnie niebo! proście i wy ze mną.

GWIDO.

Boże! wróć pokój córce mojej (1).

LANCIOTTO.

Mojój małżonce! (2).

(W tym stanie rozmowy, służba uwiadamia Lanciotta o przybyciu nieznanego rycerza. Franczeska jakby przecuciem tknięta, wyprowadza ojca pod pozorem, że on potrzebuje spoczynku po znużeniu nagłej podróży. Z opowiadania pazio domyśla się Lanciotto, że to brat jego: jakoż wchodzi Paolo, nic nie wiedzący o tém, że brat jego ma żonę, że tą żoną Franczeska, i że ona znajduje się w Rimini. Po pierwszych czułych przywitaniach, myśl Paola zwraca się do ojca, którego już nie zastał. Mówi on:)

PAOLO.

W tém samém miejscu uściskałem cię po raz ostatni. Z tobą razem uściskałem jeszcze kogoś drugiego. On płakał... przeznaczeniem było mojem więcój go nie oglądać! (3).

(Lanciotto zapewnia go, że ostatnim wyrazem umierającego ojca było imię oddalonego syna. Paolo, któremu ubieganie się za płoną chwałą i w obcej sprawie już się sprzykrzyło; cieszy się nadzieją nierozzerwanego odtąd aż do zgonu z bratem swym połączenia. W téj scenie 5éj aktu 1go jest piękny ustęp do Italii, w którym Paolo mówi także:)

PAOLO.

I dla kogożto zakrwawiałem mój oręż?—dla obcych: jak gdybym nie miał ojczyzny, której świętą własnością jest krew każdego obywatela (4). (I niżej). Nie jesteś ty (o Italio), najpiękniejszym ze wszystkich krajów, które oświeca słońce (5). Ty (Italio) dałaś przodkom moim siedlisko i znaczenie, ty wszystko, co jest dla mnie najdroższe, na macierzyńskim łonie twojem piastujesz!

(Co miarowy przekład zupełnie i przeinacza i osłabia (6). Uradowany przybyciem i rozmową brata mówi:)

- (1) O! wróć spokojność biednej mojej córce!
- (2) Zlituj się niebo nad Franczeską moją!
- (3) Tu cię ściskałem, tu po raz ostatni
Wtenczas, ktoś inny tu mnie ściskał także,
A wtenczas płakał... dziś go nie zobaczę!
- (4) Dla kogoż miecz ten zdobywał zwycięstwa?
Dla cudzoziemców? a jestże kraina,
Której nie droga krew obywateli?
- (5) Ze wszystkich krajów pod słońcem, ty jedna
Najwięcej mówisz do mojego serca.
- (6) Przodkowie moi świetność ci *nadob*
Tyś najpiękniejszym na ziemi nstrułem,

LANCIOTTO.

O! nie miałby ludzkiego serca, ktoby ciebie widząc i słyszając, nie pokochał. Niebu niech będą dzięki! Nienawidzić cię nie zdoła i ona (1).

(Tu zaczyna się stopniowe wprowadzenie Paola w wiadomość o zdarzeniu mającém odjąć mu wszelką nadzieję. Chwytając ostatnie słowo brata, zapytuje się:)

PAOLO.

Kto? (2).

LANCIOTTO.

A, ty o tém nie wiesz! Do zupełnego szczęścia mojego brakuje mi w tém miejscu i w téj chwili drugiej jego połowy (3).

PAOLO.

Byłżebyś zakochanym? (4).

LANCIOTTO.

Tak jest, kocham najpodobniejszą do aniołów kobietę, kocham, i... zarazem kobietę najniezszczęśliwszą (5).

PAOLO.

O! i ja także kocham; więc wzajemnie zwierzymy się cierpień naszych (6).

LANCIOTTO.

Przed samą śmiercią, ojciec nasz zalecił mi związek małżeński, mający stałym obdarzyć nas pokojem; rozkaz jego spełniłem (7).

(1) Słyszeć cię, widzieć a nie kochać przytém,
Niepodobieństwo. O! dzięki niebiosom,
Ona nie może ciebie nienawidzić.

(2) Kto taki?

(3) Bracie, dla mojego szczęścia,
Jeszcze mi *małej rzeczy* niedostaje....

(4) Może ty kochasz?

(5) O, kocham Paolo!

Kocham anioła!... ale *biędny anioł*
Tak niezszczęśliwy!

(6) I ja kocham także!
Odkryjmyż sobie wzajemne boleści.

(7) Na łożu śmierci ojciec mi polecił
Małżeńskim ślubem związać się z dziewczcą,
Co nam w posagu pokój przynieść miała:
Spełniłem rozkaz....

PAOLO.

Ta wybrana przez ojca naszego, jestże twoją małżonką? I nie byłabyś szczęśliwy? mów: kto ona jest? czy cię nie kocha (1)?

LANCIOTTO.

Niesprawiedliwiebym uskarżał się: nie mogę mówić, aby mnie nie kochała. O! gdyby tylko tak, ciebie pokochać mogła! Ale ty, brata jej zabiłeś na wojnie: jesteś dla niej zgrozy przedmiotem i widzieć cię nie chce. (2).

PAOLO.

Mów, kto ona jest? kto? (3).

LANCIOTTO.

Widziałeś ją niegdyś na dworze Gwidona (4).

PAOLO

(*wstrzymując straszne wzruszenie*).

Więc ona jest (5)?

LANCIOTTO.

Córka Gwidona (6).

PAOLO.

Więcto ona, ciebie kocha? więcto ona jest twoją małżonką? Prawda, jej brata... ja zabiłem (7).

LANCIOTTO.

Ma za to żal nieuśmierzony do ciebie. Na wiadomość, że do ojezyny powracasz, rozpaczająca, dom ten znienawidziła (8).

- (1) Lecz twoja kochanka
Jest żoną twoją? czyliś z niej *nie kontent*,
Czy cię nie kocha?
- (2) Nie mogę powiedzieć,
Że mnie nie kocha, *ciebie tak kochała!*
Ale ty, brata zabiłeś jej w wojnie.
Lęka się teraz, widzieć ciebie nie chce.
- (3) Któż więc jest ona?
- (4) Widziałeś ją niegdyś
Na dworze Gwida....
- (5) Więc?
- (6) Córka Gwidona!
- (7) Ona cię kocha! ona twoją żoną?
Tak... zabiłem... jej... brata,...
- (8) Od téj chwili
Cierpi straszliwie; słysząc że powracasz
Do ziemi przodków, lęka się Ri i ni.
Rozpaczy pełna....

(Paolo, mimo przełożeń brata swojego, postanawia opuścić na zawsze Rimini: oba bracia na pamiątkę, zamieniają swoje oręże: Paolo rozrzewnia się).

LANCIOTTO.

Ty płaczesz? (1).

PAOLO.

Bo i ja także... kochałem! W oczach moich nie było takięj drugiey na świecie. I nie byłem, tak, nie byłem przedmiotem jej nienawiści (2).

LANCIOTTO.

I utraciłeś ją (3).

PAOLO.

Niebo mi ją wydarło! (4).

LANCIOTTO.

Braterska miłość niech cię pocieszy! Twoja postać, twoje szlachetne przymioty, nawet Franczeski serce złagodzą. Idź więc ze mną (5).

PAOLO.

Dokąd? do niej? to nie nastąpi nigdy! (6).

(W sercu Franczeski wstrząśniętej przybyciem Paola zaczyna się mocna walka miłości z obowiązkiem. W scenie 1-ém aktu drugiego mówi jej ojciec, że nie powinna obawiać się przymuszonego widoku Paola: że on przed nią, bez jej rozkazu nie stanie: że wstręt jej smutkiem go napelnia: że chciał odjechać, ale brat go wstrzymuje: wreszcie, że Lanciotto, widząc ją nieco spokojniejszą, spodziewa się, że zdoła znieść widok Paola. Franczeska podwójną myślą miotana, widzenia tego którego kocha, i opuszczenia Rimini; czuje potrzebę wynurzenia się przed ojcem: zaklina go, aby ciągle przy niej pozostał, i z wielkiem wysileniem stopniowo, tajemnicę swoją przed nim

(1) Paolo! ty płaczesz?

(2) I ja kochałem! Jedyny na świecie
Kochał mnie *anioł*... Ona mnie kochała....
Ach, tak.... kochała....

(3) *Miałeś ją utracić?*

(4) Tak chciały losy!

(5) Niechaj cię pocieszy

Miłość braterska! *może ty potrafiśz*
Zmiękczyć Franczeskę... nawrócić jej serce....
Ach pójdź....

(6) O nigdy! *zmiłuj się Lanciotto!*

odślania, wystawiając mu okropność swego położenia w Rimini).

FRANCZESKA.

Przy tobie tylko samym, mówi, miałabym odwagę wese-
lić się i płakać. Ty nieprzyjacielem moim nie jesteś: ty uli-
towałbyś się nademną, gdybyś.... (1).

GWIDO.

Co? (2).

FRANCZESKA.

Gdybyś wiedział...

I niżej:

Tu mogłabym zdradzić się, a biada mi, biada! gdybym
przed kim innym, jak przed tobą, nieostrożne słowo wymówi-
ła! (3).

(Ale gdy w ciągle wzrastającym wzruszeniu rzekła):

FRANCZESKA.

O! gdybym się odważyła wszystko wyjawić przed tobą.
Ale co mówię? gdzie się utaję? rozstąp się ziemio i zakryj
hańbę moję! (4).

(Odpowiada jój):

GWIDO.

Mów, o córko! słuchaj niebieskiego natchnienia! miej
ufność.... udawanie torturą jest dla ciebie (5).

FRANCZESKA.

Niestety! powinnością moją jest udawać: powinnością jest
milczeć; winą byłoby błagać o wsparcie, winą opowiadać

(1)

Ach! na twojem łonie

Mogę się cieszyć, wylewać łzy gorzkie;
Tyś mój przyjaciel, miej litość nademną.
Ach! gdybyś wiedział?

(2)

Co?

(3)

Mogę się zdradzić.... *Jeżeli słów kilka*
Ozwę się kiedy, zaraz krzyk powstanie;

(4)

Chciałabym ci wyznać...

Co mówię? Boże! ach, gdzie się ukryję?
O ziemio! ziemio! roztwórz twoje łono
I moję hańbę zachowaj przed światem!

(5)

Niebo cię wesprze, miej córko nadzieję...
Zmyślać, udawać, jest winą z twój strony...

tak ciężkie przestępstwo przed ojcem, który najlepszego małżonka dał córce swojej, i uszczęśliwić jej nie mógł (1).

GWIDO.

O nieszczęśliwy! więc ja katem twoim jestem! (2).

FRANCZESKA.

O mój dobry ojcze! nie jesteś. Ale ja czuję, że upadam pod moją słabością... że potężne wsparcie jest mi potrzebne. O! ratuj, o! wspieraj mnie! (3).

Z długiej walki wychodziłam dotąd zwyciężko! ale drzę, o te krótkie już, o te ostatnie dni życia mojego. Pomóż mi o mój ojcze! abym je świątobliwie zamknęła! (4).

O tak! Lanciotta podejrzenia nie były płonne; a przecież jam niewinna! wierną mu jestem małżonką i chcę zostać mu wierną (5).

Ojcze! na czoło twoje pot występuje! odwracasz się odemnie, drżysz!... (6).

GWIDO.

Jakiżto bezbożnik ogień świętokradzki w sercu twojem zapalił (7).

FRANCZESKA.

O! bezbożnym on nie jest; nie wie on, tak, nie wie, że jest kochany... On mnie nie kocha (8).

- (1) Zmyślać i milczeć, to powinność moja.
Wielką jest zbrodnią żądać pocieszenia,
Zbrodnią występki opowiadać ojcu,
Który swą córce wybrał najlepszego
Z mężów na ziemi, a jednak niestety!
Nie dał jej szczęścia!
- (2) Ach! przestań Franczesko,
Byłem ja kiedy katem uczuć twoich?
- (3) Nie byłeś, ojcze... moja słaba cnota
Chwieje się... chwieje... *O! cios to okropny!*
Ale konieczny! Ratuj, ratuj ojcze!
- (4) Już długą walkę wiodłam sama w sobie,
I te niknące dni mojego życia
Jeszcze tak straszą; pozwól mi mój ojcze!
Niech świątobliwie we łzach je zakończę!
- (5) Mąż mi nie wierzy, ale jam niewinna:
Wierną mu byłam i skonałam mu wierną.
- (6) Ojcze mój! *łzami zroszę twój czoło,*
Ale spójrz na mnie... nie gniewaj się ojcze!
- (7) Któż ten szaleniec, co spokojne serce
Zatlił występny, zbrodniczym promieniem?
- (8) On nie szaleniec: nie wie, że go kocham;
On mnie nie kocha.

GWIDO.

Gdzie on jest? To może do Rawenny chcesz wracać aby go zobaczyć? (1).

FRANCZESKA.

Aby przed nim uciec, mój ojciec (2).

GWIDO.

Gdzie on jest? odpowiadaj! gdzie jest? (3).

FRANCZESKA.

Ojczel przyrzekłeś mi litość! nie unos się!... On jest... w Rimini (4).

(Na te wyrazy trafia Lanciotto: dziwi się, że uspokojonych już nieco, teścia i małżonkę widzi wzburzonymi na nowo. Gwido zapowiada Franczesce, że jutro wyjadą do Rawenny; Lanciottowi oświadcza, że tego chce Franczeska. Na błagalny jej wyraz: „o mój ojczel odważyłżebyś się”, odpowiada, i odchodzi rzucając na nią groźne spojrzenie. Naturalnemi po tem odejściu były wyrazy Franczeski):

FRANCZESKA.

Niestety! najokrutniejszym ze wszystkich dla mnie jest mój ojciec (5).

(Ale Lanciotto tak sobie je tłumaczy, że Franczeska odjechać musi, bardziej na rozkaz ojca jak z woli własnej, i mówi):

LANCIOTTO.

Więc już nie miałaś zamiaru porzucenia mnie! Mniemałem, że cię wzruszył mój smutek. Dla uniknięcia widoku Paola nie potrzebujesz odjeżdżać; on sam chce się oddalić (6).

FRANCZESKA.

Oddalić się? (7).

- (1) A gdzie on? to może,
By go zobaczyć do Rawenny wrócisz?
- (2) Ucieknę przed nim!
- (3) A gdzie on? odpowiedz!
Gdzie on jest?
- (4) Ojczel, miej litość nademną,
Uspokój się, on tu, w Rimini...
- (5) Mój ojciec bardzo, bardzo jest okrutny!
- (6) Chciałaś się zostać, sądziłem, szczęśliwy,
Że ciebie litość nademną wzruszyła.
Nie ma potrzeby chronić się Paola:
Sam chce odjechać.
- (7) Odjechać?

LANCIOTTO.

Nieznosném byłoby dla niego życie w rodzinnym domu, w którymby go nienawidzono (1).

FRANCZESKA:

On ciebie tak bardzo kocha! (2).

LANCIOTTO.

Bo słodkie i szlachetne on ma serce. Tak jak ja, miłości słabo czuć nie może; tak jak ja, ofiarą jest miłości (3).

FRANCZESKA.

On... miłości ofiarą? (4).

LANCIOTTO.

Tak, i twoje nawet serceby zmiękczył, gdybyś wysłuchać go chciała! (5).

(Przerażona wyrazami męża, że Paolo jest zakochany, mówi z goryczą):

FRANCZESKA.

I pocóż więc wraca w te strony? czy myśli, że mam drugiego jeszcze brata, którego mi wydarł! O nie na co innego, jak na nieszczęście moje on tu przybywa (6).

LANCIOTTO.

O pani! jakże jesteś niesprawiedliwą! On błaga cię, zanim odjedzie, tylko o chwilę widzenia, o chwilę posłuchania. Ach! pomyśl, że to twój krewny: że przedsięwzię nową i długą podróż: że może go już nigdy nie zobaczymy. Głos religii niechaj do ciebie przemówi! (7).

(1)

Tak myśli.

Życie w ojczyźnie będzie mu nieznośne,
Kiedy go *zawsząd* będą nienawidzić.

(2)

Kocha cię tyle...

(3)

Czułe jego serce,

I mnie podobny: kocha on z zapalem,
I jak ja wędnie ofiarą miłości.

(4)

Miłości, mówisz?

(5)

Gdybyś go słyszała,

Serceby silnie zabiło w twych piersiach.

(6)

I pocóż przybył w te kraje z *daleka*?

Czyliżto sądzi, że mam brata jeszcze,
Coby go znowu *umiał* zamordować!...

Tak, on tu przybył na moje nieszczęście.

(7)

Niesprawiedliwa! Paolo odjeżdża

I tylko chwilę pragnie głos twój słyszeć,

.....: Gdybym miał nieprzyjaciela, wybierającego się na drugą stronę oceanu: i gdyby nieprzyjaciel ten stanął przedemną dla podania mi ręki, zanim odpłynie: o! uściskałbym czule jego prawicę: bo tak jest słodko przebaczyć (1).

FRANCZESKA.

Przestań! o jakże czuję się zawstydzoną! (2).

LANCIOTTO.

Powiedziałbym sobie: może ta przegroda oceanu trwać będzie pomiędzy owym człowiekiem a mną aż do naszego zgonu! (3).

Dopiero po śmierci, w niebie, tam dopiero wszyscy na nowo się zobaczymy: tam już nic rozdzielić nas nie zdoła (4).

Tam i tobie nienawidzić brata mojego nie będzie wolno (5).

(Ostatnie wyżej przywiedzione słowa Lanciotta. „Tam i tobie nienawidzić brata mego nie będzie wolno” wydzierają Franczesce fatalne wyznanie).

FRANCZESKA.

A więc niestety! dowiedz się mój mężu, ach! przebac mi! (6).

(Którego atoli dokończyć jej nie pozwalają: Lanciotto przywołujący brata i Paolo wchodzący, na którego widok Franczeska ukrywa twarz swoją na łonie męża).

PAOLO.

Cóż mam powiedzieć? Ona tu jest.... ale gdy spojrzeć nie chce na mnie, czyż mnie zechce posłuchać? (7):

Zobaczyć ciebie. Ach! pomyśl Franczesko,
 Że to twój krewny, że znowu dalekie.
 Zacznie podróże, i że brata *pewno*
 Nie ujrzy więcéj; wspomniéj żeś chrześcianka.

- (1) Gdybym miał wroga, a ocean straszny
 Porwał go z sobą: gdyby wróg mój ręką
 Ratunku wzywał, o wierz mi, dłoń jego
 Ścisnąłbym *szorstko*, bo większej rozkoszy
 Nie ma na świecie, jak winę przebaczyć!
- (2) Przestań Lanciotto!... ach! przestań na litość!
- (3) Kto wie, mówiłbym, czy to dzikie morze
 Z pomiędzy ludzi, co brzeg jego wieńczą
 I mnie nie schwyci?
- (4) *Samemuż być w niebie?...*
 Przecież tam wszyscy zobaczym się znowu...
 Tam już nas żadna siła nie rozdzieli!..
- (5) Nie, *ty nie możesz* niecierpieć Paola.
- (6) Mężu mój, przestań!.. przebacz mi mój drogi.
- (7) I cóż jej powiem? to ona, Franczeska,
 Wolno mi widzieć i słyszeć ją wolno?

Lepiej uczynię, gdy odjadę; wtedy mniej nienawidzieć mnie będzie (1).

Powiedz jej ty, o bracie, że przebaczam jej nienawiść i że nie zasłużyłem na nią (2).

Drogiemu jej brata zabiłem; lecz mimowolnie (3): widząc szeregi swoje wycięte, zapamiętały, rzucił się sam na ostrze mego miecza! (4).

Ja ofiarą życia własnego nie byłbym się wahał jego ocalić (5).

FRANCZESKA.

(po chwili powszechnego milczenia, ciągle przytulona do męża i nieśmiająca podnieść twarzy).

Mężu! czy on już odszedł? Czy odszedł Paolo? Słyszę, że ktoś płacze! któż to jest? (6).

PAOLO.

To ja płaczę Franczesko! ja najniezwyklejszy z ludzi! Nawet przytułek domowego ogniska jest mi odjęty! Czyż nie dość jeszcze serce moje było rozdarte? czyż nie dość na tém, że ulubioną moją straciłem? mamże jeszcze być pozbawionym i brata i ojczyzny! (7).

FRANCZESKA.

O nigdy z mojej przyczyny brat unikać nie będzie brata! Ja oddalam się, ty zostaniesz: Lanciotto potrzebuje przyjaciela (8).

- (1) O tak, odjadę a mniejsza nienawiść
Dotknie mnie może.
- (2) Powiedz jej, Lanciotto,
Że jej przebaczam, że nie zasługiwał
Na gniewu *tylę*.
- (3) *Nie wiedząc o niczem*
Zabiłem brata stroskanęj Franczeski.
- (4) Wiódł on do boju dzikie żołdactwo roje
I sam natrafił mego miecza ostrze.
- (5) *Kosztę jej brata ocaliłem siebie.*
- (6) Czy on *wyjechał? wyjechał* Paolo?
Słyszę, ktoś płacze; kto płacze, mój mężu.
- (7) To ja, Franczesko, to ja ze śmiertelnych
Najniezwyklejszy! W zamku mych naddziadów
Jeszcze spokojność jest mi zagrodzona!
Miałożto jeszcze, że serce rozkrwawił?
Miałoż, że stracił mego anioła?
Jeszczeżto brata, ojczyznę mam stracić?
- (8) Brat *nie powinien* uciekać przed bratem.
Ja ztąd wyjadę, ty zostań Paolo...
Bądź zawsze *druhem* mego Lanciotta.

PAOLO.

O! ty go kochasz? Kochać go powinnaś, i ja go Kocham...
 Walcząc w dalekich stronach, gdy od wściekłości zwyciężkich
 szyków moich ocalałem zwyciężonych, i małżonki i dziewice;
 gdy mnie okrzykiwano ze wszech stron najwaleczniejszym ry-
 cerzem i zarazem rycerzem pobożnym; o, wtedy unosiło się na-
 demną słodkie ukochanego brata wspomnienie; wtedy marzy-
 lem, że on mnie kiedyś z szlachetną dumą powita; że Italia ca-
 ła i czarujące jęj córki dadzą mi przydomek rycerza bez skazy.
 O! jakże złowieszczemi były dla mnie owe tryumfy: jakże wale-
 czność moja była dla mnie złowieszczą! (1).

FRANCZESKA.

Więc wojując w dalekich stronach, litowałeś się często
 nad zwyciężonemi? ocalałeś małżonki i dziewice? Tamto zape-
 wne poznałeś tę, która nad sercem twojem panuje. Co mówię?
 o szalona! oddał się.. Ja cię nienawidzę, tak! nienawidzę cię (2).

(Gdy po tych słowach słyszy Franczeska, że mimo
 wstrzymywania przez Lanciotta, Paolo do wyjścia się za-
 biera; mimowolnie rzuca na niego spojrzenie, a gdy już
 wyszedł woła z boleścią):

FRANCZESKA.

Paolo!... O ja nieszczęśliwa! (3).

- (1) Ach, ty go kochasz! To twoja powinność:
 I ja go Kocham.... Wśród wojen zwyciężkich
 W dalekich stronach .. po szczęśliwej bitwie
Zawszem wrywał żony i dziewice
 Wściekłości moich wojsk rozzuchwalonych;
 Za to mnie wszyscy zewsząd nazywali
 Rycerzem dzielnym, pobożnym rycerzem...
Bo wtenczas pamięć kochanego brata
 Stała przedemną: myślałem, że wkrótce
 Znów go zobaczę i z dumą *powitam!*
 Italia cała, jęj nadobne córki
 Tak słodko imię *wspominały* moje:
 Czemuż nieszczęsne zyskałem tryumfy;
 Czemuż mi męstwo przyniosło niedolę!
- (2) Więc walcząc *zdala*... tyś litość miał w sercu?
Młode dziewice i żony ocala!
 Tam możeś zoczył i tę, co panuje
 Już w myśli twojej. Co mówię? nieszczęsna?
 Odejdź, niecierpię, ja cię nienawiazę!
- (3) *Uciek!*... o biędna!

LANCIOTTO.

Okrutna! czy litość nad nim masz, czy udajesz? (1).

Na co, gdy nas wszystkich nieszczęśliwemi chcesz uczynić, łzami się teraz zalewasz? (2).

Mów: żądam sprawy z niepojętego twego postępowania; znosić go już dłużej nie zdołam (3).

FRANCZESKA.

I ja także znosić dłużej nie zdołam niesłusznych twoich wyrzutów, i nie znajdę pokoju aż w grobie (4).

(Między Franczeską i Paolem trwa dotąd nierozwiązana zagadka; oboje kochają, oboje nie wiedzą, czy są wzajemnie kochani. Rozwiązanie jęj na stronę wzajemności, dopełnić ma ich żalu, okazać im w całej potędze szczęście jakiego dostąpić mogli i stratę nieodwrotną, jaką ponieśli: pole do tego uroczystego oświadczenia otwiera się z początkiem aktu trzeciego.)

PAOLO (*sam*).

Zobaczyć ją, tak, po raz ostatni. Miłość głuchym czyni mnie na głos obowiązku. Świętą powinnością moją byłoby oddalić się ztąd, nigdy jęj nie widzieć; ale nie mogę! O jakież ona rzuciła na mnie spojrzenie! Wdzięku jęj przydaje boleść; w niej wydawała się mi wyższą, nadludzką (5).

I ja straciłem ją? I Lanciotto mi ją wydarł (6).

O zgrozo! Ale nie kochamże ja brata mojego? On jest, i bodajby długo był szczęśliwy (7).

- (1) Czyliś ty okrutna
Uczuła litość, czyliś ją zmyśliła?
- (2) Dlaczego *zawsze* we lzy się rozplywasz?
Chciałażbyś wszystkich dni zatruć nieszczęściem?
- (3) Mów, chciałbym poznać twych dziwactw przyczynę,
Bo dla mnie trudno tak cierpieć nieznosnie.
- (4) A ja nie mogę znosić twych wyrzutów
Niesprawiedliwych, i wtenczas szczęśliwą,
Spokojną będę... kiedy świat porzucę.
- (5) Widzieć ją... widzieć, raz *może* ostatni,
Święta powinność *każe* mi wyjechać,
Zapomnieć o niej... ale miłość głucha
Na obowiązki: *jak na mnie patrzała!*
Boleść w cudniejszą odlekała ją postać,
Więcej niebiańska, nadludzką zrobiła.
- (6) *Ja mam ją stracić? Lanciotto mi porwał*
Ten kwiatek drogi!
- (7) Wściekłości! wściekłości!
Niecierpię brata... on jest tak szczęśliwy!

Jednak, godziło się mu, dla szczęścia swojego, serce braterskie rozedrzyć? (1).

FRANCZESKA

(która wchodzi nie widząc Paola).

Gdzież jest mój ojciec? Od niego bym przynajmniej dowiedziała się, czy tu przebywa jeszcze mój... krewny. Mury te, na zawsze pozostaną mi drogiemi (2).

Tak, tu oddam ducha w tym świętym przybytku łzami jego skropionym.... Bezbożna! odtrąć te myśli zbrodnicze! wszak jestem żoną! (3).

PAOLO.

Mówi sama do siebie i wzdycha (4).

FRANCZESKA.

Opuścić winnam to miejsce, przepelnione jego obrazem! Powinnam schronić się do rodzinnego ołtarza i przed nim, w dzień i w nocy pokornie rozścielona, błagać przebaczenia win moich; i aby nie opuściła mnie zupełnie, serc utrapionych jedyna ucieczka, Bóg. (chce odejść) (5).

PAOLO

(występując naprzód).

Franczesko! (6).

FRANCZESKA.

Kogóżto widzę? Panie! czego chcesz? (7).

- (1) Lecz miałże prawo, wznosząc się do nieba,
Serce Paola, tak strasznie rozdzierać?
- (2) Gdzie jest mój ojciec? on mi nic nie mówił
Że tutaj jeszcze.... zostaje... mój krewny.
Te mury zawsze będą mi przyjemne....
- (3) W tém świętém miejscu, chciałabym umierać,
On tutaj płakał, jam winna! bo zkądże
Te myśli? przecież mam męża.
- (4) Nieszczęsna!
Mówi do siebie i płacze.
- (5) Opuszczę
To miejsce, jego uświęcone łzami!
Powrócę znówu przed ołtarz ojczysty:
Dzień i noc całą przed Bogiem schylona
Będę za moje błagała go grzechy.
Ty mnie pocieszysz, ucieczko jedyna
Serc zasmuconych, wielowładny Boże!
- (6) Franczesko!
- (7) Panie, co chciałeś?

PAOLO.

Raz jeszcze mówić z tobą (1).

FRANCZESKA.

Mówić ze mną? Przebóg! jestem sama! Samę zostawiłeś mnie ojcze! O mój ojcze! gdzie jesteś? Przybywaj na ratunek twój córce, a może znajdę siłę do ucieczki (2).

PAOLO.

Dokąd? (3).

FRANCZESKA.

O panie! nie idź za mną! wołam moję uszanuj! wracam do kaplicy domowej; nieszczęśliwym potrzebna opieka nieba (4).

PAOLO.

Do stóp rodzinnych moich ołtarzów idę wraz z tobą. Jestże kto nieszczęśliwszy odemnie? Tam, niechaj nasze westchnienia razem się wzniosą do Boga! (5).

(Cała osnowa dramatu objaśniała tłumacza, że przed chwilą terażniejszą rozmowy, Paolo i Franczeska nie byli nigdy razem z sobą w Rimini, że dawniej się widzieli tylko w Rawennie).

O pan! ty modlić się będziesz o śmierć moję, o śmierć człowieka, którego nienawidzisz! Ja błagać będę niebios, aby wszystkich ślubów twych wysłuchały: aby ci przebaczyły nienawiść do mnie: aby cię weselem natchnęły: aby w najdłuższe lata zachowywały twoję młodość, i piękność twego oblicza, wreszcie, aby ci dały wszystko, czego tylko zażadasz, wszystko... nawet miłość twego małżonka i synów z niego szczęśliwych (6).

(1) Przemówić słów kilka.

(2) Mówić? i ze mną? *wszak ja sama jestem..*
Ojcze mój, ojcze! przybądź mi na pomoc;
Jam sama jedna: *potrzeba uciekać*(3) *Uciekać.*(4) Panie! nie śledź moich kroków,
Szanuj mą wolę, przed ołtarz ojczysty
Udam się *wkrótce*; wszak niebo pociesza
Ludzi stroskanych.(5) U stóp cię zobaczę
Moich święconych ojczystych ołtarzów!
Jakżem nieszczęsny, na tém miejscu świętém
Westchnienie nasze *wzdymały* nam piersi.(6) Pani! ty pragniesz śmierci dla Paola
Bo go niecierpisz: a ja błagam nieba,
Żeby *mé* wszystkie spełniało życzenia,
I przebaczyło twą ku mnie nienawiść.

(Sami czytelnicy dostrzegli zapewne, jak w pięknym tym ustępie znikła, tak mocno przez Paola wystawiona, różnica modłów jego od modłów Franczeski: jak zatartemi zostały inne powabne rysy pierwotnego obrazu).

FRANCZESKA.

O Paolo! cóż mam powiedzieć! O nie płacz! Ja twojej śmierci nie żądam (1).

PAOLO.

A jednak mnie nienawidzisz! (2).

FRANCZESKA.

I cóż cię nienawiść moja obchodzi, jeżeli cię nienawidzić powinnam? Życia twojego nie zakłócam. Jutro już mnie tu nie będzie: ty pozostaniesz pełnym współczucia towarzyszem brata twojego; po mojej stracie, ty go pocieszaj (3).

Pewnie on płakać będzie... Ach! w Rimini, on tylko, on sam jeden będzie płakać kiedy się dowie... Posłuchaj... ale jemu, jeszcze nie powiadaj! Ty tylko wiedz: do Rimini już ja nie wrócę: zgryzota mnie zabije. Gdy ta wiadomość dojdzie do mego małżonka, pocieszaj go, i ty wówczas poświęć chociaż jedną łzę dla.... tak.... dla niego (4).

PAOLO.

Franczesko! ty pytasz się, co mnie to obchodzi, że mnie nienawidzisz? Ty mówisz, że nienawiść twoja nie zakłóca życia

Wesoło *zawsze*, pędź lata *młodzińcze*,
Niech piękność błyszczy na cudnym obliczu
Lata i wieki... niechaj myśl twa każda
Spełnioną będzie! niechaj ci zostanie
Miłość małżonka... i kochanych dzieci.

(1) Paolo! *czekaj*... Co mówię? Paolo!

Ach *płakać, płakać!*... nie żądam twój śmierci.

(2) Ty nienawidzisz.

(3) Muszę nienawidzić,

Lecz życia twego nie mieszam pokoju.

Do jutra tylko; porzucam Rimini,

A ty pozostań przy moim Lanciotto

I po małżonki pocieszaj go stracie.

(4) On płakać będzie... sam zapłacze pewnie,

Kiedy się dowie. Posłuchaj Paolo!

Tylko mu nie mów... powiem tobie tylko:

Już tu nie wrócę do murów Rimini...

Żal mnie zabije... I kiedy Lanciotto

Dowie się o tém, ach ty go poci szysz

Przez wzgląd na niego... poświęć *łezkę* jedną.

mojego? A czémże są ostatnie twoje nieszczęsne wyrazy? Piękna jak anioł, którego Bóg utworzył w najgorętszym uniesieniu miłości... od wszystkich kochana... małżonka szczęśliwa... ty odważasz się mówić o śmierci? (1).

Jato wyglądam śmierci, ja, który dla czczego rozgłosu dałem na długo odciągnąć się od mojej ojczyzny, i nieszczęśliwy, straciłem... ojca straciłem. A zawsze spodziewałem się raz go jeszcze uściskać (2).

On nie byłby stał się sprawcą mego nieszczęścia: przed nim byłbym serce moje otworzył; z rąk jego byłbym ją otrzymał, ją, którą straciłem na zawsze (3).

FRANCZESKA.

Co chcesz powiedzieć? Czy mówisz o twojej ulubionój? Więc to bez niej tak nędzne wiedzisz życie: więc tak przeważnie zawładła tobą miłość? (4).

W łonie walecznego rycerza nie powinien jeden tylko płomień wyłącznie panować: płomień miłości (5).

Droższymi być powinny dla niego jego oręż i sława: wzniosłe to są uczucia (6).

Idź za niemi, nie daj się upodlić miłości! (7).

- (1) Ty nienawidzisz? *i cóż mi po świecie?*
Ale chcesz tego, i nienawiść twoja
Spokoju życia mego nie zakłóci?
I twoje słowa co znaczą straszliwe?
Cudna jak anioł, co go Bog utworzył
W miłości lubej, świętém zachwyceniu,
Kochana wszędzie... małżonka szczęśliwa,
Tobieżto mówić przystało o śmierci?
- (2) Dla mnie rzecz inna: dla pustego blasku
Rzuciłem zdawna drogi kraj rodzinny
Aby utracić... niestety... rodzica...
Myślałem, że go raz jeszcze uścisknę...
- (3) Ojciec mój szczęście byłby mi zapewnił,
Bo serce moje stało mu otworem...
I z ręki jego *schwyciłbym* w objęcia
Tę, co nazawsze już dla mnie stracona...
- (4) O czém chcesz mówić? o twojej kochance,
Takżeżto bez niej pędzisz dni tęskliwe?
Takżeto miłość twém sercem zawładła?
- (5) Jedno uczucie, co w piersiach rycerza
Postać *nie winno nie może*: jest miłość.
- (6) Rycerz ma szablę, ma sławę dla siebie
I gardzi każdym niewieściem uczuciem...
- (7) I ty bądź takim, niechaj miłość płocha
Nie podli ciebie!

PAOLO.

Cóżś wyrzekła? miałabyś litować się nademną? Mogłaśbyś przestać mnie nienawidzić, gdybym orężem wyższej dobił się chwały? (1).

Jeden twój rozkaz dla mnie wystarczy: oznacz przestrzeń i czas, plac walki i lata próby. W najdalsze strony pospieszę: przedsięwzięcia im cięższe i niebezpieczniejsze, tém miłszemi dla mnie będą, że od ciebie wskazane (2).

Honor i zapał, same ukrzepiają ramię moje, ale więcej jeszcze je wzmocni twe imię uwielbione. Cele przewodzenia i tyranii nie splamią szlachetnego mego zawodu (3).

Jedną tylko pragnę korony, ale laurowej, ale ręką twoją uwitęj, jednego tylko twego oklasku, jednego wyrazu, jednego uśmiechu, jednego spojżenia (4).

FRANCZESKA.

O Boże! coto ma znaczyć (5).

PAOLO.

To znaczy, że kocham cię Franczesko! Kocham, a kocham miłością bez nadziei (6).

FRANCZESKA.

Co ja słyszę? czy zmysły straciłam? co ty powiedziałeś (7)?

PAOLO.

Kocham cię! (8).

- (1) Dłaboga Franczesko!
 Maszże ty litość? mogłaśbyś cokolwiek
 Zmniejszyć nienawiść, gdybym szablą moją
 Nabył głośniejszej przewagi na świecie?
- (2) Rozkaz twój jeden, dosyć dla Paola:
 Wyznacz mi miejsce, przepisz czas *wygnania*;
 W najdalsze ziemi puszczę się *ustronie*,
 Niebezpieczeństwom poddam głowę moją
 I życie moje upłynie tak słodko,
 Bo o mych trudach *myślała* Franczeska.
- (3) Sława i zapał wzmocni ramię moje,
 Ocuci imię twe błogosławione;
 Tyrania, sławy mojej nie zeszpeci.
- (4) Korony, wieńce, *wzgardzone* przez ciebie,
 Dla mnie na zawsze *zostaną bez wdzięku*...
 Jeden twój uśmiech, twe słowo, twój poklask...
 Wszystkiem mi będzie, jedno twe spojżenie...
- (5) Wszchemocny Boże!
- (6) Kocham cię Franczesko!
 Kocham! a miłość moja bez nadziei!
- (7) Co słyszę? mówisz? mozem ja szalona?
- (8) Kocham! ubóstwiam!

FRANCZESKA.

Na cóż się to odważasz? Ach! zamilcz! mógłby kto usłyszeć (1).

Więc ty mnie kochasz? O jakże nagle ta twoja miłość się zajęła! Czy nie wiesz, że krewną twoją jestem: czy tak prędko mogłeś zapomnieć o utraconej kochance? O biada mnie!

Rękę moję... puść moję rękę; zbrodnicze są pocałowania twoje! (2).

PAOLO.

O! nie nagle ta miłość moja zajęła się, nie! Ulubioną, którą straciłem, byłaś ty; o tobie mówiłem, płakałem po tobie, ciebie kochałem, ciebie zawsze kocham, ciebie kochać będę do mojej ostatniej chwili! (3).

I chociażbym za tę bezbożną miłość miał cierpieć wieczne męki po zgonie; wiecznie, i coraz bardziej a bardziej kochać cię będę (4).

FRANCZESKA.

Więc to była prawda? ty mnie kochałeś? (5).

PAOLO.

Owego dnia, gdy do Rawenny przybyłem jako poseł od ojca mojego, widziałem cię wychodzącą z pałacu, w żałobnym zasmuconych dam twoich orszaku (6).

- (1) *Milcz! usłyszeć mogą.*
- (2) Zkądże ten zapal? kochasz mnie Paolo!
I zkądże płomień tak nagły, gwałtowny?
Nie wiesz, żem brata twojego małżonką?
I jakżeś prędko w zapomnienie puścił
Kochankę swoją? O! ja nieszczęśliwa!
Puśćże mi rękę, ah, *przestań na Boga:*
Grzechem i zbrodnią są całunki twoje.
- (3) Nie nagła miłość, co mém sercem miota.
Straciłem lubą: tyś nią był aniele!
O tobiem mówił, płakałem za tobą,
Kochałem ciebie i zawsze cię kocham,
Będę cię kochać, póki życia stanie.
- (4) Jeżeli mam cierpieć *więzienia, katusze,*
Katusze wieczne, straszliwe, bez końca,
O! będę cierpiał i za każdą chwilą
Wiecznie ta miłość w piersiach wzrastać będzie!
- (5) A więc to prawda? tyś kochał Franczeskę?
- (6) Był dzień szczęśliwy: wysłany ci ojca
Zdązałem *zwolna* do Rawenny murów.
W przysionkach dworca napotkałem ciebie
Wśród żalobnego twych kobiet orszaku

Stanęłaś u stóp świeżego grobu i pokornie przed nim uklęknawszy wzniosłaś dłonie ku niebu, wśród cichego lecz rześistego płaczu (1).

Kto to jest? zapytałem jednego z obecnych:—córka Gwidona—odpowiedział.—A ten grób?—to grób jej matki.—O jakąż litość uczulem nad córką strapioną, i jakże serce moje było gwałtownie! Zasłoniłaś się Franczesko! nie dojrzałem wtedy twego oblicza; a jednakże od owego dnia cię pokochałem (2).

FRANCZESKA.

Ty! o zatrzymaj się! Ty mnie pokochałeś? (3).

PAOLO.

Przez czas niejaki tailem miłość moję; ale jednego dnia zdawało mi się, że zrozumiałaś moje uczucia. Szłaś z komnat twoich dziewiczych do tajemnego ogrodu: ja blisko jeziora ukryty między kwiatami wpatrywałem się tęsknie w okna twego mieszkania (4).

Gdyś nadchodziła, drżący powstałem. Nie dojrzały mnie oczy twoje, bo były w książkę utkwione; na tę książkę, łza z nich upadła (5).

Wzruszony, przystąpiłem do ciebie (6).

- (1) Stanęłaś u stóp świeżego grobowca
I bólem zdjęta padłaś na kolana,
A ręka twoja wzniosła się ku niebu
Z niemym, lecz rzewnym wyrazem rozpaczy.
- (2) Kto to? pytałem. „To córka Gwidona,”
Była odpowiedź—Jakażto mogiła?
„Mogiła matki”. O! ileż w mej duszy
Czułem litości dla nieszczęsnej córki!
I jakże mocne było serca bicie!
Zakrytą byłaś, tego dnia twe oczy
Nie zobaczyły. Odtąd kocham ciebie...
- (3) Tyś kochał.... przestań....
- (4) Kryłem płomień święty
W sobie czas jakiś, lecz mi się zdawało
Że mam wzajemność. Otóż, dnia jednego
Wyszłaś z dziewiczej komnaty, i kroki
W tajemny ogród zwróciłaś. Ścisnięty
W ukryciu tajnym pomiędzy kwiatami
Z westchnieniem rzewnym patrzałem na ciebie.
- (5) Gdyś się zbliżyła, wyszedłem, lecz drżący:
Czytałaś książkę, oczy nie widziały
Nic, prócz tej książki, i jedna łza śliczna
Padła na ziemię.
- (6) Stanęłem wzruszony

Słowa moje były zawikłane: zawikłanemi zdawały się mi i twoje. Podadaś mi owę książkę i czytaliśmy; czytaliśmy razem o Lancelocie, jak wpadł w sidła miłości: byliśmy sami i bez żadnych podejrzeń... (1).

Oczy się nasze spotkały; ja zbladłem, tyś zdrząła, i oddaliłaś się spiesźnie (2).

(Ze w oryginale Paolo blednieje a w przekładzie rumieni się, to mniejsza: oba te stany mogą być znakami mocnej namiętności i nie ubliżają niczyjej sławie; ale zapytać się godzi, za co Franczeska, która w oryginale odwagą swoją i prędkim odejściem ocala się od skutków tkliwej i samotnej rozmowy; upada i prawie gubi się z woli tłumacza, w polskim przekładzie, rzucając się w objęcia zakochanego młodziana?)

FRANCZESKA.

O dniu pamiętny! I książka w twoich rękach została? (3).

PAOLO.

Noszę ją na sercu mojem. Onato w oddaleniu od ciebie, sama słodziła moję tęsknotę: oto jest, patrz; oto stronnice które czytaliśmy; oto łza, która owego dnia z oczu twych spadła (4).

FRANCZESKA.

Odejdź, zaklinam cię. Zabronione mi są wszelkie wspomnienia, oprócz jednego tylko, o zamordowanym bracie moim (5).

- (1) A słowa moje były bez porządku,
I twoje także wikłyły się dziwnie...
Dadaś mi książkę, czytaliśmy razem...
Jak Lanciotta miłość zdręczyła.
Byliśmy sami, bez podejrzeń wszelkich.
- (2) Nasze się oczy spotkały... *rumieniec*
Pokrył twarz moję... tyś drząła... I wreszcie
W moich spoczęła objęciach.
- (3) Dzień piękny!
O ta się książka została przy tobie.
- (4) Zawsze na sercu! długich lat cierpienie
Oddalonemu, ona mi słodziła.
Patrz oto strona, którą czytaliśmy!
Patrz! to łza twoja, która w dzień *ten cudny*
Z oczu twych spadła.
- (5) *Przysięgam Paolo,*
Że mój boleści pamięć zachowaj
Zostanie w sercu.

PAOLO.

Ależ wtenczas nie byłem jeszcze zabójcą brata twojego. O! nieszczęsne wojny domowe (1).

Owato krew rozlana odjęła mi odwagę oświadczenia się o rękę twoją: pociągnąłem do Azyi i tam walczyłem (2).

Spodziewałem się, że wkrótce powrócę, że cię prześlagną zastanę, że rękę twoją otrzymam (3).

Tak, przyznaję, żywiłem w sobie nadzieję otrzymania twój rękę (4).

FRANCZESKA

(biorąc go za rękę).

Błagam cię odejdz! szanuj moją boleść; szanuj cnotę moją. O! któż doda mi siły, abym się oprzeć zdołała? (5).

PAOLO.

Ty moją rękę ścisnęłaś! O upojenie! Powiedz mi, dlaczego ścisnęłaś rękę moją? (6).

FRANCZESKA.

O Paolo! (7).

PAOLO.

Więc nie masz mnie w nienawiści? (8).

FRANCZESKA.

Nienawidzieć cię muszę (9).

(1) *Jakieżże jeszcze krwi, ja nie przelałem!*
O ciężkie wojny.

(2) *Kropla krwi przelana*
Niszczyła męstwo... nie chciałem twój rękę,
Bom poszedł walczyć do Azyi.

(3) *Sądziłem*
Że wrócę prędko, że cię znów zobaczę,
Że cię dostanę.

(4) *Niestety! jak słaba*
Złotą mi gwiazdką błyszczała nadzieja!

(5) *Zlituj się, odejdz, odejdz mój Paolo,*
Szanuj mą boleść, szanuj cnotę moją:
Któż mi da siłę bym ci się oparła?

(6) *Rękę mi ściskasz? O szczęście! ach powiedz*
Czemu, Franczesko, ściskasz rękę moją?

(7) Paolo!...

(8) *Powiedz, czy ty mnie niecierpisz*
Nie nienawidzisz?

(9) *Nienawidzę ciebie!*

PAOLO.

Ale czy nienawidzić mnie możesz? (1).

FRANCZESKA.

Nie mogę (2).

PAOLO.

O cóżes wyrzekła! O powtórz mi to! Ty nie masz mnie w nienawiści? (3).

FRANCZESKA.

I tak już powiedziałam zanadto. Ach! okrutny! niedoścże ci na tém? Oddal się, pozostaw mnie (4).

PAOLO.

O, dokończ! nie odejdę, dopóki nie wypowiesz wszystkiego (5).

FRANCZESKA.

Alboż nie powiedziałam ci, że cię kocham. Niestety! z ust moich już się wydarło słowo zbrodnicze! Tak, kocham cię, z miłości dla ciebie umieram; ale niewinną umrzeć chcę: miej więc litość nademną (6).

PAOLO.

Ty mnie kochasz? ty? Patrz na okropne moje cierpienie! Jestem w rozpacz; ale radość moja, chociaż ze zwątpieniem zmieszana, tak jest wielką ta radość, że jej wypowiedzieć nie mogę (7).

(1) *Bydźże to może?...*

(2) *Nie mogę...*

(3) *Ach! powtórz*

*Sto razy powtórz! Pani moja! wyznaj
Czy mnie niecierpisz?*

(4) *Ach! mówiłam dosyć,*

Okrutny! dosyć! Odejdź błagam ciebie.

(5) *Dokończ Franczesko, nie wyjdę ztąd prędzej*

Póki nie skończysz.

(6) *Mówiłam, że kocham...*

Występne słowo wyszło z ust już moich...

Kocham, Paolo, umieram z miłości

i to dla ciebie!... miej litość nademną,

Wyjdź ztąd copędź, niech umrę niewinną!

(7) *Kochasz Franczesko? o patrz na straszliwą*

Silną mą boleść! jestem bez nadziei!

Ale ta radość, co mi ściska serce,

Wpółród szaleństwa jest tak bardzo wielką

Jest tak potężną, że mówić nie mogę...

Więc to jest prawda, żeś mnie kochała? I ja cię straciłem! (1).

FRANCZESKA.

Ty sam opuściłeś mnie, o Paolo! Ja nie mogłam wiedzieć, abym od ciebie była kochaną. Odejdź więc, niech to będzie ostatnie widzenie się nasze! (2).

PAOLO.

Ja miałbym cię opuścić?... to niepodobna! Przynajmniej raz codzień widzieć się musimy (3).

FRANCZESKA.

I zdradzić się? i w małżonku moim hańbiące podejrzenia obudzić? i sławę moję splamić? O Paolo! jeżeli mnie kochasz uciekaj przedemną! (4).

PAOLO.

O, nieodwrotne przeznaczenie! Jaby miał sławę twoję splamić? Nie... (5).

Innego małżonką jesteś... Ja umrzeć muszę. Wspomnienie o mnie wytrąć z serca twój, i żyj w pokoju. Ja pokój twój zakłóciłem? przebacz mi! O, nie, nie płacz! przestań mnie kochać! (6).

Co mówię? ja nieszczęśliwy! kochaj mnie! tak, płacz nad zgonem moim przedwczesnym! Słyszę głos Lanciotta. O Boże! dodaj mi siły. (wołając) Bracie! przybawaj do mnie (7).

(1) I ty mnie kochasz? Jaby miał cię stracić?

(2) Tyś mnie sam stracił. Paolo! ach nigdy
 Żeś ty mnie kochał nie powstało w myśli!
 Odejdźże, niech to będzie raz ostatni...

(3) Ja cię opuścić? to rzecz niepodobna!
 Zostanę tutaj, by patrzeć na ciebie!...

(4) Potem się zdradzić, i krzywdzące myśli
 Wrzucić mężowi do serca? zakatą
 Splamić me imię? Paolo! uciekaj!
 Jeżeli kochasz!

(5) O! losie okrutny!

Ja mam zakatą obarczyć twe imię?
 Nie, nigdy!

(6) Żoną ty jesteś innego,
 Ja umrzeć muszę, wspomnienie Paola
 Niechaj zaginie! ty żyj w spokojności!
 Jam ci ją skłócił, przebacz mi Franczesko!
 Ach! tylko nie płacz! nie kochaj mnie wcale!
 Przestań!

(7) Co mówię? O, kochaj mnie, proszę,
 Lój lzy obfite nad losem niewczesnym...

(Do wchodzącego zaś z Gwidonem Lanciotta mówi):

PAOLO.

Bracie! uściskaj mnie po raz ostatni (1).

LANCIOTTO.

A zatém nadaremnie... (2).

PAOLO.

Ani słowa przeciwko postanowieniu mojemu! Przyniosłem tu z sobą złowieszcze znaki. O biada mi! jeżelibym... (3).

LANCIOTTO.

Co mówisz? gniewem iskrzą się oczy twoje! (4).

PAOLO.

Nie nasza w tém wina. To wina... przeznaczenia. Żegnam cię, Franczesko! (5).

FRANCZESKA

(jakby nieprzytomna i z konwulsyjnym wysileniem).
Paolo! zostań! (6).

LANCIOTTO.

Coza głos! (7).

GWIDO

(utrzymując córkę).

Niestety! oddech jój ustaje (8).

PAOLO *(wychodząc).*

Franczesko! (9).

FRANCZESKA.

On odchodzi!... umieram *(pada bezprzytomna na ręce ojca)* (10).

Słyszę Lanciotta. Niebiosa! pomóżcie!

Dajcie mi siłę! Pójdź tutaj Lanciotto!

(1) Daj mi ostatni pocałunek bracie!

(2) A więc napróżno...

(3) Proszę, ani słowa

Przeciw mym chęciom, zgubne przepowiednie

Dreczę mnie ciągle. O ja nieszczęśliwy!

(4) Co mówisz? błyska gniew w twojem spojrzeniu!

(5) Ach! to nie na was... wina to przeznaczeń!

Żegnaj Franczesko!

(6) Paolo!... czekaj!...

(7) Coza głos!

(8) Przynajmniej

Oddycha trochę...

(9) Franczesko!

(10) *Odjeżdża...*

Gdzie on? umieram *(rzuca się na ręce Gwidona).*

LANCIOTTO.

(po wyniesieniu Franczeski i odejściu Gwidona).

Co słyszę? Paolo! Jakież straszne światło pada na oczy moje! (1).

PAOLO.

Ciesz się, okrutny! *ona nie żyje!*... pozwól i mnie umrzeć i uciekaj przedemną (2).

LANCIOTTO

(pozostawszy sam).

Było to prawdą? ona go kochała... I zmyślała! Nie, piekło ten domysł mi podaje! A jednakże... Paolo, nie opuści tego pałacu; choćby przemocą zatrzymam go... O zasłono okropna! musisz być wreszcie rozdarta (3).

(Dotknięty boleśnie w najtkliwszych uczuciach swoich, jako brat i małżonek, zaczynający już słuchać krwawej zemsty podszeptów, Lanciotto chce widzieć brata swojego i daje zlecenie paziowi).

LANCIOTTO.

I on także niech przyjdzie do mnie... Paolo (4).

PAŹ.

Twój brat? (5).

LANCIOTTO.

(po namyśle z przyciskiem).

Mój... brat (6).

LANCIOTTO

(do wchodzącego Gwidona).

Czy córka twoja ma zamiar uciec odemnie? Czy bez mojej wiedzy spodziewa się tego dokazać? I ty jej zamiar potwierdzasz (7).

(1) Coto? Paolo! straszna jasność spada
Na oczy moje.

(2) Wesel się tyranie!
Straciła sławę... uciekaj odemnie
I daj mi umrzeć.

(3) A więc to prawda? Franczeska go kocha?
Zmyślała dotąd!... O tak, tak, to piekła
Tym mnie piekielnym natchnęły domysłem...
Trzeba Paola zatrzymać w pałacu,
Siłą go wstrzymać! niech *lochy zalegnie!*
W kawałki, smutna rozdrzyj się zasłono!

(4) A potem tutaj niech przyjdzie Paolo.

(5) Paolo, brat twój.

(6) Tak, tak, mój... brat, paziu.

(7) Gwidonie mój ojczel!

Więc *stale* myślisz uciekać przedemną?

GWIDO.

To jest koniecznym (1).

LANCIOTTO.

A więc twoja córka jest występna? (2).

GWIDO.

Nie jest: straszne przeznaczenie skazuje nas na zgryzoty bez końca (3).

LANCIOTTO.

Nie występna ją zowiesz, a przecież ona zbrodniczym ogniem płonie? (4).

GWIDO.

Jak tylko przyszła do siebie, przejęty gniewem i wstydem usunąłem ją z twego widoku (5).

A zapominając prawie, że jestem ojcem, klęcząc przed świętym obrazem, sztylet przyłożyłem do głowy (6), grożąc jej nie tylko śmiercią, ale także i przekleństwem, jeżeli prawdy nie powie. Wśród strasznych lkań, słuchałem wyznania nieszcześliwej (7).

LANCIOTTO.

I cóż ci powiedziała? (8).

*Wiem że przedemną, jestto chęć Franczeski,
Życzenie twoje...*

- (1) *Tak trzeba Lanciotto!*
- (2) *Więc córka twoja jest winną, Gwidonie!*
- (3) *Nie, nie, mój synu, lecz losy akropnę,
Na ciężką rozpacz skazały nas wszystkich.*
- (4) *Ona niewinna! a czemuż niestety!
Goreje silnym, występny płomieniem?*
- (5) *Kiedy zblakana odzyskała zmysły,
Ja pelen wstępu, gniewu i rozpoczy
Z oczu ją zaraz usunąłem twoich.*
- (6) *Żem ojciec; pamięć odbiegła odemnia...
Do stóp świętego pchnąłem ją sztarta
Dobyłem sztylet, dotknąłem jej piersi,*
- (7) *Groziłem śmiercią, przekleństwem rodzica,
Gdyby milczeniem ukrywała prawdę.
Wśród szlochów strasznych, słyszałem jej spowiedź...*
- (8) *I cóż mówiła?*

GWIDO.

Łzy głos mi tamują: to moja córka.... Podała szyję pod miecz, i w moje oczy suche utkwiała swoje łzami zalane (1).

Jestżeś występna? krzyknąłem: odpowiedz, jestżeś występna? Zrazu cierpienie słowa wymówić jej nie dozwoliło. Serce moje wzruszyło się gwałtownie: odwróciłem się, aby nie patrzeć na nią, i uczulem, jak ścisłała moje kolana (2).

Twarzą pochylona ku ziemi, zawołała nakoniec głosem umierających: Ojcze! jestem niewinna!—Przysięgnij na to!—Przysięgam! odpowiedziała. W milczeniu, otarłem pełne łez oczy moje.—Jestem niewinna!—trzykrotnie powtórzyła (3).

Rzuciłem sztylet, podniosłem ją i przycisnąłem do serca. Nieszczęśliwym jestem ojcem, ojcem znieważonym... lecz przecie ojcem! (4).

LANCIOTTO.

O wściekłości! kocha go, a niewinnością się chełpi? (5).

Swobodniejszych spodziewa się miłostek z nim, w oddaleniu odemnie, ale się ludził (6).

On przyrzeka jej, udać się za nią do Rawenny (7).

O zdrajca! Ale jeszcze was trzymam w rękach (8).

GWIDO.

Szanuj te moje siwe włosy! Moim obowiązkiem jest ją ocalić; twoim, już jej więcej nie widzieć (*odchodzi*) (9).

(1) Płakałem Lanciotto!

To moja córka... obnażoną szyję
Dała pod sztylet: łzą zalane oczy
Zwróciła na mnie: *jam stał obojętny.*

(2) Jestżeś ty winna, krzyknąłem, odpowiedz;

Jestżeś ty winna?... nie mogła wzruszona
Wyrzec słów kilku... serce mi pękało...
By jej nie widzieć, odwróciłem oczy
I *łzy ciekące uczulem po twarzy.*

(3) A ona głowę spuściwszy na ziemię

Wolała, straszna konającym głosem:
Ojcze! niewinnam! „Przysięgnij, przysięgnij!”
Przysięgam Bogu!... zwilżone powieki
Otarłem milcząc... a ona trzy razy
Że jest niewinna, do Boga wolała.

(4) Rzuciłem sztylet, wziąłem ją w objęcia...

Biedną mą córkę, córkę spotwarzoną.

(5) Wściekłości! kocha i udaje jeszcze?

(6) Myśli że będzie z Paolem szezęśliwa

Jak *zniknie* z oczu, lecz próżne nadzieje!

(7) *Ona mu każe zdążyć do Rawenny...*

(8) Czekaście zdrajcy!... w mych rękach jesteście!

(9) Szanuj Lanciotto siwe włosy moje!

Ja ją ocale.. już jej nie obaczysz,

LANCIOTTO
(do wychodzącego Paola).

Nieszczęśliwy! przybliź się (1).

(Na zapytania, jakby sobie postąpił, gdyby Franczeska była jego małżonką, a wydarł mu kto jej serce, przyjaciel na równi z bratem kochany, wreszcie sam brat; odpowiada Paolo, że nie ścierpiałby nawet cienia rywala: że brat przestałby mu być bratem: że sztyletem przebilby zdrajcę, ktokolwiekby on był).

LANCIOTTO.

O i mnie, i mnie zapala ta dzika żądza, i rękę porywającą się do szpady wstrzymuję: wierz mi, za ledwie wstrzymuję! I ty śmiesz się do zbrodni twojej przyznawać, żeś jest uwodzicielem cudzej małżonki, małżonki brata twojego! (2).

PAOLO.

Mniej byłbyś okrutnym, gdybyś pierś moję, twą szpadą przeszył (3).

Nikczemnikiem nie jestem (4).

Ja miałbym stać się uwodzicielem z anielskich istot najczystszej? (5).

O nigdy! (6).

Kto kocha Franczeskę, nie może być nikczemnikiem (7).

Nawet ten, kto był nikczemnym, od chwili jej pokochania, byłby nim przestał (8).

Wzniosłem być musi serce każde, na którym ta wyższa istota robi wrażenie (9).

(1) Przystąp, nikczemny!

(2) I ja tém dzikiém *plonąłem* pragnieniem
A mściwa ręka za oreż chwyciła;
Alem ją wstrzymał, o wierz mi Paolo,
Ledwie ją wstrzymał! A ty śmiałeś teraz
Występek straszny wyznawać tak jawnie,
Zwieść żonę cudzą, żonę twego brata!

(3) Gdybyś morderczém zabił mnie żelazem
Mniej byłbyś srogi.

(4) *Nie razi mnie podłość.*

(5) Ja miałbym uwieść, splamić najczystsze
Anioła niebios?

(6) *Ty kłamięsz Lanciotto!*

(7) Kochać Franczeskę, nie *jestto* nikczemność.

(8) Nikczemny człowiek, gdyby ją pokochał,
Jużby tém samém przestał być nikczemnym.

(9) Bo jéjto miłość, świętym, wzniosłym ogniem
Duszę napelnia....

Dlatego, że ją kocham, zakładam dumę moję na odznaczeniu się ludzkością, wiarą i męstwem, i dlatego przewyższam może w tych przymiotach wszystkich bohaterów i książąt (1).

LANCIOTTO.

I bezwstydniejszym jesteś, jak ktokolwiek inny, gdy się odważasz chępcę twoją miłością? (2).

PAOLO.

Miłość moję, gdyby niegodziwą była, umiałbym ukryć; ale ona jest niemniej czystą jak niezmierzoną. Tysiąc śmierci przeniósłbym nad jej splamienie (3).

A przecież uznaję konieczność oddalenia się. Dla twojejto małżonki, i dla niej samęj rzecz się brata twojego, i to na wieki (4).

LANCIOTTO.

Miłość twoja nie ma być niegodziwą? A czyliż mnie nie czynisz nieszczęśliwym na zawsze (5).

Bo chociażbym ja mógł zapomnieć, że miałem kiedyś ukochanego brata; czyliż zdołam tego brata z serca Franczeski wymazać? i czyliż ty serca tego, dokądkolwiek się udasz, z sobą nie zabierzesz? (6).

Znienawidzony od niej, żyć mam przy niej: ona mi tego przez miłosierdzie nie powie; ale ja to czuć będę. Tak, ona mnie nienawidzi, a przyczyną tego, ty jesteś, zdrajco (7)!...

- (1) Kochając Franczeskę
Czezę w sercu ludzkość, poczciwość i wiarę;
Dla téj miłości *więcej* znaczą może
Od książąt jakich, albo bohaterów.
- (2) O tak Paolo! tyś człowiek bez czoła,
Ty śmiesz się jeszcze z twéj miłości chlubić?
- (3) Milczałbym pewnie, gdyby miłość moją
Niegodną była; lecz ona tak czysta,
Jak jest ogromną; *umarć* tysiąc razy
Jak ją znieważyc, wolałbym, Lanciotto.
- (4) A jednak muszę opuścić te miejsca...
O bądź litościw! *przez* pamięć na żonę
Wyrzecz się brata, wyrzecz się na wieki!..
- (5) Twoja miłość godna? O wiecznym, niekzemy!
Mówisz wygnaniu?
- (6) *Ja zapomnieć mogę*
Drugiego brata; lecz jakim sposobem
Z serca Franczeski pamięć *wygluzować*
Wszędzie za sobą *poniesiesz* jej serce...
- (7) A ja żyć będę *na łonie* małżonki
Znienawidzony. *Boleści* Franczeska

PAOLO.

Kocham ją, przyznaję to; ale na niebo przysięgam! Franczeska niepokalana (1).

LANCIOTTO.

I jeszcze dłużej chciałbyś mnie łudzić? Myśl twoję przenikam. Lękasz się, abym kiedyś zemsty nie wywarł na Franczesce, na twojej kochance. O! i w tej chwili czuję tego pragnienie (2).

I cóż? czy mi was nie wolno zemście mojej poświęcić (3)?

Panuję. Jestem małżonkiem zdradzonym, znieważonym monarchą. Niechaj co chce świat mówi o mnie; o was, musi powiedzieć: to byli zdrajcy (4).

PAOLO.

Świat powie o nas: byłaz w tém wina, że młodzińczy Paolo wysłany został do Rawenny, i że tam zapalił się miłością najpowabniejszej ziemskiej istoty? (5).

A ty sam, jakież do niej masz prawo? Nigdy cię ona dawniej nie widziała: do jej zaślubienia monarsze tylko skłoniły cię rachuby (6).

Czyliż przyrodzenie, uczuć ludzkich nie dało synom książęcym? (7).

Nie wyda swojej, ale czuć ją będzie.

Mnie znenawidzi, ty tego niktzemny

Przyczyną jesteś.....

- (1) Kocham ją, wyznaje,
Ale o nieba!... *tegobym nie sądził*...
- (2) Chcesz mnie oszukać? Rozumiem myśl twoją.
Lękasz się pewnie, abym twój kochanki
Franczeski twojej, mą zemstą nie dosięgł!
O jakże silnie ta chęć zemsty wzrasta!
- (3) Nie mamże prawa odebrać jej życie?
- (4) *Jakże ty myślisz?* Tu monarchą jestem.
Jam mąż zdradzony, zniesławiony książę!
Niech co chcą ludzie mówią o Lanciotto,
O was powiedzą, żeście wiarołomni.
- (5) Wieść prawdę powie, że Paolo młody
Z poleceniami jechał do Rawenny,
I że tam poznał miłości uczucie,
Najsłodsze z uczuć, i to jego zbrodnia.
- (6) Jakież to prawo masz *dręczyć* Franczeskę?
Wszak ona nigdy nie widziała ciebie
Pókiś jej nie wziął z obowiązków stanu
I nie zaślubił...
- (7) *Myślisz że natura*
Książętom, ludzkich odmówiła uczuć?

Dlaczegoż zanim przywłaszczyłeś ją sobie, nie wybadaleś pierwej jej serca? (1).

LANCIOTTO.

Zadaleko się posunałeś; obelgi do obelg przydajesz. O! już dłużej wstrzymać się nie mogę (*dobywa szpady*) (2).
(*wchodzi Gwido i Franczeska*).

PAOLO.

To, co mi wydarłeś, znaczy więcej jak życie; o krew moją wcale mi nie chodzi: wytocz ją (3).

FRANCZESKA.

Mojąto krew wytoczcie: ja sama was znieважаłam! (4).

LANCIOTTO.

(*obracając mowę do Franczeski i coraz gwałtowniejsze czyniąc jej wyrzutę, mówi wreszcie*).

Serce mam dumne, czy nie wiesz? straszliwie dumne (5), i są obrazy, których przebaczyć nie mogę (6).

Honor tego zabrania (7).

Honor.... Co powiedziałem? ten wyraz byłżeby tobie znany? (8).

GWIDO.

Wstrzymaj się (9).

LANCIOTTO.

Ja słucham tylko wszechwładnego głosu honoru. Gdy on przemawia, głuchym jestem na każdy inny; i miecz mój obracam według jego skinienia (10).

- (1) Czemus jej serca nie skłonił ku sobie
Wprzód, nim ją swoją nazwałeś przed Bogiem?
- (2) Płomień w twych oczach? do zniewagi jeszcze
Zniewagę łączysz? Ha, już nie wytrzymam!
- (3) Tak, odbierz mi życie.
Krew moją rozlej, krew brata twojego.
- (4) Ach! mnie zabijcie: jam was poróżniła,
- (5) Wszak prawda, me serce
Wyniosłe serce i dumne straszliwie....
- (6) *Przebaczyć nie chcę; bo hańby twój pragnę*
- (7) Honor przedewszystkiem....
- (8) Honor... com powiedział?
Jestże ci znany ten wyraz Franczesko?
- (9) *Lanciotto!*
- (10) Słucham, tak słów pięknoobrzmiatych
Chcę o honorze: nie przeszkadzaj Gwido.
Już mi zaszczytło na tę myśl że...

FRANCZESKA.

O Boże! daj mi siłę, abym odpowiedzieć mogła. Ja mam być głuchą na głos honoru? (1).

Kiedym pokochała Paola, miłość moja podłą wówczas nie była (2).

Czemże on wtedy był dla mnie? Był tylko jednym z książąt Italii, rycerzem walecznym, uwielbianym od ludów i tronów. Małżonką twoją wtedy nie byłam... (3).

Ale co mówię? zasłużyłam na twój gniew: nie mogłam zagasić w sercu mojem téj pierwszój miłości... (4).

A jednakże zagasić ją chciałam, i przysięgam, że gdyby nie powrót Paola, tajemnica ta byłaby zstąpiła ze mną do grobu (5).

(1 niżéj).

FRANCZESKA.

O, jemu samemu przebacz! przebacz, nie jako mojemu kochankowi, ale jako bratu twojemu! (6).

LANCIOTTO.

Za Paolem się wstawiasz? o występna! Czy myślicie że się wam uda obojgu ujść z tych murów? Umówiliście połączenie się z sobą na nowo... On może ci przyrzekł z ojcowskiego porwać cię łona... (7).

PAOLO.

O myśli nikczemna! (8).

- (1) Daj siły Boże! na odpowiedź jaką...
Na honor, sławę, głuche czucie moje...
- (2) *Gdybym miłością kochała Paola,*
To w piersiach moich *wrzałyby płomień święty.*
- (3) Italii księżę, rycerz bez zarzutu
Takim się *zawsze* wydawał w mych oczach;
Narody, władcy, cześć mu oddawali...
Ja twą małżonką nie byłam...
- (4) Co mówię?
Twój gniew jest słuszny, bo *nie* wyrwiesz z piersi
Mojéj miłości pierwszój i serdecznój.
- (5) *Chceszże ją wyrwać? o! przysięgam tobie*
Śmiercią znalazła, gdyby on nie wrócił.
- (6) O! przebacz Lanciotto
Nie méj miłości, lecz bratu twojemu!
- (7) I za nim prosić śmiesz jeszcze, występna,
Więc wy te mury opuścić myślicie?
A tam się złączyć? Z objęć ojca może
On cię już wyrwać *tajnie* przyobiecwał?
- (8) Co za myśl podła!

LANCIOTTO.

Ja, nikczemny? Wiarołomna, niechaj się oddali.. zgoda; ale ty... nigdy jój już nie zobaczysz (1).

(Straż z rozkazu Lanciotta otacza Paola: na tém się kończy akt czwarty.

Akt piąty odbywa się w nocy, poprzedzającą postanowiony już odjazd Franczeski z ojcem, w pokoju jedną tylko lampą oświeconym. Gwidon na zapytanie córki, czyli się mu dało złagodzić Lanciotta, opisuje przed nią stan jego politowania godny, i że wreszcie zdołał go przekonać, że lepiej będzie, gdy jój przed odjazdem już nie zobaczy, i dlatego natychmiast odjeżdżać radzi).

FRANCZESKA.

O nie, mój ojczy! jeżeli nie zobaczą go teraz, już nie zobaczą go nigdy (2).

On gniew przeciwko mnie zachowuje; a ja o przebaczeniu jego chcę być upewnioną (3).

GWIDO.

Uspokój się: tobie już przebaczył, a przyrzekł mi, że i Paolowi przebaczy (4).

FRANCZESKA.

O radości! Lecz niestety! Błagam cię ojczy, nie wymieniaj w tak uroczystej chwili tego, o którym zapomnieć winnam... i pragnę (5).

Już on daleko słabiej do serca mego przemawia: już w sercu tém zaczyna przeważać głos utraconej cnoty i skrucha, i niczém nieprzyćmiona, czysta pamięć małżonka, którego mi dałś, a którego ja kochać nie umiałam (6).

(1) Jam podły? zuchwalcze!

Ona ztąd wyjdzie, by cię już nie widzieć.

(2) Coś zrobił ojczy! dziś go widzieć muszę,

Bo jak przeczuwam, że to już ostatni.

(3) Żal do Franczeski czuje on *okropny*

A chcę być pewną jego przebaczenia.

(4) O bądź spokojna: tobie już przebaczył,

A Paolowi obiecał darować.

(5) O co za radość! ale ojczy drogi,

W tej świętej chwili nie wspominaj proszę

Tego, com winna zapomnieć na wieki.

(6) Już mniej mi silnie mówi on do serca

I cnota znówu panuje nademną.

Został *żał* tylko i pamięć *tęskliwą*

Po mężu czułym, coś go znalazł córce,

A córka męża kochać nie umiała.

Raz jeszcze pragnę z nim mówić. O! nie oburzaj się mój ojczel wyjednaj mi tę łaskę! Cały mój żal za przeszłą dla niego niewdzięczność chcę przed nim wypowiedzieć: chcę rzucić się do nóg jego i błagać, aby mną nie pogardzał (1).

Idź mój ojczu i powiedz mu, że jeżeli go nie zobaczę, przebaczenia mi od nieba wszelką stracę nadzieję (2).

(Gdy zaś ojciec odszedł dla przywołania Paola)

FRANCZESKA

(*sama mówi dalej*).

Więc opuszczam cię już na zawsze ukochane Rimini (3).

Żegnam cię, o grodzie fatalny! (4).

Żegnam was, mury niemiłej dla mnie nieszczęśliwe jak drogie! (5).

Żegnam cię uwielbiona kolebko... tych książąt (6).

Cóżem wyrzekła? O wiekuisty Boże! za tento dom, ostatnią modlitwę wznoszę do Ciebie. O! jakkolwiek występnej, nie odmów mi jej wysłuchania! (7).

Dla siebie niczego nie chcę; za tych dwóch braci błagam cię: połóż na głowach ich wszechmocną Twoją prawicę (8).

(Uroczystym jest ten moment w dramacie Silvia Pellica. Serce widza i słuchacza po tylu silnych wzruszeniach, po raz pierwszy doznaje spoczynku, zaczyna mieć nadzieję. Szlachetne rozrzewnienie się Lanciotta w rozmowie z Gwidonem, daje znać, że przywiązanie do Franczeski raczej w nim wzrasta jak stygnie: że w nim powstała litość nad jej bardziej nieszczęściem jak winą. Pełne godności i skruchy wyznania córki przed ojcem, w poprzedzającej scenie

- (1) O! chcę z nim mówić, choćby raz ostatni.
Bez gniewu ojczu! bądź łaskaw, mój ojczu
Zrób to dla córki. Ja mu chcę pokazać
Zmartwienie moje, ciężką żalność moją,
Za mą niewdzięczność: ja chcę u nóg jego
Wyżebrać litość, żeby mną nie wzgardził...
- (2) O! idź, idź ojczu, jak go nie zobaczę
I niebo samo mnie grzeszną odrzuci!
- (3) Rzucam więc ciebie, Rimini kochane,
- (4) Żegnam na wieki miasto *nieszczęśliwe!*
- (5) Żegnam was mury... drogie sercu memu!
- (6) Świetna kolebko... *tylu książąt sławnych.*
- (7) Co mówię *znowu?* Wszechmogący Boże!
O! bądźże łaskaw na ten dom *kochany*
I chociaż winnam, méj prośby wysłuchaj!
- (8) Wszak nie za sobą, a za niemi (?) proszę,
Za braćmi błagam... niech wszechmocna ręka
Czuwa nad niemi!

zdają się być zwiastunami pogodniejszej przyszłości. Wielkomysłne postanowienie Paola, opuszczenia na zawsze rodzinnego domu, zdaje się usuwać żywioł pożaru, który tak czyste i wzniosłe serca ogarnia i trawi. To wszystko pozwala wróżyć, że kiedyś, chociażby po dłuższym czasie upływie, powróconém zostanie Lanciottowi i Franczesce tak przez nich pożądane, tak im należne, szczęście domowe. Ale jestto tylko dzielny środek przez autora obmyślony, aby widzów i słuchaczy swoich, tém chwilowém wytchnieniem, skłonniejszymi uczynił do tém silniejszego przyjęcia wrażeń nastąpić mających. Jestto, jak się okazuje niezwłocznie, tylko okropna cisza poprzedzająca burzę straszliwą. Wyrok nieubłagany, przygotowuje już krwawe rozwiązanie. Paolo przerażającym snem zatrwony i prawie obłąkany, wydiera się z swego więzienia. I kiedy Franczeska wymawia ostatnie wyrazy: „Boże! połóż na ich głowach wszechmocną Twoją prawicę!” słyszy hałas, widzi wpadającego z dobytą szpadą Paola i mówi):

FRANCZESKA.

Przebóg! kogożto widzę (1).

PAOLO.

O nadludzka radości! więc jeszcze wolno mi ciebie zobaczyć (*widząc, że Franczeska chce się oddalić*). O, pozostań! jeżeli się ruszysz, ścigać cię będę (2).

FRANCZESKA.

O ty zuchwały! o ja nieszczęśliwa! co widzę? z bronią w ręku! (3).

PAOLO.

Strażników moich... przekupiłem (4).

FRANCZESKA.

O nieba! to nowa zbrodnia (5)!

PAOLO.

Zbrodni zapobiedz tu biegnę (6).

- | | |
|-----|---|
| (1) | Co widzę? dlaboga! |
| (2) | Jeszcze ją widzę! radość niesłychana!
Czekaj Franczesko! jeśli krokiem ruszysz
Pójdę za tobą. |
| (3) | Zuchwały! jak śmiałeś!
I jeszcze z bronią!... |
| (4) | Przekupione złotem
Milczące straże... |
| (5) | Niebiosa! znów zbrodnia!... |
| (6) | Przychodzę zbrodniom przeszkodzić, Franczesko! |

Nie uciszyła się, o wierz mi, z zazdrości wylęła wściekłość przeciwko mnie brata mojego... Ciebie on, zemście swój chce poświęcić (1).

Przerażające zjawisko popchnęła tu kroki moje (2).

Zaledwie sen zamknął moje powieki, jakże okropne miałem widzenie! Widziałem ciebie nurzającą się we krwi własnej i konającą (3).

Wyskoczyłem z łoża na twój ratunek. Imię moje wymówiłaś i... skonałaś! (4).

O rozpaczliwe złudzenie! (5).

Napróżno obudziłem się, straszny widok stoi przed oczami mojemu! (6).

Patrz, oto na samo wspomnienie, śmiertelny pot płynie z mych włosów (7).

FRANCZESKA.

Uspokój się (8).

PAOLO.

Zerwałem się wściekły, przekupiłem nikezemnych zbirów, chwyciłem szpadę (9).

Ach! lękałem się, że cię już nigdy nie zobaczę. Tu cię spotkałem. O! ja szczęśliwy! (10).

Rozrządzaj mną. Jak serca tak i ramienia mego jesteś królową: za ciebie umrzeć pragnę (11).

- (1) Wściekłość Lanciotta i brata nienawisć
To jeszcze męki mało dla Paola...
On ciebie jeszcze chce zemście poświęcić:
- (2) *Dreszcz mi to mówił, dreszcz ciała straszliwy.*
- (3) Ledwie przed chwilą opuścił powieki
Jakże okropny sen duszę zatrwożył!
Widziałem ciebie... własną krwią zbroczoną
W objęciach śmierci...
- (4) *Padłem na kolana*
By nieść ratunek... a ty imię moje
Wyrzekłaś tylko i dach twój uleciał!
- (5) O rozpacz! rozpacz!
- (6) *Próżne me nadzieje,*
Straszne widzenie stało w oczach moich.
- (7) *Dziw się Franczesko: pot śmierci zaledwie*
Znow mnie potrafił ocucić do życia.
- (8) Uspokójże się.
- (9) *Wskoczyłem szalony*
I podły ch zbirów przekupiłem złotem;
Schwyciłem oręż.
- (10) *Miałem cię nie widzieć*
A tu znajduję: jakzem szczęśliwy znowu!
- (11) *Rozkaż Franczesko, boś królową serca*
I dłoni mojej, chcę umrzeć za ciebie...

FRANCZESKA.

Wróć do przytomności, o szalony! Ten, którego znieważasz, już nam przebaczył. Unikaj mnie. Czegóż spodziewać się możesz? (1).

PAOLO.

Dopóki ciebie wraz z ojcem twoim nie zobaczę bezpiecznej za murami tego pałacu, odstąpić cię nie mogę (2).

Smutne, okropne dręczy mnie o ciebie przeczucie! Ach, ty mnie już nie kochasz! Ty już się mnie wyrzekłaś! (3).

FRANCZESKA.

Tak być musiało (4).

PAOLO.

Powiedz mi więc, gdzie i kiedy znowu się zobaczymy (5).

FRANCZESKA.

W doczesnym życiu naszym, wtedy dopiero, kiedy występna miłość nasza zagaśnie (6).

PAOLO.

Nigdy nie zagaśnie! więc nigdy się już nie zobaczymy? (7).
Franczesko! połóż rękę na sercu mojem. Czasem będziesz ją do twego przykładac i przypominać sobie uderzenia mego: są one dzikie... i krótko już trwać będą! (8).

- (1) Odzyskaj zmysły. Tyś brata znieważył,
A brat nam dwojgu swą hańbę przebaczył,
Uciekaj zatem. *Co myślisz nieszczęsnym?*
- (2) Póki cię z ojcem, w pałacu Lanciotta,
Tu widzieć będę, za nie prośby wasze:
Zostanę tutaj.
- (3) Okropne przeczucie
Wciąż drżać mi każe za tve dni *kochane*...
Już mnie nie kochasz, już myśl twa niestety!...
- (4) *Miłość już przeszła*....
- (5) Więc powiedz przynajmniej,
Gdzie, kiedy znowu zobaczymy się przecie?
- (6) Jeśli na ziemi... skończy się występne...
Kochanie nasze....
- (7) Nie, nigdy, Franczesko!
A więc sie nigdy, nigdy nie zobaczymy?
- (8) Dotknij aniele, ręką mego serca,
Widzisz jak bije! jak okropnie bije!
Jak mocne czucie! niech zamrze to czucie!

FRANCZESKA.

O miłości! (1).

PAOLO.

Ja byłbym cię był czcił, jak bóstwo! (2).

Żaden dzień nie byłby upłynął bez usiłowań moich uczenia cię coraz i coraz więcej szczęśliwą (3).

Ty byłabyś mnie, o czarująca myśli! uczyniła ojcem dzieci do ciebie podobnych! (4).

Ja synów moich byłbym nauczał, aby cię po Bogu, nad wszystko czcili, i tak jak ja cię kocham, kochali (5).

FRANCZESKA.

Samo słuchanie takich wyrazów twoich jest zbrodnią (6).

PAOLO.

I nigdy moją nie będziesz? (7).

FRANCZESKA.

Co ty mówisz? Ilem winna małżonkowi mojemu za wielkomyślne jego poświęcenie się, wiecznie czuć będę (8).

Posłuchaj więc uroczystego oświadczenia mojego. Gdyby za niesprawiedliwym losu wyrokiem, on, pierwój jak ja, zstąpił do grobu; wdową pozostaną do zgonu, i miłością dla ciebie, chociażby w głębi serca zatajoną, nie znieważę świętej jego pamięci (9).

(1) Ach miłość! miłość!

(2) *Ubóstwiałem* ciebie

(3) I dzień nie *przeszedł*, abym w myśli *cudnej*

O twojem szczęściu nie myślał, aniele...

(4) Marzyłem słodko (*rozkoszne marzenie*)

Że będę ojcem *dzieci ci podobnych*.

(5) Że (*marzyłem*) synów moich nauczę z rozkoszą

Jak czcić cię mają, i jak po *Wszechmocnym*

Ubóstwiać cię, jak ja *ubóstwiałem!*...

(6) Słów twoich słuchać, już zbrodnia, Paolo!

(7) *Nigdy Franczesko!*

(8) *Czuje* ja, com winna

Obowiązkowi i *szlachetnym męża*

Usiłowaniom: słuchać cię nie mogę,

(9) Lecz uroczystą składam ci przysięgę:

Jeżeli losy okropne pozwolą

Że on wprzód umrze; wdowieńskiej żałoby

Do końca życia mojego nie zrzucę.

I twą miłością, chociażby w męczeniu,

Świętej pamięci męża nie zasmucę.

PAOLO.

Nie zrozumiałaś mnie Francesko! występnych życzeń nie tworzę (1).

Niech żyje, a mnie niechaj życie odbierze, mój brat. Ale i ty także żyj zdaleka od jego gniewu, żyj, i w cichości kochaj mnie.... (2).

W smutnych snach twoich nieraz mnie zobaczysz: smutny mój cień, zawsze cię uwielbiający, dzień i noc krążyć około ciebie będzie (3).

FRANCZESKA.

O Paolo! (4).

PAOLO.

Okrutnie obeszli się z nami i Bóg i ludzie (5).

FRANCZESKA.

Uspokój się! O ja nieszczęśliwa! jesteśmy zgubieni! O mój ojcze! (6).

PAOLO.

Żadnego nie ma prawa nad dziećciem, ojciec, który je tyrańskiej woli swojej poświęcił. Któż kwiat młodości twojej we łzach zatopił? Tę straszną gorączkę, którą płoniesz; któż w tobie zapalił? kto stracił cię na krawędź grobu? Twój ojciec! (7).

FRANCZESKA.

Bezbożny! co mówisz? słyszę hałas (8).

(1) Żleś zrozumiała: *nie zmyślam mych przeczuć:*

(2) Mnie brat zabije, lecz ty żyj Francesko....

Niechaj gniew jego ciebie nie dosięże...

O! żyj, żyj długo, i kochaj mnie milcząc!...

(3) W smutnych snach swoich *zawsze* mnie zobaczysz

Dzień i noc ciągle cień mój, przy twém łonie

I czuwać będzie i ubóstwiać będzie.

(4) Paolo!

(5) Niebo i ludzie bez serca

Tyranią nasze zakłócili życie.

(6) Przestań! ja biedna! Ojcze, ojcze drogi!

(7) Nie ma praw żadnych nad dzieckiem ten ojciec,

Co je tyrańsko swęj woli poświęcił...

Lat twych dziecinnych, kto kwiaty zagrzebał

We łzach bez końca? kto boleść straszliwą

Wrzucił do serca i spalił to serce?

Kto w przepaść grobu wtrącił cię niewinną?

Zawsze twój ojciec....

(8) Co mówisz? niegodny!

Rażą twe słowa... śmier jakiś...

PAOLO

(obejmując *Franceskę*).

Już teraz żaden śmiertelny nie zdoła cię wyrwać z rąk moich (1).

(W takiej postawie zastaje *Franceskę* i Paola, Lanciotto wchodzący z Gwidonem. Łatwo przewidzieć koniec; ja-koż *Franceska* i *Paolo* giną z ręki małżonka i brata).

Przytoczyliśmy oryginał prawie w trzech czwartych częściach dosłownie przetłumaczony i porównany z przekładem miarowym. Pozostająca część czwarta nie była konieczną do zrozumienia całości, i chociaż równie słaba jak reszta, nie ma przynajmniej takich jak ona, rażących zboczeń od pierwowortu.

Dał nam tłumacz tę samą liczbę aktów, tę samą scen, nieco nawet większą wierszów; ale nam nie dał tej samej wartości. Co do miary, postąpił rzetelnie, nawet z hojnością; ale nas pokrzywdził na wadze. Opuścił wiele obrazów i myśli *Pellica*, a w miejsce ich położył własne, ale wcale innego pędzla i kalibru, lub też zostawił widoczne ślady, że czegoś brakuje; a domyślenie się czego? lub zapełnienie próżni, zrzucił na dowcip czytelnika, używając wyrażen takich naprzykład: „Tegobym nie sądził!... Już myśl twa, niestety!”... Mógłby kto myśleć, że tłumaczowi o nic innego nie szło, tylko o ustawienie obok siebie w każdym wierszu potrzebnej liczby sylab, do czego wprawdzie miał dosyć masy i to nie podłej, w dosłownym trzymaniu się oryginału. Nie użył jednak tej masy, ale do sztukowania wierszów obmyślił sobie pewne jednostajne foremki, jużto w trybie rozkazującym jak np.: nie przeszkadzaj! zaczekaj i t. d. już w przymiotnikach obracanych na wszystkie strony czyli rodzaje np.: cudny, śliczny, kochany, święty i t. p., już w imionach własnych jak np. *Lanciotto!* *Paolo!* i t. d., już w wykrzyknieniach, jak np.: Ojcie! O rozpacz! Ach! miłość! O, płakać! O żyj! i t. p. Wkłada więc te jakby kliniki w wiersze, bez względu, czy zresztą mają związek i obok niej znaczenie, *dat inania verba, dat sine mente sonum*.

Tak bezwzględne obejście się z oryginałem ten musiał być skutek, że znikł prawie zupełnie w przekładzie miarowym majestat muzy tragicznej, polegający z jednej strony na położeniach, które budzą litość i trwogę, oraz na wzniosłości uczuć i myśli; a z drugiej na uroczystym, siłą i zwięzłością uderzającym, należycie ubarwionym i harmonijnym ich wysłowieniu.

Jeżeliśmy zanadto rozwiedli się nad tym przedmiotem, niechaj nas usprawiedliwi ta okoliczność, że już oddawna nie u nas podobnego nie popełniono na znakomitszym poetycznym utworze.

(1)

Nikt w świecie

Z objąć cię moich wyrwać nie potrafi!

Przekładem miarowym, o którym mowa, poddaną została pod wątpliwość prawda dawnego przysłowia, że trzy przeprowadzenia szkodzą tyle, co jeden pożar. Oto w oczach naszych jedno tylko przeprowadzenie Franczeski z nad Erydanu nad Wisłę, wystawiło Silvia Pellica na zupełną niemal utratę w tych stronach szacownej części jego literackiej fortuny; a wystawiłoby go na jej utratę wszędzie, gdyby jakim nadzwyczajnym przypadkiem i sam pierwotwór i wszystkie jego przekłady, z wyjątkiem naszego miarowego, zaginęły. O gdyby Silvio Pellico miał i zrozumiał był ten przekład, nie byłby zapewne wstrzymał się od narodowego swojego wyrażenia: „*traduttori, traditori.*”

Tém zdaniem, może za surowém, nie chcieliśmy i nie chcemy bynajmniej ubliżyć szanownemu autorowi miarowego przekładu. Mąż takiego jak on poświęcenia się dla nauk, pisarz takich usposobień i zasług ma już dość osobnych tytułów do powszechnego szacunku, i pomnoży je bezwątpienia, jeżeli się zamknie w węższym a ustalonym korycie, i jeżeli ścieśniając powierzchnię swój działalności, siły i zasoby rozpraszające się na niej, obróci ku pogłębieniu innych naukowych swych badań.

A. C.

Rzecz o tragedyi starożytniej i nowożytniej.

W zeszycie 12 tomu IV w Dodatku do Czasu krakowskiego, w artykule Przegląd piśmiennictwa, położył pan Lucyan Siemieński z okoliczności mowy Ponsarda powiedzianej przy wstąpieniu do Akademii francuzkiej uwagi swoje nad tragedją; a gdy te *w dogmatyczném skostnieniu*, słów jego użyję, zakrawają na poślubioną jakąś *paradoxalną* zasadę, biorę je sobie za ośnowę do mego przedmiotu.

Mamy postacie historyczne, słowa są Ponsarda, które wzbudzają podziwienie, a miło jest kiedy je kto ożywi, onych bohaterów i mędrców, ludzi górujących ponad drugimi. Historyk kreśli tylko te postacie, i chwyta za ich sprawy publiczne, ale w dramacie poeta wraca im słowo i odsłania ich życie wewnętrzne; wszelako dla uczucia i miłości w nas do tego co piękne, mówi dalej, krom przedstawionej przygody, co zajęłaby ciekawość naszą i poruszyła umysły, potrzeba jeszcze postaci charakteru mocnego, a namiętnych poruszeń serca, językiem odpowiednym temu wyrażonych; poczem zaspokojonąby dopiero została ta chciwość w nas pięknego, on przymiot najszlachetniejszy duszy naszej.

Szanowny pan Lucyan Siemieński za punkt wyjścia do swoich uwag nad tragedją wziął te słowa Ponsarda: *Dramat nowożytny, mówi, intrygowy, aczkolwiek odpowiada formą i żywiołami*

swemi czasom naszym, nie ma przecież wykluczać tragedyi i jój warunków, mającej tak nieśmiertelną przeszłość, a mogącej istnieć w każdej epoce, byle miało się poczucie i cześć dla piękna i charakterów (sic). Ponsard chociaż stanął przy powadze tragedyj, przecież nie ujął za to pytanie tam, kędy było do ujęcia, to jest w zasadzie tragedyi (sic), tak jak pojmovali ją Grecy. Posłuchajmyż, co zwie tragicznością, a co ma być tragedya?

Nie co lzy wyciska, mówi, było tragiczném, ani co do śmiechu pobudza, było komiczném: bardzo dobrze. Starożytni szukali tragiczności w losie przygnębiającym (sic), który acz zasłużony nie wydawał się wszelako słusznym w miarę do winy. Ztąd budziła się litość dla ofiary losu gnębiącego i trwoga na widok potęgi gnębiącej, a nieomylnój wszelako w wyrokach swoich. Ma taka tragiczność w proch ścierać człowiecze uczucie (niepowiedziane jakie?), lecz na to, aby je tém podnieść wyżej, dając przeświadczenie o sprawiedliwości i nieomylności wyroków Opatrznych (*Opatrzności*): bowiem niewolnicze poddanie się niezrozumiałemu losowi byłoby hańbiącym, gdy przejrane przynosi zaszczyt i ulgę (sic). Tragedya ma zatem budzić nietylko trwogę i litość, ale oba te uczucia osładzać jeszcze (sic), a jestto zdanie Arystotelesa: tragedya, powiada on, jest naśladowaniem działania, które za pomocą litości i trwogi oczyszcza każdą namiętność.

Rozbierzmy te słowa. Starożytność szukała tragiczności w losie gnębiącym, z czego wzrastała litość nad pognębionym, a trwoga przed potęgą gnębiącą a nieomylną; lecz jak to pogodzić z tém *fatum*, któremu starożytność logicznie hołdowała, przy bogach swoich fałszywych? *Fatum* ślepe było słusznym dla niej, bogiem bogów i ludzi. Jeśli przeświadczenie o sprawiedliwości i nieomylności wyroków Opatrznych, miało w proch ścierać człowiecze uczucie, aby go tém wyżej podnieść: to nie o tragedyi greckiej godziło się powiedzieć, ale o naszej. Starożytność przy *fatum* swoim poddawała się prosto konieczności hańbiącej ją i nie przynoszącej ulgi, i dlatego jój tragedya obudzała gołą litość i trwogę dla braku poznania o prawdziwej Opatrzności, przed którą koryzający się człowiek, podnosił i uszlachetniał. Arystoteles, przywiedziony niedokładnie, żąda nawet od tragedyi, aby ofiara losu nie znała powodu pognębienia swego jak to Oedip, co zabił ojca a poślubił matkę, lub Thyest, co pił krew dzieci własnych, oba nie wiedząc o tém. (*in Poet. cap. 11 et cap. 273*).

Kalderona i Szekspira sztuki nie dadzą się też podciągnąć pod to правило: aby jeden i drugi mieli byli trafić w myśl Arystotelesa, a *oczyszczały za pomocą litości i trwogi każdą namiętność?* Czytam powiedziane, ale nie widzę pokazane. Żadna z ich sztuk ścisłej krytyki nie wytrzyma co do tego. Oba też o Arystotelesie nie wiedzieli, czytając tyle po grecku co nasz Dmochowski tłumacz Illiady. Oba mieli geniusz, ale znachodzili tam złoto i drogie kamienie, obok barłogu. Szekspir pisał pod złą epokę, niedługo po śmierci Henryka VIII, a naród zajęty reformą religijną, nie

wiedział o nim, nie poznał się na nim. Don Pedro Calderon de la Barca był szczęśliwszym, znalazłszy w Filipie IV, jak Molier Ludwika XIV. - Z pięciuset *Autos* jego, o których czytamy, ale którychśmy nie czytali, są sześćdziesiąt ośm *mysteryami*, jakie w XIV wieku grywano. W jednej z tych *Autos* przy mszy świętej na teatrze pojedynkują się anioł z diabłem, jakiś król Korduby, przekupka i dwóch żołnierzy błaznów. Był to w guście ówczesnym narodu hiszpańskiego, ale dziś grane być nie może. Pożyczyli się wszelako u niego: Molier, Kornel, Kolot d'Herbua, a Wolter przełożył Herakliusza, kędy on w VII wieku mówi o strzałach działowych i wyprowadza na scenę księżęcia Kalabryi z królową sycylijską. W Szekspirze nie ma tak grubych usterków: wydobył on dramat z pod władzy *fatum* ślepego. U Calderona ma Bóg zabijać złoćynę, a u Szekspira zbrodnia z dopuszczenia Bożego, sama się gubi: gdy starożytni mieli rozwiązywać zagadki losu, a sytuacje rodziły u nich charaktery, które w Szekspirze kierowała akcja i stanowiła o ich wypadkach, że to była tylko różnica historyczną, ale wysokość jednaka (sic). Przyznam się, że nie rozumiem tego *pathos*, choć czytałem to już gdzieś po francuzku; krócej było powiedzieć: iż w dramacie greckim bohaterowie, jak posągi miedziane stawają nieustraszenie naprzeciwko fatalności nieugiętej, a u Szekspira występują obok ludzi z wielkimi namiętnościami błazny, a obok cnotliwych mężów zbrodniarze: a był to jedyny klucz do greckiego i Szekspirowskiego dramatu. Bowiem Sofokles, Eurypides, Eszyl, malowali swoją społeczność z jej pojęciami i bodźcami, a Szekspir pochwycił za swoją na gorącym uczynku, z jej politycznymi i religijnymi hipokrytami i fanatykami. Był on malarzem epoki swojej z talentem niesłychanym, jakiego taka epoka wymagała, i jakim natchnąć tylko mogła.

Tragedya też nasza bez dźwigni dla siebie *fatum* ślepego, nie może się trzymać niewolniczo wzorów starożytności, będąc utworem i potrzebą innej społeczności. Nie co piękne bowiem i co podziwienie wzbudza, zmieniło naturę swoją; ino piękność i prawda, te dwa promienie bóstwa, przy dzisiejszej nauce poznane lepiej, przyodziały się w przyzwoitszą szatę. Starożytność miała jedynie przeczucie tego, a jeśli traicy greccy spotkali się z tém niekiedy, to samą siłą rzeczy przywiedzeni na to. Tragedya nie wyklucza też u nas litości i trwogi, i stawia równie charaktery mocne; tylko te charaktery dostały do siebie ideał doskonalszy, a cnoty i występki dostały miarę rzeczywistszą, iż ta litość i trwoga obudzone na ich widok, podnoszą nas teraz i uszlachetniają. Nie mamy dlatego potrzeby rozwiązywania zagadek losu, a psychologiczne uprościły się o wiele z odsłonięciem tych prawd wieczystych, z któremi w związku jest cała natura ludzka.

Są tragedye nowożytnie zapewne ze obrazami historycznymi, ale można powiedzieć to samo o greckich; tylko u Greków bajka służyła za tło do sztuki, z której oni utkali historią bogów i półbogów swoich, a my nasze wielkie ludzkie wywołujemy na

scenę: jedne i drugie zatem będące historią. Nie powiem także, iżby tylko momenta wielkie dla narodu otwierały pole do tragedji. Nie miały jęj wieki Augusta, Leona X, Franciszka I, Napoleona, Anglia z Bajronem, a my przy Zygmuntach z Kochanowskim. A potem geniusze nie mają ojczyzny i wytkniętych sobie granic, tylko mową należą się do tego lub owego kraju. Czynią wieki swoje sławnymi, a język swój nieśmiertelnym. Są też własnością całej ludzkości, gdzie i kiedy się pojawiają. Aby tragedye kazaniem były co nie psowałyby narodu, a dlatego spalić wypadało Kaldeona i Szekspira (sic): *ab irato* czytam to napisane. Tragedye greckie są nawet moralnymi na swoje czasy, co powiem i o komedjach Arystofana, choć zabiły Sokratesa; rozebrane sumiennie, to jest odnośnie do pojęć im współczesnych. Podobnież nie piszę się na to, iż nie należy się dramatycznego charakteru mieszać z moralnym, gdyż nie idzie o to, czy on zły, czy dobry; lecz czy działa jak go natura jego zmusza, przez co staje się dramatycznym (sic); ale trzymam z Ponsardem, który bardzo słusznie uwagę czyni: iż jeżeli dramat ma przyczynę istnienia swego, ma go niemniej tragedia, która dopóty istnieć będzie, dopóki ludzie mieć będą urok w nauce dziejów i w wierném malowaniu namiętności. Charaktery bowiem *excentryczne*, dla których wygnaćby potrzeba moralność ze sceny, nie mogą stanowić obecnie prawidła do sztuk nowożytnych, dla wyobrażeń nam współczesnych; ani mamy do tego co starożytność familij Atrydów, Oedipa, Thyesta, Medei, i tych potworów; a Rychard Szekspira przywiedziony, jest historyczną nauką wziętą z dziejów angielskich, bogatych w takie postacie, odmalowany wiernie olbrzymim talentem, tak jak żąda tego Ponsard od dzisiejszej tragedji.

Wzory greckie mają wartość niepoślednią, ale nie są takimi prawidłami dla nas, co formuły matematyczne. Niemcy obrabiają dziś Helladę z fanatyzmem literackim, a ten poczyna zaglądać już do nas. Tam to miała się zejść *treść z formą*, a one poślubiny odbyły się wpośród ludków greckich: na jakie poślubiny pozwalał, jak na jedną z tylu mrzonek niemieckich. Szanujmy starożytność, lecz jak kolébkę naszą, gdyż my jesteśmy dla nięj ojcami, skoro wiedza ludzka postępuje naprzód; owe ślepe nabożeństwo do starożytności to rzecz nie nowa. Starożytność religijnie przestrzegana, trzymałaby naszą myśl jak w ramkach, na uwiązaniu przy sobie dla form zużytych z pojęciami swemi, iż mielibyśmy tylko literatów obznajomionych ze starożytnością z pism francuzkich i niemieckich, ale nie mielibyśmy Danta, Szekspira, Goetego. Tyleż powiem o tragedji u nas: iż nie będziemy jęj mieli, dopóki nam mistrzami być mają: Sofokles z Eschylem, do których brak dziś świata starego, z wyobrazeniami jego; tak jak nie będziemy mieli metrów naszych, dopóki będziemy chcieli je składać *pentametrami* i *hexametrami* łacińskimi, nie mając samorodnych *jambów* i za Kochanowskim powtarzając ciągle, iż tylko przedostatnia zgłoska jest długą u nas.

Ostatnie, co powiem, to kilka słów w obronie mowy naszej, téj wspólnej nam i najdroższej własności. Pisarz tak znamienity, mający wzięcie słusznie dla tłumaczenia Odysei, kładzie słowa, które pośpiech przy mnóstwie obowiązków jego literackich, wymówić tylko może; kładzie *poczucie* za uczucie, gdy Polacy mówią: poczuć swąd, a uczuć ból serca, lub rozpacz i t. p.; kładzie *pięknota* za piękne i piękność, gdy to jest wyrażenie się pogardliwe, jak np.: gołota, hołota, brzydota, i kładzie *niespodzianka*, w miejscu niespodzianie, gdy to jest wyrażenie się podobne piérwszemu, tylko żartobliwe, jak np.: pogadanka, pohulanka, cacanka, obiecanka; kładzie *kółko* domowe, gdy mówimy: koło sejmowe, koło senatorskie, koło rycerskie, a mówimy: grono rodzinne, grono przyjaciół, w gronie domowém i t. d., a o kółku od niedawna dopiero słyszymy. Słowa nowe lub nowego kroju są tylko potrzebnymi, gdzie nie będzie do tego starych i utartych, lub obejść się nie dadzą, albo zastąpić nie mogą jakim wyrazem odpowiednim, a przyzwyczajonym w mowie naszej. Nowe słowa nie czynią bogactwa mowy, ino pokazują, iż nie umiemy dobrze naszego języka.

Niniejsze uwagi nad tragedją nowożytną, dla rzuconych uwag nad tragedją w Dodatku do Czasu krakowskiego, wywołane pogadanką na pogadankę, są dorzuceniem myśli do objawionych myśli w tym przedmiocie z całą otwartością na polu, które dyktatury nie dopuszcza. Nie nazywam tego ktytyką, ani przyznaję krytyce w żadnym razie *jus gladii*, jakto miały niegdyś małe miasteczka po Polsce, Brzesko-słomiane lub Pacanów, gdzie burmistrze głowy ucinali, iżby do mnie z tego tytułu żal jaki być mógł; z taką *absolutną* cenzurą siedziałyby dopiéro myśl nasza zakutą, a sądy Osieckie powtarzały się co chwila. Co napisałem, jestto zapalona świeczka od pochodni, nie aby ją zgasić, kusząc się o rzecz niełatwą dla mnie, gdy przy takim mistrzu *sine pennis volare haud facile est*.

Bartłomiej Podgórski.

*Zwiady świata i ludzi. (Oddział I od roku 1800 do r. 1816).
Dom mojej babki. Przez Walerego Wielogłowskiego. Kra-
ków. W drukarni Czasu, 1856. 8ka. Str. 423.*

W chwili, kiedy czytelnicy polscy obok chciwie oczekiwanych powieści z zajęciem przyjmują pamiętniki, książka pana Wielogłowskiego musi zwrócić uwagę i pochlebnego doznać przyjęcia. Jestto także pamiętnik, w którym autor jakkolwiek najwięcej postać swój babki, Józefy z Badenich Wielogłowskiej uwydatnił, jednak obok niej tyle zajmujących figur postawił, jużto

Badenich, już Wielogłowskich: wiernych sług Krakowiaków, to znów Żmudzinów; przykładnych i bogobojnych kapłanów, tak zajmujące dał nam obrazki, w których nie jeden ustęp obudzi rzewne uczucie, że dzieło to, tak ze względu treści, jak i obrobienia pomiędzy najcenniejsze utwory bieżącej literatury policzam. Obraz cały, jaki nam stawia domu swój babki i tej drożyny, postaci otaczającej poważną i świętobliwą matronę, nacechowany prawdą, ma urok wielki w skrzeszeniu zmartwych nie tylko ludzi, ale i właściwej atmosfery czasów.

Podzielił autor dzieło swoje na rozdziały, i rozpoczyna obraz babki, jako wdowy, która już postanowiwszy dzieci swoje, zaprosiła Marcina Badeniego, ażeby podzielił cały między nich pozostały majątek, zastrzegając sobie małą wioseczkę pod Bochnią; do niej się następnie przenosi, zamieszkuje lat kilka, w ostatku na stałą siedzibę przeprowadza się do Krakowa. Prosty jak widzimy układ, ale każdy rozdział daje nam nowe sceny, ciekawe i pełne życia postacie. Przybywa do dworu babki s'ary konuszowy szlachcic Zieliński, przyjaciel od serca śp. starosty a męża babki, i w rozmowie taki nam stawia jego obraz, kiedy tańczył poloneza:

„Pamiętam, kiedy raz z panią podstoliną Sołtykową stanął do polskiego: to ją wodził z pół godziny, a nikt mu odbijać nie śmiał, bo każdy rad się był przypatrywać tej parze, co płynęła jakby Wisła w różne labirynty: to tędy, to owędy, i zdawałoby się, że nie chodzą po podłodze, ale jak para jaskółek nad stawem. muskali tylko skrzydłami powierzchnią. Ej! moi państwo, już przyszłe pokolenie tak nie będzie umiało tańczyć, bo inne czasy, a inne i obyczaje: i mówiąc też prawdę, to sobie wykrzywiają nogi nowemi anglezami i sztajerami. Wszystkoto jest jakby w ostatnich podrygach, a nie ma w tym ani wdzięku, ani powagi. Proszę, było widzieć starostę, kiedy zaczynał taniec: ledwó zagrzała kapela, a pan starosta w środku grona zbierał się w miejscu, jakby ptak do lotu: spojrzął po ławach i krzesłach, a upatrzawszy tanecznice, poważnie sunął się ku niej, chyląc się zlekka z boku na bok, aże przed nią stanął: wtenczas lewą ręką poprawiwszy karabelli i obiema pasa, grzecznie naprzód nogę wysunął, czapkę przerzucił w lewą rękę, a potem podniósłszy ją w górę, dał znak, aby iść za nim. Ruszyli się też inni, a stanęli w parach; dopiero pan starosta przeczekawszy, aby muzykanci w grę się dobrze wdroszyli, zatoczył zgrabnie ręką i najprzód w miejscu damę swą obrócił, a potem już szedł w taniec jakby płynął, piersią naprzód, wzrok na prawo w tanecznicy utopiwszy. Idą, idą, aże szumi szastu, szastu: wtém starosta niby się rozłącza od damy, puszcza jej rękę, lecz z oczu nie traci i zręcznie wokoło obchodzi. Ona za nim spogląda: zesli się spojrzeniem, i jakby po chwili gniewu, znowu pogodzeni, płyną razem jak strumienie, dopóki się znowu wokoło nie zawrócą, a starosta zręcznie nie podbiegnie, aby prawię swą w jarzący sygnet ozdobną podać tanecznicy. Za zwro-

tami starosty wszystkie dają pary, jakby jednego łańcucha ogniwa; wężykiem się zwracają, przeginają, snują; aż w końcu pan starosta raz jeszcze w półkole obróciwszy się z damą ku krzesłu ją wiedzie, a ręki pocałunkiem odwdzięczywszy trudy, cofaniem się wysuwa i znów w tłumie tonie. I mówię śmiało, że nie było i nie prędko urodzi się taki człowiek, jak pan starosta: to kiedy do Zborowa dojeżdżam, lzy mi się do oczów cisną, bo myślę sobie: nie ma cię panie Józefie, starosto, przyjacielu, kondyscypule i dobrodzieju mój; nie ma cię czoło szlachty prawdziwie szlacheckiej, coto choć nie wywodzi w rodzie samych senatorów, ale aż mchem od starości szlachectwa porasta"! Wydatnieje tu piękna postać księdza Jaszczurowskiego, który służyć może za wzór proboszczów. Chwila odjazdu babki ze Zborowa, kędy lat tyle przemieszkiwała z mężem, a następnie jako wdowa wychowała dźwiatwę swoją, pełna jest rzewności. Do zajmujących obrazków należy opis Proszówki, nowego siedliska starościны Wielogłowskiej, pobyt jej w tej wiosce. Tu jawi się nowa postać cnotliwego i wzorowego kapłana, w osobie ks. Adryana, a przytém zabawne, choć pełne uczuć szlachetnych figury: jak kłótniwa stara panna Julkowska, pełna pretensyi do zamąż-pójścia; panna Szadurska i jej zalotnik mandataryusz pan Filaczyński, i wesele tej rozmiłowanej pary. W opisie zjazdu familijnego w Proszówkach na dzień ś. Stanisława, między wielą zajmującemi uderza postać pana Tomasza Wielogłowskiego ziemianina z pod Tatrów.

„Nieodrodny wnuk Michała, co zbił Rakoczego; czekał tylko kozery, aby złożyć dowody równej odwagi, ochoty i siły. Głos jego piersi to jak echo grzmotu, co się o skały Tatrów ponuro odbija; uścisk serdeczny to jak uduszenie w niedźwiedzich łapach: a ktoby się zaś odważył iść z nim na przepiecie, to niechby najprzód w Dunajcu wodę na wino zamienił i rzeki koryto przez gardło pana Tomasza przepuścił. Takito był pan Tomasz, a chociaż *de jure* słabszym był od wielu, to wiem, iż *de hajda* nikt go nie przesadził. Drżeli przed nim sąsiedzi, bali się i inni, bo cóż tu począć z tym synem Krępaku, którego kości ze skały ukute, usta jak wrota jaskini, porywczosć jak prąd wodospadu, a upór woli jak głębia Morskiego Oka”.

Ten olbrzym przy wiwatach odrzuca duże kielichy; nie przyjmuje większej kulawki, aż przyjął z obrączkami, co miarę trzyma.

—Ten sam! rzecze pan Tomasz z serdecznym uśmiechem. Jak się masz przyjacielu, dawno cię nie widziałem: niechże cię powitam!

Wszyscy zadrżeli, baron Baum kreiskapitan osłupiał, i obiema rękami bierze się za głowę, a pyta sąsiadów, czyli pan Tomasz żartuje, lub téż w tym kielichu chce zdrowie utopić?

—Panie Tomaszu! zaszkodzi Wasze ci!—mówi mój ojciec.—wszak już się dużo piło.

— Nie trzeba mu było przeszkadzać w uczciwój ochocie,— tłumaczy go pan Józef.—Pij bracie, nie zważaj, wszak ci to nie pierwsza!

Leją więc słudzy wino, leją ze stron obu, leją z kilku butelek, a gdy napelnili wstał pan Tomasz i rzeknie:

— Jejmości pani starościnėj, a naszej szanownej krewnej i dobrodziejki zdrowiel! Niechaj nam żyje w długie lata, a na nas będzie łaskawa!

I wzięwszy w obie dłonie kielich, głęboko odetchnął, a potem do ust poniósłszy, najprzód polykał małemi haustami, później większemi, a potem coraz gładziej, aż do połowy lał w gardło jak w otchłań, dopóki nie wychylił aż do dna i ostatniej kropelki na paznokciu nie wysączył.

Obok postaci rodziny swojej, daje nam autor niemniej zajmujące figury z niższej warstwy, to jest starych sług i domowników, jak Kalicińskiego, Rzepeckiego i pełnego poświęcenia Boratyńskiego. Obok owego olbrzyma Tomasza Wielogłowskiego stawia jego siostrę pannę Teklę, starą i zjadliwą pannę, a przy niej gołębięj łagodności kapitanową Usielską. Niemalą ustęp zajmuje w tym pamiętniku Jan Chwalibóg Wolterysta, nawrócony przez księdza Adryana. Scena nawrócenia, modlitwy i spowiedzi Chwaliboga liczyć można do pięknych kart tej książki. Wyborny obrazek rezydenta sędziwego Szczepanowskiego maluje nam w dosadnych rysach owych bez swego dachu, na cudzym chlebie, ale uczciwych i szlachetnych rezydentów staropolskich: co przywiązani do rodziny, w której przytułek znaleźli, przemysłiwali tylko jakby się wywdzięczyć dobrodziejom za przytulisko dane z otwartem sercem. Rozmowa ojca naszego autora z księdzem Adryanem odkrywa nam w całym blasku piękny charakter tak zmarłego starosty, którego wdowie dla uczczenia jej pamięci poświęcił dzieło swoje, jak zarazem i ojca Ignacego Wielogłowskiego.

Jak cień przy świetle odbija pan Maszewski dzierżawca następnie Proszówki, który w ryzie umiał trzymać chłopstwo, i na przemowę tegoż Wielogłowskiego, iż naszym jest obowiązkiem lud podnosić z tego stanu upodlenia i barbarzyństwa, odpowiada z pełnem przekonaniem:

—Podnosić? a to po co? do czego to posłuży? Ja zaś trzymam ze świętym Pawłem, który mówi: „strzeż się, aby drugich podnosząc sami nie upadli”. Niech więc każdy swój ciężar dźwiga, my szlacheckich obowiązków, a chłopcy chłopskich”.

Do najpiękniejszych kart tej książki i najdramatyczniejszych należy rozdział: „Powódź w Proszówkach 1813 r.” Przywiedziem z tego obrazu mały wyjątek. Dwór w Proszówkach na wzgórzu stojący długo bezpieczny był od powodzi; toteż do niego uciekano zewsząd: ale woda coraz się wyżój piętrzyła, zaczęła zalewać i tę ostatnią ochronę.

Kaliciński z wyrazem rozpaczy wszedł do mojej babki, prosząc ją, aby się schroniła na górę w kaplicy, gdzie on już dla

niej i dla kilku osób pomieścić się mogących łoża i żywność przygotował; albo téż, aby do stodoł się schroniła na bróg słomy, który przynajmniej o tyle bezpieczeństwo przedstawia, iż woda w zaciszu od wielu budynków odbita, a wiatru w tém miejscu nie będzie.

— Nie, rzecze moja babka, chcę podzielać z wami wszystkiemi grożące niebezpieczeństwo i śmierć nawet, jeżeli ją Bóg na nas dopuści. Będąc waszą panią, mam obowiązek być téż waszą matką, a matka dzieci swoich w nieszczęściu nie opuszcza: zostanę przeto z wami poddając się z pokorą Boskim rozrządzeniom.

Panna Tekla przybiegłszy donosi, że woda już jest w ogrodzie: Filaczyńska leżąc u nóg mojej babki prosi, aby słuchała rady Kalicińskiego. Zakonnice zeszedłszy z góry trzymają pod pachą tobołki i w pogotowiu do drogi pytają co robić? Wszyscy dworscy u wału, a inni w polach od sukni nawóz ze stajni noszą. Ks. Adryan się modli i siedzi w sali jadalnej, jakby się jego ta scena wcale nie tyczyła. Wpadł więc Kaliciński do niego i zaklinał, aby z mocy powagi kapłańskiej, zmusił moją babkę do przyjęcia ofiarowanego jój ratunku: ale ks. Adryan poprawiając na nosie okularów odpowiedział, iż namawiać lekkomyślnie do poświęceń i czynów heroiczych nikogo nie chce, ale odradzać dzieł zasługę wieczną przysparzających nie może.

Woda wciąż przybywa i już od strony Wisły dom był otoczony, a tylko część przednia na podmurowaniu i ganek był wolnym; w podwórzu zaś mały pozostał pagórek, na którym się jeszcze trawnik od powodzi niezajęty zielenił. Babka moja wyszła z pokoju i przywoławszy ks. Adryana, uroczyście mu oświadczyła, iż chce dzielić los wszystkich mieszkańców. Ks. Adryan skinieniem głowy potwierdził to postanowienie, dodawszy: „Bóg ci to pani policzy”. Wtenczas moja babka zapytała ks. Adryana, czyliby nie był czas przyjąć ogólnego przynajmniej rozgrzeszenia i mówić litaniją konających i psalmy pokutne. Ks. Adryan odrzekł, iż zapewne chwila stanowcza się zbliżyła, bo już podobno woda przerywa świeżo usypany wałek i robotnicy z tego miejsca odbiegli.

— A więc dobrze, mój ojcze: raczże w dzwonek kapliczny zadzwonić, aby się ludzie zgromadzili, i abyśmy wszyscy na tym trawniku stanawszy, oczekiwali razem wyroków Opatrzności.

Ks. Adryan brnął w wodzie powyżej kostek, dostał się do kaplicy, zadzwonił, jakby na odprawienie ofiary mszy świętej. Wszyscy się zbiegli, a otoczywszy babkę moją postępowali za nią na ostatni już wolny od wody trawnik, gdzie ks. Adryan niebawem téż przybył. Uklękniono na ziemi, a gdy z ks. Adryanem psalmy odmówili, zaczęła się litanija za konających: tę ostatnią modlitwę odmawiały kobiety ze łkaniem i przerażeniem, a niektóre z rozpaczą. Ks. Adryan odwróciwszy się upomniał, iż rozpacz jest grzechem, a wiara i poddanie się woli Bożej

sprowadza miłosierdzie Pańskie tu i w dzień sądu. Następnie ks. Adryan powstawszy zalecił, aby się wszyscy przez akt wewnętrznej skruchy do przyjęcia ogólnego rozgrzeszenia przygotowali; ci zaś, którychby sumienie jaka ważniejsza dręczyła wątpliwość, cichą przed kapłanem odbyli spowiedź, lub gdyby czas nie pozwolił, obudzili serdeczne w sobie pragnienie oczyszczenia się z grzechów.

Po chwili milczenia już ks. Adryan otwierał książkę do odczytania formuły generalnego rozgrzeszenia, kiedy woda przedarłszy naraz i w kilku miejscach usypany wał, pokryła za jednym fali poskokiem całą murawę, gdzie klęczono. Popłoch się robi: niewiasty krzyczą i chcą uciekać, ale że wszędzie głębiej jak na pagórku, przeto wracają zanosząc się od płaczu. Woda była już blisko kolan, i zwijała się kłębamii około ściśniętej w jeden węzeł gromadki.

Babka moja i ks. Adryan w pośrodku proszą, błagają o spokojność i poddanie się Bogu; ale ani uciszyć można, ani nadzieją ożywić dusz, które już rozpacz ogarnęła: wtenczas ks. Adryan używa jedynego środka, mówiąc: iż aplikować będzie rozgrzeszenie tym, którzy nadzieję w Bogu pokładają. Słowa te przebiegły wszystkie serca świątobliwą trwogą sądu i pragnieniem uzyskania odpustu, więc odrazu wszyscy przyjęli rozgrzeszenie, a potem ks. Adryan zaintonował do Matki Boskiej Bolesnej, a w końcu: „Kto się w opiekę odda Panu swemu”. Woda już nie szła wyżej, i na polach widziano, iż jęj nie przybywa; jednak od strony sądu zwanego winnicą, nurtem się wciskała w podwórzec. Kaliciński śledził najmniejszy jęj postęp i na wszystkie strony się oglądał. W domu już była pod oknami, a więc dzieci na stołach postawiono lub trzymano na rękach. W pół godziny może Filaczyński zwrócony ku bramie, w słup się wpatruje i prawie zaręcza, że woda nieco opada. Każdy na szatę patrzy, ale tej szczęśliwej wróżby sprawdzić nie może. Za kilka minut znowu twierdzi, że nurt jest mniejszy i widać przedmioty, które były zalane: aż w końcu Boratyński i kilku chłopów zaręczają, że widzą na drzewach, że powódź się zmniejsza i że nawet szybko woda odpływa. Ks. Adryan także przez okulary przygląda się z nadzieją: aż w końcu już wierzch się płotu pokazuje, który był pod wodą: wtenczas wszelka ustaje wątpliwość, a ks. Adryan zaczął pieśń: „Ciebie Boga chwalimy”. Trzeba było słyszeć jak ta pieśń zagrzemiała i z jaką ją wszyscy śpiewali ochotą. Nie wyszło godziny a znowu odkryty trawnik na pagórku, uśmiechał się nadzieją i wróżył blizki wód ubytek, a do wieczora zupełnie już z dziedzińca woda ustąpiła, pokoje jednak były zalane i babka moja z domownikami noc na strychu przepędziła”.

Równie zajmujący daje nam autor następnie obraz pożaru w Proszówkach, a pełen smutku jest rozdział, w którym opisuje śmierć zacnego ks. Adryana. Kończy dzieło wyjazd babki do Krakowa, której postać wśród tylu zajmujących figur i obrazów wy-

datniejże zawsze jako piękny typ matrony polskiej i światobliwej chrześcianki. Kto znał lub pamięcią zasięgnąć może w owe czasy Księstwa Warszawskiego i pierwsze lata królestwa Polskiego, ten uzna, że w tych szlachetnych rysach niewiasty naszego rodu sama szczerą prawdą przebija. Takie typy przewijały się jeszcze gęsto przed oczyma naszymi, taką nam pamięć zostawiły nietylko babki, ale i matki nasze.

Autor w zakończeniu zapowiada, że to dzieło p. n. *Zwiady świata i ludzi*, obejmie trzy części: drugą poświęci jeszcze wspomnieniu téj matrony, która w roku 1818 w Krakowie zmarła i pochowana w grobach tamiecznego kościoła Ojców Reformatów. Będziemy niecierpliwie oczekiwać dalszego ciągu opowieści autora, mając rękojmnią w ogłoszonej części, nietylko iż umie z uczuciem artystycznym odtworzyć żywo nam zamierzchłą już dla wielu niedawną przeszłość, ale zachować wiernie koloryt czasu, i odmalować ciekawe postaci różnych warstw społeczności naszej.

Kończąc nasze sprawozdanie o tém ze wszech względów na największe upowszechnienie zasługującym dziele, nie możemy pominąć ustępu, w którym autor dosadnie lud nasz charakteryzuje:

„Chłopi dziwny mają instynkt do ocenienia nietylko uczuć pana, ale i źródła, z którego te uczucia płyną. Wszystkie demokratyczne umizgi szlachty, nigdy się prostemu ludowi nie podobają, bo w nich przeczuwa fałsz, a posądza o zdradę. Jakoż nie może się pogodzić ze zdrowym rozsądkiem chłopów, takie pochlebstwo panów, wyobrażających moralną przynajmniej władzę; a przyznać trzeba, iż logika ludu jest ścisła i znawstwo doskonałe. Instynkt chłopów porównać można do węchu zwierząt, które chociaż botaniki nie umieją, rozróżnią na pastwisku zdrowe ziółko od niezdrowego: pierwszém się żywią, a drugie nogą depcą. Wyłącznie więc tylko uczucia z zasad religijnych płynące, to jest uczucie opieki, moralnego współczucia i poświęcenia, zjednywać panom mogą serca ludu”.

K. Wł. Wójcicki.

Henryk III Walezysz.

W piśmie *Artiste* na rok 1856, w rozprawie o Katarzynie z Medyceuszów, p. Emanuel de Serme podaje nam ciekawe szczegóły o Henryku III, które jako obelkujące dzieje nasze, w przekładzie podajemy:

„Henryk III nudził się wielce w Polsce: dla rozrywki swojej pisywał słodkie bileciki do Maryi z Klivii księżny Kondeuszowej, które własną krwią podpisywał. Zasiadłszy na tronie fran-

cuzkim, stał się prawdziwą dla wszystkich zagadką. Miewał niekiedy prawdziwie szalone wybryki: drobiazgowy był, jak zepsute dziecko, zabobonny; miał wiele w swoim charakterze sceptycyzmu, pomimo to okazywał czasami zdrowy sąd i wielką przenikliwość umysłu. Odważny w boju, drżał jednak w obec kilkunastu uzbrojonych mieszczan. Trawił życie w królewskim pałacu, otoczony gronem ulubieńców. Oblicze jego blade, wraz z nudzenia nosiło: głowę pochylał ku ziemi, przybrany w kolczyki z pereł i złote łańcuchy na piersiach, przez cały dzień przemierzał coraz to nowe suknie, malował twarz, okładał ją na noc maściami i wonnemi pachnidłami. Nabożny i rozpustny zarazem z równym zamiłowaniem oddawał się lekkomyślnym rozrywkom, jak i łowom; odprawiał przytém processye, nosił różaniec z trupich główek, i iglice wyrobione z ludzkich kości. Na ulicy grywał w bilbokiet, a panowie dworscy szli chętnie za królewskim przykładem. Lubił małe pieski, i miewał ich niezliczone mnóstwo wokoło siebie, różnego gatunku i rodzaju: chował także małpy i papugi. Współczesny pisarz *Syon* zaświadcza, że na same pieski wydawał sto tysięcy talarów.

Chciał aby ulubieńcy jego Saint-Megrin, Quelus, Schomberg, Maugiron i inni odznaczałi się odwagą i zręcznością: w tym celu uczył ich sam fechtowania.

Wymyślał sobie najdziwaczniejsze zabawy, aby choć na chwilę rozerwać umysł, znudzony będąc życiem: raz w dzień wielkiego postu, wraz z młodszym bratem i ulubieńcami swoimi, przebrawszy się za kupców, księży, adwokatów i t. p. przejeżdżał konno z okrzykami główne ulice Paryża. Pod osłoną masek swawolny i rozpustny ten orszak, narobiwszy w mieście wrzawy niemało, udał się na jarmark do Saint Germain, gdzie znów popełniał tysiące nedorzeczeń.

Niekiedy król z towarzyszami, strojni w niewieście szaty, gonili za pierścieniem. Na jednej uczcie rozkazał Henryk, ażeby same kobiety posługiwały do stołu poprzebieranę za mężczyzn; królowa Katarzyna z Medyceuszów wyprawiła odpowiednią biesiadę, na której dworskie panie, w męzkich strojach z rozpuszczonemi włosami, pełniły służbę pokojowców.

W roku 1583 ustanowił król bractwo pokutników, i zaciągnął się sam pod jego chorągiew z gronem ulubieńców szlachty i mieszczan. Rozkazał wydrukować ustawy téj konfraterni, przywdział wór pokutniczy, twarz i głowę okrył kapturem i zasłoną z otworami na oczy; a wzięwszy w rękę gromnicę, sam bez straży, prowadził po ulicach processya, aż do klasztoru Augustyanów. Kardynał de Lorraine niósł krzyż, książe de Majenne był mistrzem ceremonii. Te processye odbywały się po całych dniach, od osmiej z rana do szóstej wieczorem. Stu dwudziestu paziów i dworskich pacholików otrzymało srogą chłostę za przedrzeźnianie tych obchodów królewskich.

Żona Henryka III, Ludwika z Lotaryngii była bezdzietną; kilkakrotnie też do roku król bosy, w zakonnym kapturze, przedsiębrał pielgrzymki do Najświętszej Panny w *Chartres*, w towarzystwie całego dworu, aby sobie wyprosić potomstwo.

Lubił Henryk III grać w karty: jednego wieczoru przegrał osmdziesiąt tysięcy talarów. Rozrzutny i lekkomyślny zasypywał złotem ulubieńców swoich; opłacał szalone długi panów dworskich de Joyeuse i d'Épernon, którzy rujnowali Francją. Henryk więcej obciążył długami ten kraj, niż trzej razem wzięci jego poprzednicy. Żaden jednak z monarchów francuzkich nie umiał tak po królewsku wystąpić w potrzebie, jak Henryk III; kiedy chciał, umiał zabłyszczyć wymową, i ująć sobie wszystkich wdzięcznym i wytwornym obejściem. Zajmował się z upodobaniem piękną literaturą, zachował w duszy wiele szlachetnych popędów, których złe wychowanie nie stłumiło do reszty. Współczesne pamiętniki, mianowicie Dziennik Piotra de l'Estoile, zawierają ciekawe szczegóły o Henryku III i jego dworze.

Gdy Henryk książę de Guise w czasie wojny domowej opanował Paryż, i zmusił króla do opuszczenia stolicy; Henryk III zebrał stany państwa w Blois i rozkazał zamordować przeciwnika. Dumny Gwizyusz utrzymywał, że nikt się nie ośmieli na tę zbrodnię; ośmielono się jednak, padł książę pod tysiącem sztyletów, a król patrząc na jego trupa zawołał:

— Mój Boże! jakież on wielki! większy jeszcze po śmierci niż za życia." To mówiąc potracił nogą głowę martwego wroga, tak, jak niegdyś tenże sam Gwizyusz posąpił z trupem Kolinięgo, i wyrzekł z uczuciem radości: „Ha! nakoniec jestem prawdziwym królem.”

Wkrótce potem Henryk III zginął w *S-t Cloud* z morderczej ręki Jakóba Klement, 2 sierpnia 1589 roku, w chwili, gdy się gotował do oblężenia Paryża wraz z królem Nawarry, a późniejszym Henrykiem IV.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

Bór. Z pracy pp. Wöhler i Sainte-Claire Deville, o tym pierwiastku, przytaczamy ich słowa w najważniejszej treści:

Bór znajduje się w trzech postaciach: z tych najważniejszą stanowi bór krystalizowany, czyli dyament boru. Ciało to prawdziwie ciekawe, otrzymane zostało w kryształach przezroczystych, jużto czerwono granatowych, już też żółto miodowej barwy; ale pomimo tego, barwy te nie są wyłącznemi dla tego pierwiastku, bo zmieniać się mogą w skutku przymieszania w bardzo małych ilościach ciał obcych, np. krzemu lub węgla, jak to się przytrafia i w ubarwieniu kamieni drogich. Spodziewać się więc należy, iż pomimo otrzymania boru różnie zabarwionego, można będzie wydobyć i bezbarwny.

Bór posiada taki blask i w tym stopniu łamie promienie światła, że kryształy jego tylko z dyamentem porównane być mogą. Bezwątpienia, gdyby otrzymano bór bezbarwny i w wielkich kryształach, byłby on ciałem najlepszym do naśladowania dyamentu, pod względem wszystkich skutków odbitego i załamane go światła. Jeszcze inne wielkie podobieństwo przedstawia jego twardość. Wiadomo, że dyament jest najtwardszy ze wszystkich ciał znanych, że rysuje koryndon czyli rubin wschodni, chociaż kamień ten ostatni, zaraz idzie po nim ze względu twardości. Bór także rysuje koryndon z największą łatwością, i to w ten sposób, że szafir wygładzony czyli szlifowany, pocierany proszkiem boru, stracił swoje wypukłości katowe. Dyament wygładzony, tarty o proszek boru na kamieniu kwarcowym gładkim, także nieco został porysowany. Doświadczenia te przekonują, że bór może być uważany równie jak dyament za ciało najtwardsze, lub że z tego względu zaraz idzie po dyamencie.

Postać krystaliczna boru jeszcze jest nieznaną; a lubo otrzymano ten pierwiastek w wielkich kryształach, jednak po bliższym

zbadaniu przekonano się, że one są zbiorem bardzo małych kryształków pospajanych z sobą.

Bór sproszkowany, który sposobem podanym przez Berzeliusa jest prawie niepodobny do otrzymania; stopiony został przez p. Despretz za pośrednictwem stosu. W ciepłe wywiązaniem przy spaleniu mieszaniny gazów kwasorodnego z wodородnym, wcale się nie topił.

Bór krystalizowany mocno ogrzewany, opiera się działaniu kwasorodu; dopiero w tém ciepłe łączy się z powyższym gazem, w którym dyament się pali; mała jednak ilość dosyć widoczna kwasu borowego, na powierzchni pierwiastku utworzona, nie dozwala całkowicie mu się ukwasić.

Przeciwnie znowu, gaz chlor działa bardzo mocno na rozpalony ten pierwiastek: przyczem wywięzuje się płomień i powstaje chlorek boru, gazowy. Ponieważ trudno jest mieć chlor tak suchy, aby cokolwiek dymów się nie tworzyło; dlatego powstaje przytém nieco kwasu borowego, z wody i powietrza zawartego w chlorze. Bór krystalizowany płonie bez pozostałości i wtedy okazują się zjawiska pęcznienia kryształów, co stanowi także cechę palenia się dyamentu w kwasorodzie, stosownie do spostrzeżenia p. Dumas.

Pierwiastek w mowie będący ogrzewany pod dmuchawką pomiędzy blaszkami platynowemi; sprawia roztopianie metalu, wtedy bowiem tworzy się borek platyny.

Wszystkie kwasy czyto czyste, czy téż pomieszane, nie działają na bór, ani na gorąco ani na zimno. Ale po ogrzaniu do mocnej czerwoności, dwu-siarkan potażu zmienia go w kwas borowy, z wywiązywaniem się podkwasu siarkowego.

Soda gryząca w rozcieku stężonym i wrzącym, nie psuje boru; ale węglan sody wyprażany z nim do czerwoności, rozpuszcza go zwolna. Saletra w powyższej temperaturze zdaje się nie sprawiać żadnych skutków na bór krystalizowany. Pierwiastek ten jest zatem ze wszystkich ciał pojedynczych najmniej ulegającym zepsuciu.

Bór otrzymuje się przez wspólne stopienie w tyglu z węglem, 80 gramów glinu w grubych kawałkach z 100 gramami kwasu borowego stopionego także w kawałkach; tygiel z węglem wkłada się w tygiel ołówkowy dobry, wyłożony w środku węglem, i podaje się ogień w piecu poddymanym miechami, tak mocny, jak do stopienia czystego niklu; po pięciu godzinach, ostudza się tygiel, tłucze się go, a wtedy spostrzega się dwie warstwy widoczne: z tych jedna szklista złożona z kwasu borowego i glinki, druga metaliczna, szaro-żelazista, zawierająca małe kryształy boru, które z łatwością rozpoznać można. Jest to glin, w całej swojej masie napojony borem krystalicznym.

Powyższą mieszaninę metalową nalewa się ługiem sodowym średnio gęstym, wrzącym, który wyłączy glin; następnie dodaje się wrzącego kwasu solnego, dla wydzielenia żelaza; a naostatek

przez kwas fluorowy zmieszany z kwasem saletrowym, odłączają się ślady krzemu.

Ale bór i tym sposobem otrzymany nie jest jeszcze czysty, bo zawiera glinę, której chemicznie dotąd niepodobna było wyłączyć.

Pomijamy inne wiadomości dotyczące się boru, jako po większej części znane z prac dawniejszych chemików; a w ostatku dodamy tylko uwagę pp. Wöhler i Deville, iż po zastanowieniu się nad powyższym pierwiastkiem, przychodzi się do tego przekonania, że zbliża się on bardzo niektórymi własnościami fizycznymi do krzemu i węgla.

* Dla oznaczenia ilości żelaza przy samych źródłach wód mineralnych żelazistych; każe Fresenius używać kameleonu mineralnego; do ocenienia zaś ilości siarki w wodach, roztworu jodu.

* W celu okazania najmniejszej ilości cukru w moczu: Bötcher podaje następujący nowy sposób. Należy gotować przez pewien czas mocz zmieszany z roztworem węglanu sody i saletranem zasadowym bizmutu. Jeżeli rozciek powyższy przybierze barwę szarą lub czarną, coby pochodziło od zmetalizowanego bizmutu; będzie to dowodem, że cukier w nim się znajdował.

* Że żywe srebro metaliczne znajdować się może w żyjącym człowieku, przekonał się Beigel za pośrednictwem drobnowidu na kamieniach żółciowych, których używał do otrzymywania cholosteryny. PP. Lamatsch i Kleciński doktorzy w Wiedniu, znaleźli również ten metal w moczu takiej osoby, która wprzód przez długi czas używała przetworów żywego srebra.

* Zdaje się, iż jod nie wchodzi w związek chemiczny z mączką, jak niektórzy mniemali; gdyż octan lantanu zasadowy, mający postać galaretowatą, na podobieństwo rozgotowanej mączki, jakkolwiek jest solą bezbarwną, z rozpuszczonym jodem ubarwia się także na błękitno.

J. B...a

KORRESPONDENCYE.

Do szanownej Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Jeden z uczonych znawców historii narodowej (nazwiska wymienić nam niewolno) wydrukował niegdyś w Dzienniku Warszawskim pod tytułem: *Paradoxu historycznego*, swoje domysły o stosunkach Radziejowskiego do króla Jana Kazimierza; drugi i trzeci w tejże treści artykuł, drukował już w Kronice, trzeci nawet niedawno w roku bieżą-

cym. Jemuto a nikomu innemu należy się bardzo prawdopodobny zresztą domysł, że nie król z Radziejowską, ale M. Ludwika miała z podkanclerzym serdeczne stosunki. Autor upomniał się już o swoją własność (1) której mu i teraz pan X. M. przyznać nie chce, domysł na mój karb zwałając. Z tych artykułów jednakże, w sprawie Radziejowskiego, wyszła cała historia. Oto chciało nieszczęście, że do pisma szanownego naszego korespondenta dodaliśmy ze swojej strony w Dzienniku przypisek, w którym dowodziliśmy: że Radziejowskiego potępiono na sądzie marszałka Opalińskiego z nienawiścią a bez prawnej podstawy. Później z powodu wymysłów p. Wejnerta, który nazwiska Radziejowskiego nigdy nie postawił bez dodatków *podły, niktzemny, zdrajca, potwora*, pisaliśmy przeciw *niepowściągliwości* języka i o zemście historycznej (2).

Oto są wszystkie nasze obrony Radziejowskiego.

Pan X. M. miał swoje powody, że nie darował nam i tego małego wykroczenia. W ostatnim swoim artykule polemicznym pomieszał całą historią, i jak raz, pomimo reklamacyi właściwego autora, ciągle nam przypisuje domysł cudzy, tak teraz natworzył masę zarzutów, do których połowy nawet nie przyznamy się. Nieszczęście to u nas w literaturze pospolite, że sprawę przegładaną w jednym trybunale, często przenosim do drugiego, a ten drugi sędzi oczywiście zaocznie. Tak i tutaj się stało, a Biblioteka Warszawska powołaną była do wyroku w sprawie, której nie znała. Co do nas, nie broniliśmy nigdy Radziejowskiego, jak to w nas chce wmówić szanowny p. X. M. Nie mówiliśmy nigdy, że był jako kryształ czysty. Ktoby zupełnie uniewinnił człowieka idącego z wrogiem na kraj? Powiemy więc: śmieszna dzisiaj nawet dowodzić, że Radziejowski zawinił względem ojczyzny: odwołujęm się do wszystkich naszych wzmianek o tém, czy p. X. M. nam tego potrzebował dowodzić. Korespondent nasz wystawiał jedną chwilę w życiu Radziejowskiego inaczej, jak to dotąd przedstawiali historycy. My zaś chcieliśmy i na inne strony jego zawodu zwrócić uwagę, a mianowicie na politykę, jakiej się trzymał za najścia szwedzkiego. Ludziom nauki przedstawiliśmy nasze wnioski nie przeczuwając, że zbudzim przez to namiętności parlamentarne. Nie staliśmy o nasze widoki naukowe, bo o rzecz głównie nam chodziło. Nie sądziliśmy również, żeby p. X. M. otwarcie powiedzianego zdania o ludziach historycznych, był nieprzyjacielem, boć dziejopisarza jest rzeczą z każdej strony obejrzeć przedmiot. Można się zapewne mylić, ależ cóż szkodzi, że zdana się zetrą? Nie sądziliśmy nareszcie, by wystawieniem kilku wniosków, można już było stać się winnym i zasłużyć na klątwę bodaj nie na taką samą, na jaką już zasłużył przed wieki Radziejowski. A jednak na to się zaniosło. Redakcja Biblioteki winna też nam zadosyć pewne uczynienie. Już przy Radziejowskim i za Zebrzydowskiego najniewinniej bierzem ciągi, chociaż nazwiska tego pana nie wspomnieliśmy nawet nigdy w naszych dopiskach. Autor Paradoxu historycznego pochlebia nam, utrzymując, że i pan X. M. i obrońca Zebrzydowskiego z Biblioteki, nie czytając nawet jego artykułu w Kronice, uwierzyli nam na słowo i sądzili, że Paradox poświęcony był także obronie Radziejowskiego. To jest, że nieostrożne nasze słówko wzięli za fakt w dobrej wierze. Dziękujemy za pochlebstwo, kiedy drudzy biją. Rzeczywiście, kto słowo weźmie na tortury może z niego wyciągnąć co się podoba, ależ czy to rzecz nauki? Pan X. M. nie pozwala nam robić żadnych wniosków względem Radziejowskiego, a zagląda sam Zebrzydowskiemu w głąb duszy: ależ czy to się godzi!

Otóż prosilibym, żeby szanowna Redakcja Biblioteki, ponieważ przed jej kratki wyniesiono sprawę, dla świętej prawdy i sprawiedliwości ogłosiła kategorycznie w swoim piśmie, bo Olimp bardzo na mnie wzburzony, to, co następuje:

1) że domysły romansowe nie są moje, ale autora Paradoxu;

(1) Bibl. Warsz. grudzień, str. 675. (2) Kronika 1856, nr. 90.

2) że Radziejowski w mojem przekonaniu nie był nigdy bohaterem, jak to we mnie wmawiają, owszem przewinił względem kraju;

3) że o wnioski moje nie upieram się co do polityki Radziejowskiego w roku 1655--6, ale niech je wprzód zbiją;

4) że do obrony Zebrzydowskiego nie mam najmniejszego prawa i pretensyi.

5) że wreszcie nie powinno gorszyć ludzi naukowych nowe przedstawienie faktów, bo to rzecz poważnej rozprawy, a nie namiętności.

Julian Bartoszewicz.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Niektóre pisma publiczne, może zbyt pochopne do odkrywania anonimów, wymieniły mnie jako autora korespondencyj literackich pisanych z Paryża do Biblioteki Warszawskiej. Uważam za obowiązek swój zaprzeczyć temu twierdzeniu, tém bardziej, że w wielu dziennikach czytałem nader zaszczytne uznanie talentu, z jakim są pisane. Jeżeli te pochwały, mojem zdaniem, ze wszech miar sprawiedliwe, nie doszły tam, dokąd były powinny: niechże przynajmniej nie spadają na mnie, który na nie nie zasłużyłem.

Niniejsze sprostowanie szanowna Redakcyja Biblioteki raczy w piśmie swoim umieścić.

Waleryan Kalinka.

Paryż, 1 lutego 1857 r.

Czernihów. — „W Czernihowie staraniem majątnego i poczciwego człowieka, pana M., wkrótce zostanie zbudowany kościółek: plan jego chociaż w szczyptych rozmiarach, obmyślony gustownie i dobrze, na przyszłe da Bóg lato wystąpi na żywo. A mamy też i czcigodnego kapłana, człowieka pełnego nauki i serca, księdza Syxtusa Bobana ze Żmudzi. Nigdy nie wątpiliśmy o głośnych zaletach tych szczerolotyłych serc Żmudzinów, wierzyliśmy tym rzewnym, cichym, a pełnym wdzięku i wyrazu duszy ich obliczy, na których maluje się myśl i uczucie: dziś przekonani znowu o tém dowodnie, prawdziwie mamy za chlubę, że ludzie i obcej religii, jednogłośnie a szczerze, wspólnie z nami oddają naszemu kapłanowi szacunek, zasłużony przykładem w czynie i cnotą”.

M. G.

Rzym, 1857 r.

O pracach Sosnowskiego mieliście już niejeunę wiadomość: Czas krakowski zdaje mi się że w lutym czy marcu, obszeray mu poświęcił artykuł, nadto w każdym liście z Rzymu dochodzą was wspominki o nowych i dawniejszych jego dziełach; ale ponieważ i odemnie żądacie, żebym wam co napisał, biorę się do pióra, acz mi to przychodzi z wielką trudnością, ile, że przedmiot ze strony technicznej jest mi zupełnie obcym.

Chcąc sumiennie rzecz jakąś ocenić, musimy mimowołnie odnieść się do czego, co w tym rodzaju za skończone uważamy i przez porównanie, idąc za wrodzonym uczuciem piękności: naznaczamy w sądach naszych miejsca wyższe lub niższe dziełom sztuki, stosownie do tego poczu-

cia i do odebranych pojęć: owoż mówiąc o Sosnowskim, niepodobna zamilczeć tych, którzy go poprzedzili i nadali kierunek sztuce chrześcijańskiej. Pomijając szkołę niemiecką i francuzką, w szkole włoskiej, do której Sosnowski należy, napotyamy w ubiegłych czasach, a mianowicie około roku 1400 Luca della Robia, Roselino 1459 r., 1515 Rovezzano Donatello, Jana z Bolonii, Gibertego, Jana z Pissy, a szczególnie Luca della Robia, który nieszczęściem godnych siebie nie zostawił następców. Onto i Donatello, a nie Buonarotti, ani Cellini, czystym prowadzeniem natchnieniem, bez oglądania się na starożytnych, dali nam poznać ową niewysłowioną piękność niebiańskich typów. Nikt z równą naiwnością nie oddał rysów Maryi Dziewicy matki Zbawiciela, jak Luca della Robia, nikt Jana dziecięciem i mężem na puszczy, jak twórca Judity, Donatello, nikt ze złotniczą drobiazgowością pobożniej nie rzeźbił Pisma Świętego jak Giberti; a chociaż nie wyczerpnięli oni całej piękności, bo wzrok człowieka za słaby, aby objąć był w stanie niezgłębioną przepaść cudów bożych, ale zostawili swoim następcom na indywidualności własnej przykład, że można i zaświatowe sprawy ziemskim sposobem oddawać. Przed Łukaszem tedy i Donatellim niech nam się przesuną dzieła Celliniego, Michała Buonarotti, Jana z Bolonii, z późniejszych kawalera Bernini, wreszcie Canowy, Torwaldsena i dzisiejszych mistrzów. Prawda, że Perseusz i postawiony lepiej jak Jan na puszczy i silniej rozrasta się i przyjemniej w oko wpada; ale to kontynuacja Apollina Belwederskiego, dokończenie czegoś, czego starożytność nie miała czasu dokończyć. Dawid, Michała, jako studyum męznego młodzieńca, rzecz piękna, ale w niej więcej widać świadectwo znajomości stroju muskularnego, jak Judei pasującej się z dopuszczeniami bożemi, a przedstawiającej się tak wybitnie w jednej figurze króla Psalmisty— pastuszka, odmienniej, ale równiej Homerowskiemu królom prostoty.

Posąg Matki Bolesnej w kościele św. Piotra wyda się znowu naszemu rzeźbiarzowi za miękkim, ciało zanadto nalane, tak, że patrząc na nie, nie można powiedzieć: oto usakramentowana natura, oto Zbawiciel, mający wrócić z tym ciałem na łono Ojca Przedwiecznego. Buonarotti chciał pokazać umęczony zewłok, pokazał tylko zniszczony, i w tym zachodzi wielka różnica pomiędzy nim a ascetycznym Donatello. Dawid Berniniego i figury aniołów na Ponte S. Angelo, to albo skręcenia ciała w sposób kurczowy, albo studyum z natury pierwszego lepszego z izymskich nadtybrzańskich dzieci.

Po Berninim przychodzą owi szlifowani rzeźbiarze, bardzo gładko, okrągło rzeźbiący figury, ale w których ani pogańskiego, ani chrześcijańskiego ducha nie dopatry. Odrodzenie sztuki włoskiej właściwie poczyna się od czasu Canowy i Torwaldsena: onito poważniej traktując przedmioty swoje, zwrócili pracę na drogę, jeśli nie zupełnie tę samą po której stąpił Luca i Giberty, to przynajmniej na grecką najpiękniejszą epokę; roboty szczególnie Torwaldsena, płaskorzeźby i rysunki, które szychował Antonio Banzo, przypominają albo rzymskich czasów niewiaśty, albo partenopejskie płaskorzeźby: wszystko to ma ruch prawdziwy, ale jakby od kogoś obcego pożyczony, tak, że widzowi oswoić się niepodobna z myślą, że to robił jemu podobny, jednej wiary wyznawca, i koniecznaie do antyków spółczesne prace zalicza.

Szkoła włoska, co mało zauważano, wierna najdawniejszym tradycjom, a mianowicie szkoły ateńskiej i pergamskiej, jako przedmiot prawdziwie godny artystowskiego natchnienia, wybierała bóstwa pozaświatowe, była, jeśli można tak powiedzieć i jest, aż do dziś dnia natury teokratycznej, jak przeciwnie francuzka arystokratycznej. Ta doskonałość niebieską, owa ziemską położyły sobie za zadanie, i tradycja ta rozumiana czy niezrozumiana, trwa dotąd w całej sile swojej, dzieląc artystów na kontynuatorów świata pogańskiego i pobożnych pracowników chrześcijańskiego społeczeństwa. Owoż Torwaldsen i Canowa jak i dzisiejsi radziby pogodzić jedno z drugim, ciało greckie dać chrześcijańskiemu duchowi, ale sprawato niełatwa, i zamiast godzić, wprowadza rozstrój w pracę sa-

ma, sprawia, że figury ich są rozumowe więcej jak uczuciowe, więcej na podstawie systematu jak wiecznej mądrości, więcej robione jak tworzone. Czy figury Sosnowskiego należą do tej kategorii nie powiemy tak, ale i przeciwnie powiedzieć nie możemy: jeszcze to Greki przy Łukaszu della Robia i Donatello, ale Greki, które już słuchają ewangelii.

Zdaniem mojem Sosnowski jak pierwszym jest u nas rzeźbiarzem, tak i pierwszym stać się może między europejskimi, jeżeli pomysły brać będzie z kontemplacji chrześcijańskiej, z rozmyślenia się, rozkochania w przedmiocie i wreszcie z natchnienia a nie z antyków i z natury; a jakkolwiek nie zkaładną jak z natury kształtów pożyczać musi, przeduchowienie ich nada pracom jego wyższość nad wszystkimi współczesnymi rzeźbiarzami.

Nic łatwiejszego jak chwalić bezwarunkowo, ale razem i nic niemoralniejszego; niech mi więc wybaczy tę wolność artysta, któremu godzi się bez ubliżenia prawdzie dać tytuł pierwszego rzeźbiarza polskiego, że uwagi jakie mi się nasuwają, podaje publiczności: gdyż inaczej piszący i pracujący i publiczność oszukiwaliby się nawzajem.

Szczególne rozmyślanie w antykach dało Sosnowskiemu możność utworzenia Antygony i Edypa, do której Atenodor przyznaćby się mógł. Rzecz grecka w całym tego słowa rozumieniu, jak tragedia Eschyla treściwa, cała i harmonijna, a wyszła jak każde znakomite dzieło jednym rzutem, jednem dojrzeniem tych błędzących cieni nad brzegami Acherontu. Edyp z przepaską na włosach, twarzą podobny do znanych piersi Homera, pokazuje jak artysta umie zapatrywać się na sztukę, jak właściwie za typ królewski boskiego użył śpiewaka, kiedy Antygoną Niobę i Polihymnią i wszystkie w tym rodzaju antyki przypomina: toga jej spada w tak wdzięcznych fałdach, tak troskliwie ręka obejmuje nieszczęśliwego ojca, że widocznie żyją ci wygnańcy królewscy, odpoczywają tylko, żeby potem ruszyć dalej na bolesną wędrówkę. Pomysłem jest to najznakomitsza rzecz, jaką mi się z dzisiejszych widzieć zdarzyło; często też powracam do niej i podziwiam to dzieło, przebacząc nawet jego twórcy, że niechrześcijańskiej natury wziął przedmiot, kiedy w posąg ten wlał taką spokojną pół-chrześcijańską stoicką bolesć.

Wielbiciele starożytności, widzenie moje, pewny jestem iż uznają jednostronnem i przeto odpierając ten zarzut, jedno im tylko zrobię zapytanie: czy Fidyas robił Anubisy i czy Homer opiewał Izydę egipską? Jeśli nie, znać że czasy swoje więcej szanować umieli od dzisiejszych, swoją mitologią więcej niż my religią; to zaś co się podobalo powiedzieć Heglowi, że artysta geniusz musi dotknąć trzech epok: przeszłej, obecnej i przyszłej, jeśli ma godnie nosić miano wielkiego, obok powyższej uwagi jest prostym paradoxem, tak samo jak słowa Lamartina, że chrześcijaństwo nie jest poezją, że śpiewać ani rzeźbić go nie można, jest wyznaniem Ikonoklastów. Zaiste nie tak to łatwą rzeczą rozprawić o drogach natchnień jak się komuś zdaje.

Niejako pendant do Antygony znajduje się w pracowni p. Sosnowskiego grupa z historyi polskiej: połączenie Litwy z Koroną w osobie Jadwigi i Jagielly. Dwie te postacie tak znane każdemu, postawił Sosnowski około jednej półkolumny, ręce ich połączył przyjaznym uściskiem, pod warunkiem przyjęcia wzniesionego przez Jadwigę krzyża, którego blask zdaje się oświecać martwe oblicze pogańskiego księcia. Piękna to grupa, wszakże obok Antygony zdaje nam się być mniej znajomą, tak smutek pierwszy jest wymowny, a być może także, iż do przyjęcia widoku szczęścia, do zrozumienia ludzi szczęśliwych, potrzeba usposobienia wewnętrznego, którego brak jakże często w życiu czuć się daje.

Mojesz, Chrystus po zdjęciu z krzyża, Marya Panna Niepokalane-go Poczęcia, Chrystus ostatecznego sądu, owo poczet prac religijnych, wykonanych z wielką znajomością sztuki, a które z kolei wypada obejrzeć, tym więcej, kiedy z tych dzieł składa się niejako cały łuk słoneczny nowego świata, acz myślę, że artysta robił to bez planu i tylko tak się samo szczęśliwie złożyło.

Mówiąc o Mojżesz, niepodobna nie przytoczyć małego wyjątku z pieśni tego wodza i prawodawcy, nic bowiem lepiej nie charakteryzuje ducha meża, jak własne jego słowa. Mojżesz łagodny, ale razem groźny, mówi tu sam za siebie do obecnych, do przyszłości:

„Boga, który cię urodził opuściłeś i zapomniałeś Pana Stworzyciela twego: ujrzał to Pan i wzruszony jest, iż go rozdrażnili synowie jego i córki.

„Zgromadzę na nie złe i strzały moje wystrzelam na nie.

„Wyzdychają głodem i pożrą je ptacy klwaniem bardzo przykrym, zęby bestyi zapuszczę w nie z jadem wlekących się po ziemi i płazujących, z nadworza pustoszyć je będzie miecz, a wewnątrz strach, młodzieńca współ z panną, ssącego z człowiekiem starym. Rzekłem: kędyż są? uczynię, że ustanie z ludzi pamiątka ich.”

A w inném miejscu:

„Błogosław Panie mocy tego ludu, a sprawy rąk jego przyjmij, potłucz grzbiety nieprzyjaciół jego, a którzy go nienawidzą, niechaj nie powstaną.

„Błogosławionyś ty Izraelu, kto podobien tobie, ludu, który zbawiony bywasz w Panu.”

Mojżesz Michała Anioła, to niby pierwsza zwrotka owéj pieśni, Sosnowskiego to druga: w pierwszym srogość, w drugim jedynie łagodność pojęta.

Buonarotti wykuł Mojżesza niby nasłuchującego lwa pustyni, Sosnowski jak spokojnego piastuna tablic Bożych. O Mojżesz Michała można powiedzieć: wstanie i odezwie się gromem; o Sosnowskiego, że pójdzie zamysłony śród tej zgrai rozhukanego ludu; pierwszego jest realniejszy, drugiego idealniejszy, lecz jak jeden tak drugi zupełnego nie dają zadowolenia: pochodzi to z wyboru niestanowczej chwili. Tylko Mojżesz podnoszący tablice wyżej głowy jak je odebrał z rąk Pana, a cały wpatrzony jeszcze w odchodzącą w siebie wszechobecność, mógłby dać najrzeczywistsze wyobrażenie tego wodza czterdziesto-letniej po pustyni pielgrzymki. Co bądź, praca to wielkiej wagi, draperye lekkie, acz nieco przyległe; ciało studyowane z natury za miękkie, wszakże niespracowane, nie nachodzone; nogi Mojżesza to niby nogi młodzieńca wychodzącego z pałacu Faraona, a nie wieloletniego pielgrzyma. Wszakże wszystko to wynika z ogólnego pojęcia charakteru, który się w ten sposób Sosnowskiemu przedstawił.

Chrystus w grobie, już wielokrotnie w dziennikach równie krajowych jak i zagranicznych opisywany, jako jedna z najcelniejszych prac rzeźbiarskich tegoczesnych, w krótkim czasie, ile mi wiadomo, ma być do Warszawy przeniesiony. Będziecie więc mogli na miejscu sami ocenić to dzieło, o którym nic nowego powiedzieć nie umiejąc, na wymienieniu samém poprzestaję.

Marya Panna Niepokalanego Poczęcia zaleca się nie tylko pięknoscą wykonania, ale i nowém poruszeniem. Niemało bowiem znajduje się utworów, a szczególnie w dzisiejszym czasie, których rzuty przypominają bądź antyki, bądź mistrzów upłynionej epoki; jest znowu wiele akademickich studyów, a mianowicie we Francyi, gdzie na ostatniej ogólnej wystawie miałem sposobność widzieć owe zamaszyste chłopcy powykręcane wedle woli profesora akademii na wzór dla siedzących z gliną uczniów. Ten brak oryginalności ruchów dowodzi braku natchnienia w dzisiejszych artystach, i przeto dzieła ich zlewają się w masę rzeczypospolitej posągów, w której nad zwyczajną mierzoność żadna indywidualność nie wznosi. Kto dziś postawi podobną Perseuszowi kolumnę, a wszakże to nagi człowiek i taki jak i drugi, tylko wyższy duchem wewnętrznym, przez Celliniego długo piastowanym w sercu, jak owa Salamandra w ogniu, - o której w swoich pamiętnikach mówi; i przeto na zawsze zostanie arcydziełem niemniejszej nad Venus Medycejską i Apollina Belwederskiego wartości. Właściwość rzutu wynika ze zrozumienia charakteru, z przejęcia się przedmiotem swoim i głębokiego w prawdzie rozmyślenia, czego żadną miarą sfalszować nie można: można udać przy-

jażn, miłość, ale natchnienią nie uda, choćby się na to nie wiem jak wytwornym sadił dowcipem. Czczosć wewnętrzna naśmiewać się będzie z nowego Ikara, pokąd jej ręka jakiego ulicznego profana. odrąbaniem głowy na milczenie nie skaże, chociaż i w takim razie czczosć pozostanie w draperyach, w najmniejszym zgięciu: z jednego palca, z jednej fałdy wyrzy nędzna mierność i wyda niefortunnego brata Tytana Prometeusza, który uwziąwszy się zrobić człowieka, przez to samo że się uwziął, zrobił tylko małpę. Niech artyści nasi, a mianowicie rzeźbiarze mają na względzie nie stan dzisiejszy kraju, w którym uczucie sztuki na niezmiernie niskim znajduje się stopniu, ale przyszłość, i niech za swoje a la hâte i bez natchnienia obawiają się ciężkiej pokuty przed jej sądem, którego Sosnowski jeden pomiędzy nimi wszystkimi obawiać się nie ma powodu, obmyślawszy rzecz każdą, dotknąwszy każdego najmniejszego szczegółu, a nadewszystko utworzywszy z niepożyczanego, ale własnego pomysłu posągi takie, jak Edypa i Antygony, Zbawiciela i Maryi Niepokalanego Poczęcia.

Ten ostatni, zadanie najtrudniejsze, ile że figura od nadanego i przyjętego przez społeczeństwo katolickie ruchu oddalić się nie może, nie może przybrać innego bez ubliżenia literze dogmatu, rozwiązane zostało najszcześliwiej przez Sosnowskiego. Nie zmienił on w niczem na pozór przedstawianego tysiąc-krotnie przedmiotu, zdaje się owszem, że zostawił tak samo jak u innych i dziewicę i księżyc i węża, któremu głowę potarła; kto jednak baczniej w rzecz wejrzy, spostrzeże jedno zgięcie prawego kolana, ruch do zejścia niżej na świat, i ten ruch objaśni go, że to niebieskiego dworu Pani: resztę zaś dopowieć jej twarz pełna przeanielskiej piękności i pozna Królowę aniołów przychodzącą na starcie głowy węża, skręcającego szatańskie swoje kłęby po rogach upadłego planety.

Anioł stanąć może obok najpiękniejszych dzieł Canowy, toż Zbawiciel zasiadający na sądzie ostatecznym; jedno tylko, co mi się zdaje w tym ostatnim nieodpowiednie orzeczeniu ewangelij, to, że Zbawiciel zapowiedziany jest jako przychodzący z za obłoku, a nie jako zasiadający na tronie; a jeśli mi na to ktoś zechce odpowiedzieć, że Sędziego w jego czynności inaczej przedstawić nie można, tedy odpowiem, że tu nie jedna figura ale grupa, przychodząca z za obłoku być powinna, a wtedy pozna się urząd, kiedy otaczać go będą owi straszliwi przywoływacze, których głos wstrząsać ma posady świata.

Posąg sprawiedliwości, obecnie znajdujący się w Petersburgu, przyjemnie na sobie zatrzymuje oko: ze wszystkich symbolicznych figur jestto jedna najwięcej życia mająca. Symbolistyka w rzeźbie, dzięki zdrowym pojęciom o sztuce, mniej już dziś jak dawniej używana, schodzij powoli na właściwe pole. Artyści powinni by zwrócić uwagę na symbolistykę biblijną i takiej tylko do wyrażenia potęg ziemskich używać, a wzór jej znajdują w widzeniu Ezechiela i w Objawieniu św. Jana na wyspie Patmos. Pod postaciami zwierząt, świeczników, anioła, św. Jan oraz prorok Ezechiel upostaciowali nie sami przez się, ale z natury rzeczy prawdę, gdyż inaczej tego zrozumieć ani oddać było im niepodobna. Artyści zaś nie wglądając w prawdę znaków, tworzą z chłodnej fantazyi ziemne i bez żadnego znaczenia postaci, które równie przedstawiać mogą pokój jak i wojnę, mądrość jak i głupstwo, jeżeli im tylko odejmimy dostawione zwykle akcesorya.

Wreszcie o jednym jeszcze Sosnowskiego posągu słów kilka, które mam nadzieję przyjemne będą uczniom Krzemienieckiej szkoły: eheć mówić o Tadeuszu Czackim założycielu téjże: iż zaprawdę pod dółtem Sosnowskiego powstał z grobu mąż zasługi niepożytej, kolosalny jak był kolosalnym, i z ustawą w ręku oparty o kolumnę sławy swojej, autor dzieła o Statucie litewskim, a nadewszystko opiekun oświaty narodowej i ojciec młodzieży, którą na godnych kraju obywateli wykształcił, zdaje on się namyślać nad słowem wewnątrz się rodzącem, a miłczy długo, żeby lada plewa nie padła na wicher czasu, ogląda je w sobie, waży, a co powie, zostanie na naukę potomnym.

Widziałem w ostatnich latach posąg Ney'a, generała Rapp, Joanny d'Arc w Orleanie. bez powagi i bez zrozumienia rzeczy i przeto zapewnić was mogę, że robota Sosnowskiego idzie górą nad temi wszystkimi laurowanemi i okrzyczanemi reprezentantami sztuki we Francyi.

Kończąc tę moję wiadomość, czuję się w obowiązku donieść, że obok Sosnowskiego mamy w Rzymie kilku zdolnych młodych ludzi, a mianowicie: Brodzkiego, Sztatlera i Szuberta, którzy jeśli praca, ale praca sumienna myśli i studyów towarzyszyć im będzie, jeśli pojmą na czém zależy wielkość w sztuce, że to po stopniach pokory religijnej i rozmyślania, w rzeczach wiary i historii zdobywa się natchmienie, nie wątpię, że wysokie, może nawet wyższe wyrobiją sobie stanowisko, czego pisząc obecnie jedynie o Sosnowskim, z całego serca im życzę.

T. L.



DONIESIENIA LITERACKIE.

WARSZAWA.

Józef Korzeniowski wykończył dramat oryginalny wierszem miarowym, w 5-ciu aktach p. n. „Cyganie”. Utwór ten w całości wkrótce podamy naszym czytelnikom. W literaturze naszej dramatycznej, Franciszek Książnia napisał niepośledniej wartości operę pod tymże tytułem, która była przedstawiana.

— Pamiętnika Religijno-moralnego na rok b. wyszły dwa zeszyty (ogólnego zbioru tom XXXII) i obejmują: 1) Człowiek ze względu na oznaki dziejowe i cielesne przez E. Miłosza, przekład z dzieła H. Hollarda. 2) O obowiązkach pisarzy chrześcijańskich; mowa zmarłego A. F. Ozanata, przekład J. I. Kraszewskiego. 3) Opisanie kościoła grobów Pana Jezusa: wyjątek z pielgrzymki ks. Burnickiego Bernardyna prowincyi litewskiej, który tę podróż odbywał w latach 1762—1775. A. Muchliński zamierza w całości ogłosić drukiem rękopism pielgrzymki ks. Burnickiego, i prostuje zdanie ś. p. arcybiskupa Hołowińskiego, który: „lubo niezupełnie pochlebnie o niej się odzywa, wiele atoli wiadomości prawie dosłownie z niej wypisał, i w opisanu Jerozolimy wszędzie jak widać, radził się naszego pobożnego i światłego pielgrzyma: zdaje się że i ks. Drohojowski miał ją pod ręką. Język tej pielgrzymki, swą czystością i prostotą, przymiotami rzadkimi u naszych pisarzy z owej epoki, zasługuje równie jak i sam przedmiot, aby nie pozostawała dłużej w ukryciu”. Oczekiwać będziemy ogłoszenia co rychlej tej szacownej pracy, która blisko wiek cały nieznaną była czytelnikom polskim. 4) Wykład słów Genesy w rozdziale III wierszu 17—19 p. X. W. Serwatowskiego. 5) O paliuszu; przedmiot ciekawy z powodu konsekracyi arcybiskupa naszego. 6) Artykuły umówione między pełnomocnikami N. Cesarza Jegomości i pełnomocnikiem Jego Świątobliwości papieża w Rzymie d. 22 lipca (3 sierpnia) 1847 r. dotyczą one wyłącznie dycezyi rzymsko-katolickich w Cesarstwie). 7) Bibliografia duchowna. W dziale tym czytamy takie zdanie o rozprawie Józefa Gołuchowskiego: „Świątowość w stosunku do obyczajów uważana”. Kraków 1856. „Głęboko pojmujący, i po mistrzowsku malujący stosunki nasze społeczne autor, przez świątowość rozumie na popis wychodzące uroszczenia do zaszczytu, majątku, dobrego smaku, heroizmu dla ludzkości, do religijności nawet i cnót towarzyskich, choć się często nie, albo mało co z tego dziedziczy. Jak szkodliwą jest ta próżność dla kobiet i mężczyzn, dla ludzi młodych, dla osób mianowicie, które los większym majątkiem lub ważniejszą misją obdarzył, żywo tu odmalował. Polecamy czytanie tej broszurki, która wielki wpływ wyrzucić może na poprawę obyczajów. Niemnie nam tyfko, że p. Gołuchowski za surowy, karci biedny

nasz ludek wiejski, który więcej na politowanie i ojcowską zasługuje opiekę, aniżeli na krytykę, która tylko pomnaża względem niego zatwardziałość tych, co mają względem niego obowiązki". 8) Kronika kościelna i rozmaitości. W końcu 1-go zeszytu czytamy: „Redakcyja Pamiętnika Religijno-moralnego ma sobie za obowiązek zwrócić uwagę szanownego duchowieństwa na Kronikę Wiadomości Krajowych i Zagranicznych. Jestto pismo w zasadach katolickich, obeznane z historią kościoła, i pracujące w duchu jego nauki. Ma ono inny przed sobą zawód jak nasz Pamiętnik, ale jak my, pilnuje czystości wiary i przekonań katolickich. Dlatego je zalecamy szczególnie, chociaż i inne pisma nasze nie odbiegają od tej tendencji". Zeszyt drugi obejmuje: 1) O hymnie św. Kazimierza wraz z przekładem pieśni (obok z textem łacińskim) na cześć Matki Boskiej; i hymn na cześć św. Kazimierza (z nutami). 2) Młoda dziewica; przez Maryą z Mikułowskiich Walewską. 3) Statystyczne wiadomości o duchowieństwie w Galicyi. 4) Wzięcie paliusza przez arcybiskupa metropolitę warszawskiego. 5) Wiadomości naukowe i bibliografia duchowna. 6) Kronika kościelna i rozmaitości. Zakończa ten zeszyt następne od Redakcyi podziękowanie. „W uczuciu prawdziwej pociechy, dziękujemy Gazecie Krakowskiej, Poznańskiej, Bibliotece Warszawskiej i wszystkim naszym pismom, że dzieląc nasze zdanie, zachęcają nas w przedsięwzięciu i wytrwałości: oby ich słowa bezstronne trafiły do przekonania obojętnych lub niechętnych, iżby uwierzyli że „Pasiem stado boże wedle Boga, nie dla szkaradnego zysku ale z dobrej woli" (1 Piotr 5. 2). Z podanej treści widzimy, że Redakcyja usilnie się stara o podniesienie i rozwój pisma swego, które przez dobór i rozmaitość artykułów, już teraz nie tylko sam stan duchowny zajmować może, ale i dla świeckich czytelników wielce zajmującą i użyteczną jest publikacją. Mamy nadzieję, że Pamiętnik Religijno-moralny znajdzie odpowiednio wartości swojej, coraz większe w kraju naszym upowszechnienie.

— Do oddziału rękopisów biblioteki British Museum w Londynie nabyty został w książkę oprawiony szereg listów królowej Maryi Kazimiry, pisanych językiem francuzkim do Ojca Św. podczas pobytu królowej w Rzymie. Miłośnik dziejowych badań, który nam niniejszą wiadomość udziela, oglądał ten zbiór, nie mający wprawdzie wielkiej historycznej wartości, ale dla biografa mogący przedstawić szczegóły do skreślenia rysów tego wysoce przebiegłego charakteru i przez 30 lat wpływającego czynnie na losy Rzplitej. Widać, iż piszącej ciążyło prywatne życie, na jakie są skazane królowe wdowy. Wspomina o wprowadzonych przez nią po pierwszy raz z Francyi do Rzymu siostrach miłosierdzia; o więzieniu synów przez króla Augusta II; znać, iż serce matki rozbudza się, i w wynurzeniu swych żalów znajduje wymowne wyrazy: błaga Ojca Św. o wstawienie się za dziećmi wybawiciela chrześcijaństwa pod Wiedniem; wzmiankuje o możliwości wakowania tronu polskiego, w którymto razie nie chce mieć innych zamiarów nad te, któreby dwór Rzymski jej wskazał, chociażby i z poświęceniem nadziei dzieci, ale prosi o rychłe oznajmienie woli Ojca Św. ażeby mogła dać zawczasu instrukcyę partyi, którą pomiędzy stanami Rzplitej mieć sądzi. Listów tych, nieczytelnie pisanych jest sztuk kilkadziesiąt.

— W roku zeszłym wyszły nakładem Daziara w Warszawie ubiory włościan naszych, rysowane z natury przez Gersona, litografowane przez E. Desmasons w Paryżu, w zakładzie Lemerciera, p. n. „Costumes Polonais dessinés d'après nature par Gerson, lithographiés par E. Desmasons. Publ., par Daziara a Varsowie, Paris, Moscou et St. Petersbourg". Zbiór ten obejmuje rycin kolorowanych czternaście, które nam przedstawiają ubiory włościan naszych z różnych okolic kraju: 1) Z okolic Krakowa: włościanin, parobek i chłopak. 2) Galicyanie: dwie niewiasty i kmięć. Tytuł zbyt ogólny Galicyanie nie daje nam wskazówki z których okolic przedstawia nam wiejskie ubiory. Galicya to kraj obszerny, w którym dwa głównie plemiona polskie i ruskie zamieszkało, a w każdym rozmaitość kostiumów wielka. 3) Z okolic Sandomierza:

dwie niewiasty, gospodarz i chłopak wiejski. 4) Z okolic Płocka: wieśniak, dwie kobiety i bosi chłopczyna. 5) Z okolic Augustowa także grupa. 6) Z okolic Tykocina: dziewczka, gospodyni, gospodarz i dzieci w kolebce wiszącej. 7) Z okolic Kujaw: dwóch włościan, niewiasta, i mała dziewczka. 8) Lublinianie: parobczak, niewiasta i dziewczka. 9) Bez podpisu: zdaje się przedstawiać Mazurów: jednego z siekierą, pieszo; drugiego konno, i niewiastę w stroju zimowym. 10) Z okolic Suwałk: starzec, parobczak, niewiasta i mały chłopiec. 11) Krakowiacy: gospodarz, wyrostek, niewiasta i dziewczka. 12) Lublinianie: dwóch gospodarzy i niewiasta. 13) Podlasianie: starzec, niewiasta i gospodarz. I tu zaogólny napis: potrzeba okolicę wyrazić, bo Podlasie równie jak Galicya ma Ruś i Mazurów z wielką różnorodnością ubiorów. 14) Mazury: dziewczka, kobieta i parobczak. Wykonaniu nic zapewne zarzucić nie można pod względem rysunku; ale p. Gerson, lubo jak tytuł wyraża, że rysował z natury, nie wszędzie się tej natury trzymał. Któż kiedy zobaczył z tak ufryzowaną głową, i tak jakby wymalowaną twarzą chłopaka, którego widzimy tu na rycinie z napisem: „Z okolic Sandomierza,” albo drugiego takiego wyrostka: „z okolic Płocka”. Obaj ci chłopcy, zakrywszy jednemu chłopskie trzewiki, a drugiemu boscie nogi, są jakby wycięci z dziennika mód paryzkiego. Nie wierzym, aby te postacie, równie jak dziewczę z okolic Augustowa, były wzięte z natury: najmniejszego cienia prawdy w nich nie ma. Oblicza w innych są wielce wyidealizowane, lubo niektórym postaciom umiał artysta nadać typ właściwy narodowy. Co do prawdy w ubiorach i postaciach, to pierwszeństwo oddać musimy rycinom przyłączonym do pieśni ludu Oskara Kolberga.

— Nakładem B. Lesmana księgarza wyszła: Nowa grammatyka francuzka Noela i Chapsala; podług 46-go wydania paryzkiego starannie przejrzanego i powiększonego. Dzieło wielkiego użytku dla uczącej się młodzieży; wydanie staranne.

— Nakładem A. Nowoleckiego księgarza, legenda Jana Chęcińskiego p. n.: „Jałmużna”, ogłoszona w „Rozrywkach” p. Cruszkowej, wyszła w oddzielnym odbiciu. J. I. Kraszewski z wielkim współczuciem wspominał o pierwszej powieści poetycznej Chęcińskiego: Anioł i Czart; my w nowej legendzie widzimy lubo ten sam niepośledni talent młodego pisarza, ale więcej artyzmu. Język czysty i piękny, potoczność wiersza, dużo prostoty niekłamanej i rzewnego uczucia.

— Wzorów sztuki średniowiecznej w dawnej Polsce, seryi drugiej wyszły razem zeszyty XI i XII. Obejmują: 1) Puchar godowy szklany cechu krakowskiego kapeluszników z r. 1664, z napisem: „Wilkom. Bracia wypijajcie raźnie. Kto spełni, stanie mu za łaźnię”. Wierzmy, że pijący mógł się zapoić, bo puchar ten obejmuje półtora garnca.—E. Rastawiecki w objaśnieniu tłumaczy nam wyraz „Wilkom,” w napisie na czelu będący: iż puchary powitalne, tym wyrazem oznaczano u nas dawniej. 2) Malowanie ścienne w kaplicy przy kościele Łędzkim; zabytek z wieku XIV-go. 3) Malowanie na stropie kościelnym we wsi Libuszy z r. 1523. 4) Chorągiew zwana Mahometą, zdobyta przez Jana III-go pod Wiedniem, która dotąd jest zawieszoną pod sklepieniem Bazyliki św. Jana w Lateranie.

— Widzieliśmy przekład „Koranu”. wprost z oryginału. Tłumaczenie odznacza się wybornym językiem i jasnym stylem. Praca ta wykonana przez jednego z obywateli starego Podlasia wyznania mahometanckiego, z rodu Tatarów, już jest skończoną. Jedną z przedsięwziętych naszych księgarzy zamysła tę ciekawą księgę Mahometa ogłosić drukiem.

— Dowiadujemy się, że Antoni Pietkiewicz (Adam Pług) pisze wierszem wspomnienia swoje z lat młodych p. n.: „Pamiętki domowe” i dwie powieści: pierwszą „Mandaryni i misyonarze” drugą p. n.: „Apostoł”.

— J. K. Gregorowicz wykończył drugą seryą „Zarysów wiejskich”. W pierwszej, w której odmalował nam trzy wydatne ludowe postacie: chłopca arystokratę, spekulanta i poetę; okazał jak umiejętnie i artysty-

cznie wpatrzeć się umiał w te typy ludowe, które tak wyraziście nam przedstawił. Nie wątpimy, że serya druga w niczem pierwszej nie ustąpi.

— Rozprawę ks. Malinowskiego umieszczoną w Bibliotece Warszawskiej, w której podawał rady wydawcom słownika języka polskiego, Piotr Dubrowski przetłumaczył na język rossyjski i czytał na sessyi Akademii Petersburskiej.

— Współredaktor „Gazety Codziennój” Julian Miłkowski, drukowaną powiastkę swoją p. n.: „Imiennik” w tej Gazecie, wydał w oddzielnym odbiciu. Terazniejszą jego powieść p. n.: „Matka i macocha”, drukującą się w odcinku wspomnianego pisma, kupił i wyda swoim nakładem księgarz Natanson.

— „Pieśni ludu polskiego” Oskara Kolberga, wyszedł zeszyt 5 z nutami, tekstem i przedmową do całego dzieła. Wspomniawszy o wydanych dotąd zbiorach pieśni, słusznie mówi: że prace te „objawiły się tylko w pół życia, w połowie swojej istoty, bo treść i melodya uzupełniają się, podnoszą wzajemnie, jedną wspólną stanowią całość; a często melodya, ta część mniej określona, mniej materyjalna, stanowi całą piękność pieśni. Muzyka jest głównym przedmiotem niniejszego zbioru; do każdej pieśni dołączam właściwą jej nutę. Uderzony wcześniej oryginalnością i krzepkością pieśni ludowych, od lat kilkunastu robiłem wycieczki po kraju w celu skrzętnego i wiernego ich spisowania: to też pochlebiam sobie, że w nieprzebranym u nas źródle melodyi, zaczerpnąłem najciekawszy jej zapas, taki przynajmniej, jaki już potrafi odznaczyć muzykalność ludu naszego. Oddaję nutę w nieskażonej prostocie (t. j. o ile skażenie nie pochodzi z winy śpiewających) tak jak wybiegła z ust ludu, bez żadnego przystroju harmonijnego, bo mam przekonanie, że najdzielniejszą jest w samorodnej, niczem niezmażonej czystości, jak ją natura natchnęła. Brzmi pieśń nieprzerwanie po naszych niwach i gajach, płynie z wodą i z wiatrem, odbija się o ściany naszych karczem, dworów i chat, a tam gdzie powstała, najsilniej za serce chwyta. Stając się wiernym jej tłumaczem, wszędzie wskazałem miejsce, gdzie wysłuchaną została”.

Do tego zeszytu dołączył wydawca rycinę przedstawiającą gospodarza i wieśniaczkę z okolic Wilanowa i Czerniakowa, zalecające się jak wszystkie przy tym zbiorze dołączone wiernością kostiumu, oblicza zdjętego z natury i całej postaci.

Kończy przedmowę swoją O. Kolberg temi słowy: „Jeżeli powodzenie tego dzieła dozwoli wyjść następującym seryom już przygotowanym, wtedy nie omieszkać przedstawić jeszcze ubiory innych stron kraju, a których oryginalnością i bogatą różnaitością odznacza się mianowicie jak: krakowski, lubelski, Galicya i Szląsk”. Pragnąc należy, ażeby nadzieje szanownego wydawcy zawiedzionemi nie zostały: bo praca jego sumienna zasługuje na jak największe współczucie ogółu. Dziś nikt nie wątpi, że tylko tą drogą, przez zebranie melodyj tak licznych, bogatych, a rozmaitych naszego ludu, który pod tym względem stoi najwyżej w całej Słowiańszczyźnie: możemy przyjąć do tego, że nasi utalentowani artyści potrafią w dziedzinie sztuki wznieść godny podziwu i uwielbienia pomnik muzyce prawdziwie oryginalnej narodowej polskiej.

— *Album Lubelskie*, rysował z natury i opisał A. Lerue. Wydane nakładem w własnej litografii A. Pecq et com. Warszawa. 1857. Pod tym napisem wyszedł pierwszy zeszyt publikacji z wielu względów nas interesującej. Mało znamy kraj własny, a gdy niektórych stron kraju widoki mnożą się do przesytu: tych okolic, które i pamiątkami historycznymi, i pomnikami sztuk, i pięknnością widoków odznaczają się niepoślednio, nie mieliśmy dotąd. Album lubelskie odsłania nam stronę ziemi polskiej, jeżeli nie obcą na kartach dziejów, to dla wielu nieznaną. A. Lerue rysuje sam widoki, i sam pisze text objaśniający. Posłuchajmy jego wstępu: „Pracując przez czas niejaki przy delegacyi do opisania zabytków starożytnych w Królestwie, miałem sposobność zwie-

dzenia znacznej części kraju, i przypatrzenia się wielu budowlom i innym pomnikom, bądź pod względem dawności lub wartości artystycznej znakomitym, bądź pod względem wypadków dziejowych, z którymi są niejako związane, ciekawym. Pamiętny wrażeń, jakie widok tych wszystkich przedmiotów obudził w moim umyśle, mniemam, że ich przedstawienie w wiernych rysunkach, które przezemnie na miejscu były zdejmowane, nikomu obojętnym nie będzie: tym bowiem, co je niegdys z równym jak ja zajęciem oglądali, doznane wrażenia przypomni; tych zaś, co ich wcale nie znają, do podobnego obejrzenia zachęci, a tem samém i do dokładniejszego pod każdym względem poznania kraju naszego, niemało się przyczyni. Przedsięwziąłem zatem tę część Królestwa, w której się urodziłem, i gdzie mi najpiękniejsze chwile życia mego ubiegły, tę która tem samém jest i lepiej mi znajomą, i bliższą, że tak powiem serca mego, niż inne, to jest gubernią lubelską, malowniczym sposobem oświeconej publiczności przedstawić, wydając z materiałów troskliwie przezemnie pozbieranych, dziełko rysunkowe p. t.: „Album Lubelskie“. Dziełko to składać się będzie z poszytów, z których każdy ma obejmować cztery starannie litografowane obrazy najcenniejszych budowli i pomników gubernii lubelskiej w formacie in 4-to majori, ze stosowném objaśnieniem, jakiego dokładniejsze obeznanie się z tego rodzaju pomnikami wymaga, w którym przecież, nie wdając się w żadne historyczne lub archeologiczne wywody, ograniczę się na opisanie stanu każdego pomnika, materiału z którego jest zbudowanym, i tego wszystkiego, co do należytego zrozumienia samego rysunku jest potrzebnem, zostawiając część naukową ludziom w archeologią krajową więcej odemnie wtajemniczonym“. Z tego wstępu czytelnik osądzi o treści Albumu. Poszyt I obejmuje: 1) Kościół Św. Ducha. 2) Różwaliny Święto-Duskie. 3) Magistrat i 4) Bramę krakowską: bardzo starannie litografowane. Zbiór cały ma obejmować zeszytów 8.—Nakładem tejże litografii A. Pecq'a zaczną wychodzić poszytami dwa dzieła: 1) Królowie polscy: rysowane wizerunki przez A. Lessera. 2) Biskupi i arcybiskupi polscy przerysowani z popiersi w galerii łowickiej. Do obu text pisze H. Skimborowicz.

— Księgarz i typograf S. Orgelbrand przygotowuje nowy szereg dzieł rozmaitych, które są już pod prasą; przytoczym z nich ważniejsze nakłady: *Cantu historia powszechna* tom 11-ty i ostatni. *Żywoty biskupów wileńskich* p. X. Al. Osieńskiego, 3 tomy z portretem autora. *Stawiskiego Edmunda: Poszukiwania do historii rolnictwa krajowego.* *Juliusza Ś.: Pisma rozmaite.* *Czarkowskiego P.: Mównictwo, czyli początki i pierwotny rozwój mowy Bohów Słowian naszych praocjów.* *Z powieści: Starosta Hołobucki, Z. Kaczkowskiego. J. I. Kraszewskiego: Podróż do miasteczka—Starościna bełzka. J. K. Gregorowicza: Strzecha domowa. S. Pruszkowej: Obrazki dramatyczne wierszem. Wł. Wolskiego: Bakałarz. Leśniewskiej Bron.: Zbiór powiastek dla młodocianego wieku. Ks. A. Putiatyckiego: Theologia moralis 2 tomy.—Podróż do Tartaryi, Tybetu i Chin w latach 1844—46 przez ks. Huc. przekład Alex. Kremera, 2 tomy. *Mowy poufale proboszcza ks. Reguis, przekład ks. Rzewuskiego, i Wieniec niebieski ks. Stoger, przekład tegoż pióra. Ks. Willanta kaznodziei katedry krakowskiej, kazania i w. i.**

— Z dniem 1 kwietnia r. b. zaczną wychodzić pismo tygodniowe (arkusz w 4ce) pod nazwą *Ruch muzyczny*, pod redakcją Józefa Sikorskiego, ze współdziałaniem najznakomitszych polskich muzyków w kraju i zagranicą. Co miesiąc dodane będą dwa arkusze kompozycji rodaków. Cena roczna w Warszawie rsr. 6, półrocznie rsr. 3, kwartal. rsr. 1 kop. 50. Dla prowincyi i cesarstwa opłata jest wyższa o rsr. 1 kop. 45 rocznie na koszt przesyłki prócz kopert, które pragnący mieć oddzielnie, dopłacą rsr. 2 na rok, a rsr. 1 na pół roku.

— Nakładem M. Frühlinga wyszedł drugi tomik pism A. Malczeskiego, z życiorysem autora, p. K. Wł. Wójcickiego, str. 107. Nakładem tegoż księgarza wyjdzie w taniém wydaniu Kirgiz G. Zielińskiego.

— Bibliograficzne spisy polskich książek nie są dokładne: o wielu, szczególnie po miastach prowincjonalnych drukowanych, nie mamy

żadnej nawet wzmianki. Do rzędu tych należą Bajki, powiastki i obrazki Ludwika Modzelewskiego, książeczka drukowana w Suwałkach w r. 1854 w drukarni F. Pileckiego. Sąto bajeczki i powiastki w rodzaju, lubo nie w wartości Jachowicza. Wiele bardzo szczęśliwych. Przywiedziemy tu na przykład te, co się więcej odznaczają anegdotalną myślą.

I. *Wymówka.*

Michał jadł śliczne jabłuszko,
Siostrzyczka kawalka chciała,
Mówiąc: „mnie mama nie dała.”
A jabym ci oddał duszko,
Nie kawałek, ale całe,
Lecz cóż, kiedy niedojrzałe!

II. *Beksa.*

Czteroletni Adamek wciąż płakał i szlochał,
Że aż nie miło słuchać tego było:
Nikt go też za to nie lubił, nie kochał;
Lecz raz mu się uprzykrzyło
I przestał płakać. Chwałą go więc wszędzie,
Że dzisiaj grzeczny dopiéro,
Że płacz był tylko chimera,
Że więcej płakać nie będzie.
„Ale! nie będzie! rzekł na to skrzywiony,
Teraz bo jestem zmęczony;
Lecz jak odpocznę, to znowu zasięde,
I płakać będę.”

III. *Alfonsek.*

Czy mnie kochasz Alfonsku? pytał ojciec syna:
Oh! kocham całą duszą! rzekł śmiały chłopczyzna.
A gdzieżto twoja dusza? w ciele, czy w odzieży?
Nie tatko! o tam, w kuchni na kominie leży.

-- Do równie u nas nieznanych należy książka p. n. „Nauka języka polskiego część 1-sza” napisał i wydał Antoni Kamiński z. profesora języka polskiego i literatury polskiej przy c. k. gimnazjum św. Anny w Krakowie. Kraków. W drukarni Czasu, 1852 r. w 8-ce str. 175. Dzieło pracy i nauki. Nie dziwimy się, że pp. księgarze nakładu autorów nie upowszechniają, bo mimo ogromnego, lichwiarskiego procentu, jaki ściągają z autorów (najmniej 50% jeżeli gotówką zaraz mają płacić), wolą własne i swego cechu rozpowszechniać książki: ale dziwić się potrzeba, że sami księgarze jak pp. Wolff i Teofil Glücksberg, swoje nakłady najpóźniej do Warszawy nadsyłają. B. M. Wolff książki drukowane w Warszawie po półroku i więcej przetrzymuje na składzie: a te które drukuje w Petersburgu, konserwuje pod kluczem po wydrukowaniu i po roku całym. Tak jest np. z tomem 3cim zbioru życiorysów z czasów Stanisława Augusta J. Bartoszewicza: na całe Królestwo, autor z należnych sobie egzemplarzy jeden tylko otrzymał. Nowy ten rodzaj spekulacji notujemy, bo zda się jako ciekawy szczegół temu, kto się zajmie opisem handlu księgarskiego, który coraz nowych nabiera odcieni, wedle widoków, spekulacji i korzystnych wyrachowań każdego poszczególnie księgarza.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Styczeń, 1857.

Styczeń 1957.

Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatorium Astronomicznym Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie wschód względem południka paryzkiego. 1g. 14m. 45s., 7 czyli w tuku 18°41'25", 5 m

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stopniowy				Wysokość wody spadłej w milim. z
	6	10	4	10	6	10	4	10	
1	751.77	751.62	749.79	748.46	0° 8	1° 6	1° 8	2° 2	6.0
2	747.78	748.60	747.97	745.76	3.4	3.6	3.3	1.2	
3	743.89	744.34	742.83	741.85	2.3	1.7	2.2	0.2	
4	741.00	741.74	742.20	742.58	0.2	1.4	3.3	4.5	
5	748.13	749.31	751.37	753.65	5.8	5.1	3.9	5.6	
6	756.28	757.89	758.83	761.35	10.5	11.0	11.0	12.8	
7	763.25	764.12	764.33	765.13	15.0	14.0	10.5	13.9	
8	763.99	763.82	761.57	760.25	15.7	15.1	9.7	11.8	
9	760.10	760.88	761.15	760.92	10.5	9.7	5.6	10.1	
10	757.47	756.84	753.66	749.22	13.0	11.6	6.1	10.5	
11	744.86	743.60	738.93	736.40	11.6	10.3	6.9	10.3	
12	734.37	734.47	733.74	733.93	10.7	7.5	2.6	2.3	
13	735.11	736.24	737.08	738.70	5.7	3.3	1.3	1.8	
14	742.10	743.60	745.92	748.80	2.1	1.9	0.7	3.3	
15	750.41	751.10	752.56	753.47	4.7	5.2	1.8	1.1	
16	752.52	752.43	751.22	751.83	1.9	1.4	1.3	2.2	
17	752.76	753.80	754.84	756.62	2.3	1.8	0.9	4.5	
18	758.12	758.78	757.18	755.38	6.7	5.3	2.7	1.3	
19	755.07	752.48	749.26	747.05	0.2	0.3	0.9	0.4	
20	746.76	747.07	747.59	748.44	0.8	1.0	0.4	0.5	
21	747.60	747.98	747.57	747.80	0.7	0.4	0.3	7.1	
22	747.40	747.56	745.42	745.85	8.7	7.2	3.5	7.6	
23	743.86	743.52	742.40	741.81	6.7	3.2	1.9	6.9	
24	739.06	738.54	736.97	736.33	1.3	0.2	1.1	0.0	
25	735.89	736.24	736.53	737.52	0.5	0.0	0.1	0.6	
26	737.81	738.14	738.30	739.41	0.5	0.0	0.4	0.2	
27	739.58	740.00	740.08	741.42	0.2	0.2	0.2	0.4	
28	742.02	743.01	744.39	746.22	1.1	0.9	1.1	1.9	
29	747.66	748.05	748.04	748.96	2.5	1.7	1.5	2.5	
30	749.32	749.81	750.85	751.19	3.5	3.0	2.6	5.9	
31	751.70	752.32	752.57	753.52	6.5	5.0	2.7	5.7	
Śred.	747.924	748.319	747.896	748.123	4° 55	3° 70	2° 28	4° 24	96.1

Dnia	S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z
	6	10	4	10	6	10	4	10	
1	mży	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	PdZ.	4.0
2	pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	Pd.	
3	pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
4	pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	poch. śnieg	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
6	pochmurny	lek. pochm.	pochodny	pochodny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
7	pochodny	pochodny	pochodny	pochodny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
8	pochodny	pochodny	pochodny	pochodny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
9	pochodny	pochodny	pochodny	pochodny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
10	pochodny	pochodny	pochodny	pochodny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
11	pochodny	pochodny	pochodny	pochodny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
12	lek. pochm.	pochmurny	poch. śnieg	poch. śnieg	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
13	pochodny	pochodny	poch. śnieg	poch. śnieg	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
14	poch. mgł.	poch. mgł.	poch. mgł.	poch. mgł.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
15	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
16	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
17	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
18	pochodny	pochodny	poch. śnieg	poch. śnieg	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
19	poch. mgł. s.	poch. mgł. s.	poch. mgł. s.	poch. mgł. s.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
20	poch. desz.	poch. desz.	lek. pochm.	lek. pochm.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
21	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
22	pochodny	pochodny	pochodny	pochodny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
23	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
24	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
25	lek. pochm.	deszcz	deszcz	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
26	mgła	śnieg, mgła	śnieg	śnieg	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
27	poch. śnieg	poch. śnieg	poch. śnieg	poch. śnieg	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
28	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
29	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
30	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
31	pochmurny	poch. śnieg	poch. śnieg	poch. śnieg	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	
Śred.					22.4	29.4			

	m.	o.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.066	27	7.614
Najwyżej barometr dochodził d. 7 o g. 10 w.	765.13	28	3.178
Najniżej — — d. 12 o g. 4 w.	733.74	27	1.264
Średnia zmiana dzienna barometru	4.201		1.862
Największa zmiana dzienna barometru d. 10—11 o g. 4 w.	14.73		6.530
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających	3.098		1.373
Średnia temperatura grudnia wynosi: i ta jest większa o	751.164	27	8.987
od stanu normalnego z 31 lat poprzedzających	— 3 ^o .69 C.	—	2 ^o .95 R.
Największe ciepło było d. 2 o g. 10 r.	1.62 „		1.30 „
Największe zimno — d. 8 o g. 6 r.	— 5.31 „	—	4.25 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	+ 3.6 „	+	2.88 „
Największa zmiana dzienna temperatury	— 15.7 „	—	12.56 „
d. 11—12 o g. 10 r. i d. 21—22 o g. 6 r.	2.268 „		1.814 „
Termometrograf wskazał:	8.0 „		6.40 „

Maximum: + 3.6 R. d. 3 po połud.
Minimum: — 12^o.6 „ d. 8 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 96.7, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 4.17 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blisko o 0.02 większa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 22.4 mil. czyli 9.93 lin. par.; z śniegu 29.4 mil. czyli 13.03 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 51.8 mil. czyli 22.96 lin. par. ilość ta wody jest o 8.59 lin. par. większa od tej, jaka średnio u nas w styczniu spada.

Dni pogodnych było 5, napół pogodnych 2, pochmurnych 24.

— deszczu 6 (d. 1, 19, 20, 24, 25, 27).

— śniegu 7 (d. 4, 12, 13, 19, 26, 27, 31).

mgły 4 (d. 14, 18, 19, 26).

Wiatrów mocnych 1 (PnW.).

Wiatr panujący Południowo-Wschodni częste były także Północno-Wschodnie.

Styczeń r. b. był niepogodny, wilgotny i słotny; zwykle miesiąc ten bywa u nas najzimniejszy jako stanowiący środek zimy, w r. b. przeciwnie z powodu deszczów, odwilży i częstych zmian osobliwie w drugiej połowie, był raczej do jesiennego niż zimowego miesiąca podobny. Pierwsze cztery dni były ciepłe, następne piętnaście zimne, ostatnie dwanaście słotne i ciepłe, w ogóle miesiąc ten był o 1.3 stop. R. mniej zimny jak zwykle. Najcieplejsze dni były d. 1, 2, 3; najzimniejsze d. 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12; zmiany dzienne temperatury były znaczne. Barometr utrzymywał się nisko. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był mniej pogodny niż zwykle, a bowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 3.9:6.6:20.5; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 5:2:24. Lubo śnieg padał dość obficie w tym miesiącu i ilość wody ze śniegu jest o 2.85 lin. par. większa niż zwykle, z powodu jednak częstych odwilży i deszczu śnieg stopniał i mało go pozostało.

Dnia 8 lody na Wiśle powyżej mostu sianały.

Wysokość wody na Wiśle największa stop. 9 cali 2, d. 2;

„ „ „ „ najmniejsza stop. 3 cali 10, d. 8 i 9.

Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Ostatnia 17

60-102 Poznań

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82